

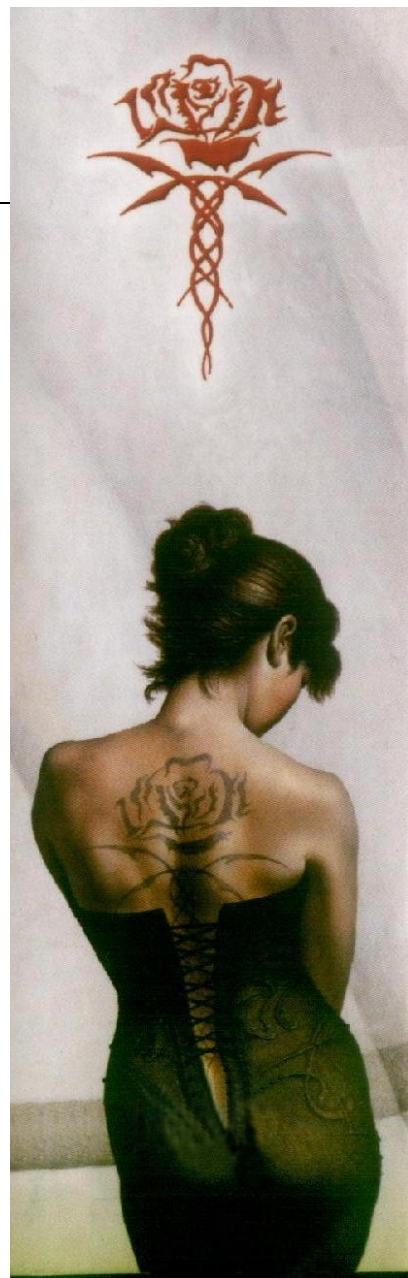
JACQUELINE CAREY

## POTOMEK KUSZIELA

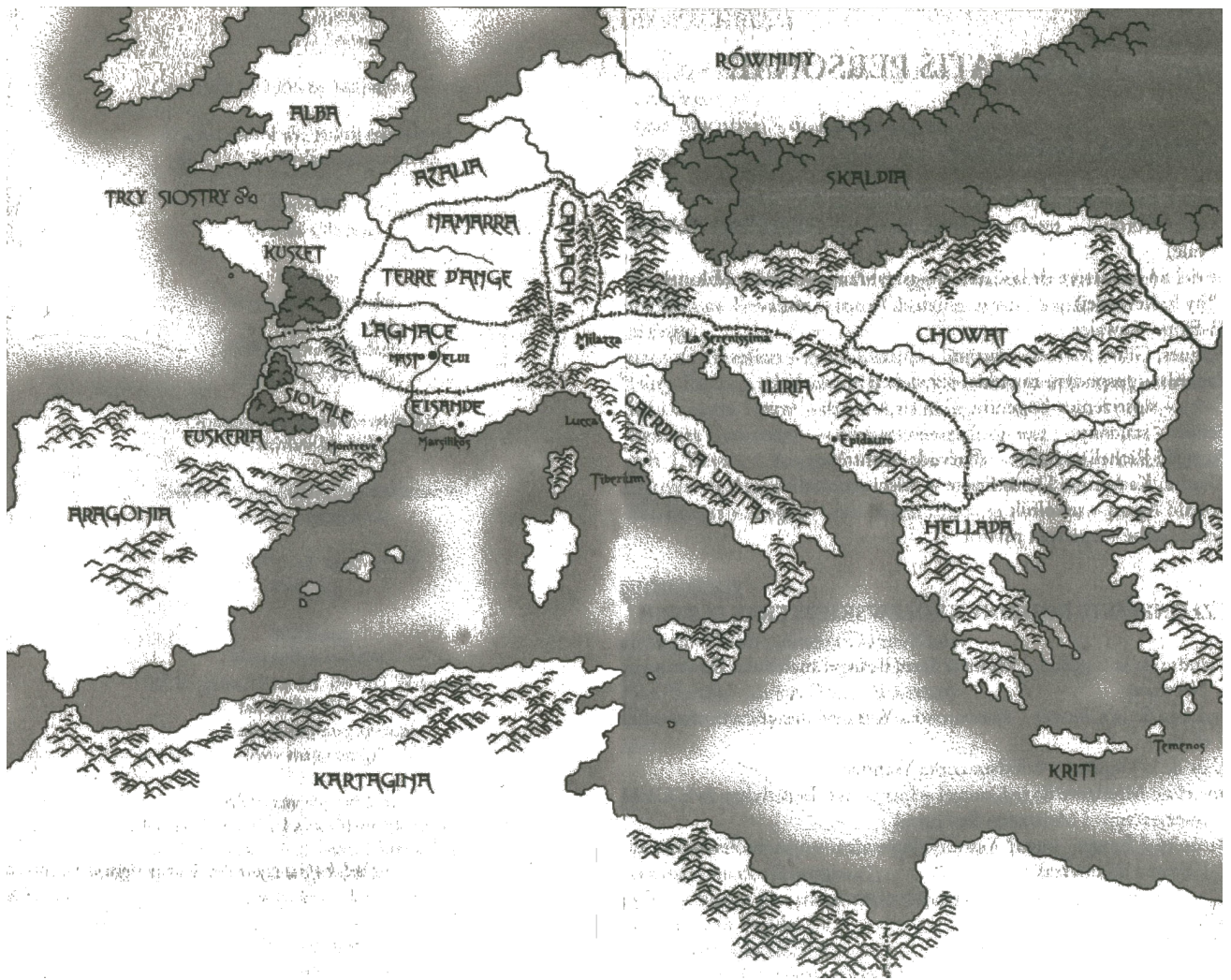
---

Tytuł oryginału: *Kushiel's Scion*

Przekład Maria Gębicka- Frąć



*Dedykuję wszystkim, którzy sięgają ku słońcu,  
wszędzie.*



## **DRAMATIS PERSONAE**

### **DOMOWNICY MONTRÈVE**

Fedra nó Delaunay de Montrève - hrabina de Montrève

Joscelin Verreuil - towarzysz życia, małżonek Fedry, brat kasjelita (Siovale)

Imriel nó Montrève de la Courcel - przybrany syn Fedry (członek rodziny królewskiej)

Ti- Filip - kawaler Hugues, Gilot, Marcel - zbrojni

Eugenia - gospodyni miejskiej rezydencji

Clory- siostrzenica Eugenii

Benoit - stajenny

Purnell i Richelina Friote - seneszale Montrève

Charles, Katherine, Denis Friote - dzieci seneszali

Ronald Agout - sokolnik

Artus Labbè - opiekun psiarni

### **CZŁONKOWIE RODZINY KRÓLEWSKIEJ TERRE D'ANGE**

Ysandra de la Courcel - królowa Terre d'Ange; małżonka Drustana mac Necthana

Sydonia de la Courcel - starsza córka Ysandry, następczyni tronu Terre d'Ange

Alais de la Courcel - młodsza córka Ysandry

Imriel nó Montrève de la Courcel - kuzyn, syn Benedykta de la Courcel (nieżyjącego) i Melisandy Szachrizaj

Barquiel L'Envers - wuj Ysandry, dowódca wojsk królewskich, diuk L'Envers (Namarra)

## **RÓD SZACHRIZAJ**

Melisanda Szachrizaj - matka Imriela, żona Benedykat de la Courcel (zmarłego)  
Paragon Szachrizaj - diuk de Szachrizaj

Mavros, Roszana, Baptista Szachrizaj - kuzyni Imriela

## **DWÓR KRÓLEWSKI**

Ghislain nó Trevalion - syn Percy'ego de Somerville (zmarłego)

Bernadetta de Trevalion - żona Ghislaina, siostra Baudoina (zmarłego)

Bertran de Trevalion - syn Ghislaina i Bernadetty

Amaury Trente - szlachcic, były dowódca straży przybocznej królowej

Julien i Coletta Trente - dzieci Amaury'ego

Marguerita Grosmaine - córka sekretarza królowej

Nicola L'Envers y Aragon - kuzynka królowej Ysandry, żona Ramira

Zornina de Aragon

Raul L'Envers y Aragon - syn Nicoli i Ramira

## **DWÓR NOCY**

Natalia nó Melisa - duejna Domu Melisy

Emmelina nó Melisa - adeptka Domu Melisy

Didier Vascon - duejn Domu Waleriany

Sefira - adeptka Domu Waleriany

## **ALBA**

Drustan mab Necthana - cruarcha Alby, mąż Ysandry de la Courcel

Necthana - matka Dr ustana

Breideja - siostra Drustana, córka Necthany

Tolorcan - syn Breidai

Dorelei - córka Breidai

Sibeal - siostra Drustana, córka Necthany, żona Hiacynta

Hiacynt - Pan Cieśniny, mąż Sibeal Grainna mac Conor - Pani Dalriady

Eammon mac Grainna - syn Grainny i Kwintyliusza Rouse

## **TYBERIUM**

Mistrz Piero di Bonci - nauczyciel filozofii

Lucjusz Tadiusz, Aulos, Brigitta, Akii, Vernus - uczniowie mistrza

Dekkus Fulwiusz - senator

Klaudia Fulwia - żona Dekkusa, siostra Lucjusza

Anna Marzoni - wdowa

Belinda Marzoni - córka Anny

Canis - żebrak

mistrz Strozzi - nauczyciel retoryki

mistrz Ambrozjusz - wytwórca kadzideł

Eryteja z Trastos - malarka  
Sylwio - pomocnik Erytei z Trastos  
Denise Fleurais - ambasador Terre d'Ange w Tyberium  
Ruggero Caccini - przywódca zbirów  
kapłan Asklepiosa  
Tytus Maksymiusz - *princeps* Tyberium  
Oppius da Lippi - kapitan „Eolii”

## **LUKKA**

Publiusz Tadiusz - ojciec Lucjusza  
Beatrice Tadia - matka Lucjusza  
Gallus Tadiusz (zmarły) - pradziadek Lucjusza  
Gaetano Correggio - księżę Lukki  
Dacia Correggio - żona Gaetana  
Helena Correggio - córka Gaetana i Dacii  
Bartolomeo Ponzi - ukochany Heleny  
Domenico Martelli - diuk Valpetry  
Sylwanus Młodszy - dowódca kompanii najemników Valpetry  
Arturo - kapitan straży Lukki  
Orfeo, Pollio, Matius, Adolfo, Baldessare, Constantin - żołnierze Czerwonej Plagi  
Quentin LeClerc - kapitan straży w ambasadzie d'angelinskiej  
Romuald - żołnierz ze straży w ambasadzie  
Markus Korneliusz - dowódca kontyngentu ryberyjskiego

## **INNI**

Maslin z Lombelonu - syn Izydora d'Aiglemort z nieprawego łoża

Ixlahia Valais - lekarka królowej Ysandry

Emil - właściciel „Kogutka”

Kwintyliusz Rouse - admirał floty królewskiej

Fawriela nó Dzika Róża - *couturière*

Berengera z Namarry - przełożona zakonu Naamy

Amaranta z Namarry - córka Berengery

brat Selbert - najwyższy kapłan w Sanktuarium Elui (Siovale)

Gilles Lamiz - nadworny poeta

Roxana de Mereliot - Pani Marsilikos (Eisanda)

Gerard i Jeanne de Mereliot - dzieci Roxany (Eisanda)

## **POSTACIE HISTORYCZNE**

Baudoin de Trevalion (nieżyjący) - kuzyn królowej Ysandry, stracony za zdradę

Izydor d'Aiglemort (nieżyjący) - zdrajca, poległy śmiercią bohatera (Kamlach)

Ihelesis de Mornay (nieżyjąca) - nadworna poetka

Waldemar Selig (nieżyjący) - wojownik skaldyjski, najeźdźca Terre d'Ange

Fadil Chouma (nieżyjący) - menechetariski handlarz niewolników

mahrkagir (nieżyjący) - obłąkany władca Drudżanu, pan Daršangi

Drucylla (nieżyjąca) - tyberyjska lekarka, niewolnica w Daršandze

Kaneka - dżebanska niewolnica w Daršandze

Jagun (nieżyjący) - naczelnik Tatarów z plemienia Kereitów

ras Lijasu - księżę Meroe w Dżebe- Barkal



# PROLOG

---

Co to znaczy być dobrym?

Kiedy byłem dzieckiem, zdawało mi się, że wiem. Wówczas było to łatwe. Nie wiedziałem nic o swoim pochodzeniu czy dziedzictwie. Dzieciństwo spędziłem w Sanktuarium Elui, gdzie dni upływały na pracy i zabawie: wspinałem się na górskie zbocza i pasłem kozy z innymi dziećmi, łąziłem po drzewach i pływałem w wartkim strumieniu, gdy nasze podopieczne skubały trawę.

Prześląłem regułą Błogosławionego Elui: Kochaj jak wola twoja. I kochałem. Kochałem bezgranicznie, z łatwością i szczerze: towarzyszy zabaw, kapłanów i kapłanki Sanktuarium, kozy pod moją opieką, ziemię pod moimi stopami i niebo nad moją głową. Jestem D'Angelinem; kochałem Terre d'Ange, mój kraj ojczysty. Z całego serca kochałem naszych bogów, Eluę i jego Towarzyszy, i wiedziałem, że w zamian jestem kochany. Byłem szczęśliwy. Nie przypuszczałem, że cokolwiek kiedyś się zmieni.

Kiedy miałem dziesięć lat, zmieniło się wszystko.

Zostałem uprowadzony przez kartagińskich handlarzy niewolników i wyprawiony w podróż do piekła. I sądziłem, że tam umrę, ale nie umarłem. Uratowano mnie. Sprowadzono z miejsca potępienia w inne, bezpieczne.

I znów wszystko uległo zamianie.

W dalekim lesie na skrajach Khebbei- im- Akad wysłannik królowej D'Angelinów skłonił głowę i powitał mnie jako Imriela de la Courcel, księcia krwi.

Wszystko, co wiedziałem o sobie, było kłamstwem.

Dowiedziałem się, że moim ojcem był Benedykt de la Courcel, stryjeczny dziadek królowej Ysandry. Przez wiele lat był jej najbliższym żyjącym krewnym z rodu Courcelów. Gdy usłyszałem re wieści, od dawna już nie żył. Zdradził tron i gdyby doczekał dnia sądu, zostałby skazany. Nie doczekał.

Moja matka to zupełnie inna historia.

Kiedy miałem osiem lat - wtedy jeszcze nie wiedziałem, kim ona jest - brat Selbert zabrał mnie do La Serenissimy na spotkanie. Powiedział mi, że moi rodzice, przedstawiciele d'angelinskiej szlachty, zarażeni febrą podczas podróży morskiej, ostatecznie siłą przekazali mnie pod opiekę sanktuarium. Powiedział też, że kobieta, przyjaciółka moich rodziców, będzie moją protektorką, gdy osiągnę pełnoletność. Dowiedziałem się

też, że ma niebezpiecznych wrogów i że nie wolno mi nikomu o niej mówić, gdyż w ten sposób narażę ją na wielkie niebezpieczeństwo.

Przynajmniej to ostatnie okazało się prawdą. Uwierzyłem mu. Dlaczego miałbym nie wierzyć? Ufałem mu przez całe życie. Ale wszystko inne było kłamstwem. I nie powiedział mi, że uczciwie zasłużyła na każdego swojego wroga. Zdrada mojego ojca błędnie w porównaniu z jej postępkami. Terre d'Ange w całych swoich dziejach nie знаła bardziej morderczego zdrajcy niż Melisanda Szachrizaj de la Courcel.

Moja matka, którą nauczyłem się gardzić.

Z perspektywy czasu wydaje się dziwne, że wtedy jej nie rozpoznałem. A jednak skąd miałbym wiedzieć? W sanktuarium Elui nie było luster. Dzieci, wcześniej uczyły się wychylać z koziego mostku i patrzeć na swe odbicia falujące na powierzchni strumienia, ale na tym koniec. Byłem równie nieświadom rysów mojej twarzy jak mojego pochodzenia.

Oczywiście, gdy uprowadzili mnie handlarze niewolników, miałem mnóstwo okazji, żeby posłuchać o swoim wyglądzie. W kraju zwanym Drudżanem szukali nieskazitelnie pięknych ludzi na idealne ofiary. Sprzedano mnie jednemu z kapłanów kości, który służył mahrkagirowi, władcy całego Drudżanu. Mahrkagir był okrutny, bezlitosny i kompletnie szalony. Trafiłem do jego koszmarnego haremu, do zenany w pałacu Daršanga. Uroda przynosi niewielką pociechę, gdy się zstępuje do piekła.

Jestem podobny do matki.

Teraz to wiem. Widzę siebie w lustrach - w domu mojej przybranej matki, Fedry, nie brakuje luster - i nienawidzę ich. Mam jej twarz. Moje oczy są jej oczyma, barwy ciemnego błękitu o zmierzchu. Moja skóra jest jej skórą, koloru starej kości słoniowej, cieniściego alabastru. Widzę odzwierciedlenie jej wyrazistych ust w zarysie moich warg. Moje włosy, jak jej, spływają na ramiona w lśniących granatowoczarnych fałdach.

Podobieństwo jest niezaprzeczalne.

Są tacy - nawet teraz, po wszystkim, co zrobiła - których zdumiewa to, że nie jestem z tego zadowolony. Choć zawsze była największym zdrajcą naszego narodu, Melisanda Szachrizaj należała również do największych piękności. Zabójczo piękna, promienna jak słońce, ostra jak brzytwa. W pewnych kręgach nadal ją za to podziwiają. Jeśli na ziemi istnieje kraj, w którym jest więcej próżności niż w Terre d'Ange, to jeszcze go nie znalazłem. A w ciągu dwunastu lat życia miałem okazję zobaczyć więcej świata, niż większość D'Angelinów ujrzy kiedykolwiek.

Widziałem piękno, i nie na twarzy mojej matki.

Kiedy patrzę w lustro i widzę odbicie jej rysów, przepełnia mnie niepewność. Co to znaczy być dobrym? Kiedy patrzę w głąb siebie, widzę tylko ciemność i zamęt. Nie

wiem, dlaczego spotkało mnie to, co spotkało. Nie wiem, czym sobie na to zasłużyłem albo czy płacę za grzechy matki. Boję się łączącego nas podobieństwa. Boję się, że pewnego dnia okażę się taki jak ona. Kiedy jednak patrzę wokół siebie, łatwo jest wskazać dobro. Wykradziono mnie z rajy i zesłano w otchłań zepsucia, nie do pojęcia dla przyzwoitych ludzi, zostałem jednak uratowany. Ci, którzy mnie ocalili... Kiedy się zastanawiam, co to znaczy być dobrym, myślę o nich.

Fedra. Joscelin.

Fedra.

Nie wiem - nigdy nie będę wiedział - skąd zaczerpnęli odwagę, by dokonać tego, czego było trzeba dla mojego ocalenia. Fedra mówi, że chociaż moja matka zleciła jej to zadanie, to wola samego Błogosławionego Elui pchnęła ją za ten straszny próg. Nie potrafię oszacować ceny. Wiem, co jej zrobił mahrkagir. Wszyscy, którzy byliśmy niewolnikami w jego zenanie, wiedzieliśmy co robi swoim faworytom. Nie mam pojęcia, jak ona to zniosła. I nie wiem, jak Joscelin, towarzysz życia i obrońca Fedry, zniósł bez popadania w szaleństwo świadomość tego, co spotkało ją z rąk mahrkagira.

Kocham ich tak bardzo, że to aż boli.

Teraz należę do nich, jestem ich przybranym synem. Królowa Ysandra wyraziła na to zgodę, choć nie przypadło jej do gustu takie rozwiązanie. Moja matka przystała na nie z chęcią; prawdę mówiąc, poszła na ustępstwo, bylebym tylko trafił pod opiekę Fedry. O ile wiem, to jedno jedyne ustępstwo w jej całym życiu. Choć były przeciwniczkami w obmyślonych przez nią intrygach, ją i Fedrę łączy długotrwała więź. Nie rozumiem tego i nie chcę zrozumieć; przeczuwam, że gorzko pożałuję dnia, w którym to pojmem. Moja matka nadal przebywa w azylu świątyni Aszery z Morza w La Serenissimie. W przeciwieństwie do ojca, została osądzona i skazana za zdradę stanu na długo przed moimi narodzinami. Straci życie w chwili, gdy postawi stopę za murami świątyni.

Pisze do mnie listy, których nie czytam. Chciałem spalić pierwszy który mi przysłała, ale Fedra zdążyła wyrwać go z płomieni. Później zaczęła składać je dla mnie. Mówi, że pewnego dnia zechcę je mieć, i może ma rację. W moim krótkim życiu widziałem wiele rzeczy, którym nikt nie dałby wiary. Ale nie wyobrażałem sobie, bym kiedykolwiek zechciał przeczytać słowa mojej matki.

Nieczęsto się to zdarza, lecz czasami Fedra się myli.

Dziś dziwna wydaje się myśl, jak bardzo z początku nią pogardzałem. W zenanie Daršangi Fedra nó Delaunay, hrabina de Montrève, nie wyglądała na heroinę zdecydowaną mnie ocalić. Wyglądała jak d'angelinska kurtyzana, delikatna i piękna, pragnąca nurzać się w najbardziej odrażającej, wynaturzonej rozpuście, jaka się legła w chorej głowie mahrkagira. I to też prawda. Za to ją nienawidziłem. Nienawidziłem tak bardzo, że ledwo mogłem na nią patrzeć. I na Joscelina... na Joscelina także. Sądziłem, że

zdradził wszystko co szlachetne i dobre w Terre d'Ange, upadając tak nisko, jak tylko może upaść wojownik.

Myliłem się.

Byli kimś więcej, znacznie więcej. Okazali się moim zbawieniem, i zbawieniem dla wielu innych. Niestety, nie dla wszystkich, ale dla wielu. Śmiercionośne zło zostało starte z powierzchni ziemi tej nocy, kiedy my - wszyscy razem w zenanie - pokonaliśmy siły mahrkagira. Fedra mówi, że taka była wola Błogosławionego Elui. Może to też jest prawdą. Pragnę w to wierzyć. W biały dzień, gdy spowija mnie ich uczucie, to łatwe. Jesteśmy rodziną. Wyszliśmy ze strasznej warowni Daršanga, my troje, rozbici i okaleczeni na ciele i duchu, ale ozdrowieliśmy, tworząc nową całość.

Modłę się, żeby nie powtórzyło się to, co nas spotkało, przynajmniej nie za mojego żywota.

Cokolwiek mnie czeka, będę żyć w cieniu wielkości i nigdy nikomu nie będę jej zazdrościć. Nie przypuszczam, żeby kryły się we mnie zadatki na wielkiego człowieka. Chciałbym, ale ich nie ma. Nie jestem taki jak Fedra ani jak Joscelin, którego rola pod pewnymi względami zawsze był trudniejsza, który zawsze stał u jej boku, którego bliżny są świadectwem jego odwagi i męstwa. Chcę tylko wejść w dorosłe życie w sposób, jak nie przyniesie wstydu tym, których kocham.

Modłę się, żebym nie prosił o zbyt wiele.

W świetle dnia potrafię być szczęśliwy i pełen nadziei. Czasami emocje - miłość, radość - wzbierają we mnie tak silnie, że mam wrażenie że moja skóra jest za ciasna, jakby serce miało wybuchnąć mi w piersi. I jestem szczęśliwy. I cieszę się, że żyję.

Ale noce są inne. Nocami rozpamiętuję. Przypominam sobie mahrkagira i jego przepaściste czarne oczy i to, co mi zrobił, i to, do czego mnie zmuszał. Przypominam sobie jego głos, radośnie szepczący obietnice przyszłych katuszy. Przypominam sobie innych, jego watazków, którzy zrobili sobie ze mnie zabawkę. Przypominam sobie bicz na skórze, skwierczenie rozgrzanego żelaza i swąd własnej przypiekanej skóry. Czasami śnię i budzę się z krzykiem.

Wtedy trudno mi wierzyć w dobro.

Mimo wszystko próbuję. Staram się nie myśleć zbyt głęboko o splątanych niciach przeznaczenia, które w dzieciństwie doprowadziły mnie do piekła i wyprowadziły stamtąd jako kogoś, kto zarazem coś stracił i zyskał. W Daršandze pożegnałem się z dzieciństwem, ale tu i ówdzie odzyskałem jego fragmenty. Głównie w Montrève, w posiadłości Fedry. Odziedziczyła ją po panu Anafielu Delaunayu de Montrève, który kupił jej markę, gdy była jeszcze dzieckiem. Adoptował ją, jak ona adoptowała mnie. Ale to długa historia i nie mnie ją opowiadać.

Montrève leży u podnóża gór w dangelińskiej prowincji Siovale. Przypomina mi o dzieciństwie spędzonym w Sanktuarium Elui. Tam jest mój prawdziwy dom. Jestem Imrielem nó Montrève, nie Imrieiem de la Courcel. Mam tam góry, sokolarnię i psiarnię, a nawet przyjaciół - seneszale posiadłości dochowali się gromadki dzieci. Z radością zostałbym tam na zawsze. Sądzę, że Joscelin podziela moje odczucia, bo nie cierpi dworu i sieci tamtejszych intryg. Jednakże królowa żąda tego, co się jej należy, i niebawem będziemy musieli powrócić do Miasta Elui. Joscelin jest uznanym Rycerzem Królowej, a Fedra jedną z jej najbardziej zaufanych powierniczek.

Ja natomiast jestem księciem krwi, trzecim w kolejności do tronu.

W moich żyłach płynie krew Błogosławionego Elui, przynajmniej ze strony ojca. Nigdy się tym nie chwale. Elua i jego Towarzysze szeroko rozsiali swe nasienie, w Terre d'Ange każdy może powiedzieć, że jest potomkiem któregoś z nich. Tylko wielkie rody dbają o czystość swoich linii, przynajmniej tak twierdzą. Jest to źródłem dumy i próżności, a czasami nieznośnych uprzedzeń.

Kto jak kto, ale ja powinienem o tym wiedzieć. Zostałem poczęty, ponieważ Benedykt de la Courcel pragnął zapewnić Terre d'Ange d'angelńskiego dziedzica czystej krwi. Uznał, że cel jest wart zdrady.

Na korzyść królowej Ysandy przemawia fakt, że nie podpisała się pod tą wizją. Sama zawarła małżeństwo z miłości, wychodząc za Drustana mab Necthana, cruarchę Alby. Razem władają dwoma krajami. Bardzo lubię Drustana i chciałbym bardziej lubić królową. To dla mnie trudne. Po wyratowaniu z Daršangi długo podróżowałem z Fedrą i Joscelinem. Ysandra była zła, bardzo zła, że mój powrót do Terre d'Ange zabrał tyle czasu. Nie rozumiała, że pragnąłem być z nimi. A ja nie rozumiałem jej gniewu.

Był to zimny gniew. Fedra, która wybaczyła jej to dawno temu, mówi, że królowa miała prawo troszczyć się o bezpieczeństwo swojego krewniaka. Mimo to czuję się nieswojo w jej obecności. To niesprawiedliwe, jak sądzą, skoro Ysandra opowiedziała się po mojej stronie, występując przeciwko zjednoczonej nieufności wielmożów królestwa. Są tacy, którzy z przyjemnością zobaczyliby mnie martwym, gniewa ich bowiem świadomość, że syna Melisandy Szachrizaj dzielą od tronu trzy uderzenia serca.

Taki jest wątpliwy dar dziedzictwa po mojej matce. Nieufność szlachty jest usprawiedliwiona. Gdyby moja matka zatriumfowała, gdyby jej intrygi przyniosły owoce, mógłbym obecnie zasiadać na tronie Terre d'Ange, chłopiec- król ze zdrażliwą regentką.

Wcale tego nie pragnę. Byłbym rad, gdyby zostawiono mnie w spokoju, chcę być Imrielem nó Montrève, chcę, żeby świat na to pozwolił. Chciałbym spędzać dni na polowaniu z sokołami i psami, na łowieniu ryb, na uczeniu się od Joscelina sztuk walki kapłanów- wojowników Bractwa Kasjelitów, na słuchaniu nauczycieli, których Fedra

zwabia do posiadłości, na sprzeczkach i dorastaniu wśród dzieci seneszali. Wiem, że nie jest mi to pisane, a jednak będę jak najdłużej czepiać się tej nadziei.

Dopóki będę mógł.

Obawiam się, że utrudni to spuścizna po mojej matce. Tylko od strony ojca jestem potomkiem Błogosławionego Elui. Pochodzenie mojej matki jest inne. Szachrizaj należą do wielkich rodów Terre d'Ange, nie są jednakże potomkami Błogosławionego Elui, tylko pochodzą od jednego z jego Towarzyszy. Ich krew jest bardzo stara i bardzo czysta, i ten rodowód mnie przeraża. Są potomkami Kusziela.

Imię Kusziel oznacza „karząca ręka Boga”, i to on niegdyś był odpowiedzialny za wymierzanie kary potępionym, ale zrzekł się tej funkcji żeby towarzyszyć Błogosławionemu Elui w jego wędrówkach. Podobno miał zbyt wiele współczucia dla swoich podopiecznych. Podobno oni w zamian pokochali go tak mocno, że płakali z wdzięczności pod razami jego bicia. Trudno mi w to uwierzyć. A jednak w Terre d'Ange nadal stoją jego świątynie.

Czasami Fedra odwiedza świątynię Kusziela. Nie potrafię zrozumieć, jakie rozgrzeszenie znajduje pod tamtejszymi biczami. Wiem, że kiedy wraca, jest spokojna i pogodzona ze światem. Joscelin mówi, że to tajemnica w najprawdziwszym znaczeniu tego słowa. Choć nigdy nie będzie mu z tym łatwo, rozumie rzeczy, które dla mnie pozostają niepojęte.

Nie umiem ich zgłębić. Wiem, że jest *anguisette*, Wybranką Kusziela. Została naznaczona i cały świat może to zobaczyć: strzała Kusziela, plamka szkarłatu w oku. Rozumiem, że jest skazana na znajdowanie przyjemności w bólu, i że w jakiś sposób to naprawia brak równowagi w świecie. Znam też źródło tego braku równowagi: moja matka, największa potomkini Kusziela, urodziła się bez dobrodziejstwa sumienia.

Szeptuje się, że pochodzenie od Kusziela niesie własny mroczny dar, zdolność dostrzegania skaz i wad w duszy innego śmiertelnika, rozpoznawania tych postaci okrucieństwa, które same w sobie są dobrodziejstwem, zdolność okazywania wyzbytego z troski miłosierdzia. I, jak wszystkie dary, ten też może być wykorzystywany w niegodnych celach.

Mam nadzieję, że to nieprawda.

Ale w nocy wyczuwam obecność tego daru jak cień na mojej duszy, czekający. Leżę w łóżku, czepiając się kurczowo znanej mi jasności, walcząc z naporem mroku, wspomnień krwi, przypiekania i koszmaru, i spuścizny płynącego w moich żyłach okrucieństwa. Leżę bezsennie, kształtując moją własną tajemną przysięgę i potrząsając nią niczym żagwią przeciwko ciemności, powtarzając ją szeptem, bez końca. Postaram się być dobry.

# JEDEN

---

Chodziliśmy po wiejskim jarmarku, gdy przybył posłaniec.

Przez pewien czas - przez długi czas po naszym ostatecznym powrocie do Terre d'Ange - życie upływało w błogim spokoju, nie przynosząc żadnych niespodzianek. Przeżywszy tyle przygód, że wystarczy mi ich do końca życia, cieszyłem się z tego stanu rzeczy. Ilekroć przebywałem w Mieście albo w Montrève, ztracałem się w nauce i w sprawach życia codziennego, i chętnie pozwalałem, by sprawy świata przepływały obok mnie. Fedra i Joscelin dokładali wszelkich starań, żeby nic nie zakłóciło tego czasu wytchnienia, wyczuwając, że działa na mnie uzdrawiająco.

Tak było. Gdy miesiące powoli przechodziły w lata, czułem, jak rozluźnia się ciasny węzeł w mojej duszy. Coraz rzadziej nękały mnie koszmary, chwile szczęścia się wydłużały.

A jednak nawet Fedra i Joscelin nie mogli chronić mnie bez końca.

Było to moje trzecie lato w Montrève. Wiosną skończyłem czternaście lat, choć wyglądałem młodziej, rosnąc powoli. Medyczka królowej oznajmiła, że jest to następstwem szoku, jaki spowodowała niewola i wstrząsające przeżycia w Daršandze, i może miała rację. Wiem tylko, że zżymałem się na to. Oboje moi rodzice byli wysocy, przynajmniej tak słyszałem - nigdy nie poznałem ojca. Jeśli to prawda, to jedyny ich dar, jakiego kiedykolwiek pragnąłem.

Jarmark odbywał się na polu przy wiosce nad rzeką. Był niewielki, gdyż Montrève nie zalicza się do dużych majątków, a wioska - również zwana Montrève - jest równie skromna pod względem wielkości. Ale to był jarmark, a ja byłem dość młody, by cieszyć się na samą myśl o rozrywce.

Stanowiliśmy wesoły orszak, gdy wyruszyliśmy z posiadłości: Fedra, Joscelin i ja w towarzystwie jej kawalera Ti- Filipa, jego kompana Hugue sa i kilku innych zbrojnych, wszystkich w barwach leśnej zieleni rodu Montrève. Klan Friote'ów już był na miejscu, zajmując się handlem wełną; większą część naszej wełny wysyłano gdzie indziej, ale zawsze znaleźli; się drobni właściciele ziemscy na miejscu, chętni kupić to, co zostawało.

Na jarmarku nie brakowało innych towarów na sprzedaż lub wymianę: tkaniny i przedza, zwierzęta gospodarskie, produkty rolne, przyprawy i tym podobne mało ciekawe rzeczy. Mnie bardziej interesowały kramy rzemieślników z fascynującym wachlarzem wyrobów ze skóry, broni i zbroi, biżuterii, luster, fiolek z tajemniczymi mazi-

dłami, instrumentów muzycznych, misternie wykonanych zabawek - nie wszystkich przeznaczonych dla dzieci.

Co najlepsze, przyjechali Cyganie z końmi na sprzedaż. Nie było ich dużo - najlepsze sprzedali na wielkich targach końskich na wiosnę - ale sporo. Wypatrzyliśmy z drogi jaskrawo malowane wozy i zobaczyłem że Fedra uśmiechnęła się na ich widok. Dawniej Cyganie byliby niemile widziani na małym wiejskim jarmarku, ale od tamtych czasów wiele się zmieniło. W Montrève zawsze witano ich z zadowoleniem.

Gdy przybyliśmy, rozległy się dobroduszne wiwaty i okrzyki powitalne, na które Fedra odpowiadała żartobliwymi salutami. Zawsze byli uprzejma, i z tego powodu kochana. Przywiązaliśmy nasze wierzchowce do specjalnego sznura i Joscelin dał parę monet wioskowemu wyrostkom, żeby się nimi zajęli.

Ti- Filip i inni zbrojni zostali w siodłach.

- Zabiorę Huguesa i Colina na szybki rekonesans - powiedział Ti- - Filip do Joscelina, który w odpowiedzi skinął głową. - Marcel i pozostali będą mieć oko na sam jarmark.

Nie cierpiałem słuchać takich rzeczy. Rzuciły całun na jasność dnia, gdyż byłem świadom, że to z mojego powodu. Królowa Ysandra oświadczyła, że moje bezpieczeństwo jest sprawą najwyższej wagi, a jarmark ściągnął ludzi obcych w naszej okolicy. Zbrojni po prostu zachowywali ostrożność, lecz mimo wszystko to mi się nie podobało.

Joscelin spojrział na mnie i zauważył moją minę.

- Głowa do góry - rzucił cierpko. - Gdy staniesz się pełnoletni, będziesz miał wolną rękę w podejmowaniu takiego ryzyka, jakie tylko zechcesz.

- Cztery lata! - zaprotestowałem. - Cała wieczność. Skrzywił kącik ust.

- Tak sądzisz? - Lekko zmierzwił mi włosy.

Nie cierpiałem, gdy robił to ktoś inny - nie lubię, gdy ludzie mnie dotykają - ale moje serce zawsze potajemnie skakało z radości, gdy czułem na głowie dłoń Fedry albo Joscelina.

- Znacznie szybciej, możesz mi wierzyć. - Spojrział wtedy na Fedrę i coś przemknęło pomiędzy nimi, jakby obopólne, prywatne zrozumienie.

Są racy, którzy śmieją się z ich związku, choć nie jest ich wielu. Nie teraz, nie po tym, co wszyscy razem przecierpieli. Ale to prawda. Stanowią nieprawdopodobną parę - Wybranka Kusziela i sługa Naamy zakochana w kasjelskim wojowniku- kapłanie.

Fedra była kurtyzaną, ślubowała służyć towarzysze Błogosławionego Elui, Naamie, która oddała się królowi Persji, żeby uwolnić Eluę, i kładła się w karczmach



Bhodystanu z obcymi, żeby miał co jeść. W Terre d'Ange to święte powołanie, choć praktykowane przez niewielu spośród arystokracji królestwa. Fedra jednak została służącą Naamy na długo przed odziedziczeniem tytułu i posiadłości Delaunaya, i choć nie praktykowała od czasu Daršangi, nigdy nie wyrzekła się służby Naamie.

A Joscelin - on był bratem kasjelitą, kiedy się poznali, choć dla niej wystąpił z bractwa. Od ukończenia dziesiątego roku życia szkolił się na wojownika- kapłana, ślubującego życie w celibacie. Sam jeden spośród Towarzyszy, Kasjel nie rościł sobie prawa do ziemi w Terre d'Ange i nie spłodził potomstwa, i pozostał u boku Błogosławionego Elui. To przysięga Bractwa Kasjelitów: Chronić i służyć.

Kasjelici są bardzo dobrzy w tym, co robią, ale Joscelin, jak sądzę, jest lepszy.

- Co wolisz, kochanie? - zapytał Fedrę, szerokim gestem ogarniając jarmark. Stalowe karwasze zalśniły w słońcu. - Przyjemności czy obowiązki? Cyganów czy Friote'ów?

- Hm... - Przekrzywiła głowę. - Z przyjemnością rzucę okiem na stragany bławatników po drodze do jednych czy drugich. Jeśli nie mają nic ciekawego, to nie potrwa długo.

Jęknąłem w duchu. Nie cierpiałem oglądania tkanin.

Choć z moich ust nie popłynął żaden dźwięk, spoczęło na mnie spojrzenie Fedry, mroczne i wytracające z równowagi. Oczy ma piękne, głębokie i lśniące niczym leśne stawy, z cętką szkarłatu pływającą po lewej; tęczówce, żywą jak płatek róży. I umie przejrzeć każdego na wskroś. Są ku temu powody.

- Nó dobrze. - Uśmiechnęła się i skinęła na drugiego zbrojnego. - Gi locie, zechcesz towarzyszyć Imrielowi do... na końskie pole Cyganów?

- Tak, proszę! - Nie mogłem powstrzymać szerokiego uśmiechu. Gilot zgiął się w przesadnym ukłonie.

- Pani, z miłą chęcią!

Był moim ulubionym zbrojnym, po Ti- Filipie i Huguesie, którzy stanowili niemalże rodzinę. Był najmłodszy - miał ledwie osiemnaście lat wiek pełnoletności, której mu zazdrościłem. Doskonale władał mieczem i był bystry, a tych cech Joscelin szukał u najemnych. Lubiłem go, bo traktował mnie jak równego, nie jak podopiecznego.

Razem ruszyliśmy na jarmark, torując sobie drogę ku końskiemu polu.

- Mają jednego z tych nakrapianych koni z Aragonii, widziałeś? - zagadnął mnie Gilot. - Wypatrzyłem z drogi. Chciałbym mieć takiego.

- Mhm.

- Wie, co to bicz, i płynnie stąpa, powiadają. - Wzruszył ramiona mi. - Może w przyszłym roku, jak trochę zaoszczędzę. - Kram rymarz przyciągnął jego oko. - Zaczekaj, Imri, dobrze? Pas do miecza wytarł mi się tak bardzo, że niemal pęka przy sprzączce. Noszę go po bracie. Powi nieniem kupić nowy.

Kręciłem się przy nim, gdy uważnie przeglądał wystawione na sprzedaż wyroby. Kramarz zaczął wydziwiać nad moim własnym pasem. Był to pas mężczyzny, choć podtrzymywał tylko sztylet chłopca.

- Co ty tu masz, mały mężczyzno? - zapytał jowialnym, acz protekcyjnym tonem. - Skóra dzika?

- Nie. - Uśmiechnąłem się zimno. - Nosorożca.

Zamrugał, zbity z tropu. Gilot spojrział na mnie z ukosa, trącił łokciem w żebra. Pas był darem od rasy Lijasu, księcia Dzebe- Barkal. Gilot znał tę historię. Kupiec zamrugał jeszcze parę razy.

- Nosorożca? Chwali ci się, mały mężczyzno!

- Imrielu!

Odwróciłem się, rozpoznając głos. Katherine Friote przy sąsiednim kramie kiwała na mnie władczo, podciągając rękaw sukni.

- Chodź tutaj i powąchaj - poleciła.

Poszedłem posłusznie. Katherine była średnim dzieckiem w klanie Friote'ów, starsza ode mnie o rok i parę miesięcy. W zeszłym roku zaczęła się zmieniać.... w fascynujący sposób. Chuda, szarogęsząca się dziewczyna, którą poznałem dwa lata temu, stała się młodą kobietą, o głowę wyższą ode mnie. Podsunęła nadgarstek pod mój nos.

- Jak myślisz? - zapytała.

Z trudem przełknąłem ślinę. Wtarła w skórę kroplę perfumowanego balsamu, woń była silna i mdła, jak przekwitnięte lilie. Pod nią wyczułem jej zapach, lekki i nieuchwytny, aromat rozgrzanej przez słońce łąki.

- Chyba pachniesz ładniej bez tego - powiedziałem szczerze. Sprzedawca pachnideł parsknął z oburzeniem. Myślałem, że Katherine się na mnie zezłości, ale zrobiła rozbawioną minę. Dygnęła przede mną zartobliwie.

- Dziękuję, książę Imrielu.

- Nie ma za co. - Moje policzki z niewiadomego powodu zrobiły się gorące.

- Książę? - Kramarz odwrócił głowę i splunął na ziemię. Najwyraźniej był obcy w Montrève. - Książę owczego nawozu, załóżę się!

W tej chwili Gilloot pojawił się u mego boku, z nowym pasem, poskrzypującym na jego stroju w barwach Montrève.

- Miło cię widzieć, demoiselle Friote - rzucił radośnie. - Czy zechcesz towarzyszyć nam do obozu Cyganów? Jego Wysokość chce obejrzeć taranta, a hrabina udzieliła nam błogosławieństwa.

Katherine się zarumieniła pod wpływem rycerskich słów Gilota i względów, jakimi ją otaczał. Sprzedawca pachnideł kilka razy otworzył i zamknął usta jak ryba, a potem spojrzał na mnie twardo. Wymamrotałem pod nosem coś o nakrapianych koniach, na co nikt nie zwrócił uwagi.

- Idziemy? - zapytał Gilot Katherine, z uśmiechem podając jej ramię. Miał przystojną twarz i piwne oczy, w których skrzyła się wesołość. A jednak drażniło mnie, że Katherine go lubi.

Kluczyliśmy pomiędzy straganami i przystanęliśmy przy jednym, gdzie Gilot kupił dla Katherine smażone w cukrze fiołki. W tłumie dostrzegłem Fedrę przy kramie bławatnika, oglądającą bele materiałów. Kupiec jej nadszakał, a Joscelin przyglądał się temu z wyrozumiałą miną, stojąc w swobodnej pozie kasjelity, ze skrzyżowanymi rękami i dłońmi lekko wspartymi na rękojeściach bliźniaczych sztyletów.

Rozmyślałem nad przyczyną swojego rozdrażnienia, gdy szliśmy, i kopałem kępki zdeptanej trawy.

- Wolałbym, żebyś nie mówił takich rzeczy - odezwałem się w końcu. - Nie tutaj.

- Jakich rzeczy? - Gilot spojrzał na mnie z konsternacją.

- Księżę. Jego Wysokość.

- Przecież jesteś księciem. - Podrapał się po głowie. - Słuchaj, Imri, wiem... to znaczy, rozumiem... trochę. Ale jesteś, kim jesteś, i to się nie zmieni. Poza tym nie ma powodu pozwalać, żeby obrażał cię jakiś jarmarczny przekupień. Ja nie z tych, co puszczają to mimo ucha.

Wzruszyłem ramionami.

- Słyszałem gorsze rzeczy.

- Nie miałeś nic przeciwko, gdy ja to powiedziałam. - Katherine zerknęła na mnie spod rzęs. Promienie słońca zapalały złote pasemka w jej lśniących brązowych włosach i skrzyły się na drobinach cukru przyklejonych do ust.

Odwrociłem wzrok.

- Zapomnijcie, proszę, że o tym mówiłem.

Nowe uczucia, które wzbudziła Katherine, nie powinny mnie niepokoić. W Terre d'Ange sztuka miłości przychodzi łatwo i za młodu a przynajmniej tak być powinno. Ja jednak różniłem się od innych. To nie znaczy, że byłem głuchy na podszepty pożądania - od kilku miesięcy towarzyszyła mi nieprzyjemna świadomość, że żądza wzbiera w moim ciele. Ale w zenanie Darśangi pożądanie nierozzerwalnie łączyło się ze śmiercią. Nie mogłem myśleć o jednym bez przysłaniającego go cienia drugiego. Zatem, w czasie, gdy chłopcy w moim wieku przeprowadzał niezdarne eksperymenty i błagali dziewczęta o pocałunki, ja zachowywałem rezerwę, pełen strachu i niechęci do nawiązania bliższego kontaktu.

Gilot westchnął.

- Idziemy.

Zapomniałem o swoich żalach w obozie Cyganów. Przybyły dwie kompanie z trzema wozami. Wozy stały w półkolu, a za nimi przywiązane konie. Przed wozami kobiety doglądały ognisk, nad którymi w kociołkach gotowały się gulasz i zupa jarzynowa. Te niezamężne miały rozpuszczone włosy i strzelały oczyma na cygańskich mężczyzn, i wszystkie nosiły biżuterię świadczącą o zamożności, naszyjniki i kolczyki ze złotymi monetami. Kilku mężczyzn targowało się z potencjalnymi kupcami, ale większość próżnowała pośrodku kręgu. To jeden, to drugi zaczynał grać na skrzypcach lub na bębnach; grze towarzyszyło rytmiczne klaskanie i urywki piosenek.

Dobre byłoby życie wśród Podróżnych, jak myślę, przynajmniej dla mężczyzny. Cygańskie kobiety miały gorzej, musiały bowiem przestrzegać surowego kodeksu zachowania, żeby nie stracić cnoty, swojej *laxta*, jak mówią. Gdy do tego doszło, stawały się wyklęte.

Teraz jest lepiej niż kiedyś. Głównie dzięki Hiacyntowi, który jest Panem Cieśniny i posiada władze przekraczającą ludzką zdolność pojmowania. Wiem, bo sam widziałem, widziałem wiatr i fale posłuszne jego rozkazom. Niegdyś był jednym z nich, półkrwi Cyganem, urodzonym z kobiety, która straciła cnotę, choć nie z własnej winy. W końcu obwołaliby go swoim królem, ale odmówił godności. Wymusił jednak pewne zmiany i wielu Cyganów złagodziło zakazy nałożone na swoje kobiety. Hiacynt ma powody, żeby przejmować się losem kobiet, skoro to Pedrze zawdzięcza wolność.

Zadrzałem w ciepłym słońcu, przypominając sobie dzień, w którym wyrzekła Imię Boga i złamała klątwę skazującą go na nieśmiertelną starość na tej samotnej wyspie. Pewne wspomnienia są zbyt głębokie, żeby je ująć w słowa.

Niektóre z nich, na szczęście, są dobre.

Gilot zagwizdał przeciągle, przerywając moje zamyślenie.

- Spójrz tylko! Co za piękność!

Zachwycony tłum otaczał taranta przywiązanego do słupka na zewnątrz półkola. Musiałem mu to oddać, koń był piękny - wygięta w łuk potężna szyja, silne proste nogi, gładki grzbiet. Maść miał ciemnogniadą, nakrapianą bielą jak gdyby w środku lata trafił w środek burzy śnieżnej. Pławił się w podziwie tłumu, podrzucając głową i przestępując z nogi na nogę, niemal jakby nadawał rytm pobliskim bębnom.

- Imrielu, Katherine! - Charles Frióte oderwał się od tłumu wielbicieli i pomachał do nas ręką. Był w moim wieku, choć ku mojemu wielkiemu niezadowoleniu przerósł mnie w zeszłym roku i teraz górował nade mną wyższy o głowę. - Witaj, Gilocie - dodał poniewczasie, potem ściszył głos do szeptu: - Nie jest na sprzedaż, mówią Cyganie. Ale może dla pani Fedry...?

Już otwierałem usra, żeby odpowiedzieć, kiedy skinął na mnie Cygan trzymający uzdę taranta.

- Hej, *rinkeni chavo*! Chodź, poznaj Łososia!

Domyśliłem się, że to imię taranta. Podczas gdy Charles skręcał się z zazdrości, podszedłem. Cygan uśmiechnął się szeroko, jego zęby wydaj wały się bardzo białe w kontraście z brązową skórą.

- Trzymaj, *chavo* - powiedział, wciskając coś w moją dłoń. - Daj mu smakołyk.

Był to kawałek suszonego jabłka, resztką z jesiennych zapasów. Podniosłem jabłko na otwartej dłoni. Łosoś zmierzył mnie wzrokiem, wyniośle i z namysłem, potem pochylił głowę, żeby przyjąć poczęstunek, jego aksamitne chrapy musnęły moją dłoń. Zacząłem rozmyślać, jak cudowi nie byłoby na nim jeździć - mieć go na własność - zastanawiałem się, czy może jednak Cyganie nie sprzedadzą go Fedrze. Mógłbym jej za niego zapłacić. Miałem pieniądze w powiernictwie, zyski z majątności, których nigdy nie widziałem i na których mi nie zależało.

- Perła *gadjo*, z czarnymi włosami i oczami głębokimi jak morze - mruknął cygański koniarz.

Podskoczyłem, płosząc taranta.

- Spokojnie, *chavo*. - Cygan podniósł dłoń. Ciemne oczy miał spokojne i rozbawione. - Pamiętamy, to wszystko. Czy to cię trapi?

Było to tego dnia drugie pytanie, na które nie miałem okazji odpowiedzieć. Po drugiej stronie pola rozległy się znajome okrzyki - bojowe zawołanie rodu Montrève, podnoszące alarm. Odwróciwszy się, zobaczyłem jeźdźca, który odbił od traktu i pędził co koń wyskoczy ku jarmarkowi. Niezależnie od zamiarów, widok nie wróżył dobrze. Nagle zdałem sobie sprawę, że mam tylko Gilota do ochrony.

Ti- Filip i jego ludzie pędzili w stronę jeźdźca, chcąc przeciąć mu drogę, lecz byli za daleko. Było jasne, że jeździec dotrze do nas pierwszy Gilot zaklął i wyciągnął miecz.

Przyskoczył do mnie w trzech szybkich krokach, chwycił mnie za ramię i szarpnął, stawiając za swoimi plecami. Katherine i Charles wytrzeszczali oczy z przejęcia i podziwu. Nakrapiany ogier stanął dęba, z rzeniem prężąc postronek, podczas gdy cygański właściciel próbował go uspokoić.

Na jarmarku rozpętało się piekło. Garstka wieśniaków zbierała się, by pośpieszyć nam z pomocą, chwytając broń ze straganów. Kramarze podnosili sprzeciw i próbowali bronić swoich rozgrabianych dóbr. Tu i ówdzie dochodziło do szamotaniny, gdy któryś z najemnych Montrève próbował utorować sobie drogę przez tłum.

Patrząc na zbliżającego się jeźdźca, wyciągnąłem sztylet. Podrzuciłem go w powietrze i złapałem za szpic. Na piętnaście kroków rzucałem całkiem celnie. Przede mną Gilot przyjął postawę obronną, stając w lekkim rozkroku, z mieczem w garści. Drżał mu mięsień szczęki. Katherine wbiła palce w moje lewe ramię. Podważyłem jej dłoń i pchnąłem dziewczynę w stronę Charlesa.

- Zaopiekuj się nią - poleciłem ostro.

Skinął głową, blady, a kasztanowe włosy spadły mu na czoło. Ktoś wykrzyknął moje imię:

- Imriel!

- Joscelinie, tutaj! - zawołałem w odpowiedzi i mój głos, choć się załamał, popłynął ponad gwarem.

Joscelin wypadł z tłumy. Biegł na złamanie karku do obozu Cyganów, mijając Gilota. Jeździec pędził ku nam, Ti- Filip i pozostali deptali mu po piętach, spóźnieni o parę sekund.

Joscelin zdążył.

Jego miecz zaśpiewał, gdy wyciągnął go znad ramienia: wysoka, przenikliwa nuta. Zgodnie z tradycją, bracia kasjelici dobywają mieczy tylko po to, by zabić. Kiedy szło o obronę mojej osoby, Joscelin nie przestrzegał takich niuansów.

- Stój albo zginiesz! - krzyknął do jeźdźca, trzymając miecz oburącz, gotów do zadania ciosu.

Jeździec mocno ściągnął wodze, zatrzymując spienionego, zmęczonego wierzchowca z płatami piany kapiącymi z pyska. Na łęku siodła trzepotał proporzec - kwadrat głębokiego błękitu przecięty skośnym pasem srebra.

- Kurier królowej! - krzyknął. - W imię królowej Ysandry, wstrzymaj miecz!

Joscelin nawet nie drgnął, jego głos pozostał napięty.

- Z konia, człowieku!

W tej chwili zbiegli się wszyscy pozostali. Ti- Filip, Hugues i Colin przybyli z grzmiącym tętentem kopyt, blokując jeźdźcowi drogę ucieczkę.

Cyganie uzbrojeni w lekkie łuki myśliwskie wyszli z kręgu wozów. Wieśniacy z kijami, pałkami i przywłaszczonymi mieczami wbiegli na pole. I Fedra.

Minęła mnie lekkim krokiem, przelotnie dotykając mojego ramienia. Gdy się pojawiła, wszyscy ucichli. Była ubrana w suknię koloru letniego nieba, koloru oczu Joscelina, lamowaną szerokim na dłoń złotym haftem. Na jej ciemnych, lśniących włosach połyskiwała złota siateczka.

- Kurier królowej? - zapytała, lekko ściągając brwi. Joscelin zmienił pozycję, teraz ją chroniąc swoim mieczem. - Jakie wieści są takie pilne?

Jeździec rzucił wodze. Wierzchowiec spuścił głowę, dysząc ciężko, rozdymając chrapy.

- Pani Fedra nó Delaunay de Montrève? - Tak. - Spojrzała na niego spokojnie. Uniósł ręce, pokazując, że są puste.

- Przynoszę pilną wiadomość od królowej - oznajmił. Sięgnął powoli do sakwy przytroczonej za siodłem i wyjął zapieczętowane pismo. Proszę.

Joscelin wyjął list z jego ręki, obejrzał i podał Fedrze. Była to smukła koperta, zapieczętowana łabędziem rodu Courcel. Fedra złamała wo skową pieczęć i przeczytała list skteślony na pergaminie. Patrzyłem, jak pomiędzy jej pełnymi wdzięku brwiami pojawiają się pionowe zmarszczki.

- Królowa żąda naszej obecności w Mieście Elui - powiedziała. - Wy niknął problem.

- Jakiej natury? - zapytał szorstko Joscelin. Fedra podała mu list, ale jej spojrzenie spoczywało na mnie, współczujące i poważne.

- Chodzi o Melisandę - rzekła cicho. - Wygląda na to, że zniknęła.

## DWA

---

Powracaliśmy do majątku w milczącym pośpiechu, wszelkie myśli o jarmarku poszły w zapomnienie. W mojej głowie tłukła się uparcie jedna nowa myśl. Męczyłem się z nią jak pies z twardą kością, aż w końcu dłużej nie mogłem tego znieść. Podjechałem do Fedry.

- Jej listy - zagadnąłem. - Te, które do mnie napisała.

Fedra skinęła głową.

-Sądziysz, że coś może w nich być?

-Nie wiem - odparłem żalonym tonem. - A ty jak uważasz? Milczała przez chwilę, patrząc na drogę przed sobą.

- Nie wiem - rzuciła w końcu. - Chyba nie. Ale z Melisandą nigdy niczego nie można być pewnym. - Odwróciła głowę, żeby na mnie spojrzeć. - Chcesz je przeczytać?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie. - Czekałem z nadzieją, że sama zaproponuje, aż stało się jasne, że tego nie uczyni. - A ty? Proszę.

Przypatrywała mi się uważnie przez długą chwilę.

- Jeśli jesteś pewien, skarbie, że tego chcesz. Odetchnąłem z ulgą.

- Tak. Jestem pewien.

- Zatem niech tak będzie. - Poruszyła się w siodle, wyprostowała ramiona. - Przeczytam.

Poczułem się wtedy winny. Nie chciałem być brzemieniem dla nikogo, a najmniej ze wszystkich dla Fedry, która już tyle dźwigała. Zapytałem ją z egoizmu, niewiele myśląc, jak bolesne może być dla niej czytanie słów, które skreśliła moja rodzona matka. Nie dało się przecież ukryć tego, że Melisandą mogła rościć sobie prawo - co nie było dane Fedrze - do bycia moją matką, czy mi się to podobało, czy nie. Na tę myśl ścisnęło mnie w dołku.

- Nie musisz - oznajmiłem. - Możemy dać je królowej Ysandrze.

- Nie. - Odpowiedź Fedry padła szybko i brzmiała zdecydowanie. - Nie, dopóki nie będzie to konieczne.

Odwróciłem wzrok.

- Dlaczego zawsze ją chronisz?

- Imrielu. - Zaczekała, aż na nią spojrzę. - Dałam słowo. Dotrzymuję go w jedyny znany mi sposób.

Dla niej to było takie proste. Czasami żalowałem, że dała słowo mojej matce, choć w zamian dostała niewiele. Niestety, nie miała wyboru, to jej moja matka obiecała, że nie podniesie ręki przeciwko królowej Ysandrze i jej córkom. Fedra w zamian przysięgła, że mnie adoptuje, będzie mi przekazywać jej listy i nigdy nie spróbuje zwrócić



mnie przeciwko niej, że pozwoli mi samodzielnie dokonać wyboru. Nie wiem, jak Fedra mogła to znieść. Przez długi czas nie znałem całej prawdy o tym, co zrobiła moja matka- jak ją zdradziła, dwukrotnie. Minęły lata, zanim pojąłem w pełni ogrom jej niesławy.

A jednak obie wzajemnie się rozumiały.

Moja matka była kiedyś jedną z klientek Fedry. Sama marka wytatuowana na plecach Fedry, duży misterny kwiat dzikiej róży, oznaczający, że spłaciła dług jako sługa Naamy, została ukończona dzięki mecenatowi Melisandy.

Nigdy nie chciałem wiedzieć, co się z tym wiązało.

Po powrocie do Montrève Fedra udała się do gabinetu, żeby przeczytać listy mojej matki. We wszystkich innych pomieszczeniach panowała gorączkowa krzątanina, gdy słudzy i najemni szykowali się do niespo dziewanej podróży, pakując kufry i gromadząc prowiant. Krążyłem po dworze w stanie nerwowego niepokoju, aż w końcu zaczęto mnie prze pędzać z każdego pokoju, do którego wszedłem.

Joscelin wziął mnie w karby, gdy naprzykrzałem się w spiżarni, gdzie Katherine pomagała matce.

- Chodź ze mną. - Skinął ręką, w drugiej trzymając dwa drewniane miecze. - Stoczmy pojedynek.

- Teraz? - sprzeciwiłem się. - Nie jestem w odpowiednim nastroju.

- Jesteś nakręcony jak bąk - stwierdził pragmatycznie. - To wyjdzie ci na dobre.

Poszedłem za nim na dziedziniec, za ogródki ziołowe Richeliny. Joscelin codziennie rano przerabiał tam kolejne etapy rygorystycznych ćwiczeń kasjelickich. Choć uczył mnie od ponad dwóch lat, nie znałem ich wszystkich i nigdy nie poznam. Przez dziesięć lat, do dwudziestego rola życia, Joscelin poświęcał uwagę niewielu innym sprawom - i od tamtej pory ćwiczył każdego dnia.

Nie jest równie dobry jak kiedyś. Widziałem go w najlepszym okresie, tej strasznej nocy w Daršandze, kiedy wznosił mur trupów w sali mahrkagira. Stało się to, zanim gwiazda zaranna zgruchotała mu lewą rękę. Nie sądzę, by ktokolwiek kiedykolwiek dorównał jego dokonaniu i modlę się, żeby nikt nigdy nie musiał. A jednak to nie Joscelin zadał cios, który miał największe znaczenie tej nocy.

To Fedra zabiła mahrkagira szpilką do włosów.

- Chodź. - Joscelin rzucił mi jeden z mieczy ćwiczebnych i przyjął postawę. - Zaczynaj.

Zaatakowałem bez entuzjazmu, a on sparował z łatwością, wytrącając mnie z równowagi.

- Uważaj na nogi. - Wskazał moje stopy czubkiem drewnianej głowni. - Wspierałeś ciężar ciała na tej z tyłu.

Patrząc wilkiem, przeniosłem ciężar ciała na drugą stopę, uniosłem miecz i pchnąłem sztychem w jego odsłoniętą twarz, rzecz jasna tak blisko, jak mogłem, biorąc pod uwagę różnicę naszego wzrostu. Miecze zagrzechotały, gdy sparował niezdarnie, zaskoczony.

- Mówiłem ci, że nie jestem w nastroju! - krzyknąłem. Joscelin uśmiechnął się szeroko.

- Już lepiej - powiedział. - Jeszcze raz.

Wtedy zaczęliśmy ćwiczyć na poważnie. Kasjeliński styl walki ma charakter kolisty: kręgi w kręgach. Jest wewnętrzny krąg własnej przestrzeni i sfera zewnętrzna, która obejmuje sferę przeciwnika. Gdy jest ich wielu, istnieje wiele sfer. Każda ma własne kwadranty, oznaczone i mierzone niczym godziny na zegarze słonecznym. Ogarnięcie tego umysłem jest trudne, możliwe tylko po latach praktyki.

Jest tam również sfera podopiecznego, integralny element filozofii Bractwa Kasjelińców i pod wieloma względami najważniejszy ze wszystkich. Stanowi kwintesencję ich szkolenia - chronić i służyć. Najbardziej wyrafinowane uderzenie, jakiego uczą się bracia kasjelici - cios ostateczny- zwany jest terminusem. To jeden z tych wykonywanych bliźniaczymi sztyletami, nie mieczem. Kasjelita rzuca jeden sztylet prawą ręką, żeby zabić swego podopiecznego, a drugim podcina sobie gardło.

Joscelin był kiedyś o włos od wykonania terminusa na Fedrze. Powiedział mi to Gilot, nie zdając sobie sprawy, że nie słyszałem opowieści o tym, co się stało na polu bitwy pod Troyel- le- Mont, gdzie skaldyjski wódz Waldemar Selig chciał żywcem odebrać ją ze skóry.

Nie powiedziałem im, że wiem.

Moja matka była sojuszniczką Seliga.

Joscelin nie próbował nauczyć mnie sfery podopiecznego, wychodząc z założenia, że będzie najlepiej, gdy nauczę się chronić siebie, i słusznie. Ale nauczył mnie innych ciosów. Krążyliśmy więc po dziedzińcu, badając swoje sfery, sondując kwadranty pod każdym kątem szybkimi dwuręcznymi ciosami.

Obserwowałem jego twarz i ciało.

Tego nauczyła mnie Fedra. Jej pan, Anafiel Delaunay, wyszkolił ją w sztuce szpiegowania - nauczył ją obserwować i zapamiętywać, nauczył ją słuchać tego, co zostało i co nie zostało powiedziane. Nauczył ją, jak dostrzegać oznaki kłamstwa. Nauczył ją, jak poruszać się bezgłośnie, jak wykorzystywać zmysły przy zamkniętych oczach, jak znajdować głębsze wzory wiążące jedną rzecz z drugą.

Gdy walczyliśmy, widziałem że Joscelin skupia się na obronie, wykorzystując jedynie moje oczywiste błędy, i naciska na tyle mocno, żebym je sobie uświadomił, a zarazem na tyle łagodnie, żeby niechcący mnie nie zranić. Uderzenie mieczem ćwiczebnym, choć były drewniane, piekło i bolało, a w najgorszym wypadku mogło rozbić głowę.

I widziałem też to, z czego Joscelin nie zdawał sobie sprawy. Czekał na mój atak, wolniej parował z lewej strony. Choć złamana ręka zrosła się dawno temu, jego prędkość zmalą.

Pot ściekający z czoła zalewał mi oczy; niecierpliwie potrząsnąłem głową. Zapomniałem o Fedrze, czytającej w gabinecie listy mojej matki. Zapomniałem, że nie chciałem ćwiczyć. Krążyłem, zwracając uwagę na taniec stóp na łupkowych płytach dziedzińca, czekając na okazję.

Kiedy nadeszła, rozmyślnie się odstąpiłem. Joscelin przyskoczył, żeby to wykorzystać. Zrobiłem szybki krok w tył, markowałem atak z lewej i okręciłem się na pięcie. Sparował i chybił, a ja natarłem ostro, zamykając obwód mojej wewnętrznej sfery i spuszczaając skraj drewnianego ostrza na jego lewe ramię. Skrzywił się, ręka mu zdrętwiała i puścił rękę. Trzymany w prawicy miecz przemknął nad moją zasłoną, drewniany sztych spoczął pod moją brodą.

Roześmiałem się, czując ukłucie. Po raz pierwszy przebiłem się przez jego obronę i sprowokowałem go do niezamierzonego ataku.

- Bardzo dobrze. - Joscelin z uśmiechem opuścił miecz. - Odrąbałeś mi rękę.

- A ty moją głowę - odparłem. - Zraniłem cię?

- Dałeś mi siniaka na pamiątkę - powiedział, potrząsając ręką, żeby pozbyć się pięknego bólu. - To mnie nauczy, żebym nie był dla ciebie zbyt miękki.

- Przepraszam.

- Nie ma za co. - Joscelin pokręcił głową. - Uczysz się i jesteś coraz lepszy. Wszystko, co pewnego dnia może ocalić ci życie, jest warte tysiąca siniaków. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Które z pewnością przyniesie mi przyszłość. Dobrze się zapowiadasz. Jesteś szybki i myślisz.

Zarumieniłem się, zadowolony z pochwały.

- Dziękuję.

Joscelin popatrzył na mnie życzliwie.

- Lepiej się czujesz?

Ku własnemu zaskoczeniu zdałem sobie sprawę, że faktycznie czuję się lepiej. Byłem rozgrzany zmęczony i spocony ale węzeł napięcia ciężący mi w brzuchu, odkąd kurier dostarczył pismo, trochę się rozluźnił.

- Tak - przyznałem. - Trochę lepiej.

- To dobrze. - Skinął głową w stronę dworu. - Chodźmy się umyć. W pokoju ściągnąłem koszulę i zanurzyłem głowę w misce zimnej

wody, a potem wyszorowałem się dokładnie. Większość moich ubrań już spakowano na podróż, ale poszperałem w bielizniarce i znalazłem czystą, luźną koszulę z niebielonej bawełny, podniszczoną i połataną. Wkładałem ją, gdy szedłem sprzątać w psiarni z Charlesem. Tego lata jeszcze jej nie nosiłem i teraz stwierdziłem z zadowoleniem, że rękawy zrobiły się mocno za krótkie.

Podniesiony na duchu, czysty i ociekający wodą, poszedłem do Fedry.

Przystanąłem w otwartych drzwiach gabinetu. Fedra siedziała przy biurku, patrząc w przestrzeń, z podbródkiem wspartym na dłoni. Przed nią, obok otwartej kasetki leżały odpieczętowane listy, starannie złożone.

-Fedro? - odezwałem się z wahaniem. Uniosła głowę.

-Wejdz, skarbie.

Wszedłem i przysunąłem krzesło, by usiąść naprzeciwko niej.

- Znalazłaś... coś?

- Nie - odparła łagodnym tonem. - Nic, co mogłoby sugerować, jakie miała plany. Nic, co sugerowałoby, że możesz albo musisz coś wiedzieć.

- To dobrze.

Fedra spojrzała na mnie uważnie.

- Chcesz je?

Skuliłem się pod wpływem jej spojrzenia. Czasami trudno je wytrzymać. Jedną z Hellenek w zenanie nazywała ją *Lypifera*, czyli znosząca ból. Wyglądała na zmęczoną, oczy miała podkrążone i zaczerwienione. Zastanowiłem się, czyj ból znosi dzisiaj, i przypuszczałem, z nieprzyjemną pewnością, że to ból mojej matki.

- Nie - odparłem. - Nie... nie chcę. - Spuściłem głowę, skubiąc nitkę na za krótkim rękawie. - Co pisze?

- Wiele rzeczy. - Do jej tonu zakradła się kpiarska nuta, co skłoniło mnie do niechętnego uśmiechu. - Imri, nie mnie o tym mówić. Kreśliła słowa dla ciebie i jeśli kiedyś zechcesz lepiej zrozumieć swoją matkę, przeczytasz je. - Po chwili milczenia do-

dała: - Jeśli jesteś ciekaw, czy próbuje usprawiedliwić swoje poczynania, to nie, nie próbuje. Pisze tylko, że wieloma sprawami pokierowałaby w inny sposób, gdyby wiedziała, co się z tobą stanie.

Podniosłem głowę i spojrzałem na nią.

- Ale to nie była jej wina.

Tak wyglądała prawda, choć sam byłem zaskoczony własnymi słowami. Tak, moja matka kazała ukryć mnie w Sanktuarium Elui, gdy szukała mnie cała Terre d'Ange. To jej dzieło, i stał za nim głęboko ukryty plan, który miał dojrzewać przez długie lata. A jednak nie ponosiła winy za to, że porwali mnie kartagińscy handlarze niewolników i sprzedali do piekła. Zostałem wybrany przypadkiem. Tego nawet ona nie mogła przewidzieć.

-Nie. - Fedra się uśmiechnęła. - To nie jej wina. - Zwinnym ruchem wygładziła stosik listów i schowała je do kasetki. - Będą tu czekać na ciebie.

-Dziękuję. - Podziękowałem jej za przeczytanie listów. Podziękowałem za wiele innych rzeczy.

-Kiedy tylko zechcesz. - Zamknęła wieczko, przekręciła maleńki kluczyk. Po przepędzeniu widma mojej matki powietrze w gabinecie stało się jakby lżejsze, łatwiej mi było oddychać. Fedra odsunęła krzesło, zakładając zbłąkany loczek za ucho z tym rodzajem roztargnionego wdzięku który jest jej tak nieodłączny, jak Joscelinowi kasjelicie reakcje. - Powiniśmy ruszać - powiedziała. - Richelina wszystko przygotowała, i chciałabym przed zachodem słońca zostawić za sobą parę godzin drogi.

Wstałem posłusznie.

-Jestem gotów.

-To dobrze. - Fedra spojrzała na mnie, potem zrobiła to drugi raz unosząc brwi. - Imrielu nó Montrève, na imię Błogosławionego Elui, ty masz na sobie?

Uśmiechnąłem się do niej szeroko, skubnąłem przód koszuli.

- O to ci chodzi? To tylko na czas podróży.

Fedra pokręciła głową, ale cienie zniknęły spod jej oczu. Ucieszyłem się na ten widok.

-Czasami - mruknęła - wydaje mi się, że Joscelin Verreuil ma na ciebie zły wpływ.

-Zmienię ubranie - obiecałem.

Fedra wyszła zza biurka i obdarzyła mnie jednym z tych swoich nie przewidywalnych uśmiechów, które rodzą się w tajemniczych głębiach duszy, gdzie jej specyficzne poczucie humoru sprawia, że nieznośne staje się do zniesienia.

- Mam nadzieję, że sam nie za bardzo się zmienisz - rzuciła lekkim tonem, całując mnie w policzek. - Wolę cię takiego, jakim jesteś, skarbie.

- Nie - szepnąłem. - Nie za bardzo.

## TRZY

---

Niebawem ruszyliśmy w drogę. Przypuszczam, że niewiele dangelińskich domów szlacheckich mogłoby zmobilizować się równie szybko jak posiadłość Montrève. Mimo upodobania do luksusów, Fedra potrafi zrezygnować z nich w chwili potrzeby.

Co zaś się tyczy nas pozostałych, byliśmy w swoim żywiole.

Nikt nie wstępuje do służby u Fedry nó Delaunay de Montrève z pragnienia bezpieczeństwa i ustabilizowanego stylu życia. Ti- Filip, który przebywał z nią najdłużej, przysiągł jej wierność po bitwie pod Troyes- le- Mont. Było ich wówczas trzech - Chłopcy Fedry, jak się nazwali. Nie poznałem innych, Remiego i Fortuna. Zginęli w La Serenissimie, gdzie się urodziłem, zabici z rozkazu mojego ojca.

Ale znałem innych. Jak Gilot, wszyscy byli dzielnymi ludźmi, którzy zaciągnęli się na służbę u hrabiny de Montrève, ponieważ słyszeli opowieści i poematy. Niektórzy, jak sądzę, mieli nadzieję pławić się w chwale kolejnych przygód. I jeśli czuli się zawiedzeni, że przygody nie nadchodzą, życie w naszym gospodarstwie nigdy nie było nudne.

Podróż byłaby przyjemna, gdyby nie jej cel. Powietrze było gorące i suche, ale przyjemnie owiewało nam twarze, gdyż jechaliśmy dość szybko. Chciałem, żeby ta podróż nigdy się nie skończyła. Miasto Elui jest brzęczącym ulem plotek, a ja nie miałem ochoty na mierzenie się z konsekwencjami ostatniego haniebnego spisku mojej osławionej matki.

- Zawsze możesz uciec i dołączyć do Cyganów - podsunął Gilot, odgadując mój nastrój. - Pomyśl tylko o koniach!

- Nie miałbym nic przeciwko - odparłem, wspominając Łososia. - Chcesz uciec ze mną?

- Czemu nie? Chciałbym zobaczyć kawałek świata. - Zaśmiał się, potem spojrzał na mnie niepewnie. - Mam nadzieję, że żartujesz. Joscelin żywcem obdarłby mnie ze skóry.

- Tak. - Wzruszyłem ramionami. - I bez żartów o obdzieraniu skóry, proszę.

- Nó tak. Racja. - Zamilkł, skarcony.

To nie wina Gilota, który miał tylko cztery lata więcej niż ja. Dla niego była to tylko opowieść; coś, co się wydarzyło, gdy trzymał się matczynej spódnicy. Ja jednak, choć młodszy od niego, widziałem zbyt wiele okropności, żeby nie wzdragać się na myśl o obdzieraniu ze skóry. Z drugiej strony, czasami się cieszyłem, że Gilot się zapomina - że opowiada nam historie, o których inni nie chcą nawet wspomnieć, ze strachu, że nie zdołam ich znieść. Ja jednak zawsze wolałem wiedzieć. Niekiedy czułem się starszy z naszej dwójki.

Pogoda się nie pogorszyła, jechaliśmy więc w niezłym tempie i po kilku dniach podróżą późnym popołudniem ujrzeliśmy mury Miasta Elui. Widziałem, że na przekór okolicznościom Fedrze poprawił się humor. W przeciwieństwie do całej naszej reszty, była mieszkanką miasta, z krwi i kości, i tam się czuła najlepiej.

Oczywiście, Miasto Elui odwzajemniało jej odczucia.

Straż miejska przy Bramie Południowej powitała ją hałaśliwie, rozlegały się okrzyki i gwizdy. Jeden z wartowników ugadał kwiaciarke za murami i gdy przejeżdżaliśmy przez bramę, z wież strażniczych posypały się gałązki lawendy. Pomyślałem, że jeszcze się nie rozeszły wieści o zniknięciu mojej matki, bo w tym wypadku nie witaliby nas tak serdecznie. Widziałem, że Fedrze skrzę się oczy, gdy chwyciła gałązkę lawendy i odrzuciła ją, przesyłając pocałunek; widziałem, jak rzucili się po nią wartownicy; widziałem wyraz anielskiej cierpliwości na twarzy Joscelina. Myślałem o cieniu przesłaniającym te chwile szczęścia i serdecznie go nienawidziłem.

Pojechaliśmy do rezydencji Fedry w Mieście Elui, gdzie oczekiwała nas gospodyni Eugenia. Przywitawszy Fedrę i Joscelina, przelała na mnie obfitość uczuć.

- Słodki chłopcze! - krzyknęła, zamykając mnie w krzepkim uścisku. - Na Eluę, przysięgam, urosłeś o dłoń od czasu wyjazdu! .

Uśmiechnąłem się, ściskając ją z całego serca. Wciąż pamiętałem nasze pierwsze spotkanie. Do dziś dnia jest jedyną znaną mi osobą, która ma odwagę złapać Joscelina za ramiona, żeby nim potrząsnąć. Mnie przez długi czas traktowała delikatnie, aż podrosłem na tyle, by z radością znosić sposób, w jaki okazuje uczucie.

-Minęło tylko parę miesięcy, Eugenio.

-Ano tak. - Poklepała mnie po policzku. - Zawsze za długo.

Choć jechaliśmy co koń wyskoczy, żeby zjawić się w ciągu kilku dni od otrzymania wieści, w rezydencji już czekały na nas wezwania królowej. Fedra pchnęła posłańca

do pałacu z wiadomością o naszym przyjeździe. Zdążyliśmy przebrać się z zakurzonych strojów podróżnych i spożyć lekki posiłek, gdy przybyła odpowiedź. Fedra przeczytała pismo i westchnęła.

- Teraz? - zapytał Joscelin. Skinęła głową.

- Teraz.

Na ten ostatni, najkrótszy etap podróży wzięliśmy powóz z rzeźbionymi, malowanymi herbami Montrève na drzwiczkach. Należało przestrzegać etykiety. Ti- Filip, Hugues, Gilot i inni zbrojni tworzyli eskortę, strzegąc naszego przejazdu.

W pałacu wprowadzono nas bezpośrednio przed oblicze królowej.

Audjencja miała formalny charakter, a tego się nie spodziewałem. Choć nieczęsto potrafię zapomnieć o swoim pochodzeniu, czasami umyka mi z pamięci fakt, że jestem księciem krwi, utytułowanym do należnych względów. Był obecny Drustan, co nie jest regułą. Tylko w letnie miesiące cruarcha Alby przeprowia się przez Cieśninę, żeby zamieszkać z żoną, królową D'Angelinów.

Kiedy przyszła moja kolej, by ich powitać, złożyłem ukłon - dworny ukłon, którego wymaga etykieta, kiedy wita się osoby o pozycji wyższej niż własna, ale należące do tej samej sfery.

- Wasze Królewskie Mości.

- Książę Imrielu. - Królowa skłoniła głowę. - Dziękuję za przybycie.

- Miło cię znów widzieć, książę Imrielu - rzekł z uśmiechem Drustan mab Necthana.

Stanowią nieprawdopodobną parę, równie nieprawdopodobną, jak Fedra i Joscelin - a nawet bardziej, biorąc pod uwagę powierzchowność. Ysandra, kwintesencja d'angelinskiego piękna, wysoka i jasna, ze złotymi włosami i fiołkowymi oczyma, przypominała rodzinę ze strony matki, ród L'Envers.

Drustan należy do Cruithneów, piktyjskiego ludu Alby - ciemnowłosa i ciemnokoki, ze skórą tatuowaną w wiry błękitnym urzetem, nawet na twarzy. Choć wygląda dziwnie i barbarzyńsko dla d'angelinskiego oka, ja uważam tatuaże za osobliwie piękne.

Królewskiej parze towarzyszyły trzy osoby, przy czym widok jednej z nich przyprawił mnie o zgrzytanie zębów. Nie lubiłem diuka Barquielu L'Envers, wuja królowej ze strony matki. Dwukrotnie, o czym wiedziałem, dowiódł swego bohaterstwa. To Barquiel L'Envers zorganizował śmiałą wycieczkę za mury fortecy na pola Troyes-le-Monr, gdzie Waldemar Selig trzymał nóż do skórowania, a Joscelin zaczął terminu I to Barquiel L'Envers jakieś dwa lata później dowodził obroną Miasta Elui przed wojskami Percy'ego de Somerville, kolejnego pionka, którego moja matka nakłoniła do zdrady.



Za te wyczyny diuk Barquiel został mianowany dowódcą wojsk królewskich, ja jednak mimo wszystko go nie lubiłem. Gdy na mnie patrzył, widział zagrożenie dla tronu Ysandry, nic więcej. Poza tym byłem pewien, że to jego córka próbowała mnie zabić w Khebbel- im- Akkad daleko od d'angelinskiej sprawiedliwości.

Nie wiem, czy uczyniła to za jego podszeptem, lecz nie mam wąpli wości, że on z radością ujrzałby mnie martwego. Nie przypuszczam, żeby był na tyle głupi, by podjąć jakąkolwiek próbę zamachu w Terre d'Ange Ysandra jasno dała do zrozumienia, że zbrodnia przeciwko mnie jest zbrodnią przeciwko rodowi Courcel. Wciąż jednak pamiętałem słowa którymi Barquiel L'Envers powitał jej obwieszczenie.

„Więc nie ukatrupisz małego gałgana”.

Pokazałem zęby w uśmiechu, skłaniając głowę.

- Diuku, panie.

Wedle prawa, powinien odpowiedzieć dwornym ukłonem, jakim powitałem królową i cruarchę, lecz on tylko uniósł rękę w leniwym, po wolnym geście.

- Witaj, książę Imrielu.

Jeśli chciał mnie obrazić, jego zamierzenia zostały podkopane przez to, co nastąpiło potem. W audiencji uczestniczyły również córki Drustana i Ysandry, moje młode kuzynki.

- Imriel! - Nie bacząc na etykietę obowiązującą dorosłych, Alais młodsza, rzuciła się do mnie z okrzykiem radości. - Witaj z powrotem. Tęskniłam za tobą!

Pochwyciłem ją, zataczając się lekko pod jej ciężarem, i próbowałem bronić się przed jej pocałunkami. Choć miała tylko dziesięć lat i ważyła niewiele, siła jej entuzjazmu niemal zbiła mnie z nóg.

- Witaj, Alais.

- Przywiozłeś mi szczeniaczka? - zapytała. - Obiecałeś, z wiosennego miotu w Monttève.

- Zapomniałem - wyznałem uczciwie. - Ale też nie spodziewałem się że przybędę do Miasta tak wcześnie.

- Och. - Pociemniały jej oczy, fiołkowe jak oczy królowej. I na nich kończyło się podobieństwo córki do matki. Wyglądała jak dziewczynka z plemienia Cruithne, podobna do ojca. - Oczywiście, przepraszam. To bezmyślne pytanie.

- Nic nie szkodzi - odparłem. - Następnym razem będę pamiętać.

- Miło cię widzieć, kuzynie. - Sydonia, starsza siostra, powitała mnie z wyciągniętą ręką i z chłodem, który przeczył jej dwunastu latom życia.

Ukloniłem się.

- Miło cię widzieć, delfino - rzekłem do niej uprzejmie. Jeśli istniał jakiś inny sposób postępowania z delfiną Sydonią, następczynią królowej, to ja go nie znałem.

- Skończyliśmy, Ysandro? - zapytał znacząco diuk Barquiel. - Możemy odprawić dzieci i przejść do sedna? Chodzi o sprawy stanu.

Królowa obrzuciła go spojrzeniem, które sparaliżowałoby osobę mniej zuchwałą.

- I równie ważne jest, żeby ród Courcel był zjednoczony w tym czasie. Znasz moje odczucia w tej kwestii, wuju.

Skrzywił się.

- Aż za dobrze.

O wiele za nisko oceniałem Ysandrę. Ona też miała do czynienia ze zdradą i krwawą waśnią. Zawsze starała się odciąć od przeszłości i przerwać zapoczątkowany cykl. Dlatego chciała mnie odnaleźć - sprowadzić na łono rodziny Courcel, aby pokazać światu, że niewinnego nie należy prześladować za grzechy rodziców. Powiniennem szanować jej postawę, i szanowałem, a jednak trudno jest żywić wdzięczność za dar, którego się wcale nie chciało.

Ysandra skinęła na damę dworu.

- Proszę zabrać księżniczki i zamknąć drzwi.

- No nie! - Barquiel wskazał na mnie z odrazą. - Chyba nie zamierzasz...

- Barquielu. - Z ust Drustana padło tylko jedno słowo, wyrzeczone z miękkim obcym akcentem, ale miało w sobie siłę autorytetu cruarchy.

Diuk natychmiast umilkł. Dworka wyprowadziła Alais i Sydonię z pokoju, zamykając drzwi. Drustan odetchnął głęboko.

- Siadajcie, przyjaciele, proszę. Usiedliśmy.

Ysandra bez zbędnych wstępów przekazała wieści. Prawdę mówiąc, niewiele miała do powiedzenia. Niespełna tydzień temu otrzymała list od Lorenza Pescara, doży La Serenissimy Doża wysłał jednego z najszybszych kurierów i na tym, jak się zdaje, zakończyła się jego potrzeba pośpiechu. W liście napisał, że z żalem informuje Jej wysokość, iż kapłani Korony powiadomiły go, że Melisanda Szachrizaj de la Courcel już nie przebywa w świątyni Aszery.

Zrobiło mi się niedobrze.

Joscelin zaklął.

- To wszystko?

- Prawie. - Ysandra westchnęła. - Twierdzi, że kazał przepytac kapłanki świątyni. Oznajmiły, że nie mają żadnych informacji dotyczących zniknięcia Melisandy, a jemu wystarczyły takie odpowiedzi.

- Kapłanka może kłamać równie dobrze jak kapłan - zauważyłem pamiętając o bracie Selbercie.

- Wiem. - W głosie Ysandry pobrzmiwała życzliwość. Spuściłem głowę, bo nie mogłem znieść jej spojrzenia. - Ale Lorenzo Pescaro uważa że to sprawa d'angelinska, i przywiązuje do niej niewielką wagę. Z tego powodu nie postawi zarzutów świątyni Aszery.

- Ktoś jej pomógł - powiedziała Fedra. - To jej sposób. Nie uciekła by bez gotowego planu, nie po czternastu latach czekania na właściwy moment. - Popatrzyła na Joscelina. - Pamiętasz ostrzeżenie Allegry Stregazza?

Wymamrotał coś pod nosem.

- Co takiego? - Barquielowi L'Envers załamał się głos.

- Krążyły pogłoski. - Fedra zerknęła na mnie. - Przyoblekła welon Aszery, poprosiła o azyl i spowiła się woalem tajemnicy. Legendarna piękność, pozbawiona dziecka, skazana przez swoją ojczyznę...

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Kult jednostki? Poczulem się jeszcze gorzej.

- Cóż. niewielki - odparła Fedra. - Nie chciała go podsycac, gdyż graniczyłoby to z bluźnierstwem.

- Nie. - Diuk pokręcił głową. - O nie! Nawet Melisanda nie...

- Och, tak. Cel uświęca środki. - Fedra wstała i zaczęła krążyć po pokoju. Miała znajomy wyraz twarzy, ożywiony i roztargniony zarazem. Posłałaś po diuka Faragona, pani?

- Tak. Nadciąga z Kuszetu. Zjawi się za kilka dni. - Ysandra przypatrywała się jej uważnie. - Sądzisz, że rodzina Szachrizaj maczała w tym palce?

- Nie. - Fedra zmarszczyła brwi. - Ogólnie rzecz biorąc, nie. Melisanda nie zaufała w pełni Persji, knując zdradę. Nie powiedziała krewnym, gdzie przebywa Imriel. Wątpię, czy powierzyłaby im ten nowy sekret.

- Możliwe - powiedziała Ysandra. - Chcę, żebyś tu była, gdy będę omawiac z nimi tę sprawę.

- Jak sobie życzysz, pani. - Fedra w zamyśleniu przekrzywiła głowę. - Napiszę dzisiaj do Allegry i Severia. Tym dwojgu ufam pośród wszystkich Stregazza. jeśli ruszymy natychmiast po rozmowie z diukiem Faragonem...

- Nie.

Głos Joscelina uciął jej słowa niczym ostrze, stanowczy i nieubłagany. Z całej naszej czwórki obecnej w pokoju tylko Fedra, pogrążona w myślach, nie drgnęła. Zamrużyła, patrząc na niego nierozumiejącym wzrokiem. Barquiel L'Envers otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, po czym je zamknął, gdy Drustan ostrzegawczo pokręcił głową.

- Nie - powtórzył Joscelin, tym razem ze znużeniem w głosie. - Nie. Nie pojedziemy do La Serenissimy. Nie udamy się na kolejne poszukiwanie Melisandy Szachrizaj. Wykluczone.

- Ale ja mogę ją znaleźć - oświadczyła Fedra zwięźle.

- Nie obchodzi mnie to. - Wytrzymał jej spojrzenie. - Czy nie dlatego wymogłaś na niej obciernięcie? Twierdzisz, że ją rozumiesz. Uznałaś, że to się opłaci. Czy masz tak mało wiary we własne słowa? Czy chcesz po raz kolejny zaryzykować wszystko, co mamy?

Wszyscy milczeli.

Fedra na chwilę przymknęła oczy, po czym spojrzała na mnie. Zaciśnąłem pięści, bojąc się tego, co powie. Nie chciałem, żeby jechała do La Serenissimy. Nie chciałem, żeby ścigała przekłete widmo mojej przekłetej matki. Serce podeszło mi do gardła, odejmując mowę.

- Nie - szepnęła w końcu. - Masz rację. Rozluźniłem ręce i zaczerpnąłem tchu.

- Tak, nie było to moim zamiarem. - Głos Ysandy brzmiał cierpko wskutek napięcia. - Potrzebuję twojej rady i twojego rozumu, Fedro. Tutaj, w Terre d'Ange, w służbie interesom narodu. Rozumiesz?

Skłoniła głowę.

- Wasza Królewska Mość.

- Och, przestań! - rzuciła Ysandra z irytacją. Opanowała się i zwróciła do mnie: - Imrielu, wysłuchaj mnie. Trzymałam wieści w tajemnicy przez kilka dni, lecz dłużej nie mogę ich taić. Należy powiadomić członków parlamentu. Mogą ponownie narodzić podejrzenia.

Barquiel L'Envers uniósł brwi.

- Rozumiem - powiedziałem do królowej, świadomie go ignorując.

- Dobrze. - Ysandra pokiwała głową. - Chcę również, żebyś wiedział że my nie podzielimy tych podejrzeń. Tron Terre d'Ange stoi za tobą prywatnie i publicznie.

Z rozdrażnieniem poczułem, że oczy pieką mnie od łez. Po raz pierwszy zacząłem pojmować, jak to się dzieje, że odwaga i szlachetność Ysandy budzą taką lojalność w sercach tych, których kocham. Ponownie odwróciłem wzrok.

- Dziękuję, pani.

- Nie trzeba dziękować. Ale w zamian czekają cię obowiązki. Jesteś księciem krwi i członkiem rodu Courcel. Są tacy, którym należy o tym przypominać. - Królowa Terre d'Ange wstała, a my bezzwłocznie uczyliśmy to samo. - Niebawem wrócimy do tej rozmowy - powiedziała do mnie, do Fedry i Joscelina. - Pozostaniecie w Mieście Elui?

Joscelin zgiął się w zamaszystym kasjelickim ukłonie, krzyżując ręce.

- Tak, pani - odparła Fedra.

Na tym zakończyła się audiencja. W milczeniu wróciliśmy do miejskiej rezydencji. Nie mam pojęcia, co myślała Fedra. Joscelin siedział w powozie ze stoicką miną. Uścisnąłem jego rękę w milczącym podziękowaniu. Skinął głową i obdarzył mnie leciutkim uśmiechem. Od razu poczułem się lepiej.

Na małym dziedzińcu przed domem zbrojni zeskoczyli z siodła, a stępny Benoit przyszedł wyprząc konie z powozu. Benoit wyrwał się z tego ludzkiego i końskiego tłoku, gdy Fedra szła do drzwi.

- Pani! - zawołał. - Pod twoją nieobecność przybył jakiś człowiek i dał mi to.

Fedra się odwróciła.

- Jaki człowiek?

Benoit wzruszył ramionami.

- Nie chciał się opowiedzieć, więc nie otworzyłem bramy. Podał mi to przez kraty i powiedział, że to dla ciebie. Potem odszedł. - Sięgnął do kieszeni i wyjął paczuszkę owiniętą w ceratę i przewiązaną sznurkiem. Proszę.

- Ach, Błogosławiony Eluo - mruknął Joscelin. - Tylko nie to.

- Nie powinienem tego przyjmować? - zapytał Benoit niespokojnie. Nie wpuściłem go.

- Tak, dobrze postąpiłeś. - Fedra wzięła paczkę i pochwyciła spojrzenie Ti- Filipa, który w odpowiedzi skinął głową, po czym przywołał Gilota i pozostałych zbrojnych. - Benoit, opisz Filipowi tego mężczyznę. Wzrost, wiek, kolor włosów, w co był ubrany... powiedz wszystko, co tylko pamiętasz. Widziałeś, w którą stronę się udał?

- Nie - odparł stajenny żałośnie. - Przykro mi, pani.

- Nic nie szkodzi. Powiedz Filipowi wszystko, co pamiętasz. - Z przekorą spojrzała na Joscelina. - Musimy zbadać trop.

Skrzyżował ręce.

- Powiadom kapitana straży miejskiej - polecił Ti- Filipowi. - Choć nie sądzę, że to nam w czymś pomoże.

- Tak. - Ti- Filip miał lekko rozbawioną minę. - O czym dokładnie mam go powiadomić?

Joscelin spojrział na paczkę w dłoni Fedry z takim wyrazem twarzy, jakby to była żywa żmija.

- Nie mam pojęcia, ale się zaraz dowiemy.

Fedra ostrożnie rozwiązała supełki i rozpakowała paczkę. W ceratowym opakowaniu znajdowała się aksamitna sakiewka. Otworzyła ją i wysypała zawartość na dłoń.

Gilot zagwizdał cicho.

Był to wielki diament na czarnej aksamitce, starej i wytartej, z wystrzępionymi końcami. Fedra patrzyła na niego bez słowa, oczy miała szeroko otwarte i ciemne. Sakiewka zawierała również złożony kawałek pergaminu. Wyjęła go, rozprostowała i przeczytała.

- Jest podpisany? - zapytał Gilot.

- Nie - mruknęła. - Nie musi być.

- Co pisze? Uniosła głowę.

- „Dotrzymuję słowa”.

## CZTERY

---

Znaleźli posłańca tego samego dnia w winiarni, mocno podpitego, i dowiedzieli się, że jakiś nieznajomy zapłacił mu złotego dukata za dostarczenie paczki. Mógł tylko powiedzieć, że mężczyzna nie był D'Angelinem. Choć przeszukali miasto, na tym trop się urwał.

Dowiedziałem się o tym od Gilota, a on od Ti- Filipa. Diament był darem klienta od mojej matki, wręczonym dawno temu. Fedra nosiła go do dnia, gdy złożyła zeznanie, które walnie się przyczyniło do wydania wyroku śmierci na Melisandę Szachrizaj.

- Przed obliczem królowej i całego dworu - relacjonował Gilot z lubością - rzuciła go do stóp twojej matki. „To należy do ciebie, pani” oznajmiła. „Ja nie”. Dasz wiarę, że trzymała go przez tyle czasu?

- Tak - odparłem krótko. - Wierzę.

Z łatwością mogłem w to uwierzyć, bo Fedra też przechowuje różne rzeczy na pamiątkę - na bolesną pamiątkę. Ma nefrytowego pieska, dar mahrkagira. Ja wywoziłem figurynkę z Daršangi, ale to ona ją zachowała razem z kościaną szpilką.

Pamięć jest ważna.

Fedra powiedziała mi te słowa w noc rzezi, przed świtem, przed śmiercią Drucilli, tyberyjskiej lekarki. „Pamiętaj o tym!” - powiedziała. „Pamiętaj o nich wszystkich”.

Rozmyślałem o tym w dniach po dostarczeniu diamentu, zastanawiając się, co pamięta moja matka i czy to ją czegoś nauczyło.

Po cichu rozpuszczono wieści o jej zniknięciu. Nie podniósł się wielki krzyk szoku i potępienia, co mnie ucieszyło. Melisanda od dawna przebywała poza granicami kraju, a pamięć większości ludzi jest krótkotrwała. A jednak, ilekroć wychodziłem do miasta, słyszałem szeptów odnowionych spekulacji.

Czwartego dnia zjawili się członkowie rodu Szachrizaj i wezwano nas do pałacu.

Pierwszy raz ujrzałem krewnych mojej matki.

Spotkanie odbyło się w komnatach królowej. Diuk Faragon przybył z imponującą świtą, w której skład musiało wchodzić co najmniej dwudziestu Szachrizaj. Charakterystyczne cechy rodu matki nie budziły najmniejszych wątpliwości.

Diuk Faragon był sędziwy, jego skóra marszczyła się niczym pergamin włosy przywodziły na myśl falujące srebro, a jednak zachował krzepę i dziarskość, i oczy mu nie przygasły. Stojący za nim krewni byli znacznie młodsi. Pukle kobiet spadały swobodnie na plecy i ramiona, natomiast mężczyźni mieli włosy zaplecione w niezliczone warkoczyki, które oka łały ich twarze niczym czarne łańcuszki. Wszyscy nosili czarne aksamity przybrane złotym brokatem, barwy swojego rodu.

Wyglądali pięknie, dumnie i groźnie.

Jeden z młodszych mężczyzn spojrzał na mnie z uśmiechem, gdy weszliśmy do komnaty. Był to przyjazny uśmiech, i przebiegły. Mrugnął do mnie, jego oczy przywodziły na myśl rozgwieżdżone ciemnobłękitne niebo.

Przysunąłem się do Fedry.

Jeśli poruszył nią widok rodziny Szachrizaj, nie okazała tego po sobie. Powitaliśmy królową i cruarchę, po czym stanęliśmy za ich tronami. Joscelin, rycerz królowej, wprowadzał akcent spokojnego zagrożenia swoimi lśniąco karwaszami, sztyletami u pasa i sterczącą nad ramieniem rękojeścią miecza.

- Diuku. - Królowa skłoniła głowę. - Mam nadzieję, że wiesz, dlaczego cię wezwalam.

- Tak, Wasza Królewska Mość. - Głos diuka Faragona brzmiał melodyjnie i dźwięcznie. Z wdziękiem, który zadawał kłam jego podeszłemu wiekowi, Faragon opadł na kolano i skłonił głowę przed Ysandrą. Wszyscy członkowie rodziny poszli za jego przykładem, mężczyźni klękali, kobiety opadały w niskich dygnięciach. - Na Błogosławionego Eluę i litościwego Kusziela, ród Szachrizaj obwieszcza swoją niezachwianą wierność tronowi.

Rarquiel L'Envers, stojący po drugiej stronie królowej, drgnął. Kilku innych wielmożów zamruczało. Ysandra spojrzała na Drustana, po czym wsparła podbródek na dłoni i przeniosła spojrzenie na diuka Faragona oraz jego świtę.

Nikt z rodziny Szachrizaj się nie poruszył.

- Dobrze - powiedziała w końcu królowa. Diuk się podniósł, pozostali za nim. Bez lęku odpowiedział na spojrzenie Ysandry. - Czy otrzymałeś jakieś wieści od swojej krewnej, Melisandy Szachrizaj de la Courcel?

- Tak - odparł spokojnie. - Kilka razy w ciągu lat. - Skinął ręką, a wówczas z orszaku wystąpiła kobieta z pakieczkiem listów. - To wszystko. Nie ma w nich nawoływania do buntu ani podżegania.

- A inni? - Ysandra uniosła brwi. - Czy jest pośród was ktoś, kto ma jakąś wiedzę o ostatnich poczynaniach waszej krewnej?

Rozległ się szelest, gdy kręcili głowami.

- Jesteśmy do twoich usług, Wasza Królewska Mość - rzekł diuk Faragon. - Stoimy przed tobą, zdani na mądrość twojego osądu. Ysandra westchnęła.

- Co mówi cruarcha? - zapytała Drustana.

- Sprawiedliwość Alby jest bardziej bezpośrednia niż sprawiedliwość Terre d'Ange. - Skrzywił usta w uśmiechu. Nie było nic krzepiącego w tym grymasie. - Gdybym im uwierzył, przyjąłbym ich przysięgę wierności. Gdybym nie uwierzył... - dotknął rękojeści ceremonialnego miecza - nie wyszliby żywi z tej komnaty.

Ktoś głośno wciągnął powietrze. Kilkoro Szachrizaj podniosło głowy z ogniem w oczach. Nie ze strachu, pomyślałem. Ze złością. Przybyli w dobrej wierze. A jednak



straż przyboczna królowej czujnie stała pod ścianami, a ręce Joscelina drgnęły na rękojeściach sztyletów.

- Fedro? - Ysandra spojrzała na nią. - Co powie Wybranka Kusziela o jego potomkach?

Fedra powiodła wzrokiem po twarzach Szachrizaj. Niektórzy z nich młodzi i gniewni, odpowiedzieli na jej spojrzenie z sugestią drwiącego wyzwania. Nie diuk Faragon, który skłonił przed nią głowę, poważnie i z szacunkiem.

Pomyślałem o diamencie leżącym na jej dłoni, o liście. „Dotrzymuję słowa”.

- Przyjęłabym ich przysięgę, pani - rzekła z namysłem Fedra. - Po kolei od każdego.

Członkowie rodu Szachrizaj występowali kolejno i składali przysięgę wierności tronowi. Obserwowałem ich wszystkich, wypatrując oznak kłamstwa, i wiedziałem, że Fedra robi to samo.

Nie dopatrzyłem się żadnych, co mnie ucieszyło.

Później diuk Faragon podszedł do nas z kilkorgiem młodszych krewnych.

- Hrabino - rzekł uprzejmie do Fedry i powitał Joscelina: - Messire Varreuil. - Złożył mi ceremonialny ukłon. - Książę Imrielu.

Skłoniłem głowę.

- Wasza Książęca Mość.

- Chciałbym prosić o przysługę. - Odetchnął i zwrócił się do Fedry. Jest o niej mowa w listach, które dałem królowej. Pozwolę sobie dodać, że proszę nie tylko w imieniu mojej krewnej. Proszę w imieniu nas wszystkich, a także przez wzgląd na chłopca.

Fedra ściągnęła brwi. - Tak?

- Pozwól nam go poznać - rzekł Faragon krótko. - Jesteśmy krewny mi. Pozwól mu przyjechać latem do Kuszetu, żeby pomieszkał z rodziną Szachrizaj.

Poczułem w brzuchu skurcz trwogi, przemieszany z podekscytowaniem, którego się nie spodziewałem. Młodzieniec za plecami diuka mrugnął do mnie, trącając łokciem stojącą obok młodą kobietę, i uśmiechnął się szeroko.

- Nie. - Odpowiedź Fedry była łagodna, stanowcza i natychmiastowa. - Wybacz mi, Wasza Miłość, nie mogę na to przystać i, jak sądzę, Jej Wysokość nie wyrazi zgody.

- W takim razie mam inną propozycję. - Faragon zamaszystym ruchem ręki wskazał stojących za nim młodych wielmożów ze swojego rodu. - Mavros, Baptiste i Ro-

szana są jeszcze w takim wieku, że można ich przyjąć na wychowanie. Dlatego ich tu sprowadziłem. Czy raczysz wziąć pod rozwagę udzielenie im gościny w Montrève na lato? - Umilkł na chwilę. - Nie proszę o potrójny zaszczyt. Pragnę tylko dać chłopcu szansę na poznanie krewnych.

Fedra spojrzała na mnie.

Nie miałem pojęcia, co powiedzieć. Jedna część mojego serca chciała odmówić, a druga wyrazić zgodę. Bałem się mrocznej fali, która we mnie wzbierała. Nie chciałem dopuścić do głosu najmniejszej cząstki krwi mojej matki. A jednak wołała do mnie.

- Rozważę propozycję, Wasza Książęca Mość - rzekła Fedra formalnie. - Czy to cię zadowala?

Uśmiechnął się. - Jak najbardziej.

- Książę Imrielu.

Głos królowej, chłodny i rozkazujący, rozległ się zniecacka. Podeszliśmy do tronu.

- Podczas ostatniego spotkania - zaczęła - mówiliśmy o obowiązkach. Skoro ta sprawa została rozstrzygnięta, pora omówić ją szerzej.

Ukloniłem się.

- Wasza Wysokość.

- Z twoim tytułem wiążą się posiadłości ziemskie - podjęła, patrząc na mnie fiołkowymi oczyma. - Majątki, które należały do mojego stryjecznego dziadka, Benedykta de la Courcel.

- Tak, Wasza Wysokość, rozumiem. - Przypomniałem sobie o Łososiu i o tym, że za dochody z tych włości mógłbym kupić nakrapianego konia, w ciągu dwóch lat właśnie tyle myślałem o swoich majątnościach. - Nie potrzebuję ich, jeśli masz życzenie komuś je przekazać - dodałem szczerze.

- Nie. - Ysandra się uśmiechnęła. - Nie. Ale sądzę, że dobrze byłoby, gdybyś odwiedził swoje włości i poznał zarządców. Ważne, by oni cię znali. I ważne, by rozumieli, że masz za sobą poparcie Korony. W tym celu poprosiłam dowódcę wojsk królewskich, żeby przygotował eskortę. Oczywiście, po naradzie z domem Montrève.

Spojrzałem z przerażeniem na Barquiela L'Envers.

Odpowiedział lekkim, drwiącym ukłonem.

Chciałem zaprotestować. Nie potrzebuję żadnych posiadłości. Jestem Imrielem nó Montrève, dziedzicem Fedry, jej przybranym synem. Nie pragnę niczego więcej, nie chcę być nikim więcej.

Ale nie do mnie należała decyzja.

Poza tym, w grę wchodziły takie kwestie, jak obowiązek i honor. Ukłoniłem się królowej. - Jak Jej Wysokość każe - wymamrotałem.

## PIĘĆ

---

Tak oto spędziliśmy lato mojego czternastego roku życia na objeżdżaniu moich włości w Terre d'Ange, choć wolałbym polować i łowić ryby w Montrève. Nie było tak źle, jak się obawiałem. Ku mojej bezbrzeżnej uldze Barquiel L'Envers, choć oddelegował szwadron konnych jako naszą eskortę, sam nie raczył nam towarzyszyć. Byli to doborowi żołnierze dopilnowali tego najemni z Montrève, bo Ti- Filip utrzymywał kontakty z wojskami królewskimi - i radzi z lekkiego obowiązku.

Razem wzięwszy, miałem trzy posiadłości, dwie w L'Agance i jedną w Namarze. Najpierw zawitaliśmy do Heuzze w L'Agance, gdzie podziwiałem pola porośnięte zbożem i obsypane nagrodami sery, a stamtąd ruszyliśmy do Namarry.

Namarra to prowincja Naamy. Jest tam świątynia w miejscu, gdzie rzeka Naamy wypływa spod ziemi. Fedra odwiedziła ją w czasie naszego pobytu. Jest poświęcona sługom Naamy, dlatego Joscelinowi i mnie od mówiono prawa wstępu.

Fedra poszła.

Nie wiem, co się tam wydarzyło, wiem tylko, że wyszła odmieniona Biła od niej jakaś jasność. Hugues wzdychał jak najęty i dedykował Fedrze kolejne beznadziejne wiersze, które recytował w drodze.

Złożyliśmy wizytę w księstwie Barthelme, największej z moich posiadłości, gdzie odkryłem, że między innymi jestem odpowiedzialny za wyrób doskonałego czerwonego wina. Wszystkie majątki, prawdę powiedziawszy radziły sobie wyśmienie bez ingerencji z zewnątrz. Ten stan rzeczy utrzymywał się od wielu lat, bo przecież mój ojciec do śmierci mieszkał w La Serenissimie. Królowa wyznaczyła mądrych senesza.

Senesza rozliczali się z jej zarządcami i zyski z majątków przechodziły w zarząd powierniczy. Wszystko to było dla mnie bardzo ekscytujące. Ścisnąłem ręce rządców, a oni się kłaniali, kojarząc twarz z imieniem, świadomi obecności szwadronu jazdy królewskiej za moimi plecami. W każdym majątku spędziliśmy po parę dni, objeżdżając ziemię i wieczorami składając wizyty towarzyskie okolicznym dziedzicom, a potem ruszaliśmy dalej.

W trzeciej posiadłości było inaczej.

Nazywa się Lombelon, leży w L'Agnace, nie więcej niż pół dnia jazdy od Miasta Elui. Dlatego właśnie zostawiliśmy ją na koniec. Jest to zaledwie dwór w otoczeniu sadów, ale wiąże się z nim dziwna historia. Niegdyś należał do mojej matki, która wraz z innymi majątkami odziedziczyła go po śmierci pierwszego męża. Kilka lat później przekazała go Izidorowi d'Aiglemortowi, kamaelickiemu zdrajcy, niewątpliwie jako dar na przypieczętowanie zawartego przez nich przymierza.

Kiedy d'Aiglemort zdradził królestwo, jego posiadłości przeszły na własność Korony. Ysandra nadała ziemie d'Aiglemorta Niewybaczonym, tym kamaelickim wojownikom, którzy w dożywotniej skrusze zaprzysięgli bronić granic Terre d'Ange przed Skaldami. Małeńki majątek Lombelon przekazała mojemu ojcu, Benedyktowi, w prezencie z okazji powtórnego ślubu. Tak oto włości przeszły na mnie.

Było to przyjemne miejsce, oddane uprawie grusz. Zwiedziliśmy winiarnię, gdzie wyrabiano gruszczyk, a potem destylarnię. Tam zobaczyłem Maslina, choć wówczas nie znałem jego imienia.

Zajmował się czyszczeniem lśniącego miedzianego alembiku, który służył do destylowania brandy z gruszczyka. Moją uwagę przykuło wręcz nabożne skupienie, z jakim oddawał się pracy. I włosy, tak jasne, że srebrzyły się w snopie światła wpadającym przez drzwi destylarni. Odwrócił głowę, po czym wymknął się, gdy weszliśmy, i niewiele o tym myślałem.

Wszyscy wysłuchaliśmy długiego wykładu na temat zbierania gruszek, tłoczenia i technik destylacji, i w nagrodę za cierpliwość uraczono nas próbkami gruszkowej brandy z Lombelonu. Była mocna, uderzała do głowy. Sącyłem trunek powoli ze swojego kieliszka, podczas gdy żołnierze diuka L'Envers raczyli się z mniejszym umiarem. Następnie seneszał zabrał nas na spacer po najbliższym sadzie, chwając się zdrowymi zbiorami. Powietrze było ciepłe i słodkie od zapachu gruszek, wibrujące od brzęczenia pszczół.

Tam drugi raz zobaczyłem Maslina.

Pracował w sadzie, tnąc gałęzie nożem osadzonym na długim trzonku. Prześwietlał jedno ze starszych drzew, które, jak powiedział nam seneszał próbują nakłonić do rodzenia owoców w przyszłych latach. Srebrnowłosy chłopiec okrążył pień, bez koszuli i na bosaka, pracując nożem z pełnym dzikości wdziękiem. Choć nabożność zniknęła z jego twarzy, skupienie pozostało. Atakował najwyższe gałęzie, mięśnie jego ramion prężyły się z wysiłku. Z każdym uderzeniem na ziemię sypał się grad gałązek i liści a uderzał tak szybko i celnie, że wydawało się, że drzewo trzęsie się ze strachu i samo rzuca niepotrzebne pędy.

Zazdrościłem mu.

Zazdrościłem mu przekonania, że zna swoje miejsce na świecie, za zazdrościłem mu wzrostu, siły i szerokich ramion. Zazdrościłem mu pro stoty zadania, jakie wykonywał, i głębokiego skupienia. Osądziłem, że jest jakieś dwa lata starszy ode mnie, i tego też mu zazdrościłem. Zostałem z tyłu, gdy seneszał poszedł dalej, uszczęśliwiony, że Fedra go słucha. Nasza eskorta się rozproszyła, najemni z Montrève i żołnierze błakali się po sadzie.

Po chwili srebrnowłosego chłopiec wyczuł moją obecność. Opuścił nóż i wbił we mnie spojrzenie ciemnych oczu.

- Czego chcesz?

- Niczego. - Zaskoczył mnie jego opryskliwy ton, ale ludzka natura jest szczególną rzeczą. Ponieważ go podziwiałem, chciałem, żeby mnie polubił. Podeszedłem z wyciągniętą ręką.

- Jestem Imriel. Nie poruszył się.

- Wiem, kim jesteś... księżę.

Ogarnął mnie niepokój, sunący po kręgosłupie jak zimny palec. - W takim razie masz nade mną przewagę - odparłem spokojnie. Czy podasz mi swoje imię i będziemy kwita?

- Maslin. - Nieomal wypluł słowo. - Czy to coś ci mówi?

- Nie. - Pokręciłem głową, kompletnie zbity z tropu. - A powinno?

- Powinno. - Uśmiechnął się ponuro i zrobił krok w moją stronę. Nóż w jego prawej ręce rzucał długi cień na trawę. - Mam je po ojcu. Takie imię nosił mój ojciec.

Fragmenty w mojej głowie ułożyły się w całość - dziwna historia Lombelona, genealogie wielmożów, jasne włosy młodzieńca. Słyszałem historie o Izydorze d'Aiglemorcie, zdrajcy-bohaterze; Kilberhaar- tak zwali go Skaldowie, Srebrnowłose. Choć moja matka namówiła go do zdrady, w ostatnich chwilach życia odkupił swoje grzechy. To on zabił Waldemara Seliga na polu bitwy pod Troyes- le- Mont, samemu otrzymując śmiertelną ranę.

- Jesteś synem diuka Izydora - powiedziałem.

- Bękartem.

- Nie ma wstydu... - zacząłem.

- Chciał mnie uznać! - krzyknął Maslin, nie pozwalając mi dokończyć. Opuścił rękę z nożem, trzymając go jak włócznię i mierząc w moje serce. - Lombelon należałoby do mnie, byłoby moją własnością! Po prostu zabrakło czasu!

- Przykro mi, Maslinie. - Cofnąłem się o krok. - Ale nie ma to nic wspólnego ze mną.

- Kwilące książątko. - Splunął na ziemię. - Mój ojciec zmarł jako bohater. Jakim prawem ty, syn zdradzieckiej dziwki, dostałeś Lambelon?

- Prawem woli królowej - odparłem zimno. Nie miałem zamiaru bronić matki, ale Maslinowi udało się mnie rozzłościć. Moja ręka opadła do rękojeści sztyletu. Nóż do przycinania gałęzi może być straszną bronią, uznałem jednak, że sztyletem mogę ci-  
snąć szybciej niż przeciwnik zdoła do mnie przyskoczyć. - Czy chcesz jej rzucić wy-  
zwanie?

Gdzieś ktoś krzyknął, rozległy się stłumione kroki w wysokiej trawie, coraz bliższe. Ignorowaliśmy je, mierząc się wzrokiem. Maslin oddychał ciężko, jego naga pierś wznosiła się i opadała. Grzbietem wolnej ręki przeciągnął po czole, zostawiając ciemną smugę na skórze.

- Rzucisz? - powtórzyłem.

- Nie. - Zgrzytając zębami, uniósł rękę z nożem. - Nie tutaj, książątko, nie teraz. Ale pewnego dnia, kiedy będziemy mężczyznami, wyrównamy rachunki. Gorzko pożalujesz dnia, w którym dorosnę.

Skinąłem głową.

- Niech tak będzie, skoro musi. Ale nie szukam twojej wrogości.

- Nie? - Skrzywił się. - Mimo to, ją znalazłeś.

Moja eskorta przybyła poniewczasie, gromada z dobytymi mieczami, odziana w barwy Courcelów i Montrève. Za nimi truchtał zasapany seneszał Lombelonus. W tym czasie nie mieli już czego oglądać. Po prostu dwóch podrostków rozmawiało pod gruszą. Rzuciłem parę lekkich słów i poszliśmy dalej.

Fedra wiedziała, oczywiście.

Niewiele rzeczy umykało jej uwagi. Była też zła na siebie za lekkomyślność, a ja stwierdziłem, że nie chcę o tym mówić. Błagałem ją, żeby nie powiedziała kapitanowi wojsk królewskich, dowodząc, że nie warto taką błahostką zawracać mu głowy. Zgodziła się, zamieniając tylko parę słów z Joscelinem i Ti- Filipem. Owego dnia nie rozmawialiśmy o tym incydencie, dopiero nazajutrz, gdy jechaliśmy do Miasra, Fedra wyłuskała ze mnie szczegóły zdarzenia.

- Syn Izydora - mruknęła. - Ciekawe, kim jest jego matka.

- Nie wiem. - Pokręciłem głową. - Dopytywanie wydawało się mało rozsądne.

- D'Aiglemorta uważano za bohatera, dopóki nie zdradził - skomentował Ti- Filip. - Wiele tutejszych panien mogło w jego intencji zapalać świece przed ołtarzem Ejszet.

Gilot parsknął śmiechem.

- Ty powinieneś wiedzieć, kawalerze!

Fedra się uśmiechnęła. W okolicy Montrève wiele dzieci przypomina urodą ostatnich Chłopców Fedry, choć ostatnio przybywa ich mniej, od kąd Ti- Filip związał się z Huguesem.

- Cóż, Izydor d'Aiglemort nie zrobił na mnie wrażenia mężczyzny który oddaje się przygodnym igraszkom miłosnym. Musiało chodzić o coś więcej, skoro był skłonny uznać Maslina za dziedzica, przynajmniej Lombelona.

- Zawsze coś w tym jest, pani! - odezwał się Ti- Filip z goryczą. - Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć.

Joscelin chrząknął.

Nó tak. - Fedra spojrzała na swojego kasjelickiego konkubenta. Jednak w niektórych przypadkach bywa znacznie więcej.

Choć od wielu lat wiodli wspólne życie, Fedra i Joscelin nie wzięli ślubu i, jak sadzę, nigdy nie wezmą. Joscelin jest konkubentem, oficjalnym i uznanym, ale nie dzieli jej tytułu. Ten stan rzeczy ma związek ze ślubami, które Joscelin złożył jako brat kasjelita. Choć złamał wszystkie z wyjątkiem jednego - tego, który ma największe znaczenie - nie chciał zamienić ich na przysięgi małżeńskie. Nie zezwoliło mu na to poczucie honoru. Fedra to rozumiała.

- Mniej więcej - powiedział Ti- Filip, ułagodzony. - A jednak, kimkolwiek jest matka chłopaka, skąd te pretensje do Imriela? Nikt nie zmuszał d'Aiglemorta do zdrady. Sam wykonał pierwszy ruch, żeby pozbawić tronu młodą, niedoświadczoną królową.

Milczałem, słuchając ich jednym uchem. Doskonale rozumiałem, dlaczego Maslin z Lombelona mnie nienawidzi. Obaj byliśmy synami zdrajców. Różnica polegała na tym, że on, pozbawiony ziemi i biedny, pracował w sadach, które miały należeć do niego, podczas gdy ja paradowałem po nich z prawem własności w kieszeni: książkę krwi, odziany w aksamity i jedwabie, z rycerzem królowej i ze szwadronem jazdy królewskiej u boku.

- Jest rozgoryczony - powiedziałem głośno. - Czy można go winić?

Fedra obrzuciła mnie jednym ze swych głębokich spojrzeń.

- Za rozgoryczenie, nie. Za grożenie ci bronią, tak. Wzruszyłem ramionami.

- Nożem do gałęzi.

- Można zrobić wielką krzywdę nożem do cięcia gałęzi - podsunął Hugues. - Ja mógłbym.

- Ale nie zrobił - zaznaczyłem.

Myślałem o tym wszystkim przez resztę podróży. Kiedy znaleźliśmy się w murach Miasta, odprawiliśmy wojskową eskortę. Podziękowałem żołnierzom, do każdego zwracając się po imieniu - Fedra nauczyła mnie zapamiętywania imion - i dałem kapitanowi sakiewkę do podziału. Zasalutowali ochoczo i przynajmniej z tego byłem rad. Barquiel L'Envers usłyszy same pozytywne opowieści. Zawsze umiałem nawiązać dobre stosunki z żołnierzami, gdy tylko dawali mi szansę.

W tym tkwiło wyzwanie.

Rozmyślałem o Maslinie.

Moglibyśmy się zaprzyjaźnić, gdyby mnie znał. Gdyby dał mi cień szansy. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego miało to znaczenie, z wyjątkiem tego, że łączyło nas dziedzictwo splamionego pochodzenia. I dlatego że mu zazdrościłem, ponieważ go podziwiałem. Nie mógł wiedzieć, że pod pewnym względem z radością zamieniłbym się z nim miejscami, że chętnie zrzekłbym się swoich praw do Lombelonu i innych majątków w zamian za dzieciństwo utracone w Daršandze.

Przez dwa dni snułem się po miejskim domu, gryząc się i zaniedbując naukę, aż w końcu podjąłem decyzję. Udałem się na poszukiwania Fedry.

Znalazłam ją w pokoju kąpielowym, który był również ołtarzem czystego luksusu, wszechobecnego w tej rezydencji. Przystanąłem przed zamkniętymi drzwiami i odszedłbym bez pukania, gdyby Clory, siostrze nica Eugenii, nie wyjrzała na korytarz. Jej dłonie lśniły od olejku.

- Imri. - Głos Fedry, płynący zza drzwi, brzmiał łagodnie. - Chcesz porozmawiać teraz czy później? Decyzja należy do ciebie, skarbie.

Skrzywiłem się, czując zmieszany zapach lawendy i mięty.

- Teraz? - Wejdz.

Wszedłem i usiadłem na taborecie, zahaczając obcasy o szczebelek i wspierając brodę na pięściach. Pokój kąpielowy był ciepły i parny. Skwierczały świece, palące się w kałużach wosku. Fedra leżała na wyściełanym stole do masażu, okryta skąpym kawałkiem cieniutkiego płótna. Jej głowa spoczywała na przedramionach. Sprawiała wrażenie sennej i leniwie, co mogłoby zmylić każdego, kto jej nie znał.

- Chodzi o Maslina? - zapytała. Skinąłem głową.

- Obiecasz, że nie będziesz się ze mnie śmiała?



- Tak - zapewniła. - Czy Clory ma wyjść?

- Nie, może zostać. - Pokręciłem głową. Wśród tych, którzy służą w domu Fedry, dyskrecja jest sprawą pierwszorzędnej wagi. Kobiety umieją dotrzymywać sekretów. Nauczyłem się tego w zenanie. - Nie mam nic przeciwko.

Clory podjęła swoje obowiązki masażystki i zacmokała, bez wątpienia wyczuwając lekkie napięcie w mięśniach Fedry. Szkoliła się w Domu Melisy i była wielce dumna ze swoich umiejętności. Patrzyłem na nią z przyjemnością. W ciepłym blasku świec skóra Fedry połyskiwała niczym świeża śmietanka, a czarne linie i szkarłatne akcenty marki mocno kontrastowały z jej kremową bielą. W milczeniu siedziałem na stołeczku obserwując silne, zwinne ręce Clory przy pracy, podczas gdy Fedra patrzyła na mnie, czekając cierpliwie.

Wreszcie spojrzałem jej w oczy.

- Chcę dać mu Lombelon.

Fedra splotła ręce pod podbródkiem. Nie wyglądała na zaskoczoną.

- Wiesz, że to, co on mówi, będzie musiało zostać dowiedzione.

- Tak. - Odetchnąłem głęboko. - Wiem. Wątpisz w jego słowa?

- Nie. - Uśmiechnęła się krzywo. - Nie do końca. Wygląda kropla w kropkę jak d'A-iglemort.

Spojrzałem na gasnącą świeczkę.

- Czy mogłabyś się tym zająć? Formalnościami?

- Tak. - Poruszyła ramieniem.

Clory przerwała pracę i bez słowa poszła umyć ręce w miednicy. Wytarła je do sucha, podniosła jedwabny szlafrok i rozłożyła go, zasłaniając mi widok. Z niewymuszonym wdziękiem, wynikającym z długiej praktyki, Fedra wstała, wsunęła ręce w rękawy i zawiązała szarfę.

- Dziękuję, Clory.

- Zawsze do usług, pani. - Masażystka uśmiechnęła się ciepło. W drodze do drzwi musnęła lekko moje ramię pachnącą olejkami ręką. - Wasza Wysokość.

Kiedy wyszła, Fedra usiadła po turecku na wyściełanym stole. Ułożyła elegancko fałdy szlafroka, patrząc na mnie uważnie.

- Dlaczego, skarbie?

- Nie potrzebuję tego majątku. - Nabrałem trochę wosku na paznokciec kciuka. - Nawet go nie chcę. I jeśli miał należeć do niego... to nieuczciwe, krótko mówiąc. - Uniosłem głowę. - To dobre, prawda? Naprawienie czegoś, co jest złe?

- W teorii, tak - odparła. - Sprawy nie zawsze są takie proste, jak być powinny. Po pierwsze, królowa może nie wyrazić zgody.

Zmarszczyłem brwi.

- Ale decyzja należy do mnie, prawda?

- Tak. - Fedra skręciła grube pasmo wilgotnych włosów, uśmiechając się z cieniem żalu.

- I do mnie, skoro nie jesteś pełnoletni.

- Będzie na ciebie zła. - O tym nie pomyślałem.

- Nie bardziej niż zwykle. - Błysk niekłamano rozbawienia przemknął po jej twarzy. - Myślałam o tobie, skarbie. Ysandra nie lubi, gdy odtrąca się jej hojność. I jest przecież Maslin.

Podalam jej wysadzane klejnotami szpilki do włosów.

- To znaczy?

- Nie musi być wdzięczny. Może nawet się złościć.

To nie miało sensu i poczułem, że pogłębia się zmarszczka pomiędzy moimi brwiami.

- Dlaczego? Uwielbia Lombelon, widziałem. A dla mnie posiadłość jest niczym.

- Odpowiedziałeś na własne pytanie - rzekła łagodnie, wpinając szpilki we włosy.

Siedziałem i rozmyślałem o tym, aż w końcu zrozumiałem, dlaczego Maslin z Lombeloni może znienawidzić mnie za to, że spełnię pragnienie jego serca. Za to, że dbam o majątek tak mało, że mogę go rzucić niczym ochłap, najmniejszą z moich niezastuzonych włości. Jak moja beztroska jałmużna może stać się nienawistnym przypomnieniem o nierówności naszych pozycji. Jak Maslin może znienawidzić mnie za to, że będę moim dozgonnym dłużnikiem, jak sam widok mojej osoby będzie ranić jego dumę.

- Rozumiesz, Imri? - zapytała po chwili Fedra. Skinąłem głową.

- Nadal chcesz dać mu Lombeion?

- Tak. - Przetarłem oczy nasadą dłoni. - Nadal to słuszne, prawda? Mrugnąłem. Piekiły mnie oczy. - Prawda?

Fedra pokręciła głową i zsunęła się ze stołu.

- Chodź tutaj - powiedziała, wyciągając ramiona.

Przytuliłem się do niej, wspierając podbródek na okrytym jedwabiem ramieniu. Podrosłem na tyle, że mogłem to zrobić. Uściskała mnie moc nóg, pocałowała w skroń.

- Tak - powiedziała.

Po chwili uwolniłem się z jej ramion.

- Fedro? Co ty byś uczyniła?

- Ja? - Uniosła kącik ust. - Cóż, skarbie... przypomnij mi kiedyś żebyś opowiedziała ci historię, która się wiąże z Favriellą i Dziką Różą i jej osławionym przykrym usposobieniem.

Uśmiechnąłem się do niej.

- Joscelin mi opowiedział. Zmierzwiała mi włosy.

- W takim razie znasz odpowiedź.

## SZEŚĆ

---

W późniejszych miesiącach sprawa została sfinalizowana. Fedra wysłała Ti- Filipa, żeby przeprowadził dyskretne dochodzenie w okolicach Lombelony, gdzie się dowiedział, że matką Maslina jest niejaka *Anna Livet*. Jej ojciec, który zmarł kilka lat temu, był mistrzem ogrodnikiem za czasów d'Aiglemorta. Romans był płomienny, dobrze znany w okolicy i d'Alglemort przyznawał się do ojcostwa. Nikt nie wątpił, że uznałby Maslina, gdyby dożył dnia jego narodzin.

Nadeszła jesień i Drustan mab Necthana pożeglował z powrotem do Alby. Fedra poprosiła królową o prywatną audiencję, żeby omówić sprawę. Nie wiem, co powiedziała, ale nawet jeśli Ysandra poczuła się zła albo zraniona, to trzymała język za zębami.

Musiałem w obecności ministra skarbu podpisać akt własności i opieczetować go sygnetem z łabędziem rodu Courcel, przekazanym przez Ysandrę w moje posiadanie po naszym powrocie z Dżebe- Barkal. Wydawało się to bardzo dziwne. Fedra też zło-

żyła podpis i odcisnęła pod moim znakiem pieczęć Montrève z sierpem księżycy i górskim szczytem. Następnie minister sporządził wierną kopię dokumentu, podpisał ją i opatrzył własną pieczęcią. Wręczył mi ją, ja zaś miałem przekazać ją odbiorcy.

Zadręczałem się, usiłując powziąć trudną decyzję. Jak to zrobić? Pchnąć kuriera? Takie rozwiązanie wydawało się zbyt bezosobowe, ale też nie chciałem widzieć oczu Maslina, gdyby miała zapłonąć w nich nienawiść. Z drugiej strony, jeśli się ucieszy - jeśli przyjmie dar w duchu dobrej woli i z poczuciem więzi - także nie będzie mi dane tego zobaczyć. Stracę również okazję na zaprzyjaźnienie się z jedyną osobą, która cierpi pod brzemieniem niechcianego dziedzictwa, podobnym do mojego.

Alais rozstrzygnęła sprawę, choć nie ona zdecydowała.

- Nie poświęcasz uwagi grze - poskarżyła się, uderzając grzbiet mojej ręki wachlarzem kart. - Zagrałam trumfami, Imrielu. W ogóle nie zwracasz uwagi. - Milczała przez chwilę. - Powiesz mi, dlaczego?

Przegarnąłem ręką włosy. Prawdę mówiąc, nie miałem nic przeciwko, kiedy królowa wezwała mnie na dwór i oznajmiła, że potomkowie rodu Courcel muszą pogłębić znajomość. Polubiłem Alais, a Sydonia... cóż, Sydonia często zostawiała nas w spokoju, oddając się lekturze, podczas gdy my graliśmy w karty pod czujnym okiem królewskiej straży przybocznej.

- Przepraszam - powiedziałem do Alais. - Myślałem o czymś innym.

- Przecież wiem - rzuciła niecierpliwie. - O czym? Powiedziałem jej wtedy, przedstawiając wersję skróconą, odpowiednią dla dziecka. Alais słuchała z powagą. Potrafiła być poważna, gdy tego chciała; czasami miewała sny, które się spełniały. To dar ze strony ojca, po krwi jego matki.

- Sądzę, że sam powinienesz mu o tym powiedzieć - oznajmiła. - To, co robisz, jest miłe. Czego się boisz?

Wyjaśniłem jej najlepiej, jak umiałem. Alais sporo wiedziała o tym co wycierpiałem - Ysandra nie chciała chronić córek przed wiedzą o okrucieństwie tego świata i Alais usłyszała tę historię dawno temu. Była jednak dzieckiem kochającej się pary, małym dzieckiem, trudno więc było jej pojąć niektóre rzeczy.

- Chyba powinien się ucieszyć - powiedziała.

- Tak - zgodziłem się. - Ale nie zawsze robimy to, co powinniśmy. Wtedy rozbrzmiał głos Sydonii, zimny jak woda na skałach: - Wiele o tobie słyszałam, kuzynie Imrielu, ale nigdy tego, że jesteś tchórzem.

Spojrzałem na nią z wściekłością.

Uniosła brwi, złote, ciemniejsze niż matczyne. W przeciwieństwie do Alais, delfina miała niemal d'angellińską urodę. Wyróżniała się tylko barwą oczu, ciemnych i nieodgadnionych, oczu ludu Cruithne.

- Bo nie jestem - odparłem równie chłodno.

- Nóż tak. - Sydonia wróciła do lektury.

Nie mam pojęcia, jakim prawem dwunastoletnia dziewczynka, która nigdy nie znała strachu ani głodu, ani jakiegokolwiek niedostatku próbowała kwestionować odwagę czternastoletniego chłopca, który przeszedł piekło mogące złamać wielu dorosłych. Jej słowa jednakże odniosły nadspodziewany skutek. Wciąż się zżymałem na jej protekcyjny ton, kiedy podjąłem decyzję, że pojedę do Lombelonu.

Rozpoczęły się długie dyskusje. Chciałem jechać sam, tylko z dwoma zbrojnymi, czemu Fedra stanowczo się sprzeciwiała. Ja z kolei dowodziłem, że liczny orszak zostanie odebrany jako demonstracja siły. Słowa Sydonii sprawiły, że zagrała we mnie duma, i nie chciałem, żeby Maslin pomyślał, że się boję.

W końcu pozwolono mi jechać z garścią zbrojnych pod dowództwem Ti- Filipa, choć Fedra nie była tym zachwycona. Joscelin też nie był, ale on przynajmniej rozumiał.

Dzień wstał wietrzny, ostre podmuchy zapowiadały nadchodzącą zimę. Ruszyliśmy wczesnym rankiem, pod posępnie szarym niebem. Dziwnie wyglądało ciche, puste Miasto: drzwi sklepów były zaryglowane, na ulicach prawie żywego ducha. Napotkaliśmy tylko kilku członków straży miejskiej i kilku zmęczonych birbantów, chwiejnym krokiem wracających do domu po nocnej hulance. Jeden z nich przywitał Ti- Filipa mamrocząc niewyraźnie.

Ti- Filip uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Za kwiaty Orchidei!

Zarumieniłem się. Orchidea jest jednym z Trzynastu Domów Dworu Nocy, gdzie najpiękniejsze sługi Naamy uprawiają swoje rzemiosło. Fedra wychowała się w jednym z nich, w domu Cereusa, pierwszym wśród Trzynastu.

- Filipie? - Musiałem odchrząknąć. - Jak tam jest? Spojrzał na mnie.

- W Domu Orchidei?

- W Dworze Nocy.

- To zależy od Domu. - Wzruszył ramionami. - Ja lubię Orchideę. Ludzie są tam beztroscy, weseli. Mnie to odpowiada. - A inne?

- Każdy jest inny - odparł z uśmiechem. - Miło jest w Heliotropie. Adeptci umieją sprawić, byś poczuł się jak jedyny mężczyzna, który kiedykolwiek poruszył ich serca. A Dzika Róża... warto tam zajrzeć choćby dla samych poetów i muzyków. Jaśmin... ach, tam adepci zostawiają cię wyżętego niczym ścierka do naczyń, na wpół utopionego w pocie pożądania.

Matka Fedry była adeptką Domu Jaśminu, ale stamtąd odeszła. A kiedy sprzedała córkę do terminu, wybrała pierwszy pośród Trzynastu, Dom Cereusa.

- A Cereus?

- Ach. - Jego oczy pociemniały. - Cóż, mówią, że wszelkie piękno przemija, lecz ja nie z tych, którzy boją się nad jego przemijaniem... a przynajmniej nie mam zamiaru rozkoszować się bólem.

- Nie - mruknąłem. - Chyba nie. Ti- Filip zachichotał.

- Nie martw się, Imrielu, masz wiele lat na dokonanie wyboru. Zbrojni, którzy to słyszeli, też parsknęli śmiechem, a ja jeszcze bardziej poczerwiałem.

- Nie dlatego pytałem.

- Wiem. - Filip szczyrzył zęby, ale nie złośliwie. - Jeśli postanowisz pewnego dnia odwiedzić Dom Cereusa, zobaczysz, skąd się wzięły maniery jaśnie pani, ale na tym koniec. W każdym razie, ja nie wybrałbym dla ciebie tego Domu.

- Zatem który? - Na przekór sobie byłem ciekaw. Dwór Nocy nie przyjmie mnie jako klienta, dopóki nie skończę szesnastu lat, ale sama myśl o dokonaniu wyboru wśród Trzynastu Domów sprawiała, że niezdrowe podniecenie skręcało mi wnętrzności.

Ti- Filip otworzył usta, żeby odpowiedzieć, potem pokręcił głową,

- Nie jestem pewien. - Oczy miał teraz poważne i pełne zadumy. Nie jestem pewien, który Dom byłby dla ciebie najlepszy.

- A jak myślisz, do czego możesz mieć zamiłowanie? - zapytał wesoło Gilot. - Po-wiem ci, słyszałem, że Przystęp jest zabawniejszy niż możesz sobie wyobrazić. Jeśli się lubisz zakładać, to musisz zacząć oszczędzać. A może Smagliczka, co? Odrobina skromności, odrobina wahania? - Prze chylił się w siodle i trącił moją nogę. - To może ci odpowiadać, Imri.

Nie wiadomo dlaczego, zadrzałem. Coś w jego słowach przywołało wspomnienie z zenany, tak potężne, że niemal czułem zapach wody sto jącej w basenie. Przypomniałem sobie poszczące tam kobiety z Bhod stanu, ich spokój i puste spojrzenie. Jakoś

zdołały zachować godność i skromność w tym strasznym miejscu. Za określoną cenę. Jedna z nich wolała umrzeć z głodu niż zjeść kęs jedzenia w sali mahrkagira.

- Nie - odparłem niewyraźnie. - Tylko nie to.

- Ha. - Gilot nie zauważył mojego zamyślenia. - Jest Dalia, jeśli lubisz wyniosłość. Albo Kamelia, oni też są dumni. Albo, rzecz jasna...

- Wystarczy, Gilocie. - To zainterweniował Hugues. Głos miał łagodny, ale w jego niebieskich oczach gościł nieugięty wwrz, gdy wyprężył szerokie ramiona. - Jak powiedział Filip, książę Imriel ma jeszcze parę lat żeby dokonać wyboru.

Podziękowałem mu uśmiechem.

- Przepraszam, Imrielu. - Gilot wzruszył ramionami. - Nie chciałem cię urazić.

- Nic się nie stało. - Pokręciłem głową. - To bez znaczenia.

A jednak miało znaczenie. Nie chciałem słuchać, jak wymienia inne Domy, przy czym nie chodziło mi o Melisę ani o Gencjanę; nie miałem nic przeciwko uzdrowicielom i interpretatorom snów. Wzdragąłem się na myśl o dwóch pozostałych, Mandragorze i Walerianie, Domach po święconych bardziej ostrym rozkoszom - jeden dawaniu, a drugi otrzy mywaniu. Ich klientela była mniej liczna, ale wyrafinowana.

Tam się bawiono niebezpiecznymi zabawkami.

Zbyt dobrze je znałem.

Minęliśmy Północną Bramę i podnieśliśmy kołnierze płaszczy dla ochrony przed zimnym wiatrem. Czułem, jak smaga mi policzki, ścierając kurz Miasta, z czego byłem rad. Choć część mojej duszy tego pragnęła, jeszcze nie byłem gotów stać się mężczyzną wśród mężczyzn, mówiąc lekkim tonem o pożądaniu i rozkoszach cielesnych. Jeszcze nie.

Poza tym był Maslin.

Co jest prawdziwszym sprawdzianem męskości? Poznanie drugiego człowieka, zbadanie głębi żądy? A może stawienie czoła lękom i przyjęcie brzemienia, z jakim wiąże się odpowiedzialność? Każdego stać na to pierwsze. To drugie stanowi prawdziwe wyzwanie.

Dotarliśmy do Lombelonu przed południem. Seneszał, Jerome Barget, powitał nas uprzejmie, choć nie krył zaskoczenia. Kazał podać kubki gorącego gruszcznika i wprowadził nas do dużego pokoju, gdzie mogliśmy się ogrzać przy ogniu.

- Witaj, książę Imrielu - powiedział, gdy się rozsiedliśmy. - Wybacz, że nie jesteśmy przygotowani na lepsze przyjęcie.

- Nic nie szkodzi. - Uśmiechnąłem się, żeby go uspokoić. - To moja wina, że zjawiam się bez uprzedzenia. I nie obawiaj się, nie będziemy ci długo sprawiać kłopotu.

- Jak sobie życzysz, Wasza Wysokość, to żaden kłopot... Czym mogę ci służyć?

Zamknąłem kubek w dłoniach, czując, jak wsącza się w nie ciepło, i pociągnęłam łyk gruszcznika. Słodki i korzenny, wypalał szlak ciepła do mojego brzucha, i od razu poczułem się pokrzepiony.

- Chcę zobaczyć się z Maslinem - odparłem. - Synem Anny Livet. Jerome Barget, człowiek z natury rumiany, wyraźnie pobrał.

- Czy... czy cię obraził, Wasza Wysokość?

- Nie. - Pokręciłem głową. To dziwne, jak wielu ludzi bało się, że ktoś mnie obraża, choć przypuszczam, że seneszał miał powody do zmartwienia. Sięgnąłem do sakiewki u pasa, wyjąłem zapieczętowany akt własności. - Przybyłem uregulować pewną sprawę. Czy zechcesz go wezwać?

Seneszał wytrzeszczył oczy.

- Wasza Wysokość! - wychrypiał. - Jest... jest w sadach, rozrzuca obornik. Może wołałbyś zaczekać, aż...

- Sprowadź go - rzekłem krótko. Jerome Barget zgiął się w ukłonie. - Jak sobie życzysz.

Siedzieliśmy w pokoju i czekaliśmy na Maslina. Drwa trzaskały w kominku. Rozgrzaliśmy się i zrzuciliśmy płaszcze. Hugues wyjął drewniany flet i zagrał prostą, wesołą melodię. Służka przyniosła talerz z chlebem, mięsem i ostrą musztardą, i Gilot podchwycił jej spojrzenie. Złapał ją za ręce i namawiał, żeby z nim potańczyła, a ona się opierała, protestując ze śmiechem.

Ta scena przypomniała mi o Montrève i uśmiechałem się w chwili gdy przybył Maslin.

Przyniósł ze sobą silną woń łajna. Wstałem, kiedy wszedł do pokoju. Zmierzyliśmy się wzrokiem. Flet Huguesa umilkł. Blask ognia utworzył czerwonawą koronę na jasnych włosach przybysza. Maslin zacisnął pięści z półksiężycami brudu pod paznokciami i skłonił głowę. Gdy mnie witał jego głos brzmiał zgrzytliwie.

- Wasza Wysokość.

Patrzyłem na niego i po raz pierwszy w życiu odniosłem wrażenie, że stoję obok siebie. Widziałem piekielną dumę i udrękę zdrady. Widziałem skazy w jego duszy i to, jak można je wykorzystać. Należy odpowiednio to rozegrać. On mnie nienawidzi, tak, ale obaj jesteśmy ofiarami. Mogę zagrać na tych emocjach, mówić przebiegłe słowa, skierować jego niena wiść na wspólny cel. Ten, którego sprawiedliwość była zbyt su-



rowa do jego rozgniewanej duszy; ten, którego łaskawość drażni moją niespokojną duszę.

Ysandra, królowa.

A może potraktować go z pogardą i w ten sposób zasłużyć na jego dozgonną wrogość, przypieczętowaną i nieskazitelną czystą? W tym też tkwi siła. Tymi, którzy nie nawidzą, łatwo jest manipulować.

Zadrzałem, wstrząśnięty. To była spuścizna po mojej matce, dar Ku sziała, i nie chciałem mieć z tym nic wspólnego.

Chciałem zaprzyjaźnić się z Maslinem.

To też nie będzie mi dane. Dostrzegłem to i byłem wdzięczny Fedrze za ostrzeżenie.

- Proszę - powiedziałem, podnosząc dokument. - Nie mogę odwrócić tego, co zostało uczynione. Wiem tylko, że postępuję właściwie. Lombelon należy do ciebie.

Maslin chwycił pergamin i przełamał pieczęć. Czytał przez długą chwilę, bezgłośnie poruszając ustami. Na koniec jego ciemne oczy na potkały moje.

- Dlaczego? - zapytał. Wzruszyłem ramionami.

- Bo mogę.

Nie była to wystarczająca odpowiedź; nigdy nie będzie wystarczającej odpowiedzi. Ale była to jedyna odpowiedź, jakiej mogłem mu udzielić Maslin zadrzał, jego brudne od gnoju paznokcie ścisnęły dokument.

- Czy mam giąć się w ukłonach i szurać nogami w podziękowaniu, książatko? - zapytał ostro. - Czy to chcesz zobaczyć? Płaszczącą się wdzięczność, ochłap dla twojej żalostnej duszy?

Ktoś z obecnych wciągnął z sykiem powietrze przez zęby. Podniosłem rękę, kazać najemnym zachować spokój. Spojrzałem na Maslina.

- Nie znasz mnie - powiedziałem. - Nie przypuszczam, żebyś mnie znał.

Odwrócił wzrok.

- Ani ty mnie - mruknął.

- Zgadza się - odparłem spokojnie.

- O co chodzi? - Spojrzał na mnie z chmurną miną. - Czego chcesz? Rozważyłem pytanie.

- Chcę być dobry.

Tę odpowiedź zrozumiał. Zobaczyłem błysk uznania w jego oczach. Trochę się rozchmurzył i pokiwał głową, na wpół do siebie, jakbym wyraził jego myśli, myśli, których nie mógł znać nikt inny poza nami dwoma.

- Ludzie sprawiają, że trudno czynić dobro - powiedział. Pomyślałem o matce, która mnie urodziła, o kapłanie, który mnie okłamał. Pomyślałem o kartagińskich handlarzach niewolników, o mahr- kagirze, o drwiącej, nieufnej twarzy Barquiela L'Envers. Pomyślałem też o Fedrze i Joscelinie - i, co dziwne, o Sydonii i jej chłodnych, pogardliwych słowach.

- Niektórzy - zgodziłem się. - Nic wszyscy.
- Większość.
- Zbyt wielu - zgodziłem się.

Nie mam pojęcia, co obecni w pokoju zrozumieli z naszej rozmowy. My jednak rozumieliśmy się wzajemnie, my, synowie zdrajców. Nie połączyła nas przyjaźń, ale to miało wystarczyć. Wyciągnąłem rękę i tym razem Maslin ją uściśnął. Dłoń miał silną, stwardniałą od ciężkiej pracy.

- Dziękuję - powiedział. - Nie chciałem... - Wzruszył ramionami, gdy zabrakło mu słów.

Skinąłem głową.

- Wiem.

Tak to się odbyło, i byłem z tego rad. Niebawem odjechaliśmy, zostawiając za sobą dwór podekscytowany nowinami. Mieszkańcy Lombelo- nu wydawali się zadowoleni z mojej decyzji, i z tego też się cieszyłem. Nie zdobyłem przyjaciela, ale też nie zyskałem wroga.

W drodze powrotnej wiele myślałem o Maslinie, zastanawiając się nad ludźmi w jego życiu, którzy sprawili, że uznał, że trudno jest być dobrym. Jego życie wydawało się prostsze niż moje - tego między innymi rnu zazdrościłem. A jednak ja je skomplikowałem.

Czy powziąłem słuszną decyzję? Wierzyłem, że tak. Czy to było dobre?

Pomyślałem, że tak, ale nie miałem pewności. Działąłem we własnym interesie. "W końcu nie mogłem rozstrzygnąć. I myślałem też o własnych spostrzeżeniach - o skazach, które wykryłem w duszy Maslina, i o tym jak najlepiej można je wykorzystać. Niewiele się to różniło od sztuki szpiegowania, której nauczyła mnie Fedra, a jednak istniała różnica,

Wiedziałem, jak mógłbym wykorzystać Maslina.

Jestem synem mojej matki.

A jednak zrezygnowałem. Ta świadomość radowała moje serce. Na tym polega sekret daru Kusziela dla jego potomków - na umiejętności odczytywania tajemnic ludzkiej duszy, używanej do czynienia dobra lub zła, i można odrzucić ten dar. Nie musi zostać wykorzystany.

W tym, pomyślałem, leży prawdziwa siła.

Gdy wróciliśmy do Miasta Elui, zapadał zmierzch, długie błękitne cienie kładły się na białych murach miejskich. Przemarznięci i wygłodniali, chuchaliśmy na zgrabiące palce, wjeżdżając na wąski dziedziniec. We wszystkich oknach rezydencji paliły się światła. Po raz pierwszy, tu tutaj, w tym miejscu, odniosłem głębokie wrażenie, że wracam do domu. Wpadliśmy do ciepłego salonu, gdzie węgle żarzyły się w koszach, gdzie na marmurowym postumencie stało popiersie subtelnie uśmiechniętego Anafiela Delaunaya.

- I jak? - Fedra wsparła się pod boki, oczy jej się skrzyły.

Widziałem w nich wiele uczuć - ulgę, troskę, ciekawość. I miłość zawsze miłość. Tak wiele miłości, że zakręciło mi się w głowie, tak wiele, że zabołało mnie serce.

- Jak poszło?

- Dobrze - Uśmiechnąłem się do niej i do Joscelina, który stał obok.

Jego kasjelicki stoicyzm nie zdołał zamaskować wielkiej ulgi i radości mojego bezpiecznego powrotu. Pozwolenie, bym jechał bez jego ochrony wiele go kosztowało. - Było dobrze. Cieszę się, że to zrobiłem.

Świętowaliśmy tej nocy przy długim posiłku, siedząc gromadą przy stołach. Nie mógłbym powiedzieć, co właściwie świętowaliśmy. Wiem tylko, że byłem rad z wyjazdu i rad z powrotu, i było mi lżej na sercu niż w czasie pierwszej wizyty w Lombelonie.

Rozkoszowałem się tą chwilą i pragnąłem, żeby nic się nigdy nie zmieniło.

## SIEDEM

---

Urosłem tej zimy w Mieście Elui.

Jak gdybym, dając Lombelon Maslinowi, przestąpił niewidzialny próg, ruszyłem z lat chłopięcych ku wiekowi męskiemu i moje ciało starało się dotrzymać kroku zachodzącej we mnie przemianie. Miałem wrażenie, że moje kości wydłużają się z dnia na

dzień, i czasami bolały. Mój głos, który łamał się przez większą część roku, osiągnął niższe rejestry.

Sam sobie wydawałem się dziwny. Chociaż tego pragnąłem, to kiedy nadeszło, czułem się niepewnie we własnym ciele. Ręce i nogi wydawały się za długie, dłonie i stopy za wielkie. Nigdy w życiu nie byłem niezdarny, a teraz wpadałem na różne rzeczy, traciłem równowagę.

Joscelin śmiał się ze mnie.

Ćwiczyliśmy kasjelicki styl walki na zimnym wewnętrznym dziedzińcu. Choć wciąż był ode mnie wyższy i miał większy zasięg rąk, jego przewaga zmaląła, co wcale nie znaczyło, że odnosiłem z tego większe korzyści. Zwykle przeliczałem się z własnymi siłami, miotałem się, młóciłem powietrze rękami, moje stopy ślizgały się na oszronionych kamieniach.

W przeciwieństwie do mnie, Joscelin nigdy nie wykonał niepewnego kroku. Każdy jego ruch był kontrolowany i precyzyjny. Czasami porównywałem swoje ruchy z jego płynną gracją i stwierdzałem, że pozostawiają wiele do życzenia.

- Tobie to się nigdy nie zdarzyło - poskarżyłem się.

- Ależ zdarzyło. - Uśmiechnął się szeroko i przymrużył oczy, błękitne niczym letnie niebo. - W Bractwie nazywaliśmy ten okres zrebięcymi latami. Każdy przez nie przechodzi. Nie martw się, wyrośniesz.

Żrebięce lata. Dobre określenie. Tak właśnie się czułem, na wpół wyrośnięty, niezgrabny i tyczkowaty. Przeżyłem szok, gdy pewnego razu spojrzałem na Fedrę i spostrzegłem, że jestem wyższy od niej. Widziałem zrozumienie na jej twarzy, przemieszane z gorzko- słodkim smutkiem.

- Ach, skarbie - szepnęła, dotykając mojego policzka. - Nie rośnij za szybko.

Trudno jest tkwić pomiędzy jednym stanem i drugim. Kiedy udałem się na dwór, znów czułem się skrępowany. Już nie byłem dzieckiem i lu dzie patrzyli na mnie inaczej, z namysłem i szacująco.

W typowy dla młodzieży egocentryczny sposób przypuszczałem, że wszyscy będą mówić o tym, że przekazałem Lombelon synowi Izydora d'Aiglemorta. Wydawało się jednak, że nikt nie jest szczególnie zainteresowany losem drobnej posiadłości, z którą nie wiązał się żaden tytuł a bękarci potomek arystokraty nie stanowił wyjątku w Terre d'Ange Gdyby d'Aiglemort uznał syna i go adoptował, sytuacja mogłaby wyglądać inaczej, ale nie doczekał jego narodzin.

Maslin nie był księciem krwi.

W przeciwieństwie do mnie.

Na szczęście, nie usłyszałem też żadnych wieści o mojej matce. Gdziekolwiek przebywała, zapadła się pod ziemię i nic nie zapowiadało, że znów się wyłoni. Listy od niej przestały napływać. Fedra regularnie ko respondowała ze swoimi znajomymi w La Serenissimie i w innych mia stach, i znikąd nie otrzymała żadnych wiadomości.

A jednak jej wspomnienie żyło i gdziekolwiek szedłem, podążały za mną szept. Na dworze zawsze odnosiłem się do wszystkich z wyszukaną uprzejmością, ale zachowywałem rezerwę i wyrobiłem sobie opinię wy niosłego.

W połowie zimy przyszło zaproszenie na maskaradę w pałacu. To była jedna z nielicznych okazji, kiedy to uwidaczniała się przepaść dzieląca Fedrę i Joscelina. Nie cierpiałem, gdy się kłócili, jednakże w tej sprawie było to nieuniknione.

- Nie będziesz mi towarzyszyć? - zapytała. - Jestem pewna, że Błogosławiony Elua poradzi sobie bez ciebie.

Pokręcił głową.

- To Najdłuższa Noc, Fedro. Proszę o niewiele. Pozwól mi odprawić czuwanie.

— Nawet teraz? A co będzie z Imrielem?

Tego roku pierwszy raz mnie także zaproszono. Była to grzeczność ze strony Ysandy, wyraz uznania, że nie jestem już dzieckiem. Część mojej duszy pragnęła uczestniczyć w maskaradzie. Dawno temu, przed Darsa gą, byłbym zachwycony na myśl o udziale w wielkim balu z damami i pa nami w fantastycznych kostiumach. Nawet później myślałem o tym z przy jemnością. Wciąż pamiętałem spiskowanie z Fawrielą nó Dzika Róża żeby ubrać Joscelina we wspaniałą strój z lwią grzywą, darem dżebeńskiej królowej. Ale druga część wzdragała się, pragnąc czegoś prostszego, nieskazitelnie czystego.

- Co z Imrielem? - odparował Joscelin. - Pytałaś go?

Oboje wtedy popatrzyli na mnie. Skręcałem się pod ich badawczym spojrzeniem.

- Co wolisz, skarbie? - zapytała Fedra łagodnie. Otworzyłem usta i palnąłem:

- Chcę pójść z Joscelinem. Fedra uniosła brwi. - Jesteś pewien?

Nie byłem pewien, ani trochę. Joscelin miał zaskoczoną i zadowoloną minę. I dumną. Wyobraziłem sobie nas dwóch, klęczących ramię w ramię w świątyni Elui, surowych i zdyscyplinowanych. Podobał mi się ten obraz.

- Tak - odparłem. - Jestem pewien.

Moje słowa sprawiły, że Fedra obrzuciła mnie jednym ze swych głębokich, wnikliwych spojrzeń; jednym z tych, które mają mało wspólnego ze sztuką szpiegowania, a

wszystko z faktem, że nosi w sercu Imię Boga i niewiele albo wręcz nic w ludzkiej duszy nie może się przed nią ukryć.

- Jak chcesz, skarbie - rzekła krótko.

- A ty? - zapytał ją Joscelin z cierpką nutą w głosie. - Wiesz, że trwają... spekulacje.

Nie wiadomo jak rozeszła się wieść, że Fedra odbyła pielgrzymkę do świątyni Naamy. Dwór Ysandry, który nie przejmował się zbyt losem moich włości, okazywał duże zainteresowanie tym, czy najsłynniejsza kurtyzana w Terre d'Ange powróci do służby Naamie.

- Wiem. - Fedra z uśmiechem musnęła palcami zagłębienie u podstawy szyi. - Niech się zastanawiają. Ty odpowiesz czuwanie po swojemu, a ja moim sposobem.

Nie wiem, co to znaczyło, ale Joscelin wydawał się zadowolony.

I tak się stało, że w Najdłuższą Noc, kiedy cała Terre d'Ange ucztami i miłosnymi igraszkami świętuje powrót słońca i wydłużanie się dnia, ja miałem tkwić w świątyni Elui, drżący i godny pożałowania.

Pojechaliśmy samotnie, tylko Joscelin i ja, gdy słońce zapalało długie smugi czerwieni na zachodnim nieboskłonie. W całym Mieście już zaczynały się hulanki. Zmierzch osiadał na ulicach, a muzyka, krzyki i pochodnie rzucały mu wyzwanie. Pałac nad rzeką płonął światłem, wznosząca się dalej Mont Nuit odpowiadała mu własnym blaskiem. Tam też odbywała się feta, w Domu Cereusa, dla wszystkich adeptów Dworu Nocy.

Na ulicach panował tłok, powozy musiały przebijać się przez świętujące tłumy. Na ciemniejącym niebie zapalały się pierwsze gwiazdy. Zdu miało mnie opanowanie Joscelina. Siedział swobodnie w siodle, światło gwiazd połyskiwało na jego stalowych karwaszach, na rękojeści miecza sterczącej nad ramieniem. Tłum rozstępował się przed nami.

Chciałem być taki jak on.

Było mroźno. Nasze wierzchowce parskały, ich oddechy zamarzały w zimnym powietrzu. Bliżej świątyni Elui ulice stały się cichsze. Zsiadliśmy z koni, podaliśmy wodze stajennemu i weszliśmy do przedsionka. Czekali tam kapłani i kapłanki w niebieskich szatach. Przyjęli nas z uśmiechami i z powitalnymi pocałunkami.

- Dziecko Kasjela - rzekł jeden, sędziwy i czcigodny, kładąc ręce na ramionach Joscelina. - Zawsze dokonujesz słusznego wyboru. Witaj w Najdłuższą Noc.

Joscelin odpowiedział uśmiechem.

- Dziękuję, czcigodny kapłanie.

Akolitka uklęknęła przede mną, podniosła moją stopę na okryte błękitem kolano i rozsznurowała but. Balansując niezgrabnie na drugiej nodze, na potkałem spojrzenie kapłana. Było rozbawione i życzliwe, głębokie.

- Potomek Kusziela - powiedział do mnie. - Czego tu szukasz w Najdłuższą Noc?

- Nie wiem - odparłem zgodnie z prawdą.

Akolitka puściła moją stopę i stałem w jednym bucie. Marmurowa posadzka wydawała się zimna jak lód.

- Co znajdę, czcigodny kapłanie?

Zmarszczki wokół jego oczu się pogłębiły, gdy rozciągnął w uśmiechu usta.

- Miłość, dziecko! Cóż by innego? Będiesz znajdował ją i tracił, do końca. Z każdym znalezieniem i z każdą utratą będziesz pełniejszy niż wcześniej. Co z tym zrobisz, to będzie zależało od ciebie. - Położył dłoń na moim policzku i cień smutku przyciemnił jego rysy. - Ach, chłopcze. Chciałbym, żeby twoja ścieżka była łatwiejsza. Ale raduj się, że masz ko chających przewodników, którzy wskazują ci drogę.

Pokiwałem głową, nie mając pojęcia, czego się po mnie spodziewał. - Tak.

- Tak. - Poklepał mnie po policzku. - Modlę się, żeby tak było.

Jego słowa nie były do końca krzepiące, ale nie dodał nic więcej i zostawił nas. Kłęcząca akolitka zdjęła mi drugi but i wstała, z uśmiechem wskazując drogę. Boso, Joscelin i ja weszliśmy do właściwej świątyni.

Nad wewnętrznym sanktuarium nie ma dachu; świątynie Błogosławionego Elui są zawsze otwarte na niebo. W sanktuarium Elui w I^andras, gdzie spędziłem dzieciństwo, ołtarz stoi na makowym polu. Tutejszy jest otoczony przez duży park z sędziwymi dębami, zamknięty w murach z kolumnami w czterech narożnikach.

O każdej innej porze roku jest tu pełno bujnej zieleni. Teraz bezlistne korony dębów rysowały się surowo na tle nocnego nieba. O ziołach i kwiatach przypominały tylko suche łodygi, brązowe i kruche. Jedynie cyprysy i ostrokrzewy użyczały ogrodowi podobieństwa życia.

Na ołtarzu przed nami stała podobizna Błogosławionego Elui, wyrzeźbiona z wielkiej marmurowej bryły. To jeden z najstarszych istniejących posągów. Jest prymitywny wedle dzisiejszych standardów, a jednak drzemie w nim surowa siła. Elua stoi z rozpostartymi ramionami, patrząc w dół. Na lewej ręce widnieje ślad sztyleru Kasjela, rana, którą Błogosławiony Elua odpowiedział na wezwanie Boga Jedynego.

Niebiosa mojego dziadka są bezkrwiste, w przeciwieństwie do mnie.

Podeszliśmy, stąpając bezgłośnie. Ziemia była twarda i zamrznięta pod naszymi bosymi stopami, tak zimna, że aż parzyła. Dwóch innych wiernych już odprawiało czuwanie, klęcząc na lodowatej ziemi - bracia kasjelici. Mieli popielatoszare stroje zakonne i włosy związane rzemieniem na karkach. Dostrzegłem karwasze i bliźniacze sztylety, ale nie miecze. Braciom kasjelitom już nie wolno nosić mieczy w Mieście. Obaj unieśli głowy, gdy się zbliżyliśmy, i w milczeniu obrzucili Joscelina długimi spojrzzeniami.

Zignorował ich. Przez długą chwilę stał przed ołtarzem, patrząc na oblicze Błogosławionego Elui. Stałem za nim, już drżąc w nieruchomym mroźnym powietrzu, i zastanawiałem się, co myśli. Choć zakon Kasjela go wyklął, Joscelin zawsze honorował najważniejsze śluby - jego wierność była równie niezachwiana jak oddanie Kasjela samemu Elui. Zacerpnął tchu i pochylił się, żeby ucałować stopy kamiennej figury, po czym odstąpił od ołtarza. Znalazłszy z boku wolne miejsce, ukląkł i zastygł w bezruchu, z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Poszedłem za jego przykładem. Marmur ziębił mi usta, wygładzony przez tysiące tysięcy pocałunków wiernych. Oddawszy cześć, ukląknęłam obok Joscelina. Zamrznięta ziemia była twarda jak skała, nierówna i guzowata. Czułem, jak ziąb wsącza się w moje kości, i szybko przemarzły mi bosa stopy. Przysiadłem na piętach, żeby je ogrzać, i pocierałem uda rękami.

Najdłuższa Noc zapowiadała się na bardzo długą.

Nikt się nie odzywał. Z dali płynęły odgłosy świętowania Miasta, tu w murach świątyni panowały spokój i cisza. Zerknąłem ukradkowo na Joscelina. Klęczał z lekko pochyloną głową, nieruchomy jak posąg. Twarz w świetle gwiazd miał spokojną i pełną powagi.

Dokładałem wszelkich starań, żeby go naśladować.

Nakazałem wyciszyć się mojemu umysłowi i próbowałem znaleźć w swym wnętrzu jakieś spokojne miejsce, żeby kontemplować w całej oka zaśłości dar Błogosławionego Elui dla jego potomstwa. Kiedyś umiałem to robić. Tyle że to było przed handlarzami niewolników, przed Darśanem Teraz trudniej mi było wierzyć, trudniej czcić. Z drugiej strony, kto ma powody większe niż ja, by wierzyć? Jeśli nawet Elua zezwolił, by wtrącono mnie do piekła na ziemi, to nie zostawił mnie na łasce losu.

Wpatrując się w enigmatyczne oblicze Elui, zastanawiałem się tysięczny raz w życiu, dlaczego. Zastanawiałem się, czy to, co mnie spotkało naprawdę było konieczne. Jeśli tak, zastanawiałem się, czy rzeczywiście pokonałiśmy straszliwe ciemności w Darśandze. Złe myśli, złe słowa, a uczynki; tak brzmiały założenia mahrkagira i kapłanów Angry Mainu, pragnących podbić świat. I mieli w sobie moc - widziałem na własne oczy. Widziałem kapłanów kości potrzęsających śmiercią i obłędem jak bronią, za-



bijających bez jednej myśli. Zrodzona tam czarna magia starła z powierzchni ziemi potężną armię akadyjskich wojowników.

I przeciwko tym piekielnym legionom, podczas gdy inni bogowie rzucali całe armie, Błogosławiony Elua wysłał nieuzbrojoną kurtyzanę i jednego mężczyznę z mieczem.

Miłość.

Miłość spowodowała zgubę marhkagira. W końcu pokochał Fedrę. Pokochał ją tak bardzo, że chciał z niej uczynić ofiarę idealną - ofiarę, która miała przypieczętować potęgę jego władzy. Pokochał ją tak bardzo że w końcu dopuścił ją do kręgu swoich zaufanych. I wtedy go zabiła.

Zaczęły mnie boleć kolana. Zmieniłem pozycję, próbując znaleźć wygodniejsze miejsce na lodowatej ziemi. Zastanawiałem się, jak Joscelin to znosi. Z pewnością w zimnie doskwierają mu stare rany. Wielu się ich do robił w ciągu życia - strzaskane kości ramienia, długa blizna wokół klatki piersiowej, niezliczone draśnięcia. Ale jeśli dawały mu się we znaki to tego nie okazywał. Ani śladu, że łupie go w stawach. Ani śladu, że mróz wysysa ciepło z jego ciała, przemrażając go do szpiku kości.

Inni drżeli. Kątem oka widziałem, jak ruszają się od czasu do czasu. Słyszałem, jak szeleści ich odzież, jak pokaszują. Tylko Joscelin pogрузzył się w tak głębokiej kontemplacji, że niemal nie oddychał.

Kiedyś Fedra powiedziała mi, że przez całą długą noc siedział po turecku na śniegu. Było to w Skaldii, dokąd trafili w niewolę za sprawą mojej zdradzieckiej matki. A jednak Joscelin mówi, że przetrwali dzięki Fedrze, która natchnęła go nadzieją, gdy pogрузzył się w rozpacz.

„Raduj się, że masz kochających przewodników, którzy wskazują ci drogę”.

Czyżby kapłan Elui myślał, że jestem tego nieświadomy? Ze jestem niewdzięczny? Wiedziałem to aż nazbyt dobrze. Nie byłem godzien poniesionych przez nich ofiar. Żaden śmierelnik nie byłby tego wart. Nigdy o tym nie zapomnę.

W tym też nie znajdowałem radości, przynajmniej nie często. Radowanie się przychodzi mi z trudem.

Może, pomyślałem, o to chodziło kapłanowi. Nie o przypomnienie, ale o napomnienie. Wszelka ciemność, nawet ta Najdłuższej Nocy, ustępuje brzaskowi. Przeszedłem przez ciemności i wszedłem w światło. Może nie cały i zdrowy, ale żywy.

Noszę blizny Daršangi, choć tylko nieliczne są zwykle widoczne. Na moich plecach krzyżuje się kilka słabo zarysowanych linii, zagojone głębokie pręgi po biczu, i mam kereickie runy na lewym pośladku. Nie są one dziełem marhkagira. To Jagun, wódz tatarskiego plemienia Kereitów, napiętnował mnie jako swoją własność.

Umarł za to jako jeden z wielu uśmierconych przez Joscelina. Razem znaleźliśmy drogę wyjścia z ciemności i wyszliśmy w jasność po drugiej stronie piekła.

„Raduj się”.

Nocami było najtrudniej. Do zenany nie zaglądało światło dzienne. Dopiero Fedra wykoncypowała, że można podważyć deski, którymi zabito drzwi. Za nimi leżał otoczony murem ogród. Pamiętam, co czułem, gdy ujrzałem niebo, chłodne i szare, i jak oczy zaszyły mi łzami.

Gdzieś w dali horolog wykrzyknął godzinę. Było później niż myślałem. Przekrzywiłem głowę, żeby spojrzeć w nocne niebo, rozpamiętując dawne wydarzenia. Gwiazdy płonęły jasnym, zimnym ogniem. Wydawały się bliższe w Sabie, gdzie śledziliśmy konstelacje, płynąc przez Jezioro Łez w poszukiwaniu Imienia Boga. Ta noc też na swój sposób była straszna. A jednak w końcu się nam udało.

Rozmyślałem o tym, co kapłan rzekł o miłości.

„Będziesz znajdował ją i tracił, bez końca”.

Przeznaczenie wydawało się srogie, a jednak, co dziwne, słowa niosły pociechę. Kapłan nie oferował mi fałszywej życzliwości. Wolałem usły szeć trudną do przyjęcia prawdę od podyktowanego najlepszymi intencjami kłamstwa. Czeka mnie miłość i skoro ma być moja, mogę się jej trzymać. Mogę czerpać radość - z życia, z istnienia miłości. Z obcości ludzi takich jak Fedra i Joscelin. Chociaż nieprawdopodobnie wysoko ustawili poprzeczkę, mogę tylko się cieszyć, że taka odwaga i współczucie istnieją na świecie.

Mogę mieć nadzieję i dążyć do osiągnięcia ich poziomu.

Błogosławiony Eluo, pomyślałem, wybac mi. Jestem niepodobny do nich, i moja wiara pozostawia wiele do życzenia. Częstka mojej duszy nie potrafi zapomnieć. Jest gniew w moim sercu, i ciemność, której dalej się lękam. A jednak musiałem przyjść tutaj tej nocy. Użycz mi siły, a nie zaprzestanę starań, dokądkolwiek powiedzie mnie moja ścieżka.

Nie doczekałem się odpowiedzi, ale gdy patrzyłem na łagodnie uśmiechnięte oblicze Elui, ogarnął mnie spokój. Mój gniew, moje lęki, moja duma przestały się liczyć - Błogosławiony Elua stał ponad tym wszystkim. Dobrze było przyznać się w myślach do tych uczuć, otworzyć się przed nim i prosić o miłosierdzie.

Postanowiłem wtedy złożyć w ofierze cierpienia tej nocy; odpokuto wać za moje wątpliwości, za moją złość. Trzy godziny drzenia i marznię cia rozwiąły wszelkie romantyczne iluzje o moim harcie. Przyszedłem dumny i próżny, i głupi kaprys podsunął mi słowa, którymi wyraziłem gotowość czuwania. Nie mogłem marzyć, że dorównam Joscelinowi pod względem dyscypliny.

Mogłem jednak cierpieć i trwać cierpliwie w cierpieniu. Tak, to mogłem.

Większość tego, co nastąpiło później, spłowiło we wspomnieniach. Powoli mijała godzina za godziną, krzyki horologa odmierzały upływ czasu. Marzłem, zmarzłem tak bardzo, że zacząłem dygotać. Ponieważ nie chciałem przynieść Joscelinowi wstydu moją słabością, objąłem się rękami i zgiąłem w pół, czołem dotykając kolan. Czułem piętrzącą się nade mną obecność Elui, przepelnioną współczuciem i żalem. Dotknęło mnie poczucie tajemnicy, jak muśnięcie ogromnym skrzydłem. Może, pomyślałem, nawet bogowie muszą podejmować trudne decyzje, Bez słów powiedziałem Elui, że wybaczam mu to, co mnie spotkało, i że rozumiem, że było konieczne.

Potem wrażenie tajemnicy przeminęło i została tylko bezgraniczna niedola. Kulilem się i obejmowałem, kołysałem i drżałem na zamarznętej ziemi. Przenikał mnie ból do szpiku kości. Stawy mi zeszywniały i znieruchomiały, z wyjątkiem szczęki, której nie mogłem powstrzymać od klekotania. Podciągnąłem brodą wełniany płaszcz i chwyciłem w zęby materiał, żeby wyciszyć hałas.

W pewnym momencie zimno odeszło.

W Mieście wybuchła potężna wrzawa, gdy pierwsze promienie świtu rozbłysły nad wschodnim horyzontem. W pałacu, we Dworze Nocy, w całym Mieście, ludzie radowali się i pili *joie*. W świątyni Elui rozlegało się tylko stłumione postękiwanie ulgi dwóch braci kasjelitów. Joscelin Verrruil powoli uniósł głowę.

Wyczułem to. Uśmiechnąłem się sennie do bryły zamarznętej ziemi, nie unosząc głowy znad splecionych rąk. Szron skrzył się pięknie w szatym świetle brzasku.

- Imrielu! - Głos był chrapliwy, pełen niepokoju. Joscelin skoczył na równe nogi, pochylił się nade mną. - Na Eluę, co ja sobie wyobrażałem?

- Nic mi nie jest - powiedziałem, a przynajmniej próbowałem powiedzieć. Wargi miałem tak zeszywniałe, że nie mogłem nimi poruszyć, a wewnątrz ust kneblowała wełna płaszcza. Z wysiłkiem wypłułem materiał i wymamrotałem: - Daj mi spać.

- Zaraz zamarzniesz na śmierć - mruknął. - Dlaczego nic nie powiedziałeś?

Poczułem, jak wsuwa pode mnie ręce, by mnie podnieść, i zacząłem protestować.

- Nie! - wychrypiałem, przytomniejąc. - Sam dam radę.

- Messire Verreuil - odezwał się jeden z kasjelitów bezbarwnym tonem. - Pozwól nam pomóc ci przy księciu.

- Nie - szepnąłem, unosząc głowę. Napotkałem wzrok Joscelina. - Proszę.

Po chwili skinął głową. Podniósł się i cofnął o krok.

- Książę nie potrzebuje pomocy - oznajmił.

Przytomnienie nie było przyjemne. Powróciło zimno, a wraz z nim nadciągnął ból. Rozłożyłem ręce, wsparłem dłonie na zimnej twardej ziemi i pchnąłem. Zatrzeszczało mi w krzyżu, kiedy się prostowałem, i jęknąłem głośno, gdy spróbowałem wstać, stwierdziłem, że nogi nie chcą mnie słuchać.

Joscelin bez słowa wyciągnął rękę. Ująłem ją po chwili wahania, Dłoń miał ciepłą, stwardniałą i mocną. Jednym płynnym ruchem bez wysiłku poderwał mnie z ziemi.

Stałem, ślaniając się na zdrętwiałych, pozbawionych czucia nogach i zachowując pionową postawę tylko dzięki jego pomocy. Każdy mięsień w moim ciele protestował. Odetchnąłem głęboko, czując, jak zimne po wietrze parzy mi płuca. Krew jeła leniwie krążyć w moich żyłach, niosąc ból palący żywym ogniem. Najdłuższa Noc dobiegła końca, a ja ją prze trwałem. Uśmiechnąłem się do Joscelina tak szeroko, jak tylko pozwoliły na to zeszywniałe wargi.

- Dałem radę, prawda?

- Dałeś. - Joscelin przyjrzał mi się uważnie. Wykrzywił kącik ust. - Fedra mnie ukatrupi.

- Wiem. - Spojrzałem na kręcących się w pobliżu braci kasjELITÓW i władczo skinąłem głową, żeby ich odprawić: taki gest podpatrzyłem u Sydonii. Podział, bo odeszli bez słowa. Spojrzałem wtedy na posąg Błogosławionego Elui i wspomniałem skraj tajemnicy, który mnie musnął, i przysiągłem sobie w duchu dotrzymać postanowienia. Wreszcie popatrzyłem na Joscelina, który czekał cierpliwie. - Wracajmy do domu.

Powrót przebiegał powoli. Kulałem, stąpając po zamrożonej ziemi podtrzymywany silnym ramieniem Joscelina. Kiedy dotarliśmy do przed sionka, gdzie płonęły węgle w koszach, moje ciało zaczęło rozmarzać i katusze stały się nie do zniesienia. Cieszyłem się tylko, że nie ma już kasjELITÓW, którzy oglądaliby mnie w takim stanie.

W końcu Joscelin wynajął powóz, żeby zawiózł nas do domu, bo ręce drżały mi tak bardzo, że nie zdołałbym utrzymać wodzy. Owinął mnie kocem, objął mocno i dzielił się ze mną swoim ciepłem. Przez chwilę gdy nikt nie patrzył, znów czułem się jak dziecko, i było to przyjemne uczucie. W Daršandze obecność Joscelina u mojego boku oznaczała, że nikt nie może mnie dotknąć, nikt nie może mnie skrzywdzić. Tutaj jego obecność koła ból. Przytulałem się do niego, rozluźniony i rozgrzany. Rozmyślałem, jak spokojnie znosi te trudy, rozmyślałem o surowym pięknie jego profilu na tle nocnego nieba.

- Joscelinie? - zapytałem sennie. - Czy sądzisz, że kiedyś będę taki jak ty?

Popatrzył na mnie.

- A kto powiedział, że masz być taki jak ja?

- Nikt. Po prostu tego chcę, to wszystko.

Poczułem wtedy dotyk jego ust na czole, i jego ręce objęły mnie mocniej, obiecując bezpieczeństwo i ochronę.

- Skarbie! - zaczął ostrym tonem. - Nie pragnij tego, dla własnego dobra. Już jesteś za bardzo do mnie podobny.

- Nigdy dość - mruknąłem. - Nigdy za bardzo.

- Możliwe - odparł Joscelin, gładząc moje włosy. Obdarzył mnie cierpkim uśmiechem. - Nie ma obawy, skarbie. Wydaje się, że bycie tobą jest wystarczająco niebezpieczne.

## OSIEM

---

Później chorowałem, z atakami dreszczy i gorączki, które nie chciały ustąpić. Medyk zalecił długie leżenie w mocno ogrzewanym pokoju i całe kadzie słabej herbaty z miodem.

Spełniły się przewidywania Joscelina - Fedra była wściekła. Na niego, za bezmyślność, i na mnie, za głupotę. Słyszałem ich kłótnie, gdy leżałem w łóżku, ich głosy rozbrzmiewały raz wyraźniej, raz cichły w moich gorączkowych snach.

- To nie jego wina - powiedziałem do Fedry w jednej z chwil przytomności. - Sam chciałem to zrobić.

Przysiadła na brzegu łóżka, wyzymając kompres nad miską zimnej wody.

- Wiem - odparła, kładąc wilgotną szmatkę na moim czole. - Ale posunąłeś się za daleko, Imri.

- Jak ty - szepnąłem. - W świątyni Kusziela.

Fedra otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, po czym pokręciła głową.

- Gdzieś tam... - mruknęła - Anafiel Delaunay śmieje się ze mnie.

Kiedy wieści o chorobie dotarły do królowej, moja niedola znacznie się powiększyła. Nie znaczy to, że mój stan uległ pogorszeniu - pozostał niezmienny, nie licząc drobnych wahań z godziny na godzinę. Jednakże Ysandra była zagniewana - zagniewana i zmartwiona na tyle, by kazać sprowadzić mnie do pałacu, żebym kurował się pod opieką jej osobistej lekarki.

Moje protesty zdały się na nic. Był to rozkaz królewski i nieposłuszeństwo nie wchodziło w rachubę. Gdy zajechał powóz Ysandry, opatulono mnie w koce i odstawiono do pałacu, gdzie czekała komnata, przygoto wana na czas mojej rekonwalescencji.

cji. Jeśli w zamyśle miała być to kara okazała się skuteczna. Lelahia Valais, eisandzka medyczka królowej, zba dała mnie z odbierającą godność dokładnością, ugniatając i opukując moje ciało, zaglądając mi w uszy, oczy i usta; na domiar złego, pobrała próbkę moczu i stolca.

W trakcie badania odkryła piętno na moim lewym pośladku. Leżąc bezradnie na mokrych od potu prześcieradłach, czułem, jak jej chłodne palce muskają bliznę. Zadrzałem ze wstydu i z odrazy.

- Kto to zrobił? - zapytała Lelahia, ściągając brwi.

Gorączka musiała wyostrzyć moją zdolność postrzegania, bo niemal widziałem myśli przemykające jej przez głowę. Pochodziłem z domu *an guisette*, dla której ból jest przyjemnością. Pokazałem zęby w drapieźnym uśmiechu.

- Nazywał się Jagun. I nie żyje.

Wtedy wyszła, na odchodnym ordynując podawanie szeregu mikstur o paskudnym smaku. Nie wiem, czy okazały się skuteczne, czy moja choroba sama ustąpiła, ale po trzech dniach gorączka odeszła na dobre.

Zostawiła mnie osłabionego i rozdrażnionego. Są gorsze rzeczy niż przykucie do łóżka, choć z punktu widzenia czternastoletniego chłopca nie jest ich zbyt wiele. Pozwolono, by Gilot i Hugues dotrzymywali mi towarzystwa, co dla mnie było dobrodziejstwem, ale dla nich nudą, toteż zwalniałem ich z tego obowiązku, ilekroć tylko chcieli.

Miewałem gości, oczywiście. Sama królowa przyszła zapytać, jak się czuję, a i Fedra zaglądała codziennie. Przyniosła mi książki i razem gra liśmy w wiele gier salonowych, które wymyślała albo których nauczyła się od Anafiela Delaunaya. Szczególnie jedna była naszą ulubioną, jedną z jej własnych - gra w języki obce, polegająca na recytowaniu słynnych dzieł poetyckich wers po wersie, z tłumaczeniem każdego na inny język. Była zabawna, stanowiła bowiem podwójne wyzwanie. Każde z nas miało nadzieję na pogiębienie przeciwnika wyborem poematu albo przechytrzenie go znajomością obcej mowy. Przyparci do muru, ucieka liśmy do języka używanego w zenanie. Nie był to właściwie język, prę dzej gwara więzienna, i śmialiśmy się z każdego słowa jak tylko potrafią śmiać się ci, którzy przetrwali. Normalnie posługiwaliśmy się zwykłymi językami: d'angeliskirn, caerdicci, helleńskim, cruithne, skaldyjskim dżebeńskim, habiru, akadyjsim, aragońskim.

W większości przypadków przegrywałem. Fedra ma talent do języków obcych i włada nimi doskonale. Jednakże od czasu do czasu zdarzało mi się wygrać. Mówię po dżebeńsku równie dobrze jak ona, a ona słabo zna aragoński, którego ja się uczyłem.

Były inne gry pamięciowe i wiedziałem, że wymyślił je Delaunay, obyty ze sztuką szpiegowania. Wzięliśmy na cel braci kasjELITÓW, którzy czuwali z nami w świątyni w Najdłuższą Noc, i Fedra kazała mi powiedzieć o nich wszystko, co wydedukowałem.

- Stroje mieli podniszczone i połatane - zacząłem. - Byli starsi, po czterdziestce, i niezadowoleni z obecności Joscelina. - Wzruszyłem ramionami. - Przypuszczam, że w młodości służyli w pałacu i wciąż są oburzeni z powodu utraty pozycji. Skoro pozostali w Mieście, pewnie znaleźli służbę w jakimś mniej ważnym szlacheckim domu, a może dla kogoś z wielkich rodów nastały złe czasy. Wciąż mają do niego pretensje, że odprawiono ich z dworu.

Pokiwała głową.

- Czy stanowili zagrożenie?

Myślałem o tym. Kiedyś bractwo kasjELITÓW cieszyło się znacznym prestiżem. Dwóch kasjELITÓW na zmianę przez cały czas towarzyszyło staremu królowi Ganelonowi, dziadkowi Ysandry. Jej też, dopóki jeden nie podjął próby zamachu na jej życie. Joscelin zapobiegł zabójstwu, lecz nastąpiło to po wyklęciu go przez bractwo.

- Nie sędzę - odparłem szczerze. - Tylko ślad złej woli.

- Dobrze - oznajmiła Fedra, marszcząc czoło. - Powiedziałbyś mi, gdyby było coś więcej? - Tak. - Objąłem rękami kolana. - Nadal jesteś na niego wściekła?

- Na Joscelina?

- Tak. - Wsparłem podbródek na rękach. - Jesteś? Westchnęła.

- Trochę.

- To była moja decyzja - powtórzyłem z uporem. - Pozwolił mi ją podjąć. Czy to takie złe?

- Nie. - Spojrzenie Fedry stało się nieprzyjemnie przenikliwe. - Wiem, Imri, musisz pogodzić się z Eluą. Wierz mi, wiem. Ale dopóki nie osiągniesz pełnoletności, nie zawsze będziesz mógł o wszystkim decydować. Joscelin wie o tym równie dobrze jak ty.

Skrzywiłem się, wiedząc, że to prawda.

- Gdzie się tego nauczył? - zapytałem, wymyślając pytanie, żeby ode rwać jej uwagę od dotychczasowego tematu. - Chodzi mi o Delaunaya.

Gdzie nauczył się sztuki szpiegowania? Udało się. Z zadumą ściągnęła brwi.

- Nie wiem - odparła w końcu. - Też się nad tym zastanawiam. **To** czego nas nauczył, Alcuina i mnie... - Pokręciła głową. - Tego nie nauczają w żadnej akademii ani

w wojsku, nie w Terre d'Ange. Nie przychodzi mi na myśl żadne miejsce w naszym kraju, gdzie mógłby się tego nauczyć. Pozostaje więc...

- Tyberium - szepnąłem.

- Tyberium - zgodziła się, nagradzając mnie roztargnionym uśmiechem. - Uczęszczał na tamtejszy uniwersytet. Ale kto? Dlaczego? Czegoś takiego nie ma w oficjalnym programie nauczania. - Patrzyła w dal, rozpamiętując. - Raz kiedyś zapytałam o to maestra Gonzagę.

- Co powiedział? - Nie znałem osobiście maestra Gonzagi de Escaba resa, ale nazwisko nie było mi obce. To aragoński historyk, jeden z nauczycieli Delaunaya na Uniwersytecie Tyberyjskim. Wiele lat później moja matka wybrała go na nieświadomego swej roli posłańca.

- Nic - odparła Fedra. - Wyparł się jakiegokolwiek wiedzy.

- Wierzysz mi? - zapytałem. Uśmiechnęła się do mnie.

- Nie. Ani przez chwilę.

Miałem też innych gości. Alais przychodziła równie często jak Fedra, i cieszyłem się z jej towarzystwa. Graliśmy w karty, Alais powtarzała mi pałacowe plotki. Jak na tak małą dziewczynkę, wiele słyszała i rozu miała.

W większości chodziło o błahostki. Ysandra jest silną władczynią i na wet ja, któremu trudno było ją kochać, musiałem to przyznać. Początki jej panowania były trudne, najeżone wyzwaniem i obfitujące w niepokój, ale teraz panuje pokój i dostatek. Jej ślub z cruarchą Alby umocnił oba królestwa.

A jednak mariaż ten jest również trwałym źródłem niezgody, ponieważ w Albie dziedziczenie ma charakter matrylinearny.

Tak jest w zwyczaju Cruithne'ów od niepamiętnych czasów. Pódejmowano próby, żeby zmienić obowiązujący stan rzeczy - podczas jednej z nich uzurpator sięgnął po koronę Drustana. Drustan odzyskał ją w bitwie pod Bryn Gorrydum, odnosząc triumf nad Maelconem Uzurpatorem jako prawdziwy i prawowity dziedzic starego cruarchy, swojego wuja.

To kwestia sporna i trudna. Zgodnie z tradycją Cruithne, następcą Drustana powinien zostać syn jego siostry, i on sam żywił głębokie przekonanie, że jakiegokolwiek inna decyzja byłaby zdradą jego ludu. Nie bez powodu - Maelcon Uzurpator był synem starego cruarchy. Pogwałcenie tradycji podkopałoby roszczenia Drustana. Choć nie ogłosił formalnych deklaracji, w Albie za jego następcę powszechnie uważa się Talorcana, najstarszego syna jego siostry Breidai.

DAngełowie mają odmienny punkt widzenia.



Nie podoba im się pomysł przekazywania prawa do tronu Alby osobie zupełnie i całkowicie obcej, Cruithne'owi bez żadnych związków krwi z Terre d'Ange. Jeszcze bardziej nie odpowiada im to dlatego, że moja kuzynka Sydonia, córka Drustana i Ysandry, od chwili narodzin jest uznaną delfiną Terre d'Ange. To podwójna niekorzyść dla Terre d'Ange.

Jeśli możnowładcy zgodzili się zaakceptować Sydonię jako następczynię Ysandry, choć jest w połowie Cruithne, to chcieli czegoś w zamian. Chcieli, żeby Drustan wyznaczył na swego dziedzica kogoś z d'angelińską krwią w żyłach, najlepiej Alais. Obawiali się, że jeśli tego nie uczyni, wpływy Alby w Terre d'Ange wzrosną, podczas gdy nasze wpływy w Albie zmaleją.

- Czy tego chce twoja matka? - zapytałem Alais pewnego dnia, szczerze zaciekawiony.

Siedziała ze skrzyżowanymi nogami na moim łóżku, z powagą na drobnej buzi.

- Szczerze? Tak, choć nie jest skłonna oznajmić tego publicznie. Jeszcze nie. Chce, żeby ojciec mianował mnie swoją następczynią.

- Jak sądzisz, zrobi to? Alais pokręciła głową.

- Nie - odrzekła ponuro. - Chyba nie może. - Urwała, ściągając ciemne brwi. - Oni nie są tacy jak my, prawda, Imri? Ich kobiety nie zapalają świeczek Ejszet.

- Nie. Nie zapalają.

Milczeliśmy przez chwilę, zastanawiając się nad tajemnicami poczęcia, o których nie mieliśmy wiedzy z pierwszej ręki. Na tym polega jeden z darów Ejszet dla kobiet Terre d'Ange - nie poczynają, dopóki nie powezmą takiego postanowienia, zapalając świeczkę ku jej czci i modląc się, żeby otworzyła bramy ich łona. Mimo to nie ma żadnej gwarancji - mogą minąć lata, nim modły zostaną wysłuchane.

I modlitwy, gdy raz została zmówiona, nie można odwołać.

Są d'angelinskie kobiety, które urodziły niechciane dzieci.

Niewiele, bo gwałty są zbrodnią herezji, karaną śmiercią. A jednak się zdarzają, podobnie jak omyłki sądów.

- A ty czego chcesz? - zapytałem Alais. Wsparła podbródek na rękach.

- Nie miałabym nic przeciwko - odparła. - To znaczy, władaniu w Albie. Ale do tego nie dojdzie, więc nie wiem... Wiesz, czego chcę?

Pokręciłem głową.

- Nie, Powiedz mi.

- Chciałabym nauczyć się władać mieczem. - Jej twarz pojaśniała. Nauczysz mnie, Imri? Nikt inny na to nie przystanie.

Otworzyłem usta, żeby wyrazić sprzeciw, a obecni w pokoju gwardziści zaczęli się podśmiewać. Patrzyłem, jak zapał gaśnie w oczach Alais. Pomyślałem o zasłyszanych historiach, o Grainnie z Dalriady, która pojechała na wojnę wraz ze swoim bratem w wiklinowym rydwaniu, i walczyła z zaciekłością mężczyzny. Przypomniałem sobie o Darśandze i tamtejszych kobietach. Oczyma duszy ujrzałem rękę Kaneki zakrywającą od tyłu usta Gasztahama, i błysk jej sztyletu. Krew trysnęła z gardła kamaga i Fedra wyciągnęła mnie z tej czerwonej ulewy.

- Będę zaszczycony - oznajmiłem, kłaniając się na siedząco. - Księżniczko.

Alais się rozpromieniła.

Nazajutrz posłałem Gilota do domu Fedry po parę drewnianych mieczy ćwiczebnych, ale to Joscelin je przyniósł. Uradowany jego widokiem wygramoliłem się z łóżka i zarzuciłem mu ręce na szyję.

- Spokojnie, skarbie! - Zaśmiał się. - Masz jeszcze leżeć w łóżku. Skrzywiłem się.

- Jestem już tym zmęczony. Popadłeś w niełaski? Stęskniłem się za tobą.

- Tylko trochę. - Joscelin lekko wzruszył jednym ramieniem.

- Przykro mi. Uśmiechnął się do mnie.

- Wiem. Tak, obaj zostaliśmy ukarani za naszą głupotę. Co to za po myśl z nauką księżniczki Alais władania mieczem?

- Poprosiła - odparłem krótko. - A ja się zgodziłem.

Joscelin pokiwał głową, jakby to była najrozsądniejsza decyzja pod słońcem.

- Przyniosłem też sztylety - powiedział. - Lepiej zacząć od nich, miecze są ciut za ciężkie.

Tak oto odzyskiwałem siły, ucząc moją młodą kuzynkę władania bronią. Zacząłem od podstaw, przekonany, że niedługo jej zainteresowanie przygaśnie. Jeśli nawet niczego więcej, to zdołam nauczyć ją przynajmniej trzymania broni i pokażę miejsca na ciele przeciwnika, które są najmniej chronione i najłatwiejsze do zadania ciosu.

Ku własnemu zaskoczeniu stwierdziłem, że nasze ćwiczenia są doskonałą zabawą. Alais okazała się pojętną uczennicą i miała zwinne ręce. Kiedy nauczyłem ją kilku podstawowych pchnięć i zasłon, wymyśliliśmy zabawę. Grając role opryszków i bohaterów, ganialiśmy się po sypialni pod okiem rozbawionych strażników. Z początku ich obecność mnie irytowała, ale Alais bawiła się tak dobrze, że dawałem się porwać zabawie. Z czasem nauczyłem się na nich nie zważać.

Alais była sprytna i zwinna, klucząc wśród koszy z węglami, przemykając pod draperiami, robiąc fikołki na łóżku. Gonilem za nią chwiejnym krokiem, nękany przez zawroty głowy i szybko się męcząc. Z początku kilka razy byłem zmuszony skapitulować, śmiejąc się i łapczywie chwytając powietrze. Minęło kilka dni, zanim stanąłem na nogach dość pewnie, żeby złapać ją bez znacznego wysiłku.

W trakcie jednej z takich zabaw złożyła mi wizytę księżniczka Sydonia.

Gwardzista zapowiedział ją akurat w chwili, gdy przyparta do muru Alais wrzasnęła przeraźliwie i rozpoczęła przeciwnatarcie. Śmiałem się za głośno, żeby słyszeć cokolwiek innego. Odpierałem jej atak, zataczając się i sięgając do jej ręki ze sztyletem. Oboje straciliśmy równowagę i padliśmy na łóżko. Przekręciłem się, znalazłem na wierzchu i przycisnąłem ją do materaca.

- Poddaj się, opryszku! - krzyknąłem, unosząc drewniany sztylet. Alais chichotała, zadyszana, aż dostała czkawki.

- Puść ją!

W słowach pobrzmiwał niedwuznaczny ton rozkazu, oschły i wściekły. Odwróciłem głowę i zobaczyłem stojącą w drzwiach Sydonię. Jej szczupła postać była sztywna, twarz miała bladą i napiętą, a czarne oczy szeroko otwarte, zasnuwane mgłą grozy i furii.

Ukląknę na łóżku, otworzyłem rękę i upuściłem sztylet. Strażnicy podeszli niepewnie.

- Stać - poleciłem im. - Witaj, kuzynko - zwróciłem się z rezerwą do Sydonii.

Ze świstem wciągnęła powietrze i spojrzała na siostrę.

- Alais?

- A już go miałam! - poskarżyła się Alais. - To znaczy, mało brakowało. - Podniosła się na kolana i mocno uderzyła mnie w ramię drewnianym ostrzem sztyletu. - Wszystko zepsułaś, Sydonio!

- Byłaś daleka od celu. - Zmierziłem jej włosy i dałem sójkę w bok. - Idź do siostry, opryszku. - Patrzyłem, jak zeskakuje z łóżka. - To zabawa - wyjaśniłem Sydonii. - Bawimy się w nią od wielu dni. - Postukałem palcem w drewniany sztylet. - Widzisz?

Pokiwała głową, powoli i nieufnie.

- Rozumiem. Wybacz mi, kuzynie.

- Wasza Wysokość? - odezwał się nerwowo jeden z gwardzistów. - Czuwamy od samego początku. Nie było powodu... Sydonia uniosła rękę.

- Rozumiem - powtórzyła. - Kuzynie Imrielu, rada jestem, że wracasz do zdrowia. Może będzie lepiej, gdy przyjdę kiedy indziej.

Natychmiast poczułem zmęczenie i smutek.

- Dlaczego pomyślałaś, Sydonio, że może chodzić o cokolwiek innego? Kto ci powiedział, że trzeba się mnie bać?

Alais przenosiła spojrzenie z siostry na mnie i mądrze trzymała język za zębami.

- Zbyt wielu - mruknęła Sydonia. - Przepraszam, Imrielu. - Na chwilę opadły jej szczupłe ramiona; wyprostowała je z wysiłkiem i wyciągnęła rękę do siostry. - Chodź, Alais.

Patrzyłem za nimi: dwie małe osóbkę, jasna i ciemna. Chciałem się złościć, a jednak wcale nie byłem zły. W tej chwili złość wydała się zbyt wielkim brzemieniem. Strażnicy wyszli za nimi, obrzucając mnie nie pewnymi spojrzeniami.

Po ich wyjściu spakowałem swoje rzeczy. Nie miałem ich wiele - kilka sztuk ubrań, łącznie z wykwinnym ciemnoniebieskim szlafrokiem z je dwabiu, podarunkiem od królowej, do tego dwie książki przyniesione przez Fedrę i drewniane sztylety o posiekanych ostrzach, z wypolero wanymi gładkimi rękojeściami. Pogładziłem wytarte drewno, w pa mięci słysząc echo śmiechu Alais, widząc szok i przerażenie na twarzy Sydonii.

Wyszedłem z komnaty. W korytarzu za drzwiami wałkonił się gwar dzista, odziany w błękitne barwy rodu Courcel. Na małym palcu lewej ręki miał pierścień z litego srebra, subtelny znak, że należy do straży przy bocznej królowej. Gdy mnie zobaczył, z drgnieniem stanął na baczność.

- Wasza Wysokość! Nie powinienes...

- Tak - przerwałem mu ze znużeniem w głosie. - Wiem. Gdzie moi zbrojni?

-W Sali... Gier - wyjąkał. - A- ale... Obrzuciłem go długim, twardym spojrzeniem.

-Zaprowadź mnie tam.

Posłuchał bez dalszych dyskusji, prowadząc mnie długą galerią z ozdobną balustradą i po szerokich marmurowych schodach na główne piętro pałacu.

Sala Gier jest wielka i z reguły gwarna, otoczona przez kolumnadę do spacerowania. Znajdują się tam stoły do różnych gier i zakładów, a także zakątki przeznaczone do rozmów, z wygodnymi fotelami i niskimi kanapami. Poza reatrem jest to największe pomieszczenie we właściwym pałacu, większe nawet od komnaty audiencyjnej. Podobno w jego obrębie załatwia się połowę interesów w Terre d'Ange.

- Książę Imrielu! - Naczelnny strażnik zsalutował, wymieniając podejrzliwe spojrzenie z gwardzistą, który mi towarzyszył. - Nie powinienes...

- Gdzie najemni z Montrève? - zapytałem chłodno.

Uciszył się i wskazał ręką. Śledząc kierunek, ruszyłem przez tłum wielmożów do Zakątka Kości. Strażnicy Ysandry pociągnęli za mną.

Był to znajomy dźwięk; grzechot kości potrząsanych w kubku i turlających się po stole. Na całym świecie mężczyźni grają dla przyjemności i zawierają zakłady. Ja jednak słyszałem go w zenanie, gdzie kobiety zasięgały rady wyroczni Kaneki, żeby się dowiedzieć, kiedy wezwie je marhkagir. Kaneka rysowała na piasku w tacy kręgi, które oznaczały dzień, tydzień, miesiąc.

Tylko Fedra wyrzucała pojedyncze oczka. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu.

Odgłosy i zbudzone przez nie wspomnienia sprawiły, że poczułem się niepewnie. Przeceniłem własne siły i teraz za to płaciłem. Straciłem równowagę, potrącając wysokiego szlachcica w rdzawoczerwonych aksamitach, ze złotym jedwabiem widocznym w rozcięciach rękawów. Spojrzał na mnie z rozdrażnieniem, po czym się opanował; jego rysy stały się dyplomatycznie gładkie. Aż nazbyt dobrze wiedziałem, co zobaczył: mnie, chudego i bladego, stojącego niepewnie na nogach, z oczami zapadniętymi w głąb ciemnych oczodołów. Zobaczył syna zdrajczyni, któremu musiał złożyć uszanowanie.

- Wasza Wysokość- powiedział, leciutko skłaniając głowę. - Wybacz mi.

- To moja wina - odparłem ochryple. - Przepraszam.

Uniósł jedną idealnie zarysowaną brew.

- Skoro tak mówisz.

W końcu udało mu się mnie rozzłościć. Gwardzista Ysandry pałętał się za moimi plecami, nie kwapiąc się z odsieczą. Nieznany szlachcic patrzył na mnie z góry. Miałem ochotę splunąć mu pod nogi, napluć na wyglansowane buty, i żałowałem, że nie jestem plebejuszem, który mógłby to uczynić.

- Kuzynie! - Głos poniósł się nad tłumem, lekki i przyjazny. Uniosłem wzrok i zobaczyłem, że zbliża się mężczyzna z rodu Szachrizaj. Widziałem go wcześniej, był to ów młodzian parę lat starszy ode mnie. Podszedł i uściśnął moje przedramię. Uśmiechał się, pewny siebie, czarne jak noc warkoczyki okalały jego twarz o wyraziście zarysowanych kościach policzkowych.

- Pamiętasz mnie? - zapytał, przymrużając oko.

- Tak - odparłem, przypominając sobie jego imię. - Jesteś Mavros.

- Zgadza się. - Spojrzał na szlachcica z uśmiechem zarazem uprzej- mym i groźnym. Zdawało się, że bije od niego ciepło, swawolne i dra- pieżne. - Proponuję ci odejść, messire Bauldry. A może... wybacz... może szukasz zwady?

- On mnie potrącił! - wycedził Bauldry.

- Doprawdy? - wycedził Mavros. Uniósł brwi, wciąż miło uśmiechnięty. - Skoro tak mówisz...

Sam nie wiem, jak to się stało, ale odwrócił sytuację i byłem mu za to wdzięczny. Odwzajemniłem uścisk, rad po raz pierwszy z widoku twarzy która stanowiła odzwier- ciedlenie mojej. Obaj parsknęliśmy śmiechem gdy messire Bauldry oddalił się ciężkim krokiem.

- Kim on jest? - zapytałem.

- Nikim - odparł rozbawiony Mavros. - Drobnym paniątkiem z ambicjami. Słuchaj, Wasza Wysokość...

- Imrielu! - Gilot oderwał się od stołu do gry w kości i śpieszył w na szą stronę. - Co tutaj robisz? Powinieneś wypoczywać.

- Już wypocząłem - rzuciłem z rozdrażnieniem. - Chcę wrócić do domu.

Gilot przegarnął ręką potarganą kasztanową czuprynę.

- Królowa Ysandra...

- Z pewnością królowa nie odmówiłaby krewnemu zgody na powrót do wygod domo- wych pieleszy - zauważył rozsądnie Mavros. - Nie po zniewadze, jaka spotkała go pod jej dachem! - Położył rękę na moim ramieniu, wciąż uśmiechnięty. - Szachrizaj nie przyzwalają w ten sposób traktować krewnego.

Gilot spojrział na mnie z niedowierzaniem.

- Ktoś cię znieważył? To prawda?

- Tak - przyznałem.

Tak, choć ja myślałem o kimś innym niż Mavros. A jednak dobrze było mieć u boku sprzymierzeńca, który wiedział, jak bez wysiłku manewrować wokół zdradli- wych mielizn dworskiej intrygi. Westchnąłem.

- Gilocie, daj temu spokój. Nic mi nie jest. Poświadczy to lekarka królowej. Nie chcę dalszego zamieszania. Chcę wrócić do domu, to wszystko.

- Zgoda, Imri. - Jego twarz złagodniała. - Znajdę Huguesa i zabierzemy twoje rzeczy. Zostań tu, przyjdę po ciebie. - Poklepując kieszenie, uśmiechnął się szeroko. - Pora ruszać w drogę! Jestem prawie zupełnie splukany.

Gdy Gilot zniknął w tłumie, Mavros poprowadził mnie ku kolumnadzie, odgadując, że czuję się zakłopotany.

- Przejdźmy się - zaproponował. Spacerowaliśmy razem. Pojaśniało mi w głowie, gdy odeszliśmy na tyle, że przestałem słyszeć grzechot kości.

- Dziękuję - powiedziałem. Wzruszył ramionami.

- Nic wielkiego. - Spojrzał na mnie z ukosa. - Ten zbrojny traktuje cię poufale. Czy jest twoim kochankiem?

Żar sparzył mi policzki.

- Gilot?

- Mniejsza z tym. - Mavros zaśmiał się cicho. - Ach... Imri, czy tak cię nazywają?

- Czasami. - Odsunąłem się od niego.

- Przepraszam. - Mavros przystanął, odwrócił głowę. Wszystko się zmieniło; jego ton, jego zachowanie. Był teraz pełen powagi. - Kuzynie Imrielu, jesteś ostatnią osobą na ziemi, którą chciałbym obrazić. Zapomniałem, że zostałeś wychowany inaczej niż ja. Nawet nie będę próbował zgadnąć, ile wycierpiałeś. Odezwałem się nieopatrnie. Czy możesz mi to wybaczyć?

Przyglądałem się jego twarzy. Nie doszukałem się śladu kłamstwa. Bez względu na powody, mówił ze mną szczerze. Powoli pokiwałem głową.

- Dobrze. - Mavros odetchnął z ulgą, pokręcił pełną warkoczyków głową i uśmiechnął się do mnie. - A zatem wolisz dziewczęta?

Pomyślałem o Trzynastu Domach Dworu Nocy... pomyślałem o Katherine Friote, i o zapachu jej skóry, przyjemnym jak aromat rozgrzanej przez słońce łąki. Na miłe wspomnienie nałożył się smród zenany, od rażający smród wody stojącej w basenie. A jednak wszystko to budziło pożądanie. Coś ścisnęło mnie za gardło.

- Tak - wymamrotałem. - Pewnego dnia.

- Czy boisz się swoich pragnień? - zapytał Mavros. Mogłem tylko bez słowa skinąć głową. Uśmiechnął się i powtórzył mój gest.

- Nie bój się. Masz powody, a Kusziel jest miłosierny. - Znow położył rękę na moim ramieniu, ścisnął je lekko. - Pomyśl o naszej propozycji, kuzynie. Nadal obowiązuje.

Wyszłoby ci na dobre, gdybyś zaznajomił się ze swoimi krewnymi. To rzekłszy, odszedł.

Patrzyłem za nim, gdy kroczył z niewymuszonym wdziękiem, z kciu kami wsuniętymi za pas. Zostałem sam z moimi myślami. Szedłem po woli kolumnadą w towarzystwie zaniepokojonego gwardzisty Ysandry.

Jakiś czas później Gilot i Hugues przyszli po mnie, a wówczas wysłałem strażnika ze związłymi wyrazami wdzięczności dla królowej. Jeśli Ysandra się dowie, co zaszło, zrozumie, dlaczego odszedłem; jeśli nie cóż, nic nie zmieni faktu. Wracalem do zdrowia i nie miałem powodu przebywać w pałacu do końca rekonwalescencji. Gdyby nie Alais, być może odszedłbym wcześniej.

Gdy przybyliśmy do rezydencji, wybuchło zamieszanie, choć na szczęście nie tak wielkie, jak się obawiałem. Fedra rzuciła na mnie okiem i poleciła mi położyć się do łóżka. Nie próbowałem się spierać, zmęczony do szpiku kości.

Wieczorem, po paru godzinach snu i lekkiej kolacji, wydobyła ze mnie relację. Pewne rzeczy łatwiej jest powiedzieć Fedrze niż komukolwiek innemu, i ta się do nich zaliczała. Teraz incydent wydawał się niemal głupi, i sam czułem się głupio, gdy o nim opowiadałem. A jednak, kiedy zamknąłem oczy, nadal widziałem przerażenie na twarzy Sydonii, głęboko przekonanej, że morduję jej siostrę. Fedra zrozumiała. Nie musiałem jej mówić, że to boli, ani wyjaśniać, dlaczego.

- Przykro mi, skarbie - powiedziała, gdy skończyłem mówić. —Tak mi przykro.

Wzruszyłem ramionami, siedząc oparty o poduszki.

- Nie powinienem mieć do niej żalu, naprawdę. Widziała to, co widziała. - Opierając podbródek na kolanach, uśmiechnąłem się lekko. - Naprawdę postąpiła dzielnie, podnosząc taki krzyk. Jak ty wtedy w zenanie, pamiętasz?

- Pamiętam - odparła Fedra cicho. - Ale ja miałam powód. Umilkliśmy wtedy, rozpamiętując tamte wydarzenia. Było to wówczas, gdy posłano mnie, bym służył Jagunowi po tym, jak znęcało się nade mną kilka Chowatek. Nie miały ku temu powodu, wyjąwszy fakt, że okrucieństwo rodzi okrucieństwo. Fedra nieczęsto podnosi głos, ale owego dnia trzasnęła niczym bicz. Sądzę, że w owej chwili kobiety w zenanie zaczęły wierzyć, że bogowie Terre d'Ange nie są wcale tacy łagodni jak uważały.

Myśląc o zenanie, przypomniałem sobie grzechot kości w Sali Gier, i Mavrosa Szachrizaj śpieszącego mi z pomocą.

- Fedro? Czy diuk Faragon wystosował prośbę o przysłaniu kilkorga Szachrizaj na lato do Montrève?



- Skąd wiesz? - Przekrzywiła głowę, patrząc na mnie. - Odebrałam jego list w ubiegłym tygodniu. Czekałam, aż poczujesz się lepiej, żeby to omówić. Możemy porozmawiać później, Imri. Jest dość czasu do namysłu.

- Wiem. Ale nie muszę się namyślać. Jeśli się zgodzisz, chciałbym, żeby przyjechali.

Fedra nie kryła zaskoczenia. Nie powiedziałem jej o incydencie w Sali Gier. - Jesteś pewien? Skinąłem głową.

- Jestem pewien.

- Dobrze - powiedziała i pochyliła się, żeby pocałować mnie w policzek. - Porozmawiamy o tym. - Gdy się wyprostowała, w jej oczach błysnęło rozbawienie. Z jakiegoś powodu pomyślałem o moim czuwaniu w Najdłuższą Noc, co mi przypomniało, że ciemność przemija i że w życiu nie brakuje powodów do radości. - To powinno być interesujące.

## DZIEWIĘĆ

---

Zima ustąpiła wiosnie, a ja skończyłem piętnaście lat. Najlepszy prezent z tej okazji dostałem od Joscelina, który zamówił dla mnie dwa sztylety w kasjelicznym stylu. Razem z Fedra wymyślili, żeby zrobić pochwy pasujące do pasa ze skóry nosorożca, jednej z najcenniejszych rzeczy w moim posiadaniu.

Królowa wydała prywatną kolację na moją cześć i spotkanie mogłoby być przyjemne, gdyby nie niezręczna uprzejmość, z jaką odnosiliśmy się do siebie z Sydonia. Żadne z nas nie wróciło do tamtego zdarzenia. Było mi przykro z powodu Alais, która niezupełnie rozumiała, dlaczego **ulu** biony kuzyn zaczął jej unikać. Choć spostrzegawcza, pewnych rzeczy nie mogła pojąć z powodu młodego wieku.

- Szkoda, że odwiedzasz mnie tak rzadko - poskarżyła się. - Czujesz się lepiej, prawda?

- Znacznie lepiej - odparłem. Długotrwałe następstwa mojej choroby wreszcie przeminęły, zostawiając mnie chudym, ale mocnym. - Przepraszam, Alais. Byłem zajęty, to wszystko.

Zmarszczyła nos.

- A co robiłeś?

- Ćwiczyłem walkę z opryszkami.

Tymi słowami zasłużyłem sobie na zdeglustowane spojrzenie. Alais ce chowała dziecięca przenikliwość, gdy była nie w humorze.

- Będiesz, wiesz.

- Co będę? - zapytałem.

- Walczyć z opryszkami. - Pokiwała głową. - Śniło mi się. Pomagał człowiekowi o dwóch twarzach.

Niemal się roześmiałem, ale tylko niemal. Sny Alais już wcześniej się

sprawdzały, choć nigdy nie były takie dziwaczne. Zwykle dotyczyły drobnych spraw, które miała przynieść przyszłość.

- Z dwiema twarzami? Czy jedną z nich miał z tyłu głowy?

- Nie. - Alais pokręciła głową. - Nie nosił obu naraz.

- Acha, więc nosił maskę? - domyśliłem się.

- Nie - odparła cierpliwie. - Miał dwie twarze. A ty byłeś starszy.

- Dlaczego mu pomagałem? Był przyjacielem? Zastanowiła się nad pytaniem.

- Jeden z nich był.

Choć wypytywałem ją dalej, nie dowiedziałem się niczego więcej o człowieku z dwiema twarzami. Alais wymogła na mnie obietnicę, że odwiedzę ją przed wyjazdem do Montrève. Zobowiązanie nie sprawiło mi przykrości, choć nie mogłem się powstrzymać od spojrzenia na ydo nią, gdy dawałem słowo. Zarumieniła się, napotkawszy mój wzrok, ale zachowała typowy dla niej spokój.

To było irytujące, lecz przynajmniej dobrze znałem powód rozdrażnienia.

Zniósłszy jakoś obchody mojej kolejnej rocznicy urodzin, bez przerwy rozmyślałem o Montrève. Tego roku nie mogłem się doczekać lata. Zmęczyło mnie Miasto i tęskniłem za wolnością wsi. Brakowało mi otwartych przestrzeni, wędrówek po górach i pływania w wartkich potokach. Chciałem zobaczyć szczeniaki z ubiegłorocznego miotu, teraz już będące młodymi psami, niezdarnymi na zbyt drugich łapach. Chciałem zobaczyć Charlesa Friote i porównać nasz wzrost; chciałem pochwalić się Katherine, jak w Najdłuższą Noc odprawiałem czuwanie ku czci Elui. Chciałem przebywać w otoczeniu ludzi, których lojalność jest twarda i pewna jak ziemia pod stopami, w otoczeniu wieśniaków i mieszkańców samego dworu.

I, oczywiście, byli Szachrizaj.

Ustalono, że przyjadą. Sprawa wreszcie została przedyskutowana. Jo- scelinowi, jak było do przewidzenia, ten pomysł nie przypadł do gustu. Choć nigdy nie powiedział tego wprost, czasami myślę, że nie miałby nic przeciwko, gdyby morze zabrało całą prowincję Kuszet wraz ze wszystkimi członkami rodu Szachrizaj.

- Dałam słowo - powiedziała mu Fedra. - Czy chcesz mnie zmusić, żebym je złamała?

Zgrzytnął zębami, a ja wiedziałem, że myśli o diamencie zawieszonym na wystrzępionej aksamitce i o treści listu: „Dotrzymuję słowa”.

- O ile jej krewny nie kłamał, to nie ma nic wspólnego z Melisandą.

- Ma - odparła. - Obiecałam, że pozwolę Imrielowi samodzielnie podejmować decyzje.

- Do granic głupoty? - zapytał Joscelin. Fedra uniosła brwi, a on miał na tyle przyzwoitości, żeby zrobić zawstydzoną minę. - Nó dobrze - wymamrotał. - Ale nie sprowadzą własnej straży, żeby kwaterowała w Montrève.

- Nie prosili o to - odparła cierpko. - Zdaje się, że pokładają ufność w umiejętnościach rycerza królowej i wierzą, że zapewni im bezpieczeństwo.

Nie była to jednak prawdziwa sprzeczka w porównaniu z kłótnią z powodu Najdłuższej Nocy, na szczęście już zakończonej. Kiedy Joscelin zrobił skonsternowaną minę na myśl o obronie Szachrizaj, Fedra roześmiała się i całowała go, aż zapomniał o swoich troskach i znów wszystko dobrze się pomiędzy nimi układało.

Później Fedra powiadomiła Ysandrę, żeby przygotowania mogły zostać podjęte jawnie, bez sugestii intrygi. Przypuszczam, że królowa podzielała wątpliwości Joscelina, ale przyjęła przysięgę wierności Szachrizaj i nie wiele mogła zrobić bez wyrządzenia im afrontu. Tak oto decyzja została i listy jęły krążyć pomiędzy Miastem Elui i Kuszetem, aż wszystko uzgodniono.

Mieli zjawić się w połowie lata, i to też mi odpowiadało. Chciałem przez jakiś czas mieć Montrève dla siebie. Niecierpliwiłem się przez długą wiosnę, czekając na wieści o przybyciu Drustana. Dopiero po jego powrocie do Miasta my mogliśmy z niego wyjechać. Tego roku wiadomość jakby się spóźniła, choć może tylko ja miałem takie wrażenie, pełen niecierpliwości.

Wreszcie dostrzeżono czerwone żagle okrętu flagowego cruarchy i Mia sto szykowało się na jego przyjęcie. Od czasu zaślubin królewskiej pary to zawsze jest radosna okazja. tego roku jednakże w nastrojach dawało się odczuć pewna miarka rezerwy. Nie wśród d'angelńskiego pospólstwa które wielbi Drustana mab Necthana. Lud nig-

dy nie zapomniał, że on i jego Cruithneowie z pomocą Dalriadów ocalili Terre d'Ange w najciemniejszej godzinie, gdy kraj ulegał pod naporem sił Waldemara Seligali.

Możnowładcy królestwa mieli zupełnie inne zdanie. Pomrukiwali o sukcesji w Alais, o możliwym zakłóceniu równowagi wpływów. pomrukiwali o sukcesji w Terre d'Ange, i jak zaradzić niesprawiedliwości. Choć skupiałem myśli na Montrève, uszy miałem otwarte, gdy uczestniczyliśmy w pochodzie, i słyszałem podszepty niezadowolenia. Niezbyt liczne, ale tu i ówdzie brzmiały wyraźnie.

„Mieszkańce cruithne”.

To określenie sprawiło, że oblałem się zimnym potem. Tak nazywano Sydonię i Alais, zwłaszcza Sydonię, była bowiem delfina. Krzyczałem klaskałem i rzucałem płatki kwiatów wraz z innymi, gdy Drustan wjeżdżał w bramy Miasta, i zastanawiałem się, czy Sydonia wie o uwłaczającym przezwisku. Przypuszczałem, że wie, i bardzo jej współczułem. Być może jej los pod pewnymi względami nie był łatwiejszy od mojego.

Jeśli Sydonia czuła dezaprobatę wielmożów, to tego nie okazała. Kiedy impulsywna Alais rzuciła się do ojca i Drustan pochwycił ją z uśmiechem sadzając na łęku siodła, wszyscy krzyknęli na wiwat. Jakżeby inaczej? Choć miała rysy Cruithne'ów, była rozkosznym dzieckiem - i nie była następczynią królowej. Sydonia natomiast... Choć wyglądała jak lustrzane odbicie matki, od wyprostowanej sylwetki po wyraźnie zarysowany profil z podbródkiem uniesionym z chłodną przekorą, jak na ironię usłyszała nie-liczne wiwaty. Prosty lud w miarę ją lubił, o tyle, o ile. Pamiętali drogę Ysandy ku murom Miasta Elui, kiedy Percy de Sommerville pragnął nim zawładnąć. Pamiętali, jak jej odwaga rzuciła całą armię na kolana.

Podobnie jak wielmoże, którzy szemrali, ponieważ Ysandra jest czystej krwi D'Angelina, a Sydonia nie. W kilku wielkich rodach Terre d'Ange nie brakuje wielce wpływowych ludzi, którzy nie ufają jej z tego powodu i których gniewa myśl, że zostały zbrukane święte linie krwi Elui i jego Towarzyszy. Szemrali, ponieważ niektórzy z nich popierali Percy'ego de Somerville, choć nigdy nie mówili tego głośno w zasięgu słuchu osób lojalnych wobec królowej.

Widziałem, jak od czasu do czasu popatrują w moją stronę.

Nieczęsto i niezbyt długo. Wisiały nade mną cienie infamii mojej matki. Ale widziałem deliberację w ich oczach i wiedziałem, że zapytują siebie, które z nas jest gorsze, syn Melisandy czy piktyjski mieszaniec?

Jak dotąd, odpowiedź wypadła na korzyść Sydonii. Ostatecznie, wskutek machinacji mojej matki Terre d'Ange o mało nie wpadła w ręce Waldemara Seliga. Zawarty dzięki małżeństwu sojusz z Albą, nawet taki, który faworyzował Cruithne'ów, był lepszy niż podbój przez Skaldię. A jednak nie cierpiałem świadomości, że ktoś się nad tym zastanawia.

Nastroje uległyby poprawie, gdyby Ysandra obiecała rękę Sydonii jakiemuś pełno-krwistemu młodemu D'Angelinowi, który może wyprowadzić swoje pochodzenie w nieprzerwanej linii od Elui albo od jednego z jego Towarzyszy. Nie chciała tego uczynić. Po części powodowały ją względy polityczne, taka decyzja mogłaby uciszyć pomruki, ale przecież przeciwnicy byli zbyt nieliczni, żeby stanowić poważne zagrożenie. Na horyzoncie rysowało się zbyt wiele korzystnych przymierzy, a poza tym Sydonia miała tylko trzynaście lat. Ponadto w grę wchodził idealizm, przykazanie Błogosławionego Elui: Kochaj jak wola twoja. Jak sądzę, Ysandra nie trzymała się zbyt kurczowo przekonania, że jej córki zawrą małżeństwa z miłości równe jej własnemu związkowi. Miała jednak zamiar im to umożliwić, o ile na przeszkodzie nie staną pragmatyczne względy polityki.

Życzyłem im szczęścia, zwłaszcza Alais, ponieważ trudno mi było wyobrazić sobie, że Sydonia wyrośnie na kobietę zdolną rozpałić prawdziwy żar uczuć. Z drugiej strony, może taka właśnie była jej matka w tym wieku.

Co do mnie, cieszyłem się, że to nie moje sprawy.

Wzięliśmy udział w powitalnych uroczystościach w pałacu, co było ostatnim z naszych zobowiązań wobec dworu. Nie miałem nic przeciwko, cieszyłem się bowiem z przybycia cruarchy. Ponieważ nie była to formalna audiencja, Drustan obdarzył Fedrę powitalnym pocałunkiem i pozdrowił Joscelina jak brata. Mnie przywitał jak równego sobie, moc nóg zacisnąwszy dłoń na moim ramieniu. Z drgnieniem zdałem sobie sprawę, że jesteśmy tego samego wzrostu.

Drustan też to zauważył. Jego zęby błysnęły w uśmiechu, niespodziewanie białe w masce niebieskiego urzetu.

- Jesteś dorosły, młody książę.

- Tak mi mówią - odparłem, czując się niezręcznie. Wydawało mi się niewłaściwe, że dorównuję wzrostem cruarsze Alby. Ale osobowość Drustana jest większa niż jego postura. Każdy o tym zapominał, podobnie jak o zdeformowanej stopie, która sprawia, że lekko utykał.

- Jeszcze nie wiesz, co z tym zrobić, prawda? - Roześmiał się, poklepując mnie po ramieniu. - Nie ma obawy, niebawem zrozumiesz.

- Mam nadzieję - odparłem z powagą.

- Zrozumiesz, chłopcze. - W jego oczach zalśniła niespodziewana łagodność; w ciemnych oczach, ciepłych i pełnych sympatii, tak pogodnych i niepodobnych do oczu Sydonii. - Nigdy w to nie wątp. - Drustan zwrócił się do Fedry: - Fedro nóż Delau-nay, przywożę pozdrowienia dla ciebie od Grainny mac Conor, i coś więcej.

- Tak? - Fedra się uśmiechnęła i był to jeden z tych jej przelotnych skrytych uśmiechów. - Jak żyje Pani Dalriady?

- Grainna ma się dobrze, jak zawsze. - Drustan odwzajemnił uśmiech. Z nieznanymi mi powodów Joscelin przewrócił oczami. - Przesyła wyrazy uczucia. Ma również zamiar za jakiś czas przysłać drugiego syna na wychowanie w Terre d'Ange. Ysandra zgodziła się przyjąć go w pałacu. Grainna jednak myśli, że może ty otworzyłabyś przed nim swój dom. Rozmawiałem z nią o twoich domownikach i jest ogromnie zainteresowana.

- Jej drugi syn - mruknęła Fedra. - Jest...

- Synem Kwiryliusza Rousse - dokończył Drustan, starannie wymawiając słowa. - Tak mówi Grainna.

- Dlaczego my? - zapytał bez ogródek Joscelin. - Dlaczego nie rodzina admirała?

Drustan skierował na niego ciemne, nieodgadnione spojrzenie. Nie byli równi, nie w sensie fizycznym. Joscelin górował nad cruarchą. Alby wzrostem i był szerszy w ramionach. Drustan przeniósł ciężar ciała na zdrową nogę i przekrzywił głowę, ani trochę nie onieśmielony. Przywykł do dźwigania brzemienia władzy i wszystkich wiążących się z tym obowiązków.

- Ponieważ jesteście dwojgiem najlepszych ludzi, jakich zna, mój bracie - rzekł spokojnie. - Tak rozumuje Grainna.

Joscelin się zarumienił.

- Poza tym... - Drustan znowu się uśmiechnął, mrużąc oczy- admirał Rousse nie ma rodziny, tylko flotę do dowodzenia. To nierealne.

Fedra spojrzała na mnie pytająco. Wzruszyłem ramionami, jednocześnie zaciękwiony i skonsternowany.

- Pod warunkiem, że nie tego lata.

- Nie - powiedział Drustan. - Nie tego lata, ale może następnego. Rozważysz prośbę?

- Drugi syn Grainny - dumiała Fedra na głos. - Jak ma na imię?

- Eamonn - odparł Drustan.

Czułem, że to słowo spadło niczym kamień w jezioro rozmowy. Wszyscy popatrzyli po sobie. Znałem historię. Eamonn mac Conor był bliźniaczym bratem Grainny i władali razem jako Pan i Pani Dalriady. Zginął na polu bitwy pod Troyes- Ie- Mont.

- Tak - powiedziała Fedra. - Oczywiście.

Choć się zżymałem, nie wypowiedziałem słowa protestu. Wiedziałem, że Fedra ma wyrzuty sumienia z powodu jego śmierci. Była ambasadorem królowej w czasie rozpaczliwej potrzeby, to ona przekonała Pana i Panią Dalriady do ruszenia na wojnę. Jeśli przyjęcie na wychowanie tego drugiego Eamonna miało złagodzić poczucie winy, jakoś zniosę jego obecność.

- Przynajmniej będzie z nim mniejszy kłopot niż z rodziną Szachrizaj - oznajmił filozoficznie Joscelin. Drustan parsknął śmiechem.

- Nie byłbym taki pewien.

Później znowu rozmawiał z Fedrą, znacznie dłużej; głównie, jak myślę, o Hiacyncie. Pan Cieśniny poślubił Sibeal, młodszą siostrę Drustana. Mają córkę - urodzoną ponad rok temu - i Sibeal nosi w łonie drugie dziecko. Ta sprawa mogła jeszcze bardziej skomplikować kwestię sukcesji w Albie, choć na razie nic się nie działo. Zachowywano milczenie, a było mało prawdopodobne, by, czy to Alban, czy D'Angelin, śmiało się wtrącić w prywatne sprawy Pana Cieśniny. Jeśli Hiacynt zaproponuje swoją córkę jako następczynię tronu Alby... cóż. To kolejna sprawa. Trudno będzie negocjować z człowiekiem, który posiada tajemne moce i samo dzielnie strzeże bezpieczeństwa brzegów obu naszych krajów.

Fedra jednak nie sądzi, by kiedykolwiek to zrobił, a zna go lepiej niż ktokolwiek inny. I, prawdę powiedziawszy, ważniejsze pytanie brzmiało czy Pan Cieśniny zechce wyszkolić następcę?

Przez dziesięć długich ponurych lat, odcięty od świata, Hiacynt uczył się swojego rzemiosła. Cieśnina miała kiedyś innego Pana, przez osiemset lat. Wiązała się z nim klątwa - klątwa Rahaba, Księcia Głębiny, jednego z aniołów Boga Jedynego. Klątwa przeszła na Hiacynta, ale została zdjęta. Fedra przełamała ją Imieniem Boga, zmuszając Rahaba, żeby go uwolnił. Hiacynt już nie jest skazany na nieśmiertelne życie w starczym zniedołężnieniu na samotnej wyspie.

A jednak taka moc jest strasznym brzemieniem, straszliwszym niż ciężar władzy. Nie znałem dobrze Pana Cieśniny, ale widziałem wielkie napięcie w jego oczach. Nikt nie ma pojęcia, nawet Fedra, czy Hiacynt uzna za stosowne przekazać brzemień komuś innemu, czy też pozwoli, by wiedza umarła wraz z nim. Przypuszczam, że nawet Hiacynt jeszcze tego nie wie.

Czasami myślę, że byłoby najlepiej, gdyby ta wiedza na zawsze odeszła z tego świata. Władza jest niebezpiecznym narzędziem. W złych rękach bywa śmiertelna. Nigdy nie zapomnę tego, co widziałem w Drudzanie.

Potem pomyślałem o Fedrze i o dniu, w którym wymówiła Imię Boga.

Tego też nigdy nie wymażę z pamięci. Nie zapomni tego nikt kto widział, jak woda się podniosła na rozkaz Hiacynta, jak Fedra stanęła w falach przed straszną, jasną

obecnością i wyrzekła Święte Słowo. Oddał bym jej prawie każdą władzę na ziemi, ale niewielu jest ludzi zdolnych do podejmowania decyzji, jakie powzięła ona.

Nie ma łatwych odpowiedzi i cieszyłem się, że nie ja będę rozstrzygał tę sprawę.

Gdy dnia przybywało i przygotowywaliśmy się do wyjazdu do Monte Reve, czułem, jak stają się lżejsze te mniejsze ciężary, które ja dźwigałem. Odwiedziłem Alais i obiecałem, że przywiozę jej szczeniaka, o czym za pomniałem w zeszłym roku. Pożegnałem się z Eugenią i resztą domowników.

- Ach, chłopcze! - Eugenia zamknęła mnie w uścisku, potem złapała za ramiona i potrząsnęła mną. - Nie musisz być taki szczęśliwy z wyjazdu.

- Przepraszam - mruknąłem, czując przelotne ukłucie winy. - To tylko...

- Wiem, o co chodzi. - Poklepała mnie po policzku. - Jedź, wyjdzie ci na dobre, gdy uciekniesz od tych paplających wielmożów i odetchniesz świeżym wiejskim powietrzem. Nabierz trochę ciała i wracaj!

Roześmiałem się.

- Dobrze, Eugenio.

Podróż mijала beztrudno, w przeciwieństwie do tej, która przywiodła nas do Miasta. Jechaliśmy w spokojnym tempie, po drodze zatrzymując się w gospodach. Fedra lubiła siadywać w głównej izbie i słuchać, pławiąc się w brzmieniu mowy D'Angelinów niższego stanu. Zawsze ktoś ją rozpoznał. Szkarłatna cętka zostawiona przez Strzałę Kusziela nie pozwalała jej na anonimowość, a o Joscelinie nie można powiedzieć, że nie rzuca się w oczy ze swoją kasjelicką bronią. Wtedy rozpoczynały się śpiewy i recytowania poematów, i wino lało się strumieniami do późnych godzin w nocy.

Czasami się zastanawiałem, jak to jest być tak uwielbianym.

Niech będzie jasne to, nie zazdrościłem żadnemu z nich, ani przez jedno uderzenie serca. Lepiej niż ktokolwiek inny znam cenę ich bohaterstwa. Darśanga omal nie zniszczyła obojga, omal nie zabiła nas wszystkich. W Mieście niektórzy im zazdroszą i oskarżają ich o fałszywą skromność. Nic z tych rzeczy. Jeśli Fedra przyjmuje pochwały ze spokojnym uśmiechem albo Joscelin kręci głową i nie chce opowiadać o swoim pojedynku z kasjelickim zdrajcą- skrytobójcą, to dlatego, że są świadomi prawdziwych historii kryjących się za poematami; są świadomi krwi, znoju i ofiar. A jednak zastanawiałem się, jak to jest.

Są to również moje historie, niektóre z nich. Ale w mojej roli niewiele było heroizmu. Uprowadzono mnie i sprzedano w niewolę; zostałem uratowany i ukryty na statku przez moich wybawicieli. W znacznej mierze byłem tylko bagażem.

Nie każdemu jest pisane zostać bohaterem.



Raz zraniłem człowieka, w obronie Fedry. Było to w Sabie, na wyspie Kapporet, na samym progu Przenajświętszej Świątyni. Przelełem krew na poświęconej ziemi. Sabejczycy chcieli mnie za to zabić. Fedra interweniowała. Zaproponowała, żeby wzięli ją zamiast mnie, na co się zgodzili. Pamiętam, jak słońce lśniło na brązowym ostrzu, i jak odwróciłem głowę, gdy drzwi świątyni się otworzyły i w ciemnym wejściu stanął kapłan bez języka, odziany w białą szatę.

Krzyknąłem i sabejski kapitan wstrzymał rękę. Fedra weszła do świątyni, a kiedy wyszła, miała Imię Boga i jego chwała płonęła na jej twarzy

Zastanawiam się czasami, co by się stało, gdyby drzwi się nie otworzyły. Czy pozwoliłbym na to, co miało się wydarzyć. Czy znalazłbym w sobie odwagę, by się rzucić przed ostrze. Zastanawiam się nad wieloma rzeczami.

Oto, co uchodziło za beztroskę, przynajmniej dla mnie. Kiedy dotarliśmy my do granic Montrève, wyrzuciłem z głowy takie myśli. Przypominałem sobie naukę płynącą z Najdłuższej Nocy, oddałem się radości.

Posiadłość Montrève jest piękna. Leży w górze rzeki względem wioski i dwór wtula się w zieloną dolinę wśród niewysokich gór. W dolinie są ogrody i mały gaj oliwny. Dolne zbocza, ukształtowane w tarasy, są zajęte przez sady kasztanowe - prowincja Siovale słynie ze swoich kasztanów. Ponad nimi rozciągają się pastwiska dla owiec, które są głównym źródłem bogactwa Montrève, i na płaskowyżu stoi kilka kamiennych chat dla pasterzy.

Wyżej góry są dzikie. Porastają je świerkowe i dębowe lasy, a w nich można nie spodziewanie natknąć się na łąki pełne kwiatów. Jest tam staw zasilany wodą źródlaną, okrągły i idealny, który odkryliśmy z Joscelinem mojego pierwszego lata, i są jaskinie. Choć Montrève uchodzi za niewielki majątek, jest dość duże, żeby pomieścić wszystkie te tajemnicze miejsca.

Eskorta wyjechała nam na spotkanie. Wypatrzone nas na drodze, jak być powinno. Jeźdźcami dowodził Denis Friote, najstarszy z klanu Pur nella i Richeliny. Wśród nich ujrzałem z zaskoczeniem Charlesa, jego młodszego brata.

- Charles! - krzyknąłem.

- Imriel, hej! - Podjechał do mnie z szerokim uśmiechem. Pochylił się w siodle, załomotał pięścią w moje ramię. - Miło cię widzieć, Wasza

Wysokość. Co ci się stało? Sama skóra i kości. Odpowiedziałem podobnym gestem.

- Nie zrozumiałbyś, jak sędzę.

-Nó tak, sekretne poczynania wielmożów. - Pokiwał głową, aż kaszta nowe kędziory podskoczyły mu na czole. Niedbałym ruchem przeciągnął kciukiem po rękojeści miecza. - Konam z zazdrości. - Urwał, patrząc na sztylety u mojego pasa. - Ładne.

- O nie ci chodzi? - zapytałem lekkim tonem i zobaczyłem, że Joscelin obraca głowę z kąciem ust uniesionym z rozbawienia. - Rzeczywiście ładne, prawda? - rzuciłem spiesznie. - Więc teraz jeździsz ze strażą?

- Czasami. - Charles wzruszył ramionami, po czym wybuchnął śmiechem. - Denis pozwolił mi jechać, bo wiedział, że mi strasznie zależy. Mówią, że muszę czekać do przyszłego roku. Ale dobrze cię widzieć, Imri.

- I ciebie. - Walnąłem go drugi raz w ramię, twarde i mięsiste pod moją pięścią. Charles też urósł w zeszłym roku. - Jak się masz? Jak klan? - Umilkłem na chwilę. - Jak Katherine i inni? Wyszczrzył zęby.

- Chodź, to sam się przekonasz.

## DZIESIĘĆ

---

Zastaliśmy Montrève w kwitjącym stanie, jak zawsze. Kasztany obrodziły, pastwiska porastała bujna zielona trawa, owce pasły się spokojnie i w dobrym zdrowiu, z jagniętami hasającymi u boku. Każda powierzchnia i każdy drobiazg we dworze zostały starannie odkurzone, nawoskowane i wypolerowane, aż nabrały pięknego połysku. Stajnie, psiarnie i sokolarnie były nieskazitelnie utrzymane. We wszystkich księgach rachunkowych jak zwykle panował porządek.

A Katherine Friote doprowadzała mnie do szaleństwa.

Zaczęło się od tego, jak mnie przytuliła. Wybiegła na dziedziniec przed dom i gdy zsiadłem z konia, zarzuciła mi ręce na szyję, krzycząc:

- Imrielu! - Odwzajemniłem uścisk, wdychając zapach jej włosów, pachnących jak niedawno skoszone siano. - Tak się cieszę, że tu jesteś - szepnęła, jej oddech grzał moje ucho. - Tęskniłam za tobą.

- A ja za tobą. - Moj głos zabrzmiał chrapliwie.

Wypuściła mnie z objęć i zmierzyła wzrokiem od góry do dołu.

- Na Eluę! - zawołała. - Jesteś chudy jak tyczka. Coś ty wyczyniał w tym Mieście?

Wyprężyłem ramiona.

- Prawdę mówiąc...

Katherine uśmiechnęła się życzliwie i klepnęła mnie w ramię.

- Dobrze cię widzieć, Imri - powiedziała i odwróciła się, żeby dygnąć wdzięcznie przed Fedrą i Joscelinem. - Witajcie, pani, panie- powiedziała, po czym z kokieteryjnym uśmiechem strzeliła oczami w bok. - Witaj, messire Gilot.

Gilot kaszlnął i nie chciał spojrzeć mi w oczy.

- Demoiselle Friote.

I o to chodziło.

W następne dni Fedra pozwoliła mi się wyszaleć, odgadując moją po trzebę zaznania wolności po życiu w rygorach Miasta i dworu. Dopu ki trzymałem się szerokich granic obszaru patrolowanego przez Denisa Friote i strażę, mogłem się poruszać swobodnie.

Większość czasu spędzałem z Charlesem. On, Katherine i ja szybko się zaprzyjaźniłem podczas mojego pierwszego lata w Montrève, będąc w podobnym wieku. Trzynastoletnia Katherine chętnie zaglądała do sokołarni, gdzie słuchała gawęd Ronalda Agouta, starego sokolnika, albo do psiarni, gdzie bawiła się ze szczeniętami. Wciąż miała małą białą bliznę na ręce, pamiątkę po zębach gończej suki.

Teraz jednak miała szesnaście lat i stała się młodą kobietą. Dziecięce zabawy byłyby poniżej jej godności. Dała to jasno do zrozumienia.

Charlesa traktowała z pełną rozbawienia protekcyjnością starszej siostry. Ja z racji mojej pozycji zasługiwałem na miarkę szacunku - małą miarkę. Właściwie nie miałem nic przeciwko - chciałem tylko, żeby widziała we mnie kogoś więcej niż dawnego towarzysza zabaw, który jeszcze nie dorósł.

Chciałem, żeby zobaczyła we mnie... Kogo?

Nie mężczyznę, niezupełnie, ale też nie chłopca. Chciałem, żeby Katherine patrzyła na mnie jak na kogoś, kto po prostu zasługuje na uwagę. Nie musiała patrzeć na mnie w taki sposób, jak patrzyła na Gilota, bo to było wręcz głupie, ale... ale może trochę tak.

Opowiedziałem jej, jak czuwaliśmy z Joscelinem w Najdłuższą Noc i o mojej dramatycznej chorobie, która była tego następstwem, ale kobiety są pragmatyczne, gdy chodzi o takie rzeczy. Katherine tylko spojrzała na mnie kpiąco i skomentowała:

- Ci chłopcy i ich głupie pomysły! Mam nadzieję, że pani Fedra kazała go wybatować.

Dobrze, że przynajmniej na Charlesie zrobiłem stosownie duże wrażenie.

Zmierzyliśmy się w stajni, stając plecami do siebie. Przerosłem go o dobre trzy palce, choć przypuszczam, że on był cięższy. Zazdrościłem mu mocnej budowy i szero-

kich barów. „Żrebiące lata”, powiedział Joscelin, ale Charles przeczył temu określe-  
niu, krzepki jak koń pociągowy.

- Ano. - Wzruszył ramionami, gdy się poskarżyłem. - To dzięki ciężkiej pracy. Ale  
tobie nic o tym nie wiadomo, prawda, Wasza Wysokość.

Pomyślałem o godzinach ćwiczeń z Joscelinem.

- Tak uważasz? Wytrzymałbyś kilka rund z rycerzem królowej, wieśniaku?

- Szermierka i książki - parsknął Charles. - Chcesz mówić o ciężkiej pracy, spróbuj  
oczyścić pastwisko albo rąbać drewno.

Te słowa przywiodły mi na myśl Maslina w sadzie, atakującego gruszę z talentem  
wojownika.

- Zgoda - odparłem. - Spróbuję.

Charles spojrział na mnie tak, jakby mi odjęło rozum.

- Dlaczego? Nie musisz, Imri.

- I co z tego? - powiedziałem z uporem. - Chcę. Wyznacz mi obowiązki, a ja się z  
nich wywiążę.

Patrzył na mnie jeszcze przez długą chwilę, po czym wyszczerzył zęby.

-Słowo? Skinąłem głową.

-Słowo.

Miałem powody pożałować tego w ciągu jednego dnia. Ojciec Charlesa, seneszał,  
planował poszerzyć pastwisko Montrève, żeby zwiększyć pogłowie owiec. Związany  
słowem, byłem zobowiązany do pomocy.

Była to katorżnicza praca. Większość takich robót wykonują małorolni chłopci, za-  
grodnicy chętni zarobić na dziesięcinę dla dziedzica czy dziedziczki. Ale w Siovale  
odwieczna tradycja nakazuje mieszkańcom dworu, by ramię w ramię pracowali z wie-  
śniakami dla dobra ogółu przy wycinaniu nowych spłachci pastwiska albo ziemi ornej.  
Oczywiście, nie wszyscy wielmożni ją podtrzymują, wielu nie zniża się do brudzenia  
sobie rąk.

Ja nie miałem nic przeciwko.

Pierwszego dnia usuwaliśmy kamienie. Nie tylko małe, ale też wielkie głazy, które  
należało wykopać z ziemi i przetranszportować na skraje nowego pastwiska, gdzie budowano z  
nich kręte murki wytyczające granice. Pociłem się, kłamałem i kopałem. Wyrываłem  
skały z podłoża, szarpiąc je, aż krew spływała mi spod paznokci i słyszałem trzaskanie

własnych ścięgien. Nosilem je, zataczając się pod ich ciężarem, by rzucać na stosy murarza.

Pod koniec pierwszego dnia najmniejsze włókno mojego ciała pękało z bólu.

Fedra o mało nie zabroniła mi powrotu do pracy. Joscelin spojrział na mnie przy kolacji, zgarbionego żalostí, i odwiódl ją od tego zamiaru.

- To jego wola - powiedział do niej, unosząc brwi. - Czy nie obiecałaś, że pozwolisz mu na dokonywanie wyborów? Poza tym, uczciwa praca nie zrobi mu krzywdy.

Tak więc nazajutrz wróciłem na zbocze i mozoliłem się w gorącym, letnim słońcu. Jak chłopci, zrzuciliśmy koszule i pracowaliśmy z nagimi torsami. Charles pracował obok mnie, śmiejąc się i żartując. Wspólnymi siłami oczyściliśmy pastwisko prawie ze wszystkich kamieni, które da waliśmy radę udźwignąć. Zajęło to wiele dni, ale przywykłem do pracy. Była pewna satysfakcja w patrzeniu, jak przybywa ziemi do wykarmienia owiec, jak mur się wydłuża, kamień po kamieniu, krok po kroku. Kie dy kamienie zniknęły z pastwiska, sądziłem, że to już koniec pracy, ale Charles pokręcił głową.

- Trzeba je ściąć - powiedział, wskazując dwie niebotyczne sosny, które wyrosły pod kątem ze zbocza. - Tę i tę.

- Sosny? - Spojrzałem na niego z niedowierzaniem. - To drzewa Charlesie. Na innych pastwiskach rosną drzewa. Czy owce nie mogą się pasać wokół nich?

- Popatrz. - Zaprowadził mnie wyżej do jednego z drzew. - Widzisz jak ziemia się brzuszy i korzenie wysrają? Rosną płytko, wiesz. Wystarczy mocna ulewa albo silny wiatr i się przewrócą. Poza tym, jak myślisz skąd się bierze drewno do gotowania twojej kolacji i grzania wody do kąpieli?

Westchnąłem.

- Więc zostaną ścięte? Charles wyszczerzył zęby.

- Zostaną. A potem je porąbiemy.

Obalanie drzewa jest widowiskiem samym w sobie. Zadanie wykonał doświadczony drwal, a Charlesowi i mnie kazano trzymać się z daleka. Joscelin też przyszedł. Wszyscy patrzyliśmy, jak drwal chwyta się kierę, szybko i z rozmysłem. Siekiera cięła powietrze i wbijała się głę boko w drewna, raz po razie. Nie bacząc na drzazgi, które strzelały w wszystkie strony, drwal pracował ze spokojną precyzją, nie marnując ani jednego ruchu.

- Umiałbyś to zrobić? - zapytałem Joscelina.

- Ja? - Pokręcił głową, rozbawiony. - Miecz to nie siekiera, Imi. Ale to dziwne. Właśnie przypomniałeś mi o Waldemarze Seligu.

- O Seligu? Dlaczego?

Joscelin ruchem głowy wskazał na drwala.

- Selig machał mieczem tak jak on siekiera, jakby się do tego urodził.

- Czy był najlepszym szermierzem, jakiego widziałeś, Joscelinie? - zapytał Charles skwapliwie. - Poza tobą, rzecz jasna?

- Na polu bitwy tak, należał do najlepszych. - Joscelin milczał przez chwilę, a ja wiedziałem, że na pewno myśli o swoim pojedynku z bratem kasjelitą. - Choć w końcu nie okazał się najlepszy.

- Izydor d'Aiglemort - mruknąłem.

- D'Aiglemort - zgodził się Joscelin. - On też był taki. Urodzony do władania mieczem.

- Nie był jednak lepszy od ciebie - powiedział Charles. - Nikt nie jest.

- Selig był. - Joscelin uśmiechnął się do niego łagodnie. - Pokonał mnie za pierwszym razem, gdy skrzyżowaliśmy miecze. A jego pokonał Izydor d'Aiglemort. Kto wie?

- Ja - wtrąciłem. - To ty zostałeś przy życiu. Joscelin popatrzył na mnie w zamyśleniu.

- Prawda. Na to wygląda.

Drwal odstepił od drzewa i wskazał ręką w dół, potem wrócił do potężnego pnia. Jeden raz i drugi jego siekiera wgrzyła się w drewno. Sosna runęła z jęklwym trzaskiem. Upadła dokładnie tam, gdzie wskazał, z potężnym łoskotem, który wstrząsnął ziemią. Charles i ja krzyknęliśmy, podskakując z niepohamowanej radości. Nawet Joscelin szczyrzył zęby jak chłopiec. Drwal z satysfakcją lekko skinął głową, po czym zarzucił siekierę na ramię i ruszył do drugiego drzewa.

Zostało powalone równie zręcznie jak pierwsze, choć potem mieliśmy niewielkie powody do radości, gdyż zabraliśmy się do ciężkiej pracy. Obaj z Charlesem dostaliśmy siekiery i kazano nam ścinać wielkie konary, które miały zostać użyte jako wałki. Rąbałem kłujące gałęzie, myśląc o drwalu, o Seligu i d'Aiglemortcie, i o Maslinie. Tego między innymi mu zazdrościłem - niewymuszonej swobody, wrażenia, że urodził się do ostrza, nawet jeśli był to tylko nóż do obcinania gałęzi.

Myślałem też o Joscelinie. Osiągnięcie tego samego kosztowało go więcej wysiłku. Ma do tego dar - niepodobna sądzić, że jest inaczej - ale to lata szkolenia i dyscypliny uczyniły go tym, kim jest, wpołyły to w każdy jego mięsień i ścięgno.

Postanowiłem, że po oczyszczeniu pastwiska zacznę więcej ćwiczyć. Na razie będę przykładać się do pracy, jakby to była walka na miecze. W słońcu palącym mój goły grzbiet rąbałem i siekałem gałęzie z taką precyzją, na jaką było mnie stać, aż w końcu zatraciłem się w rytmie.

- Hej! - zawołał zaskoczony Charles zerkając na stos gładkich wałków, które nagromadziłem. - Ładna robota, Wasza Wysokość!

Uśmiechnąłem się do niego.

- Dorównuje twojej, wieśniaku.

Zadanie jeszcze się nie skończyło. Tego dnia przetransportowaliśmy jeden z wielkich pni, owiązany tuzinami lin i ciągnięty na wałkach, które co kilka kroków musieliśmy prznosić do przodu. Była to mozolna robota, ale udało nam się dotrzeć na dziedziniec przed drewnią przed końcem dnia.

- Rąbiemy? - zapytałem Charlesa, z powątpiewaniem patrząc na po tężny pień.

Poklepał mnie po ramieniu.

- Jutro. Chodźmy się opłukać.

Studnie jest na dziedzińcu, głęboka, z dobrą wodą, krystalicznie czystą i zimną jak lód. Obaj byliśmy brudni, złani potem, pokłuci kawałkami kory i igłami, podrapani i posiniaczeni, ręce nas piekły od liny. Gdy zachodzące słońce zalało dziedziniec miodowym blaskiem, Charles wyciągnął pierwsze wiadro.

- Gotów? - zapytał i, nie czekając na odpowiedź, chlusnął na mnie wodą.

- Charles!

W chwili, gdy woda uderzyła, usłyszałem głos Katherine i zgrzytnąłem zębami. Patrzyła na mnie, kiedy otworzyłem oczy.

- Wszystko w porządku - wymamrotałem. - Pracowaliśmy. - Czułem się głupio, na wpół rozebrany, strużki zimnej wody spływały po mojej nagiej skórze i wsiąkały w spodnie.

- Widzę - mruknęła Katherine. Podniosła kociołek. - Mogę?

- Ja nabiorę. - Rad, że mam coś do zrobienia, zabrałem wiadro Charlesowi i opuściłem je do studni. Wydawało się, że korba obraca się jakby łatwiej niż jakiś czas temu. Mokre włosy spadły mi na oczy i odrzuciłem je, gdy się wyprostowałem, zdejmując pełne wiadro z haka. - Proszę ~*W*! wiedziałem i ostrożnie przelałem wodę do kociołka.

Uśmiechnęła się lekko.

- Dziękuję, Imrielu.
- Zawsze do usług. - Patrzyłem za nią, gdy odchodziła.
- Na jaja Elui! - wybuchną! Charles. - Widziałeś, jak na ciebie popatrzyła? - Tracił mnie w ramię. - Strzeż się, Wasza Wysokość, bo urządzi na ciebie zasadzkę.

Spojrzałem na niego.

- Żartujesz.

- Tak, jasne. - Uśmiechnął się szeroko, z drobinami kory w kędzierzawych włosach. - Mówiłem, że ciężka praca przyda ci mięsa na kościach. - Jego uśmiech przygasł, twarz spoważniała. - Cokolwiek zrobisz, Imri, nie skrzywdź jej. Jest moją siostrą, musiałbym cię zabić.

- Nie skrzywdzę - odparłem machinalnie. - Nigdy.

- Lepiej, żeby tak było. - Charles nabrał wody i podał mi wiadro. - Proszę, twoja kolej.

Rankiem niewiele się zmieniło. Używając dwuręcznej piły, zabraliśmy się z Charlesem do cięcia potwornie długiego pnia na krótkie kawałki. Rozszczepialiśmy je następnie na polana za pomocą siekier i klinów. Była to znojna praca, powodująca pęcherze i ból mięśni, a gdy została ukończona, czekał drugi pień.

Oczyszczanie pastwiska zajęło jeszcze kilka dni. Ku mojemu wielkiemu niedowierzaniu, wyciągnęliśmy nawet karcze, a w porównaniu z tym zadaniem wleczenie pni wydawało się łatwe. Siovalczycy szczycą się swoją pomysłowością i nie cierpią niczego marnować. Twarde, sękatę drewno korzeni wolno się pali, jest idealne do wędzenia kasztanów.

Po zakończeniu pracy czułem się inaczej. To prawda, długie godziny harówki - i wilczy apetyt - przydały mi siły. Po raz pierwszy od prawie roku czułem się dobrze we własnym ciele. Nawet znużenie i ból zmęczonych mięśni sprawiały mi przyjemność.

Było jednak coś więcej. Duma i poczucie spełnienia, i głębsze zrozumienie funkcjonowania majątku, podziału pracy i zysków, które umożliwiały utrzymanie mieszkańców. Sam nie wiem dlaczego, ale intetesowały mnie te rzeczy.

I, oczywiście, była Katherine.

Po oczyszczeniu pola Fedra zaproponowała, żebym podjął naukę, przynajmniej po trosze każdego dnia. Odkąd spędzałem lato w Montrève, Fedra zawsze zapraszała Friote'ów - a także wszystkie dzieci zagrodników, gdy tylko okazywały zainteresowanie - na lekcje we dworze.



Zawsze były inne, w zależności od dnia. W wiosce mieszkała siovalen- ska uczona, dobrze znająca podstawy gramatyki, retoryki, logiki, arytmetyki i geometrii, i często do nas zachodziła. Innym razem był to nauczyciel muzyki, astronom albo inżynier. Te lekcje bardziej mnie ciekawiły, choć lubiłem także zajęcia z logiki.

Najlepiej było wtedy, gdy Fedra brała na siebie rolę nauczyciela.

Uczyła nas tego, czego nauczyła się od Delaunaya - sztuki szpiegowania. Pewnego dnia, kiedy przyszedł tylko Charles z Katherine, zawiązała nam opaski na oczach i kazała przez jakąś godzinę wędrować po dworze. Mieliśmy opowiedzieć jej o wszystkim, co zauważyliśmy pomimo zasło niętych oczu, łącznie z poczynaniami innych.

Przyznam, że miałem przewagę. Dawno temu zapamiętałem rozplą nowanie dworu i otoczenie - była to swego rodzaju gra ćwicząca pamięć w jaką często graliśmy z Fedrą. I miałem większe niż oni doświadczenie w podchodach. Przydaje się pewna prosta sztuczka, która polega na cho dzeniu na palcach.

Poza tym ich znałem.

Wiedziałem, że Charles ruszy prosto do pralni, żeby szpiegować służą ce. Katherine... Katherine, pomyślałem, uda się do ogrodów.

Głośno tupiąc, ruszyłem do drzwi frontowych, po czym bezszelest nie zmieniłem kierunku, zmierzając do kuchni. Zatrzymałem się przy drzwiach, słuchając i wachając powietrze. Zwróciłem uwagę na grzechot i szcęk naczyń szorowanych w misie. Było za wcześnie na aromaty ko lacji, ale poczułem zapach szałwii i cebuli. Słyszałem łup- nięcia i odgłos ugniatania ciasta, i miarowe siekanie nożem. Warzywa korzeniowe, po myślałem, marchew albo rzepa.

- Jedna z gier jaśnie pani, co? - Choć jej nie widziałem, głos Richeliny sugerował uśmiech. - Moje najmłodsze też biorą w tym udział?

- Tak - odparłem, przechodząc przez kuchnię i starając się nie wpaść na nikogo. Po drugiej stronie znajdowały się drzwi do ogrodu ziołowego. - Nie mów im, że mnie widziałaś, dobrze?

Richelina się roześmiała.

- Zmykaj, i trzymaj się z dala od mojej kuchni! I pamiętaj, żeby nie podeptać ziół.

Na zewnątrz stałem przez chwilę, pławiąc się w świetle słońca, zwraca jąc ku niemu twarz. Tylny dziedziniec Montrève jest rozkosznym miej scem, nawet gdy się go nie widzi. Znałem na pamięć jego układ. Ogrody ziołowe Richeliny tuliły się do ścian dworu.

Dalej była studnia i wyłożony łupkiem plac, gdzie często ćwiczyłem z Joscelinem. Wokół rozciągały się ogrody kwiatowe, kwitnące we wszystkie pory roku. Przecinały je ścieżki, wyłożone zwykłymi kamieniami.

Ruszyłem na plac, pamiętając o ziołach Richeliny. Kiedy wyczułem gładkie płyty pod podeszwami butów, stanąłem i jałem nasłuchiwać. Bez trudu wykryłem obecność Katherine. Jej spódnice szeleściły. Usłyszałem jak zrobiła wydech, gdy zahaczyły o kwitnący krzak, i trzask materiału gdy uwolniła się szarpnięciem.

Uśmiechając się, poszedłem w jej stronę.

Po cichu, ukradkiem zdjąłem buty. Łatwiej było poruszać się na bosaka i bezbłędnie wyczuwałem drogę. Przeciąłem łupkowy plac i skręciłem na ścieżkę przez ogrody kwiatowe, wyczuwając drogę palcami stóp i nad słuchując Katherine. Szła do kamiennej ławki w różanej altanie. Stanąłem na jej drodze i słuchałem, jak się zbliża.

Wpadła na mnie z wyciągniętymi rękami i krzyknęła cicho.

- Katherino. - Uśmiechnąłem się. - To ja.

- Imriel! - Lekko uderzyła mnie pięścią w pierś, potem położyła dłoń płasko. - Skąd się tu wziąłeś?

- Przez kuchnię. - Nacisk jej dłoni był nieznośnie słodki. Wokół nas uderzające do głowy zapachy tuzinów gatunków kwiatów perfumowały powietrze. Odetchnąłem, moja pierś uniosła się pod jej ręką. - Domyśliłem się, że tu przyjdiesz.

- Czuję bicie twego serca. - Jak wcześniej u jej matki, a jednak inaczej, głos Katherine zdradzał uśmiech. - Szybko bije.

- Dla ciebie. - Słowa wydały mi się niesłychanie śmiałe i sam nie wiem kiedy popłynęły z moich ust, sugerując znacznie większą pewność siebie niż odczuwałem. W pewien sposób, z obojętnością nas zamkniętych w naszych prywatnych ciemnościach, to było łatwiejsze.

Palce Katherine lekko się zakrzywiły, koniuszki zahaczyły o moją koszulę, pomarszczyły płótno.

- Jesteś słodkim chłopcem - szepnęła.

Obraziłem się na te słowa, gdyby jej ton nie mówił czegoś zupełnie innego. Poczujęm, że staję na palcach. Tam, z zawiązanymi oczami i spowity ciemnością w zalanym światłem pięknie ogrodu, poczułem jej miękkie usta na swoich w krótkim, przelotnym pocałunku.

Gwałtownie wciągnąłem powietrze.

lud moimi stopami otworzyła się otchłań niedosytu.

Katherine parsknęła śmiechem i odsunęła się tanecznym krokiem. i w tej chwili zrozumiałem, jak szybko charakter gry może się zmienić, jak szybko władza przechodzi z jednej osoby na drugą w grach, które prowadzą mężczyźni z kobietami.

- Jesteśmy więc tutaj - podjęła śpiewnym głosem - ty i ja. Gdzie jest Charles?

Odetchnąłem głęboko, pragnąc spowolnić przyśpieszone bicie serca. - W pralni - odparłem, a mój głos zabrzmiał ostro nawet w moich uszach. - Zawsze tam będzie chodzić.

- Zatem pójdziemy do niego.

Poszliśmy i rzeczywiście tam go znaleźliśmy. Kucał w korytarzu i słu chał służących, które, śmiejąc się i żartując, mieszały kijankami pranie w kadziach. Powietrze, wilgotne i ciepłe, pachniało wonnym mydłem. Mogłem tylko zgadywać, co sobie wyobraża w swojej prywatnej ciem ności.

Kontynuowanie zabawy straciło sens, więc zdjęliśmy opaski i wrócili śmy do gabinetu Fedry, żeby zdać raporty. Wysłuchiwała ich z rozbawionym spojrzeniem, zwłaszcza relacji Charlesa, który jękał się, czerwony na twa rzy. Ja spisałem się lepiej - mogłem przynajmniej zaryzykować przypusz czenie, co będzie dzisiaj na kolację - wciąż jednak czułem dreszcz podnie cenia, wywołany przez dotyk ust Katherine, a Fedrę niełatwo zwieść.

- Nó tak - powiedziała, kiedy skończyliśmy - może następnym razem wymyślę grę mniej... rozpraszącą.

Poczułem, że oblewam się rumieńcem po korzonki włosów. Fedra spojrzała na mnie.

- Za tydzień będą tu Szachrizaj, Imrielu. I jeśli myślisz, że to będą zabawa... - Pokręciła głową, a jej piękna twarz wyrażała rozbawienie przemieszane z żalem. - Błogosławiony Eluo, zlituj się nad nami.

## JEDENAŚCIE

---

Szachrizaj przybyli deszczowego dnia. Nie padało mocno, ledwie mżaw ka, drobniutkie kropelki jak w gęstej mgle. Patrol graniczny Montrève wypatrzył ich na drodze i utworzył eskortę, wysyłając przodem jednego jeźdźca z meldunkiem do dworu. Wyszliśmy na dziedziniec, żeby ich powitać.

Przyjechało troje: Mavros, dwa lata starszy ode mnie, starsza o rok Roszana i Baptista, o rok młodszy. Jeszcze nie znałem dokładnego cha rakteru ich pokrewieństwa ze

mną, wyjąwszy to, że są kuzynami. Szachrizaj składa się z klanów, a więzi pomiędzy nimi są zawile i skomplikowane.

Jakby dla dopełnienia obaw Joscelina, przybyli ze świtą - zbrojnych w czarno-żółtych barwach rodu, otoczonymi przez straż Denisa Friote i niespokojnymi z tego powodu.

Moi młodzi kuzyni nie okazywali śladu zakłopotania. Jechali z gołymi głowami na wierzchowcach okrytych bogatymi czaprakami, siedząc swobodnie w siodłach, prowadząc lekką pogawędkę. Kropelki deszczu skrzyły się jak diamenty w ich granatowo-czarnych włosach. Mavros i Baptiste mieli niezliczone warkocze; włosy Roszany spływały swobodnie, rozpuszczone i faliste. Joscelin skrzywił się, gdy wjechali na dziedzińiec.

- Hrabino de Montrève! - Mavros zsalutował Fedrze z siodła, po czym zsiadł z wdziękiem i złożył jej głęboki ukłon. Inni poszli w jego ślady. - Pani Fedro - powiedział, prostując się - jesteśmy wdzięczni za gościnę.

- Montrève wita rodzinę Szachrizaj - odrzekła z uśmiechem Fedra.

- Panie Joscelinie. - Mavros z szacunkiem skłonił głowę. - Tobie również dziękujemy. I bądź spokojny, nasi zbrojni zapewniali nam tylko bezpieczeństwo w drodze. Niebawem odjadą i wrócą po nas za miesiąc.

Myślę, że Joscelion omal nie przewrócił oczami, a jednak rozegrał to dwornie. Odpowiedział kasjelickim ukłonem, płynnym i precyzyjnym.

- Twoi ludzie mogą tu spędzić dzisiejszą noc, panie. W strażnicy jest wiele miejsca.

- Dziękuję, messire kasjelito, ale nie będziemy nadużywać waszej gościnności. - Mavros zwrócił się do mnie: - Witaj, kuzynie! - Zrobił parę kroków i przystanął, żeby złożyć kurtuazyjny ukłon dworzanina. - Wasza Wysokość, powinienem rzec.

- Imrielu - powiedziałem. - Tutaj jestem tylko Imrielem.

- Zatem Imrielu. - Mavros wyprostował się z szerokim uśmiechem, jego zęby błysnęły bielą w przyćmionym świetle dnia. Nasze spojrzenie się skrzyżowały. Urosłem od czasu naszego spotkania w Sali Gier. Mavros wyciągnął rękę i zacisnął dłoń na moim przedramieniu. - Może pewnego dnia dostąpię zaszczytu mówienia ci Imri?

Odwzajemniłem uścisk z siłą większą niż oczekiwałem, na tyle dużą, że się skrzywiłem.

- Możliwe, kuzynie. Mavros roześmiał się.

- Nó tak, rad jestem, widząc cię w dobrym zdrowiu! Pamiętasz Roszone i Baptiste?

- Kuzynie Imrielu. - Głos Roszany brzmiał melodyjnie.

Choć staram się unikać wspomnień o matce, tego nigdy nie zapomnę - jej głosu, słodkiego jak mocny miód. Kiedy miałem osiem lat, zanim się dowiedziałem, kim jestem, kochałem ją za jej głos. Na szczęście, nie wzdrygnąłem się, gdy Roszana do mnie podeszła.

- Witaj ponownie - powiedziała, obdarzając mnie powitalnym po całunkiem, jakbyśmy oboje byli dorośli. Jej usta, muskające moje, były miękkie i pełne.

Dwa pocałunki w krótkim czasie. Zerknąłem na Katherine, która stała przy wejściu do dworu. Patrzyła na nas, szeroko otwierając oczy. widziałem, nie w pełni rozumiejąc, że natura gry znowu się zmieniła. Stojący obok niej Charles miał zagniewaną minę.

- W istocie, dobrze was widzieć! - Roześmiałem się, wyciągając rękę do trzeciego gościa. - Baptista?

- Tak, kuzynie! - Najmłodszy Szachrizaj entuzjastycznie pokiwał głową, aż podskoczyły warkocze. Ścisnął moją rękę z chłopięcą gorliwością na jego twarzy płonęła ciekawość. - Co tutaj robisz dla zabawy? - zapytał wesoło.

W ciągu następnych dni Baptista poznał odpowiedź na swoje pytanie. Przeważnie wędrowaliśmy po okolicy i polowaliśmy, spędzając wiele go dzin w polu. Z początku bałem się, że Szachrizaj wzgardzą wiejskimi roz rywkami, ale moje obawy okazały się bezpodstawne. Prowincja Kuszel nie rozpieszcza swoich mieszkańców, więc znali i lubili takie rozrywki. Moi krewniacy nie byli mięczakami.

Byli utalentowani.

Byli utalentowani i zauroczyli mieszkańców Montrève swoimi umie jętnościami. Nie Fedrę, która popatrywała na nich z pełną rozbawienia wyrozumiałością - i na pewno nie Joscelina. Ale innych tak. Czarowali mieszkańców wyszukaną kurtuazją. Richelina szczególnie polubiła trys kającego energią młodego Bapristę. Po paru dniach oczarowali większość zbrojnych, nawet Ti- Filipa, którego wątpliwości co do ich przybycia dorównywały niemal zastrzeżeniom Joscelina. Oczarowali Katherine i Charlesa, który wbrew sobie patrzył na nich z fascynacją.

Oczarowali starego sokolnika RONALDA Agouta, i Artusa Labbe, opie kuna psiarni. Psy w Montrève należą do rasy, którą w Siovale zwą wil czarzami, choć polują prawie na każdą zwierzynę. Nasze psy pochodzą z Verreuil. Lue, brat Joscelina, mojego pierwszego lata w Montrève po słał ciężarną sukę gotową się szczenić. Od tej pory jej potomstwo dobrze nam służy, krzyżowane z innymi siovalenskiemi wilczarzami.

To wierne psy, majestatyczne i nieustraszone. Czasami, gdy je zab raliśmy, mijaliśmy pasterzy w górach. Oni hodują inną rasę, złotobrązo we psy pasterskie, małe i niezmordowane, z lekko zdziwionymi mord kami. Uśmiechałem się, widząc, jak pieski

pasterzy patrzą za wyniośle stąpającymi wilczarzami, zastanawiając się, czy stanowią zagrożenie, i jeśli tak, co w takim razie, psiakość, będzie można zrobić.

Podobne odczucia budził widok członków rodu Szachrizaj.

Wydawało się, że należą do odrębnej rasy. Poza wybitnym rodzinnym podobieństwem łączyła ich jakaś inna cecha. Ja jej nie posiadam, choć wyglądam podobnie. Uwidaczniała się w sposobie, w jakim szli przez świat we własnym tempie. W tym, jak dzielili się prywatnymi żartami, takimi, które dosładzają życiowe przyjemności. W stałe towarzyszącej im aurze niebezpieczeństwa - nie zagrożenia, tylko czegoś trochę innego.

Nie było to coś, z czym gotów byłbym się utożsamiać. W końcu zapytałem o to Mavrosa.

Polowaliśmy na wysokich łąkach, na zające i inną drobną zwierzynę. Uśmiechnął się, słysząc pytanie, i nie odpowiedział. Patrzył, jak Baptiste zмага się ze splątanymi rzemieniami pęt jastrzębia.

- Pomożemy mu? - zapytałem, gdy milczenie się przedłużało. Pokręcił głową.

- Roszana to zrobi - odparł. - Ma zwinne palce. - Spojrzał na mnie poważnie. - Pamiętaj, co ci mówiłem w Sali Gier?

Poczułem, jak coś mnie ściska za gardło w jasnym świetle słońca.

- Pytałeś, czy mam pragnienia, których się obawiam. Mavros pokiwał głową.

- Każdy ma, Imrielu. Ty, podejrzewam, masz ich więcej niż większość ludzi. Jesteś jednym z nas, potomków Kusziela. Ale po tym, co cię spotkało... Różnica polega na tym, że my, Szachrizaj, jesteśmy nauczeni patrzeć na swoje pragnienia bez strachu.

- Dlaczego? - Mój głos zabrzmiał obcesowo.

- Bo tak każe nam Błogosławiony Elua - odparł po prostu. - Kochaj jak wola twoja. Przestrzegamy przykazania. I czasami to sprawia, że inni... odczuwają niepokój... ponieważ trzymamy mroczne lustro, które odbija ich własne pragnienia.

- Pragnienia sprawiania bólu? - Zadrzałem, myśląc o zenanie. - Ale ja tego nie chcę, Mavros. Nie chcę nikogo skrzywdzić.

- Nie?- Z uśmiechem przechylił się w siodle. - Chwyć moją rękę. Uczyniłem to, a on zacisnął palce. Naciskał mocno ciało pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym, sprawiając mi ból. Jego drwiące spojrzenie zachęcało mnie do odwetu. Obnażyłem zęby w mimowolnym uśmiechu, trzymając jego dłoń. Ciężka praca wyszła mi na dobre. Ścisnąłem mu palce tak mocno, że niemal usłyszałem chrzęst małych kości.

Kołysaliśmy się w siodłach, zwarci w głupim pojedynku.

- Widzisz? - wysapał Mavros. Ze śmiechem puścił moją rękę. Po trzasnął dłonią, patrząc na nią żałośnie. - Ach, Imrielu! Masz to w krwi. I znajdujesz w tym przyjemność, prawda?

Po drugiej stronie łąki Baptista krzyknął triumfalnie, gdy Roszanie udało się rozplątać rzemyki. W tym samym momencie jeden z wilczych rzy sploszył pardwę i zastygł w pełnym godności zakłopotaniu, gdy ptak mu uciekł sprzed nosa. Gołębiarz wystrzelił z pięści Baptisty w pierzastej smudze, uderzył mocno i szybko, koziółkując po ziemi z ofiarą.

- To nie to samo - powiedziałem w końcu.

- Nie? - zapytał. - Na czym polega różnica?

W istocie, na czym? To była gra, wyzwanie chwili, chętnie podjęte przez nas obu. Czym naprawdę różni się to od gry miłosnej, która ma granice pomiędzy rozkoszą i bólem? Ponieważ nie mogłem odpowie dzieć, podjąłem dociekania.

- Powiedziałeś mi, że są ku temu powody. Że Kusziel był litościwy

- Są. - Mavros skrzywił się, masując rękę. - I jest.

Patrzyłem, jak Baptista wymachuje przynętą, żeby odciągnąć jastrzębia od upolowanej pardwy. Udało mu się. Nie zainteresowane psy pobiegły dalej w pole, szukając własnej zdobyczy.

- Powiedz mi więcej - poprosiłem. - Chcę zrozumieć.

- Imrielu. - Mavros westchnął. - Ach, Imri! Jak mam ci to wyjaśnić? To oczyszczenie, dar Kusziela. W utracie siebie jest pokuta i łaska. Jak ogień, oczyszcza wszystko i czyni nowym. To dar, a my go dajemy. I czasami otrzymujemy. Każdy z nas musi zaznać tego przynajmniej raz żebyśmy mogli lepiej zrozumieć dar Kusziela.

Na chwilę oderwałem od niego wzrok i zagwizdałem na psy. Przybiegły posłusznie, sadząc długimi susami; jęzory zwisały z ich rozdziawionych pysków. Moj koń parsknął, gdy *stłoczyły* się wokół nas. Sięgnąłem do torby myśliwskiej, poćwiartowałem złapanego przez nie królika i rzuciłem im po kawałku.

- To nie wystarczy - rzuciłem cierpko.

- Nie? - Mavros się uśmiechnął. - Co mówi Fedra? Spojrzałem na niego gniewnie, moje serce przepełniła nagła wściekłość.

- Nic o niej nie wiesz!

- Nie. - Głośno przełknął ślinę. - Wybacz mi, nie wiem. Znowu przekroczyłem granicę, Imrielu. - Milczał przez chwilę, zamyślony. - Chcę tylko, żebyś zrozumiał. W

tym, jaki jesteś... jest piękno i majestatyczność. Ale może... - Spojrzał na łąkę. - Może będzie lepiej, gdy wyjaśni ci to Roszana.

Nie rozmawialiśmy więcej o tym tego dnia, i przez kilka następnych.

Szachrizaj byli wyczuleni na takie rzeczy i zdolni do wielkiej delikatności. Wiedziałem dlaczego. Sam tego doświadczyłem w Lombelonie, kiedy miałem wrażenie, że wyszedłem z siebie i zajrzałem w duszę Masli- na - oni też dostrzegali rysy w mojej duszy, moje wady i słabości, i stąpali wokół nich na palcach.

Przynajmniej przez jakiś czas.

I to, jak myślę, naprawdę czyni ich niebezpiecznymi. Pewną pociechę niosła mi świadomość, że moi krewni są zdolni do uprzejmości i niekoniecznie zawsze wykorzystują dar Kusziela dla osobistych zysków czy osławionych ambicji. Ale widzieli zbyt wiele i ciągnęło ich do tego, co wiedzieli. Z czasem Mavros - a może Roszana - po raz kolejny ukłują mnie w czułe miejsce.

Tymczasem rozmawialiśmy o mniej znaczących sprawach.

Dowiedziałem się wiele o moim pochodzeniu. Ród Szachrizaj jest najstarszą rodziną w Kuszecie i jednym z najstarszych w Terre d'Ange. Rodzina ma rozległe dobra na obu wybrzeżach prowincji. Mimo to, nie do niej należy suwerenne księstwo w Kuszecie - tam rządzi Quincel de Morhban, pan Pointę d'Oes. Mavros mówi, że tak zdecydowali sami Szachrizaj, ja jednak nie do końca mu wierzę. Przypuszczam, że od dawna w interesie Korony leży trzymanie ich rodu w szachu. Są dość potężni i liczni, by stanowić zagrożenie, gdy tak postanowią.

Ale to prawda, są dziwnym, zamkniętym klanem. Często zawierają związki małżeńskie z kuzynami i kultywują własne tradycje. Poza diukiem de Szachrizaj, nie używają między sobą tytułów związanych z posiadaną ziemią, tylko nazwisko, jakby prześcigało wszelkie włości. I są nadzwyczaj lojalni względem siebie.

Mavros twierdził, że moja matka działała bez wiedzy czy błogosławieństwa rodu. Nie umiem powiedzieć, jak wygląda prawda, on jednak w to wierzy. Uważa, że zrobiła to w celu ochrony rodziny Szachrizaj, ale wyszło na opak. Może nawet ma rację. Darrą ją dziwną mieszaniną podziwu, szacunku i... nie znam na to słowa. Może żalu?

- Żałuję, że jej nie znałem - oznajmił Baptista, gdy rozmawialiśmy o niej pewnego wieczoru, siedząc w wielkim pokoju we dworze. - Naprawdę.

Roszana, która rozplatała mu włosy, uśmiechnęła się spokojnie.

- Niebezpiecznie było ją znać, moje serce. Nawet rodzinie.

Jest to wśród nich najcięższym grzechem, narażanie rodu. a jednak w większej pogardzie mają Marmiona Szachrizaj, który przypadkiem spowodował śmierć swojej sio-



stry Persji. To ona pomagała mojej w ucieczce z Troyes- Le- Mont, wierna do samego końca.

Roszana powiedziała prawdę - niebezpiecznie było znać moją matkę.

- Dlaczego to zrobiła? - zapytałem kuzynów tej nocy. - Dlaczego zrobiła to, co zrobiła?

Wymienili spojrzenia i wzruszyli ramionami. Milczenie, jakie zapanowało, mącił tylko szmer dziczej szczeciny szczotki, przeciąganej prac rozpuszczone włosy Baptysty.

- Nie powiedziała ci? - zapytał mnie wreszcie Mavros.

- Nie - odparłem. Pomyślałem o Fedrze siedzącej ze stosikiem listów; zbolącej i znużonej. Stropiłem się. - Nie wiem. Przysyła... przysyłała lisy zanim zniknęła. Ale nigdy ich nie czytałem.

- Ja bym przeczytał! - Baptista uniósł głowę z błyskiem w oczach.

- Sza, moje serce. - Roszana głaskała go po policzku, aż ochłonął. - Imriel musi sam dokonywać wyborów.

Zaczęła splatać mu włosy. Są przyrodnym rodzeństwem, oboje urodzeni przez cioteczną siostrę mojej matki, Fanchonę. Tyle się dowiedziałem Mavros jest najmłodszym synem Sacrifanta, wuja mojej matki.

- Masz te listy? - zapytała.

Mimo woli spojrzałem w stronę gabinetu Fedry. Gdzieś tam była ka setka zawierająca wszystkie listy napisane do mnie przez matkę. Fedra nie mówiła o nich od czasu zniknięcia, ale zawsze z nimi podróżowała. Wciąż wierzyła, że pewnego dnia o nie poproszę.

- Tak - odparłem. - Mam.

- Może więc one zawierają odpowiedź? - powiedziała z uśmiechem Roszana.

- Może - mruknąłem. - Jej odpowiedź. - Patrzyłem, jak pomykają jej palce, zwinnie splatając cienkie warkoczyki. Baptista miał półprzymknięte oczy, rozkoszując się jej dotykiem. Gdyby był kotem, z pewnością by mrucał.

- Dlaczego to robicie? - zapytałem. - Dlaczego splatacie włosy tylko mężczyznom?

- Dlaczego? - Uśmiechnęła się szerzej. - To uczy cierpliwości, kuzynie. To lekcja, jaką muszą opanować wszyscy mężczyźni. - Roszana przeciągnęła palcem po karku Baptysty, przyprowadzając go o dreszcz. - A nam poprawia zręczność - dodała z psotną nutą w głosie.

- Jest twoim bratem! - krzyknąłem.

Mavros zachichotał.

- O tak. - Roszana zaśmiała się cicho. - Nie jesteśmy sobie przeznaczeni. A jednak możemy uczyć się podczas zabawy. I kto wie, kto na tym zyska? Na tym polega cel takich zabaw. - Zerknęła w bok, wyczuwając czyjąś obecność, i w jej głosie zabrzmiał opanowany, uprzejmy ton. - Czy nie tak, pani?

Stając w drzwiach, Fedra spojrzała na nią łagodnie.

- W istocie, tak mówią w Dworze Nocy. Nie wiem, co powiadają w Kuszezie.

- My, Szachrizaj, poniekąd jesteśmy adeptami, pani. - Mavros, rozłożony na owczej skórze, wsparł się na łokciach i błysnął leniwym białym uśmiechem. - Z pewnością nikt nie zaprzeczy, że spełniamy swoją powinność i w całej pełni oddajemy cześć Nami.

Fedra uśmiechnęła się wbrew sobie.

- Z pewnością nie. Imrielu, jest późno, już odprawiłam służbę. Dopilnujesz zgaszenia lamp?

- Tak, oczywiście. - Wstałem. Wciąż czułem się skrepowany, patrząc na nią z góry. Położyłem ręce na jej ramionach. - Dziękuję. Nie martw się, wszystko jest dobrze. Po prostu muszę zrozumieć pewne rzeczy.

- Wiem, skarbie. - Dostrzegłem cień smutku w jej oczach. Delikatnie dotknęła mojego policzka. - Dobrej nocy. Do zobaczenia rankiem.

Kiedy wyszła, Mavros opadł na dywanik i wypuścił powietrze.

- Na Eluę! - westchnął, składając ręce pod głowę. - Wybranka Kusziela we własnej osobie. Imri, na pewno musisz się zastanawiać...

Roszana mruknęła ostrzegawczo.

- Nie - powiedziałem. - Po prostu... nie.

Mavros mrugnął do mnie, rzęsy miał długie i czarne jak sadza.

- Ach, ale na pewno...

W mojej głowie rozległo się przeraźliwie wysokie dzwonięcie. Skuliłem ramiona, napięty. Nawiedziły mnie wspomnienia; wszechobecny smród stojącej wody w zennie; swąd spalenizny płynący z mojego własnego ciała. Głos Fedry, na pokładzie statku żeglującego do La Serenissi- my, gdzie spełniła moje najgłębsze życzenie i ostrzegła mnie, że niesie to ze sobą niebezpieczeństwo.

„Masz w żyłach krew Kusziela. Pewnego dnia sam to odkryjesz”.

- Nie - powtórzyłem stanowczo. - Nigdy.

- Nie? - W głosie Mavriela pobrzmiwało rozczarowanie. Zamknął oczy. - Ja tak - mruknął. - Nic na to nie poradzę. Zastanawiam się i zastanawiam.

Spojrzałem na Roszanę, szukając pomocy, ale ona odwróciła głowę skupiona na warkoczach Baptisty. Najmłodszy z moich krewnych niczego nieświadom, zatracony w przyjemności, jaką sprawiały mu jej zabiegi.

- Wolałbym, żebyś się nie zastanawiał, kuzynie - powiedziałem do Mavrosa, słysząc nutę rozpaczony we własnym głosie. - Proszę. Naprawdę.

- Wiem. - Spojrzał na mnie spod rzęs. - Ale taki jestem. Nic na to nie poradzę. I ty też taki jesteś, kuzynie.

Kolejny głos wypłynął z głębin pamięci, a towarzyszył mu podmuch lodowatego powietrza i widok gwiazd, zimnych i odległych, płonących nad świątynią Elui, gdzie stary kapłan mówił o moim przeznaczeniu!

„Od ciebie zależy, co z tym zrobisz”.

- Nie znasz mnie - powiedziałem drżącym głosem. - Nie wiesz, jaki jestem. Kim jestem.

- Doprawdy?

- Mavros. - Roszana wymówiła jego imię jak rozkaz. Odwrócił głowę i popatrzył na nią. - Daj mu spokój.

- Ja tylko... Pokręciła głową.

- Nó dobrze. - Płynnie podniósł się z podłogi i stanął wyprostowany. - W takim razie idę do łóżka, skoro, jak się zdaje, dzisiaj nie pasuję do miłego towarzystwa.

- Pasowałbyś, gdybyś przestał się ze mną drażnić - zaznaczyłem.

- Nie złość się na mnie, kuzynie. - Mavros obdarzył mnie rozbajającym uśmiechem, którym czarował podkuchenne i stajennych. - I tylko staram się pomóc. - Kiedy nie odpowiedziałem, jego uśmiech przygasł zastąpiony przez wyraz głębokiego zdumienia. - Co oni ci tam zrobili Imrielu? - zapytał z niekłamaną ciekawością. - Co ci zrobili, że boisz się tego, kim jesteś?

Nie powiedziałem mu o tym. Nigdy nie powiedziałem nikomu z wyjątkiem Fedry.

- Nie chcesz wiedzieć - odparłem.

- Ależ chcę. - Dotknął mojego ramienia. - My rozumiemy te rzeczy. „Złe myśli, złe słowa, złe uczynki”.

- Nie - rzekłem łagodnie, złość już mi przeszła. - Myślisz, że tak, ale uwierz mi, Mavros, jest inaczej. Nie takie rzeczy.

Po chwili pokiwał głową.

- Gdy kiedyś zechcesz o tym pomówić, chętnie posłucham.

Kiedy wyszedł, usiadłem i patrzyłem na zwinne ręce Roszany. Było coś kojącego w ich rytmicznych ruchach. Baptista zapadł w drzemkę; spuścił na piersi głowę z na wpół zaplecionymi włosami, usta miał rozchylone. Uśmiechnąłem się na ten widok.

- Cierpliwość, prawda? - zapytałem Roszanę.

- Cóż. - Uśmiechnęła się do mnie. - Cierpliwość, tak jak miłość, ma wiele postaci.

## DWANAŚCIE

---

Choć pogodziłem się z Mavrosem, jego słowa nie dawały mi spokoju.

Właściwie sami Szachrizaj sprawiali, że byłem niespokojny. Dobrze o nich świadczy, że w czasie pobytu w Montrève zachowywali się nienagannie. Nie wiem, czego się spodziewałem - może w głębi duszy obawiałem się, że dojdzie do jakiejś gwałtownej manifestacji rozpasania albo że co najmniej przyłapię Mavrosa gdzieś w nocy na schodach, wyrabiającego jakieś niestworzone rzeczy z pokojówką.

Ale nie, choć flirtowali i czarowali, nie przekroczyli granic przyzwoitości. A jednak to coś tam było. Było obecne w beztroskiej zmysłowości, z jaką odnosili się do siebie, we wrażeniu pożądania tłącego się pod skórą, w drapieźności i... nó tak, w cierpliwości. Doszukałem się tego nawet u młodego Baptisty.

Aby od tego odpocząć, poszedłem odwiedzić Fedrę w gabinecie, gdzie czytała stos korespondencji. Z Miasta przybył kurier, przywożąc paczkę listów, które tam do niej napłynęły. Stałem w otwartych drzwiach i patrzyłem, jak czyta z twarzą jasną z zadowolenia.

- Imri. - Zauważyła mnie i skinęła ręką. - Wejdz, skarbie.

- Nie będę ci przeszkadzać? - zapytałem.

Nieczęsto ją widywałem, zajęty bawieniem kuzynów, i myślałem, że jest tylko wspaniałomyślna, pozwalając mi spędzać z nimi tyle czasu. Po słowach Mavrosa... Nie byłem taki pewien.

Uśmiechnęła się do mnie.

- Nigdy. Gdzie nasi goście?

- Ti- Filip i Hugues zabrali ich do wioski. Roszana ma ochotę ją zobaczyć. - Wszedłem do gabinetu i usiadłem na podłodze obok jej krzesła. - Od kogo ten list?

- Od Nicoli L'Envers. Przyjeżdża do Miasta, by w tym roku spędzić zimę na dworze, z młodszym synem Raulem.

Chrząknąłem niezobowiązująco. Znałem nazwisko dość dobrze; Ni cola jest krewną królowej ze strony matki. Wyszła za aragońskiego szlach cica i jej wpływy w Aragonii ułatwiły Fedrze i Joscelinowi wytropienie kartagińskich handlarzy niewolników, którzy mnie porwali. Wiedziałem też, że była jedną z ulubionych klientek Fedry.

- O co chodzi? - Fedra pogładziła moje włosy chłodnymi palcami. - Kłopoty z kuzynami?

- Nie. - Oparłem się o krzesło i zamknąłem oczy. Przez chwilę mogłem udawać, że znowu jestem dzieckiem. Po Daršandze pragnąłem, żeby Fedra była moją marką, choć zawsze wiedziałem, że to niemożliwe. Nie była. Ocaliła mi życie i ja bez namysłu oddałbym za nią swoje, lecz nie jest moją matką.

- Zatem co?

Niechętnie uniosłem głowę i napotkałem jej spojrzenie. Oczy ma ciemne i lśniące, ze szkarłatną cętką na tle tęczy. Pomiedzy skrzydełkami jej brwi widniała leciutka linia troski, lecz poza tym jej kredowa skóra była nieskazitelnie gładka. W Terre d'Ange każdy powiedziałby, że Fedra jest w pełni lata piękna - zostawiła za sobą świeże uroki wiosny, jeszcze nie tknęły jej warzące przymrozki jesieni.

- Nic - odparłem. - Zażęknęłem za tobą, to wszystko. - Zawahałem się. - Czy nas unikasz?

- Troszeczkę. - Jej twarz miała szczery wyraz. - Pomyślałam., że tak będzie łatwiej tobie.

Prześladowały mnie słowa Mavrosa. „Zastanawiam się i zastanawiam” Odwróciłem wzrok.

- Dlaczego? Czy... czy myślisz o nich?

- O twoich kuzynach? - Fedra nie kryła zaskoczenia. - Nie w ich wie ku! - Parsknęła śmiechem. - Mam trochę samokontroli, wiesz.

- Mavros ma siedemnaście lat.

- Tak, i głowę pełną siedemnastoletnich myśli, i brzuch pełen siedemnastoletnich żądz. - Musnęła dłonią mój policzek. - Wiem. Nie może nic na to poradzić, a pozostali nie są daleko z tyłu. Dlatego uznałam, że tak będzie łatwiej.

- To mnie przeraża - mruknąłem. - Nie chcę... nie chcę, żeby coś się zmieniło.

- Ach, skarbie. Życie jest pełne zmian. Nie wszystkie są złe. - Fedra pociągnęła kosmyk moich włosów, zmuszając mnie, żebym na nią spojrział. - Imrielu nó Montrève, masz prawe serce i odwagę, której wystarczyłoby do obdzielenia dziesięciu ludzi. Bez względu na to, na kogo wyrośniesz, będziesz szlachetny i dobry. Wierz mi, skarbie, nie ma w tobie niczego, czego musiałbyś się obawiać.

- Jednak jest - szepnąłem.

- Nie. - Pokręciła głową. - Tylko cienie.

- Skąd możesz być tego pewna? Fedra uniosła brwi.

- Wątpisz w słowo tej, która zna Imię Boga?

To mnie rozśmieszyło, zgodnie z jej zamysłem. Nie żartowaliśmy w tych sprawach, a co więcej, rzadko o nich mówiliśmy, gdyż były zbyt głębokie, żeby ubierać je w słowa. Dzisiaj jednak było to potrzebne i właściwe, przypominając mi o tym, co razem przeszliśmy.

Wstałem i pochyliłem się, żeby pocałować ją w policzek.

- Dziękuję.

Nic się nie zmieniło, a jednak czułem się lepiej. Poszedłem do psiarni i spędziłem trochę czasu na rozmowie z Artusem Labbe. Pomógł mi wybrać szczenię z wiosenne-go miotu dla Alais, suczkę o żywych brązowych oczach i ciekawskim usposobieniu. Omówiliśmy co subtelniejsze aspekty szkolenia psów. Sprawiała mi przyjemność myśl o szczeniaku wilczarza na dworze, gdzie na porządku dziennym są pieski salonowe. Kiedy suczka urośnie, będzie sięgać niemal do ramienia Alais, Przywiozłem ze sobą starą sukienkę kuzynki, żeby szczenię przyzwyczyliło się do zapachu.

Później znalazłem Joscelina i poprosiłem go, żeby się ze mną zmierzył, co chętnie uczynił.

Nie zwracałem sobie głowy pytaniem go, czy nas unika, bo doskonale wiedziałem, że tak. Gdyby groziło mi jakieś niebezpieczeństwo, honorowałby przysięgę. Jest towarzyszem życia Fedry i rycerzem królowej; chroniłby i służył. Dopóki nic mi nie zagrażało, trzymał się na uboczu - na ile pozwalały na to granice uprzejmości. Ze względu na mnie nie obnosił się ze swoją antypatią do rodziny Szachrizaj, ale też nie mógł zupełnie jej ukryć.

Stoczyliśmy porządny pojedynek, aż biły na mnie siódme poty. Najpierw walczyliśmy drewnianymi sztyletami, potem mieczami. Miecz lepiej leżał mi w rękach. Przemawiał do mnie niezwykły charakter tej broni. Oczyszczał mi umysł i mogłem wyraźniej dostrzegać sfery obrony własnej i przeciwnika, w których obaj krążyliśmy.

W trakcie walki usłyszałem, że wracają kuzyni. Byli w doskonałych humorach, śmiali się i gawędzili. Usłyszałem też głos Katherine. Niespo dziewanie poczułem ukłucie zazdrości. Usiłowałem o nim zapomnieć koncentrując się na walce.

Szło dobrze, dopóki Roszana i Katherine nie przyszły do ogrodu, żeby nas obserwować.

Widziałem, jak Joscelin zerknął w bok, i straciłem okazję do ataku. Zacząłem opuszczać drewniane ostrze, żeby przywitać dziewczęta. a wówczas on natarł mocniej, zmuszając mnie do defensywnego odwrotu. Zawrzała we mnie złość i odpowiadałem ciosem na cios, krążąc w taki sposób, żeby

zajść go od lewego boku.

- Masz rację - szepnęła za mną Roszana. - Jest całkiem dobry! To mnie zgubiło.

Źle postawiłem stopę i nie zdążyłem sparować. Miecz Joscelina odbił

moje ostrze i wyłobił rysę nad moją prawą brwią.

- Imri! - krzyknęła przestraszona Katherine. Joscelin się skrzywił.

- W porządku?

- Tak. - Zakryłem ręką skaleczenie i spojrzałem na niego spode łba. - Nic mi nie jest.

- Pokaż. - Odciągnął moją rękę. - Do wesela się zagoi, tylko doborze przemyj. - Linia jego zaciśniętych ust sugerowała rozbawienie. - Przepra szam, skarbie. - Odwrócił się i złożył kasjelicki ukłon. - Panie.

Usiadłem na kamiennej ławce. Katherine pobiegła do studni i wyciągnęła wiadro zimnej wody, zmoczyła chusteczkę i zaczęła ocierać krwawią cą ranę. Roszana patrzyła, jak Joscelin idzie do dworu.

- Nie lubi nas, prawda? - mruknęła.

- Nie wasza wina. - Chrząknąłem. Katherine pochylała się nade mną, w wycięciu stanika sukni widziałem jej piersi.

Wyrwałem jej chusteczkę, przycisnąłem do czoła.

- Daj, sam to zrobię.

- Proszę bardzo. - Uśmiechnęła się do mnie. Poczułem gorąco na twarzy.

- Wycieczka się udała?

- Tak. - Roszana podeszła do Katherine, położyła rękę na jej ramieniu. - Zastanawialiśmy się nad czymś, Imrieliu. Może jutro powinniśmy wyruszyć na własną wycieczkę, we trójkę. Może chłopców nie znudziło polowanie, ale mnie tak. Katherine mówi, że w górach jest jezioro, które obiecałeś jej pokazać.

- Możemy urządzić piknik - dodała Katherine.

Patrzyłem na nie, zastanawiając się, czy na mojej twarzy odbija się konsternacja równa tej, którą czułem.

- We trójkę?

Roszana uśmiechnęła się leniwie.

- Dlaczego nie?

Poruszyłem ustami, lecz nie popłynął z nich żaden dźwięk. Z trudem przełknąłem ślinę.

- Zgoda.

- Doskonale! - Katherine klasnęła w ręce. Miała iskry w szaroniebieskich oczach i mocne rumieńce na policzkach. Zastanowiłem się, o czym, na Eluę, rozmawiały podczas jazdy do wioski, i uznałem, że wolę nie wiedzieć. - Przygotuję prowiant.

- Zgoda - powtórzyłem, przyciskając chusteczkę do krwawiącej głowy. Zdecydowanie skołowanej.

Źle spałem tej nocy, budząc się i rzucając w łóżku. Wydawało mi się dziwne i niezwykłe, że po przeżyciu tego, co mnie spotkało, po oglądaniu cudów i koszmarów, straciłem zimną krew, gdy dwie szesnastoletnie dziewczyny zaproponowały wspólny piknik, nic więcej... na pozór. To obietnica, sugestia czegoś więcej mnie pogrążyła.

Chciałem... ach, Elua. Chciałem.

Ale z pragnieniem napłynął cień. Może Fedra miała rację, może nie ma się czego obawiać ze strony cieni. Wierzyłem w to, kiedy z nią byłem. Ale ona poszła do Daršangi z własnej woli, jako dorosła kobieta, już wiedząca, jaką ciemność w sobie nosi, straszne pragnienia zaszczerpione przez Strzałę Kusziela. Ja byłem dzieckiem. Co zrobiła ze mną Daršanga?

Mavros miał rację, sam siebie nie znałem.

Nie byłem pewien, czego chcę.

W końcu zasnąłem. Dzień wstał piękny i jasny. Wciąż czułem się otumaniony. Katherine z radosną sprawnością zajęła się wszelkimi przygotowaniem, prowiant był za-



pakowany, a nasze wierzchowce już czekały osiodłane. Obiecawszy, że nie zbłądzimy za strzeżone granice Montrève, ruszyliśmy w drogę.

Poprowadziłem je najładniejszym szlakiem, jaki znałem, w górę pociętych tarasami zboczy z sadami kasztanowymi, krętą ścieżką przy pastwiskach, gdzie pasące się owce nakrapiały wzgórze. Pokazałem im nowe pastwisko, które pomagaliśmy oczyścić z Charlesem.

- Trudno uwierzyć, Imri, że jesteście w tym samym wieku - zauważyła Katherine i zwróciła się do Roszany: - Mój brat wydaje się znacznie młodszy, prawda?

- Wszyscy młodszy bracia są tacy w oczach sióstr - odparła uprzejmie Roszana.

Spojrzałem na nią.

- A Baptista?

- Cóż. - Wraz z uśmiechem pojawiły się dołeczki na jej policzkach. - Tak, w pewien sposób.

Moja kuzynka wyglądała pięknie tego dnia. Prawdę mówiąc, obie wyglądały pięknie. Roszana miała ciemnoniebieską suknię, która podkreślała kolo jej oczu, a rozpuszczone włosy opadały jej na ramiona. Spływały jak moje, w grantowoczarnych fałdach. Katherine włożyła ładną płócienną suknię w kolorze żółtego złota, przywodzącą na myśl kwitnące kwiaty. Upięła warkocze w niewielką koronę i słońce zapalało miodowe smugi w jej brązowych włosach.

Pasterz pozdrowił nas z daleka, unosząc rękę, a ja mu pokiwałem.

Była to długa jazda w góry. Miejscami musieliśmy jechać gębiego, nasze wierzchowce ostrożnie wybierały drogę pomiędzy rozrzuconymi głazami. Ja prowadziłem, próbując sobie przypomnieć, gdzie leży staw ze źródlaną wodą. Słuchałem jednym uchem rozmowy dziewcząt. Nie wiedziałem do wczoraj, że się zaprzyjaźniły.

Kobiety stanowią tajemnicę.

Na szczycie przystanęliśmy, żeby dać chwilę wytchnienia wierzchowcom. Gdy konie stały z opuszczonymi głowami, dysząc ciężko przez rozdęte chrapy, my patrzyliśmy w dolinę. Dwór i zabudowania wydawały się małe. wtulone w zieloną dłoń doliny, a rzeka wiała się niczym srebrna wstążka.

- Imri! Zapomniałam, jak ślicznie jest w górach. - Katherine odetchnęła głęboko rześkim powietrzem i spojrzała na mnie z błyskiem w oczach. - Pięknie, prawda?

W tej chwili zawstydzilem się własnych myśli i tego, jak niewiele względów okazywałem jej tego lata. Katherine była córką seneszała. Zo stawiała dzieciństwo za sobą, i to obowiązki zatrzymywały ją we dworze, a nie wzdarda dla mojego towarzystwa.

- Tak. - Uśmiechnąłem się do niej. - Jest pięknie.

Roszana spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

- Uwielbiasz to miejsce, prawda?

- Bardzo. - Pomyślałem o Montrève i o wszystkich jego mieszkańcach, i musiałem otrząsnąć się ze wzruszenia. - Jedziemy. Tędy, jak sądzę.

Choć jazda zajęła niemal godzinę, bez większych trudności znalazłem staw na jednej z wysoko położonych, ukrytych łąk, porośniętych wysoką trawą i polnymi kwiatami. Był taki, jak pamiętałem, idealnie okrągły, otoczony przez półkę rozgrzanego przez słońce granitu: błękitne oko mrugające sekretnie do nieba.

Po napojeniu spętaliśmy konie. Zdjąłem juki i rozłożyłem koce na łące, spłaszczając trawę. To naprawdę idylliczne miejsce. Wszędzie wokół nas kwiaty kiwały się na wysokich łodygach, a owady trzepotały przezroczystymi skrzydełkami. Katherine zzuła skórzane trzewiki i zsunęła pończochy. Jej białe stopy były piękne i białe. Zakasując spodnice, zeszła na skalisty brzeg i zanurzyła wielki palec w wodzie.

- Zimna! - krzyknęła z konsternacją. Roześmiałem się.

- Przecież mówiłem, że wypływa ze źródła.

Uniosła podbródek i skinęła głową w stronę jeziora.

- Wyzygam cię!

Coś w jej tonie przypomniało mi o dziecięcym wyzwaniu, które kiedyś podejmowaliśmy razem, tamtego pierwszego lata w Montrève.

- Zgoda - rzuciłem lekkomyślnie, wstając i zdejmując koszulę. - Przyjmuję wyzwanie.

- Imrieli. - Roszana, spoczywając na rozpostartych kocach, też się podniosła. - Jesteś pewien...?

Zignorowałem ją, zrzucając buty, rozwiązując spodnie i płócienne gacie. Zdjąłem je i stanąłem nagi pod bezkresnym błękitnym niebem. W jasnym blasku dnia spłowiałe blizny na moich plecach i blade piętno na pośladku musiały być dobrze widoczne. Przebiegłem kilka kroków i skoczyłem do wody, nurkując płytko.

Woda była zimna.

Była bardzo zimna.

Wynurzyłem się, parszcząc i dzwoniąc zębami.

- Zadowolone? - wydyszałem.

Stały na brzegu, patrząc na mnie, gdy płynąłem.

- Tak, dowiodłeś, że umiesz pływać - powiedziała Roszana. - Jaki był inny tego cel?

Ochlapałem je wodą, aż ze śmiechem uciekły na koce. Wciągnąłem się na kamienną półkę. Stałem, ociekając wodą w ciepłym słońcu, z gęsią skórką po zimnej kąpieli. Choć stałem na solidnej skale, czułem się dziwnie nieważki, zawieszony pomiędzy beztroskim dzieciństwem w sanktuarium i pewnością siebie osoby dorosłej, którą pragnąłem zostać.

- Nie wiem - odparłem. - A był?

Roszana zachichotała, a Katherine pochyliła głowę, zasłona miodowo - kasztanowych włosów przysłoniła jej uśmiech. Sięgnęła po moje ubranie i rzuciła mi koszulę.

- Prędko, osusz się! Nie chcę, żebyś znów zachorował. Skrzywiłem się na te słowa, ale zrobiłem, co kazała. Ubranie przylgnę

ło do mojej wilgotnej skóry. Wyżąłem włosy i odrzuciłem przemoczoną gęstwę na plecy.

- I co teraz? - zapytałem, dołączając do nich, by usiąść po turecku na kocach.

- Posilimy się - odparła Katherine, patrząc na mnie z ukosa. Podjedliśmy porządnie, długa jazda i czyste powietrze wyostrzyło nasze

apetyty. Jedzenie było proste, strawa pasterza, ale smaczne - chrupiący chleb, ostry ser i kiełbasa, wędzona szynka i oliwki z rozmarynem. Zjedliśmy wszystko, co przywieźliśmy, dzieląc się bukłakiem białego wina do popicia.

Kiedy skończyliśmy, poczułem się nasycony i rozleniwiony. Słońce wysuszyło moje ubranie, byłem rozgrzany i zadowolony. Leżałem na plecach z przymkniętymi oczyma, słuchając brzęczenia owadów, szele stu długiej trawy. Nie miało znaczenia, dlaczego tu jesteśmy, jaki spisek obmyśliły dziewczęta. Świat jest dobry, a to wystarczający powód do radości. Zapomniałem o pożądaniu, z zadowoleniem ciesząc się chwilą i własnym dobrym samopoczuciem.

- Mavros mówi, że chcesz zrozumieć pewne rzeczy - rzekła Roszana cicho.

Otworzyłem oczy, spojrzałem spod przymrużonych powiek. Jej zwinne palce zrywały łodygi wysokiej trawy i splatały je w równy warkoczyk.

- Rozmawialiśmy - mówiła. - Katherine i ja, w czasie drogi powrotnej z wioski. O zabawach, których uczymy się w Kuszecie i Siovale, i o różnicach pomiędzy nimi. Usiadłem.

- Jakich zabawach?

- Przecież wiesz! - Katherine się zarumieniła. - Zabawy, Imri!

Pokręciłem głową. Domyślałem się, do czego zmierza, ale nie miałem doświadczenia w takich sprawach.

- Będziesz musiała mnie nauczyć.

Katherine westchnęła. Pochyliła się, złapała garść płożącego się powoju, wyrwała błękitno kwitnące pnącze i zwinęła je w pętlę.

- „Zarzucam sieć, by złowić prawdziwą miłość” - zaśpiewała, rzucając improwizowaną pętlę w powietrze. Spadła na koc, na wpół zawisając na mojej nodze. - Nigdy się tego nie uczyłeś?

- Nie. - Spojrzałem ze ściągniętymi brwiami na powój. - Co mam zrobić?

- Nic! - W głosie Katherine pobrzmiwała cierpka nuta. - Nie złowiłam cię. Gdyby sieć wylądowała na twojej głowie, byłbyś mi winien pocałunek.

- Więc... - zacząłem.

- A oto gra, w którą bawimy się w Kuszecie - przerwała mi Roszana. - Jest bardziej ostra niż ta z Siovale. - Strzeliła na próbę z improwizowanego pejcza i uśmiechnęła się, kiedy Katherine i ja podskoczyliśmy mimo woli. - Nie niesie krzywdy, Imrielu.

- Komu? - zapytałem niespokojnie. - I dlaczego?

- Nikomu. - Jej uśmiech się poszerzył. - To tylko zabawa. - Dotknęła końcem trawiastego bicia mojego policzka. - Boisz się, prawda?

Z irytacją odsunęłam splecioną trawę.

- Ciebie? Nie.

- Własnych pragnień - powiedziała spokojnie. - Tego, czego pragniesz i co boisz się dopuścić do głosu. Tu poznasz tylko nutkę ich smaku, i to taką, która powinna sprawić ci przyjemność. - Zwróciła się do Katherine: - Ty rozumiesz, prawda?

Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć za nią, żeby powiedzieć nie. Ale Katherine uniosła podbródek jak wtedy, gdy rzucała mi wyzwanie; tym razem rzuciła je mojej kuzynce.

- Nie boję się - oznajmiła.

- Więc zagrajmy. - Roszana przeciągnęła końcem trawy wzdłuż kości policzkowej Katherine, okrążyła ucho. - Oto, na czym polega gra. Jeśli zaczniesz się wiercić albo wydasz jakikolwiek dźwięk - szepnęła - zarobisz smagnięcie. Jeśli nie... wygrasz pocałunek.

Katherine jęknęła.

Trzasnął spleciony z trawy pejcz.

Skrzywiłem się na ten widok. Katherine szeroko otworzyła oczy i głośno wciągnęła powietrze, zaskoczona i na wpół roześmiana. Było to żartobliwe smagnięcie - pejcz spadł na ramię, nie czyniąc jej krzywdy - ale dość ostre, by pojawiła się różowa pręga. Jej widok obudził we mnie mroczny niepokój. Wiedziałem aż za dobrze, jak głębokie, krwawe pręgi zostawia prawdziwy bicz. Wciąż nosiłem blizny. Pokazanie ich dzisiaj wynikło z brawury - z brawury, która dawno odeszła.

- Nie rób tego - poprosiłem, gdy odzyskałem mowę. - Roszano, proszę.

- To tylko zabawa. - Jej pejcz błędził po gardle Katherine, łaskocząc zagłębienie u podstawy szyi, gdzie wyraźnie pulsowała żyłka. - Ale zabawa oporu i poddania. - Wyrysowała delikatny wzór na skórze Katherine patrząc, jak przyspiesza jej puls. - Pytasz, dlaczego, Imrielu. Ponieważ to gra woli, stawki są podwyższane i przyjemność narasta. I bawiąc się w to głębiej poznajemy siebie i inne osoby. - Pejczyk opadł niżej. - Założę się że Katherine już nauczyła się czegoś nowego o sobie, odkąd się poznałyśmy - dodała, patrząc jej w oczy. - Czyż nie?

Katherine odwzajemniła spojrzenie z niemyim wyzwaniem w roziskrzonych oczach.

- Widzisz? - Roszana się uśmiechnęła. - Wygrała pocałunek. - Podniosła się na kolana i pochyliła, odkładając pejcz.

Z rozdziawionymi ustami patrzyłem, jak spełnia obietnicę. Był to prawdziwy pocałunek, głęboki i długi, i Katherine odwzajemniła go żarliwie. Poczulem falę pożądania tak potężną, że to aż bolało. Byłem rozpalony, oszołomiony i chory. Kiedy odsunęły się od siebie, pasma ich włosów pozostały splecione, granatowoczarne i miodowokasztanowe migoczące w słońcu niczym nić pajęcza.

- Twoja kolej, kuzynie. - Roszana podniosła trawiasty biczyk i wcisnęła go w moją dłoń. - Możesz wybrać jedną z nas.

Mocno zacisnąłem rękę, czując schludnie splecione warkocze we wnętrzu spoczonej dłoni. Wyobraziłem sobie machnięcie pejczem, trzask i powstałą pręgę. Dziewczęta patrzyły na mnie z rozbawieniem. Prawda da, to tylko zabawa; głupia zabawa. A ja, który ledwie godzinę temu rozkoszowałem się wrażeniem zawieszenia pomiędzy dzieciństwem i dośrością, poczułem się jednocześnie za młody i za stary, żeby się w to bać. Nie mogłem tego zrobić. Choć bardzo ich pragnąłem - obu. każdej z nich - nie mogłem. Nie w ten sposób. Zaschło mi w ustach, pożądanie malowało.

- Nie mogę. - Rzuciłem pejcz na koc. - Przepraszam, ale nie mogę.

Katherine poróżowiła na twarzy i odwróciła wzrok. Wiedziałem, że wprowadziłem ją w zakłopotanie. Bez względu na to, co właściwie oferowały tu dzisiaj, ja tym wzgar-

dziłem. Nie będzie skora do powtórzenia propozycji w jakiegokolwiek formie. Wolałbym zagrać w siovaleńską grę. Ukryłem twarz w dłoniach i westchnąłem.

- W porządku, Imrielu. - Głos Roszany brzmiał zaskakująco łagodnie. Spojrzałem na nią i ujrzałem troskę na jej twarzy. - Wiesz, że chcieliśmy dobrze, prawda?

Skinąłem głową.

- Chcę zrozumieć. To tylko... - Próbowałem znaleźć słowa, które wyraziłyby potworność moich przeżyć, które wyjaśniłyby, jak i dlaczego tutaj, na otwartej przestrzeni, na ukwieconej łące, prześladuje mnie smród stojącej wody. Jak i dlaczego warkocze wonnej trawy przywołały wspomnienie splecionych rzemieni, ciemnych od starej krwi. - Daršanga - szepnąłem.

Po raz pierwszy wyrzekłem na głos to słowo do kogoś poza Fedrą. Dziewczęta wymieniły spojrzenia. - Tak nazywa się to miejsce? - zapytała Roszana. - Tak - mruknąłem.

- Przepraszam - powiedziała Katherine. - Czasami zapominam. Wydajesz się taki... - Wzruszyła ramionami, patrząc na mnie ze słodkim uśmiechem. - Jak brat, tylko że nie jesteś bratem.

Odwzajemniłem uśmiech.

- Ja też staram się zapamiętać.

- Staraj się bardziej - rzuciła przekornie.

Tak oto sytuacja, która wróżyła katastrofę, skończyła się dobrze. Zebraliśmy nasze rzeczy i ruszyliśmy w długą drogę powrotną do doliny. Zjawiliśmy się we dworze akurat na kolację. Później Katherine zajęła się swoimi obowiązkami, podczas gdy ja siedziałem z kuzynami w największym pokoju, jak co wieczór od czasu ich przyjazdu.

Nic się nie zmieniło.

W nocy znowu długo rozmyślałem, nie mogąc zasnąć. Tym razem kazały mi czuwać nie fantazje mojej rozpalonej wyobraźni, ale wspomnienia i towarzyszące im dojmujące pożądanie. Kiedy zamykałem oczy, widziałem Roszanę całującą się z Katherine. Pocilem się i wierciłem na łóżku, wplątany w prześcieradła, i przeklinałem się za głupotę.

„Staraj się bardziej”.

Gdyby to było takie proste.

## TRZYNAŚCIE

---

Pod koniec wizyty Szachrizaj pokłóciłem się z Mavrosem. Przyznaję się z własnej woli, wina leżała po mojej stronie, choć Mavros też odegrał swoją rolę. Prawdę mówiąc, po dniu nad górskim stawem byłem na kręcony mocniej niż dziecięcy bąk. Montrève, mój azyl i raj, pulsowało. napięciem i pożądaniem.

To nie wina Szachrizaj. Są, jacy są - próbowali postępować ze mną uczciwie. Nie ponosili winy za cień zalegający na mojej duszy. To ja byłem niesprawiedliwy. Upraszałem się o pomoc w zrozumieniu i uciekałem gdy ją zaoferowali.

Po wycieczce nad górskie jezioro Roszana zrozumiała, Jedno słowo powiedziało jej, co przeszedłem; Daršanga. Nie naciskała na mnie, za co byłem wdzięczny. A Baptista... Baptista to była czysta radość. Widziałem w nim siebie, jaki mógłbym być, gdyby nie Daršanga. Na zmianę pełen radosnej energii i rozleniwienia, czerpał z życia pełnymi garściami. Żaden kapłan Elui nigdy nie będzie musiał mu przypominać, że ma być radosny, radość bowiem jest nieodłączną częścią jego natury.

Ale był Mavros.

W pewien sposób byliśmy podobni. Starszy ode mnie, rozumiał brzemień powinności wynikające z urodzenia, podobnie jak ja byłem zmuszony borykać się ze swoją pozycją księcia krwi. Podczas gościny w Montrève podsunął mi wiele pomocnych rad, jak radzić sobie z intrygami dworski mi i z wielmożami, którzy patrzą na mnie koso i szepczą pod nosem. Ale Fedra powiedziała prawdę: miał siedemnaście lat, głowę pełną siedemna stoletnich myśli i brzuch pełen pożądania.

I mieszkał pod jej dachem.

Byliśmy w sokołarni, kiedy to się stało. Patrzyliśmy, jak Ronald Agout

przenosi na berła jastrzębie i sokoły; ptaki siadały i z przymkniętymi ślepiami czyściły pióra w ciepłych promieniach słońca. Opowiadałem mu o czuwaniu w świątyni Elui z Joscelinem w Najdłuższą Noc.

- Dla mnie brzmi to przeraźliwie nudno, gdyby ktoś mnie pytał za uważył ze śmiechem Mavros. - I pomyśleć, że twoja matka kiedyś... Urwał, patrząc w stronę dworu.

- Co kiedyś? - zapytałem, gdy stało się jasne, że nie dokończy zdania.

- Nic. - Mavros ostrożnie gładził palcem nakrapiane pióra sokoła, unikając mojego spojrzeniem. - Jeśli Fedra uznała, że nie należy ci mówić, nie moja sprawa ją wyrećczać.

- Czego nie należy mi mówić? - Nastroszyłem się jak sokół, który drgnął niespokojnie. Po drugiej stronie dziedzińca Ronald chrząknął z dezaprobatą.

Mavros wzruszył ramionami, cofnął się o krok.

- Nieważne. To było dawno temu, Imrielu, zanim któryś z nas pojawił się na świecie.

- Ale ty wiesz - powiedziałem, coraz bardziej zirytowany.

- Tak. - Uśmiechnął się krzywo. - To wiedza rodzinna. Przypuszczam, że wie połowa Kuszetu.

- Nó to mi powiedz. Nie strugaj wstydliwego.

- Chcesz wiedzieć? - Mavros obrzucił mnie przeciągłym spojrzeniem. - W takim razie niech ci będzie. Lepiej, żebyś usłyszał to ode mnie niż od jakiegoś zaściankowego kuszelickiego paniątka. Twoja matka umówiła się z Fedrą na Najdłuższą Noc i przyprowadziła ją na bal u diuka de Morhnana na aksamitnej smyczy.

- Nie - zaprzeczyłem machinalnie. - To nieprawda. Kłamiesz.

- Nie kłamie! - rzucił niecierpliwie. - Na Eluę, Imri! Fedra jest *angui-setui* przysięgła służyć Naamie. Jak myślisz, co to oznacza? Tym zarabia na życie, albo zarabiała, w każdym razie, zanim królowa Ysandra uznała jej przynależność do warstwy arystokracji. I tak, to prawda, w Najdłuższą Noc twoja matka paradowała przed diukiem de Morhbanem, żeby trawiła go zazdrość i żeby zrozumiał, iż w pewnych sprawach Szachrizaj zawsze będą od niego lepsi. Melisanda założyła jej obrożę na szyję, aksamitną obrożę z diamentem wielkości...

Nie dodał nic więcej, bo pochyliłem głowę i rzuciłem się na niego.

Mavros stęknął, potężnie uderzony, i razem padliśmy na ziemię. Tarzaliśmy się po dziedzińcu, podczas gdy Ronald krzyczał na próżno, a spłoszone ptaki były powietrze skrzydłami i szarpały pęta. Turlaliśmy się i w końcu znalazłem się nad nim. Hugues dobrze mnie wyszkolił. WSiovale zapasy uważane są za naukę. Unieruchomiłem kolanami nogi Mavrosa i nacisnąłem przedramieniem na jego gardło.

- Cofnij to! - syknąłem.

Patrzył na mnie wściekle spod przymrużonych powiek.

- Nie okłamałem cię, kuzynie!

- Imriel!

Był to głos Joscelina - bojowy głos, czysty i donośny. Ledwo przebrzmiał, jego ręka chwyciła mnie za kołnierz koszuli i oderwała od Mavrosa.

Przez chwilę na wpół wisiałem w powietrzu, napotykając wściekle spojrzenie błękitnych oczu Joscelina.

- Nie...



Postawił mnie na nogach.

- Zmierzasz przynieść wstyd domowi Montrève? - zapytał twardo i z naciskiem.

- Nie - odparłem cicho.

Mavros usiadł, pokaszując. Joscelin zwrócił się do niego:

- Nic ci nie jest?

- Nic, dziękuję... Zaszło nieporozumienie, to wszystko.

- Powiedział... - zacząłem.

Joscelin nie pozwolił mi dojść do słowa.

- To bez znaczenia, Imri. Jest twoim gościem i jesteś zobowiązany przestrzegać zasad gościnności. Nie obejmują one duszenia gości.- Puść cił moją koszulę i otrzepał ręce, patrząc na mnie z odrazą. - Fedra nie będzie zachwycona.

- Musimy jej mówić? - zapytałem ze strachem.

Składając ręce, Joscelin rozejrzał się po dziedzińcu. Mavros już stał otrzepując ubranie z kurzu, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Sokoły wciąż hałasowały i biedny stary Ronald Agout biegał od berła do berła próbując je uspokoić. Dwa młode gołębiarze szalały ze strachu i wiedziałem, że ten incydent o tygodnie, a nawet miesiące opóźni ich układane

- Chyba tak - powiedział chłodno Joscelin.

Nieczęsto widziałem Joscelina naprawdę rozgniewanego. Nie chodzi o to, że brakowało mu temperamentu - podobno za młodych lat jako brat kasjelita miał skore do zwady usposobienie. Może to było następstwem życia w celibacie; nie ulegało wątpliwości, że ten stan rzeczy wpływał na mój nastrój. Ale, jak przypuszczam, w jego przypadku ciężkie próby, które przeszedł od tamtych czasów, ustaliły próg gniewu, próg prawdziwej wściekłości znacznie wyższy niż u zwyczajnych śmiertelników.

Pod pewnymi względami pobyt w Daršandze był dla niego cięższy niż dla kogokolwiek innego.

Tak oto wybuch Joscelina należał do rzadkości i budził przerażenie ale podwójnie rzadki był widok rozgniewanej Fedry. Joscelin zaprowadził nas do dworu i tam, w jej gabinecie, kazał mi zrelacjonować incydent, wysłuchała moich słów, nie zmieniając wyrazu twarzy, po czym zwróciła się do Mavrosa:

-Panie, proszę przyjąć najgłębsze przeprosiny ze strony rodu Montrève - powiedziała z powagą i szczerze,

- Tak, oczywiście - odparł kulawo. - To było tylko nieporozumienie.

- Powiedział, że moja matka prowadziła cię na smyczy! - Słowa te niemal wybuchły w moich ustach. - Powiedz, że to nieprawda!

W głębi pokoju Joscelin wydał cichy, nieartykułowany dźwięk. Fedra odwróciła głowę w moją stronę.

Tak bardzo chciałem, żeby słowa Mavrosa okazały się kłamstwem. Pod ciężarem jej mrocznego i zarazem świetlanego spojrzenia zrozumiałem, że nie są. Zrobiła to, co powiedział. A jednak wcale się tego nie wstydziła. Była Wybranką Kusziela, *anguisette*. Wstyd nie miał do niej dostępu. Stała ponad nim. Wstyd spłynął z niej i przylgnął do mnie, a ja nie mógłbym nawet powiedzieć, dlaczego.

W zenanie zwali ją Dziwką Śmierci. Chętnie godziła się na wszelkie wynaturzenia, jakie leżały w chorej głowie mahrkagira. Wiedziałem o tym. Wszyscy w zenanie wiedzieli.

Gdy pierwszy raz ujrzałem Fedrę, splunąłem jej w twarz.

Po drugiej stronie gabinetu Mavros uśmiechnął się złośliwie.

- Tak, to prawda - rzekła Fedra cicho. - Zrobiłam markę tamtej Najdłuższej Nocy. - Skierowała spojrzenie na Mavrosa i jego uśmiech natychmiast zniknął. - Ale nie sądzę - podjęła - by ród Szachrizaj miał powody, by się tym chępić.

Patrzył na nią przez długą chwilę, jego twarz zrobiła się jakby naga pod jej spokojnym spojrzeniem. Wiedziałem, co zobaczył. Cała spleciona historia ich rodów - Fedry, mojej matki, Anafiela Delaunaya - leżała pomiędzy nimi, a jednak było jeszcze coś więcej. Fedra nó Delaunay z własnej woli zstąpiła do piekła i wyszła stamtąd żywa. I jakoś - tylko Błogosławiony Elua wie jak - zachowała zdolność kochania. Nosila w myślach Imię Boga i w ludzkiej duszy nie było tego, co mogłoby się przed nią ukryć.

Niekiedy wystarczało, żeby to pokazała.

- Wybacz mi, pani - wychrypiął Mavros. - Byłem okrutny.

- Młodość jest okrutna. - Fedra podchwyciła spojrzenie Joscelina. Coś przemknęło pomiędzy nimi, a wtedy westchnęła, kręcąc głową. - Wyjdźcie stąd, obaj. I pamiętajcie, koniec z bijatykami.

Wyszliśmy w pośpiechu.

Przez jakiś czas, za obopólną milczącą zgodą, nie odzywaliśmy się sobie. Szliśmy razem, bez słowa i bez celu. Dyskretnie rzuciłem okiem na Mavrosa i zobaczyłem, że ma nietypowo zamyśloną minę. Gdy oddalili śmy się od dworu, nogi same zaniósły nas nad rzekę. Szliśmy brzegiem z prądem, ku północnemu krańcowi doliny. Znalazłem mocny kij i ude rzałem nim w trzciny, które porastają brzegi. Patrzyłem, jak się uginają ale nie pękają, i podnoszą, gdy szliśmy dalej.

- Przepraszam - odezwał się nagle Mavros, przerywając długie mil czenie.

Przystanąłem, patrząc na wodę pieniającą się na lśniących skałach. - To moja wina.

- Niezupełnie. - Stał obok mnie. - Zaczynam myśleć, że może Szachrizaj nie do końca pojmują, co to znaczy być Wybranką Kusziela.

Postukałem kijem w ziemię.

- Ale to prawda. To, co powiedziałaś.

- Chciałbyś, żeby było inaczej? Dlaczego? - zapytał. Skinąłem głową.

- Nic na to nie poradzę. Mavrosie... - Westchnąłem i odrzuciłem kij. - To trudne. Nie umiem tego wyjaśnić. Usiadł na kępie suchej trawy.

- Mówiłem ci, że Kusziel jest litościwy... To trudne i wymagając miłosierdzie. Jeśli my jesteśmy mrocznym zwierciadłem pożądanego tego świata, to Fedra być może jest jasnym lustrem naszych żądz, ukazującym nam te rzeczy, które skrywamy za dumą i próżnością. Dostrzegłem własną małość w jej spojrzeniu i nie spodobało mi się to, co zobaczyłem.

- Znam to uczucie - mruknąłem.

- A jednak wstydzisz się za nią? - zapytał z zaciekawieniem.

- Nie. - Przycisnąłem ręce do oczu. - Nie wiem! Dlaczego to musiała być moja matka?

- Nóż tak. - Ton Mavrosa się zmienił. - Tak, cóż... tak. To musi być żenujące.

Opuściłem ręce i spojrzałem na niego gniewnie.

- Żenujące? Wzruszył ramionami.

- Co mam ci powiedzieć, Imri? Jest, jak jest, nie mogę zmienić przeszłości, nie bardziej niż ty. Nosisz w sobie ogrom strachu. Nie zdołam ci pomóc, jeśli będziesz odmawiać stawienia mu czoła. Nikt tego nie dokona - dodał - ani rodzina, ani Fedra. Sam musisz stanąć przed lustrem.

- Przed którym? - zapytałem cierpko. - Jasnym czy ciemnym?

- Przed jednym i drugim. - Zaśmiał się. - Posłuchaj mojej rady i racz łaskawie sam ze sobą porozmawiać o strachu.

Uśmiechnąłem się.

- Nóż tak, ty się nie mylisz.

- Wcale nie. - Mavros wstał i otrzepał ręce. - Ale nie jesteś gotów. I, jak przypomina mi Roszana, powinienem ćwiczyć cnotę cierpliwości. - Wyciągnął rękę. - Przyjaciele?

- Przyjaciele - odparłem powoli, ujmując jego dłoń. - Tak, jesteśmy przyjaciółmi.

- To dobrze. - Uśmiechnął się szeroko. - Nie mam zamiaru toczyć z tobą drugiej rundy! Jesteś groźnym przeciwnikiem, kuzynie.

Tak oto ostatnie dni minęły pokojowo. Byłem jednocześnie zasmucony i rad z wyjazdu kuzynów. Polubiłem ich, polubiłem ich bardziej niż przypuszczałem. Mavros powiedział prawdę - są ciemnym zwierciadłem i dostrzegłem w nich tyle siebie, że nie mogłem nimi gardzić. Ale były też inne kwestie.

W wyznaczony dzień przybyła ich eskorta i zebraliśmy się na dziedzińcu przed domem, żeby ich pożegnać. Wyglądali równie wspaniale jak w dzień przyjazdu i na przekór sobie czułem pewną dumę z ich piękna. Baptista krzyczał, stojąc w strzemionach i jeżdżąc w małym kręgu; Roszana z uśmiechem przesłała mi pocałunek. Mavros podniósł rękę w pożegnalnym geście i mrugnął.

- Do zobaczenia na dworze, kuzynie! - zawołał.

Po raz kolejny nic się nie zmieniło, a jednak wszystko znowu było inne. Miałem wrażenie, że sam jestem odmieniony i nowy. Należałem, choć więzi nie były ścisłe, do dziwnej, egzotycznej rodziny. I jeśli nawet nie dojrzałem do tego, żeby przyjąć tę więź całym sercem, nie odrzuciłem jej z bezbrzeżnym przerażeniem.

Inne rzeczy się zmieniły, ku mojemu żalowi. W ciągu miesiąca wizyty moich kuzynów odsunąłem się od Charlesa. Choć nasza przyjaźń przetrwała, widziałem go młodszym niż kiedyś, a jego pragnienia wydawały się proste i niewyszukane. Katherine natomiast stała się bardziej dojrzała. Bez względu na to, co zaszło na łące, Roszana powiedziała prawdę: podczas ich wizyty Katherine dowiedziała się o sobie czegoś, czego nie wiedziała wcześniej. Poruszała się z nowo nabytym przeświadczeniem o własnej wartości, świadoma rozkwitu swoich cech zmysłowych i pewna siebie w tej wiedzy. To kazało mi zastanawiać się nad przyczyną.

Po wyjeździe Szachrizaj zobaczyłem, że znowu zagina parol na Gilota

Tym razem nie było kokieteryjnych uśmieszków. Stała w swobodnej pewnej sobie pozie i przywołała go ruchem palca, a on poszedł za nią.

Parsknąłbym śmiechem, gdybym nie poczuł się zraniony. Miałem swoją szansę, na łące, i pozwoliłem, by przeciekła mi przez palce. Tam nad górskim stawem Katherine oferowała siebie, odważyła się pokazać, że będzie uległa, ja zaś ją odtrąciłem. A jednak pogodziła się z tym faktem nie mając do mnie żalu, i z łatwością przeszła do porządku dziennego ni mniej, ni więcej, właśnie to przepowiedział mi sędziwy kapłan Elui, gdy w Najdłuższą Noc mówił do mnie o miłości.

„Będziesz znajdował ją i tracił, bez końca”.

Z sercem przepelnionym młodzieńczą żalością, patrzyłem, jak miłość odchodzi.

Skończyło się lato w Montrève. Po miesiącu oddawania się przyjemnościom z kuzynostwem rzuciłem się w wir pracy. Pomagałem Charle sowi w obowiązkach i jeśli nasze koleżeństwo nieco zmalowało, cieszyła z mojej pomocy. Ćwiczyłem z Joscelinem, który wypowiadał się pochlebnie o moich postępach. I podjąłem naukę z Fedrą.

Nie było innych nauczycieli, nie doskonaliliśmy też sztuki szpiegowania. Wyczuwając moją potrzebę zatracenia się w spokoju, Fedra dała mi do czytania szereg tekstów - w większości historycznych i filozoficznych. Lubiłem traktaty helleńskich filozofów.

Po ostatnim wybuchu gniewu uważałem na Fedrę. Nie znaczy to, że chowała do mnie urazę, nie, pod żadnym względem. Nikt na świecie nie jest bardziej niż ona skory do wybaczenia. Chodzi mi o to, że nazbyt dobrze rozumie ludzką słabość i w jasnym zwierciadle jej spojrzenia nie chciałem zobaczyć własnych niedostatków.

Pewnego dnia, gdy ćwiczyliśmy, porozmawiałem o tym z Joscelinem.

- Zachowałeś się jak głupiec - oznajmił rzeczowo.

- Tak, wiem. - Zarumieniłem się. - To tylko...

- Wiem. - Jego spojrzenie złagodniało. - Twoja matka. Westchnął i przegarnął ręką pszeniczne włosy, przyciemnione przez smugi potu. Panował skwar, a my się nie oszczędzaliśmy. - Imrielu, wiedza o tym zdarzeniu cieszy mnie nie bardziej niż ciebie.

Obrysowałem noskiem buta łupkową płytę.

- Jak to znosisz?

- Raz próbowałem radzić sobie bez Fedry - powiedział lekkim, kpiarskim tonem, ale gdy uniosłem głowę, zobaczyłem, że wyraz jego twarzy przeczy brzmieniu głosu. - Stwierdziłem, że wszystko inne jest lepsze.

- Nawet Daršanga?

- Tak. - Joscelin milczał przez chwilę. - Nawet Daršanga - powtórzył w końcu i z półuśmiechem zmierzwił mi włosy. - Nawet jej niewytłumaczalna sympatia do twojej matki. I gdybyś mnie spytał, co wybrać z dwojga złego, skarbie, miałbym kłopot z udzieleniem odpowiedzi. Ale wydostaliśmy cię stamtąd, prawda?

Była to jedna z tych chwil, gdy czułem, że serce mi rośnie. Głupawo wyszczerzyłem zęby.

- Sądysz, że było warto?

- Jasne - odparł krótko. - A ty nie?

Wiele myślałem o jego słowach. Nie tylko dlatego, że rozgrzały mi serce, ale ponieważ zawierały w sobie podwójne znaczenie. Jak Drustan mab Necthana, Joscelin ceni słowa i jest bardziej subtelny niż może się wydawać. W końcowym rozrachunku uznałem, że było warto. Znaleźli mnie i wydostali z piekła.

A jednak wciąż nie wiedziałem, jak pojednać się z Fedrą.

Napięcie trwało między nami do dnia, gdy przyłapała mnie na myszkowaniu w jej gabinecie. Ma wielką bibliotekę, w Montrève i w Mieście, ale to pospolita książka przyciągnęła moje oko - wydanie *Trois Milles Joies*, sławne d'angelinskie kompendium wiedzy o sztuce kochania.

Opracował je Enediel Vintesoir, założyciel Dworu Nocy, przynajmniej tak mówi legenda. Zawiera opis wszelkich form uprawiania miłości, w których mogą uczestniczyć mężczyźni i kobiety; podaje wszelkie możliwe pozycje i konfiguracje. Podręcznik jest ilustrowany pięknymi drzeworytami.

Przewracałem kartki z pełnym strachu zafascynowaniem, czując suchość w napiętych z pożądania ustach.

- Chcesz pożyczyć?

Głos Fedry wyrwał mnie z zamyślenia. Upuściłem tom, krzywiąc się na trzask pergaminu. Schyliłem się i podniosłem go szybko, trzymając przed sobą, żeby ukryć wybrzuszenie w spodniach.

- Nie! - rzuciłem szybko i piskliwie. - Przepraszam. Tylko oglądałem.

- Możesz, przecież wiesz. - Odwróciła się wdzięcznie, wodząc wzrokiem po półkach. - Pewnie powinienes. Proszę. - Podała mi oprawiony w skórę egzemplarz *Podróży Naamy*. - Tę też.

Czułem, jak krew napływa mi do twarzy, co trochę poprawiło sytuację w dolnych partiach ciała.

- Nie trzeba.

- To tylko książki, Imri. - Fedra oparła się o regał, delikatna zmarszczka pojawiła się pomiędzy jej brwiami. - Jesteś zaciekawiony. Dobrze jest się uczyć.

- A ty się uczyłaś? - zapytałem, ściskając oba tomy.

- Tak - odparła poważnie. - Przez długi czas. Nie musisz od razu sto sować tego w praktyce. Ja tego nie zrobiłam, przez lata. Ale zawsze warto wiedzieć jak najwięcej.

- Dziękuję - szepnąłem i uciekłem z gabinetu.

Czytałem książki, które mi pożyczyła, i zdobywałem wiedzę. Co dziwne, to zniwelowano dzielące nas napięcie. *Trois Mille Joies* jest w całości poświęcone udzielaniu erotycznych instrukcji, ale *Podróż Naamy* analizuje boskie aspekty miłości cielesnej. Kiedy czytałem, jak Naama oddała się królowi Persji, żeby kupić wolność Elui, i jak kładła się za znajomymi w zamkach Bhodystanu, żeby zarobić na strawę dla niego zacząłem pojmować pewne więzi między pożądaniem i boskim współczuciem - i tym samym zacząłem lepiej rozumieć Fedrę. To, co robiła Fedra, niewiele się różniło od poczynań Naamy. Obie się oddawały nie wiadomo jak, w konsekwencji zyskiwały. I nie było w tym wstydu tylko miłość.

Co do reszty, poczułem się lepiej, gdy wyczytałem, że prześladowające mnie żądze stanowią po prostu część kondycji ludzkiej. Wiele godzin spędziłem nad tymi tomami i choć podsyciły moje pragnienie, to po

zwróceniu ich poczułem się trochę swobodniej we własnej skórze.

- Czy masz pytania? - zapytała Fedra. Pokręciłem głową.

- Nie - odparłem zgodnie z prawdą. - Jeszcze nie. - Pomyślałem o słowach Mavrosa i parsknąłem śmiechem. - Nie jestem gotowy.

- Nie szkodzi. - Uśmiechnęła się do mnie. - Wiesz, że zawsze możesz pytać.

- Wiem. I jestem wdzięczny, choć, prawdę mówiąc, brakuje mi pewności, czy jesteś najwłaściwszą osobą do udzielenia mi odpowiedzi.

Cień bólu przemknął po jej twarzy. Westchnęła.

- Być może to prawda. Ale zawsze będę próbować. Pokiwałem głową.

- Pomyślę na tym.

Kiedy lato zaczęło ustępować jesieni, podjęliśmy przygotowania do powrotu do Miasta. Po raz pierwszy nie uczestniczyłem w nich z ciężkim sercem. Montrève jakby zmalowało, a ja się zmieniłem. Kiedy myślałem o pokazaniu się na dworze, część mojej duszy rozpatrywała wyzwanie i ponurą satysfakcją. Niech możnowładcy podszeptują i robią wielkie oczy; odpowiem na ich ukradkowe zerknięcia bezpośrednim spojrzeniem.

Miałem dość życia w bezustannym strachu.

## CZTERNAŚCIE

---

Jak zwykle, nasz powrót do Miasta Elui odbył się z fanfarami - wesołe przyjęcie przy bramie, radosne powitanie w rezydencji i oficjalne na dworze. Po raz pierwszy nie obawiałem się tego ostatniego. Oczywiście, po części wynikało to z mojej nowo nabytej pewności siebie, co w znacznej mierze zawdzięczałem krewniakom Szachri-zaj. Ale duża część brała się z innego powodu, który nie miał nic wspólnego z nikim poza Alais.

Przywiozłem jej obiecane szczenię i nie mogłem się doczekać, żeby zobaczyć jej reakcję.

Po pięciu miesiącach ona - suka wilczarza - była na wpół wyrosnięta. Nazwałem ją Celesta. Była wysokim, smukłym cieniem, szarym i kosmatym, z inteligentnymi brązowymi oczami i łapami o długich palcach, zapowiadającymi dalszy wzrost.

- Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? - zapytał z powątpiewaniem Joscelin. - Zostać ją na dworze?

- Będzie jej tam dobrze - zapewniłem go. - I Alais ją pokocha.

W salonie miejskiej rezydencji Fedry Celesta siedziała z rozchylnym długim pyskiem, z wywieszonym czerwonym jęzorem. Jej kosmaty, podobny do bicza ogon miarowo omiatał marmurową posadzkę. Anafiel Delaunay patrzył na nią z surowym uśmiechem z marmurowego piedestału. Dobrze zachowywała się podczas podróży i byłem z niej dumny.

Fedra roześmiała się głośno. Był to melodyjny dźwięk, skrzący się czystą radością.

- Dlaczego nie? - powiedziała do Joscelina. - On ma rację, wiesz. Tak oto przybyliśmy do pałacu.

Z pomocą Fedry, przed wyjazdem z Montrève zamówiłem obrozę, szeroki pas złoczonej skóry wysadzany perełkami - taki, jakimi damy dworu zdobią swoje salonowe pieski, tylko że znacznie większy. Pięknie wyglądał na szyi Celesty. Mocno trzymałem smycz z miękkiej plecionej skóry i podziwiałem jej dostoyny krok, gdy szliśmy korytarzami pałacu nie zwracając uwagi na przechadzających się wielmożów.

Herold zapowiedział nas na progu salonu Ysandry.

Usłyszałem pisk Alais.

Puściłem suczkę, już szczerząc zęby w uśmiechu. Celesta skoczyła wlokąc za sobą smycz.

W okamgnieniu zjawili się kilku strażników z wyciągniętymi mieczami. Alais opadła na kolana i objęła szyję Celesty, na wpół z podziwu na wpół obronnym gestem. Suczka, znając jej zapach, usiadła i polizała jej policzek długim czerwonym językiem. Gwardziści wymienili skonsternowane spojrzenia.



- Pamiętałeś! - krzyknęła Alais.

- Pamiętałem - odparłem z powagą. - Wabi się Celesta.

- Celesta - powtórzyła Alais, przytulając twarz do karku zwierzęcia. Och, Imri! Już ją kocham.

Szczerzyłem się jak idiota.

- Wiedziałem, że ją pokochasz, opryszku.

Na te słowa delfina Sydonia uniosła podbródek. Odwróciła głowę w stronę matki.

- Książę Imrielu - rzekła królowa powściągliwie - witaj. Złożyłem niski ukłon.

- Wasza Królewska Mość.

Ysandra spojrzała w lewo. Niewiele uwagi poświęciłem tym którzy stali obok niej. Zrobiłem to teraz.

- Kuzynko - zaczęła królowa ostrzegawczym tonem - przywitaj, proszę, Imriela de la Courcel. Tuszę, iż dobrze znasz hrabinę de Montrève i jej towarzysza, Joscelina Verreuil.

Drżenie przeniknęło mnie do szpiku kości.

- Miło cię poznać, Wasza Wysokość.

Nicola L'Envers uśmiechnęła się do mnie. Jeszcze zanim Ysandra do konała prezentacji, wiedziałem, kim ona jest. Jak inni członkowie rodziny L'Envers miała fiołkowe oczy i lśniące kasztanowe włosy. Zmusiłem się do grzecznej odpowiedzi i powitałem jej syna, Raula. Musiał odziedziczyć urodę po aragońskim ojcu, bo miał ciemne włosy. Był chudy jak patyk młodzieńcem o posepnym spojrzeniu.

- Nicola! - zawołała Fedra melodyjnym głosem. - Nie wiedziałam, że już jesteś na dworze.

Nicola się roześmiała.

- Pomyślałam, moja droga, że sprawię ci niespodziankę. Witaj, mes- sire kasjelito.

- Cała przyjemność po mojej stronie, pani. - Joscelin się uklonił. Miał zaskakująco dobronudszą minę. Nie miałem pojęcia dlaczego. Po raz pierwszy, przynajmniej wedle mojego rozeznania, spotkałem osobiście jednego z klientów Fedry - wyjąwszy moją matkę, którą już pogardzałem.

Nienawidziłem tego. Nienawidziłem każdej chwili.

Gdyby nie Celesta, sytuacja byłaby nie do zniesienia. Podniecona nowym otoczeniem i wymianą powitań, suczka skakała po salonie, wprowadzając zamęt. Wśród okrzyków radości Alais zdołałem ją uspokoić i nakłonić, by usiadła.

Joscelin przewrócił oczyma.

- Wybacz nam, Wasza Królewska Mość.

- Zwykle to robię - odparła cierpko Ysandra.

- Jest śliczna. - Nicola pochyliła się z wdziękiem i podrapała szczenię za uszami. Pieczęć z granatu kołysała się na złotej bransoletce na jej smukłym nadgarstku. - Sam ją szkoliłeś?

- Tak - odparłem krótko.

- Jest moja! - oznajmiła z dumą Alais. - Każę położyć poduszkę przy moim łóżku, żeby miała gdzie spać, i uszykować specjalny srebrny talerz, żeby mogła się ze mną posilać.

Dostrzegłem wyraz anielskiej cierpliwości na rozbawionej twarzy królowej i szybki uśmiech młodego Aragończyka, Raula. Schylił głowę, żeby go ukryć.

- Ależ będzie zabawa. - Nicola poklepała suczkę i się wyprostowała. - Tylko pamiętaj, Alais, Celesta jest przyzwyczajona do przestrzeni i zabawy z innymi psami. Czasami może być szczęśliwsza w królewskiej psiarni.

- Może - mruknęła bez przekonania Alais.

- Widać, że jesteś żoną dyplomaty - rzuciła Fedra. Nicola spojrzała przez ramię i uśmiechnęła się do niej.

- Tak. - Zwróciła się do mnie: - I to mi przypomina, księżę Imrielu, że mam dla ciebie prezent. Drobiazg od rodziny Aragonów.

- Nie trzeba - wymamrotałem.

- Trzeba. - Spojrzenie fiołkowych oczu Nicoli było zaskakująco szczere. - Żałuję, że nie mogliśmy zrobić więcej, żeby zapobiec temu, co się stało w Amilcarze.

Odwróciłem wzrok. Nie chciałem, żeby mi o tym przypominali

- To nie twoja wina.

- No tak. - Dotknęła lekko mojego ramienia. - Tym niemniej mam dla ciebie podarunek.

Uzgodniono, że Nicola za kilka dni złoży nam wizytę. Niewiele uwagi poświęcałem konwersacji i uciekłem z Alais pod pretekstem, że należy oprowadzić Celestę po ogrodach. Towarzyszyło nam czterech strażników

Tam odetchnąłem świeżym, chłodnym powietrzem. W ogrodach królewskich kwitła obfitość jesiennych kwiatów. Spacerowaliśmy ścieżkami, a ja uczyłem Alais komend, do których została przyuczona Celesta. Szybko ją zapamiętała; jej drobna, ciemna buzia wyrażała głęboką koncentrację.

- Kocham ją, Imri - powiedziała, gdy usiedliśmy na ławce. Celesta posłusznie warowała u jej stóp. Strażnicy czekali w pełnej szacunku odległości. - Naprawdę, naprawdę kocham. Szkoda, że nie ma ojca, żeby mógł ją zobaczyć.

- Wrócił do Alby? Skinęła głową.

- Klócili się często tego lata. O tamtejszą sukcesję.

- Czy coś... - zawałem się - postanowiono?

- Nie. - Alais pokręciła głową i pochyliła się, żeby poklepać Celestę. - Dlaczego nie lubisz pani Nicoli? Skrzywiłem się.

- Czy to tak bardzo widać?

- Tak - odparła w zamyśleniu. - Jest miła. Chyba ją lubię. Wzruszyłem ramionami.

- Może.

- Ja ją lubię. - Alais podrapała Celestę za uszami w taki sam sposób jak Nicola. Suczka oparła pysk na jej kolanie i przewracała oczami, patrząc na swoją nową panią.

- Czy to z powodu tego, co wydarzyło się w Amilcarze?

- Nie - odparłem z westchnieniem. - Och, Alais! To nie ma znaczenia.

- To tam cię sprzedali, prawda? - zapytała cicho. - Kartagińczycy? Alais знаła tę historię. Była u Thelesis de Mornay, nadwornej poetki, gdy o tym opowiadaliśmy, choć wówczas nie wiedziałem, że jest moją kuzynką i księżniczką krwi. Thelesis już odeszła. Zmarła po długiej, wyniszczającej chorobie niedługo po tym, jak Fedra przełamała klątwę Rahaba. Żałuję, że nie mogłem poznać jej lepiej.

- Tak - potwierdziłem. - Tam mnie sprzedali.

- Celesta by cię obroniła - powiedziała Alais do szczeniaka. - Prawda? Celesta na znak zgody pomerdała kosmatym ogonem, zamiatając suche liście, które zaścielały brukowaną ścieżkę.

- Próbowalaby - powiedziałem z sympatią. - Alais, z jakiego powodu przybyła tu pani Nicola?

- Nie wiem tego na pewno. - Wyprostowała nogi i ze ściągniętymi brwiami spojrzała na swoje trzewiki. - Słyszałam, jak mama mówiła, że jest szansa, by jej syn Serafin mógł dziedziczyć.

- Dziedziczyć?

- Tron Aragonów. - Alais spojrzała na mnie. - Król nie spłodził następcy. Ale to ni-  
kła szansa. Więc nie wiem. - Stuknęła obcasami, patrząc na nie z zadumą. - Może chcą  
skojarzyć Sydonie z Serafinem. A może chcą, żebym ja poślubiła Raula? Nie wiem.  
Czułem się dziwnie, jakby trochę chory.

- Alais! Czy tego pragniesz? Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, Imri. A ty?

- Nie. - Patrzyłem na jej pochyloną głowę, na czarne sprężyste kędziory. Ten  
widok przepelnił mnie czułością. - Rozpracujemy to razem, dobrze?

- Dobrze. - Alais z zadumą ściągnęła brwi. - A co z Sydonią?

- To znaczy?

- Czy jej też pomożesz? Roześmiałem się.

- Alais, nie sądzę, by Sydonia potrzebowała mojej pomocy, albo kogokolwiek inne-  
go, w tym względzie.

Alais spojrzała na mnie kątem oka.

- Nie znasz jej zbyt dobrze, prawda? - Fakt - przyznałem. - Chyba nie.

Czułem się w związku z tym trochę winny, bo tak wyglądała prawda. Choć poświę-  
ciłem współczującą myśl losowi młodej delfiny, nie zadałem sobie trudu bliższego jej  
poznania. Może gdybym znał lepiej moją kuzynkę Sydonie, tamtego dnia zeszłej zimy  
nie zareagowałaby z odrazą przerażeniem.

Wróciliśmy do salonu królowej, gdzie dorośli śmiali się i gawędzili jak starzy przy-  
jaciele, a młodzi ludzie rozmawiali cicho. Kiedy Alais i ja weszliśmy z Celestą, Sydo-  
nia natychmiast przeszła mnie chłodnym, badawczym spojrzeniem, i moje poczucie  
winy zniknęło.

Tak oto wróciłem do Miasta i stwierdziłem, że znowu muszę stąpać czujnie wśród  
sieci intryg. Nauczyłem się więcej, niż przypuszczałem od swoich krewniaków Sza-  
chrizaj. Musieli wrócić do Kuszetu na jakiś czas, ale ze mną pozostały ich letnie lek-  
cje. Na dworze przypomniałem sobie rady Mavrosa. Byłem uprzedzająco grzeczny dla  
każdego, kogo spotka łem, lecz pamiętałem o swojej pozycji. Niech uważają mnie za  
wyniosłe go, to nie ma znaczenia. Jako księżę krwi, stałem wyżej niż każdy inny ary-  
stokrata królestwa.

Wykorzystanie pozycji byłoby niemądre, ale nie szkodziło wiedzieć, że mam nad nimi władzę.

„Zawsze warto wiedzieć jak najwięcej”.

W domu sprawy wyglądały zupełnie inaczej.

Pani Nicola złożyła nam wizytę kilka dni po przyjęciu nas na dworze i wówczas się dowiedziałem, jaki podarunek mi przywiozła. Jak mój dawno obiecany prezent dla Alais, ten też był żywy.

Był to jeden z nakrapianych koni z Aragonii - jak Łosoś, którego podziwiałem na jarmarku tego dnia, kiedy dowiedziałem się o zniknięciu mojej matki, ponad rok temu. Fedra, jak się wydaje, uznała za stosowne wspomnieć o tym w liście do Nicoli. Ja jednak nic nie wiedziałem.

Wszedłem na dziedziniec i zaschło mi w ustach.

Miał dwa lata, był ujeżdżony, ale wciąż trochę nieprzywykły do siodła. W przeciwieństwie do Łososa, maść miał białą, szczerze usianą czerwonawymi plamkami koloru starej krwi. Przywiązany do postronka ni wąskim dziedzińcu, przewracał oczami, pokazując białka, i przestępował z nogi na nogę, aż dźwięczały kamienie. Szyję miał silną, wygiętą w łuk, wielobarwna grzywa łamała się niczym fala na tle nakrapianej sierści. Gdy podszedłem bliżej, zadarł górną wargę, pokazując zęby podobne płatom kości słoniowej.

- Podoba ci się? - Nicola L'Envers ze śmiechem wychyliła się z otwartych drzwi powozu. - Fedra zapowiedziała, że będziesz zachwycony.

Kochałem go. Nienawidziłem jej.

- Na Eluę! - Gilot odetchnął głęboko. Był osowiały od czasu wyjazdu z Montrêve, ale teraz, wreszcie ożywiony, chwycił mnie za ramiona i potrząsnął mną, dając upust podnieceniu. - Imri, spójrz tylko na niego!

- Nazywa się Hierax - dodała Nicola, wysiadając zwinnie z powozu. - Choć Ramiro mówi, że Cyganie, którzy go wychowali, zwali go Bękartem.

Wiedziałem, że Fedra i Joscelin patrzą na mnie. Szedłem dalej. Wolałbym, żeby ktoś inny podarował mi konia; wolałbym sam go wyszukać. Chwyciłem w garście szorstką grzywę, pochyliłem głowę i oparłem o jego czoło, czując pod skórą twardą, kościaną płytę.

- Witaj, Bękartcie - szepnąłem.

Parsknął przez rozdęte chrapy, nasze oddechy się zmieszały. Pamiętając o rygorach kurtuazji, puściłem grzywę i odwróciłem się, żeby złożyć głęboki ukłon przed Nicolą.

- Dziękuję, pani, tobie i rodowi Aragonów za wspaniały dar. Uśmiechnęła się.
- Nie ma za co.

Później, oczywiście, nie pozostało nic innego, jak zaprosić Nicolę do domu. Fedra poprosiła o podanie likieru i ja sam im usługiwałem. Siedzieliśmy na kanapach w salonie i prowadziliśmy uprzejmą rozmowę. Były to dla mnie podwójne katusze, bo najbardziej chciałem zaznajomić się z moim wspaniałym nowym wierzchowcem, a najmniej okazywać uprzejmość pani Nicoli.

Wiem, to niesprawiedliwe. Nie zrobiła niczego, żeby zasłużyć na moją antypatię, a ja miałem powody, żeby być jej wdzięcznym. Ale nie cierpiałem samej myśli o tym, co było mi wiadomo, i nie cierpiałem tego, jak oczy Fedry skrzyły się w jej obecności. Przekomarzały się żartobliwie, ale przepływało pomiędzy nimi pewne napięcie. Czułem go na własnej skórze, tak jak się czuje uderzenie pioruna w powietrzu na chwilę przed błyskiem.

Nie mam pojęcia, jak Joscelin to znosi, ale nie wydawał się przejęty. Może, pomyślałem ponuro, mnie uwrażliwia moje własne dziedzictwo. Mimo że ród L'Envers wywodzi się głównie z linii Naamy, w ich żyłach płynie też stara krew kuszelicka. Ale Joscelin, chociaż nie żywił żadnych mrocznych pragnień - co więcej, w oczach królestwa miał nienaturalnie mało pragnień jakiegokolwiek natury - nie był głupi i dobrze znał Fedrę. Niezależnie od powodu, chętnie znosił obecność Nicoli L'Envers.

Wiedziałem, co zrobiła. W Amilcarze nie tylko udzieliła pomocy. Długo wcześniej powierzyła Fedrze hasło L'Enversow, zwrot, który członkowie rodu są zmuszeni honorować. I Fedra się nim posłużyła - dwa razy. Pierwszy, żeby zmusić Barquiela L'Envers do obrony miasta przed wojskami Percy'ego de Somerville'a, i drugi, żeby wyćwiczyć posłuszeństwo na jego córce w Khebbel-im-Akad. Waleria L'Envers, która jest żoną syna kalifa, poprosiła swojego męża o pomoc w wydostaniu mnie z Drudżanu.

On jednak nie przychylił się do jej prośby. Nawet syn kalifa bał się kapłanów kości Drudżanu, straciwszy dwie wysłane przeciwko nim armie. Dał tylko Fedrze i Joscelinowi przewodnika do Daršangi. A kiedy wydostali mnie z tego piekła na ziemi, Waleria L'Envers próbowała mnie zabić.

Nic dziwnego, jak sądzę, że nie dowierzałem krewnym królowej. Wszystkim, z wyjątkiem Alais.

Pokochałaby Bękartę, pomyślałem. Może będziemy mogli jeździć ra zem na wycieczki myśliwskie? Mogę przyuczyć Celestę do polowania na zające, jak w Montrève. Mając jedenaście lat, Alais była dość duża, żeby zacząć się uczyć takich rozrywek.

Drgnąłem na dźwięk głosu Fedry. Skulona w kącie kanapy, patrzyła na mnie z rozbawieniem w oczach. Wskazała ręką drzwi.

- Idź - powiedziała. - Zabieraj się do stajni. Nie nadajesz się do rozmowy.

Nie trzeba mi było powtarzać dwa razy. Poszedłem.

W stajni Bękart miotał się w nowej zagrodzie, udeptując kopytami słodko pachnące siano. Gilot wisiał na uchylonych drzwiach, patrząc z po dziwem, podczas gdy stajenny Benoit klął i okręcał bandażem lewą rękę.

- Ostrożnie, Wasza Wysokość - poradził. - To diabeł wcielony. Podeszedłem do drzwi. Bękart przestał się miotać i stanął, patrząc na

mnie. Gilot trącił mnie łokciem.

- Co powiesz na przejazdzkę?

- Tylko we dwóch? - Wiedziałem, że Fedra i Joscelin nie wyrażą zgody.

Gilot wzruszył ramionami.

- Prędko się uwiniemy. Tylko go wypróbujesz. Spojrzałem na Bękartą, który zastrzygł uchem.

- W porządku. Do dzieła.

W czasie siodłania zachowywał się dość potulnie, ale kiedy go dosiadłem i chwyciłem wodze, czułem, jak drży z napięcia. Gilot wziął wysokiego, długonogiego gniadego wałacha, którego lubił najbardziej, Wyje chaliśmy stępą na dziedziniec. Benoit otworzył bramę z powątpiewającą miną.

- Jazda! - krzyknął Gilot.

Popuściłem cugli. Bękart wystrzelił do przodu, preżąc potężny zad kopyta grzechotały na bruku. Śmiałem się jak idiota, wprawiony w doskonały humor. Robiłem głupstwo, wiem, i wiedziałem to już w owym czasie. A jednak to było podniecające. Razem, Gilot i ja, pędziliśmy jak szaleni przez Miasto Elui, beztrąsko i szybko. Pomimo niesfornego usposobienia, Bękart miał chód gładki jak jedwab. Gniadosz Gilota podchwycił jego zapal i razem pędziły niczym jaskółki na skrzydłach. Przecieliśmy garbaty most nad rzeką Awiliną, kierując się ku Progowi Nocy. Przechodnie rozpięchali się przed nami, a konie zaprzęgowe stawały dęba, spłoszone.

Tu i tam ludzie pokrzykiwali, machając do nas rękami. Usłyszałem swoje imię.

- Irmiel! Książę Imriel! Wykrzywiłem usta w dzikim uśmiechu.

Zatrzymaliśmy się w Progu Nocy. Wierzchowiec Gilota był spieniony i zadyszany. Bękart wygiął szyję i tańczył, posapując lekko. Nie był nawet zmęczony. Nakrapiane konie z Aragonii słyną z wytrzymałości.

- Chodź. - Gilot przegarnął ręką splątane przez wiatr kasztanowe kędziory, po czym poklepał sakiewkę, która wisiała u jego pasa. - Musimy dać im chwilę wytchnienia, przynajmniej mojemu. Postawię ci kolejkę w „Kogutku”, Imri.

- Mówiłeś o krótkiej przejażdżce - przypomniałem mu.

- Wiem. - Uśmiechnął się do mnie. - Ale wyglądałeś jak zapędzony w kozi róg, a sam słyszałem, jak pani Fedra mówiła, że w „Kogutku” nic złego nie może przytrafić się nikomu z jej domu. Jeśli się boisz, możemy zawrócić.

Te słowa podbechtały moją dumę. - Wcale się nie boję.

- Nó to chodźmy.

W „Kogutku” podniósł się wielki krzyk. Szepnąłem słówko do Gilota, obiecując mu zwrot wydatków, i postawił kolejkę obecnym. Pamiętali tutaj Hiacynta, Księcia Po-dróżnych, który został Panem Cieśniny.

- Ach, mój książę! - Podszedł do mnie mężczyzna gruby jak beczka i ze łzami w oczach szeroko rozpostarł ramiona. - Przyszedłeś! Pamiętasz!

- Emil - powiedziałem, jego imię wypłynęło mi z ust wraz z powietrzem wypchnięty z płuc, gdy ścisnął mnie mocno. - Tak, oczywiście.

- Perła *gadjo* - dodał, ujmując w grube palce mój podbródek. - Perła *gadjo*

Postawiono przede mną kufel spienionego piwa. Napilem się i otarłem usta. Później podano więcej. Nie mam pojęcia, kto stawiał, może Emil. Piwo było mocne i lało się strumieniami, wypilem znacznie więcej niż miałem w zwyczaju. Spełniliśmy toast za Hiacynta, po czym Emil namówił mnie, żebym opowiedział historię o przełamaniu jego kłatwy. Wszyscy słuchali jak urzeczeni, a potem przyszła ich kolej. Przypomnieli z radością, jak Fedra wydała przyjęcie w Progu Nocy dla uczczenia jego powrotu.

Gdy wyszliśmy, chwiałem się na nogach. Trzy razy próbowałem wsu-nać stopę w strzemie, i dwa razy nie trafiłem. Bękart łypnął na mnie okolonymi bielą oczami.

- Hop! - krzyknął ktoś, popychając moje pośladki, i w końcu usiadłem w siodle.

- Do domu - powiedziałem stanowczo, patrząc na Gilota. - Chcesz się ścigać?

- Na Eluę! - Gilor pobladł. - Ale ze mnie idiota. Jaśnie pani obedrze mnie ze skóry.

- W takim razie niech będzie. - Kiwałem się w siodle - Ścigamy się. Przyłożyłem pięty do boków Bękart, a on wystrzelił niczym strzała

wypuszczona z łuku. Pochylałem się nisko nad jego karkiem, rycząc ze śmiechu. Rozwiana grzywa smagała mnie po policzkach. Pędziliśmy uli- cami o szarej godzinie.



Słyszałem za plecami grzmot kopyt wałacha; Gilot bez skurku próbował nas dogonić, jego głos ścichł do stłumionego krzyku

- Imri! Imri, stój!

Nie zatrzymałem się, dopóki o mały włos nie stratowałem grupy szlacheckiej młodzieży na obrzeżach Progu Nocy. Jedna z kobiet krzyknęła ze strachu. Bękart wyhamował gwałtownie, aż padłem na jego kark po czym, spłoszony, stanął dęba i młócił powietrze kopytami. Zdołałem cudem utrzymać się w siodle i walczyłem, żeby zaplanować nad ogierem

- Głupi chłopcze! - Młody pan w rdzawych aksamitach spojrzał na mnie spode łba, dobywając miecza. - Zaraz płazem przemówię ci do rozumu!

Przeniknął mnie ziąb i nagle wytrzeźwiałem.

-Wybacz, panie. Postąpiłem bezmyślnie. Wskazał bruk sztychem broni.

-Przeprós na kolanach, szczeniaku.

Usłyszałem w jego głosie echo rozkazu mahrkagira i poczułem jak pada na mnie cień Daršangi. Siedziałem nieruchomo w siodle. On też stał bez ruchu, czujnie strzygąc uszami.

- Nie - powiedziałem cicho. - Przepraszam, panie, z całego serca. Ale nie uklęknię.

- Och, uklęknie... - zaczął.

- Imrielu! - Zagrzmiały kopyta, Gilot ściągnął wodze. Bez chwili wahania dobył miecza i skierował sztych w stronę rozgniewanego panicza. - Messire, rzuć broń! Natychmiast!

Po chwili młodzian posłuchał. Jego miecz upadł z brzękiem.

- Wasza Wysokość - rzekł sztywno. - Błagam o wybaczenie. Nie rozpoznałem cię w tym świetle.

- Nic nie szkodzi - bąknąłem, zawstydzony. - To moja wina, naprawdę.

- Bez dwóch zdań - mruknął Gilot.

Mimo to ukłonili mi się zgodnie z nakazami etykiety. Ruszyliśmy z Gilotem do domu, jadąc w wolnym tempie. Czułem się jak skończony idiota. Spojrzałem ze skruchą na mojego towarzysza.

- Przepraszam - powiedziałem. - To był głupi pomysł.

- Nie - zaprzeczył. - Ja byłem głupi. Ja wymyśliłem tę nieroztropną wycieczkę i ja ponoszę winę. - W nikłym świetle widziałem, że drga mu kącik ust. - Choć powiem, że masz w sobie dzikość, mój książę. Podobnie jak twój nakrapiany koń.

- Jest nie byle jaki, prawda? - poklepałem szyję Bękartą. - Gilocie... zachowam wycieczkę w sekrecie, jeśli chcesz. Jeśli wrócę przez drzwi garnizonu, nikt się nie dowie, jak długo nas nie było.

Spojrzał na mnie z ukosa.

- Chcesz zaoszczędzić mi kłopotów?

- Tak - zapewniłem szczerze.

- Nie powinienes. - Gilot zacisnął zęby. - Zasłużyłem. Zasłużyłem na odprawienie.

- Wolałbym, żebyś nie odchodził. I nie chciałbym tłumaczyć tego Katherine. Westchnął na te słowa.

- Ach, Katherine! Wyciągnąłem rękę.

- Zatem postanowione?

Gilot przez długą chwilę patrzył na moją dłoń. - Zgoda - powiedział, ujmując ją. - Zgoda.

W domu zastaliśmy zdenerwowanego Benoit. Nie trzeba go było przekonywać do zachowania milczenia w sprawie naszej nieobecności. Kiedy konie znalazły się w stajni, poszliśmy do kwater garnizonu, gdzie mieszkał Gilot, Ti- Filip i inni. Często ich odwiedzałem i wiedziałem, że nikt nie uzna tego za dziwne.

Mimo to, do domu wszedłem czujnie, bezszelestnie.

Nie miałem powodów do obaw. Choć pani Nicola odjechała, Fedra i Joscelin wciąż byli w salonie, ciesząc się rzadką chwilą prywatności. Słyszałem ich głosy, niskie i mrukliwe, i podkradłem się do drzwi.

- Spotkasz się z nią? - zapytał Joscelin. Na wpół leżał na sofie, odprężony, leniwie gładząc włosy opartej o niego Fedry.

Stałem w cieniach i patrzyłem.

- Nie wiem - odparła cicho.- Po Daršandze...- Pokręciła głową. - Ach ukochany! Straciłam prawo prosić cię o znoszenie czegokolwiek więcej.

- Chcesz zatem zrobić ze mnie tyrana? - zapytał cierpko, skręcając w palcach pukiel jej włosów. - Nie, Fedro. Pogodziłem się z tym dawno temu. Przetrwiałem Darśangę, choć o mało mnie nie zniszczyła. Przez trzy lata z tego powodu stąpałaś wokół mnie

na paluszkach, próbując chronić mnie przed tym, co znam w całej pełni. Zapewniam cię, po Darśandze łatwo jest znieść Nicole.

- Joscelinie - wyszeptała jego imię, pochylając głowę, żeby go pocałować. Cofnąłem się w cienie. - Jesteś pewien?

Nie widziałem go, gdy odpowiadał, ale głos miał zadyszany i mówił chyba się uśmiechając.

- Pewien? Stoję na rozdrożu i wybieram, bez końca. Jak możesz pytać? Odpowiedziała bez słów. Odszedłbym wtedy, gdybym nie usłyszał mojego imienia.

- Chodzi nie tylko o ciebie - wymruczała Fedra. - O Imriego też.

- Tak, wiem.

Zajrzałem do salonu. Joscelin wplótł palce w jej włosy i patrzył na nią.

- Czy będziesz żyć w kłamstwie dla jego dobra, ukochana, i udawać

że jesteś kimś innym, niż jesteś? Nie wierzę w to i sądzę, że Imri w końcu ci podziękuje.

Wtedy odszedłem. Po chwili zawróciłem, udając hałaśliwy, wesoły powrót do domu. Przyłapałem ich, zarumienionych i roześmianych D'Angelinowie nie są wstydlivi w sprawach dotyczących miłości. Gdybym ich nie podsłuchiwał, uznałbym to po prostu za jedną z tych niemądrych, radosnych chwil, jakie mogą się zdarzyć w małym gospodarstwie.

Dla nich tak było.

- Imrielu, skarbie. - Fedra uśmiechnęła się do mnie, przyglądając palcami potargane włosy - Czy przyjemnie spędziłeś czas ze swoim nowym podarunkiem?

- Tak, dziękuję. - Uśmiechnąłem się do niej i skłamałem: - Bardzo przyjemnie.

Przypuszczam, że kiedy indziej poznałaby się na kłamstwie, ale zaskoczyłem ją w chwili roztargnienia. Kto by pomyślał, że to ona nauczyła mnie rozpoznawania dziwięciu oznak kłamstwa. Jednakże, choć sama zna je doskonale, nie jest zbyt dobra w udawaniu.

Tego wieczoru odkryłem, że ja jestem w tym dobry.

## PIĘTNAŚCIE

---

Na dworze plotkowano, choć nie tak wiele, jak się spodziewałem. Znow miałem wrażenie, że jako ostatni dowiaduję się tego, co wiedzą wszystkie inne żywe dusze w Terre d'Ange. Pani Nicola była kimś więcej niż ulubioną klientką. Fedra dawno temu dała jej znak kochanki. Słudzy Naamy robili to czasami, wynosząc faworyta z pozycji klienta do pozycji kochanka. Fedra postąpiła tak tylko raz. Wszyscy się spodziewali, że odnowi romans. Bardziej interesowało ich to, czy powróci do Służby Naamie, a w tej sprawie Fedra zachowywała milczenie.

Mimo to, każdego tygodnia napływały listy.

Nic w tym dziwnego. W Terre d'Ange takie związki są na porządku dziennym. Błogosławiony Elua był wolny od zazdrości, a my się staramy brać z niego przykład. Czasami ponosimy porażkę, będąc słabymi śmiertelnikami, lecz nie zaprzestajemy starań.

Wiedziałem o tym. Dotyczyły tego najwcześniejsze nauki, jakie pobrałem w Sanktuarium Elui - przykazanie Elui: Kochaj jak wola twoja. A jednak miałem z tym kłopot. Wszystkiego, czego nauczyłem się w dzieciństwie, odczyłem się pod kuratelą mahrkagira. Byłem taki dumny z wiedzy, jaką zdobyłem podczas czytania *Podróży Naamy*. Niestety, choć mogłem trzymać się tego w myślach, umknęło to z mojego serca, gdy Fedra pierwszy raz wróciła do domu po spotkaniu z panią Nicola.

Jak ona wyglądała!

Widywałem to w zenanie, gdy mahrkagir ją odsyłał. Była zeszywniała z bólu, a zarazem rozleniwiona. Część jej duszy uciekała w tych przypadkach do miejsca, do którego prawie nikt nie miał dostępu. Nienawidziłem tego wtedy i nienawidziłem teraz. Nie mógłbym nawet w pełni wyjaśnić, dlaczego.

- Dobrze się czujesz? - Joscelin zdjął jej płaszcz.

Został w domu - Ti- Filip odprowadził ją do Nicoli - ale zmusił się żeby powitać ją po powrocie.

- Tak. - Fedra uśmiechnęła się do niego. Jej ciemne, szeroko rozstawione oczy były łagodne i przymglone po zaspokojeniu pożądania, szkarłatna cętka pływała w lewej tęczołce. Kiedy zdjęła płaszcz i uniosła rękę rękaw sukni opadł, odsłaniając oparzenie skóry po sznurze na smukłym nadgarstku. - Cudownie.

Odetchnął ciężko.

- To dobrze.

- A ty? - zapytała go.

- Prawie. - Joscelin musnął palcem policzek pod jej porażonym strzałą okiem. - Bardzo prawie. - Ruchem głowy wskazał schody. - Clory przygotowała kąpiel.

Zszedłem im z drogi, a później trzymałem się od niej z daleka. Nie mogłem temu zaradzić. Coś we mnie wzdragało się przed oglądania jej w takim stanie. Jasnym lustrem nazwał ją Mavros, ale Fedra była ciemnym zwierciadłem, tak samo jak rodzina Szachrizaj. I choć rzadko przyznawałem to przed sobą, bałem się. co mógłbym w nim zobaczyć. Łatwiej było nienawidzić tego ciemnego zwierciadła.

Jak na ironię, Fedra ostrzegła mnie przed sobą. Ten dzień wydarzył się w moim sercu jako jeden z najszcześniejszych, jakie przeżyłem. Byliśmy na pokładzie statku, żeglując z Iskandrii do La Screnissimy, gdy Fedra spełniła pragnienie mego serca, mówiąc, że ona i Joscelin adoptują mnie i przyjmą do swojego domu. Pamiętam ostrzeżenie, jakiego mi udzieliła, ujmując moją rękę i przekręcając ją w taki sposób, żebym widział wewnętrzną stronę nadgarstka, gdzie pulsują błękitne żyły, gdzie pulsuje krew rodu Kusziela.

„Czasami będziesz mną gardzić, jak w Daršandze”.

Zaprzeczyłem wtedy z całym zapalem mojej jedenastoletniej duszy. Teraz, cztery lata później, te słowa się spełniły i musiałam nauczyć się z tym żyć. Pod pewnymi względami była to kwestia honoru.

Pewnego dnia zebrałem się na odwagę i wmaszerowałem do jej gabinetu.

- Mam pytanie - oznajmiłem.

- Imrielu. - Fedra uniosła głowę znad dziwnego alfabetu, który stu diowała. Hiacynt przysłał go jakiś czas temu. Jej nieobecne spojrzenie powoli skupiało się na mnie. - Słucham? O co chodzi?

- Czy zamierzasz wrócić do Służby Naamie? - zapytałem wprost, gwałtownie. - To tylko... - Westchnąłem. - Jestem zmęczony tym, że wszystkiego dowiaduję się ostatni.

- Rozumiem. Jesteś zły z powodu Nicoli?

- Nie. - Odwróciłem wzrok. - Tak, trochę.

- Jest moją wieloletnią przyjaciółką - oświadczyła Fedra z powagą. - I bardzo ją lubię.

- Teraz to wiem! - Mimo woli podniosłem głos, rozdrażniony.

- Chodź tutaj. - Fedra skinęła ręką. Podeszedłem niechętnie, po czym poddałem się z pewną ulgą. Ukląknęłam i położyłem głowę na jej kolanach, pozwalając, by odgarnęła włosy z mojego czoła. - Imri, przepraszam. Powinam ci powiedzieć.

- Wiesz dlaczego - szepnąłem.

- Wiem. Ale, skarbie, daję ci słowo, jest zupełnie inaczej niż w Daršandze. Wiesz o *signale*.

Wiedziałem tylko dlatego, że przeczytałem *Trois Mille Joie*. To hasło uzgadniane wtedy, gdy w grę wchodzi rozkosz wynikająca ze *stosowania* przemocy, i jest ważniejsze od wszystkich udawanych protestów. Oznacza, pod groźbą oskarżenia o herezję, że należy przestać.

- Tak - przyznałem. - Wiem. - Tutaj obowiązuje. Tam nie.

- Złe myśli - powiedziałem, przypominając sobie. - Złe słowa, złe uczynki.

- Tak. - Ręce Fedry znieruchomiały. - Wypowiedziałabym hasło, gdyby tylko były tam uszy, żeby mnie wysłuchać. Uniosłem głowę i spojrzałem na nią. - Tak?

- Tak. - Uśmiechnęła się, a był to jeden z tych nieodparty uśmiechów, przepiękny niemożliwą, nieprzemijającą miłością i nieprawdopodobną wesołością, która stanowi nieodłączną część jej natury. Uczucie znowu wezbrało w moim sercu. Jak można znieść tyle zła, o jakim wiedzieliśmy, i wciąż być zdolnym do takiej dobroci? - Nie było. A teraz jestem w domu, w Terre d'Ange, gdzie jest zupełnie inaczej. I teraz mam prawo wyboru, jak zawsze, ale odpowiedź, skarbie, brzmi: nie, najprawdopodobniej nie.

- Jaka odpowiedź? - zapytałem.

- Na twoje pytanie. - Fedra pogładziła moje włosy. - Pamiętasz, jak zeszłej jesieni odbyłam pielgrzymkę do świątyni Naamy nad rzeką w Namarze?

Skinąłem głową.

- Mogę zostać powołana - rzekła łagodnie. - Zawsze należy się liczyć z taką możliwością. Ale jeśli nie... - Wzruszyła ramionami. - Nie odpowiem. Otrzymałam błogosławieństwo Naamy i jej wdzięczność za moją służbę. Nic więcej nie jest potrzebne.

Cieszyłem się, cieszyłem się z całego serca.

- A Nicola?

- To co innego. - Jej palce zatrzymały się na moim czole. - To inny wybór, i taki, którego nie żałuję. To sprawa Elui. Ale inni... - Fedra pokręciła głową. - Nie. Nie, chyba że będę zmuszona. W takim wypadku - dodała - powiem ci. Zgoda?

- Tak. Dlaczego zatem nie dasz tego do zrozumienia na dworze? To położyłoby kres zgadywankom i domysłom.

- Ach. - Fedra uniosła brwi. - Przecież wciąż jestem służką Naamy a zgadywanie i domysły to dla nas chleb powszedni. Jeśli kiedyś zostanę powołana, skorzystam z lat spekulacji, by wyznaczyć swoją cenę. Czy to tak bardzo cię trapi?

- Nie tak bardzo, jak pani Nicola - odparłem szczerze. Roześmiała się.

- Polubiłbyś ją, gdybyś dał jej cień szansy.

- Spróbuję - mruknąłem.

- Ach, skarbie. - Fedra ujęła moją twarz w dłonie. - Nie zamierzałam utrudniać ci życia. Przepraszam, jeśli kiepsko tym pokierowałam. Powinnam wcześniej z tobą porozmawiać.

- Nie chciałbym słuchać. - Odwróciłem głowę, wspierając policzek na jej chłodnej dłoni. Coś bolało mnie w sercu; przeczuwałem, że pewnego dnia to także utracę. - I postaram się bardziej, obiecuję.

Postarałem się.

W jednej z rzadkich chwil, w których pozwalała ponieść się fantazji - za podszeptem pani Nicoli - królowa Ysandra oznajmiła, że tegoroczne Święto Zbiorów odbędzie się w królewskim sadzie jabłkowym. To mały sad w obrębie kompleksu pałacowego, nie więcej niż dwadzieścia drzew ale wypielęgnowane jabłonie nadzwyczaj obrodziły.

Muszę przyznać, że było to przyjemne wydarzenie. Po chłodnym okresie, który groził zmrożeniem ostatnich jabłek sezonu, pogoda poprawiła i jesień podarowała nam ostatnie, cudowne tchnienie ciepła. Wszyscy włożyli wiejskie stroje - wiejskie według standardów dworu. Ja miałem krótką białą koszulę i sznurowane spodnie, ale koszula została uszyta z najdelikatniejszego białego batystu, a spodnie z sarniej skóry, miękkiej jak rękawiczka. Ubranie uszyła na miarę główna czeladnicza Fawrieli nó Dzika Róża.

Fedra skakała wokół mnie przed wyjściem, sprawdzając, czy kołnierzyk dobrze leży.

- Och, Imrielu. - Położyła rękę na miękkich rzemieniach z jeleniej skóry, które krzyżowały się na moim torsie. Niespodziewanie łzy błysnęły w jej oczach. - Nosząc ten strój, przypominasz mi o... - Opanowała się, pokręciła głową. - Czy musisz dorastać tak szybko?

Uśmiechnąłem się do niej.

- Zamierzam rosnąć najwolniej, jak tylko zdołam.

Przybyliśmy późnym popołudniem i zobaczyliśmy festyn w pełnym splendorze. Tu i ówdzie stały stoły nakryte wspianiałymi obrusami, zastawione przystawkami. Pod drzewami rozpostarto bogare dywany, żeby d'angelinscy arystokraci mogli piknikować. Muzycy przechadzali się pomiędzy rzędami drzew, przystając przy kolejnych grupach gości. Pośrodku ogrodu stała wielka, kapiąca od złota prasa do wyciskania soku na cydr. Żeby ją tutaj przynieść, trzeba było ośmiu mężczyzn. Patsknąłem głośnym śmiechem na jej widok, zastanawiając się, co Masin z Lombelonu powiedziała by na temat tego dziwnego pojęcia o pracy w sadzie.

- Imri. - Powitał nas głos Alais. Rzuciła się do mnie, mocno objęła mnie w pasie. - Przyszędłeś - powiedziała stłumionym głosem.

- Oczywiście. - Uściskałem ją, rozbawiony. Celesta krążyła dokoła nas, merdając ogonem. - Czemu miałbym nie przyjść?

- Nie wiem. Zawsze się boję, że pewnego dnia nie przyjdiesz.

- Boisz się, że ucieknę z człowiekiem o dwóch twarzach? - droczyłem się z nią. - Tym z twojego snu?

- To możliwe - odparła poważnie. Zmierziłem jej włosy.

- Mało prawdopodobne, oprysku!

Jak przystało naszej pozycji, siedzieliśmy na dywanie królowej wraz z innymi królewskimi krewnymi. Na moje szczęście nie było diuka L'Envers. Dotrzymałem słowa i z niewymuszoną uprzejmością przywitałem panią Nicole i jej syna Raula. Jeśli dla nikogo innego sytuacja nie była krępująca, ja nic miałem zamiaru za taką ją uważać.

Krótko po naszym przybyciu Ysandra zapowiedziała zawody. Tego dnia była w doskonałym humorze, uśmiechnięta i rozluźniona. Włożyła skromną aksamitną suknię koloru dojrzałych kasztanów, a jej jasne włosy ozdobił wianek z chryzantem i anemonów. Uświadomiłem sobie, jak rzadko widuję moją kuzynkę królową szczęśliwą.

- Panowie i panie! - zawołała. - Wzywam was do zbiorów! W kwadrans postarajcie się nazrywać jak najwięcej jabłek, a zwycięzca będzie mógł zażądać fantu od któregoś z przegranych!

Rozległy się wesole okrzyki i udawane jęki, te ostatnie głównie ze strony kobiet, będących w niekorzystnym położeniu z powodu spódnic. Dolne gałęzie jabłoni ogołociono do czysta i tylko górne pozostały obwieszane kuszącymi, acz trudno dostępnymi owocami. Słudzy zaczęły krążyć z drewnianymi koszami, a nadworny horolog wystąpił oficjalnie spoglądając na mały zegar słoneczny, który nosił na łańcuchu na szyi

Zauważyłem, że panowie i panie flirtują i umawiają się, żeby pracować w parach. Raul ukłonił się dwornie przed Sydonią.

- Za twoim pozwoleniem, Wasza Wysokość, byłoby dla mnie zaszczytem służyć ci pomocą - zaproponował po d'angelirisku z nutką miękkiego aragońskiego akcentu.

- Dziękuję. - Delfina poróżnowiała lekko. - I proszę, mówi mi Sydonia.

- Sydonia. - Uśmiechnął się do niej. - Zgoda, Sydonio.

- Moje ty dziecko bez serca.! - Nicola się zaśmiała. - Zostawisz mnie bym radziła sobie sama?



- Czy zechcesz przyjąć pomoc pokornego kawalera, pani? - zapytał natychmiast Ti-Filip.

- Bohatera królestwa? - Położyła dłoń na jego rękawie. - Z przyjemnością.

Fedra spojrzała na Joscelina, który przewrócił oczami.

- Czy musisz pytać? - mruknął.

Nikt nie odezwał się do Alais. Mała księżniczka pochyliła głowę, ba widać się obraża Celesty. Nielekko to znosiła, zawsze najmłodsza na zgro madzeniach dworu. Choć była bliska przemiany w młodą kobietę i po niesienia ciężaru przynależnego jej z tytułu urodzenia, traktowano ją jak dziecko. Wiedziałem, co to znaczy tkwić pomiędzy dwoma światami

Podniosłem się i złożyłem przed nią nedorzeczny, zamaszty ukłon.

- Wasza Wysokość, czy pokażemy tym dobrym ludziom, jak należy właściwie zrywać jabłka?

Twarcz jej pojaśniała, gdy spojrzała na mnie.

- Tak, dziękuję.

- To dla mnie największa przyjemność - odparłem z powagą.

Na znak horologa Ysandra zarządziła start. Spacerujący muzycy skupili się w grupie i zagrali żywą melodię. Wszyscy się rozproszyli, mężczyźni biegli do drzew, kobiety zbierały spódnice i śpieszyły za nimi, a z tyłu ciągnęli słudzy z koszami.

Mając po swojej stronie przewagę młodości, doskoczyliśmy z Alais do dorodnego drzewa z mnóstwem owoców na czubie. Z łatwością wspiałem się na dolne gałęzie, a potem popełniłem błąd, spoglądając na boki.

Ujrzałem nie byle jaki widok. D'angeliriscy arystokraci, próbujący wspinać się na drzewa bez pobrudzenia wyszukanych rustykalnych strojów, byli wręcz wzruszająco nieporadni. Śmiałem się tak mocno, że omal nic spadłem z gałęzi.

- Imri! - Na dole Alais przeskakiwała z nogi na nogę. - Pośpiesz się! - Już się robi. - Wspiałem się wyżej i zacząłem zrywać owoce. Rzucałem je na dół. - Łap, kuzynko!

Była to przekomiczna scena, większość uczestników w oczywisty sposób nie umiała poradzić sobie z zadaniem. Ledwie kilku sprawiało się w miarę dobrze i przynajmniej jeden miał przewagę zwinności. Objąłem nogami grubą gałąź i zerwałem wszystkie jabłka w zasięgu ręki, rzucając je jedno po drugim. Alais zbierała je i wkładała do kosza, wspomagana ukradkiem przez sługę, podczas gdy Celesta patrzyła ze zdumieniem na dziwne poczynania ludzi.

Skądś płynęły łupnięcia dojrzałych jabłek rzuconych z bezbłędną celnością. Usłyszałem rozszalony głos Fedry:

- Joscelinie, przestań rzucać tak mocno!
- Przepraszam! - odkrzyknął bez cienia skruchy w głosie.

Szybko stało się jasne, kto będzie zwycięzcą. Ti- Filip był kiedyś marynarzem, służył pod komendą admirała floty królewskiej, Kwintyliusza Rousse. Wspinał się po górnych gałęziach drzewa jak po takielunku okrętu i mocno potrząsał gałęziami. Jabłka spadały niczym grad. Kiedy ogołocił drzewo, zszedł na dół i pomógł pani Nicoli napełnić kosze.

Gdy minął kwadrans, instrumenty muzyków ucichły i roześmiana Ysandra obwieściła koniec zawodów. Zeskoczyłem z drzewa, z gałązkami we włosach.

- Wypadliśmy niezłe, prawda? - powiedziała z zadowoleniem Alais, patrząc na nasz zapełniony do połowy koszyk.
- Prawda - potwierdziłem. - Myślę, że całkiem dobrze.

Formalne liczenie nie miało sensu; Ti- Filip i Nicola mieli dwa czubate kosze. Nikt inny nie zapełnił nawet jednego.

- Czy zażadasz fanta, kawalerze? - zapytała Ysandra. Ti- Filip uklonił się przed panią Nicolą.

- Zrzekam się tego prawa na twoją rzecz, pani.

- Naprawdę? - Jej twarz pojaśniała z wesołości. Nie lubiłem jej, ale muszę przyznać, że była piękną kobietą. - W takim razie zażadam poca łunku. - Rozejrzała się po sędzie, ogarniając wzrokiem zgromadzonych wielmożów. Zobaczyłem, że jej spojrzenie spoczęło na Fedrze.

Zgrzytnąłem zębami.

Nicola zwróciła się do Ti- Filipa:

- A skoro jesteś taki szlachetny, żeby scedować fant - powiedziała psotnie - wyświadczę ci uprzejmość, odwzajemniając gest. - Ładnie postąpiła, i pocałowała go w chórze okrzyków pochwały.

Przez resztę dnia jedliśmy, piliśmy i graliśmy w takie gry, jakie zarządziła królowa. Słudzy wrzucili jabłka do prasy i wszyscy po kolei kręcili śmy korbą. Przyniesiono inkrustowane srebrem kółka do gry i rozległ głośny protest, kiedy Joscelin zajął miejsce poprzedniego gracza. Z wdziękem zgodził się, żeby zawiązano mu oczy jedwabną szarfą, i mimo to dobrze się sprawił, przystając i nasłuchując brzęku pierścieni uderzających w słupek. Przypuszczam, że gdyby miał większe doświadczenie, mógłby

wygrać. Choć nie jestem kasjelitą, mam dobre oko, i byłem bliski wygranej, lecz parę szczęśliwych rzutów młodego pana, Huberta Arundela wyłączyło mnie z rywalizacji.

W pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że doskonale się bawię. Gdy w sadzie zapadł zmierzch, słudzy rozwiesili lampki oliwne w szkanych kloszach i zapalili je długimi cienkimi świeczkami. W efekcie sad wyglądał tak, jakby spadł na niego deszcz gwiazd, przystrajając ogołcone z owoców jabłonie. Żywe rozrywki dnia ustąpiły spokojniejszym przyjemnościom, śpiewom i konwersacji. Kiedy nadeszła pora, by się rozejść, ku własnemu zaskoczeniu stwierdziłem, że jest mi przykro.

- Dziękuję, Wasza Królewska Mość - powiedziałem do Ysandry. - to była wyjątkowa przyjemność.

- Zbyt wyjątkowa - odparła z uśmiechem. Wyciągnęła rękę, jakby chciała mnie dotknąć, potem ją opuściła. Cień smutku przyćmił jej spojrzenie. - Wiesz, Imrielu, zawsze było moim życzeniem, żebyś czuł się mile widzianym i kochanym członkiem rodu Courcel.

Zastanowiłem się, czy poczuła się zraniona, że trzeba mnie zmuszać do wizyt na dworze, podczas gdy chętnie i z własnej woli zaprosiłem krewnych mojej matki do Montrève. Wcześniej nie poświęciłem temu jednej myśli; teraz dostrzegłem w tym nieuprzejmość. Pochłonięty prywatnymi udrękami, postępowałem bezmyślnie.

- Wiem, pani - rzekłem ze smutkiem. - I za to też jestem wdzięczny.

Gdy Ysandra pokręciła głową, zaszeleścił wieniec z chryzantem.

- Nie szukam wdzięczności, ale miło mi, że ten dzień sprawił ci przyjemność.

- Tak, pani. - Ponieważ mówiłem prawdę, uśmiechnąłem się do niej. - Wielką przyjemność.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że delfina Sydonia patrzy na mnie z namysłem. W uroczym blasku zwisających z jabłoni baśniowych świateł wyglądała naprawdę ślicznie. Miała trzynaście lat i każdy mógł już dostrzec rysy kobiety, którą się stawała, coraz bardziej widoczne na twarzy dziewczynki, którą jeszcze była. Tego wieczoru jej mina wyrażała niecodzienną łagodność zamiast typowej dla niej wyniosłości.

Pełen dobrej woli, złożyłem jej zamaszysty ukłon, jak wcześniej Alais.

- Kuzynko, życzę dobrej nocy! - zawołałem z uśmiechem. - Dziękuję. - Sydonii drgnęły usta. Przekrzywiła głowę w sposób,

który przywodził na myśl Fedrę, i wciąż na mnie patrzyła. Nie miałem pojęcia, jakie myśli przemykały za jej ciemnymi oczyma. - Wiesz, Imrielu - powiedziała w końcu - nie jesteś taki zły, gdy się uśmiechasz.

- Dziękuję, Wasza Wysokość - odparłem cierpko.

Gdyby była starsza, przysięgłbym, że jej mina wyraża tłumiony śmiech. Po chwili wyraz jej twarzy się zmienił. Sydonia skłoniła głowę w moją stronę, po czym władczo uniosła podbródek.

- Nie masz za co, jak mniemam.

Niezależnie od wieku, kobiety stanowią tajemnicę.

## SZESNAŚCIE

---

Po przyjęciu w sadzie jabłoniowym znacznie lepiej czułem się na dworze, utraciwszy część dawnej rezerwy. Uwaga Sydonii, choć irytująca, uwierała miarce prawdy. Stwierdziłem, że gdy się odprężam i uśmiecham, wiele osób chętnie odpowiada tym samym. Z kilkoma nawet się zaprzyjaźniłem.

Na dworze nie brakowało młodzieży. Podczas gdy starsi rywalizowali o wpływy czy pozycję, młodszy flirtowali. Dla większości d'Angelinów zaloty przed ślubem to długi, przeciągany proces. Zaczyna się wcześnie i trwa przez całe lata. Wyjąwszy potomków suwerennych władców - i niekiedy udzielnych książąt w ich własnych prowincjach - zaręczyny w dzieciństwie należą do rzadkości. I ponieważ królowa Ysandra nie chciała aby jej córki zaręczyły się za młodu dla politycznych korzyści, to ustanowiła modę w królestwie. Rodziny należące do wielkich rodów przywoziły dzieci do miasta, żeby rozpoczęły zaloty.

Nie uczestniczyłem w tej grze. Zaczyna się ona na poważnie od szesnastego roku życia; wcześniejsze młodzieńcze flirtowanie - zabawy, jakich Katherine i Roszana nauczyły mnie na łące - w zasadzie nie mają znaczenia. Jako piętnastolatek nie brałem w niej udziału.

A jednak, bawiąc często na dworze, widywałem grę wszędzie wokoło. I jako książę krwi nie do końca byłem z niej zwolniony. Nawet trzynastoletnia Sydonia miała już zalotników. Stąpali ostrożnie, bojąc się gniewu królowej, ale było widać, że jej nadskakują, żeby patrzyła na nich przy chylnym okiem w przyszłości.

Takie zabiegi nie przynosiły większych rezultatów.

Unikałem tych wielmożów. Muszę przyznać, że ku mojemu zaskoczeniu Raul L'Envers y Aragon do nich nie należał. Był wobec niej uprzejmy i troskliwy, ale zawsze pełen szacunku. Kiedy moja antypatia do jego matki nieco się zmniejszyła, stwierdziłem, że jest całkiem znośny. Był cichy i zycziwy, obdarzony dużym poczuciem humoru, jakie dawało o sobie znać od czasu do czasu. Jeśli kładł podwaliny pod zaloty

do Sydonii w imieniu swojego brata, to z niebywałą dyskrecją, i jeśli był zainteresowany Alais, to tego nie okazywał.

- Dlaczego twoja matka przywiozła cię na dwór? - zapytałem go prosto z mostu pewnego dnia.

Raul spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- Żebym poznał swoje dziedzictwo - odparł z miękkim akcentem.

Po cóż by innego?

- Żeby doprowadzić do zaręczyn.

- Och. - Zdziwienie przerodziło się w rozbawienie. - Mówisz o plotkach. - Pokręcił głową. - D'Angelino wie są dziwni. Jeśli mój brat by chciał ubiegać się o tron Aragonii, poślubi aragońską dziewczynę o odpowiedniej pozycji, nie D'Angelinę.

- A ty? - zapytałem.

Przebywaliśmy w Salonie Harfy Ejszet. Raul powiódł wzrokiem

- Podoba mi się tutaj - odparł. - Ja wezmę to pod uwagę.

- Alais? - nacisnąłem.

- Jest mała! - Roześmiał się, rozkładając ręce. - Nie mam planów dotyczących tronu, żadnego tronu. Jestem jak moja matka. Lubię to, co jest piękne. Niektóre rzeczy są takie proste, Wasza Wysokość.

- Z mojego doświadczenia wynika coś innego.

Raul powiedział prawdę - większa część szlachetnie urodzonej młodzieży flirtuje i zaleca się z wielkim entuzjazmem, prowadząc grę w imię miłości, rozkoszując się własną młodością i pięknem, a także mnogością obiektów westchnień. Po ślubie gra miała trwać dalej, choć w zmienionej postaci. Ślub czy formalny konkubinat służą do założenia rodziny. Każdy może później mieć kochanki i kochanków albo zabawiać się ze sługami Naamy - w istocie większość to robi - ale małżeństwo ustala domowe ramy życia.

Stwierdziłem, że trudno mi jest wyobrazić sobie siebie w roli męża.

Kiedy próbowałem, myślałem o Montrève. Mogłem fantazjować, że poślubię kogoś takiego jak Katherine Friote, wiejską dziewczynę z dobrej rodziny, zarządzającą dworem, nie mogłem jednak wyobrazić sobie Katherine na dworze królewskim, z którym zaczynało mnie wiązać pewne poczucie przynależności.

Po pierwsze, Mavros Szachrizaj wrócił tam na zimę. Mając siedemnaście lat, zaczął na całego grać w zaloty i siał straszliwe spustoszenie. Mimo to ucieszyłem się na jego widok i podjęliśmy naszą niełatwą przyjaźń.

Byli też inni, których zacząłem uważać za przyjaciół; młodzi ludzie, których uznałem za przyzwoitych i dobrego serca. Mój kuzyn Bertran de Trevalion; jego babcia Lyonetta, zwana Lwicą z Azalii, była siostrą mojego ojca. Wysoki panicz o poważnym, szczerym spojrzeniu, tylko pół roku starszy ode mnie, dziedzic księstwa Trevalionu, wiedział co nieco o borykaniu się ze zdradą we własnej rodzinie. Następnie Coletta i Julien Trente, których ojciec, pan Amaury, służył jako dowódca straży królewskiej i dowodził ekspedycją śpieszącą mi na ratunek. I Marguerita Grosmaine, której marka była nadwornym sekretarzem. Nie byli oni przyjaciółmi od serca, ale czułem się swobodnie w ich towarzystwie. Na wsi jesień jest porą ciężkiej pracy, poświęconą zaprawianiu, soleniu, wędzeniu i przygotowaniom do zimy. W Montrève pracowałem razem z Charlesem i innymi, pomagając w duchu siovaleńskiej tradycji. W Mieście arystokracja tylko bawi się w takie rzeczy. Szczególnie polowanie jest popularną jesienną rozrywką, i podczas kilku wypraw myśliwskich znalazłem się w grupie tych samych młodych ludzi.

Dzięki swojemu pochodzeniu trochę znali moją historię i wieństwie do Szachrizaj nie naciskali na mnie, żeby roztrząsać ne i bolesne aspekty.

Bardziej interesowały ich przygody.

Nie poświęciłem jednej myśli faktowi, który czynił mnie egzotycznym w ich oczach. Coletta i Julien dorastali z opowieścią, jak oszukałem Amaurego Trente w porcie Tyru, przekupując ulicznika, żeby zajął miejsce, podczas gdy sam zakradłem się na statek Fedry i Joscelina pasażer na gapę. Skrzywiłem się, gdy usłyszałem od nich, w jaką wpadł wściekłość z powodu mojego fortelu, oni jednak uznali pomysł za zabawny, a wybuch za dziwactwo rodzica.

- Zrobiłeś to z miłości! - zawołała Coletta. - Nie powinien się tak wściekać, prawda? Opowiedz nam o Meroe i słoniach.

Opowiedziałem. Opowiedziałem im o podróży w dół potężnej rzeki Nahar, i o krokodylowej świątyni boga Sobeka. Opowiedziałem im o strasznej przeprawie przez pustynię i o wspaniałościach Meroe, gdy królowa Zanadachete zezwoliła nam na przejazd przez Dzebe-Badui. Opowiedziałem im o królestwie Saaby zapomnianym przez czas, gdzie żołnierze noszą zbroje z brązu starsze niż sama Terre d'Ange.

Niektóre rzeczy zachowałem dla siebie. Nie sędzę, żeby zaciekała ich wioska Kaneki, Debeho, zbiorowisko lepianek. Dla mnie była czymś wyjątkowym, rajem szczęścia i życzliwości. Ale nie sędzę, by piękni młodzi d'angeliryscy panowie i panie potrafili to pojąć i docenić i nie powiedziałem im o dniu, kiedy wraz z Joscelinem złowiłem wielką rybę, będącą dla mnie równie wyjątkową, aczkolwiek z innych powodów.

Opowiedziałem im inne historie i kobiety patrzyły na mnie z podziwem, a mężczyźni wyglądali na zazdrosnych. Oczywiście znali te opowieści, niemal każdy je zna. Thelesis de Mornay spisała wierszem wiele z nich przed śmiercią, a jej ówczesny uczeń, Gilles Lamiz, mianowany potem nadwornym poetą, opracował inne. Mimo to Dżebe-Barkal pozostawało dla większości D'Angelinów na wpół baśniową krainą, dlatego słuchali opowieści kogoś, kto może powiedzieć: „O tak, byłem tam i widziałem” czy niło dużą różnicę.

Chętnie słuchali też opowieści o Fedrze i Joscelinie. Ich wyczyny sprawiły, że wśród arystokratycznej młodzieży nastąpiła swego rodzaju moda na podkochiwanie się w jednym z nich bądź w obojgu. Z początku strasznie mnie irytowało, lecz z czasem przywykłem. Co więcej, raczej wyszło mi to na dobre. Były to tylko romantyczne fantazje i w końcu się z tym pogodziłem.

Opowiadałem im więc historie, nie o Darśandze, ale inne. Jak Fedra zmusiła faraona Menechetu do udzielenia nam pomocy, jak wiosłowaliśmy całą noc przez Jezioro Łez, jak Joscelin walczył sam przeciwko armii Saby. Po wysłuchaniu tej ostatniej opowieści Coletta Trente westchnęła.

- Czy to prawda, że nigdy nie miał nikogo poza nią? - zapytała, patrząc tęsknie na Joscelina. - Mężczyzny ani kobiety? Nigdy?

Wzruszyłem ramionami.

- O ile mi wiadomo, nie.

- Jest bratem kasjelitą - przypomniała jej Marguerita. - Złamał wszystkie przysięgi dla pani Fedry i jest zobowiązany nie pokochać nikogo innego, do końca życia.

Westchnęły jednocześnie, zachwycone tym strasznym, a zarazem cudownym romantyzmem.

- Szczęściarz z niego - podsumował Bertran. - To ona ma szczęście - skomentował Julien.

Roześmiałem się. Później opowiedziałem Joscelinowi, jak zareagowali. Zrobiłem to dla czystej zabawy, żeby zobaczyć jego skonsternowaną minę.

- Na Eluę! - zawołał. - Dlaczego mnie wzięliście na języki?

Ćwiczyliśmy na zewnętrznym dziedzińcu. Przystanąłem, żeby na niego popatrzeć. Fedra kiedyś powiedziała, że Joscelin dba o swoją urodę mniej więcej tak, jak rozrzutnik o pieniądze, i to była prawda. Więcej niż prawda. Niezależnie od tego, jaki inny wpływ wywarło na niego dzieciństwo spędzone w Bractwie Kaszejitów, na pewno uczyniło go prawie nieświadomym własnej powierzchowności.

- Ponieważ - zacząłem z powagą - jesteś postacią z wielkiego, strasznego romansu.

Joscelin przewrócił oczami.

- Za wiele czasu spędzasz w towarzystwie głupiutkich dzierlatek.

Uśmiechnąłem się szeroko.

- Nawet głupiutkie dzierlatki czasami mają rację. Tak minęła przyjemna jesień, przechodząc w zimę, a ja stwierdziłem, że jestem inną osobą niż przed rokiem. To bardzo dziwne, jak bardzo człowiek się zmienia. Nie sądziłem, bym mógł zmienić się bardziej niż dotychczas, od pasterza kóz w sanktuarium, przez niewolnika barbarzyńców, w księcia krwi.

A jednak się zmieniłem.

Ledwie rok temu byłem niewyrośniętym podrostkiem, kulącym się na wieść o zniknięciu matki, rozmyślającym o Maslinie z Lombclon, gardzącym dworem królowej. Teraz stawałem się kimś nowym - kimś wysokim jak na swój wiek i silnym, umiejącym przekomarzać się z przy jaciółmi, budzącym zazdrość z powodu pięknego nakrapianego konia i pasa ze skóry nosorożca. a także związanych z nim historii.

Podobało mi się to. Podobało mi się na tyle, że czasami zapomniałem że jest to tylko część prawdy. A potem Mavros przechwytywał moje spoj rzenie w Sali Gier i uśmiechał się porozumiewawczo, i wtedy sobie przy pomyślałem. Albo gdy widziałem Fedrę z panią Nicolą... To się stało raz

Nicola wydała kameralne przyjęcie w pałacowych komnatach L'Enversów. Wiedziałem, że Joscelina nie będzie. Sam nie zostałem zaproszony i wcale nie zamierzałem tam pójść, ale Bertran de Trevalion wpadł na pomysł, żeby namówić Raula, by dołączył do nas w Sali Gier. Ponieważ byliśmy, kim byliśmy, lokaj przy drzwiach apartamentów L'Enversów wpuścił nas bez pytania.

Okazało się, że to żadne przyjęcie. Kilkoro gości rozpierało się na kanapach w salonie, prowadząc konwersację. Fedra klęczała wdzięcznie przy kanapie w pozie *abeyante*, jak mówią w Dworze Nocy, tylko że tutaj wspierała głowę na kolanie pani Nicoli. Zobaczyłem rękę wplecioną w jej włosy w pieszczocie, która niezupełnie była pieszczotą.

- Imri?

Gdy Fedra wstała, ja już wychodziłem, zostawiając Bertrana, żeby przeprosił w imieniu nas obu. Gilot, który towarzyszył mi tego wieczora, zatrzymał mnie w korytarzu przed apartamentem, kładąc rękę na moim ramieniu.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Cudownie! - Strząsnąłem jego rękę. - Na jaja Elui, przestańże mnie niańczyć!



- Cudownie - rzucił drwiąco. - Przestań być dzieckiem. Odwróciłem się i spiorunowałem go wzrokiem, zaciskając pięści Gilot, ani trochę niewzruszony, skrzyżował ręce na piersi.

- I co? - zapytał.

Westchnąłem, rozluźniłem dłonie. - Ty tylko... nieważne.

- Wiesz, Imri, to nie twoja sprawa - powiedział. - Obie są dorosłe i mają prawo cieszyć się swoim towarzystwem bez twoich dziecinnych napadów złości. - Wzruszył ramionami, widząc moją minę. - Co? Nie jestem głupi, wiesz. Dlaczego tak się tym przejmujesz?

- Nie wiem - mruknąłem.

- Raul idzie z delfiną i młodą księżniczką do teatru - oznajmił radośnie Bertran, wychodząc na korytarz. - Jesteśmy więc zdani na siebie. Dlaczego tak nagle uciekłeś, Imrieliu? Spieszno ci za potrzebą?

- Za potrzebą? Dziewkę wyobrać, tego mu potrzeba - odparł Gilot. - Prawdziwie, porządnie wyobrać.

- Gilot! - syknąłem.

- Co? - Łypnął na mnie. - Jak chcesz wiedzieć, to świetnie ci zrobi.

- Doskonały pomysł! - krzyknął Bertran i zaraz potem z żalną miną poklepał sakiewkę u pasa. - Pieniądze od mojego ojca nie wystarczają na Dwór Nocy chyba że w Sali Gier szczęście jest po mojej stronie. Ale może, jeśli się zrzucimy... Nie, nic z tego. Imrieliu, jeszcze nie skończyłeś szesnastu lat, prawda? Cóż, możemy wypuścić się do Progu Nocy...

- Nie! - przerwałem mu, czując rumieńce na twarzy. - Żadnego Progu Nocy. żadnego wyobrać.

Niebyło, ani tej nocy, ani żadnej innej. Wróciliśmy do Sali Gier, gdzie Bertran przegrywał w kości pieniądze od ojca, a ja dumałem nad słowami Gilota.

Nie można powiedzieć, że nie czułem pożądania.

A nawet miałem go w nadmiarze. Myślałem o tym przez cały czas. Pamiętałem, jak Fedra się roześmiała, gdy zapytałem, czy myśli o moim krewnym, o Mavrosie Szachriaju. Brzuch pełen siedemnastoletnich żądź. Czy o to chodziło? Ona sprawiła, że wszystko wydawało się proste. Ja jednak miałem piętnaście lat, i moje żądź miały inny charakter. Były głębokie i straszne. Mogłoby się wydawać, że w tym wieku powinienem odczuwać słodką tęsknotę, lecz było inaczej. Pamiętałem pocałunek Katherine na dziedzińcu, czuły i przelotny. To otworzyło we mnie przepaść niedosytu. A na łące... Ach, Eluo! Byłem od tego chory.

Czasami pożądanie narastało tak bardzo, że niemal rozpierało moje ciało do granic wybuchu. Taki ogrom żądzwy wydawał się nie na miejscu wśród żartobliwych, frywolnych zalotów w pałacu, a przy tym moje pragnienia nie były słodkie ani czułe, tylko mroczne i dojmujące, zapra- i wionę odorem przemocy i smrodem stojącej wody w zenanie. Dlatego płoszyłem się niczym koń na widok wysokiej przeszkody i, jak spłoszony wierzchowiec, podwyższałem ją w swojej wyobraźni.

- Nie jestem gotowy - powiedziałem do Gilota, gdy tamtej nocy je chaliśmy do domu. - Jeszcze nie.

Zerknął na mnie kątem oka.

- Bądź bardziej gotów, Imri, a w końcu pęknie.

- Zaryzykuję.

- Jak chcesz. - Gilot wzruszył ramionami.

Te słowa wraz ze wszystkim innym doprowadziły mnie do podjęcia decyzji dotyczącej Najdłuższej Nocy. Znowu dostałem zaproszenie na przyjęcie w pałacu królowej. Uznano za rzecz oczywistą, że w tym roku z niego skorzystam, nie tylko dlatego, że w ubiegłym zmoła mnie choro ba po czuwaniu ku czci Elui. Czułem się znacznie swobodniej na dworze i zyskałem przyjaciół, którzy mieli uczestniczyć w maskaradzie. Wszyscy się spodziewali, że pójdę, nawet Joscelin.

Przy kolacji oznajmiłem:

- Chcę pójść z tobą do świątyni Elui.

Joscelin upuścił widelec, który zagrzechotał o talerz. Zdumiony kasjelita wbił we mnie wzrok.

- Po zeszłym roku? Nie ma mowy.

Ku mojemu zaskoczeniu, Feddra nie zaprotestowała. Patrzyła na mnie badawczo, aż zacząłem się wiercić na krześle. Cisza wokół stołu gęstniała. Znikąd, nieproszone, napłynęło do mnie jej wyobrażenie, a towarzysz mu głos Mavrosa: „Melisana włożyła jej obrozę na szyję, aksamitną obrozę z diamentem...”.

- Zgoda - powiedziała łagodnie Fedra. - Tylko ubierz się ciepło.

- Straciłaś rozum? - zapytał ją Joscelin.

- Nie - odparła z roztargnieniem, wciąż na mnie patrząc. Miałem ok ropne uczucie, że widzi wizję w mojej głowie. Ściągnęła brwi i powstała między nimi mała zmarszczka. - Czy tego pragniesz, skarbie? Czy w ten

sposób chcesz sobie z tym poradzić? Z zapalem pokiwałem głową.

- W takim razie możesz go zabrać - powiedziała do Joscelina. Jej spoj rzenie się wyostrzyło. - Tylko tym razem nie bądź taki głupi.

- Dołożę wszelkich starań - odparł, patrząc na mnie z lekką kpina w oczach. - Czy tym razem raczysz mnie powiadomić, gdy znajdziesz na skraju przemiany w sople lodu?

- Powiadomię cię. Obiecuję.

## SIEDEMNAŚCIE

---

Tego roku czuwanie w świątyni Elui okazało się mniej traumatyczne. Było długie, przenikliwie zimne i chwilami śmiertelnie nudne. Ubrany w dodatkową warstwę grubej wełny i ciężki, podbity futrem płaszcz, klęczałem i drżałem obok Joscelina, podczas gdy Miasto świętowało. Tym razem za swoje starania nie dostałem w nagrodę ani objawienia, ani słów proroczego ostrzeżenia. Ale przetrwałem czuwanie bez żadnych złych następstw i odszedłem, czując się czysty w myślach i zadowolony ze swojej z trudem wywalczonej samodyscypliny.

Moja decyzja wywarła niespodziewany efekt na dworze.

Oczywiście, musiałem wysłuchać opowieści o cudownej gali, która mnie ominęła - kostiumy, tańce, różnorodne romanse będące następstwem Najdłuższej Nocy. Zawsze jest to czas swobody w Mieście, które nie słynie z rygorów, i w oczach moich przyjaciół byłem głupcem, gdy\* przepuściłem nadarzające się okazje. Kobiety jednak uznały moją decyzję za wspaniałą i strasznie romantyczną.

- Nie wyobrażam sobie! - Marguerita Grosmaine zadrzała na samą myśl. - Dlaczego oni to robią? Dlaczego ty to zrobiłeś, Imrieli?

- Słudzy Kasjela robią to, żeby potwierdzić swój wybór i poświęcenie, jakie się z nim wiąże - odparłem poważnie. - Ja to robię, bo zawdzięczam życie Joscelinowi i Błogosławionemu Elui, któremu służy.

- To takie piękne - mruknęła Colerta Trente. - Takie szlachetne! - Takie głupie - mruknął jej brat Julien. - Jeżeli mnie spytasz. Wzruszyłem ramionami. - Jestem dłużnikiem.

To prawda, a jednak... Zdawałem sobie sprawę, że wykorzystałem to dla własnych celów. Zobaczyłem, jak patrzy na mnie Marguerita. Miała długie, czerwono- złote

włosy. Wyobraziłem sobie, jak leżą wachlarzem na białej poduszce, i słyszałem jej rwący się oddech, niosący sprośne słowa do mojego ucha.

- Sądzę, że to też jest szlachetne. - Uśmiechnęła się do mnie, dotykając mojego ramienia.

Zgrzytnąłem zębami i odsunąłem się od niej.

- Nie - wymamrotałem. - Nie jest. To tylko... to jest potrzebne.

Podczas długich, mrocznych miesięcy zimy czuwanie w Najdłuższą Noc srało się moim probierzem. Trzymałem się go kurczowo, trzymałem się dyscypliny. Kiedy wzbierało we mnie pożądanie, przypominałem sobie zamrażającą ziemię pod kolanami i profil Joscelina na tle gwiazd, jego pochyloną głowę, jego spokojną, refleksyjną twarz. To pomogło mi przetrwać zimę. A potem przyszła wiosna i rozmarzanie ziemi.

Sam Błogosławiony Elua wyrósł w Łonie Ziemi. Zrodził się z krwi jezuickiego maziacha, Jezui ben Josefa, i łez jego kochanki, Marii z Mag. dali, Magdaleny. Jest synem Boga Jedynego, ale to Ziemia wydała go na świat.

Wiosną ziemia się ożywiła, podobnie jak ja. Skończyłem szesnaście lat.

Wiedziałem, że coś się szykuje. W małym gospodarstwie domowym nie ma sekretów, a przecież taki właśnie był dom Montrève. Słyszałem rozmowy i śmiechy zbrojnych, i głos Gilota dowodzącego swoich racji.

Nie wiedziałem jednak, co postanowili, i bałem się spytać.

W końcu Fedra mi powiedziała. Wezwała mnie do gabinetu w przeddzień rocznicy urodzin.

- Wiesz, co planują? - zapytała bez zbędnych wstępów. Zaszło mi w ustach, oblizałem wargi.

- Coś, co ma związek z Dworem Nocy.

- To rytuał inicjacji wśród d'angelińskiej szlachty - powiedziała neutralnym tonem.

- Przyjaciele panicza inscenizują porwanie i wloką go do Dworu Kwiatów Nocy, żeby zakosztował rozkoszy.

- Och.

- Wydaje się, że kobiety radzą sobie z mniejszymi fanfarami. - Fedra uśmiechnęła się lekko. - Imri, jeśli ten pomysł sprawia ci przyjemność nie będę przeciwna. Jestem pewna, że twoi przyjaciele uważają to za doskonałą zabawę. Są młodzi i zbyt beztroscy, żeby poświęcić choć jedną myśl wspomnieniom, jakie to może przywołać. Jeśli jednak odczuwasz niepokój, dopilnuję, żeby sprawy nie posunęły się dalej.

- Co... - Chrząknąłem. - Który dom?

- Który dom wybrałbyś? - zapytała, zaciekawiona. - Jeśli nie będziesz zdecydowany, wybiorą za ciebie.

- Nie wiem. - Odwróciłem wzrok. - Chyba... chyba nie chcę - Chciałem i nie chciałem, a przyprawiający o mdłości węzeł pożądania i odrazy zacisnął się w moim brzuchu. Kiedy wyobraziłem sobie moich przyjaciół i zbrojnych z Montrève, śmiejących się i żartujących w drodze do Mont Nuit, odraza się nasiliła i zyskała przewagę. Nie wiedziałem, co jest gorsze: udawane porwanie, dręczące niezdecydowanie czy strasznie publiczny charakter tego przedsięwzięcia. - To mi się nie podoba.

- Co zatem? - zapytała łagodnie Fedra.

- Nie wiem! - Niemal wyplułem te słowa. - Chcę... Błogosławiony Eluo, chcę, ale nie wiem czego! Wszystko jest poplątane, i zawęzła się coraz bardziej, i nie mam pojęcia, jak to rozwikłać! - Wstałem i jałem krążyć po gabinecie w ataku przygnębiętego wzburzenia. - Nie wiem nawet, jak o tym mówić. Ani z kim! Mavros sądzi, że rozumie, ale nie ma pojęcia o... - przełknąłem ślinę - o Daršandze. A ty... ty... - Pokręciłem głową. - Ty nie możesz...

- Imrielu. - Sięgnęła do sakiewki u pasa i wyjęła mały kościany krążek. - Proszę - powiedziała, rzucając go w moją stronę.

Złapałem go odruchowo i spojrzałem głupawo. Widniała na nim płaskorzeźba wyobrażająca kwitnącą roślinę, nic więcej. Roślina wyglądała znajomo. Pomyślałem, że może widziałem ją w ogrodzie ziołowym Richeliny Friote.

- Co to? - zapytałem w końcu.

- To znak Domu Melisy - odparła.

- Domu Melisy?

Fedra pokiwała głową.

- Jeśli będziesz miał życzenie skorzystać, to porozmawiaj z Huguesem przed końcem jutrzejszego przyjęcia u królowej. On cię odprowadzi, a Joscelin dopilnuje, żeby inni nie zrobili jakiejś psoty.

- Dobrze. - Zacisnąłem krążek w dłoni. Był chłodny i gładki. Niewiele wiedziałem o Domu Melisy, poza tym, że jest domem uzdrawiania, gdzie Clory, siostrzenica Eugonii, uczyła się sztuki masażu. - Dlaczego... dlaczego Dom Melisy?

Uśmiechnęła się i przez chwilę myślałem, że znowu mi przypomni o Imieniu Boga, ale zamiast tego powiedziała:

- Mam pewne doświadczenie w tych sprawach, skarbie.

- Wiem. - Sprężyna niepokoju w moim brzuchu trochę się rozluźniła.- Dziękuję... chyba.

Dzień moich szesnastych urodzin wstał chłodny i jasny. Czułem się dziwnie. Tego dnia przestąpiłem niewidzialny próg i było możliwe, że przekroczę kolejny, zanim dzień się skończy - bardzo konkretny próg. Pomacałem krążek w sakiewce, zastanawiając się, czy będę miał odwagę z niego skorzystać, myśląc o wyborze Fedry. Czy jestem taki chory, że potrzebuję uzdrawiania?

Tak, pomyślałem, być może jestem.

Nie umiałem sobie wyobrazić, co tam robią. Wiele razy obserwowałem Clory przy pracy. Nie ostatnio, ponieważ... cóż. Ale Clory nie była sługą Naamy, tylko uczyła się masażu. Ja chciałem czegoś więcej, sam ma saż mnie nie zadowalał. Sięgnąłem myślą do *Trois Milles Joies* - w trakcie lektury dołożyłem wszelkich starań, żeby jak najwięcej informacji powierzyć pamięci. Była tam mowa o przyjemnościach, ale niewiele o uzdra wianiu.

Jak ubiegłego roku, królowa wydała fetę na moją cześć. Tym razem przyjęcie było nieco większe, gdyż uczestniczyli w nim moi nowi przyjaciele. Później była muzyka i tańce. Tańczyłem z Alais, czując się winny że ją zaniedbuję.

- Czy planują porwanie, Imri? - zapytała mnie.

- Co? - Odsunąłem ją na długość ramienia. - Wiesz o tym? *m* - Oczywiście. Mówi się nie tylko chłopcom. - Spojrzała na mnie.- I co?

- Nic - odparłem. - Nie będzie żadnego porwania.

- Och. - Sprawiała wrażenie rozczarowanej. - Chciałabym zobaczyć jak z nimi walczysz. Roześmiałem się.

- To nie takie porwanie, opryszku.

- Wiem - odparła w zamyśleniu. - Ale mógłbyś to tak urządzić.

Znowu wybuchłem śmiechem, a zaraz potem ucichłem i pomyślałem nad tym. Kiedyś padłem ofiarą prawdziwego porwania. Nie umiem powiedzieć, jaka byłaby moja reakcja na tę szlachecką zabawę, gdybym naprawę został zaskoczony, nieświadom, o co chodzi. Fedra miała rację moi przyjaciele byli bezmyślni w swej młodzieńczej fantazji, a moja mała kuzynka okazała się niemal równie bystra jak Fedra.

- Jesteś nadzwyczaj rozgarnięta, Alais.

- Wiem - odparła, zadowolona z siebie.

Po tańcu odszukałem Huguesa. Rozmawiał z Ti- Filipem, ale podszedł w chwili, gdy tylko mnie zobaczył. Wyłowilem z sakiewki żeton z Domu Melisy i pokazałem mu, a

on tylko skinął głową. Fedra mądrze go wybrała. Przypomniałem sobie, jak uciszył innych w drodze do Lombelon gdy rozmowa o Dworze Nocy stała się dla mnie krępująca. Ze wszystkich zbrojnych Montrève on miał najlepsze serce.

Reszta przyjęcia rozmyśla się w smugę. Znosiłem cierpliwie szelmowskie spojrzenia Bertrana i Julię, Gilota i innych, i widziałem, jak opada ich rezygnacja i rozczarowanie, gdy Joscelin rozmawiał z nimi cicho. Okazało się, trochę ku mojemu zaskoczeniu, że Mavros nie należał do grupy moich niedoszłych porywaczy. Pokręcił głową, wyraz jego twarzy nie uległ zmianie. Z drugiej strony, znał mnie lepiej niż inni. W ich towarzystwie czułem się swobodniej niż z nim, przed nimi jednak nie otworzyłem serca, a im brakowało umiejętności, żeby w nie zajrzeć.

Zastanawiam się czasami, jak to byłoby mieć prawdziwego przyjaciela - takiego, z którym mógłbym rozmawiać szczerze i bez strachu albo dziwnego napięcia. Przyjaźniłem się z Gilotem, ale to niezupełnie to sarno. Prawdę powiedziawszy, tylko Alais była kimś, kogo mógłbym nazwać przyjacielem... tyle że o pewnych rzeczach nie można mówić z jedenastoletnią dziewczynką.

Jak dzisiaj.

Przyjęcie dobiegło końca o rozsądnej porze. Podziękowałem i pożegnałem się, a potem w zamęcie, gdy lokaje podawali płaszcze i wzywali powozy, Hugues poklepał mnie po ramieniu.

- Nasze konie są osiodłane i czekają - mruknął.

- Ty też? - zapytałem Ti- Filipa, który stał obok niego.

- Rozkazy Joscelina. Minimum dwóch strażników. - Uśmiechnął się. - Sam z tobą pojedzie, jeśli wolisz.

- Nie - odparłem powoli. - Niezbyt lubi Dwór Nocy, jak sądzę.

- Prawda - zgodził się Hugues. - Jedziemy.

Pod osłoną ciemności wyśliznęliśmy się z pałacu i pojechaliśmy przez Miasto w kierunku Progu Nocy. Bękart parsknął, wyginając szyję w łuk i stawiając kopyta w swoim dziwnie tanecznym kroku. Strach powrócił i zagnieździł się w moim brzuchu; zastanawiałem się, czy mój wierzchowiec go wyczuwa. Jak gdyby dla uśmierzenia moich obaw, Hugues śpiewał głośno starą siowaleską balladę o pasterzu, który kochał Błogosławionego Eluę przez krótki czas, dopóki Elua go nie zostawił, podejmując wędrówkę po Terre d'Ange.

„Będziesz znajdował ją i tracił, bez końca...”.

Noc była chłodna i jasna, niemal zimowa, tylko że powietrze przepęśniał wilgotny zapach wiosny, wznoszący się w mgłę z mokrej, rozbudzonej ziemi. Gospody i winiar-

nie Progu Nocy nie narzekały na brak klientów, ale dzięki zamkniętym drzwiom i okiennicom na ulicy panowała względna cisza.

- Mont Nuit. - Hugues wyszeptał nazwę u stóp wzgórza. - Gotów Imri?

Skinąłem głową.

- Jestem gotów.

Po drodze napotykaliliśmy inne grupy, jeźdźców i powozy, niektóre bez herbów. Ti-Filip wymienił z kilkoma osobami grzeczne słowa powitania a ja stwierdziłem, że jestem rad z jego obecności. Był kawalerem Fedry nó Delaunay i nikt nie uważał za dziwne tego, że jedzie na Mont Nuit. Jeśli chodzi o mnie, jechałem z nisko pochyloną głową, patrząc na ręce i wodze.

Wszystkich Trzyście Domów stoi na Mont Nuit i wszystkie są wsparte na różne sposoby. Każda posiadłość jest otoczona murem, z godłem domu na bramie. Dom Cereusa, pierwszy i najstarszy, stoi na szczycie wzgórza, a pozostałe niżej. Dotarliśmy do Domu Melisy, zanim miałem okazję zobaczyć miejsce, gdzie Fedra spędziła dzieciństwo. Godło na bramie pasowało do płaskorzeźby na moim kościanym krążku.

- Jesteśmy - rzekł cicho Ti-Filip. Odźwierny uklonił się, stojąc za prętami z kutego żelaza.

- Czego poszukujecie, panowie? Pokazałem mu krążek.

- Uzdrowienia.

Uklonił się raz jeszcze, głęboko.

- W takim razie tu je znajdziecie - powiedział, otwierając bramę. Wjechaliśmy na dziedziniec Domu Melisy, niskiego i dużego. Powietrze przyjemnie pachniało zielenią, jak ogródek ziołowy Richeliny. Przyskoczyli do nas stajenni, gorliwi i uprzejmi, żeby zabrać konie i wskazać nam drogę do głównego wejścia. Nogi odmawiały mi posłuszeństwa. Hugues trącił mnie łokciem.

- Śmiało, Imrielu.

Drzwi Domu Melisy się otworzyły, prostokąt światła rozlał się na schodach. W wejściu rysowała się sylwetka, niewieścia sylwetka - kobieta: dobrze zbudowana i miała szerokie biodra.

- Wasza Wysokość - przemówiła kobieta z powagą - jestem Natalia nó Melisa, duej-na tego Domu. Witam ciebie i twoich ludzi. Odetchnąłem głęboko i wszedłem.

- Dziękuję.



Wyglądała jak matka- a przynajmniej czyjaś matka. Na pewno nie moja. Coś w jej postawie i zachowaniu trochę mnie rozluźniło.

- Szukasz więc uzdrowienia - powiedziała z uśmiechem, wprowadzając mnie do holu, gdzie służy w liberii Domu Melisy ukłonili się i zabrali nasze peleryny.

Wyciągnąłem rękę z krążkiem.

- Przysłała mnie Fedra.

Duejna Natalia wzięła ode mnie żeton, mrużąc oczy.

- Tak, wiem. Rozmawialiśmy. Fedra nó Delaunay de Montrève zna się na sposobach Naamy, a ty jesteś dość mądry, żeby zaufać jej mądrości. Czy zaufasz mojej?

Zawahałem się.

- Jak mam to rozumieć, pani?

- Ach. - Złączyła czubki palców i dotknęła ust. - Chodź i sam zobacz. Zaprowadziła nas do salonu. Był duży, ale zapewniał intymność, podzielony przez rzeźbione parawany, które tworzyły wiele mniejszych pomieszczeń. Stały w nim kanapy, a wiszące lampy oliwne rzucały ciepły blask. Nie brakowało tam roślin w donicach, ich ziołowy aromat mieszał się w powietrzu z zapachem woskowych świec. Pośrodku pokoju łagodnie szemrała fontanna, a gdzieś grał flecista, cicho i słodko. Na kanapach siedziało kilku klientów, rozmawiając z pełnymi wdzięku adeptami i adeptkami. Czeladnicy krążyli z dzbanami wina i tacami kordiału, cisi i nie rzucający się w oczy.

- Spokojne miejsce - zauważył Ti- Filip. - Bardzo przyjemne, pani.

- Dziękuję, kawalerze. - Duejna skłoniła głowę, po czym zwróciła się do mnie: - Dom Melisy jest niepodobny do innych. Jeśli takie jest twoje życzenie, przedstawię ci wolnych w tej chwili adeptów, chętnych ci służyć. Jeśli jednak pozwolisz, pokieruję się własnym osądem i sama dokonam wyboru. - Uśmiechnęła się życzliwie. - A oto, co ja sądzę, Wasza Wysokość. Kobieta, nie mężczyzna, bo choć to też może być uzdrawiająca, jest za wcześnie i nie tego szukasz. Kobieta, młoda kobieta, bliska twojego wieku, ale na tyle od niego daleka, by użyczyć ci swojej mądrości.

- Tak, zgadzam się. - Znowu zaschło mi w ustach, ale zebrałem się w sobie, odczytując wyraz jej twarzy. - Już wybrałaś, prawda?

- Jesteś spostrzegawczy. - Z zaskakującą czułością dotknęła mojego policzka, patrząc na mnie łagodnie. - Dzięki krwi twojej rodzonej matki czy szkoleniu przybranej?

- Jednemu i drugiemu - szepnąłem.

- Biedactwo - mruknęła duejna Nathalia. - Dźwigasz ciężkie brzemię. Targany przez wzruszenie i pożądanie, tylko pokiwałem głową.

Duejna potrząsnęła srebrnym dzwoneczkiem, który nosiła u paska. Dźwięk ledwo było słycać w pomruku konwersacji, szmerze fonntany i grze fletu, ale natychmiast stawiała się czeladniczka.

- Proszę wezwać Emmelinę - poleciała duejna. Czelaadniczka się ukloniła, a duejna wskazała pobliskie kanapy.

- Siadźcie, proszę, i pokrzepcie się.

Byłem zbyt zdenerwowany, by siedzieć. Po chwili zjawiała się adeptka Emmelina. Około dwudziestoletnia, była wysoka i szczupła, z poważny mi szarymi oczyma i pięknymi rysami. Włosy miała jak Katherine Friote, miodowo- kasztanowe, spływające na ramiona niczym jedwab.

- Witaj, książę Imrielu - rzekła z powagą, dygając. - Jestem Emme lina.

- Czy dobrze cię oceniłam, Wasza Wysokość? - zapytała chytrze Natalia nó Melisa, stając u jej boku.

Pokiwałem głową, patrząc na Emmelinę.

- Miło cię poznać - powiedziałem do niej, skrępowany. - Jestem.. nó tak, Imriel, co już wiesz.

- W istocie, wiem, Wasza Wysokość. Czuję się zaszczycona. - Uśmiech nęła się do mnie. Był to jeden z tych uśmiechów zupełnie pozbawiony przebiegłości, które sprawiają, że człowiek ma takie wrażenie, jakby słońce wyjrzało zza chmur. Odwzajemniłem uśmiech.

- Hrabina zajęła się przygotowaniami - oznajmiła duejna. - Jeśli jesteś zadowolony, idź zatem i znajdź uzdrowienie, którego potrzebujesz.

Spojrzałem na Huguesa i Ti- Filipa.

- I jak? - Ti- Filip uśmiechnął się życzliwie. - Idź. Spojrzałem na Emmelinę.

- Chodź - zachęciła, wyciągając rękę.

Ująłem ją i pozwoliłem, by poprowadziła mnie przez salon. Kilku klientów uniosło wzrok, gdy przechodziliśmy. Szedłem ze spuszczoną głową, chowając twarz. Serce biło mi tak mocno, jakbym biegł w wyścigu. Po wyjściu z salonu przemierzyliśmy szereg korytarzy, nikogo nie na potykając, i weszliśmy do pokoju Emmeliny. Zamknęła za nami drzwi.

Jak wszystkie inne w Domu Melisy, pokój był przyjemnie urządony, duży i przestronny, z ozdobnymi lampami rzucającymi geometryczne cienie na ściany. Kosz z węglem drzewnym ogrzewał powietrze. Łóżko było duże, zarzucone białymi poduszkami i przysłonięte przejrzystymi zasłonami. Staralem się omijać je wzrokiem.

- Imrielu. - Emmelina wciąż trzymała mnie za rękę.

Odwróciła ją, pochyliła głowę i czubkiem palca powiodła po wnętrzu mojej dłoni i nadgarstka. Z pewnością wyczuła przyspieszony puls. Z trudem przełknąłem ślinę. Staliśmy tak blisko siebie, że czułem zapach jej lekkich perfum z nutką cytrusów.

- Tak? - wychrypiałem.

- Imrielu nó Montrève de la Courcel. - Unosząc głowę, Emmelina spojrzała mi w oczy. Byliśmy prawie tego samego wzrostu. - Musisz zrozumieć, że w twojej krwi są żądze, które tutaj i tej nocy nie znajdą zaspokojenia.

Słyszając te słowa, poczułem rozczarowanie, a zarazem ulgę. Skinąłem głową, szykując się do ukrócenia mojego zapału siłą żelaznej woli.

- Rozumiem - odparłem posępnie.

- Nie. - Uśmiechnęła się. - Nie rozumiesz, jeszcze nie. To dar, który pragnę ci ofiarować, dar Naamy. Ale jest coś, o co proszę w zamian.

- Dar klienta? - zapytałem głupio. Emmelina pokręciła głową.

- Twoje zaufanie - odparła łagodnie. - Tej nocy już obdarzyłeś nim dwie osoby, Fedrę nó Delaunay i duejną. Proszę cię, byś dał je po raz trzeci. Zaufaj sobie i zaufaj mi, że tobą pokieruję. Tylko na chwilę, tylko na ten zaczarowany krótki czas. Przysięgam ci, powierzę twój dar pieczy Naamy. Nie spotka cię żadna krzywda.

Niespodziewanie oczy zapiekły mnie od łez.

- To trudne, pani!

- Wiem - odparła cicho.

Odetchnąłem chrapliwie, urywanie. Nie była to scena ani czułego romansu, ani dręczącej namiętności, jakie sobie wyobrażałem.

- Co mam zrobić?

- Zachowaj spokój - mruknęła - i ufaj. - Położyła mi rękę na pier- si, rozcapierzyła palce nad moim mocno bijącym sercem i spojrzała mi w oczy. Powietrze w pokoju jakby zgęstniało i poczułem unoszącą się nad nami obecność Naamy albo samego Błogosławionego Elui. - Możesz to zrobić?

- Chyba tak - szepnąłem. - Spróbuję.

- Dobrze - odszepnęła. - To wszystko, o co każde z nas może prosić.

I tam, w pokoju geometrycznych cieni, Emmelina z Domu Melisy rozebrała mnie do naga. Zrobiła to powoli, z wdziękiem adeptki. Zwin- nymi palcami rozpięła guziki

mojego aksamitnego wamsu i zdjęła go ostrożnie. Wyciągnęła jedwabną koszulę ze spodni i wsunęła pod nią dłonie. Syknąłem, gdy ściągała mi ją przez głowę. Jej ręce wędrowały po moich żebrach, po moich ramionach. Jej dotyk, delikatny i ciepły jeszcze nie budził podniecenia. Działałby kojąco, gdybym nie był napięty bardziej niż struna harfy.

- To jest święte, Imrielu. - Palce umoczone w wonnym olejku namaś ciły mój tors, rysując linię biegnącą w stronę pępka. - Ty, my wszystko Rozumiesz?

Stałem, drżąc niczym koń ukąszony przez gza, gdy ona chodziła wokół mnie.

- Tak - odparłem bezradnie. - Tak.

Palce Emmeliny znalazły pręgi ma moich plecach, spłowiałe blizny Daršangi.

- Och - szepnęła, a potem poczułem jej miękkie usta i koniuszek języka muskający blizny, uczący się ich. - I to też.

Coś zaciśniętego głęboko we mnie zaczęło się rozluźniać, niemal sprawiając mi ból. Moje ciało reagowało na jej dotyk. Rozluźniłem dłonie dotąd zaciśnięte w pięści, i spojrzałem na migoczące lampy.

- Nie ma w tobie części, która nie byłaby święta. - Emmelina stanęła przede mną, jej ręce przesuwały po mojej śliskiej od olejku piersi. - I nie ma tu żadnego wstydu, tylko miłość. To błogosławieństwo, rozumiesz?

- Zaczynam pojmować - wydyszałem. Roześmiała się.

- Ach, Elua! - Jej źrenice się rozszerzyły. - Jesteś pięknym chłopcem!

Przełknąłem ślinę. - Jest więcej.

Nie chciałem wyjaśniać, i nie musiałem. Emmelina pokiwała głową. Przysiadła na piętach, żeby zdjąć mi buty i rozwiązać spodnie. Mój fallus uwolniony, poderwał się sprężysto. Namaściła mnie olejkiem, mrużąc błogosławieństwo. Gdy poczułem dotyk jej ust, zgrzytnąłem zębami i wbiłem wzrok w sufit

- To

Palce Emeliny znalazły piętno na lewym pośladku; piętno Jaguna.

Spojrzałem na nią i zobaczyłem łzy w jej dużych szarych oczach.

- Och, mój skarbie - szepnęła. - Tak, to też.

Zacząłem płakać, gdy pocałowała piętno, i gdy raz zacząłem, nie mogłem przestać. Płakałem, gdy zaprowadziła mnie do łóżka, wielkie go, szerokiego łoża z białymi poduszkami. Leżałem tam i patrzyłem jak zdejmuje jedwabną suknię, a łzy ściekały z ką-

cików moich oczu. Jej naga skóra lśniła w świetle lamp, gdy przykucnęła nade mną okrakiem.

- Tutaj - mruknęła, chwytając mój fallus, kierując go ku swojej ukrytej szczelinie. Czulem, jak czubek rozchyła jej wewnętrzne wargi, wilgotne, emanujące ciepłem. - Tutaj jest uzdrowienie i łaska Naamy.

Opadła, a ja sapnąłem. Wnętrze jej ciała było śliskie i gorące niczym krew, i delikatne jak jedwab. Kontakt był bardziej intymny niż mógłbym sobie wyobrazić.

Opadała na mnie cal po calu.

Ach, Eluo! Wszedłem w jej pochwę po nasadę, i znalazłem się w siódmym niebie. - Czyż nie? - zapytała Emmelina cicho. - Tak - szepnąłem przez łyzy. - Rozumiem.

Nagle wezbrały we mnie czułość i żar. Emelina pochyliła się, jej włosy opadły, przysłaniając nasze twarze. Całowała mnie; scalała moje łyzy, całowała moje opuchnięte od płaczu powieki, całowała moje usta. Jej biodra się poruszyły, leciutko. Gdyby wykonała gwałtowniejszy ruch, nie mógłbym tego znieść. Ująłem jej twarz w dłonie i oddałem pocałunek, zatapiając palce w jej lśniących włosach. Usta miała miękkie, takie miękkie. Rozchyliły się pod moimi wargami i poczułem, jak koniuszek jej języka dotyka mojego języka. Było to tak przyjemne i słodkie, że gotów byłem rozplakać się na nowo.

Czy można upaść w górę? Takie miałem wrażenie. Leżąc na plecach, upadałem w Emmelinę, w jej usta, w nią. Każda część mojego ciała, której dotykała i którą czyniła świętą, płonęła z pożądania, będącego darem Naamy, czystym i nieskalanym, nie tkniętym przez żaden cień. Składałem daninę swej żądzy, a Emmelina przyjmowała ją z radością. Emmelina sapnęła, unosząc głowę. Trzymałem mocno jej biodra, gdy mnie ujeżdżała, i po raz pierwszy w życiu zobaczyłem, jak twarz kobiety I zmienia się z rozkoszy, jak złagodzone rysy przyjmują nieobecny wyraz. Było to niesłychanie piękne.

Przepełniony podziwem, czulem, jak falują jej wewnętrzne ściany. Ach, Eluo! To było nie do wytrzymania. Chciałem, by ta chwila trwała, chciałem patrzeć na jej twarz i utrwalić ją w pamięci, ale nie zdołałem się opanować. Spadałem, spadałem tak szybko. Jej twarz, światło lamp, wszystko się rozmyło. Poddałem się i zamknąłem oczy, żeby zakończyć upadek.

- To też - usłyszałem jej szept. - To też jest święte.

Z głośnym jękiem wystrzeliłem niczym spadająca gwiazda.

Zdawało się, że trwa to w nieskończoność. Cała potężna żądza w moim ciele skupiała się w bolących lędźwiach, w moim pulsującym fallusie i w jądrach. Rok strasznych, skomplikowanych pragnień znalazł ujście w wytrysku nasienia, i Emmelina płynęła na fali mojego pożądania ni czym statek po wzburzonym morzu.

W końcu fala opadła. Wróciłem do siebie na tyle, by usłyszeć chrapliwy dźwięk własnego oddechu, powoli wracającego do normalnego tempa. Jej włosy musnęły moje policzki i uniosłem powieki. Ujrzałem jej twarz, lśniąca od łez szare oczy.

- Ofiarowałeś mi dar - powiedziała. - Dziękuję.

- Nie. - Dotknąłem jej rzes. - Ty mi go dałaś. - Urwałem. - I wciąż płaczę?

Emmelina się uśmiechnęła.

- Troszeczkę. - Strzepnęła łzę opuszką kciuka. - To wcale mi nie przeszkadza.

Potem odsunęła się ode mnie. Doznałem przelotnego poczucia straty gdy mój zwiotczały fallus wysunął się z jej ciepłych zakamarków. Przekręciłem głowę na poduszce, żeby spojrzeć na Emmelinę, gdy ułożyła się obok mnie, wsparta na łokciu. Czuję się dobrze, dziwnie pogodzony z sobą i rozleniwiony.

- Mój piękny chłopcze - szepnęła, kładąc nogę na moje udo i przesuwając czubkiem palca po mojej dolnej wardze. - To musiało być złe

- Było - odparłem krótko. - Skąd wiesz? Uśmiechnęła się.

- To moje powołanie.

Noc jeszcze się nie skończyła. Po opatrzeniu trującej rany mojego żądania Emmelina pokazała mi takie rzeczy, jakich pragnąłem się uczyć; rzeczy, o których czytałem w *Trois Mille Joie*. Nauczyłem się. Jak powiedziała duejna, Emmelina była bliska mi wiekiem, ale wystarczająco dojrzała, żeby przekazywać swoją mądrość. Nauczyłem się właściwie całować, ze wszystkimi subtelnościami. Trzymałem w rękach jej piersi, zdumiewając się ich cudownym ciężarem, i czułem, jak jej sutki twardnieją pod moimi palcami. Dowiedziałem się, jak wielbić je ustami i językiem jak drażnić i ssać, by sprawić największą przyjemność.

I poznałem najbardziej intymne części jej ciała.

Emmelina pokazała mi je bez wstydu, opierając się o poduszki i rozchylając uda. Palcami rozsunała zewnętrzne wargi, a potem wewnętrzne, odsłaniając Perłę Naamy.

- Tu - powiedziała, wzdychając, gdy oddałem jej cześć. - Och, tak!

Nauczyła mnie również... mnie. To prawda, nie ma takiej części ciała, która nie jest święta. Wstrzymałem oddech, gdy wykonała *languisement*, jedną ręką trzymając trzon, a drugą ściągając napletek, żeby odsłonić czułą żołądz. Krzyknąłem, gdy jej usta opadły na mnie, a jedna ręka wsunęła się przede mną, by objąć worek z jądrami.

- Wszystko jest święte, Imrieli - wymruczała, po czym podjęła *languisement*.

Było. Wszystko było święte. I tej nocy nauczyłem się ciałem tych rzeczy, które miałem w głowie i w sercu. Kiedy w końcu zasnąłem, z głową na piersi Emmeliny, zapadłem w sen prawdziwego wyczerpania. Emocjonalnie i fizycznie byłem nasycony.

Spałem głęboko, bez snów, i zbudziłem się o świcie. W Domu Melisy panowała cisza. Pochyliłem się nad łóżkiem, patrząc, jak marszczą się powieki Emmeliny, ucałowane przez pierwsze promienienie. Słońce zaglądało przez wychodzące na ogród okno, okrywając łóżko różaną narzutą.

- Dziękuję - szepnąłem. - Bardzo ci dziękuję.
- Piękny chłopcze. - Poruszyła się i dotknęła mojej twarzy. - Będiesz to pamiętać?
- Zawsze. Zawsze i z radością.

Emmelina się uśmiechnęła. O poranku była równie piękna jak wcześniej, w środku nocy. Zanim wyszedłem, dzwonkiem wezwała służącą, żeby napełniła misę parującą wodą. Sama mnie wykąpała, zmywając gąbką olejek, którym mnie namaściła, i osuszając ślady miłości, które zaschły na mojej skórze. Mydło miało ten sam zapach co jej perfumy. Na szafce nocnej srała rzeźba z lśniącego drewna, wyobrażająca parę złączonych dłoni: Ręce Naamy. Położyłem na nich sakiewkę, dar klienta. Chciałbym dać jej coś bardziej osobistego, jakąś pamiątkę. - Wrócę do ciebie - obiecałem.

- Możesz - odparła, gładząc mój policzek. - Zawsze powitam cię z radością, Imrielu. Ale sądzę, że znalazłeś tu, czego szukałeś.

To prawda. Jeśli wczoraj wydawałem się dziwny samemu sobie, nie miało to nic wspólnego z tym, co czułem tego ranka. Emmelina odprowadziła mnie do salonu, dokąd już wezwano Ti-Filipa i Huguesa. Czekali, zaspani i ziewający. Zastanowiłem się, czy wyglądam inaczej w ich oczach. Na pewno inaczej się czułem.

- Do zobaczenia, piękny chłopcze - powiedziała Emmelina, obdarzając mnie poże-  
gnalnym pocałunkiem.

- Do zobaczenia - szepnąłem.

Na zewnątrz niebo się rozjaśniało. Stałem na dziedzińcu, słuchając śpiewu ptaków, podczas gdy stajenni prowadzili nasze konie. Nakrapiana skóra Bękarta jaśniała w świetle poranka. Wierzchowiec parsknął, gdy wsunąłem stopę w strzemień, ale poza tym był potulny. Przerzuciłem nogę i usadowiłem się w siodle, świadom zwiększonej wrażliwości własnego ciała.

Dziś świat wydawał się piękny.

Byliśmy w połowie drogi z Mont Nuit, gdy odezwali się moi towarzysze. Ti-Filip popatrzył na mnie z ukosa.

- I co - zagadnął - dziś jedziemy z wysoko podniesioną głową, prawda;

Roześmiałem się.

-Naprawdę?

-Tak. - Hugues uśmiechnął się do mnie. - Sprawiliś się, Imri.

-Tak, masz rację - odparłem.

## OSIEMNAŚCIE

---

Po wizycie w Domu Melisy pogodziłem się ze sobą po raz pierwszy od wielu miesięcy. Wieść się rozeszła, oczywiście, i musiałem znosić znaczące spojrzenia, ale stwierdziłem, że mnie nie krępują.

- Dziękuję - powiedziałem do Fedry. - Dokonałaś właściwego wyboru.

-To dobrze - odparła. - Tak myślałam. Uśmiechnąłem się do niej szeroko.

-Nie byłaś pewna? Fedra uniosła brwi.

-W sprawach miłości nic nie jest pewne.

Podziękowałem też Joscelinowi za jego rolę w poskromieniu moich niedoszłych porywaczy. Tylko skinął głową, po czym zapytał delikatnie

-Jesteś zadowolony z wieczoru?

-Tak - odparłem. - Joscelinie, czy nigdy się nie zastanawiałeś?

-Nad Dworem Nocy?

Wzruszyłem ramionami.

- Nad Dworem Nocy albo czymkolwiek innym. Nad kimś. Nad innymi.

- Oczywiście. - Joscelin roześmiał się, widząc moją zdumioną minę. - Imri, jestem człowiekiem. To tylko... - Pokręcił głową, szukając słów. - Jestem średnim synem i moja rodzina przestrzega starych tradycji. Dorastałem w świadomości, że przeznaczona mi jest służba Kasjelowi. W domu mojego ojca słowo honoru jest święte. Kiedy złożyłem przysięgę Bractwu Kasjelitów, zrobiłem to solennie.

- Ale ją złamałeś - mruknąłem.

- Zakochałem się - rzekł cicho. - Tak. I z żadnego innego powodu nie zerwałbym ślubów.



- Skąd wiedziałeś? - dociekałem. - Kiedy?

Joscelin ściągnął brwi. Razem czyściliśmy nasz ekwipunek, nacieraliśmy oliwą rżemienie i polerowaliśmy metal.

- To było w Skaldii - powiedział. - Nie jestem pewien dokładnie kiedy. Może wtedy, gdy Fedra czołgała się po belkach pod dachem, żeby wyszpiegować, jakie plany ma Selig. A może wtedy, gdy skłęła mnie za utratę nadziei. - Uśmiechnął się lekko do wspomnień. - Zagroziła, że napisze do prefekta Bractwa i powiadomi go, że adeptka Dworu Nocy lepiej służy Błogosławionemu Elui niż kasjelicki kapłan.

- Zrobiła to? - zapytałem, na wpół urzeczony, na wpół przerażony.

- Tak. - Roześmiał się. - A ja w pewnym momencie uświadomiłem sobie, że chętnie oddam życie i umrę w służbie takiej wspaniałej, głupiej, nieprawdopodobnej odwagi, choć znacznie więcej czasu zabrało mi zrozumienie, co to oznacza. A dlaczego pytasz? - zapytał Joscelin poniewczasie, marszcząc brwi. - Czyżbyś się zakochał?

- Nie - odparłem zgodnie z prawdą. - Tylko się zastanawiałem.

Odkładając na bok splątane pasy do noszenia miecza, Joscelin dotknął grzbietu mojej ręki.

- Jestem dla ciebie kiepskim wzorem, wiem. Przykro mi, Imri. Mogę być tylko taki, jaki jestem. Ale jestem z ciebie zadowolony, naprawdę.

Uściskałem go wtedy, mocno i serdecznie.

- Dziękuję - szepnąłem. - I to nieprawda. Jesteś najlepszym wzorem pod słońcem.

- Zawsze do usług - odparł, rozbawiony

W te dni wiele myślałem o miłości i jeszcze więcej o jej uprawianiu. Bez końca odtwarzałem w myślach noc z Emmeliną, dumając nad każdym szczegółem. Straszliwa żądza, która mnie prześladowała, nie zniknęła, ale uległa zmianie. Wiedziałem, że jestem zdolny do dawania i otrzymywania przyjemności; dar Naamy w najczystszej postaci. Przeszkoda którą wzniosłem w moim umyśle, nie była ani trochę tak wysoka i szeroka jak sobie wyobrażałem, a nadto odeszła okropna niepewność braku do świadczenia. Wciąż miałem pragnienia, z którymi nie byłem gotów się zmierzyć, ale już nie lękałem się samego aktu miłości. „To też jest święte”.

Gdyby nic się nie zmieniło, mógłbym rzucić się w wir gry zalotów, Miałem szesnaście lat, a w tym wieku gra zaczyna się na poważnie, i cłóć nie potrafiłem wyobrazić sobie małżeństwa, mogłem wyobrazić sobie rytuały zalotów i łączenia się w pary. Jednakże ta wiosna przyniosła kolejną zmianę - dotarła ona przez Cieśninę, na pokładzie okrętu flagowego cruarchy.

Przybył Eamonn mac Grainna.

Prawie zapomniałem o prośbie, którą Drusran wystosował niemal rok temu. Kiedy Fedra o niej wspomniała, stwierdziłem, że jestem rozdany pomiędzy ciekawością i rozdrażnieniem. Zastanawiałem się, jaki będzie ten książę Dalriady, którego matka walczyła niczym tygrysica na polu bitwy, nosząc go w łonie. Jednocześnie bałem się myśli o wprowadzeniu obcego do naszego grona, gdy wreszcie udało mi się pogodzić ze sobą i ze światem.

A jednak była to sprawa honoru i zamierzałem powitać go z należną kurtuazją. Będę miał czas na wyrobienie sobie zdania o Eamonn, zanim stanie się jednym z domowników. Nasz wyjazd do Montrève został opóźniony o kilka tygodni, do powrotu admirała Rouse z Ilirii, i do tego czasu Eamonn miał gościć na dworze Ysandry.

Przyjęcie cruarchy u bram miasta zaplanowano w tym roku z prze pychem. Ysandra zamierzała pokazać, że Terre d'Ange nie zapomniała o swoim długu wdzięczności wobec Dalriadów. Niestety, pogoda nie do pisała, witając przybyszów zimnym deszczem. Tłumy D'Angelinów drżały w wiosennych strojach, przyklejonych przez wodę do skóry. Szwadron armii królewskiej stał na baczność, deszcz ściekał z paradnych zbroi żołnierzy. Dowodzący nimi Barquiel L'Envers miał wyraźnie zniesmaczoną minę, co bardzo mnie ucieszyło.

Zwykle delegacja z Alby wyglądała wspaniale, wojownicy jechali z go łymi torsami, pokazując misterne tatuaże, ze srebrnymi naszyjnikami błyskającymi na szyjach. Dziś kulili się w siodłach, szczelnie otuleni pelerynami, z głęboko naciągniętymi kapturami, przemoczeni i żałośni. Z wyjątkiem dwóch osób.

Jedną był Drustan mab Necthana, który wiedział, że wywieranie królewskiego wrażenia ma ogromną wagę. Siedział prosto w siodle, z odrzuconym kapturem, już wypatrując żony. A druga osoba...

- To musi być Eamonn - mruknęła Fedra.

Rozpoznałbym go, gdybym miał zgadywać. Wśród ciemnowłosych Cruithneów jaśniał jak pochodnia, o pół głowy wyższy od swoich pobratymców. Deszcz perlił się na jego jasnych miedzianych włosach i ściekał z szerokich ramion. Wyglądał, jakby nie dostrzegał ulewy, rozglądając się z niekłamanym zadowoleniem.

Kiedy herold wykrzyknął jego imię zaraz po imieniu Drustana, błysnął szerokim uśmiechem.

Przejechali przez bramę i wymieniono słowa formalnego powitania. Ysandra wygłosiła krótką mowę, witając Eamonna mac Grainna, a potem przedstawiła członków swojej rodziny.

- Miło cię poznać, książę Eamonn - powiedziałem do niego, gdy nadeszła moja kolej. Pochyliłem się w siodle i wyciągnąłem rękę.

- Miło cię poznać, książę Imrielu! - Mocno uścisnął moje przedramię; było to powitanie wojownika. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, a ja odwzajemniłem uśmiech.

Stwierdziłem, że go lubię.

Nie mogłem nic na to poradzić, w jego radości było coś zaraźliwego. Jeśli ja cierpiałem z powodu jej braku, to Eamonn miał jej chyba w nadmiarze. I zupełnie nie zważał na skutki. Patrzyłem, jak wita diuka iarquiela z tym samym radosnym entuzjazmem. Barquiel L'Envers był wyraźnie zbity z tropu, co też uradowało moje serce. Eamonn mówił po d'angelinsku ze śpiewnym akcentem i trochę kulawo, lecz wcale się tym nie przejmował. Sydonia patrzyła na niego, lekko zszokowana, a Alais z czujnym zainteresowaniem.

Kiedy przyszła kolej na Fedrę, uparł się zsiąść z konia, po czym ukląkł na jednym kolanie i ucałował jej rękę.

- *Dagda Mor!*- wykrzyknął. - Teraz widzę, dlaczego Dalriadowie ruszyli na wojnę.

Fedra się roześmiała.

- To było dawno temu, Wasza Wysokość.

- Ach, nie. - Eamonn podniósł się z szerokim uśmiechem. Z bliska każdy mógł dostrzec jego podobieństwo do Kwintyliusza Rousse. Miał wyrazistą twarz o nieregularnych rysach, niezbyt przystojną. - Z pewnością cię to kłamstwo barda, pani!

Ruszyliśmy orszakami do pałacu, podczas gdy zmarznięte tłumy na ulicach wiwatowały i próbowały rzucać przemoczone płatki kwiatów, które przyklejały się do rąk albo spadały pod nogi na bruk. Eamonn rozglądał się z ustami otwartymi ze zdumienia. Tak się złożyło, że jechałem obok niego.

- To miasto... takie wielkie! - zawołał. - Ile tu domów!

- Nie macie miast w Albie i Eire? - zapytałem. Pokręcił głową.

- Nie takie.

Skądś z tyłu napłynęło słowo „barbarzyńca”. Odwróciłem się i napotkałem beznamienne spojrzenie Barquiela L'Envers.

- Założyli je Tyberianie - wyjaśniłem Eamonnowi. - Wy walczyliście z nimi lepiej niż my. W Terre d'Ange budowali miasta i drogi, natomiast Cruithneowie wypędzili ich z powrotem za Cieśninę.

To prawda. Prawdą również jest to, że po upadku Tyberium i nadejściu Błogosławionego Elui, Pan Cieśniny odciął Albę i Eire na osiem stuleci od świata, podczas gdy cywilizacja d'angeliiska rozkwitała.

- Tak, jesteśmy wielkimi wojownikami! - zgodził się radośnie Eamonn. Poklepał ręką miecza i spojrzał na mnie z ukosa. Oczywiście miał szarozielone; dostrzegłem w nich wesoły, figlarny błysk. - Nie nosisz miecza. Nie masz zamiaru iść do walki?

Uśmiechnąłem się.

- Noszenie miecza przed osiągnięciem pełnoletności odbiegałoby od przyjętych zwyczajów. Ale wiem, jak się nim posługiwać.

- On jest wojownikiem, prawda? - Skinął głową w stronę Joscelina który jechał w pobliżu, ignorując deszcz ze swym zwykłym kasjelickim stoicyzmem. - Ten, o którym mówią.

- Prawda - przyznałem. Ktokolwiek to mówił, wydawało się wielce prawdopodobne, że chodziło o niego. Eamonn podrapał się po brodzie.

- Trudno oszacować takich urodziwych ludzi jak wy - zaczął z powątpiewaniem w głosie. - Myślisz, że stoczy ze mną pojedynek?

- Możliwe - odparłem. - A jeśli nie on, to ja. Eamonn roześmiał się głośno, choć wcale nie złośliwie.

- Ach, chłopcze! Bez obrazy, rozłupałbym cię na dwoje.

Przyjrzałem mu się. Miał przewagę wzrostu i zasięgu ręki - prawdę mówiąc, był taki rostry, że przewyższał nawet Joscelina - ale gotów byłem się założyć, że brakuje mu prędkości.

- Chcesz się założyć?

- Jasne. - Uśmiechnął się leniwie. - Masz pięknego konia.

- Nie o konia - zastrzegłem się z trwogą. Roześmiał się.

- Krowa, która dużo ryczy, mało mleka daje, prawda? Zgrzytnąłem zębami, nagle czując na plecach drwiące spojrzenie Barquiela L'Envers. Eamonn mówił donośnym głosem, zatem diuk z pewnością słyszał naszą rozmowę.

- Niech ci będzie - powiedziałem powoli. - Bękart... mój koń... przeciwko twojemu naszyjnikowi.

- O ten ci chodzi? - Eamonn przymrużył oczy. Musnął palcami torques, który otaczał jego szyję, misternie spleciony ze złotego drutu. - To znak, który mówi, kim jestem. Moja pani matka własnoręcznie włożyła mi go na szyję.

Uniosłem brwi.

- I ty mówisz o ryczeniu i mleku?

Po chwili milczenia roześmiał się na całe gardło.

- *Dagda Mor!* Masz jaja, książę Imrielu. - Pochylił się, poklepał mnie po ramieniu z taką siłą, że z miejsca pożałowałem swojej propozycji. - Zakład stoi.

Klamka zapadła.

Dotarliśmy do pałacu, gdzie Eamonn mac Grainna miał zamieszkać jako gość ku trochę lękliwemu zadowoleniu dworu. Dopiero później powiedziałem Fedrze i Joscelinowi, co zrobiłem.

- Co takiego? - Fedra była zbulwersowana. - Imri, w ten sposób nie traktuje się królewskiego gościa.

- Sam chciałem! - rzuciłem w swojej obronie.

- Fedro. - Joscelin starał się hamować śmiech. - Jest młodym człowiekiem. Oni tak właśnie postępują.

- Tak, ale to głupie i niepotrzebne! - Zwróciła się do mnie: - I zakładanie się o wierzchowca świadczy o nieuprzejmości. To oficjalny dar od rodu Aragonów.

Już miałem wyrzuty sumienia, że dałem się sprowokować i ryzykowałem utratę Bękarta. Jej słowa dotknęły mnie do żywego.

- Mówisz tak tylko z powodu Nicoli - odparowałem.

Fedra głośno zaczerpnęła tchu, po czym głęboko westchnęła, unosząc ręce na znak kapitulacji.

- Zdaję się na ciebie - powiedziała do Joscelina. - W końcu to męska sprawa.

Złożył kasjelicki ukłon, starając się przywołać na twarz poważną minę.

- A ja odpowiednio nią pokieruję, ukochana. - Kiedy wyszła, odwrócił się w moją stronę.

- I co ty na to? - zapytałem wciąż obronnym tonem.

- Masz kłopot - stwierdził Joscelin, teraz jawnie szczerząc zęby. - Jest wielkim chłopakiem, a ja widziałem, jak walczą Dalriadowie. Są zaciekli i umieją władać mieczem. Masz za sobą długie szkolenie, Imri, lecz nawet ja kiedyś przegrałem pojedynek. Pamiętaj, co ci mówiłem o Waldemarze Seligu?

- Czy stracę Bękarta? - Czuję się okropnie na samą myśl.

- Być może. - Jego twarz złagodniała. - Nie ma nic złego w dumie ze swoich z trudem wywalczonych umiejętności, Imrielu, ale błędem jest pozwolenie, żeby duma zaczęła rządzić. To trudna lekcja do opanowania. Możesz mi wierzyć.

- A ty ją opanowałaś? - zapytałem cicho.

- Miałem przekłętą *anguisette*, która mnie powiadomiła, że kurtyzana lepiej służy Błogosławionemu Elui niż brat kasjelita - odparł cierpkim tonem. - I tak wygląda prawda. - Zmierzył mi włosy. - Chodź, poćwiczmy. Praktyka ci nie zaszkodzi.

Miałem nadzieję, że nasz zakład pozostanie sprawą prywatną, że może rozstrzygniemy go w Montrève. Łudziłem się. Eamonn mówił o tym otwarciu na dworze, i dlaczego nie? Skąd miał wiedzieć, że zostanie to odebrane jako nowość i atrakcja? Poza wojowniczym Kamlachem i po lami ćwiczeń Bractwa Kasjelitów, szlachetnie urodzeni D'Angelinowie rzadko toczą pojedynki dla zabawy.

Z pewnością nie na dworze, gdzie porachunki wyrównuje się przez uwodzenie kochanki lub kochanka przeciwnika albo puszczanie w obieg satyrycznych wierszy.

Tak więc wieść się rozeszła i nie pozostało nic innego, jak uczynić pojedynek głównym punktem przyjęcia pod gołym niebem. Przypuszczam, że Ysandra była zadowolona nie bardziej niż Fedra, ale ustąpiła pod naporem prośb dworzan, chętnych obejrzeć widowisko. W grę wchodził również element symboliczny. Ja byłem księciem krwi, jedynym czysto dangelińskim potomkiem rodu Courcelów. Eamonn mac Grainna, jak rodzone córki królowej, był mieszańcem. Czasami się zastanawiam, kogo królowa chciała zobaczyć jako zwyciężcę.

Wyznaczono datę pojedynku. Miał się odbyć na terenach pałacowych, a na później przewidziano piknik na murawie. Miałem nadzieję na deszcz, ale nie, dzień wstał piękny i jasny, zapowiadający ciepło. Nie będzie żadnego przekładania terminu.

Po raz pierwszy od czasu wizyty w Domu Melisy strach zagościł w moim brzuchu. Tego ranka sam wyszczorkowałem Bękart. Tryskał energią, ożywiony i niespokojny. Podczas jazdy do pałacu supeł strachu przeniósł się z brzucha do gardła.

- Przepraszam - szepnąłem, pochylając się w siodle. Nakrapiane uszy konia zwróciły się w moją stronę. - Bardzo przepraszam.

Fedra spojrzała na mnie i pokręciła głową.

Na murawie zgromadził się liczny tłum, niemal cała arystokratyczna młodzież, a także królowa z cruarchą. Miejsce przystrojono odświętnie, z podium i krzesłami dla wybranych gości. Powtażyły nas okrzyki, gdy wjechałem na pole, gdzie Bękart miał zostać zatrzymany jako moja stawka w zakładzie. Strzygł uszami i tańczył niczym na paradzie.

- Kuzynie! - pozdrowił mnie Mavros Szachrizaj. Podszedł z tą swoją swobodną kocią gracją, po czym z błyskiem rozbawienia w ciemnoniebieskich oczach położył rękę na uździe Bękart. - Jako krewny, będę zaszczycony, trzymając go dla ciebie.

- Dziękuję - mruknąłem ponuro, zeskakując z siodła.

- Nie ma za co. - Popatrzył na mnie z zaciekawieniem. - Masz szansę wygrać?

- Niewielkie. - Zmierzyłem go wzrokiem. - Postawiłeś na mnie? Ściągnął usta.

- Niezupełnie.

- Dzięki - rzuciłem. - Jestem ci wdzięczny za wiarę w moje siły. Mavros wzruszył ramionami.

- Słuchaj, Imri, widziałem, jak ćwiczysz z Joscelinem i postawiłbym na ciebie przeciwko Bertranowi, Julienowi czy komukolwiek innemu z tej gromady. Ale nie jesteś kasjelitą, a Dalriadowie uczą się walczyć zaraz po odstawieniu od piersi. - Spojrzał na Eamonna, który z ożywieniem rozmawiał z Margueritą Grosmaine. - Już zabił dwóch ludzi, wiesz? Jakaś plemienna sprzeczka czy coś podobnego.

- Kiedyś zabiłem człowieka.

- Tak? - Mavros obrzucił mnie zaskoczonym wzrokiem. - Kiedy?

- Kiedy miałem dziesięć lat. - To była prawda, albo prawie prawda. Dźgnąłem nożem w udo Fadila Choumę, menechetańskiego hanlarza niewolników, który kupił mnie od Kartagińczyków. W zenanie Fedra mi powiedziała, że rana uległa zakażeniu i stała się przyczyną jego śmieci. - Zresztą, to nie ma znaczenia. Używamy drewnianych mieczy, nie prawdziwych.

- Tak - mruknął z zadumą Mavros. - Książę Eamonn jest głęboko zawiedziony.

Tak było w istocie.

- Książę Imrielu! - zawołał z eirańskim zaśpiewem. - Myślałem, że stoczmy pojedynek! - Z konsternacją ściągając miedziane brwi, zerkając na drewniany miecz w ręce. - To dziecinne zabawki. Jak mamy stoczyć prawdziwą walkę?

- Już ryzykuję utratę wierzchowca! - warknąłem z irytacją. - Czy chcesz dostać również moją głowę?

- O nie! - Szeroko otworzył oczy. - Nie umyślnie.

W końcu Drustan interweniował, tłumacząc Eamonnowi po eirańsku - prawie rozumiałem, gdyż jest to dialekt języka cruithne - że królowa Ysandra nie jest zachwycona pomysłem, by krew jej gościa lub krewnego została rozlana dla zabawy.

Eamonn wzruszył ramionami.

- Zatem niech tak będzie - powiedział, zdejmując złoty naszyjnik i powierzając go pieczy Drustana. - Uhonoruję zakład dziecięcą zabawką.

Pomyślałem, że to niesprawiedliwe słowa. Na tę okazję zamówiono dwa piękne miecze ćwiczebne z twardego orzecha, ze złoceniami na rzebionych rękojeściach. Dostarczono też dwie drewniane tarcze. Ta Ea monna, pomalowana na zielono, nosiła herb z białym koniem; moja była niebieska, ze srebrnym łabędziem rodu Courcel. Eamonn wsunął lewą rękę w rzemienie, wypróbował ciężar tarczy. Ja nie wziąłem swojej.

- Bez tarczy? - Znacząco uniósł brwi.

Pokręciłem głową, sprawdzając sprzączki karwaszów. Nie były wprawdzie metalowe, ale grube i mocne, sporządzone z gotowanej skóry. Nosilem je podczas ćwiczeń z Joscelinem, wytartą skórę znaczyły liczne rysy.

- Aha. - Eamonn spojrział na Joscelina, w jego oczach błysnęło zrozumienie. - On cię szkolił, twój przybrany ojciec? Może jednak czeka mnie zabawa!

Minęło trochę czasu, zanim wszyscy znaleźli zadowalające ich miejsca; członkowie rodziny królewskiej, ich krewni i przyjaciele ulokowali się na krzesłach na podium, inni utworzyli luźny krąg, przepychając się, żeby mieć lepszy widok. Mavros stał z boku, trzymając wodze Bękarta. Potrząsnął sakiewką i wskazał nią na mnie z wymownym spojrzeniem. Widziałem, jak moi inni przyjaciele śmieją się i naradzają, przejęci tylko widowiskiem.

Nie miałem odwagi spojrzeć na Fedrę, gdyż wiedziałem, że uważa przedsięwzięcie za głupie, ani na Joscelina, bo się bałem, że przyniosę mu wstyd. Ysandra miała spokojną i zrezygnowaną minę. Drustan, z naszyjnikiem Eamonna w ręce, wydawał się żywo zainteresowany. Sydonia, siedząca po stronie matki, wyglądała na znudzoną. Tylko Alais, z rękami splecionymi pod obrozą Celesty, patrzyła na mnie zmartwionym, niespokojnym wzrokiem.

Uśmiechnąłem się, żeby ją podnieść na duchu, i posłałem jej pocałunek. - Mała księżniczka. - Eamonn zachichotał. - Jest... jakie to słowo? Bystra. Bardzo ją lubię. Nastroszyłem się.

- Trzymaj się od niej z daleka! Jest jeszcze dzieckiem.

- *Dagda Mor!* - Mrugnął do mnie. - Oczywiście. Przypomina mi jedną z moich małych sióstr. A twoim zdaniem, o co mi chodziło? - O nic - burknąłem. - Nieważne.

- Wy, DAngelinowie, jesteście dziwni - skomentował Eamonn. - Ale powiem ci, że jej starsza siostra wygląda na prawdziwą jędzę. Przygryzłem usta, żeby powstrzymać się od śmiechu. - Co jest? - zapytał Eamonn. - Czy użyłem niewłaściwego słowa? - O nie. Najwłaściwszego, zapewniam.

Wcześniej uzgodniono, jak to się odbędzie. Drustan skinął na sługę, który uderzył w brązowy gong. Eamonn i ja rozeszliśmy się i stanęliśmy naprzeciwko siebie.



Świat się skurczył, mieszcząc tylko nas dwóch. Patrzyłem, jak mój przeciwnik wspiera ciężar ciała na piętach, poruszając się zwinnie, i przyszło mi na myśl, że być może nie doceniłem jego szybkości. Podniósł tarczę, osłaniając tułów. Trzymał drewniany miecz zwodniczo delikatnie. Ja ścisnąłem swój oburącz, zbyt mocno, aż pociły mi się dłonie. Patrzyliśmy sobie w oczy, każdy z nas próbował odgadnąć zamiary przeciwnika.

Gong zadźwięczał ponownie.

Eamonn skoczył ku mnie z dzikim krzykiem, tarczę trzymając wyso ko, a miecz nisko. Ocalił mnie tylko wyszkolony po kasjelicku refleks choć muszę przyznać, że mało brakowało. Uderzyłem mocno, odbijając głownię, ale górna krawędź tarczy trafiła mnie w brodę. Wytrącając mnie z równowagi i mogłem tylko wykorzystać siłę uderzenia do wykonania salta w tył. Wylądowałem w przysiadzie i wyprowadziłem cios w goleń Eamonna.

Uskoczył ze śmiechem.

Wyprostowałem się, trzymając miecz przed sobą.

- Walczymy czy tańczymy? - zapytał.

-Ty mi powiedz - odparłem, przystępując do ataku.

Po chwili zrozumiałem, że powinienem ćwiczyć nie tylko z Josceli nem. Kasjelicki styl walki przypomina taniec. Kroki są skomplikowane jedna figura przechodzi w drugą. Zwą to „wskazywaniem godzin”, każdy ruch służy do obrony lub ataku segmentu sfery, tak jak cień gnomona omiata tarczę zegara słonecznego. Dość dobrze znałem dwanaście pod stawowych figur i towarzyszących im ciosów.

Eamonn nie znał.

Nie mogłem przewidzieć jego reakcji, gdyż zbyt przywykłem do kasjelickiego stylu. Kiedyś ćwiczyłem z Ti- Filipem i Huguesem, żeby się uczyć się konwencjonalnej walki, ale w ubiegłym roku większość czasu spędzałem z Joscelinem. A to zupełnie co innego.

Najgorsza była tarcza, nie mogłem wykombinować, jak się za nią prze drzeć. Po swoim pierwszym ataku Eamonn ograniczył się do zaskakująco cierplivej obrony. Krążyłem wokół niego w lewą stronę, wyprowadzając szybkie ciosy. Obracał się powoli, przyjmując je na tarczę, pozwalając mi się męczyć i przez cały czas szczerząc do mnie zęby. Od czasu do czasu za skakiwał mnie ripostami, a jego ciosy były tak silne, że niemal wyrywały drewniany miecz z moich rąk.

Z początku widzowie podnosili okrzyki przy każdej wymianie ciosów ale gdy pojedynek ciągnął się i ciągnął, zainteresowanie zmalało. Słońce stało wysoko na niebie,

dzień stawał się coraz cieplejszy. Zgrzany i zmę czony, robiłem się nieostrożny, reago-  
wałem powoli i się odsłaniałem.

Wtedy Eamonn zaczął naciskać.

Nie było w tym żadnej finezji. Po prostu rąbał mieczem, ale miał przewagę wzrostu,  
zasięgu i siły. Gdy odpierałem cios za ciosem, ramiona ciążyły mi, jakby były z ołowiu.

- Masz dość? - zapytał wesoło.

Pokręciłem głową. Pot zalewał mi oczy. Otarłem czoło przedramieniem i sparowa-  
łem w ostatniej chwili atak Eamonna. Odskokczyłem, okręcając się na pięcie.

- Nie - wysapałem. - A ty?

Uderzył w tarczę płazem drewnianego miecza, po czym szeroko rozłożył ramiona.

- Chodź po mnie, D'Angelinie.

Zerknąłem na Bękartę, jego nakrapiana sierść żywo odbijała się na tle murawy. Po-  
tem spojrzałem na podium i po raz pierwszy na Fedrę. Przyglądała się nam w skupie-  
niu, z podbródkiem wspartym na dłoni, z nieodgadnioną miną. Pomyślałem, ile razy  
postąpiła wbrew oczekiwaniom swoich przeciwników, ile razy nie ustąpiła, nie podda-  
ła się rozpacz.

„Ten, kto ulega, nie zawsze jest słaby”.

Po raz pierwszy od rozpoczęcia pojedynku zacząłem myśleć.

Przypuściłem zaciekły atak, zmuszając Eamonna do wysokiego i niskiego parowa-  
nia ciosów. Stękał, gdy przyjmował ciosy na tarczę. Ta długa, cierpliwa obrona też  
wiele go kosztowała. Nagle udałem, że słabnę, i opuściłem miecz. Kiedy zebrał się w  
sobie, żeby uderzyć, zacząłem powolny, przemyślany odwrót.

Trwało to długi czas. Markowałem potknięcia i oferowałem fałszywe otwarcia, re-  
agując w okamgnieniu. Parowałem minimalnymi ruchami nadgarstka, ilekroć było to  
możliwe, żeby oszczędzać siły. Krok po kroku, prowadziłem Eamonna mac Grainna w  
nudnym, męczącym tańcu w tę i z powrotem po murawie, i patrzyłem, jak jego  
uśmiech gaśnie, zastąpiony przez wyraz zmęczenia i frustracji. Gdy spostrzegłem, że  
wolniej podnosi tarczę, znowu zacząłem atakować.

Nie umiem powiedzieć, jak długo to trwało. Miałem wrażenie, że całe godziny.

Nasza widownia coraz rzadziej pokrzykiwała i gwizdała, aż w końcu zupełnie stra-  
ciła zainteresowanie, z wyjątkiem nielicznych osób. Zamknięci w prywatnym świecie,  
Eamonn i ja kontynuowaliśmy wymianę ciosów, złani potem, poruszając się powoli  
jak we śnie.

W końcu przebiłem się przez jego obronę, odtrącając w bok jego micz, ale gdy tego dokonałem, zabrakło mi siły na cośkolwiek więcej. Zadyszany, przytrzymałem nisko jego rękę i opierałem się o jego tarczę. Obaj słańialiśmy się na nogach, niemal wzajem się podtrzymując.

- Zawieszenie broni? - wychrypiał Eamonn.

- Zawieszenie broni - zgodziłem się.

Z jękiem padł na trawę i legł na plecach. Runąłem obok niego, patrząc w błękitne niebo, oddychając ciężko. Nie pamiętam, bym kiedyś był bardziej zmęczony, nawet po oczyszczaniu pastwiska w Montrève

- Imri? - W moim polu widzenia pojawiła się twarz Alais, dziwnie odwrócona. - Zatem remis?

Zbyt zmęczony, żeby mówić, tylko pokiwałem głową.

- To dobrze! - Jej twarz zniknęła.

Usłyszałem, jak Drustan oznajmia, że pojedynek jest nierozstrzygnięty. Odpowiedziały mu okrzyki. Byłem zbyt zmęczony, by bodaj pomyśleć o wstaniu z ziemi.

Obok mnie Eamonn zachichotał.

- Dobra walka - powiedział. Odwróciłem głowę w jego stronę.

- Niezła

Leżąc na trawie, kompletnie wykończeni, śmialiśmy się jak idioci. Fed ra miała rację, pomysł był głupi i niepotrzebny, ale też cudowny. I jakoś przy okazji zaprzyjaźniłem się z Eamonnem.

## DZIEWIĘTNAŚCIE

---

Późniejszy okres należał do najszcześniejszych w moim życiu. Prawdziwa przyjaźń, jak sądzę, przypomina romans, tylko bez wszystkich tych udręk i obaw. Po pojedynku Eamonn i ja staliśmy się nierozłączni.

W oczach dworu tworzyliśmy dziwną parę. Oczywiście rozeszła się plotka, że jesteśmy kochankami, ale nie było w tym prawdy, przynajmniej nie w sensie fizycznym. W

Terre d'Ange takie związki są na porządek do dziennych, ja jednak widziałem w Daršan-dze zbyt wielu okrutnych mężczyzn, żeby to do mnie przemawiało. Jak zauważyła du-egna Domu Melisy, nie byłem gotów zająć się tą raną.

Eamonn uznał, że to zabawne.

- Wy, D'Angelinowie, lubicie brać się od tyłu! - powiedział ze śmiechem.

- A Dalriadowie są inni? - zapytałem go. - Powiedz mi prawdę

- Tylko na długich wyprawach myśliwskich. - Uśmiechnął się szeroko. - Jestem chętny, jeśli chcesz! *Dagda Mor*, jesteś na to wystarczająco ładny, Imrielu.

- Prawda. Ale ty nie. - Moje słowa sprawiły, że wybuchnął jeszcze głośniejszym śmiechem.

Moi dworscy przyjaciele uważali, że to dziwne. Eamonn budził sympatię - trudno go nie lubić, wesołego i dobrodusznego - ale nie miał głowy do subtelności dworu i niezbyt panował nad językiem. Był prosty, bezpośredni i szczery.

Dzięki temu przebywanie w jego towarzystwie sprawiało przyjemność. Kto nie doceniał jego inteligencji, ten popełniał błąd, a dotyczyło to większości arystokratów. Przeważająca liczba D'Angelinów, jak się obawiam, to snoby. Kocham moją ojczyznę równie mocno jak każdy inny, być może bardziej niż większość. Mam powody, zosta-łem bowiem z niej uprowadzony i widziałem akty niesłychanego bohaterstwa, do ja-kiego są zdolni nasi ludzie. Widziałem też akty rozdzierającego serce męstwa u przed-stawicieli innych nacji i dlatego nie próbowałem sobie wmawiać, że danielińska krew jest pod jakimś względem lepsza.

Jesteśmy urodziwi, jak powiedział Eamonn. To spuścizna po Elui i jego Towarzy-szach, których krew płynie w naszych żyłach. Kiedyś widziałem jednego z aniołów Boga Jedynego, Rahaba, i widok jego piękna w prawdziwej postaci był wręcz nie do zniesienia. Ale fizyczne piękno samo w sobie jest bez znaczenia. Wiem o tym, będąc synem mojej matki. Nie pochodzenie, lecz przykazanie Błogosławionego Elui oferuje nam okazję dostania się naprawdę lepszymi. Oznacza coś więcej niż zezwolenie na niezliczone romanse - fakt, o którym moi rodacy często zapominają. Rozmawialiśmy z Eamonnem o takich sprawach. Był bezgranicznie ciekaw Terre d'Ange i nie mógł się doczekać spotkania z ojcem, choć przywiązywał do tego mniejszą wagę niż się spo-dziewa-łem. Pewnie nie powinienem się dziwić, skoro sam nie byłem zaintereso-wany własnym rodzicielem. Dowiedziałem się, że Eamonn jest jednym z pięciorga dzieci Grainny mac Conor, Pani Dalriady. Z wyjątkiem dwóch młodszych sióstr, każ-de z nich ma innego ojca. On był wśród nich niespokojnym duchem, niezadowolonym, że więżą go brzegi Alby.

- Przez krew mojego ojca, mawia matka - powiedział mi. - Jest obieżyświatem.

- To musi być rodzinne. Podobno jego dziadek był Tyberianinem.

- Aha, tak! - Eamonn błysnął promiennym uśmiechem. - Planuję tam pojechać, do Tyberium. To coś, czego nigdy nie zrobił żaden człowiek z Dalriady. Czyż nie jest to centrum nauki?

- Tak, Uniwersytet Tyberyjski słynie na całym świecie. Eamonn, czy znasz język caerdicci?

- Nie - odparł wesoło. - Mam nadzieję, że mnie nauczysz. Napłynęły wieści, że okręt flagowy Kwinryliusza Rousse zawinął do Marsilikos. Pchnięto posłańców na spotkanie z admirałem, który jechał co koń wyskoczy Drogą Ejszet do Miasta Elui, pragnąc poznać swojego półeirańskiego syna. To też było widowisko.

- Na jaja Elui! - ryknął Kwintyliusz Rousse, chwytając Eamonna za ramiona. - Wykapana matka, chłopcze! Sprawiasz, że człowiek jest z ciebie dumny. Ale, na siedem piekieł, to była wspaniała kobieta, prawda?

- Wciąż jest, ojcze! - Eamonn wyszczerzył zęby.

- Nie wątpię. - Kwinryliusz Rousse poklepał syna po plecach z taką siłą, że chłopak stracił równowagę. - Nie wątpię, chłopcze! - Mrugnął do Fedry. - Mam rację, pani?

Fedra się uśmiechnęła.

- Pan i Pani Dalriady byli równie wspaniali.

- Ach, Eamonie. - Rousse się zadumał. - Twój wuj był pięknym człowiekiem. Oplakałem jego śmierć. Mam nadzieję, chłopcze, że czujesz się zaszczycony, nosząc jego imię.

- Oczywiście - zapewnił Eamonn gorliwie. - To dla mnie zaszczyt. Wieczorem rozpoczęła się długa uczta dla uczczenia ich spotkania, niepodobna do większości dworskich przyjęć. Przyszło więcej Cruithne'ów Drustana niż zwykle, a Ysandra zaprosiła wielu marynarzy z dawnej załogi admirała, którzy obecnie piastowali wyższe stanowiska.

Chłopcy Fedry.

Była to hałaśliwa noc. Sydonia i Alais, które uczestniczyły w kolacji, zostały wczesnie odprawione. Współczułem Alais, która szła ciężkim krokiem, niechętnie opuszczając biesiadników. Sydonia miała chłodną nie odgadnioną minę i przypuszczam, że była rada z odejścia. Co do mnie zostałem z przyjemnością.

Wszyscy byli niedobitkami, a tylko niedobitki mogą dzielić pewne rzeczy. Dzielili, tej nocy, przeżywając na nowo ciężkie chwile i snuli opowieści - o bitwie pod Bryn Gorrydum, o przeprawie przez Cieśninę o bitwie pod Troyes- Le- Mont. Eamonn i ja

słuchaliśmy ich z fascynacją popatrując na siebie i ze zrozumieniem kiwając głowami. Na różne sposoby było to nasze wspólne dziedzictwo.

Pod koniec biesiady Drustan kazał przytoczyć baryłkę *ofuisghe*. To mocny, palący trunek, i choć sączyłem go oszczędnie, zakręciło mi się w głowie. Słyszałem śmiech, gdy puszczone w obieg dzbany, a potem żarliwe toasty na cześć poległych - Eamonna mac Conora, Moiread, siostry Drustana, Remy'ego i Fortuna, Chłopców Fedry, którzy stracili życie w La Serenissimie wskutek zdrady mojej matki. A po nich i wielu innych, zbyt wielu, żeby zliczyć, usłyszałem głosy Chłopców Fedry w pieśni marszowej.

- Całkiem miło jest czasami pofiglować z bliźniętami!

W przeblysku nagiego, niemiłego zrozumienia rzuciłem okiem na Fedrę. Jej twarz, piękna i rozjaśniona przez wspomnienia, pływała mi przed oczyma.

- Czy spałaś z jego... - Machnąłem ręką mniej więcej w stronę Eamonna. - Z nimi?

Fedra spojrzała na Joscelina, który wzruszył ramionami.

- To szczególna forma dyplomacji - wyjaśnił. - Ale na swój sposób dziwnie skuteczna.

- Przepraszam, skarbie - przeprosiła mnie Fedra. - Myślałam, że wiesz.

- Nie. - Chwyciłem dzban *ofuisghe*, napełniłem kubek i wypłem jednym haustem. - Czy jest lista, którą powinienem poznać? Może w Archiwum Królewskim?

- To jest myśl. - Cierpki głos Joscelina był ostatnim, który usłyszałem, zanim moja głowa uderzyła w stół.

Znacznie później obudziłem się we własnym łóżku z niejasnym wspomnieniem, że opuściłem salę biesiadną królowej z rękami zarzuconymi na ramiona Joscelina i Filipa, potykając się, gdy mnie prowadzili. Dobrze, że przyjechaliśmy powozem, gdyż jestem pewien, że nie utrzymałbym się w siodle tej nocy.

Przez kilka dni stroniłem od Eamonna, wymawiając się chorobą. Zgadza się, pierwszego dnia naprawdę byłem chory. Ale potem nadszedł dzień wyjazdu Kwintyliusza Rousse i zaczęliśmy szykować się do podróży do Montrève. Wtedy już dłużej nie mogłem unikać towarzystwa Eamonna.

W drodze to on poruszył temat.

- Dlaczego jesteś na mnie zły, Imri?

Patrzyłem prosto przed siebie nad ruchliwymi uszami Bękart. - Nie jestem.

- Jesteś - stwierdził krótko.

Spojrzałem na niego ukradkiem. Twarz miał tak szczerą i pocziwą, że zabolalo mnie serce.

- Nie chodzi o ciebie - zacząłem z westchnieniem. - To tylko.... Eulo. Czy wszystko zawsze musi być takie zagmatwane?

- Nie - odparł Eamonn powoli. - Ale myślę, że tak się dzieje, kiedy ludzie uczestniczą w wielkich wydarzeniach. Może mamy szczęście, że żyjemy po tamtych czasach. - Z zadumą potarł podbródek. - Wiesz co moja matka powiedziała o Fedrze?

- A chcę wiedzieć? - prychnąłem drwiąco. Zignorował moje słowa.

- Powiedziała, że Fedra jest zapewne najdzielniejszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkała. - Uśmiechnął się lekko. - Powiedziała, że to coś czego nie uznaje większość ludzi, zwłaszcza mężczyzn, którzy sądzą, że odwaga liczy się tylko w walce. Ale to prawda.

- Aha. - Bez względu na to, czego się spodziewałem, usłyszałem coś zupełnie innego. Spojrzałem na Fedrę, jadącą kawałek dalej, i się zawsty dziłem. Matka Eamonna nie знаła połowy prawdy o jej odwadze. Nawet Joscelin nie udałby się do Daršangi, gdyby nie jego przysięga. - Eamo nie, przepraszam. Czasami jestem idiotą.

- Prawda - zgodził się. - Skończyłeś?

- Na razie. - Uśmiechnąłem się. - To może się powtórzyć.

- Wszystko w porządku - zapewnił wesoło. - Gdybym miał tak piękną przybraną matkę, też byłbym zazdrosny.

- Nie o to chodzi! - krzyknąłem. Tylko na mnie popatrzył.

- Nó dobrze. - Poczerwieniłem. - Może trochę.

- Ja byłbym - powtórzył Eamonn.

Nie prowadziliśmy żadnych rozmów o ciemnych lustrach i budzących strach pragnieniach. Miałem szesnaście lat, a moja przybrana matka była najsłynniejszą kurtyzaną w królestwie. Eamonn sprawił, że wydało się to proste i naturalne.

Nie było, oczywiście. Nie do końca.

Wciąż miewałem sny, z których budziłem się zlany zimnym potem czując mdłości i ból pożądania. Wiedziałem, że cień siedzi we mnie, cze kajac. Jednakże pogodne towarzystwo Eamonna przepędziło go do kry jówki równie skutecznie, jak krewni Szachrijaj go stamtąd wywołali. I za to byłem wdzięczny.

Co do Eamonna, patrzył na Fedrę ze szczerym podziwem, na Joscelina też, choć z innych powodów. I gdy poznali go lepiej w czasie jazdy do Montrève, zobaczyłem, że zaczęli odwzajemniać jego względy z pełnym rozbawieniem uczuciem. Dobrze się z nim

czułem, niemal jakbym miał brata, aczkolwiek niespodziewanie rosłego i żywiołowego.

Wybornie się bawiliśmy w Montrève.

Eamonn lepiej pasował do wsi niż do Miasta, i w przeciwieństwie do szlachty, siowaleńskie pospólstwo nie rzucało żadnych złośliwych uwag pod jego adresem. Dalszodowie są bohaterami legend i wieśniacy się cieszyli, że jeden z nich przebywa wśród nich.

Zwłaszcza młode wieśniaczki.

To mnie zaskoczyło, chociaż nie powinno. Eamonn kochał kobiety z tą samą niepomowaną namiętnością, jak wszystko inne. Na dworze na jego brak wyrafinowania w grze zalotów patrzono z pobłażliwym rozbawieniem; na wsi szczerzy żar jego uczuć spotkał się z pełną aprobatą. Poza tym, był postawnym młodzieńcem. Jeśli nawet miał nieładną twarz, to na pewno była ona interesująca i czasami ujawniała dziwne toporne

- Uważam, że jest całkiem przystojny - oświadczyła Katherine. - W zabawny sposób.

- Zwariowałaś - zauważył Gilot.

Ich romans po naszym przyjeździe zapłonął na nowo, silniejszym ogniem niż wcześniej. Zastanawiałem się, czy Gilot będzie nam towarzyszyć, gdy jesienią wrócimy do Miasta, czy może poprosi o zgodę na pozostanie w Montrève.

- Nie rozumiesz kobiet - droczyła się z nim Katherine.

- Rozumiem ciebie - sparował. - Czyż nie?

Na te słowa Charles i ja przewróciliśmy oczami w jednej z rzadkich chwil jedno-myślności. Tego lata nieczęsto go widywałem, po części dlatego, że jako szesnastolatek jeździł regularnie na granice Montrève w patrolu dowodzonym przez jego starszego brata Denisa, a po części z powodu Eamonna. Głównie dlatego, że nasze życie rozeszło się w różne strony, pogłębiając proces rozpoczęty wtedy, gdy odwiedzili nas Szachrizaj. Ale nadal potrafiliśmy się zgodzić, że Katherine i Gilot, będąc razem, są potwornie ckliwi.

Mimo to, Katherine miała rację. Młode kobiety w Montrève i w okolicy lubiły Eamonna mac Grainna, a on dokonywał wśród nich radosnego spustoszenia - podbijał serca pokojówek, córek zagrodników i wieśniaczek. Zdawało się, że wszystkie one uważają przespanie się z nim za wielką zabawę.

Dowiedziałem się, dlaczego.

Było to tego dnia, gdy pojechaliśmy do wioski. Eamonn wpadł na pomysł, żeby odwiedzić tamtejszą świątynię Szamchazaja. Jest mała, ale jak wszystkie inne to cud in-



zynierii. Gilot, Hugues i Ti- Filip, którzy nam towarzyszyli, zostali na zewnątrz. We-  
szliśmy we dwójkę. Kapłanka opiekująca się świątynią miała proste szare szaty. Ukło-  
niła się, podsuwając nam miseczki kadzidła w zamian za datek.

Wzięliśmy je i podeszliśmy do ołtarza.

Posąg Szamchazaja był nieco wyższy od Eamonna, zmyślnie wykonany z pozłoco-  
nego metalu. Stał we wnęce, z pustą miseczką u stóp z pochyloną głową, wpatrując się  
w tabliczkę trzymaną w lewej ręce. Gdy podeszliśmy, zaczął się poruszać.

- *Dagda Mor!* - sapnął Eamonn. Zachichotałem.

Prawa ręka Szamchazaja, wyposażona w rylec, powędrowała w górę. Rylec przesu-  
nął się nad tabliczką. Głowa się uniosła, patrząc na nas suro- wymi, niewidzącymi  
oczyma. Tabliczka obróciła się powoli w pozłacanej dłoni, żebyśmy mogli przeczytać  
wypisane słowa. „Zawsze warto wiedzieć jak najwięcej”.

Gdzieś pod nami rozległ się szmer i z pustej miski u stóp figury w strzelił płomień.  
Tłumiąc przelotne drżenie na myśl o ogniach Dradżanii ukląknęłam, składając hołd  
Szamchazajowi, po czym wsypałem do ognia kadzidło. W górę popłynął słodki dym.  
Eamonn wziął ze mnie przykład nieufnie patrząc na posąg.

Gdy odstępiliśmy, tabliczka znów się obróciła. Szamchazaj opuścił prawą rękę i  
skłonił głowę, zastygając w pozie kontemplacji.

- Obyście znaleźli mądrość w wiedzy - powiedziała kapłanka, oferująca formalne  
błogosławieństwo.

Wspominając wychowanie w sanktuarium Elui, ukloniłem się jej.

- Dziękujemy, siostro.

Na zewnątrz, w jasnym świetle dnia, Eamonn się otrząsnął.

- D'Angelinowie! - krzyknął. - Za kogo się uważacie, żeby robić coś takiego? Nie-  
mał jakbyście kpili z własnych bogów!

- To sami bogowie nas tego nauczyli - mruknął Ti- Filip. Eamonn rzucił na niego  
okiem.

- Jest coś, czego nie rozumiem. Zwiecie ich bogami, a przecież słyszałem, że inni  
twierdzą, że są tylko sługami Boga Jedynego, Boga Jedynego Jezuitów. Czy nie tak?

- Nie Elua. - Na twarzy Huguesa malował się upór. - Nie Błogosławiony Elua! Inni,  
którzy stali się kimś więcej, niż byli, tylko za nim podążali.

- Z miłości - dodał Gilot. - To obietnica zawarta w przykazaniu Elui. Dzięki miłości  
stajemy się lepsi. Stajemy się kimś więcej. Milczałem.

Eamonn popatrzył na mnie i westchnął.

- Nie ma oberży w tym miasteczku?

Była karczma zwana „Złote Runo”. To jedna z nazw umiłowanych przez D'Angelinów, nawiązująca zarazem do bogactwa Montrève i starożytnej helleńskiej opowieści. Weszliśmy, żeby napić się wina, i tam miałem okazję zobaczyć Eamonna w akcji.

Postawię sprawę jasno: to córka karczmarza go wybrała. Przysiadła mu na kolanie, flirtując, zarzucając mu ręce na szyję. Eamonn ją objął, szukając wytchnienia w tym, co jest solidne i poznawalne. Podniósł kolano i opuścił głowę, chowając twarz pomiędzy jej piersiami, wdychając głęboko jej zapach.

- Co innego? - zapytał mnie, unosząc głowę. - Co, Imrielu? Co innego ma znaczenie?

- Wiedza. Zawsze warto jest wiedzieć jak najwięcej - odparłem, powtarzając słowa Fedry, powtarzając słowa Anaflela Delaunaya, powtarzając słowa Szamchazaja, Towarzysza Elui.

- Może - mruknął Eamonn. Uśmiechnął się do swojej towarzyszki, córki karczmarza. - Śliczna Jeanetto, jestem obcy w tym kraju. Widzę, że jesteś świeża i jasna jak lilia całowana przez rosę, i dostrzegam śmiech w twoich oczach, co raduje serce mężczyzny. A jednak są tam tajemnice, których nie rozumiem. Proszę, uzupełnij moje braki w wiedzy. Co to waczy, gdy D^gelinowie mówią o miłości?

Zachichotała i szepnęła mu coś na ucho.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Aha, tak! To rozumiem.

Zawołał wtedy o więcej wina. Po kilku kubkach zakręciło mi się w głowie. Patrzyłem, jak córka karczmarza Jeanetta zabiera Eamonna z izby.

Zniknęli na piętrze „Złotego Runa”, skąd wrócili jakiś czas później z szerokimi uśmiechami na twarzach.

- Dlaczego on? - zapytałem Jeanettę, gdy wychodziliśmy. Chwiejąc się na nogach, wskazałem mniej więcej w kierunku Eamonna. - To znaczy... tylko się zastanawiam, to wszystko.

- Bo jest szczęśliwy. - Uśmiechnęła się do Eamonna i musnęła jego policzek. - To miłe.

Odpowiedział promiennym uśmiechem.

- Czy to wystarczy? - zapytałem, szczerze zaciekawiony.

- Dla chwili przyjemności, tak. - Jej wzrok spoczął na mnie. Wydawało mi się, że w oczach dziewczyny dostrzegam kobiecy spryt. - Ach, Wasza Wysokość! Moje serce mogłoby roztrzaskać się na kawałki o twoje melancholijne piękno, i nie zrozum mnie źle, myślałam, czy nie wybrać ciebie. Przypuszczam, że robi to wiele młodych kobiet, i będzie ich jeszcze więcej. Każda będzie myśleć, że to ona przejrzy sedno twojej tajemnicy, że to ona otworzy twoje dumne, skryte serce. - Pokręciła głową. - Jestem prostą kobietą i nie będę się łudzić. To mogę zapamiętać, i uśmiech.

- Aha - mruknąłem.

- Zawsze będę się uśmiechać na myśl o tobie - obiecał jej Eamonn radośnie.

Córka karczmarza puściła do niego oko.

- Ja myślę!

Eamonn pogwizdywał przez całą drogę do dworu i od czasu do czasu nucił urywki eiranskiej piosenki dźwięcznym, melodyjnym głosem. Niepokój, jaki odczuwał przed wizerunkiem w świątyni Szamchazaja przepadł bez śladu.

Błogosławiony Elua, pomyślałem, by to pochwalił.

- Melancholijne piękno! - Eamonn przestał śpiewać, żeby parsknąć gromkim śmiechem. - To prawda, czyż nie? - Popatrzył na mnie z sym patią. - Pewnego dnia będziesz musiał mi powiedzieć, dlaczego.

- Powiem. Pewnego dnia. I powiedziałem.

Opowiedziałem Eamonnowi o mojej matce. Rozmowa z nim była in twa. Niewiele wiedział o zdradzie Melisandy; ta historia nie poruszyła Dalriadami, nie mając z nimi nic wspólnego. Dzięki temu był cudownie obiektywny, a mnie łatwiej było przyjąć jego szczere współczucie.

Nie powiedziałem o Daršandze.

Wiedział, oczywiście. Na dworze krążyły plotki o moim porwaniu i sprzedaży w niewolę. Co to oznaczało - tak naprawdę - tego nikt nie wiedział. Żadne z naszej trójki, Fedra, Joscelin i ja, nie rozmawiało otwarcie o tamtych okropnościach.

Powiedziałem mu na łące nad górskim stawem, tym, który z Roszaną i Katherine odwiedziłem ubiegłego lata. Wydawało się, że to było dawno temu. Pojechaliśmy razem, Eamonn i ja, wspinając się na wyżyny. Jak przypuszczałem, pokochał góry. Spętaaliśmy wierzchowce, a on powitał jezioro radosnym okrzykiem, w biegu ściągając ubrania, żeby skoczyć w krystaliczną toti.

Poszedłem za jego przykładem.

Było zimno, tak zimno! Brodziliśmy w wodzie i chlapaliśmy się ze śmiechem; zęby nam szczękały i usta zrobiły się sine. Gdy nie mogliśmy już dłużej wytrzymać, wyszliśmy na granitowy brzeg i leżeliśmy, pławiąc się w ciepłe rozgrzanego przez słońce kamienia.

- Aco to? - zapytał Eamonn, wskazując bladą bliznę na moim lewym pośladku. - *Dagda Mor!* Wygląda jak cecha na zadzie krowy.

Zadrzałem w ciepłym słońcu.

- I jest cechą. Czymś w tym rodzaju.

- Nie rozmawiasz na ten temat, prawda? - Eamonn patrzył na mnie szarzielonymi oczyma spod wilgotnych włosów przyklejonych do czoła.- Jesteśmy jak bracia, ty i ja. Nigdy nie zdradzę twojego zaufania. Jeśli zdołasz znieść mówienie o tym, Imrieiu, ja zniosę słuchanie.

Powiedziałem mu.

Czerpiąc odwagę oburącz, opowiedziałem mu o Daršandze. Nie wszystko, nie to, co było najgorsze pod pewnymi względami. O tym wie tylko Fedra, a ona dochowa sekretu. Opowiedziałem mu o Jagunie z tatarskiego plemienia Kereitów, który mnie napiętnował. Opowiedziałem mu o ka-magach, którzy trzymali śmierć na smyczy jak psa. I opowiedziałem mu o ich namaszczonej władcy mahrkagirze w całym jego straszliwym obłędzie, i jak było w zenanie przed przybyciem Fedry.

Powiedziałem jej, dawno temu. Dotąd nie mówiłem nikomu innemu.

- Chcieli mnie złamać - powiedziałem do Eamonna. - Nie całego od razu. - Popatrzyłam na niego z gorzkim uśmiechem. - Miałem szczęście, jeśli możesz w to uwierzyć, przynajmniej w porównaniu z innymi. Oszczędzał mnie na wyjątkową okazję, przynajmniej dopóki nie zjawiła się Fedra. Nie przeżyłbym tak długo, gdyby tego nie chciał. Ale robił... różne rzeczy.

- Mahrkagirr - zapytał cicho.

Skinąłem głową. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie na nagrzaną przez słońce skale. Rozmawialiśmy od wielu godzin. Ubrania, które włożyli śmy po wyjściu z wody, już dawno wyschły. W tej sielankowej scenie, to o czym mówiłem, wydawało się niemożliwe do wyobrażenia. Objąłem rękami kolana, zgarbiłem się nad nimi.

- Tak - szepnąłem. - Robił różne rzeczy. Eamonn patrzył na mnie spokojnie.

- Chcesz mi o tym powiedzieć?

- Nie. Sam nie wiem. - Spojrzałem nad jego ramieniem na opadające słońce. - Pewnego razu... - zacząłem i urwałem, drżąc. - Eamonn, to plugawe.

- Być może. - Dotknął mojego ramienia. - Być może, Imrielu, ty jednak nie zostałeś splugawiony.

Znowu skinąłem głową, grzbietem ręki rozgniatając nieproszone łzy,

- Kiedyś było nas dwoje - zacząłem szorstkim głosem. - Przed przyjęciem Fedry. Była kobieta, jedna z Chowatek. Miała na imię Lilka i była dla mnie dobra. - Usłyszałem własny rwący się śmiech. - Ach, Eluo!

- Co się stało? - Eamonn pochylił się w moją stronę. Zgrzytnąłem 2ębami.

- *Duzhmata, duzhushta, duzhvarshata* - wyrecytowałem. - Złe myśli złe słowa, złe uczynki. To była jego potrójna droga. Wyznaczył Lilkę na śmierć w swoich komnatach, i zaproponował mi umowę, że oszczędzi jej życie, jeśli tylko zechcę.

- Chciałeś? - zapytał.

- Oczywiście! - wybuchłem, uniesiony dumą. - Próbowałem. - Potarłem oczy. - Próbowałem - powtórzyłem cicho. - Tak. Kazał mi klęknąć i otworzyć usta. A potem w nie nasikał. - Eamonn zakaszał a ja uśmiechnąłem się ponuro. - Taka była cena mahrkagira. Jeśli przełknę jego szczyny bez krztuszenia się, to oszczędzi Lilkę. Wzdrygnął się.

- Przełknąłeś?

- Nie - mruknąłem. - Starąłem się. Naprawdę się starałem. Ale były gorące i śmierdziały i, Elua! Lał bez końca, a ja tak bardzo się bałem.

Przełknąłem, ile mogłem, i zakrztusiłem się resztą.

- Przykro mi - szepnął Eamonn z taką miną, jakby zbierało mu się na wymioty. - Tak mi przykro. *Dagda Mor*, Imri. Czy on...?

- Wziął ją od tyłu - podjąłem. - Gdy ja klęczałem w kałuży szczyn i żółci, zmuszony na to patrzeć. To była moja kara za porażkę. - Odwróciłem głowę, żeby spojrzeć na staw, i patrzyłem, jak wiatr marszczy lustro wody. - Nie użył swojej żelaznej pałki, ponieważ ten akt i tak miał skończyć się śmiercią. Nie mówiłem ci o tym. Chodziło, wiesz, o sianie śmierci w miejscu życia. Przez cały czas trzymał sztylet przy gardle Lilki, brudny, stary, zardzewiały sztylet. Miała zamknięte oczy - dodałem. - Żeby oszczędzić mi widoku ich wyrazu, jak sądzę. A może dlatego, że nie chciała widzieć wyrazu moich oczu. Byłem jej za to wdzięczny. Zwłaszcza na końcu. Umilkłem, rozpamiętując. Eamonn czekał w milczeniu.

- Spuścił się w nią - podjąłem, nie patrząc na niego - pociągnął ją za włosy i poderżnął jej gardło. Jej krew... - urwałem, z trudem przełykając ślinę - trysnęła jak fontanna, Eamonne. Byłem nią przemoczony.

Z wysiłkiem zmusiłem się, żeby spojrzeć mu w oczy, bojąc się szoku i odrazy, które mogłem w nich zobaczyć. Ujrzałem tylko dzielony ze mną żal i niekłamanie współczucie.

- Imrielu! - Eamonn chwycił moją prawą rękę, ścisnął ją mocno. - Niemal żałuję, że ten mahrkagir nie żyje - rzucił dziko. - Bo mógłbym wtedy złożyć przysięgę krwi, żeby cię pomścić! - Po chwili zapytał: - Nie żyje, prawda?

Skinąłem głową.

- Fedra go zabiła.

- Fedra? - Szeroko otworzył oczy. - Nasza Fedra? To skłoniło mnie do lekkiego uśmiechu. - Zabiła go. Szpilką do włosów.

- Matko Mebh, miej litość! - Eamonn rozdziawił usta, po czym zamknął je z trzaskiem. - Na wszystkie krowy w Commachcie, Imrielu, nie mogę uwierzyć, że przeżyłeś takie piekło. - Pokręcił głową. - Wy wszyscy. Ale ty... ile miałeś wtedy lat?

- Dziesięć. Miałem dziesięć lat, gdy mnie porwali. Łzy zalśniły w szarzielonych oczach.

- Biedny chłopiec! - Ścisnął moją rękę. - Ludzie nie wiedzą, prawda? Ci twoi zniechęceni dworscy przyjaciele?

- Co ci mówiłem? Nie. Nikt nie wie. Tylko Fedra.

Eamonn puścił moją rękę, zacisnął pięść i przyłożył do piersi.

- To, co mi powiedziałaś, zachowam blisko mego serca - oznajmił powagę. - Twoje tajemnice są moimi tajemnicami, Imrielu. Wiedz tylko, że je uszanuję, tak jak szanuję twoją odwagę.

- Dziękuję. - Strąciłem knykciami nowe łzy łez, pociągnąłem nosem i się roześmiałem. - Niewiele zrobiłem, żeby na to zasłużyć, poza tym, że przeżyłem. Och, Eluo! Jeśli czasami jestem melancholijny teraz już wiesz dlaczego.

- Wiem - odparł. - I wystarczy, że przeżyłeś. To więcej niż dość.

- Są inne historie, inne przypadki - przestrzegłem go. - Niektóre z nich... jeszcze gorsze.

Eamonn wyprostował ramiona i pokiwał głową.

- Czy pragniesz o nich pomówić?

- Nie. Jedna wystarczy. - Tak wyglądała prawda. A jednak, co dziwne, czułem się lżejszy i szczęśliwszy. Podzielone brzemię moich wspomnień stało się łatwiejsze do

dźwigania. Adeptci Domu Melisy mieli rację, za ufanie innym jest uzdrawiające. Wstałem. - Chodź. Richelina czeka na nas z kolacją.

Tej nocy spałem spokojnie i bez snów. Chciałbym, żeby tak było zawsze.

## DWADZIEŚCIA

---

Lato w Monterve szybko przeminęło.

Był to czas śmiałych przygód i młodzieńczej fantazji. Wyznanie uczy nione nad stawem wyzwoliło we mnie dzikość i razem z Eamonem szaleliśmy po okolicy. Nie niosło to żadnej szkody, tylko dawało upływ nadmiarowi energii. Rzucaliśmy sobie wyzwania, kto znajdzie wyższe drzewo do wspinaczki, bardziej strome urwisko do skoku, większą zwie rzynę do upolowania. W granicach Montrève szukaliśmy sposobów, by przechytrzyć strażę; na zewnątrz szukaliśmy sposobów, by wymknąć się naszym zbrojnym.

Znajdowaliśmy też dziewczęta.

Wiele ich było chętnych na siovaleńskiej wsi. Nauczyłem się z mniej szym wysiłkiem dźwigać bagaż przeszłości i, wzorem Eamonna, barasz kowałem z nimi z uśmiechem. Dobrze wykorzystałem lekcje, jakie po brałem u Emmeliny z Domu Melisy, i w zamian nauczyłem się jeszcze więcej. Choć nigdy nie było tak samo.

Mimo że bardzo tego pragnąłem, ani razu nie poczułem unosząc się nade mną obecności błogosławieństwa. Była przyjemność cielesna tylko i wyłącznie; młode ludzkie zwierzęta kopulujące dla czystej radości. Czasami się w tym zatracąłem, a jednak nie posunąłem się dostatecznie daleko. Nie tak daleko jak chciałem, tak daleko, że uciekałem przed sobą samym.

Później zostawała mi melancholia.

Nie okazywałem jej dziewczętom, z którymi sypiałem, choć niektóre ją wyczuwały. Zawsze byłem względem nich uprzejmy i pełen szacunku. Nawet gdy niczego nie chciały, dawałem im ładne podarki. Jeśli chciały - bo niektóre rodziny zagrodników były ubogie - przeprowadzałem dyskretne śledztwo i stawałem się dowiedzieć, czego im najbardziej potrzeba. A jednak nie łagodziło to ponurego nastroju, który niekiedy opadał mnie po zakończeniu miłosnego aktu.

Eamonn zawsze wiedział.

Nieczęsto o tym rozmawialiśmy, ale umiałem poznać. Czasami próbował poprawić mi humor własnym entuzjazmem; kiedy indziej po prostu mnie zostawiał, żebym dumiał w spokoju. Innymi razy prowokował mnie do pojedynku. Będąc równie dobrzy, doskonaliliśmy swoje umiejętności.

Dobrze jest mieć przyjaciela.

Eamonn wciąż bardzo pragnął pojedynku z Joscelinem; prawdziwego pojedynku, stał przeciwko stali. Przez całe lato błagał i namawiał, aż w końcu Joscelin ustąpił. Stanęli do walki na wewnętrznym dziedzińcu, a wszyscy domownicy Montrève zebrali się, żeby patrzeć. Kiedy Joscelin zjawił się z samymi tylko sztyletami, Eamonn nie krył zawodu.

- Obiecałeś mi prawdziwy pojedynek! - poskarżył się z rozzaleniem. - Gdzie twój miecz?

Joscelin podchwycił moje spojrzenie i odparł z półuśmiechem:

- Zostałem wyszkolony jako brat kasjelita, książę Eamonne. Dobywamy mieczy tylko po to, by zabić. Nie wyciągnę miecza przeciwko tobie, nawet w zabawie. - Przyjął pozycję, wyjął oba sztylety i uklonił się, krzyżując karwaszc. - Spróbujmy się.

Poszło szybko, nieprawdopodobnie szybko.

Eamonn zaatakował z krzykiem. Ten sam atak zastosował wobec mnie w naszym pierwszym pojedynku, wysoko podnosząc tarczę i nisko trzymając miecz. Joscelin nie dał się zaskoczyć. Jakkolwiek styl kasjelicki może być nieodpowiedni na polu bitwy, Joscelin nauczył się dostosowywać, go do tysiąca sytuacji. Niewielu wojowników walczyło w tylu bitwach, co on, toczonych o najwyższe stawki. Przyjął miecz Eamonna na w sztyletu i odbił go ruchem nadgarstka. Jednym zwinnym krokiem wśliznął się w obręb obrony przeciwnika, lewą ręką odpychając tarczę.

Wsunął prawą stopę na piętę Eamonna i pchnął go mocno.

Eamonn runął na plecy z brzękiem miecza i tarczy.

Skrzywiłem się i próbowałem zapamiętać sekwencję, której użył Joscelin, żeby bez wysiłku znaleźć się wewnątrz obronnego kręgu.

Joscelin przycisnął kolaniem pierś Eamonna, przykładając mu oba sztylety do gardła. Spojrzał łagodnie na pokonanego.

- Jesteś usatysfakcjonowany, książę Dalriadów?

- *Dagda Mor!* - wysapał ze śmiechem Eamonn. - Tak. Bardzo! Pozwól mi wstać.

Razem przyprawialiśmy Fedrę o straszny ból głowy.



Nie cały jednak czas poświęcaliśmy zabawom. Eamonn pozostał wierny pragnieniu studiowania na Uniwersytecie Tyberyjskim. Nie brakowało mu inteligencji, choć wiedzę miał ograniczoną przez dotychczasowe nauczanie. Fedra wymyśliła, jak zajmować się nami oboma. Z własnej woli uczyła Eamonna podstaw języka caerdicci. W trakcie nauki dostrzegła, co najbardziej go interesuje - dysertacje filozofów - i kazała nam obu je studiować, a także tłumaczyć tezy z caerdicci na d'angelinski i później je omawiać.

Dla Eamonna zadanie okazało się trudne. Mozolił się nad przekładami, mamrocząc pod nosem w mieszance d'angeliriskiego i eirańskiego zmagając się z caerdicci. Zrobiłem się zazdrosny, patrząc, jak Fedrakniży koło niego, podszeptując rady, udzielając wskazówek. Jednakże, gdy Eamonn raz pojął koncepcję, jego umysł pracował w szybkim tempie, prześcigając mój. I z jakiegoś powodu drażniło mnie, gdy chętnie borykał się z pytaniami, które nachodziły mnie w moich najczarniejszych godzinach.

- Co to znaczy być dobrym, Imri? - Eamonnowi błyszczały szarozielone oczy. - Ty i ja mamy powód do zastanowienia! Czym jest poszukiwanie dobra? Czy to przyjemność? Czy zaszczyt? Czy sprawiedliwość.. W czym tkwi prawdziwa esencja dobroci?

- Nie wiem - mruknąłem, żałując, że nie znam odpowiedzi.

- W takim razie - Eamonn klasnął w rękę - musimy znaleźć odpowiedź, prawda?

- Chyba tak.

- To piękne pytania - powiedziała do mnie Fedra łagodnie. - Filozofowie debatowali nad nimi przez wiele stuleci. Spojrzałem na nią spode łba.

- Czy tego twój ukochany Anafiel Delaunay nauczył się na uniwersytecie? - zapytałem cierpko. - Wydaje mi się, że nauczył się czegoś więcej. Jednak nawet ty nie masz pojęcia, gdzie zaznajomił się ze sztuką szpiegowania.

- Nie wiem. - Jej ciemne oczy były czyste, pomijając unoszącą się na tęczówce plamkę Strzały Kusziela. - Jak na to trafił? Umiał dochowywać sekretów. I zmarł zbyt młodo. - Drgnęły jej usta. - W moich oczach zawsze wydawał się dojrzałym mężczyzną, i mądrym. A jednak, co teraz sobie uświadamiam, był tylko trochę starszy niż ja dzisiaj, gdy kupił moją markę. Musiał wierzyć, że będzie żyć wiecznie.

- Wykorzystywał cię - skomentowałem. - Czy był to przejaw dobroci? Spojrzenie Fedry nabrało głębi.

- Anafiel Delaunay nie ukształtował mojej natury, tylko ją ukierunkował, nadał jej cel. Sądzę, że nawet to nie przyszło mu lekko. Umiał wyczuć, co będzie potrzebne. Pytanie: kto go tego nauczył?

- Ktoś w Tyberium - podsunął Eamonn. - Popytam, gdy udam się tam na wiosnę.

Fedra się roześmiała.

- Mam nadzieję, że znajdziesz odpowiedź!

Nie lubiłem myśleć o wyjeździe Eamonna. Już wiedziałem, że będzie mi go brakować. I zazdrościłem mu wolności. Choć miał osiągnąć pełnoletność dopiero zimą, Dalriadowie uważali go za dorosłego. Nie miał żadnych zobowiązań ani obowiązków. Matka z radością wysłała go z garścią złota i zgodą na wędrowanie po świecie, wierząc, że wróci do domu starszy i mądrzejszy.

Ja natomiast zżymałem się na moje ograniczenia.

Nie było mi wolno wyruszać za granice Montrève bez zbrojnej eskorty. Początkowo, gdy dobrze pamiętałem o próbach zamachu w Khebbel- im- Akad, wydawało się to rozsądnym środkiem ostrożności. Teraz ochrona drażniła mnie jako zbyt duża. Przecież nikt w Terre d'Ange nie próbował mnie zabić. Moja matka zniknęła bez śladu, możnowładcy królestwa aczynali zapominać o jej istnieniu. Barquiel L'Envers nie miałby nic przeciwko, gdybym wpadł do dziury i skręcił sobie kark, ale chyba nie kwapił się, żeby osobiście wykonać robotę.

Lato skończyło się za szybko.

Kie mogłem się zdecydować, co myśleć o naszym powrocie do Miasta. Z jednej strony wyglądałem go niecierpliwie, z drugiej zaś opłakiwałem jeszcze większą utratę wolności. W Montrève mogłem przynajmniej włóczyć się swobodnie w granicach posiadłości. W mieście będę trzymał się na krótszej smyczy.

Nijak jednak nie mogłem temu zaradzić. Lato ustąpiło jesieni i wróciliśmy do Miasta Elui. Gilot postanowił zostać w Montrève, co nikogo nie zdziwiło. Reszta pociągnęła z nami.

Człowiek zawsze zakłada, że życie gdzie indziej zatrzymało się podczas jego nieobecności, ale wcale tak nie jest.

Wiele się zmieniło.

Po pierwsze, Alais dorastała. To mnie zaskoczyło. W ciągu lata moja niepoprawna kuzyneczka przemieniła się w niezgrabną dwunastolatka z chmurnymi brwiami i nosem za dużym w porównaniu z nadal drobną buzią. Wciąż szczupła, wydawała się kanciasta z powodu sterczących łokci i kolan. Żrebiące lata, pomyślałem.

Po raz pierwszy powitała mnie z nieśmiałą rezerwą. Znajomo wyglądała i zachowywała się tylko Celesta, zamiatająca ogonem marmurową posadzkę.

- Miło cię widzieć, opryszku - powiedziałem, przytulając Alais pomimo jej niechęci. Odsunęła się.

- Nie nazywaj mnie tak! To głupie. Przysiadłem na piętach, drapiąc Celestę po uszach.

- Co złego jest w głupstewkach? Mówię tak tylko dlatego, że cię lubię, Alais. Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

- Ona już nie jest dzieckiem, wiesz. - Usłyszałem znajomy głos. - Nie traktuj jej jak dziecko.

Uniosłem głowę i zobaczyłem Sydonię. Stała za siostrą, kładąc ręce na jej ramionach. Na przekór spokojnemu brzmieniu głosu, jej twarz wyrażała nieufność. Przejrzyste oczy żarzyły się w delikatnej twarzy, Sydonia też dorastała. W przeciwieństwie do Alais, ulegała przemianie z naturalnym wdziękiem. Wydawało się to niesprawiedliwe.

Wstałem i się ukloniłem.

- Witaj, delfino. Przepraszam, nie chciałem nikogo obrazić.

- W takim razie nie masz za co przeproszać - zripostowała. Podchwyciłem spojrzenie Eamonna i skrzywiłem się. Podszedł do nas z szerokim uśmiechem, wyrzekł parę kwiecistych zdań po eirańsku, a na stępnie przetłumaczył je dla księżniczek. To sprawiło, że Alais się rozśmiała, niemal jak dawniej, i nawet Sydonia się uśmiechnęła. I tak chwila przeminęła.

Ale nie brakowało innych chwil..

Gra w zaloty odbywała się beze mnie. Spotykałem się z przyjaciółmi i miałem kłopoty z nadążaniem za plotkami. Niektórzy gracze opuścili pale, jak Raul L'Envers y Aragon. Krążyły pogłoski, że wróci na wiosnę, ale w tym roku zimował w Amilcarze. Przyznam, że nie było mi przykro z tego powodu. Choć w miarę go polubiłem, nie tęskniłem za panią Nicola. Ale pojawili się inni uczestnicy, nowi. Wielu nie znałem, inni byli mi znajomi. Należała do nich moja kuzynka Roszana Szachrizaj, która przyjechała na zimę do Miasta.

Drugiej osoby się nie spodziewałem.

- Nowy porucznik w gwardii królowej? - Julien Trente wachlował się żartobliwie ręką. - Na Eluę! Przywodzi na myśl skutego łańcuchami lamparta. Jeszcze kilku takich jak on, a zaciągnę się do służby u Jej Królewskiej Mości.

- To prawo przysługujące ci z tytułu urodzenia - przypomniała mu jego siostra Coletta. - Być może powinieneś.

- To szczebel w karierze - powiedział spokojnie. - Ysandra szczerze nagrodziła ojca za służbę, i słusznie. Nasza rodzina wzniosła się wysoko dzięki łasce królowej.

Dla ciebie i dla mnie ojciec chce czegoś więcej. Trzeba jednak przyznać, Maslin de Lombelon ma... pewien urok.

Słyszając nazwisko, osłupiałem i ze świstem wciągnąłem powietrze.

- Czy Lombelon nie jest jedną z twoich majątności? - zapytała mnie coletta, zaciekawiona. - Zdaje się, że pamiętam, jak ojciec mówił coś tym przed laty.

- Tak. - Z wysiłkiem wziąłem się w garść. - Dałem mu majątek.

- Maslinowi? - Uniosła brwi. - Dlaczego, u licha?

- Bo uznałem, że chce go mieć - wymamrotałem.

Już krążyły o nim opowieści. Po osiągnięciu pełnoletności powierzył Lombelon opiece starego seneszala i wyjechał, żeby wstąpić na służbę w gwardii królewskiej. Zjawił się, bez oglądy i niewyuczony pod względem walki na miecze, i zażądał spotkania z Diderotem Duvałem, kapitanem gwardii. Po sprawdzeniu pochodzenia, kapitan Duval poddał Masina próbie, wystawiając go przeciwko jednemu ze swoich najlepszych fermiczy. Wszyscy się śmiali z niewprawnej postawy Maslina, i kapitan

Duval obiecał mu stopień porucznika, jeśli zwycięży.

Zwyciężył.

Wspominając zręczność, z jaką władał nożem do gałęzi, wcale się nie zdziwiłem. Był przecież synem Izydora d'Aiglemort. Kapitan Duval dotrzymał słowa. I przez całe lato Maslin z pełną poświęcenia zaciekleścią pracował nad opanowaniem sztuki walki, dyplomacji i dowodzenia. Jeśli nawet nie był szczególnie lubiany, to otaczał go podziw. Pod wpływem kaprysu Barquiel L'Envers go polubił i chodziły słuchy, że pomaga Maslinowi w robieniu kariery. Spotkałem go w Sali Gier.

Była to krępująca chwila. Przy stole do pikiety wybuchła ostra sprzeczka, z obu stron padały oskarżenia o oszukiwanie. Nie brałem w tym udziału, ale przebywałem w pobliżu. Prawdę mówiąc, wycofywałem się stamtąd, kiedy dosłownie wpadłem na Maslina. Jako porucznik pełniący służbę w pałacu wysłał swoich ludzi, żeby wyprowadzili z sali kłócących się azzaleskich paniczów.

Odwróciłem się z przeprosinami na ustach. Na jego widok oniemiałem.

- Maslin! - bąknąłem głupio.

- Książę Imriel. - Ukłonił się, energicznie i nienagannie. Tylko drgnienie powieki zdradziło jakieś emocje. - Przepraszam.

- Nie, to moja wina.

Dlaczego zawsze potraçałem ludzi w przeklętej Sali Gier? Zakłopotany patrzyłem na niego, na jego jasne włosy i piękne rzeźbione rysy. Prezentował się wspaniale w ciemnoniebieskim mundurze gwardii, w wamsie zdobionym herbem z łabędziem rodu Courcel i ze srebrnym akselbantem oficera. Ale niespokojny błysk w jego ciemnych oczach klócił się z kur tuazyjnym zachowaniem. Zrozumiałem, co miał na myśli Julien, gdy mówił o lamparcie.

- Dlaczego? - zapytałem, nie zawracając sobie głowy formułowaniem pytania.

Zrozumiał.

- Nie wystarczyło - odparł i umilkł. Gdy znów się odezwał, jego głos stwardniał. - Przez ciebie Lombelon stało się małe.

- Przykro mi - szepnąłem. - Maslinie...

Wyprostował ramiona i spojrzał ku wciąż sprzeczącym się graczom

- Wybacz, Wasza Wysokość. Obowiązki wzywają.

- Kto to był? - zapytał wesoło Eamonn, precyzyjnie się przez tłum.

- Ktoś, kogo znałem, kiedyś, odrobinę. - Poklepałem go po ramieniu. - Chodź, idziemy.

Opowiedziałem mu o tym tej nocy. Od chwili powrotu do Miasta zajmowaliśmy razem mój pokój w rezydencji Fedry. Lampka oliwna na stojaku przygasła, gdy próbowałem wyjaśnić swoją decyzję. Leżąc na sąsiednim łóżku, Eamonn słuchał, z rękami założonymi pod głowę. W nikłym świetle jego ocieniona twarz wyglądała dziwnie obco. Nie odezwał się, dopóki nie skończyłem.

- Chciałeś dobrze - rzekł cicho. - Jak można się tak pomylić? Westchnąłem.

- Ale z jakiego powodu, Eamonnie? Czyim dobrem się kierowałem? Jego czy własnym?

- Czy to ważne? - zapytał.

- Chyba tak. - Skubnąłem prześcieradło. - Fedra próbowała mnie ostrzec, że może mnie za to znienawidzić. I wtedy myślałem, że rozumiem. Ale co zrobiłem? Wziąłem coś, co miłował, i pozbyłem się tego tak bez troski, jakby nie miało żadnej wartości. Sprawilem, że zmalowało w jego oczach.

- Nie - odrzekł Eamonn krótko. - On to sprawił. - Nie rozumiem.

- Imrielu. - wsparł się na łokciu. - Wy, D'Angelinie, jesteście tacy skorzy do mówienia o miłości. Czy w ogóle wiecie, co to znaczy kochać? - Pokręcił głową. - Gdyby naprawdę kochał to miejsce... jak się nazywa? Lombelon? Nic nie mogłoby umniejszyć

go w jego oczach. Nie - mówił z zadumą- wiem. Słyszę, co twoi przyjaciele mówią o mnie, o Dalriadzie. Jestem barbarzyńcą, prawda? Brutalnym i nieokrzesanym. - Roześmiał się, przypominając ojca. - Czy sądzisz, że z tego powodu mniej kocham mój dom? Moją matkę, moją rodzinę, mój lud?

- Nie - przyznałem.

Eamonn padł na plecy, patrząc na belki stropu.

- Ach, to piękna ziemia! Mam nadzieję, że pewnego dnia ci ją pokażę. Zamierzam wrócić, wiesz... kiedy trochę otrzaskam się w świecie. Rzecz w tym, gdy się zastanowić, że to nie Innisclan jest za mały dla mnie.- Spojrzał na mnie z błyskiem w przenikliwych oczach. - Ja jestem za mały dla siebie.

Uśmiechnąłem się do niego.

- Nie według córki karczmarza!

- Zbereźny gnojek! - Roześmiał się i rzucił we mnie poduszką. - Wiesz o co mi chodzi. Ale ten twój Maslin nie ma bladego pojęcia. Jest przekonany, że świat go oszukał, i to zrobiło mu dziurę w sercu. Próbuje czymś ją zapęłnić, nic jednak nie pasuje. To nie twoja wina.

- Zatem czyja?

- Niczyja. - Eamonn wzruszył ramionami. - Życie nie jest uczciwie Imri. Kto jak kto, ale ty powinieneś to rozumieć. A jednak możemy pró bować czynić dobro. I ty to zrobiłeś. Co on zrobi, to zależy od niego.

Odrzuciłem poduszkę.

- Sprawiasz, że to brzmi tak prosto.

- Bo jest proste. - Wetknął poduszkę pod głowę, przeciągnął się i wes tchnął. - Och, Imri! Powinieneś na wiosnę ruszyć ze mną do Tyberium. Pomyśl tylko, jak będziemy się bawić.

- Nie mogę - odparłem. - Nie, dopóki nie skończę osiemnastu lat.

- Mógłbyś - podsunął przebiegle. - Gdybyśmy byli sprytni. Rozmawialiśmy, jaka to byłaby wspaniała przygoda. Naprawdę o tym myślałem. Ciężko jest żyć w otoczeniu sieci intryg i straży. Dałbym wiele, żeby być jak Eamonn, nieodpowiedzialny i nieskrępowany. Nawet gdyby królowa wysłała kompanię strażników, żeby przywlekli mnie z powrotem do Terre d'Ange, byłaby to wspaniała ucieczka. Nie mogłem tego zrobić.

Sprowadzało się do tego samego: Fedry i Joscelina. Nie mogłem zdradzić ich zaufania. Nie tylko z powodu tego, przez co razem przeszliśmy. Pamiętałem dzień w sali

tronowej, kiedy zostałem formalnie przyjęty przez nich na wychowanie. Pamiętałem złość i niekłamanie niedowierzanie królowej Ysandry, gdy usłyszała prośbę. Pamiętałem, jak Fedra w milczeniu podniosła Gwiazdę Towarzysza, upominając się o związaną z nią nagrodę, którą królowa obiecała dawno temu. Nie miałem pojęcia że stawki będą takie wysokie. Co wiedziałem o dworze? Do czasu pojawienia się w Mieście Elui byłem tylko pasterzem kóz i niewolnikiem.

- Nie mogę, naprawdę - powiedziałem do Eamonna. - To sprawa honoru.

- Sprawa honoru! W takim razie niech ci będzie. Może dołączysz do mnie w przyszłym roku.

- Może.

Lampka na stojącej między łózkami szafce nocnej zaskwierczała po raz ostatni i zgasła. Słyszałem, jak Eamonn układa się do snu, jak jego oddech staje się coraz cięższy i wolniejszy. Leżałem w ciemności z otwartymi oczami, zazdroszcząc mu.

Później starałem się unikać Maslina. Przez większość czasu nie było to trudne. Oczywiście, on także nie szukał mojego towarzystwa. A jednak czasami spotkania były nieuniknione. Pomimo słów Eamonna, rozsądnych i prawdziwych, jak wiedziałem, częstokroć w jego obecności doskwierało mi niejasne poczucie winy. Kiedy indziej byłem na niego wściekły.

To te przypadki napawały mnie przerażeniem. Stwierdziłem, że go analizuję, oceniam jego skazy, wyobrażam sobie idealny sposób wbicia w nie klina, który spowoduje, że jego duma pęknie na kawałki. Nie byłoby to trudne. Z pomocą paru zmyślnie dobtanych i wyrzeczonych w odpowiednim momencie słów - powiedzmy, rzuconej mimochodem wzmianki o mojej wspaniałomyślności, o podarowaniu mu Lombelonu, gdy stał przede mną z gnojem pod paznokciami - mógłbym poniżyć go przed tworem. Znienawidziłby mnie, ale nikt nigdy by tego nie zapomniał.

Nie zrobiłem tego, oczywiście. A jednak sporo o tym myślałem.

Jedyną dobrą dla mnie rzeczą wynikającą z obecności Maslina było znalezienie dawnego wspólnego języka z Alais. Nie lubiła go.

Rozmawialiśmy o tym podczas wycieczki myśliwskiej późną jesienią.

Był jeden z tych orzeźwiających dni, kiedy powietrze jest rześkie i przejrzyste, dość zimne, by widzieć własny oddech. Jechaliśmy na polowanie z psami i z sokołami; wszyscy mieli piękne nowe ciepłe stroje, aksamitne suknie i watowane wamsy, szerokie peleryny lamowane gronostajami i lanami.

Jechałem obok Alais, która miała niewiele okazji, żeby polować z Celestą. Gdy jeźdźcy rozproszyli się po łące, scena wyglądała jak żywcem wyjęta z wesołego, pełnego przepychu widowiska. Cierpliwi sokolnicy przynieśli ptaki drapieżne i posadzili

je na rękawicach wielmożów. Naganiacze z płochaczami rzucili się w zarośla, żeby spłoszyć zwierzynę. W towarzystwie krążyły bukłaki i flaszki z winem, ze śmiechem robiono zakłady. Alais i ja trzymaliśmy się z boku, bo Celesta była jedynym dużym psem myśliwskim, ale uznałem, że prędzej czy później naganiacze wypłoszą zająca.

Co było do przewidzenia, jeden wyprysnął z kępy wyschłej trawy i sadydził potężnymi susami, prężąc umięśnione skoki. Alais wydała komendę, której ją nauczyłem, i Celasra rzuciła się w pościg.

Wywołała chaos na polu łowieckim.

Wystraszony zając kluczył pomiędzy jeźdźcami i pomocnikami. Celesta pędziła za nim - wysoki smukły cień. W tej samej chwili stadko kuropatw wystrzeliło z podszytu. Konie się spłoszyły, jeźdźcy podskakiwali w siodłach. Jastrzębie i sokoły były powietrze skrzydłami, szamocząc się w pętach. Wszyscy krzyczeli, wielmoże, sokolnicy, strażnicy. Słyszałem radosne wrzaski Eamonna w panującym harmiderze.

Oboje z Alais śmialiśmy się głośniejszy niż kiedykolwiek od czasu świętowania zbiorów w sadzie jabłoniowym, aż rozboleły nas boki.

Zamieszanie dobiegło końca, gdy Celesta dopadła zdobycz. Alais przywołała ją i suka przypadła do nas, trzymając w potężnych szczekach bezwładne ciało zająca z paciorkami krwi na szarobrązowej turzycy. Zsiadłem z konia, pochwalilem ją i odebrałem łup.

- Biedaczek - mruknęła Alais, patrząc na zająca.

- To brutalna rozrywka - zgodziłem się.

Przyszedł pomocnik z workiem na zwierzynę. Zwinnym ruchem rozciął brzuch zająca i rzucił wnętrzności Celeście. W Montrève sam to musiałem robić.

- Nie musimy w tym uczestniczyć, jeśli nie chcesz.

- Nie. - Alais uniosła podbródek. - Nie trzeba na mnie chuchać. Westchnąłem, kładąc rękę na jej strzemieniu. Bękart trącił mnie głową od tyłu, wsunął chrapy w moje włosy.

- Nie, nie trzeba, i wcale na ciebie nie chucham. Po prostu chcę być twoim przyjacielem, Alais.

- Wiem. - Jej fiołkowe oczy pociemniały. - Nie lubisz go. Śledząc jej spojrzenie, zobaczyłem Maslina, który dowodził kompanią straży towarzyszącej tej wycieczce. Do tej pory udawało mi się ignorować jego obecność. Odziany w mundur porucznika, zsiadł z konia, żeby pomóc Sydonu; uspokajał jej wierzchowca, delikatnie sadzał jastrzębia na jej ramieniu. Ona pochylała ku niemu głowę, złota kurtyna włosów przysłaniała jej twarz. Na ten widok mój żołądek wykonał niespodziewanego fikołka.



- Maslina z Lombelonu? - zapytałem.

- Ja go nie lubię! - oświadczyła Alais ze złością. - Wiem, Imri, co dla niego zrobiłeś. A on nie ma nawet odrobiny wdzięczności. Nawet go to nie obchodzi.

- Obchodzi - powiedziałem. Odezwało się we mnie stare poczucie

winy. Oboje byliśmy synami zdradzieckich rodziców, ale on ucierpiał bardziej niż ja, przynajmniej w kategoriach ludzkiej jurysdykcji. Na dworze jedynie to miało znaczenie. - To tylko... to, co zrobiłem, nie wystarczyło.

Alais spojrzała na mnie twardym wzrokiem.

- Och, daj spokój!

- Wiem, wiem. - Patrzyłem, jak Maslin pomaga Sydonni. - Na Eulę. Powiedz mi, że nie chce się do niej zalecać.

- Nie, niezupełnie. - Wzruszyła ramionami. - Ale ona go lubi.

- Sydonia? - zapytałem z niedowierzaniem. - Dlaczego? Alais powtórzyła gest.

- Nie wiem. Ponieważ nie jest taki jak inni. Nie przebiera w słowach ani nie mówi miłych kłamstw. Ale ja go nie lubię. Przeszywa mnie wzrokiem na wskroś i ma w oczach coś zimnego. - Skrzywiła usta. - Wiem, co widzi. Jestem za młoda. Nie jestem ładna, w przeciwieństwie do Sydonii. To nie moja wina.

- Nieprawda. - Spojrzałem na nią. Fiołkowe oczy miała szerokie i bezbronne, okolone czarnymi jak sadza rzęsami, osadzone w nieproporcjonalnej młodej twarzy jak bliźniacze klejnoty. - Ja uważam, że jesteś piękna.

Poróżowiła i spojrzała na mnie gniewnie.

- Nie kłam!

- Nie kłamię.

Uśmiechnąłem się, w jednej chwili widząc całą Alais - bystrą, impulsywną, serdeczną dziewczynkę, którą była, a także dumną i drażliwą pannę, którą się stawała. Dostrzegałem w niej rysy wad, lecz widok ten przepelniał moje serce wyłącznie czułością. Alais była młoda i brakowało jej pewności siebie, i usilnie starała się nie przejmować szeptami na dworze, nie czuć urazy do starszej siostry, której tak wiele przychodziło z łatwością. Zarazem była niezłomna i lojalna. Wykorzystanie jej wad nikomu nie przyjdzie łatwo, a ja z przyjemnością zbiję każdego, kto tylko spróbuje.

- Jesteś piękna, Alais. Nigdy nie myśl, że jest inaczej.

- Dziękuję - szepnęła.

Siedząca u moich stóp Celestra smagała ogonem jak biczem, szczerząc w psim uśmiechu pobrudzone krwią zająca zęby. Roześmiałem się.

- Widzisz, nawet Celesta się zgadza. I wszyscy wiedzą, że psy nie umieją kłamać. - Uścisnąłem rękę Alais. - Chodź, skarbie. Zobaczymy, czy zdołamy upolować następnego zająca.

Powoli i niezdarnie wsiadałem na koń, dając jej czas na otarcie łez i udając, że ich nie widzę. Bękart wyświadczył mi przysługę, zataczając krąg, zmuszając mnie do skakania na jednej nodze, aż zyskałem na tyle pewne oparcie, by wskoczyć na siodło. Gdy to zrobiłem, Alais się uśmiechała. Widziałem, że po drugiej stronie pola parę osób podśmiewa się ze mnie, ale było warto.

- Wiesz, kiedyś miałam sen, że jesteśmy bratem i siostrą - powiedziała Alais. - Naprawdę. Po przebudzeniu się żalowałam, że tak nie jest. - Urwała. - Kocham cię, Imri.

Uśmiechnąłem się do niej.

- Ja ciebie też, opryszku. Ściągnęła brwi.

- Przestań mnie tak nazywać! To głupie.

- Niech ci będzie, opryszku.

## DWADZIEŚCIA JEDEN

---

Po raz pierwszy uczestniczyłem w Zimowym Balu Maskowym.

Powtarzałem sobie, że robię to dla Eamonna, choć niezupełnie tak wyglądała prawda. Chciałem pójść. Słyszałem zbyt wiele opowieści o prze pychu i uciechach Najdłuższej Nocy. Poza tym miałem jedyną okazję by uczestniczyć w maskaradzie z przyjacielem, z jedynym prawdziwym przyjacielem.

Jeśli Joscelin poczuł się zraniony, to tego nie okazał; przypuszczam, że rozumiał. Jak zawsze miał czuć ku czci Elui, podczas gdy Ti- Filip miał pójść na bal jako strażnik Fedry. Ona sama nie kryła zadowolenia z mojego wyboru. Kiedy decyzja zapadła, pozostało nam tylko towarzyszyć jej do salonu *couturière*, Fawrieli nó Dzika Róża, żeby zaprojektować kostiumy.

Jak jest w zwyczaju, członkowie jednego domu obmyślają kostium dotyczące tego samego tematu. Fawriela rzuciła okiem na całą naszą czwórkę - Fedrę, Ti- Filipa, Eamonna i mnie - i wsparła się pod boki.

- Czego się po mnie spodziewasz, hrabino? Co niby mam zrobić z tym fantem? - zapytała cierpkim tonem.

- Przyszło mi na myśl, że możesz mieć jakiś pomysł - odparła Fedra spokojnie.

Fawriela kręciła głową i mamrotała, krążąc po wygodnie urządzonej przedpokoju swojego salonu i przypatrując się nam uważnie. Była ładną kobietą, z potarganymi miedzianozłotymi kędziorami i delikatną twarzą której uroda kłóciła się z typową dla niej miną niezadowolenia, ale prze cięż, jak mniemam, nawet wybuchowy geniusz nie może sobie wybrać doczesnej powłoki.

- Wstań - poleciła nagle Eamonnowi. Zrobił to, górując nad nią.- Na Eluę! Jak niby mam dopasować do was takiego wielkoluda?

Fedra wzruszyła ramionami.

- Czy w tym roku nie ma popularnych tematów, które by nam odpowiadały?

- Popularnych? - Fawriela obrzuciła ją jadowitym spojrzeniem. - To ja ustanawiam trendy, hrabino. Nie wzoruję się na nikim.

- Oczywiście. - Fedra schyliła głowę, skrywając uśmiech. - Wybacz mi, Fawrielo.

Ignorując jej słowa, krawcowa okrążyła Eamonna i szacowała go wzrokiem niczym nagrodzoną sztukę bydła. Eamonn stał cierpliwie, przepelniony zdumieniem. Czekaliśmy, podczas gdy ostre spojrzenie Fawrieli nó Dzika Róża skakało z niego na nas i z powrotem. Wreszcie ruchem ręki zwolniła Eamonna, po czym znów ją krążyć, przygryzając paznokieć kciuka, głęboko pogrążona w myślach.

- Mam pewien pomysł - oznajmiła w końcu. W jej głosie pobrzmiwała nieczęsta nutka niepewności. - Może się wam nie spodobać. - Potrząsnęła dzwoneczkiem i zjawił się czeladnik. - Przynieś mi teczkę Doriana.

Niebawem czeladnik wrócił z okazałą, oprawną w skórę teczką. Fawriela podała ją Fedrze, która zaczęła kartkować drzeworyty. W pewnej chwili jej dłonie znieruchomiały i spojrzała na Fawrielę.

- To skaldyjskie mity - powiedziała.

Fawriela pokiwała głową.

- Mówiłam, że może ci się nie spodobać. - Pochyliła się obok Fedry, wskazała drzeworyt przedstawiający imponujące, zwaliste bóstwo z potężnym młotem w ręce. - Donar, bóg- grzmot. Pomyślałam, że za niego mógłby się przebrać dalriadzki książę.

Eamonn spojrział nad jej ramieniem. - Podoba mi się!

- Twój kraj nie został najechany przez Skaldów - mruknął Ti- Filip.

- Nie ich bóg to rozkazał. - Fedra wstała i odeszła kawałek. - Wierz mi, wiem. - Spojrzała na Fawrielę. - Co więcej?

- Loki. - Krawcowa wskazała na Ti- Filipa, a potem na mnie. - I Bał- dur Piękny. Dla ciebie, hrabino, bogini Freja. - Odetchnęła głęboko, wypuściła powietrze przez ściągnięte wargi. - Kolor. W tym roku wszyscy będą nosić intensywne barwy, żywe kolory. Was odzież w biel szronu, lodu, śniegu. Srebrne akcenty, nic więcej.

Fedra skinęła w stronę teczki.

- Skąd to masz?

- Artystą jest Dorian nó Eglantyna. Przyjaciel. - Fawriela patrzyła na nią. - Spędził rok na podróżach po południowych rubieżach Skaldii gromadząc mity i sporządzając szkice, na podstawie których wykonywał drzeworyty. Bał się pokazać publicznie swoje dzieło.

- Wcale mu się nie dziwię - rzucił cierpko Ti- Filip. - Nie było go na polu bitwy pod Troyes- le- Mont.

Fawriela wzruszyła ramionami.

- To sztuka, kawalerze. - Zwróciła się do Fedry: - Nie zasugerowała bym tego nikomu innemu. Ale ty... ty masz prawo, zasłużyłaś. To zosta nie uszanowane jako gest pojednania i zgody. Jak mówisz, nie skaldyjscy bogowie wypowiedzieli nam wojnę.

Fedra wróciła do teczki i czubkiem palca prześledziła linie jednego drzeworytu.

- Wyraziste i mocne - mruknęła. Spojrzała na mnie. W jej oczach krył się cień, który tylko ja rozumiałem. - Jak sądzisz? Odpowiedziałem jednym słowem:

- Erich.

W zenanie Daršangi przebywał młodzieniec ze Skaldii. Nigdy się nie dowiedziałem, jak tam trafił. Nie poznaliśmy jego historii. Nikt nie znał jego mowy, a po tym, jak mahrkagir kazał go wykastrować, w ogóle przestał się odzywać i milczał do czasu przybycia Fedry. Rozpoznał ją, choć przez długi czas się do tego nie przyznał. W Skaldii snują o niej opowie ści. Wciąż pamiętam słowa, które wyrzekł w prymitywnym zenańskr. języku, gdy w końcu przerwał milczenie.

„Pokonani zawsze pamiętają”.

Erich dzielnie walczył o naszą wolność, choć sam jej nie doczekał Zachował rozsądek, gdy inni go stracili, i w ich obronie oddał życie.

Odniósł tuzin ran i płakałem, kiedy konał.

- Złożyłam obietnicę - powiedziała cicho Fedra, rozpamiętując tamto wydarzenie. - Przysięgam, że nie będę winić Skaldów za wojnę Wal mara Seliga. - Dotknęła ramienia Ti- Filipa. - Filipie, zniesiesz to jakoś?

Nie zgodzę się, jeśli to sprawi ci ból. Westchnął, wpatrując się w sufit.

- Pani, dla ciebie skoczyłbym w ogień i dobrze o tym wiesz. Jeśli zaży czysz sobie, żebym wystąpił przebrany za efezjańską tancerkę. uczynię to. Jeśli za skaldyjskie bóstwo, też to zrobię. Cokolwiek to ma być, wiem, że masz swoje powody.

Fedra pocałowała go w policzek.

- Dziękuję, Filipie.

Patrzyłem na Fawrielę w czasie ich rozmowy i zobaczyłem, że jej twarz złagodniała. Rysy stwardniały, gdy tylko spostrzegła, że to zauważyłem, a ja uśmiechnąłem się w duchu.

- Co za ludzie! - krzyknęła. - Na Elue, przecież to tylko maskarada. Czy dla was wszystko zawsze musi być kwestią życia i śmierci?

Tak więc postanowiono.

Kostiumy były przepiękne. Jakżeby inaczej? Wszak Fawriela była geniuszem. Umiała sprawić, że tkanina śpiewała jak poezja, i cokolwiek mówiła, czerpała sporą dumę z ubierania Fedry nó Delaunay de Montrève i jej domowników. W popołudnie przed Najdłuższą Nocą przysłała nawet jedną z czeladniczek, żeby asystowała nam podczas przygotowań.

Był to długi proces.

Kiedy dobiegł końca, przejrzałem się w lustrze i ujrzałem nieznajomego.

Jak zapowiedziała Fawriela, miałem na sobie wszystkie odcienie bieli. Mój kostium był najprostszy. Koszula z jedwabiu barwy kości słoniowej, otwarta pod szyją, niżej zapinana srebrnymi guzikami w kształcie jagód jemioly; do tego białe aksamitne spodnie przewiązane w pasie srebrną szarfą. Nawet moje skórzane buty były białe. Takie proste, a jednak... Czelniczka Fawricli przez całe wieki wplatała mi srebrne wstążki we włosy. Okołyły mą twarz niczym rozbłysk gwiazdy, srebro jaśniało na tle moich granatowoczarnych loków.

Baldur Piękny, skaldyjski bóg światła, zabity gałązką jemioly.

Najważniejsza okazała się maska, a w zasadzie półmaska z jedwabiu koloru kości słoniowej, modelowana na mojej twarzy. Górna część mojej twarzy wyglądała gładko i pogodnie, daleka jak oblicze boskie. Pochyliłem się, patrząc w lustro. Tak, to moje

ciemnoniebieskie oczy, moje usta, niecodziennie dojrzałe. W efekcie powstał dziwny kontrast pomiędzy żywym ciałem i nieruchomą maską bieli.

- Ładny jak z obrazka!

Podskoczyłem, słysząc głos Eamonna. Stał w drzwiach, szczerząc się do mnie spod maski zsuniętej na czoło. Miał białe buty, pelerynę z wełny o barwie kości słoniowej i długą białą kamizelkę z gronostajów, przepadną stebrnym łańcuchem. Strój eksponował jego gołe muskularne ramiona i łydki Dźwignął w rękę prymitywnie wykonany młot pokryty listkami srebra

- Wyglądasz... imponująco - powiedziałem.

- Czuję się jak skończony głupek. - Opuścił maskę. - Jesteśmy gotowi?

- Prawie, jak sędzę.

Na dole dołączył do nas Ti- Filip. Nosił wams i pludry z aksamitu w kolorze kości słoniowej, migoczące srebrnym haftem. Jak my, miał srebrną maskę, ale z wyrazem przebiegłej złośliwości. Wątpię, czy któryś z nas wyglądał jak skaldyjskie bóstwo, ale też nie przypominaliśmy siebie samych.

A potem zeszła Fedra.

- *Dagda Mor!*- szepnął Eamonn żarliwie.

Cała się skrzyła. Jej suknia, uszyta z atłasu w kolorze kości słoniowej, opinała talię i tułów niczym druga skóra, pozostawiając nagie ręce i ramiona. Naszyto na niej paciorki, które załamywały światło. Poniżej talii suknia rozdymała się i pieniała, łamiąc na schodach niczym grzebień rali W rozpuszczonych ciemnych włosach mrugały setki brylancików, pm- pominając się pełną złowionych gwiazd. Szyję otaczał misterny naszyjnik ze srebrnych ogniwek i białych klejnotów. W przeciwieństwie do nas trzech, Fedra miała małą maskę, proste białe domino, które przydawało tajemniczości oczom i nie skrywało jej piękna.

- I jak? - zapytała z uśmiechem Fedra. Eamonn ukląkł, podnosząc swój srebrny młot.

- Pani, padam do twoich stóp!

- Wyglądasz jak bogini - powiedziałem szczerze.

Ti- Filip tylko zagwizdał cicho, zerkając na Joscelina, który zszedł za nią po schodach, odziany w prosty wełniany strój.

- Na pewno nie chcesz zmienić zdania, kasjelito? Roześmiał się.

- Nie sędzę, kawalerze, by pasował na mnie twój kostium. - Joscelin odwrócił się w stronę Fedry, musnął jej włosy. Jego stalowe karwasze

zalsniły matowo. - Do zobaczenia po wschodzie słońca.

-*Joie* - szepnęła do niego.

-I wzajemnie, ukochana. - Pocałował ją wtedy. - *Joie* wam wszystka w tę Najdłuższą Noc!

Myślałem o nim podczas jazdy do pałacu. W Mieście już panowała powszechna radość. Posuwaliśmy się powoli pomiędzy świętującymi. Na każdym skrzyżowaniu ktoś przyskakiwał do powozu, oferując flaszkę czy bukłak wina. Odmawialiśmy ze śmiechem, rzucając srebrne centymy na szczęście. Gdzieś, pomyślałem, wśród tej wesołości, Joscelin zmierza spokojnie ku świątyni Elui. Podczas gdy my będziemy się bawić, on spędzi noc, klęcząc na zamarzniętej ziemi, pogrążony w modlitwie. - To też jest święte.

Słowa mnie zaskoczyły. Spojrzałem na Fedrę, krew ogrzała mi policzki, gdy przypomniałem sobie, że te same słowa padły z ust Emmeliny z Domu Melisy. - Co?

- To świętowanie. - Wskazała hulaków za oknem powozu. - Świętujemy odejście ciemności i powrót światła. To święty rytuał, stary jak sama Ziemia.

- Wiem. Po prostu myślałem o Joscelinie.

Uśmiechnęła się pod масечką.

- W głębi serca zawsze będzie sługą Kasjela. Najdłuższa Noc wiele dla niego znaczy. Wiedz tylko, że ta ścieżka jest nic mniej warta.

- I o wiele bardziej zabawna! - dodał Ti- Filip. Pokiwałem głową.

- Będę o tym pamiętać.

Gdy przybyliśmy, przestałem się trapić. Zastłyszane przeze mnie opowieści nic oddają sprawiedliwości przepychowi maskarady Najdłuższej Nocy. Każdy cal pałacu płonął światłem. Choć się nie spóźniliśmy, salę jałową już wypełniał tłum zamaskowanych uczestników balu. Fawriela trafnie przewidziała - mieliśmy przed sobą feerię barw w tonach kamieni szlachetnych, głębokich i bogatych. Utworzyliśmy surową plamę bieli, gdy weszliśmy i herold wykrzyknął nasze nazwiska. Eamonn rozglądał się, wybałuszając oczy pod maską, z marszem na czole, i gapiowato rozdziawiał usta. Trąciłem go łokciem.

- Zachowuj się jak bóg. - W odpowiedzi uniósł młot i ryknął głośno.

Niezupełnie to miałem na myśli, ale cóż. Pomyślałem o Skaldzie Erichu i parsknąłem śmiechem. Przypuszczam, że niewiele się różnią, Dalriadowie i Skaldowie. Z wysublimowanym lekceważeniem dla szeptów spojrzeń, Fedra ujęła Ti- Filipa pod ramię i ruszyła w tłum, pewna, że podążymy za nią, pewna, że inni się rozstąpią.

Podążyliśmy za nią i tłum się rozstał.

- Fedro! - Powitała nas sama królowa Ysandra. Szła w naszą stronę, za nią Sydon i a i Alais w otoczeniu członków gwardii. Królowa wystąpiła jako personifikacja lata, a jej córki były uosobieniem wiosny. Obdarzyła Fedrę powitalnym pocałunkiem. - Moja droga, kim jesteś dzisiejszej nocy?

- Freją - odparła Fedra spokojnie. - Skaldyjską boginią, Nastąpiła krótka chwila ciszy. Królowa uniosła brwi.

- A pozostali?

- Ja jestem Donarem! - huknął Eamonn, potrząsając młotem. - Bo giem grzmotu!

Ysandra zamrugała. Jej spojrzenie prześliznęło się po Eamonnie i Ti- Filipie, zatrzymało na mnie.

- A ty, księżę Imrielu?

Skłoniłem nisko głowę ciężką od srebrnych wstążek.

- Baldur, Wasza Królewska Mość. Bóg światła.

Spiąłem się, zakłopotany, ale w końcu Ysandra tylko westchnęła.

- Lubisz, moja droga, przydawać sprawom ciekawego kolorytu- powiedziała. - Nó dobrze. Niech będzie to miarą zawartego przez nas po koju. Bawcie się dobrze. Oby Najdłuższa Noc szybko minęła i po niej powróciło światło.

Wznieśliśmy toast *joie*. To cenny likwor destylowany z kwiatów, które kwitną w zapach Gór Kamaelińskich, i jego smak jest nieopisany, chłodny na podniebieniu i zarazem palący w brzuchu. Alais szeroko otworzyła oczy, gdy wypła kieliszek.

- Pierwszy raz? - zapytałem. Energicznie pokręciła głową.

- Nie, mama pozwoliła mi spróbować w ubiegłym roku, ale zapo mniałam, jak smakuje. - Roześmiała się bez tchu. - To moja pierwsza maskarada! Mogę zostać do przybycia Księcia Słońce.

- Wyglądasz prześlicznie, Wasza Wysokość - rzekł Eamonn z galanterią. - Czy zarezerwujesz dla mnie taniec?

- O tak! - Alais spąsowiła. - Dziękuję.

Czuję się zaszczycony. - Ukłonił się, puszczając do mnie oko. Eamonn nie przesadzał. Alais wyglądała prześlicznie w lawendowej sukni z pasującą do niej maseczką i w złotym wianku przybranym aże tystowymi fiołkami na czarnych kędziorach. Sydonia, w bladej zieleni pierwszych liści, stanowiła dopełnienie młodszej siostry. Stała obok niej prosta jak włócznia, z nieodgadnionym wyrazem twarzy pod niewielką ma-



ską. Za nimi krążyli wybrani gwardziści królowej - najlepsi. gdyż pełnienie służby w noc balu to wyjątkowe wyróżnienie. Nosili galowe mundury i maski domino, ale poznałem Maslina po srebrnych włosach. Podjudził mnie chochlik przekory.

- Skoro Eamonn poprosił o taniec twoją siostrę, może ty również zaszczycisz mnie tańcem? - zwróciłem się do Sydonii. Jej usta wygięły się w leciutkim uśmiechu.

- Może. Nigdy nie tańczyłam z bogiem światła. - Sydonia przyglądała mi się uważnie. - Wyglądasz jak bóg światła, kuzynie. Czy nie przyszło ci na myśl, żeby zwrócić się z prośbą o odegranie roli Księcia Słońce?

Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć, po czym ściągnąłem brwi. Przypomniałem sobie, że dawno temu inny książę krwi wystąpił w tej roli podczas świętowania Najdłuższej Nocy; Baudoin de Trevalion, centralna postać spisku, mający zastąpić Ysandrę jako następcę tronu Terre d'Ange.

W końcu został za to ścięty.

- Nie - odparłem lekkim tonem. - Wierz mi, Wasza Wysokość, nie mam takich ambicji. Powoli pokiwała głową.

- Zobaczymy.

Na szczęście pojawili się Julien i Coletta Trente i odciągnęli mnie w tłum. Przez parę minut rozmyślałem nad krótką rozmową z Sydonią, a potem o niej zapomniałem, oddając się zabawie. Wino i *joie* płynęły strumieniami, i było tyle do oglądania. Gdzie tylko spojrzeć, oko napotykało grupy fantastycznych postaci: bogowie i boginie, duchy, nimfy i demony, stwory z historii i legend, zwierzęta wszelkiego rodzaju. Maski przydawały tajemniczości uczestnikom bań. Każdy wiedział, kim są jego towarzysze, a jednak wydawali się oni dziwni i obcy, przestawszy być sobą. Z tego powodu mieliśmy wrażenie, że wszystko może się zdarzyć.

- Czekaj do północy - szepnął mi do ucha Julien.

- Co się wtedy stanie? - zapytałem.

Przeciągnął palcem po mojej szczęce.

- Prawie wszystko, co zechcesz, Wasza Wysokość. - Pokręciłem głową, a on w odpowiedzi się skrzywił. - Daj spokój, Imri! To Najdłuższa Noc. Nie musisz być taki niedotykalski.

- Czy potrzebujesz ratunku, kuzynie?

Odwróciłem się, słysząc rozbawiony głos Roszany. Miała strój i maskę z czarnego aksamitu, miniaturowy róg myśliwski na szyi i pleciony pejcz z czarnej skóry okręcony wokół nadgarstka.

- Przed nim? - zapytałem, zarzucając rękę na ramiona Julienu. - Możliwe.

- W takim razie chodź zatańczyć ze mną. - Wyciągnęła rękę.

Dobrze nam się tańczyło. Roszana poruszała się z gibką gracją, przytulając do mnie dolne partie ciała, i bez wysiłku dawała się prowadzić. Gdy ogarnęło mnie podniecenie, odsunąłem się lekko, trzymając ją z dala.

Pejcz zwisający z jej ręki kołysał się między nami. Roześmiała się gardłowo.

- Ty się mnie boisz!

- Nie. To tylko...

- Zatem tańcz ze mną. - Pod maską z czarnego aksamitu oczy Roszany były fosforyzująco błękitne, płonące wyzwaniem. Zastanawiałem się czy moje wyglądają tak samo.

- Zgoda. - Beztrąsko przyciągnąłem ją do siebie.

Po tańcu oboje oddychaliśmy ciężko. Roszana spojrzała na mnie z nowo nabytym szacunkiem.

- Wiesz, twój przyjaciel ma rację - powiedziała. - W Najdłuższą Noc wszystko może się zdarzyć. - Przekrzywiając głowę, pocałowała mnie szybko i niespodziewanie. Pomiedzy wargami poczułem jej język, smakujący *joie*. - Nie zapominaj o swojej rodzinie. - Roześmiała się i odeszła.

Stałem przez chwilę, słaniając się, zagryzając zęby w obronie przed ostrym dźgnięciem pożądania.

- Imrielu!- Ręka Eamonna opadła na moje ramię. Wyglądał na uszczęśliwionego i lekko wstawionego, z maską zsunietą na rozczochrane włosy. Gdzieś zapodziało srebrny młot Donara. - Tańczyłem z jedną z mężatek Chyba ma na mnie chrapkę. Chodź, napijemy się wina, może mi o niej opowiesz.

Odetchnąłem głęboko.

- Muszę usiąść.

Zmierzył po mnie wzrokiem od góry do dołu.

- *Dagda Mor!* Chyba rzeczywiście musisz.

Znaleźliśmy krzesła przy stole królowej, wysoko zastawionym jedze niem. W Najdłuższą Noc nie ma formalnej godziny posiłku, obfitość potraw jest uzupełniana w miarę potrzeby. Uczestnicy balu przystają żeby coś zjeść lub wypić, po czym wracają do zabawy. Przyjemnie było zażyć chwili wytchnienia. Kiedy minął ból pożądania, napełniłem talerz jednym uchem słuchając historii Eamonna.

- Czy jej mąż mnie wyzwie, jak myślisz? - zapytał.

- Co? - Spojrzałem na niego. - Kto?

- Mąż pani Osmond - wyjaśnił cierpliwie Eamonn. Jak Fionn mac Cumhaill, kiedy Diarmuid ukradł mu Grainnę; moja matka nosi po niej imię, wiesz. Ścigał go bez litości. Nie miałbym nic przeciwko temu, to znaczy przeciwko rzuceniu mi wyzwania. Ale nie chcę się z nią żenić. Spojrzałem na niego tępo.

- Nie ma obawy, Eamonie. Pani wie, co robi. Poza tym tu jest Terre d'Agne, nie Alba.

- Eire. - Westchnął. - To eirańska opowieść, Imrielu. - Po drugiej stronie sali balowej horolog wykrzyknął godzinę. Było później niż przypuszczałem. Eamonn dźwignął się na nogi. - Aha! Jestem winien taniec małej księżniczce. Lepiej się upomnieć, prawda?

- Pójdę z tobą - oznajmiłem. - Poprosiłem o taniec Sydonię. Zachichotał.

- Uważaj, żeby sobie czegoś nie odmrozić.

Eamonn i Alais stanowili nie lada widok. On był dwa razy wyższy od niej, jej drobna rączka ginęła w jego muskularnej dłoni. Trzeba mu oddać, że był delikatny i uprzejmy. Dobrze wiedząc, że jest kiepskim tancerzem, zdał się na nią i pozwolił, by subtelnie go prowadziła. Uśmiechnąłem się na ten widok, potem z uśmiechem odwróciłem się w stronę Sydonii.

- Zatańczymy, delfino? - zapytałem grzecznie, świadom spojrzenia Maslina.

Uniosła podbródek.

- Zgoda. Dlaczego nie? Choć nie brakowało jej talentu, w tańcu nie mogła się równać z Roszaną. Dłoń Sydonii była chłodna, niemal bezosobowa. Trzymała się na dystans, a ja ledwie dotykałem dłonią jej talii, formalnie i przyzwoicie. Chciałem myśleć o niej jak o siostrze, jak o Alais, jednakże nie mogłem. Byliśmy spokrewnieni, ale też sobie obcy.

- Dobrze tańczysz - przyznała niechętnie.

- Fedra mnie nauczyła. - Uśmiechnąłem się, prowadząc ją do skomplikowanego obrotu. Wykonała go z łatwością. Ciemne oczy wciąż miała czujne. - Wiesz, Sydonio, że możesz mi zaufać. Nie jestem twoim wrogiem.

Mięśnie jej szyi się poruszyły, gdy przełykała ślinę.

- Chciałabym w to wierzyć.

- Kto jest innego zdania?

Gdy patrzyłem, jej spojrzenie skoczyło w bok. Kogo szukała? Ysandry, jej matki? Maslina? Diuka Barquiela L'Envers, odzianego w akadyjskie szaty?

- Nieważne - mruknęła.

Ścisnąłem jej rękę, czując, jak przemieszczają się drobne kości.

- Dla mnie ma.

- Imrielu. - Oczy zapłonęły pod maską; uparcie nie chciała się poddać, płynąc w moich ramionach z wrodzonym wdziękiem - Sprawiasz mi ból.

Sprawiałem, dobrze o tym wiedząc, i, Eluo dopomóż, przyjemnie było zmusić ją do reakcji. Dopiero gdy muzycy przestali grać, rozluźniłem rękę, zwracając jej wolność.

- Wybacz mi - mruknąłem, kłaniając się. - Nie miałem takiego zamiaru, delfino.

Sydonia potrząsnęła ręką i spojrzała na mnie z tym doprowadzającym do szału opamięnieniem.

- Niezupełnie jesteś swoim najlepszym adwokatem, prawda, kuzynie.

Jej uwaga najpierw mnie ubodła, a potem rozśmieszyła.

- Nie - przyznałem. - Niezupełnie. Uśmiechnęła się lekko.

- Chcę cię lubić, Imrielu. Byłeś dobry dla Alais, i jestem ci za to wdzięczna. To tylko... - Wzruszyła ramionami. Wyglądała pięknie i bardzo młodo. - Nie mogę sobie pozwolić na popełnianie błędów.

Skinąłem głową.

- Wiem.

- Skąd możesz wiedzieć? - zapytała krótko.

- Słyszę szepty - odparłem. - Wiem, co mówią niektórzy wielmoże.

- Mieszaniec cruithne. - Sydonia zaśmiała się gorzko. - A potem patrz na ciebie i widzą twoją czystą d'angelinska krew, i zaczynają, się zastanawiać.

- Sydonio. - Sprowadziłem ją z parkietu do tańca. - Przysięgam ci, nie mam żadnych planów dotyczących tronu. - Pod wpływem impulsu opadłem na kolano, ujmując jej dłoń. - Sydonio de la Courcel. delfino Terre d'Angle, na imię Błogosławionego Elui składam ci przysięgę wierności. Do śmierci będę strzec twojego honoru jak własnego i chętnie oddam życie w twojej obronie.

Patrzyła na mnie z ustami rozchylonymi z zaskoczenia.

- Rozum ci odjęło? Uśmiechnąłem się do niej szeroko.

- Możliwe. Czy przyjmujesz moją przysięgę?

- No... tak. Przyjmuję. - Wyprostowała ramiona. - Przyjmuję.

- Dobrze. - Podniosłem się, ukloniłem i ucałowałem jej rękę. - Teraz idę się upić i rozkoszować Najdłuższą Nocą. Udało mi się osiągnąć oba cele.

O północy do sali balowej wszedł Herold Nocy, bijąc w brązowy dzwon. Wszyscy umilkliśmy i patrzyliśmy, jak ogromna sala pogrąża się w niemal zupełnych ciemnościach. Fedra mówiła prawdę; to starożytny rytuał, niezmienny od czasów sprzed przyjścia Elui. Wszystko polega na sztuczkach aktorów, ale w starożytnej Helladzie teatr był święty. My me zapominamy. Wraz z innymi wstrzymałem oddech, gdy wierzchołek sztucznej góry w grocie muzyków rozszczepił się, wypuszczając Królową Zimy, która kuśtykała o lasce z tarniny. Wraz z innymi krzyknąłem, gdy drzwi stanęły otworem i do sali balowej wjechał Książę Słońce w rydwanie. Wskazał złoconą włócznię na Królową Zimy i jej łańcuchy opadły, odsłaniając piękną pannę. Światło powróciło wśród skwierczenia nasączonych oliwą knotów. - Och, Imrielui! - Eamonn wydawał się oszołomiony - To takie piękne! - Tak - przyznałem cicho. - Piękne.

Potem znalazłem Fedrę i poprosiłem ją o pierwszy taniec w odrodzonym roku. Jak światło po ciemności, była niewiarygodnie piękna, świetlista niczym perła. Trzymałem ją w tańcu tak blisko, jak śmiałem, i może to z powodu *joie*, ale wydawało mi się, że płyniemy razem po polerowanym parkiecie, oboje odziani w biel kości słoniowej. Ludzie przerywali zabawy, żeby na nas patrzeć, i w moim sercu wezbrała radosna duma.

- Dziękuję - szepnąłem. - Zawsze, za wszystko.

Fedra pokręciła głową, brylanciki w jej w lokach błysnęły miriadami iskierkami światła.

- Kiedy ciemność roztrzaskała nasze życie, ty na powrót uczyniłeś je całością, Imri. Nie ma potrzeby dziękować, ani teraz, ani kiedykolwiek. - Czułym gestem dotknęła mojej jedwabnej maski. - Bądź tylko szczęśliwy. To wszystko, czego od ciebie chcę. - Jestem - wyznałem szczerze. - Dzisiejszej nocy jestem szczęśliwy.

I byłem. Piłem *joie* kieliszek po kieliszku, aż zdrętwiały mi usta i zacząłem tracić kontakt z rzeczywistością. Tańczyłem z wieloma kobietami tej nocy, ich zamaskowane twarze pływały w moim polu widzenia. Nawet nie pamiętam ostatniej, wiem tylko, że przedstawili nas sobie roześmiani Mavros z Roszaną. Musiała pochodzić z Kuszetu. Była rusałką, nimfą wodną. Pamiętam, jak pociągnęła mnie w cieniu kolumnady. W tym czasie niektóre lampy zgasły i mrok ożywiały niewyraźne ruchy kopulacji, podniecone szepty i sapnięcia miłości. Pamiętam jej usta, gorące i pożerające moje. Pamiętam, jak szarpałem jej strój, moje ręce szukały jej gładkiego ciała pod warstwami pianistego jedwabiu.

Pamiętam, jak wyłuskała mój wyprężony fallus z obcisłych spodni Baj dura, i jej twarz nade mną, rysy złagodzone z rozkoszy pod maską.

Pamiętam jej pośladki, napięte i ustępliwe pod moimi rozpalonymi palcami.

- Radość! - wydyszała. - O tak!

Przyciskając ją do kolumny, zamknąłem oczy. Pod powiekami ujrzałem zbyt wiele. Lepiej było mieć otwarte oczy, patrzeć w anonimową, zamaskowaną twarz.

- Radość - powtórzyłem, czując w lędźwiach przybór żądz, natarczywej i bezrozumnej niczym łoś płynący w górę strumienia. Wytrysnąłem z ogromną ulgą i zadrzałem. - Radość.

- Ach, Eluo! - Śmiejąc się bez tchu, moja zamaskowana towarzyszka zsunęła się ze mnie.

Stałem tam przez chwilę, patrząc na światła i hulankę, czując znajomą groźbę nadciągającej melancholii. Pomyślałem o Joscelinie, klęczącym pod zamarznętymi gwiazdami, i o beztroskiej przysiędze, którą złożyłem Sydonii. W końcu przepędziłem te myśli i wyszedłem z cieni.

## DWADZIEŚCIA DWA

---

Dni po balu maskowym pulsowały plotkami i pogłoskami. Prawdę powiedziawszy, niewiele innego było do roboty w Mieście w środku zimy. Sam stwierdziłem, że jestem coraz bardziej nią zmęczony; czując się zamknięty, pozbawiony swobody ruchów.

Gra w zaloty odzyskała wigor po ciosach, jakie wymieniono w Najdłuższą Noc, i nabierała tempa, ja jednak trzymałem się z daleka. Lubiłem kobiety, z którymi się przyjaźniłem, ale było to mdłe uczucie i delikatne. Słuchałem słów przyjaciół o rozdzierającej serce namiętności i porównywałem je z tym, co sam wiedziałem o miłości, która jest zarazem straszna, cudowna i okrutna. Nie mogłem sobie wyobrazić, by ktoś z nich przetrwało to, co znieśli Fedra i Joscelin.

Mogłem igrać z rozkoszą, ale nie z miłością.

Skoro udział w grze wydawał się nieuczciwy, gdyż moje serce nie było zaangażowane, nie grałem. Przyjemność można znaleźć wszędzie. Kiedy nie uczyłem się z

Eamonnem, chadzaliśmy często do Progu Nocy w towarzystwie chętnych najemnych z Montrève. Wizyty w Progu Nocy wciąż były modne wśród śmiałej arystokratycznej młodzieży, nas jednak witano serdeczniej niż większość innych. Obecnie zamieszkiwało tam więcej Cyganów niż kiedykolwiek, a oni nie zapomnieli, co zrobiła Fedra.

Lubiłem przebywać w Progu Nocy, podobnie jak Eamonn. Znajdowaliśmy tam szczerłość i spontaniczność, której brakowało w zmanierowanym życiu dworu. Godzinami przesiadywaliśmy w gospodzie, rozmawiając i sprzecząc się przy dzbanach wina albo kuflach piwa, otoczeni przez ludzi ze wszystkich środowisk i sfer. I sługi Naamy uprawiały swoje rzemiosło w Progu Nocy. Były mniej wyrafinowane niż adeptki Dworu Nocy, ale traktowały swoje powołanie z nie mniejszym zaangażowaniem.

Wizyty w Dworze Nocy, niestety, wykraczały poza nasze możliwości finansowe. Otrzymałem wprawdzie pieniądze z zysków, jakie przynosił) moje posiadłości, ale większa ich część miała pozostać w zarządzie powierniczym, dopóki nie osiągnę pełnoletności. Przypuszczam, że Fedra kazałaby zwiększyć moją tantiemę, gdybym poprosił, ale czułem się niezręcznie. Jej *ojciec* był synem kupca i z powodu jego lekko-myślności została sprzedana do terminu w Dworze Nocy. Prędzej obciąłbym sobie irawą rękę niż zwrócił się do niej z taką prośbą.

Co zaś się tyczy Eamonna, miał niewielkie pojęcie o wartości pieniędzy.

Handel Alby, odcięty od reszty świata przez długie stulecia, wciąż tkwił w powijkach, a Dalriadowie nie stali na czele wśród tamtejszych ludów, Eamorm przybył do Terre d'Ange z sakiewką świeżo wybitych złotych monet i, pozostawiony samemu sobie, przepuściłby je do ostatniej. Fedra zaciągnęła go na spotkanie ze swoim zarządcą, który opowiedział mu o domach bankierskich i sprytnych inwestycjach. Eamonnowi wystarczyło pieniędzy na życie, miał ich jednak za mało na luksusy Dworu Nocy.

Musieliśmy więc radzić sobie bez tego.

Choć męczyłem się w okowach zimy, bałem się nadejścia wiosny. Ale tak, jak świt wstaje po zmroku, po zimie nastawała wiosna. Śnieg stajał na przełęczach Gór Kamaelińskich. Na południu ziemia rozmarzała. Uśpione rośliny wybuchały zielenią. Skończyłem siedemnaście lat i o rok zbliżyłem się do pełnoletności. Obserwatorzy wzdłuż zachodniego wybrzeża wypatrywali okrętu flagowego cruarchy.

A Eamonn mac Grainna wachał powietrze i spoglądał ku Tyberium.

Przez wiele dni trzymałem język za zębami, aż w końcu nie wytrzymałem.

- Wolałbym, żebyś nie jechał - palnąłem prosto z mostu. Popijaliśmy wtedy w „Kogutku”. Eamonn garbił się nad stołem, Kufel ze spienionym piwem ginął w jego rękach. Zawsze wydawał się za wielki w porównaniu z otoczeniem. Jego miedziane brwi zmarszczyły się w gry. masie zakłopotania.

- Dlaczego, Imri? Wiesz, że tego pragnę.

Wbiłem wzrok w stół, śledząc rysy na podrapanym drewnie. - Będzie mi ciebie brakować, to wszystko. Co takiego może ci dać Tyberium, czego nie znajdziesz w Terre d'Ange?

- Nie wiem - odparł spokojnie. - Trafna uwaga. - Zdmuchnął pianę i pociągnął łyk piwa. - Mnie ciebie też będzie brakowało.

- To nie wystarczy - mruknąłem ponuro. Eamonn parsknął śmiechem. - Jesteśmy przyjaciółmi czy kochankami?

Wzruszyłem ramionami, drapiąc paznokciem porysowane drewno.

- Znasz odpowiedź. Jesteś dla mnie jak brat, Eamonne. - Milczałem przez chwilę. - To, co powiedziałem ci w Montrève... nigdy nikomu o tym nie mówiłem, z wyjątkiem Fedry.

- Daršanga - mruknął. Pokiwałem głową.

- Ufam ci.

- Imrielu. - Eamonn nakrył ręką moją dłoń i ją unieruchomił. - Zabio rękę to zaufanie do grobu, i ty o tym wiesz. - Szarozielone oczy miał szeroko otwarte i spoglądał na mnie z przejęciem. - Ale musisz znaleźć własną drogę w świecie, tak jak ja muszę znaleźć swoją. - Niecierpliwie potrząsnął głową, gdy zabrakło mu słów. - Twoja... twoja przyjaźń jest nieoczekiwana nym darem. Będę ją cenić wysoko, zawsze. Ale muszę to zrobić dla siebie.

Mocno chwyciłem jego rękę.

- Nie zapomnisz mnie?

- Nigdy - odparł.

Tego roku powrót Kwintyliusza Rouse do Miasta zbiegł się w czasie z przybyciem Drustana. Dziesięć dni później admirał floty królewskiej wyruszył w drogę z Eamonem. Z błogosławieństwem królowej, miał od eskortować swojego niespodziewanego dalriadzkiego syna do Tyberim.

Poszliśmy na mury, żeby ich pożegnać, Ti- Filip znał strażników miejskich pełniących wartę przy Południowej Bramie, mogłem więc wspiać się na wieżę strażniczą. Z wysokości patrzyłem, jak oddział admirała jedzie w stronę Marsilikos. Eamonn odwrócił się w siodle, machając ręką. Pokiwałem do niego i patrzyłem, jak maleją w dali. W końcu mogłem rozpoznać Eamonna tylko po lśnieniu słońca na miedzianych włosach. A potem zniknęli.

Zaczął się dla mnie ponury czas. Choć to wiedziałem, daleki byłem od pełnego zrozumienia, jak niezachwiany dobry humor Eamonna równoważył moje skłonności do popadania w posępne zamyślenie. Moi dworzcy przyjaciele irytowali mnie swoją nie-



kończącą się paplaniną. Przyjemności Progu Nocy wydawały się czerzyć bez towarzystwa Eamonna. Gdy nadszedł czas wyjazdu na wieś, byłem z tego rad.

W Montrève poczułem się trochę lepiej. Jak wcześniej, szukałem ucieczki w pracy fizycznej, pomagając w codziennych obowiązkach związanych z prowadzeniem majątku. Tego lata pracowałem równie ciężko, jak bawiłem się minionego, często od świtu do zmierzchu. Nie raz widziałem brwi unoszone ze zdziwienia, ale klan Friote przyjmował moją pomoc z dobroduszną wyrozumiałością.

Fedra się martwiła, wiem.

Po paru tygodniach wezwała mnie do swego gabinetu i popatrzyła na mnie z pełnym czułości zatroskaniem. - Nie spełniło się moje życzenie dla ciebie w Najdłuższą Noc, prawda?

- Życzenie szczęścia? - zapytałem. Skinęła głową.

- Czy jesteś nieszczęśliwy tylko dlatego, że tęsknisz za Eamonnem?

- Nie. - Wzruszyłem ramionami. - Częściowo. Ale jest coś więcej. - Wsparłem brodę na ręce, rozmyślając. - Nie wiem. Nie wiem, co ze sobą zrobić. Wszyscy inni wydają się zadowoleni ze swojego losu albo pewni swoich celów, a ja nie, w obu przypadkach. Nie z twojego powodu to niezadowolenie - zapewniłem spieszenie. - Na Eluę! Powinienem codziennie budzić się z wdzięcznością, że żyję. I tak jest, ale...

- Imri. - Fedra przerwała mi delikatnie. - Wszystko w porządku, skarbie. Nie można wymusić szczęścia.

- Czy ty byłaś szczęśliwa w tym wieku?

- Byłam. - Uśmiechnęła się. - Szczęśliwa, płytka i próżna. Na te słowa ja też się uśmiechnąłem. - Skąd wiedziałaś, czego chcesz?

- To były proste pragnienia - odparła cierpko. - Chciałam, żeby mój pan Delaunay był ze mnie dumny, i może mnie pokochał. Chciałam zrobić markę i być sławiona przez Miasto jako królowa kurtyzan. - Fedra pokręciła głową. - Co do innych rzeczy, przysły później.

- Chodzi ci o ocalenie królestwa? - zażartowałem. Zarumieniła się.

- Nigdy tego nie chciałam. To znaczy, nie miałam tego na celu. Próbowałam tylko zrobić to, co uważałam za słuszną. I jakoś zawsze potem wydawało się, że trzeba zrobić jeszcze jedną rzecz. W sumie wyszło tego więcej, niż mogłam się spodziewać. - Drobną zmarszczką utworzyła się pomiędzy jej brwiami. - To były straszne czasy, Imrieli.

- Wiem - westchnąłem. - Teraz, jak się zdaje, nie zostało nic do zrobienia.

- Chodzi ci o to, że skończyły się czasy bohaterów?

Te słowa, choć wypowiedziane łagodnym tonem, odebrałem jak drwinę i poczułem się dotknięty do żywego. Odwróciłem wzrok.

- Po prostu czasami sam sobie wydaję się... banalnie płytki.

- Więc nie wystarcza bycie dobrym? - zapytała. Pytanie mnie zaskoczyło i spojrzałem na nią ostro.

- Powinno, prawda?

Jej spojrzenie były chmurne i pełne współczucia.

- Owszem, skarbie, ale nie zawsze wystarcza. Nie martw się, twój czas nadejdzie.

Odetchnąłem głęboko.

- Czuję, że powinienem... sam nie wiem co. Może znaleźć matkę- po wiedziałem powoli. - Znaleźć ją i postawić przed obliczem sprawiedli wości. To byłby szlachetny gest. - Wyobraziłem sobie minę Sydonii. Coś takiego rozwałoby mnóstwo wątpliwości.

- Możliwe - odparła Fedra. - Musiałbyś zacząć od przeczytania jej listów.

- Dlaczego?

- Ponieważ pierwszy krok w próbie poradzenia sobie z Melisandą po lega na zrozumieniu jej. Ta prawda odnosi się do każdego, a do twojej matki w dwójnasób. Pokręciłem głową.

- Nie chcę jej rozumieć.

- W takim razie nie jesteś gotowy. Może pewnego dnia, ale na pewno nie dzisiaj. - Fedra wstała i pochyliła się, żeby pocałować mnie w czoło. - Imri, każdy ma prawo pragnąć tego, czego nawet nie umie nazwać.

- Inni tego nie robią.

- Och, robią. - Uśmiechnęła się do mnie. - Tylko o tym nie wiedzą.

W jakiś sposób ta rozmowa sprawiła, że poczułem się lepiej. Nie umiałbym nawet powiedzieć, dlaczego. To prawda, Fedra ma dar rozumienia ludzi. To z kolei przypomniało mi, co dwa lata temu powiedział Mavros. Cokolwiek odbija lustro odmierności, jasne czy ciemne, ona jest gotowa spojrzeć w nie bez strachu. Nawet w Daršandze tak wyglądała prawda, i zadrzałem na myśl, jakie odbicie siebie ujrzała w obłąkanych oczach mahrkagira. Dziwka Śmierci, tak ją nazywaliśmy.

A jednak dała nadzieję nam wszystkim, ona i Joscelin. I ocaliła nas.

Tego lata odnowiłem swoje postanowienie, że okażę się godzien ich obojga. Przystałem rozpamiętywać, starałam się być poważny i sumienny, wdzięczny za to, co mam, i świadom, ujmując słowami Fedry, że nie ma niczego złego w pragnieniu tego, czego nawet nie umiem nazwać.

Kiedy smutek zapanował w Montrève, chyba się przydałem.

Nieszczęście spadło na Katherine. Choć jeszcze nie wzięła ślubu z Gilotem, wiedli razem pełne zadowolenia życie. Zapaliła świeczkę dla Ejszet w jego intencji i poczęła dziecko. Gdy przybyliśmy, jej brzuch już zaczynał pęcznieć. Z dumą obnosiła się z niewielką wypukłością, gładząc ją z zadowoleniem i wypełniając codzienne obowiązki. Gilot promieniał.

Straciła dziecko.

Zdarza się, jak słyszałem. A jednak to było straszne. Pamiętam służki, które wybiegały z sypialni z naręczami zakrwawionych prześcieradeł, i bladą twarz Gilota z oczami otwartymi ze strachu tak szeroko, że było widać białka. Eisandzka lekarka wezwana przez Fedrę nie mogła nic zrobić. wyszła, z żalem kręcąc głową.

- Twoja pani wydobrzeje - powiedziała cicho do Gilota. - Ale dziecko, niestety, stracone.

Gilot zadrżał i się rozplakał.

Wszedłem z nim do sypialni, gdzie leżała Katherine, blada i wycieńczona. Fedra przysunęła krzesło i usiadła obok niej; bez słowa obmywała skronie córki swojego seneszala chłodną, wilgotną szmatką. Nasze oczy się spotkały, pełne współczucia.

- Moje kochanie! - Dławiąc się łzami, Gilot ukląkł przy łóżku. - Tak mi przykro!

- To nie twoja wina - wyszeptala Katherine, odwracając głowę. Taka jest natura miłości, cudowna i straszna. Nie zawsze bywa odporna na okrutne, zmienne koleje losu. Przekonałem się o tym tamtego lata, choć owej nocy nie było to takie oczywiste. W stosownym czasie, gdy uznałem, że wypada to zrobić, odciągnąłem Gilota, mamrocząc szczere wyrazy współczucia. Za cichą zgodą Joscelina kazałem odszpuntować beczułkę brandy i pozwoliłem Gilotowi się upić. Później sam poszedłem do Katherine.

- Przykro mi z powodu twojej straty - powiedziałem cicho, - Naprawdę przykro.

- Dziękuję, Imri. Zawsze byłeś dla mnie dobrym przyjacielem. - Wtuliła palce w moją dłoń. Uśmiechnęła się blado. - Jak myślisz, czy Błogosławiony Elua postanowił dać mi nauczkę?

Pokręciłem głową.

- Nie mnie to osądzać, Katherine. Czasami złe rzeczy po prostu się zdarzają.

- Zdarzyły się tobie. - Przekręciła głowę na poduszce, jej puste spojrzenie szukało moich oczu. - Och, Imrielu! Jak to przetrwałeś?

- Po jednym dniu na raz - odparłem. - Po jednej godzinie na raz, minuta po minucie. - Pogładziłem jej rękę. - I wtedy, i przez długi czas potem. Ale będzie lepiej, obiecuję.

Katherine ozdrowiała, przynajmniej na ciele. Jej serce to zupełnie inna sprawa. Po poronieniu już nic nie układało się jak dawniej pomiędzy nią i Gilotem. Dlaczego, nie umiem powiedzieć; nie jestem nawet pewien czy ona sama wiedziała. Ale choć przeproszała, odsunęła się od niego i po została daleka, mówiąc tylko, że być może zawarli związek w zbyt młodym wieku.

Co zaś się tyczy Gilota, był zraniony i zdezorientowany. Współczułem mu, nic więcej jednak nie można było zrobić. Próbował zjednać sobie Katherine czułością, lecz nie przyniosło to pożądanego skutku. Cokolwiek ich wiązało, pękło, i sama miłość nie mogła tego naprawić; nie teraz, być może nigdy.

Tej jesieni, kiedy nadeszła pora przeprowadzki do Miasta, Gilot udał się z nami.

Patrzyłem, jak żegnają się na dziedzińcu. Była to chwila pełna napięcia i smutku. Gdy ruszyliśmy w drogę, postanowiłem jechać obok Gilota oferując milczące wyrazy współczucia. Od czasu do czasu zerkałem na jego wyraźnie zarysowany profil. Cała żywa wesołość zniknęła z jego oczu. Był cichy i ponury, w każdym calu był doborowym zbrojnym, z kaszta nowymi włosami nietypowo zebranymi na karku i ciasno okręconymi rzemieniem. Pokonaliśmy kilkanaście mil, zanim się odezwał, a kiedy to uczynił, głos miał chrapliwy z bólu i bezsilnej złości.

- Nie zakochuj się, Imri - powiedział. - To tylko złamie ci serce. - Nie ma obawy - mruknąłem. - Jestem od tego daleki. Gilot wzruszył ramionami. - I dobrze.

## DWADZIEŚCIA TRZY

---

W Mieście niepokój powrócił. Nie mogłem temu zaradzić. Miałem siedemnaście lat i chciałem... czegoś. Miłości, na przekór ostrzeżeniom Gilota; przygody, na przekór temu, co wiedziałem o jej rygorach. To nie miało znaczenia. Pragnąłem, z żarliwą siłą, coś czuć. Chciałem więcej.

Przez większość czasu trzymałem niepokój w ryzach. Niekiedy wyrywał się na swobodę. Naskakiwałem wtedy na przyjaciół i wyrobiłem sobie opinię osoby o *ciętym* języku.

Raz naskoczyłem na Nicolę L'Envers y Aragon.

Wróciła na zimę do Miasta wraz ze swoim synem Raulem, który z ukontentowaniem zalecał się do kilku młodych kobiet na dworze, łącznie z Colettą Trente. Czasami Fedra widywała się z panią Nicolą. Choć o tym nie mówiła, wiedziałem. Zawsze wiedziałem. Dostrzegałem to samo, co w Daršandze - rozleniwienie, daleki pogłos brutalnej rozkoszy Pomimo prób zachowania rozsądku i dojrzałości, wciąż tego nienawidziłem.

Do spotkania, nadzwyczaj dla mnie krępującego, doszło w Salonie Harfy Ejszet, gdzie odbywała się niewielka feta na cześć drobnego dygnitarza z jednego z pańsrwmiast Caerdicci. Na znak królowej muzycy zaczęli grać i wszyscy ruszyli do pawany, w którym to tańcu partnerzy zmieniają się w myśl skomplikowanych zasad.

W końcu znalazłem się w parze z panią Nicolą.

Zmuszałem się do uprzejmego uśmiechu, gdy tańczyliśmy, i gawędziliśmy lekko o błahostkach. Będąc żoną dyplomaty, dobrze umiała prowadzić tego rodzaju rozmowy. Ale niemal widziałem ciąg myśli przesuwany się za jej oczyma. Gdy taniec dobiegł końca, zapytała z niespodziewaną szczerością:

- Niezbyt mnie lubisz, prawda?

Zesztywniałem w trakcie grzecznego ukłonu.

- Prawda - przyznałem, prostując plecy. - Niezbyt, niestety.

Nicola przypatrywała mi się uważnie. Jej twarz nie wyrażała urazy, tylko ciekawość.

- Dlaczego?

Spojrzałem na Fedre. Konwersowała z dygnitarzem z Caerdicci, jej twarz rozświetlała żywa inteligencja. Wezbrała we mnie fala miłości i gniewu.

- Powiedz mi, pani, jaki rodzaj zabawek preferujesz? - zapytałem. Bicze? Żelaza? Ostrza? - Z satysfakcją patrzyłem, jak Nicola błędnie Gdybyś wiedziała... - Na chwilę zabrakło mi słów. Z wysiłkiem wzięłem się w garść. - Gdybyś wiedziała - powtórzyłem zimno - gdybś miała jakieś pojęcie, najmniejsze pojęcie, ile wycierpiała Fedra, nie tknęłabyś jej palcem. Nie dopuściłabyś się okrutnych aktów przemocy, zwąc je miłością. - Pokręciłem głową. - Nie masz pojęcia.

Drżałem, przepełniony wielkim, słusznym gniewem. Spodziewałem się... sam nie wiem, czego. Spodziewałem się, że pani Nicola przeprosi, ucieknie w poniżeniu. Zamiast tego spojrzała na mnie z głębokim współczuciem i cicho wyrzekła trzy słowa:

- *Duzhmata, duzhùshta, duzhvarshta.*

Słowa, usłyszane w Mieście Elui, uderzyły mnie niczym pięść w brzuch.. Zgiąłem się wpół, słysząc jej głos jak gdyby z daleka. Ledwie świadom tego, co się dzieje, pozwoliłem zaprowadzić się do niskiej kanapy. Tam padłem, blady i spocony.

- Przepraszam. - Twarz Nicoli wpłynęła w moje pole widzenia, zatroskana. - Imrielu, wybacz mi.

- Wiesz - szepnąłem.

Jej ciepłe ręce rozcierały moje zimne dłonie. - Tak.

- Skąd? - zapytałem bezradnie.

W jej spojrzeniu było morze smutku, ocean smutku.

- Ponieważ mogłam znieść słuchanie. Och, Imrielu! Za skarby świata nie wejdę pomiędzy Fedrę i Joscelina, nawet nie poważylabym się próbować. Czym oni są dla siebie... - Klęcząc przede mną, Nicola wzruszyła ramionami. - Sami bogowie tak zawyrokowali. A jednak jest coś, ta jedna jedyna rzecz... Potrafię słuchać i rozumieć w sposób, w jaki on nie może. Są przez to razem silniejsi. - Milczała przez chwilę. - Czy nigdy nie czułeś potrzeby opowiedzenia komuś, co spotkało cię w tym strasznym miejscu? Komuś, komu bezgranicznie ufasz?

Myśląc o Eamonnie, pokiwałem głową.

- Zatem rozumiesz - rzekła cicho.

- Ale ty ją krzywdzisz - szepnąłem. - Robisz jej krzywdę! Pani Nicola L'Envers y Aragon spojrzała na mnie z uśmiechem.

- Nie. Jest taki punkt, w którym rozkosz i ból się mieszają. Wierz mi, nie zgrzeszyłabym przeciwko przykazaniu Elui ani nie zawiodłabym zaufania Fedry. - Dotknęła mojego policzka. Pieczęć z granatu ze znakiem Strzały Kusziela kołysała się na jej nadgarstku, muskając moją skórę. - Są też takie punkty, w których splata się przyjaźń z kochaniem. Czy badanie ich jest bolesne?

- Nie! - Skuliłem się, uchylając się przed jej dotykiem. - Proszę, nie. Przysiadła na piętach, z powagą w fiołkowych oczach, a haftowane złotem spódnice rozlały się wokół niej niczym kałuża.

- Jak sobie życzysz - powiedziała. - Tylko poznaj... - Odsunęła ręką i spojrzała na swoją pustą dłoń, przypatrując się wyrytym na niej limom.- Tylko poznaj...

- Co mam poznać?! - krzyknąłem.

- Poznaj siebie. - Nicola dotknęła środka mojego czoła koniuszkiem palca wskazującego. - To dobre miejsce, żeby zacząć, książę Imrielu.

Spróbowałem.

Tak bardzo się starałem być dobry tej zimy. Przez cały czas wszystkim, czego pragnąłem, była wolność, uwolnienie od przeszłości, uwolnienie od chwili obecnej, od bezustannej obecności straży. Moja antypatia do pani Nicoli zmaląła, zastąpiona przez sympatię i zrozumienie. Dokładałem wszelkich starań, żeby na dworze być uprzejmym i beztruskim. Usiłowałem, podejmując wielki wysiłek, być dobrym bratem dla Alais i Sydonii.

W przypadku młodszej kuzynki nawet się czułem jak brat.

W wieku trzynastu lat Alais kłula niczym ciernisty krzak. Przy niej udawałem, że nic się nie zmieniło. Czasami łagodniała i rozmawiała ze mną szczerze o swoich lękach dotyczących nierozstrzygniętej sukcesji w Albie, o długotrwałej kłótni pomiędzy jej rodzicami. Kiedy indziej Ma wybuchowa i zamknięta w sobie.

Moje relacje z Sydonią to zupełnie inna sprawa.

Eluo, dopomóż mi! Zacząłem szanować ją tego roku. Nie, to kłamstwo. Zacząłem ją podziwiać. Patrzyłem i zobaczyłem. Uczestnicząc w coraz liczniejszych dworskich wydarzeniach, dzielnie dźwigała swoje brzemie jako delfina Terre d'Ange, świadoma wszystkiego, co się z tym wiąże. Nie brakowało wokół niej intryg i spekulacji, które ignorowała z godną podziwu obojętnością. Jeśli z tego powodu wydawała się nieco chłodna i przepelniona rezerwą, wcale się nie dziwiłem. Dźwigała ciężkie brzemie.

Myślałem o mojej przysiędze.

Choć wydawało się to niemożliwe, przyrzeczenie pozostało sekretem. Nikt z wyjątkiem Sydonii nie słyszał, jak składałem je w Najdłuższą Noc. Nie powiedziałem nikomu, nawet Fedrze. Podobnie, jak się zdaje, postąpiła Sydonia. Łączyła nas wspólna tajemnica.

Czułem się przez to dziwnie, choć nie źle. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Ale niekiedy, w zatłoczonym pokoju, podchwytywałem jej spojrzenie i dostrzegałem cień uśmiechu w kąci ust. Wtedy wiedziałem, że ona też o tym myśli.

I tego roku, po raz pierwszy, moja lojalność została wystawiona na próbę.

Stało się to w Progu Nocy. Wybraliśmy się tam kilka tygodni pośrodku Zimy, nie bacząc na kęsający mróz. Jechałem w grupie przyjaciół - Bertran de Trevalion, Trentowie, Raul L'Envers y Aragon, Marguerita Gros maine - eskortowanej przez Gilota i

kilku zbrojnych, którzy służyli moim towarzyszom. Razem wzięwszy, stanowiliśmy nie tyle jaką gromadę.

Od wyjazdu Eamonna nieczęsto bywałem w „Kogutku” i ucieszyłem się przyjęciem, jakie mi zgotowano. Tam zawsze są Cyganie, a ja, jak przybrany syn Fedry, zawsze byłem wśród nich mile widziany. Czy ich znałem, czy nie, oni znali mnie. Zнали historię. I pod pewnymi względami wśród nich czułem się lepiej niż na dworze.

-Perła *gadjo!* - krzyknął jakiś Cygan, szczerząc zęby w uśmiechu. Zrzucił rękę na moje ramiona. - My, Cyganie, ocaliliśmy ci życie, prawda *chavo?*

-Zgadza się - przyznałem, ignorując zaskoczone spojrzenia moich towarzyszy z dworu. Skinąłem na szynkarza. - Stawiam kolejkę Cyganom

Krzyknęli na wiwat, a ja się roześmiałem.

-Oszalałeś, Imrieliu? - zapytał cicho Bertran.

-Ani trochę - odparłem wesoło. —To prawda, ocalili mi życie. Gdyby nie oni, byłbym niewolnikiem w Drudżanie. Martwym niewolnikiem.

Obrzucił mnie zatroskanym spojrzeniem.

-Nie powinieneś publicznie mówić takich rzeczy.

-Dlaczego nie? - zdumiałem się. - Przecież to prawda.

-Jużci! - Mój cygański kompan potrzęsnał mną po przyjacielsku A gdyby nie twoja *gajdo* przybrana matka, syn Anasztazji siedziałby w więzieniu! - Puścił mnie i wyciągnął rękę, ciemną i żyłastą. - Jestem Wiktor.

Mocno uściskałem wyciągniętą dłoń.

- Imriel.

Przez chwilę myślałem, że poufałość z Cyganami poróżni mnie z przyjaciółmi, ale Julien Trente krzyknął z entuzjazmem:

- Zatem niech będzie! Postawię kolejkę Cyganom!

Później wszystko potoczyło się dobrze. Dwóch skrzypków zagrało od ucha, wszyscy się przemieszali i popijali razem. Jakby za sprawą czarów - albo, co bardziej prawdopodobne, dzięki dobrze zorganizowanej sieci posłańców - do karczmy przybyli inni, łącznie z kilkorgiem sług Naamy. Była wśród nich śliczna dziewczyna, którą znałem, o imieniu Helen. Zaszepotałem jej do ucha, wskazując Gilota. Miał oszołomioną minę, gdy prowadziła go do pokoju na tyłach. Ukryłem uśmiech w kuflu piwa, nie żałując pieniędzy wydanych na zapłatę za usługę.



Wyszliśmy późno i księżyc stał wysoko na niebie, mały i odległy. Tłoczyliśmy się w mroźnym powietrzu, ze śmiechem rozprawiając o nocnej przygodzie, czekając, aż chłopcy stajenni przyprawdzą nasze wierzchowce. Trentowie, którzy przyjechali po wozem, podnieśli trochę krzyku o wystrzępiony pas upręży. Poświęcałem temu wszystkiemu niewiele uwagi. Wiktor i dwóch innych Cyganów podziwiał Bękartą, omawiając jego rodowód w cygańskim dialekcie. Przysłuchiwałem się, próbując zrozumieć słowa, gdy kiedyś ktoś wychynął z cieni.

- Książę Imrielu.

- Tak? - Zmarszczyłem brwi. Był to mężczyzna, nieznajomy mężczyzna. Dolną część twarzy miał przysłoniętą grubym szalem, który tłumił głos, i nosił wiejską wełnianą czapkę naciągniętą głęboko na czoło.

- Masz przyjaciół w parlamencie. - Jego oczy lśniły w ocienionej twarzy. - Szczerogo serca i czystej krwi.

Moje dotychczasowe poczucie koleżeństwa i ciepła przepadło bez śladu.

- Kim jesteś?

- Nikim. - Zaczął się cofać. - Nikim.

- Czekaj, stój. - Ruszyłem, żeby go zatrzymać. - Stój! Wierzchowiec Bertrana obrócił się nagle, zagradzając mi drogę. Bertran patrzył na mnie z niedowierzaniem. - Co ten jegomość ci powiedział? - zapytał.

Tajemniczy posłaniec zniknął w ciemnym zaułku za rogiem „Kogutka”.

- Stój! - krzyknąłem, pchając koński zad. - Do licha, Bertranie, pomóż mi go złapać albo usuń się z drogi!

Próbowałem zrobić jedno i drugie naraz. Prześliznąłem się obok niego i omal nie zostałem stratowany. Pchnięty przez konia, przewróciłem się i wtuliłem głowę w ramiona, próbując uniknąć bijących w ziemię kopyt. Słyszałem przekleństwa Bertrana, krzyki rozsierzonego Gilota, i brzęk dobywanego miecza.

- Gilot! - wskazałem zaułek. - Tamtędy!

Zbrojnym Montrève nie trzeba powtarzać poleceń dwa razy. Gilot rzucił się na łeb, na szyję, choć buty ślizgały mu się na oblodzonych kocich łbach, i zniknął w zaułku. Poderwałem się i poczułem na ramieniu

dłoń Bertrana.

- Co ci powiedział? - powtórzył.

- Później. - Strząsnąłem jego rękę i pognałem za Gilotem, Poza zasięgiem nikłych świateł ulicy znalazłem się w ciemnościach

gęstych niczym smoła. Zwolniłem po dwudziestu krokach, a niedługo później się zatrzymałem. Zamknąłem oczy, nasłuchując. Słyszałem kroki i czyjś oddech.

- Gilot?

- Tak - odparł z wyraźnym niezadowoleniem w głosie. - Uciekł, Imri

Bertran pojawił się w wylocie uliczki z płonąca pochodnią.

- Udało się?

- Nie - odparłem. - Możesz przynieść to tutaj?

W świetle pochodni stało się jasne, że zaułek jest za wąski, żeby Bertran mógł podejść konno. Zsiadł i podszedł do nas. Na próżno szukałam uciekiniera, idąc z pochodnią, która budziła chwiejne cienie na ścianach stłoczonych zabudowali Progu Nocy Mroczne uliczki rozwidlały się bez końca. Było tu zbyt wiele dróg ucieczki, które mógł wybrać posłaniec i wszystkie były ciche i puste.

- Chodź. - Gilot zacisnął rękę na moim ramieniu. - Wracajmy, inni pewnie już zamarzają.

Kilkanaście kroków od wylotu zaułka Bertran wskazał na ziemię.

- Co to?

Schyliłem się i podniosłem znalezisko.

- Jego czapka. Miał ją na głowie.

- Pokaż. - Bertran wyciągnął rękę.

Podąłem mu czapkę. Obejrzał ją ze ściągniętymi brwiami, potem zarżał do środka. Zobaczyłem, że zaciska usta.

- Co tam jest? - zapytałem.

- Trzymaj. - Podał pochodnię Gilotowi, który wziął ją bez słowa. Patrzyłem, jak Bertran rozwija skrawek pergaminu zaszyty we wnętrzu czapki. Widniały na nim wypisane słowa. Gdy czytał je w milczeniu odniosłem wrażenie, że krew zamarza mi w żyłach.

- Bertranie, proszę - powiedziałem.

Spojrzał na mnie oczyma pociemniałymi z podejrzliwości. - Przeczytaj.

Wziąłem od niego pergamin i zmrużyłem oczy, patrząc na niebieski inkaust.

- „Fontanna delfinów, zachód słońca, za dwa dni” - przeczytałem na głos - Bertranie, nie mam pojęcia, co to znaczy. Przysięgam ci, nie wiem, kim był ten człowiek ani o czym mówił.

- Przyjaciele - rzekł cicho. - Szcerego serca i czystej krwi. Nie rób ze nie głupca, Imrielu. Książę Imrielu.

To było jak koszmar na jawie. Potrząsnąłem głową.

- Nie. Znasz mnie. Na Eluę, Bertranie! Nie chcę tronu. Nie chcę posiadłości, które mam! Czy kiedykolwiek dałem ci powód, żebyś mógł we mnie zwątpić? - zapytałem. - Jakikolwiek powód?

- Nie. - Światło pochodni czyniło maskę z jego twarzy, dziwną i obcą, - Ale twoja marka prowadziła długą grę, prawda? Tak zawsze mówiła moja matka. - Widziałem, jak napina się mięsień jego szczęki. - Melisanda Szachrizaj zniszczyła też mojego dziadka, Percy'go de Somerville, który kiedyś był bohaterem. Mój ojciec wyrzekł się nazwiska, żeby uwolnić się od plamy jej zdrady. - Zaśmiał się gorzko. - Wyobraź sobie tylko!

Baudoin de Trevalion został stracony za zdradę, a mimo to smród, który przyłgnął do nazwiska Trevalion, był mniej odrażający niż odór rodu Somerville po tym, co uczyniła twoja matka.

- Wiem - przyznałem cicho. - I przykro mi. Ale nie jestem synem mojej matki.

- Módl się, żeby tak było. - Bertran popatrzył na mnie twardo. - Módl się o to, Imri! Ponieważ prędzej położę cię trupem niż pozwolę ci pójść w jej ślady.

- Panie de Trevalion! - interweniował Gilot głosem zimnym i zdecydowanym. - Czy godzisz w honor domu Montrève? - Przełożył pochodnię do lewej ręki, prawą kładąc na rękojeści miecza. - Jeśli tak, bądź łaskaw za to odpowiedzieć.

- Dość! - Wszedłem pomiędzy nich. - Gilocie, zachowaj spokój. To niedorzeczne. Bertranie... - Rozłożyłem ręce. - Bez względu na to, co się dzieje, ja nie biorę w tym żadnego udziału. Jutro z samego rana zdam sprawę królowej.

Wyraz jego twarzy nie zmienił się. - Daj mi list, sam to zrobię.

- Doskonale. - Podałem mu pergamin. - Weź.

Wziął go bez komentarza i wróciliśmy do „Kogutka”. Nasi towarzysze czekali, trzęsąc się z zimna i podniecenia, przytupując i otulając się pele rynami. Wszyscy byli ciekawi, co się wydarzyło.

- Czy to był rzezimieszek? - zapytał Julien. - Złapaliście go? Bertran zmierzył mnie wzrokiem.

-Nie i nie. - Odetchnąłem głęboko. - To nic takiego. Nie mam pojęcia, kto to był. Próbował dać do zrozumienia, że jestem zamieszany w jakąś intrygę, to wszystko.

-To dobrze! - rzucił Julien ochoczo. - A jesteś?

-Nie! - Niemal wyplułem to słowo. Westchnąłem, biorąc wodze Bę karta od chłopca stajennego, który wybałuszał oczy ze zdumienia.- Chodźmy. Już późno. Usłyszycie o wszystkim jutro rano.

Ruszyliśmy do domu, po drodze rozstając się z przyjaciółmi. Gilot i ja samotnie przejechaliśmy kilka ostatnich przecznic. Milczałem tak długo jak tylko mogłem wytrzymać, i w końcu się odezwałem.

- Mówię prawdę, wiesz.

Oczywiście! - Popatrzył na mnie, zaskoczony. - Imri, znam cię, od kąd miałeś trzy-  
naście lat. Ani przez chwilę w to nie wątpiłem.

Zalała mnie fala wdzięczności.

- Dziękuję.

Gilot pokręcił głową.

- Nie trzeba. - Uśmiechnął się do mnie. - Jeśli już, to może ja powi nieniem podzię-  
kować tobie, Wasza Wysokość. Helen jest precudna.

Uśmiechnąłem się.

-Niemal zapomniałem. Wydaje się, że było to wiele dni temu,

-Tak. - Jego twarz spoważniała, gdy wjechaliśmy na dziedziniec rezy dencji. - O co-  
kolwiek chodzi, nie jest to nic dobrego. Myślę, że będzie lepiej, jeśli zbudzisz jaśnie  
panią i wszystko jej opowiesz.

- Taki mam zamiar - odparłem.

Zbudziliśmy domowników i odbyliśmy naradę w salonie. Wszyscy siedzieli albo  
stali, mrugając i tłumiąc ziewnięcia. Fedra słuchała bez przerywania, lekkie rozkoja-  
rzenie po śnie szybko ustąpiło głębokiemu skupieniu.

- Co możesz powiedzieć o tym człowieku? - zapytała, gdy skończyłem relację.

Wzruszyłem ramionami, czując się głupio i bezradnie.

- Niewiele widziałem. Wiem, lepiej mnie wyszkoliłaś, ale to było jak tamtym skry-  
tobójcą w Niniwie. Nie spodziewałem się czegoś takiego, nie zdążyłem zebrać myśli.

- Nic nie szkodzi - zapewniła łagodnym tonem. - Nie śpiesz się i powiedz mi, co pa-  
miętasz.

Zamknąłem oczy, słysząc w pamięci jego stłumiony głos.

- Był młody. Starszy ode mnie, ale młody. I znał Próg Nocy, choć nie urodził się w Mieście. Mówił z prowincjonalnym akcentem, może namareńskim. - Zastanowiłem się nad tym. - Tak, z Namarry. Mówił podobnie jak mistrz serowar w Heuze.

- Dobrze - pochwaliła Fedra. - Jakiego był wzrostu? Otworzyłem oczy, uniosłem rękę trzy palce nad brodę. - Niezbyt wysoki. Sięgał mi mniej więcej dotąd. Szczupły i szybki. - Wiedział, co robi - dodał Gilot. - Zniknął jak królik w norze. - Miał szczęście - rzekł ponuro Joscelin. Miał naprawdę rozjuszoną minę. Po raz pierwszy od lat za-  
drzałem lekko na jego widok.

- Nie szczęście - poprawiła Fedra. - Akcja została starannie zaplanowana. Ale dla-  
czego? - Krążyła po salonie, w zamyśleniu ściągając brwi. - Imri, czy mogłeś powie-  
dzieć albo zrobić coś, co dałoby komuś powody wierzyć, że przyjmiesz taką propozy-  
cję? Cokolwiek?

Jej słowa były dla mnie nieoczekiwanym ciosem.

- Jak możesz pytać? - mruknąłem z rozgoryczeniem. - Nie, za skarby świata! Jak  
możesz tak myśleć? Jak możesz dopuszczać taką możliwość?

- Imrielu. - Dotknęła mojej ręki. - Ja nie, ale ludzie słyszą to, co chcą słyszeć, i bez-  
troski żart może być wzięty na poważnie.

Zdołałem ochłonąć na tyle, że odzyskałem jasność myśli.

- Nie - odparłem. - Nie żartuję na takie tematy. Tylko... - Urwa-  
łem, - Zeszłego roku na maskaradzie Środka Zimy, kiedy wystąpiłem jako Baldur.... ponieważ to bóg  
światła, Sydonia zapytała, czy nie przy-  
szło mi na myśl ubiegać się o rolę Księcia Słońce.

- Jak Baudouin deTrealion - dodała Fedra cicho.

Skinąłem głową.

- Ktoś mógł to uznać za znak.

Miała taką minę, jakby zrobiło się jej niedobrze. - Nigdy o tym nie myślałam.

- Ani ja. - Wyprostowałem ramiona. - Ale to wszystko. Nie ma niczego innego.

- Zatem dlaczego? - zastanawiała się Fedra. - Dlaczego teraz?

- Bo na wiosnę Imriel skończy osiemnaście lat i osiągnie pełnolet ność - podsunął  
Joscelin. - A w parlamencie nie brakuje członków którzy wpadają w czarną rozpacz na  
myśl o półkrwi następczyni d'angelińskiego tronu, gdy w Albie pełnokrwisty siostrze-  
niec Drustana ma duże widoki na sukcesję bez jednego D'Angelina w polu widzenia.  
Wymienili spojżenia.

- Możliwe - rzekła powoli Fedra. - A może chodzi o coś zupełnie innego.

Joscelin uniósł brwi.

- O czym myślisz? Pokręciła głową.

- Jeszcze o niczym. - Skupiła na mnie spojrzenie ciemnych oczu, nie wiarygodnie głębokich i czystych, wyjąwszy szkarłatną cętkę. - Idź do łóżka, skarbie. Tej nocy nie mamy nic do zrobienia. Rankiem porozmawiamy z królową.

## DWADZIEŚCIA CZTERY

---

Moja sytuacja na dworze zmieniła się z dnia na dzień.

Nie za sprawą Ysandry. Trzeba jej oddać, że wysłuchała mnie z całk witym spokojem. Na pozór jej poparcie pozostało niezachwiane. Ale był tam Bertran, z cieniem podejrzliwości w oczach, z obciążającym listem w ręce.

Powiedział jej, że to on znalazł czapkę, nie ja. Powiedział jej, że spartaczyłem pościg za posłańcem.

- Dajże spokój! - krzyknąłem z odrazą. - Przecież to ty zagroziłeś mi drogę. I z tego, co mi wiadomo, sam mogłeś podrzucić ten list. Strasznie ci spieszo, Bertranie, oskarżyć mnie o najgorsze. Nastroszył się.

- Nie pochyliłem się, żeby podnieść...

Ysandra uniosła rękę, nakazując milczenie, i obaj posłuchaliśmy skarceni. Spojrzała posepnie na Fedrę.

- Co myślisz?

- Jeszcze nie wiem - odparła. - Ale chyba pora zacząć zadawać po ważne pytania, czy ktoś przypadkiem nie słyszał, by jacyś członkowie parlamentu używali sformułowania „szczerego serca i czystej krwi.”

Królowa uniosła brwi.

- Jawne śledztwo? Z pewnością możemy zyskać więcej, jeśli nie odsłonimy kart. Fedra popatrzyła na Bertrana.

- Ilu osobom opowiedziałeś o tym nocnym zdarzeniu, panie? Jego twarz zrobiła się czerwona jak cegła. - Tylko tym, którzy tam byli!

- Wystarczy - rzekła Fedra uprzejmie. - Wyobrażam sobie, że wieczorem będzie wiedział cały dwór.

- Na Eluę! - Zacisnąłem pięści. - Ale ze mnie idiota. Powinienem zaszyć sobie usta. - Wskazałem na Bertrana. - Powinienem zaszyć je tobie!

- Chciałbyś! - Spiorunował mnie wzrokiem. - Słuchaj, widziałem, co widziałem.

Ysandra westchnęła.

- Czy przytoczyłeś swoim towarzyszom treść listu? Bertran, zawstydzony, pokiwał głową.

- W drodze do domu - wymamrotał.

- Wielkie dzięki, Bertranie - rzuciłem sardonicznie. - Nie ma co, lojalny z ciebie przyjaciel. Jego rumieńce pociemniały.

- Jestem człowiekiem wiernym Koronie, oto, kim jestem! Doskonale wiesz, jak to jest, Imrielu. Zrobię wszystko, żeby na nazwisko Trevalion nie padł cień podejrzenia.

- Ambicja godna pochwały, młody panie de Trevalion - rzekła chłodno królowa. - Ale nie zaszkodziłaby odrobina przezorności. - Skinęła dłonią na Diderota Duvala, kapitana straży przybocznej. - Panie Duval, niech twoi ludzie znajdą towarzyszy pana de Trevalion, zanim zdążą rozpuścić języki, i niech nakażą im zachowanie milczenia. Będziemy działać po cichu i jutrzejszego ranka postawimy tajną wartę przy fontannie delfinów na Placu Elui. - Spojrzała na mnie. - Kuzynie, czy jesteś skłonny stawić się na to rzekome spotkanie?

- Tak- odparłem. - Oczywiście, Wasza Królewska Mość.

- Dobrze. - Przez chwilę Ysandra wyglądała na niezwykle znużoną - jeśli nic nie wyniknie - zwróciła się do Fedry - zarządzę jawne dochodzenie.

Fedra skłoniła głowę.

- Pani.

Nazajutrz krótko przed zachodem słońca udałem się na Plac Elui. Wszystko zostało omówione z kapitanem Duvałem. Pośrodku placu roś nie wielki dąb, podobno zaszczepiony przez samego Błogosławionego Elię, a pod nim biją cztery fontanny. W ciepłe miesiące to popularne miejsce spotkań przyjaciół i kochanków, ale zimą fontanny są suche. Po placu kręciło się tylko kilku odpornych na mróz osobników.

Gilot, który towarzyszył mi dla zachowania pozorów, odszedł kawałek dalej i przykucnął, żeby zagrać w kości z dwoma obibokami: członkami gwardii królewskiej w przebraniu.

Usiadłem na ławce pod nagimi konarami dębu, przyglądając się fontannie z delfinami. Są ich cztery, wygięte w łuk, tańczące na ogonach wśród marmurowych fal. Latem strugi wody tryskają z ich uśmiechniętych pysków.

Widziałem delfiny w zatoce Amilkaru. Pamiętam, jak pomykały przez burtach statku, wyrzucając fontanny wody w powietrze. Pokazał mi je Fadil Chouma, menechetański handlarz niewolników, gdy stałem obok niego na pokładzie, przerażony i chory, wciąż oszołomiony po podawanym mi wcześniej opium.

Teraz też się bałem.

Nikt się nie zjawił. Czekaliśmy do zmierzchu. Przez długi czas siedziałem bez ruchu na ławce. Gdy przyszedł po mnie kapitan Duval ze swoimi

ludźmi, ział zdążył głęboko wniknąć w moje kości.

- Idź do domu, Wasza Wysokość - polecił kapitan niemal życzliwym tonem. Niemal, nie całkiem. - Królowa dziękuje ci za wykonanie zadania.

Spojrzałem na niego.

- Nie prosiłem się o nie - szepnąłem. Zawahał się.

- Oczywiście, że nie.

- Odsunąć się. - Głos Joscelina był czysty i ostry niczym krawędź miecza. - Ja go zabiorę.

Kapitan odstał po chwili, ruchem ręki każąc swoim ludziom uczynić to samo. Mógłbym zapłakać na widok Joscelina, na widok jego twarzy wściekłej i czulej zarazem. Trzymał w ręce gruby wełniany koc, wytarta rękojeść miecza sterczała nad jego ramieniem, rysując się na tle rozgwieź

dzonego nieba. Owinął mnie kocem.

- Chodź, skarbie - powiedział. - Idziemy do domu.

Plotka zabija.



Przekonałem się o tym tej zimy. Śledztwo królowej niczego nie ujawniło. Jeśli istnieli spiskowcy mający na celu zwerbowanie mojej osoby to działali w naprawdę głębokiej konspiracji. Kilku wielmożów znalazło się w kłopotach, gdyż musieli się przyznać do wywrotowych komentarzy. Wszyscy jednak zarzekli się, że nie podjęli żadnych wrogich działań.

Nikt sobie nie przypominał, by kiedykolwiek słyszał zwrot „szczerego serca i czystej krwi”.

Mimo to otarłem się o brudy i przyłgnęła do mnie plama podejrzania. Przyjaciele, niegdysiejsi przyjaciele, patrzyli na mnie koso i czułem bijący od nich chłód. Moje relacje z Bertranem przepęłniała gorycz granicząca z jawną wrogością. Tylko bezustannie okazywane poparcie królowej uroniło mnie przed ostracyzmem na dworze. Nawet wsparcie Fedry i Joscelina uważano za podejrzaną. Chociaż ich kochano, nie brakowało poszeptów, że są naiwni i zbyt dobroduszni, by zrozumieć, że wyhodowali żmiję na własnym łonie.

To bolało.

I to bardziej niż przypuszczałem. Kiedy zniknęła moja matka, byłem przygotowany na wrogość. Ale to... to było nieoczekiwane. Było niesprawiedliwe. Wszak nie zrobiłem nic złego.

Ku mojemu zaskoczeniu Szachrizaj opowiedzieli się po mojej stronie.

- Należysz do rodziny, Imrielu - oznajmił Mavros z cierpką nutą w głosie. - W końcu znieśliśmy gorsze rzeczy.

Alais też stanęła przy mnie. Jeśli na świecie istniało coś, czego nie lubiła, to mówienia jej, co ma myśleć. Młyn plotek tylko umocnił ją w przyjaźni do mnie i byłem jej za to wdzięczny bardziej, niż mógłbym wyrazić.

- Co sądzi o tym Fedra? - zapytała mnie pewnego dnia. - Co naprawdę myśli?

- Nie wiem - wyznałem. - Milczy jak zaklęta. - Coś podejrzewa - oznajmiła z przekonaniem Alais. - Możliwe. - Wzruszyłem ramionami. - Niestety, nie wiem co. - Zmieniłem temat: - Co się dzieje w Albie? Alais odwróciła wzrok.

- Księżę Talorcan przybywa tego lata.

- Następcą Drustana? - zapytałem, nie kryjąc zaskoczenia. Uśmiechnęła się z goryczą, która przeczyła jej młodemu wiekowi, Miała ledwie trzynaście wiosen.

- Nie mianował go formalnie. - Siedzieliśmy razem w jej apartamentach, rozmawiając po cichu, żeby nasze słowa nie dotarły do uszu służ. Przypuszczam, że ojciec mnie zapyta, kiedy się poznamy.

- Zapyta? - Nie zrozumiałem, o co jej chodzi.

- Czy zgodzę się na zaręczyny. - Objęła kolana rękami. - Uważa, że to jedyny sposób. Cullach Gorrym grożą rewoltą, jeśli zerwie z tradycją.

- No tak, zawsze wiedzieliśmy, że może do tego dojść. Co zrobisz? Alais wzruszyła ramionami.

- Spotkam się z nim, zobaczę. Zresztą, to będą tylko zaręczyny, pobierzemy się najwcześniej za kilka lat. - Uśmiechnęła się, tym razem tęsknie. - Może jest sympatyczny, jak Eamonn. Czyż nie byłoby miło gdyby się okazał podobny do Eamonna?

- Eamonn! - Roześmiałem się. - Więc ktoś taki jak on jest twoim wymarzonym oblubieńcem?

- Tak! - Oczy jej rozbliły. - Jest dobry i zabawny, i...

- Wysoki? - podsunąłem. Spojrzała na mnie wilkiem.

- Nie bądź niemądry. A kogo według ciebie miałabym poślubić? Jakieś urodziwe d'angelinskiego paniątko o gładkim języku? Szczerego serca i czystej krwi? - dodała uszczypliwie. Skrzywiłem się.

- Nie, oczywiście, że nie.

- Lubię Eamonna.

- Ja też, oprysku - powiedziałem łagodnie. - Bardzo mi go brakuje. - Poglądziłem kędzior jej niesfornych włosów. - Szczerze mówiąc, masz rację. Nie przychodzi mi na myśl nikt inny, kogo chciałbym zobaczyć w roli twego męża, gdy nadejdzie ku temu pora. Ale obawiam się, że królestwo Dalriadów stanowi ledwie kawałeczek Alby, a Eamonn, młodszy syn, ma w nim niewielki udział. Możesz postawić sobie za cel małżeństwo z miło ści, ale nie licz, że królowa albo twój ojciec pomogą ci je skojarzyć.

- Wiem. - Alais westchnęła tak głęboko, że oddech uniósł czarne kę dziory na jej czole. - W zasadzie nie byłby to mariaż z miłości, prawda? Dla niego jestem tylko dzieckiem. Pojechał do Tyberium, nie oglądając się za siebie. - Ściągnęła brwi. - Szkoda, że nie jestem starsza.

- Ja też chciałbym być starszy.

- Ty nie masz powodu do narzekania. Jesteś prawie pełnoletni - zana czyła cierpko. - I przestań mnie tak nazywać. Cała Alais.

I była też Sydonia.

Na swój sposób też stanęła przy mnie. Minął ponad rok, odkąd impulsywnie złożyłem jej przysięgę, a jednak w czasie tej ciężkiej próby żadne z nas nie przypomniało o niej słowem. Podchodziliśmy do siebie z coraz większą kurtuazją i szacunkiem. Nasze relacje były dziwne, pełne dystansu i oficjalne, zbudowane na wspólnej tajemnicy.

Dlaczego żadne z nas nie poruszyło tego tematu?

Nie znam przyczyny, mogę tylko powiedzieć, że dane przeze mnie słowo niczego nie dowodziło. Przysięgę można złamać. Nawet Joscelin, którego ubóstwiałem, nie dotrzymał większości kasjelickich ślubów. Z pewnością moi krytycy powołaliby się na ten przykład. Co miałbym w odpowiedzi? Słowo mojej matki, diament zawieszony na wystrzępionej aksamitce. List brzmiący: „Dotrzymuję słowa”.

Możliwe, że napisała prawdę, lecz nie sądzę, by wywołało to pozytywny oddźwięk na dworze. I być może Sydonia też wiedziała, że moje słowo o niczym nie świadczy.

Tej wiosny skończyła szesnaście lat i zyskała prawo do gry w zaloty. Jej urodziny wypadają kilka tygodni przed moimi. Królowa wydała z tej okazji uroczyste przyjęcie. Trzymałem się na uboczu, patrząc, jak zalotnicy prześcigają się w zabieganiu o względy Sydonii. Należał do nich Bertran de Trevalion, co było drugim powodem mojej rezerwy.

- Widziałeś, jak łowi się rekiny? - mruknął mi Mavros do ucha.

Pokręciłem głową.

Zacisnął rękę na moim ramieniu.

- Ogarnia je szaleństwo, gdy tylko poczują krew w wodzie. Niemal szkoda mi tej dziewczyny.

- Mnie nie - wtrąciła Roszana. - Spójrz na nią! Da sobie radę bez niczyjej pomocy

W istocie tak było. Sydonia odnosiła się z oziębłą uprzejmością do wszystkich kawalerów, żadnego nie zachęcając. Tu nie groził wybuch szału. Oczywiście, w grę wchodziły inne czynniki. Sydonii towarzyszyła Amaranta z Namarry, mianowana jedną z jej dam dworu. Jej matka Berengera przewodziła zakonowi Naamy i przypuszczałem, że Amarantę ściągnięto po to, żeby wtajemniczyła Sydonię w arkana sztuki Naamy.

I był tam Maslin de Lombelon.

Znienawidziłem go tej wiosny To ironia, bo przecież kiedyś tak bardzo mi zależało, żeby mnie polubił. Ale na dworze doszło do rozłamu, a my znaleźliśmy się po przeciwnych stronach barykady. Jak Bertran, on też miał powody, żeby się wzdrygać na sam zapach zdrady, i nie robił tajemnicy ze swojej podejrzliwości. Jak Bertran, był zainteresowany Sydonią. Choć nie deklarował tego otwarcie, musiałbym być ślepu, żeby tego nie dostrzec. Zainteresowanie Maslina, jak sądzę, wynikało nie tylko z ambicji politycznych.

Zrozumiałem to na polowaniu.

Nie pojechałbym, gdyby Alais mnie nie ubłagała. W czasie ostatniej wizyty Drustan przywiózł jej piktyjski łuk - kobiety Cruithne są wspaniałymi łuczniczkami - i Alais ćwiczyła z zapalem, ale to miała być pierwszą okazją wypróbowania ręki i oka w strzelaniu do zwierzyny.

Wyruszyliśmy jednego z tych nieczęstych dni wiosny, kiedy wszystko wydaje się pogodzone ze światem. Eskortowali mnie Gilot, Hugues i Ti- - Filip. W ich towarzystwie, jadąc u boku Alais, zapomniałem o wszelkich przykrościach. Większość moich dawnych przyjaciół skupiała się wokół Sydonii. Było ich tak wielu, że nawet nie mogłem zobaczyć Maslina, który zajmował swoje zwykłe miejsce jako samozwańczy osobisty kapitan jej straży.

Hugues śpiewał głośno, gdy jechaliśmy do lasu Królowej, jego głos niósł się dźwięcznie w jasnym powietrzu. Na prośbę Ti- Filipa wydekla mował kilka własnych wierszy. Puściłem oko do Alais, która schyliła głowę, żeby ukryć uśmiech. Hugues śpiewał pięknie, ale był okropnym poetą.

W każdym razie, humor mi dopisywał, gdy dotarliśmy do lasu.

Las Królowej jest niewielki, ale stary i stateczny zarezerwowany dla łowców wieckich rozrywek rodziny królewskiej. Poluje się tam głównie na zwierzynę płową; uprzedzono nas, żeby polować wyłącznie na byki, jako że łanie są ciężarne albo karmią młode. Kazałem Alais mieć oko na Celestę człapiącą u boku jej wierzchowca. Skinęła głową wysuwając szczękę.

Zapusciliśmy się w las, ciągnąc długim, nierównym szeregiem. O tej porze roku las był widny, rozświetlony słońcem. Drzewa dopiero przy strajały się w listowie i szerokie snopy światła przeszywały korony. Młodzi myśliwi w wiosennych strojach stanowili prześliczny widok, gdy przemykali przez kolumny blasku. Wszyscy śmiali się i gawędzili, wołając jedni do drugich. Łowczy i jego ludzie spokojnie wypełniali swoje obowiązki jadąc daleko w przodzie.

Pomimo zgiełku, znaleźli zwierzynę.

Wszyscy usłyszeliśmy brzęczenie w dali rogi myśliwskie. Jeźdźcy przycisnęli pięty do boków koni i rozpoczęła się szaleńcza gonitwa.

Dwa młode byki walczyły na polanie, ścierając się rogami. Gdy przybył królewski oddział, rozbiegły się w przeciwne strony.

- Tędy! - krzyknąłem, wskazując bliższego.

- Celesta, goń! - krzyknęła Alais.

Wybuchło pandemonium. Połowa grupy rzuciła się w lewo, połowa w prawo. Podwładni łowczego zatoczyli krąg i naganiali zwierzynę z powrotem w naszą stronę. Roześmiana Sydonia i jej towarzysze mieli nad nami kilka kroków przewagi, ale deptali-

śmy im po piętach. Umykający jeleni powiększał dystans, cętki światła pomykały po jego sierści, gdy pędził pod drzewami, ścigany przez wyciągnięty szary cień, Celestę. Straciliśmy ich z oczu, ale po chwili usłyszeliśmy wzywające nas rogi myśliwych, wesołe i buńczuczne.

Zaraz potem brzmienie zmieniło się w larum. Zobaczyłem polanę.

Zobaczyłem łowczego, który wymachiwał rękami, z bladą, przerażoną warzą.

Nie zobaczyłem jelenia.

Zobaczyłem dzika. Był to potwornie wielki odyniec, o jakim mówili weterani bitwy spod Bryn Gorrydum. Masywny i rozjuszony, chrząkał, gdy się zatrzymywaliśmy, opuszczając łeb i z błyskiem w małych ślepiach prezentując szablę.

- Alais, trzymaj się za mną - poleciłem cicho.

- Celesta - szepnęła ze strachem w głosie.

Suka prężyła się i warczała, z włosom zjeżonym na grzbiecie. Zrządzeniem losu, ustawiła się przed Sydonią. Delfina siedziała bez ruchu na narowistej młodej klaczy, z twarzą ściągniętą i białą. Klacz drżała pod nią, drobiaż kopytami w miękkiej glebie.

- Wasza Wysokość, nie ruszaj się - poradził łowczy. Delfina sztywno skinęła głową.

Kątem oka zobaczyłem, jak Gilot i Ti- Filip zsiadają z koni, wyciągając miecze. Pół tuzina innych mężczyzn zrobiło to samo, a między nimi Maslin. Nikt nie miał włóczni na dziki.

Dzik grzebnął ziemię rapciem, parsknął i zaszarżował. Wyglądał jak wprawiona w ruch mała góra.

- Celesta! - wrzasnęła Alais.

Suka uskoczyła na bok, kłapiąc na dzika zębami. Klacz delfiny zakwicziała i ruszyła z kopyta. Gałęzie trzaskały, gdy galopowała. Odyniec zatoczył krąg, ogarniając nas wszystkich wzrokiem.

- Strzeż Alais - rzuciłem krótko do Huguesa. Ponuro skinął głową.

- Jedź

Zawróciłem Bękartą i mocno uderzyłem jego boki piętami, by pognać za Sydonią.

- Ha!

Posłuchał, ach, Eluo! Popuściłem cugli i skuliłem się nisko nad jego karkiem. Drzewa się rozmyły, wszystko się rozmyło. Mocno zaciskałem uda i dziękowałem w duchu

Cyganom za wyhodowanie tak wspaniałego wierzchowca - i, tak, Nicoli L'Envers y Aragon, że mi go podarowała.

- Sydonio! - krzyknąłem, gdy ją zobaczyłem.

Siedziała prosto w siodle, piłując wodzami w próbie zatrzymania spłoszonej klaczy. Na ich drodze leżało wielkie zwalone drzewo. Jadąc za nimi, widziałem, jak klacz hamuje, zapiera się przednimi nogami i odmawia skoku; widziałem, jak Sydonia wzlatuje nad jej głowę i pada ciężko po drugiej stronie pnia. Ściągnąłem wodze, skręcając w prawo.

- Błagam - szepnąłem. - Eluo, błagam! Bękart sprężył zadnie nogi i skoczył.

Podkulił kopyta z elegancją tancerza. Przelecieliśmy nad obalonym drzewem; przelecieliśmy nad leżącą Sydonią. Zeskoczyłem z siodła, podbiegłem. Usłyszałem, jak coś szeleści w zaroślach, zbliżając się w naszą stronę.

- Nie ruszaj się! - Rzuciłem się na nią.

Czy to dzik? Nie miałem pewności. Osłaniałem ją własnym ciałem, żeby mnie pierwszego znalazły ostre szable. I nagle usłyszałem śmiech Sydonii de la Courcel, jej prawdziwy śmiech, gardłowy i niespodziewanie radosny.

Patrzyłem na nią, wytrzeszczając oczy.

- Imrielu! - Wskazała nad moim ramieniem. - Spójrz!

Był to jelen, tylko jelen. Młody byk, być może jeden z tych, które ścigaliśmy. Zerkał na nas z krzaków, strzygąc uszami, oczy miał wilgotne i lśniące. Po chwili odwrócił się, by uciec. Westchnąłem.

- Jelen.

- Och, twoja twarz! - Sydonia wstrzymała oddech. - Powinieneś widzieć swoją minę! To nie jest zabawne, wiem, ale... - Jej śmiech ucichł. Jej rysy złagodniały. Patrzyła na mnie pytająco. - Mówiłeś poważnie, prawda? Myślę o twojej przysiędze.

Z trudem przełknąłem ślinę. Nagle stałem się dotkliwie świadom jej ciała pod moim, wszystkich jędrnych krągłości i delikatności kończyn, jej miodowo- złotych włosów rozsypanych na wilgotnej ściółce. Jej twarzy, oddalonej o cale od mojej, z rozchylonymi ustami. Moje włosy opadły, osłaniając kurtyną jej lico. Byliśmy tak blisko, że mieszały się nasze oddechy.

Zobaczyłem, że ona też to rozumie, krew nabiegła pod jej jasną skórę. U podstawy szyi widziałem pulsującą żyłkę.

Czułem.... co? Oszłomienie i dezorientację, jakbym ujrzał słońce wstające na zachodzie. Czułem się obcy we własnej skórze. Czułem się tak, jakby coś zmieniło się w głębi mojej piersi, jakbym nagle utracił część siebie.

Żadne z nas się nie poruszyło.

- Tak- szepnąłem. - Poważnie.

Bękart wybrał sobie tę chwilę, żeby podejść i sprawdzić, co się dzieje. Opuścił nakrapianą głowę i obwąchał moje włosy. Drgnąłem i zakląłem, poczym wziąłem się w garść. Wstałem i wyciągnąłem rękę do Sydonii.

- Jesteś ranna? - zapytałem, pomagając jej się podnieść.

- Nie. Trochę posiniaczona, to wszystko. - Odwracając głowę, otrze- pała ziemię i liście ze spódnicy. - Dziękuję, Imrielu.

- Za ochronę przed jeleniem? - zapytałem cierpko.

- Za ochronę. - Sydonia spojrzała na mnie, jej ciemne oczy patrzyły bezpośrednio i szczerze. Po raz pierwszy dostrzegłem nasze wspólne dziedzictwo w jej twarzy. Nasze brwi miały ten sam kształt, były proste i zwięzające się jak skrzydła jaskółki. Jej były lśniaco złote, moje zaś czarne, lecz poza tym wyglądały tak samo.

To sprawiło, że znów poczułem się dziwnie.

- Spróbuję złapać twoją klacz - powiedziałem.

Niestety, nie złapałem jej. Spędziłem jakiś czas na próbach, biegając i przeklinając. Narowista bestia odskakiwała, przewracając oczami i wio- kąc za sobą wodze. Bękart przyglądał się temu z umiarkowanym zainteresowaniem. Sydonia się śmiała. Nie tym samym śmiechem, co wcześniej, ale też miło.

- Daj spokój - powiedziała. - Ktoś ją przyprowadzi. Lepiej sprawdźmy, co zaszło na polanie. - Spoważniała i przebiegł ją dreszcz. - Eluo! Mam nadzieję, że nikt nie został ranny. Pomogłem jej wsiąść na Bękartą i poprowadziłem go za uzdę. Przebyliśmy nie więcej niż kilkaset kroków, gdy dobiegły nas nawoływania poszukiwaczy. Krzykną- łem w odpowiedzi. Dało o sobie znać przez klęte szczęście: pierwszy znalazł nas Maslin de Lombelon. Wypadł pomiędzy drzew, z twarzą pokrytą maską krwi, która nie wyglądała na jego własną. Podjechał do nas wściekłym cwałem, dobył miecza i wska- zał sztychem moje serce. Sztych też był zakrwawiony.

- Puść ją! - rozkazał z napięciem w głosie.

Stałem nieruchomy jak skała, trzymając w ręce wodze Bękartą.

- Maslinie - zacząłem ostrożnie, podnosząc wolną rękę i pokazując, że jest pusta. - Delfina nie odniosła szwanku.

Jego miecz zadrzał.

- Puść ją!

- Maslinie! - Głos Sydonii był ostry. - Nic mi nie jest. Zostaw go w spokoju.

Dyszał ciężko, wlepiając w nią wzrok. I w tej chwili z absolutną pewnością poznałem, że ją kocha, a przynajmniej tak myśli. Coś było między nimi. Wiedziałem. Maslin skłonił głowę i schował miecz do pochwy.

- Wedle rozkazu, delfino.

Na polanie zastaliśmy innych. Dzik nie żył, czarna góra w końcu znieruchomiła. Alais siedziała na ziemi, z płaczem przytulając Celestę. Skrzywiłem się, widząc zakrwawiony bok suki, długą ranę wzdłuż klatki piersiowej, otwartą niemal do kości. Kiedy się zbliżyłem, Celesta z przeprasającym wyrazem w brązowych oczach pomachała koni uszkiem ogo na, nie mogąc podnieść głowy.

- Och, Imri! - Alais podniosła zlaną łzami twarz. - Pomóż jej, proszę. Później usłyszałem od niej całą historię. Jak dzik szarżował i szarżował, jak Celesta walczyła. Jak została ranna i jak Maslin de Lom belon skorzystał z okazji, żeby dźgnąć dzika w potężną pierś, zatapiając miecz po samą rękojeść. Jak trzymał miecz, gdy dzik szalał, aż przysko czyli inni i zadawali ciosy, dopóki dzik nie padł i nie znieruchomiał. Wtedy to nie miało żadnego znaczenia.

- Igła i nici - warknąłem, wodząc wzrokiem po kręgu milczących twarzy. - Na Eluę! Czy nikt nie ma igły i nici?

- Proszę - powiedziała spokojnie Amaranta, dworka Sydonii. Wycza rowała z saskiewki hartowany przybornik. Klękając u mojego boku, podała mi nawleczoną igłę. - Wiesz, co robisz, Wasza Wysokość?

- Niezupelnie - odparłem ponuro. - Czy ktoś wie?

Nikt nie odpowiedział. Zabrałem się więc do nieprzyjemnego zadania, podczas gdy młodzi wielmoże Terre d'Ange łapali klacz Sydonii.

Myślałem o tyberyjskiej lekarce, Drucylli, którą znałem w Daršandze. Pamiętałem, jak radowała życie niewolników. Myślałem o Fedrze i Joscelinie. Ona zszyła mu ranę, dawno temu, gdy byli zagubieni w skaldyjskiej śnieżycy. On nosił bliznę na dowód. Zszywałem psa Alais.

Szło ciężko, ale się udało. Amaranta z Namarry klęczała u mojego boku, ocierając płynącą krew szmatką, która niedawno musiała być pięknie hartowanym materiałem. Alais płakała, trzymając głowę Celesty. Na szczęście, suka była za słaba, żeby się szamotać.



- Czy wydobrzeje? - zapytała Alais błagalnym tonem, gdy skończyłem- wydobrzeje? Otarłem czoło grzbietem ręki, niechący mażąc je krwią.

- Nie wiem, Alais - odparłem szczerze. - Zabierzmy ją do prawdziwego chirurga i niech on to oceni.

Maslin nie próżnował, kiedy pracowałem. Posłał po wóz i rozkazał ludziom sporządzić prowizoryczne nosze z pni młodych drzewek i z własnej peleryny. Stałem z boku, patrząc, jak układają na nich Celestę.

- Wyciągnij ręce, Wasza Wysokość - odezwała się Amaranra z powagą w zielonych niczym jabłka oczach. Posłuchałem, a ona polała je wodą z bukłaka, zmywając krew. Kiedy skończyła, wyjęła zza stanika jedwabną chusteczkę i osuszyła mi dłonie. - Proszę, pochyl się.

- Dziękuję, pani. - Pozwoliłem, by otarła mi czoło. - Okazałaś się wielce pomocna.

Uśmiechnęła się lekko.

- Młoda księżniczka bardzo kocha swojego psa.

Była to wymijająca uwaga, ale przecież Amaranta była córką kapłanki. Skłoniłem się w odpowiedzi.

- Tak, bardzo.

Ponura grupa powróciła z Lasu Królowej. Ludzie Maslina starali się, ostrożnie niosąc leżącą na płaszczu ranną Celestę. Kiedy wyszliśmy z lasu, pojechałem z Alais na wozie, podczas gdy Gilot prowadził Bękartą. Razem troszczyliśmy się o Celestę, chroniąc ją przed wstrząsami, gdy wóz podskakiwał na pociętej koleinami drodze. Alais płakała, łzy wyrysowały dwie lśniące ścieżki na jej policzkach.

- Ona nas ocaliła - wyszłochała. - Ocaliła nas, Imri!

- Wiem, skarbie - rzekłem cicho. - Wiem.

Z boku wozu jechał Maslin, spoglądając na mnie z nienawiścią w oczach, zaschnięta krew łuszczyła się na jego twarzy. Po drugiej stronie jechała Sydonia. Nie śmiałem na nią spojrzeć ze strachu, że przypomni sobie uczucie, jakie wzbudziło jej ciało pod moim, ze strachu przed dziwnym trzepotaniem w mojej piersi. Ach, Eluo!

Co zaszło pomiędzy nami? Nie byłem pewien. I bardzo się bałem.

## DWADZIEŚCIA PIĘĆ

---

Celesta, wilczarz Alais, przeżyła, a ja skończyłem osiemnaście lat. To pierwsze zawdzięczaliśmy Lelahii Valais, eisandeńskiej lekarce królowej która zajęła się suką z taką samą sumiennością i biegłością, jaką poświęcała ludzkim pacjentom. Zamokła z dezaprobata, widząc założone przeze mnie koślawe, niefachowe szwy. Kiedy rana zaczęła się jątrzyć, umieściła w niej larwy, żeby ją oczyściły, a potem obłożyła dziwną mieszaniną spleśniałego chleba i pajęczyny. Wyglądało to koszmarnie, ale działało.

Pies przeżył.

A ja doszedłem do pełnoletności.

Często rozmyślałem o Tyberium. Od czasu wyjazdu Eamonna, nie wiele myśli poświęcałem czemukolwiek innemu. Myśl o zostawieniu Fe dry i Joscelina przepełniała moje serce niepokojącymi wątpliwościami a jednak czułem też radość. Pragnąłem wyrwać się z otaczającej mnie sieci plotek, uciec od podejrzliwości, od przebiegłych kpin. Tęskniłem za wolnością, żeby ponownie się odnaleźć, żeby się uczyć i badać świat. Ale w dniu moich urodzin sama królowa zwróciła się do mnie z prośbą.

- Zostań - rzekła krótko. - Zostań, Imrielu, proszę, przynajmniej do powrotu Drustana.

Spojrzałem na Fedrę, która marszczyła brwi. Miała tę swoją minę jak żołnierz, który słyszy płynący z dali dźwięk rogów, ale jeszcze nie może rozpoznać sygnału. Napotykając mój wzrok, wzruszyła ramionami.

- Zgoda - powiedziałem do Ysandry. - Zostanę.

Drustan przybył wraz z orszakiem Cruithne'ow. Był wśród nich Talor can, syn jego siostry i książe. Stojąc z założonymi rękami i myśląc o Alais patrzyłem, jak wjeżdżają do Miasta.

Na pierwszy rzut oka nie miałem mu wiele do zarzucenia. Był dobrze zbudowanym młodzieńcem, niewysokim, na swój sposób przystojnym.

Misterne niebieskie tatuaże pokrywały jego ramiona i górną połowę twarzy, wskazując, że jest wprawnym i wypróbowanym wojownikiem. Ukłonił się z szacunkiem Alais, nie okazując śladu arogancji. Gdy zostaliśmy sobie przedstawieni, mocno ścisnął moje przedramię i obdarzył mnie przyjaznym uśmiechem.

- Miło cię widzieć, książe Imrielu.

Jego d'angeliński był nienaganny. Drustan, pomyślałem, musiał go uczyć od długiego czasu. Kątem oka dyskretnie zerknąłem na cruarchę. Jego pokryta tatuażami twarz miała nieodgadniony wyraz.

Talorcan złożył ukłon królowej, po czym odwrócił się i skinął ręką.

- Czy mogę przedstawić moją siostrę, Dorelei?

Szeregi straży Cruithne się rozstąpiły i Dorelei podjechała stępą na gniadej klaczy, jednocześnie zawstydzona i podekscytowana. Rozległ się pomruk zaskoczenia, nad głowy zgromadzonego tłumu wzbilo się kilka powitalnych okrzyków. Usłyszałem, jak Fedra cicho wciąga powietrze, i zimny palec złego przecucia musnął mój kręgosłup.

Kiedy nadeszła moja kolej, pochyliłem głowę nad jej ręką.

- Miło cię poznać, księżniczko Dorelei.

Roześmiała się, kończąc śmiech gardłowym chichotem.

- Dziękuję! - Jak brat, była czystej krwi Cruithne, szczupła i smagła, z bliźniaczymi liniami niebieskich kropek wyrysowanymi wysoko na kościach policzkowych. Coś w jej zachowaniu przywiodło mi na myśl leśne zwierzę, zaciekawione, a jednak gotowe do ucieczki. - Ja też się cieszę ze spotkania.

Po przybyciu do pałacu odbyło się oficjalne przyjęcie.

Brałem w nim udział, siląc się na zachowanie uprzejmości. Chciałem pilnie porozmawiać z Fedrą, ale nie było na to czasu. Z daleka pokręciła głową, nakazując mi cierpliwość. Dlatego tylko patrzyłem, przypominając sobie, jak prowadzi się grę intrygi. Nikt nie grał lepiej niż ona w opracowaną przez nią wersję.

- Hrabina de Montrève! - Amaranta, dworka Sydonii, przywitała ją niskim dygnięciem. - Jestem zaszczycona, mogąc cię poznać.

Fedra uśmiechnęła się i podniosła ją, obdarzając powitalnym pocałunkiem.

- Amaranta z Namarry. Jesteś podobna do matki. Jak się miewa?

- Bardzo dobrze. - Amaranta uśmiechnęła się w odpowiedzi. Miała dojrzałe, pełne usta. wargi pulchne jak poduszki. Nie zwróciłem na to uwagi, gdy zajmowaliśmy się zszywaniem ran biednej Celesty. - Przesyła

pozdrowienia - dodała, wyjmując zza stanika sukni list, który podała Fedrze. - I mówi, że Naama nie zapomina o swoich sługach.

- Nie - mruknęła Fedra. - Nie zapomina.

List zniknął. Powściągając zniecierpliwienie, zmusiłem się do krążenia po sali i prowadzenia uprzejmych konwersacji. Nie znalazłem wprawdzie okazji, żeby na osobno-

ści porozmawiać z Fedrą, ale udało mi się zamienić parę słów z Alais. Jeśli Talorcan przybył tutaj, żeby się do niej zalecać, to nie było mu spieszno, choć przecież Drustan mógł doradzić mu powściągliwość.

- I jak? - zapytał ją. - Co myślisz? Wzruszyła ramionami.

- Jest dość miły - odparła niezobowiązująco. Jej twarz pojaśniała. - Choć lubię Dorelei. Lubię jej śmiech. Pamiętasz, Imri, kiedyś śniłam, że ty i ja naprawdę jesteśmy bratem i siostrą. Byłoby miło, prawda?

Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć, i podchwyciłem spojrzenie Sydonii z drugiej strony pokoju. Jak gdybym wykrzyknął jej imię, spojrzała mi w oczy. Jej brwi, dokładnie tego samego kształtu co moje, zmarszczyły się bezradnie. Na nowo poczułem dziwne trzepotanie w piersi.

- Nie wiem, opryszku - powiedziałem powoli. - Śniłaś także, że spotkałem człowieka z dwiema twarzami. A to się jeszcze nie stało.

- Przestań mnie tak nazywać! - Alais prześledziła kierunek mojego spojrzenia i z niedowierzania podniosła głos. - Sydonia?

- Nie. - Otrząsnąłem się. - Słuchaj, Alais... ta siostra, Dorelei. Wiedziałaś o jej przyjeździe?

- Oczywiście, że nie! - Spojrzała na mnie wilkiem. - Powiedziałabym ci, gdybym wiedziała. Czy tak mało mi ufasz?

-Nie. - Dotknąłem jej włosów. - Przepraszam, skarbie. To tylko niespodziewane.

- Moje sny się sprawdzają. - Wysunęła szczękę. - A ty nawet nie spytałeś o Celestę.

Ukląknę przed nią pokornie.

-Wybacz mi. Jak się czuje?

-Dość dobrze. - Jej twarz złagodniała. - Uratowałeś ją, Imri.

- Cały ja. - Wstałem. - Zbawca psów, obrońca przed jeleniami. Bohater królestwa pełną gębą.

- Tak. - Alais popatrzyła na mnie uważnie. - To cały ty.

Choć przyjęcie ciągnęło się w nieskończoność, wreszcie królowa i cruarcha nas odprawili. Jazda powozem do rezydencji przebiegała w milczeniu.

Wymieniłem spojrzenie z Joscelinem. Obaj siedzieliśmy bez słowa, zastanawiając się.

- I co? - odezwał się w końcu. - Co o tym myślisz? Spoczęło na mnie łagodne spojrzenie Fedry.

- Równie dobrze można zgadywać. Jeśli to jakaś machinacja Ysandry, to najwyraźniej mi nie zaufała.

- A list? - zapytałem wprost. - O co w tym chodzi?

- List od Berengery. - Uśmiechnęła się z roztargnieniem i jakby nieobecna duchem. - Wiesz, była akolitką, gdy wstąpiłam do służby Naamie. Pamiętam. Spotkałyśmy się później, gdy została najwyższą kapłanką świątyni Naamy w Mieście. Pracowałyśmy razem. A teraz jest przełożoną całego zakonu. - Fedra dotknęła stanika, gdzie schowała list. - Nie mam pojęcia, co pisze. Jeszcze nie przeczytałam.

Joscelin spojrział na nią kpiarsko i porozumiewawczo.

- Z pewnością masz mnóstwo pomysłów co do treści pisma.

Pochyliła się, żeby go pocałować.

- Kilka.

Wróciliśmy do rezydencji, gdzie Fedra złamała pieczęć i przeczytała list Berengery. W milczeniu rzuciła go na niski stolik. Joscelin przeczytał, a ja zrobiłem to po nim.

Obaj zaklęliśmy.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał Joscelin. Fedra pokręciła głową.

- Nie mnie o tym decydować - odparła. - Imriel jest pełnoletni. Decyzja należy do niego.

Byłem zły, na tyle zły, że miałem kłopoty z zebraniem myśli. Z wściekłością krążyłem po pokoju.

- Rzucę mu wyzwanie - wysyczałem. - Na jego honor, choć ma go niewiele!

- Albo - zaczęła Fedra łagodnie - możesz porozmawiać z Ysandrą. - Z Ysandrą! - Parsknąłem śmiechem. - Z tego, co wszyscy wiemy, to jej sprawka!

- Nie. - Jej oczy błysnęły nieugięte. - Inne rzeczy, być może, ale nie to. Odetchnąłem głęboko, zmuszając się do wyrzucenia z głowy wyobrażenia Barquiela L'Envers, błagającego o łaskę na sztychu mojego miecza.

- Zgoda. - Potarłem nasadami dłoni powieki. - Zgoda. Porozmawiam z królową.

- Mądry wybór - mruknął Joscelin.

- Pójdziecie ze mną? - Opuściłem ręce. - Wolałbym mieć przy sobie osoby, które nie poskapią mi rady. Fedra skinęła głową.

- Oczywiście.

Nazajutrz Ysandra przyjęła nas w prywatnych komnatach, skwapliwie zmieniając plany dnia, żeby spełnić naszą prośbę. Zapewne sądziła, że wie, czego ona dotyczy. Towarzyszył jej Drustan, a poza tym nie było nikogo innego, nawet straży. Dwa dni temu uradowałby mnie ta oznaka jej zaufania. Dziś wciąż byłem zbyt wściekły, żeby na to zważać.

Wyczytała gniew z mojej twarzy i stawiała mu czoło w bezpośredni sposób.

- Imrielu, posłuchaj. Bez wątpienia odgadłeś, że chcieliśmy, byś poznał siostrę Talorcana, Dorelei mab Breidaja. Zanim wyciągniesz pochopne wnioski, oboje z Drustanem chcemy, żebyś wysłuchał, co myślimy o tej kwestii.

Podąłem jej list sugerujący, że diuk Barquiel L'Envers uknuł spisek mający na celu ściągnięcie na mnie podejrzeń o zdradę.

- Przeczytaj

Ysandra patrzyła na mnie tępo, zbyt zdumiona moim obcesowym tonem, żeby się obrazić.

- Pani - powiedziała Fedra przepraszająco. - Sądzę, że powinnaś. Przeczytała. Patrzyłem, jak jej twarz blednie. Kiedy skończyła, z westchnieniem odłożyła list na bok.

- Barquiel.

- Co zrobił? - zapytał Drustan.

- Próbował zrobić ze mnie zdrajcę - odparłem ponuro. - I wykonał dobrą robotę.

Cruarcha miał nietypowo skonsternowaną minę.

- Nie rozumiem.

- To list od Berengery z Namarry, panie - pośpieszyła z wyjaśnieniem Fedra. - Przełożonej zakonu Naamy. Poprosiłam ją o pomoc. Pięć dni temu pewna kurtyzana z miasta Valtrice doniosła o spotkaniu z młodym człowiekiem, który przechwalał się niebezpiecznym zadaniem, jakie wykonał dla swojego pana. Młodzieniec ów należy do służby diuka Barquiel.

- Jesteś pewna? - Drustan ściągnął brwi. Niebezpieczne zadanie może oznaczać wiele rzeczy.

- Chłopak miał długi język. Podał szczegóły. - Ysandra z niesmaki podniosła list i podała go cruarsze. - Skąd wiedziałaś? - zapytała Fedrę.

- Nie wiedziałam - odparła. - Wiedziałam tylko, że jest Namarczykiem, i do tego młodym. Dobrze wiem, gdzie młodzi ludzie lubią wydawać pieniądze, które zniecka weszły w ich posiadanie. Warto było spróbować. Ysandrą potarła skronie.

- Na Elue! Dlaczego? Co też wstąpiło w mojego wuja? - Może zapragnął rozrywki - podsunąłem kwaśno. - Bez wątpienia doskonale się bawił, patrząc, jak obracają się przeciwko mnie moi przyjaciele.

- O nie, diuk jest znacznie bardziej przebiegły - zauważyła Fedra i zwróciła się do Ysandry: - Pani, powiedz nam szczerze. Co kryje się za obecnością siostrzenicy cruarchy na dworze?

- Ja odpowiem. - Drustan spojrział na żonę, po czym wyprostował ramiona i popatrzył prosto na mnie. - To mój pomysł. Czy jesteś świadom trudnej kwestii sukcesji w Albie? - zapytał.

Pokiwałem głową. Drustan położył ręce na kolanach, jego oczy wyzierały ponuro z niebieskiej maski twarzy.

- Imrielu, powiem szczerze. Gdybym słuchał własnego serca i życzeń Ysandry, mianowałbym Alais swoją następczynią. Ale zyski nie wyrównałyby strat. Kiedyś z takiego powodu ruszyliśmy na wojnę. Ja ruszyłem na wojnę. Ponieważ zostałem ojcem, moje serce się odmieniło. Mimo to nie mogę z czystym sumieniem zmienić stanowiska i narażać mojego kraju na powtórny rozlew bratniej krwi. Czy to rozumiesz?

- Tak, panie - odparłem. - Rozmawialiśmy o tym z Alais.

Uśmiechnął się lekko.

- Ach, bystra dziewczyna! Byłaby wspaniałym cruarchą. Ale... - Po- kręcił głową. - Mój lud chce Talorcana. Mój siostrzeniec jest dobrym chłopcem i ma głowę na karku. Jeśli Alais zgodzi się go poślubić, pewnie- go dnia będzie władać u jego boku.

Pokiwałem głową.

- Ale ich dzieci nie odziedziczą tronu, prawda?

- Zgadza się. - Jego spojrzenie złagodniało. - Talorcan wyznaczy na następcę syna swojej siostry.

- Imrielu. - Ysandrą pochyliła się w moją stronę. - Po tym, co przecierpiałeś, nie mogę niczego żądać. Proszę tylko, żebyś rozważył tę sprawę. Walczyliśmy... - spojrzała na Drustana, Fedrę i Joscelina - wszyscy zaciekle walczyliśmy o stworzenie i umocnienie więzi pomiędzy naszymi narodami. Przyniosły one pokój i dobrobyt nam wszystkim, i myśl o ich osłabieniu dręczy moje serce.

- Chcacie, żebym poślubił Dorelei - powiedziałem. Rozłożyła ręce.

-To pozwoli zachować pokój. To uspokoi tych, którzy obstają, że Ter, re d'Ange musi zachować odpowiednie wpływy w Albie.

-Chodzi ci o tych, którzy szemrzą przeciwko twojej następczyni- wyszeptałem. - Przeciwko mieszańcowi Cruithne. Ysandra nawet nie drgnęła.

- Tak.

- Twoje dzieci odziedziczyłyby tron Alby - dodał Drustan cicho. Zbierało mi się na płacz, ale byłem dorosłym mężczyzną, dlatego wybuchłem śmiechem, dzikim i niepo- hamowanym. Tego właśnie się domyślałem, to podejrzewałem od pierwszej chwili, gdy zobaczyłem siostrzenicę Drustana. A jednak jest różnica pomiędzy snuciem do- mysłów i uzyskaniem ich wyrzeczonego na głos potwierdzenia.

-Eluo! - westchnąłem. -To rozbawiłoby moją nieobecną matkę, prawda? Pomyślała- by: jakże piękny, nieoczekiwany zwrot!

-Ysandro. - Przerwał mi chłodny, zadumany głos Fedry. - Czy Bar quiel L'Envers wiedział o tym planie?

Królowa odwróciła wzrok.

-Wiedział.

-W takim razie przypuszczam, że masz swoją odpowiedź. - Fedra splotła ręce na piersi. Oczy miała czyste i poważne. Joscelin stał w milczeniu u jej boku. Nie musiał się odzywać. Jego blizny, pogięte karwasze, podniszczona rękojeść miecza nad ramie- niem mówiły same za siebie. - Twój wuj, diuk uznał, że Imrielowi przyda się dodat- kowa zachęta, żeby przyjął twoją propozycję i zostawił za sobą brzegi Terre d'Ange. Barquiel nie dba o Albę, ale byłby bardzo zadowolony, gdyby Imriel zniknął mu z oczu - Uśmiechnęła się ze smutkiem. - Pani, dlaczego mi nie powiedziałaś?

-Uznałam, że będziesz przeciwna małżeństwu. - Ysandra spojrzała jej w oczy. - Mam rację?

- Nie - odparła Fedra. - Zostawię wybór Imrielowi. Obiecałam.. Pomyślałem o dia- mencie leżącym na jej dłoni, o fasetach skrzących się

w promieniach słońca. O liście, który mu towarzyszył. „Dotrzymuję słowa”. Po raz pierwszy w życiu nie byłem ani trochę zawstydzony, że jestem synem mojej matki. Przynajmniej w tym była pewna doza uczciwości

- Co postanowisz, Imrielu? - zapytała mnie Ysandra.

- Nie wiem. - Spojrzałem jej prosto w oczy. - Muszę pomyśleć. Pokiwała głową.

- To uczciwe. O nic więcej nie proszę.



- Co będzie z diukiem Barquielem? - zapytałem twardym głosem. - Wiesz, po tym, co zrobił? Czy spotka go kara? Ysandrą wyglądała na zmęczoną.

- Jeśli sobie życzysz, możesz wytoczyć sprawę przeciwko niemu w parlamencie. Mogę ci powiedzieć, co usłyszysz. Będzie twierdzić, że to nieprzemyślany żart twoim kosztem, nic więcej. Powiem ci szczerze: najlepiej rozprawić się z nim prywatnie. - Westchnęła. - Pozwól mi zatrzymać list. Poproszę go o ustąpienie ze stanowiska dowódcy wojsk królewskich. Czy to wystarczy?

- Nie będzie zachwycony. - Joscelin uśmiechnął się szeroko. Pomyślałem o podejrzliwości w oczach Bertrana, o tym, jak dawni przyjaciele unikają mnie na dworze.

- Nie wystarczy - oznajmiłem. - Diuk L'Envers splamił moje nazwisko posądzeniem o zdradę. Żądam publicznych przeprosin.

- Nie dostaniesz ich. - Głos królowej brzmiał szczerze. - Znam mojego wuja, niełatwo się ugina. To pismo... - pomachała listem - jest niedostatecznie obciążające. Zawiera insynuacje z trzeciej ręki, ze źródła jawnie

przychylnego Fedrze nó Delaunay.

- W takim razie znajdziemy człowieka Barquiela - zaproponowałem. - I zmusimy go do złożenia zeznania.

- Możecie spróbować. Tylko że Barquiel ulokuje go gdzieś poza waszym zasięgiem albo zrobi coś znacznie gorszego. Czy myślisz, że nie ma straży w swoich posiadłościach? Jeden ruch z domu Montrève w ich stronę, a nie postawię złamanego centyma na życie tego mężczyzny.

Krew zziębła mi w żyłach.

- Więc po prostu się na to godzisz? Pozwolisz, żeby mu uszło na sucho?

- Tego nie powiedziałam. - Oczy Ysandrze błysnęły. - Na Eluę! Imrielu, on cię zniesławił. To przykre i podstępne, ale nie mamy tu do czynienia ze zbrodnią przeciwko królestwu. Jeśli wystąpisz przeciwko niemu otwarcie, zyskasz tylko jego jawną wrogość. Nie chcę, żeby ta sprawa stała się przyczyną rozdźwięku w rodzinie Courcelów. Rusz głową - poradziła ponuro. - Barquiel ulegnie, jeśli porozmawiam z nim prywatnie. Nie ośmieli się mi sprzeciwić. Wydam też publiczne oświadczenie, że nasze śledztwo dowiodło, że padłeś ofiarą złośliwego żartu obmyślonego przez nieznane osoby. Taka jest moja propozycja.

Spojrzałem na Fedrę, która miała zatroskaną minę.

- Co myślisz?

Zamiast mi odpowiedzieć, zwróciła się do Ysandry:

- Pani, czy ty się go boisz?

- Barquiela? Oczywiście, że nie. - Powieki królowej zatrzepotały leciutko.

To jedna z oznak kłamstwa. Wiem, ponieważ Fedra mnie nauczyla. Z wysiłkiem zdusiłem gniew i stanąłem obok siebie, przypatrując się królowej Ysandrze. Ujrzałem kobietę, która bez przygotowania została obarczona ciężarem władzy, która stawiała czoło straszliwym wyzwaniom, która walczyła długo i zaciekle, z odwagą broniąc swoich przekonań, żeby osiągnąć to co najlepsze dla królestwa.

Ale tamta Ysandrą de la Courcel, która nieustraszenie jechała między szeregami zbuntowanej armii, nie była tą, która dziś zasiadała na tronie Ciężkie brzemie korony odcisnęło na niej swoje piętno. Ona się bała - bała się o córki, bała się o przyszłość stosunków pomiędzy Terre d'Ange i Albą, bała się tego, co zrobi jej bezwzględny wuj Barquiel L'Envers, jeśli zostanie otwarcie sprowokowany.

Bała się o mnie.

Westchnąłem i pożałowałem, że tyle zobaczyłem. I pomyślałem o przysiędze złożonej Sydonii, i o tym, co będzie z delfina, gdy spowoduje rozłam w rodzie Courcelów, i z Alais, jedyną moją krewną, która zawsze miała do mnie bezgraniczne zaufanie.

- Wasza Królewska Mość, to wystarczy. - Wyrzekłem te słowa, choć legły mi kamieniem na sercu i gorzko smakowały w ustach. - Co zaś się tyczy tej drugiej sprawy... pomyślę. Ysandrą skłoniła głowę.

- Dziękuję.

- Imrielu... - zaczął Drustan i po chwili wahania podjął: - Sądzę że polubisz Dolerei. Nigdy nie wysunąłbym takiej propozycji, gdybym

uznał, że nie pasujecie do siebie.

Zawsze lubiłem i podziwiałem cruarchę Alby. Nie dzisiaj.

- Wiesz co, panie? W tej chwili to mnie nie obchodzi. To rzekłszy, odwróciłem się na pięcie i wyszedłem.

## DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

---

Stało się, jak obiecała królowa. Tego samego dnia zostało wydane obwieszczenie o mojej niewinności. Kilka dni później po cichu rozeszła się wieść, że Barquiel L'Envers rezygnuje ze stanowiska dowódcy wojsk królewskich, tłumacząc się pragnieniem odpoczynku po latach długiej służby. Jego miejsce zajął Ghislain nó Trevalion, ojciec Bertrana.

Nikt na dworze nie uznał tych decyzji za dziwne. Przecież L'Envers dobijał do sześćdziesiątki i dowodził wojskiem przez większą część życia. A Ghislain nó Trevalion sprawdził się jako zdolny dowódca podczas wojny skaldyjskiej i pozostał wierny królowej podczas buntu wznieconego przez swojego ojca. Przypuszczam, że kilku oficerów L'Enversa musiało się nad tym zastanawiać, trzymali jednak języki za zębami. Jako dowódca był podziwiany, lecz niezbyt kochany.

Mój los się poprawił... nieco. Jedni przyjęli obwieszczenie królowej za dobrą monetę, inni podeszli do niego z umiarkowanym sceptycyzmem. Ja z kolei nie miałem zamiaru wybaczyć zdrady dawnym przyjaciołom i moje stosunki z Bertranem pozostały niezręczne. Otwarte przyznanie się Barquielowi L'Envers do winy byłoby dla mnie o niebo lepsze i codziennie zachodziłem w głowę, czy dokonałem właściwego wyboru.

Zapytałem o to Fedrę.

- Nie wiem, skarbie - odparła łagodnie. - Niektórych rzeczy nigdy się nie dowiemy, i nie które decyzje sprowadzają się do wyboru nie między dobrem i złem, tylko jednej ścieżki pośród wielu. Podjąłeś dojrzałą decyzję i to ci musi wystarczyć.

To prawda, wiem, lecz niezbyt krzepiąca.

Tego lata zwlekaliśmy z wyjazdem z Miasta do Montrève. Moje plany podróży do Tyberium leżały odłogiem. Rozżalony, dotrzymałem słowa danego Ysandrze i uczestniczyłem w życiu dworu. Podjąłem wysiłek, żeby być miłym dla siostry księcia Talorcana, Dorelei mab Breidaja.

Okazało się to nietrudne. Właściwie, trochę ku mojej irytacji, Drustan miał rację - polubiłem ją. Choć D'Angelinowie ją onieśmielali, z łatwością poznałem, że ma żywy, ciekawy umysł; przypuszczałem, że w Albie zachowuje się znacznie bardziej bezpośrednio. Kiedy się śmiała, było coś zaraźliwego w jej figlarnym chichotaniu. Stwierdziłem, że łatwo się rozchmurzam w towarzystwie Dorelei. Stwierdziłem też, że trudno jest mi wyobrazić ją sobie jako pannę młodą. Choć miała siedemnaście lat, wydawała się młodsza. Coś w jej usposobieniu przywodziło mi na myśl Alais sprzed paru lat - naiwne i impulsywne dziecko.

Ponadto była Sydonia.

Na pozór nic się nie zmieniło między nami. W końcu co takiego się wydarzyło? Nic. A jednak wszystko było inne. Przyłapałem się, że mimo woli szukam jej wzro-

kiem, gdy wchodzę do pokoju. Kiedy na mnie patrzyła, czułem jej spojrzenie jak dotyk.

Czułem też spojrzenie Maslina, tylko że w jego przypadku bardziej przypominało cios. Był tam, zbyt często, jej nieodstępny towarzysz. Stanowili piękną parę, delfina i przystojny porucznik. Już zaczynały się szeptki - że są kochankami, że obiecała mianować go swoim kapitanem straży i zatrzymać przy sobie bez względu na to, kogo poślubi. Takie rzeczy działy się wcześniej w Terre d'Ange.

Obserwowałem ich na uczcie wyprawionej na cześć Roxany de Mereliot, Pani Marsilikos, i rozmyślałem o tych plotkach, gdy nagle ktoś wyrwał mnie z zadumy.

- To nieprawda, wiesz. Spojrzałem na Amarantę z Namarry.

- Co?

Rozciągnęła usta w uśmiechu, jakiego można spodziewać się u kogoś kto jest dzieckiem kapłanki Naamy.

- To, o czym myślisz. Splotłem ręce na piersi.

- A skąd wiesz, o czym myślę? Uśmiechnęła się szerzej.

- Idź, Wasza Wysokość, i poproś ją do tańca.

Sam nie wiem, dlaczego czułem zdenerwowanie. Z jakiegoś idiotycznego powodu w mojej głowie tłukły się słowa Eamonna, które usłyszałem ostatnim razem, gdy poprosiłem Sydonię do tańca. „Uważaj, żeby sobie czegoś nie odmrozić” - przestrzegł ze śmiechem. Wówczas także się śmiałem. Teraz stwierdziłem, że spieram się z nim w myślach, i przez tę wewnętrzną dyskusję język stanął mi kołkiem.

- Czy...? - Nie mogąc się wysłowić, wskazałem ręką parkiet do tańca Sydonia nie kryła rozbawienia.

- Na pewno dobrze się czujesz, Imrielu? Skinąłem głową.

- Czy zatańczysz ze mną? Uśmiechnęła się. - Tak, chętnie.

To było takie dziwne, podobne i niepodobne. Sydonia zachowywała się tylko odrobinę mniej oficjalnie niż kiedyś, a jednak jej palce drżały lekko w mojej dłoni. Przestrzeń pomiędzy nami przepełniało napięcie. Byłem dotkliwie świadom jej smukłej talii pod moją ręką, która wydawała się bardzo gorąca. Pragnąłem przyciągnąć Sydonię do siebie, poczuć jej jędrne ciało. Moją kuzynkę, moją prawie *siostrę*. Nie zrobiłem tego, ale chciałem. Prowadząc ją po parkiecie, przerwałem milczenie.

- Czy porozmawiamy o tym, Sydonio? - zapytałem.

Przez chwilę nie odpowiadała i pomyślałem, że będzie udawać, że nie wie, o co mi chodzi. Nagle uniosła podbródek i zobaczyłem jej oczy, pełne bólu i żalu.

- Nie wiem. Może lepiej nie.

- To rada Naamy czy twoja własna decyzja?

Spojrzała mimowolnie w kierunku Amaranty.

- Nie. Nie wiem. - Zmieniła temat. - Poślubisz Dorelei? Wiem, co knują moi rodzice. Pokazałem zęby w uśmiechu.

- Nie wiem. Kim jest dla ciebie Maslin de Lombelon?

- Jednym z niewielu ludzi na dworze, którzy nigdy mnie nie okłamują- odparła szczerze. - Często strażnikiem. Czasami przyjacielem. Nikim więcej, na razie, a może nigdy. Nie mogę powiedzieć tego na pewno. Dlaczego to cię interesuje? Dlaczego tak bardzo się nienawidzicie?

- Nie chciałem tego. - Ścisnąłem jej rękę, zbyt mocno. Tym razem, choć jej oczy się rozszerzyły, nie protestowała. - Na Eluę, Sydonio, zawsze chciałem, żeby mnie polubił. A ty... - Muzyka ucichła i puściłem jej dłoń.- A ty... - powtórzyłem cicho, kłaniając się jej.

- Imrielu... - zaczęła.

Czekałem.

Sydonia potrząsnęła głową, niecierpliwie i rozpaczliwie. - To nie takie proste!

- Nie, nie jest proste. Może byłoby, gdybyśmy słuchali tylko przykazania Błogosławionego Elui. Elua nie dbał o trony ani o ludzką politykę. - Urwałem, przypominając sobie, gdzie wcześniej słyszałem te słowa. - Wiesz - podjąłem w zamyśleniu - Fedra kiedyś mi powiedziała, że gdy spytała Melisandę, jak Elua odniósłby się do jej zdrady, właśnie to usłyszała w odpowiedzi. Im jestem starszy, tym bardziej się zbliżam do zrozumienia mojej matki. - Zobaczyłem trwożną minę Sydonii i zaśmiałem się cicho. Nie martw się, Wasza Wysokość, dotrzymam przysięgi. Pod karą śmierci, dotrzymam. Widzisz - dodałem - ja zawsze dotrzymuję słowa.

Zakończywszy w tym ironicznym, zadufanym tonie, odszedłem, nie bacząc na ból w sercu, na subtelne szarpnięcia, które nakazywało mi zostać.

Pomyślałem, że wrócę do domu, i zmieniłem zamiar. Gdyby tutaj był Eamonn, poszedłbym mu się zwierzyć, ale go nie było. Przez dobrą godzinę snułem się po Mieście w towarzystwie zatroskanego Gilota. W końcu powziąłem decyzję i ruszyłem do jedy-nych ludzi, którzy, jak wiedziałem, potrafią zrozumieć moje rozgoryczenie i głębie skomplikowanych uczuć.

Szachrizaj mają wiele siedzib w Mieście i w jego pobliżu. Udałem się do rezydencji pana Sakryfanta, gdzie, jak wiedziałem, mieszka Mavros. Gilot nie krył zaniepokojenia, ale gdy weszliśmy, trochę się uspokoił, pełen podziwu dla niewymuszonej elegancji panującej w domu. Nienagannie wyszkoleni słudzy krążyli ze spuszczonego wzrokiem, co stanowiło jaskrawy kontrast ze swobodnym i nieformalnym zachowań, domowników Montrève.

- Kuzynie! - Mavros przywitał mnie wylewnie, całując w oba policzki. Jego niebieskie oczy lśniły, zagadkowe jak świat o zmierzchu. - Czy zszylęś ostatnio jakieś dobre psy?

- Mavrosie. - Odwzajemniłem uścisk. - Zawsze oferowałeś mi pociechę rodziny. Czy możemy porozmawiać?

Jego twarz natychmiast spoważniała, rysy się wyostriły.

- Oczywiście - odparł, prowadząc mnie w głąb domu. - Wejdz i mów. To, co powiesz, nie wyjdzie poza te progi. - Spojrzał groźnie na przechodzącego sługę. - Prawda?

Sługa pokręcił głową.

- Nie, panie - wymamrotał. - Nigdy.

- Widzisz! - Mavros zarzucił mi rękę na szyję, prowadząc do salo nu. Był obwieszony przepyszными gobelinami, wyobrażającymi sceny z historii Kuszetu. Przygaszone światło lamp połyskiwało na złożonych posążkach. Mavros skinął ręką i kazał słudze przynieść kordiał. - Mów kuzynie.

Powiedziałem mu wszystko, prawie wszystko.

Powiedziałem mu o polowaniu i o tym, co zaszło pomiędzy Sydonią i mną, i o napięciu będącym następstwem tego zdarzenia. Powiedziałem mu o Dorelei i prośbie królowej. I powiedziałem mu o niecnym postępie ku Barquielu L'Envers.

Mavros słuchał w milczeniu, poruszając się tylko po to, żeby napełnić mój kieliszek. Zareagował dopiero wtedy, gdy powiedziałem mu o Barquielu. Nie kryjąc zaskoczenia, syknął przez zęby.

- A to łajdak! - wycodził. - Powinien wiedzieć, że nie należy wchodzić w drogę rodzinie Szachrizaj!

Na jego twarz wypełzła demoniczna przebiegłość.

- Mavrosie, nie! - poprosiłem. - Nie rób niczego pochopnie. Dokopałem wyboru, żeby zachować pokój, i będę przy nim obstawać.

- Bardzo szlachetnie. - Popatrzył na mnie drwiąco. - Dla dobra Sydonii?

Wzruszyłem ramionami. Nie powiedziałem mu o mojej przysiędze.

- Dla dobra rodu Courcel.

- Ród Courcel! - parsknął. - Nie spisali się, chroniąc swoich, prawda? Gdyby chodziło o nas... - Potrząsnął głową i niezliczone warkocze poderwały się w powietrze.

- Ale nie chodzi. - Zamknąłem w dłoniach na wpół opróżniony kieliszek.

- Tym większa szkoda. - Mavros nalał kordiału. - Dobrze, będę grzeczny. Więc obrażasz siebie, że zakochałeś się w młodej delfinie? - Zakochałem? Nie. Nie wiem. Czasami nawet jej nie lubię. Ale myślę o niej. Często. Zbyt często. I... - Uniosłem kieliszek i z drzeniem wypilem łyk kordiału. - Pragnę jej.

- Ona jest zimna - zauważył Mavros.

Wspomniałem, jak krew podeszła jej pod skórę, gdy leżałem na niej w Lesie Królowej, wspomniałem puls przyśpieszający w dołeczku u pod stawy szyi.

- Nie wierzę. Ale, Mavrosie! Na Eluę, ona ma tylko szesnaście lat i jest prawie moją siostrą. Zrobił rozbawioną minę.

- Daj spokój! Bierze udział w grze zalotów, prawda? I jest... kim? Wnuczką brata twojego ojca. U Szachrizaj to żadne pokrewieństwo.

- Mamy takie same brwi.

- I co z tego? Tym lepiej, łatwiej się rozpoznać. A co z małą piktyjską księżniczką?

Osuszyłem kieliszek drugim łykiem.

- Lorelei? - Zmarszczyłem brwi, zdając sobie sprawę, że jestem lekko pijany. - Do-relei. Jest słodką dziewczyną. Dzieckiem.

- W takim razie nie chcesz jej poślubić.

- Nie. - Odstawiłem pusty kieliszek. - Nie chcę nikogo poślubić, Chcę... nie wiem, czego chcę.

- Och, wiesz. - Przekrzywiając głowę, Mavros patrzył na mnie spod - Głowy Ba-rquiela L'Envers na palu i Sydonii de la Courcel pojękującej w twoim łóżku.

Otworzyłem usta, żeby zaprzeczyć, ale po jego słowach zalał mnie żal. Zamknąłem oczy. Gniew i pożądanie splątały się w ciasny węzeł, który

pulsował natarczywie, mój język wydawał się gruby, a kończyny ciężkie.

Przygryzłem wargę, pragnąc się uspokoić.

- Chodź. - Mavros wstał. - Jest jeszcze wcześnie. Idziemy. Otworzyłem oczy, patrząc na wyciągniętą rękę.

- Dokąd? Uśmiechnął się.

- Do miasta.

## DWADZIEŚCIA SIEDEM

---

W głębi duszy wiedziałem.

Wolałem jednak okłamywać sam siebie i udawać ignorancję, a Mavros dał mi ku temu pretekst - nie chciał powiedzieć, dokąd się wybieramy i robił z tego tajemniczą grę. Pojechaliśmy powozem do drugiego domu Szachrizaj, należącego do Fanchone, matki Roszany. W rezydencji zastaliśmy kilkoro młodych Szachrizajów, między nimi Roszanę.

- Imri! - Powitała mnie długim pocałunkiem, wsunawszy mi ręce włosy. - Masz piękne włosy - wyszeptała. - Czy pozwolisz mi spleść je tego wieczoru?

-Dobrze - zgodziłem się. - Dlaczego nie? Mavros wspaniałomyślnie machnął ręką.

-Mamy czas.

Podczas gdy inni stroili się i szykowali, ja siedziałem po turecku w salo nie pani Fanchone, a Roszana nuciła, szcztokując moje włosy i dzieląc je na maleńkie pasemka, by następnie splatać je wprawnie i zawiązywać na końcu woskowaną nicią. Zabrało to prawie godzinę. Gilot, który przyjechał za nami konno, przyglądał się temu z wyraźną dezaprobatą.

- Jesteś pewien, że tego chcesz, Imri? - zapytał. Wzruszyłem ramionami, lekko, żeby nie przeszkodzić w pracy Roszanie.

- Czego? Włosów zaplecionych w warkocze? Gilocie, wyświadczyć mi przysługę. Jedź do rezydencji i powiedz Fedrze. gdzie jestem. Niech chce żeby się martwiła.

Uniósł brwi.

- Młody pan Szachrizaj już pchnął posłańca - powiedział, ruchem

głowy wskazując Mavrosa. - Zostanę z tobą.



- Jak chcesz. - Ponownie wzruszyłem ramionami.

Roszana stanęła przede mną, zasłaniając mi Gilota. Patrzyłem na jej twarz i nie poruszałem głową, oddychając powoli, podziwiając jej koncentrację i prędkość zwinnych palców. Obdarzyła mnie szybkim uśmiechem.

- Jesteś zdyscyplinowany - zauważyła. - Robiłeś wcześniej coś takiego? Odwzajemniłem uśmiech, myśląc o czuwaniu w świątyni Elui, o klęczeniu na zamrożonej ziemi.  
- Coś w tym rodzaju. To jest łatwiejsze.

- I bardziej zabawne, założę się. - Pocałowała mnie w czoło. - Gotowe.

Na próbę potrząsnąłem głową, czując podrywające się warkoczyki. Głowa wydawała się dziwna i ciężka, jak w Najdłuższą Noc, gdy nosiłem kostium Baldura. A jednak tutaj nie było masek. Byłem tylko ja, ale inny.

- Dziękuję - powiedziałem do Roszany. Psozny uśmiech zaigrał na jej wargach. - Wyglądasz pięknie.

Mavros klasnął w ręce.

- Chodźcie! - polecił. - Idziemy.

Poszliśmy i wsiedliśmy do dwóch powozów. Mavrosa i Roszanę znałem, ale byli też inni, Aprilios, Thiela i Soniril, wszyscy młodzi Szachrizaj, nie więcej niż dwudziestokilkuletni. Towarzyszili im forysie i Gilot też pojechał, podążając za nami powoli, z Bękartem prowadzonym za wodze.

Nietrudno było zgadnąć, dokąd zmierzamy.

Śmiali się, gawędzili i nie chcieli mi zdradzić celu wyprawy, a ja nie dociekałem. Już miałem przecucie. Gdy powozy wjechały na zbocze Mont Nuit i stangreci ściągnęli lejce przed bramą Domu Waleriany, nie byłem zaskoczony. Chciałbym być, ale nie byłem. Mówienie czegokolwiek innego byłoby wierutnym kłamstwem.

- Mavrosie. - Poruszyłem się na wyściełanym siedzeniu powozu. - Nie chcę tam iść.

- Chcesz, Imri. - Widziałem w cieniach jego twarz. Malowało się na niej niespodziewane współczucie. - Nie musisz robić niczego, czego nie zechcesz. Ale musisz zobaczyć. Najwyższy czas. - Milczał przez chwilę. - A może się boisz? - Tak - wyznałem szczerze.

Poklepał mnie po ramieniu. - Tym większy powód.

Tak oto poszedłem do Domu Waleriany.

Podjazd jest długi, z obu stron strzeżony przez drzewa. Na dziedzińcu powitało nas dwoje adeptów. Ze spuszczonego wzrokiem zaprowadzili nas do salonu dla gości,

gdzie przyjął nas duejn. Nosił obcisłe skórzane spodnie i swobodną płócienną koszulę. Ukłonił się nisko przed nami,

- Panowie i panie - wymruczał - wasze kwatery czekają jak zawsze. Czy mam przysłać wybranych adeptów?

Mavros odciągnął go na bok i coś do niego szepnął.

- Dobrze, panie. - Duejn znów się ukłonił, po czym skinął na Gilota. - Proszę, mesire. Zaczekasz w wygodnej komnacie, podczas gdy panowie i panie będą zażywać rozkoszy.

Gilot się zawahał, popatrując na mnie.

- Imri? Jesteś pewien?

- Jestem pewien - odparłem, choć wcale nie byłem. - Idź. Odszedł, prowadzony przez dwoje adeptów.

Didier Vascon, duejn Domu Waleriany, ukłonił się nisko.

- Tędy.

Poszliśmy za nim korytarzem, potem po wąskich kręconych schodach

Szachrizaj gawędzili, wyraźnie rozluźnieni. Umilkli dopiero u stóp schodów, klękając jeden po drugim. Zobaczyłem dlaczego.

Stał tam ołtarz, brązowa rzeźba Kusziela na podeście w niszy, misą

ofiarną u stóp. Kiedy inni odeszli, stałem samotnie, patrząc na Kusziela. Twarz miał surową i spokojną, pełną nieubłaganego miłosierdzia. Krzyżował ręce na piersi, w jednej trzymając różgę, a w drugiej cep.

„Potężny Kusziel, pan różgi i pręgi...”. Ukląkłem z drzeniem.

- Chodź. - Życzliwy głos zabrzmiał w moim uchu. Delikatne ręce chwyciły mnie pod ramiona, pomogły mi wstać. Odwróciłem się i zobaczyłem Didiera Vascona. - Poznałeś jego dotyk, prawda? - zapytał duejn Domu Waleriany. - W całym jego okrucieństwie?

- Tak - odrzekłem cicho. - Poznałem.

- Idź. - Pchnął mnie delikatnie. - Poznaj jego miłosierdzie. Poszedłem, potykając się trochę, za kuzynami. Mavros przystanął

w słabo oświetlonym korytarzu, czekając na mnie.

- Chodź, Imrieliu! - ponaglił. - Będzie zabawnie.

Nie liczyłem na to, nie liczyłem na nic. A powinienem. Czekają mnie więcej niż sobie wyobrażałem. Tutaj, w Domu Waleriany, Szachrizaj mieli własne kwatery - prywatny loch przeznaczony do ich wyłącznego użytku. Ogień ryczał w kominku, powietrze było duszne i ciepłe. Na kamiennych posadzkach leżały bogate dywany, tkane w czarno- złoty wzór, przeplatające się klucze, herb rodu Szachrizaj.

Na ścianach, skądinąd gołych, wisiały akcesoria. Kajdany i łańcuchy, krzyż do chłosty. Drewniane koło z obręczami.

Znajdowało się tam również dobrze wyposażone flagellarium, pełne pejczy, rzemieńni i pacek, wszelkiego rodzaju więzów, opasek na oczy i knebli, obroży i szczypiec, pierścieni i paciorków rozkoszy, *aidesd'amour*... Wszystkie utensylia były pięknie wykonane i utrzymane w idealnym stanie - skóra natarta oliwą, metal wypolerowany.

Mahrkagir miał takie zabawki w Daršandze, zardzewiałe i pociemniałe od starej krwi.

Patrzyłem na nie, drżąc na całym ciele. Czuję smród wody w sadzawce w zenanie i miałem wstrętny smak w ustach.

- Mavrosie. - Chwyciłem go za koszulę. - Nie mogę tego zrobić.

- Chodź. - Pociągnął mnie do kanapy przy ogniu. - Siadaj. - Obejrzał się i pstryknął palcami. Prawie natychmiast pojawił się adept, chłopiec nieśmiały i wdzięczny jak je-lonek, z kordialem na tacy. - Wypij.

Posłuchałem, osuszając kieliszek. Była to gruszkowa brandy, słodka i korzenna. Zastanowiłem się, czy destylowano ją w Lombelonie. Słyszałem śmiech beztriosko gawędzących kuzynów. Węzeł w mojej piersi trochę się rozluźnił, wspomnienia Daršangi zbladły. Jestem w Tetre d'Ange, tu nie ma potrójnej drogi.

- Lepiej? - zapytał Mavros, kucając przede mną.

Skinąłem głową.

- To dobrze. - Ściągnął brwi. - Imrielu, posłuchaj. To są sługi Na- amy, zobowiązane czcić ją na swój sposób. Tak, służą również Kuszielowi, i znajdują w tym przyjemność. Nikt nie przebywa tutaj wbrew własnej woli. Wszyscy sami podjęli decyzję. Nie musisz brać w tym udziału. Ale nadszedł czas, żebyś zrozumiał swoje dziedzictwo. Czy chcesz?

Odetchnąłem głęboko, czując się trochę lepiej.

- Chcę, Mavrosie. To tylko...

- Rozumiem - zapewnił cicho. - Przynajmniej trochę. Ale przysięgam ci, przestrzegamy tutaj przykazania Elui. Każdy jeden z nas wolałby umrzeć niż zgrzeszyć przeciwko niemu.

- Rozumiem - odparłem słabym głosem. - Wierz mi, rozumiem.

Mavros pokiwał głową.

- Mamy stałą umowę z Domem Waleriany. Przychodząc tutaj z nami zgodziłeś się jej podporządkować. - Podniósł się i jął odliczać na palcach. - Żadnego okaleczania, nigdy. Żadnych żelaz do piętnowania i strzałek, żadnych ran, które zostawią blizny, chyba że wcześniej zosta nie uzgodnione to w odrębnym kontrakcie. Ustalisz *signale* z adeptem którego wybierzesz, i będziesz go przestrzegać pod groźbą kary śmierci. Czy to jasne?

Odwróciłem wzrok. Adepci Waleriany krążyli z wdziękiem po lochu, zapalając świece, dokładając do ognia, podając wino i kordiał. Inni zapalali grudki opium, pozwalając im się tlić w ozdobnych kadzielnicach. Wąskie smużki dymu wznosiły się w powietrze, przesycając je odurzają

cym zapachem.

To też przypomniało mi o Daršandze. Odsunąłem tę myśl. - Tak, rozumiem - powiedziałem do Mavrosa. - To nie będzie konieczne.

- Jak chcesz. - Spoczęło na mnie jego mroczne spojrzenie. - Pytam tylko, czy się zastosujesz.

- Tak, ale nie skorzystam - oświadczyłem z uporem. Mavros się uklonił.

- Niech tak będzie.

A potem rozpoczęła się orgia. Jeśli istnieje jakieś inne określenie, to jest mi nieznane. Siedziałem na kanapie jak przyklejony i patrzyłem na wszelkie rodzaje wyuzdanej miłości. I, Eluo! Pragnąłem zaznać tego, co

miałem przed oczami, pragnąłem tak bardzo, że aż bolało. Oto, co zobaczyłem.

Adepci Waleriany kolejno wchodzili do lochu i prezentowali się moim kuzynom, sunąc ze spuszczonego wzrokiem. A jednak, Błogosławiony Eluo, ich zachowanie wyrażało dumę, której się nie spodziewałem. Widziałem ją w ich wyprężonych ramionach, w rzucanych ukradkiem spojrzeniach. Oni chcieli zostać wybrani. Chcieli, by rzucono im wyzwanie.

I wybierano ich. Och, bogowie, wybierano! Patrzyłem, jak moi Szachrizaj kiwają z uśmiechem palcami. Angażowali się w niebezpieczne gry, nie wstydząc się jeden przed drugim. Łańcuchy grzechotały, skóra trzaskała, obracało się drewniane koło. Ciała, ponętne ciała obnażano na moich oczach. Jęknąłem na widok pojawiających się pręg. Ach, Eluo! Było w tym straszne piękno. Dostrzegłem to po raz pierwszy. Jedna część mnie chciała wziąć w tym udział, druga zaś się wzbraniała. Rozdarty sprzecznymi pragnieniami, patrzyłem z bezsilną fascynacją.

- Panie! - Naga adeptka uklękała przede mną na podłodze, jej złote włosy spływały na obnażone ramiona. Wzniósła na mnie błagalne spojrzenie. - Dlaczego trzymasz się z daleka? Czy nic tutaj nie sprawi ci przyjemności? Czy nikt...?

Spojrzałem nad jej głową, zagryzając wargi. Aprilios Szachrizaj przypiął adeptkę do drewnianego koła i śmiał się, gdy wirowało, robiąc zamach dziewięciopalczystą dyscypliną. Każdy rzemień z węzełkami zostawiał różową pręgę.

- Nie o to chodzi - odparłem krótko.

Adeptka spuściła wzrok.

- Czy budzę w tobie niechęć, panie?

- Nie. - Wypiłem kordiał i odstawiłem kieliszek. - Nie, oczywiście, że nie. - Dotknąłem jej policzka, uniosłem podbródek. - Jak masz na imię?

- Sefira, panie. - Oczy miała piwne, brwi miodowozłote, o ton ciemniejsze niż złociste włosy. Kolory Sydonii, z wyjątkiem oczu. - Ja jestem Imriel.

Zarumieniła się, krew napłynęła pod jej jasną skórę. Było w tym coś niesamowicie erotycznego, gdy tak klęczała, naga i bezbronna, podczas gdy ja siedziałem ubrany.

- Tak, panie, oczywiście.

- Możesz mi mówić po imieniu.

Sefira pokręciła głową. Odwracając spojrzenie, pochyliła się i podniosła karafkę z gruszkową brandy, po czym eleganckim ruchem napełniła mój kieliszek. Jej włosy omiotły moje nogi, przyprawiając mnie o ciarki.

- Nie, panie. Nie mogę.

- Dlaczego? - zapytałem.

Odstawiła karafkę i złożyła ręce na udach. - Nie przystoi, panie.

- I co z tego? - Wezbrała we mnie beztroska. Wypiłem brandy, z łoskotem odstawiłem kieliszek. - Na jaja Elui! Czy zawsze musi być ważne to, co przystoi? Czy zawsze muszą wiązać nas ograniczenia? Spójrz tylko na ten... - wskazałem uczestników orgii - na ten czysty cielesny obłęd. Jakie znaczenie może mieć to, co się dzieje w trakcie?

- Dla mnie ma znaczenie, panie. - Do jej głosu zakradła się nuta uporu.

- Dlaczego? - zapytałem z westchnieniem. - Mniejsza z tym. Nie obchodzi mnie to. - Wplotłem palce w jej włosy, pociągnąłem mocno zmuszając ją do podniesienia głowy. - Dlaczego tu jesteś? - zapytałem. Czego ode mnie chcesz?

- Chcę sprawić ci przyjemność, panie - wydyszała. Zacisnąłem ręce.

- To niewystarczająca odpowiedź.

- Niech ci będzie, panie. - Cień wyzwania przemknął po jej twarzy. Chcę zobaczyć, na co stać syna Melisandy Szachrizaj.

Zakląłem głośno i omal jej nie uderzyłem. Sefira nawet nie drgnęła. Jej oddech przyspieszył, piersi ze sterczącymi sutkami unosiły się i opadały. Poczułem, że wiąże nas nic napięcia. Zacieśniała się, gdy na nią patrzyłem.

- To gra woli, prawda? - rzekłem powoli. - Gra, którą przegrywam.

- Panie. - Sefira przekręciła głowę, całując moją dłoń, tę, którą o mało jej nie uderzyłem. Ujęła ją w ręce, gładząc i obsypując pocałunkami - Masz prawo dać mi to, czego pragnę - szepnęła. - I masz prawo odmówić To jedyna gra, która się tutaj liczy. - Ściszyła głos. - Czy chcesz, żebym cię błagała? Będę błagać. Proszę, panie, pozwól mi sprawić ci rozkosz.

- Nie mogę. - Spojrzałem na scenę rozgrywającą się za jej plecami. - Nie w ten sposób.

- Są tu prywatne komnaty, panie - wymruczała.

Po drugiej stronie lochu Mavros napotkał moje spojrzenie. Stał w rozkroku z ręką wplecioną we włosy adepta, który wykonywał *langusement*. Nie mogłem poznać, czy jest to mężczyzna, czy kobieta, widziałem tylko nagie szczupłe plecy i lśniące kasztanowe włosy. Mavros miał rozgorączkowane i zarazem dziwnie poważne oczy. Roszana szeptała mu coś do ucha, z biczem luźno trzymanym w ręce.

Spojrzałem w ciemne lustro mojego pożądania i ujrzałem własne od bicie.

- Zgoda- powiedziałem. Podniosłem się chwiejnie, oszołomiony i lekko pijany, otumaniony oparami opium. - Zatem zgoda. Dlaczego nie

Sefira klęczała u moich stóp, patrząc na mnie z nadzieją. Wyciągnąłem do niej rękę.

- Prowadź.

Poszliśmy najpierw do flagellarium, szeroko otwierając drzwi.

- Zechcesz dokonać wyboru, panie?

- Nie... - Z trudem przełknąłem ślinę. Moje ręce uniosły się niemal że z własnej woli, dotykając akcesoriów. Wybrałem kilka. Skórę miałem gorącą i wszystko wydawało się chłodne w dotyku. - Chodźmy - wymamrotałem.

Poszedłem za Safirą. Światło ognia pełgało po jej nagiej skórze. Miała już rozpoczęta markę; splątane liście waleriany, wytatuowane w talii na plecach, zaczynały wspinać się na kręgosłup. Patrzyłem, jak poruszają się jej pośladki, krągłe i ponętne. Z każ-

dym krokiem miałem wrażenie, że spadam w otchłań, jak gdyby podłoga otwierała się pode mną. A jednak szedłem za nią do prywatnej komnaty, oświetlonej przez mrugające pochodnie, ogrzewanej przez kosz z węglami. Podłoga była zarzucona grubymi poduszkami, na ścianie wisiał krzyż do chłosty. Kiedy zamknęła ta nami drzwi, zapadła błoga cisza. Słyszałem tylko własny chrapliwy oddech.

- Proszę, panie. - Odwróciła się ku mnie z uśmiechem.

- Co... - chrząknąłem. - Jaki jest twój *signalei*

- Promyk słońca - odparła.

- Promyk słońca - powtórzyłem, mimo woli myśląc o Daršandze, przypominając sobie dzień, kiedy Fedra namówiła Skalda Ericha, żeby pomógł podważyć deski, którymi zabito wyjście do ogrodu; ten dzień, kiedy po raz pierwszy od miesiący zobaczyłem słońce, zimne i szare, nieopisanie cudowne. Zadrzałem.

- Panie? - Sefira zbliżyła się o krok. - Dobrze się czujesz?

- Tak. - Podałem jej jeden z wybranych przedmiotów, czarną jedwabną opaskę na oczy. - Nałóż to.

Posłuchała i zawiązała pas jedwabiu, który przysłonił jej rysy. Mogła być każdą kobietą. Mogła być Katherine, uczestniczącą w jednej ze szpiegowskich zabaw Fedry w Montrève. Ze złotymi rozpuszczonymi włosami mogła być Sydonią. Odetchnąłem chrapliwie.

- Ile masz lat, Sefiro? - zapytałem.

Jej przysłonięta twarz obróciła się w stronę, z której płynął mój głos. - Zeszłej jesieni skończyłam osiemnaście, panie. - Wiek pełnoletności. - Zaśmiałem się. - Czy wiesz, czego pragniesz? - Ciebie, panie - odparła po prostu.

- Dlaczego mam ci wierzyć?

Przybliżyła się o następny krok i sięgnęła po moją rękę, po czym wsunęła ją między uda. Musnąłem ją palcami i stwierdziłem, że jest wilgotna i śliska. Miała spulchnione dolne wargi. Perła Naamy ożyła, kiedy ją potarłem, i Safira sapnęła.

- Wierz mi, panie - wydyszała rwącym się głosem.

Wtedy uwierzyłem. Chwytając oburącz jej głowę, pocałowałem ją mocno, czując, jak rozchyła usta, jak jej ciało napiera na mnie z desperacją i pożądliwie.

Było zupełnie inaczej niż w Domu Melisy; nie przypominało niczego co dotychczas poznałem. Tej nocy doszły do głosu wszystkie moje skryte tęsknoty, wszystkie mroczne pragnienia, które bałem się wyrazić. Pożerałem jej usta, plądrowałem ich wnętrze językiem. Przebiegłem rękami po jej bokach, chwyciłem pośladki, przyciągnąłem ją

do siebie, pocierając jej nagim łonem o mój sztywny fallus, uwięziony w spodniach. Wszystko było dozwolone, wszystko spotykało się z aprobatą.

-Podoba ci się? - zapytałem szorstko.

-Tak, panie! - wydyszała. - Tak!

Macając po poduszkach, znalazłem upuszczone przybory, parę szczypiec o kolistym kształcie. Były srebrne i ciężkie. Ująłem w dłonie je piersi, musnąłem kciukami sterzące brodawki, złożyłem na każdej pocałunek.

- Tutaj - mruknąłem - i tutaj.

Sefira jęknęła, gdy przypiąłem szczypce, jej piersi się kołysały, sutki zesztyniały jeszcze bardziej pod ciężarem srebra. Widok był dość dziwaczny, by doprowadzić mnie do szaleństwa.

- Odwróć się - warknąłem.

Posłuszna mojej niewypowiedzianej komendzie, ruszyła po omacku do krzyża. Stała przed nim w rozkroku, z rozłożonymi rękami. Zapiałem skórzane pasy na jej nadgarstkach i kostkach, i nagle spostrzegłem, że płacze bezgłośnie, nie zdając sobie z tego sprawy. Sefira obróciła ku mnie

głowę z zawiązanymi oczyma.

-Tak, panie - rzekła cicho. - Lubię to, proszę. Strzepnąłem łzy.

-Dlaczego?

Wyprężyła się w pętach, trąc wzdłuż łonowym o szorstkie drewno krzyża, nie bacząc na drzazgi.

-Oboje tego chcemy, panie. Czy to ma znaczenie?

-Tak. Dla mnie ma.

-Nie wiem! - Głos się jej załamał. Ocierała się bezradnie o drewno. - Proszę cię, panie! Ulżyj mi, błagam.

Nie mogłem znieść jej żądz, ani własnej; nie mogłem znieść ciężaru ich połączonej niecierpliwości. Nić, która nas wiązała, napięła się moc nóg. Ustawiłem się za nią, szukając na poduszkach bicia z jeleniej skóry.

Chwyciłem go mocno, czując, jak plecionka rękonoży odciska się na wnętrzu mojej spoconej dłoni, i zrobiłem zamach.

Tuzin miękkich rzemieni spadł na pośladki Sefiry.

Szarpnęła się w więzach, wzdychając.



Och, Elua! To było dobre uczucie, takie dobre. Wymachiwałem biczem, patrząc, jak słodkie różowe pręgi kwitną na jej skórze, jak rzemienie całują jej pośladki, jak okręcają się wokół klatki piersiowej. Tu, tak. Tu i tu. Fala przyjemności zalewała nas oboje, mnie kłaśnięcia rzemieni podniecały, jej niosły głęboką ulgę, uwalniając od nadmiaru żądy. Płynąłem niczym statek na grzbiecie tej spienionej fali. Zmęczyła mi się ręka, gdy machałem biczem, zatracony w rytmie, pragnąc zmusić Sefirę do wicia się i jęczenia, do wypowiedzenia *signale*. Ten bicz był delikatny w porównaniu z innymi zabawkami, i dlatego go wybrałem, świadom, że jestem nowicjuszem. Ale spełnił swoją rolę, otwierając drogę innym możliwościom, tym widzianym w lochu Szachri-zaj, w wilgotnych cieniach Daršangi.

Nie miałem odwagi o nich myśleć.

- Masz dość? - szepnąłem w końcu chrapliwie.

Sefira się wiała.

- Tak, panie!

Odpiąłem skórzane pasy, które wiązały Sefirę do krzyża, rzuciłem ją na miękkie poduszki i przycisnąłem własnym ciałem. Miałem erekcję, bolał mnie twardy fallus, mocno podkurczone jądra omal nie pękły. Wsparty nad nią na ręce, uwolniłem się drżącymi palcami, chwyciłem berło i rozsunąłem jej dolne wargi jego koroną.

- Czy tego chcesz? - wyszeptałem.

Przekręciła głowę z zawiązanymi oczyma.

- Tak, panie! I nie oszczędzaj mnie ani siebie!

Te słowa doprowadziły mnie do ostateczności. Wbiłem się w nią, dygając twardo raz za razem. Moja kolej, moja przyjemność. Wszelkie racjonalne myśli uciekły mi z głowy, kierowała mną tylko ślepa, pilna potrzeba podbicia uległego, chętnego ciała, które miałem pod sobą. Czułem, jak jej łono wznosi się na spotkanie z moim, jak uda rozsuwają się coraz szerzej, żeby przyjąć mnie jak najgłębiej. Czułem, jak Sefira szczytuje, ukryte mięśnie uciskały moje berło niczym palce dójki, które wprawnie suną po wymieniu. Nie słyszałem głosu mówiącego, że to też jest święte, tylko jej przyspieszony oddech przy uchu.

- Tak, tak, o tak, panie!

W przypiływie nienawiści do samego siebie, odczuwając najbardziej dojmującą rozkosz, jakiej dotychczas zaznałem, wytrysnąłem w nią z cichym jękiem.

Po wszystkim.

Stoczyłem się z niej i ległem na plecach, oddychając ciężko i patrząc w sufit. Po chwili Sefira usiadła, wyciągając na osłep rękę.

- Panie? - Głos miała niepewny. Pod czarnym jedwabiem opaski usta były posiniaczone i opuchnięte. Widziałem ślady moich paznokci jej nagich kremowych ramionach. - Czy nie jesteś ze mnie zadowolony, panie?

- Jestem - odparłem ze znużeniem w głosie. - Zdejmij opaskę, proszę. Posłuchała. Spojrzała na mnie, mrugając. Na jej twarzy, okolonej

zmierzwionymi złotymi włosami, nie doszukałem się wstydu; widziałem tylko zakłopotanie przemieszane z przemijającym uniesieniem. Po chwili uklękła obok mnie i wygładziła moje ubranie sprawnymi dłońmi adepta. Kiedy skończyła, przysiadła na piętach i złożyła ręce na łonie.

- Nie jesteś taki jak inni - rzekła cicho. - Prawda, panie?

- Nie, nie jestem. - Pokój obracał się przed moimi oczyma. Zamknąłem powieki, żeby uwolnić się od widoku wirujących belek. Nie mogłbym powiedzieć, czy byłem pijany, wyczerpany, czy może chory na duszy. Wiedziałem tylko, że pode mną otwiera się otchłań. - Powiedz Mavrosowi...

Czekała chwilę. - Tak, panie? Uśmiechnąłem się lekko.

- Promyk słońca.

I zaraz potem pochłonęła mnie ciemność.

## DWADZIEŚCIA OSIEM

---

Zbudziłem się z głową pękającą z bólu.

- Miłego poranka, promyczku! - oznajmił Mavros wesoło. Skrzywiłem się, usiadłem i zobaczyłem, że jestem w obcym zbytkownym łożu z baldachimem. Mavros rozpiął się w stojącym obok fotelu, z wyciągniętymi nogami, z obcasem jednego buta wspartym na nosku drugiego.

Spojrzałem na niego spod przymrużonych powiek.

- Gdzie ja jestem?

- W Domu u Waleriany. W kwaterach klientów. - Wstał i klasnął w ręce. - Chodź kuchynie! Ubierz się i zmykajmy stąd. Twój człowiek Gilot przez cały ranek patrzył na mnie z mordem w oczach.

- Gdzie moje ubrania? - Rozejrzałem się. Boląca głowa wydawała się sztywna i ciężka. Pomacałem ją drętwymi palcami. - Co się stało z moją głową?

- Za dużo gruszkowej brandy - wyjaśnił Mavros, rzucając mi ubranie.- Trzymaj.

- Warkocze - wymamrotałem. - Zupełnie zapomniałem. - Tak, racja. - Przysiadł na skraju łóżka, patrząc na mnie. - Poszło niezupełnie tak, jak mieliśmy nadzieję, prawda? Zacząłem kręcić głową i znowu się skrzywiłem. - Tak, przepraszam.

- Nie, to ja przepraszam. - Jego głos spoważniał. - Za wiele jak na pierwszy raz. Nie powinienem na ciebie naciskać. - Obrzucił mnie zaciekawionym spojrzeniem. - Dlaczego kazałeś dziewczynie podać mi jej *signale*?

Wzruszyłem ramionami i zacząłem się ubierać.

- Bo nie miałem własnego. Uniósł brwi.

- Nie powinienś go potrzebować.

- Wiem. - Odetchnąłem głęboko. - Mavrosie... to nie twoja wina. To, co się tutaj stało. Miałaś rację, to jest częścią mojej natury i musiałem się z tym zmierzyć. Musiał być ten pierwszy raz i być może nie będzie ostatnim. Mam pragnienie we krwi. Ale nie jestem taki jak wy. Nie umiem w tym uczestniczyć i zwać tego zabawą. Nie potrafię uciec przed cieniem przeszłości.

- To miejsce - powiedział. - Daršanga.

- Daršanga. - Wciągnąłem jeden but i wyprostowałem się, żeby odpocząć. - Wiesz, Fedra kiedyś powiedziała, że podałaaby swój *signale*, gdyby tylko były tam uszy mogące go wysłuchać.

- Jestem tego pewien - mruknął.

Pomyślałem o zenanie, o kobietach i chłopcach, którzy tam pomarli; pomyślałem o ropiejących ranach i okaleczonych ciałach. Pomyślałem o klęczeniu w kałuży moczu mahrkagira i własnej żółci, o wstrętnym smaku w ustach, o plamach krwi i poderżniętym gardle Lilki. Włożyłem drugi but i wstałem, przytrzymując się ramienia Mavrosa, żeby nie stracić

-Nie masz o tym pojęcia - powiedziałem.

-Więc mnie oświeć. - Podtrzymał mnie. - Zajęliśmy u regulowaniem należności i darami klientów. Jesteś gotów jechać do domu?

Skinąłem bolącą, ciężką od warkoczy głową.

- Tak, proszę.

Na zewnątrz poczułem się odrobinę lepiej. Jasne słońce i hałas Miasta drażniły, ale świeże powietrze przewietrzyło mi głowę. Cieszyłem się, że jadę na Bękarcie, a nie zamknięty w pudle powozu. Podziękowałem Gilotowi za to, że na mnie czekał.

- Nie dziękuj - rzucił obcesowo. - Zrobiłem to dla jaśnie pani. Martwi się.

Poczułem uścisk w żołądku.

- Jestem pełnoletni, Gilocie.

- Tak, i właśnie dlatego się martwi.

Mavros jechał z nami, elegancki i wesoły, na rośłym karym wałachu. Inni, jak się dowiedziałem, opuścili Dom Waleriany wczesnym rankiem, długo po tym, jak straż duejna przeniosły moją nieprzytomną osobę do kwater klientów. Pojechał z krewniakami i wrócił po mnie sam.

- Dziękuję, Mavrosie - powiedziałem przed bramą rezydencji. - Jesteś

przyjacielem z krwi i kości. Uśmiechnął się do mnie.

- Zauroczyłeś ją, wiesz. Zarumieniłem się.

- Kogo?

- Adeptkę, Sefirę. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Nawet w Domu Waleriany plotkują, zwłaszcza gdy myślą, że ich nie słyszymy. „Dziwny

chłopak, obdarzony rozbijającą słodyczą", tak powiedziała. Gilot zaśmiał się.

Pomyślałem o tym, co zrobiłem, i omal się nie zakrztusiłem.

- Słodyczą?

- Na swój sposób. - Mavros dotknął mojego ramienia. - Trzymaj się, kuzynie. Jeśli odczujesz potrzebę mówienia, zawsze cię chętnie wysłucham.

Patrzyłem, jak odjeżdża, i w głębi duszy mu zazdrościłem. W naszych żyłach płynęła ta sama krew, prześladowały nas te same mroczne żądze. Czy źle byłoby znosić je tak lekko? Po tym, co widziałem, nie miałem pewności. Adeptci i klienci Domu Waleriany czerpią czystą przyjemność z tego jacy są, przestrzegając przykazania Błogosławionego Elui, w naturalny sposób rozkoszując się własną naturą i subtelnym przekazywaniem władzy. Ja byłem tym, który nie pasował.

- Imri. - Gilot skinął głową w stronę domu. - Idziemy.

Stajenny otworzył bramę i zajął się naszymi wierzchowcami. Poklepałem Bękarta po karku, gdy Benoit go odprowadzał, obiecując mu przejażdżkę jutro, kiedy pajęczyny znikną z mojej głowy. Wszedłem z Gilotem do domu.

- Wasza Wysokość, zamartwialiśmy się o ciebie! - zbesztła mnie Eugenia.

- Niepotrzebnie, Eugenio. - Ton jej głosu pogorszył ból głowy, co mnie rozdrażniło.  
- Czy Mavros nie przysłał wiadomości? - Tak, ale... - Ugryzła się w język. - Powiem jaśnie pani, że już jesteś. Fedra stanęła w drzwiach za jej plecami.

- Dziękuję, Eugenio. Nie ma potrzeby. - Wyminęła gospodynię, patrząc na mnie z przekrzywioną głową i zmarszczką troski pomiędzy brwiami. - Dobrze się czujesz, skarbie? Bez słowa wyszedłeś z przyjęcia Roxany.

Wydawało mi się, że to było dawno temu. Nieomal zapomniałem.

- Dobrze - odparłem krótko. - Jestem zmęczony, to wszystko. Później z tobą porozmawiam.

- Wyglądasz, jakbyś miał gorączkę. - Mars na jej czole się pogłębił. - Niech sprawdzą.

Chwyciłem ją za nadgarstek, gdy sięgnęła do mojego czoła. - Nic mi nie jest!

W tej chwili, w rej jednej chwili, wszystko zmieniło się na zawsze. Poczulem, jak puls Fedry przyspiesza pod moim kciukiem, i spojrzałem na nią, po raz pierwszy, jako jeden z potomków Kusziela. Jej oczy patrzyły na mnie, szerokie i ciemne, szkarłatna cętka pływała w lewej tęczęwce - znak Strzały Kusziela, wypisane krwią wyzwanie. Moja krew przyspieszyła w odpowiedzi, rycząc mi w uszach. Czułem wokół siebie otchłań i miałem świadomość, że nigdy jej nie opuściłem. W tej chwili pojąłem, że gra, którą prowadziłem w Domu Waleriany, była tylko grą, ludzką i nieszkodliwą. Wiedziałem też, że gra z Fedrą nó Delaunay jest grą z wybranką boga, która jest zdolna do uległości na wiele sposobów, jakich nie potrafiłem sobie wyobrazić.

I zobaczyłem, że Fedra wie, co czuję.

Przez chwilę trwaliśmy w bezruchu, zamrożeni przez tę obopólną wiedzę. Potem pchnąłem ją, mocno, a ona w tym samym momencie uwolniła rękę. Zrobiłem dwa kroki i zgiąłem się wpół, wymiotując na podłogę.

Żółć i kwaśne resztki wypitej brandy bryznęły mi na buty.

- Imrielu... - Kroki zabrzmiały za moimi plecami.

- Nie pochodź! - Wsparłem rękę na kolanach, podnosząc drugą. Warkoczyki spadły mi na oczy i zasłaniały twarz, ograniczając pole widzenia. - Zostaw mnie. Po prostu... zostaw mnie w spokoju.

- Dobrze, skarbie.

W jej głosie brzmiał bezbrzeżny smutek. Fedra wiedziała, zawsze wie działa. Czekalem i dopiero gdy uslyszałem, że odchodzi, wyprostowałem się i wytarłem usta, po czym ruszyłem ku schodom i azyłowi mojego pokoju.

Miska była pełna. Zanurzyłem głowę w chłodnej wodzie i uniosłem ją, nie bacząc, że strugi leją się na podłogę. Spojrzałem w lustro na twarz nieznajomego. Fedra miała rację, wyglądałem, jakbym miał gorączkę. Skórę miałem bladą, mocno napiętą na kościach policzkowych, oczy zbyt błyszczące, płonące niebieskim żarem. Ociekające wodą warkocze oblały moją twarz niczym setki łańcuchów.

Warknąłem i zacząłem je rozplatać.

Szło zbyt powoli. Woskowane nici, których użyła Roszana, były ma nó zawiązane, a ciepło lochu Waleriany rozmiękczyło wosk i wtopiło go we włosy. Próbowałem bez powodzenia rozplatać jeden, potem dnie coraz bardziej zniecierpliwiony. Poddając się, wyjąłem sztylet z pochwy u pasa i przeciąłem warkocz. Ciąłem jeden po drugim, rzucając je na podłogę. Sprawiało mi to pewną ponurą satysfakcję.

- Wasza Wysokość! - Usłyszałem sapanie i grzechot naczyń.

Odwróciłem się ze sztyletem w ręce. W drzwiach stała Clory, siostrzenica Eugonii. Trzymała tacę z miską parującego rosółu. Wywar ściekał po bokach naczyń.

- Odejdź, Clory. Miała przerażoną minę.

- Eugenia kazała... Podniosłem głos.

- Wyjdź, Clory!

Postawiła tacę na szafce nocnej i uciekła. Przeciąłem ostatni przeklęty warkocz, potem opadłem na brzeg łóżka i schowałem twarz w dłoniach.

Chciałem płakać. Chciałem złorzeczyć i pomstować na bogów. Chciałem cofnąć się w czasie o jeden dzień. Chciałem być kimś innym.

Skoro nie mogłem niczego zmienić, dałem sobie spokój. Podniosłem czarę, którą przyniosła Clory, i wypilem rosół. Rzuciłem puste naczynie na podłogę. Roztrzaskało się w drobny mak. Trzepnąłem usta grzbietem dłoni i poszedłem zrobić jedyną rozsądną rzecz, jaka przyszła mi na myśl.

- Imri! - Gilot skoczył na równe nogi, gdy maszerowałem przez salon. - Dokąd idziesz?

- Do miasta - odparłem krótko.

- Idę z tobą. - Choć oczy miał zaczerwienione ze zmęczenia, jego twarz wyrażała zdecydowanie i upór. Instykt go nie zawiódł, skoro czekał tu na mnie.

Wzruszyłem ramionami.

- Jak chcesz.

W stajni Benoit spojrział na nas ze zdziwieniem, ale powstrzymał się od komentarza. Osiodłał nasze wierzchowce i otworzył bramę. Ruszyliśmy do Miasta Elui. Gilot spojrział na mnie.

- Dokąd jedziemy, Wasza Wysokość?

- Ile jest w Mieście winiarni i gospód? - zapytałem. - Tuziny - odparł. - A dlaczego?

- Ponieważ - zacząłem ponuro - zamierzam się spić na umór. Spełniłem postawiony sobie cel.

Nie wiem, ile karczm odwiedziliśmy. Niektóre z nich, jak „Kogutek”, znałem. Nie znalazłem jednak wytchnienia, ani tam, ani nigdzie indziej, wypijaliśmy kufle piwa, dzbanki wina, i przenosiliśmy się do następnej gospody, od Progu Nocy po serce właściwego Miasta. A raczej to ja piłem, Gilot tylko dotrzymywał mi towarzysztwa, zachowując trzeźwą głowę. W pewnym momencie udało mu się zmusić mnie do jedzenia, choć to niewiele pomogło. Bez względu na to, ile piwa i wina wlewałem do gardła, nie wystarczało do zapełnienia otchłani.

Nie mogłem uciec przed sobą.

- Jest pewna sztuczka - wybełkotałem pijacko do Gilota. W tym czasie słońce już dawno zaszło. - Polega na tym, żeby uczynić się naczyniem, w którym nie ma siebie. Ona tak robiła, wiesz. - Czknąłem. - To znaczy, Fedra.

Przestawił kubek z winem poza zasięg mojej ręki. - Co robiła?

Pogroziłem mu palcem, potem rzuciłem się na stół, żeby odzyskać kubek.

- Ma Imię Boga. - Szczodrze dolałem wina, aż chlusnęło na stół. Trzyma je w głowie, wiesz.

- Tak, wiem. - Gilot westchnął. - Jesteś gotów wracać do domu?

- Nie! - Zgarbiłem się nad kubkiem i spojrzałem na niego gniewnie. - Nie... nie rozumiesz. Byliśmy tam, w świątyni. Kaporet. Dźgnąłem jednego z ludzi Hanocha na progu świątyni. Ona była gotowa oddać za mnie życie, Gilot! A ja odpłacam się w ten sposób?

- Jeśli chcesz się odwdzińczyć, wróć do domu i porozmawiaj z nią - poradził cierpliwie.

Osuszyłem kubek i przechyliłem nad nim dzban. Jedna kropelka wina zawisła na dziobku. Potrząsnąłem nierówno ściętymi włosami.

- Nie. Jeszcze nie.

Skończyliśmy w podejrzanym szynku nad rzeką Awiliną. Było to niebezpieczne miejsce, naprawdę niebezpieczne, zupełnie niepodobne do tych, do których młoda szlachta Miasta zagląda często w poszukiwaniu dreszczyku emocji. Podawali tylko piwo, bez wina. Barczyści flisacy gar bili się nad kuflami. Spodobało mi się tam, bo nikt nie wiedział, kim jestem, albo o to nie dbał.

Wszcząłem awanturę z jednym z przewoźników.

Nie pamiętam, o co poszło. Pewnie o nic, nawet nie znałem człowieka. Ale udało mi się go obrazić do tego stopnia, że ściągnął mnie ze stołka trzymając za przód wamsu, i groził mi wielką niczym bochen pięścią. Gilot stanął w mojej obronie, a chwilę później zniknął pod stosem kamratów przewoźnika, miotając się i przeklinając.

- Przepróż, paniczu - zadudnił wielkolud. Zwisiałem z jego garści, śmiejąc się jak idiota.

- Za co? - parsknąłem. - Powiedz mi, masz siostrę? Nie miałbym nic przeciwko, żeby się z nią zabawić, jeśli tylko pozwoli mi zamknąć oczy.

Otworzyły się drzwi od ulicy i nagle z niewiadomego powodu w szynku się uciszyło.

Mój przeciwnik obrócił głowę. Kołysząc się w jego garści, zrobiłem to samo.

Joscelin stał w progu, rękojeść długiego miecza sterczała nad jego ramieniem.

- Widzisz to? - Uśmiechałem się głupawo, bezpieczny w obecności przybranego ojca. - Chciałbym to umieć. Wystarczy, że się pokaże, a zapada martwa cisza. Dlaczego ja tego nie potrafię?

Joscelin skinął głową do mężczyzny.

- Śmiało. Przypuszczam, że zasłużył na jeden.

- Jos... - Zdołałem wykrztusić tylko pierwszą sylabę imienia, bo wielki kułak trzasnął mnie w twarz. Choć byłem pijany, poczułem dojmujący ból i gwiazdy rozbłysły mi przed oczami. Bolało. Bardzo bolało, bardziej niż wszystko, co spotkało mnie od czasów Daršangi. Sapnąłem, otwierając zakrwawione usta, wciąż wisząc w garści przewoźnika. Widziałem, jak robi zamach do drugiego ciosu, prężąc potężne mięśnie.

- Jeden, powiedziałem.

Oslonięta karwaszem prawa ręka Joscelina zatrzymała pięść. Druga zawisła nad rękojeścią sztyletu. Mężczyzna pokiwał głową, słuchając głosu rozsądku, i rzucił mnie w jego stronę.

- Weź go sobie - mruknął z odrazą. Zatoczyłem się w ramiona Josceiina. - Dziękuję - wymamrotałem.



Podtrzymał mnie bez wysiłku i machnął ręką w głąb szynku.

- Gilot.

Gromada się rozpierzchła, pozwalając wstać mojemu zbrojnemu. Gilot dźwignął się na nogi z dłonią na rękojeści miecza, z furią na twarzy, słabnącą w miarę, jak ogarniał wzrokiem scenę. Joscelin wskazał głową drzwi.

- Idź - rzekł cicho. - Zasłużyłeś na odpoczynek. Gilot wyszedł z głębokim westchnieniem.

Podtrzymując mnie jedną ręką, Joscelin sięgnął do sakiewki i rzucił na szynkwias kilka srebrnych dukatów.

- Z przeprosinami - powiedział. Szynkarz pokiwał głową. - Żaden kłopot, panie.

Na zewnątrz Joscelin mnie puścił. Spojrzałem na niego, mrużąc oczy, widząc trzy falujące postacie, i skupiłem się mocno na zachowaniu pionowej postawy. Ziemia kołysała mi się pod nogami, kolana miałem jak z waty. Na szczęście, po pierwszym wybuchu ból zmalął. Twarz miałem gorącą i zdrętwiałą, coś ciepłego spływało mi po brodzie. Joscelin patrzył na mnie, stojąc z założonymi rękami.

- Straciłeś zęby? - zapytał.

Wyplułem krew i pomacałem językiem.

- Chyba nie - wymamrotałem. - Parę się poluzowało.

Skinał głowę.

- Nie ma się czym przejmować. - Zapłacił ulicznikowi, który przed szynkiem trzymał Bękartą i jego konia. Wziął od niego wodze. - Chodź.

Poprowadził oba wierzchowce. Szły za nim posłusznie. Po chwili ruszyłem, zataczając się, za nimi.

Szliśmy dość długo. Było późno, w Mieście panowała cisza. Po jakimś czasie zacząłem czuć się bardziej chory niż pijany. Musiałem przystanąć kilka razy, żeby wymiotować, wyrzucając zawartość żołądka na brukowane ulice, aż poczułem się pustym niczym wydrążona dynia.

Na Placu Elui Joscelin przywiązał konie i dał mi odpocząć. Zanurzyłem głowę w chłodnej wodzie fontanny delfinów, obmyłem obitą twarz i przepłukałem usta, potem złożyłem ręce w miseczkę i napiłem się do syta. Nigdy w życiu nie piłem lepszej wody.

- Lepiej się czujesz? - zapytał Joscelin.

- Tak. - Twarz mnie bolała, a sztywne, spuchnięte usta utrudniały mówienie, lecz zacząłem trzeźwieć. - Trochę. - Usiadłem na kamienne ławce, gdzie kiedyś czekałem na przybycie nieistniejącego konspiratora,

Joscelin usiadł obok mnie.

- Fedra ci powiedziała? - zapytałem go.

Nie odpowiedział od razu, patrząc w gwiazdy. Były gęsto usiane tej nocy, jasne na tle czarnego nieba.

- Nie mogę patrzeć na gwiazdy bez rozmyślania o tamtej nocy- mruknął. - Gdy szukaliśmy Kaporetu. - Spojrzał na mnie. - Powiedziała, że przypuszcza, iż poszedłeś zmierzyć się ze swoim dziedzictwem.

- Poszedłem do Domu Waleriany. I... - Umknąłem wzrokiem.

- A potem wróciłeś do domu - dokończył. Wiedział.

Było mi niedobrze i ten stan nie miał nic wspólnego z podłym piwem. Czuję się chory na sercu, chory z poczucia winy i ze wstydu. Milczałem przetykając łzy, próbując zachowywać się jak przystało na mężczyznę

- Imri, skarbie. - Łagodność tonu Joscelina niemal zniweczyła moje starania. - Jesteś, jaki jesteś. Nie możemy wybierać darów, które nam pozo stawili nam w spadku bogowie, możemy tylko decydować, co z nimi zrobić. Wierz mi, nikt nie wie tego lepiej niż Fedra. - Uśmiechnął się lekko, gładząc moje postrzępione włosy. - Choć być może ja jestem tuż za nią.

- Odchodzę - oznajmiłem. - Jadę do Tyberium.

- Jesteś pewien? - Przyglądał mi się uważnie. - Możemy przez to przebrnąć, Imri. Razem stawialiśmy czoło gorszym rzeczom.

- Jestem pewien. - Pomyślałem o tym, co czeka mnie w Mieście Elui. Królowa i cruarcha pchający mnie w ramiona Dorelei, z jej śmiechem słodkiego dziecka i albańskiej niewinnością. Moja młoda królewska kuzynka Sydonia i żar tłący się pomiędzy nami. Dom Waleriany, gdzie piękna adeptka oznajmiła, że jest mną zauroczona. Wszystko to sumowało się w jedną wielką katastrofę. Otarłem łzy grzbietem ręki. - Nie mogę zostać.

- Żałuję - rzekł Joscelin.

- Wiem. - Uśmiechnąłem się do niego, choć zaboląła mnie twarz. - Nie znaczy to, że Miasto jest dla mnie za małe, albo Montrève, albo nawet Terre d'Ange. Chodzi o mnie. Muszę dorosnąć. Muszę dowiedzieć się, kim jestem. Tutaj nie zdołam tego osiągnąć. Nie bez krzywdzenia ludzi, których kocham.

Skinął głową.

- Niech zatem tak będzie. Juro rozpoczniemy przygotowania.

Wstaliśmy. Objąłem go pod wpływem nagłego impulsu, zarzucając mu rękę na szyję i przytulając go mocno. Joscelin odwzajemnił uścisk, mocno mnie przytrzymując. Po raz ostatni stanąłem w zaczarowanym kręgu jego ochrony, świadom, że dopóki tam jestem, nie może mnie spotkać nic złego.

Przez parę uderzeń serca tak wyglądała prawda.

Ale nie byłem już dzieckiem, a on nie mógł mnie chronić przede mną samym. Był dość mądry, żeby nie próbować, i ja o tym wiedziałem.

- Będę za tobą tęsknić - szepnąłem. - Bardzo! - Ja za tobą też - mruknął. - Ja też, skarbie.

Napiął mięśnie ramion, a potem mnie puścił. W nikłym świetle gwiazd zobaczyłem, po raz pierwszy odkąd sięgam pamięcią, błysk łez w oczach Joscelina.

Potrząsnął głową, żeby się ich pozbyć. - Chodź - powiedział. - Wracajmy do domu.

## DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

---

Rankiem musiałem porozmawiać z Fedrą.

Odkładałem to najdłużej jak mogłem. Wróciliśmy z Joscelinem w środku nocy, większość domowników spała, przywitał nas tylko Hugues z zaczerwienionymi oczyma. Poszedłem do łóżka i spałem jak zabity. Ale w końcu musiałem wstać.

Głód wypędził mnie z pokoju. W moim brzuchu, wyczyszczonym ze

wszystkiego, co zawierał poprzedniego dnia, burczało złowieszczo. Kiedy usłyszałem wzywający na posiłek dzwonek Eugenii, zszedłem ni. dół na drżących nogach.

- Dzień dobry - wymamrotałem, zajmując miejsce przy stole. Fedra patrzyła na mnie z umiarkowanym zdumieniem. Uderzyła mnie

na nowo fala pożądania, wspomnienie pulsu skaczącego pod moim kciukiem. Mój pusty żołądek fiknął kozła.

- Co? - zapytałem zaczepnym tonem. - O co chodzi?

- Twoje włosy - odparła. - I usta. Joscelin kaszlnął.

Oblizalem pękniętą wargę i skrzywiłem się. Zasłużyłem na to. A włosy... - Pomacałem niezliczone postrzępione obcięte kikuty na wpół rozplecionych warkoczyków. - Byłem zły- wyjaśniłem kulawo.

- Wiem. - Jej głos złagodniał. - Pozwolisz mi przynajmniej wyrównać? To miał być swego rodzaju sprawdzian. Dzielił nas niedawny incydent, uznany przez obie strony, choć nie został ujęty w słowa. Skinąłem głową i zacząłem napełniać talerz.

Później wziąłem kąpiel, mocząc się w wannie podgrzanej wody i wonnych olejków. Poczulem się lepiej. Po kąpeli Fedra zajęła się moimi włosami.

Siedziałem na podnóżku, owinięty w szlafrok, nisko pochylony.

Każdy mięsień w moim ciele był mocno napięty. Fedra kościanym grzebieniem rozczesala splątane resztki moich szachrizajskich warkoczyków. Miała zwinne ręce. Jak-żeby inaczej? Została wyszkolona jako adeptka Dworu Nocy. A jednak tym razem w jej dotyku było coś bezosobowe go, coś, co tłumilo požądanie. Słyszałem pogłoski, że adepci wszystkich Trzynastu Domów znają taką sztuczkę. To jeden z sekretów Dworu Nocy, o których się nie mówi. Może to prawda. Wiem tylko, że byłem wdzięczny.

- Nie ruszaj się, skarbie - mruknęła Fedra.

Poczulem na policzku zimny pocałunek stalowych nożyc.

- Ufam ci - powiedziałem, zamykając oczy. - Zawsze będę ci ufać. Zawsze.

Nożyce szczękały miarowo. Skuliłem się i siedziałem bez ruchu wśród fruujących ścinków włosów. Trwało to jakiś czas. W końcu nożyce ucichły, a Fedra roześmiała się cicho, i był to śmiech pełen cichego żalu.

- Patrz - powiedziała, prowadząc mnie do lustra. - Prawdziwy tyberyjski pan.

Spojrzałem. Moje włosy układały się w puszystą, lśniącą czapkę, przycięte na tyle, żeby odsłaniać uszy, nad czołem łamiące się w falach. Napotkałem w lustrze jej oczy. W ten sposób było łatwiej.

- Przepraszam - powiedziałem. - Na Eluę, tak mi przykro.

- Nie ma potrzeby. - Fedra położyła ręce na moich ramionach. Patrząc w lustro, mierzyła się ze mną wzrokiem. - Jesteśmy, jacy jesteśmy, Imrielu. Błogosławiony Elua ma swoje powody.

- Modłę się, żeby tak było - szepnąłem.

- Ma. - Odwróciła mnie. - Idź opracować plany podróży.

Najpierw spotkałem się z jej zarządcą, obecnie również moim. Osiągnąwszy pełnoletność, miałem prawo czerpać zyski z moich majątków. Jacques Brenin zaaranżował przekazanie funduszy, dając mi list, który miał mi pozwolić na korzystanie z usług jednego z największych banków Tyberium. Następnie spotkałem się z królową i przedstawiłem jej swoją decyzję. Po raz pierwszy rozmawiałem z nią sam na sam. Ysandra wpadła w gniew.

Patrzyłem, jak krąży po prywatnym salonie, ze szkarłatnymi plamami na policzkach. Ysandra de la Courcel, królowa Terre d'Ange, nie lubi, gdy ktoś miesza jej szyki. Zatrzymała się przede mną.

- Dlaczego, Imrielu? - zapytała z napięciem w głosie. - Dlaczego?

- Ponieważ - zacząłem cicho - Dorelei mab Breidaja wydaje się miłą dziewczyną, Wasza Królewska Mość, słodką i dobrą. A ja nie jestem miły. - Pokręciłem głową. - Nie jestem ani trochę miły. Zasłużyła na lepszy los.

- Imrielu. - Królowa wyprostowała ramiona. - Od tego zależy los królestwa.

- Czym jest królestwo? - zapytałem filozoficznie. - Sam Błogosławiony Elua nie dbał o trony ani o politykę śmiertelnych. - Roześmiałem się, widząc jej minę. - Słyszałaś już wcześniej te słowa? Tak, Wasza Królewska Mość. wychodzi na to, że ostatecznie jestem synem mojej matki. Czy nie życzysz mi dobrej podróży?

- Nie. - W oczach Ysandry coś błysnęło, odwaga i nieugiętość. - Nie - powtórzyła. - Nie uczynię tego. Bez względu na to, co postanowisz, jesteś członkiem rodu de la Courcel, teraz i zawsze.

Ukloniłem się.

- A jednak wyjeżdżam.

Pożegnałem się z tymi, którzy coś dla mnie znaczyli. Najważniejsza wśród nich była Alais. Dokładała wszelkich starań, żeby robić obojętną minę, gdy klęczała na marmurowej posadzce w swojej komnacie i przytulała Celestę, która zносиła to z zatroskaną cierpliwością.

- Nie jedź - poprosiła. - Nie zostawiaj mnie, proszę!

- Przykro mi, opryszku. - Kucnąłem przed nią, próbując ją nakłonić do spojrzenia na mnie. - Muszę. Uparcie odwracała głowę.

- Miałeś być moim bratem!

- I jestem, w sercu. - Dotknąłem jej mokrego od łez policzka. - Postanowiłaś zgodzić się na zaręczyny? Alais pokiwała głową.

- Nie mogłam wymyślić powodu odmowy - wyszeptala. - Ale myślałam, że będziesz przy mnie, Imri.

- Alais! Przykro mi. - Opadłem na kolana.

W końcu przestała się bocyć i zarzuciła mi ręce na szyję, mocząc ją łzami. Czułem, jak drżą jej szczupłe ramiona. Obejmowałem ją, z trudem przełykając ślinę, bo coś stało mi w gardle. Przy Alais byłem lepszym sobą, tym najlepszym. Wiedziałem, że będę za nią tęsknić.

- Wróć - szepnąłem w jej splecione włosy. - Obiecuję. Odsunęła się, pociągając nosem.

- Przysięgnij! Uniosłem rękę.

- Na Błogosławionego Eluę, przysięgam.

Nie zadałem sobie trudu, żeby porozmawiać z którymkolwiek z by łych przyjaciół wśród młodych dworzan, ale złożyłem wizytę Mavrosowi w domu jego ojca. Mavros tylko skinął głową, gdy wyjawilem mu swoją decyzję, spokojny i wcale nie zaskoczony. Po scenie z Alais, byłem z tego rad.

- Kiedy ruszasz? - zapytał.

- Za trzy dni - odparłem. - Statek handlowy wypływa z Marsilikos.

Muszę zabukować miejsce.

- Sam?

- Chciałbym. - Uśmiechnąłem się krzywo, usiłując oszczędzać gojące się usta. - I miałbym ku temu wszelkie prawa. Nikt nie mógłby nic zrobić, bo przecież jestem pełnoletni. Ale nie. Gilot jedzie ze mną do Tyberium. W zasadzie nie nadaje się do niczego innego, bo ma złamane serce, więc uznał, że czemu nie. A ja nie miałem sumienia się sprzeciwić.

- To dobrze. - Mavros uniósł brwi. - Jak by na to patrzeć, Imrielu, masz wrogów. Drużyna byłaby lepsza, ale przynajmniej dwaj są silniejsi niż jeden. - Milczał przez chwilę. - Zobaczysz się z Sydonią przed wyjazdem?

Wzruszyłem ramionami. - Po co? To nie ma sensu. Tylko na mnie popatrzyl.

- No dobrze! - Spojrzałem na niego gniewnie. - Nie. Nie zdołam wymyślić sposobu. Dyskretnego sposobu. Mavros zachichotał i skinął na sługę.

- Papier i pióro - polecił, po czym rzekł do mnie: - Nie jesteś w tym zbyt dobry, prawda? Wyślemy liścik do jej dworki. Ludzie z Namarry uwielbiają takie rzeczy.

Znasz ją. Jak ma na imię? Córka kapłanki, ta ze zmysłowymi ustami, które sprawiają, że człowiek zaczyna się zastanawiać, jak wyglądałyby zamknięte na jego berle.

Zarumieniłem się.

- Amaranta z Namarry.

Pstryknął palcami.

- Amaranta! To ta.

Ja się sprzeciwiałem, on namawiał. W końcu ustąpiłem. Cokolwiek innego można powiedzieć o rodzie Szachrizaj, umie przekonywać. Obmyśliliśmy treść liściku, który miał zostać wysłany w jego imieniu do Amaranty, ale z przykazaniem doręczenia Sydonu, z zaproszeniem jej na prywatne spotkanie po południu w dzień przed moim wyjazdem.

- Mamy więc określoną porę - powiedział Mavros, trzymając pióro uwieszone nad kartką. - Pozostaje miejsce.

Myślałem o tym.

- Tam, gdzie pierwszy raz się do niej uśmiechnąłem. Miał sceptyczną minę.

- To trochę niejasne. Sądysz, że będzie pamiętać? Ponownie wzruszyłem ramionami. - Jeśli nie, to mam rację, prawda? Że to nie ma sensu. Mavros pokręcił głową i zanurzył pióro w kałamarzu. - Jak chcesz - powiedział, kończąc list zamaszystym podpisem. - Nie ułatwiasz ludziom tego, żeby cię lubili, kuzynie. - Nie. Chyba nie.

Pożegnaliśmy się i Mavros objął mnie pierwszy raz, mocno. Uświadomiłem sobie, że się cieszę, mogąc nazywać go kuzynem.

- Dziękuję - powiedziałem. - Za wszystko. Za to...wskazałem zapieczętowany list - za wszystko, co próbowałaś dla mnie zrobić. Doceniam to, naprawdę. I pożegnaj ode mnie Roszanę.

- Należysz do rodziny - odparł Mavros. Zmierzył moje krótkie włosy i wyszczerzył zęby - Bez względu na to, jak wyglądasz.

Tak to się odbyło i najgorsze miałem za sobą, z wyjątkiem ostatniego Pożegnania z Sydonią, myślałem, nie będzie tak trudne jak z Alais, którą kochałem z całego serca, bez komplikacji czy zastrzeżeń. Nie trudniejszego być może, niż rozmowa z królową. Na pewno nie tak trudne jak pożegnanie z Fedrą i Joscelinem, z gwiazdami, wedle których nastawiałem kompas mojej duszy, choć było to niełatwe.

A jednak poszło ciężko, ciężej niż się spodziewałem, choć nie umiałbym podać powodów.

Dzień przed spotkaniem spędziłem na ostatnich przygotowaniach. Tyle było do zrobienia! Ti- Filip, mający w tym duże doświadczenie zajął się sprawami dotyczącymi podróży, z czego się cieszyłem. Ja w tym czasie ślęczałem nad listami przysłanymi mi przez Eamonna, odcyfrowując jego bazgroły. Wcześniejsze pisma pękały od narzekań na nudę nauki języka caerdicci, ostatnie zawierały płomienne relacje ze studiowania u podziwianego przezeń filozofa. Schowałem listy polecające od Fedry, napisane przez nią i przez moich nauczycieli. Napisałem listy do senesza moich posiadłości, polecając im, żeby pod moją nieobecność zwracali się do Fedry, jeśli zajdzie ku temu potrzeba. Tuzin razy spakowałem i rozpakowałem swoje rzeczy. Chcieliśmy podróżować lekko, Gilot i ja, bez sług, tylko z tym, co udźwigną dwa juczne konie.

Ta decyzja zapoczątkowała dyskusję.

Mavros miał rację; podróżowanie we dwójkę bywało niebezpieczne. Joscelin sprzeciwiał się temu w całej rozciągłości, uważając, że ma większe szanse mnie przekonać. Odmawiałem z uporem, stawiając się po raz pierwszy od czasu osiągnięcia pełnoletności.

- Ile razy ty i Fedra odbywaliście takie podróże? - zapytałem. - To co innego! - odparł, zbity z tropu.

- Dlaczego? Bo ty tam byłeś?

- Jesteś księciem krwi - przypomniał mi. - Masz wrogów i obowiązki wobec Korony.

- Wiem. Między innymi dlatego chcę uciec. W końcu, widząc, że się nie ugnę, skapitulowałem. Razem poszliśmy do dzielnicy płatnerzy, załatwić jeszcze jedną sprawę. Ukończywszy lat osiemnaście, za radą Joscelina zamówiłem miecz i trochę się niepokoiłem, czy jest już wykuty. Dwa dni wcześniej rozmawiałem z mistrzem kowalskim, który mnie zapewnił, że miecz będzie gotów na czas.

Broń okazała się piękna. Po długiej dyskusji zdecydowałem się na miecz, jaki mógł nosić każdy szlachcic. Był krótszy i smuklejszy niż długi miecz Josceina, i przeznaczony do noszenia u pasa, a nie na plecach. Nie jestem ani kasjelitą, ani rycerzem królowej; taki ekwipunek tylko budziłby śmiech albo prowokował jawne wyzwanie.

Miecz szlachcica to zupełnie co innego.

Joscelin obejrzał go, dobywając jednym płynnym ruchem. Ostrze zabręczało cicho, gdy wysunęło się z pochwy. Miecz wyglądał skromnie: rękojeść owinięta skórą, głowica niczym nieozdobiona, skraje wyostrzone do błękitnego połysku. Joscelin przyjrzał się migoczącym wzorom na głowni, wskazującym, ile razy był skuwany metal.



- Dobra robota - pochwalił.

Mistrz kowalski, małomówny Kamaelita z gęstymi czarnymi brwiami, umiał poznać eksperta, kiedy go usłyszał. Wskazał gruby słupek, poznaczony licznymi nacięciami.

- Wypróbuj.

Joscelin podał mi miecz. Rękojeść była dłuższa niż u broni przeciętnego szlachcica, trzpień szerszy i cięższy. Mieczem można było władać w jedno- lub dwuręcznym chwycie. Stając przed słupkiem, chwyciłem rękojeść oburącz i wykonałem pierwszą z kasjelskich figur, wskazując godziny, pozwalającą wyczuć wyważenie broni. Wskazałem południe, atakując i broniąc każdego z czterech kwadrantów sfery. Ostrze czysto cięło powietrze.

Miecz dobrze leżał w dłoniach.

Zobaczyłem, że Joscelin wygina usta w uśmiechu. Mistrzowi kowalskiemu podskoczyły brwi.

Posuwając się naprzód, zakończyłem atakiem w środek, kreśląc ostrzem wysoki łuk w prawo i opuszczając je w mocnym, prostym ciosie. Sztych wbił się głęboko w twarde drewno. Poczulem wstrząs w obu rękach i ramionach. Ostrze dzwoniło czysto.

Czeladnik w kuźni zagwizdał przeciągle.

- Ładna robota - pochwalił kowal.

- Dziękuję. - Stęknąłem, wyciągając ostrze ze słupka. Pochwa dobrze wyglądała u mojego pasa ze skóry nosorożca, wyświechtanego, ale wciąż mocnego, jak w dzień, kiedy dał mi go ras Lijas.

Zapinałem go na ostatnią dziurkę, ale pasował. Ras miał rację, było w nim miejsce na większy brzuch. Joscelin spojrzał na niego, gdy opuściliśmy dzielnicę płatnerzy.

- Możemy sprawić ci nowy pas. Pokręciłem głową.

- Nie chcę nowego pasa.

Nabyliśmy jednak coś w dzielnicy rymarzy: pochwę na nogę dla drugiego sztyletu, bo z powodu miecza mogłem nosić u pasa tylko jeden. Joscelin ukląkł na rynku, żeby przypiąć pochwę do mojej lewej łydki. Kiedy skończył, z mieczem u pasa i sztyletem poniżej kolana czułem się

dziwnie i trochę sztywno.

- Trudno wyciągać - skomentował Joscelin.

Spróbowałem. Za pierwszym razem głowica nowego miecza uderzyła mnie w żebra. Za drugim razem udoskonaliłem metodę, kończąc w przyśiadzie z oboma sztyle-

tami w rękach. Z nawyku poderwałem głowę, zapomniawszy, że moje włosy są teraz za krótkie, żeby przysłaniać mi pole widzenia.

- Dość płynnie, gdy poćwiczę. Joscelin westchnął.

- Prędkość to nie wszystko.

- Nie - zgodziłem się. - Ale bądźmy szczerzy, Joscelinie. Lepiej radze sobie z mieczem niż ze sztyletami, zawsze tak było. Gdy zostanę zmuszony ich użyć, to będzie oznaczało, że już jestem w poważnych tarapatach. Poza tym - dodałem - nie przysięgałem dobywać miecza tylko po to, by zabić.

- Dobrze - mruknął ponuro. - Ponieważ chcę, żebyś wyciągnął go w razie potrzeby.

- Tak będzie - obiecałem.

- A jeszcze lepiej, trzymaj się z dala od kłopotów - poradził. Uśmiechnąłem się szeroko.

- Postaram się.

Przypuszczam, że w innych okolicznościach trochę bym się popisywał. Robi to większość młodych ludzi, gdy dostaną swój pierwszy miecz. Ale nie miałem do tego serca. To nie była dworska ozdoba, to była broń. Tyberium jest wybitnie cywilizowanym miastem, ale czekała mnie długa podróż, zanim tam dotrę.

I czekało mnie jeszcze jedno pożegnanie przed tym ostatnim.

Nazajutrz udałem się na spotkanie z Sydonią, niepewny, czy się pojawi. Drugi raz skorzystałem z praw mojej niezależności i pojechałem sam. Nikt o tym nie wiedział poza Mavrosem i Amarantą. Wierzyłem, że Mavros dochowa sekretu. Jej też ufałem. Córki kapłanek mają zawiązane usta. Wiedziałem, bo przecież wychowałem się w sanktuarium.

Straż bez przeszkód wpuściła mnie na tereny pałacowe i ruszyłem do królewskiego sadu jabłoniowego. Bękart, w dobrej formie, wyginał nakrapianą szyję i parskął, stawiając przednie nogi w swoim dziwnym, tanecznym kroku.

Zastanawiałem się, czy przeczuwa zbliżającą się podróż.

Wjechałem między drzewa. Sękate gałęzie, gęste i liściaste, uginały się pod ciężarem kroczy małych zielonych jablek. Rozglądając się, dostrzegłem Amarantę na końcu następnego szpaleru. Stała z założonymi rękami, słońce lśniło na jej morelowych włosach. Gdy podjechałem bliżej, zobaczyłem, że się uśmiecha; jej oczy miały kolor zielonych jabłuszek.

- Księżę Imrielu - powiedziała - wyglądasz zupełnie jak bohater.

Położyłem dłoń na rękojeści mojego nowego miecza.

- Obrońca przed jeleniami, zbawca psów. Amaranta się roześmiała.

- Więc Sydonia wiedziała gdzie - rzekłem cicho. - Przyszła?

- Przyszłam. - Delfina wysunęła się zza drzewa. Jej twarz, nakrapiana światłem i cieniem, była poważna i nieodgadniona. - Mam niewiele czasu. Powiedziałam strażnikom, że chcemy się przejść. Niebawem zaczną nas szukać, jeśli nie powrócimy.

Zsiadłem i zarzuciłem wodze Bękartą na gałąź.

- Dziękuję.

Uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Uznałam, że tyle jestem ci winna. Choć o mało nie złamałaś serca ais, a matka nie jest zadowolona. - Sydonia zwróciła się do Amaranty, dotykając jej rękawa. - Zechcesz zostawić nas na chwilę? - Oczywiście. - Córka kapłanki skłoniła głowę. Oboje patrzyliśmy, jak się oddala. Sydonia westchnęła.

- Dlaczego? - zapytała.

- Z wielu powodów - odparłem. - Z których najważniejszym jestem ja.

Spojrzała na mnie koso.

- Tak, słyszałam. Powiedziałeś matce, że nie jesteś miły.

- Nie jestem. Staram się być, ale nie jestem.

- Miłe może być nudne. - Sydonia roześmiała się, widząc moją minę. Czy to tobą wstrząsnęło? Jestem następczynią królowej. Imrielu. Nigdy nie było mnie stać na luksus subtelności. I zbyt często dochodziłam do wniosku, że przyjemna maska może skrywać oblicze brzydoty.

Pokręciłem głową.

- Nie o to mi chodzi.

- Zatem o co? Masz dobre serce. Przez długi czas w to nie wierzyłam. Zrozumiałam to dnia, gdy próbowałeś mnie ochronić. I widziałam to w tym, jak traktowałeś Alais.

- Alais to co innego - zaznaczyłem.

- Względem kogo? - Uniosła brwi. - Mnie?

Patrzyłem na nią spokojnie, wspominając, co czułem, gdy leżała pode mną; wspominając adeptkę z prywatnych komnat lochu Waleriany. Zbyt łatwo mi przychodziło wyobrazić sobie Sydonię w takiej sytuacji. Nawet teraz fantazjowałem, jak biorę ją tu-

taj, w sędzie, niszcząc jej chłodne opanowanie. Jak trzymam ją za nadgarstki i czuję, jak wije się pode mną patrząc na jej złote włosy rozsypane po trawie. Widząc jej jasną skórę posiniaczoną moimi zębami i paznokciami.

- Tak - powiedziałem. - Ciebie.

Uniosła podbródek.

- Nie boję się ciebie.

- A powinnaś. Kiedyś się bałaś.

- Tak, ale wszystko pomiędzy nami się zmieniło, prawda? - Sydonia popatrzyła na mnie uważnie. - Złożyłeś przysięgę. Czy odwołujesz słowo.

Z sykiem wypuściłem powietrze.

- Nie!

- W takim razie nie mam powodów do obaw. Chwyciłem ją za ramiona, dość mocno, by powstały siniaki.

- Nie znasz mnie - wychrypiałem. - Nie wiesz, do czego jestem zdolny.

- Nie bądź taki pewien. - Stała bez ruchu z podniesionym czołem. Głęboko w jej oczach płonęły niedające się nazwać emocje. W tych ciemnych oczach, w oczach Cruithneów, dziwnych i obcych w d'angelińskiej twarzy. - Nie jestem dzieckiem, Imrielu. Wiem, że jesteś potomkiem Kusziela. Znam twój ród. I znam też własne dziedzictwo. Czyżbyś zapomniał, że krew kuszelicka płynie w żyłach L'Enversów?

Zapomniałem.

Przez chwile staliśmy w bezruchu, oboje. Czuję serce walące w piersi, czuję krew pulsującą w żyłach. Słyszałem jej przyśpieszony oddech. I przypomniałem sobie, że ma tylko szesnaście lat i że jest prawie moją siostrą.

Odepchnąłem ją.

- Na Eluę, nie!

Potknęła się o kępę trawy, odzyskała równowagę i roześmiała dziko.

- Nie? W takim razie w drogę, kuzynie. Uciekaj! Powołuj się na imię Błogosławionego Elui. Dlaczego nie? Nie wahałeś się robić tego wcześniej, kiedy ja odsuwałam się od ciebie. Uciekaj, uciekaj od pragnień. Uciekaj od odpowiedzialności. Uciekaj!

Podszedłem do Bękartu i odwiązałem wodze, skoczyłem na siodło.

- Zostań - wycodziłem zimno, patrząc na nią z góry. - Wyjdź za jakiegoś rodowodowego d'angelińskiego szlachcica, weź Maslina de Lombelon na kochanka; rób, co chcesz. Zostań. Życzę ci szczęścia.

Sydonia spoważniała.

- Nie mam wyboru - szepnęła. - Och, Imrielu! Nigdy nie będę miała. Przełknąłem ślinę, czując ból w sercu.

- Nie chcę brać w tym udziału.

- Ani ja. - Skłoniwszy głowę, położyła rękę na strzemieniu, muskając czubkami palców lśniąca skórę mojego buta. - Jedź - mruknęła. - I niech Błogosławiony Elua trzyma cię w dłoni i strzeże.

Skinąłem głową.

- I ciebie, pani.

Spojrzała na mnie.

- Dałeś słowo Alais. Dotrzymaj go. „Wróć”.

Przełożyłem zaciśniętą dłoń do serca. - Na mój honor, wróć.

Ruszyłem wtedy, mocno przyciskając pięty do boków Bękart, który larsknął wypuszczając powietrze nozdrzami. Galopowałem między jabłoniemi i nie miałem odwagi się obejrzeć, bo wiedziałem, że Sydonia patrzy.

Pragnąc oddalić się jak najszybciej, omal nie stratowałem kilku królewskich strażników.

Kręcili się na obrzeżach sadu. Mocno ściągnąłem wodze Bękart. Parę kroków dalej zobaczyłem Maslina de Lombelon, rozmawiającego ze znajomą postacią. Odwrócili głowy, gdy mój koń się zatrzymał. Opadła mnie wściekłość i poczułem w ustach smak żółci.

- Wróciłeś - powiedziałem do diuka Barquieia L'Envers.

- A ty wciąż tu jesteś. Miałem nadzieję, że pogłoski okażą się prawdziwe i będziesz w Tyberium. - Spojrzał na mnie wyniośle. - Ładne włosy.

Maslin zeszywniał.

- Co tutaj robisz? - zapytał. L'Envers zerknął na niego.

- Delfina - wyjaśnił mu Maslin - przebywa w sadzie bez straży. Nie ufam zamiarom księcia. Nie po raz pierwszy postarał się być z nią sam na sam.

- Rozumiem - rzekł Barquiel L'Envers spokojnie. Zrobił dwa kroki w moją stronę.

Położyłem prawicę na rękojeści nowego miecza. Pod krótkimi jasnymi włosami jego twarz była zimna, tak zimna, jak nic, co dotąd widziałem. Nie było w niej zła, tylko śmiertelny spokój, nieubłagany i wyrachowany.

- Nie chcesz grać w tę grę, książatko. Wierz mi, nie chcesz. Pochyliłem się w siodle i splunąłem mu w twarz.

L'Envers nawet nie drgnął.

- Jedź, młody Imrielu. Daleko, jak najdalej.

- Straże! - krzyknął Maslin, wyciągając miecz.

Strażnicy zbliżali się ostrożnie z dobytą bronią. Moje ostrze zaśpiewało, gdy opuściło pochwę. Zatoczyłem na Bękarcie ciasny krąg, trzymając ich na dystans wyciągniętym mieczem.

Nie wiem, co by się stało, gdyby Sydonia w tej chwili nie wyszła z sadu idąc ręką w rękę z Amarantą. Przypuszczam, że nie zaatakowałiby mnie w biały dzień, bez prowokacji, na terenach królowej.

Ale nie jestem pewien.

Poniósł się głos Sydonii, chłodny i władczy:

- Poruczniku Maslinie, do licha, co ty wyprawiasz?

Zawahał się, potem z ukłonem schował miecz i ruchem ręki kazał strażnikom uczynić to samo.

-Wybacz, Wasza Wysokość. Nieporozumienie, nic więcej.

-Mam nadzieję - powiedziała spokojnie.

Barquiel L'Envers przymrużył oczy, przypatrując się jej bacznie. Odwzajemniła jego spojrzenie bez drgnienia powieki.

- Miło cię widzieć, wuju. Tuszę, że wypoczynek dobrze ci służy?

- Tak, w istocie. - Znacząco skinął głową w stronę sadu. - Tuszę, że tobie również.

- Bardzo. - Choć młoda, Sydonia się nie zaczerwieniła.

Schyliłem głowę, żeby ukryć uśmiech. Z wysokości końskiego grzbietu dobrze widziałem cień uśmiechu w kąciku jej ust. Przeniosła wzrok na mnie, skinęła głową.

- Kuzynie.

Ukloniłem się w siodle. - Delfino.

Nikt inny się nie odezwał. Schowałem miecz do pochwy i w obie ręce chwyciłem wodze Bękarta. Był podenerwowany, jego tułów drżał pomiędzy moimi nogami, gdy przestępował z nogi na nogę. Wymieniliśmy z Sydonia długie milczące spojrzenie.

- Jadę - powiedziałem do Barquiela L'Envers. - Ale pewnego dnia wrócę.

Nic nie powiedział, mrużąc oczy.

Powtórzyłem mój salut, przyciskając pięść do serca. A potem zawróciłem Bękarta i popuściłem cugli. Pędziliśmy, strasząc strażę przy pałacowej bramie, wypadając na brukowane ulice Miasta, zostawiając za sobą sieć intryg i pragnień, której nie chciałem rozplątywać. Przechodnie wytrzeszczali oczy, ale o to nie dbałem. Niech myślą, co chcą.

Czułem wiatr na twarzy - smakował wolnością.

Uciekaj, pomyślałem.

Uciekaj.

## TRZYDZIEŚCI

---

Nie wspomniałem ani słowem o tym zdarzeniu. Wrogość Barquiela L'Envers nie była niczym nowym. Maslin to zupełnie inna sprawa, ale nie miałem pewności, czy jego wrogość wynika z antypatii do mnie, z jego uczuć do Sydonii, czy może u jej podłoża leżą podżegające kłamstwa L'Enversa. Tak czy siak, nie miałem chęci o tym mówić. Martwienie Ferdry i Joscelina nie miało sensu. O Sydonii też nie chciałem z nimi rozmawiać. Choć nie umiałem podać przyczyny, wołałem nie ubierać w słowa tego, co nas łączyło.

Nie miało to znaczenia.

Nazajutrz ruszyliśmy w drogę.

Krażyły już pogłoski o moim wyjeździe, ale datę udało nam się zachować w tajemnicy. Powiedziałem tylko Mavrosowi, a nikt inny o tym nie mówił. Wyjechaliśmy z Miasta liczną grupą, prawie ze wszystkimi najemnymi z Montrève; towarzyszyła nam nawet Eugenia i jej siostrzenica. Na pozór mogliśmy się wybierać na rodzinną wycieczkę, suto zaopatrzeni w prowiant. Kilka mil za Miastem mieliśmy się rozstać. Gi-

lot i ja ruszyliśmy ku Drodze Ejszet i Marsilikos, a wszyscy pozostali niespiesznie wrócą do Miasta.

To nikogo nie zwiedzie, nie na długo. Ale da nam trochę czasu.

Choć nasz oddział wyglądał wesoło, mnie przywodził na myśl kondukt pogrzebowy. W tej chwili musiałem przepędzić te myśli. Wiedziałem, że to będzie trudne. Nie przypuszczałem jednak, że będę się czuł tak, jakby coś we mnie pękało.

Na jednej z bocznych wiejskich dróg, które łączą się z Drogą Ejszet zatrzymaliśmy się i pożegnaliśmy. Wszyscy wydawali mi się niesłuchanie drodzy. Eugenia pierwsza zapłakała, objęła mnie i szybko się odwróciła. Pożegnałem się z nią, z Clory, ze wszystkimi naszymi zbrojnymi, z Huguesem i Ti- Filipem.

Gilot też się zegnał, a gdy skończył, poprowadził nasze wierzchowce i juczne konie wzdłuż drogi. Na znak Ti- Filipa domownicy ruszyli w przeciwną stronę, zostawiając Fedrę, Joscelina i mnie samych.

Ledwo mogłem na nich patrzeć.

Słońce stało wysoko na niebie. Kałuże cieni leżały u naszych stóp zlewając się na pylistej drodze. W powietrzu wisiał zapach lawendy. Po wszystkim, co razem wycierpieliśmy, rozłąka wydawała się niemożliwa. Powinny płynąć słowa, rzeki słów. Ale trudno jest nawet oddychać, gdy żal ściska gardło. Zabrakło mi słów.

- Imrielu - szepnęła Fedra.

Skinąłem głową i popatrzyłem na nią, spoglądając poza jej jaśniejące pełnym blaskiem piękno i znak Strzały Kusziela, nawet poza smutek wypełniający oczy. Zobaczyłem głębokie współczucie i odwagę. Miłość.

Zobaczyłem miłość w najprawdziwszej, najczystszej postaci. „Będiesz znajdował ją i tracił, bez końca”.

- Powodzenia - powiedziała. - Szczęścia. Wróc do nas bezpiecznie pewnego dnia.

Nie mogąc mówić, znowu pokiwałem głową i przytuliłem się do niej wsparłszy głowę na jej ramieniu. W tym momencie pamiętałem tylko, ile razy mnie obejmowała, gdy budziłem się z koszmarów, spocony i drżący, z gardłem obolałym od krzyku. Ile razy czerpałem pociechę z samej jej obecności. W głębi duszy pragnąłem, żeby nic się nie zmieniło. Ale zmieniło się, i nie mogłem tego odwrócić. Dzielił nas milczący przybór pożądania, głęboki jak przepaść. Po chwili Fedra pocałowała mnie w czoło i puściła, odwracając się.

Spojrzałem na Joscelina i wiedziałem, że nie zostało nic do powiedzenia. W pewien sposób już wyrzekliśmy pożegnalne słowa, wyciągnął rękę i uściskaliśmy przedramiona jak mężczyźni. To dało mi siłę, by z drzeniem zaczerpnąć tchu i przemówić.



- Kocham was - powiedziałem. - Tak bardzo was kocham.

Gdybym został dłużej, być może zmieniłbym zamiar. Dlatego oszczędłem. Usłyszałem zduszony oddech Fedry za plecami, usłyszałem szczeł karwaszów, gdy Joscelin wziął ją w ramiona. To ona nauczyła mnie słuchać. A on robił to, co zawsze, silny za nas oboje, gdy potrzebowaliśmy go najbardziej.

Wlokłem się noga za nogą po pylistej drodze. Czekał na mnie Gilot, pocąc się w gorącym słońcu, trzymając postronki juczych i wodze Bękart. Szedłem, choć serce ciążyło mi w piersi jak kamień.

- Jesteś pewien? - zapytał Gilot, kiedy się zbliżyłem.

Pochyliłem głowę przy muskularnym karku Bękart, wdychając zapach rozgrzanej końskiej skóry. Czułem na czole pocałunek Fedry jak błogosławieństwo.

- Jestem pewien - wymamrotałem w szorstką grzywę Bękart.

- W takim razie ruszajmy - powiedział stanowczym głosem.

Zmusiłem się, żeby sięść na koń, choć ręce i nogi wydawały się ciężkie i niechętne. Gilot przypiął postronki juczych i ruszyliśmy, tratując własne cienie.

Obejrzałem się tylko raz. Wciąż tam stali, Fedra i Joscelin, pomniejszeni przez dzielącą nas odległość. Fedra wydawała się mała przy jego ramieniu. On podniósł rękę w pożegnalnym salucie i w słońcu zamigotał karwasz. Uniosłem dłoń w odpowiedzi i odwróciłem się, kierując wzrok na drogę.

Ach, Eluo! Rozstanie z nimi bolało.

Otarłem oczy, osuszyłem mokre od łez policzki. A potem odetchnąłem głęboko, smakując powietrze jako wolny człowiek. - Gilocie?

- Tak, Wasza Wysokość?

-Skończyłem z płaczem - oznajmiłem. - Jestem śmiertelnie chory od własnych łez. Nigdy więcej, słyszysz?

-Słyszę. - Uśmiechnął się cierpko. - Prawdę mówiąc, miałem dość własnych.

-Dobrze. - Wyprostowałem się w siodle. - I koniec z Waszą Wysokością czy moim księciem. Zwij mnie jak chcesz przy innych, byle nie tak. Nie udaję się do Tyberium jako księżę krwi ani jako członek rodu Coucelów.

Gilot łypnął na mnie.

- Nie? A jak chcesz być nazywany?

- Imriel. Imriel nó Montrève. Skinął głową.

- Jak sobie życzysz.

W dobrym tempie przybyliśmy do Marsilikos, półtora dnia przed wyjściem w morze kupieckiego statku, który miał zabrać nas do Tyberium. Pojechaliśmy na nabrzeże, umówiliśmy cenę z kapitanem. Był sympatycznym Tyberianinem, zadowolonym z naszego towarzystwa i z naszego złota, i z radością polecił nam gospodę, w której mogliśmy spędzić noc.

Gilot był zawiedziony.

- Przecież przyjęłaby cię Pani Marsilikos! - zawołał z wyrzutem, krzywiąc się na widok wyświechtanych koców na swojej pryczy. - Pani Fedra uważa ją za przyjaciółkę. Czy chcesz żyć jak wieśniak, Imri?

Położyłem się na cienkim, guzowatym sienniku, zakładając ręce pod głowę. Nasz wynajęty pokój miał małe okienko. Widziałem przez nie górującą nad portem Kopułę Pani na szczycie wzgórza, złoconą i wspaniałą,

ślepą i głuchą na naszą obecność. Uśmiechnąłem się.

- Możliwe - powiedziałem do Gilota. Spojrzał na mnie chmurnie.

- Dlaczego? Zamknąłem oczy.

- Ponieważ tak się wychowałem, Gilocie. Jako wieśniak. Jako sierota przygarnięty przez brata Selberta w Sanktuarium Elui w Landras, nauczony zarabiać na utrzymanie pasaniem kóz. I zastanawiam się czasami na kogo mógłby wyrosnąć tamten chłopak. - Otworzyłem oczy. - Czy to cię trapi?

- Nie. - Jego mars się pogłębił. - Jestem czwartym synem z ubogiego dworu. Dlatego szukałem służby w domu jaśnie pani, i z powodu jej sławy. Ale dlaczego żyć w ubóstwie? Nie musisz się kompromitować, Irmie.

Westchnąłem.

- Pozwól mi rozegrać to po mojemu, Gilocie. Jeśli ci się nie podoba, nie musisz jechać. Parsknął.

- Jadę! Możesz być tego pewien. Jeśli chcesz być w Tyberium jedynym wieśniakiem, który ma przybocznego strażnika, niech tak będzie. Uśmiechnąłem się do niego. - Nó, może niezupełnie wieśniakiem.

Nasz statek wypływał nazajutrz. W porę stawiliśmy się na nabrzeżu. Marynarze zaprowadzili wierzchowce i juczne konie pod pokład, a podręczne bagaże zanieśli do kajuty. Poszedłem na dziób i pokrzykiwałem wesoło wraz z nimi, gdy podnieśliśmy kotwicę. Wioślarze pochyłili się na ławkach i pociągnęli wiosła. Statek obrócił się powoli w porcie Marsilikos, zielono-niebieskie fale łamały się na jego dziobie. Żagle chwyciły wiatr, wyduły się i szybko nabraliśmy prędkości.

Gilot zadrzał.

- Jeszcze nigdy nie opuściłem granic Terre d'Ange.

Minęliśmy Wyspę Ejszet, wąską i jałową. Kilku rybaków patrzyło za nami. Dotknąłem ramienia Gilota.

- Wiem. Rozumiem, ale wierz mi, ja byłem znacznie dalej. Obiecuję ci, wszystko będzie dobrze.

Była to dobra podróż, choć dziwna. Gilot większość czasu spędzał w naszej maleńkiej kajucie. Nie miał choroby morskiej - nie cierpiał jak Joscelin - lecz widok otwartego morza budził w nim niepokój. Ja natomiast trzymałem się pokładu. Wszystko mi się przypominało: jak stać, jak chodzić. Pomagałem, gdzie tylko mogłem, i starałem się nie sprawiać nikomu kłopotu. Wychylony przez reling patrzyłem, jak delfiny figlują przy burcie, skacząc i otwierając pyski w swoich enigmatycznych uśmiechach.

Pamiętałem, jak Fadil Chouma pokazał mi delfiny.

Pamiętałem fontannę na Placu Elui.

Ale o większości innych rzeczy, na szczęście, zapomniałem. Na pokładzie statku byłem tylko Imrielem, pasażerem, który nie sprawia kłopotów. Patrzyłem w cztery świata strony, ograniczone tylko przez wodę, i zachłystywałem się wolnością. W niesionej przez wiatr słonej mgiełce aułem się wyszorowany do czysta ze swoich mrocznych pragnień. Grałem w kości z żeglarzami i wdrapywałem się na maszt, gdy rzucali mi wydanie. Tkwiłem w rozkołysanym bocianim gnieździe na grotmaszcie, żeby ryknąć na widok ziemi.

Pojawiła się zbyt szybko.

- Ostia! - krzyknął marynarz, z którym stałem w ciasnym bocianim gnieździe. Wyrzucił rękę jak włócznię, bezbłędnie wskazując ląd.- Ostia!

Zszedłem na pokład, poważniejąc. Gdy zbliżyliśmy się do latarni, Gilot wyszedł z kajuty i patrzył na brzeg.

- A więc to tutaj zmierzamy - powiedział. Poklepałem go po ramieniu.

- Na początek. To brama Tyberium.

Ostia jest wielkim, ruchliwym portem. Po zejściu na ląd musieliśmy poczekać na wyładowanie koni i naszych rzeczy. Gilot, który nigdy dotąd nie wyjechał poza granice ziemi ojczyściej, rozglądał się w osłupieniu. Na nabrzeżu tłoczyli się przedstawiciele różnych nacji - Caerdicci z różnych miast- paristw, Iliryjczycy, Kartagińczycy, Aragończycy, Menechetanie. Dżebeńczycy i Umaidzaci. Gdziekolwiek migła twarz danglińska, lecz było ich niewiele. Wielojęzyczny gwar wypełniał powietrze.

Zobaczyłem, że Gilot wlepia wzrok w ciemnoskórych żeglarzy na pokładzie dżebeńskiego statku, pracowicie wyładowujących towary.

- Nie gap się tak - powiedziałem, trącając go łokciem. - Wyglądasz na prowincjusza.

Zamknął usta z głośnym trzaskiem zębów. - Jestem prowincjuszem, Imri!

Jeden z żeglarzy wskazał na nas, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. Przypuszczam, że wyglądaliśmy jak dobrana para idiotów, stojąc z otwartymi ustami wśród tej zapracowanej cizby. Roześmiałem się i pomachałem do niego, wołając „*Selam!*”. Gestami wyraził zdumienie z powitania go po dżebeńsku, potem wesoło pomachał ręką i wrócił do pracy.

Wreszcie nasze konie i bagaże znalazły się na lądzie. Bękart, równie zdenerwowany jak Gilot, miotał się we wszystkie strony, grożąc wzniesieniem zamętu na nabrzeżu. Gdy go uspokoiłem, nająłem tragarza, by zaprowadził nas na brzeg rzeki.

Tutaj nabrzeże było równie zatłoczone. Barki cumowały w cieniu wieży strażniczej, kapitanowie krzyczeli, zajęci interesami. Kupcy i tragarze przepychali się na nabrzeżu, a wśród nich przekupnie sprzedawali potrawy pieczone na koszach z węglami. Słyszając burczenie we własnych brzuchach, przystanęliśmy, żeby kupić pasztet w cieście.

- Na Eluę! - Gilot z trudem przełknął kęs. - Co w tym jest?

Przeżuwałem z zadumą. Smak był dziwny, pieprzny i cierpki, z wyraźną nutą soli. - Nie wiem - odarłem. - Zapytam.

Przekupień uśmiechnął się promiennie, gdy zagadnąłem go w caer-dicci.

- Smakuje ci? Same dobre rzeczy, młody dangeliński panie! Mielone mięso i ziarenka pieprzu, orzeszki pinii i garum. - Zachichotał. - Garum to rodzinny przepis, sekret. Dzięki temu moje pasztety są najlepsze.

- Garum? - powtórzyłem. Nie zdradzając rodzinnego sekretu, powiedział mi, z czego się składa. Skinąłem głową na znak podziękowania. - Pasta rybna i zioła - wyjaśniłem Gilotowi. - Fermentujące w słońcu przez kilka tygodni.

Zakrztusił się.

Wyszczrzyłem zęby i ugryzłem następny kęs.

- Lepiej przywyknij. Zdaje się, że Tyberianie są bardzo dumni ze swojego garum.

Kiedy podjedliśmy, ruszyliśmy wykupić miejsca na podróż w górę rzeki Tyber. Za radą tragarza pomówiłem z kilkoma kapitanami barek. Pamiętałem, jak Kaneka targowała się z poganiaczami karawan w Madżibazie i wziąłem sobie jej przykład do serca. Wreszcie dobiłem korzystnego targu. Wraz z kilkoma innymi pasażerami załado-

waliśmy wierzchowce, bagaże i siebie na pokład płaskodennej barki. Kapitan u rudła wydał rozkaz i wiosłarze pociągnęli wiosłami.

Rozpoczęliśmy podróż w górę szerokiej, gładkiej rzeki Tyber.

Podróżowaliśmy z rodziną kupiecką z Menechetu, przewożącą ładunek płótna.

Słuchałem, jak rozmawiają między sobą, wszyscy szczupli i ciemnolicy, od czasu do czasu podchwytywałem znajome słowo. Zastanawiałem się, czy Tyber ich nie rozczarował po wielkiej rzece Naharze. - Wydajesz się inny - zauważył Gilot.

- Tak? - Uśmiechnąłem się. - Czuję się inaczej. Czuję się... wolny.

Przepłynęliśmy pod łukiem wielkiego mostu. Wskazałem znak wryty na jednym z podpierających go filarów. Choć był wytarty, dało się rozpoznać twarze bóstwa, patrzącego na północ i na południe zarazem.

- Widzisz to, Gilocie? Janus, bóg mostów, wejść i rozdroży. Założę się, był już stary, gdy Błogosławiony Elua zaczął wędrować po ziemi.

Gilot zadrżał.

- Wielkie dzięki, wolę moich bogów z jedną twarzą!

Dreszcz złego przeczucia przebiegł mi po kręgosłupie, gdy przypomniałem sobie o śnie Alais. Nasza barka wyłoniła się z cienia mostu wpływając w światło słońca.

- Ja tylko mówię, Gilocie, żebyś się rozglądał - rzuciłem lekkim tonem, wskazując brzegi. - To świat, który leży poza granicami Terre d'Ange, i wiele z tego świata jest warte podziwu.

Łypnął na mnie krzywo.

- A niby czego takiego Tyberium dokonało ostatnimi czasy? Kapitan barki burknął coś w caerdicci o d'angelinskim snobizmie i splunął do rzeki. Patrzyłem, jak plwocina wiruje w kilwaterze.

- Dokonało wiele - powiedziałem do Gilota. - Odrodziło się jako centrum nauki, po pierwsze. Nawet Terre d'Ange uznaje wyższość Uniwersytetu Tyberyjskiego. Dlatego Eamonn tu przybył, i dlatego ja tu jestem. Jeśli ci się nie podoba, to pamiętaj, nie proszę, żebyś ze mną jechał.

Gilot zgarbił się z żalną miną.

- Nie jestem scholarem - mruknął.

- Wiem. - Dotknąłem jego ramienia. - Nie musisz ze mną zostawać.

Spojrzał na mnie z uporem.

- Zostanę!

- Doskonale. W takim razie przestań zachowywać się jak osioł. Kiedy ujrzeliśmy samo Tyberium, nawet Gilot musiał przyznać, że jest pod wrażeniem. To stare miasto i jeśli dziś nie posiada dawnej władzy wciąż jest ogromne, o niebo większe niż Miasto Elui. Obaj zamilkliśmy patrząc na niezliczone budowle i posągi na siedmiu wzgórzach.

- Jest... duże - wyjąkał Gilot słabym głosem.

- Zgadza się.

Jak w Ostii, tutaj też nabrzeże tętniło gwarem i pracą. Z początku miałem zamiar od razu odszukać Eamonna, ale przytłoczył mnie ogrom Tyberium. Same magazyny wydawały się kolosalne. Widziałem równie wielkie miasto, Iskandrię, ale tam towarzyszyła mi Fedra z Joscelinem, którzy już je znali. Tutaj byłem sam, wyjąwszy Gilota, służącego niewielką pomocą. Byłem również zmęczony i brudny, i robiło się późno. Słońce chyliło się nad siedmioma wzgórzami. Rozejrzałem się w poszukiwaniu tragarza albo przewodnika do wynajęcia, ale wszyscy sprawiali wrażenie zajętych ważniejszymi sprawami niż niańczenie dwóch zmęczonych podróżą D'Angelinów. Gilot stał obok mnie jak sparaliżowany, trzymając wodze naszych koni.

Jaskrawo kontrastując z naszym pożałowania godnym stanem, trzech eleganckich szlachciców wysiadło w pobliżu z barki, którą pływali dla przyjemności; młodzi mężczyźni, roześmiani, z ożywieniem rozmawiali w caerdicci. Skubnąłem poplamiony solą dublet i spojrzałem na nich zazdrośnie.

- Hej, D'Angelinie! - zawołał jeden z nich. - O co chodzi? Zgubiliście się? Szukacie najbliższego zamtuza?

Jego koledzy parsknęli śmiechem. Ja uśmiechnąłem się żałośnie.

- Przyzwoita gospoda wystarczy, przyjacielu.

- Przyjacielu? - Ten, który odezwał się pierwszy, zmierzył mnie wzrokiem spod zmierzwionej gęstwy ciemnych kasztanowych kędziorów. Miał twarz młodego satyra, z ostro zaznaczonymi kośćmi policzkowymi i szerokim, krzywym uśmiechem. - Jesteś zbyt pewny siebie.

Wzruszyłem ramionami.

- Przyjacielu, dopóki nie okaże się, że jest inaczej. Roześmiał się.

- Podoba mi się! Słyszałeś, Aulosie? - Wyciągnął wypiełgnowaną rękę. - Lucjusz Tadiusz da Lukka. Ująłem ją.

- Imriel nó Montrève.

Żywa ciekawość zabłysła w jego oczach.

- Nó Montrève. Jesteś adoptowany, tak? Czy dobrze rozumiem dangelinskie nazewnictwo?

- Dobrze - odparłem. - I jestem.

- To nazwisko trąca jakąś strunę - mruknął z zadumą Lucjusz Tadiusz. - Ale mniej-sza z tym! Co cię sprowadza do Tyberium, młody Montrève? Kolejny zubożały pan scholar szuka szczęścia na naszym uniwersytecie? Widzę, że twojemu słudze już odjęło mowę.

Gilot spojrzał nań spode łba.

Uśmiechnąłem się szeroko, nie mogąc się powstrzymać. Pomimo niefrasobliwego zachowania, nie wyczułem złej woli u tego Lucjusza.

- Mniej więcej - odparłem. - Czy możesz wskazać nam drogę do gospody w dzielnicy studentów?

Uniósł brwi.

- Mój drogi, możemy ci wskazać tuzin. Wszyscy jesteśmy panami scholarami. Aulosie, Donato, chodźcie. Spełnijmy obywatelski obowiązek zaprowadźmy naszych bezradnych gości tam, gdzie będą mogli spędzić noc. - Lucjusz spojrzał na mnie z ukosa. - I może wziąć kąpiel dodał. - Wspaniały z ciebie okaz, młody Montrève, aczkolwiek trochę brudny.

Wierni danemu słowu, Lucjusz Tadiusz i jego towarzysze zaprowadzili nas do serca właściwego miasta. Byłem wdzięczny za pomoc, widząc, że bez nich szybko byśmy się zgubili. Główna droga, Via Appia, jest szeroka i imponująca, ale dzielnica studentów to gęsty labirynt, rozciągający się między uniwersytetem i głównym forum. To bezładne skupisko gospód, winiarni, sklepików i insuli, wysokich na kilka pięter domów z pokojami do wynajęcia, gdzie mieszka większość studentów. Kiedy przybyliśmy słońce już zniknęło za horyzontem i w wąskich uliczkach zalegały niebieskie cienie.

- Tam - rzekł Lucjusz, energicznie podnosząc rękę. - Albo tam, albo tam. Jeśli chcecie, żeby zadbano o wasze konie, polecam zajazd Lollii. Ma czystą stajnię, jeśli cię stać. - Patrzył, gdy zsiadałem. - Masz urodziwego wierzchowca, przyjacielu.

Poklepałem Bękartą po nakrapianej łopatce.

- Ma za sobą długą podróż.

- Czy nie jak my wszyscy? - Rzekł Lucjusz tajemniczo. Wskazał ku wschodowi. - Tam jest najbliższa łaźnia publiczna, za forum. Proponuję skorzystać.

- Nie omieszkamy - obiecałem. - Dziękuję za pomoc, naprawdę. Lucjusz wzruszył ramionami.

- Tylko tego nie rozpowiadaj. Muszę dbać o reputację. - Uniósł rękę na pożegnanie.  
- Powodzenia, D'Angelinie! Może zobaczymy się w salach wykładowych.

- Osioł - mruknął Gilot, gdy Lucjusz odszedł z kolegami. Spojrzałem na niego gniewnie. Kołysał się w siodle, oczy miał szkliste.

- Chodź - powiedziałem. - Zobaczmy, czy ta Lollia ma pokój do wynajęcia.

Miała i wynajęliśmy. Cieszyłem się, że mamy gdzie odpocząć, cieszyłem się, że nasze konie są pod opieką w stajni. Bękart popatrzył na mnie z wyrzutem, potem schował pysk w wiadrze owsa. Rozjuczyliśmy konie uginające się pod ciężarem bagażu, i jęliśmy wnosić nasze rzeczy na piętro. Gdy skończyliśmy, zmierzch nad Tyberium pogłębił się w noc.

- Kąpiel - wymamrotał Gilot z twarzą wtuloną w siennik. Zamknąłem oczy.

- Jutro.

Pod powiekami wirowała ciemność; otchłań ciągnąca mnie w dół. Tym razem nie walczyłem. Pozwoliłem, by sen opadł mnie w mieście

## TRZYDZIEŚCI JEDEN

---

Zbudziłem się głodny.

W gospodzie był niewielki wybór, ale posililiśmy się chlebem z miodem i garścią suszonych daktyli. Karczmarka Lollia zapewniła nas, że nie- długo pojawią się ulicznicy handlarze. Pokrzepieni, ruszyliśmy z Gilotem na poszukiwanie łaźni.

W porannym świetle Tyberium wyglądało nie mniej imponująco, ale każdy mógł zobaczyć, że podupadło od dni dawnej chwały. Budowle i posągi z okresu świetności cesarstwa są dzisiaj w kiepskim stanie. A jednak, jeśli nawet płyty wzdłuż kolumnady



Wielkiego Forum były poszczerbione i brudne, sama przestrzeń pozostała imponująco wielka.

Bez trudu znaleźliśmy drogę do łaźni. To wielka budowla, wzniesiona dla potrzeb setek, może nawet tysięcy obywateli. Choć pora była wczesna, tutaj już panował ożywiony ruch. Cena okazała się zaskakująco rozsądna.

- O tak- zapewnił mnie łaźiebny, znacząco pociągając nosem. - Udostępnianie łaźni w przystępnej cenie leży w interesie wszystkich.

- Rozumiem, o co ci chodzi - odparłem cierpko.

Po wielu dniach na morzu bez właściwej kąpieli to była czysta rozkosz. Gilot i ja korzystaliśmy z usług w całej pełni, zaczynając od łaźni parowej. Siedzieliśmy na ławach, pot ściekał z nas strumieniami, gdy szczyrzyliśmy do siebie zęby przez chmury pary. Kiedy wypociliśmy kilkudniowy brud, przeszliśmy do caldarium, wskoczyliśmy do gorącej wody i zmyliśmy pot. Łaźiebni polali nas oliwą i wyszorowali naszą skórę zakrzywionymi metalowymi strigilami.

- Dziwna kąpiel - zauważył Gilot. - Ale nie nieprzyjemna.

Odpowiednio wyparzeni i wyszorowani, wymoczyliśmy się w ciepłej wodzie w tepidarium. To miejsce spotkań towarzyskich, z tuzinami gawędzących przyjacielsko mężczyzn. W większości byli Caerdicci, choć

nie wszyscy. W tle słyszeliśmy dudnienie i krzyki płynące z palestry, gdzie inni uprawiali ćwiczenia fizyczne.

Wizytę w łaźniach zakończyliśmy we właściwym tyberyjskim stylu skacząc do chłodnej wody frigidarium. Muszę przyznać, że ta kąpiel podziałała otrzeźwiająco. Woda nie była nawet w połowie tak zimna jak zasilany przez źródło staw w Montrève, ale po wcześniejszym ciepło wy dawała się lodowata. Obaj krzyczeliśmy, chlapiąc się jak chłopcy. Przechodzący w pobliżu starszy pan pokręcił głową.

- Ach, studenci - rzucił pobłaźliwie. Uśmiechnąłem się do niego.

- Jeszcze nie, ale chcę zostać studentem. Czy wiesz, messire, co trzeba zrobić, żeby wstąpić na uniwersytet?

Przystanął, po czym przysunął sobie stołeczek.

- Wybrałeś mistrza, u którego chciałbyś studiować?

- Nie, dopiero co przybyliśmy.

- Oto twój pierwszy krok, młody D'Angelinie. Następny polega na przekonaniu go, żeby cię przyjął. Albo jej, jest kilka kobiet uprawnionych do nauczania. - Uśmiechnął

się do mnie. - Przypuszczam, że w tym przypadku poradzisz sobie bez trudu. Zarumieniłem się.

- Mam listy polecające, messire.

- Listy! - Starszy pan zachichotał. - Sami sprawdzą, ile jesteś wart chłopcze. Życzę szczęścia. - Wstał. - Powtórz im, że Dekkus Fulwiusi powiedział, iż ładnie się wysławiasz - rzucił przez ramię na odchodnym. - To nie zaszkodzi twojej sprawie.

Obaj z Gilotem wyszliśmy z basenu, a łaźiebni energicznie wytarli nas ręcznikami.

- Dziękuję - powiedziałem. - Powiedz mi, znasz tego człowieka? Mój łaźiebny wytrzeszczył oczy.

- Dekkusa Fulwiusza? Jakżeby nie? - Widząc moją tępą minę, wyjaśnił: - Jest senatorem, panie, jednym z najpotężniejszych, a przynajmniej najbogatszych. - Rozglądając się, ściszył głos. - Jest jednym z restauratorów.

- Restauratorów? - powtórzyłem, nie rozumiejąc.

- Tych, którzy pragną przywrócenia chwały Tyberium jako republiki - szepnął.

- Aha. - Pokiwałem głową. - Dziękuję.

Gdy wróciliśmy do apodyterium i włożyliśmy ubrania, sprzedawcy jedzenia już krążyli po łaźniach i zachwalali swoje towary. Wydało mi się to dziwne, ale Tyberianie uważają to za normalne. Kupiliśmy kiełbasę i gotowane jaja, które jedliśmy po drodze, opuściwszy łaźnię. - O co chodzi? - zapytał Gilot. - Z tymi restauratorami?

- Nie jestem pewien - przyznałem. - Dawno temu Tyberium było republiką. Gdy przeobraziło się w cesarstwo, senat stracił władzę. Nawet po rozpadzie imperium nie odzyskał dawnego znaczenia. Przypuszczam, że są tacy, jak ten Dekkus Fulwiusz, którzy marzą o przywróceniu dawnego porządku.

Gilot wzruszył ramionami.

- Faktycznie, jest o co się spierać.

- Tak, gdy jest się tyberyjskim senatorem - zauważyłem.

Kończąc improwizowany posiłek, weszliśmy na Wielkie Forum. Ku naszemu zabawieniu mężczyzna w aksamitnej todze mistrza uczonego gonił za stadem gołębi. Wrzeszczał i krzyczał, jego chude ręce wystawały z szerokich rękawów, gdy machał nimi dziko. Gołębie poderwały się jednocześnie i z trzepotem skrzydeł wzleciały w powietrze. Zaraz potem mężczyzna wyjął z woreczka garść ziarna i rozrzucił po marmurowych płytach. Gołębie zleciały się tłumnie, a wtedy skoczył z krzyżem pomiędzy nie, co skłoniło je do ucieczki. Znowu rzucił ziarno, a one gruchały, z powrotem krę-

cać się wokół jego stóp... i ponownie je spłoszył, łopocząc fałdami togi i przy okazji odsłaniając chude, kosmate golenie.

Nie mogliśmy powstrzymać się od śmiechu. Gilot zaczął, a wtedy ja byłem stracony. Staliśmy na Wielkim Forum, rycząc jak idioci, podtrzymując jeden drugiego, bo nie mieliśmy siły ustać prosto na nogach. Najzabawniejsze było to, że uczony miał studentów. Grupa stała w pobliżu, przyglądając się mu z pełnymi szacunku minami. Kilku sporządzało notatki na woskowych tabliczkach.

- Och, Imri! - wysapał Gilot. - Jesteś pewien, że chcesz wstąpić na uniwersytet?

Wytarłem załzawione oczy.

- Na Eluę! Mówiłem, że koniec z płaczem, ale tego nie mogłem przewidzieć. Z pewnością ten człowiek musi być szalony.

- Lepiej byś zrobił... - Gilot chwycił mnie za ramię. - Czy to nie Eamonn jest wśród nich?

- No nie! - krzyknąłem z niedowierzaniem. Rzeczywiście stał wśród studentów, o pół głowy wyższy od pozostałych, jego miedziane włosy lśniły w słońcu. Śmiałem się tak bardzo, że go nie zauważyłem. Podniosłem głos, nie bacząc na dobre obyczaje. - Eamonn! Eamonn!

Jasna głowa obróciła się w naszą stronę. Nawet z daleka zobaczyłem znajomy szeroki uśmiech na jego twarzy.

- Imri!

Jego krzyk spłoszył gołębie. Śmiejąc się na całe gardło, pobiegłem przez Forum. Spotkaliśmy się pośrodku i waliliśmy po plecach, obaj uśmiechnięci od ucha do ucha.

- Udało ci się! - zawołał z zadowoleniem. - Jesteś! Potrząsnąłem nim.

- Na jaja Elui, dobrze cię widzieć!

- I ciebie! - Jego szarozielone oczy płonęły. - Och, Imri! Mam ci tyle do powiedzenia. Tyle się nauczyłem. Czy widziałeś mistrza Piera?

Uniosłem brwi.

- Szaleńca z gołębiami?

- Jest nadzwyczaj mądrym człowiekiem! - zapewnił żarliwie Eamonn. - Pisałem ci o nim, prawda? Gilocie, miło cię widzieć – dodał gdy zbrojni do nas dołączył. - Chodźcie, musicie go poznać! Gilot i ja wymieniliśmy spojrzenia. Wzruszyłem ramionami.

- Z całą pewnością.

Stanęliśmy na obrzeżach grupy. Mistrz Piero zostawił kotłujące się go łebie i wygłaszał wykład. Studenci słuchali, przejęci i uważni. Naliczyłem ich dwunastu, łącznie z Eamonnem. Stanowili dziwną gromadkę. Sądząc po strojach, kilku było mniej niż zamoznych; kilku wyraźnie pochodziło spoza Caerdicci. Była wśród nich kobieta, wysoka i gibka, z ciasno splecionymi jasnymi włosami i miną wyrażającą głębokie skupienie. Trzymała woskową tabliczkę.

Ku mojemu zaskoczeniu, do uczniów mistrza Piera zaliczali się również nasi wybawiciele z nabrzeża, Lucjusz Tadiusz da Lukka i jego towarzysze. Spostrzegłem, że Lucjusz z namysłem zerka na mnie kątem oka.

- ...tak oto mogliśmy zobaczyć sposób rozumowania grupy- mówił mistrz. - Coś, co jest niespodziewane, łatwo ją rozprasza, a jednak potem grupa szybko powraca, jedno-myślna co do kierunku, bez przywództwa, bez dyskusji. - Urwał, uśmiechając się do nas. Był niezbyt urodziwym mężczyzną, z szerokim czołem i chudym dziobem nosa, który wydawał się krzywo osadzony w twarzy, ale jego uśmiech cechowała nadszodziejana słodycz. - Witajcie, przyjaciele. Dołączycie do naszej rozmowy?

Ukloniłem się na powitanie.

- Wybacz nam, mistrzu. Nie chcieliśmy ci przeszkodzić.

- Z pewnością, więc nie ma potrzeby przepraszać. Czyż może być coś lepszego niż widok przyjaciół, którzy witają się po rozłące? - Miał przebiegły błysk w oku. - Zgadzam się, że przyjaźń jest cnotą. Czy widok cnoty u innych nie inspiruje jej w nas samych?

- Niekoniecznie, mistrzu - zauważył Lucjusz Tadiusz. - Może budzić zazdrość.

- Ach! - Mistrz Piero uśmiechnął się do niego promiennie. - Tak, w istocie. Jakie są zatem korzenie zazdrości? Jeśli cnota budzi złe uczucia, czy sama jest przez to umniejszana?

- Mistrzu Piero! - odezwała się z napięciem w głosie blondynka. Drgnąłem, słysząc skaldyjski akcent. - Przepraszam, jeśli można. Ale trudno nadążyć, kiedy zaczynasz wędrować.

- Spieszno ci, Brygitto? - zapytał uprzejmie.

- Nie, ale... - Przygryzła dolną wargę, wyraźnie zirytowana. - Mówiłeś o gołębiach.

- Otóż to. - Mistrz Piero uśmiechnął się do niej. - Gołębie, cnota i zazdrość. Będziemy wędrować razem, dokądkolwiek zawiedzie nas droga myśli. Nie jest ważne, jak szybka czy prosta jest nasza ścieżka. Ważne, że nią podążamy.

Rzekłszy to, wrócił do tematu gołębi i rozumowania grupy. Pomimo jego zachowania i faktu, że śmiałem się z niego jak głupek, teraz słuchałem urzeczony.

- ...łatwo powodowana głodem i chciwością, gromadzi się tłumnie, kuszona obietnicą dostatku. Łatwo prowadzona przez sprytną rękę żyje z chwili na chwilę, nie biorąc pod uwagę zdrady. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, wraca do znajomego...

Po zakończeniu wykładu mistrz Piero rozpoczął dyskusję z uczniami. Zastanawiali się, w jaki sposób gołębie osiągają milczącą jednomyślność w locie, i jak to odzwierciedla przekazywanie idei i porozumienia wśród ludzi. Dyskutowali, jak plotka, szybko puszczona w obieg w ściśle poważanej społeczności, w ciągu paru dni czy nawet godzin zaczyna żyć własnym życiem i nabiera pozorów taktu. Kilka razy pokiwałem głową, myśląc, jak bardzo ludzie na dworze przypominają stado gołębi pod względem zachowania.

- Widzisz? - szepnął do mnie Eamonn, gdy rozmowa się zakończyła.

Pokiwałem głową, już nieskłonny do śmiechu.

Pociągnął mnie do uczonego. Inni studenci rozstąpili się z dobrodusznymi pomrukami.

- Mistrzu Piero di Bonci, czy mogę przedstawić ci mojego drogiego przyjaciela, Imriela nó Montrève de la...

Zakaszlałem, zasłaniając usta dłonią, po czym ukloniłem się dwornie.

- Imriel nó Montrève, panie. Dziękuję, że pozwoliłeś mi wziąć udział w dyskusji.

Eamonn, który nie jest głupi, nie dodał nic więcej.

Mistrz Piero patrzył na mnie, przekrzywiając głowę. Zobaczyłem ten sam przebiegły błysk w jego oku i zrozumiałem, że jestem głupi, skoro myślałem, że mogę ukryć swoją tożsamość w środowisku uczonych.

- Montrève - powtórzył powoli. - Czyż tak?

- Tak, panie - powiedziałem pokornie, nie chcąc, żeby mnie wypytywał.

Wiedział. Poznałem to po jego minie. I widziałem, że na mojej twarzy wyczytał niewypowiedzianą prośbę, ważąc ją z życzliwością i sympatią.

- Tak - rzucił lekkim tonem. - Słuchałeś. Czy pragniesz z nami studiować, Imrielu nó Montrève?

Moje serce podskoczyło z wdzięczności i ulgi.

- Chyba tak, mistrzu Piero. Poklepał mnie po ramieniu.

- Przyjdź jutro. Eamonn powie ci, gdzie. Zobaczymy, czy do siebie pasujemy.

- Mam listy polecające - powiedziałem.

- Listy! - Mistrz Piero parsknął śmiechem. - Nie dbam o listy, chłopcze. - Trącił mnie w pierś, potem postukał w skroń. - Tylko o to, co masz w sobie, tu i tu.

Zatrwożony perspektywą, że mnie osądzi i dopatrzy się braków, wspomniałem słowa wyrzeczone przez senatora w łaźniach.

- Dekkus Fulwiusz kazał powtórzyć, że powiedział, iż ładnie się wysławiam - palnąłem.

- Dekkus Fulwiusz! - Brwi mistrza Piera strzeliły w górę. Parę kroków dalej Lucjusz Tadiusz uniósł głowę jak pies myśliwski, który zwietrzył zwierzynę. - Chłopcze, z pewnością nie jesteś tu na tyle długo, żeby bawić się w politykę. - Mistrz Piero pokręcił głową. - Przyjdź jutro- powtórzył. - I wtedy zobaczymy.

To rzekłszy, odwrócił się, żeby porozmawiać z Brygittą, skaldyjską dziewczyną, która miała mnóstwo pytań. Eamonn trącił mnie łokciem

- Chodź, Imri - powiedział. - Napijemy się.

Ogromnie chciałem porozmawiać z nim sam na sam. Nie było mi to dane, przynajmniej na razie. W winiarni wybranej przez Eamonna towarzyszyła nam cała czereda studentów, wśród nich Lucjusz Tadiusz. Zajął miejsce u mojego boku, gdy Eamonn poszedł sprokurować dzban wina.

- Znasz się więc z Księciem Barbarusem - zagadnął.

Ściągnąłem brwi.

- Z Księciem Barbarusem?

- Twoim Eamonnem. - Skinął w stronę szynkwasu.

- Aha. - Przewisko skłoniło mnie do śmiechu. - Tak, bardzo dobrze. Eamonn wychowywał się przez rok w naszym domu.

- Rozumiem. To wyjaśnia czułe powitanie. - Popatrzył na mnie z zaciekawieniem. - Prawdziwe pytanie, przyjacielu, brzmi następująco: jak ci się udało zaznajomić z Dekkusem Fulwiuszem pomiędzy wczorajszym zachodem słońca i dzisiejszym południem?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie rozmyślnie, zapewniam cię. Spotkałem go w łaźniach dziś rano i był dla mnie uprzejmy. Nie miałem pojęcia, kim jest, dopóki nie spytałem łaźnienego - Dlaczego pytasz? - dodałem. - Znasz go?

- Można tak powiedzieć. - Lucjusz leniwie stukał palcami po stole. - Jest mężem mojej siostry.

- Rozumiem - powiedziałem, choć nie rozumiałem.

- Co najbogatszy człowiek w Tyberium robił w łaźni publicznej? - zastanawiał się. - Czy był z kimś?

- Nie. - Pokręciłem głową. - Był sam, kiedy go spotkałem. Ale nie wiem, co robił wcześniej.

- Bez wątplenia knuje jakiś spisek. Mniejsza z tym. - Lucjusz uśmiechnął się z roz-targnieniem. - Nie zważaj na moje słowa, Montrève. Mistrz Piero ma rację, najlepiej trzymać się z daleka od polityki i skupić na życiu umysłu..

- Czy dlatego u niego studiujesz? - zapytałem zaciekawiony.

- Po części. - Skoncentrował się, jego spojrzenie nabrało ostrości. - Jestem oddany nauce, Montrève. Są tacy, wielu, którzy twierdzą, że mistrz Piero jest wariatem. Są też inni, oddana garstka, którzy wierzą, że jest najczystszej wody samorodnym filozofem od czasów Sokratesa. Tak się składa, że należę do tej drugiej grupy, - Nie wątpię - mruknąłem.

Uśmiech wykrzywił jego twarz satyra.

- To bardzo miło z twojej strony - powiedział, odwracając wzrok. Patrz, idzie Książę Barbarus z dobrym czerwonym winem, żeby uwolnić nasze myśli i rozwiązać języki. Zostawię was, pozwalając starym przyjaciółom na swobodną rozmowę.

Przesunął się na dalsze miejsce przy stole. Patrzyłem na niego ze zmarszczonymi brwiami.

- Osioł - mruknął Gilot, siedzący u mojego boku.

- Nie sądzę - powiedziałem powoli. - Wydaje się... skomplikowany.

- To powinno ci idealnie odpowiadać - zauważył Gilot.

W tej chwili Eamonn wrócił z dzbanami wina, a ja zapomniałem o Lucjuszu Tadiuszu da Lukka. Siedzieliśmy długie godziny, pijąc i rozmawiając. Eamonn opowiedział mi ze szczegółami o roku spędzonym w Tyberium. Zaczął studiować u innego mistrza, nudnego i konwencjonalnego u którego przeszedł intensywny kurs gramatyki języka caerdicci, a co za tym idzie, czytania, tłumaczenia i niekończącego się recytowania.

- Potrzebowałem tego - przyznał Eamonn i rzeczywiście, jego caerdic ci poprawił się do tego stopnia, że mówił niemal lepiej ode mnie. - Ale *Dagda Mor!* To było nudne!

Słyszał pogłoski o mistrzu Piero, kontrowersyjnej postaci na uniwersytecie. W przeciwieństwie do innych nauczycieli, mistrz Piero nie chciał się ograniczać do sali wykładowej, często wychodząc z uczniami do miasta. Jego metody były eklektyczne, a program zajęć nieokreślony.

Zaciekawiony Eamonn postanowił go odszukać.

- Jest wybitny i błyskotliwy, Imri! - zawołał, zarumieniony z przejęcia. - Widziałeś go dzisiaj, prawda? W taki właśnie sposób dociera do sedna zagadnienia - dodał, tnąc ręką powietrze dla podkreślenia słów. - Cnota! Zazdrość! Oto, co chcę wiedzieć!

Uśmiechnąłem się do niego.

- Widziałem jego próbę. Ta skaldyjska dziewczyna zupełnie się zgubiła.

- Brygitta. - Eamonn zrobił zamyśloną minę. - Ma kłopoty z językiem. Poradziłem jej studia pod kierunkiem mistrza Donata, mojego dawnego nauczyciela. Nie chce, chociaż jest tutaj ledwie od sześciu miesięcy. A mistrz Piero nikomu nie mówi, co ma robić. Twierdzi, że sami musimy to odkryć.

- Jest w tym sens, choć nie mam pewności, czy w tym przypadku to dobre. - Nalałem wina do kubka. - Dlaczego młoda Skaldyjka....

- Czy jest dobro w narzucaniu innym naszych myśli? - przerwał mi Eamonn, unosząc palec. - Czy zdrowy rozsądek jest cnotą, Imri? Zgodziliśmy się, że jest. A jednak nie można go nikogo nauczyć, chyba że poprzez przykład. Należy go odkrywać i podziwiać indywidualnie, dokładnie tak, jak każdy może dostrzec fundamenty potężnego budynku w kawałku kamienia.

- Dlaczego młoda kobieta ze Skaldii studiuje w Tyberium? - dokończyłem swoje pytanie.

Gilot, śmiertelnie znudzony, przewrócił oczami.

- Przepraszam - powiedział ze śmiechem Eamonn. - Dopiero się zaznajamiam z metodami mistrza Piera i łatwo się ekscytuję. - Ściszył głos. - Prawda wygląda tak, że nie mam pojęcia. Brygitta jest bardzo poważna. Trzyma się na uboczu. Mówię ci, Imri, lepiej uważaj. Wyciągnie sztylet, jeśli spróbujesz flirtować. Ale mistrz Piero uważa, że jest wartościowa, więc tak musi być.

- Nie wątpię - zapewniłem dyplomatycznie. Ruchem głowy wskazałem Lucjusza Tadiusza. - A on?

- Lucjusz? - Eamonn ściszył głos o kolejną oktawę. - Jest bystry, bardzo bystry. Ale też leniwy i nie zawsze się stara. - Miał zatroskaną minę. - Nie jestem pewien. Jego rodzina ma jakiś problem. Miał zostać następcą ojca, księcia Lukki, ale wynikło coś nie-



dobrego. Miało chyba związek z miłością między mężczyznami - dokończył szeptem. Zakrztusiłem się winem.

- Wiesz, tutaj tego nie lubią, a przynajmniej nie akceptują - oznajmił Eamonn poważnym tonem. - W Tyberium są pod tym względem bardzo dziwni.

Gilot okazał zainteresowanie.

- Jak to, panie?

Eamonn odetchnął głęboko.

- Tu w ogóle ludzie są bardzo dziwni - powtórzył. - Uważają za słuszne i zbawienne wszystko, co mężczyzna może robić ze swoim berłem. Ale na przykład sprawianie rozkoszy kobiecie ustami i językiem... - pokręcił głową - uważane jest za uwłaczające.

- Idioci - skomentował Gilot.

- Tak. - Eamonn pokiwał głową, - I ta sama prawda odnosi się do kobiety, która bierze mężczyznę w usta, choć nigdy nie słyszałem, by ktokolwiek się skarżył. Jest jeszcze gorzej, gdy w ten sposób folgują sobie mężczyźni, a najgorsze ze wszystkiego, gdy mężczyzna pozwala brać się od tyłu. Nie mają szacunku dla czegoś takiego ani dla nikogo, kto tak postępuje.

Zerknąłem na Lucjusza, siedzącego dalej przy stole. Uniósł kubek w kpiącym salucie.

- Ale to po prostu... głupie - powiedziałem. Nawet w moich uszach zabrzmiało to płaczliwie, jak głos Alais, gdy mówiła, żebym przestał na żywać ją opryskiem.

Eamonn wzruszył ramionami.

- To Tyberium, Imri, nie Terre d'Ange.

- I nie Alba - dodałem ostro.

- Nie. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Dlatego stwierdzisz, że wiele Tyberianek będzie zainteresowanych tym, co możesz im zaoferować. I proponuję korzystać do woli. Gilot podniósł kubek.

- Jestem za!

Wypiliśmy za to, cała nasza trójka.

Dzień przeszedł w wieczór, uczniowie mistrza Piera pożegnali się i odeszli, zostawiając nas samych. Kiedy zostaliśmy w otoczeniu nieznamych, odprężyłem się, napięcie mięśni zmalowało.

- Nie życzysz sobie, Imri - zaczął Eamonn cicho - by ktokolwiek wiedział, kim jesteś?

- To nie tak, niezupełnie, - Spojrzałem mu w oczy. - Nie wstydzę się. Po prostu chcę skorzystać z okazji i choć raz być sobą, a nie moją historią. Pokiwał głową.

- Nikomu nie powiem - obiecał. Po cichu zapytał: - Jak się miewa pani Fedra z panem Joscelinem? Tęsknię za nimi.

- Dobrze. - Przełknąłem ślinę. - Martwią się. Ja też za nimi tęsknię

Zamrugaliśmy, pijani, ze łzami w oczach.

- Żadnych łez! - rzucił twardo Gilot. Pogroził mi palcem. - Powiedziałeś, nigdy więcej łez. - Pochylił się i zaproponował toast: - Za jaśnie panią. Za Fedrę nó Delaunay, hrabinę de Montrève, i jej towarzysza messire Joscelina Verreuil, bohaterów królestwa Terre d'Ange. - Podniósł kubek z winem. - Starajmy się być nie gorsi od nich!

Krzyknęliśmy na wiwat, podczas gdy inni klienci patrzyli na nas rozbawieni.

Przyłożyłem kubek do ust. Z pamięci wypłynęło wspomnienie. Fedra tamtego ranka po moim powrocie z Domu Waleriany. Znowu poczułem jej przyspieszony puls, i mroczny ból pragnienia. Szok pożądania, smak żółci w ustach.

Odepchnąłem wspomnienie. Tutaj, w Tyberium, będzie zupełnie inaczej. Nauczę się panować nad swoimi pragnieniami. Dowiem się, co to znaczy być dobrym, i w końcu poczuję się swobodnie we własnej skórze.

- Starajmy się być nie gorsi - szepnąłem i spełniłem toast.

## TRZYDZIEŚCI DWA

---

Nazajutrz spotkałem się z mistrzem Pierem i jego uczniami u stóp Wzgórza Kapitońskiego w cieniach Skały Tarkwińskiej.

To niegościnne miejsce, bo południowa strona wzgórza jest stromym urwiskiem. Nie widać stamtąd wierzchołka, na którym stoi słynna świątynia poświęcona trójcy bogów, Jupiterowi, Junonie i Minerwie. Jest tylko jałowa ziemia usiana głazami i skałami. Nie znaleźliśmy cienia i późnym popołudniem panował tam nieznośny skwar.

Choć słońce płonęło jasno, w powietrzu unosiło się coś mrocznego i sprawiało, że czułem się nieswój.

Wszyscy znaleźliśmy sobie miejsca i słuchaliśmy mistrza Piero. - Jest krew na tych skałach - zaczął.

Jeden z towarzyszy Lucjusza Tadiusza z przekleństwem skoczył na równe nogi, po czym z powrotem usiadł, gdy zobaczył, że glaz jest czysty i suchy.

- Starożytna krew - kontynuował mistrz. Wskazał na wierzchołek wzgórza. - I jest krew ponad nimi.

Opowiedział, jak wiele stuleci temu jedna ze świętych dziewic Tybetom, kapłanka Westy, zdradziła miasto i otworzyła bramy przed wojowniczymi Sabinami. Obnosząc się ze złotymi naramiennikami, obiecali nagrodzić ją tym, co noszą na ramionach, ale zamiast darować jej złoto, zmiażdżyli ją na śmierć ciężkimi tarczami.

- Została pogrzebana na szczycie wzgórza - zakończył mistrz Piero. - A kiedy Tyberianie odbili miasto i ustanowili republikę, w tym miejscu tracili zdrajców, zrzucając ich ze Skały Tarkwińskiej.

Zadrzałem, wyobrażając sobie zmasakrowane ciała i zastanawiając się, czy wśród skał leżą sterty połamanych kości. Nic dziwnego, że panuje tam ponura atmosfera. Lucjusz był blady i poważny.

Mistrz Piero uśmiechnął się do nas.

- Podyskutujmy o naturze zdrady - powiedział. - Co jest gorsze? Zdradzić miasto? Zdradzić bogów? Zdradzić rodzinę? Zdradzić przysięgę? Zdradzić te cnoty, które ktoś najbardziej sobie ceni?

Pomimo gorąca pytania rozwiązywały języki i potoczyła się dyskusja. Siedziałem i słuchałem, pot ściekał mi pod włosami. Nie zdarzyło się, by dwaj studenci podali ten argument. Niektóre wiodły do zmiany tematu. Jeśli gorsza jest zdrada bogów, to czy z uwagi na naturę zdrady, czy z powodu kary boskiej? Jeśli gorsza jest zdrada cnót, to jakich? Niektórzy opowiadali się za lojalnością, inni parowali, że lojalność można zdradzić w służbie wyższego dobra,

- A co ty powiesz, Imrielu nó Montrève? - zapytał niespodziewanie mistrz Piero, - Z pewnością musisz wiedzieć co nieco o zdradzie, zważywszy, ile twój cały kraj ucierpiał. Przedstaw nam d'angeliński punkt widzenia. Co jest najgorszą zdradą?

Patrzyłem na niego, jego sylwetka falowała w gorącym powietrzu. Zrozumiałem, że wybrał ten temat, żeby mnie wypróbować. Zgrzytnąwszy zębami, udzieliłem odpowiedzi.

- Zdrada miłości, panie.

Kilku studentów zachichotało drwiąco i z lekceważeniem. Jeden zrobił nieprzyzwoity gest rękami, niski i ukradkowy. Mistrz Piero tylko zachęcił mnie, kiwając głową.

- Bardzo d'gelińska odpowiedź - ocenił. - Powiedz nam coś więcej.

Otarłem pot z czoła i rozejrzałem się.

- Błogosławiony Elua zostawił nam jedno przykazanie. Kochaj jak wola twoja. Co kochasz najbardziej? Swój kraj? Swój honor? Bogów? Kobiety? Mężczyznę? Prawdę? Cokolwiek to jest, ta zdrada jest najgorsza.

Milczeli w zamyśleniu, a Eamonn uśmiechał się do mnie promiennie.

- Ale miłość nie zawsze jest czysta. - Młody człowiek, którego nie znałem, znalazł skazę w moim wywodzie; Umaidzat, sądząc z wyglądu, z dzikimi brwiami nad jastrzębim nosem. - Co z żarłokami, żyjącymi dla obżarstwa? Co z tymi, którzy nade wszystko pragną władzy albo bogactw?

Wzruszyłem ramionami.

- Nawet oni mogą służyć większemu dobru, nie zdając sobie z tego sprawy.

Przymrużył powieki i obrzucił mnie jastrzębim spojrzeniem.

- Wierzysz w to?

Pomyślałem o Daršandze, i jak trafiłem tam przez zdradę matki, chociaż nie było w tym jej winy - choć raz. Pomyślałem o tym, jak potoczyłyby się losy świata, gdyby mahrkagir zachował życie i władze, gdyby Fedra i Joscelin nie ruszyli mi na ratunek. - Tak - odparłem. - Muszę wierzyć.

- To większe dobro, o którym mówisz - odezwała się powoli Skaldyjka Brygitta, patrząc na mnie nieufnie. - Co to jest? Kto je określa?

Chciałbym mieć odpowiedź, ale nie miałem, tylko gorzkie doświadczenie, którego nie chciałem wyjawiać.

- Nie wiem, pani - rzekłem pokornie. - Czy nie to właśnie mamy tu przedyskutować? Wiem tylko, będąc D'Angelinem, co nakazuje mi czynić Elua. - Gdy się rozglądałem, moje spojrzenie padło na Lucjusza Tadiusza, który siedział na pobliskiej skale, blady i spocony. - Milczałeś- zwróciłem się do niego. - Co ty powiesz, Lucjuszu?

Uniósł głowę. Spod zmierzwionych kędziorów spojrzały na mnie oczy otwarte tak szeroko, że widziałem białka wokół piwnych tęczówek.

- Powiem, że to miejsce jest pełne duchów. Nie czujesz? - Zadrżał. - Lemury - dodał. - Złe duchy.

Ktoś się roześmiał, ale był to nerwowy chichot.

Mistrz Piero skoczył na równe nogi i klasnął w ręce.

- Dość! - polecił wesoło. - Zyskaliśmy tego dnia wiele tematów do omówienia. Zgromadźmy się jutro w sali wykładowej i podejmiemy rozmowę tam, gdzie nic nie będzie nas rozpraszać. Choć raz zadowolę moich kolegów nauczycieli. - Uśmiechnął się szelmowsko, a jego uczniowie parsknęli śmiechem, teraz już rozluźnieni. Gdy zaczęli się rozchodzić, skinął na mnie. - Imrielu nó Montrève, czy wciąż pragniesz z nami studiować?

- Tak - zapewniłem.

- Dobrze. - Kilka razy pokiwał głową, patrząc na mnie badawczo. - Przyjdź jutro, wtedy porozmawiamy dłużej. Zobaczymy. Miałem nadzieję na więcej, ale to musiało wystarczyć. Skłoniłem przed nim głowę.

- Dziękuję, mistrzu. Machnął ręką.

- Tym się zajmuję. Jeśli chcesz mi podziękować, wyświadczyć przysługę komuś w potrzebie.

Tak oto zostaliśmy zwolnieni na resztę dnia. Dwu- i trzyosobowymi grupkami pociągaliśmy do centrum miasta. Jednym uchem słuchałem, jak Eamonn rozwodzi się nad lekcją mistrza Piera. Na szczęście Gilot zgodził się nie grać roli mojej niańki, o ile nie będę wędrować po mieście samotnie - doszedł do wniosku, że Eamonn i ja w parze budzimy należyty respekt. Za radą Eamonna poruczyłem Gilotowi zadanie znalezienie nam stałego lokum w insuli. Zastanawiałem się, jak sobie radzi. Nie byłem do końca pewien, czy nie wynajmie całej rezydencji.

Od czasu do czasu spoglądałem na Lucjusza Tadiusza, któremu bezlitośnie dokuwali towarzysze. Odzyskał rumieńce, ale miał ponuro zaciśnięte usta. Bez względu na powody, w cieniu Skały Tarkwińskiej naprawdę był przerażony.

Myślałem o nakazie mistrza Piera.

- Lucjusz! - zawołałem do niego.

Przeprosił przyjaciół i podszedł do mnie. Spojrzenie miał nieufne. Znałem to uczucie. Nie znosiłem, gdy ktoś widział, że się boję. Poklepałem go po ramieniu.

- Wczoraj niewiele rozmawialiśmy. Czy mogę postawić ci dzban wina?

Jestem ci winny za wspaniałomyślność.

Eamonn nie krył zdumienia moją propozycją - nie słyszałem z otwartości, gdy chodzi o nawiązywanie przyjaźni - lecz powstrzymał się od

komentarza.

Twarz Lucjusza złagodniała.

- Zgoda - powiedział, wzruszając ramionami. - Czemu nie? Poszliśmy do tej samej winiarni, kupując po drodze mięso w cieście.

Albo garum w Tyberium jest lepsze niż w Ostii, albo ja przywykłem do smaku. Eamonn zatrzymał się przed drzwiami winiarni.

- Wiesz, Imri, chyba poszukam Gilota. Jest nowy w mieście i da się oskubać, jeśli spróbuje się targować.

- Dobry pomysł. - Pokiwałem głową. - Dziękuję. Uśmiechnął się szeroko.

- Jakby co, wiem, gdzie cię znaleźć.

Lucjusz patrzył za nim, chłodno i z namysłem.

- Książę Barbarus ma więcej taktu niż przypuszczałem - zauważył.

- Tak, w istocie.

W winiarni panował półmrok i chłód, przyjemny po dusznym skwarze na zewnątrz. Kupiłem dzban rozcieńczonego wina i usiedliśmy przy drewnianym stole.

Lucjusz z miejsca wypił kubek, potem napełnił go i napotkał moje spojrzenie. Miał minę człowieka, który szykuje się do bitwy.

- Pewnie się zastanawiasz, dlaczego wyglądałem tak, jakbym zobaczył ducha - powiedział.

- Uznałem, że wino dobrze ci zrobi. Reszta należy do ciebie.

- Boję się duchów. - Uśmiechnął się z goryczą. - Zawsze się bałem. Śmiertelnie. Lemurów, larw. Rozgniewanych zmarłych. Przysięgam, czasami wyczuwam ich obecność, chociaż ich nie widać. Głupie, prawda?

Pokręciłem głową i napiłem się wina.

- Nie.

Lucjusz przymrużył oczy.

- Nie potrzebuję twojej litości, D'Angelinie.

- To nie litość. Jesteś bystry, Lucjuszu. Nawet Eamonn tak mówi, a jest o wiele mądrzejszy niż możesz przypuszczać. Jeśli się boisz, jest ku temu powód.

Odwrocił wzrok.

- Mój pradziadek.

- Był okrutnym człowiekiem? - zapytałem cicho.

- Zdaniem wszystkich. - Lucjusz wzruszył ramionami. - Nigdy go nie znałem. Był kondotierem, jednym z wielkich.

- Dowódcą najemników.

Skinął głową, czubkiem palca rysując wzór w rosie na dzbanie.

- Jesteśmy starą tyberyjską rodziną. Nastaly ciężkie czasy, rozumiesz. Gallus Tadiusz był geniuszem sztuki wojennej. Zaczął jako miecz do wynajęcia, a skończył z własną kompanią. - Nie patrząc na mnie, uśmiechnął się krzywo. - Zwał ich Czerwoną Plagą, od ilości przelanej krwi. Połowa miast- państw Caeridicca Unitas korzystała z jego usług w tym czy innym czasie.

Zmarszczyłem czoło.

- Myślałem, że jesteś dziedzicem księcia Lukki. Lucjusz poderwał głowę.

- Kto ci to powiedział?

- Eamonn. Napomknął, że w twojej rodzinie są... jakieś kłopoty.

- Niech zgadnę - parsknął. - Uranizm? Nie odpowiedziałem.

- Ach, Księżę Barbarus! Rzeczy, które was fascynują. - Przegarnął ręką swe kędziory satyra. - Tak i nie, Montrève. Jest kłopot, choć nie ma nic wspólnego z uranizmem. A mój pradziad, Gallus Tadiusz, został księciem Lukki. Nie był tam kochany.

Słuchałem historii rodziny Lucjusza Tadiusza da Lukka, którego pradziad na czele Czerwonej Plagi zajął miasto Lukka, kiedy tamtejszy książę nie dotrzymał umowy. Poślubił córkę księcia i władał żelazną ręką do dnia, w którym zmarł na apopleksję. Pokolenie później jego syn został obalony

i władzę odzyskała rodzina Correggio. Tadiusze pozostali, żyjąc w cieniu Correggiów, zazdroszcząc im władzy z jej znacznym bogactwem.

- Ale... - Lucjusz uniósł palec - Gaetano Correggio nie ma dziedzica tylko córkę.

- Nie ma dziedzica? - Otrząsnąłem się, przypominając sobie, że nie jestem w Terre d'Ange. - Aha. Jest zatem panną na wydaniu. I jej mąż zostanie dziedzicem Lukki.

- Szybki jesteś, Montrève. - Lucjusz wskazał na mnie palcem. - Muszę ci to oddać. - Jego głos złagodniał. - Jest miłą dziewczyną - dodał. - Helena. Ma na imię Helena. Helena Correggio da Lukka. Ma słodki charakter.

Pomyślałem o Dolerei mab Necthana.

- A ty nie chcesz jej skrzywdzić. Popatrzył na mnie z lekkim zdziwieniem.

- Dlaczego miałbym ją krzywdzić? Przyjaźnimy się od dzieciństwa Nie, gdybym poprosił ją o rękę, przyjęłaby oświadczyń i jest duża szansa, że jej ojciec wyraziłby zgodę. Tadiusze ustatkowali się i stali szanowaną rodziną od czasów starego Gallusa, i zjednoczenie naszych rodów umocniłoby miasto. Ale prawda jest taka, że ona kocha inne go, kocha z tą głęboką, zakazaną namiętnością, którą tak bardzo lubią D'Angeliniowie.

- Kierujesz się więc galanterią - powiedziałem.

- Mniej więcej - rzucił cierpko. - Mój ojciec tego niedocenia, a sama Helena jest niezupełnie wdzięczna.

Zamrugalem skonsternowany.

- Dlaczego?

Lucjusz osuszył kubek.

- Ponieważ obiektem jej westchnień jest czarujący, przystojny potomek bardzo ubogiej rodziny, i nie ma absolutnie żadnych szans, że jej ojciec zgodzi się na małżeństwo. A drugi główny zalotnik jest jej wstrętny. - Odstawił kubek. - Dlaczego ci to mówię?

- Bo jestem zainteresowany - odparłem. - A ty znękanym.

Zadrżał.

- Wracamy do tematu, prawda? Tak, Monrrève. Jestem nękanym. Jestem nękanym przez ambicje mojego ojca, który pragnie doczekać odzyskania części spuścizny po swoim dziadku. Każdy myśli, że to wystarczy, że moja siostra wyszła za tyberyjskiego senatora, a jednak nie wystarcza. Jestem nękanym przez lęki Heleny i własne tchórzstwo. I jestem nękanym przez po trzykroć przeklętego pradziada.

- Gallusa Tadiusza.

- Tak. - Łypnął na mnie. - Jego woskowa maska pośmiertna jest w naszym lararium, zmarszczona w grymasie niezadowolenia i straszna. Jest tam, odkąd sięgam pamięcią. Pradziadek wydaje się oszukany i zły. Jego duch nie chce odejść. Wiem. Zawsze to wiedziałem. Czuję jego obecność. Bez względu na to, jak daleko ucieknę, to nie wystarczy. Nękają mnie duchy i prześladowają zmarli. - Rozłożył ręce. - Drwij ze mnie, śmiało!

- Nie ja. Dbam o to miejsce nie bardziej niż ty. Ale, Lucjuszu, jeśli zależy ci na dziewczynie, dlaczego jej nie poślubisz?

- Zrobiłbyś to? - zapytał wprost. Otworzyłem i zamknąłem usta. - Ach, u licha! Co możesz wiedzieć, Montrève? Jesteś D'Angelinem. Twój lud pozwoliłby dziewczynie poślubić kozła, gdyby go pragnęła, prawda?



- To nie takie proste - odparłem. - Wielkim rodom zależy na korzystnych mariażach i nie zawsze są to małżeństwa z miłości. - Uśmiechnąłem się szeroko. - Ale pozwolili-byśmy wziąć jej kozła na kochanka.

Na twarzy Lucjusza odbiło się przerażenie przemieszane z fascynacją.

- Naprawdę?

- Nie. - Zaśmiałem się, widząc jego minę. - Przykazanie Błogosławionego Elui ma swoje granice.

- A gdyby naprawdę pokochała kozła? - Uśmiechnął się, po czym pokręcił głową. - Masz rację, wiem. Jestem uparty. Nie ma ku temu powodu, wyjąwszy, że to mnie irytuje. Nie mogę znieść myśli o naginaniu się woli ojca. I... nie podoba mi się myśl, że będę rogiem. Być może dla was D'Angelinów to nie ma znaczenia, ale w Caeridicca Unitas coś takiego ściąga wstyd na mężczyznę. Na każdego mężczyznę.

- Sądzisz, że ona to zrobi? - zapytałem. Uniósł brwi.

- Ja bym zrobił! A kobiety są słabe, gdy chodzi o pożądanie. Nie umieją się przed nim bronić. Nalałem wina do kubków. - Nie wiesz zbyt wiele o kobietach, prawda?

- Nie - odparł bez cienia skrepowania. - Ale znam Helenę i widziałem, jak patrzają na siebie z Bartolomeem. Ona jest kochanym dzieckiem, lecz ma zbyt miękkie serce. Nie mogę jej zaufać. Co więc mam zrobić? Wypędzić go? - Napił się wina. - Stary Gallus Tadiusz rozwiązałby problem, dając Helenie porządne lanie i zamykając ją pod kluczem. Czasami słyszę w głowie jego głos, mówiący mi, że jestem nędznym tchórzem, skoro sam nie chcę tego zrobić. I to jest nic w porównaniu z uwagami na temat uranizmu. - Lucjusz patrzył w przestrzeń. - On ryczy - dodał z roztargnieniem. - Zawsze ryczy. Czasami myślę, że doprowadzi mnie do szaleństwa. - Zadrżał. - Nienawidzę umarłych.

- Rozmawiałeś z kapłanem?

- Tak. - Skrzywił usta w uśmiechu. - Moj ojciec co roku odprawia egzorcyzmy podczas lemuraliów, ale przypuszczam, że duch Gallusa Tadiusza jest zbyt uparty, żeby przepędziła go czarna fasola i walenie w garnki. - Spojrzył na moją zdumioną twarz i wzruszył ramionami. - To stary rytuał. Ostatnim razem, gdy rozmawiałem z kapłanem, kazał mi słuchać ojca i dać temu spokój.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

- Ha! - parsknął Lucjusz. - Teraz, jak się spodziewam, uważasz mnie za kompletnego wariata.

- Nie. Wcale nie. Za człowieka udręczonego, ale nie szalonego. - Dlatego studiuje u mistrza Piera. To pomaga. Im bardziej zmusza

mnie do myślenia, tym łatwiej jest utrzymać duchy na dystans, Gdy mam czym zająć umysł, zwykle idzie dobrze. Dziś jednak było źle. Nie masz pojęcia - dodał w zamyśleniu - co to znaczy żyć w strachu.

- Mógłbym cię zaskoczyć - mruknąłem.

Lucjusz obrzucił mnie szybkim spojrzeniem, a ja przypomniałem sobie, że nie jest głupi.

- Posłuchaj - zacząłem, zmieniając temat. - Jak bardzo odrażający jest ten zalotnik Heleny? Bo to istota sprawy, prawda? Co gorsze? Poślubić ją i ryzykować, że przyprawi ci rogi, czy skazać ją na życie, przed który się wzdraga?

- Jeszcze tego nie przemyślałem. - zmarszczył czoło. - Jest prostakiem, prostakiem o znacznych wpływach. Ale ich małżeństwo wykułoby przymierze pomiędzy Lukką i Valpetrą. Problem polega na tym, że większą korzyść odniosłaby Valpetra. - Lucjusz westchnął. - Och, dość! Gdy bym tak był zubożałym d'angelińskim scholarem, nie mającym większych zmartwień niż to, czy stać mnie na drugi dzban wina! - Wzniósł kubek w moją stronę. - Nie masz pojęcia, Montrève, jakie masz szczęście.

- Co do tego masz rację - zgodziłem się.

Rozmawialiśmy potem o innych sprawach. Przybył Eamonn z Gilo tern, który zameldował o pomyślnie wykonanym zadaniu. Zastosował się do moich życzeń, acz niechętnie, i mieliśmy zamieszkać w pobliskiej insuli jak wszyscy inni ubodzy scholarzy. Eamonn polecił nam stajnie tańsza niż ta przy gospodarze.

Niedługo po ich przybyciu Lucjusz Tadiusz poprosił o wybaczenie i opuścił nasze towarzystwo.

- Dziękuję - powiedział do mnie na odchodnym. - Niebawem się zobaczymy.

Skinąłem głową.

- Jutro.

- O co chodziło z tymi duchami? - zapytał Eamonn po wyjściu Lucjusza

- To długa historia - odparłem. - Później ci powiem. Eamonnie, zamierzałem spytać cię wcześniej. Czy doszedłeś, gdzie Anafiel Delaunay nauczył się sztuki szpiegowania?

- *Dagda Mor!*- Plasnął się ręką w czoło. - Nie, zapomniałem. - Miał taką skruszoną minę, że się roześmiałem. - I po tym wszystkim, co zrobiła dla mnie jaśnie pani.

- Nie przejmuj się - zapewniłem go życzliwie. - Wybacz ci. Zamówiliśmy drugi dzban, na co z łatwością mogłem sobie pozwolić, choć czułem się trochę winny z powodu oszukiwania Lucjusza. Mimo wszystko byłem zadowolony z naszej rozmowy.

Mówił ze mną otwarcie i szczerze, a ja po raz pierwszy od dziesiątego roku życia miałem okazję wyciągnąć przyjazną dłoń bez brzemienia mojego skomplikowanego dziedzictwa. To było dobre.

Później, z pomocą Eamonna, przenieśliśmy nasze bagaże z gospody do insuli. Najgorszy skwar dnia przeminął i na ulicach tłoczyli się piesi. Eamonn prowadził, torując nam drogę, z ciężkim workiem na ramieniu. Wielu ludzi pozdrawiało go po imieniu. Zazdrościłem mu tego daru łatwego zawierania znajomości. Przebywał w mieście dość długo, by nawiązać przyjaźnie i zyskać przydomek, który wydawał się bardziej miły niż przykry. Mnie udało się zaprzyjaźnić bodaj z jedyną duszą w Tyberium, która była bardziej skłopotana niż ja.

W połowie ulicy wciągnąłem powietrze nosem.

- Jesteśmy w pobliżu świątyni?

- Nie mówiłem ci? - Gilot, taszczący juki, uśmiechnął się do mnie szeroko. - Insula jest za sklepem wytwórcy kadzideł.

W powietrzu unosił się bogaty aromat, rozpoznałem żywicę olibanową i nard, cynamon i drewno sandałowe. Zajrzałem do sklepu, gdy Gilot majstrował przy bramie w biegnącym obok przejściu. Wytwórca kadzideł ucierał coś w moździerz. Przypomniało mi się, jak pierwszy raz zobaczyłem Alais, zajęta ucieraniem galasów na atrament w gabinecie Thelesis de Mornay, i poczułem ukłucie tęsknoty za domem.

Weszliśmy w wąskie przejście, objając się o ściany z palonych glinianych cegieł. Przejście wychodziło na podwórze ze studnią wspólną dla wszystkich mieszkańców insuli. Wokół podwórza wznosiły się domy wysokie na trzy piętra. Kilka kobiet czekało w kolejce przy studni, gawędząc przyjaźnie. Niektóre pomachały do nas, spoglądając z zainteresowaniem. Dzieci biegały beztrąsko, na każdym balkonie suszyło się pranie.

- Jesteśmy. - Gilot otworzył drewniane drzwi bez zamka.

W izbie za sklepem wytwórcy kadzideł znajdowały się dwa sienniki, urynał, pusty kosz do węgla, miska na stojaku, rozchwierutany stół i dwa krzesła.

- Gdzie mamy...? - Skinąłem w stronę nocnika.

- Na podwórzu jest ściek. Łączy się z kanałami. - Gilot rzucił przyniesione sakwy i złożył ręce. - Moja robota, prawda, Wasza Wysokość?

- Nie nazywaj mnie tak - powiedziałem odruchowo. - I nie, będę pomagać.

- Możesz płacić kobiecie za opróżnianie nocnika - podsunął Eamonn wesóło. - Również za sprzątanie i pranie ubrań. Ja tak robię. Gilot tylko na mnie popatrzył.

- Sam tego chciałeś, Imri.

Odetchnąłem głęboko wonnym powietrzem. Zdawało się, że zapach przenika przez wszystkie ściany. Błękitny zmierzch zapadał na podwórzu za otwartymi drzwiami. W dzielnicy studentów z wysokimi budynkami, które zasłaniały zachodzące słońce, wcześniej się ściemniało. Słyszałem kobiece głosy, piskliwe krzyki dzieci. Tutaj, w Tyberium, byłem anonimowy. Nikt nie chciał mojej śmierci. Nikt nie wypatrywał u mnie oznak zdrady. Nikt nie chciał, żebym poślubił nieznajomą i spłodził dziedzica królestwa. Mogłem żyć jak biedak za drzwiami bez zamka.

Byłem po prostu zwyczajnym ubogim panem scholarem, który może wysłuchać znękanego przyjaciela.

Wiedziałem, że to się kiedyś zmieni. Nic dobrego nigdy nie trwa długo bez zmiany.

Na razie jednak chciałem się rozkoszować swoją anonimowością.

- Tak. - Uśmiechnąłem się do Gilota. - Jest idealnie. Westchnął.

- Bałem się, że to powiesz.

## TRZYDZIEŚCI TRZY

---

Nazajutrz udałem się na uniwersytet. To starożytna budowla, usytuowana przy Starym Forum w pobliżu kurii, gdzie wciąż zbiera się senat Kiedyś, jak mi powiedziano, gmach służył do celów sądowniczych, ale gdy zmaląła władza magistrów i pretorów, którzy ongiś ustanawiali prawo, zastąpiły ją atrybuty akademii.

Na zewnątrz studenci obijali się przed kolumnadą, ale wewnątrz marmurowe sale tętniły cichą pracą. Mistrzowie uniwersytetu przechodzili korytarzami, rozmyślnie pozwalając, by powietrze rozdymało aksamitne togi, a za nimi, jak stada kaczątek, drepali pełni szacunku uczniowie. W przeciwieństwie do studentów mistrza Piera, wszyscy nosili togi albo kaptury świadczące o ich statusie.

Nie miałem pojęcia, gdzie jest jego sala wykładowa, więc zagadnąłem przechodzącego studenta.

- Mistrz Piero? - Student Caerdicci lekceważąco machnął ręką. - Tam jest sala szaleńca, D'Angelinie. - Popatrzył na mnie z ledwo skrywaną pogardą. - A co, postanowił wziąć sobie kochasia?

Podszedłem do niego na tyle blisko, że poczułem zapach cebuli w jego oddechu. Moja prawa ręka zawisła nad rękojeścią miecza.

- A co, jeśli tak? - zapytałem cicho. - Czy widzisz w tym jakiś problem, przyjacielu?

Cofnął się, unosząc ręce.

- Och, daj spokój! - krzyknął z oburzeniem. - Oszczędź mi wstydu. Idź i znajdź swojego mistrza. Poszedłem, zatroskany tą wymianą zdań.

Sala wykładowa okazała się jedną z mniejszych, ale była dość duża, żeby nas pomieścić we względnej wygodzie. Siedzieliśmy na niedorzecznych stołeczkach, jakie uwielbiają Tyberianie, podczas gdy mistrz Piero krążył po pokoju i prowokował nas do rozmowy, nakłaniając do zdefiniowania wyższego dobra w kategoriach społecznych. Po raz pierwszy od trzech dni usłyszałem, jak cytuje wielkich helleńskich i tyberijskich filozofów, zachęcając nas do tego samego.

Znałem ich, znałem ich wszystkich albo prawie. W swój niesystematyczny sposób Fedra była doskonałym nauczycielem i zawsze zatrudniała najlepszych tutorów. Przyłączyłem się więc do dyskusji, choć czułem, że nie wkładam serca w recytowane z pamięci słowa. Kiedy skończyliśmy, mistrz Piero skinął na mnie.

- Zostań - rzucił krótko. - Czekaj.

Zostałem i czekałem w nieskończoność, gdy słuchał zmartwień innych, ze współczuciem kiwając głową. W tym czasie podszedł do mnie Lucjusz Tadiusz.

- Montrève! - powitał mnie. - Przychodzę z zaproszeniem. Jego oczy na wpół przysłaniały ciężkie powieki. Spojrzałem na niego pytająco.

- Od mojej siostry Klaudii Fulwii i jej męża Dekkusa Fulwiusza, którzy zapraszają cię dziś po południu do teatru i później na kolację w ich domu.

Choć nieufny wobec polityki, byłem zaintrygowany. Już próbowałem

sobie wyobrazić, jaka jest siostra Lucjusza. I bez względu na to, w co był wmieszany Dekkus Fulwiusz, w łaźniach zachował się uprzejmie. Odrzucenie zaproszenia byłoby nietaktem.

- Dziękuję. Czuję się zaszczycony.

Lucjusz tylko skinął głową i powiedział mi, gdzie znajdę teatr, w pobliżu Tybru w sąsiedztwie targu rzeźników. Obiecałem, że tam się z nimi spotkam.

Mistrz Piero już na mnie czekał. Pożegnałem się z Lucjuszami poszedłem za mistrzem do jego prywatnego gabinetu, niewielkiej klitki na tyłach sali wykładowej. Zamknął za nami drzwi i poprosił mnie, bym usiadł.

Był to dziwny gabinet, prawie bez książek, za to pełen wszelkiego rodzaju różności - roślin w glinianych donicach, czaszek zwierząt, szkieletu ptaka, geod, szklanych soczewek i pryzmatów, niepokojąco długiej skór węża, licznych misternych muszli. Zacząłem katalogować je w myślach jak nauczyła mnie Fedra podczas naszych ćwiczeń pamięciowych, i szybko wpadłem w rozpacz. Było tu zbyt wiele przedmiotów, by je zliczyć. Zastanowiłem się, jakiemu służą celowi.

Mistrz Piero mnie obserwował.

- Masz ciekawy umysł - powiedział. - Jak sądzisz, dlaczego trzymam te okazy?

- Nie wiem, mistrzu. - Wskazałem najbliższy, muszlę łodzika na rogu biurka. - Mogę?

- Oczywiście.

Podniosłem ją i obejrzałem. Leżała lekko w mojej dłoni, zwinięta spiralnie. Zewnętrzna powierzchnię pokrywały żywe prążki, wewnętrzna połyskiwała perłowo. - Helleńscy matematycy twierdzili, że to idealna spirala - powiedziałem. - Idealne proporcje, nakładane jedno na drugie, by utworzyć harmonijną całość, są przyjemne dla oka. - Spojrzałem na niego. - To narzędzia skłaniające do myślenia, prawda? Rozmyślając o łodziku, człowiek rozmyśla nad istnieniem perfekcji w naturze. Uśmiechnął się. - Dobrze zostałeś nauczony.

Odłożyłem muszlę i postanowiłem mu nie mówić, że ten konkretny strzęp wiedzy wpadł mi w ucho w Sali Gier. Gra rytmomachia oparta jest na takich sekwencjach liczbowych.

- Czy to znaczy, że postanowiłeś przyjąć mnie na ucznia, mistrzu Piero? Stał przy otwartym oknie z rękami założonymi za plecy, patrząc na Stare Forum.

- Trybuna jest pusta - mruknął. - Kiedyś rzadko tak było. Codziennie ktoś na niej stawał, by przemówić do ludu Tyberium. - Odwrócił się. - Masz szybki umysł, Imrielu nó Monrrève, i solidne podstawy wiedzy. Ale jestem w kłopotcie. - Zmarszczył czoło. - Czy twoja rodzina wie, że tu jesteś?

- Tak, panie - odparłem. - Oczywiście! - Twoja cała rodzina? - nacisnął delikatnie.

- Tak. - Odetchnąłem głęboko. - Królowa Terre d'Ange nie jest zachwycona, ale wie. I jestem pełnoletni, decyzja należy do mnie. Mistrzu Piero, nie jestem tutaj jedynym studentem, który ucieka przed więzami rodziny.

- Tak, nie jesteś. Ale Lukka jest drobnym miastem- państwem Caer- dicci, niewielkim i potężnym krajem sprzymierzonym. I LucjuszTadiusz nie udaje kogoś, kim nie jest. - Bruzdy na jego czole się pogłębiły. - Nie lubię kłamstw, Imrielu.

- Gdzie widzisz kłamstwo? - sprzeciwiłem się. - Mistrzu Piero, jestem Imrielem nó Montrève. W sercu i w duszy, oto, kim jestem. I przybyłem tutaj, żeby się dowiedzieć, kim jest Imriel nó Montrève.

- Ale w oczach świata jesteś także kimś innym - rzekł cicho. Wezbrała we mnie gorczyca przemieszana z gniewem.

- Czy wiesz cokolwiek o moich dziejach?

- Wiem. - Mistrz Piero z westchnieniem skierował zatroskane spojrzenie za okno. - Nie wszystko, ale wystarczająco wiele. Uniwersytet jest wieżą z kości słoniowej, Imrielu, nie zawsze tkwimy z nosami w za kurzonych tomach, nie dbając o to, co leży za granicami Tyberium. Poświęcamy uwagę wydarzeniom rozgrywającym się w większym świecie. Nawet ja to robię. - Wrócił za biurko i popatrzył na mnie. - Gdybym nic nie wiedział o twojej przeszłości, decyzja byłaby łatwa. Odprawiłbym cię za kłamstwo, mimo że zapowiadasz się obiecująco.

- Mistrzu Piero... - zacząłem w popłochu. Podniósł rękę.

- Ale cię nie odprawię. Powiem tylko, że moim zdaniem lepiej przysłuży ci się prawda niż stosowanie uników, które są subtelnymi krewniakami kłamstwa. Dam ci jednak szansę na samodzielne dokonanie wyboru. Z przegródki pod biurkiem wyjął pergamin z owczej skóry. - Umieszczę twoje nazwisko na liście i zaliczę cię do moich studentów - powiedział szukając kałamarza na zagraconym blacie. - Możesz pójść do kwestora żeby uiścić czesne.

- Dziękuję, panie, dziękuję! - zawołałem z ulgą.

- Tak postanowiłem. Możesz odejść. Jutro spotykamy się w Świątyni Wszystkich Bogów.

Zawahałem się, patrząc, jak pisze moje nazwisko.

- Mistrzu Piero?

- Słucham? - Podniósł głowę.

- Czy na uniwersytecie ktoś prowadzi zajęcia ze sztuki szpiegowania.

Zamrugnął.

- Sztuka szpiegowania? Czy to pragniesz studiować?

- Nie, niezupełnie. Chciałbym wiedzieć, jak mógł się tego nauczyć człowiek, który studiował tutaj... - porachowałem na palcach - jakieś czterdzieści lat temu.

Mistrz Piero pokręcił głową. Jego pospolita twarz była tak niewinna jak czysty arkusz pergaminu.

- Nie mam pojęcia, młody Imrielu. To było przed moimi czasami i nigdy o czymś takim nie słyszałem. Nie tutaj, nie na uniwersytecie.

- Rozumiem. Dziękuję, panie.

- Idź. - Machnął ręką. - Wiesz, jak mi podziękować. Poszedłem.

Na zewnątrz, pod kolumnadą, zastałem czekającego na mnie Eamonna.

- I co? - zapytał niespokojnie. - Co powiedział?

Uśmiechnąłem się. - Jestem studentem.

- Tak! - Zamknął mnie w łamiącym żebra uścisku, godnym jego ojca, Kwintyliusza Rouse. - Wiedziałem!

- Eamonn! - wycharczałem.

- Przepraszam, Imri. - Puścił mnie. Dwóch przechodzących studentów Caerdicci obrzuciło mnie drwiącymi spojrzeniami. - Cieszę się, to wszystko. A ty nie jesteś zadowolony?

- Tak, oczywiście. - Patrzyłem na studentów. - Eamonn, czy tylko to sobie wyobrażam, czy tutaj na uniwersytecie D'Angelinowie nie cieszą się zbytnią sympatią?

- Tak, możliwe. - Eamonn podrapał się po brodzie. - Prawdę mówiąc, obecnie nie ma ich tu zbyt wielu. Przynajmniej ja nie znam żadnego prócz ciebie. - Trącił mnie pięścią w ramię. - Chodźmy do łaźni. Tam możemy porozmawiać. Jest Gilot?

- Nie. - Roześmiałem się. - Kręci się po podwórzu insuli, próbując znaleźć kobietę do opróżniania nocnika.

Poszliśmy razem do łaźni. Chodzenie na piechotę wydawało mi się dziwne, ale wszyscy to robili, patrycjusze i plebejusze. W Tyberium obowiązują ściśle zasady dotyczące korzystania z powozów w ciągu dnia i nikt nie jeździ konno w obrębie właściwego miasta, chyba że wyjeżdża albo powraca. Główne ulice są dostatecznie szerokie, ale węższymi jazda byłaby niemożliwa. Tęskniłem za Bękartem i pomyślałem, że muszę znaleźć czas i zabrać go na wycieczkę. Pewnie też usychał z tęsknoty.

W łaźniach wycpiliśmy się, wyszorowaliśmy i wymoczyliśmy. Później Eamonn namówił mnie na skorzystanie z usług unctuarium, gdzie robią masaż wonnymi olejkami. Musiałem zaczekać, gdy on poszedł do golarza. Odziany w białą szatę, siedziałem



na jednym ze wszechobecnych tyberyjskich stołków, podczas gdy Eamonn wyciągnął nogi na specjalnie skonstruowanym krześle i zadarł podbródek.

Golibroda robił wielkie przedstawienie, ostentacyjnie ubijając pianę, nakładając ją na twarz i szyję pędzlem z dziczej szczeciny. Pociągnął ostrą brzytwą po twarzy Eamonna, zdrapując pianę i goląc czerwono- złoty zarost. Widok lśniącego błękitem ostrza na gardle przyjaciela przyprawił mnie o drżenie. Eamonn zamknął oczy, niczego nieświadom.

- Ty nie musisz się golić, prawda, Imri? - zapytał po albańsku.

Pokręciłem głową, potem przypomniałem sobie, że mnie nie widzi.

- Nie - odparłem w tym samym języku.

Eamonn uśmiechnął się, wciąż nie unosząc powiek..

- Czy jesteś z tego dumny?

- Nie - mruknąłem, macając gładkie policzki. - Dlaczego? To kwestia dziedzictwa, nic więcej. - Wzruszyłem ramionami. - Są różnice. Czy to ważne?

- Tak. - Eamonn otworzył oczy. - Dla niektórych.

W unecuarium leżeliśmy obok siebie na marmurowych stołach, podczas gdy masażystki nacierali nas wonnym olejkiem.

- Nie popełnij błędu, Imri - przestrzegł mnie Eamonn. - Tu nie brakuje zazdrości. Ty... - Wskazał na mnie leniwym ruchem ręki. - Wy D'Angelinowie, macie szczęście. Jesteście urodziwymi ludźmi i silnym narodem. Wasi bogowie obdarzyli was licznymi darami. I co więcej, D'Angelinowie lubią się tym chwalić - dodał otwarcie.

Spojrzałem na niego spod przymrużonych powiek. - Ja nie, prawda?

- Prawda - przyznał. - Ty jesteś inny. Ale tutejsi ludzie jeszcze cię nie znają. Wszystkim, co widzą, jest d'angelińska twarz. - Wsparł głowę na przedramionach. - Daj im czas, Imri. W Tyberium żyją wspomnienia. Ich gwiazda zdążyła już zająć, podczas gdy gwiazda Terre d Ange weszła pod rządami Ysandy i Drustana wyżej niż kiedykolwiek. I teraz nawet d'angelińscy scholarzy przedkładają własne akademie nad Uniwersytet.. To rodzi urazę.

Westchnąłem.

- Czy nic nigdy nie może być proste?

- Nie pozwól, żeby to cię martwiło. - Eamonn uśmiechnął szeroko. - Zbyt wiele się martwisz.

- Mam ku temu zbyt wiele powodów - mruknąłem.

Czysty i pachnący, wróciłem do insuli, żeby się przebrać. Uznałem że prosta studencka toga, którą nosiłem, nie nadaje się na wieczór w towarzystwie jednego z najbogatszych obywateli Tyberium. Moje ubrania w większości były skromne, z mocnego materiału, porządnie uszyte, ale niezbyt strojne. Na szczęście, przywiozłem parę rzeczy, które uznałem za odpowiednie, choć były zmięte po podróży w jukach.

Powitał mnie dziwny widok, gdy zbliżyłem się do sklepu wytwórcy kadzideł. Żebrak ulokował się w pobliżu bramy prowadzącej na dziedziniec insuli. Skądś zdobył wielką sosnową beczkę, całą, choć klepki były spękane i koślawe. Wyciął w niej otwór i siedział w środku ze skrzyżowanymi nogami, trzymając drewnianą miseczkę, jak posąg w niszy ołtarza.

Wytknął głowę, gdy podszedłem.

- Dobrego dnia, młody panie! - zawołał wesoło. Dobrze władał caer-dicci, choć z obcym akcentem, którego nie mogłem umiejscowić. Potrząsnął drewnianą miską, grzechocząc leżącymi na niej paroma mosiężnymi sesrercjami.

- Mądry człowiek uwalnia swoją duszę od brzemienia bogactwa - podjął. - Czy chcesz zmniejszyć swoje brzemie? Uniosłem brwi.

- I w zamian przysporzyć go tobie, przyjacielu?

- Ach! - Uśmiech rozjaśnił twarz żebraka. Był brudny i miał tłuste włosy, ale młodszy niż wyglądał na pierwszy rzut oka, przed trzydziestką. Ukłonił się na siedząco. - Rozumiem, jesteś dobry. Dziękuję ci, młody panie, za oszczędzenie mi pokusy. Może, gdy zmądrzeję, nauczę się żyć powietrzem i światłem słońca. - Odetchnął głęboko przez nos. - Albo słodkim zapachem kadzidła, jak sami bogowie. Tak! Stanę się bogom podobny w swej mądrości.

Śmiejąc się, sięgnąłem do sakiewki.

- Proszę - powiedziałem, wrzucając srebrnego denara do miski. - Żeby twoja doczesna powłoka nie zawiodła cię przed wzlodem na boskie wyżyny.

Żebrak ukłonił się powtórnie, z jasnymi oczyma.

- I tak, wyzbywając się pokusy, jestem po trzykroć skuszony. Dziękuję, młody panie! Spróbuję doszukać się sensu w tej lekcji.

- Życzę szczęścia - powiedziałem, odwracając się ku bramie.

- Czeka! - Skinął na mnie. - Mam dla ciebie podarek. - Sięgnął w głąb beczki i szukał czegoś po omacku. Wyjął prymitywny gliniany medalion na rzemieniu. - Proszę!

Pokręciłem głową.

- Dziękuję, nie trzeba.

- Życzliwość należy odwzajemniać - oznajmił z uporem w głosie, wyciągając medalion na brudnej ręce. - Poza tym, wszyscy w Tyberium wiedzą, że odrzucanie podarunku żebraka przynosi pecha.

Zawahałem się, potem przypomniałem sobie słowa Eamonna. Nie chciałem utrwalac mitu o d'angelińskiej arogancji, zresztą niezupełnie będącej mitem. Z ukłonem przyjąłem podarek żebraka.

- Dziękuję - powiedziałem, zakładając medalion na szyję. - Ja także szukam mądrości.

- Życzę ci, byś ją znalazł.

Wszedłem na podwórze. Gilot siedział na ganku naszego skromnego mieszkania, rozmawiając z młodą kobietą o miłej twarzy. Poderwała się na mój widok, sploniona.

- Imri! - Gilot skoczył na równe nogi. Po raz pierwszy od naszego przybycia do Tyberium jego przystojna twarz promieniała. - To wdowa Anna Marzeni, mieszka na drugim piętrze insuli. Zgodziła się nam pomagać i wziąć na siebie drobne obowiązki. Jutro idziemy na targ dodał, zadowolony z siebie. - Kupimy parę rzeczy, żebyśmy nie musieli żyć w nędzy. Anna obiecała, że pokaże mi najlepsze miejsca.

- Tak? - Ukłoniłem się dwornie. - Miło cię poznać, Anno Marami Zarumieniła się jeszcze mocniej i dygnęła niezdarnie.

- Dziękuję, panie. Uśmiechnąłem się do niej.

- Imrielu. Mów mi Imriel.

Nie wiem, jak Gilot umówił się z Anną, ale dowiodła swojej wartości w ciągu godziny. Zobaczywszy, w jakim stanie są nasze wypakowane z juków ubrania, zacmokała z dezaprobatą. Podniosłem wams z błękitno srebrnego brokatu, patrząc na niezliczone zmarszczki i zagniecenia.

- Nie jest tak źle - oceniłem.

- Masz żelazko, panie? I węgiel drzewny do kosza? - zapytała Anna.

Kiedy pokręciłem głową, zabrała mi wams.

- Daj mi też tę płócienną koszulę - dodała, wyciągając rękę. - Tak, i spodnie.

Posłuchałem, a ona z aprobatą pokiwała głową.

- Wrócę w okamgnieniu. - Przystanąła w drzwiach z naręczem ubrań. - Wyglansuj mu buty - powiedziała do Gilota. - Są w pożałowania godnym stanie.

Gilot przewrócił oczami.

- Sam to zrobię - zapewniłem go szybko.

- Mężczyźni! - prychnęła Anna i wyszła.

Gdy wróciła ze starannie wyprasowanymi ubraniami, doszliśmy z Gi- lotem do wniosku, że czy to z powodu wady rodu męskiego, czy tylko naszej, jesteśmy żałośnie nieudolnymi gospodarzami. Z pasterza kóz i niewolnika stałem się d'angelińskim arystokratą. Niewiele myśli poświęcałem temu, jak żyją ludzie pomiędzy tymi stanami.

Ubrałem się, podczas gdy Anna Marzoni czekała na dworze. Kiedy wyszedłem na ganek, poprawiła mi kołnierz koszuli i rozprostowała go.

żeby koronka leżała jak trzeba. Pogarda dla naszej nieudolności dodała jej pewności siebie. - Bardzo ładnie, panie - powiedziała, odsuwając się. Pod wpływem impulsu pocałowałem ją w policzek. - Dziękuję, Anno. Pokraśniała.

- Idź już! Masz spotkanie. - Jej spojrzenie przesunęło się na Gilota, nieśmiało i pełne nadziei. - Wrócisz? - zapytała.

- Wróci - odparłem za niego. - Nie musi mi towarzyszyć, gdy będę przebywać z rodziną wybitnego senatora. I nie przypuszczam, żeby zaproszenie rozciągało się na nas obu.

Nasze spojrzenia zwały się w próbie woli. Gilot westchnął.

- Wrócę.

- To dobrze - powiedziała wdowa Anna, wciąż zarumieniona. - To znaczy... no tak, dobrze.

## TRZYDZIEŚCI CZTERY

---

Przed Teatrem Marceilańskim spotkałem się z Lucjuszem Tadiuszem, jego siostrą i jej mężem, senatorem Dekkusem Fulwiuszem. Teatr znalazłem bez trudu, jest to bowiem największa budowla nad rzeką Tyber w sąsiedztwie targu rzeźników. Wielki marmurowy krąg, wznoszący się w kondygnacjach, płonął bursztynowo w promieniach późnego słońca. Grupę Lucjusza też nietrudno było zauważyć. Otaczali ją słudzy z poduszkami i koszami z jedzeniem, trzymając tłumy na dystans. Zastanowiłem się, czy są niewolnikami. Niewolnictwo nie jest tak powszechne jak w najświetniejszym

okresie cesarstwa tyberyjskiego, ale przetrwało. Nie lubiłem o tym myśleć, bo przecież sam kiedyś byłem niewolnikiem.

- Montrève! - Lucjusz uniósł rękę w powitalnym geście. - Dołącz do nas.

- Idź - mruknąłem do Gilota. - Nic mi nie będzie, a Anna czeka. Spojrzał na mnie ponuro.

- Niczego mi nie ułatwiasz, Imri. Pchnąłem go lekko.

- Kto cię prosił o przyjazd? Idź, wdowa czeka!

Poszedł, mamrocząc pod nosem. Dołączyłem do towarzystwa. Lucjusz wyglądał lepiej niż wcześniej, oczy miał jasne.

- Cieszę się, że przyszedłeś - powiedział. - Imrielu nó Montrève, to mąż mojej siostry, Dekkus Fulwiusz. Już się znacie, jak mniemam.

Dekkus Fulwiusz zachichotał, wyciągając rękę. Był masywny, srebrno włosy i sympatyczny. Rozpoznałem go, choć w formalnym stroju wyglądał bardziej poważnie.

- Z łaźni, prawda? W istocie, miło cię znowu widzieć, młody Montrève Rad jestem, że znalazłeś sobie mistrza, żeby studiować pod jego kierunkiem. Potrzebujemy więcej D'Angelinów w Tyberium.

Uścisnąłem jego dłoń.

- Dziękuję, messire.

- I moja siostra - powiedział Lucjusz. - Klaudia Fulwia.

- Miło cię poznać, Imrielu nó Montrève. - Głos miała niski i melodyjny, stworzony do wypowiedzania słów namiętności.

Spojrzałem na nią i poczułem, że otchłań pożądania otwiera się pod moimi nogami.

Sprawił to sposób, w jaki się nosiła i jak spojrzała mi w oczy, poufale i wyzywająco zarazem. Klaudia Fulwia była podobna do brata, miała te same usta, szerokie i ruchliwe, i ostre rysy, ale złagodzone przez pierwotną kobiecą zmysłowość. Miała kunsztowną fryzurę, ciemne kasztanowe pukle rozsypywały się po jej ramionach. Nawet w Terre d'Ange uznane by jej urodę za niezwykłą, choć niezupełnie klasyczną.

Ukloniłem się, całując jej dłoń.

- To ja czuję się zaszczycony, pani.

Roześmiała się, gdy się wyprostowałem. Jej piersi zafalowały pod brązowym jedwabiem sukni. Była wysoka jak na kobietę, a jej ciało miało wici; krągłości. Starąłem się nie parrzeć na głęboki rowek pomiędzy jej plevami. Błonka potu lśniła na jej skó-

rze i zastanawiałem się, jaki ma smak. Nie chciałem o tym myśleć, nic jednak nic mogłem na to poradzić.

- Chodźcie, przyjaciele - powiedział dobrodusznym tonem Dekkus Fulwiusz. - Zajmijmy miejsca i cieszymy się sztuką.

Otoczeni przez służących, weszliśmy do teatru. Loża dość wielka. by pomieścić tużin widzów, była zarezerwowana dla Dekkusa Fulwiusza i jego rodziny. Słudzy zakrzętnęli się sprawnie, spulchniając poduszki i układając je na kamiennych siedzeniach, wyjmując smakołyki i flaszki wina. Wszędzie wokół widownię zapełniali mniej szczęśliwi ludzie, rozmawiający hałaśliwie.

Siadając po prawicy męża, Klaudia Fulwia poklepała marmurową ławę obok siebie.

- Siądziesz przy mnie, prawda, Imrielu? - Umilkła na chwilę. - Czy mogę mówić ci po imieniu? - Proszę - odparłem, zajmując miejsce. Nasze ramiona się zerknęły.

- Mów mi Klaudia. - Uśmiechnęła się do mnie i ściszyła głos. Ledwo ją słyszałem w panującym gwarze. - Jesteś jednym z towarzyszy zabaw Lucjusza?

- Nie, pani. - Wytrzymałem jej spojrzenie, powoli kręcąc głową. - Nie jestem niczym towarzyszem zabaw.

- Szkoda - wymruczała.

Niebawem zaczęło się przedstawienie, ale gdyby mnie spytano, nawet za cenę życia nie mógłbym dokładnie opowiedzieć, o co w nim chodziło. Była to farsa oparta na epizodzie z historii starożytnego Tyberium, o dwóch skłóconych generałach i menechtańskiej królowej, która ich przechytryła. Generałowie paradowali z wielkimi skórzanymi fallusami przymocowanymi do spodni. Zachowywali się jak bufoni, podczas gdy królowa wodziła ich za nos. Na koniec zaczęli się okładać fallusami i miotali się po scenie, dopóki nie padli. Bohaterem okazał się sędziwy senator, któremu pomagał wścibski sługa.

Choć Tyberianie płakali ze śmiechu, patrząc na błazeństwa pojedynkujących się generałów, ja miałem wrażenie, że w sztuce jest coś wywrotowego. Czasami, kiedy głos zabierał stary senator, Dekkus Fulwiusz z aprobatą kiwał głową.

Od samego początku miałem jednak kłopoty ze skupieniem uwagi na sztuce.

Wcale nie dlatego, że była prymitywna i absurdalna wedle d'angelińskich standardów - choć była. Sprawiał to nacisk uda Klaudii na moją nogę i moja dotkliwa tego świadomość. Postanowienie bycia dobrym nagle wydało się odległe i dziecinne.

Krótko po rozpoczęciu przedstawienia znaleźliśmy się w cieniu. Klaudia się odwróciła, skinęła na sługę.

- Podaj koc, proszę. - Rozłożyła go na kolanach, również na moich. - Nie chcemy się przeziębic.

Nikłe szanse, pomyślałem.

Niedługo później poczułem jej rękę pod kocem. Była dojrzałą kobietą - przypuszczam, że pod trzydziestkę - i jej ruchy nie zdradzały niepewności, żadnego dziewczęcego obmacywania czy szukania po omacku.

Jej dłoń wędrowała po moim naprężonym udzie powoli i pewnie, rozkoszując się dotykiem. Nie robiąc niczego, żeby ją zniechęcić, spojrzałem na jej wyrazisty profil. Wpatrzona w scenę na dole, śmiała się z aktorów. Wyglądała tak, jakby absolutnie nic innego nie chodziło jej po głowie.

Tymczasem jej ręka bezbłędnie sunęła do celu.

Drgnąłem, gdy dotarła do fallusa, twardego i sztywnego. Siedzący po drugiej stronie Lucjusz obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem.

- Wszystko w porządku, Montrève? - zapytał.

- Doskonale - wycedziłem przez zęby.

Patrząc z uśmiechem na scenę, jego siostra gładziła mojego fallusa, naciskała dłońią, jej długie palce zwinnie przebiegały przez całą uwięzioną w spodniach długość. Przez straszną chwilę myślałem, że osiągnę szczyt pod jej ręką, w teatrze. Oddychałem powoli i głęboko, myśląc o czuwaniu ku czci Elui, o zimnie pod kolanami, o lodowatych gwiazdach na niebie.

To pozwoliło mi przetrwać. Na szczęście Klaudia w końcu mnie uwolniła. Wymruzczałem modlitwę dziękczynną do Błogosławionego Elui i zająłem się odzyskiwaniem zimnej krwi. Gdy sztuka się skończyła, mogłem wstać bez przynoszenia sobie wstydu.

Poszliśmy za scenę do pokoi aktorów. Dekkus Fulwiusz, jak się wydawało, był mecenasem tej szczególnej sztuki. Przywitał się z aktorami, gratulując im dobrze wykonanej roboty i nagradzając ich monetami.

Lucjusz też musiał znać ich dobrze, bo wmieszał się w aktorskie grono, śmiejąc się i żartując. Uśmiechnąłem się na widok jego wesołej miny, mimo że zostawił mnie samego z Klaudią, co było trochę denerwujące.

- Lubisz mojego brata - zauważyła.

- Niedawno się poznaliśmy. Ale tak, chyba go lubię.

- Miło mi to słyszeć - powiedziała. - Potrzebuje przyjaciół. - Jej głos się zmienił na niski i rozbawiony. - A ty wydajesz się młodym człowiekiem o wyjątkowo silnej woli.

Spojrzałem jej w oczy.

- Staram się, pani.

Rozmyślałem o zbliżającym się posiłku ze strachem, który dorównywał ochocie. W Terre d'Ange mógłbym do woli się cieszyć grą Klaudii Fulwii. Ale, jak przypomniał mi Eamonn, Tyberium to nie Terre d'Ange. Tutejszym arystokratkom nie wolno brać kochanków jak w mojej ojczyźnie. Nie byłem pewien konsekwencji, ale nie miałem wątpliwości, że bogaty i wpływowy Dekkus Fulwiusz nie byłby zachwycony. Ponadto nie chciałem znaleźć się w tej sytuacji. Po Domu Waleriany i późniejszym incydencie potrzebowałem czasu do namysłu.

A jednak jej pragnąłem.

Strasznie jej pragnąłem.

Po tym, co zaszło między nami w teatrze, Klaudia przeobraziła się wchodzącą cnotę. Wzorowa tyberyjska żona, przeprosiła nas, gdy weszliśmy do ich rezydencji, zwanej tutaj *domus*, i poszła sprawdzić, jak postępują przygotowania w kuchni. Rozejrzałem się po wielkim atrium, podziwiając misterną mozaikę na podłodze. Kiedy sługa ukląkł, żeby zdjąć mi buty, drgnąłem i znowu zastanowiłem się nad niewolnictwem.

- Odrobina luksusu, co, Montrève? - Dekkus Fulwiusz zachichotał. - Uznałem, że sprawi to przyjemność biednemu scholarowi.

Wsunąłem boscie stopy w miękkie sandały i uśmiechnąłem się do niego, czując wyrzuty sumienia, jakich nigdy nie doznałbym w domu.

- Jesteś wielce uprzejmy, panie. Dziękuję.

Dekkus wzruszył ramionami.

- Nie ma za co. - Spojrzał na Lucjusza, który z niespokojną miną zaglądał w otwarte drzwi pokoju po prawej stronie. - Chodź, Lucjuszu. Lary Fulwiuszów nie zrobią ci krzywdy. Trochę odpoczniemy.

Zajrzałem do małego pokoju w drodze na perystyl. Światło było przyćmione, ale zdołałem zobaczyć, że jest tam niewielki ołtarz pełen masek i brązowych posążków.

- Umarli? - zapytałem cicho.

Lucjusz uśmiechnął się z wyraźnym przymusem.

- Zawsze.

W ogrodzie było przyjemnie, gdy zmrok zapadał nad miastem, choć nie tak przyjemnie, jak na dziedzińcu Fedry. Sączyłem wino i tęskniłem za nią, tęskniłem za Joscelinem, tęskniłem za Terre d'Ange. Dekkus Fulwiusz przekomarzał się z Lucjuszem



i ze mną, podkpiwając z naszej wierności mistrzowi Piero i przytaczając liczne przykłady jego ekscentrycznego zachowania.

- Daj chłopcom spokój, Dekkusie! - W drzwiach pojawiła się Klaudia. Jej sylwetka rysowała się na tle światła we wnętrzu domu. - Chodźcie na kolację.

Zebraliśmy się w przestronnej jadalni zastawionej leżankami. Klaudia dołączyła do nas jako pani domu.

Muszę przyznać, że po odgrywaniu roli ubogiego scholara, przyjemnie było pławić się w luksusie. Słudzy krążyli z miskami pachnącej wody.

Leżąc na leżankach, zanurzaliśmy ręce i podnosiliśmy je do wytarcia miękkim płótnem. Potem podano jedzenie, liczne dania, które popijaliśmy wyśmienitym winem.

Nie zdawałem sobie sprawy z rozmiarów mojego głodu. Zapomniawszy o polityce, zapomniawszy o ręce Klaudii na moim fallusie, jadłem i jadłem: oliwki w oliwie, słone ostrygi, delikatne małże, kapłona tak kruchego, że mięso odpadało od kości, pikantny gulasz rybny. We wszystkich potrawach dominował smak garum. Stwierdziłem, że coraz bardziej go lubię

- No nie! - Klaudia uśmiechnęła się od mnie. - Masz wilczy apetyt, Imrielu nó Montrève.

- A czego się spodziewasz po mężczyźnie w jego wieku, moja droga? - zapytał wesoło Dekkus Fulwiusz.

Wyczytałem odpowiedź w lekkim trzepotaniu jej powiek i poczułem ciepło. Zakaszlałem, żeby ukryć zakłopotanie, rozluźniłem kołnierzyk i pochyliłem się, żeby wybrać gruszkę z tacy deserów. Medalion żebraka który wciąż miałem na szyi, zakołysał się na rzemieniu.

- Co tam masz? - zapytała Klaudia, rozbawiona. - Talizman na szczęście?

- To? - Zdjąłem medalion. Obejrzałem go po raz pierwszy, rozpoznając prymitywny wizerunek latarń po obu stronach. - Nic takiego pani.

Dał mi to żebrak. Powiedział, że muszę przyjąć podarunek, bo odmowa przynosi pecha. Roześmiała się.

- Nie wątpię. To zmyślna sztuczka. Kupił twoje poczucie winy, prawda? Założę się, że poczujesz się zobowiązany do rzucania mu monety za każdym razem, kiedy go zobaczysz.

Lucjusz ściągnął brwi.

- Mogę obejrzeć? Podałem mu medalion. Przyjrzał mu się i wyszczerzył zęby.

- Jest cynikiem - wyjaśnił, stukając palcem w paloną glinę. - Latarnia jest ich symbolem.

Klaudia też poprosiła o medalion, obejrzała go z umiarkowanym zainteresowaniem i oddała.

- Twój żebrak jest filozofem, Montrève. Nie zaszkodzi zachować medalion, może przyniesie ci szczęście.

- Cynik, co? - Wzruszyłem ramionami i zarzuciłem rzemyk na szyję. - Niech tak będzie.

Dekkus Fulwiusz klasnął w rękę.

- Dość filozofii! Powiedz mi, młody Montrève, co myślisz o sztuce? Otworzyłem usta, ale Klaudia nie dała mi dojść do słowa.

- Montrève - zaczęła w zamyśleniu, patrząc na mnie z przekrzywioną głową. Oczy miała jasnobrązowe jak lis, a światło lamp nadawało im bursztynowy odcień. - To nazwisko nie dawało mi spokoju przez całą noc.

Poczułem ukłucie niepokoju.

- Czy nie tak nazywa się podziwiany przez ciebie d'angeliński poeta?- zapytała Lucjusza. - Zdaje mi się, że parę lat temu zachwycałeś się jego twórczością.

Lucjusz pstryknął palcami.

- Wiedziałem, że brzmi znajomo! Jesteście spokrewnieni? Odetchnąłem w duchu z ulgi.

- W pewien sposób - odparłem. - Zostałem adoptowany przez jego wychowankę i dziedziczkę.

- Co to za poeta? - zapytał żonę Dekkus Fulwiusz. Sprawiał wrażenie zawiedzionego.

- Nie znasz, kochanie. - Uśmiechnęła się do niego słodko. - Pisał poematy w starym stylu helleńskim, sławiąc szlachetne cnoty miłości między mężczyznami.

Senator chrząknął z lekceważeniem.

Lucjusz położył się na wznak, zakładając ręce pod głowę i patrząc w sufit.

- „O, najdroższy panie, niech pierś, na której skłaniasz głowę, służy ci jako tarcza” - wyrecytował cicho. Odwrócił twarz w moją stronę. - Znałeś go? Czy to prawda, że kiedyś był kochankiem księcia?

- Tak, to prawda. Ale nie, niestety, nie poznałem go. Zmarł przed moimi narodzinami. Studiował tutaj, w Tyberium - dodałem. - Obaj tu studiowali.

- Były takie czasy, gdy wszyscy d'angelińscy arystokraci wysyłali swoich synów na uniwersytet - powiedział Dekkus Fulwiusz oskarżycielskim tonem. - W ostatnim pokoleniu ten stan rzeczy się zmienił. - Wskazał na mnie. - Twój lud zapomniał, skąd pochodzi. My was ucywilizowaliśmy.

Ponieważ byłem jego gościem, i te słowa zawierały ziarnko prawdy, nie próbowałem się spierać. - Tak, panie - odparłem. - Dlatego chciałem pójść w ślady Anafiela... de Montrève.

Potknąłem się na nazwisku, choć chyba nie zauważyli. To ironia losu. Wyklęty przez ojca, Anafiel przyjął nazwisko matki, Delaunay. Dopiero po śmierci ojca wrócił do nazwiska przynależnego mu z prawa urodzenia, de Montrève. Wiersze, zakazane za jego życia, wydane zostały pośmiertnie pod prawdziwym nazwiskiem. Przez pewien czas cieszyły się sporą popularnością.

Ale to Fedra rozsławiła nazwisko Delaunay.

A ja nie miałem zamiaru go tutaj przytaczać. Jak powiedział mistrz Piero, nie wszyscy w Tyberium ograniczają się do spraw własnej ojczyzny. Nazwisko Delaunay mogłoby trącić inną strunę niż miano Montrève.

- Słyszałem - zacząłem, żeby zmienić temat - że Anafiel de Montrève podczas studiów w Tyberium nauczył się sztuki szpiegowania, by tym le piej służyć swojemu panu, księciu Rolandowi. Zapytałem mistrza Piera, nigdy o czymś takim nie słyszał.

Wszyscy troje popatrzyli na mnie bez wyrazu.

- Szpiegowanie? - mruknął Lucjusz. - To mogłoby się przydać.

- Ba! - Dekkus zmarszczył czoło. - Po co nauczać szpiegowania? Pilnuj, żeby twoja lojalność nie zbłądziła, miej uszy otwarte i usta zamknięte, to wystarczy. - Przesunął się na leżance. - Wracajmy do spraw ważniejszych. Powiedz mi, Imirelu nó Montrève, co myślisz o sztuce.

Odpowiedziałem oględnie i dyplomatycznie, co niezupełnie zadowoliło Dekkusa Fulwiusza. Naciskał, chcąc usłyszeć moje głębsze przemyślenia.

- A co sądzisz o fabule? Czy pojąłeś jej wymowę?

Bezradnie rozłożyłem ręce. Nie mogłem powiedzieć człowiekowi, że podchwytwałem tylko jedno słowo na trzy, ponieważ jego żona gmerała

w moim kroczu.

- Wybacz mi, panie, nie jestem dobrze obznajomiony z tyberyjską

polityką.

- Dekkusie! - rzuciła Klaudia szorstko. - Chłopiec jest tutaj ledwie kilka dni. Niech pozna miasto, zanim spróbujesz go wciągnąć w swoje

polityczne sidła.

- Wybacz mi, moja droga - przeprosił ją. - Masz słuszość, oczywiście. Ale chciałem usłyszeć, jakie wrażenie odniósł świeży umysł, wolny od uprzedzeń.

Podniosła się wdzięcznie z leżanki, brązowe jedwabie zamigotały w świetle.

- Może zadowolisz się uprzedzonym spojrzeniem Lucjusza i jego zaczniesz wypytywać. Jestem pewna, że z radością podzieli się z tobą swoimi przemyśleniami. - Skinęła na mnie. - Chodź, podarujmy im tę chwilę intrygi. Widziałeś nasze freski?

- Nie pani. Nie widziałem.

Gdy Klaudia mnie wyprowadzała, słyszałem, jak mężczyźni rozmawiają o sztuce i polityce. Moja skóra wydawała się za ciasna, chodziły po niej ciarki jak w obliczu niebezpieczeństwa. Wiedziałem, bez cienia wątpliwości, że to, co robię, jest głupie. I wiedziałem, że się nie wycofam.

Klaudia zapaliła od lampy świeczkę i poprowadziła mnie w głąb domu. Słudzy, którzy dotąd usługiwali nam tak troskliwie, teraz jakby rozplynęli się w powietrzu. Przebyliśmy korytarz i weszliśmy do niewielkiego pokoju. Klaudia podniosła świeczkę, rozświetlając ciemne wnętrza.

- Widzisz? Piękne, prawda?

Na ścianie widniały dwa freski, oba wyobrażające mężczyznę i kobietę połączonych w akcie miłości. Na jednym ona dosiadała jego, na drugim on jechał pomiędzy jej udami. Widziałem piękniejsze dzieła w Dworze Nocy, ale te też nie należały do ostatnich.

Patrzyłem na nie przez długą chwilę, krew mocno tętniła mi w żyłach.

- Co to za pokój, pani?

Klaudia Fulwia uśmiechnęła się do mnie. - Prywatny salon mojego męża.

- Rozumiem.

- Dobrze - powiedziała i zdmuchnęła świeczkę.

To ona znalazła mnie w ciemności, jej ręce się uniosły, by ująć moją twarz. Przyłożyła usta do moich warg, rozsunała je językiem. Objąłem ją i przesunąłem ręce w dół talii, mocno przyciskając jej biodra do moich, żeby poczuła sztywność. Jęknęła w moje usta. Czuję zapach jej piżma.

Resztki mojego postanowienia legły w gruzach. Nie było dobra ani zła, naga cielesna żądza wszystko przepędziła. Chciałem ją posiąść, tu i teraz, mocno i brutalnie. Chciałem wpleść palce w finezyjną fryzurę i rozczochrać jej włosy. Chciałem rozetrwać suknię i obnażyć pełne piersi, zadrzeć jej spódnicę i zatracić się w niej.

Klaudia się wyrwała.

- Nie tutaj.

Głos miała zasapany z niecierpliwości, ale brzmiała w nim również nutka rozbawienia. Żona senatora lubiła niebezpieczne gierki. Miałem osiemnaście lat, ale byłem D'Angelinem i pochodziłem z długiej linii potomków Kusziela. Umiałem być cierpliwy. Czekałem w ciemności, krew przestawała szumieć, puls zwolnił.

- Gdzie? - zapytałem. - Kiedy?

- Przyślę wiadomość. - Jej palce dotknęły mojego policzka. - Gdzie mieszkasz?

- W dzielnicy studentów - odparłem. - Za sklepem wytwórcy kadzideł.

- Obok filozofa- żebraka. - Niemal słyszałem jej uśmiech. Koniuszki palców musnęły moje usta, zsunęły się po szyi, przystając na krótko na

rzemyku medalionu, potem powędrowały niżej, aż zgrzytnąłem zębami. - Znajdę.

W korytarzu przed salonem męża Klaudia wyjęła z rękawa chusteczkę i wytarła mi wargi. Źrenice miała rozszerzone przez ciemność i pożąda nie. Zastanawiałem się, czy jest udręczona jak brat. Jeśli tak, nękały ich duchy odmiennej natury.

- Karmin - mruknęła. Skinąłem głową.

- Dziękuję.

Wróciliśmy do jadalni. Czuję się strasznie nagi i pewien, że wszystko po mnie wiadać, że każdy musi czuć bijący ode mnie jej zapach. Ale Dekkus i Lucjusz byli głęboko pogrążeni w rozmowie i żaden nie zauważył, że coś jest nie w porządku. Reszta wieczoru okropnie mi się dłużyła. Byłem rad, gdy Klaudia przeprosiła i wyszła. Zrobiłem to samo po kolejnym kubku wina, usprawiedliwiając się zmęczeniem.

Dekkus Fulwiusz, wspaniałomyślny gospodarz do samego końca, posłał ze mną służbę, żeby oświetlał drogę. Służący poprowadził mnie ulicami Tyberium. Zrobiło się późno i w mieście panowała cisza, choć kilka gospód prowadziło jeszcze interesy. Przed bramą insuli podziękowałem służce i dałem mu monetę za fatygę.

W sklepie wytwórcy kadzideł panowały ciemności, ale w świetle oddalającej się pochodni zobaczyłem stojącą w tym samym miejscu beczkę żebraka. Dobiegało z niej

chrapanie, a na ulicę wystawała para brudnych stóp w podniszczonych, łatanych sandałach.

Musnąłem dłonią medalion i pokręciłem głową. Mądrość. Lepiej się nadajesz do jej poszukiwania niż ja, przyjacielu - rzekłem cicho.

Beczka odpowiedziała potężnym chrapaniem.

## TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

---

Dni miały bez słowa od Klaudii Fulwii.

Pierwszego dnia byłem spięty i rozdrażniony. Mistrz Piero to zauważył, choć nic nie powiedział. Zebraliśmy się w Świątyni Wszystkich Bogów. To niewłaściwa nazwa, gdyż świątynia jest poświęcona tylko bogom Tyberium, ale sama budowla jest imponująca jak wielka świątynia Naamy w Mieście Elui, idealnie okrągła, z oculusem w sklepieniu. Jest podzielona na kwadranty zgodnie z porami roku. Słuchając, jak mistrz Piero mówi o panteonie bogów reprezentujących prawdziwą różnorodność i mnogość aspektów, chodziłem po wnętrzu, myśląc o kasjelickich sferach ataku i obrony.

Mimowolnie jałem wykonywać kroki pierwszych godzin, moje puste ręce poruszały się tak, jakbym trzymał miecz, który wisiał spokojnie u pasa.

Skaldyjka Brygitta skrzywiła nos.

- Przestań - powiedziała z irytacją. - Staram się słuchać. Zatrzymałem się.

- Przepraszam, pani.

- Czy ty w ogóle wiesz, jak używać miecza? - zapytał przeciągle Aulos, jeden z towarzyszy Lucjusza. Pokłócili się i wyczuwałem, że chce mnie oto obwinić.

- Wie! - Eamonn stanął za mną, kładąc ręce na moich ramionach. - Stoczyliśmy kiedyś wielki pojedynek, prawda, Imri? - Spojrzał z zaciekawieniem na Brygittę. - Chciałyś zobaczyć?

Parsknęła z pogardą i odwróciła się do nas plecami.

Mistrz Piero zwolnił nas wcześniej tego dnia. Przeprosiłem go, świadom, że źle się zachowałem. Obrzucił mnie długim spojrzeniem.

- Nie dawaj mi powodu, żebym żałował mojej decyzji, Imrielu nó Montrève - powiedział.

Staralem się. Wyczuwając mój nastrój, jeśli nie przyczynę, Eamonn zaproponował, żebyśmy wybrali się do zamtuza, jak kiedyś w Progu Nocy. Wyrzekłszy się mojego postanowienia, przystałem na propozycję. Przygnębiło mnie to, co tam zobaczyłem. Dziewczeta nie służyły Naamie i nie było nic świętego w ich powołaniu. Ta, którą wybrałem, płakała, obracając w dłoni ręczne lustro i chowając twarz. Nigdy wcześniej nie była z D'Angelinem. Wybrałem ją, bo oczy jej pojaśniały, gdy .na mnie

spojrzała, ale w pokoju zrobiła się nieśmiała i bojaźliwa.

- Nie - szepnęła. - Nie patrz na mnie.

Kiedy zaproponowałem, że wybiorę inną, rozplakała się jeszcze bar dziej i błagała, żebym tego nie robił. Zostałem więc, choć miałem ochotę odejść. Myślałem o tym, czego się nauczyłem w Domu Melisy, i byłem wobec niej delikatny, niespotykane delikatny. Rozpaliłem ją, jak nauczyła mnie Emmelina, pieszcząc słowami i dotykiem. Krzyknęła na koniec, chowając twarz w moim ramieniu.

Moja własna przyjemność była ukradkowa i ulotna. Ulżyła mojemu ciału i zatroskała duszę. Leżałem na sienniku, patrząc, jak dziewczyna się myje, czując opadające na mnie czarne skrzydła melancholii. Żałowałem że tu przyszedłem. Słyszałem płynący z innego pokoju głośny śmiech Eamonna i kobiecy chichot. Wciąż mu zazdrościłem.

Chciałem, żeby Klaudia Fulwia przysłała mi wiadomość.

Miałem nadzieję, że tego nie uczyni.

W insuli Gilot na oślep rzucił się w romans z Anną Marzoni. Młoda wdowa z dwuletnią córeczką rozkwitła, otoczona troską Gilota. Tworzyli razem śliczny obraz, wszyscy troje. Pamiętając jego rozpacz po utracie Katherine i ich dziecka, cieszyłem się jego szczęściem. Zazdrościłem mu,

ale się cieszyłem.

Mijały dni, wiadomość nie napływała. Zamiast posłańca zjawili się dwaj złodzieje, którzy postanowili okraść sklep wytwórcy kadzideł. Kroki i klekot sandałów na bruku wyrwały mnie z głębokiego snu. Obaj z Gilotem stoczyliśmy się z sienników, zaalarmowani.

-Ja pójdę - rzucił krótko.

-Obaj pójdziemy.

W pośpiechu wciągnęliśmy spodnie, dobyliśmy mieczy i wybiegliśmy na ulicę. Zobaczyliśmy naszego dzikiego lokatora. Filozof- żebrak obejmował się rękami, szeroko otwierając oczy ze strachu.

- Nic ci nie jest? - zapytałem go. - Co się stało?

Wskazał postać leżącą bezwładnie w powiększającej się kałuży krwi. Krew w księżycowej poświacie wydawała się czarna.

- D- dwóch ludzi - wyjąkał, grzechocząc zębami. - Słyszałem, jak się kłóca.

Odwrociłem leżącego mężczyznę. Nie żył, miał poderżnięte gardło. Nie znałem go, ale ten widok przypomniiał mi o Daršandze. Musiałem przełknąć ślinę, broniąc się przed falą mdłości.

- Zabiłeś go?

- Nie! - Żebrak wytrzeszczał oczy, białka okalały tęczówki. Gwałtownie pokręcił głową. - Zbudziłem się i zacząłem krzyczeć. Ten drugi go zadźgał i uciekł.

Niebawem zjawili się członkowie kohorty miejskiej, ściągnięci przez krzyki. Opowiedzieliśmy nasze historie, a żebrak opowiedział swoją. Obejrzeliby ślady próby włamania na drzwiach sklepu, wzruszyli ramionami i kazali nam wracać do łóżek. Dwaj zabrali zwłoki, wiszące pomiędzy nimi jak świeżo upolowana zwierzyna, a jeden poszedł obudzić wytwórcę kadzideł.

Gilot westchnął.

- Musimy sprawić sobie zasuwę na drzwiach, Imri.

- Masz rację - zgodziłem się. - Zapytaj Annę o stolarza. - Spojrzałem na roztrzęsionego żebraka. Noc była chłodna po upalnym dniu, ale uznałem, że drży nie z zimna, tylko z szoku wywołanego widokiem morderstwa. - Przyniesiesz moją zapasową pele-rynę, Gilocie? - Posłuchał, choć nie bez marudzenia, i kiedy wrócił, okryłem ramiona żebraka. - Proszę.

Owinął się szczelnie, z wdzięcznością wtulając nos w delikatną wełnę. Niemal od razu przestał dygotać. Spojrzał na mnie i się uśmiechnął. W nikłym świetle wydawał się młodszy i mniej brudny

- Z pewnością dobroć jest formą mądrości. Dziękuję, młody panie. Odwzajemniłem uśmiech.

- To wytwórca kadzideł winien ci jest podziękowania. Jak się nazywasz, przyjacielu?

- Zwę się Canis - odparł.

- Pies? - zapytał Gilot z niedowierzaniem. - Nazywasz się Pies? - Jest cynikiem, Gilocie - wyjaśniłem. - Filozofem. Cynicy wierzą...

W co właściwie wierzysz, Canisie?



- Wierzę, że chciałbym się położyć - odparł, rzucając tęskne spojrzenie swojej beczce. - I zapamięć o tej przykłej sprawie.

- Też mi filozof - mruknął Gilot.

Zostawiliśmy go i wróciliśmy do insuli. Gilot podstawił pod drzwi jedno z rozklekotanych krzesel i, klnąc pod nosem, obejrzał niczym niezabezpieczone okiennice w dwóch oknach naszej izby. Pomyślałem o środkach ostrożności podejmowanych w Montrève i w miejskiej rezydencji, śmiejąc się cicho.

- Przestań się podśmiewać - rzucił Gilot z rozdrażnieniem. - Jesteś obłąkany, wiesz?

Wzruszyłem ramionami.

- To byli złodzieje. Nie wyrządziliby nam krzywdy.

- A gdyby wyrządzili? - Uniósł brwi.

- Nie wyrządzili - powiedziałem ugodowym tonem. Pokręcił głową.

- Wariat.

Nocne zdarzenie przepędziło z mojej głowy myśli o Klaudii Fulwii. Nazajutrz postanowiłem poświęcić się studiom. Uważałem pilnie podczas wykładu mistrza Piera i późniejszej rozmowy. Był zadowolony i wezwał mnie po zwolnieniu grupy.

- Myślałem o twoim pytaniu, Imrielu - powiedział. - O nauczanie sztuki szpiegowania. Mistrz Strozzi wyklada na uniwersytecie od ponad pięćdziesięciu lat. Jeśli jest ktoś, kto wie, czy coś takiego istnieje to tylko on.

Ukloniłem się.

- Dziękuję, mistrzu Piero. Zapytam go.

Obrzucił mnie jednym ze swych jastrzębich spojrzeń.

- Wiesz, jak mi podziękować.

Po południu poszedłem ubiegać się o spotkanie z mistrzem Strozzim. Towarzyszył mi Eamonn, zaciekawiony i wciąż zawstydzony, że zapomniał o obietnicy danej Federze.

W przeciwieństwie do mistrza Piero, który miał maleńki gabinet mistrz Strozzi rezydował w pięknych apartamentach. W przedpokoju powitał nas sługa o łagodnym głosie. Przyłożył palec do ust, żeby nas uciszyć.

- Mój pan daje odpocząć myślom - powiadomił szeptem, - Nie wolno mu przeszkadzać.

Eamonn wyszczerzył zęby.

- Śpi?

Sługa pozwolił sobie na lekki uśmiech.

- Wróćcie za godzinę, panowie.

Spędziliśmy godzinę na wałęsaniu się po okolicy. W pobliżu uniwersytetu był sklep z materiałami piśmienniczymi, gdzie kupiłem słoń inkaustu garść piór, wosk do pieczętowania i tuzin arkuszy papieru. Przebywałem w Tyberium od ponad tygodnia, a jeszcze nie napisałem listu do domu żeby zapewnić Fedrę i Joscelina, że przybyliśmy z Gilotem bezpiecznie. Czuję się winny z tego powodu, bo przecież list mógł wędrować tygodniami, a wiedziałem, że się o nas martwią.

Później mistrz Strozzi nas przyjął.

Sługa o łagodnym głosie wprowadził nas do gabinetu. Mistrz Strozzi siedział wyprostowany na jednym z piekielnych tyberyjskich stołków. Był budzącym respekt starcem, dobrze po osiemdziesiątce, z kędzierzawą białą brodą i łysiną, która wydawała się dziwna dla d'angelinskiego oka. Może w pewnych miejscach nie jesteśmy mocno owłosieni, ale to, co wyrasta, jest zwykle obfite.

- Imriel nó Montrève - powiedział, z rozkoszą smakując sylaby mojego nazwiska. - Książę Eamonn z Dalriady. Czego szukacie?

Nie na darmo, pomyślałem, mistrz Strozzi od ponad pięćdziesięciu lat nauczał retoryki. Miał poważny głos wyszkolonego oratora. Ukłoniłem się.

- Wiedzy, mistrzu.

- Tak, wiedzy - powtórzył Eamonn.

- Wiedzy! - Mistrz Strozzi złożył na kolanach pomarszczone ręce. - Mógłbym was nauczyć, jak końcem języka rządzić ludzkimi duszami, jak poruszać serca i umysły słuchaczy, jak zostawiać ich ziejących niczym psy po każdym waszym słowie. Ale nie. - Pokręcił głową. - Wolicie snuć się za tym głupcem Pierem, gonić gołębie na Forum, trajkotać o bzdurach. - Wyprostował się jeszcze bardziej. - Niech tak będzie. Mówcie.

Opowiedzieliśmy mu o Anafielu Delaunayu - Anafielu de Montrève - i o sztuce szpiegowania.

- Szpiegowanie! - Mistrz Strozzi zmrużył pomarszczone powieki. Przysunął brodaty podbródek do piersi, patrząc na nas z niesmakiem. - Zapewniam was, młodzi scholary, że czegoś takiego nigdy nie uczano na Uniwersytecie Tyberyjskim. To cnót szukamy w tych uświęconych murach, nie wywrotowego rzemiosła podstępów i przespiegów.

- Tak, panie - powiedziałem przeproszającym tonem. - Ale gdzieś się tego nauczyłem, i pomyślałem, że może ty...

- Nie tutaj! - zagrział mistrz Strozzi. - Nie na moim uniwersytecie! Obaj z Eamonem salwowaliśmy się pośpieszną ucieczką.

- *Dagda Mor!*- zawołał za murami uniwersytetu. - Skończony osioł, prawda?

- Tak - zgodziłem się. - I kłamca.

- Co? - Eamonn wytrzeszczył oczy. - Sądysz, że uczył Delaunaya? Dlaczego?

- Nie wiem. - Pokręciłem głową. - Wyraz oczu i zbyt wiele krzyku. Może nie uczył Delaunaya osobiście, ale wie więcej niż mówi.

Skoro nasze śledztwo do niczego nie doprowadziło, resztę dnia spędziłem na układaniu listu do Fedry i Joscelina. Wspomniawszy pokrótce o daremnych próbach zgłębienia tajemnicy Delaunaya, pisałem głównie o mistrzu Piero i jego studentach, a także o widokach, dźwiękach i zapachach Tyberium. Wspomniałem o Lucjuszu Tadiuszu i jego duchach, nie pisząc słowa o siostrze.

Opowiedziałem im o Gilocie i jego rozkwitającym romansie. Napisałem o filozofie-żebraku, mieszkającym w beczce na ulicy przed naszą insulą, aczkolwiek bez jednego słowa o zamordowanym człowieku.

Nazajutrz wstałem wcześniej i poszedłem na nabrzeże, żeby wynająć kuriera. Zostałem śpiącego Gilota i wybrałem się sam. Wiedziałem, że będzie zły, ale skusiła mnie myśl o spacerze, gdy większa część miasta jeszcze śpi. Lekka mgła unosiła się nad Tybrem, woda lśniła jak brąz w świetle poranka. Przez mgłę widziałem sterczącą nad wodą wysepkę, a na niej świątynię Asklepiosa, miejsce uzdrawiania. Zastanowiłem się, czy Dru- cylla, tyberyjska lekarka, która zmarła w Darśandze, składała tu ofiarę,

Patrzyłem w ślad za kurierską barką, odpływającą do Ostii, i rozmyślałem, jak będą cieszyć się w domu, gdy dostaną mój list. Mogłem wyobrazić sobie, jak Fedra w salonie łamie woskową pieczęć i z uśmiechem czyta moje słowa, jak Joscelin zerka nad jej ramieniem, jak inni domownicy - Ti- Filip, Hugues, Eugenia - czekają niecierpliwie na wieści.

To sprawiło, że czułem się rad i samotny zarazem.

Tęskniłem za nimi. Ogromnie tęskniłem. Oddałbym wiele, żeby spędzić jedną godzinę w towarzystwie Fedry, wylewając moje zmartwienia i drobne troski, słuchając jej rady. Z radością zniósłbym związaną z tym niezręczność czy zażenowanie. Ale sam wybrałem tę ścieżkę i sam musiałem nią kroczyć.

Prostując ramiona, poszedłem na wykład mistrza Piero.

Tego dnia spotkanie zostało zaplanowane na Starym Forum. Trybuna choć raz była zajęta. Stali na niej dwaj mężczyźni, przemawiający na przemian. Po placu kręcili się studenci, jedni słuchali, wielu innych rozprawiało z ożywieniem.

Dostrzegłem górującą nad innymi jasną głowę Eamonna i przedarłem się do niego.

- Co się dzieje? Odpowiedział mi Lucjusz.

- To *pontifex maximus* - wyjaśnił, wskazując wyższego z dwóch mężczyzn. - Potępia sztukę Dekkusa, dowodząc, że szarga reputację najwyższej

władzy naszego wspaniałego miasta. Edyl, który zezwolił na przedstawienie, staje w jego obronie.

- Jaką najwyższą władzę? - mruknął jeden ze studentów.

Lucjusz wzruszył ramionami,

- *Princeps* Tyberium ma gdzieś samą sztukę. Podejrzewa, że to fortel restauratorów, mający na celu podsycenie zarzewi nieuszanowania.

- A jest tak? - zapytałem, pamiętając, jak wypytywał mnie Dekkus Fulwiusz.

- Kto wie? - Lucjusz uśmiechnął się powściągliwie. - Ale mąż mojej siostry wyjechał na wieś do swojej willi. Rozumiem, że planuje wieczorem przyjąć kilku senatorów. Aha - dodał - ten stary upierdliwiec Strozzi ogłosił, że przechodzi na emeryturę. - Wskazał kilku wesołych studentów. - To jego grupa. Zamierzają się na umór dla uczczenia tego wydarzenia. Chcesz do nich dołączyć? Ja mam taki zamiar.

Zimny palec podejrzewania przyprawił mnie o drżenie.

- Może następnym razem.

Skoro nie mogliśmy odbyć zajęć na Forum, mistrz Piero zapędził nas do sali wykładowej. Rozpoczęliśmy nieco chaotyczną rozmowę o tyranii, demokracji i prawach władzy dziedzicznej. Od czasu do czasu z trybuny napływały słowa o podżeganiu do buntu. Prawie wszyscy byli zdenerwowani, nawet mistrz Piero. Tylko Brygitta i Eamonn zachowali spokój, ani trochę nieporuszeni przez cień tyberyjskiej polityki. Oboje opowiedzieli się za rządami silnej ręki, z jasno wytyczonym celem.

- Co wy o tym wiecie? - zadrwił Aulos. - Barbarzyńcy! Rumieńce rozkwitły na policzkach Brygitty.

- A co wy wiecie? - sparowała. - Wasz tyberyjski *princeps* kuli się w swoim zamku i załamuje ręce z powodu jednej sztuki! Co takiego jego poprzednicy zrobili za ludzkiej pamięci? Skaldia przynajmniej wydała wodza, który wprowadził świat w drżenie!

W sali zapadła cisza, gdy przebrzmiały jej słowa. Parę osób spojrzało na mnie, zastanawiając się, jak zareaguję. Sam nie byłem pewien. Na szczęście, Eamonn wybawił mnie z kłopotu.

- Tak... - zaczął. - Waldemar Selig był wodzem potężnym i pewnym swojego celu. Ale może powinniśmy zastanowić się nad naturą celu władcy i czy jest, czy nie jest ona cnotliwa. - Spojrzał na Brygittę. - Noszę imię po wuju, który zginął na polu bitwy, walcząc przeciwko Waldemarowi Seligowi. Poległ śmiercią walecznych. Nie przypuszczam, żeby się trząsł.

Odwróciła wzrok, zagryzając wargę.

- Nie chciałam nikogo obrazić.

- Wystarczy - odezwał się łagodnie mistrz Piero. Zaszczycił nas wszystkich długim, poważnym spojrzeniem. - Dla dobra poszukiwania prawdy zgodziliśmy się odkładać na bok osobiste sprzeczki i politykę naszych narodów. Dziś jednak okazało się to trudne. Zakończmy zajęcia i jutro podejmijmy próbę. Spotkamy się przy Fontannie Rydwanu, z nadzieją że zimna woda ochłodzi rozgorączkowane głowy.

Odprawił nas bezzwłocznie i udał się do swojego gabinetu. Poszedłem za nim i krążyłem w drzwiach, aż w końcu uniósł głowę.

- Tak, Imrielu?

- Słyszałem, że mistrz Strozzi ogłosił przejście na emeryturę. Czy... czy nic mu nie jest?

- Czuje się świetnie. - Mistrz Piero miał zdziwioną minę. - Rozmawiałem z nim dziesięć ranka. Jego decyzja nie jest niespodzianką; ma ponad osiemdziesiąt lat i od dawna nosił się z takim zamiarem. Dlaczego pytasz? Czyżby wyglądał na chorego, gdy wczoraj się z nim widziałeś?

- Nie, nie. - Wycofałem się z gabinetu. - Przepraszam, panie, że ci przeszkodziłem.

W sali wykładowej Eamonn i Brygitta byli pogrążeni w rozmowie. Ona stała z założonymi rękami i upartą miną, ale słuchała. Po chwili Eamonn zrobił znajomy gest, jak latem w Montrève, gdy zalecał się do dziewcząt; półuśmiech i lekkie przekrzywienie głowy, przykazujące mi trzymać z daleka moją melancholijną osobę. Brygitta zauważyła znak, z chmurną miną śledząc jego spojrzenie.

Uniosłem ręce i zostawiłem ich. Przypuszczałem, że tym razem trafiła kosa na kamień, ale przecież już wcześniej się zdarzało, że nie doceniałem uroku Eamonna mac Grainna.

Trybuna była pusta, tłumy na Starym Forum się rozproszyły, zostały tylko nieliczne grupki dyskutujących studentów. W tym czasie upał osiągnął apogeum. Z utęsknie-

niem myślałem o kąpieli. Postanowiłem wrócić do insuli, żeby przeprosić Gilota za poranne zniknięcie i zapytać, czy zechce mi towarzyszyć w łaźniach.

Przed insulą unosił się w powietrzu mocny aromat wzmocniony przez skwar południa. Wytwórca kadzideł wyraźnie nie marnował czasu. Żebrak Canis wytknął głowę z beczki, kiedy się zbliżyłem.

- Dzień dobry, młody panie! - krzyknął wesoło. - Czy czujesz mirrę - Trudno nie poczuć. Nawiasem mówiąc, na imię mam Imriel.

- Im- ri- el - powoli powtórzył imię w swoim dziwnie akcentowanym caerdicci, powierając je pamięci. - Co znaczy imię, które nosisz? Wzruszyłem ramionami.

- Obawiam się, że niewiele. To stare d'angelińskie miano. - To była prawda, albo prawie. W habiru moje imię znaczy „elokwencja boża”, przynajmniej tak mi powiedziała Fedra. Nie mam pojęcia, dlaczego moja matka je wybrała. - Canisie, skąd się wzięłeś?

- Skąd? - Miał zdziwioną minę. - Zostałem wyciśnięty z łona mojej matki, zakrwawiony i kwilący. A ty skąd się wzięłeś?

- Mniejsza tym. - Potrząsnąłem głową, rozbawiony, i skręciłem do bramy.

- Czekaj! - Wygramolił się z beczki, z drewnianą miską żebraczą w ręce. Sięgnąłem do sakiewki. - Nie, posłuchaj. Wąchaj. - Odetchnął głęboko. - Był kiedyś człowiek zrodzony z drzewa - zaczął wesoło. - Urodziła go Mirra, córka Kinyrasa. Jej matka chełpiła się urodą córki, czym rozgniewała Afrodytę. Zazdrosna bogini rzuciła na Mirrę klątwę, wskutek czego dziewczyna zapalała żądzą do własnego ojca, podstępem zwabiając go do swego łóża. Kiedy poczęła dziecko, a Kinyras się dowiedział, że to on je spłodził, chciał ją zabić.

Poczułem ciarki na skórze.

- To brzmi jak mit helleński - powiedziałem, starając się zachować lekki ton. - Jesteś z Hellady, Canisie? Wskazał na mnie.

- Bogowie się nad nią ulitowali - podjął śpiewnie. - I przemienili ją w drzewko mirtowe. Dziesięć miesięcy później kora się złuszczyła i narodził się Adonis. - Obdarzył mnie szczerbatym uśmiechem. - I wiesz, co go spotkało!

- Tak - przyznałem. Opadły mnie wspomnienia: łopoczące sztandary cruarchy Alby, Czarny Dzik Cullach Gorrym wyobrażony na czerwonym polu. Grzebiąca ziemię racica, smród dzikiej świni i bogaty zapach leśnej gleby. Sydonia, uwięziona pode mną, śmiejąca się na całe gardło. Zadrzałem. - Został zabity przez dzika.

- Mniejsza o dzika! - Canis lekceważąco machnął ręką. - Chodzi mi o boginię miłości, która uczyniła go swoim kochankiem. Strzeż się jej, młody Adonisie. Czasami bo-

gowie występują przeciwko sobie, a my, śmiertelnicy, zostajemy uwikłani w ich zmagania.

- Na imię mam Imriel - przypomniałem mu. - Kim jest ta bogini miłości, Canisie?

- Racja. - Pokiwał głową, ignorując moje pytanie. - Imriel- Wy

ciągnął miseczkę zebraczą i patrzył, jak kładę na niej kilka mosiężnych sestercji. - Powiedz mi, proszę, jak było w łonie drzewa, młody Adonisie? Czy uznałeś, że to nieprzyjemne miejsce?

- Canisie! - Chwyciłem go za ramiona, doprowadzony do rozpacz. Zacząłem się zastanawiać, czy nie jest lekko pomyłony.

Stał spokojnie, mrugając. Jego ciało okazało się nadspodziewanie krzepkie.

- Nazywam się Imriel nó Montrève. Nie zrodziłem się z drzewa.

- Oczywiście, że nie! - Wyprostował się z godnością. - To wszystko wydarzyło się dawno temu, prawda? Tylko zapach mirry o tym przypomina. - Skinął głową w stronę sklepu. - Przybył posłaniec z wiadomością dla ciebie. Zostawił list u mistrza Ambrojusza, jak mi się zdaje.

Wymamrotałem przekleństwo i puściłem Canisa, żeby zabębnić do drzwi wytwórcy kadzideł.

Były zamknięte, chroniąc wnętrze przed skwarem, ale właściciel otworzył je i spojrział przez szczelinę z taką miną, jakby cierpiał na niestrawność.

- Masz! - burknął. - Weź to i znikaj. Nie jestem twoim chłopcem na posyłki, D'Angelinie.

Stojąc na brukowanej ulicy, złamałem pieczęć i przeczytałem list Nie znałem charakteru pisma, podobnie jak herbu, ale zobaczyłem na nim nazwisko Fulwiuszów. Rozpoznałem odcisk pociągniętych karminem ust na pergaminie. Przeczytałem list, dotknąłem śladu wargami dla odświeżenia wspomnień. *Zachód słońca. Mój domus.*

Nie było podpisu, tylko inicjały. To nie miało znaczenia. Podpis nie

był potrzebny.

Z radości moje serce wzleciało ku niebu i czułem, że pociąga za sobą najlepszą i najgorszą część mojej natury. Ściskając poplamiony karminem pergamin, rozkoszowałem się wspomnieniem ręki Klaudii, pieszczącej mojego fallusa, i dotyku jej ust na moich wargach. Nie mogłem się doczekać zachodu słońca.

# TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

---

Gilot był wściekły.

Nie powiedziałem mu o Klaudii; był wystarczająco zły, że rano zostawiłem go bez słowa, by samotnie wędrować po mieście. Pokłóciliśmy się o to, aczkolwiek ściszonymi głosami.

- Był biały dzień! - dowodziłem. - Gilocie, przez osiem ostatnich lat życia pilnowa-  
no mnie we dnie i w nocy. Zgodziliśmy się, że pojedziesz ze mną jako mój towarzysz,  
nie niańka. Wszystkim, o co proszę, jest szansa na życie wolnego człowieka.

- Doskonale! - parsknął Gilot. - Chcesz dać się zabić, twoja sprawa. Tylko lepiej  
znajdź sobie kogoś innego, żeby zaniósł wieści jaśnie pani, bo ja nie chcę widzieć wy-  
razu jej twarzy, kiedy je usłyszy.

- Doskonale! - burknąłem, rzucając się do drzwi.

- Dokąd idziesz? - zapytał.

- Do łaźni - rzuciłem przez ramię. - Wieczorem mam... spotkanie. Gilot dopędził  
mnie, gdy zmagalem się z nową zasuwą. Przytrzymał

drzwi jedną ręką, nie pozwalając mi ich tworzyć, i napierając na nie całym swoim  
ciężarem.

- Z kim, Wasza Wysokość?

- Nie twoja sprawa! - Spojrzałem na niego gniewnie i mocno szarpnąłem drzwi. - I  
nie nazywaj mnie tak. Tutaj jest pełno nadśluchujących uszu.

- Imri... - Gilot o mało nie stracił równowagi. - Zaczekaj chwilę. - Dyszał ciężko i  
widziałem, że stara się usilnie nie stracić cierpliwości. - Zgoda, nie musisz mi mówić.  
Ale przynajmniej pozwól odprowadzić się na miejsce spotkania.

Chciałem odmówić, lecz zmieniłem zdanie. Klaudia Fulwia mogła być nieszkodli-  
wą libertynką, której nie obchodzi nic poza zaspokojeniem własnej żądzy, ale jej mąż  
był potężnym człowiekiem uprawiającym niebezpieczną politykę. Podejmowałem ry-  
zyko, bardzo głupie ryzyko.

- Zgoda - odparłem powoli. - Jeśli przysięgniesz na imię Błogosławionego Elui, że  
zachowasz moje sprawy w tajemnicy.

Gilot spojrzał na mnie twardo.



- A czego dotyczą te sprawy? Wyszczерzyłem zęby.

- Naamy. Skrzywił usta.

- Doprawdy? I z kimże to takim flirtujesz, że widzisz potrzebę zaprzysiężenia mnie do dochowania sekretu? Nie z wdową, jak przypuszczali.

Pokręciłem głową.

- Koniec pytań. Przysięgasz? Podniósł rękę.

- Na imię Błogosławionego Elui, przysięgam.

Pojednani, poszliśmy do łaźni, które huczały od plotek dotyczących wydarzeń dnia. Choć mnie nie wydawało się to szczególnie ważne, Tyberijczycy z żywym zainteresowaniem rozprawiali o sztuce i niezadowoleniu *princepsa*. Zmuszałem się, żeby nie strzyc uszami za każdym razem, gdy padało nazwisko Dekkusa Fulwiusza. Było to, jak sądzę, dobre ćwiczenie.

Zastanawiałem się, co na siebie włożyć. Klaudia Fulwia jest żoną senatora; będzie się spodziewać, że przyjdę w najlepszym stroju. Ale już go widziała i uznałem, że może lepiej nie spełniać jej oczekiwań. Postanowiłem ubrać się skromnie, w lekkie wełniane spodnie i białą batystowa koszulę, otwartą pod szyją. To odpowiedni strój dla d'angelińskiego pana scholara, zubożałego, aczkolwiek mającego na swoje usługi nadzwyczaj biegłą szwaczkę.

- Nie jest zatem arystokratką - zauważył Gilot. Uśmiechnąłem się, nie udzielając odpowiedzi. - Jeśli chcesz mi towarzyszyć, musimy ruszać.

Szliśmy przez miasto. Mniej więcej o tej samej porze przybyliśmy do Tyberium, gdy słońce chyliło się nad siedmioma wzgórzami, złocąc szczyty budowli, pogrążając wąskie ulice w cieniu. Wydawało się że to było dawno temu.

Zatrzymałem się przed domem Fulwiuszów.

- Tutaj się rozstaniemy. Nie martw się, wyśle sługę, żeby odprowadził mnie do domu.

Spojrzał na rezydencję, ogarniając wzrokiem rzeźbiony marmurów fronton i kosztowne drzewka w donicach. Była to niewątpliwie siedzib zamożnego człowieka.

- Więc jednak jest arystokratką. - Ściągnął brwi. - Imrieliu, uważaj na siebie. Tu jest inaczej niż w domu, wiesz.

- Wiem. Będę uważać. - Zaśmiałem się. - Poza tym, jaka krzywda może mnie spotkać? Jej mąż wyjechał. Najgorsze, co może zrobić, to wymęczyć mnie tak, że będą mi się zamykać oczy na wykładzie mistrza Piero.

- Nie wiem, czy dasz sobie radę. - Uśmiech Gilota nie obejmował oczu. - Dobrze, do zobaczenia niebawem.

Przez chwilę patrzyłem za nim, potem wszedłem po schodach i zapukałem do drzwi.

Otworzyły się i sługa, spuściwszy wzrok, wpuścił mnie do domu. Wszedłem, biorąc głęboki wdech.

Bez Dekkusa Fulwiusza dom wydawał się inny, większy, a jednak pełen niespokojnej energii. Pośrodku atrium w impluvium - to prostokątny basen, jakich Tyberianie używają do zbierania deszczówki - przeglądało się fiołkowe niebo, zaglądające przez otwór w dachu. Na ścianach płonęły grube świece, obwieszone stalaktytami wosku. Powietrze pachniało woskiem pszczelim i kadzidłem, choć może to ostatnie było wonią mirry pozostałą w moich nozdrzach.

Usiadłem na marmurowej ławie i pozwoliłem, by sługa zdjął mi buty. Sięgnął po parę miękkich sandałów dla gości.

- Zostaw.

To był jej głos. Uniosłem głowę i zobaczyłem w drzwiach Klaudię Fulwię, odzianą w suknię z żółtego jedwabiu. Kasztanowe włosy miała przybrane złotą przepaską, jeden pukiel o barwie ciemnego ognia spadał jej na ramię.

- Słyszałam, że D'Angelinowie podchodzą do swoich bogów boso. Czyż nie?

- Tylko do Błogosławionego Elui - odparłem. - Czy rościsz sobie prawa do boskości, pani?

- Wcale nie. - Wykrzywiła w uśmiechu pełne usta. - Ale masz piękne stopy.

Mozaikowa posadzka grzała moje podeszwy, oddając ciepło dnia. Podniosłem się, rozpościerając ramiona.

- Oddaję je do twojej dyspozycji, pani. Dokąd każesz im mnie zanieść? Uniosła brwi.

- Czy zamierzasz przebywać w mojej obecności pod bronią, Imrielu nó Montrève? Podoba mi się, jak pas opina twoje biodra, ale nie z usług miecza u pasa pragnę dziś skorzystać.

Zarumieniłem się, zakłopotany i podniecony, i złożyłem ukłon.

- Wybacz mi. - Rozpiąłem sprzączkę pasa ze skóry nosorożca, podałem go czekającemu słudze, po czym schyliłem się, żeby zdjąć pochwę ze sztyletem z lewej łydki. Zrobiłem to wcześniej, kiedy odwiedziłem dom jako gość Dekkusa, lecz wtedy powo-

dowały mną tylko względy uprzejmości i nie miałem wrażenia, że rozbieram się przed nim do naga.

Klaudia Fulwia patrzyła na mnie uważnie. Lubisz chodzić dobrze uzbrojony, Imrielu nó Montrève.

- Tak, pani. Lubię. Skinęła ręką. - Chodź. Poszedłem.

W drzwiach ujęła mnie pod ramię. Jej pełna pierś musnęła moją rękę.

Spojrzała na mnie z ukosa brązowymi oczyma lisa.

- Jesteś głodny? - zapytała. - Młodzi mężczyźni zawsze są wygłodzeni. Wpadłam na pomysł, że zjemy kolację w ogrodzie.

- Jak sobie życzysz - odparłem ochrypłym głosem.

Posiłałem się w ogrodzie Dekkusa Fulwiusza z jego małżonką. Kamienie stygły, zapach zdeptanych ziół płynął spod moich bosych stóp. Ogród obwieszono lampami, wokół nas pomykały kapryśne cienie. Gdzieś grał flecista, z mroku płynęły łagodne, przenikliwe tony. Leżeliśmy na tapczanach ustawionych tak blisko, że niemal się stykaliśmy.

Ale nie całkiem.

Nie wiem, co jedliśmy, pamiętam tylko podane na koniec maczane w miodzie ciastka. Patrzyłem, jak Klaudia je, słodkie trójkąty znikają pomiędzy jej karminowymi wargami, z których koniuszkiem języka zbierała okruszki. Później oblizała palce, powoli i zmysłowo, ssąc resztki miodu.

Niemal jąknąłem na ten widok.

- Ach, słodki chłopcze! - Zabłyśły jej oczy. - Czy wciąż jesteś głodny?

Zacisnąłem i rozluźniłem pięści.

-Jak myślisz, pani? Roześmiała się gardłowo.

-Myślę o wielu rzeczach, Imrielu nó Montrève! W tej chwili myślę, że jesteś dumnym młodym D'Angelinem, któremu się zdaje, że wie coś o samokontroli. - Pokręciła głową. - Nic nie wiesz.

- Zatem mnie naucz - rzuciłem jej wyzwanie. - Przybyłem do Tyberium, żeby pobierać nauki.

Klaudia przymrużyła oczy.

-Zniósłbyś podporządkowanie się mojej woli? Zawahałem się.

-Być może.

- Boisz się? - Znow wygięła usta w uśmiechu. - Nie zrobię ci krzywdy. Chcę tylko zobaczyć, z czego jest ulepiona ta twoja wyjątkowa wola.

- A jeśli się zgodzę? - zapytałem. Uśmiechnęła się szerzej.

- Spotka cię nagroda. Wstałem.

- W takim razie przekonajmy się, pani.

Klaudia zaprowadziła mnie do sypialni. Nie spytałem, czy dzieli ją z Dekkusem. Była przestronna i urządzona z przepychem. Wszędzie stały świece, zalewając wnętrze złotym blaskiem. Miałem wrażenie, że wszedłem do świątyni, w której ołtarzem jest łóżko. Stałem pośrodku pokoju, podczas gdy Klaudia skradała się wokół mnie.

- Więc, pani, czego pragniesz? - zapytałem.

- Na razie niczego. - Czubki jej płaców prześliznęły się po mojej koszuli. - Chcę, żebyś tu stał. Chcę cię widzieć.

Stałem. Czulem jej żar, gdy przesuwiała się za moimi plecami. W końcu odstała i ułożyła się na łóżku. Jej oczy odbijały blask świec.

- Rozbierz się - poleciła.

Wyciągnąłem koszulę ze spodni i powoli ściągnąłem ją przez głowę, obnażając tors. Jej oddech przyśpieszył. Rozwiązałem troczki spodni i gaci, pozwoliłem im zsunąć się z bioder. Na widok podniesionego fallusa, z koniuszkiem muskającym brzuch, Klaudia oblizwała usta i zsunęła się z łóżka.

- Dlaczego to robisz, Klaudio? - zapytałem, patrząc, jak podchodzi. - Dlaczego ja?

- Bogowie! - Jej ręce sunęły po mojej skórze i usłyszałem, jak oddech więźnie jej w gardle. - Dekkus Fulwiusz jest dobrym człowiekiem - mruknęła, znow mnie okrążając. - Dobrym mężem stanu i dobrym mężem. Ale jest stary, Imrielu. Był stary, gdy za niego wyszłam. - Przeciągnęła rękami po moich plecach, stojąc za mną. - Chcę tego - szepnęła mi do ucha. - Chcę poczuć jędrną skórę i twarde mięśnie. - Jej suknia szeleściła, gdy się przesuwiała, językiem muskając mój obojczyk. - Chcę poczuć smak czystego, młodego potu.

Zgrzytnąłem zębami. Drżały mi mięśnie nóg.

- Chcesz posłuchać o samokontroli? - Jej usta przesunęły się niżej, jej język pomykał po moich sutkach. - To hamowanie się, dzień po dniu. To ważenie ryzyka, zażywanie przyjemności w małych, niebezpiecznych dawkach. - Uniosła głowę, jej oczy błyszczały. - To patrzeć na ciebie i zmuszanie się do czekania.

Jej paznokcie drapały moją pierś, prześliznęły się po brzuchu. Jęknąłem wtedy. Mój fallus zadrżał, kropelka pojawił się na jego koronie. Bo łąły mnie jądra.

- Biedny chłopiec! - Klaudia zaśmiała się bez tchu. - Zaczynasz rozumieć.

Pocałowała mnie jak wcześniej, ujmując moją twarz w dłonie, jakby chciała wypić mnie przez moje usta, bezwstydnie plądrując ich wnętrze językiem. Nigdy dotąd nie całowała mnie w ten sposób żadna kobieta. Nie byłem nawet pewien, czy mi się to podoba, choć podsyciło to moje pożądanie. Tym razem zmusiłem się, żeby trzymać ręce opuszczone, odpowiadając tylko wargami i językiem.

- Chcę cię. - Palce Klaudii wplotły się w moje włosy na karku. - Chcę smakować cię kawałek po kawałku - szepnęła. - Chcę cię ssać, chcę cię kąsać. Chcę zobaczyć ślady moich zębów i paznokci na twojej skórze i nie chcę, żebyś się ruszał.

- Zrób to - wychrypiałem. Zrobiła.

Straciłem panowanie nad sobą dopiero na samym końcu, kiedy uklękła przede mną, robiąc to, czego nie powinna robić przyzwoita Tyberianka, pochłaniając moje berło ustami, jedną ręką masując trzon, druga ściskając worek z jądrami. Oburącz chwyciłem jej głowę, trzymając mocno, i dreszcz przebiegł mi wzdłuż kręgosłupa, gdy wylewałem nasienie w jej usta.

Wytrysnąwszy, stałem zasapany.

Klaudia zaśmiała się cicho.

- Jeszcze z tobą nie skończyłam - powiedziała, całując mnie. Czułem smak siebie na jej wargach. - Pozwól mi zobaczyć, jak odwzajemniasz przysługę. - Skinęła głową w stronę łóżka. - Połóż się.

Posłuchałem, patrząc, jak się rozbiera. Zsunęła suknię z ramion, odsłoniła pełne piersi zwieńczone szerokimi, ciemnymi brodawkami, Pożerałem wzrokiem jej krągłe biodra, cieniste zwieńczenie ud. Wiedziałem o co jej chodzi. Chciałem smakować ją wszędzie. Zdjęła złotą opaskę z potarganych włosów, potrząsnęła głową. Włosy spadły kaskadą żywe na tle jasnej skóry.

Jej piersi się kołysały, gdy weszła do łóżka, a ja po nią sięgnąłem.

- Nie. - Położyła rękę na moim torsie, nacisnęła. - Moja kolej.

To było łatwiejsze. Leżałem na wznak, gdy przysiadła na moich ramionach, objąłem jej pośladki i przyciągnąłem ją do ust. Rozsnułem ją

kciukami. Jej sekretne wargi były obrzmiałe, śliskie i lśniące z pożądania, Perła Naamy, pulsująca pod moim śmigającym językiem, smakowała solą i miodem.

Zatraciłem się w niej, świat skurczył się do jej pierwotnej ciemności, do ciała płynnego i rozkołysanego jak morze. Jej rozkosz napływała falami, a ja, bezmyślny i ślepy, gnałem ich spienione grzebienie, sięgające coraz wyżej i wyżej. Nie przestałem, dopóki się nie poderwała, by następnie spocząć przy mnie na łożu.

- Bogowie - szepnęła. - Dobry jesteś.

Wsparłem się na łokciu, patrząc na nią. Jej ciemne włosy leżały rozsypane w splątanych zwojach na poduszkach, oczy miała na wpół przymknięte z przesyty. Chwilowo zaspokoilem pożądanie, ale czułem, jak narasta nowe. Było głębsze, mniej dojmujące, lecz potężne jak przypływ.

- Czego chcesz teraz, pani? - zapytałem.

Klaudia wyrysowała linię na moim nagim torsie, uśmiechając się, gdy palec zahaczył o gliniany medalion Canisa. Podniosła kolano i światło świec załśniło na delikatnej skórze wilgotnego wnętrza uda.

- Ciebie - odparła. - Całego.

Zaczęło się powoli, od leniwych pocałunków, od tańca języków. Złożyłem hołd jej cudownym piersiom, napełniając nimi dłonie, ssąc ciemne brodawki, aż westchnęła z rozkoszy i wczepiła ręce w moje włosy.

Skończyło się gwałtownym zaspokojeniem obopólnych potrzeb, jej głos naglił przy moim uchu, jej splecione kostki napierały na moje pośladki, moje ciało drżało w jej ciele.

- Błogosławiony Eluo! - Przetoczyłem się na plecy i ległem zasapany. Moje serce biło jak oszalałe, krew ryczała mi w uszach. Nie czułem melancholii, która zwykle opadała mnie po miłosnym akcie; być może trzymała ją na dystans czysta siła naszej namiętności. Roześmiałem się. - Jesteś pewna, że nie rościsz sobie prawa do boskiego statusu? Ostrzeżono mnie dzisiaj, bym uważał na boginię miłości.

- Całkowicie pewna. - Klaudia usiadła obok mnie, podkulając nogi. - Zostałbyś moim kochankiem, gdybym była boginią?

Uśmiechnąłem się do niej.

- Z ochotą.

- Chyba się nadajesz. - Uśmiechnęła się do mnie. - Przypominasz młodego Bachusa. - Przeciągnęła palcem po mojej dolnej wardze. - Masz usta stworzone do wina i miłości. Rozumiem, dlaczego doprowadzasz kobiety do szaleństwa. Mogłabym rozdrzeć cię na kawałki i pożreć.

- Niemal to zrobiłaś. Klaudia uniosła brwi.

- Czy masz już dość? Spojrzałem na nią.

- A czego pragniesz, pani?

- Jeszcze jednego. - Uśmiechnęła się. - Siądź i zamknij oczy. Podniosłem się z jękiem, odpychając skłębioną pościel, żeby sięść ze skrzyżowanymi nogami. Świece wypaliły się do połowy, w powietrzu unosił się zapach miłości. Moje ciało było zmęczone jak po dniu ciężkiej pracy w Montrève.

- Jak sobie życzysz - powiedziałem, zamykając oczy.

Słyszałem, jak Klaudia wstaje i chodzi po pokoju, a potem łóżko ugięło się pod jej ciężarem. Ukłękła za mną, jej wzgórek łonowy nacisnął na moje plecy, koniuszki piersi musnęły łopatki. Poczulem palce lewej ręki wplatające się we włosy.

I na gardle ostry skraj sztyletu.

- Czego chcesz od Niewidzialnej Gildii? - szepnęła mi do ucha. Otworzyłem oczy. Z drzeniem czystego przerażenia zareagowałem bez jednej myśli, odchylając głowę do tyłu z taką siłą, na jaką mogłem się zdobyć. Rozległ się stłumiony krzyk, gdy potylicca mocno uderzyła w jej twarz. Poczulem piekący ból na szyi. Złapałem Klaudię za prawą rękę i pociągnąłem w dół, przewróciłem ją na plecy ciężarem własnego ciała.

Szamotaliśmy się, gdy się obracałem. Nie brakowało jej siły, ale ja byłem silniejszy i nauczony zapasów. Przydusiłem ją do łóżka, ściskając prawy nadgarstek i wbijając w niego kciuk, aż dłoń otworzyła się mimo woli.

Sztylet wypadł, nie czyniąc szkody.

- Do licha - zaklęła ze złością.

Leżałem na niej nagi, krew ściekała ze skaleczenia na mojej szyi, gdy patrzyłem z szokiem i niedowierzaniem.

- Do diabła, co to takiego ta Niewidzialna Gildia?

- Puść mnie! - Daremnie się szamotała, patrząc na mnie gniewnie. Dolna warga już puchła po uderzeniu głową. - Proszę! To tylko sprawdzian. Nie chciałam cię skrzywdzić. Nie spodziewałam się, że jesteś taki szybki.

Pokręciłem głową. Zmieniłem pozycję, nacisnąłem przedramieniem na jej szyję.

- Mów - poleciłem. - I nie próbuj wołać o pomoc. Mogę zmiążdżyć ci gardło, zanim zjawi się pierwszy sługa.

Przewróciła oczyma.

- Nie zrobisz tego.

- Zrobię - zapewniłem ponuro.

Klaudia tylko się roześmiała, wijąc się pode mną. Choć wydaje się to niemożliwe, czułem powracające pożądanie. Błysk triumfu zapłonął w jej oczach. Poderwałem się z niej z przekleństwem na ustach, sięgając po upuszczony sztylet.

- Lepiej się czujesz? - zapytała drwiąco, siadając i skręcając włosy w luźny węzeł.

Prawdę powiedziawszy, czułem się jak idiota, kucając nago ze sztyletem w sypialni kobiety, z którą przed chwilą się kochałem. Czułem zapach jej soków na własnej skórze. Ale po gardle spływał wilgotny strumyczek - krew, moja krew. Patrzyłem na Klaudię. Siedziała, naga i nieporuszona. Mój sparaliżowany ze strachu, odurzony żądzą umysł powoli zaczął pracować.

- Chodzi o sztukę szpiegowania, prawda?

Klaudia Fulwia posłała mi pocałunek.

- Gratuluję, książę Imrielu.

## TRZYDZIEŚCI SIEDEM

---

Rozmawialiśmy długo w nocy.

Kiedy pozwoliłem jej zejść z łóżka, Klaudia zajęła się draśnięciem na szyi. Za moim nieufnym przyzwoleniem zadzwoniła po służących, którzy przynieśli wodę i opatrunki. Zmoczyła chusteczkę, wytarła krew i oczyściła ranę, po czym posmarowała ją ałunem, żeby zatamować krwawienie.

Palilo jak ogień piekielny.

- Au!

- Biedaczek - rzuciła z rozbawieniem. - Nie było warto? Spojrzałem na nią z powątpiewaniem. - A było?

- Bogowie, tak! - Jej szelmowski uśmiech nie pozostawiał wątpliwości. Złożyła następną wilgotną chusteczkę w chłodny kompres, przycisnęła go do opuchniętej dolnej wargi. - Choć nie jestem pewna, jak to wytłumaczę.



- Dekkus nie wie - powiedziałem powoli. - Pani, kim jesteś?

- Klaudia Tadia Fulwia - odparła. Miała szczere spojrzenie - Siostra Lucjusza, żona Dekkusa Fulwiusza. I tak, żaden z nich nie wie. Ale nie udaję kogoś, kim nie jestem, księżę Imrielu de la Courcel.

Odziany w pożyczony szlafrok, krążyłem po sypialni, podczas gdy Klaudia siedziała na łóżku i popatrywała na mnie. W końcu zatrzymałem się przed nią, bezradny i ciemny jak tabaka w rogu.

- Nó dobrze. Co to takiego ta Niewidzialna Gildia? - Grupa ludzi, których łączą wspólne umiejętności i interesy- odparła. - Sięgająca poza granice każdego kraju czy miasta - państwa.

- Szpiedzy

Klaudia wzruszyła ramionami.

- Niektórzy z nich, tak. Gildia istnieje po to, żeby zdobywać informacje i nimi handlować, ale ma też znaczne wpływy. Niektórzy członkowie trzymają w rękach liczne sznurki i mogą sprawić, by wydarzenia rozwijały

się w określony sposób.

- I jednym z nich był Anafiel Delaunay - zauważyłem.

- Nie. - Pokręciła głową. - Zwrócono się do niego, gdy studiował na tutejszym uniwersytecie. Był dostatecznie zaintrygowany, by zgodzić się na naukę, ale słyszałam, że wzbraniał się przed złożeniem przysięgi wierności. Szkoda - dodała. - Byłby bardzo cenny. I losy Terre d'Ange mogłyby potoczyć się zupełnie inaczej. Być może nie doszłoby do najazdu Skaldów.

Zadrzałem.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Nie wiem tego na pewno - powiedziała cierpliwie. - W owych czasach byłam dzieckiem. Ale z pewnością Gildia wiedziała o planowanej napaści, być może przedsięwzięto by jakieś środki zaradcze. Twój Anafiel de Montrève na pewno zostałby ostrzeżony. Miałby prawo prosić Gildię o pomoc. Gildia mogłaby zmienić kierunek zainteresowań Waldemara Seliga, wysunąć kuszące oferty handlowe albo propozycję przymierza poprzez małżeństwo. O ile pamiętam, Selig kiedyś próbował takiego rozwiązania. Nawet gdyby się nie powiodło, Gildia mogłaby pozyskać wsparcie miast-państw Caerdicci, żeby ruszyć na ratunek Terre d'Ange

- Nie wierzę ci. Nie wierzę w ani jedno słowo.

- Co mam zrobić, żebyś uwierzył? - zapytała Klaudia.

- Przedstawić dowody.

Podjąłem spacer po pokoju, rozmyślając. Nie istniał sposób na udowodnienie, że bieg historii mógł być inny, a Anafiel Delaunay nie żył nie mógł więc podważyć jej twierdzeń. Jak dotąd Klaudia tylko w ogólnikowy sposób powiadomiła mnie o istnieniu rozległej sieci szpiegowskiej, która odkryła, kim naprawdę jestem, ale to przecież żadna sztuka. Mistrz Piero też mnie rozpoznał. Każdy choć trochę zainteresowany wypadkami w Terre d'Ange mógł dokonać tego samego.

- Powiedz mi coś - poprosiłem. - Coś, co wiem, że jest prawdą, a większość świata nie wie. Coś, o czym nie mogłabyś wiedzieć, gdyby Gildia nie istniała.

Klaudia wykrzywiła usta.

- To niełatwe, Imrielu. W twoich dziejach są ziejące dziury, których nawet Gildia nie może zgłębić.

- Nagle przestali być wszechwiedzący i wszechpotężni? - zapytałem ironicznie.

- Nigdy nie mówiłam, że są. - Westchnęła. - Poza tym miałam niewiele czasu, żeby spamiętać wszystko, co im o tobie wiadomo. Musisz zrozumieć, jestem tylko czeladnikiem. Daj mi chwilę.

Czekałem, obserwując jej twarz. Myśli pomykały za jej oczami, fragmentaryczne i rozproszone, usta się poruszały, jakby czytała z niewidzialnego zwoju. Jeśli udawała, to była w tym dobra.

- Tizraw - powiedziała w końcu. - Tizraw, syn Tizmahra. Tak brzmiało imię perskiego przewodnika, który zaprowadził hrabinę de Montrève i jej konkubina do Drudżanu.

Kolana się pode mną ugięły. Chwyciłem ręką słupek łóżka i usiadłem ciężko obok niej. - Skąd o tym wiesz? - szepnąłem. - Jest w archiwum Gildii - odparła Klaudia.

Siedziałem, oszołomiony, i słuchałem dalszych informacji. Co wie niewidzialna Gildia, a czego nie wie. Niewiele o moim zniknięciu, nic o tym, gdzie przebywałem. Tak, interesowali się drudżańskimi kapłanami kości, tajemniczą, rozrastającą się potęgą, przy której nawet Gildia czuła się bezsilna i zaniepokojona. Podjęli trop Fedry i Joscelinaa w Menechecie, gdzie oboje zaczęli wypytywać o Drudżan, i trafili za nimi do Khebbel- im- Akad.

- Później... - Klaudia rozłożyła ręce. - Co się tam stało? Gildia wie tylko, że d'angeńska kurtyzana i samotny wojownik przekroczyli granicę, której się bała cała akadyjska armia, i że wrócili z kilkoma uwolnionymi niewolnikami, zostawiając królestwo pogrążone w głębokim chaosie. Jak im udało przeprowadzić zamach stanu?

- Nie chcesz wiedzieć - powiedziałem, myśląc o zalanej krwią biesiadnej sali mahrkagira. - Klaudio, dlaczego mi to mówisz?

- Gildia jest tobą zainteresowana - odparła krótko. -Jako szpiegiem - prychnąłem z pogardą.

-Jako członkiem chętnym wymieniać się wiedzą. Będąc księciem z rodziny królewskiej Terre d'Ange, byłbyś wyjątkowo cenny i miał duże możliwości. Większe nawet niż Anafiel de Montrève. - Zmoczyła chusteczkę w misce, przyłożyła do ust i sprawdziła, czy jest na niej krew. - Nie musiałeś mi tego robić, Imrielu.

- Ha. nie musiałaś grozić mi nożem! Do licha, dlaczego to zrobiłaś? Klaudia obrzuciła mnie spojrzeniem pełnym irytacji.

- Chciałam, żebyś zrozumiał powagę tej kwestii. To nie żarty. Musisz przestać biegać i zadawać pytania. Komuś w końcu może to zaszkodzić.

- Mistrzowi Strozziemu? - Poczulem przyływ wyrzutów sumienia i trwogi. - Kłamał, prawda?

- Och, ten stary samochwała! - Klaudia przewróciła oczyma. - Mimo to, jest dobry. Poproszono go o ustąpienie, na wszelki wypadek. I dobrze się składa. Wyszło na to, że nie umie kłamać dość przekonująco, żeby wyprowadzić w pole jednego na wpół wykształconego dangelińskiego dyletanta. Tak czy owak, jego czas przeminął. Zakończył aktywną działalność ponad dziesięć lat temu. Ale nie, miałam na myśli ciebie. Albo - dodała - twojego przyjaciela Eamonna, albo nawet Lucjusza. A to mi się nie podoba.

- Dlaczego Lucjusza? Przecież mówiłaś, że nic nie wie.

- Nie wie, ale jest bystry. Jeśli będziesz zadawać pytania, zaczniesz się zastanawiać. Gildia chroni swoich, lecz przede wszystkim chroni siebie.

- Na jaja Elui! - Padłem na plecy i wbiłem wzrok w sufit. - Dlaczego? Skąd to działanie w sekrecie? To nie ma najmniejszego sensu. Jeśli jest tak piekielnie ważne, dlaczego zgodzili się szkolić Anafiela Delaunaya po czym pozwolili mu odejść? A przede wszystkim, dlaczego odmówił złożenia przysięgi wierności?

Klaudia wsparła się na łokciu i przegarnęła placami moje włosy.

- Są piękne - zauważyła. - Lśnią niemal jak krucze pióra. Dlaczego ściąłeś je tak krótko? Myślałem, że D'Angelinowie noszą długie włosy.

Spojrzałem na nią gniewnie.

-Klaudio!

- Co? - Owinęła kosmyk na palcu i szarpnęła. - Chciałabym czuć na skórze, owinięte wokół mnie. Pozwolisz im odrosnąć?

- Odpowiesz na moje pytania? Westchnęła.

-Gildia działa w tajemnicy, bo jeśli sieć zostanie ujawniona, może z łatwością zostać zlikwidowana w wielu różnych miejscach. Wiedza zapewnia władzę tylko wtedy, gdy stosuje się subtelne środki nacisku. Razem możemy to robić na niezliczone sposoby, ale tylko wtedy, gdy sieć jest nietknięta. Anafiel Delaunay odmówił złożenia przysięgi wierności, ponieważ jego mentor nie mógł mu obiecać, że nigdy, przenigdy nie zostanie poproszony o wystąpienie przeciwko interesom jego umiłowanego księcia Rolanda. Pozwolono na to, ponieważ mentor przyłożył mu nóż do gardła i uświadomił go, że umrze, i Roland także, jeśli kiedykolwiek wyjawy istnienie Gildii. Pod karą śmierci, i śmierci ukochanego, Delaunay przysięgł, że tego nie uczyni.

Zadrzałem, czując gładzące mnie palce.

- Czy to ostrzeżenie?

-Tak - odparła cicho.

Patrzyłem na nią. Jej lisie oczy były czułe i przebiegłe zarazem. Przyszło mi na myśl, że posiadam jej ciało, ale Klaudia Fulwia zdobyła mnie na więcej sposobów. Mimo to, wciąż jej pragnąłem. Jej zwierzęca namiętność trąciła we mnie głęboko ukrytą strunę. Chciałem całować jej posiniaczone usta, gryźć jej spuchniętą wargę. Nie byłem jednak pewien, jak dalece jej wierzyć. Tylko jedno było pewne: nie narażę nikogo, kogo kocham. Lepiej wziąć udział w grze i się uczyć.

„Zawsze warto jest wiedzieć jak najwięcej”.

-Nie złożę przysięgi wierności - uprzedziłem ją. - Nie, jeśli miałoby to oznaczać zdradę Terre d'Ange.

-Och, D'Angelinowie! - Klaudia pociągnęła mnie za włosy. - Tacy uparci i zdeterminowani. Nie, Imrieliu, nikt nie będzie cię prosić o zdradę twojego kraju. Ale możesz zostać poproszony o poparcie, powiedzmy, działań handlowych, którym sprzeciwia się królowa. Na pewno o nic, co zaszkodzi Terre d'Ange - dodała pobłażliwie. - Wyłącznie o coś, co przysporzy korzyści drugiej stronie. I w zamian... - Wzruszyła ramionami. Jedwabny szlafrok lekko się rozchylił, odsłaniając ocienioną dolinę pomiędzy pierśiami. - W zamian możesz zyskać wiedzę. Wiedzę, która może pomóc twojemu krajowi.

Wsunęła rękę pod fałdy mojego szlafroka, pieszcząc mnie. Zamknąłem oczy, pozwalając sobie ulec nieuchronnemu podnieceniu.

- Jaką wiedzę? - zapytałem chrapliwie.

- Och... - Klaudia pochyliła się nade mną, całując moje zamknięte powieki. Jej palce rozwiązały szarfę szlafroka. - Możesz się dowiedzieć kto chce twojej śmierci, Imrielu de la Courcel.

- Mam dość dobre pojęcie. Lista jest długa. Klaudia pocałowała mnie w usta.

- Jesteś pewien?

Gdy rozchyliła mój szlafrok i dosiadła mnie, wsuwając sztywny fallus w swoją wilgotną szczelinę, już nie byłem pewien, które z nas udaje. Cał po cał, Klaudia nadziewała się na mój pał, wzdychając z przyjemności. Chwyciłem jej pośladki i pomagałem, gdy dochodziła.

- Mniej więcej - wydyszałem. - Jesteś zatem moim mentorem? Spojrzała na mnie spod ciężkich powiek, uśmiechnięta.

- Jak ci się podoba twoja pierwsza lekcja? Chciałem odpowiedzieć, ale tylko jęknąłem.

Odszedłem niedługo przed świtem, z zawrotami głowy i zmęczonym ciałem. Niczego nie obiecałem i nic pomiędzy nami nie zostało rozstrzygnięte, ale kiedy pocałowała mnie przy drzwiach na do widzenia, wiedziałem, że znowu ją zobaczę. Kusila tajemnicą, a we mnie tkwiło coś, co nie mogło znieść niewiedzy.

I bez względu na wszystko inne, pożądanie na pewno było prawdziwe

Jak wcześniej, odprowadził mnie sługa z zapaloną pochodnią. Zerknąłem na jego profil, spokojny i obojętny, i zastanowiłem się, co też musi myśleć. Służba mogła nie wiedzieć o Niewidzialnej Gildii, ale nie mogło być wątpliwości co do tego, co robiliśmy w jej sypialni. Zastanawiałem się też, w jaki sposób Klaudia zapewnia sobie dyskrecję swoich domowników.

Nie śmiałem spytać.

Podziękowałem mu przy bramie insuli. Stałem tam przez długi czas z ręką na bramie, patrząc, jak podskakuje i niknie jego pochodnia, gdy moje oczy przyzwyczajały się do gwiazdzistych ciemności. O tej porze wszystkie gospody i winiarnie w dzielnicy studentów były już zamknięte. Słaba woń mirry wciąż unosiła się w powietrzu. Panowała cisza i spokój wyjąwszy pochrapywanie Canisa w beczce.

- Ostrzegłeś mnie, prawda? - powiedziałem do niego. - Niczego sobie bogini.

Zacmokał przez sen i wydał długie gulgoczące westchnienie. Uśmiechnąłem się lekko, zazdroszcząc mu wolności. Na myśl o powrocie do izby w insuli opadły mnie duszności. Pomimo późnej pory i fizycznego zmęczenia, umysł miałem zbyt niespokojny, by zasnąć. Dlatego poszedłem do miasta.

Choć było to głupie, nie mogłem się powstrzymać. Musiałem być sam ze swoimi myślami. Chciałem czuć na skórze nocne powietrze, ścierające przywierający do mnie zapach Klaudii. Nigdy nie byłem z kobietą, której żar dorównywał mojemu. Była to gra inna niż te prowadzone w Domu Waleriany, lecz mimo to gra potężna. Odurzała, uderzając do głowy, niebezpieczna jak opium.

Moje myśli zataczały kręgi, wirowały bezcelowo. Próbowałem wyobrazić sobie, co powiedziałby Joscelin, ale nie mogłem. Mogłem tylko wyobrażać sobie, jak patrzy pustym, nierozumiejącym wzrokiem. Wiedział, co to znaczy być doprowadzonym do szaleństwa przez miłość, ale nie przez pożądanie. Korzenie zaszczepionej w nim kasjelickej dyscypliny sięgały zbyt głęboko.

Fedra... Fedra zrozumiałaby, aż nazbyt dobrze. Żałowałem, bardziej niż kiedykolwiek, że jej tu nie ma. Chciałem jej opowiedzieć o Niewidzialnej Gildii, i zapytać, czy uważa, że to prawda. Bez względu na to, co nas dzieliło - a może łączyło - oddałbym wszystko, byle tylko usłyszeć jej czysty śmiech i słowa bagatelizujące moją opowieść jako wyssaną z palca bajkę. Sama myśl o tym skłoniła mnie do uśmiechu. Być może faktycznie to nic więcej; wierutne kłamstwo wymyślone przez znudzoną żonę senatora, żeby bawić się zadurzonym młodym kochankiem. Jednakże, choć jardo chciałem w to uwierzyć, nie wierzyłem.

Były trzy słowa.

Tizraw, syn Tizmahta. Pamiętałem perskiego przewodnika, który doprowadził Fedrę i Joscelina do Drudżanu, a później spotkał się z nami dwa dni drogi od akadyjskiej granicy, gdy powracaliśmy z Daršangi z niedobitkami z zenany. Miał jedno oko, a coś takiego zapamięta każde dziecko.

I nie było powodu, absolutnie żadnego powodu, żeby znudzona żona senatora znała jego imię. Albo Niewidzialna Gildia naprawdę istnieje, albo ktoś prowadzi ze mną jakąś grę. Kto albo dlaczego, nie miałem pojęcia. Czy mądrzej byłoby odejść? Możliwe, pomyślałem. Ale jeśli odejdę nigdy się nie dowiem, a niewiedza może być bardziej niebezpieczna, Klaudia zasugerowała, że mam wroga, którego nie umiem nazwać. Mogę przynajmniej spróbować dowiedzieć się, co miała na myśli.

Szuranie stóp wyrwało mnie z zadumy. Uświadomiłem sobie, że zawędrowałem na nabrzeże. W gasnącym świetle gwiazd zobaczyłem dwie postacie szamoczące się obok ciemnego magazynu, mężczyznę i kobietę.

- Ty... - Jego ręka na jej ustach stłumiła piśnienie.

- Sza! - Pchnął ją pod ścianę i zadzierał jej spódnicę. Niewiele myśląc, dobyłem miecza.

- Puść ją!

Mężczyzna odwrócił się, zatrwożony, po czym łypnął na mnie.

- Myślałem, że należysz do kohorty miasta, człowieku! Idź w swoją stronę, zostaw nas w spokoju. My tylko się zabawiamy.

Zrobiłem dwa kroki, podnosząc miecz. Zalśniły dobrze wyostrzone skraje głowni.

- Nie jestem w nastroju do żartów - rzekłem cicho. -I wygląda na to, że pani też nie ma ochoty na zabawę. - Uniosłem głowę. - Zjeżdżaj.

Stał z zaciśniętymi pięściami. Przez chwilę myślałem, że się na mnie rzuci, i na wpół tego chciałem. Ale na wschodnim nieboskłonie zajaśniała smuga ponurej szarości i dzielnica jęła się budzić do życia. Słyszałem głosy niosące się nad Tybrem i kroki na ulicy, głucho dudnienie i zgrzytanie przesuwanego ładunku. Spojrzenie mężczyzny przesunęło się na cos za moimi plecami.

- Idź - ponagliłem.

Uciekł, przeklinając. Schowałem miecz do pochwy i z uśmiechem podszedłem do kobiety, myśląc, że tym razem sprawiłem się dość dobrze jako bohater.

- Nic ci nie jest? - zapytałem. - Nie zrobił ci krzywdy? Splunęła mi pod nogi.

- Czy to twoja sprawa? Był mi winien monetę za odrobinę zabaw a teraz nigdy jej nie zobaczę!

Otworzyłem i zamknąłem usta. Patrzyła na mnie wyzywająco. W ponurym szarym świetle widziałem, że jest wymizerowana i już niemłoda.

- Przepraszam - powiedziałem łagodnie. Sięgnąłem do sakiewki po srebrnego denara. - Pozwól mi to wynagrodzić.

Przyjęła monetę bez słowa podziękowania, odwróciła się do mnie plecami i uciekła. Pokręciłem głową. Wybawiciel psów, obrońca przed jeleniami, niechciany orędownik dziwek.. Wyglądało na to, że nie nadaję się na bohatera. Poza tym, pomyślałem, jeśli nie wrócę szybko do insuli będę musiał zmierzyć się z gniewem Gilota.

Pośpiesznie wracając po własnych śladach, niemal potknąłem się o skuloną postać na ulicy. Przed chwilą nikogo tam nie było. Po raz drugi w ciągu niespełna jednego dnia zadygotałem z przerażenia. Dobyłem miecza, obróciłem się w ciasnym kręgu.

Byłem sam.

Zmusiłem się do zachowania spokoju, wytrzymałem słuch nad własny rwący się oddech. Słyszałem tylko zwyczajne odgłosy budzącego się nabrzeża - głosy, pluskanie,

poskrzypywanie lin. Z trudem przelękając ślinę, ukląknęłam, żeby obejrzeć bezwładne ciało.

Był to mężczyzna, miał poderżnięte gardło. Odskokczyłam. Krew wsiąkała między kocie łby, wypełniała szczeliny. Moja zastygła mi w żyłach. Rozejrzałam się raz jeszcze i stwierdziłam, że jestem sam na ulicy. Odwróciłam trupa i przyjrzałam mu się.

Nigdy wcześniej go nie widziałam. Mógł być Caerdicci, Hellenem albo Aragończykiem. Pospolite, grubo ciosane rysy, na wpół ukryte pod gęstym czarnym zarostem. Usta wiotkie i przestraszone, odzwierciedlające ziejącą ranę na szyi. Ubranie proste, niczym się niewyróżniające, jakie się widzi u tragarzy w dokach. Ścisnął w garści krzepką pałkę. Rzemyki sakiewki zostały przecięte. Pomyślałam o krokach, o głuchym dudnieniu, i włos zjeżył mi się na głowie.

Podczas gdy siliłam się na bohaterstwo, zamordowano człowieka, człowiek czający się za mną w mrocznych ulicach, z pałką w ręce, został zamordowany w sposób, który zaczynał wyglądać nieprzyjemnie znajomo. Nie miałam pojęcia, jak rozumieć ten zbieg okoliczności, nie miałam pojęcia, jak powiązać go ze złowróżbnymi sugestiami Klaudii.

- Na Eluę - mruknęłam. - Dlaczego ja?

Martwy nie udzielił żadnej odpowiedzi.

Wróciłam na nabrzeże i znalazłam kapitana portu, ziewającego i mrużącego zaczerwienione oczy o tej wczesnej porze. Powiedziałam mu o martwym, a on ze zmęczeniem pokiwał głową.

-Takie zdarzenie nie należy do rzadkości, niestety. Powiadomię kohortę miejską. - Popatrzył na mnie podejrzliwie. - Nie powinieneś włączyć się tutaj sam o tej porze, panie. W tych stronach nie brakuje rozbójników rzezimieszków. Równie dobrze to mógłbyś być ty.

-Tak, wiem.

Mgła podnosiła się nad Tybrem, przetkana złotem w miejscach, gdzie muskały ją skośne promienie słońca. Był to ładny widok, jak wczorajszego poranka. Minał dzień, odkąd wstałam z łóżka i poszedłam nadać list do Terre d'Ange.

Miałam wrażenie, że minęło całe życie.

## TRZYDZIEŚCI OSIEM

---



-Woda.

Mistrz Piero siedział na cembrowinie Fontanny Rydwanu i zanurzał rękę w basenie, podnosząc ją i pozwalając jej przeciekać przez palce. Woda skrzyła się w słońcu, dość jasna, by zmuszać mnie do mrużenia oczu. Wydawały się nadwrażliwe i pełne piasku, a gdy zbyt długo patrzyłem w jasność, tańczyły przed nimi plamki.

- Utrzymuje nas przy życiu i oczyszcza, prawda? - kontynuował. -A jednak możemy w niej utonąć. - Wytarł ręce. - Co innego przypomina wodę?

-Ogień - powiedział ktoś. - Albowiem on też utrzymuje nas przy życiu, i także może zabić.

- Ziemia - podsunął ktoś inny. Akil, Umajjat. - Żywi nas, ale w moim kraju człowiek może zostać pogrzebany żywcem przez ruchome piaski.

-W istocie, mistrzu, ta prawda odnosi się do wszystkich żywiołów - zauważył Lucjusz. - Bo bez powietrza umrzemy, ale też spotka nas ten sam los, gdy spróbujemy żywić się tylko nim.

- Tak. - Mistrz Piero uśmiechnął się do niego. - Gdy wszystkie żywioły są w równowadze, tam jest życie. Zakłócenie równowagi sprowadza śmierć. Czy to prawdziwe stwierdzenie?

Zdusiłem ziewnięcie i próbowałem skupić się na dyskusji. Byłoby lepiej, gdybym tego dnia został w domu, usprawiedliwiając się chorobą. Ale wróciłem do insuli krótko przed tym, zanim Gilot się zbudził, i nie chciałem dawać mu satysfakcji ze strofowania mnie za lekkomyślność. Odkładając na później opowieść o zamordowanym mężczyźnie z pałką wylałem wiadro wody na głowę, włożyłem świeżą koszulę i poszedłem na wykład mistrza Piero.

Wszystko wydawało się dziwne.

Ja czułem się dziwnie.

Czułem się jak człowiek pochwycony we śnie kogoś innego. Światło słoneczne, fontanna, dyskusja mistrza Piero ze studentami... wszystko wydawało się nierealne. Nawet martwy mężczyzna na pustej ulicy wydawał się nierealny. Otworzyła się we mnie bezdenne czarna studnia wyczerpania i moja świadomości groziła, że lada chwila w nią wpadnie.

A tam, za krawędzią, czekała zalana blaskiem sypialnia i Klaudia, Klaudia, Klaudia. Klęcząca, pochłaniająca mnie ustami i rękami. Naga, z kołyszącymi się piersiami. Pode mną, na mnie, czerpiąca rozkosz. Jej uległe ciało, jej żywe usta... Wypowiadające **słowa**, które rozdarły mój świat na kawałki. Pokój jak świątynia, łóżko jak ołtarz. Ale, Eluo! Bez miłości. Nie łączy nas miłość. Nic świętego, ani śladu dumy. Tylko mroczna intryga i żądza jak pożar, żądza dość głęboka, żeby w niej utonąć.

Chciałem położyć ręce na jej gardle i dusić ją, aż wysapie całą prawdę. Chciałem brać ją, aż będzie błagać o zmiłowanie.

- Imrielu.

Oprzytomniałem z drgnieniem i pokręciłem głową, żeby pozbyć się tych obrazów.  
-Słucham, mistrzu?

- Rozmawialiśmy o żywiołach fizycznych - rzekł cierpliwie. - Ale jakie są inne żywioły, które przy zachwianiu równowagi spowodują szkodę?

- Tylko nie mów, że miłość - mruknął Aulos. Potarłem twarz rękami.

-Dlaczego nie? - zapytałem. - Wszak to prawda. Miłość, która nie jest odwzajemniona w równej mierze, może skrzywdzić i zrodzić rozgoryczenie.

Zarumienił się i uciekł ze wzrokiem.

- Co w tym złego, jeśli rodzi gorycz? - zapytała wyzywająco Brygitta. - Jeśli wyciągniesz sztylet i ukłujesz mnie, to będzie twoja wina, i będę zła, Ale kochać, nie będąc w zamian kochanym... - Zmarszczyła brwi, analizując w myślach swoją logikę. - To tak, jakbym sama rzuciła się na twój sztylet i winiła za to ciebie.

Ktoś nie poskąpił sprośnego komentarza.

-Tak - powiedziałem, nie zwracając na to uwagi. - Ale w oczach ludzi ja będę winny.

- Czy powinniśmy zatem szukać korzeni tego impulsu? - zapytał mistrz Piero z zainteresowaniem. - Czy powinniśmy próbować przewyciężyć go w sobie? Czy powinniśmy próbować przywrócić równowagę, żeby wszyscy ludzie mogli kochać się w równej mierze?

-Aha, wyczuwam podstęp! - zawołał Lucjusz.

Przymknąłem powieki, pławiąc się w ciepłe słońca, słuchając szemrzącej wody i szumu fal dyskusji, wznoszących się i opadających. Pod zamkniętymi powiekami czekała Klaudia Fulwia. Tyle jeszcze nie zrobiliśmy. Widziałem oczyma duszy, jak obejmuje i podnosi swoje pieni, z brodawkami dojrzałymi niczym śliwki. Jak uśmiecha się przez ramię, oferuje pośladki. Jak smagam je pasem. Rozdziawiony uśmiech wydęty w gardle martwego mężczyzny.

„Czego chcesz od Niewidzialnej Gildii?”

„Tizraw, syn Tizmahta”.

- Imri? - Silna ręka ścisnęła moje ramię i potrząsnęła mną. Nawet drzemiąc, musiałem rozpoznać głos Eamonna, bo sięgnąłem

po sztylety, nie po miecz. Stałem, wodząc dzikim wzrokiem dookoła, ze sztyletami skrzyżowanymi w kasjelićkim stylu. Eamonn, który przezornie *odskoczył o* kilka kroków, ssał draśnięcie na nadgarstku. Lucjusz i Brygitta krążyli za nim. Tworzyli dziwną tróję, jaką można zobaczyć, w Tyberium. Po raz pierwszy Skaldyjka patrzyła na mnie z aprobatą.

- Na Odyna, Ojca Wszech rzeczy!- sapnęła.-Jesteś szybki niczym wąż. Z westchnieniem schowałem sztylety. Gdyby to był zabójca, byłbym już trupem. Usłyszałem echo słów Joscelina. „Prędkość to nie wszystko”.

- Przepraszam - powiedziałem do Eamonna. - Mam za sobą długą noc.

- Pewnie! - Uśmiechnął się przyjaźnie. - Zauważyliśmy.

Oprzytomniawszy, zrozumiałem, że mistrz Piero i inni odeszli. Zostali tylko oni troje i woźnica rydwanu w fontannie, stojący w rozkroku z naprężonymi ramionami. Rzeźbione ścięgna rysowały się wyraźnie pod marmurową skórą, gdy ścisnął wodze w rękach. Konie cwałowały, kopyta wisiały w powietrzu, jakby gotowe zburzyć wodę basenu; czyste strugi tryskały z ich pysków. Twarz woźnicy miała zdecydowany wyraz.

Klaudia, pomyślałem, byłaby nim zachwycona.

- Wygląda na to... - zaczął Lucjusz powoli. Przeciągnął palcem po gardle, odzwierciedlając skaleczenie na mojej szyi. Gest przypawił mnie o wewnętrzne drżenie. - Wygląda na to, że zabawiałeś się z wcieloną diabolicą, Montrève. Kto to taki?

Spojrzałem mu w oczy bez drgnienia i skłamałem:

- Nie znasz.

-Tym większa szkoda - mruknął. - Słuchaj, masz ochotę na dzban wina? Mam trochę nowin. Książę Barbarusie, ty i twoja panna-tarcza też będziecie mile widziani.

Nie marzyłem o niczym innym, jak o powrocie do insuli i rzuceniu się na siennik, żeby wessała mnie ciemność, żeby zabrała mnie od trupów z poderżniętymi gardłami, od oświetlonej świecami sypialni, gdzie czyhały wspomnienia i Klaudia, w otchłań niepamięci. Ale byłem młody i dumny, głupi i nękanym przez poczucie winy, i choć drzemka przy Fontannie Rydwanu nie mogła być długa, na jakiś czas dodała mi siły.

-Tak - odparłem. - Dlaczego nie?

I tak poszliśmy we czwórkę do winiarni, do tej samej winiarni. Tym razem zwróciłem uwagę na drewniany szyld, który wisiał nad drzwiami. Choć drewno zniszczało i farba spłowiała, można było rozpoznać głowę Bachusa, z pędami winorośli wplecionymi w czarne kędziory.

„Mogłabym rozedrzeć cię na kawałki i pożreć”.

„Niemał to zrobiłaś”.

To przyprawiło mnie o drżenie, wszystko przyprawiało mnie o drżenie. Stwierdziłem, że chcę przebywać jak najbliżej Eamonna, szukając pociechy w jego krzepkiej obecności, w jego pogodnym usposobieniu. Ale on całą uwagę poświęcał Brygicie. Trwały pomiędzy nimi jakieś dziwne, ostrożne zaloty, i nie było tam miejsca dla mnie. Został mi Lucjusz Ta-diusz z intelektem jak żywe srebro, ciemnorudymi włosami i szerokimi, ruchliwymi ustami, które przypominały mi o jego siostrze.

- Słuchaj - powiedział, pochylając się i napełniając nasze kubki. - Postanowiłem skorzystać z twojej rady.

-Tak? - Napilem się wina. - Jaka to była rada?

-Poprosiłem Helenę o rękę. - Lucjusz spojrział na mnie spod zmarszczonych brwi. - To ty kazałaś mi o tym pomyśleć, pamiętasz? Istota sprawy. Czy lepiej ją poślubić i narazić się na przyprawienie rogów, czy skazać ją na życie, do jakiego czuje odrazę. Rozmyślałem o tym zeszłej nocy, pijany jak bela. I dziś rano wysłałem list. - Podniósł kubek. - Za podejmowanie ryzyka.

Trąciliśmy się kubkami.

- Za ryzyko.

- Za kogo pijemy? - zapytał wesoło Eamonn.

- Za Lucjusza. - Skinąłem do niego. - Oświadczył się.

-Tak? - Eamonn najpierw osuszył kubek, potem go podniósł. - Za Lucjusza i jego żonę! - Brygitta chrząknęła gardłowo. Eamonn spojrział na nią. - O co chodzi?

-Mógłbyś przynajmniej spytać o jej imię - rzuciła pogardliwie.

Eamonn chciał coś powiedzieć, ale się pohamował. Oboje wymienili długie spojrzenie. Cokolwiek zdarzyło się pomiędzy nimi od czasu, gdy słońce wstało, zaszło i ponownie wzeszło nad Tybrem, miało duże znaczenie.

Stwierdziłem, że im zazdroszczę.

-Prawda - powiedział Eamonn powoli, obracając kubek w wielkich dłoniach. - Ma jakieś imię, Lucjusz, ta twoja narzeczona?

-Helena. - Lucjusz pozwolił sobie na krzywy uśmiech. - Helena Correggio da Lukka. Jeśli jej ojciec wyrazi zgodę, wesele odbędzie się pod koniec lata. Wszyscy będziecie mile widziani jako moi goście, oczywiście.

-Myślisz, że się zgodzi? - zapytałem.

-Tak - odparł. - Chyba tak. Domenico Martelli, diuk Valpetry, zalotnik, o którym wspomniałem, stracił cierpliwość. Oświadczył się. To jasne, że ma chrapkę na samą Lukkę, nie tylko na Helenę. Przypuszczam, że Gaetano Correggio z radością skorzysta z pretekstu, żeby mu odmówić.

-Winszuję - powiedziałem. Po chwili wahania ściszyłem głos. Eamonn z Brygittą podjęli własną rozmowę i nie zwracali na nas uwagi -Czy to poprawiło sprawy z umarłymi?

-Co dziwne, rak. - Lucjusz skrzywił się i posrakał w skronie. - Nie cierpię tego mówić, ale stary łajdak milczy, odkąd wysłałem pismo. Ani widu ducha, ani słyhu garłowania. - Podniósł kubek. - Za spokój i ciszę w obrębie własnej czaszki.

-W istocie - mruknąłem.

-A w twojej rodzinie, Montrève? - zapytał z zaciekawieniem. - Są jakieś duchy?

-Tylko żywe - odparłem, myśląc o mojej matce. Lekceważąco machnąłem ręką, gdy Lucjusz spojrzał na mnie uważnie. - Nie zwracaj na mnie uwagi, jestem niewyspany. Moja rodzina, oni są... - Urwałem, gdyż

zabrakło mi słów.

-Są bardzo piękni! - wtrącił Eamonn.

-Naturalnie - skwitował cierpko Lucjusz.

-Tak, to prawda. - Uśmiechnął się szeroko. - Uchodzą za takich nawet w Terre d'Ange, ponieważ są też dobrymi ludźmi. Oboje, jaśnie pani i jej konkubin. Ona nauczyła mnie mówić caerdicci, wiesz. Uczyła mnie godzinami, zawsze miła i cierpliwa. I choć są przyjmowani na dworze, nie zadzierają nosa jak większość D'Angelinów. Przepraszam, Imri - dodał, zerkając na mnie.

Westchnąłem.

-Wiem.

-Jej konkubin! - Lucjusz uniósł brwi. - Więc nie jest zamężna?

- Nie - odparłem. - Nigdy nie wzięli ślubu.

- Dlaczego? - zapytał.

Spojrzałem na Eamonna, który wzruszył ramionami. W tej sprawie byłem zdany na siebie.

-To długa historia - powiedziałem, starając się grać na zwłokę. - Słuchaj, Lucjuz, u nas jest inaczej niż w Caerdicci Unitas. Kobiety dziedziczą jako pełnoprawne spad-

kobierczynie. Mężatki mogą brać sobie kochanków. Nie bez powodu - dodałem wyniośle - zadzieramy nosa.

Lucjusz parsknął w kubek z winem.

-To nie jest zabawne - Brygitta skarciła go wzrokiem. - Również w Skaldii kobiety są traktowane z większym szacunkiem niż w Caerdicci.

-W Albie także, i w Eire. - Eamonn rozparł się na krześle, wyciągając długie nogi. Bawił się zakłopotaniem Lucjusza. - Moja matka Grain-na jest Panią Dalriady. Jednym słowem może wysłać nasz cały lud na wojnę.

-Nie przypominaj mi - mruknęła Brygitta.

-Zgoda! - Lucjusz podniósł ręce na znak kapitulacji. - Tak, przyznam, że prawo caerdicci jest niesprawiedliwe dla kobiet. Jestem pewien, że mistrz Piero zgodziłby się z tym. Ale ja nie ustanawiam praw, jestem przez nie związany.

- Mógłbyś je zmienić - zasugerowałem. - W każdym razie jako księżę Lukki. Czy wszystkie miasta-państwa nie mają własnego prawodawstwa?

Lucjusz popatrzył na mnie z irytacją.

-Tak, mają.- Przegarnął ręką zmierzwiłone kędziory. Zadrzałem mimo woli na ten widok, jakby cień jego siostry stanął pomiędzy nami. Prawda, mnie nawiedzali żywi. - Jeśli kiedyś zostanę księciem Lukki - powiedział do Brygitty - wezmę tę sprawę pod rozwagę. Czy to cię zadowala?

Uśmiechnęła się do niego.

-Tak, dziękuję.

Gdy rozmowa zesłała na mniej niebezpieczny grunt, zgodziłem się zostać na kolejny dzban wina. Albo wino i krótka drzemka nieco mnie ożywiły, albo przekroczyłem próg zmęczenia i znalazłem się po drugiej stronie. Czasami to się zdarza. Gdy wiosłowałem na przemian z Fedrą i Joscelinem, płynąc przez całą noc do Kaporetu, uważałem, że jestem wyczerpany z sił, lecz gdy pochwycili nas ludzie Hanocha i zmusili do bitwy, wściekła energia zatętniła w moich żyłach. Tutaj sytuacja była zupełnie inna, ale niezależnie od powodu już nie czułem się tak, jakbym wpadał w studnię niepamięci.

Siedzieliśmy i rozmawialiśmy jeszcze przez jakiś czas.

Lucjusz i ja obserwowaliśmy z rozbawieniem relacje Eamonna z Brygittą.

- Są kochankami? Jak myślisz? - szepnął.

Przyjrzałem im się. Podchodzili do siebie ostrożnie. On był troskliwy, lecz ani razu jej nie dotknął, a ona zachowywała rezerwę, otwarta, acz nieufna.

- Nie, jeszcze nie.

- Co za para! - Lucjusz się zaśmiał.

- Z tego, co słyszałem, jego matka jest imponującą kobietą - powiedziałem filozoficznie. - Może ma predyspozycje. - Ta myśl zbyt blisko dotyczyła mojej własnej sytuacji. Mówią, że moja matka Melisanda nie posiadała się z radości, gdy tkwiła po uszy w intrygach, podobnie jak Klaudia Fulwia. Zadrzałem i zmieniłem temat. - Co z Aulossem? wydał się... nie w sosie.

- Aulos! - Lucjusz osuszył kubek. - Tak, w istocie. Przypuszczam, że mistrz Piero może go poprosić, by odszedł. - Nalał wina, z zadumą spojrział w głąb kubka. - Aulos chciał studiować u niego, żeby być ze mną.

- Był twoim kochankiem? - zapytałem go.

Lucjusz obrzucił mnie długim, zadumany spojrzeniem. Jego oczy chwała Elui, różniły się od oczu siostry; miały barwę ciemnego orzecha i zupełnie inny kształt. Ławiej mi było w nie patrzeć.

-Czy kiedykolwiek czułeś, że urodziłeś się w niewłaściwym czasie i miejscu?

- Nie jestem pewien - odparłem. - Dlaczego?

Zgiął nogę, zahaczając obcasem buta o poprzeczkę krzesła, i splótł palce na kolanie.

- „O, najdroższy panie”... poezja Anafiela de Montrève jest piękna. Wzorował się na starożytnych Hellenach. A w nich nie było niczego miejskiego. - Dzikie wewnętrzne światło wyostrzyło jego rysy. - Wojownicy zaprzysięgli kochankowie, każdy ślubował wyżej cenić honor drugiego niż własny. W Helladzie istniało miasto- państwo, które wystawiało do boju armię złożoną z takich par. Zwali ich Świętym Zastępem. Słyszałeś o nich.

Skinąłem głową.

- Przez pewien czas byli niewyciężeni - mówił Lucjusz cicho. - Mógłbym żyć w tamtych czasach. Mógłbym urodzić się w Terre d'Ange, gdzie mężczyźni nadal wierzą w takie rzeczy i piszą o nich wiersze. Jest tak, prawda? - Głos mu się załamał, bezradny i pełen nadziei.

- Tak.

- A ty?

Patrzył mi prosto w oczy, a ja odwzajemniłem szczere spojrzenie.

-Nie. Potrafię to zrozumieć. Prawdę mówiąc, poza Montrève nie ma nikogo, kogo kochałbym bardziej niż Eamonna mac Grainna. Jest dla mnie jak brat, z radością oddałbym życie w obronie jego honoru. Ale... -Zawahałem się, a potem brnąłem dalej. -

Przytrafiło mi się parę złych rzeczy, Lucjuszu, kiedy byłem dzieckiem. Zanim zostałem adoptowany, czasami trudno mi być z kobietą, choć to się zmienia. A jednak wzdramam się na myśl, że jestem z mężczyzną. Może to też ulegnie zmianie. Ale na razie... nie.

-Tak sądziłem. - Lucjusz przekrzywił głowę i patrzył w sufit.

- Lucjuszu. - Położyłem rękę na jego splecionych palcach. - Przykro mi.

- Nie twoja wina. - Opuścił głowę, wpatrując się w nasze ręce. - Choć z pewnością musi to być pierwsza taka rozmowa pomiędzy Caerdicci i D'Angelinem. - Zadrżały mu usta. Poruszył palcami, mocno ściskając moje. - Nazwałeś mnie przyjacielem, gdy się spotkaliśmy, Imrielu nó Montrève. Czy mam rozumieć te słowa jako propozycję i czy ją podtrzymujesz?

Odwzajemniłem uścisk, mocno. -Tak

-To dobrze - rzekł krótko. - Potrzebuję przyjaciół. Po drugim dzbanie wyszliśmy z winiarni. Lucjusz pożegnał się z nami, a ja towarzyszyłem Eamonnowi, gdy odprowadzał Brygittę do jej insuli. Gospodyni wynajmowała pokoje wyłącznie studentkom i nie wpuszczała mężczyzn za bramę. Wałęsałem się opodal, starając się nie podsłuchiwać, gdy wymieniali słowa pożegnania.

Później poszliśmy na Wielkie Forum, gdzie kupiliśmy pieczone kurczaki. Siedliśmy na niskich stopniach otaczających Forum, żeby się posile. Zbliżał się zmierzch i uliczni artyści dawali ostatnie przedstawienia. Wzżyliśmy, jak połykacz ognia wyrzuca z ust płomienie, żywe na de ciemniejącego nieba, a potem opuszcza pochodnię i gasi ją ustami.

-Chciałbym nauczyć się to robić - powiedział Eamonn. - Jak sądzisz odsłoniłby przede mną tajniki swojej sztuki?

-Nie mam pojęcia - odparłem. Zmęczenie wracało ze zdwojoną siłą i bolała mnie głowa, czułem tępe, miarowe łupanie. Myśl o wyciągnięciu się na materacu i pogrążeniu w nieświadomości wydawała się błoga.

Eamonn przyglądał się połykaczowi ognia.

- Pewnie ma gąbkę w ustach, nie sądzisz? - dumał na głos. - Ale nie, może mieć też olej. Pewnie dyskretnie sączy go z flaszki i pluje w płomienie.

Bez słowa wzruszyłem ramionami, a wówczas przeniósł badawcze spojrzenie na moją osobę.

-Co się z tobą dzieje, Imri?



-Ze mną? - Zaśmiałem się wymuszenie. - A co u ciebie? Brygitta... lubisz ją, prawda?

-Tak, lubię. Zmieniasz temat, jak przez cały dzień. Rozumiem, dla czego robiłeś to w rozmowie z Lucjuszem, w czym zresztą chętnie ci pomagałem. On niczego nie spostrzegł, jest pochłonięty własnymi troskami. Ale ja cię znam. Dlaczego mi to robisz?

Spojrzałem na Forum. Za połykaczem ognia dostrzegłem znajomą po stać. Bosa, odziany w brudną tunikę mężczyzna rozmawiał z grupą studentów, z ożywieniem gestykulując jedną ręką, z drewnianą miską w drugiej.

-To Canis?

-Canis? - Eamonn zmarszczył brwi.

-Moj filozof- żebrak, ten z beczki. - Pokiwałem głową. - To on.

-Tak, wygląda, że on. I znowu to robisz.

-Przepraszam. - Przetarłem oczy, próbując odpędzić zmęczenie.- Nie chciałem. To wszystko jest trochę dziwne, nie sądzisz?

-Tak, mieszka w beczce - zauważył Eamonn. - Imri, zawsze mogliśmy wszystko sobie powiedzieć, prawda? „Czy to ostrzeżenie?”. „Tak”.

- Wiem. - Kołysałem się na stopniu, trąc dłońmi kolana. Zobaczywszy już dwa trupy, skłonny byłem potraktować ostrzeżenie z większą powagą. - Eamonne, to tylko... proszę. Nie pytaj, nie teraz. Powiem ci, gdy będę mógł. Przysięgam. - Przeszukałem wzrokiem jego twarz. - Ufasz mi, prawda?

- Całym sercem - odparł po prostu. Po chwili podniósł się z westchnieniem. - Chodź, wracajmy do insuli. Jesteś ledwie żywy - Zmierzył mnie wzrokiem. - Kimkolwiek była, nieźle dała ci w kość.

-Można tak powiedzieć - mruknąłem.

W połowie Forum, potrącany przez tłumy, poczułem rękę ciągnącą mnie za łokieć. Wyrwałem się, cofnąłem o krok i obróciłem, wysuwając miecz z pochwy. Pół kroku za mną Eamonn uczynił to samo.

-Przepraszam, przepraszam, przepraszam! - Niewysoki mężczyzna w szorstkim samodziale poderwał ręce, odsuwając się ode mnie. Głos miał piskliwy ze strachu. - Przepraszam, młody panie! Chodzi tylko o to, że moja pani chce cię do siebie zaprosić i błaga, byś okazał zainteresowanie. Może ma pracę dla ciebie.

-Twoja pani - powtórzyłem. Patrzyłem na niego, próbując rozstrzygnąć, czy widziałem go w domu Klaudii. Nie rozpoznałem twarzy. - Kim ona jest? Kim ty jesteś? - Moj głos stwardniał. - Rajfurem?

Eamonn zachichotał.

Mały mężczyzna wyprostował się z godnością. -Jestem uczniem artystki, panie. Patrzyłem na niego, mrugając jak idiota. -Twoja pani jest artystką?

-Eryteja z Trasos? - zapytał protekcjonalnym tonem. Kiedy tylko mrugałem w odpowiedzi, westchnął. - Jesteś nowy w Tyberium, prawda, młody panie?

-W zasadzie.

-Słyszałem o niej. - Eamonn schował miecz. - Chyba jest malarką, prawda?

- Malarką - czeladnik z pogardą powtórzył słowo. - Tak, młodzi panowie, moja pani jest malarką. Bardzo sławną malarką. - Zmierzył mnie wzrokiem. - Chciałaby, żebyś pozował jej do pewnego tematu. Dobrze płaci.

Pokręciłem głową, chowając miecz. -Nie jestem zainteresowany.

Dreptał za nami, gdy odwróciliśmy się do niego plecami. -Czekaj! - Wcisnął mi w rękę kawałek pergaminu. - Jej klientka mówiła konkretnie o tobie. Pomyśl o tym.

Dostarczywszy wiadomość, błyskawicznie wtopił się w tłum. Szybko zrezygnowałem z pomysłu, żeby go ścigać. Byłem piekielnie zmęczony, zbyt zmęczony, żeby ruszyć w pogoń. Rozłożyłem list i przeczytałem.

Jutro po południu. Pracownia Erytei".

Tym razem nie było pieczęci ani podpisu, nawet inicjałów. To nie miało znaczenia. Rozpoznałem charakter pisma Klaudii Fulwii. Pisała z tą samą pewnością siebie, z jaką się kochała; linie inkaustu śmiało biegły

po gładkim pergaminie, jakby brały go w posiadanie. Sam widok liter przywołał wspomnienia, które przyprawiły mnie o drżenie. Z westchnieniem schowałem list do sakiewki.

- Mogę spytać? - odezwał się Eamonn.

- Nie - odparłem. - Lepiej nie.

# TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

---

Gdy tego wieczoru wróciłem do insuli, powiedziałem Gilotowi o zabitym mężczyźnie. Wysłuchał bez komentarza, a gdy skończyłem, obrzucił mnie długim, poważnym spojrzeniem. Po raz pierwszy od wyjazdu z Terre d'Ange odczułem dzielącą nas różnicę wieku.

-Włóczenie się po ulicach samemu, w nocy - powiedział cicho,- Chyba nie muszę ci mówić, jaka to głupota, prawda? Zawstydyłem się.

- Nie. Nie musisz. Gilocie... czy sądzisz, że to zbieg okoliczności?

- Dwa morderstwa w ciągu paru dni? - Zmarszczył brwi. - W mieście wielkości Tyberium to możliwe. Mimo wszystko to mi się nie podoba, Zobaczę, czy uda mi się zamienić słowo z kapitanem miejskiej kohorty, gdy będziesz zajęty.

- Dziękuję. Tak się składa, że jutro mam umówione spotkanie.

- A niby z kim? - zapytał Gilot. Powiedziałem mu, a on się roześmiał.

Nazajutrz późnym popołudniem wybrałem się do pracowni Erytei z Trasos. Bez trudu uzyskałem wskazówki, jak tam trafić; wyglądało na to, że artystka rzeczywiście jest dobrze znana w mieście Tyberium. Skoro w liście nie podała godziny, pod wpływem jakiegoś przekornego impulsu wybrałem najgorszą porę dnia, kiedy gorąco niemal dusi i większość sklepów jest zamknięta. Otwarte są tylko łaźnie. Zapukałem do drzwi pracowni i stałem na ganku, czując pot spływający po czole.

-To szaleństwo - mruknął Gilot za moimi plecami.

- Zapewne - zgodziłem się.

W końcu drzwi się otworzyły. Uczeń artystki spojrzał na mnie oczami okrągłymi ze zdumienia.

-Przyszedłeś!

-Przyszedłem. Czy będę mile widziany?

-Tak, oczywiście. - Głos płynął z głębi pracowni, bogaty i dźwięczny, z nutką helleńskiego akcentu. W pole widzenia weszła kobieta w średnim wieku, z pasemkami siwizny w czarnych włosach. - Na Ajakcha! - zawołała, podnosząc zabrudzone farbą palce, by dotknąć mojej twarzy. - Jesteś mile widziany.

Wzdrygnąłem się, a ona zrobiła krok w tył, zapraszając mnie ruchem ręki.

- Wejdź, śmiało - powiedziała.

- Zaczekam - mruknął Gilot.

- Nie ma potrzeby - powiedziała kobieta. - Poślę Sylwia, żeby towarzyszył mu w powrotnej drodze.

Gilot uniósł brew.

-Idź - poleciłem cicho. - Możesz zająć się sprawą, o której rozmawialiśmy

- Nie ma obawy, wierny sługo - powiedziała z uśmiechem Hellenka, Eryteja z Thrasos, jak się domyśliłem. - Wcale nie pragnę, by d'angelinska ambasador stanęła w moich progach i zadawała pytania. Twój młody pan wróci do ciebie niebawem. Proszę tylko o zezwolenie na wykorzystanie jego oblicza dla dobra sztuki.

Gillot przewrócił oczami. Nie byłem pewien, co bardziej mu się nie podoba, zostawianie mnie samego czy słuchanie, jak ktoś nazywa go wiernym sługą. Mimo wszystko poszedł.

Palce Erytei spoczęły lekko na moim ramieniu.

- Chodź. I zobacz.

Muszę przyznać, poruszyły mnie jej prace. W pracowni znajdowały się trzy obrazy w różnych stadiach, wszystkie dobre. Bardzo dobre. Kpiącym okiem obserwowała moją reakcję. -Jesteś zaskoczony.

- Pod dużym wrażeniem, pani.

Stałem przed największym obrazem, przedstawiającym porwanie Europy. Byk wyglądał jak żywy, niemal czułem żar jego oddechu. Wzburzone fale były niemal przejrzyste, zwieńczone grzywami piany. Twarz Europy zastygła w wyrazie ekstazy przemieszanej ze strachem.

-Za młodu studiowałam w wielu miejscach - powiedziała Eryte-ja. - Łącznie z Terre d'Ange, gdzie nauczyłam się wiele o mieszaniu pigmentów i wzajemnym oddziaływaniu barw. - Podniosła rękę do deski, niemal dotykając boku byka. Był czarny jak węgiel, a jednak lśniący. -D'Angelinowie nie kwapili się z dawaniem zleceń helleńskiej artystce.

- Potrafimy być tacy - zgodziłem się, choć byłem coraz bardziej zmęczony wysłuchiwaniem oskarżania D'Angehnów o snobizm. Nie wszyscy.

- Czy zechcesz więc dla mnie pozować? - zapytała Eryteja.

- Dla tej szczególnej klientki, tak. - Milczałem przez chwilę. - Jest tutaj?

- Nie - odrzekła krótko. - Rozbierz się.

Nagle odsyłanie Gilota wydało się złym pomysłem. Wątpiłem, by jedna z najsłynniejszych artystek Tyberium zamierzała mnie skrzywdzić, ale przecież nie spodziewałem się noża na gardle, gdy ostatnim razem usłyszałem od kobiety te słowa.

- Boisz się? - zapytała z rozbawieniem Eryteja. Rozłożyła poplamione farbą ręce. - Poza mną jest tutaj tylko Sylwio. Nic ci nie grozi.

Przy długim stole uczeń Sylwio rozcierał pigment w marmurowej misie, z głową schyloną w skupieniu. Marmurowy tłuczek w jego ręce mógł z łatwością zadać miazdzący cios. On sam był mały, ale niewątpliwie praca przydała znacznej siły jego ramionom i rękom.

- Wolałbym zaczekać na twoją klientkę - powiedziałem.

- Przyjdzie - zapewniła mnie Eryteja. - Później. - Jej oczy błysnęły domyślnie. - Jak zrozumiałam, pragnie naradzić się z tobą i na osobności porozmawiać o zamówieniu. Będzie rozczarowana, jeśli nie zrobię wstępnego szkicu.

Więc, pomyślałem, mam niewielki wybór, albo się rozbroję i rozbiore do naga przy obcych, albo rozdrażnię Klaudię. Zastanawiałem się, czy to próba. Jeśli tak, postanowiłem wziąć udział w grze.

- Twój człowiek powiedział, że dobrze płacisz - przypomniałem.

- Pół denara za godzinę pozowania - wyjaśniła Eryteja. - I premia na koniec, jeśli klient jest zadowolony.

- Zgoda. Co mam zrobić?

Kiedy się rozebrałem, ustawiła mnie w snopie światła i obeszła, przypatrując mi się uważnie, zupełnie jak Klaudia w swojej sypialni. Tylko że to nie była Klaudia. Czuję różnicę - spoczywało na mnie spojrzenie artystki, skupione i beznamienne. Dla Erytei z Trasos równie dobrze mógłbym być marmurowym posągami.

W końcu podała mi lamowaną złotem płachtę w kolorze głębokiej purpury i kazała usiąść na ozdobnym, wyściełanym fotelu. Upozowanie mnie zajęło jej dużo czasu, aż w końcu zastygłem w pozie czystego rozleniwienia z jedną nogą przewieszoną przez poręcz fotela, z purpurowym materiałem udrapowanym na biodrach.

- Proszę. - Eryteja podała mi kiść winogron ze stojącej w pobliżu patery. - Nie, trzymaj tak, jakbyś chciał je zjeść. - Przypatrzyła mi się ze ściągniętymi brwiami. - Zbyt nieśmiało. Trzymaj niżej. Niech ręka zwisa, jakbyś zaraz miał je upuścić.

Winogrona musnęły mój nagi tors, chłodne i jedwabiste.

- Niech zgadnę - powiedziałem. - Bachus?

-Sza. - Umieściła na mojej głowie wieniec z suchych pędów winorośli. - Na razie to wystarczy. Później zdobędziemy świeże.

To rzekłszy, Eryteja zaczęła pracować, szkicując na białej desce kawałkiem węgla drzewnego. Pracowała w ciszy i głębokim skupieniu, jej spojrzenie skakało pomiędzy mną i deską. W pracowni panowała cisza, maćona tylko przez miarowy chrzest tłuczka i miękkie zgrzytanie węgla.

Pozowanie okazało się śmiertelnie nudne.

Wydawało się łatwe, ale nie było, niezupełnie. Po jakimś czasie ścierpłem, siedząc nieruchomo. Zdrętwiała mi noga przerzucona przez poręcz i miałem ogromną ochotę opuścić te przekłete winogrona. Ale za każdym razem, gdy choć drgnął mi mięsień, Eryteja chrząkała z dezaprobatą.

Siedziałem więc w bezruchu i rozmyślałem o Joscelinie odprawiającym czuwanie w Najdłuższą Noc. Rozmyślałem, jak złożyłem w ofierze Błogosławionemu Elui moje cierpienia i pychę, i o poczuciu tajemnicy, które mnie musnęło.

Od tamtej pory zaniedbałem modły.

Tutaj, w Tyberium, dzieląc czas między naukę i intrygę, nie modliłem się nawet o przewodnictwo, ani do Elui, ani do żadnego z jego Towarzyszy. Nie oddałem czci bogom tego miejsca - bogom Tyberium, skradzionym ze starożytnej Hellady. Teraz, siedząc w fotelu malarki, w duchu wznosiłem modły.

-Nie, nie, nie! - zbeształa mnie Eryteja, przerywając długie milczenie. - Bez tej zadumanej miny! Uśmiechnąłem się do niej. -Jaką minę powinien mieć bóg? Klasnęła językiem.

-Na Ajakcha! Pijesz, upijasz się winem, miłością i szaleństwem, ale jesteś czuły, delikatny... nie zniewieściały, tylko jak lampart z ofiarą. Pomyśl o czymś. - Machnęła węglem. - Myśl o kobiecie, której pragniesz.

Niespodziewanie oczyma duszy ujrzałem twarz Fedry. Przebiegł m dreszcz straszego pożądania. Szybko przepędziłem z głowy jej wizerunek i starałem się myśleć o kimś innym, o kimkolwiek innym. O Klaudii Fulwii. Nie, tam było szaleństwo, ale bez odrobiny delikatności. I na

pewno bez miłości. Nie byłem nawet pewien, czy się lubimy. Pomyślałem o Sydonii.

Po naszym rozstaniu dokładałem wszelkich starań, żeby o niej nie myśleć, w czym ostatnio pomogła mi Klaudia Fulwia. Teraz o niej myślałem. O tym, jak stała, nieustraszona, gdy ścisnąłem jej ramiona. O jej ciemnych oczach Cruithneów osadzonych w danielińskiej twarzy. O iskrze niespełnionej namiętności. Na pozór była chłodna i

opanowana, ale pod powierzchnią kryło się coś dzikszego i głębszego. Coś, czego pragnąłem zakosztować.

„Czyżbyś zapomniał, że w żyłach L'Enversów płynie krew kuszelicka?. Tak, zapomniałem. Ale przypomniałem sobie o tym wtedy, i teraz.

- Lepiej - pochwaliła mnie Erytreja. - Znacznie lepiej.

I tak, rozparty w fotelu, rozmyślałem o Sydonii. Straciłem rachubę czasu, aż w pewnym momencie Sylwio poszedł do drzwi, przywołany pukaniem, i do pracowni weszła Klaudia Fulwia. Spojrzała na mnie i jej pełne usta wygięły się w uśmiechu. Wszelkie myśli o Sydonii natychmiast wywietrzały mi z głowy.

- I co? - zapytała Klaudia pogodnie. - Zobaczmy, co my tu mamy. Moje kości zatrzęszczały w proteście, gdy wstałem, a ścierpnięte nogi

niemal się pode mną ugięły. Odłożyłem winogrona, okręciłem się w talii purpurowym materiałem i podszedłem, żeby spojrzeć nad ramieniem Klaudii, gdy oglądała szkic. Eryteja czekała, z twarzą pełną dumy i pewności siebie.

To dziwne, oglądać siebie oddanego węglem. Poza była dokładnie taka, jak chciała Eryteja, swobodna i rozleniwiona. A jednak było tam również napięcie. Kilkoma śmiałymi liniami oddała wyraz twarzy stojący w sprzeczności z pozornym odprężeniem mojego ciała.

-Ależ namiętność! - mruknęła Klaudia, gładząc bieloną tablicę, niemal rozmazując węgiel. Eryteja zdusiła słowa protestu.- Myślałeś o mnie skarbie?

Uśmiechnąłem się do niej.

- Być może.

- Och, być może. - Uniosła brew. - Muszę mieć pewność. - Zwróciła się do Erytei: -Tak, jestem zadowolona. Pracuj dalej. A ta druga sprawa...

-A, tak. - Artystka podniosła głos. - Sylwio! Chodź, pójdziemy do aptekarza. Zapowiedział, że dziś odbiera dostawę lapisu. - Sięgnęła do stojącej obok sztalug klepsydry, której używała do odmierzania czasu pozowania, i odwróciła ją. - Niebawem wrócimy. Claudia skłoniła głowę.

-Dziękuję, pani Erytejo.

Zaczekałem, aż wyjdą, żeby spytać.

-Ona jest jedną z was?

-Jedną z nas? - powtórzyła Klaudia z rozbawieniem. - Co masz na *myśli*?

- Niewidzialną Gildię.

- Możliwe - odparła takim tonem, jakby się ze mną droczyła. - Może siądziesz w swoim fotelu? Muszę wiedzieć, o czym myślałeś, gdy powstawał ten szkic.

- Klaudio. - Chwyciłem ją za ramiona. - Nie. Jestem zmęczony grami.

- Grozisz mi? - Wciąż miała rozbawioną minę. - Drogi chłopcze, gra będzie trwała, czy tego chcesz, czy nie. I jeśli chcesz nauczyć się w nią grać, zrobisz to na moich warunkach.

-A jeśli nie?

Jej paznokcie przeorały mój nagi tors. Czułem płynące od niej fale żaru, zapach jej podniecenia. Jej oczy, brązowe jak u lisa, były jasne, spojrzenie pewne.

- Ależ chcesz.

W odpowiedzi we mnie też wezbrał żar, bezrozumny i nieodparty. Odetchnąłem gwałtownie.

- A jaką cenę proponujesz, Klaudio? Czy powiesz mi o martwym mężczyźnie w pobliżu doków? A może o tym drugim przed moją insulą?

Przylgnęła do mnie, sięgnęła w dół jedną ręką, żeby mnie objąć i pieścić. Krew zaszumiała mi w żyłach.

-Mogę powiedzieć ci wszystko, Imrielu, jeśli przysięgniesz wierność Gildii - wydyrzała. - Ale najpierw zajmijmy się sprawą twojego szkolenia.

Owładnięty pożądaniem i na wpół jej za to nienawidząc, uległem. Było dziko i pierwotnie jak za pierwszym razem. Klaudia zaprowadziła mnie do fotela i kazała mi usiąść. Patrzyłem, jak się rozbiera, jak jej wspaniałe ciało wyłania się z fałd połyskliwego jedwabiu. Jej skóra lśniła w popołudniowym, leniwym słońcu, które zalewało pracownię. Przestałem myśleć, gdy uklękła nade mną okrakiem, jej sutki muskały moje usta.

Zatraciłem się, kiedy osunęła się na mnie, a potem wznosiła i opadała w powolnym, miarowym rytmie zmierzającym ku ekstazie.

I potem znowu, w skotłowanej pościeli na materacu, na którym artystka uciniała sobie drzemki - tylko że tym razem szybciej i z większą pilnością, ciało ślizgało się po śliskim od potu ciele. Chciałem ją ukarać, chciałem ją orać jak ziemię, chciałem ją napęścić, aż będzie błagać, bym przestał.

Ale ona nie знаła końca, chciała więcej, więcej i więcej, a ja dotrzymywałem jej kroku, aż w końcu nie mogłem dłużej wytrzymać, siła orgazmu naparła na mnie niczym wielka ręka. Wytrysnąłem w nią z drżeniem,

- Mówiłam ci - szepnęła mi do ucha.



Przetoczyłem się na plecy i wsparłem na łokciu, sprawdzając, czy nie ma broni pod ręką, po czym opadłem na materac.

- To nie to samo.

- Ależ tak. - Klaudia leniwie skubnęła moje włosy, gdzie wplątał się pęd wina. - Teraz gra i ja stanowimy jedność, Imrielu.

- I to nazywasz szkoleniem? - zapytałem. Zaśmiała się i zakryła mi oczy ręką.

- Ile rzeczy znajduje się na warsztacie Erytei i co to jest?

- Sześć kamiennych dzbanków z pigmentem. Marmurowy mózdzierz z tłuczkiem. Zakorkowana gliniana butelka, prawdopodobnie z oliwą. Garnek z klejem. Ręczny młynek. Skórzane zawiniątko, pewnie z pędzlami. Aha, i miska jaj.

- Zapomniałeś o roboczym fartuchu Sylwia. - Klaudia zabrała rękę. - Zdjął go przed wyjściem i położył na stole. - Uśmiechnęła się do mnie, - Czy mam ci kazać przejść po pracowni z zawiązanymi oczami?

Wytrzymałem jej spojrzenie.

- Skąd wiedziałaś? Wzruszyła ramionami.

- Tak założyliśmy. - Zerkając na piasek przesypujący się w klepsydrze, podniosła się z materaca i zaczęła wkładać suknię. Po chwili wziąłem z niej przykład, poruszając się powoli. - Nie znam twojej przybranej matki Imrielu, ale z tego, co ludzie mówią, Anafiel Delaunay de Montrève dobrze ją wyszkolił. To, czego dokonała, zupełnie sama, jest nadzwyczajne. Choć, prawdę powiedziawszy, z pomocą Gildii byłoby jeszcze lepsze.

- Nie wiem o połowie jej dokonań - mruknąłem.

- Tak, wiem, i to jest frustrujące. - Klaudia podniosła ręczne lustro i poprawiła rozczochrane włosy. - Rzecz w tym, że z naszych informacji wynika, że Fedra nó Delaunay de Montrève jest piekielnie lojalną kobietą. Ponieważ cię adoptowała, mogliśmy spokojnie założyć, że przekaże ci wszystkie swoje umiejętności. - Zastanawiała się przez chwilę. - Nó, może nie wszystkie. A może...?

- Nie! - Nieporadnie szarpałem spodnie.

- Cóż, nie jest twoją prawdziwą matką. - Klaudia zerknęła na mnie, gdy kląłem, szamocząc się ze splątanymi nogawkami. - Skąd to masz? - zapytała innym tonem, dotykając kereickich runów wypalonych na moim lewym pośladku. - Nie zauważyłam tego w blasku świec.

Wzdrygnąłem się, czując jej palce, i podciągnąłem spodnie.

- Nic takiego. Stara blizna.

-Wygląda jak... - Ściągnęła brwi. - Przepraszam. Czy to piętno niewolnika?

- Coś w tym rodzaju - odparłem krótko.

- Nie rozpoznaję znaku - powiedziała.

-Jest tatarski, Tatarów Kereitów. Człowiek, który je wypalił, nazywał się Jagun. Nie żyje. - Uśmiechnąłem się ponuro. - Czy to znaczy, że Niewidzialna Gildia nie ma swoich macek wśród plemion tatarskich?

-Nie - odparła Klaudia. - Nie mamy. Na świecie nie brakuje miejsc, gdzie Gildia nie jest obecna, Imrielu. Jest równie wiele innych, gdzie ma. Zwłaszcza tutaj, w Tyberium.

Wciągnąłem koszulę przez głowę.

- Czego zatem chcecie od mnie, Klaudio? Czego innego mam się od ciebie nauczyć poza tym? - Wskazałem na materac.

-Już się uczysz - odparła z uśmiechem. - Jak radzić sobie z zamętem i szokiem zdrady. Jak zachować zdrowy rozsądek, gdy nie wiesz, komu ufać. Jak oceniać ryzyko, wartości tajemnicy, cenę lojalności. Czy mówię prawdę? Czy Niewidzialna Gildia istnieje, czy jest szalonym wymysłem? Jeśli istnieje, kto do niej należy? Eryteja? Sylwio? Mistrz Piero? Dekkus? Lucjusz? Mogłam cię przecież okłamać. A co z twoim przyjacielem Eamonnem, z twoimi kolegami studentami? Szukanie odpowiedzi na te pytania jest twoim szkoleniem, Imrielu.

-Canis - powiedziałem po chwili milczenia.

-Canis? - Klaudia parsknęła śmiechem. - Pies?

-Cynik. - Spojrzałem na nią spod przymrużonych powiek. Jeśli kłamała, robiła to dobrze, bardzo dobrze. - Mój mieszkający po sąsiedzku filozof-żebrak.

- Canis. - Wzruszyła ramionami. - Zgoda, tak, może. Być może nie znam nawet siebie. Jak powiedziałam wcześniej, jestem tylko czeladnikiem.

Gdybyś nie zaznajomił się z Lucjuszem, nie zostałabym wybrana do tego zadania. Gildia działa w ścisłej tajemnicy i ci z dolnych szeregów rzadko mają pojęcie o całości kształcie jej zamierzeń.

- A kto ma? - zapytałem, ale nim odpowiedziała, otworzyły się drzwi. Weszła Eryteja z uczniem i służącym Klaudii, który czekał cierpliwie na ganku, podczas gdy jego pani zażywała rozkoszy. Choć byłem w pełni ubrany, z wyjątkiem butów, czułem się przyłapany i nagi.

Klaudia natomiast była wzorem opanowania. Podziękowała Erytei i dała jej sakiewkę z zaliczką na zamówienie.

- Dołożyłam za pobrudzoną pościel - dodała spokojnie, a ja poczułem, że się rumienię po korzonki włosów.

Eryteja tylko pokiwała głową i zwróciła się do mnie:

- Przyjdź jutro. Nie za wcześnie. - Sięgnęła do sakiewki od Klaudii, wyjęła srebrnego denara i podała mi. - Sylwio odprowadzi cię do domu.

Moneta paliła mnie w rękę i żałowałem, że ją wziąłem. Klaudia odeszła posyłając mi pocałunek. Sylwio patrzył z ironicznym błyskiem w oku gdy wkładałem buty i zapinałem pas z mieczem. Pewnie na to zasłużyłem, pytając go z pogardą, czy jest stręczycielem. Wcale nie czułem, że zapłacono mi za pozowanie.

Miałem wrażenie, że sprzedałem swoje usługi Klaudii Fulwii.

- Nie potrzebuję eskorty - powiedziałem do Sylwia. - Do zachodu słońca daleko.

- Rozkazy pani, młody panie.- Wyszczrzył próchniejące zęby.- Dobrze płaci za to, czego chce.

Tak więc ścierpiałem jego towarzystwo, przypominając sobie, że wszystko jest częścią gry, w którą zostałem wciągnięty, czy mi się to podobało, czy nie. Poza tym, przynajmniej Gilot będzie zadowolony. Sylwio truchtał u mojego boku, stawiając trzy kroki na moje dwa, jego głowa podskakiwała przy moim ramieniu. Zapytałem, dlaczego terminuje u Erytei, a on obrzucił mnie spojrzeniem pełnym pogardy.

- Widziałeś jej obrazy, D'Angelinie. Jej kolory... - Jego twarz złagodniała i pocałował czubki palców. - Aż chce się je zjeść.

- A co z panią Klaudią? Otworzył szeroko drwiące oczy.

- Mnie pytasz?! Jest bogata, panie. Robi to, co lubi. - Wzruszył ramionami. - Teraz lubi ciebie. Płaci za milczenie. Ja nie mam nic przeciwko.

Moja pani nie ma nic przeciwko.

- Myślę, że może mieć - zauważyłem. - Jest dumna ze swojej pracy.

- Dlaczego? - W jego oczach odbiła się ciekawość. - Jesteś dobrym tematem. Odpowiadasz jej. Taka twarz... - pokręcił głową - marnuje się u kogoś takiego jak ty.

- Wielkie dzięki - rzuciłem cierpko.

- Bez obrazy, młody panie. - Sylwio wciągnął powietrze przez zęby. - Piękno powinno porywać, nie sądzisz? Tylko że zbyt często nie porywa. Przynajmniej nie cielesne. Pochwycone w farbie, oddane w marmurze... To zupełnie inna sprawa, prawda?

-Tak? - mruknąłem.

-Nó, jak tak myślę! - oznajmił Sylwio.

Przed bramą insuli chciałem mu dać monetę Klaudii, ale odmówił, tłumacząc, że już dostał wynagrodzenie. Jeśli udaje, że jest nikim więcej niż dumnym uczniem malarki, pomyślałem, to jest mistrzem udawania. Przez chwilę ociągałem się na ulicy i patrzyłem, jak truchta, ssąc powietrze przez zepsute zęby, z głową pełną kolorów i piękna.

- Canis! - Postukałem w wieko beczki.

Z wnętrza popłynęło chrobotanie, a potem ukazała się głowa. Rozczochrane włosy żebraka sterczały mu we wszystkie strony, oczy miał zaspane.

-Tak, Imrielu?

Przykucnąłem przed beczką, wyciągając monetę na dłoni.

- Dla ciebie. Wziął ją, mrugając. -Przecież nawet nie prosiłem.

-Wiem. - Zawahałem się. - Canisie, dlaczego tu jesteś?

- Dlaczego tu jestem? - Przetarł oczy kułakami. - Dlaczego ty tu jesteś? Dlaczego ktokolwiek z nas tu jest? Powiem ci, dlaczego, jak sądzę, Ponieważ bogowie byli samotni. A może tylko znudzeni?

- Nie - powiedziałem cierpliwie, stukając w kamienie bruku. - Tutaj. Canis odechnął przeciągle przez nos.

-Czujesz? Mistrz Ambrozjusz uciera dziś drewno sandałowe. -Uśmiechnął się do mnie słodko. - Śmierdzą, prawda? I tak być powinno bo jestem mężczyzną i śmierdzą jak mężczyzna. Oto, kim jesteśmy, Imrielu, mężczyznami, cuchnącymi jak psy. A jednak, tutaj, na tej ulicy, mogę napełniać nozdrza niczym bóg i nie płacić za to ani jednej sestercji. Czy nie sądzisz, że to mądre?

Poddałem się.

To prawda, Canis śmierdział, a przynajmniej śmierdziała jego beczka

Płynął z niej taki zapach, jakby tam nasikał. Jeśli należał do Niewidzialnej Gildii i śledził mnie dla jej celów, wychodził daleko poza ramy obowiązku, żeby mnie zwieść.

Dlaczego, tego nie mogłem pojąć.

- Mógłbyś zajrzeć do łaźni, przyjacielu - poradziłem, prostując się. -

Są przyjemne.

- Wezmę to pod rozwagę - odparł Canis uprzejmie, po czym przekrzywił głowę. - Czy mógłbyś się przesunąć? Zasłaniasz słońce.

# CZTERDZIEŚCI

---

Kolejne tygodnie były dezorientujące. Zacząłem bardziej dbać o własne bezpieczeństwo i nie spotkałem się z kolejnymi przypadkami przemocy. Kapitan kohorty miejskiej zbagatelizował obawy Gilota. Martwy mężczyzna z doków był tyberyjskim tragicznym i czasami bandytą, krótko mówiąc kimś, komu jest pisane zginąć w karczemnej burdzie albo w trakcie nieudanej napaści. Nikt nie rozpoznał martwego sprzed insuli, ale nie było powodów podejrzewać, że był kimś więcej niż złodziejem, jak nazywał go Canis.

Gilot nie zdradził kapitanowi, kim jestem, powiedział tylko, że pracuje u d'angelirskiego pana. Kapitan wyraził opinię, że każde d'angelirskie paniątko na tyle głupie, by mieszkać w dzielnicy studentów i włóczyć się nocą w okolicy doków, dostaje dokładnie to, na co zasługuje.

Święte słowa. W nocy ryglowaliśmy drzwi naszego mieszkania. W mieście starałem się chodzić co najmniej z jednym towarzyszem. Tyberium znowu wydało się względnie bezpieczne.

Ale moje życie rozpadło się na części, które nie chciały złożyć się w całość. Rankiem brałem udział w wykładach mistrza Piera, gdzie byłem młodym scholarem, gorliwie poszukującym znaczenia cnoty. Popołudniami szedłem pozować do Erytei z Trassos, gdzie byłem opłacanym modelem, dopóki nie zjawiała się Klaudia.

A wtedy zostawaliśmy sami i byłem... kim? Jej kochankiem, przynajmniej z początku. Kopulowaliśmy w pracowni Erytei, pocąc się w gorącym słońcu, otoczeni smrodem oleju lnianego.

Później stawałem się niechętnym akolitą Klaudii, słuchając, jak mówi o Niewidzialnej Gildii.

Powiedziała mi, że obowiązują tam zasady i hierarchia jak w każdej innej gildii. Po złożeniu przysięgi wierności kandydat staje się terminatorem. Po siedmiu latach terminator może wyzwolić się na czeladnika, którym ona sama została niedawno. Za kolejne siedem lat Klaudia będzie mogła ubiegać się o mianowanie na mistrza.

-Oczywiście, pod warunkiem - uśmiechnęła się krzywo - że nie popełnię żadnych lekkomyślnych błędów.

- Czy tym właśnie jestem? - Uniosłem brwi. - Lekkomysłnym błędem?

- Nie. - Przeciągnęła palcem po mojej szczęce. - Jesteś niebezpiecznym zleceniem, które wymaga ode mnie ponoszenia wielkiego ryzyka. Ale jesteś dość ponętny, żebym stała się lekkomyślna.

-Co będzie, jeśli Dekkus się dowie? - zapytałem. - Przecież na pewno wiedzą wszyscy twoi słudzy.

- Dobry sługa zna wartość dyskrecji - odparła spokojnie. - A ja jestem hojną panią z mężem, którego rozprasza polityka. Moi słudzy są lojalni, a moje poczynania nie dają im powodu podejrzewać istnienia Gildii. - Jej twarz na chwilę zrobiła się poważna. - Lubię Dekkusa, wiesz. I zwykle nie jestem lekkomyślna.

-Nie wątpię - rzuciłem cierpko. - Więc ci mistrzowie rządzą gildią?

- Nie, niezupełnie. - Klaudia przeciągnęła palcem w dół mojego brzucha, rysując kreskę w pocie, który lśnił na skórze. - Mistrzowie odpowiadają przed epoptami.

Złapałem jej rękę.

- Przed epoptami. Pokiwała głową.

-To stary świat, świat helleński. Z misteriów. Władasz wieloma językami, prawda? Byłoby to bardzo użyteczne. -Tak - odparłem, nie puszczając jej ręki. - Więc ci epopei rządzą Gildią.

Klaudia z irytacją wypuściła powietrze.

- Nie, Imrieli. Niewidzialną Gildią rządzi heprarchia. I nie pytaj mnie o nich, bo nie wiem. Wiem tylko, że zawsze jest ich siedmiu. Kiedy jeden umiera, na jego miejsce wybiera się kogoś innego. Nawet epopci nie znają wszystkich siedmiu.

-Skąd zatem wiesz, że istnieją? - zapytałem.

Były inne rzeczy, których nie mogła mi wyjawić - nie mogła albo nie chciała. W kwestii moich rzekomych wrogów powiedziała tylko, że to cena wystawiona przez gildię za moją lojalność. Mimo to, nie przesta wałem pytać, mając nadzieję, że znajdę drogę wyjścia z sieci, w którą zostałem uwikłany.

A potem wracała Eryteja z Sylwiem, dostawałem srebrną monetę i w ich oczach stawałem się kimś zupełnie innym, utrzymankiem Klaudii Fulwii.

To nie powinno mnie trapić, ale trapiło.

Wiedziałem, co to znaczy służyć Naamie. Widziałem głęboką cześć, z jaką adepci podchodzą do swojej pracy w Domu Melisy, poważni i radośni zarazem. Widziałem życzliwość i współczucie u tych, którzy odpowiadają na wezwanie Naamy w Progu

Nocy. Nawet w Domu Waleriany - zwłaszcza w Domu Waleriany - panowała wyjątkowa duma, głęboka i nienaruszalna.

Tutaj było inaczej.

I gdy widziałem, jak patrzy na mnie Sylwio, myślałem o młodej kobiecie w zamknięciu, błagającej mnie z płaczem, żebym nie odchodził. Myślałem o dziwce na ulicy, plującej mi pod nogi.

Myślałem o Darśandze. I zastanawiałem się, czasami, nad spustoszeniem, jakiego we mnie dokonała. Powtarzałem sobie, że dałem zniewolić się Klaudii tylko z powodu intrygi, ponieważ chciałem poznać prawdę. Wiedziałem jednak, za każdym razem, gdy do niej szedłem, a ona zostawiała mnie wyciśniętego jak cytryna i zadyszanego, że jest to w połowie kłamstwem. Chciałem też jej. Chciałem zyskać nad nią władzę, pchnąć ją dalej, niż ona pchała mnie.

Nigdy nie miałem dość czasu. Chciałem więcej, znacznie więcej niż pozwalała na to klepsydra Erytei. Marzyłem o niebezpiecznej zabawie z niebezpiecznymi zabawkami. Klaudia szeptała mi do ucha obietnice, mówiła mi, czego pragnie. Jak mam ją brać, jak mam się jej podporządkować. Obiecywała, że kiedyś spędzimy razem całą noc.

Pragnąłem tego.

I zarazem się bałem.

Najgorsze ze wszystkiego były wieczory po wyjściu z pracowni, gdy dołączałem do przyjaciół w winiarni. Tam stawałem się kimś jeszcze innym, i tego siebie lubiłem najmniej. Weszło mi w nawyk odwiedzanie łaźni po spotkaniu z Klaudią, ale wciąż czułem ją na skórze. Patrzyłem na Eamonna, którego, jak twierdziłem, kocham niczym brata, i czułem, że jestem ucieleśnieniem kłamstwa. Patrzyłem na Lucjusza Tadiusza, któremu obiecałem przyjaźń, i czułem się jak hipokryta najgorszego rodzaju, Patrzyłem na nich wszystkich, zastanawiając się, kto, jeśli w ogóle, należy do Niewidzialnej Gildii, i czułem się bardzo samotny pośród towarzystwa

Przyjechałem do Tyberium, żeby się dowiedzieć, kim jestem, a rozpadłem się na kawałki. Przybyłem, żeby odkryć, co to znaczy być dobrym, a grzęzłem w kłamstwach, hipokryzji i podejrzliwości.

A jednak się uczyłem.

Klaudia miała rację. Szkoliłem się w sztuce szpiegowania. Nie tylko umiejętności obserwacji i podkradania się, ale czegoś głębszego. Umiejętności samodzielnego poruszania się w sieci oszustw i nieufności z miłą maską na twarzy. Z czasem stałem się dość dobry, by oszukać Eamonna, pozwalając mu wierzyć w prawie prawdę, że mam romans z tyberyjską patrycjuszką, której nazwiska nie śmiem ujawnić.

Tę samą półprawdę powiedziałem Gilotowi, grożąc mu okropnymi konsekwencjami, jeśli ujawni położenie domu, do którego odprowadził mnie w noc pierwszego spotkania z Klaudią. Uwierzył dość łatwo i trzymał język za zębami. Gilot nie przepadał za Lucjuszem, i dopóki się nie narażałem, samotnie wędrując po ulicach, nie obchodziło go, co robię.

Okłamanie Eamonna okazało się znacznie trudniejsze. Bolało. I nie zrobiłbym tego, gdybym się o niego nie bał. Gdyby nie nękały mnie dręczące wątpliwości. Byliśmy sami i daleko od domu. Jeśli Niewidzialna Gildia istnieje, nie odważę się podjąć ryzyka, mówiąc mu o niej.

„Czy to ostrzeżenie?”

„Tak”.

Czasami nie byłem pewien, w co wierzyć. Niewątpliwie istniała tu jakaś konspiracja, ale nic nie świadczyło o jej rozmiarach, a Klaudia nie wahała się ujawnić dowodów. Podała mi imię perskiego przewodnika, tak, lecz nie było ono tajemnicą, tylko ezoterycznym strzępem informacji. Chciałem rzucić okiem na działanie ukrytego mechanizmu.

-To nie takie proste, Imrielu - powtarzała, zniecierpliwiona moim naleganiem. - Wielu rzeczy nie wolno mi tobie powiedzieć. Poza tym, rozgrywanie spraw tej miary zajmuje miesiące, a nawet lata.

- Na przykład? - rzucałem jej wyzwanie.

-Nó dobrze. - Leżąc na plecach, patrzyła w sufit pracowni Erytei. -Wiesz, że Dekkus jest restauratorem. Pokiwałem głową.

- Cóż, to się nie stanie. Senat nie uzyska powszechnego poparcia, jakiego potrzebuje, żeby przywrócić republikę.

- Jesteś żoną senatora - rzuciłem cierpko. - Masz dostęp do informacji

- Przede wszystkim dlatego się do mnie zwrócono. - Przetoczyła się po materacu. Wilgotne pasemka włosów opadły jej na skronie. - Ale nie dlatego wiem, Imrielu. Restauratorzy popierają ograniczenie funduszy dla uniwersytetu, żeby odbudować potęgę handlową Tyberium. Niewidzialna Gildia się temu sprzeciwia.

- Dlaczego, u licha? - zapytałem, wbrew sobie zaintrygowany.

- Ponieważ Uniwersytet Tyberyjski przyciąga scholarów ze wszystkich stron świata - wyjaśniła. - Stanowi niewyczerpane źródło rekrutów dla Gildii. Jesteśmy ostrożni i wybredni, ale często z niego korzystamy. I nie chcemy, żeby źródło wyschło czy też uległo zmniejszeniu.



-Więc szpiegujesz Dekkusa i jego kolegów, po czym donosisz Gildii? - Ta myśl przyprawiła mnie o dreszcze. Wydawało się to złe, bardzo złe.

Oczy Klaudii rozbłysły.

-Nie jestem potworem o lodowatym sercu, Imrielu! Nie robię niczego, co naraziłoby Dekkusa na niebezpieczeństwo. W istocie, z pomocą Gildii mogę go chronić przed następstwami jego własnej polityki. Ale tak, o pewnych rzeczach donoszę. I jeśli zdołam zmienić jego poglądy na sprawę uniwersytetu, być może restauratorzy stwierdzą, że przechyliła się polityczna szala.

-Nie wierzę ci - powtórzyłem z uporem. To nie była prawda, aic uznałem, że może, jeśli będę trzymać się swojego stanowiska, to skłoni Klaudię do ujawnienia czegoś więcej, niż zamierzała. W tym względzie się pomyliłem.

- Wierz, w co chcesz - powiedziała, wzruszając ramionami. Chciałbym.

Tak więc wiodłem swoje podzielone życie i dumałem smętnie nad nic zbyt odległą przeszłością, kiedy się wydawało, że ucieczka do Tybenum i życie prostego studenta, jednego scholara wśród wielu, uwolni mnie od sideł, które mnie oplatały.

Co gorsza, pewnego popołudnia po powrocie do insuli zobaczyłem czekającą na mnie kolejną niespodziewaną wiadomość. Leżała na prymitywnym drewnianym stole - kremowy pergamin pieczętowany nieznanym mi d'angelińskim herbem, z moim nazwiskiem wypisanym eleganckim.

Płynnym charakterem pisma: Imriel de la Courcel. Widok nazwiska podziałał na mnie niczym kubeł zimnej wody wylany na głowę.

-Gilot! - warknąłem. - Skąd to się wzięło? Podniósł głowę znad miecza, który ostrzył. -Posłaniec od pani Fleurais, ambasadora d'angelińskiego. Postukałem w list leżący na stole. -Widziałeś nazwisko?

-Tak. - Patrzył na mnie spokojnie. - Co według ciebie miałem zrobić, Imri? Jesteś, kim jesteś. Nie będę w tej sprawie okłamywać przedstawiciela dyplomatycznego królowej. - Gilot zmarszczył czoło. - Nie jesteś zupełnie niewidzialny. Gdybyś chciał zniknąć, powinienes uciec dołączyć do Cyganów. Albo przynajmniej zapisać się na uniwersytet pod przybranym nazwiskiem.

-Uniwersytet nie wymaga podawania adresu zamieszkania - zaznaczyłem. - I to ty wynająłeś mieszkanie, nie ja. Zrobiliśmy to umyślnie, pamiętasz?

Gilot wzruszył ramionami.

- Niezupełnie nie rzucasz się w oczy.

Złamałem pieczęć i przeczytałem list. Było to zaproszenia na jutrzejszą kolację w ambasadzie. Choć sformułowane w uprzejmy sposób, mówiło jasno, że pani Fleurais

wykonuje rozkazy królowej i spodziewa się, że uczynię to samo. Rzuciłem list na stół i z westchnieniem padłem na siennik.

-O co chodzi? - zapytał Gilot

- Zaproszenie na kolację. Zdaje się, że Jej Wysokość Królowa życzy sobie otrzymać raport o mojej pomyślności.

-I czemu nie? - zapytał pragmatycznie. - Ma prawo się martwić. O ile pamiętam, zadała sobie wiele trudu, żeby ją zapewnić. Miał rację, i poczułem się winny.

- Wiem. Tylko... Nie podoba mi się, że tak łatwo mnie znaleźć. -Ambasador królowej? - Gilot uniósł brwi. - Imri, martwię się o wiele rzeczy, gdy chodzi o ciebie. Ta do nich nie należy. To głupie i niedorzeczne, wiem. Gdybym nie wdał się w romans z Klaudią, nie miałbym powodów do zmartwienia. Ponarzekalbym na nadopiekuńczość Ysandry i więcej o tym nie myślał. Nie spodziewałem się, że w Tyberium rozpląnę się w powietrzu; miałem tylko nadzieję wieść proste, spokojne życie, jak każdy, kto nie jest d'angelińskim księciem krwi. Teraz miałem wrażenie, że wokół mnie zaciskają się kolejne wnyki.

Mimo to, poszedłem na przyjęcie.

Nie mogłem wymyślić pretekstu uprzejmej odmowy - i na wpół się bałem, że jeśli odmówię, pani ambasador stanie się jeszcze bardziej uparta. Tak więc nazajutrz rano posłałem Gilota z twierdzącą odpowiedzią, a wieczorem włożyłem koszulę z koronkowym kołnierzem i wams z błękitno-srebrnego brokatu, po czym poszedłem złożyć wizytę pani Fleurais.

D'angelińską ambasadę widywałem tylko z daleka i starałem się do niej nie zbliżać. Ambasada, skromne *palazzo*, jest zlokalizowana w połowie wysokości Wzgórza Eskwilińskiego, jednego z najzwyklejszych w mieście, porośniętego ciemnozielonym ostrokrzewem. Droga była dłuższa, niż się wydawało, i czułem zmęczenie w łydkach. Znów zatęskniłem za Bękartem. W ostatnie tygodnie miałem niewiele okazji, żeby na nim pojeździć.

Czułem się dziwnie, słysząc, jak Gilot podaje moje nazwisko przy bramie: moje kolejne wcielenie, książę Imriel de la Courcel. Nie byłem nim od wyjazdu z Miasta Elui i czułem się niezbyt swobodnie. Strażnik wpuścił nas z niskim ukłonem, po czym wyprostował się z uśmiechem.

- Witaj, Wasza Wysokość - powiedział po d'angelinsku. - Jej Ekscelencja jest rada, że postanowiłeś zaszczyścić ją odwiedzinami.

Eluo! Brzmienie jego głosu przyprawiło mnie o niespodziewany atak nostalgii. W moim otoczeniu tylko Gilot mówił naszym językiem ojczystym.

Do tego wieczoru nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo tęsknię za

Terre d'Ange.

Strażnik zaprowadził nas do *palazzo*. Pani Fleurais wyszła nam na powitanie.

- Książę Imrielu. - Dygnęła zgodnie z nakazami etykiety, po czym obdarzyła mnie pocałunkiem powitalnym z na pozór szczerym ciepłem. - Witaj.

Ambasador D'Angelinów, we wczesnym wieku średnim, miała włosy barwy świeżego mahoni i przebiegłe oczy w życzliwej, miłej warzy - i nagle przypomniałem sobie, skąd znam jej nazwisko. Towarzyszyła panu Ameuremu Trentowi podczas jego misji do Menechetu, gdzie prowadziła negocjacje handlowe z faraonem, podczas gdy Amaury wraz z innymi udał się do Khebbel-im-Akad. Tam właśnie zaczęła się jej kariera dyplomatyczna.

Fedra wyrażała się o niej pochlebnie.

Zapiekły mnie oczy i musiałem zamrunąć, żeby przepędzić niespodziewane łzy.

-Miło cię poznać, pani.

Był to przyjemny wieczór, niemal zbyt przyjemny. Niedługo przed zachodem słońca pani Denise zaprowadziła mnie do ogrodowej świątyni na tyłach *palazzo*. To cudownie miejsce, zupełnie ukryte przed wzrokiem postronnych i bardzo zadbane. Róże we wszelkich odcieniach rosły tam w obfitości i zapach lawendy unosił się w powietrzu, znowu przypominając mi o domu.

Spacerowaliśmy wokół świątyni. Stały tam ołtarze wszystkich Towarzyszy, wszystkich z wyjątkiem Kasjela, który służył wyłącznie Błogosławionemu Elui. Patrzyłem na nie po kolei, na posągi w niszach... łagodna Ejszet z harfą, dumny Azza z kompasem, mądry Szamchazaj ze swoją tabliczką. Naama z gołębiem w złożonych rękach, zawzięty Kamael z mieczem i Anael, z którego dłoni wyrasta młoda roślina... i oczywiście Kusziel, dzierżący cep i różgę.

Tylko Błogosławiony Elua miał puste ręce, otwarte w geście błogosławieństwa.

Kapłan w niebieskich szatach przycinał krzewy różane wokół ołtarza, Trzymałem się z tyłu, niemal bojąc się podejść.

-Czy zechcesz oddać cześć? - zapytała pani Fleurais. - Ja często robię to o tej porze. -Nie... nie jestem pewien - wymamrotałem.

A jednak to zrobiłem. Usiadłem na przyniesionej specjalnie w tym celu niskiej ławce i zdjąłem buty. Trawa była miękka pod moimi bosymi stopami, wilgotna od wczesnej rosy. Kapłan uśmiechnął się do mnie. Bez słowa przyciął kilka róż i włożył je w moje ramiona.

Bursztynowe światło gasło, zapadał miękki zmierzch. Biorąc głęboki wdech, ukląknąłem przed posagiem Elui i rozesałem róże u jego stóp, delikatne płatki na tle gładkie-

go marmuru. Czulem na sobie spojrzenie Elui, pełne miłości tak czystej że aż bolało. Czulem się pod nim niegodny, bluźnierczy i niegodny.

- Błogosławiony Eluo - szepnąłem - prowadź mnie.

Nie doczekałem się odpowiedzi, ale rozkwitło we mnie wrażenie spokoju, niepewne i delikatne. Wsparłem czoło na piedestale. Mógłbym tu tostać całą noc, żeby zachować to uczucie w sercu. Po raz pierwszy w życiu zrozumiałem - naprawdę zrozumiałem - dlaczego Joscelin odprawiał czuwanie w Najdłuższą Noc. Chciałem zrobić to samo.

Ale pani ambasador czekała, a ja nie jestem kasjelitą. Ani sługą bożym ani wybrańcem bożym. Byłem tylko Imrielem, samotnym, zdezorientowanym i przebywającym z dala od domu. Z westchnieniem ucałowałem stopy Błogosławionego Elui i zmusiłem się do wstania.

- Dziękuję - powiedziałem do Denise Fleurais.

- Nie ma za co. - Jej życzliwe, inteligentne oczy przeszukały moją twarz. - Trudno żyć na uchodźctwie, prawda? Nawet jeśli człowiek sam się na nie zdecyduje.

-Tak, trudno.

Kolację zjedliśmy w jednym z mniejszych salonów **palazzo**, przy stole nakrytym białym obrusem. Po tygodniach stawy caerdicci przyjemnie było cieszyć się kuchnią d'angelińską i pić dobre wino z Namarry. Cały personel składał się wyłącznie z D'Angelinów, którzy sprawnie wypełniali obowiązki. To dziwne, jak nawet sposób nakrycia do stołu może przypominać o domu.

Tęskniłem za domem, tęskniłem za wszystkim.

Pani Denise Fleurais okazała się znakomitą towarzyszką, wypytała mnie o studia, słuchając z żywym zainteresowaniem, gdy opowiadałem o mistrzu Piero; śmiała się z jego polowania na gołębie na Forum. Ja z kolei zapytałem ją o wieści z domu. Choć miałem wrażenie, że wyjechałem stamtąd wieki temu, minęły ledwie dwa miesiące i usłyszałem tylko jedną znaczącą wiadomość.

- Królowa ogłosiła zaręczyny księżniczki Alais z księciem Talorcanem siostrzeńcem cruarchy- powiadomiła mnie Denise.

Zastygłem z widelcem w połowie drogi do ust. Dopiero po dłuższej chwili pogryzłem i przełknąłem kęs. Miałem w pamięci zapłakaną twarz Alais, jej głos, błagający: „Nie zostawiaj mnie, proszę!”.

-Jest taka młoda. Denise pokiwała głową.

-Czternaście lat. Oczywiście, ślub odbędzie się najwcześniej za parę lat. Lubisz ją, Wasza Wysokość?

-Bardzo. - Przepędziłem wspomnienie jej łez. - A co u Sydonii?

-Przypuszczam, że ma wielu zalotników - odparła z uśmiechem.- Ale w liście królowej nie ma o niej słowa.

- A co pisze o mnie? - zapytałem.

Denise Fleurais skinęła na podczaszego, a gdy napełnił nasze kubki odprawiła go z wdzięcznym słowem podziękowania. Napiła się wina, patrząc na mnie.

-Jej Królewska Mość jest zatroskana - wyznała uczciwie. - Dopiero po twoim wyjeździe dowiedziała się, że zabrałeś tylko jednego sługę i podróżowałeś w przebraniu jako człowiek z ludu.

-Niezupełnie. Poza tym podróżowałem pod własnym nazwiskiem.

- W połowie, tak. - Zmarszczyła brwi. - Wasza Wysokość, będę szczera. Tak, choć przede wszystkim martwi się o ciebie, Jej Królewska Mość nalega, żebym nakłoniła cię do powrotu do Terre d'Ange. Jeśli się nie uda, mam skorzystać ze środków ambasady, żeby podejmowano cię w Tyberium z należnymi honorami, przywilejami i ochroną przynależną twojej pozycji.

-Imriel - powiedziałem. - Proszę mówić mi Imriel. Zamrugwała.

- Słucham? Odsunąłem talerze.

-Nieważne, pani. Doceniam troskę Ysandry. Proszę jej to powtórzyć i zapewnić, że mam się dobrze. Ale robię to, co uważam za konieczne dla własnego dobra. Obecnie oznacza to życie jako Imriel nó Montrève, nie jako księżę krwi.

- Mogę wiedzieć, dlaczego? - zapytała łagodnie pani Denise.

Słyszając jej ton, niemal się rozkleiłem. Na chwilę uciekłem ze wzrokiem. Byłoby łatwo, tak łatwo powiedzieć jej wszystko - o Klaudii, o Niewidzialnej Gildii, o wszystkim. Była inteligentną kobietą i utalentowaną dyplomatą; nawet Fedra tak powiedziała. Złożenie problemu na jej barkach i schronienie się w azylu ambasady sprawiłoby mi niewysłowioną ulgę.

Ale w moim umyśle zostało zasiane ziarno wątpliwości.

Jeśli o mnie chodzi, mogła brać w tym udział, bo przecież znalazła mnie bez trudu. Jeśli Gildia istnieje i Denise Fleurais jest z nią powiązana, to zaproszenie do ambasady jest sprawdzianem, czy zdołam dochować tajemnicy. Jeśli jest niewinna, wtedy narażę ją na niebezpieczeństwo. W Tyberium ma pewne wpływy i zajmuje wysoką pozycję, ale, z drugiej strony, Terre d'Ange leży daleko.

Nie byłem pewien. Ten problem musiałem rozwiązać na własną rękę. Rezygnowanie z wolności, jaką tu zyskałem, dla płaszcza ochrony królowej, niczego nie zmieni.

Dlatego postanowiłem grać na zwłokę.

- Pani, byłaś w Menechecie, prawda? Znasz moje dzieje. - Spojrzałem jej w oczy -I znasz moje pochodzenie, jak cała Terre d'Ange. Czy możesz mnie winić, że chcę od tego odpocząć?

- Nie - odparła ze smutkiem. - Niezupełnie.

Pani Denise z wyćwiczonym wdziękiem dyplomaty pozwoliła na zmianę tematu. Rozmawialiśmy o innych sprawach, nie poruszając niczego ważnego, aż pora zrobiła się późna i nadszedł czas, by odejść. Ukłoniłem się i podziękowałem jej za gościnę.

-Jesteś miłym gościem. Powinam się tego spodziewać po przybranym synu Fedry nó Delaunay. - Uśmiechnęła się do mnie, choć twarz miała zatroskaną. - Księżę Imrielu, uszanuję twoje życzenia i twoją tajemnicę, chyba że Jej Królewska Mość nakaże co innego. Będziesz tu mile widziany o każdej porze, gdybyś chciał odwiedzić świątynię w ogrodzie. Jest do twojej dyspozycji.

- Dziękuję. To wielka uprzejmość z twojej strony, pani.

W towarzystwie Gilota opuściłem palazzo. Zeszliśmy ze Wzgórza Eskwilińskiego i wędrowaliśmy przez miasto. Gilot, spędziwszy przyjemnie czas na jedzeniu, piciu i grze w kości ze strażnikami ambasady, był w doskonałym humorze.

- Na jaja Elui! - ryknął. - Poczulem smak domu. Mieć wokół siebie ludzi, którzy wyglądają jak ty, myślą jak ty, mówią jak ty... Ach, na wszystkich bogów, to było dobre. - Wysoko trzymając pochodnię, żeby oświetlać drogę, spojrzał na mnie z ukosa. - Nie znaczy to, że nie lubię Tyberium, zauważ, ale... czy nie brakuje ci tego wszystkiego?

-Tak - mruknąłem. - Brakuje.

Ulotne wrażenie spokoju, którego doznałem w ogrodzie, już dawno przepadło bez śladu. Słuchałem jednym uchem trajkotania Gilota o ambasadzie, o ogrodach, o możliwości przyjęcia tam stanowiska, kiedy ja postanowię wrócić do Terre d'Ange. Zastanawiał się, co pomyślałaby o tym Anna, jak jej córka przejęłaby zmianę, jak on mógłby pogodzić dwa światy.

Sam miałem mętlik w głowie.

Chciałem... czego? Jedna część mojej duszy chciała wrócić do domu. Chciałem zobaczyć Alais, przytulić ją i obiecać, że będę dla niej bratem. Chciałem się dowiedzieć, kto zabiega o względy Sydonii, zwłaszcza jeśli do zalotników zaliczał się Mastin de Lombelon. Chciałem zobaczyć Fedrę i Joscelina, chciałem tak bardzo, że na samą myśl kręciło mi się w głowie. Chciałem powiedzieć im wszystko, dosłownie wszystko. Niewidzialna Gildia nie miałaby z nimi szans. Wierzyłem w to całym sercem.

A druga część chciała tylko zapomnieć.

Zapomnieć o ogrodzie, zapomnieć o pani Denise i jej d'agelińskim domu. To tylko podsycalo moją nostalgię; czyniło mnie słabym. Nie mogłem sobie na to pozwolić. Mimowolnie czy z rozmysłem, na własne życzenie wszedłem w labirynt sideł. Nie chciałem, żeby ktoś mnie z nich wyratował. Już odegrałem w życiu rolę ofiary, co zostawiło za mną szlak przelanej krwi i koszmarów. Jeden raz wystarczy.

Muszę dokonać wyboru. Mogę zakończyć romans z Klaudią i odrzucić propozycję Gildii jak Anafiel Delaunay, obiecując milczenie w zamian *za* tolerancję. Albo mogę przyjąć ich ofertę, złożyć przysięgę wierności odkryć, jakie głębsze prawdy kryją się za okrucami wiedzy, którymi kusi mnie Klaudia.

Pierwsza ścieżka oznaczała pogodzenie się z życiem w niewiedzy. To mnie irytowało. W Siovale powiadają, że zawsze warto wiedzieć jak najwięcej, i nie cierpiałem samej myśli o pozostawieniu nierozwiązanej tajemnicy, o zastanawianiu się bez końca, jakie niewidzialne siły kształtują otaczający mnie świat. A jednak Anafiel Delaunay uznał, że cena Gildii jest za wysoka. Odrzucił ofertę i, o ile wiedziałem, dochował sekretu.

Jeśli on mógł, ja też mogę.

Przynajmniej taką miałem nadzieję.

## CZTERDZIEŚCI JEDEN

---

- Za Lucjusza Tadiusza da Lukka!

Pótleżąc na tapczanie, Dekkus Fulwiusz uniósł kielich z winem, z rumieńcami na szerokiej twarzy. Wzięliśmy z niego przykład.

- Za Lucjusza! - krzyknęliśmy chórem.

-I Helenę - dodała Brygitta przed spełnieniem toastu.

Wieści przybyły z Lukki; Gaetano Correggio zgodził się oddać rękę córki Lucjuszowi. Wyznaczono datę ślubu: za jakieś sześć tygodni. Dekkus Fulwiusz postanowił wydać przyjęcie dla uczczenia tej okazji i raczył zaprosić szkolnych przyjaciół brata swojej żony, choć nie należeli do jego sfery.

Była to prawdziwa tyberyjska uczta z udziałem tancerek i tancerzy, a także aktorów z przedstawienia, które oglądałem. Panowała wesoła, lekka atmosfera i przypuszczam, że gdyby nie obecność Klaudii Fulwii, bawiłbym się wybornie.

Ale Klaudia była obecna.

Nie miałem okazji porozmawiać z nią od czasu wizyty w ambasadzie i nic nie zostało rozstrzygnięte. Jedno było pewne - jeśli miałem jakieś wątpliwości dotyczące skuteczności jej metod szkolenia, wyzbyłem się ich tej nocy. Nie miałem innego wyboru, jak zaangażować się w podwójną grę. Trudno, piekielnie trudno było przebywać z nią pod jednym dachem i udawać, że nic nas nie łączy. Kimkolwiek była, czułem jej żar. Gdy odgrywała rolę wzorowej żony senatota, ja widziałem ją w całej jej nagiej okazałości, rozłożoną przede mną niczym potrawy na uczenie,

A jednak udało mi się niczego po sobie nie okazać. Naprawdę nauczyłem się nad sobą panować.

Gości było zbyt wielu, żeby się zmieścili w jadalni. Przyjęcie odbywało się w całym domu. Wielu ludzi nie znałem - tyberyjskich patrycjuszy i polityków, a także studentów. Wymieniałem uściski dłoni i prowadziłem uprzejme rozmowy, przez cały czas świadom, że Klaudia porusza się płynnie w tłumie, podczas gdy jej mąż i brat brylują w towarzystwie. Jej nienaganne maniery mogły budzić zachwyt. Czy to dzięki długiej praktyce, czy też wrodzonym zdolnościom, wydawała się pełna godności i naturalnej swobody.

Prawie o tym zapomniałem od czasu tamtej pierwszej nocy, kiedy ja, poznałem. Teraz patrzyłem na nią innymi oczyma, zastanawiając się w jakim stopniu jej umiejętność udawania jest sprytem kobiety zdradzającej męża, a w jakim wypływa z nauki szpiegowania.

Niezależnie od tego, jak wyglądała prawda, zachowanie Klaudii ułatwiło mi wcielenie się we własną rolę - przyjaciela Lucjusza, d'angelińskiego scholara. Śmiałem się wraz ze swoimi towarzyszami, z umiarem piłem wino, z szacunkiem rozmawiałem z gospodarzem. Zacząłem się odprężyć.

I oczywiście wtedy Klaudia przypuściła atak.

Zacząło się w atrium. Rozmawiałem z kupcem, który był ciekaw Pana Cieśniny, poza Terre dd'Ange i Albą do jego istnienia podchodzi się z pewną dozą sceptycyzmu. Kupiec, którego interesowało nawiązanie bezpośrednich stosunków handlowych z crucharą Alby, zapytał mnie, czy legendy są prawdziwe.

- Tak - zapewniłem - są prawdziwe.

- Nie o to mi chodzi - powiedział, lekceważąco machając ręką.- Jestem skłonny przyjąć, że są tam niebezpieczne prądy, może groźny wir, ale chyba nie spodziewasz



się, młody panie, że uwierzę, że jest tam czarnoksiężnik z władzą nad morzami otaczającymi Albę?

Pomyślałem o Hiacyncie, z jego dziwnymi oczami, zmiennymi jak morze, schodzącego z grzebienia fali na pokład okrętu admirała Rousse.

-Wierz, w co chcesz - odparłem, słysząc we własnych słowach echo głosu Klaudii. - Ale on istnieje naprawdę.

Kupiec zwrócił się do żony:

-A ty co sądzisz?

- Proszę o wybaczenie - zaszemrała wdzięcznie Klaudia, stając między nami. Czubki jej palców spoczęły lekko na moim ramieniu. - Imrielu, czy mogę cię prosić na chwilę?

Nie czekając, aż zrobi scenę, pozwoliłem jej się odciągnąć. Zwinnym krokiem wśliznęła się do lalarium, gdzie znajdował się ołtarz domowy, zabierając mnie ze sobą.

Na stole płonęła jedna lampka oliwna, przygaszona i skwiercząca. Ledwo oświetlała woskowe maski i brązowe figurki na ołtarzu. Pomieszczenie wydawało się ciasne i duszne, w powietrzu wisiał zapach starego kadzidła. Tam, w ciemności Klaudia pocałowała mnie ze znajomym zwierzęcym pośpiechem, jej język pragnął stoczyć pojedynek z moim.

-Klaudio! - syknąłem, odsuwając jej głowę. Za otwartymi drzwiami lalarium biesiadnicy śmiali się i gawędzili, zaledwie kilka kroków dalej.

-Świat jest pełen niebezpieczeństw, Imrielu. Boisz się? - Przybliżyła się jeszcze bardziej, wsuwając pomiędzy nas rękę, żeby mnie popieścić.

Zakląłem cicho, twardniejąc pod wpływem dotyku jej palców. Wygięła usta.

- Nie wyglądasz na przestraszonego.

Przygryzłem dolną wargę i rzuciłem okiem przez ramię. Woskowe pośmiertne maski patriarchów Fulwiuszów na ołtarzu odpowiedziały spojrzeniem. W migotliwym blasku lampki cienie pełgały po woskowych obliczach, zmieniając ich wyraz. Z martwych oczu wзираła dezaprobata. Opodal przepłynął prąd zimnego powietrza. Pomyślałem o Lucjuszu i zadrzałem.

„Lary Fulwiuszów nie zrobią ci krzywdy...”.

Tak powiedział mu Dekkus i być może nie mijał się z prawdą, ale nie sądziłem, by jego przodkowie byli zadowoleni z mojej obecności w swoim sanktuarium, z językiem jego żony w moich ustach i jej dłonią w moim kroczu.

-Nie tutaj - powiedziałem stanowczo, odsuwając jej rękę. - Nie. Przez straszną chwilę myślałem, że Klaudia nie ustąpi, i nie wiem, co tym wtedy zrobił. Ale nie, odsunęła się z rozbawieniem w oczach.

- W takim razie później.

Zaczekałem, aż wyjdzie, i wówczas odwróciłem się w stronę ołtarza i ukloniłem nisko. Ponieważ nie miałem pojęcia, jak należy się zwracać do tyberyjskich bogów ogniska domowego, powiedziałem tylko:

- Wybaczcie mi, nie chciałem okazać braku szacunku.

Czując między łopatkami martwe, woskowe spojrzenie lar Fulwiuszów, wyszedłem z ich komnaty. Całe moje z trudem zdobyte opanowanie legło w gruzach. Może właśnie o to chodziło Klaudii, może taki był tego cel.

Jeśli jednak była to kolejna trudna lekcja, zamierzałem się wymigać i do czasu zakończenia tego ambarasu miałem zamiar unikać Klaudii

- Lucjusz, przyjacielu. - Nie pytając o pozwolenie, usiadłem przy nim na leżance i przemówiłem doń z niecodzienną spontanicznością. -Uczcijmy twoje zaręczyny i upijmy się w sztok.

Spojrzał na mnie ze zdumieniem.

- Dobrze.

Osiągnęliśmy zamierzony skutek z nadzwyczajnym powodzeniem.

Nazajutrz zbudziłem się z bólem głowy, z wrażeniem waty w ustach i z mglistymi wspomnieniami, jak zakończyłem noc z *EAMONNEM*, maczając się na ulicach Tyberium i śpiewając eirańskie piosenki biesiadne. Uśmiechałem się, dopóki nie przypomniałem sobie zmęczonej, stoickiej twarzy sługi Fulwiuszów, który nam towarzyszył, żeby oświetlać drogę. Wtedy poczułem ciężar mojej hipokryzji i westchnąłem.

Przespałem wykład mistrza Piera, ale po południu zdołałem dowlec się do pracowni Erytei, uważając to za swego rodzaju ponurą karę. Przynajmniej w tym pożałowania godnym stanie łatwiej mi będzie spotkać się z Klaudią bez lęku, że wciągnie mnie w długotrwały romans. Eryteja spojrzała na mnie i przewróciła oczami.

- Na Ajakcha! Wyglądasz jak wyskrobany z dna beczki po winie -stwierdziła. - Może to nie takie złe. Rozbierz się i siadaj.

Posłuchałem.

W tym czasie byłem już dobry w pozowaniu. Wziąłem winogrona, rozłożyłem się w fotelu, przerzucając nogę przez poręcz, i zastygłem w bezruchu. Prawdę powiedziawszy, lubiłem obserwować Eryteję przy pracy. Było w tym coś pięknego, w tym czy-

stym, głębokim skupieniu, i było coś strasznego. Patrzyłem na nią, gdy malowała z nieobecny, a zarazem urzeczonym wyrazem twarzy, spoglądając na mnie jakby drugim wzrokiem. Widziałem taką minę u Fedry.

Widziałem w Daršandze.

I na wyspie Kaporet, gdy wyszła ze świątyni z Imieniem Boga drżącym na czubku języka, otoczona nieznośną jasnością.

Widziałem, ulotną i nieuchwytną, gdy rankiem wróciłem z Domu Waleriany i pokłóciłem się z nią. Trzymałem ją za rękę, mocno, i czułem, jak puls przyśpiesza pod moimi palcami. Widziałem szkarłatną cętkę w jej tęczówce, dręczące wyzwanie.

Od wielu miesięcy starałem się nie dopuszczać do siebie tych wspomnień.

A jednak teraz, co dziwne, nie uderzyły mnie niczym pięść w brzuch. Jesteśmy, jacy jesteśmy, Imrieli".

To prawda. Ona zdołała się przed tym obronić, podobnie jak ja. Zgoda, zwymiotowałem na podłogę, ale się udało. Rozumiała Fedra i Joscelin też. Choć nie mogłem nic poradzić na swoje żądze, nie byłem ich bezsilnym niewolnikiem. Miałem wolność wyboru. Teraz to także zrozumiałem. I w dziwny sposób byłem wdzięczny za to Klaudii.

Eryteja z Trastos odsunęła się i spojrzała na sztalugi.

Skinęła głową - raz, drugi i trzeci - po czym odłożyła paletę i pędzel.

- Skończone - powiedziała. - Chcesz zobaczyć?

Byłem zagubiony we własnych myślach i dopiero po chwili jej słowa nabrały dla mnie sensu. Wstałem, zeszywniały, owinąłem się w talii purpurowym materiałem i podszedłem, żeby spojrzeć na obraz.

-To ja? - zapytałem.

-Tak - odparła.

To dziwne - takie dziwne! - oglądać swój portret. Przekrzywiłem głowę, przypatrując się obrazowi. Patrzyła na mnie moja twarz, rozleniwiona i drapieżna, z wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi i ospałym spojrzeniem. Zmysłowe usta i zdecydowane brwi. Kompendium kontrastów. Pomacałem twarz palcami, próbując doszukać się podobieństwa.

- Czy ty w ogóle wiesz, jak wyglądasz? - zapytała Eryteja z zaciekawieniem.

- Nie - mruknąłem. - To znaczy, tak, tylko... - Pokręciłem głową. -Niecześnie spoglądam w lustro. To długa historia.

Drzwi się otworzyły i weszła Klaudia Fulwia.

- Pani Fulwio. - Eryteja skłoniła głowę, witając ją oficjalnie. - Z przyjemnością powiem, że twoje zamówienie zostało ukończone.

- Wybornie. - Klaudia spojrzała na obraz. - Bardzo ładny. Wspaniały. Przecho-  
wasz go dla mnie, Erytejo? Nie mam czasu. - Chwyliła mnie za nagie ramię i nie było  
w tym niczego zabawnego ani zmysłowego. Imrielu, czy byłeś dziś rano na  
wykładzie?

- Nie. - Zmarszczyłem czoło. - A dlaczego pytasz? O co chodzi? Westchnęła.

- Czy możemy porozmawiać na osobności?

Artystka uniosła brwi, ale powstrzymała się od komentarza. Skinęła ręką na ucznia i  
razem wyszli na zewnątrz.

- Klaudio, musimy porozmawiać... - zacząłem.

- Słuchaj. - Klaudia ścisnęła moje ramię. - Przepraszam, Imrielu, ale nie ma czasu.  
Chcę, żebyś dzisiaj wraz ze swoimi przyjaciółmi nie błąkał się po ulicach. W dzielnicy  
studentów nie będzie bezpiecznie. Wbiłem w nią wzrok.

- Dlaczego?

- Ponieważ - zaczęła ponuro - ponieważ dziś rano jeden z bardziej zapalczywych  
spiskowców Dekkusa postanowił zwrócić się do senatu żeby wydano dekret znoszący  
wsparcie finansowe dla uniwersytetu. A po południu konsul zgromadzenia obywateli  
wstał i przyznał mu rację. Studenci wzniecą zamieszki.

- Wznieceą? - Czuję się jak idiota. - Wzniecimy? Klaudia obrzuciła mnie zniecier-  
pliwionym spojrzeniem.

- Na to się zanoszą. Wzniesienie zamieszek jest jedną z najłatwiejszych rzeczy pod  
słońcem. Kiedy poleje się krew, zgromadzenie obywateli będzie musiało dać za wy-  
graną, a nie ma na to ochoty. Po prostu posłuchaj mojej rady. Znajdź swoich przyjaciół  
i przekonaj ich, żeby się nie wychylali i trzymali z daleka od kłopotów. - Jeszcze raz  
ścisnęła moją rękę. - I pamiętaj, ufam ci na tyle, żeby cię ostrzec.

Była to inna Klaudia, taka, jakiej nigdy wcześniej nie widziałem, i mówiła ze śmier-  
telną powagą. Pokiwałem głową i sięgnąłem po schludnie ułożone ubrania, z talizma-  
nem Canisa na wierzchu. Zawiesiłem go na szyi i zacząłem się ubierać.

- Rozumiem.

- Grzeczny chłopiec. - Obdarzyła mnie szybkim pocałunkiem. - *Później przyślę  
ci wiadomość.*

Udało mi się opuścić pracownię Erytei bez Sylwia. Chciałem poruszać się szybko i przypuszczałem, że gdyby doszło do kłopotów, to byłby większą zawadą niż pomocą. W wytwornej okolicy, gdzie znajdowała się pracownia Erytei, panowała cisza i spokój, ale gdy dotarłem do gęstego labiryntu dzielnicy studenckiej, wyczułem narastający niepokój.

Wszystkie winiarnie i gospody pękały w szwach. Ludzie stali w grupach na ulicach i dyskutowali, jak wcześniej na Starym Forum, gdy **ponifex** i edyl sprzeczali się na trybunie. Teraz jednak było inaczej. Słyszałem brzydką nutę, niski pomruk gniewu. Czuję go na skórze.

- Imriel! - zawołał Canis, siedzący ze skrzyżowanymi nogami na beczce. - Interesujący dylemat, prawda? - Ciemne oczy skrzyły się w brudnej twarzy. - Sam zawsze uważałem, że mądrość jest darmowa, więc nie ma potrzeby, żeby państwo finansowało jej poszukiwanie. A jednak, gdy kabzy nielicznych pęcznieją, mądrość wielu się kurczy. Jak sądzisz?

- Sądzę, przyjacielu, że może powinienes wtoczyć beczkę na podwórze i tam spędzić noc - odparłem. - Canisie, wiesz, czy jest tu Gilot?

-Martwisz się o mnie! - zawołał z promiennym uśmiechem. - Jak miło. Nie, nie ma, godzinę temu wyszedł na targ ze swoją przyjaciółką i jej córką. Wcześniej wróciłeś - dodał.

- Wiem. Wiesz, na który targ? Wzruszył ramionami.

-Nie.

Z przekleństwem na ustach rzuciłem się na poszukiwanie Gilota. Po drodze wstępowałem do każdej mijanej winiarni, wypatrując Eamonna, Lucjusza i wszystkich innych wartych ostrzeżenia.

Wszędzie słyszałem stopniowo podnoszący się pomruk wrogości. Studenci dyskutowali zapalczywie, niektórzy wciąż w strojach scholarów. W większości przypadków kłócili się między sobą, ale widziałem też, że inni kłócą się ze sklepikarzami i rzemieślnikami - członkami tyberyjskiego zgromadzenia obywateli, które poparło dekret. Niektóre głosy, donośniejsze niż inne, wyrażały oburzenie z oratorskim talentem. Odpowiedzi obywateli zaczynały brzmieć nerwowo i niepewnie.

Mistrz Strozzi, rzekomy członek Niewidzialnej Gildii, nauczał retoryki. Klaudia nazywała go starym samochwałą, ale może jego umiejętności nie były zupełnie bezużyteczne.

„Wzniesienie zamieszek jest jedną z najłatwiejszych rzeczy pod słońcem”.

To nie były zamieszki, jeszcze nie. Ale czułem przybór gniewu, a wraz z nim mojej wiary w potęgę Niewidzialnej Gildii. Niecierpliwiłem się, pragnąc jak najszybciej znaleźć przyjaciół i zabrać ich z ulic w bezpieczne miejsce.

Spieszyłem na najbliższy targ w podcieniach Wielkiego Forum. Choć jeszcze godzina została do zachodu słońca, przekupnie dobijali ostatnich targów i zwijali manatki. Przebijałem się przez zaniepokojone tłumy, złożone głównie ze zbitych w stada gospodyń. Na samym forum gromadnie wałęsali się studenci, wyśpiewujący buntownicze pieśni. Falanga kohort) miejskiej czekała w pogotowiu, czujna i uzbrojona, ale mniej liczna niż mieszkańcy.

- Gilot! - W końcu go wypatrzyłem i odetchnąłem z ogromną ulgą. Pomachałem ręką. - Gilot!

- Imri! - Ruszył ku mnie przez tłum, prowadząc Annę i niosąc na ramieniu jej córkę Belinę. Dziecko miało szeroko otwarte, przestraszone oczy, podobnie zresztą jak matka. - Co tutaj robisz?

- Szukam was - odparłem. - Chodź, wynośmy się z ulic. Robi się paskudnie .

Gilot też musiał być zaniepokojony, bo nawet nie zbeształ mnie za samotną wędrówkę po mieście. W tym czasie rozsierzeni studenci i nerwowi obywatele dosłownie korkowali ulice. Powrót do insuli zabrał nam dużo czasu i nie raz musieliśmy się przepychać. Kiedy wreszcie dotarliśmy na miejsce, z zadowoleniem zobaczyłem, że Canis, choć nie przetoczył beczki, przezornie zniknął z okolicy.

- Na Eluę! - Na podwórzu Gilot postawił Belinę na ziemię i otarł pot z czoła. - Na siedem piekieł, o co w tym wszystkim chodzi?

- Polityka - odparłem krótko. - Widziałeś Eamonna albo Lucjusza? -Nie. - Zmierzył mnie wzrokiem. Mała Belinda czepiała się jego

nogi, podczas gdy Anna stała obok, przyciskając do piersi zwój zielonej tkaniny. - Imrielu, chyba nie zamierzasz wyjść na ulice.

- Są moimi przyjaciółmi.

Wymieniliśmy długie, twarde spojrzenie. Skończyło się tym, że Gilot przewrócił oczami. Potrafiłem być uparty, gdy chciałem, on zaś znał mnie

dość dobrze, żeby wiedzieć, kiedy ustąpić pola.

- Zostań u siebie - polecił Annie - i zarygluj drzwi. Wrócimy, ani się obejrzysz.

- Nie musisz iść - powiedziałem.

-Ale idę - odparł Gilot.

Pocałował Annę na pożegnanie, pochylił się i pocałował Belindę. Potem ruszyliśmy razem wąskim przejściem do bramy i wróciliśmy na ulicę. Zaczynało się.

Rozmyślałem o wykładzie mistrza Piera, gdy szukaliśmy przyjaciół, o tym pierwszym wykładzie, którego wysłuchałem. Miałem okazję zobaczyć na własne oczy funkcjonowanie umysłowości grupy. Tłumem można kierować równie łatwo, jak stadem gołębi, którym rządził mistrz Piero, rozrzucając ziarno. Gniew studentów był kształtowany, kierowany przeciwko obywatelom Tyberium. Tu i ówdzie dochodziło do utarczek. Młodzi ludzie z pochodniami łakomie popatrywali na zamknięte sklepy, zachęcając się wzajemnie. Strażnicy z kohorty miejskiej bez powodzenia próbowali przywrócić porządek, przytłoczeni samą liczbą uczestników zamieszek.

-Na Eluę! - rzucił Gilot gorączkowo. - Ta dzielnica stanie w płomieniach niczym wiązka chrustu. - Wiem - mruknąłem.

Po jakimś czasie znaleźliśmy naszych przyjaciół. Tak jak się spodziewałem, siedzieli w winiarni, w tej, w której zwykle lubiliśmy przesiadywać, ze spłowiałym szyldem z wizerunkiem Bachusa. Tego wieczoru zajrzałem tam już dwa razy. Byłoby lepiej, gdybym po prostu zaczekał.

Przyciągnęły nas krzyki, dwa głosy podniesione w słownym pojedynku.

Jeden z nich znałem.

-To Lucjusz - powiedziałem, wbijając się do zatłoczonego wnętrza.

Znalazłem Lucjusza w dobrym zdrowiu - z twarzą rozjaśnioną żywym intelektem, kłócił się z drągałem w szatach scholara. Eamonn też tam był; stojąc plecami do ściany, z bojową miną i uśmiechem obserwował rozwój wypadków. Towarzyszyła mu Brygitta, równie bojowa, ale nie radosna, z dłonią na rękoności sztyletu. Klienci winiarni przezornie odstępili, robiąc im miejsce, tłocząc się w półkolu. Szynekarza nigdzie nie było widać.

-Jest powód - krzyknął Lucjusz - dla rządów prawa!

-O tak! - warknął jego oponent. - Pokazać takim jak ja, gdzie nasze miejsce!

-Czy posłuchasz, idioto? Nie można przemocą przyspieszyć pędu do wiedzy. To nieetyczne!

Zacząłem przesuwając się bokiem przez tłum, z Gilotem za plecami, skupiony na wydostaniu z tego miejsca przyjaciół. Nie sądzę, by w pełni zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji.

-A co go to obchodzi? - Nowy głos dołączył do wymiany zdań, chłodny i pogardliwy. Rozejrzałem się i zobaczyłem kolejnego odzianego w togę, scholara, który wskazywał na Lucjusza. Miał ostre rysy i spokojne oczy pod ciężkimi powiekami. - Jest

skoligacony przez siostrę z Dekusem Fulwiuszem, a do tego bogaty i stanie się jeszcze bogatszy. Ma w nosie uniwersytet.

Drągał zamrugał i jeszcze bardziej poczerwieniał.

- To prawda?

- Och, proszę! - parsknął Lucjusz z oburzeniem. - Dekkus nie ma z tym nic wspólnego!

- On kłamie - rzucił z wyższością nowy scholar. - Wszyscy wiedzą, że stoją za tym restauratorzy, i wszyscy wiedzą, że za nimi stoi Dekkus Fulwiusz.

Odpowiedziały mu pomruki. Fala umysłowości grupowej zaczęła się zwracać przeciwko Lucjuszowi. Klaudio, pomyślałem, twoja Gildia podejmuje kolosalne ryzyko, wypuszczając z butelki demona zamieszek Łatwo zacząć, trudno opanować. Powinnaś najpierw pomyśleć o ochronie swojego brata, nie mnie. Twoje sieci nie są tak ciasno utkane jak każesz mi wierzyć.

- Imri! - Eamonn powitał mnie, gdy do niego dotarłem. Z radością zatarł ręce. - Cieszę się, że jesteś. Chyba zanosi się na bijatykę.

- Tak - odparłem. - A my nie bierzemy w niej udziału. Chodź, wynośmy się stąd.

- Dlaczego? - Spojrzał na mnie ze zdumieniem.

Za późno, już było za późno. Straciłem ostatnią wymianę jadowitych komentarzy, ale usłyszałem ryk, gdy wielki scholar rzucił się na Lucjusza, popychając go na ścianę. Rozległ się głośny huk i stęknienie, z jakim powietrze uciekło z płuc Lucjusza.

Okręciłem się bez jednej myśli, prawą ręką wyciągając sztylet. Mocno walnąłem głowicą w postawę czaszki wielkiego wołu. Przewrócił oczami kolana się pod nim ugięły i powoli osunął się na podłogę.

- Dzięki! - wycharczał Lucjusz.

- Zdrajcy! - Był to nowy głos, przenikliwy i zatrwożony. Bez oglądania się za siebie wiedziałem, że krzykacz wskazuje na nas. - Zdrajcy!

- To nie koniec - mruknąłem do Lucjusza. - Musimy się stąd wynosić, szybko.

Pokiwał głową, oczy miał szeroko otwarte i przestraszone.

- Cokolwiek każesz.

- Gilot, Eamonn! - Podniosłem głos. - Montrève, do mnie! Usłyszałem głos Gilota, czysty i dźwięczny w panującym zgiełku.

- Montrève!



I huczący w winiarni śmiech, z jakim Eamonn powtarzał zawołanie.

- Montrève i Dalriadai. Tak, i Skaldia!

Pięściami i łokciami torowaliśmy sobie drogę do drzwi. Nie było miejsca, żeby dobrać miecza, a zresztą wołałem tego nie robić. Nie chciałem przelewać krwi, chyba że okaże się to absolutnie konieczne. Joscelin mi przykazał, żebym nie ryzykował, ale Joscelin nigdy nie uczestniczył w zamieszkach, podczas których nie można rozpoznać niewinnych i winnych.

Przypuszczam, że bez Eamonna znaleźlibyśmy się w pułapce. Parł przez tłum, nie bacząc na własne bezpieczeństwo, rozrzucając ludzi jak bierki. Czułem dziki uśmiech, który rozciągał mi usta, gdy podążałem za nim. Brygitta uczepliła się go jak rzep, a ja odpychałem ręce do niej sięgające, z Lucjuszem i Gilotem za plecami. Gilotowi udało się wyciągnąć miecz i szedł tyłem, odstraszać pościg, gdy wypadliśmy na ulicę.

Taktyka sprawdzała się przez kilka uderzeń serca.

Z początku nie były to nawet bijatki, tylko napierający na siebie, przepychający się i przeklinający tłum. Zbyt wielu ludzi przebywało na ulicy, zbyt wielu wylewało się z winiarni. Tłum reagował w odpowiedzi na siły, których nie byłem w stanie wypatrzeć. Nie mogłem się ruszyć, ręce miałem przyciśnięte do boków. Nie mogłem podnieść sztyletu. Ciała, zewsząd napierające ciała. Pochodnie rozświetlały noc, ale trudno było cokolwiek zobaczyć. Nic, tylko mignięcia ubrań, fragmenty twarzy. Każdy, kto upadł, miał zostać stratowany, a trudno było utrzymać się na nogach w rozkołysanym, falującym ścisisku.

Ogarnęła mnie panika i stwierdziłem, że nie mogę oddychać. Już nie widziałem przed sobą Brygitty. Nie miałem pojęcia, czy Lucjusz jest za mną, nie mogłem nawet odwrócić głowy. Dostałem łokciem w żebra. Ktoś mocno nastąpił obcasem na palce mojej stopy, mocno i rozmyślnie. Podskakiwałem z bólu, gdybym mógł. W panującym tłoku tylko się pochyliłem. Poczulem czyjaś stopę pod lewym kolaniem i noga się pode mną ugięła.

Gilot gdzieś wykrzykiwał moje imię.

-Imri, Imri!

Po chwili przestałem go słyszeć. Ktoś go dopadł, uciszył. A ja straciłem równowagę. Kłębiący się tłum przypominał mroczną falę, grożącą wciągnięciem mnie pod siebie. Nie mogłem uwolnić lewej stopy, nie mogłem popłynąć z falą, choć powinienem. Ktoś uderzył mnie pięścią w wygięty kręgosłup. Po chwili padł kolejny cios, potężny jak walnięcie młotem. Bezradny i wściekły, byłem bliski upadku.

Usłyszałem nad sobą stłumiony głos:

- Mam ci powiedzieć, że to za Baudoina.

Zadygotałem, zdjęty przerażeniem. Miałem do czynienia z czymś więcej niż akt przypadkowej przemocy, ktoś chciał *MNIE* skrzywdzić. Jeśli upadnę, nigdy się nie podniosę w jednym kawałku. Ciało, wszędzie wokół, miotające się, tratujące, kłębiące. Za mało powietrza, nie ma czym oddychać. Tylko obce ciała, wszystkie chętne wycisnąć ze mnie życie. Mój napastnik miał setki niczego nieświadomych współników. Nie widziałem twarzy, tylko plecy i pośladki, nogi i tratujące stopy. Przed oczami miałem zbliżające się niewyraźne kocie łby ulicy.

*I* gdzieś tam czyhał na mnie anonimowy wróg. Klaudia próbowała mnie ostrzec, lecz zrobiła to nie dość przekonująco.

Głupi, pomyślałem, gdy upadłem, wciąż trzymając bezużyteczny sztylet w ręce przyciśniętej tułowiem. Może gdybym miał szczęście, upadłbym na sztych i położył kres mojej głupiej egzystencji. Powinienem wyciągnąć oba sztylety, powinienem wywalczyć sobie drogę. Co z tego, jeśli przeleje krew niewinnych? Mógłbym szukać azylu w d'angelińskiej ambasadzie.

Głupi, głupi, głupi. Jaka głupia śmierć.

Gdzieś za mną rozległ się udreńczony krzyk bólu, potem następny. Tłum się przesunął i nacisk zmalął, zrobiło się miejsce, zyskałem odrobinę wolnego miejsca. Odechnąłem chrapliwie, podniosłem się i mocno szarpnąłem lewą nogę. Zdołałem ją uwolnić, ale ostry ból przeszył kostkę i niemal padłem na twarz. Wymachiwałem rękami, próbując stanąć pewnie na nogach, zanim wróg znów zaatakuje, wciąż byłem w poważnych tarapatach.

- Montrève! - Lucjusz przemknął pod wyciągniętą ręką. Z obłędem w oczach złapał mnie za nadgarstek, pomagając mi odzyskać równowagę. - Daj mi sztylet!

Dałem, wyciągając drugi z pochwy przy cholewie buta.

- Za mną! - krzyknąłem. - Kto tam jest? Lucjusz pokręcił głową.

- Nieważne! Wynośmy się stąd!

Stanęliśmy ramię w ramię i wywalczyliśmy sobie drogę, dźgając sztyletami, gdy nie wystarczały groźby. Słyszałem krzyki bólu i miałem to gdzieś; ważne, że ludzie się usuwali. Ktoś miał mniej szczęścia niż ja. Dwa razy potknąłem się o leżących i szedłem dalej, starając się na nikogo nie nastąpić, rozpaczliwie łaknąc powietrza. Nim dotarliśmy na obrzeże tłumu, niemal się dusiłem.

I w końcu powietrze, błogosławione powietrze.

Zgiąłem się wpół, wspierając ręce na kolanach, i oddychałem głęboko.

- Co tak długo? - zapytał Eamonn, z bojowym uśmiechem wciąż przylepionym do twarzy. Wyciągnął swój dalriadzki długi miecz i nikt nie śmiał się zapuścić w obręb

jego zasięgu. U jego boku stała Brygirta, ze sztyletem w ręce, z twarzą rozświetloną przez zacieklą skaldyjską dumę. Księżę Barbarus i jego panna-tarcza.

Wciąż pochylony, spojrzałem na niego gniewnie.

- Ktoś chciał mnie zabić.

-Jasne! - zgodził się. - Tam jest niezły magiel. Nie miałem czasu na wyjaśnienia.

- Gdzie Gilot?

Na twarzy Eamonna odbiła się trwoga.

- *Dagda Mor!*

- Oślaniajcie mnie - poleciłem.

I tak wróciliśmy po Gilota. Dałem mój miecz Lucjuszowi w zamian za drugi sztylet i kazałem chronić Brygittę. Skinął głową, a ona na szczęście nie protestowała. Rzuciłem się z Eamonnem w ciżbę. Chciałem zidentyfikować mojego napastnika, ale przecież nie widziałem jego twarzy. W tym czasie przybyły posiłki kohorty miejskiej i rozbiły tłum na grupy. Żołnierze wymierzali karę wszystkim, tłukąc płazami mieczy zarówno uczestników zamieszek, jak i gapiów.

-Gilot!

Rozpoznałem go, nawet w takim stanie. Bezwładna dłoń otaczała rękojeść miecza, piękny d'angeliński profil rysował się na tle bruku, posiniaczony i opuchnięty. Powalono go na ziemię. Jeden z napastników ciągnął jego stopę, szykując się do wymierzenia kopniaka w żebra. Rozpoznałem go, był w winiarni. Podżegacz, scholar o ostrych rysach.

-Nie! - Dopadłem go w okamgnieniu, skrzyżowałem sztylety na jego gardle. Opadła mnie zimna, czysta furia. Napałem na niego, pierś w pierś, blisko jak kochanek. - To byłeś ty? - zapytałem cicho. - Tobie kazano powiedzieć „to za Baudoina”?

Zadrzał.

- Nie wiem, o co ci chodzi!

-Nie? - Przyjrzałem mu się uważnie. Głos miał piskliwy ze strachu. Nie ten głos słyszałem, nie on wymamrotał słowa. - Ty to sprowokowałeś. Jeśli Gilot umrze wskutek pobicia, nie łudź się, znajdę cię i zabiję.

Widziałem strach w jego oczach. Wysoko unosił brodę, jak najdalej od sztyletów, i trząsał się z przerażenia, i widok jego strachu był słodki.

Jednym szybkim, posuwistym ruchem zabrałem oba ostrza, znacząc jego szyję płytkimi nacięciami. Krzyknął, poderwał ręce do gardła.

- Przeżyjesz - prychnąłem z pogardą. - Wynoś się stąd.

Uciekł co sił w nogach, wciąż trzymając się za szyję, z krwią ciekącą pomiędzy palcami.

Choć chciałem ich przesłuchać, Eamonn rozpedził innych. Stał nade mną, gdy uklą-  
kłem przy Gilocie, i nawet kohorta miejska zrobiła nam miejsce.

Gilot. - Przyjrzałem mu się, skrzywiony ze współczucia. W nikłym blasku pochod-  
ni widziałem rozkwitające siniaki. Usta miał pokryte skorupą krwi, powieki zatrważa-  
jąco spuchnięte. Potrząsnąłem jego ramieniem, lekko, z obawy, że go skrzywdzę. - Gi-  
locie, słyszysz mnie? Jęknął, uchylił jedną opuchniętą powiekę.

- Imri?

- To ja. - Moje serce podskoczyło z ulgi. - Jesteś ranny? Możesz chodzić

- Chyba tak. - Z moją pomocą Gilot usiadł, po czym zakaszłał i wypluł krew. - Żebra  
- wymamrotał z grymasem. - I prawa ręka. Jakiś drań na nią nadepnął. Ale chyba mam  
w niej władzę. - Pomacał twarz lewą dłonią. - Nie widzę. Oślepiłem?

- Nie. - Wsunąłem ręce pod jego ramiona. - Chyba nie. Chodź, zaprowadzimy cię do  
domu.

Z pomocą Eamonna podniosłem Gilota z ziemi. Wyjęliśmy miecz z jego połamanej  
prawicy, zabraliśmy go do Lucjusza i Brygitty. Tłum się rozprasał, uczestnicy zamie-  
szek rozbiegali się po ulicach. Eamonn prowadził, ostrożny i czujny, już bez uśmie-  
chu. Skręcona kostka bolała mnie jak diabli, dokładałem wszelkich starań, żeby nie  
utykać pod ciężarem Gilota.

Brygitta sapnęła głośno na widok jego poobijanej twarzy.

- Nic mu nie jest?

- A jak myślisz? - zapytałem ponuro.

- Imri - mruknął Eamonn.

- Przepraszam - burknąłem. - To tylko... to moja wina. Nie powinno go tu być.

- Nikogo z nas nie powinno tu być. - Lucjusz, wciąż trzymając mój miecz, zadygo-  
tał. - Miałeś rację, Montrève. Wynośmy się stąd.

Nasza insula była najbliższym schronieniem, więc tam się udaliśmy. Droga ciągnęła  
się w nieskończoność. Każdy krok sprawiał, że ostrze bólu przeszywało mi kostkę.  
Najgorsze przeminęło, ale do końca zamieszek było daleko. Studenci wałęsali się po  
ulicach, zmykając na widok kohorty. Nikt nie śmiał do nas podejść, ale od czasu do

czasu widzieliśmy potyczki. Niepodobna było powiedzieć, kto walczy ani dlaczego. I wciąż płonęły pochodnie.

Ze wszystkich możliwych niebezpieczeństw to było najgorsze. Gilot miał rację, dzielnica studencka była zbudowana z drewna i glinianych cegieł, z materiałów tanich i łatwo dostępnych. Jeśli gdzieś wybuchnie pożar, z całej dzielnicy pozostaną zgliszcza.

Byliśmy blisko domu, gdy zagrożenie przyjęło realną formę.

Zobaczyłem dwóch mężczyzn przed sklepem wytwórcy kadzideł. Jeden dźwignął porzuconą beczkę Canisa i rzucił nią w okiennice, gdy drugi patrzył, z pochodnią w ręce. Okiennice pękły z głośnym trzaskiem i na ulicę wypłynął niepasujący tu w tej chwili zapach drzewa sandałowego i mirry.

- Zrób to! - Ten, który rzucił beczką, śmiał się. Był pijany. - Tak, zrób to, Renzo! Czemu nie? Niech kupiec zapłaci za swoją lojalność wobec zgromadzenia obywateli. Czujesz? Bogowie nigdy nie dostali takiej daniny!

Drugi poderwał rękę z płonąca pochodnią.

- Myślisz?

Nagle wydało się, że nie ma czasu i że jest - cały czas świata. Czulem, jak Gilot reaguje na ich słowa, i odgadłem jego myśli, jasne jak dzień. Anna. Belinda. Insula, hubka. Zobaczyłem, że Eamonn rusza z nagim mieczem w dłoni. Wiedziałem, że jest za wolny, że jest za daleko.

Zgięta ręka uniesiona nad głowę. Płomień i iskry strzelające w noc.

Strzęp opowieści poety, rzut niemożliwy. Tam w Świątyni Aszery, gdzie moja matka znalazła schronienie. To samo działo się tutaj.

Gos szkolącego mnie Joscelina. „Jeszcze raz. Jeszcze raz. Jeszcze raz”.

-Bierz go! - krzyknąłem, pchając bezwładne, ciężkie ciało Gilota w stronę Lucjusza. Już biegłem, wyrywając z pochwy sztylet, nie zwracając uwagi na ból, jakiego doznawałem przy każdym kroku. - Eamonn! - wrzasnąłem. - Z drogi!

Uskoczył, chwiała mu za to.

Szepecząc modlitwę, podrzuciłem sztylet w powietrze, chwyciłem za czubek. Stal była śliska, jak spocona. Robiłem to wcześniej, robiłem tyle razy. Joscelin mnie nauczył, kazał mi ćwiczyć. Trafiałem w cel z piętnastu kroków. Tu było dalej. Znacznie lepiej radziłem sobie w walce na miecze. Ale nie było czasu, już nie.

Podniesiona ręka zaczęła rysować łuk. Rzuciłem.

Rzut był mocny. Sztylet koziółkował w powietrzu, połyskując w świetle pochodni. Przeszył grzbiet dłoni, przyszpilając ją do trzonka pochodni. Mężczyzna wrzasnął i potrząsał ręką, próbując ją uwolnić, płomień pochodni tańczył dziko.

- Po trzykroć przeklęty idioto! - Rzuciłem się na niego, pchnąłem go na ziemię. Przetoczyliśmy się po bruku. Palący ból przeniknął moje ramię, pochodnia zgasła. Poczulem smród spalonej wełny i swąd przypalonego ciała. Słyszałem tupot stóp jego kamrata, który umykał w popłochu. - Wiesz, kim jestem? Wiesz?

Wykrztusił słowa zaprzeczenia, płacząc ze strachu. Wyrwałem sztylet z jego ręki, a on zawył, krew wezbrała w głębokiej wąskiej ranie.

- Idź - poleciłem z pogardą w głosie. - Uciekaj. Uciekł, pochlipując.

Położyłem się na plecach i patrzyłem, jak nadbiegają moi towarzysze, Gilot, ślepy i utykający, wsparty na Lucjuszu. Brygitta, nieufna i czujna. Eamonn, wyciągający do mnie dłoń. Pozwoliłem mu podnieść się na nogi.

- Do insuli - powiedziałem, słaniając się na nogach.

## CZTERDZIEŚCI DWA

---

Gilot był w strasznym stanie.

Eamonn zgłosił się pierwszy, by pełnić straż przy bramie, a ja posłałem Brygittę po Annę Marzoni. W insuli nikt nie spał, wszyscy byli zdenerwowani, wiele osób z kulbami w rękach krążyło wokół studni na podwórzu. Każdy rozumiał, jakie niebezpieczeństwo niesie ogień.

Anna przybiegła, prowadząc starszą kobietę, która przez lata asystowała medykowi. Położyliśmy Gilota na sienniku, zapaliliśmy w izbie lampki oliwne. W ich migotliwym świetle kobiety rozebrały go ostrożnie. Tors miał posiniaczony, prawą rękę spuchniętą.

- Na Jupitera! - Lucjusz miał taką minę, jakby zrobiło mu się niedobrze. - Co on tam robił?

- Próbował mnie chronić - mruknąłem.

Było to koszmarne uczucie. Belinda, córka Anny, czepiała się spódnicy matki, ze strachem w szeroko otwartych oczach, z kciukiem w buzi.

Patrzyłem, bezradny, jak starsza kobieta - miała na imię Nonna - ostrożnie zmywa skrzepniętą krew z twarzy Gilota. Owiązała mu żebra pasami czystego płótna i unieruchomiła złamaną rękę, przywiązując ją do deszczułki.

-Nie zdołam nastawić kości, młody panie - powiedziała, wskazując jego rękę. - I nie jestem pewna, czy nie ma przebitego płuca. Nie podoba mi się jego oddech. Kiedy zrobi się bezpiecznie, zabierz go do świątyni Asklepiosa. Wiesz, gdzie?

-Tak. - Przypomniałem sobie wyspę pośrodku Tybru. - Pomogą mu?

Wzruszyła ramionami.

-O ile w ogóle można mu pomóc. A co z tobą?

-Nic mi nie jest.

Lucjusz uniósł głowę.

-Nie bądź osłem, Montrève.

Tak więc musiałem ścierpieć zabiegi Nonny. Zdjęła mi koszulę i obejrzała oparzenie na ramieniu. Posmarowała je maścią i owiązała czystym płótnem. Spróbowałem ściągnąć but z lewej stopy, ale kostka mi spuchła i nie chciał zejść. W końcu Lucjusz musiał go przeciąć. Klęczał na podłodze, ostrożnie trzymając moją nogę, i piłował skórę jednym z moich sztyletów.

-Przepraszam - mruknął, gdy syknąłem z bólu. Skrzywił kącik ust. -Niezupełnie tak sobie wyobrażałem rozbieranie ciebie. Na przekór wszystkiemu parsknąłem śmiechem.

-Już.

Lucjusz ściągnął resztki buta i jego miejsce zajęła Nonna, delikatnie obmacując kostkę palcami, przekręcając moją stopę w jedną i w drugą stronę. Bolało jak wszyscy diabli. Przewróciłem oczami, wlepiłem je w sufit i skupiłem się na powolnym oddychaniu.

Chrząknęła.

-Niezbyt dobrze, ale nie jest złamana, jak sądzę.

-Imri? - Gilot, na sienniku, obrócił w moją stronę ślepa, opuchniętą *twarz*. - Nic ci nie jest? Powiedz mi, proszę!

-Nic mi nie jest. - Słyszac irytację we własnym głosie, spróbowałem się opanować. Później powiem mu prawdę. - To nic takiego, tylko skrzyta kostka.

- Dobrze. - Westchnął. - Dobrze.

Nonna owiązała mi nogę, a potem wyszła. Brygitta poszła czuwać u boku Eamonna. Gilot zapadł w niespokojny sen. Anna skuliła się obok niego na sienniku, przysypiając i gładząc jego włosy. Mała Belinda spała jak kamień, przytulona do matki.

- Ładny obrazek - mruknął Lucjusz. - Jest ci bardzo oddany, prawda? -Tak. - Choć niezupełnie mnie. Gilot służył Montrève. Mimo to miałem wyrzuty sumienia. Przebywałem w Tyberium jako Montrève i ochrona mojego życia okazała się trudnym zadaniem. Przegarnąłem palcami włosy. Podrosły, Klaudia pewnie była zadowolona. Zerknąłem z ukosa na jej brata. - I ty też. Jestem twoim dłużnikiem, Lucjuszu. -Tak? - Uniósł brwi. - Za co?

- Za utrzymanie mnie na nogach, kiedy upadałem - wyznałem szczerze. - Ktoś uderzył mnie od tyłu. Pomogłeś mi i zrobiłeś miejsce, gdy najbardziej go potrzebowałem. Gdyby nie ty. zostałbym stratowany. Umilkłem na chwilę. - Jak tego dokonałeś?

Lucjusz pokręcił głową.

-Nie ja.

-Co masz na myśli? - Byłem zbity z tropu.

-„O, najdroższy panie...”. - Schylił głowę, zmierzwione loki opadły mu na czoło. Bawił się lampką oliwną z przelotnym, tajemnym uśmiechem. - Chciałbym. Tłum rozdzielił nas przed winiarnią. Widziałem tylko, że się przewracasz, i próbowałem się do ciebie przebić. Ale *nie*. Ktoś inny zrobił przejście. Inaczej nie zdołałbym do ciebie dotrzeć

-Kto? - zapytałem.

-Nie wiem. Ale kimkolwiek był, myślę, że stawał na głowie, by tego dokonać.

Noc nie dała odpowiedzi, tylko strach i niepewność. Jakiś czas później pokuśtykałem na dwór zwolnić Eamonna. On i Brygitta poszli, żeby zaznać kilku godzin dobrze zasłużonego snu, podczas gdy towarzystwa dotrzymywał mi Lucjusz. Na ulicy przed insulą panował spokój. Słyszeliśmy hałasy płynące z dzielnicy, ale tutaj najgorsze przeminęło. Przez większość czasu rozmawialiśmy o błahostkach. Nie byłem gotowy zwierzyć. Jeszcze nie. Miałem zbyt wiele do powiedzenia. Po pierwsze musiałem zaopiekować się Gilotem. Po drugie, potrzebowałem odpowiedzi od Klaudii Fulwii.

Wschodzące słońce przyłapało nas na ziewaniu.

- Na Trójcę! - Lucjusz przetarł zaczerwienione oczy. - Padam z nóg Montrève. Muszę się przespać, zanim Dekkus Fulwiusz mnie wezwie, ciekaw studenckiego punktu widzenia na zamieszki. Mów, co chcesz, ale nie sądzę, żeby się ich spodziewał.



-Nie - powiedziałem, myśląc o ostrzeżeniu Klaudii. - Przypuszczam, że się nie spodziewał.

Po wyjściu Lucjusza udałem się do miasta, bosy i utykając, żeby wynająć lektykę do przetransportowania Gilota na Wyspę Asklepiosa. Skóra mnie mrowiła z niepokoju i trzymałem rękę przy rękojeści miecza. Gilot dostałby ataku hysterii, gdyby wiedział, ale nie był w stanie się sprzeciwić. W każdym razie, po niedoszłych zabójcach i rozrabiakach został tylko uczyniony przez nich bałagan. Kohorta miejska patrolowała ulice, a podejrzliwi sklepikarze szacowali straty. Na Wielkim Forum musiałem błagać niepokojnego szewca, żeby sprzedał mi parę prymitywnych sandałów ze sznurka. W końcu się zgodził, patrząc na mnie nieufnie. Zdawało się, że nad miastem wisi ciężki całun, jak po uczcie, która okazała się trucicielska. Musiałem iść na samo nabrzeże, ale na szczęście znalazłem tam tragarzy, którzy przystali na moje warunki. Wróciłem do insuli, żeby na nich czekać starając się ignorować uporczywe, przenikliwe pulsowanie w kostce.

W insuli wszyscy spali.

Mieliśmy tylko dwa sienniki, cienkie i nędzne. Stałem i patrzyłem. Gilot leżał na boku, z wyciągniętą połamaną ręką. Słyszałem jego wyteżony oddech. Anna przytulała się do jego pleców, z głową Belindy pod brodą. Na drugim sienniku chrapał Eamonn, rozłożony na wznak. Brygitta obejmowała go ręką, śpiąc z głową na jego krzepkim ramieniu.

Zazdrościłem im. Im wszystkim.

-Gilot! - zawołałem. - Lektyka czeka.

Z lektyki przenieśliśmy go na barkę.

Wyspa Asklepiosa okazała się spokojnym miejscem: to było miejsce uzdrawiania. Czulem, jak ogarnia mnie spokój, gdy się zbliżaliśmy. Wioślarze ostrożnie zanurzali wiosła, jakby nie chcieli sprawić najmniejszej przykrości pasażerowi. Wokół panowała cisza. Gdy barka bezgłośnie dobiła do brzegu wyspy, poważni słudzy pochwycili cumy i zawiązali je

milczeniu.

Jeden z kapłanów Asklepiosa wyszedł ze świątyni, stąpając cicho w sandałach, odziany w szaty z pięknie czesanej wełny. Miał krótką czarną brodę i surowe rysy, i ciemne oczy - ciemne jak oczy Cruithne'ów – pełne mądrości i wiedzy o bólu.

Wstałem, niechęć kołysząc barką, gdy podszedł. -Proszę - odezwałem się pokornie. - Pomóż. Jego wzrok spoczął na mnie. - Kogo mam wyleczyć?

Wskazałem na Gilota.

-Jego.

Kapłan skłonił głowę.

- Jak sobie życzysz.

Dziwne pytanie, pomyślałem; bo obrażenia Gilota były oczywiste. Ale z drugiej strony, był kapłanem. Może zobaczył inne rany, głębsze rany. Nie można zaprzeczyć, że ja je miałem. Pomocnicy przenieśli Gilota na wąskie nosze i podążyłem za nimi, gdy nieśli go do świątyni.

W środku kapłan zbadał Gilota, oglądając spuchniętą twarz, delikatnie obmacując rękę, przykładając głowę do piersi i słuchając jego oddechu. Stałem obok, pełen obaw. Wreszcie kapłan przywołał akolitkę, poważną młodą kobietę o słodkim obliczu.

- Żywokost do przemywania oczu - polecił. - Ponadto tynktura z opium i lulka dla uśmierzania bólu. Kiedy zaczną działać, zajmiemy się jego ręką.

- Czy będzie sprawna? - wycedził Gilot przez zaciśnięte zęby.

- Może - odparł kapłan. Skinął na mnie. - Chodź.

Przeszedłem za nim przez świątynię. Było to przewiewne, jasne miejsce, niczym nieozdobione, wyjąwszy mozaikę na podłodze. Na tyłach znajdowała się grotta, w której było źródło, tworzące naturalną fontannę. Widziałem złote monety lśniące w wodzie. Za źródłem stał posąg Asklepiosa, krzepkiego i brodatego. W jednej ręce trzymał laskę z okręconym na niej węzem.

Wokół grotty wisiało mnóstwo glinianych ofiar wotywnych: ręce i nogi, dłonie i stopy, serca, głowy, oczy i uszy - wszelkie części ludzkiego ciała.

Widok był trochę niepokojący.

- Powiedz mi - poprosiłem. Kapłan spojrzał mi prosto w oczy.

- Nie mogę niczego obiecywać. Liczne kości zostały złamane. Czy on żyje z miecza?

- Tak. - Kłamanie w tym miejscu wydawało się niewłaściwe. - Przysiągł służyć mojej przybranej matce, Fedrze, córce Delaunay, hrabinie de Montrève.

Nie miałem pojęcia, czy to coś dla niego znaczy.

- Warto złożyć ofiarę Asklepiosowi, D'Angelinie - poradził. - I pomodlić się do bogów, do których się modlisz. - Kapłan umilkł na chwilę. - Ma połamane żebra i coś uciska mu płuca, ale oddycha. Nic nie możemy zrobić, pozostaje tylko czekać. Rozumiesz?

Pokiwałem głową.

-Modlić się. Kapłan skłonił głowę.

- Mimo wszystko.

Gdy kapłan zajmował się połamaną ręką, siedziałem z Gilotem, który przez większość czasu był nieprzytomny. I dobrze. Nastawianie kości musi być bardzo bolesne. Wedle kapłana były złamane trzy palce i liczne kości dłoni. Jeśli nawet zrosną się bez komplikacji, Gilot będzie miał kłopot z trzymaniem rękojeści miecza. Widziałem skurcze bólu na jego posiniaczonej twarzy i myślałem o tym, jakim zawsze był dobrym przyjacielem i obrońcą, choć z całych sił próbowałem go zniechęcić. Jak ja, nie był bohaterem, w przeciwieństwie do Joscelina, podległego surowej dyscyplinie kasjelickiej przysięgi, zdolnego do niewyobrażalnych czynów. Był po prostu dobrym człowiekiem, zręcznym w posługiwaniu się mieczem, wiernym aż do przesady. A ja... ja nie byłem nawet taki.

Nie zasłużyłem na niego.

On nie zasłużył na to, co go spotkało.

Wrzał we mnie gniew, mroczny i pełen nienawiści. Myślałem o moim niewidzialnym napastniku i o ludziach, którzy poturbowali Gilota, a o jednym człowieku w szczególności - o tym, którego nazaczyłem swoimi sztyletami. Żałowałem, że nie zrobiłem mu większej krzywdy. Chciałem skrzywdzić go tak, jak on skrzywdził Gilota.

Po nastawieniu kości akolitka podała następną dawkę opium. Gilot z westchnieniem zapadł w głębszy sen.

- Będziesz nad nim czuwać? - zapytałem ją.

-Tak, panie - odparła z cieniem zawstydzienia.

-To dobrze. - Zmusiłem się do uśmiechu. - Jak masz na imię?

- Filomena - szepnęła.

- Filomena. - Musnąłem ręką jej policzek. - Ja jestem Imriel, a to jest Gilot. Jeśli się zbudzi przed moim powrotem, powiedz mu, proszę, że ja mam się dobrze, że wszyscy są bezpieczni. Inaczej będzie się martwić. Pomożesz mi?

Przełknęła ślinę. -Tak, oczywiście.

Opuściłem świątynię Asklepiosa, zabierając z sobą mój gniew. Nie wiedziałem, co zrobić ani dokąd pójść. „Módl się”, powiedział kapłan, ale nie mogłem się modlić. Gniew był zbyt wielki i ciążył na moim sercu niczym głaz. Z kręgosłupa, gdzie uderzył mnie napastnik, promieniował tępy ból.

„Mam ci powiedzieć, że to za Baudoina”.

Baudoin de Trevalion, zmarły dawno temu. Marzył o tronie. Moja matka była jego kochanką, jego współniczką. Na koniec, jego zdrajczynią. Uznawszy, że przestał być potrzebny, że już nie przysłuży się jej sprawie, doprowadziła do jego zguby.

Pamiętałem gorycz w głosie Bertrana w tamtą noc, gdy L'Envers próbował mnie zrobić. „Baudoin de Trevalion został stracony za zdradę, a mimo to smród, który przylgnął do nazwiska Trevalion, był mniej odrażający niż odór rodu Somerville po tym, co uczyniła twoja matka”.

Eluo, byłem chory od tych sieci intryg! I śmiertelnie chory na mysi, że Gilot płaci za to wszystko.

Szedłem szybko przez miasto, nie dbając o własne bezpieczeństwo. Przestało mi na nim zależeć. Niemal cieszyłem się ukłuciami bólu, które towarzyszyły każdemu krokowi. Nonna powiedziała, że kostka nie jest złamana; do wesela się zagoi. Wydawało mi się to odpowiednią karą. Po raz pierwszy zrozumiałem, dlaczego ludzie odwiedzają świątynię Kusziela, żeby oczyścić serca i dusze.

Ból może nie zmywa poczucia winy, ale pomaga.

Na ulicy przed insulą leżała beczka Canisa, porzucona i na wpół rozbita. Ambrozjusz nadzorował naprawianie okiennic. Spojrzał na mnie kosym okiem, kiedy się zbliżyłem.

- Mam nadzieję, młody scholarze, że jesteście zadowoleni z nocnych wybryków - mruknął. - Powiniennem kazać cię wyrzucić, ciebie i twojego sługę.

Wpadłem w złość.

- Czyżby? - Złożyłem drwiący ukłon, kładąc prawicę na rękojeści sztyletu. - Dobrze, następnym razem, gdy jakiś pijak wpadnie na pomysł, by wrzucić pochodnię do twojego sklepu i złożyć bogom daninę z dorobku twojego życia, nie kiwnę palcem, żeby go powstrzymać. Wytwórca kadzideł wciągnął powietrze przez zęby.

- Powstrzymałeś go?

- Choć nie wiem, czy było warto. - Wskazałem podbródkiem beczkę. - Gdzie Canis?

- Żebak? - Wzruszył ramionami. - A skąd ja mam wiedzieć?

- Kiedyś uchronił twój sklep przed rozbojem - rzuciłem z pogardą. - Może jednak powinno cię to obchodzić.

Mistrz Ambrozjusz ponownie wzruszył ramionami, - Śmierdzi. To szkodzi interesom. Ale był tu ktoś inny - dodał niechętnie. - Ten z wiadomością. Nie zostawił jej, tylko spytał o ciebie.

-Dzięki.

Znalazłem Annę i powtórzyłem jej słowa kapłana. Dzielnie zniosła wieści, ale widziałem, jak pobiełały jej knykcie, gdy ścisnęła ręce. Młodo pochowała męża i związa-  
nie się z drugim mężczyzną wymagało odwagi; związa-  
nie się z biednym D'Angelinem,  
który hołubił własne złamane serce. Widok strachu w jej oczach sprawiał mi ból.

- Mogę się z nim zobaczyć? - zapytała cicho.

-Tak, ale później. Będzie spać przez pewien czas. - Zawahałem się. -Czy masz ko-  
goś, kto zająłby się Belindą? - Pokiwała głową. - To dobrze. Przyjdę po ciebie, w mie-  
ście jeszcze nie jest zbyt bezpiecznie. Możemy razem kupić ofiary wotywno dla Askle-  
piosa. Czy to ci odpowiada?

- Dziękuję, panie! - Wdzięczność w jego oczach była gorsza niż strach. Dygnawszy  
niezgrabnie, ucałowała moją dłoń. Wtedy zrozumiałem, że Gilot jej powiedział, kim  
jestem, i zdusiłem westchnienie.

- Imriel - powiedziałem łagodnie. - Wystarczy Imriel.

Zostawiłem ją i wróciłem do miasta. Wołałem nie spotykać się z Klaudią, nie ufa-  
łem sobie. Jeszcze nie. Najpierw poszedłem na Stare Forum. Zostałem tam mieszankę  
wybuchową złożoną z rozsierdzonych obywateli i skwaszonych studentów, trzyma-  
nych w szachu przez kohortę straży przybocznej samego princepsa, wyróżniającą się  
purpurowym pasem na białych pelerynach. Zgubiłem się w tłumie i przez pewien czas  
słuchałem przemawiających kolejno senatorów, którzy potępiali nocne wydarzenia,  
plany restauratorów i zgromadzenie obywateli pragnące umniejszyć akademicką  
chwałę Tyberium.

Żadna frakcja nie wydawała się zadowolona, ale niewiele można było powiedzieć w  
czyjejkolwiek obronie. Po senatorach miejsce na trybunie zajął rektor uniwersytetu,  
żeby dać wyraz głębokiemu niezadowoleniu z zachowania studentów. Szacowny czło-  
wiek, widywany przeze mnie dotychczas z daleka, umiał przemawiać i wielu moich  
kolegów studentów miało zawstydzone miny. Wsłuchiwałem się w głosy tłumu z na-  
dzieją, że usłyszę znajome mamrotanie.

Nie dostrzegłem mojego napastnika ani nawet scholara o ostrych rysach, któremu  
naznaczyłem szyję. Przypuszczałem, że się nie zjawi, ani to. ani ci inni, którzy najgło-  
śniej podburzali do zamieszek. Choć nosili togi. nie sądzę, żeby byli studentami.

Kiedy rektor skończył, na trybunę wstąpił Dekkus Fulwiusz i jął krytykować swoich  
kolegów restauratorów za działanie w nierozważnym pośpiechu. Nie zostałem, żeby  
słuchać. Wymknąłem się z tłumu i poszedłem do jego domu, zabierając wrzący gniew  
do źródła.

Odepchnąłem z drogi sługę, który otworzył drzwi. W atrium nikogo nie było, wy-  
jąwszy impluvium pośrodku i migoczące odbicie słońca na ścianach. Mój głos poniósł  
się echem.

- Klaudio! Klaudio! Przyszła.

Twarz miała niespokojną, brwi ściągnięte. Jej mina złagodniała na mój widok.

- Imriel! Martwiłam się. Posłałam Nestora, żeby o ciebie rozpytał, ale niczego się nie dowiedział.

Przemierzyłem atrium szybkim krokiem, chwyciłem w dłonie jej twarz. Węzeł furii skręcał mi się w brzuchu.

- Rodzina Trevalion - syknąłem. - O to chodzi, prawda? Klaudia zbladła.

- Jesteś ranny?

- Nie - odparłem ponuro. - Ale Gilot jest. Jej powieki zatrzepotały.

- Błagałam, żebyście nie wychodzili na ulice!

- I kazałaś mi ostrzec przyjaciół. - Świerzbiły mnie kciuki, pragnące wbić się w jej ciało. - Myślałaś, że nie posłucham? Czy wiedziałaś, że ktoś będzie chciał mnie zabić?

Daremnie próbowała się odsunąć.

- Nie! Wiedziałam tylko, że będzie niebezpiecznie.

-Tak, było - zgodziłem się. - Z Lucjuszem w samym środku tego zamętu.

- Nie powinno go tam być. Nestor miał go znaleźć. - W jej głosie zabrzmiała nuta strachu. - Nic mu nie jest? Odepchnąłem ją od siebie.

-Czy to cię obchodzi?

-Jest moim bratem! - Oczy jej rozblęły.

Patrzyliśmy na siebie, oddychając ciężko. Chciałem ją nienawidzić, i nienawidziłem. Ale było też coś więcej. Twarz Klaudii złagodniała, po wróciły na nią linie zmartwienia.

-Imrielu, proszę. Powiedz mi tylko, czy Lucjusz został ranny?

-Nic mu nie jest - odparłem.

Zamknęła oczy.

-Dziękuję.

Opadłem na marmurową ławę, gdzie siadali goście, żeby zdjąć buty. Moja wściekłość ustępowała wielkiemu znużeniu.

- Więc kto to jest, Klaudio? Bertran? Ghislain? Który członek rodziny Trevalion chce pomścić śmierć Baudoina, odbierając mi życie? Czy tak mało dla ciebie znaczą, że chcesz im na to pozwolić?

-Nie mogę... - Przełknęła ślinę. - Nie myślałam... Dobrze! Już dobrze! -Przez długą chwilę stała w milczeniu i bez ruchu. Tylko jej pierś wznosiła się i opadała miarowo. Kiedy przemówiła, słowa zabrzmiały płasko, wyprane z emocji. - To jego siostra, siostra Baudoina. Bernadetta de Trevalion.

-Rozumiem. - Przetarłem twarz rękami. - Czy Gildia ma na to dowód?

-Tak. Jest pewien człowiek, niejaki Ruggego Caccini. Zatrudnia wielu podejrzanych osobników i przyjmuje tego rodzaju zlecenia. Gildia uznała, że utrzymywanie z nim kontaktu jest... pożyteczne. Składa pisemne oświadczenia dotyczące szczegółów zleceń.

-Do szantażu?

-Dla informacji, za co jest wynagradzany i ma pewną ochronę. -Klaudia odetchnęła głęboko. - Imrielu, to wszystko, co wiem. To moneta, którą dostałam, żeby cię skusić. Żeby zapłacić ci za wierność, jeśli ją przysięgniesz. To skomplikowane. Daję ci słowo, nie przypuszczałam, że naprawdę grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo.

-Dlaczego? - zapytałem twardo. - Dlaczego, Klaudio?

- Nie mogę powiedzieć - odparła łamiącym się głosem. - Uwierz mi, proszę.

-Na tym polega problem. - Wstałem. - Nie wierzę ci.

Chciałem wyjść, zamierzałem odejść. Podjąłem decyzję. Chciałem z tym skończyć - z Tyberium, z Klaudią, z Niewidzialną Gildią. Ale Klaudia podeszła do mnie i poczułem bijące od niej ciepło. Po zamieszkach, po tym, jak usłyszałem, kto dybie na moje życie, wrzały we mnie emocje. Wzniosła się niepokonwana fala pożądania, moje postanowienie osłabło. Skłaniając głowę, Klaudia dotknęła czystego bandaża w wypalonej dziurze na ramieniu mojej koszuli. Pragnąc jak najszybciej zabrać Gilota do świątyni Asklepiosa, zapomniałem, że powinienem się przebrać.

-Jesteś ranny - szepnęła. - Och, Imrielu! Chodź tutaj, proszę.

Eluo dopomóż, poszedłem.

Sam nie wiem dlaczego, wiem tylko, że byłem zły, zmęczony i obolały, i chciałem ukarać nas oboje. Podczas gdy Dekkus Fulwiusz stał na podium i dowodził swej niewinności, ja w ich sypialni brałem jego żonę. Było to dzikie spółkowanie, napędzane gniewem. Zostawiłem ślady na skórze Klaudii, odciski zębów na pełnych, białych piersiach. Krzyczała, ale nie na znak protestu. Nie, gdy ją kąsałem. Nie, gdy brutalnie rozsunąłem jej uda i ujeżdżałem ją, trzymając jej ręce za głowę. Nie musiała protesto-

wać. Już wygrała tę bitwę. Ja przegrałem. Chciałem się z nią pożegnać bez cienia subtelności.

A jednak odnalazłem w tym dziwny spokój.

Przynajmniej w sypialni się rozumieliśmy.

- Imrielu de la Courcel. - Klaudia bawiła się moimi włosami.- Co zrobisz?

- Nie wiem. - Zerknąłem na nią ze złością. - Pewnie pójde z moimi troskami do d'angelinskiej ambasador. Najwyższa pora, nie sądzisz?

Uniosła brwi.

- Bez dowodu? Imrielu, nie wolno ci powtórzyć tego, co ode mnie usłyszałeś. Naprawdę nie wolno. Jeśli to zrobisz, narazisz nas oboje za ujawnienie istnienia Gildii. To moja wina. Nie powinnam ci zaufać.

Westchnąłem i zwlokłem się z łóżka, z łóżka Dekkusa.

- Dobrze. Mam dowód we własnych uszach, pani. Zeszłej nocy ktoś próbował mnie zabić, a przynajmniej wyrządzić mi poważną krzywdę. Zostało wypowiedziane imię Baudoina. Nie potrzebuję świadectwa Gildii. Nie jestem nawet pewien, czy chciałbym je mieć.

Patrzyła na mnie z rozchylonymi ustami.

- Dlaczego nie? Mógłbyś go wykorzystać, żeby doprowadzić do upadku rodu Trevalion.

Krzywiąc się, wsunąłem w nogawkę obolałą, owiazaną lewą stopę. Gdy się podniosłem, żeby wciągnąć spodnie, Klaudia patrzyła na mnie z zaciekawieniem w oczach, jak dziecko na ulubioną zabawkę, która umieszczono poza jego zasięgiem.

- Odpowiedz sobie na własne pytanie - powiedziałem cicho. - Ponieważ Gildia jest bezlitosna, pozbawiona współczucia. A ja nie jestem pewien, czy chcę brać w tym udział. Cenię sobie życie, ale cenię też honor Nie chcę zniszczyć rodu Trevalion. Chcę go zostawić w spokoju. W końcu jestem przede wszystkim D'Angelinem, szanuję przykazanie Błogosławionego Elui, a tu jest niewiele miłości. - Zarzuciłem na szyję medalion od Canisa i sięgnąłem po wypaloną koszulę. - Klaudio, muszę iść.

Usiadła, przeczesując palcami potargane włosy. -Imrielu, posłuchaj...

Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi komnaty sypialnej.

- Pani - zabrzmiał stłumiony głos po drugiej stronie. - Pan wraca. Klaudia szeroko rozwarła brązowe jak u lisa oczy.



-Idź!

Poszedłem.

Siłą rzeczy musiałem opuścić dom tylnym wyjściem. Przebiegłem przez ogród w perystylu, ze sznurkowymi sandałami w ręce i zostawiając *za* sobą podeptane zioła. Chwyciłem garść pnączy winnej latorośli i przeskoczyłem nad wysokim ogrodowym murem.

Wylądowałem twardo, ból przeszył moją kostkę. Na szczęście po drugiej stronie muru nikogo nie było. Niosąc sandały, pokuśtykałem w kierunku ulicy.

Tam, daleko od domu Fulwiuszów, usiadłem i wzułem sandały, poprawiłem pas z mieczem i pochwę przypiętą do lewej łydki. Wszystko mnie bolało i byłem zmęczony; zmęczony, zdezorientowany obolały.

A jednak, co dziwne, moja wściekłość przygasła.

Byłem sam w Tyberium, sam i bezimienny. W tej chwili mogłem pójść wszędzie, zrobić cokolwiek. Mogłem zostawić za sobą cały ten galimatias, rodzinę Trevalion, Gildię, wszystko. Nikt nie wiedział, gdzie jestem. Nawet

Gilot stracił mój trop. Był bezpieczny w Świątyni Asklepiosa, bezpieczniejszy niż ze mną. Tylko Klaudia znała moje miejsce pobytu, a i to zaraz miało się zmienić. Gdybym chciał zniknąć, mogłem to zrobić, tu i teraz.

A jednak nie chciałem.

- Mój wybór - powiedziałem, podnosząc się i wypróbując niepewną nogę. - Mój.

Nikt nie słyszał, nikogo to nie obchodziło. Samotność, pomyślałem, to paskudna sprawa.

## CZTERDZIEŚCI TRZY

---

Po zamieszkach w skarconym Tyberium panował spokój. Kohorta miejska i straż *princepsa* patrolowały ulice. Uniwersytet zamknął podwoje prezentując swoim studentom puste oblicze dezaprobaty. Nie odbywały się wykłady, ani tam, ani nigdzie indziej.

Panował spokój, posępny spokój. Otwarto kilka sklepów, choć wciąż każdy mógł zobaczyć ślady pośpiesznie dokonanych napraw. Gospody pozostały nieczynne. Jedni studenci zrzucili togi scholarów, inni zaś nosili je z wyzywającą dumą. Wszyscy omiotali z daleka patrole kohorty miejskiej i nie dochodziło do aktów przemocy. Razem wzięwszy, życie wróciło do normalności, w stopniu, w jakim to było możliwe.

Po Canisie nie został ślad, co trapiło mnie za każdym razem, gdy mijałem porzuconą beczkę.

I, oczywiście, martwiłem się o Gilota.

Rankiem zaprowadziłem Annę do świątyni Asklepiosa, gdzie przez kilka godzin siedzieliśmy z Gilotem. Jego stan trochę się poprawił, Choć twarz miał opuchniętą, a oczodoły czarne i fioletowe od siniaków, mógł już otworzyć oczy. Widział. Złamaną rękę miał unieruchomioną w łubkach i niepodobna było powiedzieć, czy kości zrosną się dobrze, czy nie.

Nie powiedziałem mu o napaści. Gilot by się obwiniął, a przecież musiał wracać do zdrowia w spokoju. Długo i głęboko myślałem o tym, co powiedziała mi Klaudia Fulwia. Bernadetta de Trevalion, matka mojego byłego przyjaciela, Bertrana. Ledwo ją znałem. Parę razy spotkałem ja na dworze; bawiła tam nieczęsto, większość czasu spędzając w księstwie Trevalion w Azalii. Trudno mi było pogodzić się z faktem, że chce mojej śmierci.

Miałem też kłopot z wyobrazeniem sobie, jak dzielę się z ambasadorem D'Angelinów strzępkami dowodów. Jedno zdanie wymruczane w czasie zamieszek nie było zbytnio przekonujące. Nie wątpiłem, że pani Fleurais uwierzy mi na słowo, ale krzywiłem się na myśl o wrzawie, jaka się podniesie. Do Terre d'Ange dotrą zjadliwe, gorzkie pogłoski. Nic cieszyła mnie myśl o podążeniu w ślady matki i oskarżeniu Bernadetty de Trevalion o spiskowanie, jeśli nawet tak wyglądała prawda.

W końcu postanowiłem nic nie mówić Denise Fleurais. Zamiast tego zwierzyłem się Eamonnowi.

-Jeśli powiem ci coś, czego nie mogę udowodnić, i poproszę, żebyś mi zaufała, czy mi uwierzysz? - zapytałem go w moim mieszkaniu w insuli. gdzie dzieliliśmy się bułką wina, który kupiłem u ulicznego sprzedawcy. - Ponieważ potrzebuję rady, a ty jesteś tutaj jedyną osobą, której ufam bez granic.

- Oczywiście - zapewnił ochoczo, po czym się zawahał. - Nie chodzi o filozofię, prawda? Nie potwierdzę, nie wysłuchawszy argumentu.

-Nie, nie. - Pokręciłem głową. - Pamiętasz, co powiedziałem w noc zamieszek? Ktoś chciał mnie zabić, Eamonn. Ktoś mnie popchnął. I sądzę, że mogło być parę innych prób. Tak czy siak, wiem, kto za tym stoi.

Nalał wina do mojego kubka.

-Kto?

Pociągnąłem łyk.

- Bernadetta de Trevalion. Wynajęła tutaj człowieka. Eamonn miał głupią minę.

-Kto?

-Matka Bertrana - odparłem. - Pamiętasz Bertrana? -Tak, jasne. - Jego mina się nie zmieniła. - Ale dlaczego? Westchnąłem.

- Bogowie! Nie wiem. Dawno temu istniał spisek. Moja matka go ujawniła. *W* konsekwencji Baudoin de Trevalion i jego matka Lyonetta, siostra mojego ojca, byli sądzeni za zdradę.

-Wystarczy! - Eamonn uniósł rękę. - Nie mam pojęcia, jak ty się w tym wszystkim orientujesz. Chodzi o krwawą waśń? Pokiwałem głową.

-Tak sądzę. Baudoina i Lyonettę skazano na karę śmierci. On rzucił się na miecz, a ona zażyła truciznę. Bernadetta i jej ojciec, za współudział musieli udać się na wygnanie, choć później Ysandra ich ułaskawiła. Ta druga sprawa miała miejsce za rządów starego króla, Ganelona de la Cour-cel. Mojego... wuja. - Dziwnie brzmiały te słowa. Nigdy nie czułem się bratankiem króla. - Pogrążyło ich zeznanie mojej matki. I zrobiła to rozmyślnie.

-A zatem krwawa waśń - powtórzył Eamonn. - Zemsta.

-Tak - zgodziłem się. - Na to wygląda. Obrzucił mnie przenikliwym spojrzeniem.

- Powiedziałeś to d'angelińskiej ambasador?

-Jeszcze nie. - Spojrzałem mu w oczy. - Kłopot w tym, że nie mogę niczego dowieść. Wiem, że to prawda, Eamonn. Znam nawet nazwisko człowieka, którego wynajęła Bernadetta de Trevalion. Nie mogę jednak tego udowodnić, nie bez cienia wątpliwości. I jeśli spróbuję, zrobi się bardzo paskudnie, tutaj i w domu.

Eamonn wzruszył ramionami.

-Wolisz narazić się na kolejny atak?

- Nie, - Osuszyłem kubek. - Na moim miejscu poszedłbyś do ambasady?

- Ja? - Eamonn wyszczerzył zęby. - Nie ma mowy! Na twoim miejscu złożyłbym wizytę jegomościowi, który próbował mnie zabić, i zapowiedział, że obetnę mu jaja i wepchnę do gardła, jeśli spróbuje znowu. Ale jest różnica pomiędzy Dalriadami i D'Angelinami. Wy wszystko komplikujecie.

- Wiem - zacząłem powoli - celna uwaga. Niekoniecznie przyjemna, ale celna.

- Tak, i może stać się przyjemniejsza, jeśli powiesz mi więcej - zauważył.

Uśmiechnąłem się cierpko. Zwij to źle pojętą uprzejmością, ale nie mogę. Przykro mi. Eamonnie, jeśli obmyślę plan załatwienia tej sprawy po mojemu, czy mi pomożesz?

Pociągnął łyk wina.

- Powiedz tylko, gdzie i kiedy, Imri. Przysięgliśmy, że będziemy jak bracia, prawda? Traktuję poważnie dane słowo, bez względu na to, jak jesteś dziwny i tajemniczy.

Tej nocy rzucałem się i przewracałem z boku na bok na sienniku. Myślałem o dowodzie, jakim kusiała mnie Klaudia, i o metodach Gildii Rozmyślałem o tym, co zasugerował Eamonn, i jak Fedra zdobyła dowody na spisak L'Enversów. Zastanawiałem się, jak ona by postąpiła. Eluo. dopomóż, myślałem nawet, jak moja matka wykorzystwała prywatną korespondencję Baudoina, żeby go pogrążyć.

Rankiem miałem opracowany plan. Uznałem, że Fedra mogłaby go pochwalić, z wyjątkiem ryzykownej części. Możliwe, że moja matka też byłaby zadowolona. O ile wiem, Melisanda Szachrizaj nie miała nic przeciwko szantażowi, gdy służyło to jej celom.

Starąłem się tego nie rozpamiętywać.

Najpierw udałem się z Anną w odwiedzin do Gilota. Kupiliśmy dwie ofiary wotywnie, rękę i tułów, i powiesiliśmy je w grocie z posągiem Asklepiosa. Zostałem tam, żeby mogła pobyć sam na sam z Gilotem, i spędziłem czas na rozmyślaniu i modlitwie. Modliłem się do Asklepiosa, który był tutaj panem uzdrawiania, a także do łagodnej Ejszet, która sprowadziła do Terre d'Ange sztukę leczenia i nauczyła jej swoje dzieci, ofiarowując im również dar muzyki.

Modliłem się nawet do Kusziela. Jego miłosierdzie jest okrutne, ale sprawiedliwe. Ofiarowałem mu gniew i żądzę zemsty wraz z moim bólem, przysięgłem złożyć to wszystko u jego stóp w zamian za życie Gilota

Oczyma duszy widziałem oblicze Kusziela, spokojne i surowe, niczego nie obiecujące. Nie można targować się z bogami. A jednak poczułem się lepiej.

Przed wyjściem spotkałem się z kapłanem Asklepiosa. Dałem mu napisany wcześniej zapieczętowany list.

- Czcigodny kapłanie, czy mogę powierzyć to twojej pieczy? To poręka dla Gilota i Anny, gdyby coś mi się stało. Wystarczy przedłożyć pismo pani Denise Fleurais w d'ngelińskiej ambasadzie.

Kapłan obrzucił mnie długim, nieodgadnionym spojrzeniem.

- Możesz.

- Dziękuję. Skłonił głowę.

- Może w zamian pewnego dnia poproszę o przysługę.

Później spotkałem się z Eamonem na Forum, jak się umówiliśmy. Jego twarz pojaśniała, gdy mnie zobaczył. -Obmyśliłeś plan, prawda?

-Tak - odparłem. - Twoja rola będzie polegać głównie na milczeniu i robieniu wrażenia. Eamonn poklepał rękojeść miecza. -To potrafię.

Poszliśmy na nabrzeże, gdzie znalazłem kapitana portu, którego niedawno powiadomiłem o martwym dokerze. Uśmierzając łapówką jego zniecierpliwienie, wypytałem go o tego człowieka.

- Rozpoznali go żołnierze kohorty miejskiej - powiedziałem. - Drobny łotrzyk, powiedzieli. Ale od czasu zamieszek odkryłem, iż są powody podejrzewać, że nastawał na moje życie. Mam też powody podejrzewać, że być może stoi za tym mój stary wróg. Zapewne wiesz o wszystkim, co się dzieje na nabrzeżu. Przyszło mi na myśl, że może podasz mi nazwisko. Kto w Tyberium może zatrudnić człowieka do takiego zadania?

Spojrzał koso na Eamonna.

-Przykro mi, panie. Nie mam pojęcia.

-Szkoda. - Westchnąłem. - Miałem nadzieję, że nie będzie potrzeby kłopotać dange-lińskiej ambasador sprawą osobistą. Widzisz, Jej Ekscelencja jest bliską przyjaciółką mojej przybranej matki. Kiedy ją powiadomię, będzie zobowiązana wszcząć śledztwo, jeśli nawet miałyby to oznaczać zamknięcie nabrzeża w celu przesłuchania wszystkich tutejszych tragarzy i dokerów.

- *Princeps* nigdy się na to nie zgodzi.

- Zgodzi się, zgodzi - zapewniłem. -I winą obarczy ciebie. Czy wspomniałem, że moja przybrana matka jest również serdeczną przyjaciółką

królowej?

Przez chwilę wytrzymał moje spojrzenie, potem uciekł ze wzrokiem.

- Na Jupitera! To samo mógłby ci powiedzieć pierwszy lepszy złodziejasek w mieście. Najpewniej szukasz Ruggera Cacciniego. On nimi rządzi.

- Dziękuję. - Podwoiłem łapówkę. - Gdzie mogę go znaleźć? Kapitan portu schował monety i poderwał brodę.

- Gospoda „Pod Syreną” - rzucił kwaśno. - Kilka przecznic w tamtą stronę.

Bez trudności znaleźliśmy gospodę. W przeciwieństwie do podobnych przybytków w dzielnicy studenckiej, nie nosiła żadnych oznak zniszczeń. Okazała się przyjemniejsza niż oczekiwałem, solidnie zbudowana, z oknami wychodzącymi na rzekę. Szyld nad drzwiami, wyobrażający nagą syrenę o obfitym biuście, był świeżo odmalowany, żywe kolory cieszyły oko.

- No, no. - Eamonn wbił wzrok w szyld. - Niezła.

- Zbrodnia popłaca. - Poklepałem go po ramieniu. - Szczerze mówiąc, na to właśnie liczę.

Weszliśmy. Klientela zadawała kłam przyjemnemu wyglądowi gospody „Pod Syreną”. Podejrzani osobnicy, jak nazwała ich Klaudia, głównie dokerzy i tragarze. Spojrzeli na nas bez większego zainteresowania, bardziej nieufnie niż wrogo. Podszedłem do szynkwasu, podczas gdy Eamonn *został przy* drzwiach, z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Szynkarz uniósł brwi.

- Zgubiłeś się, chłopcze?

- Szukam Ruggera Cacciniego - powiedziałem. Parsknął śmiechem.

-Tak? A jaką sprawę możesz mieć do niego?

- Sam jestem ciekaw - rzekł ktoś aksamitnym głosem za moimi plecami. - Postaw mi dzban, D'Angelinie, a chętnie posłucham.

Odwrociłem się.

- *Messire* Caccini.

Znieruchomiał, a ja pojąłem, że mnie rozpoznał. Podobnie jak gospoda, okazał się zupełnie inny niż oczekiwałem. Ruggero Caccini, wysoki, smagły i chudy, dobrze ubrany i gładko ogolony, ze schludnie przyciętymi włosami, miał około czterdziestu lat. Zdrowie mu dopisywało i wyglądał na zamożnego, lecz z jego oczu wзираł cień dawnego głodu, a na twarzy widniało wspomnienie niedostatku. Patrzyłem nań niewzruszenie.

- Nó, nó - mruknął cicho. - Dzielny z ciebie kogucik. - Położył rękę na sztylcie i w tej samej chwili zaszurały stołki, ludzie szykowali się pośpieszyć mu z pomocą. - Wchodzić do jaskini Iwa? Niemądre. Dlaczego uznałeś, że wyjdiesz stąd żywy? - Skinął głową w stronę Eamonna. - Ma to zapewnić twój rosły przyjaciel?

- Nie. - Uśmiechnąłem się życzliwie. - List do pani Denise Fleurais z wyszczególnieniem miejsca mojego pobytu, gdybym nie wrócił. Dawno temu nauczyłem się tego od mojej przybranej marki, gdy ktoś inny chciał mojej śmierci. Ale miło mi słyszeć, że nie masz nic przeciwko szczerzej rozmowie. Jak mniemam, jesteś człowiekiem interesu. Przyszedłem z propozycją.

Ruggero wybuchnął ostrym, szczekliwym śmiechem.

- Postaw mi dzban, D'Angelinie! Chętnie posłucham.

Szynkarz nalał wina do dzbana i Ruggero zaprowadził mnie do stołu w kącie karczmy. Ruchem ręki kazałem Eamonnowi zostać przy drzwiach. Wzruszył ramionami, bacznie obserwując klientelę. Ruggero napełnił dwa kubki, jeden przesunął w moją stronę.

- Propozycja - powiedział. Napilem się wina.

-Oto sedno sprawy, messire Caccini. Zdaje się, że doszło do dwóch, może trzech nieudanych prób zamachu na moje życie. Ostatnia nastąpiła podczas zamieszek, kiedy napastnik wypowiedział imię mojego starego wroga. To sprawiło, że nabrałem podejrzeń co do wcześniejszych zdarzeń. Przeprowadziłem dochodzenie wśród kohorty miejskiej i gdzie tylko mogłem. Wyszło na to, że przynajmniej jeden incydent można powiązać z człowiekiem na twoich usługach.

-Możliwe. - Uśmiechnął się drwiąco.

-Możliwe. - Pokiwałem głową. - To ryzyko. Podejmę je, jeśli będę musiał. Ale wołałbym wykupić od ciebie kontrakt z rodziną Trevalion.

Ruggero nic nie powiedział, ale dostrzegłem w jego oczach błysk zainteresowania. Był chciwy. Tego się domyślałem ze słów Klaudii Fulwii. Patrząc mu w twarz, widziałem znużenie dawnym głodem, dzieciństwem przeżytych w nędzy. Ruggero Caccini łaknął bogactwa, łaknął bezpieczeństwa. Nic nigdy nie uśmierzy tych starych lęków.

Uniósł kubek, oblizując wargi.

- Powiedzmy, że wiem, o czym mówisz. Ale jestem człowiekiem, który dotrzymuje słowa. Nie zerwę kontraktu.

- Nie musisz. - Rozłożyłem ręce. - Staraleś się wywiązać.

- I nie chowasz urazy? - zapytał ze szczerym niedowierzaniem.

- Gdybym chował, już byłbyś trupem. - Moje słowa zabrzmiały tak lodowato, że niemal sam się przestraszyłem. - Mogłem przyjść tutaj z oddziałem d'angelinskiej straży. Nie zrobiłem tego. Messire Caccini, jesteś tylko bronią w waśni pomiędzy dwoma wielkimi rodami Terre d'Ange. Żywię do ciebie urazę nie większą niż do ostrza wroga.

- Nie wierzę ci - oznajmił Ruggero, choć z nutką wątpliwości. Wzruszyłem ramionami.

-Ja też jestem człowiekiem, który dotrzymuje słowa. Pozwól mi wykupić kontrakt Trevalionow, a obiecuję, że nie zostaną wniesione żadne

oskarżenia przeciwko tobie.

- A jeśli się nie zgodzę?

Zerknąłem przez ramię na Eamonna. Uśmiechnął się do mnie, szczerząc zęby w bojowym grymasie.

- Cóż, messire - powiedziałem do Ruggera. - Wtedy charakter sprawy zmieni się na osobisty i istotnie będę żywić urazę. Wraz ze swoimi kamratami możesz mieć szanse w starciu ze mną i z moim przyjacielem. Zważ jednak, że Eamonn doskonale włada mieczem, ja zaś jestem szybki. Dość szybki, jak się zdaje, żeby odciąć ci głowę, zanim mrugniesz okiem. Może nie wyjdziemy stąd żywi, lecz to samo odnosi się do ciebie. - Uśmiechnąłem się. - Albo, oczywiście, możesz pozwolić nam odejść i podjąć ryzyko, że staniesz przed sądem.

Ruggero zrobił rozbawioną minę,

- Może nie mam nic przeciwko takiemu ryzyku.

- Może nie - zgodziłem się. - Choć ja na twoim miejscu nie dałbym za to głowy. Może jednak bardziej spodoba ci się pękata sakiewka. Co cię obchodzą swary d'angelinski wielmożów? Umowa okazała się nieopłacalna. Mogę sprawić, że to się zmieni.

Przymrużył oczy.

- Skąd ta propozycja? Co zyskasz? Jeśli wiesz, kto mnie wynajął, **wiesz**, że nie mogę zaproponować w zamian tej samej usługi. Jestem Tyberianinem. Moje ręce nie sięgają poza mury miasta.

-Tak, oczywiście. - Pociągnąłem łyk wina. - Wszystkim, o co proszę, oczywiście poza zakończeniem zamachów na moje życie, jest podpisany list z przyznaniem się do zawarcia kontraktu z rodziną Trevalion.

Nie zamierzam wykorzystać go przeciwko tobie. Dotrzymam słowa. Ale zyskam gwarancje chroniącą mnie na wypadek, gdybyś zmienił zdanie, i środek pozwalający utrzymać zleceniodawców w ryzach.



Ruggero Caccini przeszył mnie długim spojrzeniem, skupionym i pełnym namysłu. Starałem się zachować obojętny wyraz twarzy. W końcu, wykradłem kartkę z księgi intryg Niewidzialnej Gildii, choć on nie musiał o tym wiedzieć. Nie należał do nich, był jedynie narzędziem. A ja pilnowałem, żeby nie zostawić tropu. Korzystałem tylko z umiejętności, jakich się nauczyłem.

Poza tym wysunąłem uczciwą propozycję. Lepszą, niż zasługiwał, ale przecież dałem obietnicę Kuszielowi. Nie szukałem zemsty, tylko sprawiedliwości. Niech Caccini zachowa głowę, i niech w zamian Gilot przeżyje. Co zaś się tyczy Bernadetty de Trevalion, nią zajmę się później.

- Zgoda - powiedział w końcu. - Dziesięć tysięcy denarów.

- Za list i przywilej zachowania głowy na ramionach? - Roześmiałem się. - Dam ci tysiąc.

- Muszę brać pod uwagę niezadowolonego klienta. Dziewięć tysięcy.

-Daj spokój! - Lekceważąco machnąłem ręką. - Co zrobią? Poskarżą się w ambasadzie? Nie sądzę. Rodzina Trevalion jest daleko, bardzo daleko, i nic ci nie grozi. Dam dwa tysiące. - Umilkłem, zaintrygowany. - Swoją drogą, jak cię znaleźli?

Ruggero błysnął zębami w wilczym uśmiechu.

- Zdaje się, że pewna dama z tej rodziny wiele lat temu nawiązała znajomość z moim starym mistrzem, tutaj, w Tyberium. Wy, D'Angelinowie, powinniście pomyśleć dwa razy, zanim skazecie na wygnanie kogoś, kto żywi urazę. Osiem tysięcy.

-Czy ta dama działa samodzielnie? - zapytałem. - Zamierzałem zakończyć targ na dwóch tysiącach, ale może warto poświęcić jeszcze pięćset, żeby się dowiedzieć.

Targowaliśmy się i w końcu stanęło na czterech i pół tysiącu denarów, za które kupiłem również informacje, że wedle wiedzy Ruggera dama działała na własną rękę. Suma na szczęście była mniejsza niż miałem na koncie w domu bankowym, gdzie przedstawiłem list kredytowy od mojego zarządcy. Dobrze się stało, że postanowiłem wieść skromne życie. Uzgodniliśmy, że jutro o zachodzie słońca spotkamy się przy Fontannie Rydwanu, żeby zakończyć interes.

Kiedy wszystko zostało omówione, wstaliśmy i z powagą podaliśmy sobie rękę. Uścisk Ruggera był ciepły i mocny.

- Dziwny jesteś, wiesz? - powiedział z rozbawieniem. - powiedz mi dlaczego nie poszedłeś do ambasady, żeby mnie oskarżyć? Wyszłoby znacznie taniej.

- Naprawdę? - Zmarszczyłem czoło. - To sprawa osobista. Poza tym nie lubię być dłużnikiem.

Ruggero uśmiechnął się lekko.

- Może to dziwne, ale chyba rozumiem.
- Tak. Wiem.

Odwróciłem się od niego. Sam nie wiem, co mnie ostrzegło. Szelest ubrania, szmer oddechu. Zgrzyt krzesła, zrozumienie z opóźnieniem malujące się na twarzy Eamonna. Nie bacząc na spuchniętą kostkę, okręciłem się na pięcie, robiąc krok w tył i dobywając miecza.

Ktoś syknął.

- Spokój, spokój! - Ruggero Caccini odsunął dłoń od rękojeści sztyletu i rozpostarł ramiona, wciąż uśmiechnięty. Sztych mojego miecza mierzył w jego gardło. Robiąc jeden krok naprzód, mogłem go przebić. - Spokój, chłopcy - powtórzył. - Wybacz mi - powiedział do mnie. - Byłem ciekaw. Jesteś szybki.

- Nie przechwalałem się.

- Nie. Teraz wiem. Westchnąłem.

- Jutro o zachodzie słońca.

- Oczywiście - obiecał Ruggero. - Byłem tylko... ciekawy. Pokręciłem głową.

- Mówiłem ci, messire. Nie rzucam słów na wiatr. Eamonn otworzył drzwi gospody.

- Pora iść, Imri - powiedział, wypuszczając mnie. Zamknął drzwi. Nikt nie wyszedł za nami. Odetchnąłem głęboko, wciągając nosem zapach Tybru. Szyld z syreną poskrzypywał na lekkim wietrze.

- I co? - zapytał Eamonn wesóło. - Zdaje się, że poszło dobrze.

Zastanowiłem się nad tym.

- Wiesz, mogło pójść gorzej.

## CZTERDZIEŚCI CZTERY

---

Nazajutrz Ruggero Caccini stawiał się na spotkanie. Nie byłem pewien, czy przyjdzie, nie po tym, jak się rozstaliśmy. Przyszedł. Gdy słońce zachodziło nad siedmioma wzgórzami Tyberium, Ruggero zjawił się przy Fontannie Rydwanu w towarzystwie dwóch kamratów. Byłem rad, że spotykamy się na Wielkim Forum, gdzie nie brakowało żołnierzy z kohorty miejskiej.

- Proszę - powiedział, podając mi złożony arkusz pergaminu. Przeczytałem szybko w gasnącym świetle. List był napisany maczkiem,

ale czytelnie. Uznałem, że jest w porządku. Ruggero wprawdzie nie podał szczegółów podjętych prób, lecz opisał charakter zlecenia i podał nazwisko Bernadetty de Trevalion. To wystarczy.

- Czy dołączysz odcisk kciuka, messire?

Ruggero spojrzał spode łba.

- Gdzie moje pieniądze?

Eamonn podszedł, podrzucając ciężką sakiewkę. Uniosłem brwi.

- Odcisk kciuka, messire. Dla pewności.

Marudził, ale to zrobił. Odkorkowałem buteleczkę atramentu, którą przyniosłem w tym celu, i Ruggero odcisnął kciuk na dole strony.

- Dziękuję - powiedziałem, kiwając głową na Eamonna.

Ruggero przyjął sakiewkę i rzucił okiem na zawartość, po czym podał ją jednemu ze swoich ludzi.

-Przeliczę później - oznajmił. - Jeśli będzie za mało, niebawem o mnie usłyszysz.

Dmuchałem na odcisk kciuka, żeby prędej wysechł.

- Jest akurat.

- D'Angelinie... - zaczął. Uniosłem głowę.

-Jeśli nie dotrzymasz słowa, jeśli przyjdą po mnie strażnicy z waszej ambasady, umrzesz. Obiecuję ci to. Nie mając nic do stracenia, podejmę działania z za krat, użyję wszelkich dostępnych środków. Każdy bandyta, każdy pozbawiony skrupułów najemnik, każda pokojówka i kucharka gotowe przyjąć łapówkę staną się twoimi wrogami. Wydam ostatnią sestercję, bylebyś stracił życie.

- Niech tak będzie.

Ruggero niespodziewanie wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Z drugiej strony, jeśli dotrzymasz... - Wzruszył ramionami. - Możesz uważać mnie za przyjaciela. Jeśli masz wrogów w Tyberium, z przyjemnością znowu ubiję z tobą interes.

To rzekłszy, odszedł ze swoimi towarzyszami. Razem z Eamonnem patrzyliśmy za nimi, dopóki nie zniknęli.

Sprawdziłem odcisk kciuka. Inkaust wysechł, więc złożyłem list i schowałem go w zanadrze wamsu.

- Co zamierzasz z tym zrobić, Imri? - zapytał z zaciekawieniem Eamonn.

- Nie wiem - odparłem. - Jeszcze nie zdecydowałem.

- Jestem pewien, że to będzie interesujące. - Zmierzył mnie wzrokiem. - Naprawdę mam nadzieję, że pewnego dnia będziesz mógł mi powiedzieć, o co chodzi z tą tajemnicą.

- Ja też. Wierz mi, ja też.

Po ubiciu interesu z Ruggerem Caccinim zniknęło wszechobecne poczucie zagrożenia. Cieszyłem się z załatwienia sprawy, choć raz na moich warunkach. Nie miałem pojęcia, czy Gildia o tym wie, i wcale o to nie dbałem. Nie zrobiłem niczego, żeby ujawnić ich istnienie, nie dałem im powodu, żeby mieli zastrzeżenia do moich poczynań. Po prostu wziąłem sprawy w swoje ręce, wykorzystując metody, jakich mnie nauczyli. Nie dostałem żadnej wiadomości od Klaudii i nie powziąłem starań, żeby się z nią skontaktować. Byłem zadowolony z obecnego stanu rzeczy.

Wciąż czułem się omotany, ale węzeł się rozluźnił.

Rankiem chodziłem z Anną odwiedzać Gilota. Pod pewnymi względami jego stan się poprawiał. Ale cierpiał. Oddychanie sprawiało mu ból. Bolały go nie tylko żebra, coś kłuło go w głębi klatki piersiowej. Odlamek kości, powiedział kapłan. Pozostawiony w spokoju, może przyrośnie do żeber. Albo może przesunie się i go zabije. Nie pozostało nic innego, jak tylko się modlić.

Modliłem się.

Popołudniami spotykałem się w winiarni z kolegami studentami. Próbowaliśmy rozmawiać, pozbawieni przewodnictwa mistrza Piera. Zostało nas niewielu - Eamonn, Brygitta i Lucjusz, Akii z Umajjatu i cichy, zamyślony Tyberianin Vernus. Zamieszki zebrały swoje żniwo i wielu studentów odeszło.

Brygitta była zła - zła na uczestników zamieszek, zła na restauratorów i zgromadzenie obywateli, zła na mistrza Piera.

- Dlaczego on nas karze? - wybuchła pewnego popołudnia. - To nieuczciwe!

- Dlaczego zakładasz, że to kara? - zapytał łagodnie Lucjusz. - Żaden z mistrzów nie spotyka się ze swoimi studentami.

Lucjusz wziął na siebie złożenie wizyty mistrzowi Piero w jego rezydencji, żeby sprawdzić, czy nic mu nie jest i czy czegoś mu nie brakuje. Szanowałem go jeszcze bardziej po nocy zamieszek, i nie tylko dlatego, że pomógł mi ocalić życie. Zmienił się od czasu, gdy go poznałem, tamten niefrasobliwy szlachcic gdzieś przepadł.

Brygitta spiorunowała go wzrokiem.

- Tobie jest wszystko jedno! Ja niebawem muszę wyjechać.

- Dlaczego? - zapytałem. - Dlaczego nie możesz zostać dłużej?

- Nie zrozumiesz - mruknęła. - Jesteś mężczyzną i możesz robić, co chcesz. Rozłożyłem ręce.

- Spróbuj.

To Eamonn namówił ją do opowieści, jak z pomocą matki wbrew woli ojca przyjechała pobierać nauki do Tyberium. Należała do Manni, plemienia z południa Skaldii - mają długą historię utrzymywania kontaktów z Caerdicci i uchodzą za najbardziej cywilizowanych wśród Skaldów, choć oczywiście poszli na wojnę z Waldemarem Seligiem. Pamiętam, jak Fedra mówiła, że jeden z nich zaniósł list od mojej matki do Seliga, dzięki czemu odkryła prawdziwą głębię zdrady Melisandy.

Ojciec Brygirty gardził wszystkim, co nieskaldyjskie, ale matka miała bardziej praktyczne podejście. Chciała, by w przyszłości ich osada nawiązała jeszcze szersze kontakty z innymi narodami. Dlatego wzięła udział w spisku córki i zgodziła się na jej wyjazd do Tyberium, pod warunkiem, że nie zostanie tam dłużej niż sześć miesięcy. Jeśli przekroczy termin, przyjedzie po nią brat, Leidolf.

- Dlaczego tak bardzo chciałaś tu przyjechać? - zapytałem ją.

- Zadajesz mnóstwo pytań. - Brygitta obracała w rękach kubek z winem. - Ponieważ chcę zrozumieć, D'Angelinie. - Uniosła głowę z zaciętym wyrazem twarzy. - Dlaczego jest tak, a nie inaczej. Dlaczego poszliśmy na wojnę. Dlaczego przegraliśmy. Nie wiesz, co to znaczy dorastać w cieniu kłęski. Zawsze jest, zawsze wisi nad nami. Dlaczego? Dlaczego ludzie są tacy, jacy są?

- Właśnie, dlaczego? - mruknął Lucjusz. - Mieliśmy być scholarami, poszukiwaczami prawdy. A jednak... - machnął ku drzwiom winiarni i ulicy za nimi - spójrzcie, jak szybko uciekliśmy się do przemocy.

- Ty nie - przypomniał mu Eamonn. - Ty występowałeś przeciwko.

- Nóż tak. - Uśmiechnął się krzywo. - Tuż przed tym, jak przeciwnik rzucił mną o ścianę, Księżę Barbarusie. Wielce skuteczne wystąpienie

- W bitwie jest honor. - Akil wypił wino i trzasnął kubkiem o stół. Ściągnął jastrzębie brwi. - Tak wierzy mój lud, i ja też w to wierzę. Nawet mistrz Piero przyznaje, że honor jest cnotą, czyż nie?

- Oczywiście, jeśli bitwa jest honorowa - zaznaczył Eamonn. - A jeśli nie jest?

- I kto o tym decyduje? - dodał Vernus.

- Skaldia próbowała polepszyć swój los - rzuciła zapalczywie Brygitta. - Waldemar Selig pragnął lepszej przyszłości dla swojego ludu. Czy to złe? Ja mówię, że nie. Można potępiać środki, ale czy powiecie, że to nie była honorowa sprawa?

Lucjusz lekceważąco machnął ręką.

- Nie można oddzielać środków od sprawy, Brygitto. Może w teorii, na pewno nie w praktyce. Tutaj mamy do czynienia z realiami. - Jego wzrok spoczął na mnie. - Co powiesz, Montrève?

- Nie wiem - odparłem powoli. Zbyt wiele tego, zbyt wielu przy stole. I wiedziałem zbyt wiele. - Ja też chcę zrozumieć. Tak, Skaldowie wybrali złą drogę. Ale... - Z trudem przełknąłem ślinę, bo coś ścisnęło mi gardło. - Ale zostali wprowadzeni w błąd. Waldemar Selig dał się zwieść tym, którzy zagrali na jego pragnieniach, na jego ambicji. - Twarz matki unosiła mi się przed oczyma, nieubłagana i piękna. Zadrzałem na jej wspomnienie.

Widziałem ją tylko dwa razy. Za pierwszym byłem dzieckiem. Wierzyłem w to, co powiedział mi brat Selberr, i kochałem ją.

Drugim razem... za drugim też byłem dzieckiem, po Daršandze, gdy Fedra mnie do niej zabrała. Miała wtedy łzy w oczach. Oczy mojej matki, głębokie i błękitne jak zmierzch. „Czy ty w ogóle wiesz, jak wyglądasz?” - zapytała mnie Eryteja. Wiedziałem. Dlatego nie przepadałem za lustrami.

Melisanda.

- To prawda. - Vernus ściągnął brwi. - W samej Terre d'Ange zawiązano jakiś spisek, prawda? Stało się to, zanim się urodziłem. Nigdy do końca nie rozumiałem, co się wydarzyło albo dlaczego.

Eamonn spojrział na mnie i chrząknął.

- Może porozmawiamy o tym kiedy indziej. Wojna zakończyła się przed naszymi narodzinami, lecz troje z nas przy tym stole jest jej dziećmi, i to bolesny temat.

- Szanuję smutek pani. - Akil skłonił głowę przed Brygittą. - Ale dlaczego temat miałby być bolesny dla ciebie, Dalriado? Albo dla niego. - Wskazał na mnie. - Wygrałście.

-Nigdy nie byłeś w bitwie? - zapytał Eamonn. - Żadne z was?

Lucjusz i Vermis pokręcili głowami, Brygitta też, niechętnie. Ja milczałem. Eamonn dobrze wiedział, czego byłem świadkiem, choć sam nie miałem pewności, czy masakrę w Daršandze można nazwać bitwą.

-Przyjąłem trzy wyzwania do walki na miecze, żeby zasłużyć na prawo przyjazdu do Tyberium. - Akil podciągnął rękaw, żeby pokazać bladą bliznę na brązowej skórze przedramienia. Błysnął jednym z nieczęstych uśmiechów. - Ojciec urwie mi głowę, gdy się dowie, że studiowałem u mistrza Piera, zamiast się uczyć dyplomacji.

-Wyzwania jeden na jednego? - zapytał Eamonn.

Akil pokiwał głową.

-To nie to samo. - Eamonn nalał wszystkim wina. - Kiedy miałem szesnaście lat, wybuchł spór między naczelnikiem klanu Dalriadów i naczelnikiem klanu Tarbh Cró z północy. - Wzruszył ramionami. - Zwykły spór o ziemię, ale jest tam zła krew, stara krew. Cruarcha zaproponował mediacje i przysłanie wojska, lecz moja matka odmówiła. Dla nas, Dalriadów, ważne jest zachowanie niezależności. Tak więc poszliśmy na wojnę.

Siedziałem cicho, gdy opowiadał. Słyszałem już tę historię. Eamonn zabił dwóch ludzi i wyszedł z bitwy bez szwanku, ale widział, jak giną towarzysze.

-Jest w tym chwała - przyznał. - *Dagda Mor!* Dlatego lubię walczyć. Kiedy opadnie cię szal bojowy, czujesz się niczym bóg, jak myślę. - Umilkł, rozpamiętując. - Ale nagle słyszysz w bitwie głos przyjaciela, który cię błaga o pomoc, widzisz trzewia wylewające się przez dziurę w brzuchu i nie możesz mu pomóc, bo ktoś chce cię zabić i musisz się bronić. Chwilę później tratujesz trupa i uświadamiasz sobie, że ten człowiek uczył cię polować, gdy miałeś dziesięć lat. Widzisz kobietę, która niedawno wyszła za mąż, przeszytą włócznią, padającą na zwłoki męża. - Wszyscy słuchali w milczeniu. Eamonn pokręcił głową. - A kiedy jest po wszystkim, oni zostają martwi. Zwycięstwo nie ma znaczenia ani dla poległych, ani żywych, którzy ich oplakują.

Nikt nic nie mówił.

-Tak. - Eamonn odetchnął głęboko. - Oto dlaczego wojna jest bolesnym tematem, nawet dla zwycięzców. I oto dlaczego tu jestem, próbując *nabrać* mądrości.

Lucjusz uniósł kubek.

- Święte słowa.

Nazajutrz rozeszła się wieść, że uniwersytet otwiera podwoje, i Lucjusz poszedł sprawdzić, czy mistrz Piero poprowadzi zajęcia. Nie zastał go, ale list przypięty do drzwi gabinetu nakazywał studentom, by wczesnym rankiem stawili się na targu rzeź-

ników. Lucjusz przekazał nam wiadomość. Umówiłem się z Anną, że tego dnia później odwiedzimy Giloata.

Mistrz Piero wybrał dziwne miejsce na spotkanie. Na targu rzeźników nie ma sklepów w podcieniach, jak na forach, gdzie tyberyjskie gospodynie robią zakupy. To targ pod gołym niebem, sąsiadujący z rzeźniami, gdzie pasterze i rolnicy spędzają stada na sprzedaż. Nie jest to miejsce odwiedzane dla przyjemności i trudno sobie wyobrazić, dlaczego mistrz Piero je wybrał. A jednak poszliśmy.

Nawet o wczesnej porze panował tam straszny smród i hałas. Świnie kwiczały, bydło ryczało, kozy beczwały żałośnie, a drób wszelkiego rodzaju podnosił wrzask. W powietrzu unosił się zapach zwierząt, łajna i piór. Handlarze i sklepikarze targowali się z właścicielami, nieprzerwany strumień zwierząt płynął do szlachtuza.

I tam, pośrodku tego zamętu, mistrz Piero czekał z rękami schowanymi w rękawy togi.

Wydawał się chudy i znużony, ale oczy miał jasne i na jego twarzy malował się spokój. Zaczekał, aż wszyscy się zgromadzimy - sześcioro, którzy pozostali - i wtedy poleciał:

- Chodźcie ze mną. I patrzcie.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył przez targ. Wymieniając spojrzenia, wzruszyliśmy ramionami i poszliśmy za nim.

Nie była to przyjemna przechadzka. Dopóki nie zrozumiałem, co mamy zobaczyć wedle mistrza Piera, traktowałem wycieczkę jak jedną, z giet pamięciowych Fedry. Liczyłem gatunki zwierząt, słuchałem kakofonii głosów, zwracając uwagę na akcent i dialekty. Zapamiętywałem twarze, wzrost i wagę, stroje. Widziałem, jak ludzie patrzą w naszą stronę, po czym wracają do swoich spraw. Nie byliśmy tu mile widziani, mistrz Piero w todzie i stadko studentów za jego plecami, ale jakoś znoszono naszą obecność. Jakżeby inaczej? Byli zbyt zajęci, żeby tracić na nas czas.

Mistrz Piero wiódł nas krętą ścieżką przez targ do samych rzeźni, nie zwracając uwagi na nieufne spojrzenia, z powagą na twarzy uważnie przyglądając się wszystkiemu, co widział.

Nigdy dotąd nic byłem w rzeźni i nigdy więcej nie muszę tam zaglądać. Krzepcy mężczyźni zajmowali się pracą, zbryzgani krwią po ramiona. Błyskały topory, zwierzęta ryczały i umierały. Wieszano tusze, żeby spuścić krew, i czerwone rzeki spływały kamiennymi korytami, jak w Daršandze. Walczyłem z falami mdłości.

- Dobrze się czujesz? - zapytał cicho Eamonn, podtrzymując mnie za łokieć. Bez słowa skinąłem głową.



-To tylko inwentarz - rzuciła z irytacją Brygitta. Lucjusz też wyglądał trochę blado.  
-Na taką skalę to przytłaczające, pani.

Milczałem. Oczywiście jest wielka różnica pomiędzy zarzynaniem świni i kobiety, a jednak krew tak samo tryska z przeciętego gardła. Wolałem, żeby mi o tym nie przypomniano. Jak sam byłem tego bliski, znacząc sztyletami szyję podżegacza podczas zamieszek? Nie chciałem nawet o tym myśleć.

- Przywiodłem was, żebyście zobaczyli ludzi - powiedział mistrz Piero swym łagodnym głosem.

Tak więc patrzyliśmy na ludzi, prawie samych mężczyzn. Wykonywali swoje obowiązki z brutalną skutecznością. Dźwigali tusze, odzierali je ze skóry, rozcinali na mniejsze części. Chodzili po rzeźni z ćwiartkami tusz na ramionach. Przerzucali łopatkami trociny przesiąknięte krwią, szczynami i łajnem.

Mistrz Piero skinął ręką.

- Chodźcie. Poszliśmy.

Tego dnia zabrał nas na długą wycieczkę, dłuższą, niż mogliśmy przypuszczać. Z targu rzeźników poszliśmy na nabrzeże, gdzie patrzyliśmy, jak tragarze wyładowują towary pod okiem kupców, pełnych nadziei i obaw. Przynajmniej tutaj powietrze miało lepszy zapach, choć sam wcale nie czułem się lepiej. Słońce wznosiło się coraz wyżej, moją kostkę przenikał pulsujący ból, doskwierało mi oparzenie na ramieniu.

Byliśmy też w innych miejscach. Jakiś czas szliśmy za tyberyjską patrycjuszką w lektyce; lektykarze pocili się pod ciężarem, zachowując stoickie **miny**. Odwiedziliśmy termy, gdzie patrzyliśmy na pracujących łaźiebnych, którzy obrzucali nas nieufnymi spojrzeniami. Zajrzeliśmy do pralni, gdzie zaczerwienione kobiety łopatkami o długich trzonkach mieszały w wielkich kadziach.

Obserwowałem ludzi i obserwowałem mistrza Piera, który ani na **chwilę** nie zmienił wyrazu twarzy. Patrzyłem, jak moi koledzy reagują zmęczeniem, zakłopotaniem i złością.

- Wystarczy! -To Akil się sprzeciwił, na obrzeżach dzielnicy farbiarzy. Miał rozdęte nozdrza, choć nie wiem, czy od smrodu, czy z gniewu. -Mistrzu, chcę wiedzieć, jaki w tym sens?

Mistrz Piero przyjrzał mu się i szybko obrócił na pięcie.

- Chodźcie, a wam powiem.

Na szczęście, tym razem zaprowadził nas do niewielkiego parku. Stała tam tablica z inskrypcją informującą, że park jest darem Jego Wysokości Kajusa Maksymiusza, piątego *princepsa* miasta-państwa Tyberium, Płyta była skromna, niczym niezdobiona, co

sprawiło, że dobrze pomyślałem o Kajusie Maksymiuszu. Posłuszni zaproszeniu mistrza Piera, rozłożyliśmy się na trawie pod wierzbą, która opuściła witki nad niewielkim stawem.

Przynajmniej był cień. Potarłem bolącą kostkę, tłumiąc westchnienie ulgi.

- *Dagda Mor!*- szepnął Eamonn. - Konam z głodu.

- Sza! - Brygitta spojrzała na nas z groźną miną. Mistrz Piero czekał, gdy zajmowaliśmy miejsca.

- Dziś chciałem wam coś pokazać - powiedział w końcu. - Czy wiecie, co to takiego?

- Cokolwiek to było, śmierdziało - mruknął Akil.

-Tak. - Mistrz Piero spojrzał na niego. - Śmierdziało. Śmierdziało ludźmi, krwią, potem i ciężką pracą. - Stał przed nami, z dłońmi wsuniętymi w rękawy. - Pościłem - mruknął z zadumą. - Od czasu zamieszek Tylu studentów, tyle złości! Dlaczego?

- Mistrzu! - zaprotestował Vernus. - Uniwersytet...

- Uniwersytet jest gmachem z cegły i kamienia. Niczym więcej. Lucjusz ściągnął brwi.

-Tak, ale... tak, mistrzu. Nie chodzi o gmach, nie, lecz o to, co zawiera. Wiedzę. Mądrość. Przywilej ich poszukiwania.

-Czy mądrość umrze bez dachu nad głową? - zapytał łagodnie mistrz Piero.

Pomyślałem o Canisie, pomyślałem też o Dżebe-Barkal i o Sabie. O zerwanym przymierzu mądrości.

- Nie, panie - powiedziałem głośno. - Ale umrze, jeśli nie będzie przekazywana, z ust do ucha, z pokolenia na pokolenie. Temu służy uniwersytet.

Liczy się instytucja, a nie budowla. Myślę, że to chciał powiedzieć Lucjusz - dodałem z przepaszającym spojrzeniem w jego kierunku. Lucjusz tylko skinął głową.

-W istocie, - Spojrzenie mistrza Piera złagodniało. - A jednak, jakim kosztem? - Uniósł rękę, widząc wojowniczą minę Brygitty. - Nie chcę nikogo obwiniać. Wierzę, że postępowaliście zgodnie zasadami i pozostaliście wierni cnotom, które zgodziliśmy się cenić. A jednak wielu, bardzo wielu studentów rozgniewało się na zgromadzenie obywateli za popieranie proponowanego dekretu.

-A nie powinniśmy? - zapytał z niekłamaną konsternacją Vernus. -A ty?

-Nie. - Mistrz Piero pokręcił głową. - Sprawili mi zawód senatorzy, którzy wzywają do restauracji kosztem wiedzy, bo powinni być mądrzejsi Zgromadzenie obywateli to

zupełnie inna sprawa. - Wskazał na nas. - Vernusie, twój ojciec jest edylem, prawda? Lucjuszu, całe Tyberium wie, że twoja siostra jest żoną senatora, a twoja rodzina ongiś władała Lukką. Matka Eamonna rządzi jego ludem. Brygitto, twój ojciec jest naczelnikiem osady. Akilu, twój ojciec jest sadzedem i zajmuje honorowe miejsce wśród Uma-ijjatów. A Imriel... - urwał. - Ty zostałeś adoptowany przez szlachecki dom D'Angelinów.

- Co to ma do rzeczy? - zapytał Akil.

- I co mieliśmy zobaczyć? - mruknęła Brygitta.

- Życie. - Przypomniałem sobie, co powiedział Canis. - Ludzi cuchnących jak psy. Dlaczego los uniwersytetu nie ma znaczenia dla zgromadzenia obywatelskiego. I dlaczego nie mamy prawa za to nimi gardzić, nimi, którzy robią to, przed czym my się wzbraniamy. Mam rację, mistrzu?

Mistrz Piero patrzył na mnie spokojnie.

- Czy świadomość, że masz rację, sprawia ci przyjemność, Imrielu nó Montrève? Czy sądzisz, że to tylko ćwiczenie?

- Nie, mistrzu! - Ten atak wydał mi się nieuczciwy. Wszak pomagałem mu dowieść racji. Wyprostowałem się, siedząc ze skrzyżowanymi nogami. Po chwili skłoniłem głowę, trzymając na wodzy ponoszący mnie temperament. - Wybacz mi, panie, i nie poskąp rady.

Westchnął, wsuwając dłonie w rękawy.

- Nie przywiodłem was tutaj dla dawania rady, tylko żebyście pomyśleli o tym, co dziś widzieliście. Życie ciężko pracujących obywateli, których wasi koledzy studenci potraktowali z pogardą, i jeszcze cięższe życie tych, którzy dla nich pracują, niewolników i ludzi wolnych. To prawda, niewiele ich obchodzi uniwersytet. Dlaczego miałby obchodzić, skoro nie mają pieniędzy na czesne i czasu na próżne studiowanie? Dlaczego, skoro większą korzyść przynosi im handel niż hałast paniczów z chudymi trzosa-  
mi?

- Nó tak. - Lucjusz się uśmiechnął. - Niektórzy z nas są rozrzutni.

- W istocie. - Mistrz Piero w zasadzie nie odwzajemnił uśmiechu, ale dostrzegłem przelotny cień na jego ustach. Najwidoczniej, pomyślałem z pewnym rozdrażnieniem, Lucjusz jest jego ulubionym uczniem. - Ty robisz swoje, Lucjuszu Tadiuszu.

- Ale... - Brygitta przymrużyła niebieskie oczy - mistrzu, czy mówisz, że pochwalasz zamknięcie uniwersytetu?

- Nie, dziecko - odrzekł łagodnie. - Nie słuchałaś. Mówię, że pochwalam studentów wnikających głębiej w sprawy, które poruszają ludzkie serca. Mówię, że wszyscy tutaj

jesteście dziećmi bogactwa i władzy. - Uśmiechnął się. - Może nie musicie tu i teraz korzystać ze swoich przywilejów, ale przysługują wam one z tytułu urodzenia. Kiedy zaczniecie rządzić, chcę, żebyście mądrze sprawowali władzę.

To rzekłszy, odprawił nas tego dnia.

Dyskutowaliśmy o jego lekcji przez całą drogę powrotną do dzielnicy studenckiej; wszyscy z wyjątkiem Eamonna, który oznajmił, że głód odbiera mu zdolność logicznego rozumowania. Akil się obruszał, a Brygitta nie kryła zaniepokojenia, przejęta tylko zagrożeniem uniwersytetu. Vernus mówił niewiele, podczas gdy Lucjusz rozpatrywał obie strony sprawy. Był w tym dobry, choć czasami, jak sadzę, robił to tylko dla popisania się przenikliwością.

Ja zaś czułem brzemień niejasnego poczucia winy.

Oczywiście nie było to niczym nowym. Bez względu na wszystko, czego dokonałem, wciąż oszukiwałem przyjaciół; okłamywałem mistrza Piera. Uniki są bliskimi krewniakami kłamstwa, powiedział, a ja byłem ich pełen.

Po powrocie do insuli zobaczyłem Canisa, który próbował naprawić rozbitą beczkę. Ucieszyłem się na jego widok tak bardzo, że niemal go uściskałem.

-Canis! Żyjesz.

-A powinienem nie żyć? - zapytał uprzejmym tonem.

-Nie, oczywiście, że nie. - Pomogłem mu złożyć poluzowane klepki i osadzić obręcze rdzewiejącego metalu, przywracając beczce podobieństwo dawnego kształtu. Przyglądałem mu się ukradkiem. Wyglądał niecodziennie czysto, czyściej niż kiedykolwiek. Siniak bladł pod jego prawym okiem i miał strupy na kłykciach lewej ręki. - Brałeś udział w bijatyce?

-A kto nie brał? - Uśmiechnął się do mnie szeroko, pokazując szczerbę po brakującym zębie. - Ostrzegłeś mnie, Imrielu. Dziękuję.

-Gdzie byłeś? - zapytałem.

Wskazał w stronę Wielkiego Forum.

-Jest tam golibroda, który pozwolił mi spać w termach, dopóki się nie uspokoim. Spałem na podłodze. Za darmo wyrwał mi ząb, choć najpierw nakazał wziąć kąpiel. - Miał zadumaną minę. - To trochę bolało.

- Rwanie czy kąpiel?

-Jedno i drugie - odparł. - Łaziebnym mocno szorował. Zaśmiałem się.

- Canisie... nie musisz mieszkać w beczce. Może spytam o izbę w in-suli? Mam pieniądze, z radością zapłacę.

-Nie! - Szeroko otworzył brązowe oczy. - Proszę, nie. -Dlaczego nic?

Odwrócił wzrok, nieświadomie poruszając zuchwą, badając językiem miejsce po brakującym zębie.

-Bo to odebrałoby mi wolność - rzekł w końcu. - A ja ją lubię, Imrielu. Bardzo lubię. Żyję dzięki życzliwości innych i codziennie tyle widzę, tyle się uczę. A jednak nikomu nie jestem dłużny i nikt nie jest moim dłużnikiem. Jestem panem mojego życia. - Spojrzał na mnie, niewinnie i szczerze jak dziecko. - Czy nigdy nie chciałeś być wolny? Nie chciałeś wyzbyć się swojego nazwiska, zapomnieć o tym, kim jesteś?

-Niej raz i nie dwa - odparłem cierpko.

Canis się rozpromienił.

-Zatem rozumiesz!

-Tak. - Westchnąłem. -I nie. - Poklepałem go po ramieniu. - Mniejsza z tym. Rad jestem, że widzę cię w dobrym zdrowiu. Martwiłem się. -Jesteś bardzo miły.

Pomyślałem o swojej niedawnej przygodzie ze szruką szantażu i wymuszania. Pomyślałem o Klaudii i o naszej dzikiej namiętności, i o czających się za nią cieniach. Dom Waleriany i Sefira w pętach, szamocząca się, gdy ucałował jej skórę. Pożegnanie z Sydonią, ściskanie jej ramion dość *MOCNO*, by zostały siniaki. Fedra, wyraz jej oczu, gdy uznaliśmy wzajemnie, kim jesteśmy, w tym jednym uderzeniu serca, zanim ją odepchnąłem. Ach,, Eluo! Pragnienie, zawsze pragnienie. I działanie, niebaczne i impulsywne. Gilot z wyciągniętym mieczem, stojący w mojej obronie na obrzeżach Progu Nocy, gdy omal nie stratowałem grupy rozgniewanej szlachty. Gilot chory na morzu; Gilot przestraszony w dokach Ostii, obcy daleko od domu. Gilot w świątyni Asklepiosa, pobity i okaleczony, ofiara mojej bezrozumnej i upartej dumy.

- Nie - powiedziałem. - Ale się staram.

Canis przekrzywił głowę, patrząc na mnie bacznie. Zbłąkany promyk słońca oświetlił jego twarz, przemieniając ją na chwilę w pozłacaną maskę. Gęste czarne włosy miał poskręcane po myciu, już nie proste i tłuste. Skrzyły się w nich drobiny kurzu. Żrenice skurczyły się w świetle, już nie niewinne.

- Co więcej możemy zrobić? - zapytał cicho. - Może wystarczy się starać.

Wzruszyłem ramionami.

- Miejmy nadzieję.

# CZTERDZIEŚCI PIĘĆ

---

Życie w Tyberium wróciło do normy.

W każdym razie prawie. Liczba studentów mistrza Piera zmalała. Z początku nie byłem pewien, bo nie sprawdzał obecności i nie wszyscy zawsze przychodzili na zajęcia, ale po paru dniach poznaliśmy prawdę. Straciliśmy Akila i Vernusa, którzy przenieśli się do innych mistrzów, takich, których nauki okażą się bardziej przydatne w rozwoju ich przyszłej kariery. To trochę mnie zaskoczyło. Nie decyzja Akila, który, jak wiedziałem, był skonsternowany. Zaskoczył mnie Vernus, bo myślałem, że ceni sobie lekcje mistrza Piera.

I byłem zaskoczony, że na przekór wszystkiemu Lucjusz Tadiusz został.

Powiedziałem mu to pewnego wieczoru w winiarni.

- Dlaczego? - zapytał, kołysząc się lekko na stołku. Był pijany; wszyscy byliśmy pijani. Rozbłysły mu piwne oczy. - Dlaczego tak mówisz?

Wzruszyłem ramionami.

- Jesteś poważniejszy niż wtedy, gdy się poznaliśmy. To wszystko.

- Jestem bardzo poważny. - Lucjusz wskazał mnie palcem. - Poważny jak śmierć, Montrève. Za niespełna miesiąc ożenię się i obejmę obowiązki w Lukce. Chciałem zabawić się w Tyberium. Co ci mówiłem? Mówiłem, że mistrz Piero jest najczystszej wody naturalnym filozofem od czasów helleńskiego Sokratesa. Wtedy w to wierzyłem, i wierzę w to teraz. A ty?

- Prawie - odparłem, myśląc o Canisie.

- Prawie? - prychnął drwiąco. - I ty śmiesz się mnie czepiać? - Panowie, proszę - zadudnił Eamonn. - To nie konkurs. - Siedział w niedbalej pozie, z muskularnym ramieniem zarzuconym na oparcie krzesła Brygitty.

Na dobre czy na złe, wydawało się, że są parą. Brygitta jeżyła się jak zawsze, aczkolwiek teraz jej nieufność nie obejmowała Eamonna. Choć nie było to zdradą, miało taki posmak.

- Nikt tego nie mówił - zaznaczyłem. - Tylko rozmawiamy.

Lucjusz pokiwał głową.

-Uważaj, Księżę Barbarusie.

Zaśmialiśmy się obaj, gdy Eamonn obrzucił nas znaczącym spojrzeniem i poszedł napełnić dzban wina. Bardzo lubiłem Lucjusza. Im lepiej go poznawałem, tym bardziej go lubiłem. Czasami żałowałem, że nie można przeszczepić jego charakteru w ciało Klaudii, jak ogrodnicy szczepią rośliny, żeby stworzyć nową odmianę łączącą najlepsze cechy.

- Co z tobą? - zapytał Lucjusz, gdy Eamonn wrócił. - Brygitta ma rację, zadajesz wiele pytań. Ale, Montrève, stajesz się małomówny, gdy dochodzi do rozmowy o tobie.

-Niewiele mam do powiedzenia - zapewniłem.

Eamonn parsknął po drugiej stronie stołu.

Lucjusz uniósł brwi.

-Trudno mi w to uwierzyć. Wiem, jak znalazłeś mistrza Piera, ale co pierwszym rzędzie sprowadziło cię do Tyberium? Co cię skłoniło do *PRZYJAZDU* w tych czasach, gdy tak wielu D'Angelinów odwraca się od Uniwersytetu?

Wodziłem palcem po krawędzi kubka, zastanawiając się, co powiedzieć.

-Wiele powodów. Eamonn. Chciałem z nim studiować, rozmawialiśmy o tym, gdy przebywał w Terre d'Ange. Chciałem też pójść śladami Aniafiela Delaunaya i dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

-Pamiętam. Sztuka szpiegowania, prawda? Wspomniałeś o tym na przyjęciu u Dekusa. Dowiedziałeś się czegoś?

Poczułem rumieńce na twarzy i ucieszyłem się, że w winiarni panuje półmrok. Ze wspomnieniem o przyjęciu napłynęły niepokojące myśli o Klaudii. Wydawało się, że minął długi czas, odkąd tak pochopnie rozmawiałem z nią o sprawach dotyczących Niewidzialnej Gildii.

- Nie - odparłem krótko. - Najpewniej to tylko rodzinna legenda.

- Szkoda - mruknął. - Miło byłoby wiedzieć. - Lucjusz spojrzał na mnie bacznie. - Więc jaka jest twoja rodzina, Montrève? Bogowie świadkiem, ja powiedziałem ci sporo o mojej, o duchach i tak dalej. - Zaśmiał się. - Przed jakimi rodzinnymi obowiązkami uciekasz?

Eamonn włączył się do rozmowy.

- Lucjuszu...

- Nie. - Podniosłem rękę, żeby go powstrzymać. - Nic nie szkodzi. To tylko... Lucjuszu, są pewne sprawy, o których wolałbym nie dyskutować.

Zapadło krępujące milczenie.

- Dobrze - rzekł w końcu Lucjusz, zdziwiony i wyraźnie zraniony. - Przestanę cię nękać niewygodnymi pytaniami. - Odepchnął krzesło i wstał. - Wiesz, Montrève, cieszę się z twojej przyjaźni, ale cenilibym ją bardziej, gdybyś pozwolił mi ją odwzajemnić.

Uklonił się dwornie i wyszedł. Z westchnieniem napiłem się wina. Znów udało mi się zranić i potraktować niesprawiedliwie kogoś, kto dobrze mi życzył; moje poczucie winy powiększała świadomość, że mam namiętny romans z jego siostrą, której motywy w najlepszym wypadku są podejrzane, a może wręcz niebezpieczne.

- Przepraszam - mruknął Eamonn. Pokręciłem głową.

- Nie twoja wina.

- Czy była to sprzeczka kochanków? - zaciekawiała się Brygitta. - Lucjusz lubi mężczyzn.

- Nie - odparłem. - I nie.

- Eamonn mówił, że w Terre d'Ange... Podniosłem głos.

- Racz się zamknąć!

Umilkła, raczej ku mojemu zaskoczeniu. Kilku innych klientów wytrzeszczyło oczy, potem odwróciło wzrok. Co się stało z moją d'angelińską uprzejmością, której zasady wpoila mi Fedra? Kiedyś miałem maniery adepta Dworu Nocy. Teraz wydawało się, że potrafię tylko popełniać gafy i krzywdzić tych, na których mi zależy. Mistrz Piero chciał nas nauczyć współczucia i mądrości, a ja nie umiałem pomóc nawet żebrakowi na ulicy.

Lekcje Klaudii i intrygi Gildii poskutkowały. Byłem taki dumny z siebie, że używam ich narzędzi do rozwiązania własnego problemu, taki zadowolony z powodzenia. A teraz wychodziło na to, że jestem lepszy w spiskowaniu, kłamaniu i zadawaniu się z bandziorami pokroju Ruggeta Cacciniego, niż w pielęgnowaniu przyjaźni. Wiele rozmawialiśmy o cnotach, lecz w moim życiu było ich niewiele.

- Imrielu - zaczął Eamonn łagodnym tonem - idź do domu i połóż się spać. Biorąc wszystko pod uwagę, zamartwianie się o GiJota i... cokolwiek to jest, jesteś wykonany. Idź.

Miał rację i był zatroskany. Widziałem to w jego oczach. Był przyjacielem, moim jedynym prawdziwym przyjacielem. Fedra nazwała tak Hiacynta i zaczynałem pojmować wartość przyjaźni. Już kiedyś zwierzyłem się Eamonnowi, a on zaufał mi na tyle,



by służyć pomocą bez żądania odpowiedzi. Chciałem zostać, chciałem otworzyć przed nim serce i powiedzieć mu wszystko. Ale obok niego siedziała Brygitta, wciąż wrząca z gniewu. Poza tym wisiała nade mną groźba Klaudii, poparta przez zmorę Niewidzialnej Gildii, zdolnej do wywołania zamieszek. Może jej macki nie sięgały do Alby, ale tutaj, w Tyberium, mogły stanowić prawdziwe zagrożenie. Tyle się dowiedziałem.

Poszedłem.

Rankiem postanowiłem opuścić wykład mistrza Piera i udałem się z Anną do świątyni Asklepiosa.

Stan Gilota się poprawiał, co było jedynym promykiem nadziei w moim życiu. Opuchlizna wokół oczu zeszała i siniaki spłwiałały do zielonkawych żółcieni; wyglądał, jak-by nosił dziwną maseczkę domino w chorobliwych odcieniach. Mógł skakać na jednej nodze, choć bolało go w piersi, ilekroć wziął głęboki oddech.

Jego ręka... cóż. Kapłan powiedział, że miną tygodnie, zanim będzie można zdjąć łubki, i nie było wiadomo, co wówczas zobaczymy. Ale polepszało mu się, choć miał nowy powód do narzekań.

-Na Eluę! - Gilot się krzywił, próbując wsunąć patyczek pod opatrunek na rękę. - Swędzi.

Anna trzepnęła lekko w patyczek.

- Zostaw, Gilocie.

- Swędzi! - powtórzył żałośnie.

-Jesteś równie nieznośny jak Joscelin. - Uśmiechnąłem się do niego, siedząc na stołku przy łóżku. - Kiedy chirurg w Niniwie opatrzył jego złamaną rękę, dał Fedrze maść do smarowania skóry po zdjęciu łubków. Musiała ją schować, bo inaczej zerwałby łubki i smarował się.

- Joscelin. - Gilot odwzajemnił uśmiech. - Szkoda, że go tu nie ma, prawda?

- Hmm. - Pomyślałem o Daršandze, o sali biesiadnej mahrkagira, o kręgu ciał rosnącym coraz wyżej wokół Joscelina. - Nie wiem, Gilocie. Wir zamieszek porwał wielu niewinnych ludzi. A Joscelin mógłby posiać wśród nich straszliwe kasjelicckie spustoszenie.

- Mimo wszystko. - Gilot odetchnął, zakaszlał i skrzywił się z bólu. - Podziałała ta maść?

Pokiwałem głową.

- Chyba pomogła. Ale to tyberyjska lekarka nastawiła mu ramię. Nie, niezupełnie. Fedra to zrobiła, słuchając poleceń śmiertelnie rannej Drucylli, i obie płakały. Joscelin,

blady i spocony, kłął w żywy kamień, używając słów, jakich nie powinien znać żaden brat kasjelita.

„Pamiętaj o tym” - powiedziała do mnie Fedra. „Pamiętaj o jej odwadze. Pamiętaj o nich wszystkich”.

Pamiętałem.

Uznałem jednak, że Gilot nie musi wiedzieć.

Opowiedziałem im inną historię, jak Fedra połamała żebra wskutek upadku z urwiska La Dolorosa do oceanu. Ją też opatrzył tyberyjski chirurg, a ściślej biorąc Hellen, były niewolnik. Ale uczył się w Tyberium, i to poprawiło humor Gilotowi.

- Mam więc coś wspólnego z obojgiem - powiedział z zadumą.
- Zgadza się - potwierdziłem, dotykając jego zdrowej ręki.

Nie powiedziałem mu, że Fedra nigdy nie wspomina o uporczywym, kłującym bólu, który jej doskwiera przy każdym głębokim oddechu, ani że Joscelin miał złamaną lewą rękę, nie tę od miecza. Spojrzenie Anny spoczęło na mojej twarzy, pochmurne i ponure. Wiedziała, kobiety wiedzą.

- Masz opiekę, Gilocie. Wróć.

Siedziałem w zalanej słońcem grocie i rozmyślałem. Posąg Asklepiosa patrzył na wyspę, cień kładł się u jego stóp w szemrzącym źródle, wodę przeszywały złote błyski wrzuconych tam monet. Oparłem nogę na cembrowinie fontanny. Opuchlizna zniknęła z kostki i skóra miała odcienie twarzy Gilota. Wąż okręcony wokół laski szeptał Asklepiosowi radę do ucha. Wszędzie wokół wisiały ofiary wotywno. Jeszcze niedawno umiałem rozpoznać nasze, ale teraz już miałem z tym kłopot. Nowe ofiary otaczały stare. Farba na palonej glinie płowiała, kolory stawały się zgaszone.

Zdjąłem z szyi medalion Canisa, spojrzałem na niego z zadumą.

Mądrość. Czym jest mądrość? -Co to?

Uniosłem wzrok i napotkałem spojrzenie kapłana.

- Talizman na szczęście, panie - odparłem, podając mu go. - Dar od filozofa-żebra, który może być kimś więcej, niż się wydaje.

- Cynik - powiedział kapłan, widząc latarnię na glinianym krążku. Usiadł obok mnie, obracając medalion w długich, zwinnych palcach. Ściągnął brwi. - Kto ci to dał?

-Canis. - Zrobiło mi się głupio, gdy to powiedziałem. - Mieszka w beczce.

- Canis, pies. - Kapłan pochylił głowę, rozciągnął w uśmiechu okolone zarostem usta. - Proszę. Pomacaj.

Niemal się odsunąłem, bo wciąż nie lubiłem, gdy ktoś dotykał mnie bez pozwolenia. Ale poddałem się i ścierpiałem dotyk kapłana. Prowadził moje palce wokół krawędzi medalionu Canisa. Poczułem szereg nacięć.

-Kiedyś - zaczął kapłan - był ktoś taki jak ja, uzdrowiciel, kapłan, który złożył śluby Asklepiosowi. Na starość stracił wzrok. - Popatrzył na mnie z ukosa. - A jednak nadal wierzył w swoje powołanie. I leczył pacjentów, eksperymentując z różnymi metodami. Wynalazł system zapisywania, który mógł odczytywać palcami. Wszystkie jego notatki zostały przepisane, ale kiedyś widziałem jedną z jego tabliczek. Pokazał mi ją mój nauczyciel. Każdą tabliczkę zaczynał tą inskrypcją.

Włosy zjeżyły mi się na głowie.

-A co ona mówi?

Kapłan wcisnął medalion w moją dłoń, zamknął na nim palce.

- „Nie czyń szkody” - odparł. - To pierwsze, czego się uczymy. To nasze przykazanie. I to jest tu napisane. „Nie czyń szkody”.

- Canis! - syknąłem. Sieć intryg znowu się zacieśniała wokół mnie. Z rosnącym gniewem ścisnąłem medalion. - Więc bierze w tym udział. „Nie czyń szkody”? Co to ma znaczyć? Przysięgam, na Eluę, wytrąsnę z niego prawdę! - Gliniany krążek pękł mi w ręce, ostre kawałki wbiły się w moją dłoń. Spojrzałem na nie z odrazą. - Połamię mu wszystkie kości, jeśli będę musiał!

- Może jego rada nie jest taka zła - zauważył łagodnie kapłan. Jego słowa przywołały mnie do porządku.

-Wybacz - mruknąłem, wrzucając pęknięty medalion do sakiewki u pasa. - Masz rację, panie. Nie powinienem zakłócać twojego spokoju. Patrzył na mnie długą chwilę. Westchnął.

- D'Angelinie, rzadko oferuje rady tym, którzy o nie nie proszą, bo ich uszy niechętnie są słuchać. Ale to miejsce uzdrawiania. Czy go nie pragniesz?

- Co masz na myśli?

Uniósł dłoń i dotknął długim palcem mojej piersi.

- Nie wszystkie rany są ranami na ciele. Nosisz ranę głęboko w sobie, i rana się jątrzy. Czy posłuchasz mojej rady? Zostań. Spędź tę noc w świątyni i pozwól, by Asklepios pokierował tobą we śnie. To przysługa, o jaką cię proszę.

- Wiesz, kim jestem?

- Czy to ważne? - Oczy miał głębokie i ciemne jak studnie.

- Nie. - Zastanowiłem się nad tym. - Chyba nie. Skinął głową.

- W takim razie zostań.

Tak się więc stało, że spędziłem noc na Wyspie Asklepiosa i spałem w świątyni po dopilnowaniu, żeby jeden ze sług odprowadził Annę do domu. Rozumieli potrzebę zachowania ostrożności po niedawnych zamieszkach.

Było to dziwne doświadczenie. Gdy zmierzch zaczął zapadać nad wyspą, kapłan zaprowadził mnie do komnaty w świątyni, zadaszanej, ale z trzech stron otwartej na rzekę. Ciepły letni wiatr pomykał między malowanymi kolumnami. Pośrodku wznosiły się kamienne mury służące za łóżko. Odpiąłem pas z mieczem, położyłem się. Byłem pewien, że nie zdołam zasnąć na twardym kamieniu. Asklepios patrzył na mnie ze spłowiełego fresku na suficie.

Kapłan zamknął mi oczy lekką, pewną ręką.

- Śpij.

I wyszedł.

Otworzyłem oczy, patrząc na Asklepiosa, dopóki ciemności nie pochłonęły jego wizerunku. Czuję się dziwnie, jak trup czekający na stos pogrzebowy. Asklepios, przypomniałem sobie, zrodził się ze śmierci; syn Apollina, wydarty ze śmiertelnego łona martwej matki. Dziwny sposób narodzin uzdrowiciela.

Mury były niewygodne. Wierciłem się, próbując znaleźć pozycję, od której nie będą bolały kości. Dlaczego, do licha, kapłan uznał, że można spać w taki sposób? Zza kolumn dobiegały hałasy. Drobne dźwięki, odgłosy wyspy. Słyszałem ptaki i inne zwierzęta, brzęczące owady. Chór cykad. Drapieżniki i ścierwojady nocy, podkradające się i pierzchające.

W Montrève nie zwróciłbym na to uwagi, ale tutaj już długo mieszkałem w mieście.

Po jakimś czasie poddałem się, usiadłem i spuściłem nogi z mar. Podeszedłem do jednej z kolumn i oparłem się o nią, patrząc na ciemną wyspę. Księżyc był w nowiu, ale gwiazdy rozświetlały niebo. Zadarłem głowę i patrzyłem na nie, wysokie i dalekie za pomykającymi chmurami.

- Doskwiera ci niepokój.

Drgnąłem, słysząc głos kapłana, odruchowo sięgnąłem do rękojeści miecza. Moje palce znalazły tylko płótno i przypomniałem sobie, że sam się rozbroiłem.

-Wybacz mi, czcigodny kapłanie. - Ukłoniłem się. - Nie słyszałem twoich kroków. Chciałem zasnąć. Czy wstawanie jest zakazane? Nie wyszedłem z komnaty.

Uśmiechnął się.

-Tutaj nic nie jest zakazane.

-To dobrze. - Przysiadłem na marach, mrużąc oczy w ciemności. Ledwo go widziałem. - Nie chciałem cię urazić. -Dlaczego jesteś niespokojny? - zapytał.

-Powiedziałeś, że mam ranę. - Uśmiechnąłem się cierpko. - Czcigodny kapłanie, widziałem rzeczy, straszne rzeczy. Nie wiem, jak się ich pozbyć. Staram się, bardzo mocno staram się być dobry. I im bardziej się staram, tym bardziej okrutny się staję. - Wzruszyłem ramionami. -Takie jest moje dziedzictwo, przysługujące mi z tytułu urodzenia. Czy mam się go wyprzeć? Wydaje się, że znajduje mnie bez względu na to, co robię.

Kapłan wskazał fresk na suficie.

-śmierć niesie życie i jest w tym uzdrawianie. Taki jest los śmiertelnych, tych z nas, którzy się staramy. Wydobyc dobro ze zła. Czasami się nam udaje. Czy to nie wystarczy?

-Nie. Nie zawsze.

Sunął głową, wsparty na lasce. W nikłym świetle gwiazd zwoje okręcane wokół drzewca poruszyły się, zalsniły. To nie kapłan do mnie przemawiał. Moje ręce uniosły się z własnej woli, palce przesunęły się po otwartych ustach. Przebiegło mnie mrowienie nagłego przerażenia zmieszanego z nabożną czcią.

-Asklepiosie, panie! - szepnąłem.

-Jestem tutaj, Imrielu nó Montrève. - Gos brzmiał łagodnie, stapiając się z odgłosami wyspy. - Potomku Kusziela, widziałeś straszne rzeczy, widziałeś cudowne tajemnice, co jest dane nielicznym. Wiem. Trudno jest być pionkiem w rękach bogów. Nawet miłując nas całą swoją świętą mocą, nie dbają o naszą śmiertelność. I myślę, że zostałeś zraniony przez boga mroczniejszego niż ci, którym obaj służymy. Czyż nie tak?

- Tak. - Nieproszone łzy zasnuły mi oczy.

Asklepios stał zadumany. Jego wąż podniósł klinowatą głowę, rozwidlony język śmigał, jakby smakował powietrze. Asklepios znowu przemówił.

- Nie jest to rana, którą mogę uleczyć. Zalała mnie rozpacz.

-Więc to na próżno? - wychrypiałem.

- Tego nie powiedziałem. - Skłonił głowę i język węża zatrzepotał przy jego uchu. Wyprostował się. - Dziecko, posłuchaj. Sam w sobie masz moc uzdrawiania. Nic nie można zrobić bez odwrócenia tego, co zostało uczynione. A jednak nawet karłowate drzewo wyciąga gałęzie ku słońcu. Pozwól zagoić się ranie. Noś bliznę z dumą.

- Jak?

Oczy węża rozblęły. Asklepios się uśmiechnął.

- Znajdziesz sposób.

Otworzyłem usta, żeby zaprotestować, żeby powiedzieć, że jego słowa są marną pociechą, nieznaczącą i bezwartościową. Przynajmniej myślałem, że zamierzam to zrobić. Zbudziłem się z drgnieniem i otworzyłem oczy.

Ujrzałem różany blask jutrzeńki.

Wstawał nowy dzień, a ja leżałem na wznak na kamiennych marach, zeszywniały i obolały, patrząc na fresk na suficie. Sen. Spałem. Kiedy zasnąłem? Usiadłem w panice, zeskoczyłem z mar i przykucnąłem, szukając pasa z mieczem. Leżał tam, gdzie go upuściłem. Podniosłem go i odsunąłem się od mar. Przypasałem miecz, sprawdziłem, czy mam sztylety.

Wszystko było na swoim miejscu. Stałem sam w otwartej komnacie snów. Za kolumnami maki kwitły w czerwonej obfitości. Letni wiatr niósł śpiew ptaków i zapach Tybru.

Za mną, na jedynej ścianie, otworzyły się drzwi. Okręciłem się na pięcie, z ręką na rękojeści miecza.

Przyszedł brodaty kapłan.

- Śniłeś?

- Śniłem. - Spojrzałem na niego twardo. Nie było laski, nie było węża. Choć oczy miał ciemne i głębokie, był śmiertelnikiem, nikim więcej, w zakurzonych sandałach i w szacie z wystrzępionym rąbkiem.

- Powiedz mi - polecił z powagą.

Puściłem rękojeść miecza i przysiadłem na krawędzi mar z dziwnym wrażeniem, że już to robiliśmy.

- Asklepios przyszedł do mnie we śnie. Powiedział, że nie może uleczyć mojej rany, ale ta moc jest we mnie. - Moje usta wykrzywiły się w drwiącym uśmiechu. - Jestem karłowatym drzewem, czcigodny kapłanie, sięgającym ku słońcu.

Zmarszczył czoło.

- W istocie.

- W istocie. - Chciałem powiedzieć to słowo z ironią, ale mi nie wyszło. Patrzyłem na kapłana i nagie, niczym grom z jasnego nieba, spadła na mnie świadomość, że Asklepios powiedział prawdę. Widziałem straszne rzeczy i widziałem cudowne tajemnice. Na przekór wszystkiemu Elua i jego Towarzysze zatriumfowali nad Angrą Main-

ju w Daršandze i odwrócili przyptyw ciemności, który groził zalaniem świata. Złe myśli, złe słowa, złe uczynki. Przeciwno potędze rozwścieczonego, zacofanego ludu, uciekającego się do najczarniejszej magii nienawiści i pogardy, Błogosławiony Elua wysłał d'angelińską kurtyzanę, samotnego wojownika i dziesięcioletniego chłopca.

I wygraliśmy.

Eamonn miał rację; wojna jest bolesnym tematem, nawet dla zwycięzców. Byłem przynętą, która zwabiła Fedrę i Joscelina do Daršangi. Ofiara, ofiara idealna, dopóki nie przybyła Fedra. Spędziłem tam wiele miesięcy, nigdy nie zdołałem uwolnić się od odniesionych ran. Przeszłości nie można zmienić bez zmiany teraźniejszości. Słaba pociecha, tak, ale wyrwała mnie z apatii i użalania się nad sobą. Mogę nauczyć się nosić blizny z dumą, z moją własną chorą dumą. Zsunąłem się z mar, lądując bez bólu w kostce. Czuję się inaczej, wolny od więzi strachu i gniewu; po raz pierwszy od wielu tygodni było mi lżej na duchu.

„Znajdziesz sposób”.

Ukloniłem się kapłanowi.

- Czy mogę zobaczyć się z Gilotem? Odwzajemnił ukłon.

- Chodź ze mną, księżę Imrielu.

Kiedy indziej - jeszcze wczoraj - byłbym zaskoczony. Dziś po prostu **się z tym** pogodziłem. Wie, kim jestem; niech tak będzie. Byłem *głupcem*, wyobrażając sobie, że zdołałem uciec przed sobą. Poszedłem za nim do właściwej świątyni, do jasnej, przewiewnej sali chorych, gdzie na jednej z prycz, stojących w długim szeregu, leżał Gilot. Usiadł, kiedy mnie zobaczył, podpierając się na zdrowej ręce. Uśmiechnął się szeroko.

- Imri! - zawołał, po czym kaszlnął i się skrzywił. - Jak było? Przysunąłem stołek i usiadłem przy łóżku, ujmując jego lewą dłoń.

- Wspaniale - powiedziałem zgodnie z prawdą. - Było wspaniale. Nauczyłem się czegoś wartościowego. - Urwałem. - Gilocie, posłuchaj. Zamierzam zostać w Tyberium jeszcze jakiś czas, przynajmniej do wesela Lucjusza w Lukce. A potem chyba wrócimy do domu.

Ścisnął moją rękę.

- Poważnie? Skinąłem głową.

- Poważnie.

Cień strapienia przyciemnił jego rysy. Spojrzał na prawą rękę.

- Och, Imri! A co z Anną i Belindą? A co, jeśli...

- Słuchaj. - Ścisnąłem jego zdrową rękę. - Gilocie, jeśli chcesz zostać *tu* z nimi, nikt nie będzie miał do ciebie żalu, a najmniej ze wszystkich ja. Porozmawiam z Denise Fleurais. Nie wątpię, że pani ambasador znajdzie posadę dla człowieka o twoich talentach. A jeśli chcesz wrócić do Terre d'Ange i zabrać ze sobą Annę i jej córkę... - Pokręciłem głową. - Na Eluę, Gilocie! Mam dwa majątki, z których nie korzystam. Jak najszybciej mianuję cię swoim plenipotentem. Masz do tego smykałkę, dość nauczyłeś się w Montrève.

Patrzył na mnie uważnie oczyma wiernego psa.

- Co z tobą?

Zmusiłem się do uśmiechu.

- To nie ma znaczenia.

- Dlaczego? Dlaczego, Imri? Co zrobisz?

- Poślubię Dorelei. - Czułem się dziwnie, mówiąc to. Nawet nie wiedziałem, że to postanowiłem, dopóki nie wyrzekłem tych słów. Delikatnie uwolniłem rękę. - Gilocie, wezmę przykład z twojej lojalności. Nie robię tu nic dobrego, nawet dla siebie. Po ślubie Lucjusza wyjadę z Tyberium. Zrobię to, czego chce królowa, obiecuję małżeństwo Dorelei mab Breidaja i ruszę do Alby. Będę dobrym d'angelinskim księciem krwi i dołożę wszelkich starań, żeby utrzymać pokój i harmonię pomiędzy naszymi narodami. - Zaśmiałem się cicho. - Karłowate drzewo będzie szukać słońca.

Gilot westchnął.

- Obiecujesz? Ponieważ jestem śmiertelnie zmęczony martwieniem się o ciebie.

- Obiecuję - powiedziałem z powagą. - Tylko pozwól mi najpierw zobaczyć ślub Lucjusza. To tylko parę tygodni, a ty jeszcze nie jesteś w stanie podróżować. Byłem dla niego marnym przyjacielem, zasłużył na więcej.

- A potem ruszymy do domu? - zapytał z nadzieją w głosie. - Bo myślę... myślę, że Anna się zgodzi. Chciałbym, żeby się zgodziła. Chcę tego bardzo.

Skinąłem głową.

- A potem ruszymy do domu. Obiecuję.

## CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ

---



Po powrocie do insuli stwierdziłem, że Canis zniknął. Nie oddalił się na jakiś czas, ale odszedł na zawsze. Jedynym śladem świadczącym o jego niedawnej obecności był nikły krąg w kurzu ulicy, gdzie stała beczka. Patrzyłem na to miejsce przez chwilę, a potem poszedłem porozmawiać z mistrzem Ambrozjuszem.

Wytwórca kadzideł był w dobrym humorze. Odnosił się do mnie życzliwiej, odkąd usłyszał, że uchroniłem jego sklep przed spalaniem.

-Powąchaj, młody panie! - powitał mnie, przesuwając rękę z miseczką pod moim nosem. - Co myślisz?

Powąchałem.

-Interesujące.

-To kamfora i utarte nasiona kardamonu z Bhodystanu. - Uśmiech-**nał się** promiennie. - Jak sądzisz, D'Angelinowie uznaliby tę kompozycję a przyjemną?

-Tak, chyba tak. - Powąchałem jeszcze raz. Mieszanina była ostra i korzenna, ale nic nieprzyjemna. - To dumny zapach, jak sądzę. Ofiarowałbym go Azrze. Mistrzu Ambrozjuszu, widziałeś Canisa?

- Żebraka? - Pokręcił głową. - Nie, gdy rano otworzyłem sklep, już go nie było. Zniknął wraz ze swoją cuchnącą beczką. Nie będziemy za nim płakać. Przepraszam - dodał. - Zdaje się, że go lubieś.

- Tak myślałem. - Dotknąłem sakiewki, czując przemieszane z monetami kawałki pękniętego medalionu. Wytwórcy kadzideł pojaśniały oczy. Namyslałem się przez chwilę. - Mistrzu Ambrozjuszu, chciałbym złożyć ofiarę Błogosławionemu Elui i jego Towarzyszom. Pomożesz wybrać?

Był bardziej niż chętny. Razem debatowaliśmy z powagą nad tuzinem różnych kadzideł. Wymieniał mi składniki każdego z nich i pytał, który uważam za odpowiedni dla którego bóstwa, kiwając głową, gdy komentowałem. Dokonałem wyboru, a on starannie odmierzył łyżeczką kadzidła, wsypując je do jutowych woreczków. Pamiętając lekcję mistrza Piera, lepiej rozumiałem, dlaczego wytwórca kadzideł ma niewiele szacunku dla studentów uniwersytetu w ogólności, a do mnie w szczególności. To była pierwsza moneta, jaką wydałem w jego sklepie.

W końcu zebrałem się do wyjścia z naręczem woreczków.

- Mistrzu Ambrozjuszu, czy raczysz wyświadczyć mi uprzejmość? -zapytałem go. - Jeśli Canis kiedyś wróci, czy przyślesz mi wiadomość nie mówiąc mu ani słowa?

Pokiwał głową.

- Jest winien ci pieniądze, prawda? Zawahałem się.

-Tak, coś w tym rodzaju.

- Dobrze.

Posłuszny kapryswi, poszedłem do d'angelińskiej ambasady. Upał narastał, sklepi-  
karze zamykali drzwi, ale udało mi się kupić tanią skórzaną torbę na Wielkim Forum.  
Skóra była marnie garbowana i trochę cuchnęła. Uśmiechnąłem się do wspomnień. W  
Dzebe-Barkal, gdy potrzebowaliśmy bukłaków na wodę, wyprawialiśmy skóry gazeli,  
zakopując je w gorącym łupku. Metoda była lepsza niż te stosowane tutaj. A jednak  
torba pomieściła niezliczone woreczki kadzidła i szedłem do *palazzo* pani Fleurais, wlo-  
kąc za sobą osobliwą mieszankę zapachów.

Strażnik u bram ambasady wlepił we mnie wzrok.

- Panie?

Stałem przed nim, spowity wonią złe wyprawionej skóry i kadzidła.

- Jej Ekscelencja powiedziała, że mogę przychodzić tu bez zaproszenia o dowolnej  
porze - powiedziałem. - Ale jeśli jest w domu, chętnie się

z nią zobaczę.

Wciąż się gapił, jego spojrzenie przesunęło się z mojej twarzy na stopy. Zrozumi-  
ałem wtedy, jak wyglądał. Miałem zakurzoną studencką togę wymiętą po spaniu, i na  
nogach prymitywne sznurkowe sandały, które kupiłem po zamieszkach. Kostka zbyt  
mnie bolała, żeby brać pod uwagę wciąganie butów z cholewami.

-Wiem - mruknąłem. - Ale to ważne.

Strażnik wzruszył ramionami i otworzył bramę.

- Na Eluę! - Wyszczrzył do mnie zęby. - Hrabina de Montrève umarłaby ze wsty-  
du, Wasza Wysokość, widząc cię w takim stanie. Roześmiałem się.

-Najprawdopodobniej.

Zaprowadził mnie do ogrodu i poszedł powiadomić panią ambasador. W apogeum  
skwaru ogród świecił pustką. Nie było nawet kapłana. Zdjąłem sandały i ukląknę na  
zielonej trawie, wydając woreczki z kadzidłem i układając je w rzędki. Złożyłem  
ofiary na kolejnych ołtarzach, napełniając miseczki przed posągami i zapalając kadzi-  
dło. Używałem krzemienia i krzesiwa, które dał mi na pożegnanie nasz przewodnik  
Bizan.

Następne wspomnienie Dżebe-Barkal. Wydawało się odpowiednie. Choć podróż była ciężka, znalazłem tam szczęścia. To tam Fedra i Joscelin razem znaleźli uzdrowienie. To tam zacząłem rozumieć, że jestem kochany

Odmawiałem modlitwy, gdy zapalałem kadzidło, modlitwy za wszystkich, którzy zginęli w zenanie, za wszystkich, którzy nie przeżyli buntu. Zmówiłem modlitwy za ocalonych, nade wszystko za Kanekę, wysoką Kanekę, filar siły. Zmówiłem modlitwy za każdego, kogo napotkaliśmy w naszych podróżach, za tych, którzy okazali nam życzliwość, i za tych nielicznych, którzy jej nie okazali. Modliłem się za krewnych... za rodzinę mojej krwi, za Mavrosa, Roszanę i Baptistę, za Ysandrę, Sydonię i Alais. I za rodzinę serca.

Za Fedrę.

Za Joscelina.

I za innych - za wszystkich domowników Montrève, a nade wszystko za Gilota. W jego intencji ofiarowałem Ejszet kadzidło z rumianku, hyzopu i cedru, modląc się, żeby go uzdrowiła. Modliłem się, sam siebie zaskakując, za Maslina z Lombelony, za dziecko zdrajcy, który jak ja nosił mroczny cień na duszy. Wspomniałem radosną dumę, jaką kiedyś widziałem na jego twarzy, i modląc się, żeby pewnego dnia mógł ją odzyskać, ofiarowałem Azrze nową mieszankę mistrza Ambrozjusza.

Modliłem się za Dorelei mab Necthana, którą ledwo znałem.

I za Eamonna, którego kochałem z całego serca, i za mądrego mistrza Piera, i za mojego znękanego przyjaciela Lucjusza. W jego intencji złożyłem ofiarę Naamie, kadzidło z olejku różanego i bursztynu, z nadzieją że znajdzie miłość. Po chwili wahania pomodliłem się także za Klaudię.

Złożyłem ofiarę Kuszielowi, nard i mastyks, modląc się, by w swej sprawiedliwości okazał miłosierdzie nam obojgu. Długo to trwało.

Ostatnią ofiarę, jemiołę i mirrę, przeznaczyłem dla Błogosławionego Elui. Do niego nie wzniosłem żadnych modłów, tylko ukląknęłam i skłoniłam głowę, zdając się na jego łaskę. Klęczałam długi czas.

- Książę Imrielu?

Wstałem, zeszytniały, i zgiąłem się w ukłonie. Minęło południe i cienie się wydłużały. Stojąc pośrodku ogrodu, Denis Fleurais wodziła wzrokiem dokoła i uśmiechała się. Z siedmiu misek na siedmiu ołtarzach wznosiły się smużki dymu.

- Uczyniłeś coś cudownego, Wasza Wysokość - powiedziała. - Co to oznacza?

- Pani, szykuję się do powrotu do domu - odparłem cicho.

Rozmawialiśmy długo w nocy, najpierw przy kolacji, potem przy kieliszkach kordiału. Okazało się, że pani ambasador odwołała spotkanie żeby poświęcić mi czas. Czuję się uprzywilejowany. Jakże często to moje wcielenie wydawało się nierealne: Imriel de la Courcel, książę krwi. trzeci z kolei do tronu Terre d'Ange. Wychowałem się w nieświadomości. Dorastałem jako pasterz kóz, nie jako książę i bachor zdrajcy. To spadło na mnie niespodzianie.

W głębi duszy byłem tylko sobą. Imrielem, Imrim dla nielicznych.

Sierotą wśród sierot, niewolnikiem wśród niewolników.

Ale dziedzictwo było prawdziwe i miałem dość czasu, żeby się z tym pogodzić. Dlatego mówiłem o moich zamysłach i planach. Dotrzymałem słowa danego Ruggerowi Cacciniemu. Nie wspominałem o próbach zamachu na moje życie, nie powiedziałem nic o liście, który świadczył, że w sprawę jest wmieszana Bernadetta de Trevalion. Zajmę się nią w swoim czasie; poza tym jeszcze nie zdecydowałem, jak to zrobię. Ale o wszystkim innym mówiłem szczerze z Denise Fleurais. Widziałem ulgę na jej twarzy. Była dyplomatą. Wiedziała, co jest stawką w Albie.

- Czy mogę powiadomić Jej Królewską Mość? - zapytała. Pokręciłem głową.

- Wołałbym sam to zrobić. Czy masz kurierów?

- Tak. - Potrząsnęła dzwonkiem. - Poślę po papier i atrament. Napisałem dwa listy tej nocy. Pierwszy do Ysandry, oficjalny i krótki

Wyłożyłem jej moje plany pozostania w Caerdicca Unitas jeszcze przez kilka tygodni, żeby wziąć udział w weselu przyjaciela, a następnie jesiennego powrotu do Terre d'Ange, zanim zimowe sztormy utrudnią przeprawę. Zaproponowałem, że wiosną poślubię Dorelei mab Necthana, jeśli wszystkie zainteresowane strony uznają to za wskazane. Drugi list skreśliłem do Fedry.

Długo się namyślałem, bo było wiele spraw. W końcu postawiłem na zwięzłość, dołączając obietnicę, że wszystko wyjaśnię po powrocie. Uśmiechnąłem się na myśl o radosnym zniecierpliwieniu, jakie moja wiadomość wzbudzi wśród domowników, i pocałowałem pergamin, nim go zapieczętowałem.

- Czy dopilnujesz, by kurier doręczył ten list jako pierwszy? - zapytałem, podając pismo Denise Fleurais.

Uniosła brwi.

- Przed tym dla królowej?

-Tak, proszę.

Pani ambasador przyjrzała mi się bacznie,

-Czy pozwolisz, by mój krawiec uszył dla ciebie strój na wesele, w którym postanowiłeś uczestniczyć?

Roześmiałem się.

- Pozwolę. Denise Fleurais skłoniła głowę.

- W takim razie zawarliśmy umowę, Wasza Wysokość.

Tak oto zrobiłem pierwszy krok i czułem się silniejszy, podjąwszy decyzję. Nie takie życie sobie wyobrażałem, nie. Chciałem... czego? Chciałem tego, o czym marzyłem od długiego czasu; chciałem być bohaterem miary Joscelina. Chciałem kochać z tą samą co on desperacką zapamiętałością, chciałem dokonywać czynów niemożliwych. Ale takie przeznaczenie pisane jest wyłącznie nielicznym i płaci się za nie straszliwie wysoką cenę. Wiem, widziałem go w Daršandze i potem.

Ten los nie był mi pisany i winienem się z tego cieszyć. Mam szansę, by czynić dobro po swojemu. Wybrukować drogę pokoju, sprostać wyzwaniu, jakim jest czułe, miłe zachowanie. Będę dobrym mężem dla Dorelei, cudzoziemki o melodyjnym śmiechu. To będzie moja ofiara, ponieważ nie jestem czuły i miły, nie naprawdę. Pragnąłem więcej. Ale może wystarczy spróbować. Canis tak powiedział.

I Asklepios.

Po wyjściu z ambasady posłałem list do Klaudii Fulwii. Był to drugi krok, i trudniejszy niż pierwszy. Odpowiedź nadeszła szybko, zaproszenie na jutrzejszą schadzkę w pracowni Erytei.

Stawiłem się. Poczulem się dziwnie, nie rozbiegając się, by pozować Eryteja pracowała nad innym dziełem, ale spojrzała na mnie z zainteresowaniem, gdy wszedłem do pracowni, i Sylwio też patrzył, zajęty ucieraniem pigmentów.

- Możemy cię wykorzystać - powiedziała w końcu. - Jeśli zechcesz usiąść...

Pokręciłem głową.

-Raz wystarczy.

-Jak sobie życzysz.

Niedługo później zjawiała się Klaudia, a wówczas Eryteja i Sylwio wyszli bez komentarza. Kobiety skinęły do siebie głowami i nabrałem pewności co do tego, nad czym się długo zastanawiałem. Niezależnie od innych łączących je układów, artystka brała udział w planach Klaudii, w planach Niewidzialnej Gildii.

- O co chodzi? - Klaudia nie podeszła, żeby mnie dotknąć. Skośne promienie słońca przemieniły jej oczy w bursztyny, gdy patrzyła nieufnie i z zaciekawieniem. - Dobrze się czujesz? Wyglądasz... szczególnie.

- Dobrze - odparłem. - Klaudio, to koniec.

Strach przemknął jej po twarzy tak szybko, że ledwo go dostrzegłem.

- Koniec? - zapytała lekkim tonem. - Ależ, Imrielu! Dopiero zaczęliśmy. Byłam taka dumna, gdy usłyszałam, jak załatwiłeś sprawę z Cac-cinim. Masz do tego smykałkę, wiesz. - Uśmiechnęła się, podchodząc do mnie. Uniosła rękę, musnęła moje usta, przesunęła palce na szyję. -I mam ci tyle do zaoferowania.

Moje ciało zadrżało, była to jednak odruchowa reakcja, nic więcej. Po raz pierwszy nie czułem się tak, jakbym spadał bezradnie w przepaść pożądania. Zachowałem zdolność jasnego myślenia. Stałem obok siebie i zobaczyłem Klaudię. Zobaczyłem inteligencję, przebiegłość i ambicję. Zobaczyłem jej cielesną naturę, potężną i obfitą, i rozkosz, jaką z niej czerpała - dzierżyła ją niczym broń i narzędzie dla własnej przyjemności. I zobaczyłem też ciemne strony. Strach, strach przed sprawieniem zawodu Gildii. Strach przed starością, strach, że przestanie budzić pożądanie. Strach, że młody d'angeliński kochanek, którego usidlili, pewnego dnia otworzy oczy i stwierdzi, że jej widok budzi w nim odrazę.

Mogłem wykorzystać to przeciwko niej, lecz tego nie zrobiłem.

-Przykro mi - powiedziałem łagodnie. - Klaudio... jeszcze niedawno nękałem cię pytaniami. - Wyłowiłem z sakiewki połamany talizman Canisa. - Jak rozpoznają się wzajemnie członkowie Niewidzialnej Gildii? Kim jest Canis i jakie jest znaczenie wypisanej tu tajemnej wiadomości? A jednak... - Zacisnąłem pięść, miażdżąc kawałki, i rzuciłem je na podłogę. - Stwierdziłem, że to mnie nie obchodzi.

Gwałtownie zaczerpnęła tchu.

-Jak może cię nie obchodzić?

Wzruszyłem ramionami.

-Wiesz, to łatwiejsze niż przypuszczałem. Nie chcę tego, Klaudio. Ty... - urwałem. - Dalaś mi wielki dar, ale cena jest zbyt wysoka. Gildia, tajemnice... Nie lubię okłamywać przyjaciół.

Jej piersi uniosły się i opadły szybko.

-Tchórz!- *syknęła*.

- Nie. - Myślałem o tym. - Klaudio, gdybyśmy się kochali, żadna cena nie byłaby zbyt wysoka. - Ukłoniłem się dwornie. - Jesteś ucieleśnieniem wszystkiego, co wspaniałe w kobiecie, i zawsze będę ci wdzięczny za pokazanie mi, co oznacza badanie głębi pożądania. Czciłem twoje ciało każdą częścią mojego ciała, i nie żałuję. Ale w ostatecznym rozrachunku *nie kochamy się*, i ty o tym wiesz.

Na chwilę jej twarz złagodniała, a potem zastygła w twardych liniach.

- A Gildia? Zapomniałeś o moim ostrzeżeniu?

-Nie. - Odetchnąłem głęboko, -*Anafiel Delaunay* miał okazję i nie wstąpił do Niewidzianej Gildii. Ja zrobię to samo.

-Jesteś głupcem! - zawołała z pogardą w głosie. - Delaunay mógł zapobiec...

-Ty tak mówisz - przerwałem jej. - Nikt nie może wiedzieć tego na pewno.

Zatrzęsła się ze złości.

-Wrócisz do niej, prawda? Do małej protegowanej Delaunaya, zadufanej w sobie i ciemnej! Co daje prawo tej starszej się d'angelińskiej dziwce myśleć, że może rzucić wyzwanie...

Fala furii zmyła moje opanowanie.

-Dość!

- Nie podoba ci się to, prawda? - Klaudia wybuchła śmiechem. - Och, Imrielu! Twoja wspaniała Fedra nie ma tu żadnych szans. Możesz czepiać się spódnic przybranej matki i mieć frywolne sny o dzieleniu z nią łoża, ale nie wierzę, by zdołała cię ochronić...

- Dość - powtórzyłem łagodnie. - Nie prowokuj mnie. Buntowniczo uniosła podbródek.

- Śmiesz grozić Gildii?

- Tak. - Wyprostowałem ramiona. - I tobie też, jeśli zamyślasz zagrozić mi w zamian. Jestem pewien, że Dekkus z ciekawością posłucha o naszym romansie. Klaudio,

nie ujawnię istnienia Gildii. Ale zrozum, jeśli kogoś mi drogiego spotka krzywda, zła-  
mię obietnicę. A jeśli mnie spotka krzywda... Tak, Fedra nó Delaunay stanie w twoich  
progach, Wybranka Kusziela, przepelniona świętym gniewem, z rycerzem królowej za  
plecami. Będzie zadawać pytania i znajdzie odpowiedzi. Tym się zajmuje i robi to do-  
brze. A potem ty i Niewidzialna Gildia poznacie gniew królowej Ysandry de la Cour-  
cel, i cruarchy Alby.

- Polityka - parsknęła Klaudia. - Gildia nie boi się polityki. Gildia jest polityką!

- Nie? A co z Panem Cieśniny? Milczała.

- On istnieje - powiedziałem. - Może sprawić, że morze się podniesie, deszcz spad-  
nie i wiatr zawieje. I już nie jest przykuty do wyspy w Cieśnienie, już nie. Fedra go  
uwolniła, choć przeszła niewysłowione piekło, żeby tego dokonać, i Joscelin wraz z  
nią. Wiem, byłem tam. - Uśmiechnąłem się do Klaudii. - Ma na imię Hiacynt i jest jej  
przyjacielem z dzieciństwa, jedynym prawdziwym przyjacielem. Wyobrażam sobie, że  
mógłby bez wysiłku zatopić port Ostia, gdyby przyszła mu na to ochota.

Klaudia zbiełała jak płótno.

- Nie ośmieli się.

- Dlaczego nie? Czym Gildia może zagrozić Panu Cieśniny? - Pokręciłem głową. -  
Klaudio, oboje bądźmy mądrzy i rozstańmy się jak przyjaciele. Zostanę do wesela  
twojego brata, a potem wyjadę. Więcej nie będziemy o tym rozmawiać, nigdy.

-To nie takie proste - szepnęła. - Nie dla mnie.

- Ja mówię, że jest proste. - Wyciągnąłem rękę. - Rozstaniemy się?

-Jako przyjaciele - powiedziała te słowa z goryczą. - Zostawiasz mi niewielki wy-  
bór.

Z powagą uścisnąłem jej dłoń.

- Są na świecie gorsze rzeczy, Klaudio Fulwio. Na to nie miała odpowiedzi.

W ten sposób zrobiłem drugi krok, pod pewnymi względami najtrudniejszy. Ale  
kiedy było po wszystkim, czułem się dobrze. Tak wiele czasu i wysiłku poświęciłem  
na ucieczkę od mojego życia i nazwiska, że teraz przyjemnie było je odzyskać.

Tego wieczoru rozmawiałem poufnie z Eamonem, w ciemnym kącie winiarni.  
Rozmawialiśmy w dialekcie eirańskim, jedynym języku, co do którego byłem w miarę  
pewien, że nie jest znany żadnemu przypadkowemu słuchaczowi. Sam niezbyt dobrze  
sobie radziłem, nie władając nim od długiego czasu. Jeśli z jakiegoś powodu Gildia  
nasłała na mnie szpiegów, niech tak będzie. Jeśli są na tyle zdeterminowani i przebie-  
gli, niewiele mogą zrobić.



Powiedziałem mu o Klaudii.

Nie o Niewidzialnej Gildii, rzecz jasna; nie byłem na tyle głupi, żeby poddawać próbie ich możliwości. Powiedziałem mu o naszym romansie, jak się zaczął, jak długo trwał. Eamonn najpierw zagwizdał przeciągle, a potem siedział cicho i słuchał mojej opowieści. Powiedziałem mu potem o nocy na wyspie Asklepiosa i o decyzji będącej jej następstwem.

- Będzie mi ciebie brakowało - oznajmił. - Rozumiem, dlaczego wyjeżdżasz, ale będę tęsknić. Cieszę się, że zostajesz na ślub Lucjusza. - Obrzucił mnie jednym ze swych przenikliwych spojrzeń. - Myślisz, że ona coś powie?

Pokręciłem głową.

- Musi dbać o reputację. Uśmiechnął się.

-Aleś się wpakował, Imri. Powiesz Lucjuszowi?

- Bogowie, nie! - Zadrzałem. - Nie, powiem mu tylko, kim jestem. Pewnie tyle jestem mu winien. Ale chyba nie musi wiedzieć, że sypiałem z jego siostrą.

- Chyba nie - mruknął. - Mogę powiedzieć Brygicie?

-O Klaudii?

-Nie. - Eamonn wyszczerzył zęby w uśmiechu. - O tobie, Wasza Wysokość.

- Ufasz jej?

-Tak, ufam.

Zastanowiłem się nad tym.

-Daj mi parę dni na rozmowę z Lucjuszem. I pamiętaj, gdy będę godzić się z faktem, że nie mogę ukryć, kim jestem, wolałbym tego nie rozgłaszać. W tym momencie byłoby to potęgowaniem głupoty. - Roześmiałem się. - Jak myślisz, będzie chciała wrazić mi sztylet w serce za honor Skaldii, gdy się dowie?

Eamonn ściągnął usta.

- Nie sędzę.

Dopiero nazajutrz miałem okazję porozmawiać z Lucjuszem. Ze świątyni Asklepiosa napłynęła wiadomość, że Gilot może wracać do domu. Odniósł tyle korzyści, ile mógł, z ich umiejętności leczenia; od tego momentu miał mu pomóc tylko czas i wypoczynek. Tego ranka poszedłem z Anną na targ, gdzie kupiliśmy poduszki i grube podgłówki.

Towarzyszyła nam jej córka Belinda. Czepiała się spódnicy matki i paplała bez ustanku, już się mnie nie wstydząc. Roześmiałem się, gdy za kłopotana Anna próbowała ją uciszyć.

- Nie mam nic przeciwko - powiedziałem. - Kiedyś znałem dziewczynkę do niej podobną.

- W pałacu? - zapytała, po czym zarumieniła się po korzonki włosów. - Och!

- Nic nie szkodzi - zapewniłem ją łagodnym tonem. - Wiem, Gilot ci powiedział. Tylko nie mów o tym publicznie. Ale nie, to było w sanktuarium, gdzie się wychowałem. Miała na imię Honora - powiedziałem do Belindy. - Nauczyłem ją łązić po drzewach, gdy miała ledwie pięć lat. Wspięłaś się kiedy na drzewo? - Spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczyma i pokręciła głową. - Może cię nauczę, gdy podrośniesz. - Uśmiechnąłem się do niej. - Jesteś za mała, by zacząć. I omijaj z daleka drzewa miododajne, Belindo. Tam mieszkają pszczoły.

- Lubię miód - oznajmiła z powagą.

-Ja też, ale trzeba być bardzo ostrożnym, inaczej pszczoły się rozzłoszczą, że kradniesz ich miód. - Zabzyczałem i wykonałem ręką falisty ruch w powietrzu. Uszczypnąłem ją lekko w pulchny policzek, a ona zachichotała. - I jeśli zostaniesz użądłona, będziemy musieli okładać cię błotem - dodałem, co spowodowało nowy atak wesołości. - Calutką, od stóp do głów.

Anna spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

- Umiesz się z nią dogadać. Uśmiechnąłem się cierpko.

- Nie powinnaś być taka zdumiona. Znów pokraśniała.

- Nie! To tylko... myślę, że masz dobre serce, to wszystko. I zaczynam pojmować, dlaczego... dlaczego Gilot nie chce cię zostawić, choć narzeka.

W ostatniej chwili powstrzymałem się od autoironicznego komentarza.

- Dziękuję - powiedziałem szczerze. - Miło mi to słyszeć.

Tego popołudnia dostarczyliśmy Gilota do domu. Narzekał na niezgrabne łubki na prawej ręce, na swoją powolność i ogólną bezużyteczność. Narzekał, kiedy kazałem mu wsiąść do wynajętej lektyki, i kiedy ułożyliśmy go na sienniku; narzekał, że na tych poduszkach wygląda jak przeklęty pasza. A potem zasnął, wyczerpany. Twarz miał wymizerowaną, pod oczyma ciemne kręgi.

-Jest taki piękny - szepnęła Anna, odgarniając mu włosy z czoła.

Przysiadłem na krześle, patrząc na nich.

-Tak.

- Powiem ci, że ty też. - Cichy śmiech uwiązał jej w gardle. - Ale ty wyglądasz jak z obrazu lub z pieśni, a on jest... on jest po prostu Gilotem. Mogę go dotknąć, mogę go objąć. Nigdy nie sądziłam, że znowu to poczuję, nie w ten sposób. - Skłoniła głowę, ale zdążyłam zobaczyć lśnienie łez na jej policzku. - Myślisz, że wydobrzeje? - zapytała ściszym głosem.

-Nie wiem, Anno - odparłem zgodnie z prawdą. - Mam nadzieję. Ale to będzie trudne. Żył z miecza. To wszystko, na czym się zna, to wszystko, czym się zajmował od osiągnięcia pełnoletności i wstąpienia na służbę u Fedry. Obiecuję, niczego mu nie zabraknie. Ale będzie cię potrzebować, ciebie i Belindy, żeby mieć po co żyć.

Milczała przez chwilę, potem wzięła się w garść, otarła oczy.

-Belinda. Wybacz mi, panie. Narzucamy się. Zabiorę ją do domu.

Belinda spała jak kamień na moim sienniku, z kciukiem w buzi.

-Czy będzie przestraszona, gdy się tutaj zbudzi? - zapytałem. Anna pokręciła głową. - W takim razie zostańcie. - Wstałem. - Znajdę nocleg gdzie indziej.

- Panie, proszę! - Anna poderwała się z podłogi. - Nie, nie możemy. Gilot się poruszył, mamrocząc niespokojnie przez sen.

-Nalegam - powiedziałem, ruszając do drzwi. - Zostań. Spojrzała na Gilota, potem na mnie, ze zmarszczonym czołem.

- Możesz śmiało skorzystać z mojego pokoju, jeśli nie jest zbyt skromny. -Jest gorzsy od tego? - Machnąłem ręką.

-Nie. - Anna uśmiechnęła się przez łzy. - Jesteś zabawnym księciem, panie.

- Mówiłem ci.

Zostawiłem ich wtedy i zwlekałem na dziedzińcu, dopóki nie usłyszałem, że Anna rygluje drzwi, żeby uniknąć nieproszonych gości. Przez nierówne szczeliny pomiędzy listewkami okiennic widziałem, jak się pochyla, żeby czule pocałować córkę i Gilota, a potem zdmuchuje płomień lampki. Co dziwne, moja zazdrość odeszła. Jej miejsce zajęła bolesna czułość, ciężka i przejmująca.

- Niech Elua ma was w opiece - szepnąłem.

Znalazłem drogę do mieszkania Anny, wszedłem na piętro po zewnętrznych schodach i spałem sam na sienniku wdowy, przy pustym posłaniu jej córki.

Nawet karłowate drzewo wyciąga gałęzie ku słońcu.

# CZTERDZIEŚCI SIEDEM

---

Mistrz Piero wygłosił wykład o cnocie uczciwości.

Przysięgam, czasami wybierał zagadnienia wyłącznie po to, żeby mnie sprowokować. Spotkaliśmy się w sali wykładowej na uniwersytecie. Siedziałem na trójnożnym stołeczku, słuchając brzęczenia much, gdy mistrz Piero piętnował kłamstwo we wszelkiej postaci. Mówił, że kłamstwo jątrzy się w duszy i rodzi kolejne kłamstwo, co jest równie nieuchronne jak składanie jaj przez muchy w nieopatrzonej ropiejącej ranie.

- Faj! - skomentowała Brygitta.

Później rozpatrywaliśmy sprawę, dyskutowaliśmy o rodzajach kłamstw, wymieniając kłamstwa zamierzone, kłamstwa z przeoczenia, kłamstwa z życzliwości. Czy w którymś z nich są zalety. Dowodziłem, że są, że należy dochować pewnych sekretów, gdy ujawnienie ich może wyrządzić komuś krzywdę.

- Prawda, jak ogień, oczyszcza - oświadczył spokojnie mistrz Piero. - Przychodzi ci na myśl sekret, którego lepiej dochować, Imrielu nó Montrève?

- Przychodzi mi na myśl kilka, mistrzu - mruknąłem. Uśmiechnął się do mnie.

- Pomyśl o tym.

Pomyślałem. Pomyślałem o spuściźnie tajemnicy i spiskowania po mojej matce, do czego, jak się wydaje, mam smykałkę. Zastanowiłem się, po raz pierwszy, jak wyglądałoby moje życie, gdyby po prostu uległa, oddając mnie w niemowlęctwie pod opiekę Ysandry de la Courcel, żebym wychował się jako członek rodziny królewskiej. Ale, jak powiedział Asklepios, nie można odmienić przeszłości bez zmiany teraźniejszości.

Gdyby nie kłamstwo kapłana, nikt nie stawiałby czoła Angrze Mainju w Daršandze. Nie było łatwych odpowiedzi.

Od myślenia o tym wszystkim rozboleła mnie głowa.

Byłem rad, gdy mistrz Piero pozwolił nam odejść.

- Lucjuszu! - Złapałem go za ramię. - Jesteś wolny dziś po południu? Postawię ci dzban wina.

Nasze stosunki się ochłodziły, odkąd udało mi się zlekceważyć jego przyjaźń, ale spojrział na mnie badawczo i pokiwał głową.

- Zgoda, ale najpierw chodźmy do łaźni. Jest gorąco jak w piekle. Sporą część popołudnia spędziliśmy na leniuchowaniu w przyjemnej

wodzie tepidarium, W termach panował tłok, dlatego trzymałem język za zębami i słuchałem, podczas gdy Lucjusz mówił o swoich ślubnych planach. Miasto Lukka przygotowywało się do gali dla uczczenia związku dwóch rodzin panujących. Helena wydawała się zadowolona, a jej ukochany Bartolomeo napisał do Lucjusza list dziękczynny.

- Wyobrażasz sobie? - zapytał cierpko, -Wydaje się to nieco dziwne - przyznałem.

- Pewnie nie mógłby znieść, gdyby Helena wyszła za Domenica Martellego. Z tego, co słyszałem, jest niemal równie zły jak stary Gallus Tadiusz. Zmarła mu pierwsza żona. Mówi, że rozwiązanie nastąpiło zbyt wcześnie i skończyła w połogu, ale słyszałem, że ją bił, aż w końcu straciła dziecko. Przypuszczam, że Bartolomeo ma powody czuć ulgę.

-Jak tam stary GallusTadiusz?

- Nadal cisza. - Lucjusz uśmiechnął się szeroko. - Z przykrością przyznam, że kapłani mieli rację. Panuje cisza, miłosierna, błoga cisza.

Czyści i odświeżeni, szliśmy niespiesznie przez miasto. W naszej winiarni już panował ożywiony ruch, dlatego zaproponowałem, żeby poszukać mniej tłoczego miejsca. Lucjusz miał zdziwioną minę, ale się zgodził.

-Jesteś bardzo tajemniczy, Montrève - zauważył.

-Mam powody - odparłem.

Znaleźliśmy gospodę na obrzeżach dzielnicy studenckiej. Służyła głównie robotnikom, handlarzom i kupcom, którzy mieli ochotę napić się spokojnie w czasie najgorętszej pory dnia. Wino okazało się niebyt dobre, ale za to klientów było niewiele, co odpowiadało moim celom.

Lucjusz skrzywił się, posmakowawszy wina, i usadowił się wygodnie na krześle.

- Śmiało. Mów, co masz do powiedzenia.

-Pamiętasz, jak powiedziałeś, że byłbyś bardziej wdzięczny za moją przyjaźń, gdybym pozwolił ci ją odwzajemnić? - zapytałem.

-Całkiem dobrze. - Spojrzał na mnie uważnie. - Czy to nie wtedy zapytałem, czy jest szansa na to, że ci się spodobam? Nie o to mi chodziło. Nie pochlebiaj sobie, Montrève. Nie usycham z tęsknoty.

-Nie, nie. - Pokręciłem głową. - Wiem, co miałeś na myśli. Byłeś szczery i otwarty w swojej przyjaźni, a ja byłem... mniej niż otwarty.

-Hm. - Zadrżał mu kącik ust. - Pielęgnujesz aurę melancholijnej tajemniczości. To staje się trochę denerwujące.

Roześmiałem się.

- Nieumyślnie.

- Dobrze wiedzieć. Spoważniałem.

- Dlaczego? - zapytał. - Czy ma to związek z tym, co się stało, kiedy byłeś dzieckiem? Złe rzeczy, powiedziałeś.

- Częściowo. - Wpatrywałem się w moje ręce obejmujące kubek. - Pytałeś o rodzinę.

- Masz w swojej Gallusa Tadiusza? Napotkałem jego współczujące spojrzenie.

- Niezupełnie. Mam Melisandę Szachrizaj i Benedykta de la Courcel Lucjusz, nie okłamałem cię, ale też nie byłem szczery. - Odetchnąłem głęboko i przygotowałem się na jego reakcję. - To, co ci powiedziałem, jest prawdą. Adoptowała mnie Fedra nó De-launay, hrabina de Montrève Ale jestem krewnym królowej Ysandry i w Terre d'Ange moje nazwisko, moje pełne nazwisko brzmi Imriel nó Montrève de la Courcel.

Lucjusz zamrugał, jego usta poruszyły się bezdźwięcznie. Z roztargnieniem podniósł kubek, który wysunął mu się z palców i rozbił na stole. Kałuża wina rozlała się pomiędzy nami i szynkarz przybiegł żwawo ze ścierką w ręce.

- Słodki Apollo! - szepnął Lucjusz. - Jesteś synem Bella Donny.

Wpatrywałem się w niego.

- Co?

Musiałem czekać, gdy szynkarz wycierał stół. Lucjusz krążył po winiarni, mamrocząc coś pod nosem i pocierając skronie. Podziękowałem szynkarzowi za fatygę, dałem mu kilka monet i poprosiłem o nowy kubek dla Lucjusza. Napełniłem go i postawiłem na stole.

- Siadaj - poleciłem. - I mów.

-Ja mam mówić! - Parsknął śmiechem, ale usiadł i wypił wino, zaraz potem napełniając kubek. - To legenda, Montrève przynajmniej ja tak to odbieram. Serenissima opowieść, ale znana w Lukce i wszędzie indziej na północy Caeridicca Unitas. Nie tutaj, nie tak daleko na południu. Bella Donna, służka Aszery. - Niecierpliwie machnął ręką. - Aszera z Morza, Bona Dea, Magna Mater, jakkolwiek pragniesz ją nazywać. Jak mówi mistrz Piero, bogowie mają wiele twarzy.

- Lucjusz...

Wypił kolejny kubek wina.

-Jest twoją matką?

- Nie! - Przegarnąłem ręką włosy nadal wilgotne po kąpieli. - Lucjuszu, moja matka jest zwyczajną śmiertelniczką. Nazywa się Melisanda Szachrizaj i poprosiła o azyl w świątyni Aszery, ratując się przed straceniem za zdradę.

Pokiwał głową i ostrożnie odstawił kubek.

- Bella Donna.

-Jest zdrajczynią! - krzyknąłem. Lucjusz się skrzywił.

- Montrève, ty zapytałeś. Ja ci mówię. To wszystko. To legenda. Była piękną kobietą, została niesprawiedliwie oskarżona, ukradziono jej syna. Przyoblekła welon Aszery i bogini udzieliła jej schronienia. Rok po roku rozpacz i piękno się pogłębiały. Kiedy ból stał się zbyt wielki do zniesienia, bogini sprawiła, że mury świątyni rozproszyły się niczym mgła, i została uwolniona, by móc wędrować po świecie w poszukiwaniu utraconego syna. Pewna kapłanka przysięgła, że to szczerą prawdą. - Podniósł kubek, odstawił z powrotem. - Zdesperowane kobiety proszą Bella Donnę, żeby wstawiła się za nimi u bogów. Składają ofiary na skrzyżowaniach ulic. Drobiazgi, niebieskie paciorki. Helena raz to zrobiła. Tyle wiem.

-Lucjuszu. - Rozpostarłem ręce. - To niedorzeczne.

Pokiwał głową.

-Wiem.

-Nie wiesz. - Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. - Lucjuszu, moja matka była architektem największej zdrady w dziejach Terre d'Ange, i mój ojciec, był chętnym kozłem ofiarnym, o ile mi wiadomo, jednym z wielu. A ja... jestem owocem jej ostatniego spisku.

Lucjusz wstał od stołu i zaniósł do szynkwasu pusty dzban po winie. Wrócił, napełnił kubki i postawił dzban między nami. Szok zniknął w jego twarzy i oczy miały spokojne.

- Mów. Powiedziałem.

Nie wszystko, nie o całym piekle Daršangi. Ten temat tylko poruszyłem. Powiedziałem Fedrze o wszystkim i Eamonnowi trochę, i nie sądziłem, bym kiedykolwiek chciał mówić o tym z kimś innym. Ale nakreśliłem Lucjuszowi moje dzieje w ogólnych zarysach. Niektóre fragmenty znał.

Lucjusz nie był ignorantem, gdy chodzi o sprawy świata; po prostu nie udało mu się ułożyć fragmentów w całość. A jednak dziwnie było mówić otwarcie z kimś, kto spoglądał z perspektywy tak różnej od mojej. Wojna, która zostawiła głębokie i trwałe bli-

zny w Terre d'Ange, Skaldii i Albie, dla Caerdicci była interesująca tylko z historycznego punktu widzenia.

- Jesteś pewien? - zapytał, gdy skończyłem. - Pewien winy swojej matki?

- Tak. - Nie rozwinąłem odpowiedzi.

- Gdzie ona jest teraz?

- Cóż, nie wędruje po ziemi w poszukiwaniu utraconego syna! - rzuciłem ostrym tonem. - Na Eluę! Zaginałem przede wszystkim dlatego, że mnie ukrywała, przynajmniej dopóki nie uprowadzili mnie handlarze niewolników. I zostałem odnaleziony ładnie parę lat temu.

- Baśnie żyją dłużej niż prawda - mruknął Lucjusz. - Więc nie wiesz?

- Nie mam pojęcia - odparłem krótko. - I nie obchodzi mnie to, dopóki dotrzymuje słowa.

- Słowa? - Uniósł brwi.

- Obiecała nie narażać na niebezpieczeństwo życia królowej i jej córek.

Przez chwilę Lucjusz patrzył na mnie tępo, wstrzymując oddech.

- Inaczej zasiadłbyś na tronie, prawda? Jupiterze Kapitoński, Montrève! Do diabła, czemu błądasz się po Tyberium, udając ubogiego pana scholara?

Wzruszyłem ramionami.

- Ukrywam się. Szukam. Nie jestem pewien.

- I pozwolili ci jechać tak po prostu?

- Nie byli uszczęśliwieni. - Uśmiechnąłem się na myśl o wściekłości Ysandry. - Ale doszedłem do wniosku, że nie mogę zostać, Lucjuzzu Prawdę mówiąc, nasza sytuacja nie tak bardzo się różni. Po twoim ślubie wrócę i zmierzę się z moimi obowiązkami.

- Cieszę się, że zostaniesz choć tyle. I rad jestem, że mi powiedziałaś.

- Ja również - zapewniłem.

W ciągu następnych tygodni Lucjusz nie dał mi powodu, bym żałował pokładanego w nim zaufania. Choć miał kąśliwy język, był wiernym przyjacielem. Zrobił, o co prosiłem, zachował wiedzę dla siebie i traktował mnie tak samo, jak wcześniej, choć czasami widziałem, jak kątem oka spogląda na mnie z namysłem.

Tygodnie te były dla mnie cenne; ostatnie ulotne tygodnie wolności, zanim przywdzieję płaszcz księcia Imriela de la Courcel. Dziwne, miałem teraz więcej wolności niż w czasach dzieciństwa, i przeczuwałem, że więcej jej nie zaznam.



Powziąwszy decyzję, uwolniłem się od wątpliwości i zamętu, które mnie nękały, odkąd Klaudia Fulwia mnie uwiodła i powiedziała mi o Niewidzialnej Gildii. Z Gilotem przykutym do łóżka, narzekającym pod opieką Anny, byłem wolny od straży czy dozoru. Mając list Ruggera Cacciniego, byłem wolny od groźby przemocy.

Najbardziej cenilem czas spędzany z mistrzem Piero.

Powiedziałem mu, oczywiście. Spotkaliśmy się w zagraconym gabinecie, gdzie mu wyjaśniłem, dlaczego wyjeżdżam. Kiedy skończyłem, obdarzył mnie niespodziewanie miłym uśmiechem, który rozświetlił jego brzydką twarz.

- Cieszę się - powiedział.

-Tak? - Zamrugalem.

-O tak. - Mistrz Piero pokiwał głową. - Przykro mi, że tracę cię jako studenta, Imrielu de la Courcel. W istocie, cierpię na niedostatek studentów! - Inny mistrz byłby tym zmartwiony; mistrz Piero tylko się roześmiał. - Ale to cnoty szukamy, prawda? Znajdziesz więcej odwagi i siły charakteru, młody księżę, stawiając czoła temu, czego się boisz, niż przed tym uciekając.

- Mam nadzieję - powiedziałem.

Dni mijały szybko, zaś lata powoli malały z nadejściem jesieni. Spędzałem poranki z mistrzem Pierem i innymi studentami. Dołączyło kilku innych, nowych, łącznie z młodymi synami tyberyjskiego kupca, którzy mieli w zwyczaju błędzić na obrzeżach naszych rozmów, kiedy spotykaliśmy się na forach. Wysławiali się prostacko, ale nie brakowało im chęci do nauki. Zastanawiałem się z początku, jak płacą czesne; potem zobaczyłem na twarzy Lucjusza wyraz cichej satysfakcji i odgadłem prawdę. On też wziął sobie do serca lekcje mistrza Piera. Zazdrościłem mu, choć sam o tym nie myślałem.

Uśmiechałem się jednak, gdy widziałem, jak gapią się z otwartymi ustami, gdy przedstawiał idee i zadawał podchwytliwe pytania, żeby zmusić ich do myślenia. Rozmawiali z tym samym podnieceniem, które cechowało Eamonna, gdy przybyłem do Tyberium; z tym samym ożywieniem, które odczuwałem, gdy mistrz Piero mnie zainspirował. Teraz czułem się starszy.

Jasne, miałem ku temu powód, ale chyba wszyscy mieliśmy podobne odczucia, nawet Brygitta. Zachowywała się swobodniej w towarzystwie Eamonna i już nie nosiła woskowej tabliczki, nie sporządzała gorączkowych notatek. Także zamieszki i ich pokłósie zmieniły nasze spojrzenie na wiele spraw. Mieliśmy okazję poznać naszych kolegów studentów z najgorszej strony i staraliśmy się być lepsi. My, którzy zostaliśmy z mistrzem Pierem, kiedy napiętnował naszą arogancję. Zostaliśmy, choć inni odeszli.

Byliśmy starsi.

Popołudnia spędzałem z Gilotem. Jego stan się poprawiał. Siniaki bladły i mógł chodzić bez wysiłku, byle nie za daleko ani nie za szybko. Wtedy jego oddech stawał się wyteżony i chwycił się za pierś, gdzie doskwierało mu ostre klucie. Rękę wciąż nosił w krępujących ruchy łubkach. Kapłan Asklepiosa powiedział, że można będzie je zdjąć przed wyjazdem do Lukki. Nie mógł obiecać, co zobaczymy.

Gilot usilnie starał się nie okazywać rozgoryczenia, chociaż je odczuwał. Czuł się beżyteczny. Klóciliśmy się, gdy odmawiał przyjęcia miesięcznej zapłaty, twierdząc, że nie zarobił. Potajemnie dawałem pieniądze Annie i znalazłem mu pracę, pozowanie dla Erytei z Trastos. Rzuciła na niego okiem i uśmiechnęła się.

- Endymion - oznajmiła.

- Łatwa poza - zaznaczyłem. - Nic męczącego.

- Najłatwiejsza - zgodziła się.

Tak więc Gilot pozował dla niej jako Endymion, którego pokochała bogini; leżał na wznak na sienniku z jedną ręką wyciągniętą nad głowę z drugą, w łubkach, ukrytą. To go uspokoiło i przywróciło mu pewną miarę dumy. Zaglądałem do pracowni od czasu do czasu i patrzyłem, jak obraz nabiera kształtu na desce Erytei. Śpiący Endymion, pieszczony przez księżycową poświatę. Patrzyłem na profil Gilota, na brązowe kędzioły na czole, na bezbronną krzywiznę torsu, słysząc w duchu rwący się szept Anny.

„Jest taki piękny”.

Dotrzymałem słowa danego Denise Fleurais i złożyłem wizytę jej krawcowi. Był D'Angelinem i okazał się znacznie miłszy niż Fawriela nó Dzika Róża, o której mówił szeptem z pełnym szacunku podziwem. Wziął miarę i zaczął pracować nad garderobą odpowiednią na wesele Lucjusza.

Wszystko szło szybko, tak szybko.

Najbardziej lubiłem wieczory. Gromadziliśmy się w winiarni - naszej winiarni, ze spłowiałym wizerunkiem Bachusa nad drzwiami - i spędzaliśmy noce na picciu i rozmowach. Czasami dosiadali się do nas nowi studenci, ale często byliśmy tylko we czwórkę, wierni akolici mistrza Piera. Czuliśmy się swobodnie w swoim towarzystwie. Brygitta przestała się jeżyć, a Lucjusz porzucił postawę lekkoducha. Już nie kryłem przed nimi, kim jestem. A Eamonn... cóż, Eamonn był Eamonnem. Nigdy nie udawał, że jest kimś innym. Ale zaszła różnica, inni poznali się na jego zaletach.

Były to dobre czasy.

Zbyt często takie chwile mijają niezauważenie, cenione tylko z perspektywy czasu. Wiedza jest darem. Żałuję, że w wiosce Kaneki, Debello, nie zdawałem sobie sprawy, jaki jestem szczęśliwy. W Tyberium jąz wiedziałem. I ceniłem sobie każdą chwilę, mówiąc do siebie: „Mam przyjaciół. Tu jestem szczęśliwy. Pamiętaj o tym”.

Szybko, zbyt szybko wszystko miało się zmienić.

W Terre d'Ange czekała mnie trudna decyzja. Co lepsze, szantażować Bernadettę de TrevaJion czy ujawnić prawdę? Kiedyś uznałbym wybór za iitwy. Chciała mnie zabić; zasłużyła na karę. Po machinacjach L'Enversa uleżało mi, żeby diuk publicznie przyznał się do winy; jeśli wystąpię jawnie, ją spotka jeszcze gorsza kara. Wziesienie albo wygnanie, może nawet wyrok śmierci. Choć łączyły nas bliskie więzi pokrewieństwa, nie znałem jej na tyle dobrze, żeby pałać do niej nienawiścią. Ruggero uważał, że działała sama. Co, jeśli to prawda? Bertran był kiedyś moim przyjacielem; jej mąż Ghisla-in dowodził wojskami królewskimi. Fedra i Joscelin jechali pod jego komendą w wojnie skaldyjskiej. Uważali go za dobrego kompana.

Jeśli ujawnię prawdę, czy to wypali ranę, jak powiedział mistrz Piero? Czy tylko przedłuży krwawą waśń na kolejne pokolenie? Przypuszczali, że dojdzie do tego drugiego.

A potem czeka mnie Alba. Nie miałem pojęcia, czego się tam spodziewać. Alba jest innym światem, dzikszym i mniej cywilizowanym. Mam poślubić kobietę, którą ledwo znam, i modlić się do Błogosławionego Elui i jego Towarzyszy, żeby być dla niej dobrym i czułym. Żeby pohamować moje mroczne pragnienia i być dobrym mężem. Dorelei śmiała się tak, że Alais uśmiechała się w odpowiedzi. Modlić się, żeby nic nie zgasiło tego śmiechu. Cieszyć się w towarzystwie przyjaciół. Kochać.

„Będziesz znajdował ją i tracił, bez końca”.

Dawno temu tak przepowiedział kapłan Elui. Czerpałem siłę z tej słabej pociechy i kochałem bez strachu: moich przyjaciół, mistrza Piera. samo Tyberium. Nauczyłem się kochać to miasto w całej jego podupadł: krasie. Teraz już znałem je na wylot. Znałem je podeszwami stóp, mocnymi mięśniami łydek. Z pewnością znajdowanie liczy się bardziej ni; tracenie.

Musi tak być.

Dwa dni przed wyjazdem do Lukki ostatni raz udaliśmy się na wyspę Asklepios. Inni chcieli z nami popłynąć, Anna też była stęskniona naszego towarzystwa, lecz Gilot odmówił. Nie chciał nawet mnie mieć przy sobie, ale nic ustąpiłem. Odbiliśmy podróż we dwójkę. Siedział w barce, hołubiąc ranną rękę.

- Boisz się? - zapytałem.

Obrzucił mnie ponurym spojrzeniem.

- A jak myślisz? Wtedy umilkłem.

W świątyni kapłan, poważny, z wykrzywionymi w dół kącikami ust, zdjął łubki. Rozwinął długie płócienne bandaż. Gilot patrzył ze strachem, gdy ukazała się goła ręka. Wyglądała dziwnie, blada i pomarszczona. Kapłan obejrzał ją uważnie.

- Zaciśnij pięść - powiedział. Ręka Gilota zadrżała.

- Nie mogę.

- Spróbuj - polecił kapłan bezlitośnie.

Spróbował, kciuk i palec wskazujący złączyły się, tworząc kółko, pozostałe palce ledwo drgnęły.

- Do niczego się nie nadaję - mruknął Gilot. - Nie będę mógł nawet chwycić miecza.

Kapłan wzruszył ramionami.

- Na jedno wychodzi. Jeśli zaczniesz walczyć, odłamek kości w piersi przesunie się i zada ci śmierć.

Słaba pociecha.

Gilot milczał w drodze powrotnej. Kapłan dał mu maść - sądząc po zapachu, taką samą, jakiej kiedyś używał Joscelin - i pokazał, jak ćwiczyć, żeby rozciągać i wzmacniać rękę. A jednak było jasne, że już nigdy nie będzie w pełni sprawna.

-Przykro mi - powiedziałem cicho.

-Wiem. - Wyrwał się z grzęzawiska przygnębienia. - To nie twoja wina, Imri. Próbowaleś chronić swoich przyjaciół, a ja próbowałem chronić ciebie. Tylko w tym byłem dobry. Nie twoja wina, że nie dość dobry.

-Nieprawda! - Podniosłem głos. - Gilocie, mogłem zginąć w zamieszkach, ale nie zginąłem.

-Tak. Nie dzięki mnie. Tłum mnie odciął, Imri. Jak w szynku, gdy wdałeś się w bójkę z przewoźnikiem. Pamiętasz? - Zaśmiał się z goryczą. - Tak naprawdę, czy kiedyś okazałem się pomocny? Dobywałem miecza w twojej obronie, ale nigdy nie byłem dość bezlitosny, żeby go użyć. Joscelin nie wahałby się ani chwili. Ja tak. Na Eluę, Lucjusz zrobił więcej, żeby cię ocalić!

Pokręciłem głową.

- Nie tylko Lucjusz. Był tam ktoś inny.

-Myślałem, że jest tylko zadowolonym z siebie osłem, z ciętym językiem i tym swoim „twój sługa to”, „twój sługa tamto”, ale nie stracił głowy... - Gilot przerwał tyradę, gdy dotarły do niego moje słowa. - Co to znaczy, że był ktoś inny?

Dotąd niewiele rozmawialiśmy o tamtej nocy. Nie powiedziałem mu o Bernadecie de Trevalion; co więcej, zaprzysiągłem Eamonna do dochowania sekretu. Gilot czuł się wystarczająco winny, dźwigał brzemień, które znałem aż za dobrze. To jednak mogłem mu powiedzieć.

-Ktoś przebił się przez tłum, torując drogę Lucjuszowi.

Gilot ściągnął brwi.

-Kto?

- Nie wiem - odparłem zgodnie z prawdą. - Chciałbym wiedzieć. Lucjusz uważa, że kimkolwiek byli, chcieli mnie zabić. Słyszałem krzyki Spotykałem się o ciała, Gilocie. - Dotknąłem jego bladej, pomarszczonej prawicy. - Strzegłeś naszych tyłów. Gdyby nie ty, nie wyszlibyśmy cali z winiarni. I gdybyś zaczął wymachiwać mieczem... - zdrząłem - byłoby jeszcze gorzej. Miałaś rację, dzielnica poszłaby z dymem niczym wiązka chrustu. Tej nocy nie brakowało rozeźlonych studentów z pochodniami, pamiętasz?

- Joscelina tam nie było! - Odetchnąłem głęboko, żeby się uspokoić. -Gilocie! Ja też to robię. Porównuję się z nim, ale to trudne. Prawda jest taka, że możemy tylko się starać. Postarałeś się, i jestem za to wdzięczny. I przykro mi, że zostałeś ranny. Nadal cię potrzebuję. Podniósł złamaną rękę. -Po co?

- Potrzebuję twojej lojalności. - Wytrzymałem jego spojrzenie, - Gilocie, znam cię. Ufam ci. Proszę.

Po chwili pokiwał głową.

- Na ile to warte, zostanę u twego boku, Imrielu. - Skrzywił się. -Niewielki będziesz miał ze mnie pożytek, jak się obawiam. Ale zostanę, dopóki nie będziesz gotów wrócić do domu.

- Dziękuję.

Gilot wzruszył ramionami.

Nasza barka dobiła do nabrzeża. Pomogłem mu wysiąść. Wynająłbym lektykę, ale wiedziałem, w jakim jest nastroju, dlatego wołałem tego nie robić. Szliśmy powoli ulicami Tyberium do naszej insuli.

- Był więc ktoś inny tamtej nocy - odezwał się. - Kto? Dotknąłem piersi, szukając glinianego medalionu, który już tam

nie wisiał. Został, połamany, na podłodze w pracowni Erytei. Tajemna wiadomość przepadła. „Nie wyrządzaj szkody”, mówiła. Pomyślałem o Canisie, który dał mi medalion. O Canisie, który zniknął. O Canisie po zamieszkach, z brakującym zębem i strupami na kłykciach lewej ręki.

-Nie wiem. Ale stawiam na Canisa.

-Canis! - Gilot poderwał głowę. - Dlaczego? Wzruszyłem ramionami.

- Chciałbym wiedzieć.

## CZTERDZIEŚCI OSIEM

---

Dwa dni później wyruszyliśmy do Lukki.

Stanowiliśmy wesołą grupę, przynajmniej na pozór. Wszyscy zostaliśmy zaproszeni i nie miało sensu, żeby przyjaciele Lucjusza i jego rodzina podróżowali osobno - więc jechaliśmy razem. Wszyscy, łącznie z Klaudią Fulwią.

Spotkaliśmy się za murami Tyberium niedaleko via Cassia, szerokiej drogi wiodącej na północ. Przyznam, że humor mi dopisywał. Dzień wstał jasny, powietrze było rześkie. Miałem na sobie nowy strój. Wczesnym rankiem radośnie przywitałem się z Bękartem w stajni do wynajęcia. Zglądałem do niego od czasu do czasu, żeby sprawdzić, czy jest zadbany, ale miałem niewiele okazji na nim pojeździć i przypuszczałem, że chłopcy stajenni nie zapewniali mu odpowiednio dużo ruchu. Parskał i paradował, niemal wyskakując z nakrapianej skóry. Miałem kłopot, żeby wyjechać z miasta, nikomu nie wyrządzając szkody. Nic dziwnego, że w Tyberium wszyscy chodzą piechotą.

Na widok rozciągającej się przed nami drogi Gilot, jadący na swoim długonogim gniadoszu, wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Dobrze jest jechać wierzchem! - zawołał. Uśmiechnąłem się równie szeroko.
- Zgadza się!

Eamonn i Brygitta czekali na nas przy bramie i razem ruszyliśmy w drogę. Czuliśmy się młodzi i wolni od trosk. Podróżowaliśmy lekko, tylko z dwoma jucznymi na całą naszą czwórkę. Zupełnie inaczej przedstawiała się sprawa z orszakiem weselnym, który dopędziliśmy z łatwością. Jechał tam piękny powóz zaprzężony w dwa białe konie, za nim kilka ciężko załadowanych wozów i wiele konnych sług.

- Montrève! - Lucjusz zobaczył nas i zawrócił wierzchowca. Wyjechał nam na spotkanie. Jego twarz promieniała w rześwym powietrzu. - Księżę Barbarusie, pani Brygitto, cieszę się, że was widzę. Gilocie, jak twoja ręka?

-W porządku. - Gilot spojrział na niego niechętnie.

-To dobrze. - Lucjusz skinął dłonią. - Proszę, dołączcie do nas. - Powiodł nas do swojej grupy. Kłusowaliśmy wolno obok powozu. -Tuszę, że pamiętasz Dekkusa Fulwiusza. I moją siostrę, Klaudię Fulwię.

Wszyscy skłoniliśmy głowy i wymruczeliśmy uprzejme słowa powitania.

Od czasu zakończenia naszego romansu ujrzałem Klaudię po raz pierwszy. Przekrzywiła głowę i ocieniała oczy dłonią, spoglądając przez okno powozu. Choć we wnętrzu panował mrok, widziałem, że ma suknię i brązowego jedwabiu, z wstążkami splecionymi poniżej piersi. Przełknąłem ślinę na widok głębokiego dekoltu.

-Pamiętasz moich przyjaciół, Klaudio? - zapytał Lucjusz.

-Tak, oczywiście.

Nasze oczy się spotkały. Czułem żar płynący z krocza ku policzkom. Krople potu wystąpiły mi na czoło i ściekły po skroniach. Pot. Aż za dobrze pamiętałem jej smak. I od tygodni nie byłem z kobietą. Od dnia

zamieszek.. Od zerwania Klaudią.

- Imri. - Eamonn dotknął mojego ramienia. - Bękart wydaje się niespokojny. Może urządzimy wyścigi, żeby się wyszalał?

- Ja chcę się ścigać! - poparła go Brygitta.

- Czemu nie? - Lucjusz parsknął śmiechem. - Ścigamy się? Wszyscy wierni uczniowie mistrza Piera. - Wskazał na drogę. - Do tamtego cyprysu i z powrotem!

Nie czekając, wbił pięty w boki wierzchowca, mocnego karosza o zdecydowanym łuku szyi. Kary wystrzelił naprzód, a my ruszyliśmy w pogoń, śmiejąc się i pokrzykując.

Nie był to prawdziwy wyścig, niezupełnie, ale przecież nie na tym zależało Eamonnowi. Zapropował gonitwę tylko po to, żeby oderwać moją uwagę od Klaudii. Jego wierzchowiec został z tyłu, potem odpadła Brygitta, choć dobrze jeździła. Wstrzymałem Bękartą, dopóki ich nie minąłem. Przede mną Lucjusz dotarł do cyprysu, zawrócił elegancko i minął mnie z szerokim uśmiechem. Walczyłem z Bękartem, który chciał rwać z kopyta. Przy cyprysie szarpnąłem wodze i kierowałem nim kolanami. Wyszedłem z wprawy, Bękartowi udało się zrobić podwójne kółko. Kiedy ustawiłem go we właściwą stronę, popuściłem cugli.

Wystrzelił jak z procy.

Gdy chodzi o hodowlę koni, Cyganie wiedzą, co robią. Bękart wyciągnął szyję i pędził jak pożar po stepie. Rozdął chrapy, prążkowane kopyta tętniły na starej tyberyjskiej drodze. Schyliłem się nisko nad jego karkiem, śmiejąc się ze skonsternowanej miny Lucjusza, gdy przemykaliśmy obok niego.

Minąłem orszak i zmusiłem Bękartą do zawrócenia. Stawiał opór a gdy w końcu ustąpił, parsknął i stroił fochy przez całą drogę powrotną.

- Ładny koń, chłopcze! - Dekkus Fulwiusz wytknął głowę z powozu. - Czy chciałbyś się z nim rozstać?

Pokręciłem głową.

- Nie, panie. Chrząknął.

- Mądry chłopak.

Tak oto całą grupą podążaliśmy do Lukki. Spędziliśmy w drodze cztery dni i nauczyłem się znosić je cierpliwie. Okazało się to nietrudne. Dni były ładne, pogoda dopisywała. Przebywałem wśród przyjaciół i miałem Gilota u boku, zaufanego i wiernego. Klaudia tam była, tak, ale mogłem bez trudu udawać, że jej nie ma, przynajmniej dopóki siedziała w powozie.

Noce były trudniejsze.

Zatrzymywaliśmy się w przydrożnych zajazdach i spędzaliśmy wieczory we wspólnej izbie, jedząc, pijąc i ciesząc się hojnością Dekkusa Fulwiusza. Nie należał do głupców; inwestował dobrą wolę w przyszłość Lucjusza. Przyszły książę Lukki miał być wielkim sprzymierzeńcem dla senatora Dekkusa Fulwiusza. Ale, Eluo! Wtedy musiałem się z nią widywać, przebywać w pobliżu. I dotarła do mnie prawda: wciąż jej pragnąłem, bardzo.

Na szczęście był tam Dekkus. W jego obecności Klaudia zachowywała się z rozważnością. Najwięcej uwagi poświęcała Brygittie; wzięła młodą Skaldyjkę pod swoje skrzydła i rozmawiała z nią o kobiecych sprawach. Była miła, co trochę mnie zaskoczyło. Nie powinno. Klaudia Fulwia została wyszkolona w sztuce szpiegowania i umiała robić z niej dobry użytek.

Życzliwość może być środkiem do celu.

Dekkus był zadowolony i wielkoduszny, Lucjusz też nie krył zadowolenia. Był szczęśliwy, widząc siostrzaną życzliwość. Eamonn, który znał prawdę o moim związku z Klaudią, okazywał nieufność, choć chyba tylko ja to zauważałem. Ale kto wie? Może Klaudia naprawdę opiekowała się Brygittą z dobroci serca.

Co do mnie...

Czułem żar pomiędzy nami.

Zawsze, szczególnie w nocy. Spędzanie nocy w pobliżu siebie było niebezpieczne. Pierwszej z trzech długo nie mogłem zasnąć, podczas gdy Gilot drzemał; rzucałem się na sienniku, świadom, że dzieli nas tylko cienka ściana. Zgrzytałem zębami i myśla-



łem o Dekkusie Fulwiuszu, chrapiącym obok żony z brodą zadartą ku niebu, i miałem nadzieję, że to ostudzi moją krew.

Nie ostudziło.

Ostatniej nocy przed Lukką niepokój zwyciężył. Podniosłem się z siennika i wyszedłem z izby, którą dzieliłem z Gilotem. Udałem się do stajni. Cały świat spał, nawet Bękart drzemał w zagrodzie z nisko opuszczoną głową i podniesioną zadnią nogą. Oparłem się o drzwi stajni, patrząc, jak jego klatka piersiowa podnosi się i opada w miarowym, krzepiącym rytmie.

- Imrielu. Odwróciłem się.

Klaudia stała za mną, odziana w suknię z rdzawego aksamitu. Jej włosy opadały w ciemnorudych falach za szal, który zarzuciła na ramiona, Drżała lekko w nocnym chłodziu, a jej twarz miała bezbronny wyraz.

- Nie chodziło tylko o Gildię - powiedziała. - Nigdy.

- Nie wierzę ci.

- To prawda. - Spojrzenie miała czyste i szczere. - I twój widok doprowadza mnie do szaleństwa. Wiem, byłem zła. Powiedziałam wiele przykrych słów, ale nie chciałam cię zranić, nie naprawdę. Wygląda na to, że Gildia akceptuje twoją decyzję. Dlaczego to ma oznaczać koniec naszego

związku? Zostało tak mało czasu.

- Nie mogę. - Pokręciłem głową. - Nie pod nosem Dekkusa.

- Dlaczego nie?

Nie odpowiedziałem, a ona podeszła bliżej. Spowił mnie jej żar i zapach skóry. Słyszałem w uszach szum własnej krwi.

- Tęskniłam za tobą - szepnęła.

Pocałowałem ją wtedy. W głębi duszy przeklinałem się za głupotę, ale, Eluo! To było cudowne. Wsunąłem palce w jedwabisty gąszcz jej włosów. Gdy jej usta się rozchyliły, pocałowałem ją mocno i głęboko. Jej pełne piersi naciskały na mnie. Pragnąłem jej. Chciałem ją posiąść tutaj, w stajni, ze słomą w jej włosach. Chciałem zbudować seraj i jedwabnymi sznurami przywiązać ją do słupków łóżka, i kochać się z nią, dopóki nie zacznie błagać, bym przestał.

Puściłem ją.

- Nie - rzekłem tylko.

Stała, dysząc ciężko, z obrzmiałymi ustami i oczami pociemniałymi

z żądy.

- Na pewno? Skinąłem głową.

- Nie chodzi tylko o Dekkusa. O Lucjusza też. Nie mogę tego zrobić w przeddzień jego ślubu. - Zamknąłem oczy. - Klaudio, jeśli choć trochę mnie lubisz, odejdz, proszę. Zanim zmienię zdanie. Po chwili słoma zaszeleściła.

- Mężczyźni i wasz głupi kodeks honorowy. Co honor ma wspólnego z pożądaniem? - Jej usta musnęły mój policzek, jej palce musnęły moje pulsujące krocze. - Spodziewałam się czegoś innego po D'Angelinie - szepnęła. - Ale odejść.

Poszła.

Odczekałem chwilę i wyszedłem ze stajni. Spojrzałem na gwiazdy, pragnąc, by moja krew się ostudziła i przeminął ból pożądania. Trwało ro długi czas, i znów przeklinałem się za głupotę. W końcu z cichym śmiechem wróciłem do zajazdu, padłem na siennik i leżałem bezsennie do świtu.

Rankiem byłem rad ze swojej decyzji. Wyruszyliśmy wcześniej. Czekало nas niepełna pół dnia jazdy do Lukki; Lucjusz miał nadzieję, że dotrzemy do miasta przed porą południowego posiłku. Jego wątpliwości dotyczące małżeństwa jakby się rozwiały, a może po prostu cieszył się 2 powrotu do domu.

Muszę przyznać, okolica była piękna, pomiędzy zielonymi górami ciągnęły się żywe równiny, płonące złotem w jesiennym słońcu. Ostatni odcinek drogi biegł wysoko w górach. W pewnej chwili Lucjusz wskazał ku zachodowi, gdzie w *dali* na skalnym urwisku srał zamek. Wydawał się wysoki i niedostępny.

- Widzisz? - zapytał. - Valpetra. Miasto leży po drugiej stronie, stąd go nie widać. A to warownia Martellego.

-Wygląda imponująco - powiedziałem.

Zastanowił się.

-Jest.

- Lukka leży w górach?

-Nie. - Lucjusz uśmiechnął się szeroko. - Ale też jest imponująca, na swój sposób. Mówiłem ci, że mury miejskie są tak szerokie, że rosną na nich drzewa? - Zaśmiał się, gdy zrobiłem sceptyczną minę. - Sam

zobaczysz.

Nie wierzyłem mu, dopóki nie wyjechaliśmy z wąwozu, za którym rozciąga się dolina Lukki. Ujrzałem miasto otoczone fosą i murem z czerwonej cegły. Wokół leżały

wioski, a na północ płynęła rzeka, z kanałem zasilającym fosę. Z początku nie dawałem wiary, pewny, że rozłożyste korony dębów nad murami należą do drzew rosnących po drugiej stronie. Ale gdy podciągnęliśmy bliżej, zrozumiałem, że Lucjusz nie kłamał. Drzewa rosły na samych murach.

Brygitta ścignęła brwi.

-Co to?

- Drzewa - odparłem. - Rosną na murach. Pokręciła głową.

- Nie chodzi mi o drzewa. O tamto.

- Wieża dzwonna. - Lucjusz prześledził kierunek, który wskazywała palcem. - Mówią, że kiedy Gallus Tadiusz i Czerwona Plaga napadli... - urwał.

- Dym - rzucił Eamonn krótko.

Wtedy wszyscy zobaczyliśmy strużkę dymu; wisiała nad miastem, stapiając się z jesienną mgiełką. Musnęło mnie zimne piórko złych przeczuć.

Lucjusz pobladł.

- Coś złego. - Podjechał do powozu, zabębnił w drzwi. - Klaudio! Dekkusie! Ktoś podłożył ogień pod wieżę dzwonną!

- Co takiego? - Głos Klaudii zdradzał niedowierzenie.

- Zostańcie tutaj - polecił Lucjusz ponuro. - Wszyscy. Pojadę zasięgnąć języka.

- Jadę z tobą - oznajmiłem.

-Ja też - wtrącił Eamonn. Brygitta tylko przymrużyła oczy.

- Montrève, nie możesz, jesteś... - Lucjusz urwał i spojrzał w stronę miasta. - Nie mam czasu na sprzeczki. -To się nie sprzeczasz - powiedziałem.

Pojechaliśmy wszyscy, cała nasza czwórka, pędząc na złamanie karku do Lukki. Gilot został, bo przysiągłem na głowę Anny i na imię Błogosławionego Elui, że z miejsca go odprawię, jeśli nie posłucha. Mówiłem poważnie.

Sytuacja wydawała się dziwna i nierealna. Parę minut temu śmialiśmy się i żartowaliśmy, niespiesznie dążąc do celu. Wszystko zmieniło się w ciągu jednego uderzenia serca. Być może to nic takiego. Pożary częste wybuchają przez przypadek.

Ale im bardziej się zbliżaliśmy, tym bardziej pogłębiało się moje złe przeczucie.

Bramy Lukki były zamknięte, zwodzony most podniesiony, brom opuszczona. Ściągnęliśmy wodze przed fosą. Przed nami piętrzyły się porośnięte drzewami mury.

Lucjusz krzyknął do wartowników po obu stronach bramy.

- Straże! Co się tu dzieje? Odpowiedział mu stłumiony głos.

- A kto pyta?

- Lucjusz Tadiusz da Lukka!

W oknie wysoko na wieży ukazała się kusza.

- Pokaż się.

Siedząc na karym wierzchołku, Lucjusz rozłożył ręce w pełnym oburzenia geście.

- Do licha, a jak myślisz, co robię, idioto? Spójrz na mnie. A teraz otwierać bramę i z drogi!

Nad kuszą pojawiła się twarz strażnika.

- To on! - zawołał do kogoś wewnątrz i dodał: - Wybacz, panie.

Rozległ się zgrzyt, gdy opadał most i podnosiła się brona. Przejechaliśmy z Lucjuszem przez most, końskie kopyta dudniły głucho i budziły echa nad fosą. Woda się poruszyła, leniwa i zielonkawa. Znałem ten zapach, smród basenu w zenanie. Przyłgnął do mnie, gdy przejeżdżaliśmy przez masywną bramę.

Za murami czekał na nas oddział straży miejskiej.

- Lucjusz, panie... - zaczął jeden z odznaką szarży.

- Kapitanie - przerwał mu Lucjusz - co się tu dzieje, do licha? Kapitan zgrzytnął zębami.

- Valpetra.

Lucjusz zaklął siarczyście i mocno plasnął dłonią w zad wierzchołku. Karosz zadrdzał i poderwał głowę, z okrutną siłą szarpnięty za wodze. Dziko toczył oczami, płaty krwawej piany pojawiły się w kącikach pyska. Eamonn i Brygitta wymienili spojrzenia.

- Mów - polecił Lucjusz głosem zimnym jak lód.

Opowieść nie trwała długo. Dowiedzieliśmy się, że kilka godzin temu Domenico Marelli, diuk Valpetra, wkroczył do Lukki ze switą zbrojnych pod pretekstem wręczenia prezentu ślubnego dla rodziny Correggio.

Zamiast tego przybysze porwali pannę młodą i wznieśli chaos, podkładając ogień pod wieżę dzwonną, co skutecznie zapobiegło pościgowi.

- Wpuściliście ich?! - ryknął Lucjusz. Kapitan się skrzywił.

-Panie, przybyli pod znakiem pokoju. Uderzyli szybko i uciekli jeszcze szybciej. Zrobiliśmy, co w naszej mocy. Straciłem siedmiu ludzi, zginął też młody szlachcic.

-Kto?

Kapitan powiódł wzrokiem po swoich podkomendnych.

- Bartolomeo Ponci - powiedział jeden z nich.

- Bartolomeo. - Lucjusz zgarbił się w siodle, a ja przypomniałem sobie że tak brzmiało nazwisko młodego szlachcica, którego kochała jego narzeczona. Lucjusz zamknął oczy i zadrżał, po czym wyprostował się z trudem, jakby pod ciężkim brzemieniem. Kiedy otworzył oczy, już ród sobą panował. - Gdzie Helena?

- W połowie drogi do Valpetry, jak sądzę - odparł kapitan przeproszającym tonem. - Godzina wcześniej, a zobaczyłbyś ich na zachodniej drodze. Przykro mi, panie. Proszę, zaprowadzimy cię do ojca.

- Czy miasto jest bezpieczne?

- Teraz tak. - Kapitan miał kwaśną minę. - Ogień został prawie ugaszony i strzeżemy bramy.

- Dobrze. - Lucjusz wskazał na południe. - Moja siostra i jej mąż czekają na wieści. Wyślij szwadron eskorty. A potem nikogo nie wpuszczać ani nie wypuszczać z miasta. Zrozumiano?

- Książę Gaetano... - Kapitan urwał. - Tak, panie. Zrozumiano. Poprowadził nas ulicami Lukki. Miasto było ładne, wzdłuż ulic stały domy koloru jasnej ochry, kryte czerwoną dachówką, jaśniejące w popołudniowym słońcu. Każdy mógł poznać, że to miasto handlowe, zwykle tętniące życiem, jednakże tego dnia sklepy były zamknięte, a ulice prawie puste.

- *Dagda Mor* - mruknął Eamonn. - Jak Tyberium po zamieszkach.

- Nie - zaprzeczyłem. - Gorzej.

Nie mogłem powiedzieć, dlaczego, niezupełnie. Ale całun wiszący nad Lukką był inny. Nie chodzi tylko o dym, choć mogliśmy go poczuć, gdy zbliżyliśmy się do rynku. Poczulem tam coś innego. Inny zapach, odór *Daršangi* ociągający się w moich nozdrzach. Powietrze wydawało się ciężkie, duszące. Pomimo ciepła, zmarzłem. Nawet Bękart to czuł, skóra mu drżała, jakby nękały go muchy.

Na rynku Lukki srała wieża dzwonna, wypalona przez ogień, cuchnąca dymem. Kamienne mury były tylko osmalone, lecz drewniane wnętrza się zapadło i dach strawiły płomienie. Ustawieni w szeregi ludzie podawali wiadra, wylewając wodę w wejście. Inni stali dokoła, poszeptując. Ponure macki dymu wciąż spowijały koronę wieży, ale wyglądało na to, że pożar rzeczywiście został opanowany.

Dlaczego więc ten widok napawał mnie przerażeniem?

Tu i ówdzie ludzie robili stare tyberyjskiej gesty odwracające zło, podnosząc kciuki nad zaciśniętymi pięściami. Inni spluwali na ziemię. Słuchałem ich pomruków i słyszałem powtarzane słowo. „Lemury”.

Spojrzałem na Lucjusza. Z twarzą surową i bladą patrzył w ciemną paszczę wypalanej wieży. Jego usta poruszały się bezdźwięcznie.

-Lucjuszu. - Dotknąłem jego ramienia. Wydawało się sztywne jak deska. - O co chodzi? Spojrzał na mnie.

- *Mundus manes*

- Co? Świat? Co?

-*Mundus manes!* - krzyknął. - Słodki Apollo, jesteś idiotą? Dół! Dół w wieży dzwonnej! - Obrócił głowę, przeszył wzrokiem kapitana. – Co się z nim stało?

Kapitan zrobił znak przeciwko złu. Też był blady, choć nie tak jak Lucjusz.

- Pokrywa pękła w żarze, panie.

Lucjusz schował twarz w dłoniach. Zadygotał.

- Przepraszam, ale nie rozumiem - wtrąciłem, zbity z tropu. Eamonn chrząknął.

- To otwór prowadzący do świata umarłych. Odkrywają go raz w roku, żeby udobruchać duchy i wypuścić je na świat. - Wzruszył ramionami, widząc moją minę. - Ze-szłej jesieni byłem na święcie w Tyberium, ale niczego takiego nie zauważyłem.

-To nie twoi zmarli! - krzyknął Lucjusz.

Krzyk poniósł się po placu, głowy obróciły się w naszą stronę.

-Przepraszam. - Oddychając ciężko, Lucjusz zebrał wodze. Kolory wróciły na jego twarz tak nagle, że wyglądał jak zarumieniony. - Przepraszam. Chodźcie, moja rodzina czeka.

Nikt nic nie mówił. Jechaliśmy w milczeniu, Lucjusz siedział w siodle prosty niczym włócznia, trzymając wodze w pewnych dłoniach. Z jakiegoś powodu nawet to mnie zaniepokoiło.

Posiadłość Tadiuszów, ze wspaniałą, dużą willą, zajmowała spory szmat ziemi. Ogrody się zieleniły, rozłożone w majestatycznych liniach. Dwóch zbrojnych wyszło nam na spotkanie i kapitan straży miejskiej przekazał im obowiązek eskorty. Lucjusz jechał ścieżką, nie patrząc na boki. Słudzy przybiegli ze stajni, żeby zabrać nasze wierzchowce.

-Ostrożnie - mruknąłem, podając wodze Bękartą. - Gryzie.

Lucjusz już maszerował do willi. Zerkając bezradnie na siebie, Eamonn, Brygitta i ja poszliśmy za nim.

Chwila była niezręczna, delikatnie mówiąc. Trzymaliśmy się dyskretnie z tyłu, usiłując nie rzucać się w oczy, choć w przypadku naszej trójki *Mo* to raczej trudne. W atrium stanąłem z boku, żeby mieć dobry widok na to, co nastąpi. Czułem się trochę winny z tego powodu, ale coś było źle, bardzo źle, i martwiłem się o Lucjusza.

- Och, mój chłopcze! - Pierwsza powitała go matka, z oczyma czerwonymi od płaczu. Zamknęła go w ramionach. - Przykro mi, tak mi przykro. Takie słodkie dziewczę!

- Matko. - Lucjusz odwzajemnił uścisk. - Wiem.

- Synu. - Głos ojca był twardy i oschły. Wysoki mężczyzna miał rzadziejące włosy i usta wykrzywione przez gorzkie rozczarowanie. Jeden rzut oka wystarczył, by poznać, że Lucjusz i Klaudia odziedziczyli urodę po matce. - Na szali spoczywa honor Tadiuszów.

Lucjusz wyprężył ramiona, jego twarz się zmieniła.

- Tak, ojcze.

Powietrze było ciężkie, zbyt ciężkie. Oddychałem z trudem. Willę spowijała ciemność, ciemności panowały w mieście. Ciemność pełzała wokół Lucjusza Tadiusza da Lukka. Odsunąłem się od niego, zderzyłem z otwartymi drzwiami domowego lararium. Eamonn spojrzał na mnie - był wyraźnie zmartwiony, nawet Brygitta miała z troskana minę. Pokręciłem głową.

-Tak, ojcze! - Drwina, okrutna drwina brzmiała w głosie starszego Tadiusza. - Spodziewasz się, że liczę na to, że ty przywrócisz nam honor?

Oparłem się o futrynę, żeby zebrać siły. Na ołtarzu w lararium płonęły niedawno zapalone świece, miseczki ofiarne były pełne. Woskowe maski pośmiertne patriarchów Tadiuszów pociły się w gorącu. Jedna na widocznym miejscu, pękła na dwoje. Sięgnąłem do niej bezmyślnie podniosłem połowy i złożyłem je. Ujrzałem dziwną twarz, zagniewana z rysami znamionującymi okrucieństwo.

Tylko maska, pęknięta i pusta.

Wtedy zrozumiałem.

-W przeciwieństwie do ciebie? - Głos Lucjusza, choć obraźliwy brzmiał łagodnie, przynajmniej dopóki nie podniósł się do ryku. - Na bogów, człowieku! Co się stało z Tadiuszami, że ty uważasz siebie za mężczyznę?

Wyszedłem z lararium z pękniętą maską pośmiertną w dłoniach, minąłem Eamonna i Brygittę, podszedłem do Lucjusza. Jego ojciec osłupiał, matka miała przestraszoną i skonsternowaną minę.

Lucjusz spojrział na mnie wilkiem.

- Co tam masz, kochasiu?

Podniosłem połówkę maski, spoglądając między nimi na jego marsową minę. Nie musiałem patrzeć, by wiedzieć, że maska odzwierciedla jego wyraz twarzy. Podobieństwo już wyryło się w mojej pamięci, a chłód, który czułem wcześniej, zagnieździł się w szpiku kości.

- Jak to wygląda?

-Jak ja. - Wyszczrzył zęby. Wyglądał tak strasznie, że pożałowałem, że zamiast tego nie spogląda gniewnie. - Co cię to obchodzi? Poza tym, kim jesteś?

- Jestem Imriel - odparłem. - A ty?

Lucjusz pochylił się i z wystudiowaną pogardą splunął na podłogę. -Gallus - rzucił lekkim tonem. - Gallus Tadiusz. Jeśli już tego nie wiecie, niebawem się przekonacie.

## CZTERDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

---

Wybuchło pandemonium.

Publiusz Tadiusz, ojciec Lucjusza, krzyknął na syna; Lucjusz odpowiedział tym samym. Matka, Beatrice, błagała ich z płaczem, żeby przestali. W *samym* środku zamętu przybyła Klaudia z Dekkusem. Patrzyła na rozgrywającą się scenę w głębokim szoku.

- Co się dzieje? - zapytała.

- Rozpacz wpędziła twojego brata w szaleństwo - mruknął Eamonn. -Myśli, że jest własnym przodkiem.

Uniosłem połówkę maski pośmiertnej.

- Gallusem Tadiuszem.



- Lemury! - Dekkus, trzeźwy Dekkus Fulwiusz zrobił się biały jak kreda. Włos mi się jeżył na głowie i nie byłem w nastroju, by drwić z przesądów Caerdicci. Cokolwiek opętało Lucjusza, nie sądziłem, że to zwyczajne szaleństwo.

W tej chwili plaśnięcie odbiło się echem od ścian atrium. Lucjusz, rycząc „Dość!”, grzbietem dłoni spoliczkował ojca.

- Dobra - warknął, przerywając pełną osłupienia ciszę. - Musimy się zaznajomić. - Wskazał na Klaudię. - Jesteś z Tadiuszów.

- Lucjusz - szepnęła - to ja, Klaudia.

- Klaudia. - Skinął głową na Dekkusa. - Mąż, mam rację?

- Dekkus. - Senator kaszlnął. - Dekkus Fulwiusz.

- Fulwiusz! - Lucjusz klepnął go ręką po ramieniu. - Porządny człowiek. Fulwiusze wiedzą, jak trzymać się władzy, prawda? Nie jak moje bękart. - Podszedł do Eamonna i przekrzywił głowę. - A co my tu mamy: Piękny okaz barbarzyńskiego wojownika, sądząc z wyglądu! Komu służysz, chłopcze? Będziesz mile widziany w Czerwonej Pladze!

- Dzięki, panie - odparł Eamonn dyplomatycznie. - Jestem Eamonn mac Grainna z Dalriady.

- Księżę Dalriadów - dodała Brygitta, unosząc podbródek.

- Aha! - Lucjusz parsknął śmiechem. - Masz u boku zadziorną kocicę, Księżę Barbarusie! - Zachichotał pod nosem. - Nic nie szkodzi, skarbenku. Lubię wojownicze kobiety. Dzikie kobiety i dzikie konie. Ich ujeżdżanie to czysta przyjemność.

Brygicie rozbłysły oczy, jej dłoń podniosła się ku sztyletowi. Lucjusz znowu się zaśmiał.

- Śmiało, skarbenku! Zrób pierwszy krok. Eamonn zacisnął pięści i spojrzał na mnie błagalnie.

- Lucjusz! - krzyknąłem.

Odwrócił się ku mnie, zapominając o Brygicie.

- Lucjusza teraz tu nie ma - rzekł konwersacyjnym tonem. - Ale ty wiesz, prawda, kochasiu?

Skinąłem głową. Podszedł bliżej.

- Jesteś D'Angelinem. Co tu robi D'Angelin?

- Jestem przyjacielem Lucjusza - odparłem spokojnie.

- Przyjacielem! - Parsknął śmiechem. - Milutkie słowo na określenie kochasia. - Przyjrzał się moim rysom. - Jesteś o połowę za ładny, wiesz. Wyświadczę ci przysługę.

Ktoś - Klaudia, jak myślę - sapnął głośno, gdy Lucjusz poderwał pięść ku mojej twarzy, ale ja już reagowałem. Przedramieniem lewej ręki odbiłem kułak w bok i wsunąłem się w zasięg jego obronnego kręgu, stawiając lewą stopę za jego prawą nogą. Rozcapierzyłem prawą rękę na jego piersi i pchnąłem. Lucjusz upadł na podłogę atrium.

To nie było eleganckie.

Wściekły, zerwał się na nogi.

- Ty w zad trykany mały...

- Lucjusz. - Odsunąłem się i pochwyciłem spojrzenie Eamonna. Skinął głową, zachodząc od tyłu Lucjusza, Gallusa, czy ktokolwiek to był

- Lucjuzu, pomyśl! - mówiłem, zdesperowany. - Czy jest w tym cnota? Co powiedziałby mistrz Piero?

Przystanął, patrząc bez śladu zrozumienia.

- Mistrz Piero?

Eamonn zrobił kolejny krok, podniósł zaciśnięte ręce i trzasnął prawym łokciem w ciemność Lucjusza. Był dość wysoki, żeby tego dokonać, i zadał cios z siłą kopnięcia muła.

Oczy Lucjusza obróciły się w głąb czaszki, kolana się pod nim ugięły. Eamonn wykrzywił twarz, trąc obolały łokieć, gdy nasz przyjaciel osuwał się na podłogę.

- Imri? - Gilot wszedł do atrium. - Chcieli ulokować mnie w kwaterach służby, ale kazałem im się... - Uwał, mrugając. - Do siedmiu piekieł, co się tutaj stało?

- Duchy - odparłem ze znużeniem w głosie. - Alais miała rację.

- Co? - Wlepił we mnie wzrok. Pokręciłem głową.

-Później wyjaśnię.

Mieliśmy dużo czasu na rozmowę. Gdy Eamonn ogłuszył Lucjusza, Tadiusze zwarli szeregi i wynieśli go z atrium. Uprzejmi, przestraszeni słudzy zaprowadzili naszą czwórkę do pokoi gościnnych. Urządziliśmy się tam wygodnie. W tym czasie nieprzerwany strumień medyków i kapłanów przepływał przez willę. Czasami słyszeliśmy krzyki, ale nikt nam nie Dowiedział. Zjedliśmy posiłek, jaki nam przyniesiono, skorzystałmy .prywatnych łaźni willi, spacerowaliśmy po ogrodach i nie byliśmy ani trochę mądrzejsi, gdy zapadł zmierzch.

W skrzydle z pokojami gościnnymi był wygodny salon z kolumnadą od strony bocznego ogrodu, i tam się zgromadziliśmy. Słudzy przynieśli wino, zapalili lampy i zostawili nas w spokoju.

- Imrielu - odezwał się Gilot - rankiem wyjedziemy.
- Zobaczymy - odparłem łagodnym tonem.

Skłonił głowę, nieświadomie pocierając kaleką prawicę. Lampy rzucały wzorzysty cień na jego profil.

- Zostaniesz, bo Alais miała sen?
- Nie. Ponieważ Lucjusz jest moim przyjacielem.
- Lojalność - niespodziewanie odezwała się Brygitta.

Oboje z Eamonem siedzieli na kanapie, on obejmował ją ramieniem, Jeśli miałem jakieś wątpliwości, czy są kochankami, teraz się one rozwiały - wyglądali jak para wygrzewających się na słońcu drapieźników, Brygitta przymrużyła niebieskie oczy.  
-Wierność jest cnotą.

Gilot westchnął.

- A obowiązek? Co z obowiązkiem?
- Mistrz Piero niewiele mówił o obowiązku - rzekł z zadumą Eamonn.
- Mistrz Piero! - Gilot podniósł głos. - Robię się śmiertelnie chory, gdy słyszę o mistrzu Piero.

Gilocie... - Dotknąłem jego ramienia. - Zatem odejdz. Już wcześniej chciałem, żebyś to uczynił. To moja decyzja i muszę z nią żyć. Muszę zostać, przynajmniej na jakiś czas. Ale na ciebie czeka Anna, i Belinda.

One potrzebują cię bardziej niż ja. Rankiem wyjedziesz.

- Nie mogę - mruknął.
- Dlaczego? - zapytałem.

Roześmiał się, choć bez większej wesołości.

- Lojalność.

W końcu poszliśmy do naszych komnat i położyliśmy się spać, i nic nie zostało postanowione. Spałem sam po raz pierwszy od wielu miesięcy Spanie w prawdziwym łóżku, nie na sienniku, bez Gilota pochrapającego w pobliżu, wydawało się dziwne.

Zbudziłem się i zobaczyłem Klaudię Fulwię.

Usiadłem gwałtownie, bez jednej myśli sięgając po miecz, który przed udaniem się na spoczynek położyłem w zasięgu ręki. Stała w drzwiach i patrzyła bez zmrużenia oka, jak mierzę w nią sztychem. Wyglądała na bardzo zmęczoną i cienie pod oczyma budziły moje współczucie.

- Ocknął się - oznajmiła. - I pyta o ciebie.

Wstałem bez słowa, włożyłem koszulę i spodnie. Poszedłem za nią stąpając na bosaka przez willę.

Klaudia przystanęła u drzwi komnaty chorego.

- Zdaje się, że jest sobą - dodała. - Nie wiem, jak długo to potrwa. - Poruszyły się mięśnie jej szyi, gdy przelykała ślinę. - Bądź dla niego miły, dobrze? Jest moim bratem. Skinąłem głową.

- Rozumiem. Dotknęła mojego policzka.

- Dziękuję.

Wszedłem. Wnętrze było mroczne i zadymione, w koszu tliły się nieznane mi zioła. Zakaszałem, machając ręką przed twarzą.

- Montrève? - Postać na łóżku się poruszyła. - To ty?

- Nie wiem. To ty?

- Mniej więcej. - W głosie Lucjusza brzmiała znajoma cierpka nuta. - Usiadł, oparty o poduszki. - Przepraszam za próbę rozkwaszenia ci nosa.

Przysiadłem na brzegu łóżka.

- Pamiętasz?

- Tak. - Spojrzał na mnie z rozbijającą szczerością. - Boję się. On wróci, wiesz. Wszystko to... - ruchem ręki ogarnął dymiące kosze - to tylko środek tymczasowy. On wciąż tu jest. - Dotknął mostka. - We mnie.

- Wiem.

- Zobaczyłeś to, prawda? - zapytał, a ja przytaknąłem. - Nie jestem obłąkany?

- Nie. - Pokręciłem głową. - Nie sędzę. Lucjuszu, moja kuzynka Alais przed laty miała sen. Kobiety w rodzinie cruarchy mają prorocze sny, czasami. Śniła, że pomagam człowiekowi o dwóch twarzach walczyć z opryszkami. - Uśmiechnąłem się do wspomnień. - Przekomarzałem się z nią. I zapytałem, dlaczego, czy ten człowiek był

moim przyjacielem. Odparła: „Jeden z nich był”. - Złapałem go za rękę. - Przypuszczam, że chodziło o ciebie.

Uśmiechnął się do mnie.

-Wiesz, co dziwne, niemal odczuwam ulgę. Stało się najgorsze. Już więcej nie muszę się martwić.

-Ale to nie koniec - zaznaczyłem.

-Nie. - Lucjusz uśmiechnął się krzywo. - Nie, on wróci. Czuję go w sobie niczym jakiś straszny bąbel, który będzie rósł, dopóki nie pęknie, I co najgorsze, obawiam się, że będziemy go potrzebować.

- Co? - Spojrzałem nań tępo.

Dziwny wyraz przemknął po jego twarzy, jego ręka naprężyła się w mojej dłoni. Chwila przeminęła i nadal był sobą.

-Montrève, posłuchaj. - Ścisnął i puścił moją rękę. - Jestem wdzięczny za przyjaźń, naprawdę, ale nie możesz tu zostać. Dlatego po ciebie posłałem.

- Nie zostawię cię - zapowiedziałem.

-Nie masz wyboru! - Podniósł głos, odetchnął głęboko i podjął cicho: - Montrève, nie obchodzi mnie, co śniła twoja mała kuzynka. Posłuchaj mnie. Zabierz Eamonna, Brygittę i swojego Gilota i wynoście się stąd w diabły. Natychmiast.

-Dlaczego? - zapytałem z uporem w głosie.

Sklął mnie.

Jesteś za głupi, żeby przyjąć rozkaz, D'Angelinie? Precz!

Gdzieś w willi rozległy się krzyki, a porem tupot biegnących stóp.

Usłyszałem głos Klaudii za drzwiami i wstałem.

- Imrielu?

Otworzyłem drzwi.

- O co chodzi?

Twarz miała spokojną, ale łzy lśniły w jej oczach.

- Lukka jest obłąkana.

Za moimi plecami Lucjusz wybuchnął śmiechem. Gdy się odwróciłem, siedział na brzegu łóżka. Obdarzył mnie szerokim okrutnym uśmiechem, i nie było w nim śladu Lucjusza.

- Za późno, kochasiu! - zawołał wesoło. - Tak myślałem. Valpetra ma w nosie dziewczynę, ona jest tylko środkiem do celu. Zależy mu na mieście. I niech mnie diabli, jeśli pozwolę je zająć. - Wstał i włożył ubranie. - Dobra - powiedział do Klaudii - chodźmy się rozpatrzeć.

Nie czekając na odpowiedź, wyszedł z komnaty.

- Idź z nim - poleciłem. - Zwołam innych.

W czasie, gdy udało nam się osiedlać wierzchowce, Lucjusz był już w drodze do murów miejskich. W mieście panowało poruszenie. Na ulicy tłoczyli się przestraszeni ludzie, konni i piesi. Ciężkie od strachu pogłoski zagęszczały powietrze.

Co dziwne, tylko Lucjusz zachowywał spokój.

Dopędziliśmy go przed bramą. Jechał w środku grupy Tad i uszów i ich najemnych, zdeterminowany i wyprostowany. Skądś zdobył miecz, któn u jego boku wyglądał tak naturalnie, jakby zawsze go nosił. Był tam jego ojciec, i Klaudia z Dekkusem, ale nikt nic próbował go powstrzymać. Zapewnie nie mieli odwagi, co wcale mnie nie dziwiło.

Przed wartownią przy bramie kapitan straży miejskiej zsalutował mu nieufnie. Stał przy nim człowiek, szlachcic, sądząc po stroju. Był starszy, z wysokim czołem i poważnym spojrzeniem; po roztaczanej przez niego aurze władzy poznałem, że to Gaetano Correggio, ojciec Heleny i księżę Lukki.

- Dobra. - Lucjusz go zignorował, zwracając się do kapitana. - Rzućmy okiem.

- Lucjusz Tadiusz? - zapytał mężczyzna, zdumiony.

- Niezupełnie, - Lucjusz z gracją zsiadł z konia, podał wodze służącemu. Wskazał głową wieżę strażniczą. - Ruszaj, człowieku! Idziemy.

- Kapitanie, nie... - zaczął Publiusz Tadiusz i umilkł, gdy Lucjusz przeszył go zimnym, twardym spojrzeniem. Starszy Tadiusz miał słaby ślad na policzku, pamiątkę po wczorajszym ciosie. Chrząknął. - Tak, zgoda, idźcie się rozejrzeć Gaetano, możemy zamienić słowo? Cała nasza czwórka wymieniła spojrzenia.

- Ja pójdę - zgłosiłem się.

Zastawiłem Bękartą w pieczy Gilota, po czym poszedłem za Lucjuszem i kapitanem do wieży strażniczej. Nikt nie próbował mnie zatrzymać. Weszliśmy po wąskich krętych schodach do pomieszczenia na szczycie. Lucjusz wyrzwał przez okno. Jego ramiona zasłoniły mi widok.

- Bodaj to szlag - mruknął i się cofnął. - Przez tę dziurę od sracza gównem widać. Idę na mury.

Złapałem kapitana za ramię, gdy Lucjusz odryglował ciężkie drewniane drzwi, które prowadziły na mury. -Kapitanie, posłuchaj. On nie jest sobą.

-Widzę. - Zamrugał. - Kim jest? Zawahałem się.

- Gallusem Tadiuszem.

-Aha. - Kapitan się zastanowił. - Dobrze.

Skoro nie było nic innego do powiedzenia, poszedłem za Lucjuszem, chyląc głowę w niskim przejściu. Wyszedłem na światło dzienne, wysoko na szczycie muru szerokiego jak tyberyjska droga. Ściślej rzecz biorąc, były to dwa mury, zewnętrzny i wewnętrzny, oba grube i mocne, z ubitą pomiędzy nimi ziemią. W niej zapuściły korzenie wysokie dęby.

A za murami stała armia.

Musiała liczyć ze dwa tysiące ludzi. Ujrzałem oddział jazdy i kompanię łuczników; resztę stanowiła piechota. Byli w pełni uzbrojeni, mieli krótkie miecze i długie włócznie, i tarcze wiszące na plecach. Ich zbroje lśniły w słońcu.

Lucjusz stanął na widoku, rozstawiwszy nogi, z rękami na biodrach, i spoglądał na nich z namysłem. -Lucjusz! - syknąłem, cofając się w cień wieży strażniczej. Łypnął na mnie.

- Na słodkie cycki westalek, kochasiu! Nie są idiotami, to zawodowcy. Znajdują się poza zasięgiem strzału z kuszy, podobnie jak my. Chodź tutaj.

Poszedłem.

Kolana mi drżały. Jest coś nienaturalnego w staniu przed całą nieprzyjacielską armią bez żadnej osłony. Lucjusz popatrzył na mnie z rozbawionym wyrazem twarzy.

- Brawo - pochwalił, gdy stanąłem obok niego, i poklepał mnie po ramieniu. - Przy- najmniej ty nie jesteś podszyty tchórzem, w przeciwieństwie do całej reszty.

Westchnąłem.

- Dziękuję, panie.

Na dole dwie osoby wyjechały z szeregu, mężczyzna i kobieta, ona pierwsza, on za nią. Nie byli uzbrojeni. Nosili strojne szaty wykończone złotogłowiem. Jej peleryna z czerwonego jedwabiu spływała na koński zad. Kobieta jechała ze spuszczoneym wzrokiem.

- Valpetra - mruknął Lucjusz. - To musi być dziewczyna. Spojrzałem na niego.

- Czy... rozumiesz... co się tu dzieje? Wzruszył ramionami.

- Mniej więcej.

- Lukka! - krzyknął mężczyzna. Chwycił za rękę nie stawiającą oporu kobietę. - Jak ci się podoba moja świeżo zaślubiona małżonka? Wyjdź i ją zobacz!

Za drzwiami wieży strażniczej napłynęły odgłosy szamotaniny i pojawił się Gaetano Correggio w towarzystwie kapitana i kilku strażników. Książę Lukki spojrzął z muru i pobałdł.

- To moja córka - szepnął.

- Już jego żona. - Lucjusz wzruszył ramionami. - To on, prawda?

- Domenico Martelli, książę Valpetry. - Gaetano wy mówił słowa, jakby były trucizną na jego języku. - Valpetra! - krzyknął. - Puść ją, bodajże cię diabli!

Mężczyzna daleko w dole parsknął śmiechem.

- Czy tak witasz nowego syna? - zawołał. - Lukka, małżeństwo daje mi prawo ubiegania się o spuściznę po tobie. Otwórz bramę i przyjmij mnie serdecznie!

- A jeśli nie? - zapytał ponuro Gaetano.

Diuk Valpetry machnął ręką. Jeździec z tyłu wyszczeł rozkaz. Oddział żołnierzy zdjął tarcze z pleców i pomaszerował ku murom. Łucznicy pociągnęli za nimi i uklękli pod ich osłoną.

- Otworzę ją za ciebie!

- Straż! - ryknął Lucjusz. - Brać go!

Posłuchali w okamgnieniu, podnosząc kusze do ramion. Gaetano Correggio zwrócił udręczoną twarz ku Lucjuszowi.

- Co mam robić?

- Powiedz mu, żeby zabrał twoją nic niewartą puszczałską córkę i wracał do domu - odparł bez namysłu Lucjusz. Zaśmiał się, gdy Gaetano wlepił w niego wzrok, zbyt wstrząśnięty, żeby wpaść w złość. - Daj spokój, człowieku! Nie chodzi mu o dziewczkę. On chce mieć Lukkę. - Skinął głową w stronę księcia. - Chyba że stan rzeczy zmienił się w ciągu pokolenia. W porównaniu z Lukką, w Valpetrze bieda aż piszczy. Diuk wynajął najemników i postawię górę złota przeciwko cuchnącej kupie gnoju, że obiecał im łupy zamiast żołdu. - Lucjusz wzruszył ramionami. - Chcesz zobaczyć ogołoczone świątynie, zgwałcone kobiety i synów na sztychu miecza? Śmiało, otwieraj bramę.

- Skąd... - Gaetano Correggio oblizwał usta suche ze strachu. - Skąd możesz być pewien?



Lucjusz się uśmiechnął, a przynajmniej uśmiechnęło się to, co przyoblekło jego twarz.

-Ja bym tak zrobił.

Staralem się nie rzucić w oczy. Nie chciałem brać udziału w tej rozmowie, a co dopiero w napiętym impasie pomiędzy ich łucznikami i naszymi strażami. Ale na szczycie muru nie miałem dokąd pójść. Lucjusz stał z wystudiowaną beztroską, wiatr szarpał jego ciemnorude kędziory. Gaetano Correggio gapił się tępo na swoją córkę.

-Ale on ją zabije - powiedział.

-Ją? - Lucjusz się roześmiał. - Mało prawdopodobne. Tylko ona daje mu prawo do roszczeń.

- Nie. - Książę Lukki pokręcił głową. - Nie. Nie zaryzykuję jej życia. Musi być inny sposób. - Jego rysy stwardniały, gdy podjął decyzję. - Straże! - warknął. - Spocznij. - Posłuchali po chwili wahania, opuszczając kusze. - Valpetra! - krzyknął. - Chcę pertraktować!

-Idiota - mruknął Lucjusz.

Pomyślałem, że tu i teraz rzuci wyzwanie Gaetano Valpetrze, ale tylko słuchał i patrzył spod ściągniętych brwi, gdy omawiali warunki spotkania. W końcu Valpetra zgodził się wycofać trzon armii i wejść do miasta ze zbrojną eskortą. Pięćdziesięciu ludzi, bez łuczników. Gaetano nie chciał na to przystać, ale w końcu ustąpił, gdy Valpetra zaproponował, że zabierze ze sobą Helenę.

-Correggio, słuchaj. - Lucjusz złapał go za ramię, gdy książę Lukki ruszył ku wieży. - To podstęp.

Gacrano Correggio strzasnął jego rękę.

- Daj spokój, człowieku! - Odetchnął głęboko. - Lucjuzu Tadiuszu. przykro mi z powodu tego, co cię spotkało. Ale musisz wziąć się w garść i schodzić mi z drogi, dopóki nie będzie po wszystkim. - Spojrzał na mnie. - Jesteś jego przyjacielem? Przytaknąłem.

- Rob, co w twojej mocy. - Podniósł głos. - Straże, do mnie! Odszedł w stronę wieży. Kapitan i jego ludzie pośpieszyli zanim. Dwóch czy trzech obejrzało się z powątpiewającymi minami. Miałem wrażenie, że woleliby słuchać rozkazów Lucjusza, a raczej Gallusa Tadiusza. Lucjusz patrzył za nimi.

- Nie ja tu dowodzę?

- Nie - odparłem. - Jesteś... martwy, panie.

- Fakt. - Ściągnął brwi. - To przychodzi i odchodzi. Wiedza, ta wiedza, znajomość tego ciała... - Uderzył się w pierś. - Mój obmierzły w zad trykany wnuk. Prawnuk. Ta wiedza jest śliska jak węgorz.

- Powinieneś się położyć, panie.

- Rozum ci odjęło? - Wbił we mnie lodowate wzrok. - Na trójce, D'Angelinie! A już myślałem, że dostrzegłem u ciebie odrobinę rozsądku. Miałeś odwagę tu przyjść, miałeś odwagę mnie powalić. Do diabła, miałem mniej, gdy sam zaczynałem. Chodź. Czekaj nas wiele do zrobienia

- Nas? Uniósł brwi.

- Chcesz umrzeć?

Mówił niemal jak Lucjusz i przez chwilę się zastanawiałem. Nie dostrzegłem jednak śladu Lucjusza za tymi zimnymi oczami. Wciąż staliśmy na wysokim murze Lukki, gdy armia Valpetry rozpoczęła powolny odwrót, i wiedziałem, że mu wierzę, kimkolwiek jest, Lucjuszem czy Gallusem. Chętna czy niechętna panna młoda, Helena dała Valpetrze prawo wysunięcia roszczeń do Lukki. Gdyby diuk naprawdę chciał negocjować nie ryzykowałby wwożenia jej w mury miasta. Zrozumiałem, że Gaetano Correggio jest zaślepiiony przez pełen wściekłości ojcowski żal.

Pertraktacje to podstęp.

- Nie - odparłem. - Co mamy zrobić?

## PIĘĆDZIESIĄT

---

Plan był byle jaki, sklecony w pośpiechu. W dodatku koncentrował się wokół przekonania Lucjusza - Gallusa - który oznajmił, że wie z absolutną pewnością, co zrobi Domenico Martelli, diuk Valpetry.

- Spróbuj opanować wartownię przy bramie - oznajmił. - Oto, co zrobi.

Nie było czasu na nic innego. Łucznicy. Łucznicy ukryci na drzewach, gotowi ostrzelać eskortę Valpetry w samych murach Lukki. Wszystkie otwory w wieżach strażniczych wychodziły na zewnątrz; wszystkie inne stanowiska na murze były widoczne i podatne na atak z zewnątrz. Drzewa miały się przysłużyć. To było wszystko, co Lucjusz zdołał wymyślić w ostatniej chwili. Jediną jasną stroną w całej sytuacji

było to, że Gaetano Correggio i wszyscy inni lukkańscy wielmoże zebrali się na szybką naradę przed rozpoczęciem pertraktacji, tym samym umożliwiając nam realizację planu.

- Umiem strzelać - oznajmiła zwięźle Brygitta.

- Brygitto... - mruknął Eamonn. Spiorunowała go wzrokiem i przyszło mi na myśl, że Eamonn przegra. Lucjusz nie zwrócił na niego uwagi.

- Grzeczna panna. - Z aprobatą pokiwał głową. - Łuki myśliwskie... cokolwiek mamy. Zebrać je. W willi Tadiuszów jest zbrojownia. Wolałbym kusze, ale Correggio rozkazał wycofać się straży. - Płasnął ręką w udo. - Możemy zwerbować strażników?

Przypomniałem sobie, jak patrzyli za nim, i krótki komentarz kapitana. „Dobrze”.

- Może kilku.

- Dobra. Niech zajmą stanowiska na drzewach. Ale najważniejsza jest wartownia. Za murami czeka piekielnie wielka armia i ten, kto ma władzę nad wartownią, rządzi naszym losem. Muszą być przygotowani na napaść.

Gilot drgnął.

- Ja im powiem. - Uśmiechnął się do mnie krzywo. - Umiem dogadać się z żołnierzami. I na coś się przydam, Imri.

Chciałem się sprzeciwić, ale wiedziałem, że wtedy urażę jego dumę.

-Idź.

Poszedł.

- Potrzebujemy więcej ludzi - rzekł Lucjusz ponuro. - Na jaja Jupitera! Zebranie Czerwonej Plagi zabrało mi większą część roku. Nie mogę wskrzesić jej w godzinę.

- Bartolomeo - powiedziałem. - Co z jego przyjaciółmi? Lucjusz wytrzymał moje spojrzenie.

- Bartolomeo - mruknął. - Dobra.

Podczas gdy wielmożowie Lukki dyskutowali, sposobiąc się do paktowania z księciem Valpetry, my poszliśmy do rezydencji zubożałych Ponzich. Odprawiali czuwanie przy zwłokach. Choć wydawało się to niewiarygodne, od śmierci ich syna minął ledwie dzień. Lukka mogła być oblężona, ale dla Ponzich najgorsze już się stało.

Młody szlachcic leżał na marach. Nie spojrzałem na niego, nie od razu. Patrzyłem, jak Lucjusz krąży, rozmawiając z obecnymi. Było ich całkiem sporo; kupcy i drobna szlachta Lukki, pogrążeni w żałobie, gdy dostojnicy debatowali o losie miasta. Sze-

dłem za nim, wyjaśniając tym, którzy nie słyszeli pogłosek, że przemawia do nich Gallus Tadiusz.

Większość z nich słyszała.

Młodzi mężczyźni kiwali głowami, a po wysłuchaniu jego słów przyciskali pięści do piersi i wychodzili. Słyszałem szybki tupot stóp i wiedziałem, że biegną po broń, łuki myśliwskie, oszczepy, cokolwiek mają. Byłem wtajemniczony w plan Gallusa. Wiedziałem, że rzuca liny z ciężarkami na konary dębów na murach i wdrapią się, żeby czekać ukryci w listowiu. Obywatele Lukki mogli ich zobaczyć, ale zza murów musi być niewidoczni. Czerwona Plaga powstawała.

W jakim stopniu wynikało to z dumy i z gniewu, a w jakim przyczyną był całun, który wisiał nad miastem? Nie miałem pojęcia. Zmarli się szykowali, ale nie byli to moi zmarli, ani Eamonna, ani Brygitty, ani Gilota. Czy byliśmy bezpieczni od groźby przemocy? Czy mogliśmy ufać rozkazom? Myślałem, że tak, albo chciałem tak myśleć. Poszliśmy za Lucjuszem, bo był naszym przyjacielem. Poszliśmy za nim, bo jak Gallus Tadiusz rozważyłem okoliczności i doszedłem do tego samego wniosku.

Fedra dobrze mnie nauczyła oceniać męskie dusze.

Zastanowiłem się, w tej ulotnej godzinie, co myśli Klaudia.

Ale nie było czasu. Pozostał mi tylko czas na oddanie ostatniego hołdu zmarłemu. Zrobiłem to w końcu, stając przy marach. Bartolomeo Ponzi leżał wyprostowany, jego skóra przyjęła barwę starej kości słoniowej Policzki miał zapadnięte, ciemnokasztanowe włosy odgarnięte z czoła. Był przystojnym młodzieńcem. Oplakiwała go matka, mała, pulchna kobieta. Nic dziwnego, że Helena go kochała. Zginął, próbując zapobiec porwaniu. Zabił go Valpetra. Coś w martwych rysach, może dumny orli nos, przypominało mi Joscelina. Nie spodobała mi się ta myśl.

-Bartolomeo. - Lucjusz zadrzał. Dotknął woskowego policzka martwego. - Wybacz mi.

-Lucjusz? - Pomyślałem, że to on.

-Kochaj jak wola twoja. - Skrzywił usta. - Czy nie tak mawiacie? On nigdy nie miał okazji. Montrève, wyświadczyć mi przysługę.

-Jaką? - zapytałem.

Spojrzał na mnie i widziałem Lucjusza za jego oczami, przerażonego i udręczonego.

-Zadbaj o Helenę. Gallus... On uważa, że jest spisana na straty. Skinąłem głową. -Postaram się.

-Dziękuję.

Patrzyłem, jak Lucjusz znika, gdy wyszliśmy z willi Ponzich; jego krok się wydłużał, stawał bardziej zdecydowany, jego kręgosłup sztywniał. Nim dotarliśmy na dziedzińiec, po Lucjuszu nie zostało ani śladu. I, Eluo dopomóż, choć współczułem Lucjuszowi, cieszyłem się z powrotu Gallusa.

Eamonn czekał na nas, trzymając konie. Brygitta już odeszła ukryć się na drzewie, uzbrojona w łuk myśliwski, który wybrała sobie w willi Tadiuszów. Jeśli dopisze nam szczęście, nie będzie musiała go użyć. Był to jedyny dobry punkt w planie Gallusa. Być może się pomylił, być może Domenico Valpetra naprawdę zmierza pertraktować; jeśli tak, nigdy się nic dowie, że czekaliśmy w pogotowiu.

Siedliśmy na koń i pojechaliśmy na plac przed bramą. Miasto przepelniał stłumiony gwar. Ulice świeciły pustkami, ale ludzie zebrali się na dachach. Na szczycie każdego budynku szeptali skuleni obywatele Vilpetry.

Świątynie też były zatłoczone, głównie przez biedotę liczącą na azyl. W drodze do bramy minęliśmy świątynie Jupitera i Marsa; z otwartych tam wyglądały przestraszone twarze. Oddziały straży miejskiej stały poedŚwiątyniami. Gallus Tadiusz - już tak zacząłem nazywać go w myślach - zaklął na ten widok. Przy drugiej świątyni zsiadł z konia i złapał za kark dowódcę warty.

-Poruczniku! - ryknął. - Kto rozkazał wam tu stać?

Porucznik, rumiany chłopak z jasnym meszkiem nad górną wargą, wyglądał na siedemnaście lat. Głos mu się łamał, gdy odpowiedział:

- Kapitan Arturo, panie! Rozkazy księcia Gaetana!

- Chciwy łajdak - mruknął Gallus. - Nie powinienem mu mówić, że Valpetra chce złupić świątynie. - Zastanawiał się przez chwilę, z roztargnieniem trzymając w garści koszulę chłopaka. - Dobra. Za mną.

- Wybacz, panie! - pisnął porucznik. - Nie możemy. Rozkazy księcia! Gallus puścił go i zwałił z nóg potężnym ciosem.

- Idioci! - wycedził pogardliwie. - Spójrzcie tylko na siebie. Żółtodzioby, ani jeden nie ma kompletnej zbroi. Jak myślisz, co zrobicie, jeśli Valpetra przyprowadzi tu swoich najemników? - Stał nad chłopakiem i pokręcił głową. - Setka łuczników może utrzymać to miasto przed armią. Ale nie, Gaetano musi otworzyć bramę. Posłuchaj, chłopcze. Gdy usłyszysz odgłosy walki, natychmiast sprowadź swoich ludzi.

Porucznik potarł policzek.

- Tak jest!

Gallus wsiadł na konia i tuszyliśmy dalej. Mruczał pod nosem; liczby, broń, kąć strzału - nie wiem, co. Wszystkie fakty i liczby, które dobry kondotier bierze pod uwagę. Eamonn i ja jechaliśmy za nim, wymieniając spojrzenia.

-Imri. - Dotknął mojego ramienia. - Jeśli sprawy przyjmą niepomyślny obrót, nie wahaj się poddać i ubiegać o azyl.

-Jako kto? - Przez jedną szaloną chwilę wspominałem, jak zareagował Lucjusz, gdy mu powiedziałem, kim jestem. - Syn mojej matki?

-Zakładnik polityczny. - Szarozielone oczy Eamonna były poważne, tak poważne, jak nigdy dotąd. - Jesteś d'angelińskim księciem krwi.

- A ty? - zapytałem. - Co z Dalriadą? Wzruszył ramionami.

-Jesteśmy znacznie mniejsi i znacznie dalej. Ale pamiętaj, dobrze?

- Postaram się - obiecałem drugi raz tego dnia. - Ty zrób to samo. Na placu przed bramą panował tłok. Zobaczyłem Gaetana Correggia,

księcia Lukki. Obok niego stał Publiusz Tadiusz i kilku innych nieznanym mi wielmożów. Kobiet nie było. Dostojników otaczała straż miejska, wszyscy na pieszo. Muszę przyznać, że Gallus Tadiusz miał rację. Wyglądali mało imponująco. Zgodnie z warunkami pertraktacji, byli uzbrojeni tylko w krótkie miecze. Żaden nie miał zbroi, tylko szkarłatne przeszywanice.

- Głupcy - syknął Gallus. - Głupcy, głupcy, głupcy!

Razem wzięwszy, straż miejska liczyła może stu ludzi. Czterdziestu odkomenderowano do pilnowania świątyń. Powiodłem wzrokiem po szeregach przed nami i uznałem, że przed bramą stoi może pięćdziesięciu; tyle samo ludzi miała liczyć eskorta Valpetry. To oznaczało, że najwyżej dziesięciu obsadza samą bramę. Mniej, jeśli niektórzy ukryli się na drzewach. Ściągnąłem wodze.

Trudno było nie patrzeć. Tylko dwa dęby na murach zapewniały dostateczną kryjówkę naszym łucznikom i rosły w zasięgu strzału z łuku. Gęste listowie szeleściło, liście dopiero zaczynały nabierać jesiennych odcieni. Zastanawiałem się, ilu łuczników się w nich skrywa, kucających na grubych konarach i gotowych do strzału. Spojrzałem na Eamonna i zobaczyłem, że drga mu mięsień szczęki. Wiedziałem, że myśli o Brygicie. Po raz pierwszy, jak sędzę, widziałem jego strach.

Gallus Tadiusz siedział odprężony w siodle, z rękami na łęku.

Nad bramą znajdowało się niewielkie okienko, wychodzące na plac. Ukazała się w nim głowa strażnika.

- Książę Gaetano! - ryknął. - Domenico Martelli da Valpetra i jego małżonka Helena Correggio da Lukka proszą o wpuszczenie! Przyprawdzili eskortę w sile pięćdziesięciu ludzi, wojsko się wycofało!

Gaetano Correggio skinął głową.

-Wpuścić ich.

Obrócił się kołowrót w strażnicy. Koła zębate jęczały, gdy brona się podnosiła, a drewniany most zwodzony opadał. Zobaczyłem ich wtedy, kontury w ramach bramy. Najpierw dwóch zwiadowców, żeby sprawdzić, czy dotrzymano warunków pertraktacji, czy na przybyszów nie czeka zasadzka. Potem Valpetra i Helena, jadący wierzchem. Słyszałem głucho tcho kopyt nad wodą, miarowy tupot ludzi, którzy szli za końmi, zakuci «sulowe zbroje. Wyszli z bramy na plac, stanęli przed Gaetanem Correggiem. Najemni żołnierze utworzyli równe szeregi. Koła znów zazgrzytały, gdy brona opadała, a most zwodzony zamykał się niczym złe usta.

Mieli zbroje.

Mieli krótkie miecze. Wsparli drzewca włóczni na zakurzonym bruku chwycili tarcze.

-Aha, witamy w świecie paskudnych kłopotów! - mruknął Gallus. Domenico Martelli był krzepkim ciemnowłosym mężczyzną o mięsistej twarzy, z głębokimi bruzdami po obu stronach ust. Pogłębiły się, gdy się uśmiechnął.

-Książę Lukki! - krzyknął gromko, rozkładając ramiona. Pod szatami pana młodego błysnął stalowy pancerz. - Ojczy! Czy uznajesz mnie swoim dziedzicem?

Helena miała spuszczone wzrok.

- Nie - odparł pewnym głosem Gaetano. - Valpetra, posłuchaj. Jesteśmy gotowi zawrzeć porozumienie. Czy zrzekasz się swoich roszczeń i odejdziesz w pokój...

Nic więcej nie zdążył dodać.

Diuk Valpetry niedbale machnął ręką.

- Zabić go - powiedział. - I zająć wartownię.

Eskorta się nie wahała. Trzeci tylny szereg oderwał się od dwóch pierwszych, żeby zająć wartownię. Pozostali poprawili tarcze na ramionach, opuścili włócznie i zaatakowali.

- Łucznicy! - ryknął Gallus. - Teraz!

Powietrze zaśpiewało i zaszumiało, gdy strzały przemknęły nad głową. Widziałem, jak znajdują cele. Widziałem tarcze najeżone strzałami. Widziałem przeszyte zbroje.

Widziałem rannych mężczyzn i widziałem, jak jedni się cofają, a inni prą do przodu. Bękart niespokojnie przestępował z nogi na nogę i zarzucał głową.

Byłem chory ze strachu. Obok mnie Eamonn dobył miecza.

- Jeszcze raz! - krzyknął Gallus i strzały znów zaśpiewały. Trzymały w szachu nieprzyjaciela na placu, ale z wartowni dobiegały krzyki, odgłosy walki i zgrzyt mechanizmu. Brona się podnosiła, most zwodzony opuszczał. Ktoś dał w róg. Za murami armia Valpetry nadciągała w pośpiechu. Dwa tysiące ludzi, minus pięćdziesięciu, szykowało się do napaści na miasto.

Brona wzniosła się do połowy i znieruchomiała. Most też się zatrzymał w połowie drogi, wisząc nad fosą. Modliłem się w duchu, żeby Gilotowi nic się nie stało. Nie może utrzymać miecza. Nie powinno go tam być.

Twarz Domenica Martellego pociemniała.

- Lukka! - krzyknął. - Chcesz zobaczyć, jak umiera twoja córka? Złapał ją jedną ręką. W drugiej trzymał sztylet. Wokół nich ludzie walczyli i umierali. Ginęli głównie strażnicy Lukki. Jedyne szczęście, że Valpetranie nie mogli używać włóczni w takim bliskim starciu, ale z tego samego powodu nasi łucznicy nie mogli strzelać z obawy, że trafią swoich ludzi. Gaetano Correggio opadł na kolana, wyciągnął ręce. Patrzyłem, jak Helena unosi podbródek. Jej oczy błyszczały z dumy i rozpacz.

Gallus Tadtusz wybuchnął śmiechem.

Zakląłem.

To za wiele, za wiele. Widziałem ten wyraz na twarzach zbyt wielu kobiet w zenań; na twarzach tych, które, świadome, że idą na śmierć, kurczowo czepiały się resztek pozostałej im dumy. Zmarli Lukki nie byli moimi zmarłymi, ale miałem swoich, przed którymi odpowiadałem.

Przeraźliwe dzwonięcie wypełniło mi głowę, zagłuszając zgiełk bitwy. Słyszałem tylko róg dmący na trwogę, bez końca, i dziki, nieartykułowany okrzyk bojowy. Głowy obróciły się powoli, grupy walczących zamarły. Wolno, tak wolno! Czuję drżenie Bękarta, prężącego zad. Eluo, cóż to za koń! Kiedy przyłożyłem mu pięty do boków, pomknął niczym strzała wypuszczona z łuku.

Strach przepadł bez śladu.

Została tylko furia, furia tak wielka, że nie mieściła się we mnie. Miałem wrażenie, że strzela w płomieniach ze szczytu mojej czaszki. Wpadliśmy w tłum, strażnicy i żołnierze pierzchali nam z drogi. Kierowałem Bękartem łydkami, gdy pędziliśmy, prątkowane kopyta bębniły dziko na braku Lukki.

Nikt nas nie zatrzymał.



Nawet nie pamiętam, kiedy wyciągnąłem miecz.

A potem mieliśmy ich przed sobą, runęliśmy na nich. Domenico Marrelli, diuk Valpetry, reagował wolno. Jego mięsista twarz zastygła w wyrazie zaskoczenia, usta miał otwarte jak ryba. Grube palce niczym kajdany zaciskały się wokół nadgarstka Heleny.

Wolno. Za wolno.

Ostro zawróciłem Bękartą, podjeżdżając do panny młodej. Opuściłem miecz, jednym szybkim ruchem przecinając łączącą ich więź, przecinając jego rękę w nadgarstku. Krew trysnęła z kikuta. Valpetra z niedowierzaniem wytrzeszczał oczy.

Z ust Heleny wyrwało się zduszone sapnięcie.

Wtedy wszystko powróciło. Czas popłynął swoimi zwyczajnymi kanałami, smak strachu wypełnił mi usta. Czulem zapach śmierci, krew, fekalia i smród rozkładu. Darśanaga. Usilnie starając się zdusić mdłości, schowałem zakrwawiony miecz do pochwy i chwyciłem wodze wierzchowca Heleny.

-Lucjusz mnie przysłał - zawołałem. - Za mną!

Posłuchała bez jednego słowa. Pędziliśmy, przedzierając się przez walących. Walka stała się zaciekle. Eamonn, wciąż konno, siał spustoszenie w gąszczu wrogów. Przybiegli strażnicy sprzed świątyni, z dobytymi mieczami. Gallus Tadiusz krążył dokoła, wydając rozkazy. Kilku strażników wlokło bezwładnego Gaetana Correggia w bezpieczne miejsce. Tu i ówdzie padał valpetrański żołnierz, trafiony strzałą rozważnie wypuszczoną z łuku.

- Odwrót! - wrzasnął diuk, ściskając kikut. - Odwrót!

- Do ataku! - ryknął Gallus. - Łucznicy, naprzód!

Ludzie Valpetry rzucili się do wartowni. Po drugiej stronie fosy prawie dwa tysiące żołnierzy śpieszyło im z pomocą. Ale most zwodzony wisiał w połowie drogi i dostęp był utrudniony. To da nam trochę czasu, gdyby dotarli do fosy, zanim go podniesiemy. Łucznicy Gallusa Tadiusza zsunęli się z drzew po linach, dzikie uśmiechy rozjaśniały ich twarze. Odetchnąłem z ulgą na widok Brygitty, która wyglądała na uszczęśliwioną, Eamonn rzucił się w jej stronę.

- Straże, padnij! - krzyknął Gallus. - Łucznicy, strzelać!

To cud, że posłuchali, choć nie przeszli szkolenia. Strażnicy rzucili się na ziemię, a zbieranina łuczników uklękała i słała strzały nad ich głowami, odpierając najeźdźców. W cieniu wartowni żołnierze Valpetry tłoczyli się pod na wpół podciągniętą bronią i skakali do fosy ze stromo nachylonego mostu. Jedni zdzierali zbroje, inni tego zaniedbali i szli na dno.

Kilkunastu zebrało się wokół Domenica Martellego, diuka Valpetry, pomagając mu dojść do fosy. Gallus Tadiusz wściekle wydawał rozkazy, żeby ich zatrzymać, ale strażnicy Lukki w wartowni jeszcze nie przejęli kontroli nad maszyną. Garść ludzi Valpetry walczyła na śmierć i życie, żeby diuk mógł uciec przed atakiem straży na placu. Dwóch polepo w jego obronie, czterech odniosło rany. Gallus miał rację; byli zawodowymi żołnierzami.

Dźwięk rogu narastał.

- Brama! - ryknął Gallus. - Bodaj was! Podnieście most! Patrzyłem z sercem w gardle. Gdzieś w wartowni mechanizm musiał się zakleszczyć. Przez długie chwile most wisiał w połowie drogi. Valperta i jego ludzie zdołali uciec. Po drugiej stronie fosy gromadziła się armia. Nie minie wiele czasu, a przypuszczą atak. Jeśli nie zamkniemy bramy, nasz los będzie przesądzony. Byliśmy zbyt nieliczni, zbyt niezorganizowani, by przetrwać długie oblężenie. Sam miałem niewielkie szanse jako zakładnik polityczny, nie po tym, jak odrąbałem rękę Domenicowi Martellemu.

- Co się dzieje? - zapytał ktoś drżącym głosem. - Co się stało? - Spojrzałem na Helenę Correggio, trzęsącą się obok mnie na końskim grzbiecie, obejmującą się rękami. Twarz miała białą, źrenice rozszerzone ok bardzo, że prawie zniknęły tęczy. Tęczy.

- Most utknął, pani.

Przełknęła ślinę.

- Och.

Zgiełk płynął z wartowni, ludzie krzyczeli, biegając po schodach. W końcu ktoś wypadł z wieży po prawej stronie i skoczył na łańcuchy, które podtrzymywały przeciwwagi. Z początku ani drgnęły. Ale zaraz potem inni zrobili to samo po obu stronach bramy, jedni wieszali się na łańcuchach, żeby zwiększyć ciężar, inni z brutalną siłą ciągnęli ich za nogi.

Cał po calu, most zwodzony się podniósł, a masywna brama opadła.

Do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy, że wstrzymuję oddech, przypuszczam, że cała Lukka odetchnęła z ulgą, gdy most się zatrzasnął, a brona uderzyła w ziemię. Miasto było bezpieczne. Znaleźliśmy się w punkcie, w jakim byliśmy ledwie przed godziną. Oblężeni, ale tym razem wdzięczni, że nie jest gorzej.

- Wybacz mi, pani - zwróciłem się do Heleny. - Dobrze się czujesz?

Odwróciła głowę, a wówczas zrozumiałem, że nie czuje się dobrze, ani trochę. Została uprowadzona i zniewolona. Widziała, jak człowiek, którego kochała, umiera na jej oczach, a ten, którym gardziła, zostaje okaleczony. Jej szkarłatna ślubna szata była zbryzgana ciemniejszą krwią. Ale zapytała tylko:

- Jesteśmy bezpieczni?

-Na razie - odparłem uczciwie.

Spojrzała na mnie wtedy. Żrenice się skurczyły i zobaczyłem, że ma niebieskie oczy.

- Kim jesteś?

-Imriel. Nazywam się Imriel nó Montrève.

-Jesteś D'Angelinem. - Wyciągnęła rękę i zaraz ją cofnęła. - Kiedy jechałeś ku nam, myślałem, że jesteś... myślałam... - Pokręciła głową i nie dokończyła zdania. - Mój ojciec?

-Chodźmy zobaczyć.

Na placu wciąż panował zamęt. Gallus zniknął w wartowni, co mnie ucieszyło. Helena nie musiała wiedzieć, jeszcze nie, co spotkało jej narzeczonego. Policzyłem poległych. Pięciu nieprzyjaciół, ośmiu naszych. Co najmniej tuzin odniósł ciężkie rany. Czterech rannych z Valperty stało pod strażą, z twarzami zmrożonymi przez ból i determinację. Przynajmniej żyli. Eamonn miał rację, wojna jest koszmarem.

Gaetano Correggio też przeżył. Otrzymał cios w skroń. Niegroźny, ale krew zlepiła mu włosy.

-Helena. - Głos mu się załamał. Uniósł ręce.

Helena zsiadła z konia, przywarła do jego piersi. Obejmował ją mocno, z pochyloną głową. W milczeniu siedziałem na Bękartcie, myśląc, jaki dziwny jest świat, na którym ojciec kocha jedynaczkę na tyle, żeby dla jej ocalenia narażać całe miasto, ale nie dość, by pozwolić jej poślubić biedaka. Po chwili księżę Lukki zadrżał i uniósł głowę.

- Dziękuję - powiedział. - D'Angelinie, panie, masz moją najgłębszą wdzięczność i wieczną wdzięczność mej rodziny. - Iskra zdumienia rozświetliła jego oczy. - Nawet nie znam twojego imienia.

Ukloniłem się w siodle.

-Imriel nó Montrève, Wasza Wysokość.

-Imriel nó Montrève - powtórzył. - Montrève.

-Tak, panie. - Zobaczyłem zbliżającego się Eamonna z Brygittą, z łukiem myśliwskim w rękach. Eamonn wskazał wartownię. - Panie, wybacz, muszę sprawdzić, co z moim przyjacielem.

-Tak, tak, naturalnie - odparł z roztargnieniem.

Spojrzałem z góry na głowę Heleny. Wtulała twarz w pierś ojca. Jej kasztanowe włosy były proste i delikatne jak u dziecka.

- Panie, powiesz jej o Lucjuszu?

- O Lucjuszu. - Książę Lukki oblizał usta. - Tak.

Weszliśmy z Eamonnem do bliższej wieży strażniczej, nie zamieniając słowa. Nie musieliśmy. Nawet Brygittą spowaźniała, bez protestów godząc się zostać z końmi. W wieży ujrzelśmy kolejne zwłoki, ciała żołnierza Valpetry i dwóch strażników Lukki tarasowały wąskie schody. Przeleźliśmy nad nimi.

Dolne pomieszczenia były puste, co wydało mi się niedorzeczne, ale na szczycie trzech strażników z kuszami obsadzało strzelnice. Z drugiej wieży płynęły krzyki Galusa Tadiusza, tutaj jednakże panowała cisza. Jeden ze strażników rzucił okiem przez ramię, gdy weszliśmy, pozostali nawet nie drgnęli, skupieni na obowiązkach.

- D'Angelin? - zapytał.

- Czy... - Głos uwiązł mi w gardle.

- Tam. - Ruchem głowy wskazał otwarte drzwi. - Przekaż mu podziękowania za ocalenie nam tyłków.

Pełen nadziei, skoczyłem za drzwi i znalazłem się w środkowym pomieszczeniu wieży. Eamonn schylił głowę i wszedł za mną. Okiennice były zamknięte i zaryglowane. Dopiero po chwili moje oczy przywykły do mroku. Widziałem tylko maszynię, która zajmowała większą, część pomieszczenia, wielkie koło zębate i system bloczków z dziwnie sterczącymi dźwigniami i rozłączonymi łańcuchami. -Gilot?! - krzyknąłem.

Przez chwilę nic się nie działo. Potem usłyszałem chrobotanie i ciche kaszlniecie.

- Imri?

- Tam - Eamonn wskazał ręką.

Gilot na wpół leżał pod ścianą. Uniósł rękę - zdrową rękę - na powianie, gdy przypadliśmy do jego boku. Osunąłem się na kolana.

- Dobrze się czujesz? - zapytałem z niepokojem.

- Nie. - Uśmiechnął się do mnie. - Niezupełnie. Ale widziałeś, co zrobiłem? - Wskazał mechanizm. Zobaczyłem, że jedną z dźwigni jest tilpetrańska włócznia, wepchnięta głęboko w tryby koła zębatego. Gilot zakaszlał i krwawa piana wystąpiła mu na usta. - Przekłęci inżynierowie, człowiek nie może spędzić roku w Siovale, żeby się nie nauczyć, jak co działa. Zawsze warto wiedzieć jak najwięcej, prawda?

Zapiekły mnie oczy.

-Ty to zrobiłeś? Zatrzymałeś most?

Skinął głową.

-Potem było znacznie trudniej. Musiałem ich przekonać, żeby zsunęli się po łańcuchach i obciążyli przeciwwagi. Musiałem im pokazać. Wreszcie się połapali, gdy łańcuchy zostały poluzowane. - Zakaszał i się skrzywił. - Wybacz, Imri. Ten odłamek... Chyba się przemieścił.

- Gilocie... - Otarłem oczy kufakami. - Eamonn - wychrypiałem -potrzeba mu medyka.

Eamonn pochylił się bez słowa i wziął Gilota na rękę.

Kiedy poeci śpiewają o chwalebnych czynach, pomijają to co najgorsze. Fedra zawsze tak mówiła, i wiem, że to prawda. Słyszałem opowieści, widziałem rzeczywistość. Ale po raz pierwszy przeżywałem to jako mężczyzna i tego dnia pojąłem na nowo. W opowieści poety garść dzielnych może stanąć przeciwko całej armii, i zwycięża chytry bohater.

To nie była opowieść poety.

Eamonn schodził bokiem po krętych schodach, lecz mimo to głowa nogi Gilota ocierały się o ściany. A na dole leżeli martwi. Jeden z Valpetry, dwóch z Lukki. Musiałem ich usunąć, żeby Eamonn mógł przejść ze swoim brzemieniem. Martwe ciało, ciężkie i bezwładne. Ślepe, wytrzeszczone oczy.

Najpierw zabrałem tych z Lukki, biorąc po jednym na ramię i znosząc po schodach. Martwe kończyny kołysały się i uderzały we mnie, i aulem, jak krew z ich ran wsiąka w moją koszulę. To była ciężka praca, cięższa niż wrywanie karczów w Montrève i nieskończenie straszniejsza. Ostrożnie ułożyłem ich na placu. Byli czyimiś synami, czyimiś braćmi, czyimiś ukochanymi. W mieście już podnosiło się zawołanie.

Gdy wróciłem po najemnika, ledwo trzymałem się na nogach. Musiałem zdjąć mu zbroję, żeby móc go ruszyć. Pod hełmem miał zwyczajną twarz. I tak go nienawidziłem. Przez chwilę miałem ochotę złapać go za kostki i zwlec na dół. Niech pęknie mu czaszka, podskakując na stopniach, jakie to ma znaczenie? Jest trupem.

„Pamiętaj

Wyobraziłem sobie minę Fedry i z westchnieniem zniosłem zwłoki Valpetranina.

Eamonn zszedł za mną, niosąc Gilota. Miał łatwiejsze zadanie niż dźwiganie trupa, a poza tym siła fizyczna umożliwiała mu zachowanie ostrożności, na jaką ja nie mogłem się zdobyć. Gilot ani jednym słowem nie sprzeciwił się dźwiganiu. Już po tym poznałem, że jego stan jest poważny,

- Straż! - Szarpnąłem najbliższego strażnika za szkarłatną przeszywanicę. - Potrzebne nosze.

Skinął głową w stronę północno-zachodniego rogu placu, gdzie na ziemi pojękiwało kilkunastu rannych.

- Czekaście na swoją kolej. Skląłem go.

- Imri. - Gilot oddychał płytko i chrapliwie, krew pieniła się na jego dolnej wardze. - Po prostu posadźcie mnie na konia, dobrze? Dam radę.

W końcu tak zrobiliśmy. Posadziliśmy go na Bękartie. Szliśmy po obu stronach, podtrzymując go, podczas gdy Brygitta siadła na konia Eamonn-na i popędziła do willi Tadiuszów, żeby błagać, by posłali po konsyliarza.

Za murami Lukki armia Valpetry szykowała się do długiego oblężenia. W wartowni Gallus Tadiusz organizował obronę miasta, w każdym razie tak przypuszczałem. Nie miałem pojęcia, co się stało z Gaetanem Correggiem i jego córką. W tej chwili to mnie nie obchodziło.

Bękart okazał się nieoceniony. Ostrożnie wybierał drogę, delikatnie stawiał kopyta. Wiedział, przysięgam.

- Pamiętasz tamtego nakrapianego konia, Imri? - Gilot zakaszłał. - Tego na jarmarku, gdy usłyszeliśmy o twojej matce. Jak się nazywał?

-Łosoś - odparłem cicho. - Pamiętam. Chciałeś na niego oszczędzać z zarobków.

-Nigdy nie byłem w tym dobry. - Spuścił głowę, gładząc kark Bękarta - Parę kropel krwi spadło z podbródka, stapiając się z cętkami na śliskiej skórze. - Będziesz dbać o tego, prawda?

-Nie mów tak! - zawołałem z trwogą.

Gilot uśmiechnął się i skrzywił.

-Dziś będę mówić, co chcę.

-I czemu nie? - wtrącił Eamonn ze spokojem. - Zawsze to robisz.

Roześmieliśmy się, a potem Gilot znowu zakaszłał i pojawiło się więcej krwi. Resztę drogi przebyliśmy w milczeniu. Klaudia Fulwia powitał nas przy bramie willi Tadiuszów z kilkoma sługami, uzbrojonymi i czujnymi. Wyglądała na zmęczoną i zmartwioną, ale nie okazywała słabości. Eluo dopomóż, cieszyłem się, mogąc ją poznać z tej nowej, nieznannej mi dotąd strony. Odwaga kobiet różni się od odwagi mężczyzn, jest głębsza i bardziej wytrwała. Ogarnęło mnie wielkie zmęczenie, chciałbym paść na kolana i zatracić się w jej ramionach.

- Chirurg już idzie - powiedziała. - Zanieśmy go do środka.

Eamonn wniósł Gilota do willi. Bez Gallusa Tadiusza w domu panowała cisza i spokój. Ułożyliśmy Gilota jak najwygodniej w jednej z komnat gościnnych i usiedliśmy, żeby czekać na medyka.

Nic innego nie zostało do zrobienia.

## PIĘĆDZIESIĄT JEDEN

---

Zaczął się oblężenie Lukki.

Sytuacja przypominała gorączkowe majaki. Od chwili, gdy ujrzelśmy dym nad murami, nic nie wydawało się do końca realne. Minął jeden dzień i świat popadł w szaleństwo. Niestety, wszystko było koszmarnie realne.

Medyk, który zbadał Gilota, pokręcił głową.

-Módlcie się do Asklepiosa i dalekowzrocznego Apollina - rzekł tyl-ko. - Nic nie mogę zrobić.

Chciałem się modlić; chciałem przeklinać. Chciałem czuć nadzieję lub wściekłość. Cokolwiek, co pohamowałoby straszny przyływ smutku, który groził, że mnie pochłonie. Ale nic nie czułem, tylko żal.

Gilot zmarł krótko po północy.

Byłem przy nim. Tylko raz odstępiałem od jego boku, żeby zrzucić sztywne od krwi ubranie i skorzystać z szybkiej kąpieli; Eamonn mnie wtedy zastąpił. Śpieszyłem się, zostawiając wiry przejrzystej czerwieni w czystej wodzie łaźni. Nie wiedziałem, skąd na mnie tyle krwi. Pewnie po dźwiganiu zabitych. Sam nie zostałem nawet drażniony. To wydawało się niewłaściwe.

Wyszorowany do czysta, ukląknę przy łóżku Gilota. Spał, przez większość czasu. Medyk podał mu tynkturę z opium. Niekiedy wstawałem, doglądając lamp. Ścierałem mu krew z ust, Gilot wyglądał spokojnie podczas spoczynku. „Jest taki piękny”, powiedziała Anna. Pomyślałem o Annie i jej córeczce Belindzie, czekających na jego powrót z wesela, i chciało mi się płakać.

Zbudził się przed końcem i uśmiechnął, gdy zobaczył mnie na klęczkach.

- Odprawiasz dla mnie czuwanie ku czci Błogosławionego Elui? - zapytał nieco bełkotliwie.

Ująłem jego sztywną, połamaną rękę.

- Chyba tak.

Gilot się roześmiał, a raczej próbował. Puściłem jego dłoń, żeby zwilżyć szmatkę w stojącej obok misce i obetrzeć mu usta.

- Eluo! Pamiętasz, jak się rozchorowałeś? Fedra wściekła się na Joscelina. Nigdy nie widziałem jej tak rozeźlonej.

- Tak - mruknąłem. - To nieczęsto się zdarza.

- Powiesz jej? - Chwycił mnie za rękę. - Powiedz obojgu, że próbowałem.

- Powiem im. - Z trudem przełknąłem ślinę. - Powiem, jakim byłeś bohaterem. Ocaliłeś miasto, wszystkich ocaliłeś. Byłeś mądry, taki mądry. - Przetarłem oczy wolną ręką. - Zawsze warto wiedzieć jak najwięcej Powiem im.

- Mądry. - Gilot się uśmiechnął. - Kto by pomyślał. - Ścisnął moją dłoń. - Anna?

Skinąłem głową.

- Obiecuję.

- Dobrze. - Westchnął. - Dobrze.

A potem zamilkł. Minął długi czas, nim zrozumiałem, że panująca cisza oznacza brak jego wyteżonego oddechu. Spokój, w jakim zastygły jego rysy, był spokojem wiecznym. Jego ręka stygła w mojej dłoni. Puściłem ją po raz ostatni i wsparłem czoło na skraju łóżka.

- Imrielu?

Uniosłem głowę. Klaudia stała w drzwiach, ubrana w szlafrok.

- Czy on...

Bez słowa skinąłem głową.

Otworzyła ramiona, a ja do niej podszedłem. Nie było wyrzutów sumienia, nie było pożądania. Tylko śmiertelna, ludzka potrzeba kontaktu w obliczu śmierci. Przez długą chwilę staliśmy w drzwiach, objęci. W końcu Klaudia zadrżała i westchnęła. Jej oddech, ciepły i żywy, poruszył moje włosy.

- Wyrazy współczucia, Imrielu.

Puściłem ją.



-Dziękuję.

- Powiem szambelanowi - rzekła cicho. - Jeśli się zgodzisz, twój przyjaciel znajdzie miejsce spoczynku w mauzoleum Tadiuszów, przynajmniej tymczasowe.

- Mam wybór? - zapytałem. Klaudia pokręciła głową. -W tej chwili nie.

Chrapliwy śmiech wyrwał się z moich ust.

-I tyle, jeśli chodzi o Niewidzialną Gildię!

-Imrielu. - Dotknęła mojego policzka. - Gildia nie ma władzy nad kapryсами ludzkiej ambicji. Jestem tu uwięziona tak samo jak ty. Cierpliwości.

-Cierpliwości! - Wtedy napłynął gniew. - Na Eluę! Trochę późno na cierpliwość, nie sądzisz? Dla Gilota na pewno! - Odetchnąłem gwałtownie. - Chcę się stąd wydostać, Klaudio. Z Lukki. Chcę zabrać Gilota i wracać do domu. To wszystko, czego pragnął, wrócić do Terre d'Ange. Obiecałem mu, że wrócimy do domu. Pozwól mu przynajmniej spocząć w ojczystej ziemi. To wszystko, o co proszę.

-Może powinieneś pomyśleć o tym, zanim postanowiłeś zgrywać bohatera! - rzuciła cierpko. - Imrielu... - Z westchnieniem ściszyła głos. -Ptaeptaszam. Zrobię co w mojej mocy. Ale zrozum, nie mam władzy nad Gildią. Może ruszą nam z pomocą, może nie, w zależności od własnych interesów. Najogólniej biorąc, Gildia nie jest zbyt zainteresowana Lukką. - Wykrzywiła pełne usta. - Jestem tylko czeladnikiem. Łatwo mnie zastąpić. To kolejny powód, z jakiego pozwolono mi zbliżyć się do ciebie.

Zadrzałem.

- Zimni ludzie.

-Tak - przyznała krótko. - Mogłoby być inaczej, gdybyś...

- Gdybym przysiągł wierność? - dokończyłem.

- Możliwe. - Klaudia wzruszyła ramionami. - Byłbyś cenną zdobyczą. Albo gdybyś nie odrąbał ręki diukowi Valpetry. - Uśmiechnęła się ze smutkiem. - Gdybyś tego nie uczynił, byłoby znacznie łatwiej negocjować bezpieczny przejazd dla ciebie i twoich przyjaciół.

Pomyślałem o wyrazie oczu Heleny.

- Zasłużył na to.

- Wiem. - Ujęła i pogłaskała moją prawą dłoń.

Przebiegł mnie dreszcz podniecenia. W obecności stygnącego ciała Gilota wydawało się to jednocześnie złe i dobre. Było w tym coś dziwnego. Śmierć rodzi pożądanie, i

dlaczego nie? Widziałem, co się dzieje, gdy jest inaczej. Śmierć rodząca śmierć, potrójna ścieżka. „Złe myśli, złe słowa, złe uczynki”. Jedno budowane na drugim.

- Słyszałam, co zrobiłeś.

- Gilot zmarł jako bohater - wychrypiałem.

-Tak.

Ścisnąłem jej palce.

- Chodź ze mną.

Spółkowaliśmy w moim pokoju gościnnym. Przypuszczam, że jest na to inne słowo, lepsze słowo. Kochanie się, tak, była w tym miłość albo przynajmniej czułość. Ale była to również forma rozpacz. I miłosierdzia, i odkupienia... Nie wiem jak to wyrazić. W sąsiedniej komnacie Gilot leżał martwy i zimny. Cięć smutku padnie na jedno życie, na dwa żywoty. A ja kochałem się z Klaudią, bo byliśmy żywi i ciepłi. Żadnych gier, żadnych pieszczot. Wpadłem w nią i zatraciłem się. Jej głos wabił mnie coraz dalej, coraz głębiej w jej ciało.

„To też jest święte”.

Później płakałem.

Łzy, gorzkie łzy. Cała willa spała, Gilot nie żył, a ja płakałem na ramieniu Klaudii Fulwii, gorące łzy spływały po jej skórze. Tulila mnie i szeptała słowa pociechy, i byłem za to wdzięczny.

- Musimy być silni - wymruczała na koniec. - My wszyscy.

- Wiem. - Wstałem i ochlapałem twarz zimną wodą, po czym się ubrałem. - Powiedz szambelanowi, żeby poczynił przygotowania. Porozmawiam z Brygittą i Eamonem. - Spojrzałem na Klaudię, rozczochraną i zmęczoną, lecz mimo to piękną. - Dziękuję.

Uśmiechnęła się ze znużeniem.

-Mówiłam ci, że nigdy nie chodziło wyłącznie o Gildię.

Klaudia wyszła, a ja poszedłem powiadomić Eamonna i Brygittę. On spał głębokim snem wyczerpania, ale Brygitta czuwała, czytając w świetle lampy, z czołem zmarszczonym w skupieniu. Podniosła głowę, gdy wszedłem, i z mojej miny odgadła wieści.

- Zmarł? - zapytała ze swym skaldyjskim akcentem.

-Tak.

Zamknęła książkę.

-Przykro mi. Umarł jako bohater... Mam zbudzić Eamonna?

Chciałem przytaknąć, ale przecież Gilot odszedł i budzenie Eamonna nie przywoła go z powrotem. Nie było ku temu powodu, chyba że tylko taki, że nie chciałem być sam ze swoją rozpaczą.

-Nie. Niech śpi, powiesz mu, gdy się zbudzi.

-Tak, powiem.

Zostawiłem ją, gładzącą włosy śpiącego Eamonna. Rozumiała swoje szczęście; ukochany innej kobiety zmarł, podczas gdy jej zachował życie. Przypuszczam, że Brygitta lepiej zniosłaby śmierć bliskiej osoby. Serce mi się krajało na myśl o rozmowie z Anną, która już kiedyś kochała i utraciła mężczyznę.

Nie mając dokąd pójść, wróciłem do Gilota.

Przez resztę nocy odprawiałem czuwanie ku czci Błogosławionego Elui, klęcząc na marmurowej podłodze. Byliśmy sami, byliśmy obcy w Lukce. Eamonn i Brygitta mieli siebie, Klaudia miała Dekkusa Ful-wiusza, Lucjusz... cóż, Lucjusz miał Gallusa Tadiusza. Gilot jako jedyny przybył tutaj dla mnie. A tetaz odszedł.

Znałem go od trzynastego roku życia. Był w moim obecnym wieku, gdy wstąpił do służby u Fedry; osiemnastolatek marzący o sławie. On pierwszy traktował mnie jak równego sobie - on jeden. Uśmiechnąłem się do wspomnień. W owym czasie zazdrościłem mu dorosłości. Teraz osiemnastoletni Gilot wydawał się młodszy, znacznie młodszy niż ja.

Eluo, musiałem być dla niego utrapieniem!

Znosił to jednak. Znosił mój humorzasty okres dorastania, mój nieodpowiedzialny wiek młodzieńczy. Znosił w dobrym humorze, bez skargi.

No, może nie do końca. W Tyberium ustawicznie narzekał. I nic dziwnego. Stale dawałem mu powody.

Dałbym wszystko, żeby znowu zobaczyć, jak z niesmakiem przewraca oczami.

Jak na ironię, Gilot nigdy nie poznał prawdy o niebezpieczeństwie, które groziło mi w Tyberium, o próbach zamachu na moje życie. A jednak tutaj, w Lukce, gdzie myślałem, że będę bezpieczny, wypełnił swój obowiązek w najwyższym stopniu. Ocalił mnie, ocalił nas wszystkich. A teraz nie żył.

Żałowałem, że puściłem go do wartowni.

Myślałem, że i tak by mnie nie posłuchał. A przynajmniej... Nie. W ogóle nie myślałem. Tak wygląda prawda. Dopóki ludzie Valpetry nie zaatakowali wartowni, nie pamiętałem o Gilocie. Porwała mnie gorączka chwili. Byłem za niego odpowiedzialny. Wiedziałem, że jest ranny. Powinienem dopilnować, żeby znalazł się w bezpiecznym

miejscu za szeregami. Nie byłby zachwycony, ale posłuchałby, gdybym rozkazał mu pod groźbą odprawy.

Może.

A jednak gdyby nie poszedł do wartowni, most nie zostałby podniesiony. Manewr Valpetry mógłby się powieść, wielu innych mogłoby zginąć. Tej nocy zrozumiałem, że nigdy się nie dowiem. Gilot mógł mnie posłuchać albo nie. Był lojalny, ale też dumny. Był człowiekiem Fedry i przysiągł mnie chronić. Jasne, sprzeciwiłby się mojej szaleńczej szarży na ratunek Helenie. Po pięciu latach znał mnie dość dobrze, żeby odgadnąć, co mi chodzi po głowie. Nigdy nie otworzyłem przed nim serca jak przed Eamonem. Ale był moim towarzyszem, dzień po dniu, przez długi czas.

„Masz w sobie dzikość, mój książę”.

Gilot odgadłby moje zamiary.

Może zatrzymałby mnie i przeżył, a może zginąłby, próbując. Valpetra mógł zabić Helenę Correggio na oczach jej ojca. To mogło odmienić nasz los. Lukka mogłaby upaść. Wszystkie te rzeczy mogły się wydarzyć - albo żadna z nich.

Nigdy się nie dowiem.

O brzasku usłyszałem kroki Eamonna. Wstałem z klęczek, kolana miałem sztywne i obolałe. Eamonn rzucił mi rękę na ramię i razem patrzyliśmy na Gilota. Ledwie wczoraj stałem z Lucjuszem przy marach Bartolomea Ponziego. Wydawało się to dawno, bardzo dawno temu.

- Sidn agus, Gilocie - rzekł Eamonn cicho. - Bean nacht kat. - *Eirańskie* słowa sprawiły, że żal ścisnął mi gardło. Byliśmy tak daleko od domu. Patrzył na Gilota jeszcze chwilę dłużej, potem potrząsnął mną lekko. - Chodź. Musisz coś zjeść, Imri. Znajdziemy kuchnię.

Wzruszyłem ramionami.

-Zaczekam.

-Na co? Na balsamistów? - Eamonn odczytał mój wyraz twarzy i westchnął.

-Ja z nim zostanę - zaproponowała z progu Brygitta. Przeszła z nogi na nogę. - Wiem, myślisz, że nie lubię D'Angelinów. Ale on wyglądał na dobrego człowieka. I sądzę, że od wczoraj nie miałaś nic w ustach.

Napotkałem jej wzrok. Odpowiedziała spokojnym spojrzeniem.

-Zgoda. Dziękuję.

Brygitta skłoniła głowę.

- Nie ma za co.

Znaleźliśmy drogę do kuchni, gdzie panowała atmosfera napięcia. Słudzy Tadiuszów rozmawiali nerwowym, ściszym szeptem. Mimo to pomywaczka o miłej twarzy przysłała nam z pomocą. Siedząc przy stole dla służby, posilaliśmy się, maczając chleb w grzonym piwie z jajkiem i mlekiem, posypując kromki tartym serem, twardym i ostrym. Dopóki Eamonn nie zmusił mnie do jedzenia, nie zdawałem sobie sprawy, że kręci mi się w głowie z głodu. Brygitta miała rację, nie jadłem od długiego czasu. Mógłbym wchłonąć tuzin takich porcji.

-Jest więcej? - zapytał z nadzieją Eamonn.

Służka, która podała nam jedzenie, spojrzała pytająco na kuchmistrza. Ten po chwili wahania ściągnął brwi i pokręcił głową.

-Przepraszam, panowie. - Załamała ręce. - Ograniczamy racje, wszyscy. Rozkazy pana... pana Lucjusza.

- Lucjusza?! - zawołał Eamonn. - Lucjusz nie...

-Eamonnie - przerwałem mu. - Lucjusz nie, ale Gallus Tadiusz tak, i słusznie. Miasto jest oblężone. Elua wie, jak długo to potrwa. Więc wrócił? - skierowałem pytanie do służki.

-Tak panie. - Poderwała głowę. - Wrócił wczoraj wieczorem. Pracuje sam w swoich komnatach. Nikt... nikt nie chciał ci przeszkadzać, panie.

-Imriel. Mam na imię Imriel. A ty?

Zarumieniła się po linię włosów.

-Teresa.

-Teresa. - Uśmiechnąłem się, żeby ją uspokoić. - Który wrócił? Lucjusz czy Gallus?

-G-Gallus, panie. - Dziewczyna głośno przełknęła ślinę. - Tak powiadają. - Zadrżała. - Zatem to prawda? Myślę, że tak. Wiem, że tak. Każdy to mówi. Znałam pana Lucjusza przed wyjazdem. Miał ostry język, ale zawsze był miły. Teraz... wszystko jest inaczej.

-To prawda. - Wstałem. - Eamonnie, zaciśnij pasa. Idziemy.

Gdy wyszliśmy z kuchni, willa Tadiuszów już była na nogach. Przybyli balsamiści. Klaudia skierowała ich do pokoju Gilota i kazała mnie powiadomić. Poszedłem i patrzyłem, jak przygotowują Gilota do zabrania z domu. Byli poważni i delikatnie obchodzili się ze zwłokami, okrywając je płóciennym całunem, ostrożnie przekładając na nosze.

- Pełne balsamowanie? - zapytał jeden Klaudię. - To kosztowne. I w takich czasach... - wzruszył ramionami - tym bardziej.

Pochwyciła moje spojrzenie i pytająco uniosła brew.

- Tak - powiedziałem. - Chcę zabrać go do domu. Dekkus Fulwiusz położył ręce na ramionach żony.

- Ja pokryję koszt. Balsamista zgiął się w ukłonie.

- Senatorze.

Czułem się winny, ale nie tak bardzo, jak z powodu śmierci Gilota. Jeśli Dekkus Fulwiusz chce pokryć koszt, niech tak będzie. Kiedy Gilot zablokował koło zębate, które opuszczało most, zapewnił nam wszystkim chwilę wytchnienia. Kiedy zsunął się łańcuchy, żeby można było go podnieść, zapłacił najwyższą cenę. Wszyscy mieliśmy wobec niego ogromny dług, łącznie z Dekkusem.

Patrzyłem, jak balsamiści wynoszą go z pokoju.

- Moja matka zabrała do domu głowę mojego wuja po bitwie pod Troyes-le-Mont - rzekł z zadumą Eamonn. - Zakonserwowaną w wapnie. Możesz to wziąć pod rozwagę, Imri.

Zadrzałem.

- Pomyślę o tym.

Niedługo później zjawił się Lucjusz - Gallus Tadiusz. W willi panowało spore poruszenie. Publiusz Tadiusz stał się swego rodzaju duchem, znikając w swoich komnatach. Beatrice udała się do łóżka. Wydarzenia podłamały ich, przynajmniej w tej chwili. To Klaudia scalała rodzinę, wspierana autorytetem i bogactwem Dekkusa.

Minął dzień.

Nie było już kapłanów, nie było zaklęć, nie było płonących ziół. W wypalonej wieży dzwonnej, jak rozumiałem, dół mundus manes pozostał odkryty. I kiedy Gallus Tadiusz przechadzał się po willi, drapiąc się i ziewając, z twarzą Lucjusza, nie było wątpliwości, kto dowodzi.

Poza innymi odczuciami, ta świadomość sprawiała ulgę.

Zwołał nas w wielkiej jadalni, gdzie przysiedliśmy na tapczanach.

-Bardzo dobrze - powiedział. - Ufam, że wszyscy pojmujecie, co spoczywa na szali. Przypuszczam, że straż miejska też to rozumie, przynajmniej w tej chwili. - Parsknął śmiechem. - Ha! Zwołałem zebranie tego, co uchodzi za władzę w tej zapyziałej mieścinie, żebyśmy mogli coś ustalić, Potrzebujecie mnie. Jeśli będziemy trzymać się ra-

zem, mamy szansę pokonać tego łajdaka. Jeśli zawiedziemy... - wzruszył ramionami - wiecie, co się stanie. Tymczasem należy sporządzić dokładny spis dobytku Tadiuszów- broń, zapasy żywności, węgla, drewna, pieniędzy. Wszystkich najemnych i sług zdolnych do noszenia broni. Wszystkiego co cenne. Klaudio Fulwio, ty możesz to nadzorować. Pozostali, macie służyć jej pomocą.

- Chcę uczestniczyć w naradzie - oznajmiła Klaudia chłodno.

Gallus przeszył ją wzrokiem.

-To nie będzie konieczne.

-Ja też - oznajmiłem.

-I ja - dodał Eamonn.

Brygitta pokiwała głową.

-Bogowie! - Gallus z odrazą poderwał ręce. - Wyobrażacie sobie, że czego zdołacie tam dokonać?

-Wczoraj sprawiliśmy się dość dobrze, panie - przypomniałem.

-Dość dobrze! - prychnął. - O tak, kochasiu. Dałeś ładny pokaz władania mieczem, ale gdybyś pozwolił zabić dziewczkę, Valpetra straciłby prawa do Lukki.

Pokręciłem głową.

-Kiedy znalazł się za bramą, to nie miałoby znaczenia. Nie, gdyby ujął miasto. W każdym razie, Lukka może przekazać ci władzę, ale nie Terret d'Ange, nie Skaldia, nie Dalriada, nie Tyberium. Zasłużyliśmy na prawo głosu.

-Tyberium ma głos. - Wskazał na Dekkusa Fulwiusza,

-Ja będę przemawiać w imieniu Tadiuszów - oświadczyła Klaudia.

Gallus się roześmiał.

-Ja mówię w imieniu Tadiuszów!

-Nieżywych - zaznaczyła.

Pomieszanie przemknęło po jego twarzy. Wiedza, śliska jak węgorz.

-Nasz... twój ojciec może przemawiać za Tadiuszów.

- Nasz ojciec zamknął się w swoich komnatach i mamrocze do siebie, Lucjusz! - zawołała Klaudia cierpkim tonem. - Potrzebujemy cię, tak. Ale ty też nas potrzebujesz. Później dostaniesz swój spis inwentarza. Nie bądź durniem.

Mierzyli się wzrokiem, brat i siostra, a jednak nie rodzeństwo. Był to dziwny widok. W końcu, raczej ku mojemu zaskoczeniu, Gallus skapitulował. Roześmiał się głośno.

- Na słodkie cycki westalek! Widzę, kto odziedziczył jaja w tej rodzinie. Zostań, jesteś mile widziana.

Godzinę później rozpoczęło się zebranie. Odbywało się w bazylice, rzut kamieniem od rynku, gdzie stała wypalona skorupa wieży dzwonnej. Lucjusz - Gallus - nie próżnował po wczorajszej utarczce. Zjawił się Gaetano Correggio wraz z innymi wielmożami, których uznałem za elitę Lukki, ale byli też inni. Drobniejsza szlachta, przedstawiciele gildii kupieckich, kilku kapłanów, kapitan Arturo ze straży miejskiej.

W głównej sali bazyliki, wysokiej i przestronnej, pośrodku znajdowała się trybuna, a po obu stronach wznosiły się rzędy ław. Wraz z Eamonnem i Klaudią zająłem miejsce w jednym z niższych rzędów, za Klaudią i Dekkusem Fulwiuszem.

Gallus Tadiusz stanął na trybunie i czekał.

Ławy zapełniały się powoli, ludzie zajmowali miejsca. Mężczyźni, prawie sami mężczyźni. Helena Correggio, skulona u boku ojca, była poza Klaudią jedyną obecną kobietą. Pokręciłem głową w zdumieniu. W Terre d'Ange podział byłby równy. Brygitta pogardliwie skrzywiła usta. Pamiętałem, jak Fedra powiedziała kiedyś, że w Skaldii kobiety mają prawo uczestniczyć w wielkich radach.

W bazylice hulały przeciągi, zimny jesienny wiatr wciskał się do sali. Stały tam liczne kosze z węglami, ale puste. Rozkazy Gallusa, bez wątpienia. I dość mądre, gdyż nadciągały jeszcze większe chłody.

Wnętrze kopuły pokrywał tynk podzielony na kwadranty, z freskami wyobrażającymi niebo - świt, południe, zmierzch i noc. Ale tynk odpadał, jakby położony w niedbałym pośpiechu, i okruchy leżały na mozaikowej podłodze. Scena bitwy, pomyślałem.

Gallus Tadiusz zadarł głowę i zachichotał.

- Zakryłeś mój triumf - powiedział do Gaetana Correggia. Były książe Lukki lekko skinął głową.

- Mój ojciec to zrobił. Gallus wzruszył ramionami.

- Mniejsza z tym. - Czekał, aż wszyscy się zgromadzą i zajmą miejsca, a wtedy podniósł głos: - Panowie... i panie! - Ukłonił się szyderczo. - Jestem Gallus Tadiusz da Lukka, i przejmuję władzę w tym mieście. Czy ktoś jest przeciwny?

Nikt się nie zgłosił.

Parzyłem na ich twarze, gdy Gallus przemawiał. Większość wyrażała gorącą nadzieję. Chcieli, żeby im przewodził. Chłonęli każde jego słowo, gdy kreślił zarysy planu. Mówił poruszająco o poświęceniu. Mówił o możliwościach obrony Lukki, o wyso-



kich murach, o głębokich studniach. Mówił o gromadzeniu zapasów i racjonowaniu żywności; o nadchodzącej zimie i kłopotach z wykarmieniem najemnej armii.

- Wystarczy, że ich przetrzymamy - oznajmił.

Mówił o naszym wrogu, i dowiedziałem się nowych rzeczy. Domenico Martelli, diuk Valpetry, przeżył, jednoręki i zawzięty. Najemna armia przeszła pod komendę kondotiera, Sylwanusa Młodszeo.

-Nie znam go - przyznał - ale kondotierzy są rozsądnymi ludźmi. Może zdołamy przekupstwem skłonić go do zmiany frontu. - Klaudia drgnęła na te słowa. Gallus uniósł rękę, ucinając wszelkie komentarze. -Musimy znaleźć dyskretny sposób nawiązania łączności. Są na to sposoby, a ja znam je dobrze. Ale, po pierwsze i najważniejsze, musimy być przygotowani na paktowanie z nim z pozycji siły.

Musiałem przyznać, że większość z tego, co mówił, miało sens. Gallus Tadiusz w swoim czasie oblegał wiele miast. Wiedział, co jest konieczne, żeby przetrwać oblężenie. Rozkazał, żeby w każdym gospodarstwie zrobiono dokładny spis dobytku i przedłożono mu raporty. Zapasy żywności w kupieckich spichrzach zostaną zajęte dla przyszłego racjonowania. wyroby płatnerzy zostaną zarekwirowane. Od tego dnia wszyscy mężczyźni zdadni do walki automatycznie wstąpią do służby Lukce.

-Jesteście Czerwoną Plagą! - ryknął, wskazując na nas.

Większość zgromadzonych krzyknęła na wiwat. Czulem to, przybór żołnierskiej dumy. Wczoraj też pewnie bym krzyknął. Brałem czynny udział w obronie miasta. Ale wczoraj Gilot żył. Dziś było inaczej. Zastawiałem się, patrząc na twarze zarumienione z zapału i wściekłości.

Pozostałe rozkazy Gallusa były mniej poruszające. Oznajmił, że w Lukce obowiązuje stan wojenny. Każdy, kto odmówi wstąpienia do służby, zostanie stracony jako zdrajca. Każdy, mężczyzna czy kobieta, kto próbuje opuścić miasto, zostanie stracony jako zdrajca. Do tego dochodziły żniwa. Na żyznej równinie Lukki jeszcze nie zebrano znacznej części upraw. Pszenica była na wpół skoszona, winogrona dojrzewały, gaje oliwne czekały na zbiory.

-Trudna sprawa - przyznał Gallus, drapiąc się po brodzie. - Musimy znaleźć sposób, żeby podłożyć ogień.

Na te słowa podniosły się protesty. Zobaczyłem, że Klaudia i Dekkusem wymienili spojrzenia.

- Gallusie Tadiuszu. - Dekkus Fulwiusz chrząknął i wstał. - Jesteś pewien, że to mądre? Gaje oliwne mają setki lat. Na pewno jest lepszy sposób ocalenia miasta niż niszczenie jego największego bogactwa.

Gallus wzruszył ramionami.

-To bogactwo doda sił naszemu wrogowi. Armia maszeruje na brzuchu, Dekkusie Fulwiuszu. Nie mamy wyboru. Kiedy Valpetra poniesie klęskę, zasadzimy nowe gaje.

Padaly inne argumenty, ale wszystkie obalił. Była to rzecz godna uwagi. Zrobił to samodzielnie, podsycając ich zapał i pasję. Tego dnia obywatele ziali wielką nienawiścią do diuka Valpetry, i on to wykorzystał. Siedziałem i słuchałem, wspominając, jak dobrze radził sobie Lucjusz na zajęciach mistrza Pieta, i zastanawiałem się, czy ma to wpływ na przemowę Gallusa. A może stary kondotier był utalentowanym oratorem i przekazał swój dar prawnukowi?

A może najważniejsza była sama obecność zmarłego wśród nas? Nie umiem powiedzieć.

Co do mnie, nic nie mówiłem. Żadne z nas się nie odezwało. W tym czasie niewiele było do powiedzenia. Prawdę mówiąc, nie miałem zamiaru zabierać głosu na naradzie. Chciałem wiedzieć, co planuje Gallus Tadiusz, i przypuszczałem, że Klaudią kierowały podobne pobudki. Każdy manewr dyplomatyczny, jakiego możemy spróbować, będzie musiał uwzględniać jego plany.

„Zawsze warto jest wiedzieć jak najwięcej”.

- Dobra - mruknął Gallus na zakończenie. - Możecie odejść, wyjąwszy tych, którym kazałem zostać. Rano spodziewam się pełnych spisów dobytku i listy członków nowej milicji.

Prawie wszyscy wyszli z bazyliki. My zostaliśmy, choć Gallus nas nie prosił, ale też nie rozkazał nam odejść.

Został Gaetano Correggio z Heleną. Zostało kilku innych wielmożów i kapłan w stożkowatej czapce, z paroma akolitami. Przypomniałem sobie, że widziałem ich przed świątynią Jupitera.

-To flamen dialis. - Klaudia ściągnęła brwi. - Do czego zmierza Lucjusz?

- Klaudio Fulwio. - Gallus skinął na nią. - Skoro ubiegasz się o prawo występowania w imieniu Tadiuszów, możesz zostać świadkiem mojego ślubu.

-Co? - Słowo mimo woli wyrwało się z moich ust. Gallus Tadiusz pokazał mi zęby w uśmiechu.

-Ty podsunałeś mi tę myśl, kochasiu. Czemu nie? Panna wyszła za mąż wbrew woli głowy rodziny. Na słowo Gaetana kapłan może ogłosić rozwód, dzięki czemu będzie mogła mnie poślubić. To podkopie roszczenia Valpetry do Lukki i umocni moje. - Wzruszył ramionami. - Może nie wyrze takiego skutku, na jaki mamy nadzieję. On będzie argumentować przeciwko, a przy tym jest wściekły jak wszyscy diabli, bo odraubał mu rękę. Wątpię, czy będzie miał litość. Ale gdy się dowiedzą, że śpię z jego

żoną, być może to pomoże zwrócić przeciwko niemu wojsko. Jest przechodzona, lecz nie mam nic przeciwko. Na wojnie liczy się każda broń, która wpada w ręce.

Spojrzałem na Helenę Correggio i pożałowałem, że to zrobiłem.

Była przerażona. W chwili, gdy na nią zerknąłem, jej spojrzenie zwarło się z moim, nieme i proszące. Błagające bohatera, który ją uratował. Mogłem tylko westchnąć ciężko w duchu. Los bohatera jest znacznie trudniejszy niż przypuszczałem. Ocaliłem dziewczynę przed łotrem i w konsekwencji rozjuszyłem łotra, komplikując własne położenie, i rzuciłem dziewczynę w ramiona następnego łotra - tego po naszej stronie. Człowieka o dwóch twarzach.

„Był przyjacielem?”

Jeden z nich był”.

Z modlitwą do Błogosławionego Elui, szykowałem się do zrobienia sobie wroga z Gallusa Tadiusza. Nim jednak zdążyłem się odezwać, Klaudia Fluwia zabrała głos.

-Czcigodny kapłanie, czy to zgodne z prawem? - zapytała z troską. Flamen dialis miał głęboko zakłopotaną minę. -W pewnych okolicznościach, tak.. Jeśli tego chce pater familias. Ufam, że ślub nie był confarreatio?

-Co to znaczy? - spytałem szeptem Dekkusa Fulwiusza.

-To wiążąca forma małżeństwa - odparł, po czym mnie uciszył.

Klaudia zwróciła się do Heleny.

- Powiedz nam - ponagliła łagodnie.

Czasami mężczyźni, którzy się znają, nie mają potrzeby zabierania głosu. Z kobietami jest inaczej. Nie muszą się znać, żeby porozumieć się bez słów. Dostrzegłem subtelny ruch głowy Klaudii i zobaczyłem, że oczy Heleny rozszerzają się, gdy zrozumiała. Lekko, leciutko. Gdyby nie szkolenie Fedry, wątpię, czy coś bym zauważył.

- Zabrał mnie do wioski. - Helena, która dotąd zaciskała pięści u boków, podniosła rękę. - Na południowym wschodzie. Nie znam nazwy Czeakał tam kapłan, jego kapłan! Flamen dialis Valpetry. - Przygryzła wargę. - Nie chciałam tego zrobić! Ale zagroził, że mnie zabije.

Kapłan ścigał brwi.

- Jak to się odbyło, dziecko? Powiedziała mu.

Złożono owcę w ofierze, był czerwony welon i placek owsiany; zebrali się świadkowie, wyrecytowano przysięgi, spisano i podpisano kontrakt ślubny. Szczegóły nic dla

mnie nie znaczyły, wyjąwszy to, że raczej spełniały wymagania małżeństwa confarreatio - takiego, którego nie można rozwiązać.

Helena Correggio nie umiała kłamać.

Przypuszczam, że do tej opowieści skłoniło ją przerażenie. Niezależnie od tego, jak wyglądała prawda, została uprowadzona i zmuszona do ślubu wbrew woli, i szczegóły dotyczące pierwszej nocy brzmiały wiarygodnie. Małżeństwo zostało skonsumowane przemocą, z radością ze strony Domenica Martellego. Flamen dialis przerwał jej i zwrócił się do Gallusa Tadiusza.

- Confereatio - oznajmił oficjalnym tonem. - Nie mam prawa udzielić rozvodu.

Gallus nie krył niezadowolenia. Twarz pociemniała mu ze złości.

- Pięknie - warknął, chwytając Helenę za rękę. - W takim razie przyprawię mu rogi.

- Panie... - Protest kapłana ucichł.

Gaetano Correggio wyglądał jak człowiek ciężko chory i nic nie robił; zawarł swój pakt z diabłem. Dekkus Fulwiusz miał taką minę, jakby chciał być gdzie indziej, na przykład w Tyberium, stawiając czoło rozjuszonym tłumom. Klaudia bezradnie rozłożyła ręce; zrobiła, co mogła. Eamonn pochwycił moje spojrzenie i przesunął się, by strzec moich tyłów, ja zaś pozwoliłem sobie na kolejne westchnienie.

- Lucjuszu. - Ustawiłem się pomiędzy nim i dziewczyną. - Nie chcesz tego.

Nie było Lucjusza. Gallus szczyrzył zęby w bojowym grymasie. Mimo woli naśladowując Valpetrę, mocno trzymał Helenę za nadgarstek, podczas gdy ona próbowała wcisnąć się za mnie, więżąc mnie pomiędzy nimi. Zwodniczo niedbałym ruchem uniósł wolną rękę i chwycił mnie za gardło, dość mocno, by powstały siniaki. Miał silne palce. Zauważyłem to w czasie naszego pierwszego spotkania, choć nigdy nie przypuszczałem, że pewnego dnia będą miażdżyć mi tchawicę,

-Skąd, do diabła, możesz wiedzieć, czego chcę, D'Angelinie?

Staliśmy pierś w pierś, ściśnięci tak bardzo, że niemal czułem dudnienie jego serca. Jego oddech parzył mi twarz. Ręce miałem opuszczone, palce prawicy muskały rękójesę sztyletu. Jeśli dojdzie do najgorszego, wbiję mu ostrze w brzuch, zanim zemdleję; byłem tego raczej pewien. Za mną drżała Helena. Poczułem, że staję na palcach, jej miękkie piersi naparły na moje plecy.

-Proszę, nie zabijaj go - szepnęła mi do ucha. - Jest też Lucjuszem.

Roześmiałybym się, gdyby Gallus Tadiusz mnie nie dusił.

- „O, najdroższy panie” - wyrecytowała niespodzianie Klaudia - „niechaj pierś, na której się wspierasz, służy ci teraz za tarczę...”.

Z chrząknięciem odrazy Gallus odepchnął mnie i uwolnił Helenę.

Oboje potknęliśmy się i upadliśmy. Wylądowałem na niej i zaczerpnąłem tchu, sturlałem się z Heleny i podniosłem na kolana. Oboje zagradzaliśmy drogę Eamonnowi. Gallus Tadiusz wyciągnął miecz i wsunął sztych pod moją brodę.

-Wiesz - zaczął konwersacyjnym tonem - niemal cię lubię, D'Angelinie, ale sprawiasz znacznie więcej kłopotów niż jesteś wart. Podaj mi jeden powód, żeby cię nie zabijać.

Chciałem się odezwać i dostałem ataku stłumionego kaszlu.

Gallus ryknął śmiechem.

- Ja podam. - Eamonn wszedł w moje pole widzenia. Twarz miał spokojną. Dobył miecza i trzymał go skośnie, gotów do zamaszystego ciosu. -Zrób to, a twoja głowa poturla się po podłodze, zanim zdążysz wciągnąć dech.

-Czy ktoś wezwie strażę? - mruknął Dekkus Fulwiusz do nikogo w szczególności. - To niedorzeczne.

Poczułem, że miecz Gallusa przebija skórę, gdy nacisnął mocniej, i strumyczek krwi spłynął mi po szyi. Jaka siostra, taki brat. To był absurd.

-Lucjusz! - Klaudia stanęła przed nim. - Podam ci lepszy powód. Jeśli zabijesz Imriela, ściągniesz gniew Terre d'Ange na siebie, na mnie, na całą Lukkę. On jest trzeci z kolei do tronu.

-Tak? - zdumiał się Dekkus.

Helena sapnęła.

Sztych miecza podniósł się, by zawisnąć pod moim nosem. Oddychałem powoli, walcząc z bólem niedawno miażdżonej tchawicy. Gallus Tadiusz przenosił spojrzenie ze mnie na Klaudię, skonfundowany.

- Skąd wiesz?

- Sam mi powiedziałeś - odparła spokojnie. Zamrugał, linie jego twarzy złagodniały. -Ja?

- Tak. - W przeciwieństwie do Heleny, Klaudia kłamała dobrze, - jego nazwisko, jego pełne nazwisko brzmi Imriel nó Montèrve de la Courcel, i jest księciem krwi. Każałem mi dochować sekretu, Lucjusz, więc dochowałam.

- Nie pamiętam - burknął, ale opuścił miecz.

Eamonn podszedł szybko, podniósł mnie z podłogi i pchnął za siebie. Kapłan, akolici, Gaetano Correggio i Dekkus Fulwiusz gapili się na nas z różnym stopniem zdumienia. Gallus Tadiusz pokręcił głową, sztych miecza zaczął się podnosić.

- Nie - powiedział. - Nie wierzę. W ani jedno słowo.

- Lucjusz - wychrypiałem. - Syn Bella Donny. Pamiętasz? Rozległ się cichy łoskot, gdy Helena Correggio osunęła się na podłogę, zemdlona.

## PIĘĆDZIESIĄT DWA

---

Na szczęście, Gallus Tadiusz ustąpił. W obliczu zjednoczonego sprzeciwu, zarzucił swoje plany i wymaszerował z bazyliki, żeby zająć się pilniejszymi sprawami gdzieś w mieście. Skupiliśmy się wokół Heleny.

Brygitta, która była najbliżej, ułożyła jej głowę na swoich kolanach. Gaetano ukląkł, pocierając ręce córki. Ale kiedy zatrzepotała powiekami i oprzytomniała, jej spojrzenie spoczęło na mnie. Zdumienie wзираło z jej niebieskich oczu.

- Wiedziałam - szepnęła. - Wiedziałam! Westchnąłem.

-To nie tak, jak myślisz.

- Zatem jak? - zapytał Dekkus Fulwiusz.

Powiedziałem mu, przepraszając za mistyfikację. Wyjaśniłem korzenie dziwacznej legendy, która wyrosła z dwunastoletniego pobytu mojej matki w świątyni Aszery i jej zniknięcia.

-Kobiety! - parsknął Dekkus. - Lubią zmyślać. -Wistocie - mruknęła Klaudia. Spojrzał na nią koso.

-Mam nadzieję, że nigdy nie wierzyłaś w takie bzdury. Uśmiechnęła się do niego. -Oczywiście, że nie.

- Panie - zwróciłem się do Gaetana Correggia - obawiam się, że twoja córka jest rozstrojona dramatycznymi przeżyciami. Lepiej zabierz ją do domu, żeby mogła odpocząć. I, jak sądzę, lepiej trzymać ją poza zasięgiem wzroku Gallusa Tadiusza.

-Tak. - Książę Lukki, a raczej były książę, wydawał się osłupiały. -Tak, naturalnie. Nie powinienem... Nie jestem... - Dotknął brzydkiego-go skaleczenia na skroni, pamiętki

po wczorajszej bitwie. - Wybacz mi, dziecko - powiedział do Heleny. - Nie mogę myśleć jasno.

Wyprowadził ją, idąc jak starzec, sztywny i pokonany. Helena spojrzała na mnie przez ramię, z żarem nadziei i wiary na twarzy. Moje słowa nie wystarczyły, by podważyć jej głębokie przekonanie. Bolało mnie gardło, byłem straszliwie zmęczony poczuciem winy i żalem.

- Moja matka - powiedziałem do nikogo w szczególności - jest zdrajczynią. Potworną zdrajczynią. Zaszła jakaś koszmarna pomyłka.

Eamonn wzruszył ramionami.

-Sprawiła radość biednej dziewczynie. Nie żałuj jej tego.

Wróciliśmy do willi Tadiuszów, gdzie Klaudia zajęła się nadzorowaniem spisu dobytku. Marzyłem, żeby położyć się na parę godzin, ale nie było mi to dane. Dekkus Fulwiusz posadził mnie w salonie i maglował, dopytując o koneksje i wpływy; umysł wytrawnego polityka nie próżnował. Królową Ysandrę znał tylko z nazwiska, ale został przedstawiony dangelińskiej ambasador, Denise Fleurais, i wielce ją cenił.

-Dobra kobieta - stwierdził, kiwając głową. - Mądra kobieta. Wie, że tu jesteś?

-Tak - odparłem ze znużeniem w głosie. - Nie pamiętam tylko, czy podałem jej dokładną datę ślubu.

-Szkoda. Ale zrozumie, gdy wieści dotrą do Tyberium. Dotrą prędzej ty później. - Dekkus potarł brodę. - Kiedy się dowie, najpewniej wyśle delegacje, by negocjować twoje uwolnienie. Kłopot w tym, że znacznie to utrudniłeś, obcinając rękę Valpetrze. Do diabła, chłopcze, coś ty sobie wyobrażał?

Nie odpowiedziałem wprost.

- Dekkusie, czy to wszystko nie wydaje się trochę dziwne?

- Ach, chłopcze! Wojna to paskudna sprawa - powiedział życzliwym tonem. - Nie ma obawy, przywykniesz. Poza tym, może Gallus Tadiusz jest twardym człowiekiem, ale zna się na rzeczy.

- Otóż to - zacząłem powoli. - Dekkusie, Gallus Tadiusz nie żyje. Dwa dni temu próbowaliśmy wypędzić jego ducha z ciała Lucjusza. Teraz z zadowoleniem przyjmujemy od niego rozkazy.

- Dwa dni temu Lukka nie była oblężona! - Dekkus westchnął. -Chłopcze, posłuchaj. Widziałeś, co zrobił Correggio. Jeśli pytasz, czy to wszystko nie przyprawia mnie o ciarki, to powiem, że tak, przyprawia. Ale bądźmy szczerzy, jak mężczyzna z mężczyzną. Jesteśmy uwięzieni, I jedno ci powiem, dopóki dwie strony będą wysuwać uzasadnione roszczenia do Lukki, nikt w Caeridicca Unitas nie kiwnie palcem, żeby in-

terweniować. Wojny miast-państw są na porządku dziennym. Przeczekają to, żeby zobaczyć, kto zwycięży, i odnowią przymierza. Skoro tu tkwimy, wolę stawiać na zwycięstwo, jeśli nawet ma to oznaczać przyzwolenie, by chodzący trup rządził tym przeklętym miastem. Rozumiesz?

Pokiwałem głową.

- Dobry chłopak. - Poklepał mnie po ramieniu. - Idź, odpocznij trochę. Wydajesz się pusty jak wydrążona tykwa. - Urwał, ścisnął moje ramię na znak współczucia. - Przykro mi z powodu śmierci przyjaciela.

Poczułem ucisk w gardle.

- Dziękuję.

Nie zasłużyłem na jego życzliwość, ale Gilot zasłużył. Przyjąłem więc wyrazy współczucia i chwiejnym krokiem ruszyłem do komnaty gościnnej. Padłem na łóżko, na pościel wciąż skłębioną po kochaniu się z żoną Dekkusa Fuiwiusza. Ślad jej zapachu unosił się w powietrzu. Za bardzo zmęczony, żeby mieć wyrzuty sumienia, zapadłem w głębię snu twardego i niespokojnego zarazem, nawiedzanego przez strzępki snów.

Parę minut później Eamonn mnie zbudził.

Przynajmniej mi się zdawało, że spałem parę minur.

- Imrielu! - Znów mną potrząsnął.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem jego twarz. Skośne bursztynowe promienie wpadały pomiędzy listewkami okiennic do mojej sypialni, świadcząc o tym, że spałem wiele godzin.

- Mamy się stawić na służbę. Usiadłem, zdezorientowany.

- Na służbę?

Eamonn skinął głową i przysiadł na łóżku.

- Nocny patrol konny - wyjaśnił cynicznym tonem. - Rozkazy Gallusa.

Potarłem twarz, na wpół ślepy po spaniu. - Dlaczego my?

- Nie tylko my. - Eamonn pokręcił głową. - Każdy obeznany z mieczem i z koniem, Lukkańczyk czy nie. Jeśli się nie ruszysz, z przyjemnością skonfiskuje Bękartą i da go komuś innemu.

- Niech tylko spróbuje - mruknąłem, ale zerwałem się żwawo.



Stawiliśmy się na służbę na rynku Lukki wraz z dwudziestoma innymi. Staliśmy w dwuszeregu, podczas gdy Gallus Tadiusz jeździł w tę i z powrotem, przyglądając się nam bacznie. Miał już zbroję, pełen pancerz, zarękawia i nagolenniki. Piękna zbroja była trochę przestarzała, co skłoniło mnie do zastanowienia, czy kiedyś nie należała do niego. Złocona stała lśniła w gasnącym świetle.

Wszyscy inni mieli różnorakie uzbrojenie: miecze, włócznie, łuki myśliwskie. Niektórzy nosili tarcze na plecach. Widziałem przeszywanice kolczugi, a jeden chłopak miał hełm wielki jak kubeł, nasunięty nisko na czoło. Ale wszyscy byliśmy uzbrojeni, w taki czy inny sposób, i wszyscy siedzieliśmy na koniach. Kilka wierzchowców miało wyraźne ślady uprzęży na skórze, a co najmniej jeden, byłem pewien, służył do orki, spokojny i łagodny, z kosmatymi pęciami i kopytami wielkości talerzy.

Tego dosiadał chłopak w kuble-hełmie.

Eluo, jaki był młody.

- Witajcie, wojownicy! - zawołał Gallus Tadiusz. - Witajcie w Czerwonej Pladze! - Urwał, by przyjąć wiwaty. - Kapitanie Arturo, daj im odznaki.

Kapitan straży miejskiej skinął na porucznika. Był to rumiany chłopak, którego Gallus uderzył przed świątynią. Wyglądał inaczej, dumny i poważny, pomimo meszku na górnej wardze i żółtego siniaka na policzku. Przeszedł wzdłuż szeregów, podając nam skrawki czerwonego materiału, jak gdyby wyświadczał wielki zaszczyt.

Obaj z Eamonnem patrzyliśmy, jak jeźdźcy zawiązują je na ramionach, i zrobiliśmy to samo.

- Dobra! - rzucił z werwą Gallus. - Dobierzecie się dwójkami i ruszycie wzdłuż wewnętrznych murów. Macie krążyć, para za parą, w odstępach nie większych niż kilka minut. Rozmieściliśmy strażę na każdym drzewie na murze. Nie są to najlepsze blanki, możemy jednak je wykorzystać. Będziecie meldować się każdemu strażnikowi. Czy to rozumiałe?

Przytaknęliśmy.

-To dobrze. - Pochylił się i splunął na ziemię. - Coś nie w porządku, a gnacie na złamanie karku, jeden do wartowni, powiadomić kapitana Artura, drugi do mnie. Zrozumiano?

Znowu przytaknęliśmy.

- Dobrze. - Spojrzał w niebo. Zorza wieczorna już gasła, wschodu! błądy sierp księżyca. Ciepło dnia zniknęło, wraz z nocą nadciągał jesienny ziąb. - Przypuszczam, że potadziecie sobie bez pochodni. Musicie przywyknąć. Będziemy się obywać bez światła, ilekroć to będzie możliwe.

Na jego rozkaz dobraliśmy się w pary. Gallus Tadiusz podał nam nocne hasło i odzew, które mieliśmy wymieniać ze strażnikami, i zaczął nas odprawiać, po jednej parze na raz. Siedział na koniu bez ruchu, gdy kolejni jeźdźcy oddawali mu salut. Kiedy przysła kolej na Eamonna i na mnie, obrzucił nas obu długim, twardym spojrzeniem.

- Zachowujcie się, książątka - poradził. - Bez względu na to, kim jesteście za tymi murami, w ich obrębie podlegacie mojej komendzie. Jeśli o mnie chodzi, wszyscy tutaj jesteśmy Lukkańczykami. Zrozumiano?

-Tak jest! - Obaj zasalutowaliśmy. Poderwał brodę.

- Jedźcie.

W pogłębiającym się zmroku ruszyłem z Eamonnem ku murom miasta. To było niepokojące. Ledwo znałem Lukkę, a w fioletowym zmierzchu ulice wyglądały jeszcze mniej znajomo. Nikogo nie napotkaliśmy. Mijaliśmy sklepy i gospody^ patrząc na zamknięte drzwi i okiennice. Gdzieś w oknach domów widzieliśmy iskrę światła, ale na ogół ludzie już oszczędzali zapasy, zgodnie z rozkazem Gallusa.

Dotarliśmy do murów i w ich cieniu ruszyliśmy wokół Lukki.

Gallus Tadiusz nie marnował czasu. Na każdym potężnym dębie czuwał wartownik. Wyciągnąłem szyję przy pierwszym drzewie, ale dostrzegłem tylko niewyraźną koronkę konarów i liści na tle nocnego nieba.

- *Mundus!*- zawołałem.

- *Means!*- usłyszałem w odpowiedzi. - Cisza i spokój. Jechaliśmy dalej.

-Gallus Tadiusz jak na martwego ma dziwaczne poczucie humoru -zauważył Eamonn. W odpowiedzi zaburczało mi w brzuchu. - Jadłeś coś od rana? - zapytał. Gdy zaprzeczyłem, sięgnął do sakwy i podał mi pasztet w cieście, owinięty tłustą szmatką. - Masz. Świsnąłem z kuchni.

-Dzięki - powiedziałem z wdzięcznością.

Eamonn wzruszył ramionami.

-Podziękuj Brygicie. To jej pomysł.

Jadłem, trzymając pasztet jedną ręką, sos ściekał mi po brodzie. -Jest... - Przełknąłem kęs. - Bardzo ją lubisz, prawda?

-Tak. - Eamonn zerknął na mnie. - Czy to ci przeszkadza?

-Bo jest Skaldyjką? Wzruszył ramionami. - W ogóle.

Myślałem o tym, gdy skończyłem jeść, a Eamonn wymienił hasło i odzww z następnym wartownikiem. Poza tym, na murach Lukki panowała cisza.

-Trochę - wyznałem uczciwie. - Nie dlatego, że jest Skaldyjką. W zenanie był młodzieniec, Erich... mówiłem ci o nim? Eamonn pokiwał głową.

-Na balu maskowym Środka Zimy. Pamiętasz?

Wydawało się, że minęło tysiąc lat, odkąd braliśmy udział w maskaradzie, przebrani za skaldyjskie bóstwa, bawiąc się wśród przepychu. Pamiętałem, jak Eamonn w stroju Donara, boga grzmotu, tańczył ostrożnie z Alais. A ja... ja tańczyłem z Sydonią i sprzeczyliśmy się w tańcu. Tej nocy przysiągłem jej wierność pod wpływem przekornego impulsu.

- Pamiętam.

-Wydaje się, że było to dawno temu - rzekł Eamonn cicho. - I w innym świecie.

-Tak - Wetknąłem za pas tłustą szmatkę. - Eamonnie, cieszę się z twojego szczęścia, naprawdę. Tak, jestem trochę zazdrosny. Nie ma to nic wspólnego z Brygittą. Brakuje mi ciebie, to wszystko.

-Jestem tu.

-Wiem, ale...

-Wiem. - Westchnął. - To co innego, zupełnie co innego. Dlaczego nic nie może być proste?

Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć. Z ciemności przed nami dobiegły krzyki i chlupot wody. Spojrzeliśmy na siebie, przycisnęliśmy pięty do boków wierzchowców i popędziliśmy.

Dźwięki płynęły z miejsca, gdzie przez dwie śluzy w murze do miasta wchodził akwedukt, który zasilął fosę. Dwóch poprzedzających nas jeźdźców zsiadło z koni i wskoczyło do kanału. Słyszeliśmy chlupot i postękiwanie, ale było za ciemno, żeby zobaczyć przyczynę.

-Hej! - zawołał ktoś z góry. – *Mundus!*

- *Manes!* - Zmrużyłem oczy, wpatrując się w drzewo. - Co się dzieje? Rozległ się trzask krzesiwa i iskry strzeliły na murze. Nasączona smołą pochodnia zapaliła się i w jej blasku zobaczyłem wartownika z wyciąg, niętą ręką.

- Intruz. Widziałem, jak zsuwał się do fosy.

W świetle pochodni dostrzegłem trzy postacie szamoczące się w wodzie. Kimkolwiek był intruz, umiał się bić. Klnąc, zsiadłem z konia, zrzuciłem pelerynę i skoczyłem na pomoc strażnikom.

Woda wprawdzie sięgała tylko do piersi, ale była zimna i cuchnąca. W okamgnieniu przemokłem do suchej notki i przemarzłem do szpiku kości. Nieproszony gość był drobnej budowy, lecz śliski jak ryba i wbrew pozorom silny. Jeden ze strażników poddał się w chwili, gdy przybyłem, i brnął ku brzegowi kanału, łapczywie chwytając powietrze.

- Obejdz go! - wysapał drugi.

Z trudem szedłem w głębokiej wodzie. Strażnik chciał zewrzeć się z intruzem, a wówczas zobaczyłem, że ten unosi rękę nad powierzchnię wody. Światło dalekiej pochodni zalśniło na ostrzu sztyletu.

Nie było czasu do namysłu, więc nie myślałem. Biorąc głęboki wdech, złapałem mężczyznę za ramiona i pociągnąłem do tyłu. Nie spodziewał się tego. Straciwszy równowagę, padł na mnie i obaj zanurzyliśmy się w zimnej, ciemnej wodzie. Objąłem go rękami i nogami, zanim zdążył zareagować. Spleceni, opadliśmy na dno kanału.

Szamotał się, miotał niczym ryba na ościeniu, ale ja, nauczony zapasów w Siovale, trzymałem go mocno.

I byłem uparty.

Trzymałem, aż powietrze zaczęło palić mi płuca, a moja ofiara zwiotczała. Wietrząc podstęp, ostrożnie rozluźniłem uścisk. Kiedy zaczął się miotać, chwyciłem go mocno, przesuwając ręce, żeby wbić mu pięść w brzuch i szarpnąć do góry. Tym razem strumień bąbelków uciekł z jego ust. Kiedyś omal nie utonąłem. Wiem, co się wtedy czuje.

Ścisnąłem, aż bąbelki przestały wypływać.

Gdy zwiotczał po raz drugi, uznałem, że tym razem nie udaje i pchnąłem go ku powierzchni. Kończyny miałem zimne i ciężkie, bolały mnie płuca i ledwo wystarczyło mi sił, żeby się odbić od dna. Wynurzyłem się, parszcząc i kaszląc. Ten pierwszy haust powietrza, wciągnięty przez gardło posiniaczone przez Gallusa Tadiusza, był słodki jak nic w moim życiu.

Nasz nieproszony gość unosił się na wodzie niczym przesiąknięta wilgocią kłoda.

Spokojny i suchy Eamonn pochylił się nad kanałem i złapał intruza za tunikę.

-Dobra robota, Imri - rzucił wesoło, ze zdumiewającą łatwością wydajając go z kanału. - Zobaczmy, co takiego złowiłeś.

W tym momencie obchodziło mnie tylko wydostanie się z wody. Wywlokłem się na bruk i siedziałem w kałuży, dysząc ciężko, z łokciami wspartymi na kolanach.

Eamonn potrząsnął naszym jeńcem. Mężczyzna z jękiem przetoczył się na bok i wyrzygał znaczną ilość kanałowej wody. Mokre włosy oblepiały mu twarz. Sztylet

dawno zniknął. Zgubił nawet sandały, miał na sobie Mko tunikę z szorstkiego samodziału. Już zaczynał się trząść w zimnym jowietau. Kimkolwiek był, wyglądał żałośnie.

-Biedny gałgan - mruknąłem.

Pod murem strażnicy wymienili hasła z wartownikiem. Patrzyłem, jak wartownik opuszcza sznurową drabinkę i zsuwa się niezdarnie, z zapaloną pochodnią w ręce. Kiedy zszedł, wszyscy trzej podeszli. Migotliwy blask paemienił wszystko wokół w reliefy, po których pełgały wyraziste cienie.

-Kim on jest? - zapytał wartownik.

Eamonn kucnął za intruzem, postawił go na nogi i szarpnął za mokre włosy, przekręcając jego twarz tak, żeby padło na nią światło pochodni. Canis.

Całe szczęście, że byłem na wpół utopiony, bo dzięki temu nikt nie uznał zduszonego sapnięcia i ataku kaszlu za wyraz zdumienia. Canis zerknął na mnie i prawie niedostrzegalnie pokręcił głową.

-Kim jesteś? - zapytał jeden ze strażników. - Jesteś z Valpetry? Zakradłeś się na przeszpiegi? Czego tu szukasz?

Nastąpił pokaz pantomimy. Canis energicznie pokręcił głową, przyskajac wodą we wszystkie strony. Otworzył usta i wskazał na nie palcem, znowu pokręcił głową. Przyłożył ręce do uszu i pokręcił głową.

-Głuchoniemy - zawyrokował strażnik z pogardą.

Canis był dobry.

W tym czasie zgromadziła się niewielka widownia. Przybyły dwie kolejne pary jeźdźców. Wszyscy patrzyli, rozbawieni, jak Canis, na wpół nagi i drżący, wykonuje szereg skomplikowanych gestów i min. Wskazał w stronę wioski za murem, gestami opisał przybycie żołnierzy Valpetry, którzy mieczami i włóczniami upomnieli się o prawo do całego dobytku. Pokazał, jak trzął się ze strachu, szeroko otwierając oczy. Wskazał na służę i pokazał rękami, jak uporał się z nią pod wodą.

Kiedy skończył, byłem na wpół przekonany.

- Biedny głuchy nicpoń! - Wartownik przejął kontrolę nad sytuacją. Miał prawo, będąc jedyną tu osobą, która do zmroku należała do straży miejskiej Lukki. - Zabierzcie go do wartowni - polecił pierwszej parze strażników. - Niech kapitan Arturo zadecyduje, co z nim zrobić. Pozostali, podjąc patrol.

Podniosłem się z chlupotem wody w butach.

- Wszyscy?

Obrzucił mnie cierpkim spojrzeniem.

- Czy Gallus Tadiusz wydał inne rozkazy?

Zerknąłem na moich kolegów rekrutów. Chłopak w kubelkowatym hełmie siedział na koniu do orki z przerażoną miną, pomimo strzępka czerwonego materiału zawa-  
diacko zawiązanego na ramieniu. Jeśli lemury Czerwonej Plagi krążyły po mieście - a  
naprawdę w to wierzyłem - nie znajdują wśród nas gospodarza dorównującego swojemu  
przywódcy.

- Dobra. - Na wpół świadomie naśladowałem Gallusa Tadiusza. Odbiłem się od zie-  
mi, opadłem na siodło. - Patrol.

Eamonn bez słowa podał mi pelerynę. Przynajmniej ona była sucha, Zrzuciłem ją  
na ramiona i skuliłem się, gdy podjęliśmy jazdę w cieniu murów miasta. Po paru mi-  
nutach spowił mnie kwaśny smród mokrej wełny.

Jechaliśmy godzinami. Zwracając uwagę na punkty orientacyjne, oceniłem, że okrą-  
żenie miasta trwa prawie godzinę. W Sabie nauczyłem się mierzyć upływ czasu, pa-  
trząc na gwiazdy na niebie. Choć nie jestem horologiem, od tamtej pory mam dobre  
wyczucie czasu.

Tej nocy zrobiliśmy dziewięć okrążeń.

W czasie piątego cierpiałem. Przypominało to czuwanie ku czci Elui w Najdłuższą  
Noc. Powietrze było zimne, a ja byłem przemoczony. Napięte mięśnie walczyły jeden  
z drugim, gdy dygotałem niczym w ataku malarii. Myślałem o chłopcu w kubelkowa-  
nym hełmie, i myślałem o Jo-scelinie, o jego profilu rysującym się na tle gwiazd. Je-  
chałem dalej, Bękart stąpał wzdłuż muru miarowo i niezmordowanie. Od czasu do  
czasu chuchałem w dłonie i ogrzewałem je o jego nakrapianą skórę.

- Niech mnie licho, to piękny koń - mruknął Eamonn. Zmusiłem się do lekkiego  
uśmiechu.

- Chcesz rewanzu? Spojrzał na mnie.

- Wiesz, nie za bardzo. Jesteś trochę szalony.

W czasie ósmego okrążenia byłem obolały. Mokre ubranie ocierało mi skórę mia-  
łem wrażenie, że jestem z niej obdzierany. Okrążenie po okrążeniu, warta po warcie,  
mundus manes, mundus manes. Wszędzie wokół panowała cisza i marzyłem, żeby ni-  
gdy więcej nie usłyszeć tych słów.

Dziewiąte okrążenie przyniosło posępne szare światło bliskiego świtu uśmiechnię-  
tego Gallusa Tadiusza.

- Do domu, książątka! - zawołał do nas. - Są zmiennicy, a na was czekają ciepłe łóż-  
ka.

Kichnąłem.

-Dzięki, panie.

Gallus przypatrywał mi się przez chwilę. Siedziałem wyprostowany w siodle, przę-  
żąc ramiona. Niech mnie diabli, jeśli w głębi duszy nie pragnąłem jego aptobaty. Po-  
woli pokiwał głową.

-Słyszałem, co zrobiłeś. Sprawileś się przy akwedukcie, D'Angelinie. Głuchoniemy  
może być nieszkodliwy, ale jeden ze strażników kłął się, że miał sztylet.

-Nie widziałem sztyletu - skłamałem. - Gdzie on jest teraz?

- Kapitan Arturo zamknął go w więzieniu razem z jeńcami z Valpetry. - Wzruszył  
ramionami. - Zobaczymy, czy zmieni swoją historię. -Roześmiał się i dodał: - Co nie  
znaczy, że będzie mógł ją opowiedzieć!

-W istocie - mruknąłem.

Obaj z Eamonnem nie traciliśmy czasu, zmierzając do willi Tadiuszów. Jego wierz-  
chowiec stapał ociężale, jego zmęczenie pewnie dorównywało mojemu. Eamonn w  
milczeniu patrzył, jak Gallus Tadiusz odjeżdża, by niestrudzenie zająć się kolejnym  
zadaniem.

- Czy on w ogóle sypia? - zapytał, gdy Gallus znalazł się poza zasięgiem słuchu.

Pokręciłem głową, zbyt zmęczony, by odpowiedzieć.

-Chyba nie. - Eamonn spojrzał na mnie kątem oka.

- Intruz przypominał twojego żebraka, prawda?

- Canisa?

-Uhm.

-Tak, chyba tak.

W willi przekazałem Bękartu stajennym i poszedłem prosto do mojego pokoju. Zrzuciłem zimne, mokre ubranie i zakopałem się pod stosem koców. Przespałem przedpołudnie i zbudziłem się w porze obiadu.

Zgodnie z rozkazami Gallusa, kosze były zimne i nikt nie dokładał do pieca systemu hipokaustum, który nagrzewał prywatne łaźnie Tadiu-szów. Dreszcz wstrząsnął mnie na samą myśl o kąpieli w zimnej wodzie, więc tylko umyłem się w misie w pokoju, nagi i drżący. Zanurzyłem głowę. Lekki odór wody kanału przylgnął do moich włosów, ale takie ablucje musiały wystarczyć. Odsuwając od siebie przywołane przez zapach wspomnienie Draśangi, poszedłem dołączyć do innych.

Scena była niemal domowa. Obiad podano przy długim stole w jednej z mniej oficjalnych jadalni. Beatrice, matka Lucjusza i Klaudii, postanowiła wyjść z odosobnienia. Wydawała się zdecydowana przywrócić czystą siłą woli odrobinę normalności pod dachem swojego domu. Kiedy wszedłem, wstała z krzesła u szczytu stołu i powitała mnie niskim ukłonem.

- Witaj, Wasza Wysokość - powiedziała. - Wybacz nam, że cię zaniedbywaliśmy.

Ukloniłem się.

- Pani Beatrice, wybacz mi nadużywanie twojej gościny, za którą jestem wdzięczny.  
- Wyprostowałem się z uśmiechem. - I proszę, mów mi Imriel.

- Imriel - powtórzyła z uśmiechem. - Dołącz do nas, proszę. Posiłek był prosty: baranina w rzadkim sosie, czarny chleb, zielenina.

Ponieważ byłem głodny jak wilk, dla mnie stanowił istic lukullusowa, ucztę. Beatrice przeprosiła kilka razy.

- Nie do tego jesteś przyzwyczajony, wiem - powiedziała z obawą. - Ale... rozkazy.

Nie wymieniła imienia Gallusa Tadiusza. Mnie, który uważałem się za przyjaciela, trudno było patrzeć na to, co go spotkało. Nie wyobrażałem sobie, jak trudne jest to dla niej. Ja znałem go tylko kilka miesięcy. Ona była jego matką.

- Pani, wszystko jest przepyszne - zapewniłem zgodnie z prawdą. - I jestem ci wdzięczny za hojność.

- Jesteś nazbyt uprzejmy... Imrielu.

Po drugiej stronie, siedząc obok statecznego męża, Klaudia Fulwia pochwyciła moje spojrzenie i uśmiechnęła się ze spokojnym rozbawieniem. Była trochę podobna do matki. Oboje byli podobni, brat i siostra. Odziedziczyli po Beatrice ciemnorude włosy, gęste i niesforne, a także sugestię zadowolenia z siebie, dobrego samopoczucia we



własnym ciele, jaje jednak cechowała krągłość, miękka i pulchna, która budziła w każdym opiekuńcze uczucia i zarazem skłaniała do swobody w sposobie bycia. W przeciwieństwie do dzieci, -Beatrice nie miała twardych kantów.

Przypuszczam, że pochodziły one z krwi Tadiuszów.

Beatrice dokładała wszelkich starań, żebyśmy czuli się jak u siebie w domu. Cackała się z Eamonem, aż pomyślałem, że chce go adoptować, a Brygitta... cóż. Pewnie w duchu już ją adoptowała.

- Dziecko! - Klasnęła w ręce i zarumieniła się z zadowolenia. - Powinniście się pobrać! Przecież... przecież szykowaliśmy się do wesela.

Eamonn i Brygitta wymienili pełne namysłu spojrzenia.

- Czemu nie? - Najbardziej pogodny, najbardziej zaraźliwy uśmiech wykrzywił twarz Eamonna. - Tak, czemu nie? Co powiesz? Chcesz mnie, dziewczyno?

- Eamonnie! - Brygitta oburącz szarpnęła jasne warkocze. - Dokąd się udamy, jak będziemy żyć? Co z... - Zawahała się. - Mam rodzinę, mam obowiązki. Nie powinnam tu przyjeżdżać, nie przyjechałabym, gdybym wiedziała. Moje pół roku prawie upłynęło. Wiesz, że mój brat Leidoff przybędzie mnie szukać. Już niedługo.

- Tak. - Pokiwał głową. - W Tyberium cię nie znajdzie.

- Ale... - Powiodła wokół stołu błagalnym spojrzeniem, zatrzymując je na Klaudii. - W podróży dałaś mi mądrą radę. Co powiesz, pani Klaudio?

- Czy to ważne? - Klaudia uniosła brwi. - Zdaje mi się, że świat ulega Terre d'Ange w sprawach miłości, moja droga. Czyż nie? - zwróciła się do Dekkusa Fulwiusza, który dobrodusznie zamruczał na zgodę. Klaudia z cieniem uśmiechu skinęła w moją stronę. - Co ty powiesz, książę Imrielu?

Wstałem i popatrzyłem na nich, na nich wszystkich. Dekkus Fulwiusz, wyświadczaający mi uprzejmość, traktujący jak równego sobie, wielu spraw nieświadom. Uśmiechnięta Klaudia Fulwia, wiedząca zbyt wiele, wiadoma, jak bardzo jej pragnę. Beatrice Tadia, która nic nie wiedziała, absolutnie nic, z twarzą rozjaśnioną w nadziei, że wydobędzie coś dobrego z ruin, w jakich legła jej rodzina, i z koszmaru obłączenia Lukki.

Eamonn. Brygitta.

Eluo dopomóż, czy tego chciałem, czy nie, kochali się wzajemnie. Miłość płonęła między nimi jasno niczym porządnie wykonana lampa, pewna jak para połączonych rąk. Sięgnąłem po kubek pełen zimnej studziennej wody.

- Musisz pytać? - zacząłem lekkim tonem. - Jestem d'Angelinem. Ogólnie rzecz biorąc, to jedyna zasada, której przestrzegamy. - Uniosłem kubek w ich stronę. - Kochaj jak wola twoja.

Tak więc postanowiono.

Uczepiona pomysłu, Beatrice zabrała się do pośpiesznego wprowadzania go w życie, decydując, że ceremonia powinna odbyć się nazajutrz. Prawdę mówiąc, zwlekanie nie miało sensu. Nikt z nas nie wiedział, co przyniesie jutro. Lukka trzymała się mocno pod komendą Gailusa Tadiusza i miała się trzymać tygodniami, lecz przecież wojna nigdy nie niesie pewności.

Zostawiłem ich z tymi planami i udałem się na poszukiwanie więzienia.

Był to przysadzisty, mocny budynek w pobliżu bazyliki, z wartownią nad wielkim lochem. Straż pełnił samotny wartownik; pozostałych gdzieś odkomenderowano. Kiedy o tym wspomniałem, wzruszył ramionami.

- Na dole nikogo nie ma, tylko Valpetranie i głuchoniemy. Gallus Tadiusz uwolnił wszystkich innych.

- Tak? - zdumiałem się. - Dlaczego?

- Dał im wybór. Albo czerwona opaska na ramię, albo konopny naszyjnik. - Zachichotał. - Żaden nie przedłożył stryczka nad Czerwoną Plagę. W każdym razie, jeśli chcesz przyłożyć głuchoniememu, nie krępuj się. Z tego, co słyszałem, jesteś mu to winien. - Zdjął z wieszaka kółko z kluczami i otworzył drzwi, po czym zapalił latarnię. - Proszę, będzie ci potrzebna. Załomocz w drzwi, gdy skończysz, a wtedy cię wypuszczę.

Czułem niepokój, gdy mocne drewniane drzwi zatrzasnęły się za moimi plecami i klucz zachrobotał w zamku. Schody prowadziły w ciemność i smród. Wilgotny zapach moich włosów. Stałem przez chwilę, pragnąc spowolnić bicie serca. Zszedłem po schodach.

- Canis? - Podniosłem latarnię.

Oświetliła rozległą przestrzeń. Wzdłuż ścian ciągnęły się łańcuchy dla kilku tuzinów więźniów. Ujrzałem jednak tylko czterech. Trzech uniosło głowy, czujne oczy zalśniły w blasku latarni. Czwarty siedział po turecku, patrząc na mnie ze spokojem na posiniaczonej twarzy.

- Canis! - Kucnąłem obok niego. - Na siedem piekieł, co ty tutaj robisz? Nie odpowiedział.

- Pies. - Jeden z Valpetran zachichorał chrapliwie. - Dobry pies, D'Angelinie. Ale Pies nie mówi. Nawet nie pisnął, kiedy go bili.

Siedząc na piętach, przyjrzałem się Canisowi. Odwzajemniał moje spojrzenie z niewzruszonym spokojem. Chciałem nim potrząsnąć, wycisnąć z niego odpowiedzi jak wcześniej powietrze z płuc. Ale dopóki Gallus Tadiusz uważa go za głuchoniemego

prostaka szukającego bezpieczeństwa w murach miasta, istnieje możliwość, że z czasem zaproponuje mu ten sam wybór - Czerwona Plaga albo stryczek. Już postąpiłem bezmyślnie, nazywając go po imieniu. Gdyby to było jakieś inne imię, nie Pies, obaj moglibyśmy znaleźć się w poważnych tarapatkach.

Westchnąłem.

-Na Eluę, przysięgam... pewnego dnia, Canisie, wyjaśnimy sprawę.

Skłonił głowę, grzebiąc ręką w brudnej słomie na podłodze więzienia. Zagrzechotał łańcuch przykuty do jego nadgarstka. Łańcuchy były na tyle długie, że umożliwiały więźniom odrobinę swobody.

W lochu rozkoszy w Domu Waleriany były znacznie krótsze. Uśmiechnąłem się krzywo na tę myśl. Canis stukał w kamienną podłogę brudnym paznokciem, rytmicznie i uparcie. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że ułożył źdźbła słomy w litery. Dwa słowa.

*Uderz mnie.*

- Nie - powiedziałem odruchowo. Znowu postukał w podłogę, unosząc brodę.  
*Uderz mnie.*

Pozostali więźniowie przyglądali się nam z zainteresowaniem.

Dlaczego nie? Nie mieli innego zajęcia. Valpetranie, tak zwaliśmy ich dla wygody, choć nie byli Valpetranami. Byli najemnikami wynajętymi przez Valpetrę. Jeśli byli komuś wierni, to tylko swojemu kondotierowi. Pewnie każdy z nich sprzedałby Canisa za dodatkową rację chleba. Nawet ja nie mógłbym powiedzieć, dlaczego próbowałem go chronić. Niczego nie zrobił, tylko ciągnął za mną jak cień i z uśmiechem raczył mnie kłamstwami. I podniósł sztylet na strażnika, widziałem.

Ale bez względu na to, jaką grę prowadził, nie zamierzał mnie skrzywdzić. Byłem tego pewien. W Tyberium miał mnóstwo okazji. Na Eluę! Wiedział, gdzie mieszkam, gdzie sypiam... Gilot i ja nie mieliśmy nawet zasuw na drzwiach ani rygli na okiennicach, do nocy, kiedy Canis powiedział, że dwóch złodziei próbowało okraść sklep mistrza Ambrozjusza. Mierzyłem go wzrokiem, zastanawiając się, co wtedy naprawdę zaszło.

- Dlaczego to robisz, Canisie? Nawet nie mrugnął okiem. Uderz mnie.

Uderzyłem. Poruszyłem słomę, zacierając słowa, oczyszczając miejsce na kamiennej podłodze. Postawiłem latarnię. I ponieważ byłem zły, zamachnąłem się prawą ręką, aż się wzdrygnął, i trzasnąłem go mocno lewą.

Uderzyłem wysoko, z boku czoła, żeby nie połamać kości. Głowa mu odskoczyła i wiedziałem, że knykcie będą miał posiniaczone. Canis syknął przez zęby. Dołożyłem mu otwartą dłoń, dość mocno, by głowa się zakotyssała.

Cios zabrzmiał głośno w zamkniętej przestrzeni. Dobrze się z tym czułem.

Za dobrze. Nie chciałem tego robić. Podniosłem się z zaciśniętymi pięściami. Canis wyprostował plecy. Osłonięty przed wzrokiem Valpetran, uśmiechnął się do mnie, w jego oczach jaśniała aprobata. Guz rósł mu na czole i miał krew na zębach. Musiał przygryźć policzek, gdy go uderzyłem.

- To za zeszłą noc - warknąłem. - Przypuszczam, że jesteśmy kwita. Podniosłem latarnię i pomaszerowałem ku schodom, otoczony przez kołyszące się cienie.

- Hej! - zawołał za mną jeniec, który ze mną rozmawiał. - D'Angelinie, posłuchaj! Nie wiem, jaka jest twoja stawka, ale nasz dowódca Sylwanus jest otwarty na propozycje wymiany. Jest człowiekiem, który postępuje jak należy wobec tych, którzy przysięgli mu wierność. - Poruszył ramionami, łańcuchy zagrzeczoły. - Nasza wolność za twoją? - zapytał chytrze. - Jesteś tu cudzoziemcem. Pomyśl nad tym.

Skinąłem głową.

-Pomyślę.

-Myśl szybko! - krzyknął za mną. - Jednego już straciliśmy.

Na szczycie schodów zabębniłem w drzwi. Upłynęła cała wieczność, zanim usłyszałem zgrzytanie klucza w zamku. Strażnik otworzył drzwi z szerokim uśmiechem. Gdy tylko wyszedłem na powietrze, wyrwał mi latarnię z ręki i zdmuchnął płomyk.

-Nie wolno marnować! - zaznaczył. - Rozkazy Gallusa Tadiusza. -Zmierzył mnie wzrokiem. - Zabawiłeś się?

-Zabawiłem. - Potrząsnąłem posiniaczonymi rękami. - O tak.

-Dobrze - stwierdził strażnik wesoło. - Dobrze.

Wybrałem spacer, przywykły do tego w Tyberium, a poza tym pognałem, że Bękartowi należy się odpoczynek. Gdy wracałem do willi, cienie się wydłużały. Miałem wrażenie, że dopiero co wstałem, a już zbliżała się pora nocnego patrolu. Zastanawiałem się, czy zdążę się zdrzemnąć przed stawieniem na służbę. Klaudia Fulwia czekała na mnie w atrium z zapieczętowanym pismem w dłoni.

- List do ciebie.

Był to piękny pergamin, zapieczętowany czerwonym woskiem, i na jedną głupią chwilę serce mi zamarło. Dałbym wszystko, żeby zobaczyć odcisk znajomej pieczęci - łabędź Courcelów, księżyc i szczyt Montrève, lilię i gwiazdy Błogosławionego Elui.

Bogowie, nawet splecione klucze rodu Szachrizajów! Oczywiście tylko się łudziłem. List nie mógłby dotrzeć tak szybko, nawet od Denise Fleurais z Tyberium, a poza tym, jak zostałby dostarczony? Nie rozpoznałem pieczęci z prymitywnie oddanym wizerunkiem lwa.

- Od Correggiów - wyjaśniła Klaudia.

Złamałem pieczęć i otworzyłem list. Płatki róży posypały się na podłogę atrium, zerwane z ostatnich kwiatów sezonu, już suche i kruche. Klaudia oparła się o ścianę i patrzyła, jak czytam, z rękami splecionymi na piersi. Nauczony nie zdradzać niczego wyrazem twarzy, złożyłem list i zatknąłem go za pas.

- Helena - powiedziałem. - Chce mi podziękować.

-W istocie. - Klaudia wygięła usta w cierpkim uśmiechu, który nie ogarniał oczu. Jej mina wyrażała zmartwienie przemieszane ze współczuciem. - Postępuj z nią delikatnie, Imrielu. Po tym, co przeszła, biedna dziewczyna jest niezupełnie przy zdrowych zmysłach.

- Wiem. - Spoglądałem na nią z myślą, że mężczyzna może patrzeć na jej twarz przez bardzo długi czas i się tym nie znudzić. Miałem nadzieję, że Dekkus Fulwiusz ma podobne odczucia. - Nie martw się, wiem, co czuje. Wiem lepiej, niżbym sobie życzył.

- Pamiętam. - Klaudia dotknęła mojego lewego biodra, blisko miejsca, gdzie na pośladku widniał tatarski znak. Już się nie uśmiechała i miała powagę w oczach. - Coś jak piętno niewolnika, prawda?

Eluo! Żałowałem, że nie znaleźmy się w ten sposób wcześniej. Wszystko pomiędzy nami byłoby inne bez gier, bez niewidocznej siły Niewidzialnej Gildii. Byłby Dekkus, ale... cóż, byłoby inaczej. Namiętności mogłaby towarzyszyć miłość. Miłość, dzika i niebezpieczna, taka, która każe wierzyć, że warto podjąć wszelkie ryzyko, miłość niszcząca reputację i obracająca życie w gruzy. Może bylibyśmy do niej zdolni, Klaudia i ja. I może lepiej, że nie spróbowaliśmy... Nigdy się nie dowiem. „Będziesz znajdował ją i tracił, bez końca”.

- Tak - przyznałem poniewczasie. - Mniej więcej.

Zmierzch zapadł o wiele za wcześnie i nadszedł czas, żebym stawił się z Eamonnem na rynku. Gallus Tadiusz zwołał odprawę. Pojawił się na krótko, żeby wysłać nas na patrole. Widziałem go po raz pierwszy od świtu. Jeśli spał, to nie w willi Tadiuszów. Zastanawiałem się, czy Eamonn ma rację.

-Do czegoś zmierza - powiedział. - Budują coś nad wartownią.

-Balistę?

Wzruszył ramionami.

- Coś do rzucania kamieni na Valpetran.

- Hm. - Pomyślałem o tym. - Co robi Valpetra?

- Nic, o czym bym słyszał. - Eamonn wyszczerzył zęby. - Nic, co zakłóciłoby moje zaślubiny, mam nadzieję! Wiesz, Dekkus Fulwiusz zaproponował, że jutrzejszej nocy mnie zastąpi i pojedzie z tobą na patrol, żeby Gallus Tadiusz nie zrobił awantury.

Poczułem ukłucie winy.

- To miło z jego strony.

- Tak. - Eamonn zerknął na mnie. - Ty nie...?

Pomyślałem o Klaudii dotykającej mojego biodra; o Klaudii gładzącej moją rękę przy łożu śmierci Gilota; o Klaudii w teatrze, pieszczącej moje krocze nabrzmiewające pod kocem; o Klaudii w salonie męża, badającej językiem wnętrze moich ust; o Klaudii w blasku świec w sypialni, o jej smaku na moich wargach; o Klaudii w pracowni malarki, leniwie rozkładającej białe kończyny, o jej nagości lśniącej w promieniach słońca.

- Nie - odparłem. - Nie.

- To dobrze - skwitował Eamonn.

Noc minęła spokojnie, co mi odpowiadało. Jediną niespodzianką było to, że Gallus Tadiusz rozkazał nie naprawiać wrót śluzy, które rozmontował Canis. Po suchym lecie poziom wody w rzece był niski, więc nie czyniło to różnicy. Mimo wszystko uznałem to za dziwne. Na szczycie muru stała dodatkowa warta i czterech piechurów leniło się w cieniach. Wymieniliśmy zasłyszane pogłoski, ale na tym koniec.

- Jak miewa się Canis? - zapytał Eamonn, gdy znaleźliśmy się *poza* zasięgiem słuchu.

- Milczy - odparłem. - I jest tajemniczy.

Zaśmiał się.

- To powinno ci odpowiadać.

Rozmawialiśmy o wielu innych sprawach, jadąc razem przez noc. Głównie zadawałem pytania, na które Eamonn chętnie udzielał odpowiedzi. Do tej nocy nie zdawałem sobie sprawy, jak mało interesowałem się jego sprawami. Zbyttno mnie pochłaniały moje własne troski. Niespodzianką była dla mnie wiadomość, że planuje podróż do Skaldii, żeby poznać jej bliskich - pod warunkiem, że oboje przeżyją oblężenie. Miał nadzieję, że pobłogosławią ich związek i wyrażą zgodę na wyjazd Brygitty do Alby i na założenie tam domu.

- Czemu nie? - zapytał pragmatycznie. - Wiem, wrogość ma długie korzenie. Ale my, barbarzyńcy, wszyscy jesteśmy podobni, prawda?

-Ty? Nigdy.

- Ależ tak, Imri. Oboje jesteśmy tacy sami. - Przez chwilę jechał w milczeniu. - Proszę, nie czuj się dotknięty - powiedział w końcu. - Wiem, że myślisz inaczej niż większość D'Angelinów. Brygitta i ja rozumiemy się wzajemnie. Historia jest swego rodzaju loterią. Pochodzimy z ludów, które łakną tego, co zostało im odmówione, czy przez czas, czy to przez miejsce narodzin. W Skaldii dłużej znają ten głód. W Albie i Eire Dalria-dowie dopiero zaczynają go sobie uświadamiać. Pan Cieśniny przez długi czas izolował nas od świata.

Pokręciłem głową. -Nieumyślnie. Klątwa...

-Wiem. - Eamonn przechylił się w siodle, żeby dotknąć mojego ramienia. - Dagda Mori Wszak to nie twoja wina. Na pewno nie twoja, nie Fedry i nie Joscelina... - Zawiesił głos. - A jednak w ostatecznym rozrachunku wciąż jesteśmy poddanymi Pana Cieśniny.

Przywołałem wspomnienie Hiacynta; Hiacynta, którego Fedra zwała swoim jedynym przyjacielem. Didikani, cygańskiego mieszańca o zmęczonej, pięknej twarzy, z czarnymi kędziorami i oczami zmiennymi niczym morze, pełnymi wiedzy zdobytej przez długie, samotne lata przymusowego terminowania. Pamiętałem, jak szedł po falach, ściskając karty zaginionej Księżki Razjela. Jak wypowiedział zaklęcie, które utrzymało go na powierzchni morza.

Które utrzymało Fedrę.

I ona wezwała Rahaba, i przepędziła go, wymawiając Imię Boga. -To inny Pan - powiedziałem cicho. - Lepszy pan. Cieśniny są otwarte, Eamonnie, i on chroni oba nasze brzegi, Alby i Terra d'Ange, tak, nawet przed ambicjami Skaldów, którzy najechaliby nas, gdyby mogli. Czy powinien odrzucić tę wiedzę? Wypędzić ją z ludzkiej wiadomości?

Czy mówisz, że wszystko skończone?

- Nie! - Po chwili wahana Eamonn powtórzył: - Nie.

- To dobrze. Bo, Elua świadkiem, wszystko wywalczono z trudem.

- Wiem. - Wyciągnął prawicę, którą uścisnąłem. - Wiem, Imri. Chcę tylko, żebyś zrozumiał, to wszystko. Skinąłem głową.

- Staram się.

Z nadejściem świtu zostaliśmy zlurowani i wróciliśmy do willi. Chwiejnym krokiem poszedłem do mojej komnaty, rzuciłem się na łóżko i zasnąłem.

Śniłem.

W snach trzymałem dwie połowy pękniętej maski pośmiertnej Gallusa Tadiusza i próbowałem je połączyć. Wierzyłem, że wszystko będzie dobrze, jeśli tylko zdołam je scalić. Oblężenie się zakończy, Lucjusz znów będzie taki jak dawniej. Wszyscy będą szczęśliwi i wolni. Nie mogłem jednak tego dokonać. Wosk, stary i kruchy, rozpadał się w moich rękach. I skądś wiedziałem, że istnieje zaklęcie, które może temu zaradzić, które odwróci bieg czasu - maska znów będzie cała, Gilot będzie żył, wszystko w świecie będzie dobrze - tylko że nie pamiętałem słów, właściwych słów. Znałem je dawno temu, bardzo dawno temu, ale utraciłem tę wiedzę. Ponieważ byłem zbyt lekomyślny, ponieważ byłem zły.

Zbudziłem się, mamrocząc.

- Imriel! - Głos Eamonna dudnił w komnacie. Otworzyłem oczy i spojrzałem na niego. Stał przed oknem, światło tworzyło ognistą aureolę z jego czerwono-złotych włosów. - Wstawaj! Dzisiaj się żenię.

## PIĘĆDZIESIĄT CZTERY

---

Ceremonia, przygotowana w pośpiechu, była wzruszająca.

Nic nie było do końca takie, jak być powinno - po prostu zabrakło czasu. Nie miało to jednak znaczenia. Panna młoda była Skaldyjką, pan młody Dalriadem. Oczywiście zabrakło rodzin z obu stron i nikt nie dbał o ścisłe przestrzeganie zwyczajów Caeridici. Liczyła się wymiana przysięg w obecności świadków.

Ślub odbył się w atrium. Zgodnie z obyczajem, orszak powinien przyprowadzić pannę młodą z jej domu do domu pana młodego. Skoro było to niemożliwe, „dom pana młodego” urządzono w głębi atrium. Przyszedł młody kapłan ze świątyni Jupitera - nie sam flamen dialis, ale zawsze kapłan - i postawiono ołtarz.

W stojącej na ołtarzu złoconej misie ofiarnej tańczyły płomienie, podsycane wiązkami gałązek jałowca, związanymi czerwoną wełną i kładzionymi ostrożnie na węgielkach. Za atrium w jadalni czekał stół biesiadny zastawiony jedzeniem i dzbanami wina. Pani Beatrice postanowiła z tej okazji zlekceważyć zakazy Gallusa Tadiusza.

- Czy wiemy, gdzie jest Gallus? - zapytałem szeptem Eamonna. Wspaniale się prezentował, ubrany w togę z pięknie czesanej białej



welny ze szkarłatnym pasem, ze złotym torquesem na szyi. Stałem u jego boku razem z Dekkusem Fulwiuszem i zdezorientowanym Publiuszem Tadiuszem. Coś w nim pękło tego dnia, gdy syn uderzył go w twarz, a resztki przytomności umysłu zabiło obłędzenie. Dziwiłem się, że w ogóle przyszedł. Eamonn pokręcił głową.

- Zajęty swoimi sprawami, jak sądzę.

- Czy wie o ślubie?

-Nie.

- Proszę o wybaczenie. - Publiusz pochylił się i spojrzał na Eamonna. - Kim jesteś?

Ukloniłem się.

-Publiuszu, panie, to ksiązę Eamonn mac Grainna z Dalriady, który dzielnie walczył za Lukkę. Jest niepomniernie wdzięczny, że raczyłeś udzielić mu gościny w dzień zaślubin.

- W rzeczy samej! - przytaknął Eamonn. Publiusz zamrugał, patrząc na mnie.

-A ty kim jesteś?

- Imriel.

Dekkus Fulwiusz położył rękę na ramieniu Publiusza.

-Napijmy się wina, stary przyjacielu - mruknął, prowadząc go do stołu. - Zaraz ci wszystko na nowo wyklaruję.

W drugim końcu atrium otworzyły się drzwi. Weszła Brygitta prowadzona przez Klaudię i panią Beatrice. Dekkus i Publiusz wrócili pospiesznie, ocierając usta. Brygitta, również w bieli, miała długą suknię przepasaną złotą szarfą, zawiązaną w wyszukany węzeł. Szarfa przypomniała mi o świętych sznurach noszonych przez magów w Daršandze, tych, którymi kapłani kości dusili swoich ukochanych.

Odepchnąłem tę myśl, zdecydowany nie zepsuć dnia ślubu Eamonna własnymi mrocznymi wspomnieniami.

Brygitta wyglądała prześlicznie. Złote włosy miała uczesane w wymyślną koafiurę, zdobioną wiankiem z mirtu. Policzki jej poróżowiały, błękitne oczy jaśniały. Eamonn wyprostował się na jej widok, tunika naprężyła się na jego szerokich ramionach.

Sama ceremonia wypadła kulawo - i jakżeby inaczej? - ale w końcu to nie miało znaczenia. Wspólnymi siłami udało nam się ustawić ich przed ołtarzem. Tam, po kolei, Brygitta i Eamonn wsypali kadzidło do misy ofiarnej i złapali się za ręce nad płomieniem, i oznajmili, że pragną tego związku. Doszło do małego zamieszania z brązo-

wą wagą i kądzielą; musiałem zdusić śmiech, gdy zobaczyłem, z jakim powąrpiewaniem Brygitta spojrzała na to ostatnie.

Młody kapłan się pocił.

- Iuppiter, luno atque, dii me omnes testes vos testor *mihi* - zaintonował oficjalnym tonem, ocierając czoło rękawem. - Wzywam bogów na świadków. W ich obecności, w dobrej wierze, złożycie przysięgi.

Eamonn ujął rękę Brygitty.

- Na moje życie i na mój honor - rzekł z powagą - przyrzekam ci, że nie opuszczę cię do śmierci.

Jej rumieniec się pogłębił i zawiodła ją znajomość caerdicci.

- Ja ciebie też.

Kiedy stało się jasne, że nic więcej nic powiedzą, kapłan skinął, żeby podano dzban z winem i kielich. Nalał wina do kielicha i wskazał, że oboje powinni ulać ofiarę dla bogów, a następnie napić się z małżeńskiego kubka. Po wszystkim westchnął ciężko.

-Na bogów nieśmiertelnych - oznajmił - ogłaszam was mężem i żoną.

Krzyknęliśmy na wiwat. Eamonn wziął Brygittę na ręce i przemógł przez próg atrium do jadalni. Ona zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go w rzadkiej chwili niepohamowanej radości. Oczy mnie piekły, czułem dziwną mieszankę sympatii, zadośćczerpcy i żalu. Co dziwne, osobą, której brakowało mi najbardziej w tym momencie, był Lucjusz. On by zrozumiał.

Po ceremonii rozpoczęła się uczta.

Świętowanie podczas oblężenia, związane z łamaniem rozkazów, cechowała gorączkowa wesołość. Jadłem i piłem wszystko, co przede mną stawiano, starając się odsunąć wszelkie złe uczucia i czerpać radość ze szczęścia moich przyjaciół. I z zadowolenia innych. Klaudia i Dekkus siedzieli obok siebie - pozorny obraz szczęścia małżeńskiego. Pani Beatrice promieniała radością, z czego mogłem się tylko cieszyć. Nawet Publiusz Tadiusz wydawał się rad w swój zamroczony sposób, choć może tylko dlatego, że stałe uzupełniano zawartość jego kubka do wina.

Trzymając na wodzy nieprzyjemne myśli, uniosłem kubek w toaście.

- Za Eamonna i Brygittę! - zawołałem, po czym przeszedłem na d'angeliriski. - Oby Błogosławiony Elua trzymał was w swojej dłoni, oby jego Towarzysze okazali wam łaskę i życzliwość.

Wśród ogólnego aplauzu cień przysłonił wejście.

- Na Hadesa, co tu się dzieje? - zapytał zgrzytliwym tonem przybysz. Wstałem niepewnie na nogi.

-Lucjusz...

-Lucjusza diabli wzięli! - ryknął. Omiótł wzrokiem jadalnię, suto zastawiony stół. - Czy nie wydałem rozkazów? Co to ma znaczyć? Ten brak umiaru, ta głupota! Czy nie rozumiecie, że jesteśmy obłączeni? To zdrada!

Pani Beatrice jęknęła cicho i wachlowała się niespokojnie. Jej mąż gapił się tępo na swoje kolana. Nikt się nie poruszył. Klaudia patrzyła na mnie.

-Lucjuzu. - Podszedłem do niego.

Oczodoły miał sine, oczy płonęły w nich niczym węgle. Patrzył podejrzliwie, a jednak dostrzegłem w nich coś, co znałem. Niewiele myśląc, ująłem jego twarz w dłonie. Wydawała się sztywna i twarda. Skóra napinała się na kościach, zmarszczki niezadowolonia były wyryte okrutnie i głęboko. A jednak, inaczej niż we śnie, nie rozsypała się pod moimi palcami.

-To wesele. Ślub Eamonna i Brygitty. Na kilka uderzeń serca pojawił się Lucjusz.

Widziałem to; widziałem, jak usta satyra krzywią się w znajomym, cierpkim uśmiechu.

- Książę Barbarus i jego panna-tarcza? - szepnął.

-Tak. Czy uczcisz z nami to wydarzenie?

Lucjusz tam był, ale zaraz zniknął. Gallus wyszarpnął głowę i odepchnął moje ręce.

-Na Jupitera! Odejdź ode mnie, przeklęty D'Angelinie, zanim dam twoje jaja żonglerowi. - Odstąpiłem, unosząc ręce w uspokajającym geście. - Dobra - burknął, oddychając ciężko. - Na tę noc mamy zaplanowane wyjątkowe zadanie. Macie stawić się wcześniej, obaj.

-Gallusie Tadiuszu. - Dekkus Fulwiusz podniósł się z leżanki. - Dzisiejszego wieczoru zajmę miejsce księcia Eamonna, żeby mógł spędzić noc ze swoją żoną.

-Tak, doprawdy? - Gallus spiorunował go wzrokiem, ale Dekkus nie ustąpił pola. Wreszcie Gallus wzruszył ramionami. - Zgoda, dopóki wykonujecie rozkazy - powiedział i ruchem brody wskazał zastawiony stół. - Posprzątać to. I żebyś drugi raz czegoś takiego nie widział.

To rzekłszy, wyszedł.

-Cóż - mruknąłem - mogło być gorzej. Pani Beatrice miała łzy w oczach.

- Mój biedny chłopiec! To go pożera od środka. Czy warto? Czy Lukka warta jest jego cierpienia?

- Lukka - wymamrotał jej mąż. - O tak.

- Nie wiem, pani - powiedziałem do niej. - Chciałbym wiedzieć. Dekkus Fulwiusz chrząknął.

- Chodź, chłopcze. Lepiej ruszajmy.

- Nie, panie. - Eamonn wstał. - Nie pozwolę ci zająć mojego miejsca. To nie przystoi. Cokolwiek planuje Gallus Tadiusz, może być niebezpieczne.

- Ba! - Dekkus zachichotał. - Masz mnie za mięczaka, chłopcze? Władałem mieczem, zanim się urodziłeś. Duch walki jeszcze nie umarł w starym republikanie. Czyż nie, skarbie? - zawrócił się do Klaudii. - Uśmiechnęła się do niego z niekłamaną sympatią. Dekkus skinął na Eamonna i Brygittę. - Cieszcie się swoim szczęściem, dzieci, i nic zadawajcie zbyt wielu pytań. Życie jest zbyt krótkie i niepewne, żeby postępować inaczej.

Eamonn dalej się sprzeciwiał, ale Dekkus zyskał przewagę. Tak więc on i ja stawiliśmy się na patrol tamtego wieczoru.

Plac był już zatłoczony, gdy się zjawiliśmy. Zobaczyłem naszych towarzyszy z patrolu, a także oddział straży miejskiej i kilku nowych pieszych rekrutów. Ci ostatni mieli ciemne stroje, bez zbroi, tylko szkarłatne wstążki na ramionach.

Gallus Tadiusz czekał, aż wszyscy się zbierzemy, jeźdźcy w równym dwuszeregu, piesi w grupie przed nami. Za nim wypalona skorupa wieży dzwonnej wznosiła się w złowieszczym ostrzeżeniu.

- W porządku, chłopcy! - krzyknął. - Dzisiejszej nocy podpalimy pola! Wszyscy, prawie co do jednego, krzyknęli na wiwat. Dekkus i ja wymieniliśmy spojrzenia.

- Chyba żartuje - mruknął senator. Pokręciłem głową.

- Nie sędzę.

Nic żartował. Gallus Tadiusz zwięźle nakreślił swój plan. Dwa dni temu kazał stolarzom zbudować prymitywny trebusz nad wartownią, ukryty za blankami. Ludzie zebrali w parkach i ogrodach miasta kamienie i głazy dość duże, by nadawały się na pociski. Kiedy zapadnie ciemność, rozpocznie się atak na siły Valpetry.

Mało prawdopodobne, by spowodował poważne straty, ale w ciemności wybuchnie zamieszanie. W tym czasie oddział wybranych rekrutów wymknie się z miasta przez rozmontowaną śluzę. Kiedy znajdą się za murami, strażnicy na murach opuszczą tobołki z bronią - łuki myśliwskie, strzały zapalające i pęcherze z olejem.

-To niebezpieczne zadanie - oznajmił Gallus ponuro, po czym ryknął: - Ale złoto i chwała czeka każdego, kto powróci żywy! Co wy na to, chłopcy? Wchodzicie do gry?

- Gallus! Gallus! Gallus! - ryknęli w odpowiedzi. Błysnął zębami w drapieźnym uśmiechu.

- Wystąpcie zatem i bądźcie namaszczeni!

Wystąpiło dwudziestu ludzi, dotykając jego strzemiesia, czapraka, obutej stopy. Unosiły się gorliwe twarze. Zanurzając rękę w woreczku u pasa, Gallus Tadiusz smarował je ciemną substancją; smugi na policzkach i przez środek czoła. Popioły, pomyślałem. Popioły z wypalanej wieży. Ogień za ogień.

-To szaleństwo - rzekł Dekkus cicho. - Zawsze tak jest?

- Nie. To nowość.

- Dobra! - Gallus wyprostował się i wyciągnął rękę. - Ruszać i czekać na mój sygnał! - Przez chwilę patrzył, jak gnają ulicami Lukki, potem zwrócił się do pozostałych: - Jeźdźcy, słuchajcie. Będziemy kierować misją z murów. Będziecie patrolować jak zwykle, ale wasze główne zadanie polega na przenoszeniu rozkazów ode mnie na dach wartowni i od kapitana Artura do posterunku przy kanale. Hasło brzmi „Burza ognia”. Jeśli je usłyszycie, róbcie, co wam każą, i pędźcie na złamanie karku. Zrozumiano?

-Tak jest! - krzyknęliśmy.

Odprawił nas i ruszył ku wartowni. Wieczór był zimny, chmury zasnuwały niebo. Dekkus milczał, gdy razem odbywaliśmy patrol. Miał gruby wełniany płaszcz spięty złotą broszą. Zastanawiałem się, czy zapięła ją Klaudia Fulwia. Umiała to robić, będąc wzorem tyberyjskiej żony.

Nie było rozkazów, gdy minęliśmy pierwsze posterunki. Przy kanale znaleźliśmy grupę ludzi skupionych w cieniu muru. Pomazane sadzą twarze dziwnie wyglądały w półmroku.

- Jakież wieści? - zapytał jeden gorliwie.

- Jeszcze nie - odparłem.

- Burza ognia! - syknął ktoś z góry. - Jedno ognisko w zasięgu, tuzin wartowników. Panuje spokój. Ruszać dalej i zdać raport Gallusowi Tadiuszowi.

Machnąłem ręką i pojechaliśmy dalej.

- Oni już są martwi, wiesz - odezwał się Dekkus. Ciarki przeszły mi po plecach.

- Czujesz?

- Co? - spojrzał na mnie. - Aha, tak, lemury. Skręcają mi wnętrzności od tak dawna, że niemal do tego przywykłem. Chodziło mi o tych biednych chłopców. - Ściągnąłem brwi. - Chwała i złoto! Nie mają szans. Może bezpiecznie wydostaną się za mury, może nawet pomyślnie wykonają zadanie. Ale nie mają jak wrócić.

Byłem tego samego zdania.

- I jeśli Gallus Tadiusz jest choć w połowie tak bezlitosny jak myślę - dodał Dekkus cicho - on reż to wie. Wysyła tych chłopców na pewną śmierć.

Bez przeszkód dodarliśmy do warowni, którą ledwie mogłem zobaczyć. Zapadły ciemności. Księżyc skrywał się za chmurami, mrugało tylko kilka gwiazd. Zdałem raport niewidocznym czatom na szczycie wartowni. Miałem wrażenie, że mówię do siebie.

- Burza ognia! - spłynął głos z góry. - Zameldować kapitanowi Arturo, natychmiast!

Dekkus chrząknął.

- Ciemno, choć oko wykol!

-Natychmiast! Pochyliłem się.

-Za mną, panie.

Nie oglądając się na Dekkusa, trąciłem boki Bękartą. Kopyta zadzwoniły na bruku, gdy ruszył eleganckim kłusem. Ja też mało co widziałem, ale słuch mnie nie zawodził. Im bliżej byliśmy muru, tym bardziej tłumilo się echo tętentu. Zamykając oczy, słyszałem różnicę. Dekkus fuknął za moimi plecami.

- Co ty tu robisz, chłopcze? Uśmiechnąłem się.

- Widzisz?

- Widzę twojego przeklętego nakrapianego konia - warknął. - I to wszystko.

- To wystarczy.

Usłyszeliśmy niskie dudnienie, gdy z trebusza wystrzelono pierwszy pocisk. W wartowni rozbrzmiały wiwaty, a za murami daleki łoskot i krzyki trwogi. Odgłosy się powtarzały. Słyszeliśmy je przez całą drogę do akweduktu.

- Burza ognia! - zadźwięczał radosny głos kapitana Arturo. - Wróg odstępuje! Zameldować Gallusowi Tadiuszowi, natychmiast!

-Ja pojedę - rzuciłem. Dekkus skinął głową.

-Uważaj!

Popuściłem cugli Bękartowi. Wyciągnął się w cwale, zwinnie wymijając dwóch zaskoczonych jeźdźców ostrożnie jadących pod murem. Przypuszczam, że widział w nocy lepiej niż ja. Wyszczrzyłem zęby, gdy przemykaliśmy obok nich. Dekkus miał rację, to szaleństwo. Było w nim coś zaraźliwego.

- Wróg odstępuje od śluzy! - krzyknąłem przy wartowni.

Trebusz zadudnił, przeciwwaga uderzyła w dach. Kolejny ładunek kamieni poleciał ku armii Valperty.

- Burza ognia! - ryknął Gallus Tadiusz. - Przekaż kapitanowi Arturo, że teraz!

Zasalutowałem.

- Tak jest!

Poderwałem Bękartą do równego galopu, zdając się na swoje uszy i jego oczy. Jechałem pod murem, jego długie nogi pożerały odległość. Przy akwedukcie ujrzałem w blasku pochodni czekających ludzi, strażników i rekrutów. W nagłym blasku ognia mocno ściągnąłem wodze.

- Kapitanie Arturo! - krzyknąłem. - Gallus Tadiusz mówi, że teraz!

- Burza ognia! - usłyszałem w odpowiedzi. - Czerwona Plaga, naprzód! Wybrańcy Gallusa stłoczyli się w kanale. Jeden po drugim nurkowali w ciemnej wodzie, cieniste postacie znikwały pod murem. Zadrzałem na ten widok, piekielnie dobrze wiedząc, jak zimna jest woda. Na murze panowała niespokojna, pełna wyczekiwania cisza. Po czasie, który wydawał się niebezpiecznie długi, usłyszeliśmy cichy plusk po drugiej stronie muru.

Wartownik zrzucił z drzewa dwie sznurowe drabinki.

- Bierzcie broń! - rozkazał Arturo. - Jeźdźcy, pomóżcie.

Łuki i pochodnie, schowane w workach zawiązanych długimi kawałkami sznura, stały pod wewnętrznym murem. Strażnicy już zaczęli wnosić je po drabinach. Zsiadłem z konia, złapałem worek i zarzuciłem na ramię. Miałem wolną tylko jedną rękę, więc wspinanie się po drabinie było niełatwe, worek tłukł mnie po plecach, sznur plątał się wokół nóg.

Na drugiej drabinie posapywał i stękał Dekkus Fulwiusz.

- Na pewno jest jakiś lepszy sposób. Dotarłem na szczyt i położyłem worek.

- Rzuć mi koniec sznura.

Dziwnie było na murze, na otwartej przestrzeni. Chwyciłem sznur i wciągnąłem ładunek. Szło szybciej, gdy inni strażnicy zobaczyli, co robimy, i wzięli z nas przykład, rzucając sznury na mur. Przypuszczam, że nie śmieli przenieść broni wcześniej z oba-

wy przed wykryciem przez czujne oczy nieprzyjaciela. Pracowaliśmy jak najciszej. Na dole żołnierze Gallusa wychodzili z fosy i rozpraszali się na brzegu. Byli niemal niewidoczni w ciemnościach.

- Przerzucić broń! - rozkazał szeptem kapitan Arturo. - I uważajcie, żeby nie trafić w fosę.

Jeden ze strażników rzucił worek z bronią. Wylądował z głośnym pluskiem nawet nie w połowie drogi do brzegu. Skrzywiłem się, słysząc ten dźwięk.

- Bodaj to! - syknął Arturo.

- Wybacz, panie! - Strażnik się skulił. - Jest dalej niż się zdaje! Przyjrzałem się drzewu.

- Pomóż mi - powiedziałem do Dekkusa. Poszedł za mną z dwoma workami, gdy wspinałem się po drabinie na drzewo. Był to krzepki stary dąb, dobry do wspinaczki, z niskimi, grubymi konarami. Wdrapałem się na jeden, obejmując go nogami, pochyliłem się i wyciągnąłem rękę.

- Sznur.

Po kilku próbach złapałem i zacząłem kołysać ciężkim workiem, nadając mu impet i próbując ocenić odległość. Kapitan patrzył bez słowa. Kiedy uznałem, że wystarczy, puściłem sznur w momencie największego wychylenia. Dopóki nie usłyszałem grzechotania, nie miałem pewności, czy nie wpadnie w wodę.

- Dobra robota - pochwalił kapitan lakonicznie. - Następny!

Strażnik zajął miejsce na innej gałęzi i razem przerzuciliśmy na drugą stronę fosy dwadzieścia worków ze strzałami, łukami, pochodniami i smołą. Niewyraźne postacie zbierały je jeden po drugim i znikwały w nocy. Przez chwilę leżałem na konarze, spoglądając w ciemność.

Trebusz na wartowni łoskotał od czasu do czasu, ale żołnierze Valpetry wycofali się spoza zasięgu. Z tej wysokości miałem dobry widok na porzucone ogniska i tłoczących się za nimi żołnierzy. Tu i ówdzie od tłumu odrywali się jeźdźcy. Pochodnie sypały iskrami, gdy ruszyli na patrol wokół Lukki. Albo Valpetra, albo jego kondotier nabrał podejrzeń. Pomyślałem o dwudziestu przemoczonych, drżących rekrutach, dźwigających worki z bronią. Nie mieli najmniejszych szans.

Gdzieś za plecami słyszałem powolny stukot kopyt i zgrzytanie. Coś ciężkiego wleczono ulicami Lukki na prymitywnych płozach.

-W porządku, chłopcy. - Głos kapitana Arturo był niski i poważny. - Ustawcie to na miejscu.



Nie chciałem patrzeć. Szorstka kora wydawała się dziwnie wygodna pod moim policzkiem. Przywiodła mi na myśl szczęśliwsze czasy, jak święto zbiorów u królowej Ysandry. A porem przypomniałem sobie, że obiecałem Belindzie, córce Anny Marzoni, nauczyć ją wspinaczki na drzewa, i miłe uczucie przepadło. Zsunąłem się na mur.

Na dole chłopak w kubełkowatym hełmie gładził spienionego konia po karku i nie szczędził mu pochwał. Strażnicy kapitana Arturo toczyli na brzeg kanału wielki kamień młyński. Jedno ostrożne pchnięcie, a skutecznie zatarasuje wrota służy.

W milczeniu popatrzyłem na kapitana.

- Rozkazy Gallusa Tadiusza. - Miał stoicki wyraz twarzy. - Będziemy czekać do ostatniej chwili.

Dekkus Fulwiusz patrzył na pola.

-Tam! - zawołał nagle, pokazując ręką. - Ogień!

Daleko, dalej niż sądziłem, że ktoś zdoła dotrzeć na pieszo z takim ciężarem na grzbiecie. Zastanowiłem się, czy Gallus Tadiusz wybrał tych dwudziestu rekrutów z uwagi na odwagę, lojalność czy może tylko szybkość. W dali rozkwitł pomarańczowoczerwony kwiat ognia i płożył się przyziemi. Nie spadła kropla deszczu, odkąd przybyliśmy. Przypuszczałem, że pszenica jest dojrzała i sucha.

-Tam! - krzyknął ktoś, gdy pojawił się kolejny ognisty kwiat.

Drugi... piąty... dziesiąty. Płonąca strzała zakreśliła łuk na nocnym niebie jak spadająca gwiazda i płomień strzelił w miejscu, gdzie wylądowała. Niewidoczna postać pędziła wzdłuż miedzy, z pochodniami w rękach, zostawiając za sobą szlak ognia. Czerwone kwiaty zakorzeniły się i rozrosły.

Konnica Valpetry przystąpiła do działania, próbując prześcignąć płomień, próbując doścignąć sprawców. Ryczały rogi, nakazując piechocie szybki odwrót ku rzece. Jeźdźcy ruszyli w pościg.

Ciemne postacie na ciemnych koniach, sylwetki na tle podnoszącego się morza ognia. Ścinali każdego, kogo napotkali. Ścinali rekrutów Gallusa Tadiusza, ścinali uciekających ku rzece mieszkańców pobliskich wiosek.

Czułem się chory.

Jeźdźcy wewnątrz murów Lukki przybyli z meldunkami z północy i ze wschodu: płoną winnice. Patrzyliśmy z murów, jak stają w ogniu gaje oliwne na zachodzie. Przez jakiś czas wydawało się, że sędziwe drzewa stawiają opór, ale Gallus Tadiusz dobrze wyposażył swoich ludzi. Rzucali napelnione olejem pęcherze, które pękały na korze, ogień się wspinał i rozprzestrzeniał, sękatę drzewa stawały w płomieniach.

- Burza ognia - mruknął Dekkus Fulwiusz.

Spojrzałem na niego, przypominając sobie, jak się sprzeciwiał. Wyglądał staro; był stary i zmęczony. Napotkał moje spojrzenie i zmusił się do uśmiechu, kładąc mi rękę na ramieniu.

- Czy warto coś zniszczyć, żeby to ocalić? - zapytał.

- Nie wiem - odparłem z pokorą. Dekkus ścisnął moje ramię.

- Ja też nie.

Za murami Lukki szalała pożoga. Płonące pola wyrzucały w górę ryczący blask, jakby noc stała się dniem, a ziemia niebem. Dym kłębił się w powietrzu. Modliłem się w duchu, żeby fosa i mury okazały się dostateczną przeszkodą dla ognia. Kapitan Arturo ocieniał oczy, patrząc ku ryczącemu wirowi.

- Stało się - mruknął, po czym podniósł głos: - Straże! Opuścić kamień młyński!

Rozległ się zgrzyt, gdy pchnęli. Kamień młyński zsunął się z brzegu kanału i spadł do wody z potężnym głośnym pluskiem. Zniknął pod powierzchnią i spoczął na dnie.

- Kapitanie! - Mój głos był wysoki i napięty. Wyciągnąłem rękę. Samotny mężczyzna, pędzący niczym zając ścigany przez ogary, wpadł w pole widzenia. Jego przyczerniona sadzą twarz zastygła w grymasie przerażenia i radości, zęby miał wyszczerzone. Dotarł na brzeg fosy i skoczył bez namysłu.

- Bodaj to szlag - szepnął kapitan Arturo.

Trzech jeźdźców Valpetry, osmalonych i wściekłych, deptało mu po piętach. Gdy się wynurzył, dzieliło ich pięćdziesiąt kroków. Płynął, wołając do nas:

- Coś się stało?! Nie mogę się przedostać! Kapitan Arturo zaklął.

- Uciekaj! Uciekaj, idioto, uciekaj!

Światło, za wiele światła. Morze płomieni, w którym ludzie Valpetry zmniejszyli odległość i ściągnęli wodze. Wycieńczony rekrut próbował wydostać się z fosy, samotna postać, przemoczona i brudna, z mokrą czerwoną wstążką na ramieniu.

- Straże! - ryknął kapitan Arturo. - Kusze!

Zajęczały cięciwy, gdy wypuszczono bełty, ja jednak nic nie widziałem. Dekkus Fulwiusz przewrócił mnie, rozpląszczył na szczycie muru. Usłyszałem szum ciśniętego oszczepu i kwik konia trafionego pociskiem z kuszy. Kiedy Dekkus stoczył się ze mnie i mogłem unieść głowę, za murami panowała ogłuszająca, rycząca cisza ognia, mówiącego w nieludzkim języku płomieni.

Jeźdźcy Valpetry uciekali ku rzece.

W fosie pływała samotna postać, w dwoma oszczepami sterczącymi z pleców.

Kapitan Arturo westchnął ciężko.

- Idźcie - powiedział do Dekkusa i do mnie. - Wracajcie na patrol. Zeszliśmy po drabinkach sznurowych i siedliśmy na koń. Bękart był nerwowy, przewracał oczami i przestępował z nogi na nogę. Nie dziwiłem mu się. Kiedy go uspokoiłem, podjęliśmy patrol. Już nie było widać gwiazd, zasnęła je niska powąła chmur i gęstego dym, oświetlona od dołu przez piekielną pożogę. Jechaliśmy od posterunku do posterunku, przynosząc meldunki. Każdy brzmiał tak samo. Wszystko płonęło, wróg się wycofał. Dekkus milczał.

Patrzyłem na jego ponury profil, gdy jechaliśmy razem. Nie myślałem o Klaudii, tylko o tym, jaki był dla mnie miły, gdy spotkaliśmy się w termach. Gilot i ja, nowi w Tyberium, zachowywaliśmy się jak idioci, ze śmiechem chlapiąc się wodą. Wspomnienie bolało.

Dekkus Fulwiusz zawsze był dla mnie miły.

Zakończyliśmy służbę o posępnym, zadymionym brzasku. Wszystko, co mogło spłonąć, spłonęło. Resztki ledwie się tliły. Ze męczeniem zsunąłem się z siodła i oddałem wodze Bękartu. Przed willą Tadiuszów ukloniłem się nisko Dekkusowi Fulwiuszowi. Choć tego nie wiedział, na d'angelińskim dworze taki ukłon oddaje się zwierzchności.

- Dekkusie, panie - zacząłem cicho - postąpiłem nierozważnie na murach. Zawdzięczam ci życie.

Zsiadł ze stęknieniem, pocierając krzyż.

-Wojna to wojna, chłopcze. Paskudna sprawa. Tylko małostkowy umysł liczy punkty. - Uśmiechnął się ze zmęczeniem. - Miejmy nadzieję, że twój dalriadzki przyjaciel dobrze się bawił w noc poślubną. Cena okazała się nieco wyższa niż przypuszczałem.

- Niż przypuszczał każdy z nas - dodałem. Dekkus znów stęknął.

- Poza Gallusem Tadiuszem.

## PIĘĆDZIESIĄT PIĘĆ

---

Nazajutrz przybyła d'angelińska delegacja.

Gallus Tadiusz posłał po mnie, gdy tylko dostrzeżono sztandary. A może uczynił to za podszeptem ukrytego gdzieś w nim Lucjusza? Nie wiedziałem i nie obchodziło mnie to. Wiedziałem tylko, że ogarnęła mnie niewysłowiona radość.

Poza tym, widok, jaki roztaczał się z wartowni, był przygnębiający. Delegacja jechała powoli drogą. Po obu stronach dym unosił się nad spaloną, niegdyś żyzną ziemią. Nad naszymi głowami wisiało niskie, złe niebo barwy zmatowiałego srebra. Zdało się, że cała jasność świata skupia się w nadciągającej kompanii D'Angelinów.

Domyślałem się, że to szwadron straży ambasady. Jechali w pełni uzbrojeni, w sile około trzydziestu ludzi, w kasakach i pelerynach w barwach Courcelów. Na sztandarach widniały herby, za widokiem których tęskniłem - złota lilia i gwiazdy na zielonym polu, znak Elui i jego Towarzyszy, nad srebrnym łabędziem rodu Courcelów.

Mieli też białe Hagi, wyrażające prośbę o pokojowe pertraktacje. Jazda Valpetry przemknęła galopem przez poczerniałe pola i zatrzymała ich, zanim dotarli do bramy. Patrzyłem z sercem w gardle, modląc się, żeby nie zawrócili. Po niesłychanie długim czasie jeden z jeźdźców pogalopował leu nowemu obozowi po drugiej stronie rzeki. Pozostali czekali poza naszym zasięgiem, podczas gdy oddział D'Angelinów ruszył w naszą stronę.

Gallus Tadiusz odciągnął mnie od okna.

-Spokojnie, D'Angelinie. Nie ma pośpiechu.

Spojrzałem na niego gniewnie.

-To moi rodacy!

- W moim mieście. - Wzruszył ramionami. - Zaczekamy, zobaczymy. Delegacja ściągnęła wodze przed bramą. Gallus skinął na strażników, którzy napięli kusze i wzięli przybyszów na cel.

- Przedstawcie swoją sprawę! - zawołał jeden z nich.

-Quentin LeClerc, sługa Jej Królewskiej Mości Ysandy de la Courcel z Terre d'Ange, dowódca garnizonu tyberyjskiego Jej Ekscelencji ambasador Denise Fleurais - padła odpowiedź w caerdicci z wyraźnym d'angelińskim akcentem. - Przybyliśmy zapłacić okup za Jego Wysokość, księcia Imriela nó Montrève de la Courcel z Terre d'Ange!

Gallus spojrzał na mnie z cieniem rozbawienia w oku.

-Mniemam, że chodzi o ciebie, kochasiu? - Przytaknąłem. - Ano, mam z nimi do pomówienia.

Bez dalszych ceregieli wyszedł na mury. Patrzyłem przez okno wieży, jak splata ręce na piersi i zwraca się do nich.

- Dobra - rzucił lekkim tonem. - Jestem Gallus Tadiusz, ksiązę Lukki, i, jeśli o mnie chodzi, młokos jest do waszej dyspozycji. Ale dopóki wasza puszczalska królowa nie przyśle kilku tysięcy podobnych do was, żeby dopilnowali wymiany, zastanowię się nad tym dwa razy.

-Dziękuję, Wasza Książęca Mość, w imieniu Jej Wysokości i Terre d'Ange, za wspaniałomyślność. Będziemy negocjować z diukiem Valpetry. - Niewidoczny dla mnie dowódca mówił rozważnym tonem. - Czy możliwa jest rozmowa z księciem Imrielem? Muszę wiedzieć, czy nic mu nie jest.

- Czemu nie? - Gallus skinął ręką. - Chodź. Możesz gadać, jak długo chcesz - dodał, wracając do wieży. - Twoja sprawa, jeśli wróg cię ustrzeli, I pamiętaj, strażę mają rozkaz cię zabić na pierwszą oznakę zdrady.

Ach, Eluo! Zalała mnie trzymana dotąd na wodzy fala nostalgii, gdy spojrzałem na moich rodaków. Dangelińskie oblicza, wyraziste i przystojne. Mimo woli uśmiechałem się do Quentina LeClerca. Wysoki mężczyzna z ciemnymi włosami splecionymi w ciasny warkocz patrzył w górę ze speszonym wyrazem twarzy. Niepewnie uklonił się w siodle.

- Wasza Wysokość? - zapytał po d'angelirisku. - Książę Imriel? Śpiesząc, żeby ich zobaczyć, włożyłem podniszczony, brudny strój z zeszłej nocy. Od ślubu Eamonna nie kąpałem się jak należy, ograniczając się do pobieżnego mycia w misce. Przeciagnałem rękawem po twarzy, rozsmarowując ślady sadzy.

- Wybacz mi, messire. Nocny patrol był... burzliwy.

-Widzę.

Jeden ze strażników parsknął śmiechem.

-To on, panie. Pewnego dnia zjawił się w ambasadzie ubrany jak żebrak i dodam, że trochę śmierdział. Zarumieniłem się na to wspomnienie.

- Nie ja. Moja torba.

- No tak! - Mrugnął i zgiął się w ukłonie. - Torba.

- Mniejsza z tym. - Usiadłem na brzegu muru, zwieszając nogi nad fosą. Woda sięgała wyżej niż w czasie, gdy Gallus Tadiusz rozkazał zamknąć wrota śluzy. - Massire LeClerc, jakim sposobem Jej Ekscelencja tak szybko dostała wiadomość? Spodziewaliśmy się, że zajmie to tygodnie.

Quentin LeClerc pokręcił głową.

- Nie wiem, Wasza Wysokość. Wiem tylko, że otrzymała pilny meldunek i wysłała nas w wielkim pośpiechu... My? Są z tobą inni?

- Przyjaciele - wyjaśniłem. - Eamonn mac Grainna z Dalriady i jego żona, a także tyberyjski senator Dekkus Fulwiusz z małżonką. Chcę zyskać gwarancję bezpiecznego przejazdu dla nas wszystkich. Jest jeszcze sprawa mojego zbrojnego, Gilota, który zginął w walce. Obiecałem zabrać go do domu.

- Oczywiście. - Skinął głową. - Czy możemy mieć pewność, że książę Lukki dotrzyma słowa? Myślałem... - Zawahał się. - Wybacz mi, Wasza Wysokość, ale zrozumiałem, że księciem Lukki jest Gaetano Correggio, przynajmniej tak mi powiedziała pani Denise. Wydaje mi się... jako studentowi historii wojskowej, wydaje mi się, że Gallus Tadiusz jest... był...

- Nie żyje? - Ściszyłem głos. - To długa historia, messire. Zabierz mnie stąd, a wszystko ci wyjaśnię. Ale tak, sędzę, że dotrzyma słowa. I poza tym ma rację. To o Valpetrę musimy się martwić. - Spojrzałem na jeźdźców obserwujących nas z tłących się pól Lukki, i resztki mojej radości przepadły bez śladu. - Przypuszczam, że nie będzie w dobrym nastroju.

- Tak. - LeClerc prześledził moje spojrzenie. - Nie wyobrażam sobie. - Wyprężył ramiona. - Ale nie ma powodu winić ciebie, prawda?

- Niestety. - Uśmiechnąłem się żałośnie. - Może mieć powody. Opowiedziałem mu o obcięciu ręki diukowi i patrzyłem, jak jego twarz poważnieje. Kiedy skończyłem, uklonił się z powagą.

- Rozsądni ludzie rozumieją zmienne koleje wojny. Poproszę o audiencję i będę się modlić, żeby okazał rozsądek. Wrócę, Wasza Wysokość.

Pojechali przez spaloną ziemię, barwne sztandary podskakiwały w szarym powietrzu, unosząc ze sobą całą moją nadzieję. Patrzyłem, jak dołączają do konnych Valpetry i kierują się ku rzece. Pomodliłem się w duchu do Błogosławionego Elui o powodzenie, po czym zszedłem przez wieżę bramną i udałem się zdać relację z ostatnich wypadków.

W willi Tadiuszów zastałem Klaudię. Dekkus Fulwiusz jeszcze nie wstał, podobnie jak Eamonn i Brygitta, choć przypuszczam, że z innej przyczyny. Klaudia słuchała pilnie, prosząc, żebym dokładnie powtórzył rozmowę z kapitanem.

- Nie ma innych wieści? - zapytała, gdy skończyłem. - Żadnej obietnicy pomocy skądinąd?

- Nie. - Ściągnąłem brwi, - A powinny być? Westchnęła.

- Niekoniecznie.

- Niewidzialna Gildia?

Choć byliśmy sami, skinęła głową niemal niedostrzegalnie.

- Skoro wieści dotarły do uszu d'angelińskiej ambasador, to Gildia też musi wiedzieć. Takie rzeczy szybko się rozchodzą. Gdyby zamierzali działać, dotarłaby tu jakaś wiadomość. Nie mają takiego zamiaru.

- Przykro mi. - Ująłem jej rękę. - Co mogliby zrobić?

- Och, wiele rzeczy. - Uśmiechnęła się, ale oczy miała zaczerwienione i zmęczone. - Mogliby wymóc interwencję na diuku Firezji. Jest ogromnie zainteresowany handlem Lukki i ma liczną stałą armię. Albo mogliby nasłać skrytobójcę na Valpetrę, choć przypuszczam, że w obecnych okolicznościach zadanie nie byłoby proste. - Wzruszyła ramionami. - Może wysłali. Pewnie możemy mieć nadzieję.

- Gildia zatrudnia zabójców?

- Heptarchowie, przynajmniej takie chodzą słuchy. Możliwe, że epoptowie też. - Klaudia przetarła oczy. - Mówiłam ci, Imrielu, jestem tylko czeladnikiem. - Obdarzyła mnie kolejnym cierpkim uśmiechem. - I nawet w tym zawiodłam.

Mocniej ścisnąłem jej rękę.

- Nie odejdę bez ciebie. Przysięgam.

- Nie bądź głupi. - Spojrzała na mnie ostro. - Jeśli będziesz miał okazję, skorzystaj z niej. Nie pora na głupią brawurę. Skoro o tym mowa... - Wyjęła list zza stanika sukni. - To przybyło.

Kolejne pismo od Heleny Correggio. Odszedłem, żeby je przeczytać. Choć nie było w nim nic, czego Klaudia nie mogłaby zgadnąć, słowa skreślone na stronie sprawiały wrażenie nagich i bezbronnych; pokazywanie ich komuś innemu byłoby niewłaściwe. Pomimo moich zaprzeczeń, Helena wierzyła, że jestem spóźnioną odpowiedzią na jej modlitwy; synem Bella Donny, przysłanym jej na ratunek w czasie potrzeby. Jak wcześniej, błagała mnie uniżenie, bym raczył złożyć jej wizytę.

Gdybym uważał, że to przyniesie coś dobrego, spełniłbym jej prośbę. Obawiałem się, że prawda wygląda inaczej. Czasami kobiety w zenanie rozpaczliwie czepiały się złudzeń. Pozwalanie im na to tylko pogarszało sprawę, gdy złudzenia się rozwiewały. Bo rozwiewały się zawsze. Między innymi dlatego tak długo nienawidziłem Fedry. Przyniosła promyk nadziei, a tam nadzieja zabijała szybciej niż rozpacz.

Z drugiej strony...

„Dziwka śmierci”.

Zadrzałem na to wspomnienie. Ale Lukka nie była Daršangą, a ja nie zostałem przysłany przez Błogosławionego Eluę, żeby kogoś ocalić. To było tylko obleżone miasto, a ja byłem śmiertelnikiem usiłującym zapomnieć o dziecięcym pojęciu heroizmu, żeby ocalić własną skórę. A jednak, pomyślałem, pozostawienie listu bez odpowiedzi było-

by okrucieństwem. Poza tym, przy odrobinie szczęścia jutro stąd odjadę. Z czasem Helena znajdzie potrzebne uzdrowienie.

- Chciałbym wysłać list - powiedziałem. - Masz taką możliwość? Klaudia skłoniła głowę.

- Lucjusz jeszcze nie zaczął racjonować materiałów piśmienniczych. Każę zanieść do twojej komnaty papier i kałamarz.

Zanurzyłem się w zimnej wodzie w nieogrzewanej łaźni, zmyłem swąd dymu, który przywierał do moich włosów i skóry. Woda jeszcze się nie zastała, lecz niebawem znacznie cuchnąć. Wodę pitną czerpano w Lukce z głębokich studni, ale baseny i fontanny, publiczne i prywatne, były zasilane z akweduktu. Wszystkie one niebawem zaśmiardną.

Wytarłem się do sucha i ubrałem spiesźnie, chroniąc się przed zimnem, po czym usiadłem i skreśliłem list do Heleny Correggio. Dobierałem niewinne i bezosobowe słowa. Używając formalnego języka, podziękowałem jej za zaproszenie i dołączyłem wyrazy ubolewania. Złożyłem kondolencje z powodu poniesionych przez nią strat i wyraziłem gorącą nadzieję, że nadejdą szczęśliwsze dni. Podpisałem się pełnym nazwiskiem.

Wydawało się to dziwne i doskwierało mi poczucie winy. Chciałem, bardzo chciałem, wydostać się z Lukki. To nie moje miasto, nie moja bitwa. Gilot już zginął; to chyba wystarczy. Jest Lucjusz i lojalność... ale mistrz Piero nigdy nam nie powiedział, jak spełniać wymogi lojalności, gdy serdeczny towarzysz zostaje opętany przed duchy zmarłych. Ponadto była tajemnica Canisa, gnijącego w lukkańskim więzieniu... ale o to też się nie prosiłem. Skoro nie zadał sobie trudu, żeby zdobyć się ze mną na szczerść, czemu miałbym zawracać sobie nim głowę?

W każdym razie, więcej dobrego mogłem zrobić poza murami Lukki niż w ich obrębie. Pomyślałem o tym, co powiedziała Klaudia. Jeśli Niewidzialna Gildia może wywrzeć taki wpływ, to dobrze. Jeśli tak bardzo zalety im na mojej współpracy, niech ubiegają się o nią na moich warunkach. A jeśli nie.... jestem wszak d'angelińskim księciem krwi, niepozba-wionym wpływów. Po raz pierwszy w życiu mogę je wykorzystać.

Czując się lepiej, zapieczętowałem list i dałem go służce Tadiuszów.

Tymczasem nastąpiło późne popołudnie. Eamonn i Brygitta wstali. Wydarzenia zeszłej nocy rzuciły całun na ich zaślubiny, ale było jasne, że skorzystali z rady Dekkusa Fulwiusza. Zażywali szczęścia i nie mogłem mieć do nich żalu. W salonie skrzydła gościnnego powiedziałem im o delegacji D'Angelinów.

Twarz Brygitty pojaśniała niemal tak, jak wczoraj na ślubie.

- Chcesz powiedzieć, że będziemy mogli stąd wyjechać?



- Możliwe - odparłem ostrożnie. - Możliwe.

- Eamonnie! - Pocałowała go. - Mógłbyś jechać do Skaldii!

-A ty do Alby, serce moje. - Odwzajemnił pocałunek, położył jej głowę na swoim ramieniu. - Jak oceniasz szanse, Imri? Pokręciłem głową.

- Nie mam pojęcia.

Z zadumą w szarzielonych oczach gładził złote włosy Brygitty.

- Kto wysłał wiadomość do d'angelińskiej ambasador w Tyberium? Nasze spojrzenia spotkały się nad jej głową.

- Czy to ważne? - zapytałem. - Jeśli spełni swoją rolę, czy to ma znaczenie.

Eamonn wzruszył ramionami.

- Nie. - Pocałował skroń Brygitty i wyprostował się. - Czas na patrol! - zawołał wesoło. - Nie wolno sprawić zawodu Gallusowi Tadiuszowi.

Po burzliwych wydarzeniach zeszłej nocy ten parol na szczęście upłynął bez niespodzianek. Zebraliśmy się na rynku, gdzie Gallus Tadiusz wygłosił krótką mowę. Był w ponurym nastroju. Schylił głowę i zmówił modlitwę za zmarłych, w poruszających słowach mówiąc o ich poświęceniu. W gasnącym świetle jego twarz przypominała maskę. Zamknąłem oczy i słuchałem jego słów, próbując wymazać z pamięci samotnego rekruta i jego przerażoną, skonsternowaną minę. I zwłoki unoszące się w fosie, z oszczepami sterczącymi z pleców.

Nie moja wina. Nie moja odpowiedzialność.

Tej nocy dostaliśmy latarnie, gdyż naprawdę było za ciemno, żeby cokolwiek widzieć. Zmienialiśmy się z Eamonnem, trzymając ją na przemian. Nic się nie działo, wokół panowała cisza. Rozmawialiśmy z wartownikami na murze, którzy meldowali, że pola jeszcze się tlą. Dobrze widać w nocy, mówili; posępny żar pogorzeliśka. Nieprzyjaciel się nie przemieścił, obozuje po drugiej stronie rzeki. Odstąpił, ale jest gotów do przypuszczenia ataku. D'Angelinowie też tam są, tak, ale nie napłynęły od nich żadne wiadomości.

I tak to szło, okrążenie po okrążeniu.

O świcie położyłem się do łóżka i śniłem o domu.

Minął cały dzień oczekiwania na powrót delegacji D'Angelinów. Każda godzina dłużyła się w nieskończoność. Byłem niecierpliwy; zniecierpliwiony czekaniem, zniecierpliwiony niewiedzą, zniecierpliwiony uwięzieniem w Lukce. Dzień ciągnął się bez końca. Wstałem po kilku godzinach snu i spędziłem czas na chodzeniu po mieście i

nagabywaniu wart o wieści. Za rzeką coś się działo, ale oddział d'Angelinów nie wykonał ruchu.

Prawdę mówiąc, jedyną godną uwagi rzeczą tego dnia było odkrycie, że Canisa zwolniono z więzienia. Wcielono go do grupy rekrutów trudzących się przy akwedukcie, targających ziemię i kamienie dla wzmocnienia śluzy, gdyż Gallus Tadiusz uznał, że jest ona słabym punktem. Podniesiona woda przesączała się z fosy przez pęknięte wrota, a kamień młyński nie stanowił dla niej żadnej przeszkody. Mury Lukki były zbyt mocne i zbyt dobrze chronione, żeby saperzy mogli zrobić podkop, ale gdyby Valpetra zamierzał spróbować, z pewnością wybrałby to miejsce.

Canis obnosił się z kilkoma nowymi siniakami i czerwoną opaską na ramieniu, już ubrudzony od pracy. Uśmiechnął się do mnie skrycie, kiedy nikt nie patrzył. Miałem przemożną ochotę złapać go za kark i wytrząsnąć z niego prawdę. Skoro to nie wchodziło w rachubę, tylko pokręciłem głową i poszedłem dalej.

Przynajmniej zwolniono go z więzienia. Nie wiedziałem, do czego zmierza, ale to już nie moja sprawa. Uznałem, że pod tym względem mam czyste sumienie.

Kolejna noc.

Kolejne niekończące się patrolowanie.

Tym razem zbudziło mnie dalekie granie rogów. Albo Valpetra przypuszcza nowy atak, albo wracają D'Angelinowie. Zwlokłem się z łóżka, wciągnąłem buty i przypasałem miecz, nie czekając na wezwanie.

Była to d'angelińska delegacja.

Gallus Tadiusz na murach już negocjował z Quentinem LeClerkiem. Nie słyszałem, co mówią, a straż nie chciały wpuścić mnie do wartowni, dopóki sprawa nie zostanie rozstrzygnięta. Czekanie doprowadzało mnie do szaleństwa. Wreszcie jeden ulitował się nade mną.

- D'angeliński kapitan chce wejść do miasta - powiedział. - Zdaje się, że chce pomóc z tobą na osobności.

Gallus Tadiusz za nic nie chciał otworzyć bram Lukki. Pertraktacje zajęły większą część godziny, z jeźdźcami śmigającymi do różnych posterunków, zanim osiągnięto porozumienie. Wartownicy potwierdzili, że główny trzon armii Valpetry stacjonuje za rzeką. Konnica zajmowała pozycję na drodze prawie ćwierć mili od miasra. Gallus niechętnie zgodził się spuścić drabinkę sznurową. Zezwolił Quentinowi LeClercowi i dwóm ludziom na wejście do Lukki pod warunkiem, że wejdą nieuzbrojeni.

Była to znaczna operacja, gdyż drabinka musiała sięgnąć na drugą stronę fosy, gdzie przybito ją kołkami do ziemi. Słyszałem krzyki i stękanie, i plusk, gdy ktoś wpadł do wody. Czekałem, oddychając powoli i zmuszając się do zachowania zimnej krwi.

Wreszcie mignął mi błękit Courcelów. Dwóch strażników pomogło LeClercowi i jego ludziom wejść na mury, podczas gdy druga para stała z wyciągniętymi mieczami, gotowa przeciąć sznury, gdyby ludzie Valpetry spróbowali się zbliżyć albo pozostali ludzie LeClerca podjąć wspinaczkę na mury. Po ataku na wartownię strażce wołały nie ryzykować. Nic się nie stało. Drabinka została wciągnięta, a D'Angelinowie od- eskortowani na plac przed wartownią, gdzie czekałem. Wszyscy trzej ukłonili się nisko. Jeden był strażnikiem z ambasady, tym, który pamiętał moją cuchnącą totbę. Żaden nie wyglądał na uszczęśliwionego. Serce mi zamarło.

-Odmówił?

-Niezupełnie. - Quentin LeClerc spojrział na Gallusa Tadiusza, który stał pod ścianą z rękami splecionymi na piersi, pomiędzy dwoma strażnikami. Obaj mieli kusze gotowe do strzału i choć nie celowali w D'Angelinów, ostrzeżenie nie budziło wątpliwości.  
- Musimy rozmawiać publicznie?

Wzruszyłem ramionami.

-To jego miasto.

-Niech tak będzie. - LeClerc odetchnął głęboko. - Domenico Martelli, diuk Valpetry, podtrzymuje swoje roszczenia do Lukki, powołując się na prawo małżeństwa. Gotów okazać łaskę Waszej Wysokość i pozwoli ci odejść... za określoną cenę.

-To wszystko? - Zaśmiałem się z ulgą. - Na Eluę, człowieku! Dlaczego od razu się nie zgodziłeś? Pani Denise zapłaci każdą cenę, a królowa jej to wynagrodzi. Czego chce? Gwiazdki z nieba?

- Nie. - Wskazał palcem. - Twojej lewej ręki.

## PIĘĆDZIESIĄT SZEŚĆ

---

W końcu Gallus Tadiusz uznał, że LeClerc mówi poważnie *i* że trzech nieuzbrojonych D'Angelinów nie stanowi zagrożenia dla Lukki. Pozwolił nam odejść do willi na dalsze rozmowy. Spotkaliśmy się w wielkim salonie, gdzie wszyscy mogli słuchać i udzielać rad, bo w grę wchodziły również inne kwestie.

Moja sprawa była prosta: Valpetra pozostał nieugięty.

Moja ręka albo nic.

Dlatego jazda czekała na drodze. Przepuszczą mnie, gdy tylko obetną mi lewą rękę. I wrócą do Valpetry z makabrycznym dowodem.

- Przykro mi, Wasza Wysokość - powiedział Quentin LeClerc z napięciem w głosie.  
- Wyklócałem się z nim przez dwie noce i jeden dzień, ale pozostał głuchy na głos rozsądku. W tej sprawie nie ustąpi. - Pociągnął łyk wody. - Jest trochę szalony, jak sądzę.

Klaudia Fulwia pochyliła się w naszą stronę.

- A kondotier? Sylwanus? Nie jest zobowiązany do posłuszeństwa Valpetrze, służy tylko za obiecane łupy. Nie można go przekupić?

Pokręcił głową.

-Pani, wierz mi, próbowałem. Nie odstąpi diuka, póki Lukka nie padnie. Wszyscy są obłąkani na punkcie wojny, choć ja nie całkiem pojmuję, dlaczego. - Spojrzał niespokojnie na trzymany w dłoniach kubek - - Może jest coś w tej wodzie?

Nikt z nas się nie roześmiał.

-A co z innymi? - zapytałem.

-Ach. - LeClerc trochę się odprężył. Chrząknął i podniósł kubek do ust, po czym odstawił nietknięty. - Tak. Odrobina rozsądku. Valpetra jest chętny dokonać wymiany, a przynajmniej Sylwanus się godzi, i diuk na to przystaje. Zapewnię wam... - wskazał Dekkusa, Klaudię, Brygittę i Eamonna - bezpieczny przejazd w zamian za czterech ludzi Sylwanusa.

- Doskonale - rzucił Dekkus cierpko. - Musimy tylko przekonać Gallusa Tadiusza.

- Lucjusz zrobiłby to - zauważyła Klaudia.

-Tak, ale Lucjusz... - Eamonn westchnął.

LeClerc i jego ludzie patrzyli na nas ze zdumieniem. Powiedziałem mu o mundus manes, o lemurach i o masce pośmiertnej. Brzmiało to jak bełkot wariata i gdy skończyłem, wcale nie wyglądali na mniej oszołomionych. Może było coś w wodzie.

-Warto spróbować - mruknęła Klaudia. - Porozmawiamy z nim. Zdaje się, że szanuje Dekkusa, a ja kiedyś byłem jego siostrą. Może matka zdoła do niego dotrzeć. - Twarz miała zatroskaną. - Nie chcę jej zostawiać.

-Zapewnię bezpieczny przejazd za bezpośrednią wymianę - powiedział Quentin LeClerc przepraszającym tonem. - Czterech za czterech, i żadnych obywateli Lukki. Przykro mi, pani. - Uśmiechnął się bez przekonania. - Masz szczęście, że jesteś Tyberijką poprzez małżeństwo. Na twoim miejscu nie wspominałbym o więzach rodzinnych.

Czterech za czterech...

Zakląłem, przypominając sobie.

-Jeden nie żyje - obwieściłem ponuro. - Jeden z ludzi Sylwanusa. Zostało tylko trzech. Wszyscy wymienili spojrzenia.

-Ja zostanę - oznajmił bez wahania Dekkus Fulwiusz, ujmując rękę Klaudii - Niech młodzi ludzie jadą. To nie ich bitwa. Wiesz, z kim zobaczyć się w Tyberium, z kim rozmawiać? Pokiwała głową, wciąż zatroskana.

- Co z Imrielem? - zapytał Eamonn. Quentin LeClerc znów chrząknął.

- Terre d'Ange interweniuje, oczywiście! Można na to liczyć. Obawiam się tylko, że to wymaga czasu. W Caerdicca Unitas jest nas niewielu, a pani Fleurais będzie musiała polegać na dyplomacji, żeby zebrać wystarczającą siłę sprzymierzeńców.

- Wynająć kondotiera - zasugerowałem.

- Tak. - Miał lekko szkliste oczy. - Ktoś taki jak Gallus Tadiusz byłby idealny. - Zadrżał. - Podejmiemy działania - oznajmił stanowczo. - Ale oczywiście będzie to wymagać czasu. Decyzja należy do ciebie, Wasza Wysokość.

Wstałem i krążyłem niespokojnie po salonie, pocierając lewą dłoń. Zaryzykować niepewny los czy wybrać pewną wolność i utratę ręki? Przynajmniej nie tej od miecza, pomyślałem, wspominając Gilota. Chciałbym, żeby tu był. Zawsze miał rozsądne rady, jeśli nawet zwykle je ignorowałem. Zastanawiałem się, co by powiedział.

- Zostaję.

- Eamonnie - szepnęła Brygitta. - Nie!

- Co? - Wzruszył ramionami. - Imriel nie pozwoli, żeby Valpetra odciął mu rękę. Lukka ma wysokie, mocne mury, mnóstwo wody, żywność na wiele tygodni, a obroną dowodzi szalony geniusz, jeśli nawet jest trupem. - Uśmiechnął się do niej szeroko. - Pomożesz nas ratować, gdy przybędą D'Angelinowie. Będziemy tutaj.

Był to początek długiego sporu. Po cichu wyprowadziłem z willi Quentina LeClerca i jego ludzi, wskazałem im drogę do wartowni. Kapitan zgodził się złożyć raport Valpetrze i powrócić jutro. Czymkolwiek zakończy się spór, nie było wiadomo, czy Gallus Tadiusz zgodzi się na wymianę.

- Podjąłeś decyzję? - zapytał LeClerc na szczycie muru.

- Tak. - Potarłem rękę. - Zostaję.

Pod czujnym okiem straży Gallusa spuszczone drabinę i D'Angelinowie opuścili Lukkę. Ostatni schodził ten, którego pamiętałem z ambasady. Położył rękę na moim ramieniu.

- Uważaj na siebie, Wasza Wysokość - powiedział. - Valpetra knuje coś za rzeką.

Ściągnąłem brwi.

-Co?

-Jego ludzie sypią szaniec. - Wskazał ręką. - Po drugiej stronie. Z muru go nie widać. Ale ja wychowałem się w Siovale i przypuszczam, że chce przegrodzić rzekę.

- Aha. - Odprężyłem się. - Może nikt mu nie powiedział o głębokich studniach Lukki.

Pokiwał głową. -Mimo to, uważajcie.

- Dzięki. - Pożegnałem się z nim i patrzyłem, jak odjeżdżają. D'angelińskie sztandary łopotały wesoło na wietrze, ale już nie niosły ze sobą nadziei. W dali ruszyła jazda valpetrańska i porucznik, który tego dnia dowodził na murach, rozkazał mi zejść na dół.

Udałem się na poszukiwanie Gallusa Tadiusza.

Siedział w pustym pokoju w koszarach straży miejskiej, ślęcząc nad spisami inwentarza i mrucząc coś pod nosem. Spojrzałem na czubek jego głowy, na znajomą kasztanową czuprynę. To przywołało miłe wspomnienie Tyberium. W dziwny sposób byłem rad, że nie wyjeżdżam.

-Lucjusz Tadiuszu da Lukka - powiedziałem bez namysłu. - Co mistrz Piero kazał ci studiować?

Gwałtownie poderwał głowę.

- Montrève? Serce mi zamarło.

- Lucjusz? Zamrugał.

-Nie... - Przycisnął palce do skroni i skrzywił się. - Słodki Apollo! Boli mnie głowa.

- Lucjusz. - Wysunąłem krzesło i usiadłem naprzeciwko niego. - Posłuchaj mnie, nagła sprawa. Musisz wydać rozkazy uwolnienia jeńców Valpetry.

Wyraz jego twarzy się zmieniał. Pochyliłem się nad stołem, złapałem go za ramiona, pragnąc, żeby nie odchodził.

- Valpetra zgodził się na wymianę. Trzech za trzech. Klaudia, Dekkus i Brygitta. - Nie przypuszczałem, żeby Eamonn przegrał spór. - Bezpieczny przejazd do Tyberium.

-Tyberium - mruknął. - Montrève... - Zmarszczył czoło. Eluo, bruzdy wyglądały jak wryte dłutem w skórze. - Ludzie umarli przeze mnie, prawda?

-Lucjuszu, proszę. - Zacisnąłem ręce. - Zrób to.

Patrzył na mnie oczyma udęczonymi i zagubionymi, osadzonymi w sinych od niewyspania oczodołach.

- Co mam powiedzieć?

Podąłem mu słowa i wywlokłem go z pokoju za ramię, w strachu, że lada chwila rzuci się na mnie bez ostrzeżenia. Na zewnątrz wyrwał mi się, ale nic nie powiedział. Patrzyłem, jak jego krok się wydłuża i ramiona prostują, gdy zatrzymywał dwóch jeźdźców na dziennym patrolu.

- Żołnierzu! - warknął. - Zanieś wiadomość do kapitana Arturo. Powiedz, że wyrażam zgodę na wymianę jeńców Valpetry.

Zasalutowali.

- Tak jest!

Kiedy odjechali, odwrócił się do mnie. Miał nieodgadniony wyraz twarzy: ni to Lucjusz, ni Gallus.

- Wiesz, mogę zmienić zdanie.

- Nie rób tego, proszę, - Nie mogłem wymyślić niczego innego. -To wszystko, czego chciałeś?

- Tak. To znaczy, nie. Przyszedłem ci powiedzieć... - Nie byłem całkiem pewien, z kim rozmawiam. - Że...

- Wykrztuś to, człowieku! - ponaglił mnie niecierpliwie. Gallus.

-Jeden z D'Angelinów powiedział mi, że jego zdaniem Valpetra próbuje przegrodzić rzekę. Uznałem, że chciałbyś wiedzieć.

-No tak. Interesujące. - Niemal widziałem myśli przemykające za maską twarzy. Najwyraźniej dla Gallusa Tadiusza wiadomość znaczyła znacznie więcej niż dla mnie. Skinął głową, odprawiając mnie. - Dziękuję, chłopcze.

- Tak jest. - Odwróciłem się.

- D'Angelinie!

- Panie?

Znacząco postukał w grzbiet lewej ręki. Jego twarz znów miała ten szczególny pośredni wyraz.

- Zostajesz czy odchodzisz?

- Zostaję - odparłem.

- Dobrze. - Gallus, albo Lucjusz, pokiwał głową. - Cieszę się.

To rzekłszy, pomaszerował do koszar. Patrzyłem za nim, czując się bardziej niż skołowany, a gdy zniknął, wróciłem do willi.

Pomimo moich wiadomości panowała tam ponura atmosfera. Miałem rację, Eamonn nie dał się przekonać. Brygitta była wściekła i zrozpaczona.

Zszedłem im z drogi i spędziłem czas na układaniu listu do Fedry i Joscelina. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, jeśli Denise Fleurais zdoła zebrać armię sprzymierzeńców albo wynająć kondotiera z kompanią najemników, jeśli Lukka się utrzyma, przed zimą będę wolny i ruszę do Terre d'Ange. Jeśli nie... cóż.

Co pisze się w takim liście? Nie wiedziałem. Napisałem, co się stało, i o śmierci Gilota. Napisałem, że jest ze mną Eamonn. Tak wiele miałem do powiedzenia - o Klauddii, o Niewidzialnej Gildii, o Bernadecie de Trevalion, o tajemnicy Canisa. Ale trwało by to zbyt długo. Kiedy zacząłem, wiedziałem, że tekst musi być zwięzły, i pilnowałem, żeby nie przelać na papier niczego, co mogłoby im zagrozić. Zastanawiałem się, czy nie dołączyć listu, który dał mi Ruggero Caccini, o roli Bernadetty wzamachach na moje życie. Postanowiłem tego nie robić. Gdyby doszło do ostateczności, niech mój ostatni czyn nie będzie aktem zemsty. Niech krwawa waśń umrze wraz ze mną, niech w końcu przeważy sprawiedliwość Kusziela. Najważniejsze są pożegnania.

Napisałem, jak bardzo ich kocham, a przynajmniej spróbowałem ująć to w słowa.

Słów było za mało.

Omów nie podarłem listu i nie zacząłem na nowo, ale nie miałem czasu. Zostawiłem więc na papierze słowa budzące wiele zastrzeżeń, gdyż wydawały się nieadekwatne. Poprosiłem, żeby podziękowali Mavrosowi za życzliwość, jaką okazała mi rodzina Szachrizaj, żeby pozdrowili ode mnie Alais i w moim imieniu przeprosili królową Ysandrę. Po chwili wahania dodałem prośbę o przekazanie Sydonii, że życzę jej szczęścia. Zwalczyłem rale nostalgii, od której oczy zasły mi łzami, i podpisałem się. Złożyłem list, otworzyłem i dopisałem postscriptum.

*Dziękuję za dar życia*, napisałem.

Zapieczętowałem list bez osuszania bibułą, żeby nie zmienić zdania, potem, z nadzieją zmierzchu, udałem się na nocny patrol.

Noc była cicha. Cisza za murami, cisza w mieście, cisza pomiędzy Eamonnem i mną. Niewiele rozmawialiśmy o jego decyzji.



-Wiedziałem, co postanowisz - powiedział tylko. - Nie mogłem pozwolić, żebyś został tu sam.

-Owszem, mogłeś. -Żeby Dekkus Fulwiusz zajął moje miejsce? - Spojrzał na mnie. - Jest na to zastary, Imri. Ja nie, i jestem dobry w walce.

- Prawda. Ale, jak powiedział Dekkus, to nie twoja wojna. Poza tym właśnie się oze-  
niłeś.

- Przecież wiem! - Uśmiechnął się szeroko. - Brygitta jest bardzo zła, ale, Imri, posłuchaj. Całe to gadanie z mistrzem Piero o cnotach.. honor, wierność... Co będzie warte, jeśli nie zastosujemy tego w praktyce? Cnota nabiera wartości, gdy wybór jest trudny.

O świcie wróciliśmy do willi, ziewając. Myślałem o tym, jak noce się wydłużają z nadejściem jesieni, i zastanawiałem się, czy Gallus Ta diusz będzie skłonny podzielić nocny patrol na dwie zmiany. Miałem wrażenie, że minęły tygodnie, odkąd spałem w nocy. Gdy się nad tym zastanowić, pewnie tak było. Nawet w drodze z Tyberium nie mogłem się wyspać, rozproszony przez bliskość Klaudii. A ostatnimi czasy nikt długo nie sypiał.

- Imrielu.

Zamrugalem, patrząc na Klaudię, stojącą w zimnym atrium w grubym szlafroku na sukni. Przez parę uderzeń serca miałem wrażenie, że wyczarowały ją moje myśli.

- Przepraszam - powiedziała cicho. - Wiem, że jesteś zmęczony. Ale chciałam cię zobaczyć.

Eamonn dotknął mojego ramienia.

- Będę w moim pokoju.

Odszedł, a ja udałem się z Klaudią do salonu w skrzydle gościnnym. Tam też pano-  
wał ziąb. Usiedliśmy obok siebie na kanapie, ona otulona szlafrokiem, ja peleryną. Nie  
wiedziałem, co powiedzieć, więc czekałem na jej słowa.

Po chwili parsknęła śmiechem

- Miałam w głowie ułożoną mowę. Nie spałam przez pół nocy, myśląc o właściwych  
słowach. Wszystkie uciekły.

- Niedostatek snu. Nikt z nas nie myśli rozsądnie.

- Imrielu nó Montrève. - Wysunęła z rękawa zimną rękę, dotknęła moich włosów,  
które sięgały już do ramienia. - Pozwoliłeś im odrosnąć - mruknęła. - Pamiętasz, jak  
to prosiłam?

Uśmiechnąłem się.

- Aż za dobrze, pani.

- W istocie. - W jej uśmiechu błysnął cień dawnej zmysłowej figlarności. - Winna ci jestem podziękowania.

- Za włosy? - zapytałem głupio.

- Za moją wolność. - Twarz Klaudii spoważniała. - Za wolność Dekkusa i Brygitty. Obiecuję ci, zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby zakończyć oblężenie. Wykorzystam wszelkie możliwe wpływy, żeby słowa d'angelińskiej ambasador wpadły we właściwe uszy, żeby pomoc nadeszła szybko.

Spojrzałem na nią uważnie.

- Za jaką cenę? Klaudia się skrzywiła.

- Zasłużyłam na te słowa, jak sądzę. Nie ma ceny, Imrielu. Nie wykorzystam tego, żeby związać cię obietnicą, jeśli o tym myślisz.

Tak, o tym myślałem. Patrzyłem na jej twarz, muskaną wpadającymi przez okno skośnymi promieniami wschodzącego słońca. Dostrzegłem zmarszczki w kącikach jej oczu - wcześniej ich tam nie było. Oblężenie dodało jej lat. Patrzyła, jak jej brat popada w obłęd, jak ojciec podupada na duchu, jak matka poddaje się rozpacz.

- Gildia cię porzuciła - zacząłem powoli. - Wciąż jesteś im wierna?

-Tak.

Niech tak będzie.

- Dziękuję - powiedziałem. - Jestem ci wdzięczny za pomoc. Klaudia pokiwała głową.

- Dołożę wszelkich starań, Imrielu... nie ma ceny, ale proszę o przysługę. Zrobisz wszystko, co zdołasz, by zatroszczyć się o moją rodzinę?

Miałem odpowiedź „tak” na końcu języka. Zawahałem się.

- Odpowiesz mi na jedno pytanie? Uczciwie i zgodnie z prawdą?

- Spróbuję.

- Kim jest Canis? Kto go przysłał?

- Żebrak? - Brązowe oczy miała spokojne i czyste, bursztynowe w promieniach światła. - Nie wiem.

-Jest tutaj, wiesz. - Patrzyłem, jak kurczą się jej źrenice. Nie wiedział. -Myślę, że może to on wysłał wiadomość do pani Denise. I myślę, że zrobił też inne rzeczy. Należy do Gildii?

- Nie wiem. - Twarz jej nie zdradziła, ale trochę za długo wytrzymywała moje spojrzenie. Tylko to; najbardziej subtelna z oznak. Umiała kłamać bardzo, bardzo dobrze. - Przykro mi, Imrielu.

-Mnie też. - Uśmiechnąłem się do niej ze zmęczeniem i smutkiem - Tak pani, dołożę wszelkich starań, żeby zatroszczyć się o twoją rodzinę łącznie z nawiedzonym przez duchy bratem. Jednakże - dodałem, rozkładając ręce - obawiam się, że w czasie obłęzenia moje możliwości są ograniczone.

- Nie. - Ku mojemu zaskoczeniu Klaudia chwyciła mnie za ręce. Uniosła je do ust i ucałowała. - Masz dobre serce.

- Niezupełnie. - Przełknąłem ślinę. - Dekkus... Przyłożyła palce do moich ust, uciszyła mnie.

- Dekkus Fulwiusz jest dobrym człowiekiem z niewierną żoną. To niczego nie zmienia. Liczy się szczerść moich słów. - Pocałowała mnie i wstała. - I niczego nie żałuję.

Fluo, jakże silną była kobietą! Zaśmiałem się cicho. W ostatecznym rozrachunku ja też nie chciałbym zamienić wspomnień na inne.

- Zgoda, pani. Ja też niczego nie żałuję. Może z wyjątkiem paru rzeczy, które nie zostały dokończone.

Klaudia przesłała mi pocałunek i wyszła.

Zbyt zmęczony, żeby pójść do łóżka, owinąłem się peleryną i zasnąłem na kanapie.

Śniła mi się Klaudia.

## PIĘĆDZIESIĄT SIEDEM

---

Wymiana poszła gładko.

Stawiliśmy się wszyscy, żeby ją obserwować. Umierałem ze strachu, że Gallus Tadiusz zmieni zdanie i odwoła rozkaz, ale nigdzie nie było go widać. Trzech valpetrańskich jeńców zwolniono z więzienia. Byli brudni i zdeorientowani, mrugali w świetle dnia, ale rany mieli opatrzone i żyli.

Sprowadzenie ich po drabinie zabrało trochę czasu, a jeszcze więcej odeskortowanie ich przez ludzi Quentina LeClerca do kondotiera, gdzie potwierdzono ich tożsamość. Uzbrojeni strażnicy stali na murach, ale ludzie Valpetry nie pogwałcili zawieszenia broni i zachowali odległość.

W końcu nadszedł czas na wypuszczenie trojga naszych.

Pozegnaliśmy się. Klaudia była serdeczna. Dekkus Fulwiusz mocno uściskał moją dłoń. Powinien też potrząsnąć ręką Eamonna, ale on i Brygitta obejmowali się mocno.

- Nie martw się, chłopcze - mruknął Dekkus. - Stanę na głowie, żeby pani Fleurais dostała wszelką pomoc, na jaką stać Tyberium.

„Niczego nie żałuję”.

- Dziękuję, panie - odparłem.

Eamonn i Brygitta stali bez ruchu, otuleni jego peleryną. On miał pochyloną głowę, jego miedziane włosy mieszały się z jej złotymi. Wyglądali niemal jak jedna osoba. Eamonn oderwał się od niej dopiero wtedy, gdy Dekkus i Klaudia stanęli bezpiecznie na ziemi i jeden ze strażników kaszlnął znacząco.

- Znajdę cię - obiecał Eamonn.

- Będę czekać - szepnęła Brygitta.

Kiedy schodziła po drabinie, Eamonn patrzył za nią przez całą drogę.

Kiedy wszystko było przygotowane, dałem znak Quentinowi LeClercowi. Podjechał konno na skraj fosy. Wyjąłem list owinięty w ceratę.

- Messire LeClerc! - zawołałem. - Poprosisz panią ambasador, żeby przesłała to hrabinie de Montrève?

Uklonił się

- Oczywiście, Wasza Wysokość.

Rzuciłem mu pakiecik. Był lekki i popłynął nad fosą. Woda jakby trochę opadła. Złapał go zręcznie.

- Jakaś wiadomość, książę Eamonnie?

- Tak. - Eamonn wciąż patrzył na Brygittę. - Powiedz mojej matce... poproś hrabinę de Montrève, niech da znać Pani Dalriady, że jej syn się ożenił. I niech powie mojemu ojcu, że się cieszę, że go poznałem.

Quentin LeClerc znowu się uklonił.

- Możesz na mnie polegać.

Nie zostało nic więcej do powiedzenia. Wszyscy siedli na koń, sześciu strażników po dwóch, żeby zwolnić konie dla zakładników. LeClerc asalutował i dał sygnał. Ruszyli miarowym truchtem przez wypalone pola. Położyłem rękę na ramieniu Eamonna i patrzyliśmy razem. Żaden acstrazników nam w tym nie przeszkodził.

Jazda Valpetry wróciła na stanowiska na drodze. Zatrzymano oddział D'Angelinow, sprawdzając, czy któryś z uwolnionych zakładników czy ludzi LeClerca nie jest mną, próbującym wymknąć się z Lukki z obiema rękami.

Nie trwało to długo.

Domenico Martelli musiał mi się dobrze przyjrzeć, pomyślałem. Z drugiej strony, jak przypuszczam, nikt nie zapomina takich rzeczy. Do śmierci będę widział w koszmarach twarz mahrkagira.

Mimo to odetchnąłem z ulgą, gdy jazda ich przepuściła. Żołnierze Valpetry zawrócili konie i pogalopowali ku rzece, znikając za krzywizną muru. Oddział D'Angelinow jechał dalej, malejąc w dali. Dotarli do podnóża gór i zaczęli się wspinać. Obaj z Eamonnem patrzyliśmy, dopóki ostatni sztandar nie zniknął z pola widzenia. Eamonn westchnął.

- No tak.

- No tak - powtórzyłem.

- Parę tygodni, prawda?

Czas. Czas na powrót delegacji, czas na to, żeby pani Denise Fleurais wprawiła w ruch dyplomatyczne koła, czas, żeby Klaudia Fulwia nakłoniła Niewidzialną Gildię do posmarowania tych kół, czas dla Dekkusa Fulwiusza, żeby przekonał senat do przyłożenia do nich zbiorowego ramienia Tyberium. Czas na wynajęcie najemników, czas na raporty i przegląd. Czas na dostarczenie wiadomości do Terre d'Ange i z powrotem. Czas na wezbranie gniewu królowej.

- Parę tygodni - powiedziałem. - Może. Uśmiechnął się do mnie.

- No cóż. Jeśli tylko tyle, możemy wytrzymać.

- Możemy i wytrzymamy - zgodziłem się. - Możemy i wytrzymamy. Willa Tadiuszów wydawała się wyludniona po naszym powrocie. Pani

Beatrice, która pożegnała córkę przy drzwiach, krążyła niczym duch, załamując rękę. Przewyciężyłem skrupowanie z powodu nadużywania jej gościnności - brałem jednak udział w obronie jej miasta - ale tego dnia znów powróciło. Krzątała się, racząc Eamonna i mnie jedzeniem. Mogliśmy się najeść do syta, gdyż nikt nie powiadomił kuchni, że troje domowników wyjeżdża. Żywność wciąż racjonowano, ale dostaliśmy racje dla pięciu osób.

Jeśli to było świadome przeoczenie, byłem ogromnie wdzięczny. Przypuszczałem, że to zasługa Klaudii. Dzięki niej wszystko się dotąd trzymało.

- Są bezpieczni? - zapytała z niepokojem pani Beatrice. - Odjechali, moja Klaudia i senator Dekkus! I twoja piękna żona?

Eamonn tylko skinął głową, mając usta wypełnione jedzeniem. Przełknąłem łyżkę soczewicy. Była bez smaku, ale sycąca. -Tak, pani. Odjechali, bezpieczni pod egidą Terre d'Ange. Ona była rada, a my nasyceni.

Później spaliśmy, przynajmniej ja spałem. Nie sądziłem, że zasnę, ale wyczerpanie fizyczne zebrało swoje żniwo. Jeden z najemnych domu przyszedł mnie zbudzić o zachodzie słońca i wraz z Eamonnem stawilem się na nocny patrol.

Gallus Tadiusz powitał nas kolejną miłą niespodzianką. Jak gdyby czytając w moich myślach, podzielił nocny patrol na dwie zmiany. Odprawił połowę jeźdźców, a reszta pozostała. Chuchałem na zmarznięte palce, już rozkoszując się myślą o powrocie do ciepłego łóżka kilka godzin wcześniej niż oczekiwałem.

- Spodziewam się spokojnej nocy - oznajmił Gallus - ale zachowajcie czujność.

- Nie wygląda na zadowolonego - szepnął Eamonn.

- A kiedykolwiek wyglądał? - zapytałem równie cicho.

A jednak miał rację. Gallus Tadiusz zatrzymał nas, gdy przejeżdżaliśmy, oddając mu honory. Jego twarz była poryta nietypowo ponurymi liniami.

- Dokonano wymiany?

-Tak, panie - odparłem.

- Dobrze. - Pochylił się i splunął. - Warto odciążyć Lukkę z konieczności utrzymania rannych Valpetran, żeby zobaczyć bezpieczny odjazd członków rodu Tadiuszów. Chłopcy, jutro zwołuję naradę. Spodziewam się was zobaczyć.

- Tak jest. - Zawahałem się, próbując dostrzec ślad Lucjusza w zapadniętych oczach. W półmroku trudno było cokolwiek osądzić. - Panie, jeśli wolno mi powiedzieć, powinienes zaznać trochę snu.

- Sen! - Zaśmiał się głucho, jego oczy błysnęły w ciemnych oczodołach. - Gdy jest się trupem, jest na to mnóstwo czasu.

- Niezły żart - mtuknął Eamonn, gdy pojechaliśmy dalej.

- Niezupełnie - powiedziałem.

Jak przepowiedział Gallus Tadiusz, noc minęła spokojnie. Bez końca zataczaliśmy kręgi, wymieniając hasła i odzewy. Za murami panowała cisza. Siły Valpetry nie ru-

szyły się zza rzeki. Nie podjęto prób podkradania się do miasta, przyciągnięcia machin obłętnych pod osłoną ciemności, sforsowania fosy czy długiego procesu podkopywania się pod mury.

Zastanawiałem się, co w takim razie robią.

Cokolwiek robili, to martwiło Gallusa Tadiusza.

Dowiedzieliśmy się nazajutrz.

Jak wcześniej, zebranie odbyło się w bazylice. Zgromadzenie było mniej liczne i bez uczestnictwa kobiet. Stawił się kapitan Arturo z dwoma porucznikami, Gaetano Correggio i kilku innych wielmożów, mniej licznych niż poprzednim razem. Ani śladu Publiusza Tadiusza. Do tego kilku co mądrzejszych rekrutów z Czerwonej Plagi, paradujących ze szkarłatnymi opaskami. Skoro o tym mowa, przypuszczałem, że Eamonn i ja do nich się zaliczamy. Pozostali wyglądali na kupców, krzepkich i zahartowanych pracą.

Tłoczyliśmy się na dolnych ławach, podczas gdy Gallus stanął na trybunie i czekał, aż zajmiemy miejsca. Miał swego rodzaju tabliczkę do pisania, płytką tacę pełną sypkiej ziemi. Siedzieliśmy i drżeliśmy, zacierając ręce w zimnym powietrzu i z ciekawością spoglądając na tacę.

- Dobra - zagaił Gallus. - Jedna sprawa. Mamy kłopot.

Użył tacy, żeby zademonstrować. Podczas gdy wymienialiśmy jeńców na zakładników, Gallus Tadiusz większą część dnia spędził na szczycie północno-zachodniej części murów, patrząc ku rzece i próbując rozstrzygnąć, co robi Valpetra. Obserwował majaczących w dali ludzi kondotiera zajętych kopaniem i, choć niewiele mógł zobaczyć z tamtego miejsca, pod koniec dnia uznał, że ma pewne pojęcie.

- Widzicie, miałem ten sam pomysł - rzekł oschle. - Swego czasu. Okazało się, że nie muszę z niego korzystać.

Uformował długi zakrzywiony kopczyk, oznaczający mur Lukki. Patykiem narysował szeroką, krętą rzekę i dodał mniejszą kreskę kanału, który zasila fosę.

- Kłopoty - powiedział.

Gaetano Correggio podszedł obejrzeć model. Pokręcił głową.

- Nie dojdzie do tego. Mury są mocne, a fosa rozproszy siłę wody. Rzeka wystąpi z brzegów i zaleje równiny. Zdarzyło się to, kiedy byłem dzieckiem. Lu Icka wtedy wytrzymała i teraz też wytrwa.

- Tak sądzisz? - Gallus zmierzył go wzrokiem. Były księżę Lukki zbladł.

-Znam moje miasto.

-Twoje miasto - parsknął Gallus. - Pozwolę sobie powiedzieć coś o twoim mieście, Correggio. Drzewa rosną na murach. Bardzo ładne. Dęby mają długie korzenie. - Postukał w kopczyk. - Ziemia pomiędzy murami powinna być ubita i twarda jak skała. A nie jest. Wiesz dlaczego? Twoje przeklęte śliczne dęby. Nie mówimy o rzece występującej z brzegów, Correggio. Mówimy o gwałtownej powodzi i zmianie biegu rzeki. Gdy bogowie tylko wiedzą, ile pędzącej wody uderzy w to miejsce, gdzie jest śluza i korzenie, które rozpulchniły ziemię, mur pęknie niczym przejrzały melon.

- Być może on ma rację, panie. - Głos zabrał krzepki mężczyzna w kupieckim stroju.

Gaetano spojrział na niego gniewnie.

-A kimże ty jesteś, żeby się wypowiadać?

- Jest mistrzem gildii murarzy -wyjaśnił Gallus Tadiusz. - Nie chcesz dowiedzieć się czegoś nowego o swoim mieście? Wczoraj na moją prośbę mistrz Varrius przez kilka godzin oglądał mury. Zgadza się ze mną.

Eamonn obok mnie jęknął.

- Panie - odezwałem się - ile mamy czasu? Gallus wzruszył ramionami.

- Kto może wiedzieć, D'Angelinie? To trudne przedsięwzięcie, ale Valpetra ma na rozkazy dwa tysiące ludzi. Sądząc z wyglądu, są wyszkoleni w stary tyberyjski sposób. - Jego mina wyrażała aprobatę. - Umieją przykładać ręce do ciężkiej pracy. Wiedzą, co robią, i nie muszą się Aytanio starać. Wystarczy tylko trochę czasu. Nie będą go marnować, bo spaliliśmy im zapasy żywności, a nadto martwią się, że Terre d'Ange narobi hałasu. - Uderzył patykiem w model murów Lukki. - Może kilka tygodni.

Nieznany mi szlachcic spojrział na swoich kolegów i chrząknął. - Co zatem mamy zrobić, książę Gallusie? Powiedział nam.

Krótko mówiąc, musieliśmy przygotować się na najgorsze. Mistrz Yarrius i jego murarze dołożą wszelkich starań, żeby wzmocnić mur, ale trzeba założyć, że plan Valpetry się powiedzie. Należy przygotować się na powódź i natarcie. Zdecydowano, że mieszkańcy wszystkich piętrowych domów przeniosą się na piętra. Ci z parterowych poszukają sobie schronienia. Rekruci Czerwonej Plagi będą ćwiczyć, sposobiąc się do walki wręcz.

- Mamy prawie tysiąc ludzi - oznajmił wesoło Tadiusz Gallus. - Szanse przeciwko nam wynoszą tylko dwa do jednego. - Potarł brodę. -Chciałbym powiedzieć, że utrzymamy wyłom, ale prawda jest taka, że mamy niedoświadczone wojsko z kiepską bronią i zbrojami niewartymi wzmianki. Pokonaliby nas w ciągu godziny. Dlatego będziemy wycofywać się etapami. Należy oszukać nieprzyjaciela, wciągnąć go w zasadzkę. Wasze żony, siostry i córki będą atakować z dachów i pięter, kamieniami, gorącą



wodą, wszystkim, co się nada. Nie będzie bezpiecznego azylu. -Gallus zachichotał. - To nasze miasto, chłopcy. Możemy tego dokonać.

Wszyscy wokół kiwali głowami i mruzczyli z aprobatą.

Pochwyciłem spojrzenie Eamonna, zastanawiając się, czy nie oszalałem. Wydawało mi się, że dostrzegam wielką wadę w planie Gallusa. Eamonn miał równie skonsternowaną minę, dlatego zapytałem:

-Panie... jak mamy tego dokonać, jeśli miasto będzie zalane? Co z wodą?

-Z wodą? - Gallus dźgnął patykiem w środek tacy. Uśmiechnął się do mnie szeroko, obnażając białe zdrowe zęby w pośmiertnej masce twarzy. - Poślemy ją prosto do piekła, D'Angelinie.

Nikomu nie wydało się to dziwne.

Otworzyłem usta, żeby zaprotestować. Przeszyły mnie tuziny pustych spojrzeń. Zaostrzony patyk tkwił w tacy, drżąc lekko. Nie oszalałem. Ktokolwiek nawiedzał Lukkę, nie byli to moi zmarli, nie zmarli Eamonna. Ale wszystkich tutaj dotknął lekki obłęd, z wyjątkiem Gallusa Tadiusza, który był albo kompletnie szalony, albo najzupełniej zdrów na umyśle. Pomyślałem o poczerniałej skorupie wieży dzwonnej i mundus manes pod nią. Zaostrzony patyk wciął drżał. Pomyślałem o zimnym, pustym palenisku w sali biesiadnej mahrkagira. Joscelin cisnął weń pochodnię niczym wojownik włócznię i Święte Ognie zapłonęły w całym Drudżanie.

Co mogłem wiedzieć?

- Dobra - mruknąłem. - Prosto do piekła.

Po zakończeniu zebrania Gallus Tadiusz odesłał murarzy do pracy i wyprawił szlachtę, żeby zaniósła jego rozkazy. Zwołał rekrutów i powiadomił nas, że od tego dnia mamy ćwiczyć musztrę w parku publicznym.

-Powiadomcie innych - polecił. - Kiedy to się stanie, dostaniecie rozkazy. Podejmę decyzję, oceniwszy wasze umiejętności. Wy wydajecie się najlepsi, ale zobaczymy.

-Czy to oznacza zaprzestanie nocnych patroli? - zapytał z nadzieją Eamonn.

Gallus przewiercił go wzrokiem.

- Do diabła, nie, Księżę Barbarusie! Mogę wszak się mylić.

Tego dnia nie napłynęły żadne rozkazy. Obaj z Eamonnem odbyliśmy naradę z panią Beatrice i domownikami, rozważając, jakie przygotowania powziąć na wypadek powodzi. Większość zapasów przechowywano w piwnicach willi. Przejrzeliśmy je razem i sporządziliśmy listę tego, co należy przenieść na piętro, a co można bezpiecznie

zostawić. Pani Beatrice wkładała serce w zadanie, rada, że ma cel. Żaden z nas do czasu nocnego patrolu nie wspomniał o wodach powodzi posyłanych do piekła.

Noc była jasna. Chmury odpłynęły, wiatr uniósł ociągający się całun dymu. Księżyc, bliski pełni, zalewał miasto srebrzystą poświatą. Wydało się niemal, że znów panuje pokój. Zastanawiałem się, czy Quentin LeClerc i jego oddział jadą pod tymi samymi gwiazdami. Miałem taką nadzieję. Ich misja wydawała się znacznie pilniejsza niż wczoraj.

- Co myślisz? - zapytał Eamonn cicho.

- Sam nie wiem. - Zadrzałem i otuliłem się szczelniej peleryną. - To możliwe, jak sądzę. Mnóstwo rzeczy jest możliwe.

Spojrzał w gwiazdy.

- Wiesz, prawda?

- Powinienem. - Przetarłem oczy. - Eamonnie, szkoda, że nie odjechałeś z nimi.

- Ja żałuję, że nie posłałem listu - rzekł cicho.

Więcej o tym nie rozmawialiśmy. O północy wartownicy przekazali wiadomość, że nasza służba dobiegła końca. Ruszyliśmy do willi. Bękart był leniwy tej nocy, głowa mu się kiwała. Wolał dziki galop, jak ten w noc pożaru. Wcale mu się nie dziwiłem. Mówiąc o koszmarach wojny, poeci rzadko wspominają o śmiertelnej nudzie. Myślałem o możliwości powodzi i o stajniach, i próbowałem ocenić, gdzie są najwyższe położone miejsca na terenie posiadłości Tadiuszów. Gdy zbliżyliśmy się do skrzyżowania ulic, drgnąłem niespokojnie, gdyż zakapturzona postać zagroziła nam drogę.

- Księżę Imrielu.

Na jedną obłądną chwilę wróciłem w przeszłość. Zimna, rześka noc przed „Kogutkiem”, mężczyzna wymawiający moje imię. Furia Bertrana i reakcja wiernego Gilota. Pościg, czapka. Moja reputacja w gruzach.

Wyrwałem miecz z pochwy. Bękart tańczył pode mną.

- Kto zacz?

Gdzieś w ciemności za nami rozległo się ciche szuranie. Eamonn z przekleństwem na ustach obrócił konia i dobył miecza, żeby zbadać przyczynę.

Postać uniosła głowę.

Ujrzałem pod kapturem twarz kobiety, młodą, przestraszoną i nieugiętą, wypraną z kolorów przez księżycową poświatę. Schowałem broń. Znałem ją.

Helena.

- Proszę - szepnęła. - Chcę tylko z tobą pomówić.

Eamonn zawrócił konia, wzruszeniem ramion kwitując swoją porażkę. Kiedy zobaczył Helenę, westchnął i schował miecz.

- Pani - powiedział, kłaniając się w siodle - nie powinno cię tutaj być. Odprowadzimy cię do domu.

Jej wzrok ani na chwilę nie oderwał się od mojej twarzy.

- Proszę...

Okiełznawszy Bękartą, rozłożyłem ręce.

- Czego chcesz ode mnie, pani? Jestem zmarznięty i zmęczony, i bardzo, bardzo śmiertelny. Zapewniam cię, nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz.

- Wiem. - Spuściła głowę i otworzyła zaciśniętą rękę.

Trzy małe kulki upadły na bruk. Paciorki, szklane paciorki. Przypuszczam, że w świetle dnia byłyby niebieskie. Drobiazgi, powiedział Lucjusz; ofiary składane na skrzyżowaniach ulic. Helena noskiem pantofla wsunęła je w szczelinę, po czym uniosła głowę.

- Byłam niemądra, ale nie jestem głupia. - Trzęsła się z zimna, lecz z determinacją wysuwała podbródek. Jej szeroko otwarte oczy przeszukiwały moją twarz, wypatrując znaczenia, znaku, czegoś, czego tam nie było. - Wiem, że nie jesteś - szepnęła. - Nie wiem, kim jesteś.

- Tylko Imrielem - odparłem ze zmęczeniem w głosie. - Karłowatym drzewem szukającym słońca.

Zamrugła i przestąpiła z nogi na nogę.

Eamonn spojrzał na mnie spod uniesionych brwi.

Co miałem zrobić? Byłem D'Angelinem wyuczonym przez Fedrę nó Delaunay. Przemogłem moje okrucieństwo, zsiadłem z konia i ukloniłem się Helenie, zastygając zgięty na uderzenie serca.

- Wybacz mi. Jestem zmęczony i mam cięty język. Poza tym, Eamonn ma rację, to nie miejsce dla ciebie. Odprowadzimy cię do domu.

Złożyłem ręce, żeby mogła postawić na nich stopę, i dźwignąłem ją na grzbiet Bękartą. Ach, Eluo! Ważyła odrobinę więcej niż Alais. Chwyciłem wodze i ruszyłem ku palazzo Correggiów, starając się nie myśleć, ile wycierpiała.

- Nie pojedziesz ze mną? - Zęby jej szczękały. - Czy on nie udźwignie dwóch osób?

Bękart parsknął.

Wsiadłem, sadowiąc się za nią, i wziąłem wodze. Wymieniłem z Eamonnem długie, milczące, wiele mówiące spojrzenie.

- Dobrze - rzuciłem krótko. - Do zobaczenia przy willi.

Zasalutował i odjechał. Zawiozłem Helenę do domu. Była napięta, a ja nic nie zrobiłem, żeby to zmienić. Czułem jednakże, jak rozgrzewa się pomiędzy moimi rękami, i po jakimś czasie przestała dygotać. W blasku księżycy ujrzałem palazzo Correggiów, pozostawione bez opieki, z niestrzeżoną bramą. Nie dziwota, że Helena zdołała się wymknąć. Przypuszczałem, że słudzy też zostali wcieleni do wojska Gallusa Tadiusza. Zsiadłem i zsadziłem Helenę z siodła, chwyciwszy ją w tali.

- Nic ci nie będzie? - zapytałem. - Nie? - Obrzuciła mnie tym łagodnym, pełnym bólu spojrzeniem. - Nie wiem. Ty... zostałeś porwany, prawda? Ojciec mi mówił. Rozumiem, jak naprawdę było z twoją matką, trochę. Ale historia dotycząca ciebie jest prawdziwa, czyż nie? Zaginałeś, zostałeś uprowadzony.

- Tak.

- Kiedy przestanie boleć? - zapytała.

Milczałem przez chwilę, i przyszło mi na myśl, że unikając Heleny, nie ją próbowałem chronić, niezupełnie. Chroniłem siebie. W jej przygnębionych oczach widziałem nie tylko kobiety z zenany. Widziałem siebie, w wieku dziesięciu lat.

I ja, dziesięciolatek, winny jej byłem szczerą odpowiedź. -Nigdy. Ale będzie lepiej.

Helena pokiwała głową. - Przyjdiesz porozmawiać ze mną? Proszę. Chcę tylko zrozumieć. I myślę... myślę, że jesteś ważny. To, co zrobiłeś, jest dla mnie ważne. Chcę tylko doszukać się w tym sensu. Proszę... - Zgoda - odparłem. - Przyjdę, gdy będę mógł.

## PIĘĆDZIESIĄT OSIEM

---

Nazajutrz czekały rozkazy.

Stawiliśmy się z Eamonnem w parku. Latem niewątpliwie jest tam zielono i przyjemnie, ale bezdeszczowa jesień odcisnęła swoje piętno. Została sucha trawa, już zdeptana, i kilka późnych kwiatów, już zwiędniętych. Wszystkie ozdobne drzewa traciły liście, które leżały na udeptanej ziemi. Jak wszyscy inni w Lukce, ogrodnicy też

zostali wcieleni do wojska. Tylko wysokie cyprysy stały w ciemnozielonym majestacie, Ćwiczyliśmy w czterdziestoosobowych grupach. Gallus Tadiusz uznał, że to największa liczba, w jakiej możemy sprawnie manewrować na ulicach. I ćwiczyliśmy pieszo. Nie będzie koni dla Czerwonej Plagi. Poprzedzało nas kilka innych drużyn. Na stosach leżały różnorakie zbroje, pozostałości z tego, co Gallus Tadiusz zdołał skonfiskować na podstawie spisów inwentarza. Wskazał jeden ze stosów i dał nam parę minut na wybranie ekwipunku.

Rzuciliśmy się jeden przez drugiego.

Bez wahania sięgnąłem po zardzewiałe karwasze. Pal diabli manieri; jeśli jest ktoś, kto umie ich używać, zjem swoje buty. Kiedy zamieszanie się skończyło, miałem karwasze, a także skórzany kaftan naszyty metalowymi krążkami, który wytrzyma skośne uderzenie głownią, choć nie pchnięcie sztychem, i hełm z wąskim rondem, z urwanym paskiem do zapinania pod szyją.

Eamonn miał kirys, który pasował na niego jak ulał, i wysoką tarczę w kształcie la-tawca. Ponieważ tylko on mógł podnieść ją bez wysiłku, nikt się o nią nie kłócił. Każdy coś miał, choć prawie nikt kompletnej zbroi. Ludzie mieli gołe głowy, niczym nie chronione ręce i nogi, odsłonięte gardła i boki. Razem wzięwszy, tworzyliśmy zbierani-  
ninę.

Lukka, miasto handlowe, zawsze wynajmowało wojsko do obrony. Gdy Gallus Tadiusz je zajął i obwołał się księciem Lukki, rozpuścił Czerwoną Plagę. W ciągu dwóch pokoleń potomkowie tych, którzy tam osiedli, zostali wchłonięci przez społeczność.

Gallus kręcił głową, patrząc, jak wkładamy zbroje.

- Dobra - powiedział, gdy byliśmy mniej więcej gotowi. - Jedna sprawa, chłopcy. Nie będzie wiele lepiej. Przetrzęsaliśmy miasto, kazałem stolarzom i kowalom pracować dzień i noc, żeby robili tarcze i włócznie. Nie będą piękne, ale przydatne. Dopóki nie będą gotowe... - wzruszył ramionami - musimy radzić sobie z tym, co mamy. Zobaczmy, co potraficie.

Stojąc w luźnym kręgu, patrzyliśmy, a on wywoływał nas kolejno, żeby sprawdzić nasze umiejętności. Gallus Tadiusz był dobyt. Nie wspaniałały, ale dobry.

Walczył zwodniczo zwyczajnie, choć przekonałem się o tym w pełni dopiero w czasie potyczki z Eamonnem. Większość rekrutów nie miała w zasadzie żadnego przygotowania. Rozprawiał się z nimi szybko, pokazując śmiertcionośne ciosy, które mógł im zadać, zostawiając siniaki i draśnięcia na pamiątkę, że należy traktować sprawę poważnie.

I wcale się nie męczył.

Zastanawiałem się, ile pojedynków stoczył tego dnia. Czterdzieści? Osiemdziesiąt? Nie wiedziałem, ile grup ćwiczyło przed nami. Miał niespożytą enetgię, ale zastana-

wiałem się, jakie koszty ponosi ciało Lucjusza. Kiedy patrzyłem, jak walczy z Eamonem, nasunął mi się pewien pomysł.

Był to dobry pojedynek. Eamonn nauczył się cierpliwości od dnia, gdy drewnianymi mieczami walczyliśmy o Bękartą i jego złoty naszyjnik. Wysoka tarcza osłaniała go od brody po kolana i korzystał z niej w pełni. Krążyli wokół siebie, wymieniając ciosy.

Gallus był chytry i skuteczny. Każdy jego ruch był oszczędny. Ostrożnie stawiał stopy i osłaniał się wysoko, atakując od czasu do czasu. Eamonn obserwował go czujnie, krążąc powoli i z rozwagą. Przez chwili myślałam, że zaczną walczyć na poważnie, ale Gallus Tadiusz uniósł miecz i uśmiechnął się szeroko.

- Książę Barbarusie! - Poklepał Eamonna po ramieniu. - Dasz radę. Następny!

Kiedy nadeszła moja kolej, ukloniłem się, wyciągnąłem miecz, chwyciłem go oburącz i przyjąłem kasjelicką postawę bojową, osłaniając się głownią.

Gallus zmierzył mnie wzrokiem z posępnym rozbawieniem.

- Do diabła, co ty wyprawiasz, kochasiu?

- Przygotowuję się do próby, panie - odparłem uprzejmie. - Czy chciałbyś pójść o zakład?

Zakład! - Gallus ryknął śmiechem. - O tak, chłopcze, założę się o wszystko, co tylko postawisz.

- Zgoda. - Zawahałem się. - Założę się, że cię rozbroję. Jeśli przegram... - Przełknąłem ślinę. Nie mogłem postawić Bękartą, jedyne żywe przypomnienie domu. Obróciłem miecz rękojeścią w jego stronę. Odsunąłem od siebie wspomnienie, jak razem z Joscelinem rozmawialiśmy z mistrzem kowalskim. To tylko metal, wykuty w przyjemny kształt. - Dam ci mój miecz.

Rekruci poszeptywali i podkpiwali. - Nie chcę twojego miecza, chłopcze - rzucił Gallus z roztargnieniem, oglądając moją broń. - Chcę, żebyś korzystał z niego w mojej służbie. Ale ładna sztuka. - Skinął głową i oddał mi miecz. - Dobrze. Mój za twój jeśli przegrasz. A jeśli jakimś parszywym d'angelińskim cudem wygrasz?

- Twój sen, panie - oznajmiłem stanowczo. - Cała noc snu.

Jego wyraziście zarysowane brwi, brwi satyra, strzeliły ku brzegowi hełmu.

- Na słodkie cycki westalek! Przemieniłeś się w przeklętą niańkę! - Ze śmiechem odwrócił się w stronę rekrutów. - Co wy na to, chłopcy? Czy Gallus Tadiusz da Lukka potrzebuje snu?

- Nie, panie! - krzyknęli.

Gallus może nie potrzebował, ale Lucjusz tak.

- Umowa stoi, panie? - zapytałem z uporem. Wzruszył ramionami.

- Czemu nie?

Poszło szybko. Obserwowałem go, gdy walczył. Nie miał żadnego doświadczenia z płynnym stylem kasjelickim, ale wiedziałem, że jeśli dam mu szansę się dostosować, zwycięży. Nie dałem mu szansy. Machnąłem mieczem z prawa na lewo w wysokim, zamaszystym łuku, zmuszając go do podniesienia broni, i kontynuowałem krąg, marnując cios w jego nogi. Przemknąłem pod jego mieczem i skoczyłem w prawo, wydośćając się spoza jego zasięgu.

Obrócił głowę w niewłaściwą stronę. Zobaczyłem pasek odsłoniętej skóry pomiędzy hełmem i pancerzem, zobaczyłem pulsującą żyłę.

Nie uderzyłem. Obróciłem się za nim, odwracając plecami do niego, trzymając miecz wysoko i blisko przy sobie. Kręgi w kręgach, jak nauczył mnie Joscelin. Gallus znalazł się w moim kręgu, zbyt wcześnie wyciągając rękę. Obracał się w lewo. Byłem na prawo od niego, gdzie się mnie nie spodziewał. Trzymając oburącz rękojeść, opuściłem głowicę na grzbiet jego chronionej rękawicą dłoni.

Ręka otworzyła się mimo woli.

Upuścił miecz.

Patrzący rekruci sapnęli, a Eamonn zachichotał. Schowałem miecz i odstałem z ukłonem.

- Cóż - mruknął Gallus Tadiusz. Odłożył tarczę i potrząsnął ręką, która musiała piec go dotkliwie. - No, no. - Podniósł miecz i schował do pochwy. - Jesteś pełen niespodzianek, D'Angelinie.

- Tak, panie.

Podszedł do mnie. Nie mogłem odczytać jego miny; wiedziałem tylko, że nie ma w niej nic z Lucjusza. Ale nie było też złej woli.

- Wiesz - mruknął - miałem kiedyś D'Angelina w Czerwonej Pladze. Doucet, coś takiego. Wpakował się w kraju w jakieś tarapaty i postanowił wieść życie najemnika. Pewnie go nie znasz?

Pokręciłem głową.

- To liczny naród, panie.

- Tak. I pewnie już dawno nie żyje. Pochodził z Kamlachu, jak pamiętam. Wpadał w lekki obłąd, gdy walczył. Inny styl. Ładniutki drań, choć nie tak ładny jak ty, ani w po-

łowie. Przed bitwą zwykł się modlić do jednego z waszych parszywych d'angelińskich bogów.

-Do Kamaela - powiedziałem, odprężając się. - Najpewniej.

- Do Kamaela. Tak. - Pokiwał głową, po czym trzasnął mnie w twarz. Bolało jak wszyscy diabli. Uderzył w lewy policzek pięścią w rękawicy, zbijając mnie z nóg. Poczulem ziemię pod plecami i zrobiłem przewrót w tył, odruchowo sięgając po sztylety. Nie było miejsca na wyciągnięcie miecza, ale nie na sztylety. Poderwałem się z sykiem, na wpół oślepiony, ze łzami w lewym oku, za sztyletami w rękach. Gallus Tadiusz patrzył na mnie, stojąc z rękami na biodrach.

- Jedna sprawa, chłopcze. Jeśli chcemy pokonać tych zarażonych francą valpetrańskich synów dziwek, będziemy musieli stać ramię przy ramieniu, tarcza przy tarczy. Każdy zna swój obowiązek. Każdy liczy, że ten obok niego też zna. Dzięki temu zachowacie życie na polu bitwy. Na tym polega wojsko. Nie mam pojęcia, kto cię uczył, ale to wojna, nie arena Radiatora. Będziesz wirować jak tania dziwka na scenie akrobaty, a zginą twoi towarzysze. Rozumiesz?

Nie chciałem, ale rozumiałem.

- Tak - wychrypiałem.

- Dobrze. - Ruchem brody wskazał czekających rekrutów. - Następny!

Gallus wypróbował resztę naszej kompanii, jednego po drugim. Gdy skończył, ustawił nas parami wedle umiejętności i kazał nam się zmierzyć. Mianował Eamonna dowódcą drużyny.

- Naucz ich podstaw, Książę Barbarusie - powiedział. - To wszystko, o co proszę. Będziecie tu ćwiczyć, codziennie, do otrzymania nowych rozkazów. Macie godzinę do przebycia następnych. Wykorzystajcie ją dobrze.

Siadł na koń i odjechał.

- Panie! - zawołałem za nim. Gallus obejrzał się przez ramię.

- Niedotrzymanie zakładu przynosi pecha - powiedziałem.

Patrzył na mnie przez długą chwilę. Wykrzywił kącik ust w cieniu uśmiechu i pokręcił głową.

Moim partnerem był młodzieniec o imieniu Orfeo. Wyglądał znajomo, z wąską twarzą o szeroko rozstawionych oczach, które nadawały mu zaciekawiony, ptasi wyraz. Obserwowałem jego pojedynki i poznałem, że ktoś kiedyś uczył go podstaw władania mieczem, ale nauki popadły w zapomnienie z braku praktyki.



- Mój brat, Giancarlo. On mnie nauczył, zanim odszedł. - Orfeo potwierdził moje przypuszczenia.

- Odszedł? Skinął głową.

- Szukać fortuny z kompanią najemników. Przypomniałem sobie, gdzie go widziałem.

- Przyjaźniłeś się z Bartolomeem.

- Tak. - Wąska twarz Orfea pociemniała. - Zabili go jak psa na ulicy! Mam nadzieję, że napadną na miasto - dodał dziko. - Zamierzam go pomścić. - Milczał przez chwilę. - Możesz mnie nauczyć twojego stylu walki?

Pomacałem bolesny guz rosnący na lewym policzku.

- Wykluczone.

Fechtowaliśmy się przez godzinę. To było trudne. Ti-Filip uczył mnie walczyć w konwencjonalny sposób, z mieczem i z tarczą, ale zbyt wiele godzin spędziłem na ćwiczeniach z Joscelinem. Choć dawno nie ćwiczyłem, ciało pamiętało. Poza tym walczyłem bez tarczy. Starłem się podchodzić prosto, ale moje stopy same poruszały się w znajomych wzorach, gdy ostrzem wyznaczałem i blokowałem kwadranry. Orfeo próbował mnie naśladować, obracając się niezgrabnie i strasznie się odsłaniając. Miał okrągłą tarczę, ale tylko skórzany kaftan, jak ja, i bałem się, że przypadkiem go zranię.

Eamonn z powagą traktował dowodzenie. Po zademonstrowaniu, jak należy właściwie używać broni, zaczął krążyć i obserwować, udzielając wskazówek i rad. Po kilku okrążeniach odszedł i wrócił z drugą tarczą, zawarłszy jakąś umowę z jednym z innych rekrutów.

- Trzymaj. - Podał mi ją z poważną miną. - Gallus Tadiusz ma rację, Imri. Przynajmniej w tej sprawie.

Wsunąłem rękę w pas i zacisnąłem rękę na gładkim uchwycie.

- Wiem, wiem. - Wypróbowałem ciężar tarczy. Krępowała mi ruchy, ale przypuszczałem, że do niej przywyknę. - Jesteś w tym dobry.

Eamonn wyszczerzył zęby. -Jestem, no nie?

Przez resztę czasu okładaliśmy się z Orfeem. Czuję się niezdarny, tarcza mi ciążyła, i przez to szanse się wyrównały. Gdy przybyła następna grupa rekrutów, miałem wrażenie, że lewa ręka przemieniła się w ołów, i z radością schowałem miecz do pochwy.

Tak zaczął się nowy rozkład dnia w Lukce.

Był to czas żaloszny. Nienawidziłem zarwanych nocy na konnym patrolu i dni rozbitych przez musztrę. Nienawidziłem tarczy i konieczności ograniczania się do stylu, który nie pozwalał mi na wykorzystanie z trudem nabytych umiejętności. Wszystkim, czego mnie kiedyś uczono, było ratowanie własnego życia. Gallus Tadiusz kładł nacisk na trzymanie szyku i obronę towarzysza broni. Rozumiałem to - nawet Joscelin pierwszy przyznałby, że bracia kasjelici nie są szkoleni do walki na polu bitwy - a jednak się zżymałem.

Gallus dotrzymał warunków zakładu.

Dowiedziałem się o tym tej nocy, gdy wraz z Eamonnem wróciliśmy z patrolu. Pomimo późnej pory pani Beatrice czekała na nas w atrium. Drgnąłem, przypominając sobie o jej córce. Ciemnorude włosy spływały jej na ramiona, jej pulchną, miłą twarz rozjaśniało zadowolenie, gdy nas uciszała.

-Śpi! - szepnęła.

Eamonn spojrzał na mnie.

-Niech mnie diabli!

Lubiłem myśleć, że to pomogło, przynajmniej trochę. Kiedy zobaczyłem go następnym razem, Gallus Tadiusz z większą swobodą nosił twarz Lucjusza. Ale nie potrafiło to długo. Znow był na nogach we dnie i w nocy, śledząc postępy prac Valpetry, Czerwonej Plagi i murarzy wzmacniających mur. Jeździł po mieście, dokładnie sprawdzając pozycje obronne i punkty obserwacyjne.

Spędzał długie godziny na naradach z kapłanami.

Ponieważ nie wydawał się zbyt przejęty willą Tadiuszów, która nie stała w strategicznym miejscu, dotrzymałem słowa danego Klaudii Ful-wii i sam się nią zająłem. Z błogosławieństwem pani Beatrice udałem się do Publiusza Tadiusza.

Bezpośrednio po powrocie z placu ćwiczeń i bez zaproszenia wszedłem do jego gabinetu. Przykazał, że nie należy mu przeszkadzać, ale żona odwołała jego rozkaz. Siedział przy oknie, pogrążony w lekturze, zupełnie jakby Lukka nie była obleżona. Uniósł głowę, gdy wszedłem. Miał nieobecne spojrzenie.

- Słucham?

Stałem przed nim, woda ściekała ze mnie na dywan. Padało. Ulewa zakończyła długotrwałą suszę i miałem za sobą żaloszny dzień musztry. Ćwiczyliśmy teraz potyczki oddziały z oddziałem i większą część dwóch godzin spędziłem w głębokim po kostki zimnym błocie, uderzając tarczą, pchając i postępując.

- Panie, czy wiesz, kim jestem? - zapytałem.

Wyraz jego twarzy zmienił się powoli, wróciła pewna miara rozsądku, chłodnego i pełnego dezaprobaty. Zaznaczył miejsce w książce i odłożył ją na bok.

-Jeśli mówisz o swoich relacjach z moim synem, nieszczęśliwie mi zależy, żeby o tym słuchać.

- Twój syn. - Woda ściekała mi z włosów na oczy. Otarłem je karwaszem. - Panie, twój syn jest dobrym człowiekiem i modłę się do Błogosławionego Elui, żebyś pewnego dnia miał szansę się o tym przekonać.

Ściągnął usta.

- Nie masz prawa mnie osądzać.

Patrzyłem na niego, spoglądając poza rozgoryczenie, rozczarowanie i przekonanie o własnej nieomyślności. Ujrzałem cienie na jego duszy. Strach, tęsknota i głęboko zakorzeniona nienawiść do siebie samego.

- Boisz się go, prawda? Swojego dziadka? Odwrócił wzrok.

- Wyjdź, proszę.

- Panie. - Rozłożyłem ręce. - Ja też się boję. Ale jestem tutaj i walczę dla Lukki na rozkaz twojego nawiedzonego przez ducha syna i twojego szalonego dziadka, martwego strasznego geniusza. Jeśli książę Terre d'Ange może zrobić tyle dla obcego miasta, z pewnością wnuk Gallusa Tadiusza może się ruszyć w obronie własnego domu.

Publiuszowi zadrżała szczęka.

- Nie rozumiesz.

- Tak, rozumiem. Nie zwariowałaś, panie, tylko szukasz tu azylu. Pora go opuścić. Lukka cię potrzebuje. Twoja rodzina cię potrzebuje.

Spojrzał na mnie, jego spojrzenie skoczyło w bok. Wreszcie wziął się w garść.

- Co mam zrobić?

Poprowadziłem go przez willę, mówiąc mu o tamie i możliwej powodzi, o wyłomie, który może powstać w murach miasta. Pokazałem mu, że przenieśliśmy zapasy i wartościowe przedmioty na piętro.

- Sądzisz, że do tego dojdzie? - zapytał.

-Możliwe. Jeśli tak, panie, nie będzie mnie tutaj, żeby bronić willi przed grabieżą. Nie będzie mnie tutaj, żeby bronić czci pani Beatrice. Będę na ulicach, zajęty walką. Ty musisz pomóc.

-Tyle mogę. - Oczy miał czyste i o wiele młodsze. - Tak. Uśmiechnąłem się.

- To dobrze.

Jak się okazało, miał do tego smykałkę. W ciągu następnych dni piętro willi Tadiuszów zostało przemienione w bastion. Schody zostaną zatarasowane, drzwi zaryglowane i zabarykadowane. Z balkonów posypie się grad strzał, poleją się strugi wrzącej wody. Jeśli Lukka się utrzyma, to willa też przetrwa.

Przynajmniej przez jakiś czas.

Inni w całym mieście robili to samo. Jak na miasto handlowe, mało handlowano. Nikt nie mógł wejść do miasta ani go opuścić, a Gallus Tadiusz zakazał handlu kupcom, którzy zostali uwięzieni w Lukce. Musiałem przyznać, że zna się na rzeczy. Wszystkie skonfiskowane dobra zostały równo podzielone. Każdego przyłapanego na ukrywaniu zapasów czekała śmierć. Doszło do tego dwa razy. W obu przypadkach winni zawiśli na szubienicy na rynku.

Okazało się to skutecznym czynnikiem odstrasającym. Bp Słuchajcie! - ryknął Gallus, jeżdżąc w tę i z powrotem przed kołyszącym się trupem. Wskazał palcem na zgromadzony tłum. - Lukka się trzyma. Doki się trzyma, i póki będzie garść ziarna do podziału, nikt spośród was, mężczyzna, kobieta czy dziecko, nie zazna głodu. - Wyszczerezył zęby w uśmiechu trupiej czaszki. - I będziecie się dzielić, pod karą śmierci.

Nie było wiadomości z Terre d'Ange, nie było wiadomości z Tyberium, żadnych wiadomości od Niewidzialnej Gildii. Raz widziałem Canisa, gdy mijały się nasze drużyny. Zaczynaliśmy ćwiczyć pchnięcia włóczniami. Raz stoczyliśmy utarczkę z jego oddziałem. Ledwo widziałem go w deszczu. Wyglądało na to, że dobrze się spisał. Po starciu, kilku kolegów z aprobatą klepało go po plecach. Paru naszych skarżyło się, że głuchoniemy ma ciężką rękę. A potem Gallus Tadiusz zmienił rozkazy. Każdemu oddziałowi wyznaczył określoną część miasta i zaczęliśmy szkolenie na ulicach. Padało.

Woda w fosie wzbierała.

Poszedłem zobaczyć się z Heleną Correggio.

## PIĘĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

---

W domu Correggiów przyjęto mnie uprzejmie. Gaetano był nieobecny, gdy złożyłem wizytę w palazzo, ale Dacia, matka Heleny, powitała mnie niskim dygnięciem.

- Wasza Wysokość, brak mi słów na wyrażenie wdzięczności.

Była wysoką, elegancką kobietą o życzliwych oczach i natychmiast ją polubiłem. Prawdę mówiąc, choć szaleństwo spadło na Lukkę, kobiety znosiły je z nieskończoną większą gracją niż mężczyźni. Z drugiej strony, ich zmarli nie byli tyranami i najemnymi żołnierzami.

Po uciszeniu mojego grzecznego sprzeciwu, zaprowadziła mnie do salonu i posłała powiadomić córkę. Służący przyniósł karafkę rozcieńzonego wina i talerz daktyli; szczyt gościnności podczas oblężenia. Zjadłem daktyla i oszczędnie sączyłem wino, pomny, że uszczuplam czyjąś dzienną rację. Przez większość dni głód skręcał mi kiszki.

Niedługo później zjawiała się Helena.

To mnie zaskoczyło, gdyż znając już kulturę caerdicci, wiedziałem, że nie wolno nam spotykać się bez przyzwoitki. Potem przypomniałem sobie, że przecież Helena jest zamężną kobietą i już nie dziewicą. Bez względu na to, jaką wartość Caerdicci przywiązują do cnoty, w jej przypadku to już nie miało znaczenia.

Z początku czułem się niezręcznie. Choć coś nas wiązało, byliśmy sobie obcy. Przeskakiwaliśmy z tematu na temat, rozmawiając głównie o oblężeniu i jego skutkach. To Helena pokonała skrępowanie i przeszła de sedna.

- Opowiesz mi swoją historię? - zapytała. - Prawdziwą historię? Zawahałem się.

- Pani, dlaczego chcesz wiedzieć?

Mocno ścisnęła dłonie, nieświadomie poruszając palcami.

- Znam opowieść, którą opowiedziała mi bona; opowieść o Bella Donnie i jej zaginionym dziecku. Ojciec mówił mi, że to nieprawda, że to tylko głupie babskie wymysły wysnute z plotki i intrygi. Jest inaczej, prawda? Nie tylko z tym. Chcę poznać całą historię.

- Nielekko mi o tym mówić. Splotła palce.

- Nielekko mi o to prosić.

Tak więc jej powiedziałem.

W innym czasie, w innym miejscu, mógłbym tego nie zrobić. Nie wiem. Wydawała się zbyt młoda, żeby udźwignąć brzemień mojej mrocznej opowieści, ze swoimi lśnącymi, delikatnymi jak u dziecka włosami i z czystymi błękitnymi oczyma. Ale dźwigała już własne brzemień zdrady i utraty niewinności, i gdy zacząłem mówić, słowa popłynęły nieprzerwanym strumieniem. Powiedziałem jej, że wychowałem się, zupełnie nieświadom mojego pochodzenia, w sanktuarium Elui, gdzie moja matka ukryła mnie przed światem. Opowiedziałem jej o porwaniu przez handlarzy niewolników, i o ku-

pieniu mnie przez Fadila Choumę. O podróży do Menechetu, gdzie Chouma sprzedał mnie akamakowi, drudzańskiemu kapłanowi kości.

Daršanaga.

Powiedziałem jej tylko, że to było straszne miejsce z obłąkanym władcą, który robił złe rzeczy. Wystarczyło. Powiedziałem jej, że niektórzy umarli, a inni przeżyli, i że wszyscy trzymaliśmy rozpacz na wodzy każdej minuty, każdej godziny, każdego dnia. I powiedziałem jej, jak zjawiała się Fedra, przynosząc nieprawdopodobny dar nadziei. Jak dowiedziałem się, kim jestem.

Helena słuchała w milczeniu, pijąc słowa z moich ust niczym spragniona ziemia wodę. Kiedy skończyłem, przez chwilę siedzieliśmy w ciszy.

Więc to prawda - mruknęła w końcu. - W pewien sposób. Prawda i nieprawda.

- Jak większość opowieści, pani.

Szybki uśmiech przemknął po jej twarzy, tak ulotny, że ledwo go dostrzegłem.

- Modliłam się do niej - podjęła. - Gdy Lucjusz mi powiedział, że mnie nic poślubi, że jedzie do Tyberium. Wymknęłam się o nowiu, poszłam na skrzyżowanie ulic przed naszym domem, gdzie składamy ofiary Lares Compitales, i schowałam trzy paciorki pod kamieniem bruku, jak poradziła mi bona. - Podciągnęła kolana, objęła je. - Modliłam się do Bella Donny, żeby znalazła sposób na ocalenie mnie przed Domenikiem Martellim da Valpetra i pozwoliła mi być z Bartolomeem. - Powinnaś być bardziej konkretna - skomentowałem cierpko, Szeroko otworzyła oczy i śmiech wyrwał się z jej gardła.

- Och, Bona Dea! - Zakryła usta rękami, dusząc śmiech. - To nie jest zabawne. Ale kiedy cię zobaczyłam, byłam taka pewna... Jestem tylko...

- Wiem - przerwała mi Helena, poważniejąc. - Wiem. Ale to prawda, czyż nie? Prawda i nieprawda. Myślisz... czy myślisz, że bogowie zawsze w ten sposób odpowiadają na nasze modlitwy? Pokrętnie?

- Możliwe. - Uśmiechnąłem się. - Dobrze to ujęłaś. Uśmiechnęła się do mnie, naprawdę. Uśmiech zgasł szybko.

- Cofnęłabym modły, gdybym mogła. - Potarła kolana. - Gdyby to oznaczało, że Bartolomeo powróci.

- To nie twoja wina - zapewniłem łagodnie. - Valpetra jest okrutnym, chciwym człowiekiem. Chciał mieć Lukkę i do tego zmierzał, Heleno. Twoje modlitwy nie miały z tym nic wspólnego.

- Nie? - Zacisnęła ręce na kolanach. - Bartolomeo zginął, ponieważ mnie kochał. Chciałam umrzeć tej nocy. Naprawdę tego chciałam. Ale bałam się, a Valpetra obie-

cał... obiecał, że oszczędzi moich rodziców, jeśli zrobię, co każe, więc zrobiłam. - Łzy błysnęły w jej oczach. - Bogowie! Powinnam dać mu się zabić. Gdybym miała odwagę, własną ręką odebrałabym sobie życie i dołączyła do Bartolomea.

- Heleno, nie. - Ukląknę przed nią na podłodze i chwyciłem jej rękę. - Twojej matce pękłoby serce. Nie jesteś niczemu winna.

- Ale czuję, że jestem - szepnęła.

- Wiem. - Pokiwałem głową. - Będziesz nosić poczucie winy jak kamień w brzuchu, ponieważ spotkały cię złe rzeczy. Nie wiesz, dlaczego. Nie wiesz, dlaczego to robimy. Może dlatego, że to jest łatwiejsze, niż przyjęcie do wiadomości, że świat może być okrutny i niesprawiedliwy, że bogowie odpowiadają na nasze modlitwy w najlepszym wypadku tylko w pokrętny sposób.

Helena pociągnęła nosem, ale wzrok, choć oczy były zasnutę łzami, miała skupiony.

- Jak ty z tym żyjesz? Przysiadłem na piętach.

- Zwyczajnie, dzień po dniu. Wtedy łatwiej to znieść. Z wdziękiem przyjmuj dar życia i staraj się być go godna. - Ścisnąłem jej rękę. - Czy to ma sens?

- Tak, trochę. - Uwolniła dłoń i musnęła mój posiniaczony policzek delikatnie, jak skrzydełko ćmy. - Nie byłoby cię tutaj, gdybyś mnie nie ocalił, prawda? Słyszałam, co Valpetra powiedział D'Angelinom, którzy po ciebie przybyli.

Wzruszyłem ramionami.

- To nie ma znaczenia.

- Dla mnie ma. - Powaga malowała się na jej twarzy. - Postaram się być godna.

Patrzyliśmy na siebie o chwilę za długo.

Dość długo, bym uświadomił sobie, że chcę wziąć ją w ramiona i scałować jej łzy, i łagodnymi słowami ukoić ból w jej sercu. Pozwolić jej zrozumieć, że miłość jest ufnością, rzeczą świętą, której nie może zszargać żadne upodlenie, której żadna zdrada nie może zniszczyć. Dać jej schronienie, zaoferować ochronę. Eluo! Jakże tęskniłem za czułością.

Powiniennem już pójść - mruknąłem, odsuwając się od niej. - Nie, proszę! - Głos jej się załamał.

- Muszę. - Podniosłem się, ona również. - Heleno... - Wiem. To tylko... - Z zacieklą determinacją starła ślady łez, choć nowe już wzbierały w oczach. - Co mówiłeś o karłowatym drzewie?

Dotknąłem jej włosów. Rzeczywiście były delikatne niczym jedwab. - Asklepios przyszedł do mnie we śnie. W świątyni. Mówił o ranach. Powiedział mi, bym z dumą nosił blizny. Powiedział mi, „Nawet karłowate drzewo wyciąga gałęzie ku słońcu”. Świecisz bardzo jasno za łzami, pani. Obawiam się tylko, że to jedyny dar, jaki mieliśmy sobie przekazać.

Zamknęła pełne łez oczy.

- Wystarczy. Skinąłem głową. - Tak.

Czułem się lżejszy, gdy wyszedłem z domu Correggiów; melancholijny, ale również lżejszy i jakby obcy we własnej skórze. Pokój. Zawarłem pokój ze sobą. Nie czułem się tak od czasu, gdy wyszedłem z Domu Melisy, uleczony z bolesnych ran moich młodzieńczych pragnień. Zmyte przez deszcz ulice Lukki wydawały się niepospolicie piękne. W całym mieście ludzie zajmowali się codziennymi sprawami, pragnąc zachować pozory zwyczajnego życia. Byli zmarznięci, głodni i przerażeni, ale trzymali się najlepiej jak mogli, kłócąc się, żyjąc, kochając. Chciałbym ochronić ich wszystkich, wziąć w ramiona.

Wezbrała we mnie ogromna czułość. Zostałem w życiu pobłogosławiony, pomyślałem. Cierpiałem w ciemnościach, ale znałem też jasne chwile; niewysłowienie jasne. Jeśli umrę w Lukce, to z myślą, że nie zmarnowałem życia.

Na głównym placu zsiadłem z konia. Nie bacząc na zaciekawione spojrzenia, pochyliłem się i dotknąłem kamieni bruku. Skłoniłem głowę, mokre włosy zasłoniły moją twarz.

- Błogosławiony Eluo - szepnąłem - jestem w twojej ręce. Jeśli przysłałeś mnie tu z jakiegoś powodu, pozwól mi służyć ci dobrze. Potężny Kuszielu, przyjmij modlitwę swojego niechętnego potomka. Jeśli mam służyć jako narzędzie twej sprawiedliwości, posługuj się mną do woli.

Nie doczekałem się odpowiedzi; wokół panowała cisza. Wyprostowałem się i spojrzałem na wypaloną wieżę dzwonną. Dotąd nie ośmieliłem się do niej wejść.

Tego dnia wszedłem.

Niewiele było do oglądania. Ogień strawił wnętrze, zostały tylko szczątki schodów wijących się w górę po wewnętrznych ścianach. Mury tworzyły pustą skorupę. Na szczycie zachowało się kilka poczerniałych belek, na których kiedyś wisiał dzwon. Stado gołębi zerwało się do lotu, łopot skrzydeł tłukł się echem w pustej wieży.

Pośrodku podłogi, na wpół zasypany przez gruzy, znajdował się dół mundus manes.

Zakrywająca go okrągła marmurowa płyta pękła na dwoje. Nikt nie poruszył jej od czasu pożaru. Szczelina pomiędzy połowami była niewielka, najwyżej na dłoń w naj-



szerszym miejscu. Stałem przed mundus manes, patrząc na ciemną, nierówną szczelinę, próbując wyobrazić sobie, co pod nią leży.

Dół wykopany w ziemi czy brama do piekła?

Gdybym miał pochodnię, mógłbym odciągnąć połowę pokrywy i rzucić światło w ciemności. I wiedziałem, z taką pewnością, z jaką znam swoje imię, co bym zobaczył. Dół wykopany ludzkimi rękami. Pełzające robactwo, uciekające przed światłem na niezliczonych odnóżach. Nic więcej.

A jednak włos mi się zjeżył na głowie.

Prawda i nieprawda.

Może być jedno i drugie, pomyślałem. Helena ma rację. Dlatego raz jeszcze skłoniłem głowę i zmówiłem modlitwy. Modlitwy do bogów tego miejsca, do lar rodziny, miasta i pola. Modlitwy za czcigodnych zmarłych, i modlitwy za niegodnych zmarłych. Modlitwy do Dis Pater, pana świata podziemnego, i do jego żony Prozerpiny. Nie było w tym bluźnierstwa. Wszak D'Angelinowie są najmłodszymi dziećmi Ziemi. Pragniemy stąpać lekko po jej łonie, czcząc bogów wszystkich miejsc.

Dosiadłem Bękartą i odjechałem.

Nie opuścił mnie dziwny nastrój. Opadł mi na ramiona niczym płaszcz, a ja się weń wtuliłem. Eamonn zauważył to, gdy towarzyszyłem mu na patrolu tej nocy. Byłem niecodziennie milczący, skupiony na własnych odczuciach.

- Jesteś jak nie z tego świata - powiedział. - Myślę o życiu. I o śmierci. Eamonn po kiwał głową.

-I dobrze.

Noc była cicha. Zataczaliśmy spokojne kręgi w murach Lukki. Za nimi oddział jazdy Valpetry robił to samo. Jeździli na zmiany, w dzień i w nocy, okrążając miasto, żeby nikt nie spróbował ucieczki. Przemierzali całą długość kanału, by mieć pewność, że nie spróbujemy poczynić jakichś szkód. Nasze warty czuwały, żeby Valpetra nie przypuścił niespodziewanego ataku, i wypatrywały jakiegoś uchybienia w czujności jego straży. Gallus Tadiusz miał pod ręką gotową kompanię ludzi uzbrojonych w oskardy i łomy. Mieliśmy przekazać mu wiadomość przy pierwszej Sposobności. Jeśli uda się zniszczyć część kanału, rzeka nieszkodliwie zaleje pola wokół miasta.

Ale nie było żadnych uchybień, a tama na rzece nabierała kształtu.

Poszedłem zobaczyć ją na drugi dzień po odwiedzinach Heleny. Wielka sterta gruzu wznosiła się w miejscu, gdzie kiedyś akwedukt przechodził pod murem. Murarze dołożyli wszelkich starań, żeby wznieść solidną przyporę, ale ograniczał ich brak materiałów. Wykorzystując cegły z chylących się ku ruinie budynków, sklecieli niezgrabną

konstrukcję scaloną przez zaprawę, która niezbyt dobrze trzymała w deszczu. Na wierzchu spiętrzyli tyle ziemi i gruzu, ile tylko mogli. Nikt nie miał pojęcia, czy w ogóle wytrzyma, a jeśli tak, to jak długo.

Wartownik, dobroduszny człowiek o imieniu Pollio, wpuścił mnie na szczyt muru. Gallus Tadiusz nie zabraniał nam patrzenia na postępy prac nieprzyjaciela. Uznał, że będzie lepiej, gdy się dowiemy, co nas czeka. Niektórzy woleli nie wiedzieć. Ja do nich nie należałem.

Widok napawał przygnębieniem. Deszcze rozmiękczyły poczerńiałe po pożarze pola. Za nimi leżała rzeka. Już nie wiała się po równinie niczym srebrna wstążka. Ludzie Valpetry zrobili dokładnie to, co przewidział Gallus Tadiusz. Przegrodzili koryto powyżej i poniżej kanału, żeby skierować rzekę w stronę miasta. Tamy były brzydkie jak nasza przypo-ra, a nawet brzydsze, jak sądzę, wzniesione z ubitej ziemi i powalonych drzew. Ani one, ani przypora nie przetrwają długo. Ale jeszcze trwały.

Rzeka się podnosiła powyżej górnej tamy. Zła i wezbrana od deszczu, szukała drogi ucieczki. Widziałem, jak ludzie Valpetry pomykają po wale, podwyższając go, wzmacniając boki. Inni pracowali gorączkowo przy dolnej zaporze. Nie musi trzymać długo, wcale nie. Wystarczy, że wytrzyma ten pierwszy, wściekły atak wody na kanał do Lukki.

- Już niedługo - powiedział Polio. - Lada dzień.

Za rzeką stał las namiotów, obwisłych na deszczu. Pomyślałem o ludziach Valpetry, o ludziach Syłwanusa. Musieli być przemoczeni i zmęczeni, przemrożeni do kości. I głodni. Żałośni jak niekończące się dni musztry i noce patroli; ja przynajmniej mogłem wracać do willi, gdzie dostawałem racje pożywienia, gdzie miałem dach nad głową i łóżko pełne ciepłych, suchych koców. O ile los się nie odmieni, niedługo wszyscy będziemy robić co w naszej mocy, żeby się pozabijać w jak najkrótszym czasie. Wydało mi się to dziwne, bo przecież byliśmy sobie obcy. Zapytałem Polliona, czy ma podobne odczucia.

Zmierzył mnie wzrokiem, jakbym przemówił w obcym języku.

-To wojna, nie? W każdym razie, ty nie jesteś obcy Valpetrze. On cię dobrze pamięta.

- Wiem.

Każdą wolną godzinę wypełniały ćwiczenia. Powtarzaliśmy plan Gallusa Tadiusza, plan walki i odwrotu. W owym czasie każdy oddział mógł się wykazać mniejszą czy większą sprawnością. Muszę przyznać, choć mi to nie w smak, że nasze postępy napawały mnie odrobiną dumy. Wymyśliliśmy przyjacielską rywalizację, przypuszczając pozorowane ataki na terytoria innych oddziałów. Drużyny zyskały przydomki - nasza to Barbarus, oczywiście - ale wszyscy razem tworzyliśmy Czerwoną Plagę. Ćwiczyli-

śmy na ulicach, zapamiętywaliśmy zaułki i skróty, a także grane na rogu sygnały, które miały przenosić rozkazy Gallusa Tadiusza. Robiliśmy skrytki z żywnością i bukłakami z wodą na pustych niższych piętrach budynków, opracowywaliśmy plany zasadzek i pułapek.

Dotąd nie spotkałem się z takim niezłomnym poczuciem koleżeństwa. Wszyscy w Barbarusie poznaliśmy się w sposób wykraczający poza moje dotychczasowe doświadczenie, powierzchownie i dogłębnie zarazem. W większości przypadków nie znałem ich dziejów, ich nadziei i marzeń... prawdę powiedziawszy, w ogóle nie znaliśmy się po nazwisku. Ale wiedziałem, że Orfeo chce pomścić śmierć Bartolomea Ponziego i że jest w gorącej wodzie kąpany. Wiedziałem, że cichy Konstantyn ani razu się nie wzdrygnął przed ciosem i że dobrze jest mieć go u boku. Wiedziałem, że Matiusz stara się zachować pozycję, gdy ściera się tarczą z przeciwnikiem, i że u Baldessara zawsze można liczyć na żart. Wiedziałem co nieco o każdym z nich.

Wszyscy byli zwyczajnymi ludźmi.

Nie mam pojęcia, co myśleli o mnie. Jestem D'Angelinem, więc z początku podchodzili do mnie z mieszaniną podziwu i pogardy, co wydaje się normalne u wszyskich Caerdicci. Oczywiście chodziły słuchy, że jestem księciem krwi, że odciąłem rękę diukowi Valpetry, że on dyszy zemstą. Ale po pojedynku z Gallusem Tadiuszem nie zrobiłem niczego, by przyciągnąć ich uwagę, i pracowałem bez słowa skargi. Znalazłem rymarza, który sporządził pasek do mojego hełmu. Utaplany błotem rekrut w hełmie na głowie niczym się nie różni od każdego innego rekruta, D'Angelin czy nie. Z czasem zapomnieli. Uwielbiali Eamonna.

Naprawdę, miał dryg do dowodzenia. Bystry, dobroduszny i nieustraszony, umiał zjednywać sobie ludzi. Nikogo nie obchodziło, że jest księciem z urodzenia, a na dokładkę półkrwi D'Angelinem. Był Eamonnem. Zyskał szacunek dzięki pochwałom Gallusa Tadiusza i własnym poczynaniom, i podbił ich serca swoim szerokim uśmiechem. Podczas ćwiczeń pracował równie ciężko albo ciężiej niż każdy z nas, z gołą głową na deszczu, z czerwonozłotymi włosami przyklejonymi do czaszki, wydając rozkazy gromkim, radosnym głosem.

Nie zazdrościłem mu, ani trochę. Dźwigał ciężkie brzemie. Nie było wśród nas człowieka, łącznie ze mną, który by nie wiedział, że Eamonn ruszy pierwszy do ataku i ostatni do odwrotu. Czasami chciałem, dla jego dobra, żeby wykazywał się mniejszą walecznością.

Gallus Tadiusz zrobił jeden ukłon w naszą stronę. Razem wzięwszy, Czerwoną Plagę tworzyły dwadzieścia cztery oddziały i Barbarus miał zająć daleką pozycję tuż przed strażą tylną. Jeśli mur pęknie i ludzie Valpetry wedrą się do miasta, my jako jedni z ostatnich podejmiemy wysiłek powstrzymania nieprzyjaciela. Gallus wyznaczył nam do obrony peryferia niedaleko bramy.

Więszego bezpieczeństwa nie mógł nam zapewnić... oczywiście, pod Warunkiem, że powstrzyma się od stracenia nas za zdradę, jeśli odmówimy watki w obronie Lukki.

Mimo wszystko, podziękowałem mu za wspaniałość. Przeszył mnie jednym ze swych świdrujących spojrzeń. Wrócił do swoich dawnych nawyków i znów obywatł się bez snu. Jego twarz na powrót stała się straszną maską z głęboko zapadniętymi oczodołami. Nie dostrzegłem w niej śladu Lucjusza.

- Nie ma za co - powiedział. To było wszystko.

## SZEŚĆDZIESIĄT

---

Posilaliśmy się w willi, gdy ryknęły rogi. Gallus Tadiusz obmyślił tuzin sygnałów, ale ten, który zapowiadał powódź, był prosty i niedwuznaczny: jednostajny nieprzerwany ton, powtarzany bez końca. Kiedy zagrał pierwszy wartownik na murach, dwudziestu innych podchwyciło sygnał.

Przez jedno uderzenie serca patrzyliśmy na siebie. Pani Beatrice zbladła.

- Bierz ekwipunek - poleciał Eamonn, obejmując dowodzenie. - Panie, wiesz co robić - powiedział do Publiusza Tadiusza. - Dopilnujesz przeprowadzenia koni na wyżej położone miejsce?

- Tak. - Wysunął szczękę na znak zdecydowania. - Idźcie! Śpiesznie przywdzialiśmy zbroje i popędziliśmy do bazyliki. Serce mi

waliło niczym dżebeński bęben wojenny. Nie znałem szczegółów tej części planu; Gallus Tadiusz omówił ją tylko z kapłanami. Nie dał żadnej rady Czerwonej Pladze. Wiedzieliśmy, że mamy się zgromadzić na dachu bazyliki, to wszystko.

Biegliśmy z Eamonnem po śliskim od deszczu bruku. Wszędzie, z każdych drzwi, wyskakiwali rekruci. Wymienialiśmy dzikie uśmiechy, rozpoznając się po wystrzępionych czerwonych opaskach.

Za nimi podążały rodziny, żeby szukać schronienia na piętrach rezydencji i insuii. Sklepikarze i karczmarze ryglowali drzwi i porzucali swoje miejsca pracy. Wszystkie składy już były zamknięte, łatwo psujące się dobra przeniesiono w bezpieczne od zalaania miejsca. Na dachach w całym mieście ryczały rogi, powtarzając to samo ostrzeżenie.

*Powódź, powódź, powódź!*

Na dach bazyliki wiodły cztery ciągi schodów i na każdy przypadało po dwustu pięćdziesięciu ludzi - wszyscy z tarczami i włóczyniami. Porwał mnie tłum i poczułem, że oddech ucieka mi w płuc. Było równie źle jak podczas zamieszek w Tyberium, a nawet gorzej, zważywszy na niebezpiecznie wąskie schody. Otaczał mnie zapach wilgotnych kamieni i niemytych ciał. Pchnąłem mocno tarczą czyjeś plecy, klnąc na czym lwiąt stoi.

- Powoli i spokojnie, chłopcy! - ryknął za mną Eamonn, niemal mnie ogłuszając. - Powoli i spokojnie!

Podziałało.

Wysypaliśmy się na dach bazyliki. Wszyscy dowódcy oddziałów krzyczeli do swoich ludzi, nakazując zbiórkę. Eamonn wypatrzył wartownika ze straży miejskiej na północno-zachodnim skraju dachu, z rogiem przy ustach i kuszą zarzuconą na plecy, w szkarłatnej przeszywanicy pociemniałej od deszczu. Trącił mnie łokciem.

-Tam.

Dach bazyliki, kryty czerwoną dachówką, był łagodnie nachylony, tylko tyle, żeby nie zalegała na nim woda. Pobiegliśmy bez wysiłku i stanęliśmy przy strażniku.

-Nadchodzi? - zapytałem, zasapany. - Powódź? Ledwo rzucił na mnie okiem, wyciągając rękę.

-Przerywają tamę.

- Barbarus! - Wrzasnął Eamonn, podrywając ciężką tarczę. - Barba-rus, do mnie!

Przybiegli dwójkami i trójkami, wszyscy. Cała Czerwona Plaga zgromadziła się na dachu, a nasza drużyna dzięki pomysłunkowi Eamonna zajęła najlepsze miejsce. Stłoczyliśmy się wzdłuż krawędzi dachu z wodą chlupoczącą pod nogami i patrzyliśmy ku rzece. Ludzie Valpetry, maleńcy w dali, roili się z *bomami* na górnej zaporze.

- Gdzie Gallus Tadiusz? - zapytał ktoś. Strażnik znów wskazał ręką.

-Tam!

Wyciągnąłem szyję. Gallus Tadiusz był w wypalonej wieży wraz z kilkoma kapłanami. Stali na krętych schodach. Rozpoznałem flamera po szpiczastym nakryciu głowy. Innych nie znałem. Jeden trzymał czarną owcę. młodą i przestraszoną.

- Dagda Mor!- Eamonn ściągnął brwi. - Co oni sobie myślą... - Mundus manes - powiedziałem. - On chce...

Nie dodałem nic więcej, bo w dali górna tama pękła.

Rzeka się uwolniła, była potężna. Widziałem te potężne, w jednej niemal utonąłem, po innych żeglowałem. Majestat Naharu nie ma sobie równych. Nawet rzeka Awilina, która płynie przez miasto Elui, jest większa niż ta w Lukce.

Ale to była zła rzeka, wezbrana od deszczu i przez długi czas uwięziona. Wybuchła przez górną tamę w kilku miejscach i przypuszczam, że zabrała ze sobą kilku ludzi Valpetry. Runęła na dolną tamę, wyrzucając w powietrze szare płachty wody. Mamrotałem pod nosem słowa nadziei, że zaporę pęknie.

Przeciekąca, ale trzymała.

Gdy fale zderzyły się z sobą, rzeka runęła ku jednemu możliwemu ujściu. Kręta niczym wąż, szukała drogi ucieczki. Popędziła długim, płytkim kanałem, występując z brzegów i kierując się prosto ku Lukce. Choć widok był straszny, wszyscy patrzyliśmy w milczeniu, z rozdziawionymi ustami.

Uderzyła mocno.

Z naszego stanowiska obserwacyjnego widzieliśmy wszystko. Widzieliśmy, jak mur się zatrząsł, usłyszeliśmy głucho trzeszczenie. Przez parę uderzeń serca mur trzymał. Kilku ludzi krzyknęło na wiwat. Ale woda przybierała, ciśnienie narastało.

- Na Eluę! - szepnąłem.

Rozległ się jakby jęk. Mur się wybrzuszył, a potem dosłownie wybuchł, środkowa część się zapadła. Dąb runął do fosy, zabierając ze sobą wartownika. Mozolnie zbudowana przypora rozsypała się, cegły i kawałki drewna wystrzeliły w powietrze. Prąd szarej wody wdarł się do miasta.

Było jej mnóstwo!

Wyglądała jak żywa, jak armia najeźdźców. Płynęła i płynęła. Pochłonęła wszystko w wyłomie, darła jego skraje. Wzięła miasto w posiadanie, rozlewając się i dzieląc, zalewając wszystkie ulice, każdy zaułek, każdy zakamarek. Wyrwała drzwi i rozbijała okiennice. Gdyby mieszkańcy nie zostali ostrzeżeni, dziesiątki ludzi zostałyby porwane przez wodę i utonęły. To się stało tak szybko. Staliśmy na dachu bazyliki i patrzyliśmy, zdjęci grozą.

Poziom wody ciągle się podnosił.

- Myślą, że wypłoszą nas jak szczury - mruknął Eamonn. - I wygląda na to, że są na dobrej drodze. Wymieniliśmy spojrzenia.

- Prosto do piekła - powiedziałem. - Pora uwierzyć. Skinął głową i uniósł rękę.

- Barbarus, trzymać szereg.

Choć mieliśmy niewielki wybór - ostatecznie dokąd mieliśmy pójść - komenda Eamonna podniosła ludzi na duchu i usłyszałem, że inni dowódcy biorą z niego przykład. Daleko na polach obóz Valpetry był w rozsypce, cofająca się fala powodzi rozproszyła ludzi. Przypuszczam, że jej siła im też dała się we znaki. Dolna tama rozsypała się niemal leniwie, ubita ziemia rozpuściła się w wirze błotnistej wody. Przybierająca rzeka rozwidliła się, połowa wracała do starego koryta, reszta wpływała do Lukki, choć ze słabszą siłą. Minie trochę czasu, zanim ludzie Valpetry się zbiorą i przeprawią przez rzekę, nie mówiąc o wykorzystaniu wyłomu, przez który wciąż przepływała połowa rzeki. Powiedziałem to Eamonnowi.

- Wcale nie ma takiego zamiaru. - Skinął głową na południe. - Valpetra spodziewa się, że otworzymy bramę i wypłyniemy, na wpół utopieni, w poddańczej fali prosto w ramiona czekającej jazdy. Uznał, że lepiej zachować piechotę bezpieczną i suchą na drugim brzegu rzeki. - Wyszczrzył zęby. - Tak czy siak, to daje nam trochę czasu!

Spojrzałem ze skraju dachu.

- Będziemy go potrzebować.

Zalane miasto wyglądało dziwnie, wszystkie budynki wyrastały z wody. Miałem nadzieję, że Bękartowi nic się nie stało. Znaleźliśmy dla niego najwyżej położone miejsce w posiadłości Tadiuszów, ale było to niewielkie wzniesienie.

Coś się działo w wieży dzwonnej, choć trudno było zobaczyć co. Usiadłem i okrzyłem gargulec, zwieszając nogi po obu stronach. Przyjemnie było odłożyć tarczę. Patrzyłem na wieżę.

Woda pluskała na stopniu, na którym stał flamen dialis. Trzymał ręce wyciągnięte nad przybierającą wodą, szerokie białe rękawy niemal się moczyły. Docierał do nas śpiew, zbyt cichy, żeby rozróżnić słowa. Od czasu do czasu jeden z kapłanów coś mu podawał: dymiącą kadzielnicę, dzban wina, półmisek ziarna. Flamen dialis wylewał libacje i sypał ofiary do wody nad mundus manes. Śpiew trwał, akcentowany sporadycznym brzękiem brązowych czyneli. Gallus Tadiusz stał obok kapłana, nieruchomy jak posąg.

Trwało to bardzo długo.

Woda się podnosiła. Uwięziona w murach miasta, nie miała dokąd popłynąć.

Ludzie zaczęli pomrukiwać. Ja milczałem, choć wcale im się nie działem. Pomimo moich śmiałych słów, przepełniały mnie wątpliwości, Znacznie łatwiej było wierzyć przed uderzeniem powodzi. Dlaczego uwiedliśmy Gallusowi Tadiuszowi? Dlaczego nikt nie podał w wątpliwość jego słów? W ostatecznym rozrachunku, było to czystsze szaleństwo. Pokładaliśmy wiarę w martwym albo obłąkanym człowieku. Wszystko stało się tak szybko. A jeśli to nie Gallus Tadiusz? A jeśli Lucjusz zwariował? Wierzyłem, że nie... dlaczego? Z powodu snu Alais o człowieku o dwóch twarzach. Z powodu tego, co widziałem w swoim życiu, straszliwą ciemność i cudowne tajemnice.

I, szczerze mówiąc, z powodu samej siły Gallusa Tadiusza, prawdziwego czy nie. Porwał nas niczym rzeka, nie przyjmując do wiadomości żadnego sprzeciwu. Dał nam nadzieję i cel, i my je przyjęliśmy. Nie zadawaliśmy pytań, a przynajmniej niewiele. Pola wokół Lukki wypalił ogień, ulice miasta zalała woda. Wspomniałem, co Dekkus Fulwiusz powiedział na murach w noc burzy ognia, kładąc rękę na moim ramieniu.

„Czy warto coś zniszczyć, żeby to ocalić?”

Wtedy nie miałem odpowiedzi, teraz też nie. Wiedziałem tylko, że w miarę upływu godzin zniszczenia są coraz większe. Przynajmniej Dekkus i Fulwia byli bezpieczni. Sięgając pamięcią wstecz, obliczyłem, że upłynęły dwa tygodnie i jeden dzień od ich wyjazdu. Wydawało się, że znacznie dłużej. Obejrzałem się z rozpaczliwą nadzieją, że na krętej górskiej drodze za miastem zobaczę armię d'angelinckich sprzymierzeńców.

Nie zobaczyłem.

W wieży kapłan trzymający jagnię zszedł po schodach. Podniósł zwierzę i flamen dialis poderżnął mu gardło. Zadrzałem, gdy trzymali je nad wodą, pozwalając spływać krwi. W Terre d'Ange nie składamy żywych ofiar. Z drugiej strony, nie wierzymy w piekło. Tak, powołujemy się na nie w bezmyślnych przekleństwach, ale to nie dla nas. Kiedy Błogosławiony Elua odmówił powrotu do nieba Boga Jedynego, zabarykadował też drogę do piekła. Tylko bracia kasjelici - prawdziwi ortodoksi, nie apostości w rodzaju Joscelina - wierzą w co innego. Na nas czeka inne miejsce.

Kiedy byłem mały, brat Selbert nauczał nas, że z czasem wszystkie dzieci Elui przejdą przez jasną bramę do prawdziwej Terre d'Ange, która leży w zaświarach, choć może to nastąpić za wiele pokoleń. Marzyłem o tym w Daršandze, przekonany, że umrę, i czasami naprawdę tego chciałem. W owych czasach imaginowałem, że prawdziwa Terre d'Ange przypomina sanktuarium Elui, gdzie się wychowałem, tylko że tamtejsze pszczoły nigdy nie żądają i nikomu nie dzieje się krzywda.

Teraz nie mogłem tego sobie wyobrazić.

Mogłem jednakże wyobrazić sobie piekło. Ogromnie przypominało Daršangę.

Siedząc na dachu w zatopionej Lukce, żałowałem, że nie ma tu mistrza Piera. Nigdy nie rozmawialiśmy o życiu pozagrobowym. Zastanawiałem się, co by powiedział. Czy



piekło jest po prostu ludzkim okrucieństwem? Czy to miejsce? A niebo? Czy są naprawdę różne miejsca dla różnych ludzi? W wierzeniach caerdicci zaświaty leżą pod naszymi nogami, niebo obok piekła, Pola Elizejskie i Tartar.

Może to prawda, ale wszystkim, co widziałem, była woda.

Caerdicci wierzą, że w podziemnym świecie płynie pięć rzek - Rzeka Boleści, Rzeka Lamentu, Rzeka Ognia, Rzeka Niezlomnych Przysiąg i Rzeka Zapomnienia. Może, pomyślałem, powinni dodać szóstką: Rzekę Obłąkańczej Głupoty. Na przekór wszystkiemu ta myśl skłoniła mnie do uśmiechu.

- Eamonn... - zacząłem.

Trącił mnie łokciem.

- Cicho. Patrz.

Gallus Tadiusz poruszył się w wieży. Po nieskończeniu długim rytuale i składaniu ofiar, jego ruchy były esencją prostoty. Modlił się tak, jak walczył, bez jednego zbędnego gestu. Pochylił się i coś podniósł; dwie połowy całości.

Maska pośmiertna.

Rzucił ją do wzbierającej wody.

Dostałem gęziej skórki jeszcze zanim woda zaczęła zataczać kręgi. Jak gdyby słuch mi się wyostrzył, wyraźnie usłyszałem trzask brązowych czyneli. Brzmiały jak skrzydła, jak łopot brązowych skrzydeł. Miałem wrażenie, że huczą w mojej czaszce. Na schodach Gallus Tadiusz uniósł głowę, patrząc przez szeroką szczelinę w pękniętej ścianie wieży. Zdawało mi się, że patrzy prosto na mnie, choć było to niemożliwe. Widziałem, jak porusza ustami.

„Wybaczenie”.

Skoczyłem na nogi i przycisnąłem ręce do uszu, próbując stłumić brązowy łoskot. Głośno, tak głośno! Woda w wieży wirowała coraz szybciej. Wir. Widziałem kiedyś wir, ale, choć straszny niczym gniew Rahaba, był jasny, niewysłowienie jasny. Ten nie, i szalał na suchym lądzie, a raczej na lądzie, który powinien być suchy. Niedobrze, wszystko niedobrze.

Ludzie krzyczeli ze strachu, ssący wiatr porywał ich krzyki. Zachwiałem się na skraju dachu, gargulec falował mi przed oczami. Silne ręce pociągnęły mnie do tyłu i Eamonn ryknął mi do ucha, przywołując mnie do rzeczywistości.

W wieży Gallus Tadiusz osunął się na schody. Co dziwne, pojaśniało mi w głowie.

Woda wirowała coraz szybciej. W głębi leja ciemność otworzyła się niczym okrągłe oko. Okropny smak wypełnił moje usta. Woda, smrodliwa i stojąca. Moje piekło, moje wspomnienia. Ale to nie było moje.

Dół rozwierał się szeroko; nie dół, sam mundus manes. Zrobił się szeroki jak wieża, głęboki jak... nie wiem. Nie było miary. Otworzył się w ciemność, całkowitą, nieprzeniknioną ciemność. Wypadło z niej tchnienie wiatru, przyjemne i cuchnące jak nic, co znało moje powonienie, słodkie niczym zapach róży w kroplach rosy, straszne jak smród rozkładających się zwłok. Przenikały mnie tysiące emocji, szybszych niż myśli, gorzkich i radosnych. Wokół mnie ludzie śmiali się i płakali.

Woda spadała kaskadą w mundus manes, bez końca. Już nie wirowała Cokolwiek ją wciągało, ciągnęło prosto w dół, i wszystko było czarne, jakby otchłań świeciła ciemnością niczym przeciwieństwo słońca. Połyskliwa czarna woda przelewała się przez krawędzie. Ryczała ogłuszająco, jak Wielki Wodospad w Dżebe-Barkal. Wydawało się, że to się nie skończy, że otchłań jest bezdena. Faliste płachty gładkiego obsydianu spadały stromo w głąb ziemi.

Owładnęło mną dziwne uniesienie. Pragnąłem skoczyć w ślad za czarną wodą, opaść do tej bezświetlnej krainy. Jakaż byłaby to przygoda!

Wejść do świata podziemnego niczym bohater z legendy, rozmawiać z umarłymi...

„Nie”.

Słowo musnęło moje myśli, miękkie jak brązowe piórko. Zadrzałem i odsunąłem się od krawędzi dachu. Moje miejsce jest wśród żywych.

Uczepiłem się tej myśli, uczepiłem się mojego miejsca w świecie. W mieście poziom wody opadał.

Nie mam pojęcia, jak długo to trwało. Miałem wrażenie, że upłynęły godziny, i być może tak było. A jednak wszystko rozgrywało się jak we śnie. Być może minęły tylko minuty. Wodospad ryczał, woda spada spadała i spadała w ziejącą otchłań... A potem zniknęła.

Cała.

Na dachu bazyliki mrugaliśmy niczym ludzie, którzy się budzą ze zbiorowego, wspólnego snu, oszołomieni. Ulice Lukki były mokre i lśniące pełne płytkich kałuż i śmieci, ale powódź się skończyła.

- Prosto do piekła - powiedział Eamonn.

Otchłań w wieży zniknęła. Pozostał tylko błotnisty dół o średnicy może pięciu kroków. Ofiary też zniknęły, nie dostrzegłem martwego jagnięcia ani nawet woskowej maski pośmiertnej. Po obu stronach dołu leżały połowy pękniętej marmurowej płyty.

Kapłani zbiegli po kręconych schodach i zaczęli przeciągać je we właściwe miejsce, błocąc rąbki szat.

Inni zajmowali się Gallusem Tadiuszem, zasłaniając go przed naszym wzrokiem. Wartownik zszedł z wysokiego posterunku na wieży. Zbliżył się do kapłanów, skinął głową i wrócił po kręconych schodach, znikając u nietkniętą częścią muru.

Parę sekund później usłyszeliśmy dźwięk rogu. Trzy ostre sygnały, wysokie i przenikliwe: Stać i czekać na rozkazy. Nasz strażnik odpowiedział jedną krótką nutą: Przyjęto.

Zwrócił się do nas.

- Zbierzcie się na dole. Przyjdzie kapitan Arturo. Zajrzyjcie na górne ławy, powinny być tam suche rzeczy.

- Co z Gallusem Tadiuszem? - zapytał jeden z dowódców. Inni powtórzyli pytanie z narastającym niepokojem. - Gdzie on jest?

- Potrzebuje czasu, żeby dojść do siebie - odparł strażnik ze znużeniem w głosie. - Tak nam powiedziano. Dowodzi kapitan Arturo.

Kilku utyskiwało, ale większość ludzi była zbyt wstrząśnięta, żeby protestować czy okazywać zdziwienie. Dowódcy zaczęli wykrzykiwać rozkazy i Czerwona Plaga ruszyła na dół po czterech wąskich schodach.

Zwlekałem na dachu najdłużej jak mogłem, patrząc na wyłom w murze. Woda wciąż wpływała do miasta, ale ledwie strumieniem, tylko przelewając się z akweduktu. Rzeka wróciła do starego koryta, wezbrana i szybka, wiążąc trzon armii Valpetry na drugim brzegu.

Ale nie konnicę.

Wyznaczono ponad dwudziestu ludzi do obrony wyłomu. Odsłonięci i narażeni na atak, mieli czekać w gotowości z napiętymi, wycelowanymi kuszami. Jeźdźcy Valpetry trzymali się poza zasięgiem, konie brodziły w błocie po pęciny, gdy obserwowali i oceniali sytuację. Pokazałem ich Eamonnowi. - Myślisz, że przypuszczą szarżę? Potarł brodę z troską w szarzielonych oczach.

- Możliwe. Nie wiemy, co się tu dzieje. Nie możemy dać się zaskoczyć. - Patrzyłem, jak bije się z myślami i w końcu podejmuje decyzję.

- Chyba lepiej nie czekać na Arturo.

Żołnierze tłoczyli się na dole w bazylice. Pomieściliśmy się wszyscy, choć z trudem. Ludzie z Czerwonej Plagi rozmawiali ściszym szeptem o tym, co się stało, i snuli niespokojne domysły na temat tego, co nas czeka. Nabożna groza, która owładnęła nami na dachu, ustąpiła nagłym potrzebom przyziemnej rzeczywistości. Wyżeli-

śmy przemoczone peleryny i zajęliśmy się zapasami zgromadzonymi na górnych łąwach, podając jeden drugiemu suche koce i szmaty, wycierając siebie i broń. Wnętrze cuchnęło wodą powodzi, mokrą wełną i ludźmi.

Drużyna Barbarusa, schodząca jako ostatnia, utknęła na mokrych dolnych miejscach. Musieliśmy zadowolić się resztkami suchych rzeczy. Dostałem skrawek muślinu. Nie przydał mi się na wiele, ale pieczołowicie wytarłem nim miecz. Patrzyłem, jak Eamonn przepycha się przez tłum. Zawsze łatwo go było zauważyć, prawie o głowę wyższego od innych. Szkoda, że nie znalazł hełmu.

Porozmawiał z kilkoma innymi dowódcami, którzy pokiwali głowami, i wskoczył na trybunę.

- Dobra! - zawołał wesoło. - Jedna sprawa, chłopcy.

Roześmiałem się, jak wszyscy inni. Mówił zupełnie jak Gallus Tadiusz. Eamonn wyszczerzył zęby i czekał, aż się uspokojimy.

-Jedna sprawa - podjął. - Stu pięćdziesięciu valpetrańskich jeźdźców próbuje zdecydować, czy przypuścić szarżę na dwudziestu strażników. Postaramy się wybić im to z głowy. Dopóki kapitan Arturo albo sam Gallus nie wyda innego rozkazu, będziemy strzec wyłomu i zmieniać się co dwie godziny. Drużyny ruszają w kolejności. Zrozumiano?

Żołnierze wzniesli okrzyki, wyrażając zgodę. Dowódcy pierwszego i drugiego oddziału - Rzezimieszka i Koniokrada - zebrali swoich ludzi. Choć nie w pełni wyszkoleni, wykonali rozkaz żwawo i sprawnie, zakładając tarcze, podnosząc włócznie.

Canis był wśród nich.

Jeśli sytuacja rozwinie się zgodnie z planem Gallusa Tadiusza, będą w pierwszej Unii, gdy nastąpi atak, i przyjmą na siebie jego główne uderzenie. Drużyny Rzezimieszka i Koniokrada, łącznie w sile osiemdziesięciu ludzi, składały się w większości z byłych więźniów, którzy przedłożyli czerwoną opaskę nad stryczek. Nieliczni pozostali mieli po prostu pecha.

Niegdyś filozof-żebrak obrzucił mnie długim, znaczącym spoj rzeniem, gdy wychodził. Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi. Mogłem tylko wzruszyć ramionami. Po tym, co widzieliśmy, nie przejmowałem się zbytnio. Jeśli Canis chce mnie o czymś powiadomić, niech przestanie udawać głuchoniemego. Ale tylko powtórzył mój gest i wyszedł.

Ponieważ nikt nie wiedział, co przyniosą następne godziny, Eamonn nakazał odpoczynek. Ktoś znalazł suchy zapas węgla drzewnego i rozpałił w koszach. Powietrze w bazylice trochę się ociepliło i znacznie zageściło od dymu. Siedzieliśmy na łąwach, doglądając ekwipunku. W składzie zapasów były placki osiane i solone dorsze. Rozdzieliliśmy żywność i posilaliśmy się, przekazując z rąk do rąk bukłaki z wodą do po-

picia. Przez okna widziałem niskie, pochmurne niebo. Zbliżał się zachód słońca. Owi-  
nąłem się wilgotną peleryną i próbowałem zasnąć.

Po jakimś czasie przyszedł kapitan Arturo w towarzystwie porucznika.

Wyglądał na wyczerpanego, i zapewne czuł się wyczerpany. Ciężkie brzemie spadło  
na barki strażnika miejskiego, i dźwigał je od tygodni, a przecież najgorsze miało do-  
piero nastąpić. Wysłuchiwał raportów Ea-monna i innych dowódców, z ulgą kiwając gło-  
wą.

- Dobrzy ludzie - mruknął. - Dobry plan. Trzymać się go.

- Gdzie jest Gallus Tadiusz?! - zawołał ktoś. Inni podchwycili okrzyk i zaczęli  
skandować:

- Gal-lus, Gal-lus, Gal-lus! Kapitan Arturo się skrzywił.

- Odpoczywa, do diabła! - krzyknął. - Człowiek otworzył bramę do piekła! Nie da-  
cie mu chwili spokoju? - Z wysiłkiem wziął się w garść. -Wróci do was o brzasku -  
dodał zwięźle. - Pełnimy wartę. Ludzie Valpetry nie zaatakują przed świtem.

Jedni się ucieszyli, inni jęknęli. Rozumiałem obie strony. Czekanie jest trudne.

Kapitan Arturo uniósł ręce i przemówił, próbując ich uspokoić.

Porucznik przeszedł przez tłum, wspiął się na ławy. Był to ten młody, ten o rumia-  
nych policzkach i z meszkiem pod nosem. Ten, którego uderzył Gallus Tadiusz. Owi-  
nięty w pelerynę, patrzyłem, jak się zbliża. Nie zdawałem sobie sprawy, że idzie do  
mnie, dopóki się nie pochylił, szepcząc do mojego ucha jak nieporadny kochanek.

- On chce cię widzieć! - syknął. Wiedziałem.

Wiedziałem, odkąd zobaczyłem, jak Gallus Tadiusz wrzuca do wody swoją maskę  
pośmiertną. Ale nie mogłem tego okazać, nie tutaj. Wyprostowałem się, przegarnąłem  
ręką wilgotne włosy.

- Przyjdę - odparłem cicho, wkładając hełm na głowę i zabierając ekwipunek.

Powiedziałem Eamonnowi, dokąd idę, a on ze zdziwieniem skinął głową. Wy-  
mknąwszy się niepostrzeżenie, ruszyłem za kapitanem Arturo i porucznikiem ulicami  
Lukki. Napotkaliśmy niewiele osób, sprząających naniesione przez powódź śmieci.  
Większość obywateli Lukki kuliła się na piętrach domów. Powódź może odeszła, ale  
nie armia Valpetry.

Zaprowadzili mnie do świątyni Jupitera. Powódź jej nie oszczędziła, aJe potężny  
posąg boga nie doznał uszczerbku. Jowisz siedział na marmurowym tronie, z zawzię-  
tością w oku patrząc w kierunku wejścia. Kapitan i porucznik oddali mu honory, doty-

kając palcami czoła, i wziąłem z nich przykład. W drzwiach do głównej sali powitał nas flamen dialis. On też wyglądał na zmęczonego.

- Książę Imrielu. - Skłonił głowę. - Tędy.

Przeszliśmy przez salę do małego sanktuarium, gdzie woda się nie wdarła. Ułożyli tam siennik z poduszkami. Kilka świec płonęło w niszach i na małym ołtarzu. Wszedłem, patrząc na postać leżącą na sienniku.

Lucjusz.

Wyglądał strasznie. Przekroczył próg zmęczenia, próg wyczerpania. Nawet w ciepłym blasku świec jego twarz satyra była wymizerowana i szara.

-Lucjuzu. - Odłożyłem włócznię i tarczę, zdjąłem hełm i przysiadłem na skraju siennika. - On odszedł, prawda?

-Obawiam się, że tak.

## SZEŚĆDZIESIĄT JEDEN

---

Nie mówiliśmy o tym od razu. Porucznik został przed drzwiami, ale kapitan Arturo wszedł ze mną do sanktuarium. Lucjusz wysłuchał meldunku, pokiwał głową.

-Dziękuję - szepnął. - Powiadom... powiadom mnie, gdy coś się zmieni.

-Tak jest. - Z oczu kapitana wycierał strach i pytanie: Co zrobisz, jeśli coś się zmieni? Wiedział. Ale rzekł tylko: - Ludzie liczą na ciebie, panie. Twoi ludzie.

- Wiem - zapewnił Lucjusz. - Przyjdę.

Po chwili wahania kapitan zasalutował i wyszedł. Lucjusz westchnął ciężko i schował twarz w dłoniach. Wstrząsnęło nim potężne drżenie.

- Słodki Apollo - zaczął stłumionym głosem. - Nie zdołam tego zrobić.

-Chyba musisz - powiedziałem cicho.

-Wiem. Wierz mi, wiem.

- Ile pamiętasz?

- Wystarczająco wiele. - Lucjusz uniósł głowę i ujrzałem cień uśmiechu na jego ustach. - Wiedza jest śliską rzeczą, Montrève. Ale wiem, co planował. Wiem. - Przyglądał mi się pilnie, piwne oczy miał spokojne w zapadniętych oczodołach. - Nie byłeś zaskoczony.

- Nie. Wiedziałem, gdy rzucił maskę.

- On wiedział. - Lucjusz zadrżał. - Słodki Apollo, wiedział. Oparłem łokcie na kolanach.

- Odprawiał pokutę.

- Tak. - Nie spuszczał ze mnie wzroku. - Widziałem cię. On cię widział, na samym końcu. I ty wiedziałeś. Widzisz to, czego nie widzą inni, prawda, Montrève?

- Czasami.

- Dlaczego?

Złapałem go za rękę. Używana przez Gallusa Tadiusza, stała się wychudzona i stwardniała, ale silny uścisk należał do Lucjusza. Uśmiechnąłem się cierpko, wspominając głośny łopot brązowych skrzydeł w czaszce. „Jeśli mam służyć jako narzędzie twej sprawiedliwości, posługuj się mną do woli”. Niechętny potomek Kusziela, powołany, by dać świadectwo. Nie mogłem mu tego wyjaśnić, sam ledwo to rozumiejąc.

- Czy to ważne?

- Nie. - Lucjusz opuścił głowę na poduszki, zamknął oczy. - Chyba nie. Co widzisz we mnie, Imrielu nó Montrève?

Powiedziałem mu.

Wszystko, dobre i złe. Szybki umysł i wspaniałomyślną naturę; cierniste poczucie dumy. Umiłowanie sprawiedliwości, które się zмага z wrodzonymi uprzedzeniami; wstręt do hipokryzji. Upór przemieszany z dobrocią. Odwaga i zaskakująca cierpliwość.

Krótko mówiąc, wiele mnie samego.

Kiedy skończyłem, Lucjusz na mnie patrzył.

- Nie boję się walczyć - powiedział. - I nie boję się umrzeć. Nie boję się nawet umarłych, już nie. - Skrzywił usta. - Ale nie jestem moim pradziadkiem. Strach mrozi moją duszę na myśl o rozkazywaniu ludziom, by umierali w jego imię. Bo będą umierać, wiesz. Umrze wielu.

-Tak, wiem. - Chciałem zaoferować mu słowa otuchy, ale ich nie znalazłem. - Lucjuszu, potrzeba ci jedzenia i snu, jak najwięcej jednego i drugiego. Czy ty w ogóle coś jadłeś?

Pokręcił głową. Znalazłem kapłana za drzwiami i posłałem go po jedzenie. Musieli się tego spodziewać, bo wrócił szybko z miską parującego pożywnego gulaszu z fasoli i baraniny, z pajdą czarnego chleba. Po tygodniach skąpych racji posiłek wyglądał nadzwyczaj apetycznie.

Podąłem miskę i chleb Lucjuszowi.

-Jedz.

Z początku jadł powoli, ale po paru łyżkach nabrał apetytu. Odmówiłem, gdy chciał się ze mną podzielić, i z satysfakcją patrzyłem, jak pochłania wszystko, wycierając miskę ostatnim kawałkiem chleba.

- Więcej? - zapytałem.

- Pęknałbym. - Lucjusz odstawił miskę. - Dziękuję, to było dobre.

Pokiwałem głową.

- Teraz musisz się wyspać. Skrzywił się.

- Chyba już zapomniałem, jak to się robi. Mój umysł pracuje i pracuje, i nawet nie wiem, czyje myśli myślę. Przekroczyłem próg zmęczenia, stanąłem po drugiej stronie. Tak czy inaczej, muszę zlustrować siły Val-petry i...

- Nie. - Wskazałem na niego. - Spójrz na siebie, padniesz z nóg.

W tym stanie nikomu się nie przydasz. Śpij. Iskierka wesołości błysnęła w jego oczach.

- A co zrobisz? Zaśpiewasz mi kołysankę?

- Możliwe. - Wstałem i odparałem miecz, ściągnąłem skórzany kaftan. Lucjusz przypatrywał mi się ze zmieszaną miną. - Przesuń się.

- Montrève, chyba nie...

- Nie bądź osłem. - Odziany w wełnianą koszulę i spodnie, położyłem się na sienniku obok niego. - Masz dość poduszek, żeby urządzić orgię.

Przesuń się.

W końcu ustąpił, zbyt zmęczony, żeby protestować. Oparłem się na poduszkach i przyciągnąłem go do siebie, układając jego głowę na moim ramieniu.

- Chodź tutaj. Opowiem ci pewną historię.



- Nie jestem dzieckiem - mruknął. - I nie potrzebuję twojej przeklętej d'angelińskiej litości.

- Zamknij się. - Pociągnąłem go za włosy. - To prawdziwa historia. Słyszałeś o Panu Cieśniny? - Przytaknął. - Klątwa wiązała go do wyspy. Klątwa skazała go na nieśmiertelność, na nieskończone życie, ale bez dobrodziejstwa młodości. Hiacynta czekała wieczna starość. To anioł Rahab rzucił klątwę i mogło ją zdjąć tylko Imię Boga...

Gdy świece spalały się w nocy, ociekając woskiem, opowiadałem o naszej wyprawie do Saby. Opowiedziałem mu, jak dostałem się na statek do Menechetu i płynąłem na gapę, jak błagałem Fedrę i Joscelina, żeby mnie nie odsyłali. Opowiedziałem mu o naszej podróży w dół Naharu i zaśpiewałem po dżebeńsku dziecięce wyliczanki, których nauczył mnie Wali, kapitan feluki. Czułem, że Lucjusz się uśmiecha. Opowiedziałem mu o podróży na grzbiecie wielbłąda i o surowym, strasznym pięknie pustyni. Sennym głosem nazwał mnie kłamcą.

Gładząc jego włosy, opowiedziałem mu o wspaniałościach Meroe, gdzie władza królowa Zanadachete i żołnierze jeżdżą na słońiach po ulicach miasta. Opowiedziałem mu o naszej podróży na południe, o nosorożcu i ogromnej rybie, którą złapaliśmy z Joscelinem. Opowiedziałem mu o Wielkim Wodospadzie. Opowiedziałem mu o Sabie i o zaginionym plemieniu Dana ze starożytną bronią z brązu.

Gdy mówiłem o podążaniu za gwiazdami przez Jezioro Łez, o niekończącym się wiosłowaniu, Lucjusz zasnął.

Sen wygładził ostre linie na jego twarzy. Wyglądał dziesięć lat młodziej - niemal jak on sam, choć zmęczony i wychudzony. Przytulałem go i mówiłem cichym głosem. Wydawało się, że to go uspokaja, i pomyślałem, że chciałby poznać szczęśliwe zakończenie opowieści, jeśli nawet się nie zbudzi, żeby go wysłuchać. Ale rozgrzany, przytulony do śpiącego Lucjusza, sam zasnąłem przed końcem.

Zdawało się, że spałem tylko parę minut.

- Montrève!

Wyrwałem sztylet z pochwy przy bucie, otworzyłem oczy. Lucjusz stał w bezpiecznej odległości, patrząc na mnie z konsternacją.

- Widziałem, jak się budzisz, gdy jesteś przestraszony - powiedział cierpkim tonem. - O, najdroższy książę, dziwak z ciebie, prawda?

Uśmiechnąłem się, chowając sztylet. - Tak słyszałem. Jak się czujesz?

Przeciągnął się, potrząsnął rękami. Zmarszczki wróciły na jego twarz, ale płytsze, i miał lepszą cerę, znacznie lepszą.

- Dam radę. Już nie czuję się tak, jakby silny wiatr miał rozwiać mnie na kawałki. To poprawa. - Spojrzał mi w oczy. - Dziękuję. Chciałbym pewnego dnia posłuchać zakończenia powieści.

Skinąłem głową.

- Przetrwajmy to, co nas czeka, a opowiem ci je.

- Dołożę wszelkich starań.

Zbliżał się świt. Kapłan przyniósł śniadanie złożone z daktyli, czarnego chleba i twardego sera. Obaj zjedliśmy ile tylko mogliśmy, popijając wodą, a potem bez śladu skrępowania pomogliśmy jeden drugiemu włożyć zbroje. Połączyła nas dziwna zażyłość, zrodzona z nocy snu na jednym posłaniu i bliskości śmierci.

- Wiesz, że muszę cię odesłać do twojej drużyny - rzekł Lucjusz cicho.

- Wiem. - Szarpnąłem naprawiony pasek hełmu, wypróbując jego wytrzymałość. - Jestem gotów. Jesteśmy gotowi. Eamonn jest dobrym dowódcą. Wykonałeś... Gallus wykonał piękną robotę, szkoląc nas wszystkich.

- Nie był taki zły, prawda? - mruknął Lucjusz. - Nie do końca.

- Nie. I wierzył w ciebie. Nie odszedłby, gdyby było inaczej. Gallus Tadiusz wierzył, że dasz radę. Pamiętaj o tym.

- Będę pamiętać. - Lucjusz pochylił się, żeby podnieść coś z kłębowiska koców i poduszek na sienniku; skrawek czerwonego materiału, rozwiązany w nocy. - Proszę. - Zawiązał go mocno na moim ramieniu. - Odznaka Czerwonej Plagi.

Ukloniłem się lekko.

- Dziękuję, panie.

- Imrielu... - Kręcąc głową, ujął moją twarz w dłonie. - Nie bądź osłem - powiedział i pocałował mnie.

To było słodkie.

Słodkie, mocne i pewne. Rozbawienie malowało się na jego twarzy satyra, gdy odsunął się ode mnie; co wyrażała moja mina, nie mam pojęcia.

Walczyłem z niespodziewaną falą podniecenia.

- Na szczęście - rzucił lekkim tonem.

- Na szczęście - powtórzyłem.

Flamen dialis stał w drzwiach z uniesionymi brwiami i ustami ściągniętymi z dezaprobaty. W tej chwili nim pogardzałem. Chciałbym zmiażdżyć go wzrokiem, jak Fe-

dra mnie tego dnia, gdy pokłóciłem się z Mav-rosem; chciałbym obrzucić go tym głębokim, przenikliwym, krytycznym spojrzeniem, przed którym truchlały wszystkie oskarżenia i cały wstyd spadał na oskarżającego.

Lucjusz zrobił to za mnie.

Kapłan spuścił wzrok.

- Kapitan Arturo czeka na rozkazy.

- Dobra. - Lucjusz włożył złocony hełm z długą kitą farbowanego na czerwono końskiego włosia. Kiedyś należał do Gallusa Tadiusza. Zapiął pasek pod brodą i sprawdził pas z mieczem, potem chwycił tarcze. Zaczerpnął głęboko tchu, jak gdyby dla lepszego wypełnienia pancerza. Jego twarz, ocieniona złoconym daszkiem hełmu, zastygła w wyrazie ponurej determinacji. - Idziemy.

Wyszedł z sanktuarium, wyprostowany, ze ściągniętymi ramionami.

Poszedłem za nim, znów skromny piechur, odziany w kombinowaną zbroję. Kapitan Arturo zasalutował w cieniu potężnego posągu Jowisza, i zaskoczeniem i nadzieją na zmęczonej twarzy.

- Panie?

Lucjusz skinął głową.

- Melduj.

- Nadciągają.

## SZEŚĆDZIESIĄT DWA

---

Znów padało.

Lekki deszcz, nie więcej niż uporczywa mżawka. Zajęliśmy pozycje, od czasu do czasu otrzepując peleryny, żeby pozbyć się kropel wody. Oddział Barbarus był dwudziestym drugim w Czerwonej Pladze. Zajmowaliśmy stanowisko na prawo od akweduktu. Po lewej stronie stał oddział dwudziesty pierwszy, a za nami dwudziesty trzeci i dwudziesty czwarty, zwane Kamień i Kotwica. Do tych dwóch należeli wszyscy najlepsi albo najbardziej zaciekli żołnierze. Obie cechy miały się przydać.

Przed nami stała drużyna dwudziesta, zwana Seneką, od wieku dowódcy, posiwiąłego starca o zawziętym spojrzeniu i szczęce wąskiej jak u szczupaka. Dobry wojownik, mówili jego ludzie.

Miałem taką nadzieję.

Staliśmy w zbitym szyku, każdy oddział podzielony na dwa szeregi po dwudziestu ludzi. Eamonn stał przede mną, zasłaniając mi widok; przed nim morze peleryn należących do innych drużyn Czerwonej Plagi rozciągało się aż do dzielnicy mieszkalnej.

Gallus Tadiusz jeździł wzdłuż naszych szeregów. Nie Gallus - Lucjusz.

Nawet ja, który wiedziałem, musiałem sobie o tym przypominać. Doskonale się spisywał. Wyprężone ramiona, proste plecy, wyzywająco uniesiona broda - czysty Gallus. Przypuszczam, że miał czas się nauczyć. Choć wiedziałem, że jest straszliwie zmęczony, nie okazał tego po sobie. Kiedy wykpiwał siły wroga i zagrzewał nas do walki, nawet mnie rosło serce.

- Czy on...? - zapytał Eamonn, gdy wśliznąłem się do bazyliki.

- Da radę - to wszystko, co powiedziałem.

Nie widziałem, co się działo, ale szeregi przekazywały sobie sphywające z muru słowa strażników. Ludzie Valpetry stali w szyku i czekali. W nocy zdołali przeprowić się przez rzekę. W szarym świetle brzasku przebrnęli przez wypalone, na wpół zalane pola. Jazda, ledwie stu pięćdziesięciu ludzi, zajęła pozycję na tyłach. Około dwóch tysięcy piechurów stało tuż poza zasięgiem strzału z łuku, czekając na rozkazy.

My też czekaliśmy, w sile tysiąca ludzi.

Próbowałem rozjaśnić sobie w głowie.

Próbowałem sobie wyobrazić, że jestem Joscelinem. Co musiał czuć w takich chwilach? Jasność celu, istota jego przysięgi i długiego szkolenia, oczyszczona i wydestylowana. Ale nie byłem nim. Nic miałem podopiecznego do ochrony, nie złożyłem przysięgi, której musiałbym być wierny, nie czekał mnie akt samotnego heroizmu. Byłem tylko żołnierzem, jednym trybem w potężnym kole, jedną cegłą w wielkim murze.

Imriel.

Żołnierz.

Za murem zagrzmiały valpetrańskie rogi, wzywając do ataku. Na murze rogi Lukki zagrały ostrzeżenie, podchwyczone i powtarzane w całym mieście, na tuzinach dachów. Wszyscy się przygotowaliśmy, z tarczami na ramionach, z drzewcami włóczni osadzonymi w ziemi. Stałem na wewnętrznym skraju obok akweduktu, woda sięgała wysoko, lecz się nie przelewała z koryta. Rzuciłem okiem w prawo, gdzie Matiusz uśmiechał się nerwowo. Wolałbym mieć kogoś innego u boku.

- Idą! - krzyknął Lucjusz. - Trzymać się, chłopcy! Przyszli.

Wpadli mocno i szybko w wyłom. Wdzierali się falami, pierwsi pochyleni za uniesionymi tarczami. Zaśpiewały kusze naszych wartowników, bełty wbijały się w drewno i ciało. Druga fala piechoty Valpetry sunęła tuż za pierwszą, rzucając oszczepami. Na murze ludzie chwiali się i padali.

- Rzezimieszek, Koniokrad, trzymać szereg! - ryknął Lucjusz. - Wszyscy, trzymać szereg!

Nigdy dotąd nie słyszałem dźwięku, jaki towarzyszył pierwszemu zderzeniu. Zgrzyt metalu, trzask tarcz, okrzyki bojowe, wycie bólu... Poczuliśmy to, wszyscy. Wszystkie szeregi poczuły siłę uderzenia, gdy pierwsza fala Valpetran runęła na naszą straż przednią. Zakołysała nami, zachwiała, niemal zbiła z nóg. Odzyskawszy pewne oparcie, pochyliliśmy się, natarliśmy tarczami.

- Bar-ba-rus! - ryknął Eamonn. - Bar-ba-rus! Wyszczерzyłem zęby.

Przed nami ktoś zaczął skandować:

- Se-ne-ka! Se-ne-ka!

Trzymaliśmy się, wszyscy, oddział za oddziałem. Rzezimieszek i Koniokrad zostali pchnięci w tył, ponosząc ofiary, przyjąwszy na siebie główny impet pierwszej tali ataku. Wydawało się, że minęły wieki, nim zagrzmiały rogi Lukki, naśladując ryk Lucjusza. Gdy trzeci i czwarty oddział ruszył, by zająć pozycje, czołowe szeregi oderwały się od przeciwnika i rzuciły do ucieczki. Wypatrywałem Canisa wśród umykających postaci, ale widziałem tylko rozmazaną plamę, jaką tworzyli ludzie biegnący co sił w nogach, i nie mogłem rozpoznać twarzy.

Znowu.

Znowu.

Znowu.

Na pozór bez końca. Podczas wycofywania się kolejnych oddziałów ludzie Valpetry korzystali z okazji, żeby wdzierać się coraz głębiej do miasta. Pomimo naszych najlepszych wysiłków, zdołali opanować wyłom. Szereg po szeregu, oddział za oddziałem, Czerwona Plaga stawiała im czoło, świeży żołnierze zastępowali zmęczonych, próbując zwiększyć nasze szanse, próbując powstrzymać wroga na tyle długo, żeby wycofujące się oddziały zdążyły zająć pozycje obronne w mieście.

Z wycofaniem się każdej drużyny zbliżałem się o krok do walki.

- Seneka! - ryknął Lucjusz.

Ach, Eluo! Wtedy zobaczyłem, jak giną. Widziałem z bliska, stojąc bezradnie za nimi. Valpetranie tratowali własnych zabitych i rannych, podobnie jak my. Byliśmy zbyt ściśnięci, żeby móc ich zabrać. Czułem kogoś pod nogami, jeszcze żywego, bo się poruszał. Słyszałem jego jęki. Nie śmiałem spojrzeć mu w twarz. Bałem się dowiedzieć, kto to.

Coraz więcej Valpetran wdzierało się przez wyłom. Nowi przeciskali się bokiem, żeby nas oflankować.

- Podwoić szeregi! - krzyknął Lucjusz. - Natychmiast!

Nasi dowódcy powtórzyli rozkaz. Przede mną linia Eamonna rozciągnęła się, cieniejąc i rzednąc. Tak jak ćwiczyliśmy na placu musztry, drugi szereg wystąpił do przodu i dwie krótsze linie naszego oddziału splotły się w jedną długą, ochraniając flanki. Teraz miałem Eamonna po lewej stronie, a po prawej zamiast Matiusa małymównego bednarza Calvino. Poczulem wdzięczność pełną poczucia winy, gdy rogi ryknęły na odwrót i szereg Seneki zaczął się wycofywać.

Zaschło mi w ustach, ręce i nogi mrowiły mnie ze strachu. Pomimo chłodu dłonie miałem spocone tak mocno, że się bałem, że wyśliznie się z nich drzewce włóczni. Poruszyłem palcami na uchwycie tarczy, modląc się, żeby jej nie upuścić.

- Barbarus! - ryknął Lucjusz. Opuszczając włócznie, ruszyliśmy. Rzucili się na nas w okamgnieniu. Valpetranin naprzeciwko mnie

uniknął mojego pchnięcia. Trzymał miecz w lewej ręce; jeśli miał włócznię, to dawno ją stracił. Najemni żołnierze byli zmęczeni i na wpół zamorzeni głodem, i nadto walczyli w awangardzie dość długo, by ulec niedbałości i wpaść w desperację. Jego tarcza mocno uderzyła w moją, gdy natarł, dźgając krótkim mieczem. Wykręciłem się w bok, unikając ostrza, i poczułem, że traci równowagę. Pchając mocno tarczą, wsunąłem lewą stopę za jego wysuniętą do przodu nogę.

Gdyby nie zwarte szeregi ludzi za plecami, byłby upadł; w obecnej sytuacji zachwiał się, obciążony zbroją. Poprawiłem włócznię, trzymając ją mocno pomiędzy łokciem i tułowiem, żałując, że nie mam pancerza. Przez jedno uderzenie serca patrzyliśmy na siebie. Mężczyźni, zwyczajni mężczyźni. Potem zgrzytnął zębami i znów się na mnie rzucił. W ostatniej chwili przesunąłem się, unosząc szpic włóczni.

Tafił go pod brodę, niemal podnosząc z ziemi. Mężczyzna rozdziawił usta i zobaczyłem drzewce pomiędzy zakrwawionymi zębami, ciemne i krwawe. Omal nie zwymiotowałem. Wyszarpnąłem włócznię i połała się krew. Upadł.

Kolejny Valpetranin zajął jego miejsce i jego też zabiłem. Zaplątał się w kończyny pierwszego martwego i padł mi pod nogi. Przełożyłem włócznię i pchnąłem w dół, celując w lukę u dołu pancerza na plecach. Tym razem włócznia utknęła. Oparłem stopę

na opancerzonym grzbiecie i szarpnąłem. Kątem prawego oka widziałem sunące ku mnie ostrze i podnoszącą się tarcze Calvina.

- Dzięki! - sapnąłem, gdy uwolniłem włócznię. Chrząknął.

Na lewo ode mnie śpiewał Eamonn. Eirańska pieśń, dzika i krwawa, pełna ponurej radości. Dobył miecza i walił nim na prawo i lewo, na wpół ukryty za wysoką tarczą. Gdzie uderzał, ludzie krzyczeli z bólu. Siał spustoszenie czystą siłą swoich ciosów. Nieprzyjaciele już próbowali się od niego odsuwać.

Błogosławiony Eluo, pomyślałem, nie jestem do tego stworzony.

Po mojej prawej tarcza Calvina zatrzeszczała i pękła, przesyta valpc-trańską włócznią. Ocaliła mi życie, ale kosztowała jego. Spojrzał na nią z grymasem i Valpctranin go przebił. Plując krwią, padł na ziemię. Widziałem, jak jego ręka podniosła się, by dotknąć włóczni, która go zabiła, a potem Valpetranie przesunęli się do przodu i Calvin zniknął, stratowany.

- Barbarus, trzymać szereg.

Nie chciałem się trzymać. Chciałem się wycofać, chciałem uciec. Na prawo znów miałem Matiusa. Rzucił włócznię i daremnie pchał tarczą. Zobaczyłem, że przed nim Yalpetranin szarżuje z uniesionym mieczem. Nienawidziłem go, choć nie znałem. Robiąc krok naprzód, opadłem na kolano i zaparłem włócznię, wsuwając ją w szczelinę, i pozwoliłem, żeby się na nią rzucił. Drzewce pękło pod jego ciężarem.

Nie przeszło zbroi Valpetranina, ale wycisnęło mu powietrze z płuc. Sapnął, otwierając usta jak ryba, podrywając ręce do wgięcia w napierśniku. Pochylił głowę, odsłaniając kasztanowe kędziory na karku pod hełmem.

Wyciągnąłem miecz i tam go uderzyłem. Głowa, na wpół odcięta, prze-kreśliła się, odsłaniając białe kręgi szyjne. Zabiłem trzeciego człowieka. Nie było czasu na wymiotowanie.

Potem straciłem rachubę. Raniłem innych, ale nie wiem, czy któryś z nich umarł. Większość próbowałem oszczędzić. Ciosy przyjmowane na tarczę wstrząsały moim ramieniem do kości. Krzyknąłem do Matiu-n, żeby wyciągnął miecz i walczył. Gdzieś znalazł odwagę. Walka była wyczerpująca, brutalna i straszna, i wydawało się, że minęły wieki, nim zagrzmiały rogi, trąbiąc odwrót.

Kotwica i Skała! - ryknął Lucjusz. - Kotwica i Skała!

- Barbarus, odwrót! - krzyknął Eamonn.

Nasz zewnętrzny szereg rzucił się do tyłu, próbując oderwać się od przeciwnika. Ludzie Kotwicy przesunęli się pomiędzy nami, świeży i go towi, spychając Valpetran nachylonymi włóczniami i stwarzając nam okazję do ucieczki.

Uciekliśmy.

Biegliśmy przez mokre miasto, przez pusty plac, sapiąc w prowizorycznych zbrojach. W całej Lukce rekruci, którzy odstąpili przed nami, czaili się na ulicach i w zaułkach. Wykrzykiwali słowa zachęty, unosząc pięści w salucie. Kobiety i dzieci wołały do nas z dachów i górnych pięter budynków.

- Jest dobrze? - pytały.

- Dość dobrze! - odkrzyknął Eamonn, odpowiadając za nas. - Bądź' eie gotowi.

Zatrzymaliśmy się dopiero na wyznaczonym dla nas miejscu. Nasze pierwsze stanowisko - miałem nadzieję, że ostatnie - znajdowało się przed pustymi łaźniami publicznymi. Eamonn nakazał postój. Grzechotały rzucane tarcze i miecze, gdy wszyscy zginaliśmy się wpool, łąpczywie chwytając powietrze.

- Kto poległ? - zapytał ktoś.

- Calvino - wydyszałem.

- Adolfos.

- Orfeo.

Imiona padały jedno za drugim; razem wzięwszy, siedmiu martwych albo rannych zbyt ciężko, by uciec. To bolało, budziło drętwa, zimną furię w sposób, jakiego wcześniej nie mógłbym sobie wyobrazić. Nie znałem ich dobrze, ale znałem. Byli moimi towarzyszami broni. Z Orfeem ćwiczyłem fechtunek. Miałem nadzieję, że poznał smak zemsty, zanim poległ. Calvino uratował mi życie, nie zdołał jednak ocalić swojego. Wszystko stało się tak szybko.

- Żałoba później, chłopcy - rzekł Eamonn ponuro. - Robota czeka. Po drugiej stronie miasta lukkańskie rogi ogłosiły ostateczny odwrót,

strażnicy na dachach podjęli i powtarzali sygnał. Kotwica i Skała miały wziąć nogi za pas i rozproszyć się po niezliczonych ulicach. Przy odrobinie szczęścia armia Valpetry rzuci się za nimi w nieładzie. Dziel i rządź, i walcz z nimi na naszej ziemi. Taki był plan Gallusa Tadiusza.

Teraz plan Lucjusza.

Modliłem się o jego bezpieczeństwo.

Przegrupowaliśmy się na rozkaz Eamonna, sprawdzając broń i owijając rany. W termach czekał schowek z bandażami i buklakami. Miałem draśnięcie na lewym udzie, które zaczynało piec, i lekkie skaleczenie na ramieniu, którego nawet nie poczułem. Ciemna plama krwi rosła na mojej czerwonej opasce. Skoro nie bolało, dałem sobie spokój. Węzeł opaski trzymał; Lucjusz zawiązał go mocno.



„Na szczęście”.

Przed wszystkim doskwierało mi pragnienie. Kiedy Matius podał mi bukłak, wypilem tyle, ile mogłem. Opuszczając go, przypomniałem sobie pierwszego człowieka, którego zabiłem, z drzewcem włóczni w rozdziawionych ustach. Odwróciłem się i wymiotowałem wypitą wodę, obryzgując buty.

-Spokojnie, Imri. - Eamonn poklepał mnie po plecach.

- Przepraszam. - Otarłem usta rękawem.

-Ja też rzygałem za pierwszym razem. - Wskazał głową bukłak. - Pij więcej, będziesz potrzebować wody. Tym razem zostanie. - Posłuchałem, a Eamonn podniósł głos: - Słuchajcie, chłopcy! Dobrze się sprawiliście, piekielnie dobrze!

-Ty się sprawiłeś, kapitanie Barbarusie! - krzyknął Baldessare. - Wdarłeś się tak głęboko w ich szereg, że myślałem, że będziemy musieli posłać po ciebie zwiadowców!

Eamonn wyszczerzył zęby.

-Wszyscy, wszyscyśmy się sprawili! Imriel zabił... ilu? Żołądek mi się skręcił, woda przemieszana z żółcią napłynęła mi do ust. Przełknąłem ją i opanowałem mdłości. -Tylko trzech, jak sądzę. Ktoś zagwizdał cicho.

-Trzech! - zawołał Eamonn wesoło. - Jak wam się to podoba, chłopcy? Teraz zabawimy się w króliki i psy gończe, i będziemy ich wodzić za nos.

Czy trzech to dużo? Nie wiedziałem i nie miałem czasu się zastanawiać. Rogi wart sygnalizowały, że ludzie Valpetry idą przez miasto. Jeszcze do nas nie dotarli, ale podchodzili coraz bliżej. Na rozkaz Eamonna zastawiliśmy pułapki i zajęliśmy nasze nowe pozycje. Większość ukryła się w termach, kilku przycupnęło za kolumnami portyku.

Ja byłem zającym.

Było nas pięciu: Eamonn i ja, Matius i jeszcze dwóch. Szliśmy powoli, oszczędzając siły, do rogu ulicy, która wyznaczała koniec naszego terytorium. Z jednej strony był sklep złotnika, z drzwiami i oknami szczelnie zabitymi dla ochrony przed powodzią i grabieżą. Po drugiej stronie znajdowała się winiarnia i gospoda. Karczmarz służył w Czerwonej Pladze ale jego rodzina została. Stali na dachu wraz z wartownikiem którego rozpoznałem po szkarłatnej przeszywanicy. Eamonn zasalutował od niechcienia, a strażnik w odpowiedzi lekko skinął głową.

Zmyta przez powódź ulica przed nami wydawała się pusta, słyszeliśmy jednak odgłosy walki i krzyki płynące skądś z miasta. Od czasu do czasu rozbrzmiewał głośny trzask. Obywatele Lukki zrzucali z dachów różne rzeczy - meble, kociołki, cokolwiek mieli - zasypując pociskami najeżdż ców. Spojrzałem na dach gospody, trącając łok-

ciem Eamonna. Na skraju stały dwie beczki po winie, kobiety o ponurych twarzach szykowały się by je zrzucić.

- Musisz zwabić ich pod sam okap - powiedział. - Nie wyobrażam sobie, żeby po ataku tymi baryłami zdołali zmniejszyć dystans. Dasz radę, Imri? Przypuszczam, że jesteś najszybszy.

- Spróbuję. - Beczki przywiodły mi na myśl Canisa. Zastanawiałem się, czy żyje.

Eamonn skinął głową.

- Dobrze.

Niósł bez wysiłku tarczę w kształcie latawca, na pozór niezmordowany. Wciąż miał gołą głowę, krople deszczu skrzyły się w miedzianych włosach. Nie przyszło mi na myśl, żeby zabrać dla niego hełm któregoś z poległych, ale też nie było na to czasu. Wydawało się, że w bitwie nigdy nie ma czasu, z wyjątkiem tych przypadków, gdy czasu jest zbyt wiele i nie ma nic do zrobienia.

Jak teraz.

- Nie cierpię tego. - Matius zadrżał, przestępując z nogi na nogę. - Nienawidzę czekania.

- Ciesz się, że żyjesz, by móc to robić. - Eamonn wpatrywał się w odległy kraniec ulicy. Cieszyłem się, że jest naszym dowódcą. Otworzyłem usta, chcąc mu to powiedzieć, gdy na sąsiedniej ulicy ryknął róg. Nasz wartownik na dachu gospody powtórzył sygnał, głośny i przeraźliwy. - Nadchodzą, chłopcy!

Ludzie Valpetry.

Musiała ich być ponad setka, w formacji twardego klina. Zbyt wielu, zbyt wielu dotarło tak daleko, przez nikogo nie zatrzymanych. Przed nimi pędziło trzech ludzi z Czerwonej Plagi. Nie bawili się w psy i zające uciekali w popłochu, ratując własne życie.

Za piechotą ciągnęła jazda.

- *Dagda Mor!*-szepnęła Eamonn. - Co oni tu robią?

Brak czasu. Brak czasu, żeby się zastanawiać, brak czasu na ułożenie planu. Wszędzie w mieście ryczały rogi wartowników. Niemal wyobrażałem sobie, że słyszę znajomy głos wykrzykujący rozkazy. Brak czasu, żeby się przysłuchać, brak czasu na domysły. Jest tylko chwila obecna, Eamonn zebrał się w sobie i wyskoczył na środek ulicy. - Zające, teraz!

Uderzył płazem w tarczę, drwiąc i wykrzykując obelgi pod adresem Valpetrańskiej armii. Wszyscyśmy to robili. Zbliżali się miarowym krokiem, nie łamiąc szyku. Nie o

to nam chodziło, nie to planowaliśmy. Nagle jeden z nich wyciągnął rękę, wołając do swoich. W połowie ulicy kilku na przodzie przyspieszyło do truchtu.

Ukryci żołnierze oddziału Seneki wypadli z drzwi i uliczek, wzniesając chaos w szeregach. Niestety, byli zbyt nieliczni. Urządzili zasadzki na grasantów, nie na całą kompanię. Widziałem, jak walczą i umierają, ich siwy dowódca odpierał kilku napastników. Nogi same zaczęły nieść mnie w ich stronę, ale Eamonn zagroził mi drogę. -Trzymaj się rozkazów - polecił ponuro.

Dowódca Seneki uległ masie ludzi. Valpetranie ruszyli dalej. Jeden z uciekających rekrutów potknął się i został ścięty od tyłu. My, zające, uderzyliśmy w tarcze i krzyczeliśmy. Dotarło do nas kolejnych dwóch rekrutów. Jeden minął nas bez przystawiania. Drugi zatrzymał się i złapał mnie za ramię.

- On chce ciebie! - wrzasnął chrapliwie z obcym akcentem. - Uciekaj! Patrzyłem tępo w twarz Canisa, pokrytą smugami krwi. - Kim jesteś?

Ludzie Valpetry zbliżali się do nas.

- Zające, uciekać! - krzyknął Eamonn.

Strząsnąłem rękę Canisa i pobiegłem pod okapem gospody. Słyszałem za plecami tupot stóp, a potem bruk zadrżał mi pod nogami, gdy z góry spadły dwie ciężkie beczki. Rozległy się jęki i przekleństwa. Wartownik na górze szaleńczo dał w róg. Był to nieuzgodniony sygnał, wysoki i przybywający.

Biegłem.

Nigdy w życiu nie czułem się bardziej bezbronny. Nawet w Daršandze, gdy rozebrany do naga i drżący czekałem na rzemień mahrkagira albo na żelaza Jaguna. Mrowiła mnie skóra między łopatkami, chroniona tylko przez nabity metalem kaftan. Jedna strzała, jeden celnie rzucony oszczep a rozstanę się z życiem. To się nie stało.

Przedzieranie się przez miasto zebrało swoje żniwo; ludziom Valpetry zostały tylko miecze. Zrównałem się z Mariuszem i pozostałymi dwoma, wyprzedziłem ich na marmurowych stopniach i przez łukowe drzwi wpadłem do łaźni.

Wojsko deptało nam po piętach. Nie oglądałem się, nie śmiałem. Słyszając stękanie i brzęk mieczy, tłukący się echem w rozległych pomieszczeniach, minąłem wejścia do caldarium i tepidarium. Skręciłem do frigida-rium. Nad basenem pełnym wody po powodzi przerzucono wąską deskę. Wbiegłem na nią, rzucając tarczę dla zyskania lepszej równowagi. Ugięła się i zanurzyła, ale utrzymała mój ciężar. Odwróciłem się i zobaczyłem za sobą dwudziestu ludzi Valpetry.

- Chodźcie, śmiało! - krzyknąłem, przyjmując postawę z mieczem trzymanym oburącz.

Zawahali się, stając wzdłuż krawędzi basenu. Jeden zapuścił się na deskę. Poderwałem podbródek, skinąłem mieczem. Szedł ku mnie niepewnym krokiem.

- Bar-ba-rus! Bar-ba-rus!

Pół tuzina moich towarzyszy wyskoczyło z kryjówki, żeby zaatakować ich od tyłu. Żadnych umiejętności, żadnej finezji, tylko brutalne uderzenie tarczami. Valpetrańscy żołnierze zachwiali się i wpadli do basenu. Bezradnie młócili wodę rękami, ściągani w dół ciężarem zbroi. Woda sięgała do piersi. Była za płytka, żeby potonęli, ale skutecznie udaremniała ich wysiłki.

Wskazałem sztychem odsłoniętą twarz najbliższego wroga.

- Oddaj miecz.

Skrzywił się, łypiąc na mnie gniewnie.

- Giń, D'Angelinie.

To straszne, jak łatwo ostra stal wnika w ludzkie ciało. Ciąłem go, ciąłem go rozmyślnie, sztych wyrysował cienką linię na kościach policzkowych i garbie nosa. Rana go nie zabije, ale pozostanie blizna. Krew spływała płachtą, przemieniając dolną połowę twarzy w szkarłatną maskę, karmazynowe macki wiły się w wodzie.

- Poddajcie miecze - powtórzyłem cicho. Tym razem posłuchali.

- Imriel! - Canis przepchnął się pomiędzy członkami drużyny Barbarusa, gdy podejmowali broń Valpetran. Lekkim krokiem przebiegł po desce, z łatwością balansując tarczą. - Nadchodzą. Musisz uciekać.

- Są tutaj, Canisie, do siedmiu piekieł! Dokąd miałbym pójść? Niecierpliwie potrząsnął głową.

-Nie tylko Valpetranie. Nadciąga odsiecz z Tyberium. Nie słyszałeś rogów?

- Co? - Wbiłem w niego wzrok.

W termach rozbrzmiał triumfalny wrzask ludzi Barbarusa. Nasza zasadzka się powiodła. Trupy valpetranskich żołnierzy tarasowały drzwi - chwilowo uniemożliwiały dalszy pościg; żywi miotali się w basenach. Była to scena z makabrycznej farsy. Kafelki na podłodze, zalane krwią i wodą, cuchnęły śmiercią i pleśnią. Z zewnątrz wciąż dobiegały odgłosy zażartej bitwy. Wrzawa zbyt głośna, by wzniecał ją opór nielicznych rekrutów.

- Idź! - Canis zaczął popychać mnie po desce. - Za godzinę będzie po wszystkim, ale jeśli stąd nie uciekniesz i nie znajdziesz kryjówki, zginiesz, zanim tu dotrą.

- Chcesz, żebym zdezerterował?

Wyszczерzył zęby.

- Chcę, żebyś przeżył!

Inni zaczęli się na nas gapić. Rozejrzałem się, z desperacją szukając Eamonna, mojego przyjaciela, mojego dowódcy. Potrzebowaliśmy go. Nie miałem pojęcia, czy wierzyć Canisowi, czy go posłuchać. Nikt nie wiedział, czy mamy próbować utrzymać termy, czy wycofać się tylnym wejściem do składu bławatnego, który był naszym następnym punktem oporu. Wspominając wcześniejsze wyrzuty sumienia, zerwałem hełm Jednemu z Valpetran, którzy się poddali.

- Eamonn! - krzyknąłem. - Gdzie jest Eamonn?

Wybuchło zamieszanie przy drzwiach. Do środka przebiło się dwóch najemników. Konstantyn z towarzyszem zabili jednego, drugi uciekł. Na zewnątrz robiło się coraz głośniejsze. Wyciągałem szyję, wypatrując miedzianych włosów mężczyzny o pół głowy wyższego od wszystkich, - Imrielu. - Matius dotknął mojego ramienia. - Eamonn nie dotarł do łaźni. On...

Jego usta się poruszały, formując słowa, których już nie słyszałem. W uszach miałem tylko wysokie podzwanianie, dźwięk szau. Furia przenikała mnie falami, napętniając żyły ciemnym ogniem. Czułem jej smak na języku, ostry jak stal. „Dość”.

Nie wiem, czy pomyślałem to słowo, czy je wypowiedziałem. Wyrwałem się Matiusowi, głuchy na nalegania Canisa, i na łeb, na szyję popędziłem do wyjścia. Członkowie oddziału Barbarusa powoli odwracali głowy. Minąłem Konstantyna i odrzuciłem z drogi valpetrańskie zwłoki. W drzwiach stał następny nieprzyjaciel, żywy. Patrzył na mnie z otwartymi ustami. Przemknąłem pod jego uniesionym mieczem i obok tarczy opadłem na kolano i pchnąłem mieczem w tył. Usłyszałem jego ryk, płynący jak gdyby z wielkiej odległości, gdy stał przesyła udo. Nie zatrzymując się, wyszarpnąłem broń i wybiegłem na portyk.

- Eamonn! - krzyknąłem.

Przed łaźniami panowało szaleństwo. Ulice były zakorkowane przez prawie dwustu pieszych i konnych Valpetran, i setki żołnierzy Lukki. Setki. Musieli ściągnąć z każdej dzielnicy miasta. Jak gdyby drzwi otworzyły się szeroko, nagle odzyskałem słuch i uderzyła we mnie fala dźwięku: ogłuszający brzęk i zgrzytanie. Na odgłosy walki nakładały się rogi grające larum. Przez ten zgiełk przebijał się znajomy ryk. Jeździec nadciągał wraz z Czerwoną Plagą, zakuty w złoconą zbroję, z podskakującą szkarłatną kitą na hełmie.

Lucjusz, żywy. Ani śladu Eamonna.

- Eamonn!

Nie słyszałem własnego głosu w panującym harmiderze. Z frustracją potrząsnąłem głową. Kolejny Valpetranin ruszył ku mnie przez portyk. Zdawszy sobie sprawę, że wciąż trzymam bezużyteczny hełm, cisnąłem nim w twarz wroga. Kiedy się zachwiał, wsunąłem sztych miecza w lukę pod pachą.

Zaraz potem zaatakowało mnie więcej nieprzyjaciół.

Nie wiem ilu. Nie mógłbym ich zliczyć. Kątem oka dostrzegłem mignięcie czerwono-złoty włosów kawałek dalej na portyku. Eamonn cofał się pod ścianę łaźni. Próbowaliśmy się przebić. Bez tarczy, bez towarzyszy broni, o których musiałbym się martwić, walczyłem w kasjelicim stylu. Wrogowie już nie byli ludźmi, stali się przeszkodami, które musiałem usunąć. Unikając tarcz, parując ciosy, ciąłem i dźgałem sztychem. Już nie dbałem o to, czy ranie, czy zabijam; chciałem się tylko przedostać. Słyszałem, jak gdzieś za mną ktoś klnie w języku, który brzmiał jak helleński, ale nie był helleńskim.

Zobaczyłem, że Eamonn pada, i też zakląłem. To przez hełm, przez brak przeklętego hełmu. Wielki Vaipetranin pchnął włócznią, uderzając go w bok głowy, i kolana się pod nim ugięły. Hełm odbiłby cios; wiedziałem z własnego doświadczenia. Nic dziwnego, że dzwoniło mi w uszach.

- Eamonn! - wrzasnąłem, a on odwrócił głowę. Krew spływała mu po szyi. Nasze spojrzenia się spotkały. Eamonn upadł na twarz. Valpetranin wyszczerzył zęby i uniósł włócznię, żeby dokończyć dzieła.

Szepcząc modlitwę do Błogosławionego Elui, pobiegłem skrajem portyku i skoczyłem. Włócznia zaczęła opadać. Nie było czasu na wymierzanie ciosu. Opuściłem głowę i staranowałem go. Upuścił włócznię, gdy obaj runęliśmy na ziemię. Wylądowałem na nim, po drodze gubiąc miecz.

Ryczało coraz więcej rogów. Końskie kopyta biły po bruku. Ktoś wykrzykiwał rozkaz, żeby się poddać. Nie był to głos Lucjusza ani Gallusa Tadiusza. Valpetrański żołnierz pode mną wściekle wytrzeszczył oczy i pchnął, niemal zrzucając mnie z siebie. Sięgnąłem po sztylet z pochwy na bucie, ustawiłem czubek pomiędzy jego oczami. Nacisnąłem, ostrze weszło po rękojęść. Wściekłość zgasła w martwych wytrzeszczonych oczach.

Coś ciężkiego runęło mi na grzbiet. - Poddaj się! - krzyknął ktoś.

Po raz pierwszy ogarnęła mnie panika, gdy miotałem się pod ciężarem. Ciało. Uwolniłem się, złapałem miecz i wstałem, oburącz ściskając rękojęść. Dyszałem ciężko, przerażony tym, co zobaczę.

D'angelińskie sztandary i tyberyjscy żołnierze, skupiający się wokół walczących.

Sylwanus Młodszy wzywający swoich ludzi do złożenia broni.

Lucjusz przebijający się przez ciżbę z trzema przybocznymi. Canis u moich stóp, ściskający drzewce oszczepu z ustami wykrzywionymi z bólu.

Domenico Martelli, diuk Valpetry, na czarnym koniu. Jego ludzie, ludzie Sylwanusa, rozstępowali się, ułatwiając mu przejazd. Lucjusz był jeszcze daleko. Mogliśmy być sami na ulicy. Choć byliśmy sobie obcy, połączyła nas dziwna zażyłość. Valpetra patrzył na mnie z siodła, z bezpamiętnym wyrazem na mięsistej, omywanej deszczem twarzy. Jego lewa ręka kończyła się obandażowanym kikutem. W drugiej, uniesionej, trzymał oszczep gotowy do rzutu.

- Szukałem cię, D'Angelinie - zaczął konwersacyjnym tonem. - Winię cię za to wszystko. Nie jestem pewien dlaczego, ale cię winię.

Skinałem głową.

- Noszę wiele win, panie.

- Valpetra! - Głos Lucjusza, głos Gallusa podniesiony w ogłuszającym ryku, popłynął nad masą żołnierzy. - To koniec! Twój kondotier się opdał! Rzuć broń!

- Gotów na śmierć? - zapytał Domenico Martelli, nie zwracając na niego uwagi.

- Niezupełnie - odparłem zgodnie z prawdą.

Lucjusz wydał rozkaz, trzech kuszników strzeliło nad głowami tłumu Martelli zachwiał się w siodle, trafiony w lewe ramię. Dwóch pozostałych chybiło. Lucjusz znów krzyknął. Ludzie napinali kusze, ale był to powolny proces. Słyszałem, jak Canis u moich stóp porusza się lekko. Martelli zebrał się w sobie, naprężył prawą rękę i wycełował oszczep w moje serce. Teraz żałowałem, że nie mam tarczy.

- Nieważne - powiedział diuk Valpetry. - Gotów czy nie. Ukłoniłem się po kasjelicu. Szkoda, że nie było słońca, bo mógłbym widzieć cień. Szkoda, że nie pomyślałem o zdjęciu hełmu, żeby lepiej słyszeć. Wciąż dzwoniło mi w uszach. Zamknąłem oczy i słuchałem, odcinając się od zgiełku. Nasłuchiwałem pilniej, znacznie pilniej niż podczas gier Fedry. Cały świat zawęził się do tej chwili. Z zamkniętymi oczami, wyszedłem z siebie i skoncentrowałem na diuku, na tym nieznanym, bliższym mi w tej chwili niż jakakolwiek kochanka.

I usłyszałem, jak wciąga powietrze - ten odgłos był cichszy niż sapnięcie kochanki.

Nie czekałem na wydech. Gdy rzuci, będzie za późno. Wyprostowałem się, machnąłem rękami w karwaszach, otworzyłem oczy. Otaczała mnie ostra jak nóż jasność. Uderzenie oszczepu w zewnętrzny karwasz wstrząsnęło mną do kości, ramiona mnie zabołały. Wszystko bolało. Przez ułamek sekundy nie byłem pewien, czy żyję. Potem usłyszałem, jak oszczep nieszkodliwie klekocze na bruku, i kusze znów zaśpiewały.

Tym razem byli bliżej. Żaden nie chybił.

Najeżony bertami jak poduszka do igieł, Domenico Martelli, diuk Valpetry, przechylił się i spadł z konia. Upadł z głuchym łoskotem i spo czał w bezruchu..

-Żyjesz, Montrève?! - zawołał Lucjusz.

-Tak! - odkrzyknąłem. - Chyba tak!

- To dobrze!

Poddawali się, *wszyscy*, kładli broń i poddawali się. Chyba się cieszyłem. Jeśli Eamonn żyje, oszaleję z radości. Podeszedłem do niego. Siedział zgarbiony pod ścianą, z ręką przyciśniętą do głowy. Krew ściekała mu po szyi i pomiędzy palcami.

- Czy...? - zacząłem niespokojnie.

- Wylizę się. - Przekręcił głowę i zaraz się skrzywił. - Nim się zajmij. Canis.

Żył jeszcze, gdy wróciłem, choć ledwo dychał. Oszczep przebił go na wylot, zakrwawiony szpic wystawał z piersi. Jak ja, miał tylko skórzany kaftan. Leżał skulony na boku, z rękami zamkniętymi luźno wokół grotu. Ukląknę obok niego, rozumiejąc, co zrobił. Valpetra miał dwa oszczepy. Pierwszy rzucił wtedy, gdy byłem odwrócony plecami. Canis przyjął za mnie śmiertelny cios.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytałem cicho.

Krew pieniała się na jego ustach, ale oczy miał czyste, pełne bólu i żalu. Canis cynik, radosny filozof-żebrak; Canis głuchoniemy; Canis człowiek Niewidzialnej Gildii; Canis żołnierz. Był tam od samego początku. Miałem tysiące pytań. a on miał tysiące odpowiedzi, lecz zostało czasu tylko na jedno. Musiałem się pochylić, by słyszeć jego głos.

-Twoja matka przesyła pozdrowienia - szepnął.

Nic więcej. Canis skonał ze spokojnym, krwawym uśmiechem na ustach.

Oblężenie dobiegło końca.

## SZEŚĆDZIESIĄT TRZY

---



W późniejszych dniach połączyłem różne relacje, by zrozumieć, co się stało. Plan Gallusa Tadiusza sprawdzał się do pewnego momentu. Większość ludzi Valpetry, zdecydowanych łupić i mordować, rozproszyła się po mieście, wpadając w pułapki i zasadzki. Wielu poddało się z własnej woli. Szaleństwo, które opadło każdego po otwarciu *mundus manes*, zaczęło opadać, gdy Gallus Tadiusz wysłał wody powodzi do piekła.

Nie szaleństwo Valpetry. Zatrzymał przy sobie grupę ludzi i szukał mnie, trawiony ogniem zemsty. Kiedy Lucjusz to zrozumiał, zwołał Czerwoną Plagę i ruszył w pościg, przemieniając myśliwych w zwierzynę. Wartownicy na murach zauważyli nadciągające siły d'angelinskie i tyberyjskie. Odsiecz przechyliła szalę zwycięstwa na naszą stronę; Sylwanus Młodszy wycofał się i poddał. A Canis...

Nikt nie wiedział na pewno. Oddział Rzezimieszka poniósł ciężkie straty i żaden z jego towarzyszy nie przypominał sobie, by widział go po wycofaniu się sprzed wyłomu. Założyli, że zginął. Mogłem się tylko domyślać, że zdezerterował. Jak Valpetra, poszedł mnie szukać.

„Twoja matka przesyła pozdrowienia”.

Długi czas klęczałem przy nim na bruku Lukki, w deszczu ściekającym z hełmu. Byłem zbyt zmęczony, by rozumieć, co czuję, poza bólem. Otaczali mnie sami mężczyźni - wiwatujący i jęczący, ponurzy, ranni, konający. Chciałbym, pomyślałem, znacznie więcej czasu spędzać w towarzystwie kobiet.

Znów tętent kopyt i czyjś niepewny głos:

- Wasza Wysokość?

Podniosłem się z trudem, obolały na całym ciele, i spojrzałem w górę.

- Messire LeClerc.

Znowu byłem brudny i w pożałowania godnym stanie w obecności strażników d'angelinskiej ambasador; odziany w kaftan zbryzgany błotem i krwią. Tym razem patrzyli na mnie bez śladu rozbawienia. Quentin LeClerc zsiadł z konia, jego ludzie zrobili to samo. Wszyscy przyklękli na brudnej ulicy.

- Wasza Wysokość - powtórzyli, chyląc głowy. - Przybyliśmy w najwyższym pośpiechu.

- Dziękuję. - Widziałem twarze Tyberian za klęczącymi D'Angelinami, czujne i uważne. i czyste. Wszyscy wyglądali tak czysto. Zdjąłem hełm i przetarłem twarz połą przemoczonej peleryny. - Może... może pomożecie rannym.

Quentin LeClerc się podniósł.

- Oczywiście, Wasza Wysokość.

- Mów mi Imriel - powiedziałem ze znużeniem w głosie.

Zaczął wydawać rozkazy, spokój nie i sprawnie. Strażnicy rozbiegli się po ulicach, pomagając oddzielać martwych od rannych, tym ostatnim udzielając takiej pomocy, jakiej mogli. Na dachach i na murach wartownicy dęli w rogi, odwołując alarm. Obywatele Lukki wychodzili z domów, jedni radośnie witali swoich ukochanych, inni opłakiwali poległych. Lucjusz był zajęty jeńcami, których spędzano ze wszystkich dzielnic miasta do pustego składu bławatnego, gdzie miał być drugi punkt oporu oddziału Barbarusa. Wielki stos broni piętrzył się na portyku.

Pochyliłem się i wziąłem w ramiona ciało Canisa, zaniósłem go pod ścianę, gdzie czekał Eamonn. Stał, lekko się słaniając, deszcz rozmywał krew na szyi w różowe strumyczki. Ostrożnie położyłem Canisa, wyjąłem oszczep z jego piersi i zostawiłem go przy zwłokach. Obaj patrzyliśmy na niego. W objęciu śmierci wyglądał spokojnie.  
- Więc kim on był? - zapytał Eamonn.

- Nie wiem - odparłem. - Przysłała go moja matka,

- Fedra?

- Nie. - Pokręciłem głową. - Moja matka. - Dotknąłem jego ramienia. - Chodź, kaptanie Barbarusie. Trzeba cię opatrzyć.

Eamonn skinął głową w stronę martwego Valpetranina.

-Twój sztylet.

Rękojeść sterczała spomiędzy martwych oczu. Kusiło mnie, żeby go zostawić. Nie chciałem pamiętać, w jaki sposób zadałem nim śmierć. Ale dostałem sztylety od Joscelina, gdy skończyłem piętnaście lat. Było to po zimie, kiedy pierwszy raz czuwałem z nim w Najdłuższą Noc. Pamiętałem, jak w powozie, trzęsąc się z zimna i z gorączki, powiedziałem mu, że chcę być taki jak on.

„Ach, skarbie”, odparł. „Nie pragnij tego”.

A jednak pragnąłem.

Postawiłem stopę na napierśniku martwego, chwyciłem rękojeść, szarpnąłem. Wychodził z trudem; wbiłem go z całej siły. Rozległ się trzask, Ostrze się wysunęło. Czaszka trupa uderzyła w kamienie. Pomyślałem o wielkim dole otwierającym się pod miastem, o spadających weń obsydianowych kurtynach wody. Zastanawiałem się, czy duch Valpetranina błąka się po zalanym *caerdicci* piekle, ze wszystkimi pięcioma rzekami, liczb rany m i ryczącymi.

Zastanawiałem się, ilu innych tam posłałem. Nie wiem.

- Imri - odezwał się Eamonn.

Zaśmiałem się, a przynajmniej wydałem dźwięk podobny do śmiechu. -Trzech to dużo, Eamonnie? Chciałem cię spytać wcześniej. Sądziłem, że nie, ale ty powiedziałeś to tak, jakby było inaczej. I nie wiem ilu. Czterech na pewno.

- Zawdzięczam ci życie - rzekł tylko.

To wystarczyło; musiało wystarczyć, bo jeśli nie, nie było nic innego. Stojąc w zimnej mżawce, napotkałem jego pewne szarozielone spojrzenie i zmusiłem się do uśmiechu.

- Myślisz, że dzięki temu Brvgitta będzie miała lepsze zdanie o D'Ange linach?

Eamonn zdołał wyszczerzyć zęby.

- Nie sądzę.

W termach, gdzie wciąż przebywała większość naszego oddziału, powitano nas jak bohaterów, a przynajmniej Eamonna. Na mnie patrzyli z odnowioną nieufnością - czy z powodu Canisa, czy Valpetry, czy LeC lerca i jego ludzi kłękających przede mną na ulicy, nie wiem. Rzucili się jeden przez drugiego, poklepując Eamonna po ramionach i plecach. Znosił to ze stoicką wyrozumiałością, choć był lekko zielonkawy i wyglądał na chorego. Matius, który miał zwinne ręce, owiązał jego głowę kawałkiem czystego bandaża.

Z zewnątrz napłynęło skandowanie.

- Gallus! Gallus!

Eamonn pochwycił moje spojrzenie.

- Powinniśmy tam być. Skinąłem głową.

- Powiemy im. Wstał.

- Słuchajcie, chłopcy! - zawołał i wszyscy umilkli. - Drużyna Barbarusa złoży hołd człowiekowi, który poprowadził nas do zwycięstwa. Kiedy nadejdzie właściwa chwila, weźmiecie ze mnie przykład, dobrze?

Zgodzili się, w radosnej nieświadomości wykrzykując imię Gallusa Tadiusza. Wyszliśmy na portyk. Ulice wciąż były zatłoczone, choć teraz przez samych tylko triumfatorów. Lucjusz jechał w ciżbie, żołnierze tłoczyli się wokół niego, czerwona kita podskakiwała.

- Gallus! Gallus!

Oparłem się o kolumnę. Lucjusz spojrzał na mnie nad kłębiącym się tłumem. Widziałem, jak się uśmiecha w cieniu złoczonego hełmu. Pomyślałem o jego pocałunku i uśmiechnąłem się w odpowiedzi.

- Lukkańcy! - zawołał głosem czystym i donośnym; głosem Lucjusza, ulubionego ucznia mistrza Piera, umiającego przekonać rozmówcę, że czerń jest bielą, a dzień nocą. - Wiedźcie, że w godzinie potrzeby Gallus Tadiusz dobrze wam służył. Nauczył was, wyszkolił was, wyłożył swoje plany. Kochał Lukkę tak bardzo, że powrócił ze świata umarłych by jej służyć; kochał Lukkę tak bardzo, że powrócił do świata umarłych, żeby ją ocalić! Gallus Tadiusz oszedł, zabierając ze sobą wody powodzi. Ja zostałem, i dołożyłem wszelkich starań, żeby poprowadzić was zgodnie z jego życzeniami.

Rozległy się wiwaty, choć z nutą zdumienia.

Lucjusz podniósł rękę.

-Ja, Lucjusz Tadiusz da Lukka, oddaję cześć duchowi mojego pradziadka, a wam dziękuję za odwagę. Zapadła pełna konsternacji cisza.

Eamonn zaczerpnął tchu, wypinając szeroką pierś, i wypuścił powietrze w dudniącym okrzyku.

- Lu-cjusz! Lu-cjusz! Lu-cjusz!

Trzeba im to oddać - ludzie z oddziału Barbarusa prawie się nie wahali Przez jedno uderzenie serca mój głos jako jedyny powtarzał zawołanie Eamonna, potem podniosły się inne. Jakbyśmy skrzęsali iskrę, imię rozbrzmiało w całym mieście.

- Lu-cjusz! Lu-cjusz!

Widziałem łzy na twarzy Lucjusza, porytej bruzdami, które, jak przypuszczałem, już nigdy nie znikną; nie do końca. Zbyt długo nosił maskę Gallusa Tadiusza. Krzychałem, ciesząc się z jego sukcesu, i bolałem nad jego losem; bolałem nad sobą, nad Heleną, nad Gilotem, nad poległymi Lukki, nad wszystkimi, co niosą intryga, wojna i nieobliczalne ludzkie okrucieństwo.

Teraz Lucjusz należał do Lukki.

A ja należałem do Terre d'Ange.

Gdy żołnierze się uciszyli, Lucjusz spotkał się z Quentinem LeCler-kicm i Markusem Korneliuszem, dowódcą legionu tyberyjskiego. Tyberianie przybyli w mniejszej sile niż przypuszczałem - tylko siedmiuset ludzi plus delegacja trzydziestu konnych D'Angelinów. Tyberium już nie wysyła w pole potężnej armii jak za czasów cesarstwa. Zastanawiałem się, co by zrobili, gdyby nie zastali miasta pogrążonego w chaosie, z ludźmi Valpetry w rozsypce. Lucjusz też musiał się zastanawiać, bo spytał. Markus Korneliusz, beznamiętny weteran pod pięćdziesiątkę, miał

pospolite rysy i oczy, z których wyzierał pragmatyzm.

- Senat uznał, że Valpetra da za wygraną. Nie sądzę, by to uczynił, teraz jednak nie miało to znaczenia. Diuk Valpetry nie żył. Jego ciało leżało tam, gdzie upadło. Z tego, co słyszałem, Sylwanus i jego ludzie chcieli opuścić miasto, zostawić za sobą niepowodzenie oblężenia. Zbroje, broń, konie, wszystkie ich rzeczy miały ulec konfiskacie.

- Chcesz puścić ich tak po prostu? - zapytałem.

- A co miałbym zrobić? - zapytał rozsądnie Lucjusz. - Karmić ich i udzielać schronienia? Nie, niech idą, i zabiorą wszystkich swoich poległych.

Tyberyjski dowódca zgodził się odkomenderować żołnierzy, którzy mieli nadzorować wyjście najemników, tym samym dając zmęczonej Czerwonej Pladze szansę na odpoczynek. Lucjusz odprawił nas z uprzejmymi podziękowaniami. Wielu odeszło; inni pozostali, Eamonn i ja wśród nich. Patrzyliśmy, jak długi wąż żołnierzy wysnuwa się z miasta, żywi nieśli poległych, idąc w deszczu z pochylonymi głowami, pokonani i przygnębieni.

- Taka strata - mruknąłem.

-Tak. - Eamonn zadrżał. Szkarłatna krew przesiąkała biały bandaż, którym Matius owiązał mu głowę. - Chyba się położę.

Quentin LeClerc uparł się, że odeskortuje nas do willi Tadiuszów. Na moją prośbę już posłał kilku ludzi do pomocy Publiuszowi Tadiuszowi i pani Béatrice w przywróceniu porządku w posiadłości. Jeden z pozostałych zeskoczył z siodła i z ukłonem podsunął mi wodze wierzchowca. Widząc, jak inni członkowie oddziału Barbarusa kuśtykają ulicami, pokręciłem głową.

- Pójdę pieszo.

Eamonn dosiadł konia. Nie miałem nic przeciwko. Był naszym dowódcą, kapitanem Barbarusem. Szedłem obok głowy konia. Kilku ludzi, zmęczonych i dumnych, uniosło ręce w salucie, gdy ich mijaliśmy. W całym mieście widzieliśmy zniszczenia spowodowane przez powódź; wszędzie wały się śmieci, gruzy i martwe zwierzęta, które już zaczynały puchnąć

Choć dopiero zaczynał zapadać zmierzch, willa Tadiuszów płonęła światłami, nasza gwiazda przewodnia. Czułem ciężar zmęczenia, gdy z trudem brnąłem w jej stronę. Nogi miałem jak z ołowiu, mięśnie ramion bolały mnie po długiej walce. Dziedziniec już został posprzątaný ale fala powodzi zmyła grunta, spłaszczyła trawę, wyrwała krzaki z korzeniami. Spojrzałem ku wzniesieniu i zobaczyłem, że jest puste.

- Czy Bękart jest bezpieczny? - zapytałem d'angelinskiego strażnika. który wyszedł nam na spotkanie.

Zamrugał.

- Słucham, Wasza Wysokość?

- Mój koń - wyjaśniłem ze zmęczeniem. - Nakrapiany.

- Aha, diabeł wcielony. - Uśmiechnął się szeroko. - Tak, Wasza Wysokość. Słoma jest mokra, ale ziarno suche.

- Dobrze. - Potarłem oczy. - Dobrze.

Quentin LeClerc mówił o planach zabezpieczenia willi i miasta, o rozłokowaniu jego ludzi i tyberyjskiej kompanii, o planach naszego szybkiego powrotu. Kiwałem głową, słuchając jednym uchem, aż w końcu się ulitowałem.

- Odpocznij, Wasza Wysokość. Porozmawiamy jutro. W willi, pani Béatrice śmiała się i płakała, zakrywając usta rękami, jej oczy lśniły w blasku lamp. Rzuciłaby się na nas, gdybym jej tego nie odradził, dodając słowa przeprosin. Miała szafranową suknię z pięknie przedzionej wełny, a my byliśmy od stóp do głów pobrudzeni tym, czego lepiej nie nazywać po imieniu.

- Co... - szepnęła. - Co z moim synem? Powiedzieli, że żyje.

- Twój syn. - Wyprostowałem się i z rozmysłem złożyłem formalny ukłon. Ukłoniłem się jej, a potem Publiuszowi Tadiuszowi, milczącemu w tle. - Pani, twój syn, Lucjusz Tadiusz da Lukka, jest dzisiaj bohaterem. Domyślałem się, że niebawem się zjawi.

- A Gallus Tadiusz? - zapytał Publiusz szorstkim głosem.

- Odszedł - odparłem. Prawda i nieprawda.

Jego cień miał tam pozostać na zawsze, przyczajony za oczami Lucjusza, wyrzeźbiony w jego rysach. Miał wisieć nad miastem, które podbił za życia i którego bronił po śmierci. Miał mieszkać pod marmurową płytą, która okrywa mundus manes, i na spalonych polach wokół murów. Miał żyć w pamięci zwyczajnych ludzi, którzy tworzyli Czerwoną Plagę. Nie sadiłem, by któryś z nas go zapomniał.

Ja nie zapomnę. A jednak to był tylko cień.

Prywatne łaźnie pełne były brudnej wody, ale kuchnia została wyszorowana i ogień palił się w piecach. Pani Béatrice rozkazała podgrzać kadzie wody i do pokoi gościnnych przyniesiono blaszaną balię. Pozwoliłem Eamonnowi pierwszemu z niej skorzystać, podczas gdy Béatrice szukała maści i czystych płócien na bandaż. Posłano po medyka, ale wszyscy byli zajęci pilniejszymi sprawami. Po kąpieli słudzy zmienili wodę w balii, a ja owiązałem świeżym bandażem głowę Eamonna. Zjadł nieco czarnego chleba i twardego sera, wpił mnóstwo wody i poszedł prosto do łóżka.

Pani Beatrice zaproponowała pomoc sług, ale ich odprawiłem. Wreszcie rozebrałem się ostrożnie. Wełniana koszula i spodnie były sztywne od krwi, po części mojej. Na wpół bałem się zobaczyć, co mam pod ubraniem.

Z balii unosiła się zapraszająca para, lekko pachnąca różami. Ktoś wrzucił garść suszonych płatków do wody. Przyszło mi na myśl ogrodowe sanktuarium pani Denise Fleurais, i wyszeptałem modlitwę dziękczynną do Błogosławionego Elui za zachowanie mnie przy życiu. W ciepłym blasku trzech lamp oliwnych oceniałem szkody.

Mogło być gorzej, znacznie gorzej. Płytkie cięcie na lewym udzie już się zasklepiło, a trójkątna rana na ramieniu była na tyle wąska, że nie wymagała szycia. Odniosłem niezliczone draśnięcia i skaleczenie w czasie walki na portyku, ale każde miało zagoić się samo. Ogólnie rzecz biorąc, byłem głównie posiniaczony.

Rozległe konstelacje siniaków rozkwitały pod moją skórą, z odcieniami niewyraźnymi w świetle lamp. Z wyjątkiem tego na prawym przedramieniu, gdzie oszczep Valpetry wygiął karwasz - nawet nie pamiętałem, co je spowodowało, czy nieumiejętnie zadane ciosy, czy zderzenia z przeciwnikami w czasie moich ataków.

To nie miało znaczenia. Przeżyłem.

Ulokowałem się w balii. Każda rana, niezależnie jak mała, piekła na znak protestu. Balia była tak mała, że musiałem siedzieć z wysoko podciągniętymi kolanami. Cięcie na udzie otworzyło się i krwawiło. Nie dbałem o to. Przez długą chwilę opierałem głowę o zgrab balii i po prostu siedziałem, rozkoszując się ciepłem.

Siedziałem w wodzie, aż woda zaczęła stygnąć. Wziąłem wtedy kulkę mydła i umyłem się, dokładnie i metodycznie. Ręce miałem sztywne i obolałe po ściskaniu broni, kłykcie opuchnięte i pokaleczone, potłuczone przez tarcze i zbroje moich przeciwników. Choć umyłem ręce przed opatrzeniem głowy Eamonna, miałem krew pod paznokciami. Wyglądały jak ręce kogoś innego.

Kogoś dobrego w zabijaniu.

W końcu wyszedłem z balii i wytarłem się czystym ręcznikiem, zostawiając plamy świeżej krwi na płótnie. Posmarowałem rany maścią i obandażowałem dwie najgorsze, zębami zawiązując węzeł na prawym ramieniu.

Z innej części willi płynął głos wracającego Lucjusza i radosne krzyki jego marki, i głos ojca z nową nutą szacunku. Powinienem go przywitać pomyślałem, ale byłem zbyt zmęczony. Nie, niech mają tę chwilę dla siebie. Byłem gościem pod ich dachem i walczyłem za Lukkę, lecz nie było ku dla mnie miejsca, nie naprawdę. Chciałem wrócić do domu.

Chciałem tak bardzo, że to aż bolało. Chciałem wejść do gabinetu Fedry i siaść u jej stóp, wesprzeć głowę na jej kolanie. Chciałem otworzyć przed nią serce, gdy będzie gładzić moje włosy i powie mi, że nie mam w sobie niczego, czego musiałbym się obawiać, tylko cienie.

Chciałem znów być dzieckiem.

Jej dzieckiem.

Ale nie byłem i nie mogłem. Dlatego poszedłem do pustego łóżka i leżałem przez długi czas, patrząc w ciemność, myśląc o Canisie i Domenicu Marteilim, diuku Valpetry, o moich towarzyszach żołnierzach, którzy polegli, i o ludziach, których zabiłem, aż ogarnął mnie sen, a wtedy śniłem o wojnie.

## SZEŚĆDZIESIĄT CZTERY

---

Przywrócenie pozorów porządku w mieście zabrało wiele czasu. Ludzie Markusa Korneliusza nie szczędzili pomocy, pomagając naprawić szkody wyrządzone przez powódź, kopiąc groby dla poległych, pełniąc wartę przy wielkim wyłomie w murze. Z wyłomem nie można było nic zrobić, dopóki gildia murarzy nie zgromadzi ogromnej ilości materiałów potrzebnych do naprawy muru. Biorąc pod uwagę wyłom i krótkie zniwa, Lukkę czekała ciężka zima.

Lucjusz spędzał długie godziny na naradach, w których uczestniczył tyberyjski dowódca, Gaetano Correggio i lukkańscy arystokraci, flamen dialis i jego kapłani. Osiągnięto porozumienie dotyczące pomocy Tyberium w zamian za pewne prawa handlowe, które zostaną przyznane w przyszłości.

Doszli też do porozumienia w sprawie Heleny. Kapłan ogłosił sześć miesięcy żałoby, po której odbędzie się ceremonia ostatecznego rozwiązania niechcianego małżeństwa. Na wiosnę Helena będzie mogła poślubić Lucjusza.

Nie brałem udziału w rozmowach. Z początku spędzałem czas na martwieniu się o Eamonna, który spał prawie przez cały dzień, budząc się tylko na krótko, żeby coś zjeść. Chirurg, który przyszedł go zbadać, zajrzał mu w oczy, nałożył kataplazm na ranę i wzruszył ramionami. Eamonn od razu zasnął, przespał całą noc i zbudził się w dobrym nastroju nazajutrz rano, oznajmiając, że jest głodny jak wilk.

Balsamiści zakończyli długi proces balsamowania i przynieśli trumnę z ciałem Gilota. Uchronili go przed powodzią, za co byłem wdzięczny. Spoczął na honorowym miejscu w mauzoleum Tadiuszów, a Quentin LeClerc zaczął szukać wozu do przewiezienia trumny. Zamierzałem dotrzymać słowa i odwieźć Gilota do domu.

Canisa pochowano na lukkańskim cmentarzu. Obstałowałem stelę w zakładzie kamieniarza, żeby postawić na jego grobie, choć miał minąć długi czas, nim zostanie ukończona. Kamieniarz należał do oddziału Kamienia. Uznał, że nazwa okaże się dla



niego szczęśliwa, i pewnie tak było, skoro przeżył. Nie powiedziałem mu, dlaczego zamawiam stelę, a on nic pytał. Obiecał na honor Czerwonej Plagi, że dopilnuje, by odpowiednio ją ustawiono. Przypieczętowaliśmy umowę mocnym uściskiem dłoni.

Odwiedziłem grób Canisa.

Niewiele było do oglądania; kopczyk ziemi, jeden pośród setki innych, oznaczonych w taki czy inny sposób. W mogile Canisa tkwił oszczep, który go zabił. Stałem tam przez długi czas, nie wiedząc, co powiedzieć. Kapłan odprawił obrzędy dla wszystkich poległych, a ja nawet nie wiedziałem, do jakich bogów modlił się Canis.

„Twoja matka przesyła pozdrowienia”.

Moja matka, moja piękna, zdradziecka matka. Canis był jej psem, jej wiernym psem. I był w tym dobry. Nawet go lubiłem, przez jakiś czas. Uśmiechnąłem się lekko, wspominając jasnookiego żebraka w cuchnącej beczce.

- Spoczywaj w pokoju, przyjacielu - powiedziałem, wylewając wino z przyniesionej flaszki. - Niechaj twoja podróż doprowadzi cię do mądrości.

Ponieważ nie znałem jego kraju ani jego bogów, pomodliłem się do moich. Modliłem się, jak w ogrodzie ambasady, i choć miałem tylko wino na ofiarę, wyczarowałem w myślach zapach kadzidła i ofiarowałem modlitwy - za mądrość i za uzdrawianie, za siłę i dumę, za sprawiedliwość i miłosierdzie, za miłość.

Za miłość, zawsze.

Ostatniego wieczoru Tadiusze wydali przyjęcie na naszą cześć. Próbowałem wnieść sprzeciw, ale, podobnie jak wesele Eamonna, pomysł sprawiał pani Beatrice przyjemność zbyt wielką, żeby ją jej pozbawiać.

Miło było widzieć ją szczęśliwą. Ona jedna pośród wielu żon, matek i sióstr Lukki odzyskała syna podczas oblężenia, i wojna przyniosła pokój do domu Tadiuszów.

Przyjęcie miało być skromne; zaproszono tylko Correggiów. Lucjusz miał się spotkać z Heleną pierwszy raz po tym, co zaszło, i nie krył zdenerwowania. Rozmawialiśmy o tym wcześniej w salonie kwater gościnnych.

- Próbowałem... - Przełknął ślinę. - Próbowałem siłą wciągnąć ją do łóżka, prawda?

- Gallus, nie ty.

Lucjusz rzucił na mnie okiem.

- Nosząc moją twarz. Sądysz, że zapomniała?

- Nie - odparłem szczerze. - Ale ty też tam byłeś, Lucjuszu. Byłeś przez cały czas. Kiedy zrozumiałeś, że Gallus pozwoli jej umrzeć, kazałeś mi się nią zaopiekować. Helena o tym wie. Kiedy Gallus próbował mnie udusić, błagała, żebym cię nie krzywdził.

- Gallus Tadiusz - mruknął z zadumą. - Było w nim dobro przemieszane ze złem, choć w ostatecznym rozrachunku niewiele się różnił od Valpetry, prawda?

- Niezupełnie. - Pomyślałem nad tym. - Ale stał po naszej stronie. I poświęcił się dla Lukki.

-Tak. - Lucjusz westchnął. - Ach, Montrève! Pomóż mi zrozumieć to wszystko. Część mnie chce się ukryć wśród twojej świty i uciec z powrotem do Tyberium, z powrotem do mistrza Piera. Albo nawet ruszyć z tobą do Terre d'Ange. - Uśmiechnął się do mnie, unosząc brwi satyra. - Mógłbym się tam zabawić, nie sądzisz? Zaśmiałem się.

-O tak.

- Może wpadnę z wizytą. - Uśmiech stał się tęskny, gasnący. - Co więc mam począć z Heleną?

- Traktuj ją delikatnie - poradziłem, wspominając dzień, w którym ją odwiedziłem, i co wtedy czułem. - Okazuj jej życzliwość i szacunek. Naucz ją ufać. Zasługuje na to, Lucjuszu. Kiedyś byliście przyjaciółmi i macie sześć miesięcy na ponowne nauczenie się przyjaźni. To dobre miejsce, by zacząć.

Pochylił się, splótł dłonie pomiędzy kolanami. Pogłębiły się bruzdy, Które już nigdy miały nie opuścić jego czoła.

- A jeśli nosi dziecko?

Patrzyłem na niego, na cień Gallusa Tadiusza.

- Pokochaj je.

- Tak po prostu? - zapytał z goryczą.

Brązowe skrzydła Kusziela poruszyły się w moich wspomnieniach

-Tak.

Lucjusz przez chwilę wytrzymał moje spojrzenie, potem uciekł oczami.

- Dziwny jesteś, Imrielu nó Montrève - mruknął. - Dziwny i piękny i, jak myślę, trochę niebezpieczny na swój szczególny sposób. Żałuję... - Pokręcił głową.

- Czego?

Znowu na mnie spojrzał.

- Cóż, może tego, że moja siostra dopadła cię pierwsza. Zaskoczony, zarumieniłem się po korzonki włosów. Lucjusz zaśmiał się gorzko.

- Jedną pewną rzecz można powiedzieć o Gallusie Tadiuszu. Nie był głupcem. Widział to, czego ja nie umiałem dostrzec. - Popatrzył na mnie z pełną rezygnacji sympatią, potem wstał i wyciągnął rękę. - Chodź. Nasi goście na pewno już czekają.

Gdy przybyliśmy, wszyscy już zajmowali miejsca na leżankach. Wymieniliśmy formalne słowa powitania. Lucjusz uklonił się nisko nad ręką Heleny. Jej palce drżały w jego dłoni, ale szepnął coś do niej, gdy się wyprostował, i zobaczyłem, że jej twarz się wygładza. Będzie dobrze, pomyślałem. Oboje na różne sposoby zostali wykorzystani przez twardego ludzi, ale oboje przeżyli. Z czasem wszystko będzie dobrze.

Tak więc piliśmy, jedliśmy i sililiśmy się na uprzejme rozmowy, choć trudno było mówić o czymkolwiek poza oblężeniem. Każde z nas wciąż je miało w pamięci. Jeśli wieczór mógł zostać uznany za udany, to tylko dzięki Eamonnowi. Snuł historie ze swojego dzieciństwa w Albie i przytaczał wesołe anegdoty, jego pogodna natura w pełni doszła do głosu. Umiał nawet opowiadać o epizodach z czasu oblężenia w taki sposób, że słuchanie nie sprawiało przykrości. Oczarował ich wszystkich, mężczyzn i kobiety. Wiedziałem, że robi to umyślnie, i kochałem go za to. Jak zawsze, księżę Barbarus miał więcej taktu i przebiegłości, niż ktokolwiek mu przypisywał.

Cieszyłem się, tak się cieszyłem, że żyje i ma się dobrze. I cieszyłem się\* gdy przyjęcie dobiegło końca.

Pożegnaliśmy się w atrium. Helena chwyciła moje ręce, palce miała ciepłe i wcale nie drżące. Patrzyła na mnie bez lęku, ze szczerością w dużych niebieskich oczach.

- Dziękuję - rzekła cicho. - Za to, co zrobiłeś, i za to, co mi powiedziałeś. Zawsze będę o tym pamiętać.

Ukloniłem się. - Życzę szczęścia, pani.

Zacisnęła palce. W Terre d'Ange bez wahania obdarzyłbym ją pożegnalnym pocałunkiem. Ale to była Lukka, a ona była wdową po Domenicu Martellilim i narzeczoną Lucjusza. Odwzajemniłem uścisk i pozwoliłem jej odejść.

Po wyjściu Correggiów stwierdziłem, że Lucjusz patrzy na mnie dziwnie.

- Chyba nie...

Pokręciłem głowę.

-Nie.

Westchnął.

-To dobrze.

Nazajutrz przysłała pora na kolejne pożegnania. Quentin LeClerc i dwudziestu jego ludzi zebrali się na dziedzińcu willi, żeby nas eskortować. Wystarali się o wóz zaprzężony w muły i z ceremonią załadowali na niego trumnę Gilota.

Nie zostało wiele więcej do zrobienia. Eamonn i ja podróżowaliśmy lekko, spodziewając się spędzić w Lukce nie więcej niż kilka dni. Po długich tygodniach obłęzenia większość naszych ubrań nie nadawała się do użytku. W dniu wyjazdu włożyłem strój, w którym miałem wystąpić na ślubie, aksamitny wams i spodnie w barwach Courcelów, lamowane srebrem; Eamonn miał tylko odzież z szorstkiej wełny.

Pożegnaliśmy się z Publiuszem Tadiuszem i panią Beatrice w willi. On z powagą uściśnął nasze dłonie, dziękując za służbę Lukce i Tadiuszom. Ona wzięła nas w ramiona, zamknęła w ciepłym serdecznym uścisku. I - Bądź dobry dla tej swojej dzikiej dziewczyny - powiedziała do Eamonna, stając na palcach, żeby ująć jego twarz w pulchne dłonie. - Pamiętaj o swoich przysięgach, - Będę, pani - obiecał.

- Lucjusz wyszedł z nami na dziedziniec. LeClerc i jego ludzie czekali, trzymając nasze wierzchowce. Bękart, zniecierpliwiony, wyrzucał z nozdrzy kłęby pary i przestępował z nogi na nogę, kopyta dźwięczały na kamieniach. Dzień był jasny i rześki, z tylko paroma strzępiastymi chrami na niebie. Lucjusz stanął obok wozu i położył rękę na trumnie Gil

- Lukka ma u niego dług - mruknął. - Nie zapomnę. Skinąłem głową.

- Dziękuję.

Z lekkim uśmiechem zwrócił się do Eamonna:

- Książę Barbarusie. Eamonn wyszczerzył zęby.

- Lucjusz Tadiuszu.

Uściśnęli sobie ręce, tak mocno, że każdy inny by się skrzywił. Nie oni. Rozstali się ze śmiechem i Lucjusz odwrócił się ku mnie. W jasnym świetle dnia jego twarz była otwarta jak księga.

- Żegnaj, Montrève.

Przytuliłem go, mocno i dziko, czując, jak sztywnieje. Po chwili się odprężył i odwzajemnił uścisk. Trzymałem go tak blisko siebie, że czułem bicie jego serca, silne i miarowe. Odwróciłem głowę, pocałowałem go w policzek.

- Żegnaj.

Tak oto ruszyliśmy w drogę

Bękart pochłaniał całą moją uwagę, idąc bokiem i gryząc wędzidło. Okiełznałem go dopiero przy bramie posiadłości Tadiuszów. Obróciłem się w siodle. Lucjusz wciąż

stał na dziedzińcu. Uniosłem rękę, on zrobił to samo. Potem wyjechaliśmy na ulicę i straciłem go z oczu.

Przejechaliśmy szybko przez Lukkę. Pomimo zniszczeń, w mieście panowała ożywiona krzątanina. W moich oczach Lukka wyglądała dziwnie. Znałem tylko obleżone miasto. Teraz tylko zrujnowana wieża dzwonna stała jako surowe przypomnienie, pusta skorupa, a jej osmalone mury ukrywały to, co leżało pod spodem.

Dół wykopany w ziemi.

Brama do piekła.

Przy wartowni zobaczyliśmy podniesioną brzoń, a za nią spuszczonego most. Wartownicy na służbie zaszalowali, gdy przejeżdżaliśmy. „Kapitanie Barbarusie!” - zawołał jeden z nich i Eamonn pomachał ręką. Wyszedł do miasta wczorajszego ranka, żeby pożegnać się ze wszystkimi członkami oddziału Barbarusa, których zdołał znaleźć. Miałem wyrzuty sumienia, że sam tego nie zrobiłem, ale tylko przelotne. Byliśmy towarzyszami broni, i obcymi. Czas koleżeństwa przeminął.

Kopyta naszych wierzchowców grzechotały na moście zwodzonym, koła wozu terkotały. Nad fosą unosił się zapach stojącej wody, ale zaraz potem przejechaliśmy i mury Lukki zostały za nami. Odetchnąłem głęboko, smakując wolność.

Reszta ludzi LeClerca czekała na obrzeżach obozowiska Tyberian. Dołączyli do nas, gdy przejeżdżaliśmy. Markus Korneliusz i jego kompania mieli zostać w mieście przez parę tygodni, dopóki Lukka nie zostanie odpowiednio zabezpieczona. Choć prędkość tyberyjskiej piechoty wciąż była owiana legendą, bez nich mogliśmy podróżować szybciej.

Jechaliśmy przez spalone ogniem, zalane przez powódź pola, widząc w dali poskręcanie pnie sędziwych oliwek. Jeden ze strażników zaczął śpiewać d'angelinski hymn do Anaela, który nauczył nas uprawy roli i gospodarowania ziemią. Dołączyło kilka d'angelinskich głosów. Łzy zapiekły mnie w oczy, gdy usłyszałem ich piękno.

- Ładne - skomentował Eamonn.

- Tak. - Znów zatęskniłem za domem. Spojrzałem na trumnę Gilota, podskakującą na wozie, i pomyślałem, że tak naprawdę nie chciałem opuszczać Terre d'Ange. - Tak.

Za polami droga zaczęła wiać się pod górę. Zawołałem do Quentina LeClerca, zanim wjechaliśmy do wąwozu. Zatrzymał się, a ja ostatni raz spojrzałem na Lukkę.

Wyglądała spokojnie i przyjemnie, wyjąwszy otaczające ją pola. Stąd nie widziałem zniszczeń ani wyłomu w murach po drugiej stronie miasta. Kryte czerwoną dachówką domy wydawały się ciepłe i przytulne, nad murami wznosiły się rozłożyste korony potężnych dębów, przystrojone nielicznymi rdzawymi liśćmi. Żaden przypadkowy podróżny nie mógłby zgadnąć, co się tam wydarzyło.

Wspominałem to wszystko. Dym unoszący się z wieży dzwonnej, mundus manes. Pęknięta maska pośmiertna i Gallus Tadiusz. Strzały śpiewające wśród gałęzi, krew tryskająca z kikuta ręki Valpetry. Gilot. Nocne patrole, burza ognia i Dekkus Fulwiusz na murze.

Deszcz i niekończące się ćwiczenia.

Helena.

Pękające tamy, powódź. Pęknięta maska i wir, bezdenny dół zalewany obsydianową wodą. Bitwa, Valpetra. Canis.

Pokonani żywi wynoszący swoich poległych; zwycięzcy grzebiący swoich. Setka grobów zasypanych ziemią. „Pamiętaj o tym”.

Nikt się nie odzywał. Po jakimś czasie Eamonn pochylił <sup>S\*Ç</sup> w siodle i dotknął mojego ramienia. Spojrzałem w jego szarozielone oczy, świadom, że dzielimy te same wspomnienia. Były też inne. Radosne wesele, gorzko-słodkie pożegnanie.

-Jesteś gotów? - zapytał. - Muszę znaleźć żonę.

-Jestem gotowy.

Zawróciłem Bękartą, który parsknął i ruszył równym krokiem. Quentin LeClerc wydał rozkaz i nasza kompania podjęła podróż, pokonując pierwszy zakręt w wąwozie. Wóz Gilota kołysał się i grzechotał. Droga biegła pod górę, wokół nas wznosiły się góry. Nad nami, pod błękitnym niebem, sztandary Terre d'Ange łopotały na wietrze.

Za nami Lukka zniknęła.

W dali czekało Tyberium.

## SZEŚĆDZIESIĄT PIĘĆ

---

Podróż minęła szybko i bez przygód.

Jechaliśmy co koń wyskoczy, ponaglając wierzchowce i niezmordowane muły, trzymając się tylko na parę godzin snu w prowizorycznych obozowiskach. Quentin LeClerc przeproszał za trudy. Eamonn i ja odpowiadaliśmy śmiechem. Choć w Lukce spaliśmy w łózkach, życie było znacznie cięższe. Przywykliśmy do niedostatku snu.

Wieczorami rozmawialiśmy o bitwie. Dowiedziałem się, że Eamonn został z tyłu, kiedy gonili nas ludzie Valpetry, próbując chronić uciekające „zające”.

- Dopadli mnie - rzekł smętnie. - Byłem za wolny. - Widział, jak próbuję do niego dotrzeć, na samym końcu. Zaśmiał się, jak tylko on potrafi, na to wspomnienie. - Obracałeś się niczym tania dziwka na scenie akrobaty - powiedział, szczerząc zęby. - Nawet Gallus Tadiusz doceniłby twoje starania.

Potańczałem jaśniejące siniaki.

-Wiem.

Rozmawialiśmy o Canisie i o mojej matce, choć niewiele. Eamonn był skłonny snuć domysły, ja nie. Im bardziej zbliżaliśmy się do Tyberium, tym bardziej czułem wiszący nade mną cień Niewidzialnej Gildii. Nie chciałem, żeby on też się w nim znalazł. Będąc Eamonnem, nie naciskał.

Rozmawialiśmy o Lucjuszu i ogromnych rezerwach odwagi, jakie w sobie znalazł, żeby przeprowadzić do końca plan Gallusa, dostosowując go do zaistniałych okoliczności.

- Był dobry - powiedział Eamonn z zachwytem. - Świetny! Powiem ci, jeśli kiedyś znów będę musiał walczyć, to mam nadzieję, że pod komendą kogoś choć w połowie tak dobrego. - Spojrzał na mnie z zaciekawieniem. - Swoją drogą, co mu powiedziałaś?

- Niewiele. - Uśmiechnąłem się. - Ale ukołysałem go do snu. Eamonn parsknął.

Będąc D'Angelinem, pozwoliłem mu się zastanawiać.

Rozmawialiśmy o przyjaźni i lojalności. Czas spędzony w Tyberium, i w Lukce, umożliwił mi lepsze zrozumienie przyjaźni. Przyjaźń wymaga szczerości i otwartości, przed czym wzdragałem się w kontaktach z kimkolwiek innym poza Eamonnem. Postanowiłem od tej pory okazywać większe zaufanie i w zamian wymagać tego samego.

Rozmawialiśmy o diuku Valpetry, a także o ludzkich demonach chciwości, ambicji i zemsty, które mogą opętać ludzi, równie niszczycielskie jak każda siła nadprzyrodzona. Rozmawialiśmy ściszymi głosami, po eirańsku, o Bernadecie deTrevallion i wyniszczającym szaleństwie, które dąży do wywarcia na niewinnej krwi zemsty za dawne grzechy, przekazując nienawiść z pokolenia na pokolenie. A kiedy skończyliśmy rozmowy o przeszłości, jęliśmy rozmawiać o przyszłości.

- Zdecydowałaś, co zrobisz? - zapytał Eamonn. - Oskarżysz ją?

- Nie - odparłem z namysłem. - Nie, chyba nie.

- To trudna sprawa, postanowić być tym, kto położy kres krwawej waśni. - Podniósł osełkę. - Ale warto spróbować. Poślubisz Dorelei mab Necthana?

- Późną wiosną. - Siedziałem, obejmując kolana rękami, patrząc w płomienie ogniska. Próbowałem sobie przypomnieć, jak ona wygląda. Ciemne oczy, oczy cruithne. Z głębin pamięci wypłynęła twarz Sydonii. Odsunąłem ją od siebie. - Przyjedziesz?

- Może. - Eamonn przeciągnął osełką po mieczu, skupiony, z pochyloną głową. Mie-dziane włosy, lśniące w blasku ognia, opadły na bandaż, który wciąż chronił jego ranę.  
- Zależy.

- Od Brygity? Pokiwał głową.

- Może czeka na mnie w Tyberium, a może jest już w drodze do Skaldii. Nie wiem. Ale znajdę ją. I jeśli będę mógł przyjechać, przyjadę.

Położyłem się na posłaniu, założyłem ręce pod głowę.

-Jak doszło do tej wielkiej miłości? - zapytałem.

W istocie rzeczy niewiele miał do powiedzenia, a przynajmniej niewiele tego, o czym bym nie wiedział. Poznał ją kilka miesięcy przed moim przyjazdem do Tyberium i ani mu w głowie były zaloty. Zaczęło się od kaprysu, gdy postanowił ułagodzić Brygittę po dniu, w którym pokłócili się o Waldemara Seliga na jednym z wykładów mistrza Piera. Ale gdy raz się zaczęło, Eamonn stwierdził, że nie może bez niej żyć. Rankiem każdego dnia nie mógł się doczekać, żeby ją zobaczyć, a wieczorem cierpiał na myśl o rozstaniu. Gdy ja w tajemnicy romansowałem z Klaudią, oni spędzali razem wiele godzin.

- Jesteśmy bardzo podobni - powiedział.

Pomyślałem o gniewnej minie Brygity i jej drażliwym usposobieniu.

- Jesteście zupełnie inni, Eamonie. Obrzucił mnie nieodgadnionym spojrzeniem.

- Nie znasz jej, Imri. Nie do końca.

- Więc mi powiedz.

Litania pochwał Brygity była długa. Kochał jej nieustraszoną dumę, jej dziką dumę, jej zdeterminowaną niezależność. Ostrożnie rozchylił kolce, którymi osłaniała swoją prawdziwą naturę, i jej natura rozbłysła mu przed oczami niczym jasny płomień. Sprawiała, że chciał być lepszym człowiekiem. Razem utworzyli większą całość.

Słuchałem niekończącej się litanii i brzmienia jego głosu, gdy mówił w zachwycie. Słuchałem też ukrytego znaczenia. Eamonn miał cechy, których nie znałem; tajemne ja, kryjące się pod rubaszną powłoką. Choć byliśmy sobie bliscy jak bracia i ryzykowałem dla niego życie, Brygitta poruszyła go w sposób dla mnie nieosiągalny. To wykraczało poza przyjaźń.

Zastanawiałem się, jak to jest.



Patrząc w gwiazdy, próbowałem to sobie wyobrazić. Jak to jest, kochać kobietę. Wiedziałem, co znaczy pragnąć. Pragnąłem Klaudii tak bardzo, że czułem to niczym gorączkę pod skórą. Nieobce mi były też inne pragnienia, głębsze i mroczniejsze niż czysta żądza cielesna. Nie zapomniałem Domu Waleriany. Zaznajomiłem się też z czułością, z uzdrawiającym darem Emmeliny z Domu Melisy. Spróbowałem nawet podzielić się nim z Heleną Correggio. Znałem też fascynujący powab zadurzenia, pochopnego i niebezpiecznego, dopełnionego zazdrością - byłem zauroczony moją chłodną, wyniosłą królewską kuzynką, Sydonią. Ale miłość...

Oczywiście, Alais. Myśl o niej skłoniła mnie do uśmiechu. Była w moim życiu jedyną osobą, którą darzyłem czystym, nieskomplikowanym uczuciem. Nawet w irytującym okresie dorastania jej widok budził radość w moim sercu. Ale to co innego. Tu nie było pożądania, żadnych ukrytych motywów.

Nie wyobrażałem sobie, że mógłbym czuć to wszystko naraz do jednej kobiety.

Na pewno nie do Dorelei mab Breidajaja.

No cóż, pomyślałem. Podjąłem decyzję i powinienem się cieszyć, że tżyję, by móc doprowadzić sprawę do końca. Tak więc słuchałem, jak Eamonn marzy na głos o swojej miłości, broniłem się przed zazdrością i wiedziałem, że nigdy nie będę czuć tego, co on. Może i dobrze. Kobiety *iw* moim życiu rzucały długie cienie.

Moja matka spowita woalem mitów i kłamstw.

Fedra.

Może lepiej kochać mężczyznę. Na wpół śpiąc, pomyślałem o pocałunku Lucjusza i niespodziewanej żądy, jaką we mnie zbudził. Cieszyłem się, że to zrobił. To zapaliło iskierkę jasności, która choć trochę rozświetliła czarny koszmar Darśangi. I tak się stało, że go pokochałem. „Będziesz znajdował ją i tracił, bez końca”.

Potem pomyślałem o Klaudii Fulwii w komnacie zalanej blaskiem świec, klęczącej na łóżku i patrzącej na mnie przez ramię, z kołyszącymi się ciężkimi piersiami. I wiedziałem, że to nie to samo. Chciałem tego. Chciałem zaspokojenia żądy cielesnej tak bardzo, że język przywierał mi do podniebienia, a pod nogami otwierała się przepaść. Ale pragnąłem też bolesnej czułości i czystości.

Chciałem tego wszystkiego.

Ciemne lustro i jasne. Śmiejąc się cicho, zapadłem w sen, gdy głos Eamonna wciąż płynął melodyjnie. Spałem i po raz pierwszy od czasu oblężenia śniłem o czymś innym niż krew i wojna.

Rankiem dotarliśmy do Tyberium. Pierwszy raz wszedłem do miasta jako Imriel nó Montrève, zubożały pan scholar. Tym razem wkroczyłem jako Imriel de la Courcel, księżę Terre d'Ange. Nie było sensu tego ukrywać. Całe Tyberium wiedziało, że woj-

sko ruszyło do Lukki na prośbę d'angelnskiej ambasador. Dowiedziałem się od Quentina LeClerca, że decyzję podjęto z niespotykaną dotąd szybkością. Princeps wyraźnie przedstawił swoją wolę, a senar jednomyślnie głosował za jej poparciem. Konsul zgromadzenia obywateli złożył protest i wycofał go tego samego dnia.

Tak więc wjechaliśmy z fanfarami i lud Tyberium gapił się na naszą kompanię. Kilku co śmielszych głośno domagało się wieści. Jeden z ludzi LeClerca - Romuald, który ostrzegł mnie przed tamą - wykrzyknął o zwycięstwie w Lukce.

Wtedy rozległy się wiwaty. Obywatele Tyberium patrzyli na Eamonnna i na mnie, trącając się łokciami. Z nieskrywaną ciekawością wlepiali wzrok w trumnę Gilota, jadącą na otwartym wozie. Była piękna, z polerowanego orzecha, drapowana sztandarem z liliami i gwiazdami Błogosławionego Elui i jego Towarzyszy.

- Kto umarł?! - zawołał ktoś z tłumu.

- Bohater! - odkrzyknąłem. - Bohater Terre d'Ange. Jadący obok mnie Eamonn pokiwiał głową.

Zmierzaliśmy do ambasady. Tłum podążał za nami; wiele osób wyciągało ręce, żeby dotknąć rąbka sztandaru na trumnie Gilota, gdy wóz ich mijał. Tyberianie uwielbiają martwych bohaterów, nawet dangelnskich. Przypomniałem sobie, jak Gilot rozglądał się z otwartymi ustami po nabrzeżu w Ostii, i mruganiem przepędziłem łzy. Bękart tańczył i tupał, przewracając okolonymi bielą oczami, zmuszając gapiów do trzymania się w bezpiecznej odległości.

U bram ambasady strażnicy zatrzymali ludzi i zapanował względny spokój. Pani Denise Fleurais oczekiwała nas na dziedzińcu. Ponieważ powitanie miało oficjalny charakter, ukłoniła się nisko.

- Wasza Wysokość - wymruczała. - Książę Eamonnne. Witajcie. Zostaliśmy powitani, nadzwyczajnie powitani. Kierując się instynktem doświadczonego dyplomaty, pani Denise dopilnowała, żebyśmy nie auli się przytłoczeni, ale mimo to otaczające nas luksusy stanowiły ogromny kontrast z dotychczasowymi warunkami życia. Mieliśmy do dyspozycji wszystkie udogodnienia ambasady. Nasze wierzchowce zaprowadzono do stajni, trumnę Gilota przeniesiono z należnymi honorami do sali recepcyjnej, gdzie miała spoczywać do czasu powrotu do domu.

Oddano do naszego użytku prywatne łaźnie palazzo. Do unctuarium przysłano goli-brodów i masażyistów. Podczas gdy moczyliśmy się i cieszyliśmy zbytkami, couturier pani Denise pomierzył nasze wyrzucone ubrania i zrobił szybkie poprawki w prawie ukończonych strojach, zamówionych przez innych klientów. Szewc zajął się wymianą spękanych obcasów i startych zelówek naszych butów. Wieczorem byliśmy wyszorowani i czyści, natarci olejkami, wymasowani i uczesani, i, w przypadku Eamonna, ogoleni. Okrywały nas czysre, nowe ubrania, miękkie w kontakcie ze skórą. Nasze podreperowane buty lśniły po wypucowaniu.

To było miłe.

I dziwne.

Siedziałem przy stole Denise Fleurais w małym salonie, gdzie wcześniej jedliśmy kolację. Stół był nakryty białym obrusem tak czystym, że wprost oślepił w blasku świec. Zastawa lśniła, wypolerowana do połysku. Położyłem palce na brzegu stołu, czując pięknie tkany materiał, i patrzyłem z lekkim zdziwieniem na grzbiety moich rąk. Znowy były czyste i znajome. Moje ręce, kształtne i mocne. Z kłykci-już zesza opuchlizna i pozostało tylko parę głębszych zadrapań. Paznokcie miałem przycięte i wypolerowane. Kiedyś słyszałem, jak Fedra w chwili nieuwagi powiedziała, że mam ręce matki.

Odwrociłem je. Wciąż były stwardniałe, odciski biegły u podstawy palców. Patrzyłem na wypisane na nich spirale.

- Dobrze się czujesz? - zapytała łagodnie Denise Fleurais.

- Tak. - Schowałem ręce pod stół. - Doskonale.

-To dobrze - wtrącił Eamonn. - Bo ja konam z głodu...

Jedzenia i picia było pod dostatkiem. Nie sądziłem, że jestem równie głodny jak Eamonn, ale gdy tylko podano zupę, nabrałem apetytu. Zdaje się, że przez większą część godziny jedliśmy danie po daniu - zupa szczawiowa, ryba w galarecie, gęś faszerowana daktylami i migdałami, a wszystko to popijane kieliszkami wyśmienitego namereńskiego wina. Gdy zakończyliśmy ucztę ciastkami z kremem, pękał mi brzuch. Pani Denise patrzyła na nas z pobłażliwym rozbawieniem. Choć nie miała własnych dzieci, znała apetyty młodych ludzi. Skubiąc co nieco z talerza, wypytywała nas o obłężenie. Opowiadał głównie Eamonn, pomiędzy zdaniami żując z wigorem i przelżykając ogromne ilości jedzenia. Kiedy doszedł do *mundus manes* i Gallusa Tadiusza, jej twarz spoważniała. Nie podważyła jego słów, nawet gdy mówił o otwarciu bramy do piekła. Przypuszczam, że w Menechecie widziała rzeczy, które nie pozwalały jej teraz wątpić w prawdziwość opowieści. Na przykład moce drudzńskiego kapłana kości.

- Przykro mi - powiedziała, gdy Eamonn skończył. - Gdybym wiedziała...

Otarłem usta nieskazitelnie czystą serwetką.

- Skąd wiedziałaś, pani? Quentin Leclerc wspomniał, że otrzymałaś wiadomość.

- Tak. - Z sakiewki wyjęła zmięty skrawek welinu. Podała mi go - To.

Rozwinałem pergamin, cienki i trochę tłusty. Był już używany i zdrapany do czysta. Zawierał tylko dwa słowa napisane w caerdicci, niewyraźne, trudne do odczytania w blasku świec. Lukka zaatakowana. Wygładziłem postrzępione brzegi.

- Kto go przyniósł? Pokręciła głową.

- Nie podał imienia. Strażnik przy bramie powiedział, że wyglądał na wieśniaka. Wziął wiadomość i odprawił go.

Uniosłem brwi.

-A jednak uwierzyłaś.

-Nie śmiałam nie wierzyć. Lepiej uwierzyć w nieprawdę i wyjść na głupca niż ryzykować drugą możliwość. - Denise Flaurais uśmiechnęła się przelotnie. - Królowa urwałaby mi głowę, gdybym pozwoliła cię skrzywdzić, mogąc temu zapobiec. Przypuszczam, że w takim wypadku wołałabym odpowiadać przed nią niż przed Fedrą. - Znowu spoważniała. - Uznałam, że wystarczy mała delegacja, ponieważ napastnicy Lukki nie mieli powodu wszczynać sporu z Terre d'Ange. Pomyliłam się.

-Skąd mogłaś wiedzieć? Najwyraźniej ten, kto to przysłał, nie miał pojęcia, że diuk Valpetry chce się na mnie zemścić. Sam tego nie wiedziałem. - Przeciągnąłem kciukiem po pergaminie, zastanawiając się, co zawierała wydrapana wiadomość. Obdarzyłem ją uśmiechem, który, jak miałem nadzieję, jest rozbijający. - Mogę to zatrzymać?

-Tak, oczywiście.

Nie było wahania, nie było śladu przebiegłości. Schowałem pergamin.

-Dziękuję, pani. Za to i za zapewnienie pomocy Tyberium. Musiałaś być wielce przekonująca.

-Nó tak. - Pani Denise ze skromnym uśmiechem rozłożyła ręce. -Królowa Ysandra może być ze mnie niezadowolona, gdy się dowie, co obiecałam *princepsowi*. To będzie drogo kosztowało, ale sprawa wydawała się pilna. Dekkus Fulwiusz okazał się wielce pomocny w uzyskaniu poparcia senatu.

- Jest dobrym człowiekiem - wtrącił Eamonn. Pokiwała głową.

- Tak. Ma wiadomość dla ciebie, książę Eamonnie, a przynajmniej ma ją jego żona. - Nutka rozbawienia wróciła do jej głosu.

- Od młodej skaldyjki? Zdaje się, że życzyła sobie, by przechować list z dala od rąk D'Angelinów.

- Brygitta! - Twarz mu pojaśniała, lecz zaraz potem spochmurniała. -W takim razie wyjechała.

- Są jakieś wieści z Terre d'Ange? - zapytałem.

- Ostatnio nic nowego. - Spojrzała na mnie ze współczuciem. - Pod waszą nieobecność napłynęły dwa listy, ale musiały zostać wysłane kilka tygodni temu. Polecę

szambelanowi zanieść je do twojej komnaty. Nie było czasu, odkąd dotarły wieści z Lukki.

Wspomniałem list, który napisałem w ambasadzie.

- Czy moje pismo zostało wysłane?

- Tak. - Milczała przez chwilę. - Księżę Imrielu, nie śmiałam słać wiadomości o tobie przed uzyskaniem pewności, że jesteś bezpieczny. Wyślę je jutro rano, jeśli sobie życzysz, choć przypuszczam, że ty sam będziesz lepszą nowiną. Statek cumuje w Ostii, gotów cię zabrać.

Ach, Eluo! Prawie zapomniałem. W domu musieli odchodzić od zmysłów, zastanawiając się, czy żyją. Powinienem ruszać w drogę, tej nocy, najpóźniej jutro. Sezon żeglugi zbliżał się ku końcowi. Ale musiałem zakończyć parę spraw przed wyjazdem z Tyberium. Przetarłem twarz dłońmi i westchnąłem.

- Daj mi jeden dzień - poprosiłem, Pani Denis przekrzywiła głowę. - Oczywiście.

## SZEŚĆDZIESIĄT SZEŚĆ

---

Okazało się, że nie mogłem wyruszyć nazajutrz. O świcie czekały na pas wezwania. Princeps Tyberium otrzymał wieści o naszym powrocie. Wzywał nas na audiencję.

- Powinnam się tego spodziewać - powiedziała pani Denise przepraszającym tonem.  
- Możecie odmówić, oczywiście, ale... lepiej nie.

- Pójdziemy - odparłem.

Eamonn, nie skrywając zniecierpliwienia, burkliwie wyraził zgodę.

Zjawił się po nas oddział straży przybocznej princepsa. Na znak szacunku pozwolono nam jechać konno. Strażnicy w lśniących napierśnikach stanęli w szyku, przed nami i z tyłu. Białe peleryny z purpurowymi pasami uderzały w ich gołe nogi, gdy marszerowali. Zastanawiałem się czy odczuwają chłód. Nie miałem pojęcia, czego się spodziewać po princepsie, Tytusie Maksymiuszu. Ze swoich czasów studenckich w mieście znałem go tylko jako obiekt kpin studentów, którzy mieli niewielki szacunek dla pełnionego przezeń urzędu, osłabionego po dniach dawnej chwały. Nie spodziewałem się, że poznam go osobiście.

Jak świątynia Asklepiosa, pałac królewski stoi na wyspie na rzece Ty-ber, choć bliżej brzegu, połączony z nim eleganckim mostem. Przejechaliśmy na drugą stronę. Na dziedzińcu zsiadliśmy z koni i zaprowadzono nas do pałacu.

Tam ujrzałem wystawione na pokaz pozostałości tyberyjskiego splendoru. Wprowadzono nas do sali tronowej, która pyszniła się podłogą z polerowanego różowego marmuru, wysokim sufitem i złożonymi fryzami. Stał tam tron, ozdobne krzesło ze złoczonego drewna, wysadzone klejnotami, z purpurową poduszką na siedzisku. Był pusty.

- Okropieństwo, prawda? - Mężczyzna wyłonił się zza tronu. Miał około trzydziestu lat, brzydką cerę i wystającą grdykę na chudej szyi. W jednej ręce trzymał zwój, drugą wyciągał na powitanie. - Miło cię poznać, księżę Imrielu de la Courcel.

Niewiele myśląc, uścisnąłem jego dłoń.

- Miło cię poznać, messire. - Mówiąc te słowa, spostrzegłem, że nosi skromny diadem, purpurową wstążkę na rzadziejących brązowych włosach. Puściłem jego rękę i ukloniłem się głęboko, pamiętając o dworskiej etykiecie.

- Wybacz mi, Wasza Wysokość.

- Mów mi Tytus, proszę.

Wyprostowałem się i zobaczyłem uśmiech na jego twarzy.

- Imriel.

- Imriel. - Księżę Tyberium odwrócił się w stronę Eamonna. Jego oczy spoczęły na złotym naszyjniku, dziwnie tęsknie. - Ty zaś musisz być księciem Eamonnem mac Grainna z Dalriady, z dalekich zakątków Alby. Czytałem o tym.

- Tak. - Eamonn zgiął się w ukłonie. Tytus Maksymiusz westchnął.

- Napijcie się ze mną wina?

Spędziliśmy z nim godzinę, pijąc i rozmawiając. Był ciekaw naszych przygód, tu w mieście i w Lukce. Ku mojemu zaskoczeniu stwierdziłem, że go lubię i że mi go żal. Princeps wiódł życie pod kloszem. Pragnął czegoś więcej, znacznie więcej, niż kiedykolwiek miała mu zapewnić sprawowana funkcja.

- Chciałem jechać, wiecie - rzekł ze smutkiem. - Do Lukki. Chciałem osobiście poprowadzić wojsko. Senat nie wyraził zgody.

Eamonn kaszlnął. Pewnie pomyślał, że to słuszna decyzja.

- Terre d'Ange jest niepomniernie wdzięczna za pomoc Tyberium w tej sprawie - powiedział dyplomatycznie. - Żądanie, byś narażał się w taki sposób, byłoby zbyt wygórowane.

- Tak mi powiedzieli. - Tytus Maksymiusz parsknął. - Nie musisz być wdzięczny Zrobiłbym to dla rozrywki. Dla chwały. I, o ile wasza ambasador nie kłamie, a jestem pewien, że nie, wasza królowa drogo zapłaci za naszą pomoc. Wszak chodziło o ratowanie księcia.

- Królowa uhonoruje słowo pani Denise - zapewniłem.

-To dobrze. - Niespokojnie bębnił palcami po poręczy krzesła. Zauważyłem, że panny ma obgryzione do żywego ciała. - To był pomysł mojej żony, wicie. Jest bardzo mądra.

Napotkałem jego spojrzenie. Jasnoniebieskie oczy, choć nieco wodniste, patrzyły szczerze i prostodusznie. Zastanowiłem się, czy jego żona należy do Niewidzialnej Gildii. Jeśli tak, zastanawiałem się, czy on o tym wie.

- Czy zostaniemy przedstawieni twojej pani małżonce?

Tytus zamrugał. Przeniósł spojrzenie wodnistych oczu ze mnie na Eamonna, potem z powrotem na mnie. Był brzydkim mężczyzną z niezrealizowanymi marzeniami o bohaterstwie i chwale, i nie musiałem stawać obok siebie, żeby zobaczyć cień zazdrości, który leżał na jego duszy. Ale on zdawał sobie z tego sprawę i nosił go ze swoistą rozpaczliwą godnością.

- Nie - odparł powoli i ze smutkiem. - Nie, nie sądzę, by to był dobry pomysł.

Rozstaliśmy się z wzajemnymi zapewnieniami o dobrej woli. Wyszedłem zamyślony. Na tym świecie są wszelkie rodzaje więzień, a Tytus Maksymiusz tkwił w jednym z nich. Często sam czułem się w ten sposób, zanim doszedłem do pełnoletności. Dla mnie Tyberium mogło być ucieczką, ale jego princeps nigdy nie pozna smaku wolności. Nie mogłem nic na to poradzić, było mi go żal.

Przynajmniej był mądrzejszy niż Dekkus Fulwiusz, gdy chodzi o żonę

- *Dagda Mor!* - Eamonn się otrząsnął. - Cieszę się, że już po wszystkim. - Trącił mnie w ramię i wyszczerzył zęby - Chodź, zobaczmy, jaką wiadomość przechowuje dla mnie piękna Klaudia. Jeśli zaczekam jeszcze trochę, to chyba pękne.

Przybyliśmy do domu Fulwiuszów bez zapowiedzi, ale nie niespodziewanie. Ciężki supeł wina ciążył mi w brzuchu, gdy wszedłem do atrium a serdeczne powitanie Dekkusa Fulwiusza pogorszyło sprawę.

Objął nas obu, klepiąc po plecach.

- Dobrzy chłopcy! Na bogów, rad jestem, widząc, że ten martwy obłąkaniec nie każał was zabić!

Uśmiechnąłem się do niego.

- W znacznej mierze dzięki tobie, panie.

- Ech. - Dekkus wzruszył ramionami z błyskiem w oku. - Obiecałem, że zrobię, co w mojej mocy. Jestem starym lwem, ale jeszcze nie bezzębnym.

Zjawiła się Klaudia z listem w ręce.

W każdym calu była tyberyjską matroną, odziana w skromną suknię z bursztynowego aksamitu ze stójką, z cudownymi włosami splecionymi w koronę. Jej wygląd nie zwiódł mnie ani na chwilę. Widziałem, jak jej piersi falują pod aksamitem, widziałem kołysanie bioder. Z trudem przełknąłem ślinę, gdy wymieniliśmy słowa powitania. Eamonn, drżąc z niecierpliwości, niczego nie zauważył. Wbijał wzrok w list w jej dłoni.

- Książę Eamonnie. - Podała mu pismo. - Dla ciebie.

Rozdarł list i wodził wzrokiem po stronie, bezdźwięcznie poruszając ustami.

- I? - zapytałem.

Eamonn pokazał mi list. Myślałem, że czytał długie pismo, ale się myliłem. Musiał zmawiać milczącą modlitwę albo szeptać pod nosem nazwy miejsc. Pergamin zawierał prymitywną mapę Skaldii z kilka razy zakreślonym miejscem. Zamiast nagłówka widniało jedno słowo: Przyjedź

- Co się stało? - Nigdy dotąd nie słyszałem takiej nuty w jego głosie. - I kiedy?

- Dziesięć dni temu? - Klaudia pytająco spojrzała na męża, szukając potwierdzenia. - Przybył po nią brat - dodała cicho. - Niestety, to wszystko, co wiemy. List przyniósł jeden ze studentów mistrza Piera, wraz z opowieścią, że Brygitta wraca do rodziny w Skaldii. Możesz go wypytać.

Skinął głową.

- Wypytam.

Posłuszni wymogom uprzejmości, zostaliśmy jeszcze trochę, pijąc wino i opowiadając im, co zaszło w Lukce po ich wyjeździe. Tym razem mnie przypadła rola narratora. Eamonn był rozkojarzony i niespokojny. Opowiadałem o bitwie, przez cały czas łamiąc sobie głowę nad znalezieniem sposobu, żeby sam na sam porozmawiać z Kaludią Fulwią. Gdy zjawił się z jakąś sprawą jeden z senatorów, Dekkus poprosił o wybaczenie i wyszedł, a Eamonn natychmiast skoczył na równe nogi.

- Powinniśmy iść - powiedział. Klaudia wstała.

- Odprowadzę was.

Puściłem Eamonna przodem i chwyciłem ją za ramię. I - Muszę się z tobą zobaczyć.



Odwróciła głowę. Czulem, jak drży, ale jej spokojny profil nie zdradzał śladu zderzenia. I - Po południu. Pracownia Erytei.

Głośno wypuściłem powietrze.

To dawało mi trochę czasu. Skoro nie miałem co z nim zrobić, dotrzymałem towarzysztwa Eamonnowi; prawdę mówiąc, chciałem zobaczyć się z mistrzem Piero.

Jak głupcy, przeszukaliśmy najpierw najmniej prawdopodobne miejsca, przypominając sobie wszystkie sztuczki, jakie obmyślał, żeby zmuszać nas do myślenia i patrzenia. Słońce stało wysoko na niebie, nim przyszło nam na myśl, że możemy pojechać na Wielkie Forum. Ludzie rozpierchali się przed nami, jedni klnąc z irytacji, inni krzycząc, gdy nas rozpoznali. Stado gołębi wzbiło się z trzępotem skrzydeł.

Na dobrą sprawę nie powinniśmy jeździć konno po mieście, ale Eamonn uznał, że prawo przyznane nam przez Tytusa Maksymiusza rozciąga się na cały dzień, a ja nie miałem zamiaru się z nim sprzeczać.

- Mistrzu Piero! - zawołał Eamonn.

Siedział na cembrowinie Fontanny Rydwanu, odziany w czarne szaty uczonego. Towarzyszyło mu kilku studentów, w większości nieznanym. Na zawołanie Eamonna z uśmiechem uniósł głowę.

- Z konia! - syknąłem do Eamonna. - Okaż odrobinę szacunku.

- Przepraszam - mruknął.

Obaj zsiadliśmy i poprowadziliśmy wierzchowce przez plac. Bękart zafcnowywał się w sposób godny podziwu, choć gdy dotarliśmy do fontanny, bezceremonialnie zanurzył pysk w wodzie i złopał hałaśliwie. Nowi studenci wlepiali w nas wzrok czy to z podziwem, czy z pełną szoku trwogą. Mistrz Piero wstał ze śmiechem.

- Mistrzu. - Eamonn padł na kolano, wciąż trzymając wodze, i spojrzał na niego pokornie. - Czy możesz powiedzieć mi o Brygicie?

-Ach. - Położył ręce na jego ramionach. - Rozmawialiśmy o cnotach i pułapkach miłości, prawda? - zwrócił się do swoich studentów. -Oto mamy przed sobą jedno i drugie, zapakowane w jedną cielesną powłokę. - Spojrzał na Eamonna ze współczuciem. - Niestety, Leidolf, brat Brygitty, przyjechał zabrać ją do domu, w towarzystwie kilku dziwnych kompanów. Grozili użyciem siły, jeśli natychmiast się nie podporządkuje.

Eamonn zgrzytnął zębami.

- Grozili jej?

- Nie - odparł mistrz Piero łagodnie. - Mnie.

- Och. - Eamonn umilkł na chwilę. - Przykro mi.

Mistrz Piero pokręcił głową.

- Dlaczego? Nie jesteś odpowiedzialny za ich poczynania, Eamonnie, tylko za swoje. Podobnie jak Brygitta, która postanowiła uśmierzyć jego gniew, spełniając żądanie. Tak więc wszystko jest dobrze. - Rzucił okiem na minę Eamonna i znów się roześmiał. - Chłopcze! Znajdziesz ją. Mniemam, że dostałeś mapę? - Eamonn skinął głową, a mistrz Piero poklepał go po ramieniu. - Zajrzyj do uniwersyteckich archiwów - poradził życzliwie. - Przypuszczam, że mają tam bardziej szczegółowe mapy, Brygitta szkicowała w pośpiechu.

Eamonn poderwał się i wziął go w objęcia.

- Dziękuję, mistrzu!

Skoro Eamonna opadło gorączkowe zniecierpliwienie, kazałem mu pójść na uniwersytet beze mnie, obiecując spotkać się z nim później w ambasadzie. Skoczył na koń i ruszył z tętentem kopyt, rozpraszając gołębie i przechodniów.

Za przyzwoleniem mistrza Piera zostałem i wysłuchałem końca wykładu. Napiwszy się do syta, Bękart drzemał w jesiennym słońcu z jedną podgiętą nogą. Słońce grzało, choć sam dzień był chłodny. Słuchałem jednym uchem, głównie myśląc o tym, jak młodo wyglądają wszyscy studenci, z gorliwymi, skupionymi twarzami. Pomyślałem o surowych liniach wrytych na twarzy Eamonna. Nie wyobrażałem sobie, by któryś z nas wyglądał tak młodo.

Mistrz Piero odprawił ich, gdy skończył. Odeszli grupkami po trzech i czterech, rozmawiając z ożywieniem. Bez wątpienia kierowali się do naszej ulubionej winiarni. Z uśmiechem wspominałem podniecenie, z jakim pogrążyliśmy się w ekscytującym świecie idei.

- Dziękuję, mistrzu, że pozwoliłeś mi zostać - powiedziałem. - Dobrze wiedzieć, że masz nowych uczniów.

- Zawsze są uczniowie. - Mistrz Piero usiadł obok mnie na cembrowinie i poklepał mnie po ręce. - I ty zawsze będziesz wśród nich mile widziany, Imrielu nó Montrève. Powiedz mi, jak ma się Lucjusz Tadiusz?

- Dobrze. I jest ci wdzięczny za nauki.

- A ty?

Spojrzałem na woźnicę rydwanu w fontannie, na surową twarz. Promienie słońca odbijały się w migotliwej wodzie, rzucając na nakrapiany bok Bękartu jasne, ruchliwe wzory. Słuchałem muzyki spadającej wody, gruchania gołębi, zwyczajnych odgłosów targowiska. Wszystkie dźwięki życia, ze wszystkimi jego niezliczonymi pułapkami i

cnotami. Tak wiele pragnąłem omówić z mistrzem Pierem, lecz zajęłoby to całe życie. Nie miałem nawet dnia.

- Dobrze - odparłem. - I jestem wdzięczny za nauki.

- W takim razie jestem zadowolony.

Wstałem i mistrz Piero też się podniósł, ściskając moją rękę. Uśmiechnął się do mnie ostatni raz, tym uśmiechem pełnym niespodziewanej słodyczy, która odmieniała jego pospolite rysy. Był dobrym człowiekiem, i mądrym. Miałem szczęście, że go spotkałem.

Ukloniłem się, okazując mu uszanowanie należne udzielnemu władcy.

- Żegnaj, mistrzu.

Pożegnawszy się z mistrzem Pierem i życiem scholara, poprowadziłem Bękartą przez tłoczne forum na wąskie ulice. Chłopak stajenny w zajeździe Lolli, gdzie wraz z Gilotem spędziliśmy pierwszą noc w Tyberium, zgodził się za opłatą przyjąć go na pół dnia.

Miałem jeszcze inne rzeczy do zrobienia.

Poszedłem do domu bankowego, gdzie pokazałem list kredytowy, który dał mi Jacques Brenin, zarządca majątku Fedry. Opiewał na dużą sumę, a ja żyłem oszczędnie. Nawet po zapłaceniu Ruggero Cacciniemu miałem dość pieniędzy dla moich celów. Bankierzy wypłacili mi żadaną sumę i wystawili nowy list kredytowy na podane przeze mnie nazwisko.

Pani Denise okazała się wspaniałomyślna i troskliwa. Kilka tygodni temu, po pierwszych wieściach z Lukki, kazała zabrać nasze rzeczy z in-suli i uregulowała nasz dług.

Ale miałem inne długi.

Po załatwieniu spraw finansowych nadszedł czas na spotkanie. Słońce sunęło po niebie jakby szybciej niż w tygodnie lata. Pośpieszyłem do pracowni Erytei. Drzwi były zamknięte, ale otworzyły się, gdy zapukałem. Eryteja skłoniła głowę na powitanie.

- Książę Imrielu, jesteś oczekiwany.

- Tak, pani - rzuciłem cierpko. Po raz pierwszy dała do zrozumienia, że wie, kim jestem. - Wiem. - Potrząsnąłem sakiewką u pasa, pękata od monet. - Przychodzę też jako klient. Sprzedałaś obraz?

Jej brwi wygięły się w łuki.

- Bachusa? Wiesz przecież, że był... Pokręciłem głową.

- Endymiona.

- Och. - Eryteja z Trastos dotknęła ust poplamionymi farbą palcami, przypatrując mi się pilnie. - Model...?

- Nie żyje, pani.

- Przykro mi.

- Mnie również. Czy jest na sprzedaż?

-Cóż, jest chętny... - Wyrachowanie wyostrzyło jej silne helleńskie rysy, ale tylko na chwilę. - Tak. Dla ciebie, tak.

Artystka podała cenę, a ja od razu przystałem. Targowanie się byłoby niestosowne. Dziwnie było znów przebywać w pracowni, pełnej skośnych promieni popołudniowego słońca i mocnego zapachu oleju lnianego. Pragnąc zachować zimną krew, nie spojrzełem na obraz. Zapłaciłem jej brzęczącą monetą. Pomocnik Sylwio zawijał obraz w wojłok, gdy przybyła Klaudia Fulwia, otulona grubym wełnianym płaszczem.

Wchodząc do pracowni, odrzuciła kaptur. Czy przez przypadek, czy umyślnie, stała tak, że snop światła utworzył na jej włosach płonącą koronę. Bez słowa skinęła głową ku drzwiom. Słońce zabłysło w jej oczach, przemieniając je w bursztyny. Eryteja skinęła głową, machnęła ręką na Sylwia. Odeszli w pośpiechu. Przypuszczam, że przekroczyli próg udawania.

- Chcesz się więc ze mną widzieć? - Klaudia się uśmiechnęła. Powróciły wszystkie stare pragnienia. Ach, Eluo! Byłoby dobrze, tak dobrze się w niej zatracić. Oczyszczyć się we wspaniałości jej nagiego ciała ze wszystkich koszmarów bitwy, które wciąż do mnie przywierały. Pasowaliśmy do siebie, Klaudia i ja, przynajmniej w sypialni.

-Tak. - Odetchnąłem głęboko. - Powiedz mi o mojej matce.

-O twojej matce! - zawołała nerwowo.

Zaskoczyłem ją. Przyglądałem się jej uważnie. Przelotny błysk gniewu rozświetlił jej brązowe jak u lisa oczy. Klaudia była starsza niż ja. Myślała, że prowadzę jakąś okrutną grę.

-Moja matka przysłała Canisa - dorzuciłem. Gniew zgasł i zaświtało zrozumienie.

-Canis - mruknęła Klaudia. - Twój filozof-żebrak.

- Tak. - Przesunąłem pokryty zaskorupiałą farbą stółek Erytei i usiadłem, nie spuszczać z niej oka. - Okłamałaś mnie w Lukce, Klaudio. Mogłaś nie wiedzieć, kim jest, ale wiedziałaś, że należy do Gildii. Wiedziałaś od początku.

Patrzyła na mnie.

- A ty wiedziałaś, że pewnych rzeczy nie wolno mi powiedzieć. Już raz popełniłam błąd. Nie mogłam sobie pozwolić na drugi. Przykro mi.

- „Nie czynь szkody” - zacytowałem. - To medalion, prawda? Kolory odpłynęły z jej twarzy.

- Skąd wiesz?

- Canis powiedział mi przed śmiercią. - Wolałem zaryzykować kłamstwo niż narażać na niebezpieczeństwo kapłana Asklepiosa. - „Nie czynь szkody”. Dodał, że matka przesyła mi pozdrowienia, a potem skonał przeszyty oszczepem, który przeznaczony był dla mnie. Dlatego pytam cię, Klaudio. To znaczy, że moja matka należy do Gildii, prawda?

Klaudia westchnęła.

- Imrielu, nie wiem. Jestem tylko...

- Czeladnikiem - dokończyłem. - Wiem. Czy moja matka, Melisanda Szachrizaj, jest członkiem Niewidzialnej Gildii?

Odwróciła wzrok.

-Jeśli wysłała Canisa, tak. Albo poznała nasze tajemnice i wykorzystuje je, żeby zmuszać nas do wykonywania jej poleceń. Z tego, co o niej wiem, prawdą może być jedno i drugie. - Spojrzała na mnie. - Naprawdę nie wiem, Imrielu.

- Co znaczy wiadomość „Nie czynь szkody”? - Patrzyłem, jak Klaudia zaczyna krążyć po pracowni, mijając sztalugi z pobieżnymi szkicami i na wpół ukończonymi małowidłami. - Na Eluę, Klaudio! Canis zmarł, nie zdążył mi tego wyjaśnić. Człowiek zginął przeze mnie, zasługuję na odpowiedzi. Czy mam wszcząć awanturę i zacząć zadawać pytania? Bo jestem gotów to zrobić.

-Nie, proszę. - Klaudia z westchnieniem rzuciła się na fotel, na którym pozowałem jako Bachus. - Imrielu... wiadomość na medalionie oznacza tylko, że jakiś potężny członek Gildii wziął cię pod swoją ochronę. Że innym członkom nie wolno cię skrzywdzić. Rozważyłam to i przekazałam wiadomość dalej. Czy ta odpowiedź cię zadowala? - Spojrzała na mnie. - Kiedy powiedziałeś mi o Canisie, założyłam, że ktoś mu kazał cię strzec.

-Tak. Moja matka. Dobrze się spisała, chociaż nie sądzę by przewidziała wybuch zamieszek, podczas których Canis mnie chronił. - Patrzyłem na nią, rozmyślając. - Dlatego uznałaś, że nie grozi mi śmiertelne niebezpieczeństwo ze strony zbirów Cacciniego? Z powodu Canisa?

Klaudia przytaknęła.

- Skąd wiedziałaś, że medalion zawiera wiadomość? Niecierpliwie machnęła ręką.

-To jeden ze znaków, jakimi się posługują - Latarnia cyników, tylko odwrócona. Skierowana w lewo. Większość ludzi nie zwróci na to uwagi. Ty nie zwróciłeś.

-Więc cała ta sprawa z groźbami Niewidzialnej Gildii... - Pokręciłem głową. - To kłamstwo, od początku do końca, Gildia nigdy mi nie zagrażała.

- Nó cóż. - Klaudia uśmiechnęła się cierpko -To zależy od tego, jak potężny jest członek Gildii, który wziął cię pod swoje skrzydła.

Pomyślałem o tym, i pomyślałem o Canisie.

-Dość potężny, by wysłać człowieka gotowego zginąć w mojej obronie. Klaudia wzruszyła ramionami.

-Mówiłeś, że już wcześniej ludzie umierali dla Melisandy Szachrizaj.

-Nie rozmyślnie. I nie z uśmiechem.

Im dłużej o tym myślałem, tym większa złość we mnie wzbierała. Wśród wszystkich intryg Gildii moja matka czyhała niczym pajak w sieci, przeklęta i nieunikniona. Nic dziwnego, że tak bardzo chcieli mnie zwerbować. Zimna furia ścinała mi krew w żyłach.- Podniosłem się ze stołka i podszedłem do Klaudii. Położyłem ręce na poręczach fotela i pochyliłem się, aż nasze twarze niemal się zetknęły. Klaudia skuliła się, uwięziona. Widziałem puls bijący pod jej podbródkiem i czułem strach w jej pocie

-Gdzie ona jest?

-Nie wiem! - Głos jej się załamał. - Imrielu, proszę.

-Gdzie?! - krząknąłem.

-Nie wiem. - Klaudia zamknęła oczy i przełknęła ślinę. - Przysięgam ci na trójcę, na życie mojej rodziny, nie wiem. Wiem tylko to, co ci powiedziałam.

-Ale wiesz, kto wie - wycedziłem ponuro. - Może Eryteja? Artyści podróżują. A może żona princepsa. Albo pani Denise, ambasador Terre d'Ange? - Odsunąłem się, wyłuskałem skrawek pergaminu z sakiewki i podetknąłem jej pod nos. - Powiedz mi, że jest na tym ukryta wiadomość!

Klaudia otworzyła oczy i wzięła ode mnie pergamin.

- Nie. - Jej głos był napięty. - Jeśli była, została starta. Nie... nie wierzę, żeby pani Fleurais była zamieszana. Nie wiem. Nie na pewno.

Wierzyłem jej. Nagle mój gniew odpłynął, zostawiając po sobie zmęczenie. Wziąłem pergamin od Klaudii i usiadłem ciężko na stołku, chowając twarz w dłoniach.

- Imrielu. - Łagodny ton. Uniosłem głowę.

-Wracaj do domu - powiedziała cicho. - Wracaj do domu, weź za żonę albańską księżniczkę i zapomnij o tym wszystkim. Nie możesz wygrać tej gry. Nade wszystko inne, Gildia chroni siebie. Przegrasz, jeśli spróbujesz, i bez względu na to, jaką władzę dzierży twoja matka, to nie wystarczy, żeby cię ocalić. Albo mnie. Albo ludzi, których kochasz.

- Skąd ta pewność? - zapytałem z goryczą. - Eluo! A jeśli ona jest... jak to było? Heptarchem?

- Nie jest. - Jej spojrzenie pozostało niewzruszone. - Wierz mi, gdyby miała taką władzę, nazajutrz po powiadomieniu jej pies Canis pomaszerowałby do Lukki z wielką armią Caerdicci. W rzeczywistości zebranie siedmiuset tyberyjskich żołnierzy i wysłanie ich w mniej niż tydzień wymagało wpływów Dekkusa, pani Fleurais i moich. - Cień uśmiechu przemknął po jej pełnych ustach. - I, nawiasem mówiąc, miło cię widzieć.

W odpowiedzi rozciągnąłem wargi w wymuszonym uśmiechu.

- Dziękuję.

Klaudia przechyliła głowę.

- Naprawdę... Dlaczego jesteś taki zły? - zapytała z zaciekawieniem. -Twoja matka nie wyrządziła szkody. Chciała tylko cię chronić.

Otworzyłem usta i nie znalazłem odpowiedzi, a przynajmniej żadnej, która nie brzmiałaby dziecinnie. Moja matka była nikczemną zdrajczynią.

Urodziła mnie z czystej ambicji, przekazała mi spuściznę zdrady i nieufności. A kiedy zaginałem, schowała dumę do kieszeni i wysłała jedyną w świecie osobę zdolną mnie odnaleźć. Byłbym martwy, gdyby nie ona.

I byłbym martwy, przeszyty pierwszym oszczepem Domenica Martellego, gdyby nie posłała Canisa, żeby mnie chronił. Choć raz nie dała mi powodu, bym jej nienawidził.

- Nie wiem - odparłem uczciwie.

## SZEŚĆDZIESIĄT SIEDEM

---

Skoro nie zostało nic innego do powiedzenia, Klaudia Fulwia i ja pożegnaliśmy się w pracowni Erytei. Wydawało się to właściwe. Już kiedyś zegnałem się z nią w tym miejscu.

Tym razem nie padły wzajemne oskarżenia ani okrutne słowa. W końcu zbyt wiele razem przeszliśmy. Widziałem w niej wiele, by ją podziwiać, i wiele, by nią gardzić. Mnóstwo, by pożądać. Dużo się od niej nauczyłem, podobnie jak od mistrza Piera.

Jasne lustro i ciemne.

Ukloniłem się i ucałowałem jej rękę, wspominając dzień naszego pierwszego spotkania. Jej dłoń, śmiała i pewna, sięgająca do mnie pod kocem. Potem w salonie jej męża, w ciemności, jej usta na moich wargach i natarczywy, badawczy język.

- Żegnaj, pani - powiedziałem. - Niech Elua cię błogosławi. Uśmiechnęła się.

- Oby tak było.

Tak oto poszedłem w pośpiechu wypełnić ostatnie zadanie, niosąc obraz owinięty wołokiem. Kluczyłem wąskimi ulicami dzielnicy studenckiej. Słońce chowało się za wzgórzami Tyberium, ulice pogrążały się w niebieskich cieniach. Zrobiło się zimno, tak zimno, że mój oddech zamarzał.

Wszedłem do insuli.

Omam nie stchórzyłem i nie zawróciłem. Jakże łatwo byłoby zlecić dostarczenie obrazu i wieści. Pomówiłem z panią Denise o moich zamiarach, a ona zgodziła się służyć pomocą. Niewątpliwie dopilnowałaby tego z wielkim taktem i życzliwością.

Ale ona nie знаła Gilota.

Podwórce było puste. Nikt nie czerpał wody ze studni, nikt nie opróżniał urynałów do ścieku. Biorąc głęboki wdech, wetknąłem obraz pod pachę, wszedłem po rozklekotanych schodach i zapukałem do drzwi mieszkania wdowy.

- Tak? - drzwi uchylily się odrobinę. - Wasza Wysokość! Wybacz mi. Otworzyła drzwi.

- Anno...

Wiedziała. Ujrzałem, jak wiedza spada na nią niczym fala. Odwróciła twarz. Miłą twarz, zwyczajną i ładną. Zamknęła oczy, nie dość szybko, Żeby ukryć łzy. Ramiona jej zdrzały.

- Przykro mi - powiedziałem. - Tak bardzo mi przykro.

- Mamo? - Głos jej córki, wysoki, przestraszony. - Mamo? Anna Marzoni otarła łzy i spojrzała na mnie.



- Wejdz, proszę.

Wszedłem. Izba była skromna, czysta i schludna. Stół, dwa krzesła. Jedna lampka oliwna, zimny kosz. Talerz z oliwkami. Siennik z czystą pościelą, a na nim Belinda, skulona, z przerażeniem w szeroko otwartych oczach. Znała mnie, kiedyś. Teraz wszystkim, co miało dla niej znaczenie, był płacz matki. Postawiłem obraz, opierając go o ścianę.

- Co to? - zapytała mnie Anna. Cichy głos. Przełknąłem ślinę.

- Na pamiątkę.

Rozwinęła wojłok pewnymi rękami, potem uklękła, kładąc je na kolanach.

- Gilot! - pisnęła Belinda.

Gilot jako Endymion, śpiący. Twarz na wpół odwrócona, półkole rzęs na policzku. Kasztanowe kędziory na czole. Jedna ręka wyrzucona nad głowę, księżycowa poświata srebrząca skórę niczym pieszczota kochanki. Druga ręka, kaleka, ukryta za tułowiem.

„Jest taki piękny”, powiedziała Anna.

- Tak, kochanie - rzekła teraz cicho, tak cicho. - To Gilot.

- Zmarł... - Urwałem, słysząc własny chrapliwy głos. - Zginął jako bohater...

- Przestań. - Cicha zaciekleść. Anna na chwilę zakryła oczy rękami. - Nie chcę tego słuchać. Nie tutaj. Nie teraz. To mnie nie obchodzi.

Skinąłem głową i wyjąłem z zanadru list kredytowy, położyłem go na stole.

- Na początek - powiedziałem cicho. - Dla ciebie i Belindy. To i życzenie. Niebawem będzie więcej. Gdybyś czegoś potrzebowała, wystarczy dać znać. Ambasada wypłaci ci pieniądze.

- Pieniądze! - Anna wciągnęła powietrze. Gdy je wypuściła, jej ramiona na chwilę opadły. - Dziękuję, książę Imrieli - dodała formalnym tonem, podnosząc się z podłogi. - To miło, że przyszedłeś.

- Anno...

- Idź już, proszę. - Łzy były w jej głosie. - Proszę, odejdz. Poszedłem.

Usłyszałem ostry, zdławiony szloch, gdy zamknąłem za sobą drzwi a potem cichy szmer głosu, gdy Anna próbowała wyjaśnić córce, że Gilot odszedł, że Gilot, jak jej ojciec, już nigdy nie wróci. Oparłem czoło o drzwi i zapłakałem.

Tak zakończyłem ostatnie i najtrudniejsze zadanie. Wziąłem się w garść i wyszedłem z insuli, uciekając od rozpaczliwej wdowy i dziecięcego braku zrozumienia. Jak najdalej od siebie, który kiedyś tam mieszkałem. Ciągnął za mną tylko zapach mirry ze sklepu mistrza Ambrozjusza, ale po jakimś czasie on też mnie opuścił.

Zabrałem Bękartą ze stajni, dając chłopcu stajennemu srebrnego denara. Zdumiony, wytrzeszczył oczy i niemal zapomniał mi podziękować. Nie dbałem o to. Anna miała rację, pieniądze nic nie znaczą. Jutro, po najgorszym wybuchu rozpaczliwej, mogą nabrać znaczenia. Nie dzisiejszego wieczoru.

Jechałem powoli ulicami Tyberium, sam z moimi myślami. Gilot zbesztalby mnie za to. Gdyby tak bardzo nie troszczył się o moje bezpieczeństwo, nie zostałby ranny w zamieszkach, nie odniósłby rany, która go zabiła. Zawsze próbował mnie chronić.

„Noszę więcej win”, powiedziałem Valpetrze.

I w ostatecznym rozrachunku największe zagrożenie dla mnie stanowił ktoś, kogo ledwo znałem. Obcy, związany ze mną więzami wąskimi jak ostrze mego miecza. Przerazona kobieta, odcięta dłoń. Uczyniłem sobie wroga znacznie bardziej nieprzejednanego niż ci, których odziedziczyłem po matce.

A Canis uchronił mnie przed nimi wszystkimi.

U stóp Wzgórza Eskwilińskiego ściągnąłem wodze i spojrzę na miasto. Były zamieszki, oczywiście, i opryszek w uliczce tej nocy gdy samotnie snułem się po ulicach Tyberium. Martwy mężczyzna przed insulą, z poderżniętym gardłem. Canis, trzęsący się ze strachu opowiadający o sprzeczce złodziei. Ulitowałem się nad nim, dałem mu moją pelerynę.

-Jestem idiotą - powiedziałem głośno.

Bękart parsknął jak gdyby na zgodę, strzygąc uszami w kierunku ambasady.

Gildia wiedziała o Bernadecie de Ttevalion. Moja matka też musiała siedzieć. Powstrzymała się jednak od szukania zemsty, poprzestając na upewnieniu mi ochrony. A może tylko to mogła zrobić? j Nie wiedziałem. Może nigdy się nie dowiem.

A jednak, gdybym miał innych wrogów, których mógłbym nazwać po imieniu, wrogów jej znanych, nie wątpię, że próbowałyby mnie chronić. Była to dziwna myśl. Patrzyłem na pogrążone w mroku miasto, rozciągające się na wzgórzach. Z okien bogatszych siedzib płynęły światła; biedniejsze domy spowijał mrok. Zastanawiałem się, czy moja matka jest gdzieś tam, czy może zupełnie gdzie indziej, daleko, bardzo daleko. Nie zdołałem rozpoznać akcentu Canisa.

Uniosłem rękę.

- Oby Kusziel miał dla ciebie litość, matko.

Przebiegło mnie drzenie, wspomnienie brązowych skrzydeł. Czulem w ustach smak krwi. Bękart stapał niespokojnie, kamyki grzechotały pod jego kopytami. Skierowałem go ku ambasadzie i ruszyliśmy pod górę. W ambasadzie panowała cisza.

Byłem rad, gdyż współgrało to z moim nastrojem. Po wizycie u Anny pragnąłem spokoju. W jadalni pani Denise bawiła Eamonna i znanego mistrza studiów skalldyjskich. Wymówiłem się, dziękując za zaproszenie, i poszedłem do moich pokoi.

Były tam wszystkie moje rzeczy, moje i Gilota. W sumie niewiele. Podróżowaliśmy lekko, on i ja. Przejrzałem jego rzeczy. Dwie koszule, jedna cerowana. Para spodni. Nic, co chciałoby się zatrzymać na pamiątkę. Taką wartość miał tylko miecz, zamknięty z nim w trumnie. Przez chwilę się zastanawiałem, czy nie dać go Annie. Lepiej nie.

Mój dobytek był odrobinę większy. Upchnąłem w sakwach kilka zdalnych do noszenia sztuk odzieży, sposobiąc się do jutrzejszego wyjazdu. Wiałem niewiele więcej. Miecz, sztylety. Osełka, i krzemień z krzesiwem, Podarowane mi dawno temu w Dzebe barkal. Dwa bukłaki. List skreślony przez Ruggera Cacciniego. Kisty.

Jak powiedziała pani Denise, dwa napłynęły podczas mojej nieobecności. Jeden cienki, z herbem rodu Courcel. Złamałem pieczęć i przeczytałem go zeszłej nocy. Od Ysandry, wdzięcznie sformułowany, wyrażał podziękowania królowej i cruarchy za to, że postanowiłem wrócić do Terre d'Age i poślubić Dorelei mab Breidaja.

Drugi, gruby, opatrzony pieczęcią rodu Montrève. Nie otworzyłem go. Został napisany, zanim usłyszeli wieści z Lukki; wiedzieli tylko o moim zamiarze powrotu do domu.

Mogłem wyobrazić sobie, jak Fedra w gabinecie macza pióro w kałamarzu i lekko ściera brwi, gdy jej ręka pomyka nad kartą. Joscelin spogląda nad jej ramieniem i nie skąpi kpiących komentarzy, gdy ona dzieli się ze mną strzępkami plotek, które on uważa za błahe.

Bałem się, że pochłonę list za szybko. Lepiej odłożyć lekturę na później.

-Imri? - Eamonn wetknął głowę do pokoju, aż się przestraszyłem.

-Wejdz - poprosiłem.

W moim pokoju był kominek, a przed nim stały dwa fotele. Sługa pani Denise rozpałił ogień, który zdążył przygasnąć, bo go nie podsyciałem. Dostałem też lekki posiłek i karafkę brandy. Przegrzebałem węgle w kominku i napełniłem kieliszki.

-Proszę - powiedziałem, podając jeden Eamonnowi.

-Ach! - Wypił i opadł na fotel. - Dobrze. - Podniósł kieliszek. - *Joie*. Z uśmiechem powtórzyłem toast.

-*Joie*.

Siedzieliśmy w milczeniu. Eamonn patrzył w ogień, głowa mu się kiwała. Zastanawiałem się, ile wina wypił przy kolacji. Wreszcie wziął się w garść i ziewnął potężnie, aż trzasnęła żuchwa.

- *Dagda Mor*, stale jestem niewyspany.

- Nocne patrole zrobiły swoje - przytaknąłem. - Zbyt wiele zarwanych nocy.

- Tak. - Zachichotał. - Jedna sprawa, chłopcy....

Obaj parsknęliśmy śmiechem, wspominając Gallusa Tadiusza. Eamonn potarł brodę.

- Za szaleńców, co? - mruknął, podnosząc kieliszek, i obaj spełniliśmy toast. - Tak. - Eamonn odstawił kieliszek. - Wracasz do domu.

Skinąłem głową.

- Jutro. A ty ruszasz do Skaldii?

- Tak. - Spojrzał na mnie bacznie, już ani trochę nie śpiący. - Jedziesz ze mną?

Ponieważ pytał Eamonn, i ponieważ go kochałem, zastanowiłem się nad pytaniem. Myślałem nad opowieścią Joscelina o Skaldii w zimie, o mrozie tak wielkim, że soki zamarzają w drzewach i pnie trzaskają głośno, o świecie spowitym bielą pod błękitną kopułą nieba. O wilkach i krukach, o potyczkach toczonych na rozciągniętej skórze. O ludziach, którzy pod pewnymi względami są srodzy, a pod innymi dobrzy. I myślałem, jak razem z Eamonnem wędrujemy przez skaldyjską dzicz, kuląc się przy ogniskach, zależni od życzliwości naszych dawnych wrogów w czasie poszukiwania osady Brygitty.

To dopiero byłaby przygoda.

Pomysł przyspieszył mi bieg krwi w żyłach, trochę. Ale potem moje spojrzenia padło na list Fedry, z pewnością pełen radości i nadziei na wieść o moim powrocie. Jak biedny princeps Tyberium, posłusznie musiałem wrócić do więzienia. W przeciwieństwie do jego, moje było zbudowane na fundamencie miłości. Pokręciłem głową.

- Nie mogę.

- Nó cóż. - Eamonn napełnił kieliszek. - Musiałem spytać.

- Boisz się?

- Trochę. - Ktoś inny byłby skłamał; Eamonn miał to w nosie. Popatrzył na mnie uważnie. - Skaldowie nie mają powodów kochać Dalriadów. Nie wiem, co tam znajdę. Ale ona jest tego warta.

Uniosłem kieliszek.

- Za Brygittę.

- Za Brygittę. - Eamonn spełnił toast. - Czy mamy wypić za twoją przyszłą narzeczoną? - Odczytał moją minę i zrozumiał. - Za szybko, prawda? Ledwie znasz dziewczynę. A co z Klaudią Fulwią?

Parsknąłem, bo akurat popijałem wino. Eamonn wyszczerzył zęby.

- W takim razie za Klaudię.

- Za Klaudię - zgodziłem się. - Oby bogowie chronili ją przed nią samą.

Eamonn się roześmiał.

- Za żyjącego w błogiej nieświadomości Dekkusa Fulwiusza!

- O tak. - Wypiłem. - Oby nigdy się nie dowiedział tego, czego lepiej nie wiedzieć.

Nastąpiły inne toasty, napełnialiśmy kieliszki i próbowaliśmy się prześcignąć. Wypiliśmy za Lucjusza, za jego odwagę i za waleczność Czerwonej Plagi. Wypiliśmy za poległych towarzyszy i wznieśliśmy toast za żywych. Ja wypiłem za Eamonna, za dowodzenie drużyną Barbarusa, a on wypił za mnie, za uratowanie mu życia. Wypiliśmy za mistrza Piera za jego mądre nauki, a potem za samą mądrość i takie cnoty, jakie tylko przyszły nam na myśl, wszystkie mieszając.

Po jakimś czasie karafka zrobiła się prawie pusta, a my bardziej niż trochę pijani. Po skąpych racjach w Lukce żaden z nas nie miał mocnej głowy. Rozlałem do kieliszków resztę brandy.

- Za Gilota - mruknąłem.

- Za Gilota - powtórzył Eamonn.

W pokoju zapadła cisza, mącona tylko przez cichy trzask ognia. Zwęglona kłoda osiadła, wzbijając snop iskier. Eamonn dźwignął się na nogi.

- Do łóżka - powiedział, słaniając się lekko. - Rano wyjeżdżasz?

- Wcześniej, tak.

- W porządku. - Przetarł oczy. - Wtedy się zobaczymy.

Niemal chciałem, żeby został, żebyśmy spali w jednym pokoju jak w rezydencji Fedry. Choć raz nie miałbym nic przeciwko jego chrapaniu. Ale już nie byliśmy wyrośniętymi chłopcami, zwierającymi się w ciemności. Byliśmy dorosłymi mężczyznami, którzy walczyli i przeżyli oblężenie Lukki. Byliśmy królewskimi gośćmi w d'angełińskiej ambasadzie, utytułowanymi do przywileju prywatności. Zamknąłem za nim drzwi i położyłem się do łóżka.

Myślałem, że godzinami będę leżał bezsennie, patrząc w ciemność i oczyma duszy widząc zboląłą twarz Anny Marzoni, ale brandy zrobiła swoje. Zasnąłem niemal w chwili, gdy moja głowa dotknęła poduszki, i spałem spokojnie, dopóki sługa nie przyszedł zbudzić mnie o świcie.

Była pora ruszać do domu.

## SZEŚĆDZIESIĄT OSIEM

---

Wszystko zostało przygotowane.

Straż honorowa złożona z czterech ludzi miała mi towarzyszyć do Miasta Elui. Sprzeciwiałem się, ale pani Denise pozostała nieugięta. Kiedy się dowiedziałem, że strażnicy ciągnęli losy za przywilej - związany nie tyle z moją królewską osobą, ile z szansą powrotu do domu - ustąpiłem.

Zebraliśmy się godzinę po wschodzie słońca i pojechaliśmy na nabrzeże. Trumna Gilota została wyposażona w mosiężne pierścienie. Przesunięto przez nie mocne drągi i czterech strażników z ambasady niosło ją na ramionach. Eamonn i ja jechaliśmy po obu stronach, wymieniając smętne spojrzenia, patrząc na siebie zaczerwienionymi oczami.

Nie cierpiałem samej myśli o pożegnaniu z Eamonnem.

Na nabrzeżu czekała na nas barka. Była zarezerwowana dla naszego wyłącznego użytku, powiewał nad nią sztandar Elui i jego Towarzyszy. 'Ociągałem się na nabrzeżu, gdy strażnicy pani Denise nadzorowali załadunek koni, bagażu, trumny Gilota.

W końcu nie miałem już żadnego pretekstu, żeby dłużej zwlekać. Ukłoniłem się Denise Fleurais.

; - Dziękuję, pani, za wszystko, co zrobiłaś. Niech Elua cię błogosławi.

Pani Denise odwzajemniła ukłon i obdarzyła mnie pożegnalnym pocałunkiem.

- Miej się dobrze i bądź bezpieczny, Imrielu de la Courcel. Nie potrzebuję innych podziękowań.

Eamonn.

Zsiadł z konia i podał wodze strażnikowi. Patrzyliśmy na siebie z zakłopotaniem.

- Masz. - Rzucił mi pakiet listów. - Głównie do mojej matki. Jeden do ojca, jeśli kiedyś zawinie do portu. - Uśmiechnął się krzywo. - Nie chcę razem zapomnieć.

Schowałem listy w zanadrze wamsu.

- Dopilnuję, żeby zostały dostarczone.

- To dobrze. - Eamonn chrząknął.

- Masz wszystko, czego ci potrzeba? Skinął głową.

- Prawie. Za parę dni ruszam w drogę. Może uda mi się wyprzedzić śnieg.

- To dobrze. - Zaczerpnąłem tchu. - Będzie mi ciebie brakowało.

- Ach, Imri! - Eamonn zamknął mnie w niedźwiedzim uścisku, potem odsunął i złapał za ramiona. - Nie pakuj się w kłopoty, dopóki nie wrócę - powiedział szorstko. - Nie pozwól nikomu cię zabić. I staraj się nie smecić, dobrze?

- Postaram się. - Zamrugąłem, przepędzając łzy, i parsknąłem śmiechem. - Wrócisz bezpiecznie do domu?

- Postaram się - obiecał.

Mogliśmy tylko próbować. Wszedłem na pokład barki i kapitan rozkazał odbijać od brzegu. Odbiliśmy i wiosłarze chwycili wiosła. Po paru krótkich minutach byliśmy w drodze, płynąc w dół szerokiego Tybru. Postacie na brzegu zaczęły maleć. Stałem na rufie i patrzyłem, aż straciłem z oczu lśnienie jesiennego słońca na jasnych włosach Eamonna.

- Dobrze się czujesz, Wasza Wysokość? - zapytał jeden ze strażników, Romuald, który dwa razy przyjechał do Lukki i powiadomił mnie o tamie. To on śmiał się ze mnie przy bramie ambasady, gdy zjawiłem się ze śmierdzącą torbą pełną kadzideł. Cieszyłem się, że wyciągnął szczęśliwy los.

- Będzie lepiej.

Podróż do Ostii minęła szybko i bez niespodzianek. Płynęliśmy z prądem, a o tej porze roku na rzece panował niewielki ruch. Gdy siedem wzgórz Tyberium zostało za nami, stanąłem obok trumny Gilota, rozpamiętując. Przepłynęliśmy pod mostem, gdzie czuwał wytarty wizerunek Janusa z dwiema twarzami zwróconymi w przeciwne strony. Poprzednim razem, gdy sunęliśmy w cieniu mostu, musnął mnie zimny palec złego przeczucia. Tym razem oddałem salut Janusowi, myśląc o połówkach woskowej maski wpadających w wody powodzi. Człowiek o dwóch twarzach. Alais miała rację, naprawdę go spotkałem.

„Czy był przyjacielem?”.

„Jeden z nich był”.

Jak zapowiedziała pani Denise, w Ostii czekał na nas tyberyjski statek. Kapitan został sownie wynagrodzony za wyjście w morze o tej porze roku. Niski grubasek nazywał się Oppius da Lippi, był dobroduszny i wesoły.

- Czy to orszak d'angelińskiego księcia?! - krzyknął z pokładu, gdy szliśmy nabrzeżem. Kiedy jeden ze strażników potwierdził, pokiwał głową tak entuzjastycznie, że zatrząśły mu się podbródki. - Na pokład, na pokład!

Wszyscy jego ludzie byli w dobrych humorach. Z rozbawieniem patrzyłem, jak szybko ładują nasze bagaże i konie na pokład, uskakując ze śmiechem, gdy Bękart zaparł się kopytami na trapie i kłapał zębami na swoich przyszłych opiekunów,

- Ja się nim zajmę. - Wziąłem wodze.

Bękart spojrział na mnie z całkowitym brakiem zaufania, ale pozwolił wprowadzić się na pokład. Bezpiecznie zamknięty w wąskim boksie w ładowni, w końcu się uspokoił, a ja wróciłem na pokład.

- Bękarci pomiot, co nie, panie? - zapytał wesoło marynarz. Uśmiechnąłem się.

- Można tak powiedzieć.

Ładowali trumnę Gilota i martwiłem się, że będą nieostrożni, ale traktowali ją z szacunkiem należnym martwemu bohaterowi, przynajmniej dopóki nie znalazła się pod pokładem.

- Wasza Wysokość! - Kapitan Oppius podszedł do mnie i uklonił się z zamaszystym ruchem ręki. - Witaj na pokładzie „Eolii"! Pierwszy raz będzie przewozić członka rodziny królewskiej, ale daję ci słowo, podoła zadaniu. Ukołyszcie cię na łonie oceanu, bezpiecznego niczym osesek przy cycku.

- Dziękuję, kapitanie. - Wyciągnąłem rękę. - Mów mi Imriel.

- Imriel! - Energicznie potrząsnął moją ręką, promieniejąc z zadowolenia. - Nie robisz ceremonii, co? Mądrze, bardzo mądrze! To przyjemni podróż, i dobrze, bo czeka nas parę trudnych chwil. Mów mi Oppius. Grasz w kości?

- Czasami. - Rozejrzałem się. - Kapitanie Oppiusie, proszę mi wybaczyć, że pytam, ale skąd ta wesołość?

- Marsilikos, chłopcze! - Szeroki uśmiech rozjaśnił jego pulchną twarz. - Będziemy zmuszeni tam zimować, każdy z nas z pękata sakiewką dzięki hojności twojej pani ambasador. - Przewrócił oczami i pocałował czubki palców. - Widziałeś tamtejsze kobiety?

- O tak. - Uśmiechnąłem się.



- Wyglądają jak... - Kapitan zawiesił głos i patrzył na mnie przez chwilę ze ściągniętymi ustami. - W zasadzie nie muszę ci mówić, prawda?

- Nie. W zasadzie nie. Ale wyświadcz mi grzeczność i przykaż swoim ludziom, żeby traktowali sługi Naamy z szacunkiem i uprzejmością należną ich własnym matkom, siostram i córkom. W Terre d'Ange są one matkami, siostrami i córkami.

- Aha, tak. - W jego oku błysnęła przebiegłość. - Nie musisz tego mówić staremu wilkowi morskemu, chłopcze. Żeglarze są przesądni. Dopilnuję, żeby moi chłopcy oddali Naamie to, co jej należne. Dary klientów i tak dalej. Wiem, co jest właściwe. - Poklepał mnie po ramieniu. - Nie ma obawy, młody książę! Twoja pani ambasador wiedziała, co robi, wybierając „Eolię” i jej kapitana.

Poczułem się lepiej, słysząc te słowa, i w dwójnasób lepiej, gdy zobaczyłem, jak kapitan Oppius obejmuje dowodzenie, dając rozkaz wyciągnięcia kotwicy i posyłając wiosłarzy na ławy. Choć wyglądał komicznie, chodząc po pokładzie jak kaczką, było dla mnie jasne, że jest doświadczonym kapitanem, podziwianym i szanowanym przez załogę.

Skwapliwie wykonali rozkazy. Wiosłarze śpiewali rytmicznie, zginając grzbiety nad wiosłami, i dziób „Eolii” obrócił się ku otwartemu morzu. Choć słońce świeciło na niebie, woda w porcie Ostii była szara i wzburzona.

Za portem wyglądała gorzej. I było gorzej.

Przez całą przeprawę wiatr był porywisty i kapryśny. „Eolia” niemiłosiernie kołysała się na falach. W dobry dzień płynęła szybko, gnana silnym wiatrem od rufy, z napiętymi, wydętymi żaglami, lecz zaraz potem wiatr zmieniał się bez ostrzeżenia. Żagle zwisały i statek kolebał się leniwie, podczas gdy kapitan Oppius wykrzykiwał rozkazy za kołem sterowym, a jego ludzie biegali po pokładzie i wspinali się na maszty.

Potem znów chwytałyśmy wiatr i żeglowaliśmy, dopóki wiatr się nie zmienił.

W zły dzień...

W zły dzień chmury burzowe zaciemniały niebo i pluły na nas deszczem, a wiatr chłostał spienione fale. Daleka od kołysania nas na łonie Oceanu, „Eolia” wierzgała niczym nieokiełznany koń, wspinając się na grzbiety rai i spadając w doliny pomiędzy nimi. W takie dni nie było śmiechu, nie było śpiewania. Tylko ponura determinacja, smagani deszczem żeglarze i uparty kapitan Oppius przy sterze. Nie miałem pojęcia, czy się przemieszczamy. Unosiliśmy się na powierzchni morza i tylko to się liczyło w zły dzień.

Była to długa podróż.

List Fedry trzymał mnie przy zdrowych zmysłach. Złamałem pieczęć i przeczytałem go, gdy tylko straciliśmy Ostię z oczu. Całą pierwszą stroną zapełniały wyrazy radości,

z jaką przyjęto wiadomość o moim powrocie do domu. Choć miały upłynąć jeszcze tygodnie, Eugenia już stawiała dom do góry nogami i biegała po targowiskach w poszukiwaniu ingrediencji do moich ulubionych potraw. Hugues sklecił kilka okropnych wierszy na tę okazję - Fedra dołączyła próbkę, która pobudziła mnie do głośnego śmiechu – a Ti-Filip spił się na umór w Sali Gier i trzeba go było odnieść do domu. Joscelin całował wszystkich w zasięgu wzroku i przez cały dzień chodził uśmiechnięty od ucha do ucha, co sprawiło, że ludzie pytali, czy nie dostał gorączki.

Opisała, jak przyjęto nowiny w pałacu, dołączając zapewnienia, że Ysandra i Drustan są mi głęboko i szczerze wdzięczni, i że rozumieją, że była to trudna decyzja. Alais, jak się zdaje, zalała się łzami radości, kiedy się dowiedziała. Zastanawiałem się, co zrobiła Sydonia, ale tego Fedra nie napisała.

Były też inne nowiny, w większości błahe. Głównie dworskie plotki. Moi dawni przyjaciele wśród młodej arystokracji nie próżnowali podczas gry w zaloty. Może mnie zainteresuje, napisała Fedra, że Maslin z Lombelony popadł w niełaskę po pojedyńku, na który wyzwał go Raul L'Envers y Aragon, gdy podobno znieważył Colette Trente. Kapitan straży udzielił mu reprimendy i odesłał go do Kamlachu, by zimował z Niewybaczonymi.

Muszę przyznać, że się uśmiechnąłem.

Długi list był utrzymany w lekkim tonie, pisany z radością w sercu. Jeśli były jakieś złe wieści, to nie na tyle poważne, by Fedra nie uznała, że mogą poczekać. Przez całą podróż nosiłem list przy sobie, talizman nadziei, i czytałem go w kółko, aż niemal jąłem słyszeć głos Fedry recytujący słowa w mojej głowie, rozbawiony, kpiarski i pełen uczucia.

Na koniec dołączyła pozdrowienia dla Gilota i Eamonna, po czym napisała krótko: Wracaj bezpiecznie do domu, skarbie. Liczę godziny do twojego powrotu.

Sam w kajucie, muskałem czubkiem palca te słowa. Głowa mnie bolała, gdy wyobrażałem sobie, co musiała czuć Fedra po otrzymaniu listu, który napisałem w Lukce; jak oni wszyscy musieli się czuć. Kulawe postscriptum. Dziękuję za dar życia. Niemal żałowałem, że skreśliłem te słowa. A potem przypominałem sobie o oszczepie Valpe-try, wycelowanym w moje serce, i byłem rad, że to uczyniłem.

Mało brakowało.

Ostatniego dnia na morzu rozpętał się sztorm. Najpierw, późnym popołudniem, zapadła zwodnicza cisza. „Eolia” podskakiwała jak korek, nie ruszając się z miejsca. Kapitan Oppius spojrzawszy ponurym okiem na sine, dziwnie rozświetlone niebo i mruknął coś pod nosem. Marynarze rzucili się mocować wszystko na pokładzie, zdejmować grotzagiel i wciągać żagle sztormowe.

- Będzie paskudnie, Wasza Wysokość - zapowiedział ponuro. - Kiedy uderzy, nie wyściubiaj nosa spod pokładu i przykaż swoim ludziom, żeby nie wstawali z koi.

Skinąłem głową. Gdyby nie mówił poważnie, zwróciłby się do mnie po imieniu. Oppius da Lippi nie żartował, mówiąc o grze w kości; spędziliśmy razem sporo godzin i moja sakiewka zrobiła się lżejsza.

- Jak bardzo paskudnie?

Ściągnął usta.

- Bardzo.

Było paskudnie.

Sztorm z piekła rodem, powiedziałby Eamonn. Zaczęło się godzinę przed zachodem słońca. Patrzyliśmy z pokładu, jak nadciąga, strażnicy pani Denise i ja. Smuga ciemności na południowym horyzoncie zbliżała się, błyskawice tańczyły na falach. Burzowe chmury piętrzyły się warstwami, gasząc dziwne, sine światło. „Eolia” podskakiwała coraz wyżej na falach. Spojrzałem na Romualda, który stał obok mnie, wpatrzony w ciemność. Wspomniałem życzliwość, jaką okazał mi na barce.

- Dobrze się czujesz? - zapytałem, powtarzając jego słowa.

- Tak. - Grdyka mu się poruszyła, gdy przełykał ślinę. - Niezbyt lubię morze.

A potem sztorm uderzył, szybciej i mocniej niż mogłem przypuszczać, dziki i pierwotny, rycząca woda i ciemności rozszczepiane przez błyskawice.

- Na dół! - krzyknął ktoś. - Na dół!

To było straszne i cudowne, i chciałem zostać. Chciałem patrzeć, chciałem zobaczyć to wszystko. Słyszałem opowieści o takich sztormach, innych sztormach. O sztormach zsyłanych przez pana Cieśniny, starego Pana, sprzed czasów Hiacynta. O sztormie, który zapędził Fedrę na Kriti na statku naznaczonego klątwą krwi pirata, Kazana Atrabiadesa. Chciałem zobaczyć, chciałem wiedzieć.

I ludzie mogli zginąć, gdybym to zrobił.

- Na dół! - krzyknąłem, pchając Romualda. - Na dół!

Statek kołysał się i przewalał na falach, na wpół zalany. Fala zmyła pokład, woda wlewała się do otwartego luku. Nie miałem czasu na szukanie swojej kabiny. Romuald i inni gramolili się przede mną, ja gramoliłem się za nimi. Zatrzaśnięto nad nami klapę. Latarnia kołysała się dziko na haku, oświetlając przerażone twarze.

- Błogosławiony Eluo! - wykrztusił ktoś. - Wszyscy umrzemy.

- Akurat! - Chwyciłem latarnię oburącz, unieruchomiłem ją. Woda z zęzy chlupotała mi wokół kostek. - Dobra - powiedziałem do nich, myśląc o Gallusie Tadiuszu, który kazał nam uwierzyć w niemożliwe. -Myślicie, że jest źle? Posłuchajcie, chłopcy...

Opowiedziałem im koniec historii, tej historii, którą opowiadałem Lucjuszowi Tadiuszowi w przeddzień bitwy i zasnąłem przed końcem. Rahab i jego wiry, jasne lustro ciemności. Postać, która wzniosła się w strasznej, oślepiającej jasności, wodne łańcuchy. Jak płakaliśmy, wszyscy płakaliśmy, widząc piękno Rahaba. Hiacynt i jego urywany głos, rzucający czary w zapomnianym języku, stronicie Księgi Razjela zaciśnięte w ramionach. Fedra, ociekająca wodą.

Fedra, na wpół utopiona, znajdująca oparcie pod nogami. Wymawiająca Imię Boga.

Znali tę historię. Byli d'Angelinami. Ale nigdy nie słyszeli jej od kogoś, kto widział to wszystko na własne oczy. Przypomniałem sobie, jak sylaby Świętego Imienia huczały mi w głowie niczym dzwon, gdy padały z ust Fedry. Nie pamiętałem ich brzmienia. Nie mógłbym ich wypowiedzieć, nie bardziej niż wyrazić słowami słońce, księżyc czy ziemię. Ale byłem tam. Słyszałem je. Znałem kształt słowa, jakie tworzyły, i tym słowem była miłość.

Nie zwątpię w nią w tej chwili.

Nigdy.

- Dobra historia, książę Imrielu - szepnął Romuald, gdy skończyłem.

- Prawdziwa historia - powiedziałem chrapliwie. - I przysięgam na Błogosławionego Eluę, po czymś takim woda nie może mnie zabić. Nie tutaj, nie teraz, nie w ten sposób. I żadnego z was.

Na szczęście, miałem rację.

Burza przeminęła i „Eolia” przetrwała. Byliśmy potłuczeni i posiniaczeni, i jeden z koni miał paskudnie skręconą przednią nogę, ale żyliśmy. Zajrzałem do Bękartu, który obrzucił mnie wzrokiem sugerującym, że wszystkie jego złe przeczucia okazały się bardziej niż usprawiedliwione. Wyszedłem na pokład, żeby powitać nowy dzień.

Marynarze wyglądali na zmęczonych, ale też zadowolonych. Nikt nie zginął. Po nocnym wściekłym chaosie morze było niemal spokojne. Kapitan Oppius przekazał koło sternikowi. Powitałem go niskim ukłonem.

- Jesteś mistrzem żeglarzem, panie - powiedziałem. Uśmiechnął się ze zmęczeniem.

- Zgadza się. Chodź tutaj, chłopcze. Spójrz. - Oppius zaprowadził mnie na dziób. Przekrzywiając głowę w promieniach wschodzącego słońca, wskazał na wprost. - Zraz powinniśmy zobaczyć.

Patrzyłem nad wodą. Przez długą chwilę nic nie widziałem. Tylko fale, różowe o świcie, i kilka skrzekliwych mew. Gdy słońce wzniosło się wyżej, zobaczyłem daleką iskierkę złota na horyzoncie, migoczącą niczym , świeczka w dalekim oknie. Marynarze krzyknęli radośnie.

- Czy to...?

- Marsilikos - powiedział Oppius. - Kopuła Pani. - Poklepał mnie po ramieniu. - Będziemy tam za parę godzin. Idę się zdrzemnąć.

Płynęliśmy powoli, ale nie mogłem oderwać wzroku. Stałem na dziobie i patrzyłem, gdy pojawiła się linia brzegowa, i rozległe miasto portowe Marsilikos. Złota iskierka przemieniła się w Kopułę Pani, wysoko na wzgórzu. - Terre d'Ange.

Dom.

Chciałbym, żeby Gilot stał obok mnie i mógł to zobaczyć.

Nim dotarliśmy do wejścia do portu, Oppius wrócił spod pokładu odświeżony i radosny. Jego ludzie chwycili wiosła, znów ze śpiewem. Port był prawie pusty, cumowało tam tylko kilka statków rybackich. Oppius przejął ster i gładko podprowadził „Eolię” do nabrzeża. Żeglarze wyskoczyli na nie, żeby zacumować statek.

- Hej, „Eolia”? - Do statku zbliżył się mężczyzna w niebieskim jak morze mundurze.

Widząc złoty galon i herb na wamsie - złota ryba Ejszet, godło Pani Marsilikos - domyśliłem się, że jest kapitanem portu. Za nim podeszło dwóch ludzi.

- Trochę późno jak na tę porę roku, prawda? Cóż to za pilny ładunek? Oppius stanął obok mnie i wychylił się nad relingiem.

-Tylko to! - krzyknął w znośnym d'angelinskim, wskazując na mnie. - Mówi, że ma na imię Imriel.

Kapitan portu podszedł bliżej i ocenił oczy, patrząc na mnie ze zdumioną miną.

-Nie... - Szeroko otworzył oczy. - Na jaja Elui! Wasza Wysokość?

-Tylko Imriel - rzekł Oppius przyjaźnie. - Nie lubi ceregieli.

-Oppius, ty gruby paplający... - zaczął z irytacją kapitan portu. Roześmiałem się.

- Daj mu spokój, messire. Po nocnym sztormie przypuszczam, że zawdzięczamy życie temu grubemu, paplającemu i najlepszemu pod słońcem kapitanowi statku. Jestem Imriel nó Montrève de la Courcel.

-W imieniu Jaśnie Oświeconej Księżnej Roxanny de Merelio, Pani Marsilikos, witam w domu, Wasza Wysokość. - Ukłonił się i trącił łokciem jednego ze swoich ludzi, dodając sykliwie: - Idź powiadomić jaśnie panią! Natychmiast!

Mężczyzna drgnął i pobiegł.

Pomimo trudnej przeprawy cieszyłem się, że jest koniec sezonu, bo w porcie panował spokój. W Terre d'Ange pogłoska pędzi szybciej niż strzała, a ja nie chciałem widowni gromadzącej się, by być świadkiem mojego powrotu.

Przez Bękartą miałem pełne ręce roboty. Wystarczyło, że zobaczył suchy ład, a z uporem i determinacją dżebeńskiego nosorożca chciał pogalopować po trapie. Trzymałem postronek i kłamię, tańcząc wraz z nim, żeby uniknąć kopyt.

- Ładny koń - zauważył ktoś dobrodusznie.

Panując jako tako nad Bękartem, odwróciłem głowę i zobaczyłem właśnie przybyłą eskortę. Dowodził człowiek mniej więcej trzydziestopięcioletni, z czarnymi jak węgiel włosami. Ukłonił się i z szerokim uśmiechem wyciągnął rękę.

- Gerard de Mereliot - przedstawił się. - Syn Pani i kapitan jej straży. Uścisnąłem jego rękę, nie spuszczając czujnego oka z Bękartą.

- Imriel.

- A niech mnie! - Gerard wybuchnął śmiechem. - Matka pęka z radości. Wiesz, że zalicza Fedrę nó Delaunay do swoich najdroższych przyjaciółek? Od tygodni czekaliśmy na wieści, jakiegokolwiek wieści. Przypuszczam, że kurier już jest w drodze. Matka... - Spojrzał na nabrzeże. - Przykro mi. Przyjacieli?

Odwróciłem się i zobaczyłem, że Romuald i pozostali strażnicy podnoszą trumnę Gilota.

- Tak - odparłem zgodnie z prawdą. - Chciałbym być lepszym przyjacielem dla niego. - Zapięły mnie oczy i przetarłem je wolną ręką.

„Skończyłem z płaczem” - powiedziałem do Gilota, gdy opuściliśmy Miasto Elui. „Nigdy więcej, słyszysz?”.

- Przepraszam - powiedziałem do Gerarda de Mereliot. - To była... trudna... podróż.

Skinął głową.

- Rozumiem.

Gerard okazał się wzorem taktu i sprawności. Rozkazał swoim ludziom pomóc przy trumnie Gilota, po czym sprezentował kapitanowi Oppiusowi trzos monet do rozdzielania pomiędzy marynarzy, dołączając podziękowania Pani Marsilikos.

Byłem za to wdzięczny. Cieszyłem się, że jestem bezpieczny na d'angelińskiej ziemi, lecz była to gorzko-słodka radość. Nie mogłem odtwarzać wstecz kolejnych etapów podróży bez odczuwania nieobecności Gilotynie mogłem cieszyć się na myśl o spotkaniu z ludźmi, których kocham najbardziej na świecie, bez wiszącego nade mną cienia smutku i poczucia winy.

„Staraj się nie smęcić...”.

Eamonn znał mnie tak dobrze. Żałowałem, że go tu nie ma, że kieruję się na spotkanie z nieznanym losem w Skaldii, dając mi jeszcze jeden przekłety powód do smętnych rozmyślań. Uśmiechnąłem się na tę myśl. Oddałem Bękartą pod opiekę Romualda i poszedłem pożegnać się z Op-piusem, przy którym trudno było się smucić.

- Oppius, przyjacielu - powiedziałem do niego. - Dziękuję. Przyłapałem go na wyciskaniu zawartości bukłaka do szeroko otwartych ust. Opuścił bukłak i z uśmiechem otarł wargi.

- Cała przyjemność po mojej stronie, przyjacielu Imrielu. Gdybyś kiedyś potrzebował statku, poślij po „Eolię”.

- Tak zrobię.

- Gotów?! - zawołał Gerard.

Czekał, wszyscy czekali. Odebrałem wodze i wsiałem na Bękartą. W dali lśniła Kopuła Pani. Za granicami Marsilikos zaczynała się droga do domu. Biorąc głęboki wdech, odwróciłem się plecami do portu, kapitana Oppiusa i „Eolii”, do pozostałości mojej tyberyjskiej przygody.

- Jestem gotów - oznajmiłem. - Jedziemy.

## SZEŚĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

---

Roxanna de Mereliot, Pani Marsilikos, okazała się pełną wdzięku gospodynią.

Poznałem ją wcześniej i darzyłem sympatią. Kiedy Ysandra była młodą królową, która niespodziewanie zasiadła na tronie, mierząc się ze zdradą i skaldyjską nawałą, diuszesa de Mereliot jako jedna z niewielu osób wśród arystokracji odważyła się jej zaufać. Fedra bardzo ją szanowała i ogromnie lubiła.

Zachowałem się okropnie, kiedy ją widziałem ostatnim razem. Nic pamiętałem o tym, dopóki nie przybyliśmy do Kopuły Pani. Było to na fecie wydanej na jej cześć, gdy w tańcu poróżniłem się z Sydonią. Wyszedłem niegrzecznie bez słowa, zabierając wiernego, zmartwionego Gilota. Tej nocy pojechałem do Mavrosa i do Domu Waleriany.

Dziwnie było to wspominać.

Jeśli Roxanna de Mereliot pamiętała - a przypuszczam, że nie - dawno temu wybaczyła mi afront.

- Ach, dziecko! - zawołała. - Tak się cieszę, że tu jesteś.

Miała łzy w oczach, gdy mnie objęła. Zbliżała się do siedemdziesiątki i czarne jak węgiel włosy, które odziedziczył jej syn, były prawie siwe, ale oczy wciąż miała piękne, ciemne, pełne współczucia i ciepła. Odwzajemniłem uścisk, myśląc: Dość łez.

- Dziękuję, pani. Ja również.

Spędziliśmy tam noc. Miałem zamiar bezzwłocznie wyruszyć do Miasta Elui, w towarzystwie strażników pani Denise, ale prawda była taka, że wszyscy padaliśmy z nóg po długiej sztormowej nocy. Nawet Bękart nie miał apetytu, co należało do rzadkości. Nocny odpoczynek miał dobrze zrobić nam wszystkim. Dzięki temu będziemy podróżować szybciej.

I Gerard trafnie odgadł, albo był tego bliski - jego matka pchnęła kuriera do Miasta chwilę po naszym przybyciu do Kopuły Pani. Czułem się lepiej, wiedząc, że Fedra i Joscelin nie będą żyć w niepewności o uderzenie serca dłużej niż to konieczne.

Zasiadłem do kolacji z Roxanną, Gerardem i Jeanne, córką Pani. Młodsza od brata, miała te same czarne włosy i ciemnoszare oczy. Jako następczyni matki, pewnego dnia przyjmie tytuł Pani Marsilikos. Miastem Ejszet rządzą kobiety, od zawsze. Flirtowaliśmy subtelnie. Ją także polubiłem. Lubilem ich wszystkich.

- My też studiowaliśmy w Tyberium - powiedziała Jeanne. - Gerard i ja.

- Co studiowaliście? - zapytałem.

- Winiarnie. - Gerard parsknął śmiechem. Jego siostra się uśmiechnęła.

- Medycynę - odparł. - Chciałam sprawdzić, czy tamtejsze nauki różnią się od tego, czego nauczamy w Eisandzie. Jestem lekarką.

- Naprawdę? - Nie kryłem zaskoczenia.

- Mamy to we krwi. - Jeanne wyciągnęła ręce, popatrzyła na nie. - Linia Ejszet.

- Medycyna albo muzyka - dodał Gerard. - Albo snucie opowieści. A ty co studiowałaś?



Opowiedziałem im o mistrzu Piero, jak płoszył gołębie na Forum i jak nauczał nas filozofii naturalnej. Śmiali się, ale słuchali. Rozmawialiśmy potem, jak było w Tyberium i jak jest obecnie. W pewien sposób nic się nie zmieniło, a pod innymi względami było zupełnie inaczej. W ich czasach studiowało tam więcej D'Angelinów, znacznie więcej.

-Czasy się zmieniają - zauważył Gerard. - Mam rację, mam?

-Tak. - Roxanna de Mereliot uśmiechnęła się do dorosłego syna. -I widziałam to na własne oczy. Królowa poślubiła cruarchę, Cieśniny są otwarte, a Terre d'Ange zajmuje nowe miejsce w świecie. Wykuto nowe przymierza, zaniedbano stare.

Obracałem kubek w rękach, myśląc o Niewidzialnej Gildii. Stracili znacznie więcej niż przypuszczali, gdy Anaiel Delaunay odrzucił ich propozycję. Jak to musiało przerażać ich w późniejszych latach, gdy Terre d'Ange i Alba odniosły triumf nad Skaldami, gdy Ysandra poślubiła Dru-stana! Alba stanowiła wielką niewiadomą, bogata w zasoby naturalne, przez stulecia odcięta od świata. Gildia nie miała tam żadnego punktu zaczepienia i straciła najlepszy, jaki mogła zyskać w Terre d'Ange.

Nie dziwota, że chcieli mnie zwerbować. Z tego, co wiedziałem, moja matka znajdowała się na końcu listy potencjalnych kandydatów.

- Imrielu? - Jeanne patrzyła na mnie. Pograżony w myślach, zgubiłem wątek rozmowy. - Jeśli chcesz mówić o Lukce, posłuchamy z przyjemnością. Było oblężenie?

-Tak.

Oblężenie, martwy szaleniec, przerażona panna młoda. Pęknięta maska. Drzewa rosnące na murach. Otchłań czarnej wody, ciemne zwierciadło jasności. Byłem zmęczony, zbyt zmęczony.

-Było oblężenie - powiedziałem powoli. - Przeżyłem.

-Wystarczy. - Pani Marsilikos wstała z krzesła. Stała za mną, kładąc mi ręce na ramionach. Miała delikatny dotyk. - Chyba powinniśmy pozwolić księciu Imrielowi udać się na spoczynek, a nie nękać go o opowieści.

Księżę Imriel.

Przypomniałem sobie, jak leżałem na twardym sienniku pod wyświechtanym kocem w tanim zajeździe w Marsilikos, widząc przez okno Kopułę Pani i tłumacząc rozdrażnionemu Gilotowi, że nie złożymy wizyty Jaśnie Oświeconej Księżnej Roxannie de Mereliot, ponieważ wychowałem się, pasąc kozy w sanktuarium Elui.

Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek przywyknę do nazywania mnie księciem Imrielem.

Zaprowadzono mnie do komnaty gościnnej pod tą samą kopułą, przestronnej i zbyt kownie urządzonej. Gilot byłyby zachwycony. Okna, z okiennicami zamkniętymi przed jesiennym chłodem, wychodziły na port. Nie było kominka, ale węgiel w koszu zarzył się wesoło. Na łóżku piętrzyły się puchowe kołdry.

Położyłem się i patrzyłem w sufit.

Tysiące myśli tłoczyło się w mojej głowie. Myślałem o matce, o Gildii, o skaldyjskiej nawale. Wiedziała. Jest współwinna. A oni? Eluo, to byłby straszny, cudowny wyczyn. Od jak dawna moja matka należy do Gildii?

I jak do nich trafiła?

Znała Anafiela Dealunaya przez długi czas. Kiedyś byli kochankami.

Odpędziłem tę myśl i przywołałem z pamięci słowa, które Jeanne powiedziała przy kolacji, o linii Ejszet. Jakże to musi być cudowne, mieć we krwi muzykę, opowieści i uzdrawianie! Znacznie miłsza spuścizna niż moja. Surowe miłosierdzie Kusziela jest potrzebne - nigdy nie zapomnę, jak Gallus Tadiusz spojrział na mnie, gdy stał w wieży dzwonnej z pękniętą maską w dłoniach i szykował się umrzeć po raz wtóry - ale nie przyjemne.

Choć nie zawsze.

Mroczne przyjemności, pełne przemocy rozkosze. Wspominając Dom Waleriany, poczułem ciepło płynące ku skórze, straszliwą falę pożądania. Nie odeszło. Przypuszczam, że nigdy nie odejdzie. Jestem wszakże synem mojej matki.

Prawda i nieprawda.

Nagle pokój stał się zbyt gorący. Odrzuciłem ciężkie kołdry i leżałem nagi na łóżku. Kiedy usłyszałem ciche pukanie do drzwi, podszedłem bez jednej myśli, przystając tylko, by zabrać pas z mieczem.

Była to Jeanne, córka pani. Rozbawienie jaśniało w jej ciemnoszarych oczach.

- Nie przeszkadzam? Pomyślałam, że może nie śpisz.

- Nie i nie. - Zaśmiałem się. - Skąd wiedziałaś?

- Bo jestem uzdrowicielką, która jest za mądra, żeby nękać pytaniami zmęczoną przez bitwę duszę. - Długimi palcami chirurga dotknęła mojej nagiej piersi. - Tak więc przysłałam zaoferować...

- Uzdrowienie?

- Wytchnienie. - Uśmiechnęła się do mnie. - Spokój. Łaskę Ejszet, jeśli chcesz.

- Tak. - Ujmując jej dłoń, wciągnąłem ją do pokoju. - O tak. „To też jest święte”.

Było. Wszystko. Było w tym uzdrowienie i spokój, i łaska. Jeanne otworzyła wszystkie okiennice, żeby wpuścić do komnaty nocną bryzę, niosącą smak soli oceanu. Węgłe w koszu rozjarzyły się w odpowiedzi, jasne cienie pełgały po ich płonących sercach. Czułem chłód na skórze, a jednak też gorąco.

Żadnego smęcenia.

Żadnego myślenia.

Tylko kobieta, ciepła i miła. Dotykała mnie rękami uzdrowicielki, gładziła moją skórę. Miałem wrażenie, że blizny roztapiają się pod jej palcami, żelazo i bicz, miecz i włócznia. Wzięła mnie w siebie i leżeliśmy przez długi czas, ledwo się poruszając. Oparty na rękach, patrzyłem na jej czarne włosy rozsypane na poduszce jak trawa morska, na błyski rozkoszy w jej szarych oczach. Wreszcie spuściłem powieki i kołysałem się powoli, statek wracający do bezpiecznego portu, aż poczułem w uchu jej westchnienie, a pode mną i wokół mnie drzenie, długie, powolne fale nieuchronne jak przypyływ. Wtedy ja też westchnąłem i doznałem spełnienia.

Było to spokojne i dobre.

Później, pogodzony ze sobą, zrobiłem się senny. Jeanne śmiała się cicho ze mnie, siedząc na skraju łóżka i splatając włosy w luźny warkocz. Kiedy chciałem wstać, żeby odprowadzić ją do drzwi, pokręciła głową.

- Śpij. - Pochyliła się i pocałowała mnie, potem patrzyła przez długą chwilę, z lekkim uśmiechem na ustach. - Ejszet też lubiła pięknych chłopców-żeglarzy.

Roześmiałem się.

Jeanne pocałowała mnie znowu, wstała i zamknęła okiennice. Teraz pokój wydał się przyjemny, ani za zimny, ani za ciepły. Zasnąłem, słuchając rytmicznego szelestu jej spódnic. Nie usłyszałem cichego trzasku drzwi, gdy zamknęła je za sobą.

Jej dar został ze mną. Wstałem później niż zamierzałem. Nie było winy ani wstydu, tylko ociągająca się czułość. To była Terre d'Ange, a ja byłem D'Angelinem. Wróciłem do domu.

Przy śniadaniu spojrzeliśmy na siebie z Jeanne i nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu. Gerard to zauważył i wyszczerzył zęby, patrząc na siostrę z uniesionymi brwiami.

- Aha, więc to tak się sprawy mają? - droczył się z nią. - Nie zapaliłaś świeczki dla Ejszet? Najwyższa pora, żebyś pomyślała o własnej dziedzicze, wiesz.

- Oczywiście, że nie! - Uderzyła go po ręce łyżką do nakładania po-Kaw. - Mam czas, i nie zrobiłabym czegoś takiego bez pytania.

- Kobiety to robią - zauważył.

-Ja nie. - Spojrzała na mnie przelotnie, pełna rozbawienia i czegoś 'więcej. - Choć byłbyś dobrym kandydatem, Imrielu.

-Ja?

- Oczywiście. Dlaczego nie?

Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć, i zmilczałem. Rozmowa już zesłała na inne sprawy, brat i siostra przekomarzali się, pewnie jak zwykle. Jeanne nie mówiła poważnie, niezupełnie. Ale też nie żartowała. Spojrzałem na Roxanne de Mereliot, pewien, że jest zbulwersowana. Nie, słuchała sprzeczki swych dorosłych dzieci z pełną miłości matczyną wyrozumiałością. Nie miała zastrzeżeń do pomysłu, że jej córka uznała mnie za godnego ojca następczyni. To wcale jej nie trapiło.

Była to dziwna myśl.

Spodziewano się, że poślubię Dorelei. Choć sam nie chciałem nawet o tym myśleć, wiedziałem, że taka jest prawda. Zaręczyny stanowią drogę do celu, jakim jest zapewnienie sukcesji w Albie w sposób zadowalający dla Terre d'Ange. To polityka, nic więcej, tylko polityka. Uważano, że Dorelei ma Necthana, biedne dziewczę, nie musi o tym wiedzieć.

W rodzinie Mereliotów było zupełnie inaczej.

Wiedzieli, kim jestem, jaki jestem. Dziecko zdrajców, po mieczu i po kądzieli. I nie obchodziło ich moje pochodzenie. A jeśli nawet, to ważniejszy był dla nich fakt, że jestem przybranym synem Fedry nó Delaunay. Albo może, że jestem po prostu sobą. Imrielem. Nie księciem krwi, nie czymś synem, tylko sobą.

To mnie zaskoczyło, przyjemnie zaskoczyło.

„Pozwól zagoić się ranie” - poradził mi Asklepios. „Noś bliznę z dumą”.

W zdumieniu pokręciłem głową. Cieszyłem się, bardziej niż cieszyłem, że postanowiłem zostać na noc w Marsilikos. Wytchnienie, i więcej. Czy o tym wiedziała, czy nie, Jeanne powiedziała prawdę. Musnęła mnie łaska Ejszet, łaska lekka niczym piórko, o wiele miłsza niż miłosierdzie Kusziela.

- Przepraszam za spierające się o drobiazgi potomstwo - powiedziała Roxanna de Mereliot. - Z pewnością się niecierpliwisz, żeby ruszyć w drogę.

Przez chwilę myślałem, że błędnie odczytała moje spojrzenie, potem Zobaczyłem w jej ciemnych oczach, że nie mam racji. Jej oczy były pełne zrozumienia i mądrości nabytej przez długie lata; jako władczyni, jako matki. Jako kobiety z linii Ejszet, która ma we krwi moc uzdrawiania Uśmiechnąłem się do niej i wiedziałem, że ma rację.

- Tak, pani.

Kolejny dzień, kolejna podróż.

Upała się przydzielić mi eskortę dwudziestu ludzi pod komendą Gerarda, a mnie choć raz wystarczyło rozsądki, żeby się nie sprzeciwić. Zostawiłem w jej pieczy list Eamonna do ojca. Od dawna przyjaźniła się z Kwintyliuszem Rouse i ilekroć admirał zawijał do portu, ona była pierwszą osobą, którą odwiedzał. Obiecała, że przekaże mu list, a ja nie miałem co do tego żadnych wątpliwości.

Skoro już nie potrzebowałem strażników pani Denise, rozdałem im resztę zawartości sakiewki z podziękowaniem za służbę. Trzech przyjęło pieniądze z radością, pragnąc jak najszybciej udać się tam, dokąd zmierzali, i dobrze wykorzystać czas w Terre d'Ange przed powrotem do Tyberium na wiosnę. Romuald drapał się po głowie i patrzył na mnie z namysłem.

- Chyba zostanę w twojej służbie - powiedział. - Dopóki nie dotrzemy do Miasta.

- Nie ma mowy.

- Chciałbym powiedzieć Jej Ekscelencji, że spełniłem obowiązek do końca. - Patrzył, jak ludzie Gerarda ostrożnie ładują trumnę Gilota na wóz. - I jest on. To dziwne, Wasza Wysokość. Nie znałem go, ale myślę o nim jak o przyjacielu, spędziwszy razem tyle czasu w drodze. - Zaśmiał się z zakłopotaniem. - Pewnie uważasz, że jestem lekko pomyłony.

- Nie. - Położyłem rękę na jego ramieniu. - Polubiłbyś go. Kolejne rozstanie, kolejne pożegnanie.

Jeanne mnie uściskała. Zamknąłem oczy, wspominając jej czarne włosy rozsypane na poduszce, morski przypływ miłości.

- Odwiedź nas - powiedziała. - Kiedy zechcesz. Mógłbyś przyjechać na wiosnę, na Święto Pełni Księżyca. Widziałeś taurieres albo występ bajdura?

- Nie - odparłem. - Nie prawdziwy.

- Pomyśl o tym.

Obiecałem, że pomyślę, a potem Roxanna de Mereliot obdarzyła mnie pożegnalnym pocałunkiem - matczynym, delikatnym, w czoło.

- Bezpiecznej podróży - powiedziała, klepiąc mnie po policzku. - Pozdrów ode mnie Fedrę i jej pięknego kasjelitę. - Zmrużyła ciemne oczy. - Jest okropnym bajdurem.

Roześmiałem się.

- Wiem.

A potem ruszyliśmy w drogę. Kolejna podróż, ostatnia podróż. Przynajmniej na jakiś czas. Słońce świeciło jasno, przepędzając chłód, i Marsylikos tętniło życiem. W porcie mógł panować spokój przez zimę, ale nie w samym mieście. Mieli tu zimować przedstawiciele różnorodnych nacji. Mijaliśmy sklepy, tawerny i targowiska, świątynie i zamtuzy. Rodowici Marsylikanie rozpoznawali Gerarda i wykrzykiwali radosne powitania, gdy przejeżdżaliśmy, po czym milkli na widok trumny. Zobaczyłem, że paru pomodliło się do Błogosławionego Elui, z czego byłem rad.

Miasto za nami, droga przed nami. Jeden z ludzi Gerarda wyjął drewniany flet i zaczął grać, drugi wybijał rytm na tamburynie. Po chwili Gerard zaczął śpiewać. Miał piękny głos, głęboki i melodyjny.

- O co chodziło z tymi bajdurami? - zapytał Romuald, zaciekawiony. - Kiedyś widziałem jednego. Przybył do miasta, gdy byłem mały. Bez obrazy, Wasza Wysokość, ale, Eluo, jak on umiał snuć opowieści!

Przekrzywiłem głowę.

- Prawdziwe?

- Nó cóż. - Uśmiechnął się szeroko. - Kto może wiedzieć? Opowiedziałem mu więc, gdy jechaliśmy, jak Joscelin musiał włożyć przebranie bajdura, żeby przejechać przez kraj z Fedrą i Hiacyntem; wędrowny eisandzki bajarz w wielobarwnej pelerynie, podróżujący w towarzystwie Cyganów. Znał tę historię, oczywiście, był D'Angelinem. Ale znał tylko wersję poety, która nie wspomina o upokarzających przebraniach. Ja znałem opowieść Fedry, śmiejącej się na wspomnienie Joscelina Verreuil, gdy ćwiczył dramatyczny, zamaszty ruch peleryną bajdura, gdy patrzył gniewnie ze sztywną, nadwrażliwą kasjelicką godnością na uparcie poprawiającego go Hiacynta. Pewnych historii nigdy mi nie opowiedzieli; inne słyszałem gdzie indziej, na przykład, o tym, jak Waldemar Selig chciał żywcem obedrzeć ją ze skóry. Słyszałem je głównie od Gilota.

Ale tę historię opowiedziała Fedra.

A Joscelin... Joscelin słuchał z anielską cierpliwością. Kiedy byłem młodszy, błagałem go, żeby mi pokazał. Robił to, przytaczając jakąś dziką, na wpół zapamiętaną opowieść, którą razem wymyślili. Naprawdę dobrze to robił, co było tym zabawniejsze. Fedra i ja zaśmiewaliśmy się do łez. Turlałem się po podłodze, bezsilny ze śmiechu.

Ach, Eluo!

- Dobrze się czujesz, Wasza Wysokość? - zapytał z troską Romuald z tą samą miłą, płynącą z serca troską, którą okazał na barce.

-Tak. - Starłem się nadać głosowi pewne brzmienie. Przytłoczyła mnie bliskość. Bliskość celu podróży, bliskość tych, których kocham Serce puchło mi w piersi, bola-

ło, ale zmusiłem się do udzielenia odpowiedzi, tej samej, jaką dałem wcześniej. - Będzie lepiej.

Z powagą pokiwał głową.

- To dobrze.

## SIEDEMDZIESIĄT

---

Nigdy w życiu nie byłem taki uradowany na widok białych murów Miasta Elui. Gdy tylko je ujrzałem, stanąłem w strzemionach i wyciągnąłem szyję, żeby lepiej widzieć. Bękart podchwycił mój nastrój i zaczął szarpać wędzidło, wyginając w łuk szyję i stąpając bokiem. Chciał ruszyć z kopyta, a ja mu chciałem pozwolić.

Gerard śmiał się ze mnie.

-Nie możesz się doczekać, prawda?

-A żebyś wiedział - odparłem gorączkowo.

Wydawało się, że droga do bramy trwała całe wieki, a u celu musieliśmy czekać, bo strażnicy sprawdzali, co wiezie kupiecka karawana. Wreszcie ich przepuścili i przyszła kolej na nas.

- Marsilikos, panie? - zapytał strażnik, patrząc na sztandary z herbem.

- Gerard de Mereliot - rzucił Gerard wesoło. - I przyjaciele. Strażnik spojrział na nas. Jego wzrok prześliznął się po mnie, spoczął na trumnie Gilota. Zmarszczył brwi.

-Kto umarł?

-Był człowiekiem hrabiny de Montrève - odparłem.

-Dlaczego... - Spojrział na mnie z zaskoczeniem. - Wasza Wysokość?

-Imriel, tak.

Dwaj cygańscy chłopcy, którzy leniwie grali w kości w łacie słońca, skoczyli na równe nogi. Jeden wetknął palce do ust i zagwizdał przeraźliwie.

-Hej! Czy to on?! - krzyknął. Strażnik wyszczerzył zęby.

-Tak, to on!

Pobiegli, gwizdząc i krzycząc, przez Miasto.

- Co się dzieje? - zapytał Gerard, rozbawiony.

- Cyganie. - Strażnik wzruszył ramionami. - Kręcą się tutaj od paru dni. Nie mam nic przeciwko, dopóki nie kradną.

Kiedy indziej może zostałbym, żeby bronić reputacji Cyganów, ale nie dzisiaj. Domyśliłem się, że chłopcy byli tam na prośbę Fedry, a może Emila, z powodu uczucia, jakie do niej żywił. W tej chwili pędzili, żeby zanieść nowinę. Kipiąc z niecierpliwości, minąłem strażnika, żeby pośpieszyć za nimi.

- Witaj w domu, Wasza Wysokość! - zawołał za mną.

Miasto Elui.

Wydawało się większe niż pamiętałem. Myślałem, że wyda się mniejsze, ale nie. Wjechaliśmy na łuk mostu nad Awiliną, która skrzyła się w zimowym słońcu. Przechodnie ustępowali nam z drogi, obrzucając trumnę pełnymi szacunku spojrzeniami. Nikt mnie nie rozpoznał wśród ludzi Gerarda, otoczonego sztandarami Marsilikos i mundurami.

Serce waliło mi w piersi.

Dotarliśmy prawie do Placu Elui, gdy tętent kopyt wstrząsnął powietrzem. Rozpoznałem Ti-Filipa po tym, jak trzymał się w siodle, jadąc co koń wyskoczy, z Huguesem depczącym mi po piętach. Uśmiechnąłem się szeroko i popuściłem cugli Bękartowi.

- Imri!

To cud, że nikt nie zginął. Zderzyliśmy się na Placu Elui w kłębowisku koni, kończyn i skóry. Hugues objął mnie tak mocno, że pomyślałem, iż chce podnieść mnie z siodła, a potem Bękart stanął dęba i niemal mnie zrzucił, płosząc z kolei wierzchowca Ti-Filipa. Jakoś, śmiejąc się i mówiąc jeden przez drugiego, udało nam się rozplatać.

- Gdzie... - zacząłem.

- Imri, skarbie. Głos Fedry.

W zamieszaniu nie słyszałem, jak przybyli. Już zsiadli z koni. Stali na placu, Joscelin pół kroku za nią. Zapatrzyłem się na nich. Zaszło mi w ustach i krew szumiała mi



w uszach, aż dostałem zawrotów głowy. Oczy Fedry płonęły. Miała ciemnozieloną suknię. Patrzenie na nią bolało. Patrzenie na nich.

Nikt się nie odzywał.

Zsiadłem z Bękartą, rzucając wodze. Nogi mi drżały. Zmusiłem je do ruchu. Wszedłem w jej ramiona, a jego ramiona objęły nas oboje.

„Dom”.

Nie wiem, jak długo staliśmy objęci. Długi czas, jak sądzę, choć wydawał się krótki. Ale w końcu stałem się świadom pomruku głosów, innych głosów, niskich i ponurych. Biorąc głęboki wdech, wysunąłem się z ich uścisku.

Joscelin patrzył na wóz.

- Gilot?

Pokiwałem głową. Nie ufałem swojemu głosowi, jeszcze nie.

- Ach, skarbie! - Smutek brzmiał w głosie Fedry, ocean smutku. Łzy lśniły na jej pięknej twarzy. - Tak mi przykro.

- Wiem - szepnąłem. - Mnie też.

Taki był mój powrót, pełen dzielonej radości i smutku. Nie pojechaliśmy prosto do domu, zabraliśmy trumnę na cmentarz. Wszystko zostało przygotowane. Fedra napisała do rodziny Gilota, gdy otrzymała wieści o jego śmierci. Takie byłoby jego życzenie - napisała jego matka w odpowiedzi, spocząc w grobie jako domownik Montrève. Służba rodowi Montrève była jego największą dumą.

Towarzyszył nam Gerard i jego ludzie, i Romuald. Podstarzały kapłan Elui wszedł ze stróżówki przy bramie cmentarza. Obowiązek ten wielu z nich brało na siebie w ostatnich latach życia.

- Hrabino. - Kapłan skłonił głowę. Włosy miał białe, białe niczym śnieg. Nawet rzęsy miał śnieżne, ledwo widoczne na pomarszczonych powiekach. - Proszę ze mną.

Ludzie z Montrève nieśli trumnę, Joscelin i ja z przodu, Ti-Filip i Hugues z tyłu, z drągami wspartymi na ramionach. Była ciężka.

Szliśmy za Fedrą i kapłanem przez miasto umarłych, alejkami porośniętymi trawą, która zżółkła z nadejściem zimy. Bose, sękate stopy kapłana migały pod rąbkiem niebieskiej szaty. Tylko członkowie wielkich rodów Terre d'Ange są tutaj pochowani. Niektóre mijane przez nas mauzolea były ozdobne, z wymyślnymi posągami, otoczone tuzinami nagrobków. Inne były proste.

Grobowiec Montrève jest skromny. Na terenie wiejskiej posiadłości znajduje się cmentarz, gdzie pochowano większość członków rodziny Montrève. W mauzoleum w Mieście spoczywa tylko dwóch. Anafiel Delaunay de Montrève i Alcuin nó Delaunay. Mauzoleum zostało wzniesione na polecenie Fedry, po śmierci ich obu.

I tam, obok, wykopano grób - został przygotowany, gdy tylko przybył kurier z Marsilikos. Świeżo przerzucona ziemia leżała w schludnym kopcu, z wbitymi dwiema łopatami. Postawiliśmy trumnę i wysunęliśmy drągi z mosiężnych pierścieni.

- Czy został pobłogosławiony i namaszczony? - zapytał kapłan Fedrę. Spojrzała na mnie, a ja pokręciłem głową.

-Nie.

Sam odpiąłem klamry, gdy kapłan zmawiał modlitwę, a potem we czwórkę podnieśliśmy wieko. Potężny zapach mirry napełnił powietrze. Na wpół się bałem, co mogę zobaczyć - pewnie jak każdy z nas - ale balsamiści porządnie wykonali zadanie.

Gilot.

Prawda i nieprawda.

Wyglądał jak on, jak Gilot wyrzeźbiony z marmuru, bezkrwisty i blady. Zamknięte powieki miał gładkie, usta poważne. Kapłan wyjął flakonik spod szaty i namaścił olejem czoło, wypowiadając formalne słowa błogosławieństwa. Ucałował czubki palców i dotknął nimi lekko piersi Gilota.

- Odejdź w miłości - powiedział. - Obyś przeszedł przez jasną bramę do prawdziwej Terre d'Ange, która leży w zaświatach.

Odłożyliśmy ciężkie wieko, zamknąłem klamry. Podnieśliśmy trumnę i opuściliśmy ją do grobu. Fedra pochyliła się i rzuciła garść ziemi na wieko.

- Błogosławiony Elua trzyma cię w swojej dłoni, Gilocie - szepnęła, wysypując ziemię przez palce.

Zrobiłem to samo, a pozostali po mnie. Wziąłem łopatę i zacząłem zasypywać grób. Inni pomagali, i im pozwoliłem, ale nie dałem się zastąpić. Było to coś, co musiałem zrobić. Obiecałem, że sprowadzę go do domu.

Dotrzymuję słowa, napisała moja matka. Ja też.

A potem było po wszystkim. Odłożyłem łopatę i wyprostowałem się, przeciągając rękawem po czole. Czułem się zmęczony i smutny, ale też lżejszy na sercu. Uwolniłem się od jednego brzemia.

- Dobrze się czujesz, Wasza Wysokość? - zapytał mnie Romuald po raz ostatni.

-Tak. Dobrze.

Rozstaliśmy się po wyjściu z cmentarza. Gerard miał ruszyć do pałacu, by przekazać królowej pozdrowienia od matki, i zabierał swoich ludzi. Podziękowałem mu za uprzejmość.

- Zawsze możesz na mnie liczyć! – rzucił wesoło. - Pamiętaj, co powiedziała Jeanne, i zajrzyj z wizytą, dobrze? - Roześmiał się. - Tylko uważaj na świece!

Zarumieniłem się.

- Dobrze.

Romuald też nas zostawił. Fedra zaproponowała mu gościnę, ale odmówił, dukając coś o gospodzie i przyjaciółach w Mieście. Czuł się skrępowany w jej obecności, pełen respektu i podziwu. Nie dziwiłem mu się. Gilot był taki z początku. Wlepił wzrok w Fedrę, gdy myślał, że nikt nie patrzy, rumienił się i potykał o własne nogi, gdy został przyłapany. Ale się przyzwyczaił.

- Nie ma za co, Wasza Wysokość - powiedział Romuald, gdy podziękowałem mu za służbę. - Nie mogłem ryzykować, że zjawisz się w progach jaśnie pani, wyglądając w każdym calu jak żebrak, prawda?

Roześmiałem się.

- Nie ośmieliłbym się!

- Nie? - Wyszczrzył do mnie zęby, po czym zerknął z ukosa na Fedrę, która miała rozbawioną minę. - No cóż... cieszę się, że bezpiecznie wróciłeś do domu. - Skinął głową w stronę cmentarza. - I on.

Uścisnąłem jego rękę.

- Wyświadczyć mi grzeszność. Zostawił kobietę w Tyberium, Annę Marzoni. Jest młodą wdową, z córeczką. Zadbalem, żeby je wyposażyć, ale czy zajrzysz do nich po powrocie i sprawdzisz, czy czegoś im nie potrzeba?

Romuald pokiwał głową.

- Oczywiście.

Odjechał, pogwizdując. Patrzyłem za nim z myślą, że jest dobrym człowiekiem, miłym człowiekiem. Gilot, który zawsze przewracał oczami, patrząc na Lucjusza, polubiłby go. Zastanawiałem się, czy Anna znajdzie go pięknym. Tak, pomyślałem. Może pozwoli, by się nią zaopiekował. Kto wie? Tak czy siak, warto mieć nadzieję.

- Ach, skarbie! - Głos Fedry wyrwał mnie z zadumy. - Jak ty wyrosłeś!

Uśmiechnąłem się do niej.

- Jestem po prostu sobą.

Pokręciła głową, ale nic nie powiedziała. Będzie czas. Czas na rozmowę, czas na opowiedzenie jej o wszystkim. Czas na rozmowę o Tyberium, o mistrzu Piero, o Klauddii Fulwii i Niewidzialnej Gildii. O Bernadecie deTrevalion i Ruggero Caccinim. O Lukce i Gallusie Tadiuszu, o Canisie i mojej matce, o Eamonnii i Brygicie. Czas na rozmowę z Joscelinem, na opowieść o oblężeniu - o tych rzeczach, które chciałem zataić przed Fedrą. Na zapytanie go, po jakim czasie przestaje się widzieć zmarłych we śnie.

- Gotowi ruszać do domu? - zapytał żałośnie Ti-Filip. W pośpiechu wyjechał z domu bez peleryny i trząśł się na zimnie.

Joscelin spojrział na mnie.

- Imri?

- Eluo, tak! Do domu.

W rezydencji wybuchło zamieszanie. Czekał tam na nas porucznik straży królewskiej. Eugenia nie wiedziała, że pojedziemy na cmentarz przed powrotem do domu - wszystko stało się tak szybko - i wychodziła z siebie z niepokoju. Ledwo przestąpiłem próg, gdy wzięła mnie w objęcia.

- Niedobre dziecko! - mówiła, tuląc mnie i besztając, podczas gdy porucznik przypatrywał się temu z pełnym przerażenia zdumieniem. Łzy spływały po jej pulchnych policzkach. - Co zatrzymało cię tak długo?

- Gilot - odparłem.

- Ach! - Eugenia ucichła na chwilę. - Biedny chłopak. Zapomniałam. Porucznik chrząknął.

- Wasza Wysokość? Jestem Zacharel Clarence ze straży przybocznej Jej Królewskiej Mości. Mam rozkaz zabrać cię do pałacu. Jej Wysokość pragnie cię widzieć.

- Nie wątpię. - Pocałowałem Eugenię w policzek i wyzwoliłem się z jej objęć. Uśmiechnąłem się życzliwie do porucznika Zacharela. - Powiedz Jej Wysokości, że stawię się jutro rano.

Zamrugnął.

- Słucham?

- Powiedz Jej Wysokości, że jutro stawię się na dworze - powtórzyłem. Czekałem, by otworzył usta, żeby zaprotestować. - Poruczniku, przebyłem długą drogę i właśnie pochowałem człowieka, który zginął dlatego, że był mi wierny. Jestem zmęczony. Chcę spędzić resztę dnia z rodziną. - Umyślnie położyłem nacisk na ostatnie słowo. - Widzisz na własne oczy, że jestem żywy i w dobrym zdrowiu. Powiedz to, proszę, Jej Wysokości, i że niebawem się zobaczymy.

Wpatrywał się we mnie przez chwilę, potem powiódł wzrokiem dokoła. Fedra odwzajemniła jego spojrzenie z łagodną miną. Ti-Filip otworzył przed nim drzwi, kłaniając się jak odzwierny. Joscelin stał oparty o ścianę krzyżując ręce na piersi.

- Po... powiem jej - wyjąkał porucznik. Skłoniłem głowę.

- Dziękuję.

Wyszedł. Przez chwilę myślałem, że Fedra pójdzie za nim, żeby złagodzić moje słowa - patrzyła za nim z zadumaną miną - ale nie poszła. Joscelin wyprostował się i uśmiechnął do mnie szeroko.

- I jakie to uczucie?

Odwzajemniłem uśmiech i pojąłem, że doskonale wie, jak się czuję. Dobrze i dumnie, a także trochę głupio. Ysandra drogo zapłaciła za pomoc Tyberium w Lukce, i byłem jej wdzięczny, ale wydatek się opłaci. Zgodziłem się wziąć udział w jej planach dotyczących Alby. To jednak nie znaczyło, że mam się stawiać na każde jej zawołanie.

- Czuję... Eluo! - Odetchnąłem głęboko. - Przede wszystkim dobrze. I bardzo, bardzo dobrze być w domu.

To była długa noc

Wszyscy chcieli wysłuchać mojej opowieści, od Eugenii i Clory po tajnego Benoit i oczywiście towarzyszy Gilota. Fedra z wrodzonym wdziękiem wyraziła zgodę, zapraszając wszystkich domowników na kolację. Było dość jedzenia, by wykarmić armię, za co byłem niepomernie wdzięczny. Jeden z najemnych - Marcel, który znał mnie od lat - przekomarzał się ze mną przy stole.

- Jesteś pewien, że masz dość na talerzu, Wasza Wysokość? - zapytał. - Widzimy wszak jeszcze czubek twojej głowy.

Eugenia spiorunowała go wzrokiem.

- Milcz, ty...!

Przełknąłem soczysty kęs pieczonej wołowiny.

- Też miałbyś apetyt, gdybyś spędził tygodnie na racjach Gallusa Tadiusza.

- Gallusa Tadiusza? - Ti-Filip ściągnął brwi. - Służyłem pod admirałem, czy nie było caerdicii wojownika...? - Pokręcił głową. - Mniejsza z tym. Starzy żeglarze wymieniają się opowieściami, to wszystko. Od dawna nie żyje.

- Tak, nie żył - powiedziałem.

Przez całą kolację i później w salonie opowiadałem im o Lukce. O porwaniu Heleny, o moim nawiedzonym przyjacielu Lucjuszu, o *mundus manes* i pękniętej masce w

lararium, o Gallusie Tadiuszu. O bitwie o wartownię, o ręce Valpetry. O śmierci Gilota.

Nie próbowałem wysnuć z tego opowieści, po prostu przedstawiłem fakty. Powiedziałem im, że to, co Gilot zrobił w wartowni, ocaliło niezliczone żywoty, łącznie z moim. Jak został bohaterem.

Fedra słuchała w milczeniu, siedząc na kanapie z Joscelinem. Prawdę powiedziawszy, wolałbym być tylko z nimi. Mógłbym siedzieć godzinami, rad, że jestem z nimi, że jesteśmy razem.

Ale będzie czas.

Poza tym miałem dług wobec Gilota, i wobec wszystkich w domu Montrève, którzy go znali, którzy troszczyli się o mnie, chronili mnie, martwili się wespół z Fedrą i Joscelinem, gdy dotarł mój ostatni list, i zastanawiali się, czy jeszcze żyję.

Dlatego powiedziałem im resztę. O d'angelińskim poselstwie, o tamach. O szkoleniu w szeregach Czerwonej Plagi i o drużynie Barbarusa. O dowodzeniu Eamonna, na co słuchacze zareagowali uśmiechami i kiwaniem głowami. Wszyscy tutaj miło go wspominali. Powiedziałem im o Brygicie i o ślubie, i jak Eamonn ruszył do Skaldii, żeby ją odszukać.

- Co z oblężeniem? - zapytał Benoit.

- A tama? - dodał Ti-Filip. - Doszło do powodzi?

- Tak. - Zerknąłem na Fedrę. Słyszałem opowieść z ust Eamonna; sam powiedziałem o tym *princepsowi*. Teraz było inaczej.

Powódź - powódź była łatwa. Wciąż widziałem ją oczyma duszy; wielką, straszną siłą rozrywającą mur, wodę kotłującą się na ulicach. Wieża dzwonna, Gallus Tadiusz i jego maska pośmiertna. Tutaj się zająknąłem. Przyłapałem się na tym, że patrzę na Fedrę, dumając, czy zrozumie, co czułem na dachu bazyliki. Obecność Kusziela, łoskot w mojej czaszce.

Rozumiała, i to pewnie lepiej niż ja. Jego krew płynie w moich żyłach, ale jestem tylko jego potomkiem, na dodatek niechętnym. Moja krew jest czystsza niż krew większości - dopilnował tego ród Szachrizaj - ale są nas tysiące. On rozchylił woale świata, by dotknąć jej w łonie, by nakłuć jej oko swym szkarłatnym znakiem. Ona jest jego wybranką.

A potem wir i dół, i woda spadająca w hebanowej kaskadzie w nieznane głębie piekła. Słyszałem nabożną grozę we własnym głosie. Słuchali i wierzyli. Dom Montrève znał dziwniejsze rzeczy.

Lucjusz i jego odwaga.

Bitwa.

Gdybym opowiadał to komuś innemu - na przykład Charlesowi Friote - może zrobiłbym to inaczej. Sam nie wiem. W ciepłym, kochającym domu groza, smród i wrzask wydawały się dalekie. A jednak było inaczej. Za każdym razem, gdy spoglądałem na Fedrę, pamiętałem. Ona mnie tego nauczyła.

„Pamiętaj o tym”.

Opowiedziałem zwięźle, bez rozwodzenia się nad moją rolę. Nie powiedziałem, jak stałem w szeregu drużyny Barbarusa ani jak rzuciłem się, na wpół szalony, żeby ratować Eamonna; nie wspomniałem o Canisie, o diuku Valpetry i jego oszczepach. Później to zrobię. To może poczekać. Powiedziałem im tylko, że Lucjusz zebrał Czerwoną Plagę i że zaraz potem przybyli D'Angelinowie z tyberyjskimi żołnierzami. Ze Valpetra zginął, że kondotier Sylwanus się poddał i że się skończyło.

- Resztę - powiedziałem głosem chrapliwym po długim mówieniu -znacie.

Joscelin odprawił wszystkich do łóżek. Zostaliśmy tylko we trójkę. Fedra siedziała skulona w rogu kanapy, patrząc w ogień. Nie mogłem odczytać jej miny. Spoglądała w głąb siebie, pogrążona w kontemplacji.

- Jest coś, co muszę wam powiedzieć - podjąłem. - Jest wiele rzeczy, łącznie z nowinami o mojej matce, lecz nie są one pilne. - Odetchnąłem głęboko. - Myślałem o tym, długo i głęboko. Chcę zająć się tym sam, po cichu. Wy jednak powinniście wiedzieć.

Fedra się poruszyła.

-Co takiego?

-Bernadetta de Trevalion wynajęła w Tyberium człowieka, żeby mnie zabił - odparłem krótko.

Przez chwilę tylko na mnie patrzyli. Rumieniec gniewu pojawił się na policzkach Joscelina, Fedra zamknęła oczy.

-Jesteś pewien? - szepnęła. Przytaknąłem.

-Mam dowód.

-Nie. - Joscelin pokręcił głową. - No, nie! Nie tym razem. Nie po L'Enversie. Tym razem trzeba rozegrać to jawnie. Niech świat się dowie...

-Joscelinie. - Rozłożyłem ręce. - Nie. Ysandra przyjęła mnie na łono rodziny Courcelów, żeby przerwać łańcuch zemsty i odwetu. Jest okazja, by zrobić to samo. - Uśmiechnąłem się cierpko. - Choć z zastosowaniem łagodniejszego przymusu i uciekając się do szantażu.

- Nie możesz... - zaczął.

- Może, Joscelinie - przerwała mu Fedra. - Do niego należy wybór.

Spoczęło na mnie jej głębokie spojrzenie, znajome i wytrącające z równowagi. Sprostąłem mu bez drgnienia. Istniało pomiędzy nami napięcie, zawsze będzie obecne. To jednak mogłem znieść. Wiedziałem, że jest coś więcej.

- Jesteś pewien?

- Tak - odparłem. - Jestem pewien.

Drugi raz tego dnia łzy zalśniły w oczach Fedry.

- Eluo! Dorosłeś w tak krótkim czasie, Imrielu. Joscelin dotknął jej włosów.

- Kochanie?

Zadrzała i wsunęła się w jego objęcia, schowała twarz w jego ramieniu. Przytulał ją przez chwilę. Fedra zebrała siły i wstała. Ja też się podniosłem.

- Pójdę już. Pora się położyć.

- Nie przez wzgląd na mnie. - Uniosła rękę do mojej twarzy, jej dotyk się przedłużył. Niezupełnie matczyne dotknięcie, ale też nie kochanki. Jej, jej własne. - Porozmawiamy później o tym i o innych rzeczach. - Uśmiechnęła się do mnie. Szkarłatna cętka Strzały Kusziela unosiła się na ciemnej tęczówce. - Będzie czas. Teraz jestem szczęśliwa, że bezpiecznie wróciłeś do domu.

Pochyliłem się i pocałowałem ją w policzek.

- Ja również.

Po wyjściu Fedry Joscelin podszedł do kominka i przegrzebał węgle, aż zatrzasnęły wesoło. Usiadł, podciągnął kolano, splótł na nim palce i spojrzał na mnie bacznie.

- Nó dobrze - zaczął. - Ustąpię ci w sprawie Bernadetty deTrevilion. Reszty nie daruję. Było bardzo źle?

Pomyślałem o valpetrariskim żołnierzu z otwartymi ustami, o sterczącym w nich zakrwawionym szpicu.

- Dość źle.

Joscelin pokiwał głową.

- Zawsze tak jest.

- Co... - Zawahałem się. - Jak odebrałeś to za pierwszym razem?



- Ciężko. - Położył głowę na oparciu kanapy. - To było w Skaldii. Jeden z tanów Guntera. Evrard, Evrard Ostry Język, tak go nazywali. Wyzwał mnie na holmgang. Nie chciałam go zabić. Ledwo go znałam.

- Znałeś jego imię - powiedziałem cicho.

- Tak.

- Czy ci się śnił?

- Wszyscy mi się śnili. - Joscelin podniósł głowę i patrzył na mnie spokojnie.

Pamiętałem go z sali w Daršandze, stojącego pośrodku wznoszącego się pierścienia trupów. Może znał imię pierwszego uśmierconego człowieka, ale wątpię, czy mógłby zliczyć tych, których zabił potem. Lampart wśród wilków, tak go nazywali.

- I tobie też będą.

- Czy... - Przełknąłem ślinę. - Czy będzie łatwiej to znieść?

- Nie powinno. - Skrzywił usta. - Ale tak, będzie łatwiej. Bracia kasjelici odmawiają modlitwę za zabitych. Pomaga. Znasz ją?

Pokręciłem głową.

- Nauczysz mnie?

- Oczywiście.

Uklękliśmy razem, Joscelin i ja, przed gasnącym ogniem, z pochylonymi głowami, ze złożonymi rękami. Wymawiał słowa modlitwy niskim, pewnym głosem. Ku mojemu zaskoczeniu, mówił w habiru.

- Łaski, łaski, łaski, panie panów! Zezwól tej duszy na szybkie przejście, a mnie racz wybaczyć, że z konieczności powierzyłam ją twojej pieczy.

- Jeszuicka modlitwa? - zapytałem.

- Kasjelicka - poprawił.

- Ale...

- Imri. - Joscelin dotknął mojej twarzy, podobnie jak wcześniej Fedra. - Wyklęty czy nie, jestem kasjelitą. Jeśli pytasz, czy wierzę we wszystko, czego mnie nauczono, odpowiedź brzmi przecząco. Ale niektóre rzeczy zakorzeniły się zbyt głęboko, żeby je usunąć.

- Jak Daršanaga - mruknąłem.

- Tak. - Siedział spokojnie na piętach. Gasnące światło pełgało po jego surowych, pięknych rysach. - Znajdziesz własny sposób, Imri. Własne słowa, własne modlitwy. Już zacząłeś.

Wzruszyłem ramionami.

- Nawet karłowate drzewo wyciąga gałęzie ku słońcu.

- Jaki tam z ciebie karzeł - powiedział niespodzianie kpiarskim tonem. - Na Eluę! Gdy chodzi o melodramatyzowanie, jesteś równie beznadziejny jak Fedra.

- Wcale nie! - Roześmiałem się. - Smęcę, to wszystko. Tak mówi Eamonn. - Usiadłem po turecku, obejmując kolana. - Mówiłem ci, że ocaliłem mu życie?

Joscelin uniósł brwi.

- Naprawdę?

Powiedziałem mu o tym po cichu, o szale bitewnym, o dzwonieniu w uszach. O tym, jak rzuciłem się w zamęt, bez jednej myśli, na nic nie bacząc. O wrogach sprowadzonych do przeszkód, które stały mi na drodze. Joscelin wiedział, Joscelin rozumiał. Słuchał mnie, a jego twarz wyrażała mieszane uczucia, smutek, przerażenie i dumę.

- Skarbie! - powiedział, gdy skończyłem. - Nauczyłem cię walczyć nie po to, żebyś...

- Był taki jak ty?

- Nie. - Schylił głowę, patrząc na własne ręce spoczywające swobodnie na udach. - Nie po to.

- Myślisz zatem, że jestem? - zapytałem. - Jak ty?

- Nie. - Joscelin uniósł głowę i uśmiechnął się krzywo. Podniósł się z niewymuszonym wdziękiem, którego będę mu zazdrościć do śmierci, i wyciągnął silną prawicę. Ująłem ją i wstałem. - Myślę, że jesteś sobą, Imrielu. Skory do podziwiania dobroci, odwagi i wierności u innych, nieprędko w dostrzeganiu tych cech u siebie. W twoim wieku, daję słowo, byłem zupełnie inny. I myślę, że masz w sercu więcej miejsca, niż ja kiedykolwiek miałem.

- Fedra... - zacząłem.

- Zajmuje mnóstwo miejsca - zgodził się. - A reszta należy do ciebie. Zapiękły mnie oczy.

- Joscelinie...

- Sza. - Objął mnie i zmierzwił mi włosy, jak kiedyś, gdy byłem młodszy. - Idź do łóżka, dobrze? Dopilnuję ognia. Nie chcę czuć się winny, jeśli jutro będziesz niewyspany.

- Idę, idę. - Ruszyłem ku schodom i zacząłem po nich wchodzić. -Widzisz?

- Imri?

-Tak?

Joscelin spojrział na mnie. Jego oczy były szeroko otwarte i czyste niczym letnie niebo. Bez względu na to, jakie cienie leżą za nimi - a wiem, że są - nauczył się z nimi żyć.

- Kiedy będziesz mówić Fedrze, cokolwiek innego masz do powiedzenia... - pokręcił głową - nie wspominaj o ratowaniu Eamonna. To było lekkomyślne.

- Zgoda. Nie powiem.

-I tak będzie wiedziała. - Uśmiechnął się do mnie. - Albo się domyśli. Ale nie musisz jej mówić. Nie wnikaj w szczegóły. Już wystarczająco się martwi.

-A ty nie? - zapytałem.

-Zawsze - odparł krótko. - Ale ja przywykłem.

## SIEDEMDZIESIĄT JEDEN

---

Rankiem stawilem się w pałacu. Usłyszałem z ulgą, że wieści z Lukki w zasadzie się nie rozeszły. Oczywiście wyciekły, lecz tylko jako pogłoski. Ysandra nie chciała, żeby fakt, iż jej krnąbrny młody kuzyn został uwięziony w oblężonym mieście w Cardicci, stał się publicznie znany.

- Kto wie? - zapytałem przy śniadaniu.

- Oficjalnie? - Fedra policzyła na palcach. - Gwardia królowej, Sydonia i Alais. I ród Szachrizaj.

-Powiedziałaś im? - Nie kryłem zaskoczenia.

-Prosiłeś o powiadomienie Mavrosa - przypomniała mi.

-Eluo! - Odłożyłem kromkę chleba z dżemem. - List... Tak mi przykro.

-Niepotrzebnie. - Fedra sięgnęła nad stołem i chwyciła moją rękę. -Imri, gdybyś nie wrócił... - Pokręciła głową. - Nie masz za co przepraszać.

Ścisnąłem jej dłoń.

- Powiedziałaś więc Mavrosowi?

- Uhm. - Skinęła głową. - I Roxannie de Mereliot.

- I Cyganom? Uśmiechnęła się.

- Tylko Emilowi. Wszak to oni znaleźli cię wcześniej. Widziałeś chłopców przy bramie? - Przytaknąłem, a ona się roześmiała. - Obiecał im złotego dukata ode mnie, jeśli pierwsi przyniosą wiadomość o twoim powrocie. Tylko nie zadał sobie trudu, żeby mnie uprzedzić.

- Dałaś im?

Uśmiechnęła się szerzej.

- Oczywiście.

- Czego więc mogę się spodziewać dzisiaj? - Uśmiechnąłem się do niej. - Jak sądzisz, Ysandra będzie na mnie zła?

- Za wczorajsze? - Fedra puściła moją rękę, wsparła podbródek na pięści. - Nie, chyba nie, Imri. Ysandra nie jest małostkowa.

- Wobec ciebie była.

- Hm. - Uniosła brwi. - To nie była małostkowość. Dałam jej powód. To była prawda, dlatego się nie spierałem.

- Co z Barquielem L'Envers? - zapytałem, z niesmakiem wymawiając nazwisko. - Będzie tam?

- Wątpię. - Fedra miała zadumaną minę. - Tej jesieni nieczęsto bawił na dworze. Nie wiem, co to oznacza, ale najpewniej go nie będzie.

- Dostał to, czego chciał, prawda? W przyszłym roku o tej porze zejdę mu z drogi, będę w Albie. - Podniosłem i odłożyłem kromkę. - Czy ogłoszono moje... zaręczyny? - To słowo zabrzmiało dziwnie w moich uszach.

- Nie oficjalnie. Ysandra czekała na twój powrót - odparła cicho Fedra. Jeszcze o tym nie rozmawialiśmy.

- A nieoficjalnie? - zapytałem.

- Wiesz, Alais wpadła w zachwyty. - Zawahała się. - Ciężko przyjęła inne wieści, wieści o obłączeniu.

- Wpadła w histerię - dodał cierpko Joscelin.

- Biedactwo. - Odsunąłem talerz, już nie byłem głodny. Dworscy plotkarze potrafią być okrutni. - Nic dziwnego, pogłoski zawsze się rozchodzą. A... - Chrząknąłem, siląc się na beztroski ton. - A Sydonia? Jestem prawie pewien, że była rada, że się mnie pozbyła.

- Imri! - Fedra była wstrząśnięta. - To niegrzeczne.

- Co? - Wzruszyłem ramionami. - Wiesz, że pomiędzy nami nigdy nie było miłości.

- Jesteś wobec niej niesprawiedliwy - powiedziała cicho. - Nie przyjęła tego lekko. Nikt nie przyjął.

Spojrzałem jej w oczy, czując wyrzuty sumienia i radość.

- Wiem. To tylko... nieważne. Co z rodziną Trevalion? Bertran umizgiwał się do Sydonii, prawda?

- Umizgiwał i umizguje. Choć, jak się zdaje, z niewielkim powodzeniem. - Patrzyła mi w oczy. - Spędza zimę na dworze. Podobnie jak jego matka.

- Nie jest w Azalii? - zdumiałem się.

Pokręciła głową.

- Od czasu, gdy Ghislain został mianowany dowódcą wojsk królewskich.

Pomyślałem o tym.

- Cóż, tym lepiej. To uprości sprawę.

- Dajcie spokój. - Joscelin odsunął krzesło. - Dość jałowych spekulacji. Królowa czeka. Jedźmy na dwór.

To wstrząsnęło mną mocniej niż się spodziewałem.

Nigdy nie darzyłem pałacu zbyt wielkim uczuciem, przynajmniej tak mi się zdawało. Kiedy jednak wysiadłem z powozu, coś ścisnęło mnie za gardło. Piękny pałac, ogromny i dumny, stoi nad rzeką Awiliną. Marmurowe ściany lśnią, utrzymywane w nienagannym stanie z pełną miłości dumą. Przekrzywiłem głowę i spojrzałem na wysokie wieże, rysujące się na tle zimnego, szarego nieba. Gdybym zginął w Lukce, nie ujrzałbym ich więcej.

Zbudowali go D'Angelinowie.

Pomyślałem o Lukce i o tym, jak Gallus Tadiusz umarł po raz drugi w obronie miasta, które uczynił swoim. Nie oddałbym chętnie życia ani za Miasto Elui, ani za tę budowlę. Ale zrobiłbym to dla Fedry i dla Joscelina; zrobiłbym to bez mrugnienia okiem.

Zrobiłbym to dla samej Terra d'Ange.

Urodziwi ludzie, tak nazwał nas Eamonn, drocząc się ze mną. To prawda. Urodziwi i próżni. Dumni; dumni z naszego piękna, dumni z naszego dziedzictwa, dumni z naszej wiedzy i umiejętności. Świat gani nas za to, i słusznie. Pewne rzeczy są głupotą, inne zarozumiałstwem.

Nie wszystkie.

- Księżę Imriel! - Jeden z gwardzistów królowej powitał mnie głębokim ukłonem, pstrykając palcami na kolegę. - Witaj w domu, Wasza Wysokość. Hrabino de Montrève, messire Verreuil, witajcie. Jej Królewska Mość czeka.

Wprowadzono nas do pałacu. Tętnił życiem, jak zawsze. W wyłożonych marmurem korytarzach rozbrzmiewały echa śmiechu i wesołego gwaru. Odwróciłem głowę, gdy mijaliśmy Salę Gier, przypominając sobie o Gilocie, jak rzucał kości i klął dobroduszenie, gdy przegrywał. D'Angelinscy arystokraci przechadzający się w korytarzach spoglądali za nami, gdy ich mijaliśmy, i snuli domysły.

Jak za pierwszym razem, tylko inaczej.

Eluo, jak oni się gapili! Wtedy się tym przejmowałem. Bardzo się przejmowałem i nienawidziłem ich. Miałem wrażenie, że to było dawno temu. Starłem się ich ignorować, wysoko unosząc podbródek i patrząc prosto przed siebie, powtarzając w myśli słowa, które zamierzałem wypowiedzieć. Ukradkiem zerkałem na Fedrę, czerpiąc siłę z jej uporu w dążenia do celu. I na Joscelina, czerpiąc otuchę z jego niefrasobliwego usposobienia.

Teraz było łatwiej. Gdy człowiek raz stanie w obliczu ataku całej armii, potem na wiele spraw zaczyna patrzeć z dystansu.

Sądziłem, że zdążamy do sali tronowej, ale nie. Przyjęto nas w prywatnych komnatach królowej. Ysandra, zamyślona i niespokojna, z rękami założonymi za plecy, krążyła przed wysokimi oknami, za którymi rozciągał się bezlistny, zamarznęty ogród. Odwróciła się, gdy tylko strażnik nas zapowiedział.

- Imrielu! - zawołała.

Fedra miała rację, Ysandra de la Courcel nie jest małostkowa. Jej twarz promieniała z radości. Zrobiło mi się wstyd. Ukłoniłem się nisko, mrużąc słowa wdzięczności i przeprosin za wczorajsze grubiańskie zachowanie. Ysandra roześmiała się i chwyciła moje ramiona, żeby obdarzyć mnie powitalnym pocałunkiem.

- Nie, nie - powiedziała, przerywając moje przeprosiny. - Cieszę się, że widzę cię w zdrowiu, kuzynie. Przeżyłeś ciężkie chwile, nie chowam do ciebie urazy. Powinam pójść po rozum do głowy i poczekać z wezwaniem. Wszak od dawna mam do czynienia z rodziną Montrève. - Królowa Terre d'Ange obrzuciła Fedrę pełnym uczucia spojrzeniem, po czym obróciła głowę ku drzwiom. Jej profil był czysty i piękny jak wizerunek na monecie. - Alais! - zawołała. - Już jest!

Usłyszałem zduszony szloch i zamieszanie. Alais przybiegła szybko, rzuciła się na mnie. Jej głowa uderzyła mnie w pierś, chude ręce objęły mnie w pasie. Nie upadłbym, gdyby Celesta nie skoczyła za nią, płacząc mi się pod nogami. Runęliśmy wszyscy razem.

- Obiecałeś, obiecałeś, obiecałeś! - krzyczała.

Ledwo rozumiałem jej stłumione słowa, gdy łkała, wtulona w mój wams.

- Wiem, wiem! Wróciłem, Alais. Wróciłem. - Przytuliłem ją i gładziłem jej czarne loki, które były wszystkim, co widziałem, rozpostarty na podłodze. - Widzisz, jestem.

Uniosła mokrą od łez twarz, śmiejąc się i pociągając nosem.

- Wiedziałam, że wrócisz!

- Tak? - droczyłem się z nią łagodnie. - Słyszałem co innego.

- Bałam się. - Zawstydzona, podniosła się i uklękła przy mnie na podłodze, składając ręce na podołku. Wyglądała poważniej, choć twarz miała zaczerwienioną od płaczu i ciekło jej z nosa. Nie było mnie ledwie pół roku, a niezgrabna dziewczyna, którą zostawiłem, przemieniała się w młodą kobietę, choć przypuszczam, że na chwilę o tym zapomniała. Nie trwało to długo. - Cieszę się, że jesteś w domu, Imrielu - powiedziała oficjalnym tonem.

- Ja również, pani Alais. - Usiadłem i dwornie ucałowałem jej dłoń. - I miałaś rację, śniłaś prawdziwy sen. Pamiętasz człowieka o dwóch twarzach? Spotkałem go.

Szeroko otworzyła oczy.

- Naprawdę?

Celesta usiadła obok mnie i podrapałem ją za uszami.

- Naprawdę.

Alais uśmiechnęła się i otarła łzy.

- A mój drugi sen też... jest prawdziwy, czyż nie? Będziesz w końcu moim bratem.

- Już nim jestem - oznajmiłem z powagą.

- Kuzynie Imrielu. - Głos Sydonii, lekki i opanowany, przyprawił mnie o ciarki. - Czy ja nie zasługuję na powitanie?

Wstałem i złożyłem ukłon.

- Witaj, Sydonio.

- Witaj w domu.

Obdarzyła mnie powitalnym pocałunkiem, usta miała chłodne i miękkie, takie miękkie! Pocałunek mógł być bezosobowy, ale nie był. Nasze palce zetknęły się na chwilę. Widziałem puls bijący u podstawy szyi. Ona też dojrzała pod moją nieobecność. Za ciemnymi oczami Cruithneów kryła się wiedza, której nie było tam wcześniej; wiedza i świadomość władzy, kobiecej siły.

- Brakowało nam ciebie.

Ale ja też miałem doświadczenie. Wiedziałem wszystko o przyprószaniu żaru zakazanego romansu. Umiałem być cierpliwy i drapieżny. Umiałem czekać i udawać w służbie pożądania. Dziękowałem za to Klaudii Fulwii w całej jej zmysłowej chwale.

„Jak ci się podoba twoja pierwsza lekcja?”

-Dziękuję. - Uśmiechnąłem się do Sydonii. - Witam cię, kuzynko. Uniosła kąćki ust w lekkim uśmiechu.

- Tak! - zawołała żywo królowa. - Myślę, że trzeba to uczcić.

Spędziliśmy w pałacu większą część dnia. Opowiedziałem im co nieco o Lukce - Alais nie wybaczyłaby mi, gdybym nie opowiedział o człowieku o dwóch twarzach - ale poprosiłem o zwolnienie z reszty, obiecując, że dokończę później. Ysandra natychmiast zaczęła planować przyjęcie, żeby uczcić mój powrót do Terre d'Ange i ogłosić moje zaręczyny z Dorelei mab Breidaja.

To sprawiało jej przyjemność, prostą i czystą.

Patrzyłem, jak konferuje z Fedrą, perlisty śmiech wzbijał się nad ich głowami, gdy razem spiskowały. Do dziś dnia nie brakuje tych, którzy z powodu łączącej je zażyłości wierzą, że Fedra jest kochanką królowej. To nieprawda, przynajmniej o ile mi wiadomo. Nie sądzę, by kiedykolwiek łączył je intymny związek. Prawdą jest, w żyłach L'Envers płynie krew kuszelicka, ale przypuszczam, że Ysandra ma się na bacności.

Widziałem, jak Joscelin na nie patrzy, spokojnie i z zadowoleniem.

Wszystko było dobrze w Terre d'Ange, a przynajmniej dobrze się zapowiadało.

W Lukce pani Beatrice uciekała się do prostych przyjemności, czerpiąc siłę z możliwości dzielenia się swoją radością z tymi, którzy ją otaczali. Jakże się przykladała, planując wesele Eamonna i Brygitty! Ale to Gallus Tadiusz i Lucjusz dźwigali cięższe brzemie. Takie, które wymaga poświęceń, słusznie czy niesłusznie. Nie zapomniałem nocy burzy ognia, gdy z Dekkusem Fulwiuszem stałem na szczycie muru, patrząc z grozą na pomazaną sadzą twarz rekruta, który biegł przez płonące pola, ścigany przez jazdę Valpetry. Nie umiem powiedzieć, czy to było konieczne. Dokonywanie takich wyborów spoczywa na barkach władcy.

Ysandra dźwiga ciężar podejmowania decyzji.



Jest silną władczynią, i dobrą. Po Lukce lepiej rozumiem, co to znaczy. Mogę nie zgadzać się z jej decyzjami - pomimo mojego postanowienia w sprawie Bernadetty de Trevalion, wciąż drażnił mnie fakt, że Barquielowi L'Envers uszła na sucho próba mażnięcia mnie pędzlem zdrady - ale rozumiem, dlaczego je podejmuje.

I ja podjąłem swoją.

Wśród rodziny, rodziny serca i rodziny krwi, czułem, że godzę się z dokonany wybozem. Dobrze być w domu... i jak dom traktowałem też pałac.

Później razem spacerowaliśmy po korytarzach w rozmyślnym pokazie jedności, w asyście gwardzistów królowej. Odwiedziliśmy salon Harfy Ejszet, gdzie Gerard de Mereliot grał na cytrze i śpiewał ballady wdzięcznym słuchaczom. Pochwycił moje spojrzenie i mrugnął, nie gubiąc jednej nury.

- Imriel! - Znajoma postać zerwała się z fotela. Mavros z gibką elegancją kluczył przez tłum. Złożył szybki, dworny ukłon królowej, po czym zamknął mnie w potężnym uścisku. - Na Eluę! Dobrze cię widzieć.

- I ciebie. - Uśmiechnąłem się do niego. Mavros... Mavros wyglądał tak samo. Warokcze miał spięte z tyłu srebrną spinką, twarz odsłoniętą. On też należał do mojej rodziny. Ciemne lustro rodu Szachrizaj, niebezpieczne i piękne. - I ciebie.

Zmrużył oczy o barwie błękitnego zmierzchu.

- Coś ty robił, kuzynie? - mruknął, trzymając mnie za ramiona i przypatrując mi się pilnie. Zacisnął palce, aż wbiły się lekko w moje ciało. - Całkiem sporo, sądząc z wyglądu.

- Wystarczająco. Później ci powiem.

- O, tak - zgodził się. - Zamienię się w słuch.

Byli też inni; inni Szachrizaj, inni przyjaciele, a raczej ludzie, których kiedyś zwałem przyjaciółmi.

Jednym z nich był Bertran de Trevalion. Powitał mnie z nieufną uprzejmością, niepewny przyjęcia; i słusznie, pomyślałem. Uścisnąłem jego rękę na pozór po przyjacielsku, miło i życzliwie.

- Powiedz mi, czy jest tu twoja matka? - zapytałem.

- Moja matka? - Miał zmieszana minę. - Gdzieś, tak. Chyba dziś odwiedza przyjaciółkę w Mieście. A dlaczego?

Miał szczerą, poważną twarz, jak zawsze. Był uczciwy nawet w głębokiej nieufności. Patrząc na niego, zrozumiałem, że Bertran nie umiałby udawać. Gdybym zajmował się werbunkiem do Niewidzialnej Gildii, nigdy nie wybrałbym jego. A gdybym

był jego matką, skrywałbym przed nim moje intrygi. Może między innymi z tego powodu czekała, aż znajdzie się daleko od d'angelińskiej ziemi, by podjąć próbę zemsty. A może po prostu pomyślała, że nikt się nie dowie, tak daleko od domu.

Jeśli tak, ogromnie się pomyliła.

- Mam dla niej wiadomość od dawnego znajomego z Tyberium - rzuciłem lekkim tonem. - To prywatna sprawa. Złożę jej później wizytę, by przekazać wiadomość osobiście. Ten znajomy nazywa się Ruggero Caccini. - Poklepałem go po ramieniu. - Powiedz jej to, dobrze? Ruggero Caccini.

- Ruggero Caccini. - Bertran z powagą pokiwał głową. - Powiem jej. Uśmiechnąłem się do niego.

- Dziękuję, Bertranie.

Co się tyczy reszty moich dawnych przyjaciół, choć powitali mnie ciepło, nie zapomniałem pleców, jakie mi pokazali, kiedy padło na mnie podejrzenie o zdradę. I nauczyłem się wiele, co to znaczy być przyjacielem.

Ale mogłem wybaczyć, albo przynajmniej spróbować.

Niepodjęcie próby byłoby małostkowe.

Dobrze się z tym czułem. Podczas podróży udało mi się wyzbyć części bólu, złości i strachu. Może nawet straciłem trochę poczucia winy. Nie całość, nie. Wątpiłem, czy to w ogóle możliwe. Ale to, co zostało, mogłem nosić z większym wdziękiem.

Wyszliśmy późno, z obietnicami powrotu nazajutrz. Eugenia czekała na nas z kolacją. Usługiwała mi osobiście, krążąc przy moim łokciu i piętrząc jedzenie na moim talerzu, aż ze śmiechem kazałem jej przestać. A jednak zdołałem uporać się ze wszystkim, co mi nałożyła.

Po posiłku Fedra przeprosiła nas i poszła do swojego gabinetu. Siedziałem przez chwilę, rozmawiając z Joscelinem, rzucając okiem w kierunku korytarza. Wreszcie on ruchem brody wskazał mi drzwi.

- Idź. Porozmawiaj z nią. Zawahałem się.

- Czy chcesz...

- Czy to ma związek z twoją matką? - zapytał Joscelin.

- Tak.

Wygiął usta w znajomym półuśmiechu, lekko drwiącym i pełnym miłości.

- Powiedz to Fedrze. Ona naprawdę może to zrozumieć.

Drzwi do gabinetu były zamknięte. Zapukałem lekko.

- Wejdz, skarbie! - zawołała.

Wszedłem i zamknąłem drzwi. Pokój był przytulny, ogrzewany przez kosz i oświetlony przez dwie lampy oliwne. Zawierał co najmniej setkę tekstów napisanych w tuzinie języków. Niektóre należały do Delaunaya, inne Fedra kupiła w trakcie długich poszukiwań klucza do uwolnienia Hiacynta. Wiele, ocalonych z dna morza, pochodziło z biblioteki Pana Cieśniny, gdzie tylko niszczały. W Montrève też nie brakowało książek.

„Zawsze warto jest wiedzieć jak najwięcej”.

Fedra siedziała za biurkiem, ale krzesło było odsunięte. Na blacie leżał ukończony list, atrament wysychał. Zerknąłem i zobaczyłem, że adresatką jest Pani Marsilikos.

- Przepraszam - powiedziałem. - Czy...

- Czekałam na ciebie? - Fedra się uśmiechnęła. - Tak.

Z westchnieniem usiadłem u jej stóp. Oparłem głowę o poręcz fotela i zamknąłem oczy. Po chwili jąła gładzić moje włosy. Siedzieliśmy tak długi czas. Potem zacząłem mówić.

Powiedziałem jej o Klaudii Fulwii.

Powiedziałem jej o Niewidzialnej Gildii.

Powiedziałem, jak się dowiedziałem o Bernadecie de Trevalion, i co zrobiłem.

Powiedziałem jej o Canisie i o mojej matce.

Słuchała bez słowa komentarza. Kiedy raz zacząłem, słowa wylewały się ze mnie jedno przez drugie. Ach, Eluo! Zbyt wiele tajemnic, tajemnic, których nigdy nie chciałem. Dotrzymywałem ich zbyt długo.

Kiedy skończyłem, zadrzałem. Byłem wykończony, wyciśnięty jak cytryna. Potarłem twarz rękami, podniosłem się i usiadłem na krzesło dla gości. Pozwoliłem sobie przez chwilę być dzieckiem, ale chwila minęła.

- Co myślisz? - zapytałem. - Czy twierdzenia Gildii są prawdą?

- To wyjaśniałoby wiele - rzekła cicho Fedra. - Zawsze się zastanawiałem, jak Melisanda zaczęła spiskować z Waldemarem Seligiem. Wszyscy zakładali, że za pośrednictwem d'Aiglemorta, ale... - Pokręciła głową. - Wiedziała to, czego on nie wiedział. I zdołała skontaktować się z Seligiem bez jego wiedzy. Zawsze wiedziała zbyt wiele. To miałyby sens.

- Co zatem mamy zrobić?

- Czekać - odparła krótko. - Patrzeć i słuchać, jak zawsze. Gildia odkryła karty; nie-  
prędko podejmą ryzyko. Dowiemy się, ile zdołamy. -Spojrzała na półki i przegródki  
pełne książek i zwojów. - Kapłan Asklepiosa powiedział, że system zapisu na medalionie  
Canisa został wymyślony przez ślepego uzdrowiciela? Kapłana?

-Tak. Dawno temu, jak sądzę. - Uśmiechnąłem się, wiedząc, że tego nie zobaczy.  
Na twarz Fedry malowało się roztargnienie, jak zawsze, gdy pogrążała się w myślach.  
Pierwszy raz widziałem to w zenanie. Nie na początku, ale później, gdy obmyślała nie-  
prawdopodobny plan ratunku. - Sądzisz, że znajdziesz gdzieś jakąś wzmiankę?

-Uhm.

Lubiłem takie roztargnienie na jej twarzy, ponieważ to było bezpieczne. Mogłem  
patrzeć na nią i zastanawiać się, o czym myśli, albo tylko na nią patrzeć. Nie było nie-  
pokojących aluzji, nie było strasznej, cudownej sugestii nieodłącznej jej transcenden-  
cji. Tylko Fedra, rozmyślająca. Patrzyłem na nią przez chwilę, potem się odezwałem.

-To niebezpieczne - przypomniałem jej. - Jeśli Gildia jest w połowie tak potężna,  
jak mówi Klaudia, zagrożenie z ich strony jest prawdziwe.

- Och, wiem. - Wróciła z miejsca, do którego zawiodły ją myśli. - Nie martw się,  
skarbie. Nie zamierzam podejmować ryzyka. Nie powiedziałeś nikomu innemu, praw-  
da?

Pokręciłem głową.

- Nawet Eamonnowi. A ty powiesz?

- Komuś innemu niż Joscelin? - Fedra ściągnęła brwi. - Porozmawiam o tym z Hia-  
cyntem. Elua wie, jeśli na świecie jest ktoś bezpieczny od odwetu, to tylko on. Zaufam  
mu bez obawy, że narażę go na niebezpieczeństwo.

- A Ysandrze?

- Nie - odparła powoli. - Nie, chyba nie. Nasze oczy się spotkały.

- Delaunay - powiedziałem.

- Wiem.

- Myślisz... - Przełknąłem ślinę. - Myślisz, że on komuś powiedział?

- Na przykład twojej matce? - zapytała łagodnie. Skinąłem głową.

- Nie wiem, skarbie. Możliwe. Prowadzili ze sobą dziwną grę. Anafiel Delaunay był  
skomplikowanym człowiekiem, a śmierć Rolanda spadła na niego niczym potężny  
cios. Wiążą się z nim sprawy, których, jak sądzę, nigdy nie zrozumiem.

- Jak moja matka - mruknąłem.

- Tak. - Fedra uśmiechnęła się cierpko. - Cóż, tak i nie.

- Dlaczego ocalała mi życie? Czy nadal zamyśla mnie wykorzystać?

Słowa te, pełne goryczy, padły gwałtownie. Nie zamierzałem tego mówić, a jednak powiedziałem. Choć nie dałem głosu tej myśli, paliła mój umysł od śmierci Canisa. Fedra patrzyła na mnie przez długą chwilę.

- Czy pamiętasz obietnicę, którą wymogłam na niej w La Serenissimie? - zapytała, a ja przytaknąłem. Jakżebym mógł zapomnieć. *Dotrzymuję słowa.* - Zawarliśmy umowę. Powiedziałam, że adoptuję cię pod warunkiem, że nie podniesie ręki przeciwko Ysandrze i jej córkom, ani że nie opuści swojego azylu. Ona sprowadziła obietnicę do jednej i dała mi wybór. Potem się zgodziła i przysięgła, i powiedziała mi ze śmiechem, że jako kłamca jestem beznadziejna. - Usta jej zadrżały. - Nie sądziłam, że wypadłam tak źle.

- Dlaczego w takim razie to zrobiła?

- „Pewnego dnia, nieprędko, ale pewnego dnia oznajmisz mojemu synowi, że nasza dzisiejsza umowa jest moim darem dla niego, jedynym, jaki przyjąłby ode mnie” - zacytowała z pamięci. - Tak brzmiały jej słowa. Niewiele rzeczy Melisanda robiła z dobroci serca - dodała cicho. - Choć może ona widzi to inaczej. Ale tak. To był dar, czysty i prosty.

- Czy sądzisz... Może nie jest zupełnie zła?

- Nikt nie jest, Imri. - Jej głos brzmiał łagodnie. - Ani też całkiem dobry.

Mogłaby powiedzieć wiele więcej, lecz nie powiedziała. Chyba nikt na świecie nie znał mojej matki lepiej niż Fedra. Ani jej krewni Szachrizaj, ani Anafiel Delaunay, ani nikt inny. Były dwie strony medalu - najpotworniejsza potomkini Kusziela i wybranka Kusziela. Ciemne lustro i jasne, a które było które, zależało od punktu widzenia. Wzajemnie odbijały to, co w nich najlepsze i najgorsze.

A ja byłem synem ich obu.

Prawda i nieprawda.

Odetchnąłem głęboko i przygotowałem się do zarzucenia na ramię brzemienia, którego wołałbym nie dźwigać.

- Chciałbym przeczytać jej listy.

Fedra skinęła głową, jakby się spodziewała tej prośby. Najpewniej tak było. Bez słowa złożyła i zapieczętowała list do Roxanny de Mereliot, odłożyła go na bok. Przypomniałem sobie z poczuciem winy, że zapomniałem poprosić ją o wysłanie kuriera do pani Dalriadów z listami od Eamonna.

Zrobię to jutro.

Miałem czas.

Fedra wstała i zdjęła z półki szkatułkę, tę z polerowanego drewna wyłożonego macicą perłową. Postawiła ją na biurku i otworzyła złotym kluczykiem, którego nie widziałem, odkąd miałem czternaście lat. Położyła kluczyk przy kasetce i odsunęła się.

- Proszę, skarbie.

Wstałem. Fedra patrzyła na mnie. Oczy miała ciemne i rozświetlone, przepelnione czułością. Kryła się za nimi znajomość Imienia Boga, a słowem tym była miłość. Każda litera alfabetu, w jakim zostało napisane, każda kreska każdej litery wyrażała miłość. Usiadłem przy biurku.

- Dziękuję - szepnąłem.

Nie odpowiedziała, tylko pocałowała mnie w czoło i wyszła.

Siedziałem długi czas, patrząc na szkatułkę. W końcu podniosłem wieczko. Zapach... popłynął z niej korzenny zapach drzewa sandałowego. Leżały tam listy ze złamanymi pieczęciami, staranie złożone. Nikt nie tknął ich od czterech lat. Od czasu, gdy Melisanda Szachrizaj zniknęła ze swojego azylu w świątyni Aszery z Morza.

Melisanda.

Moja matka.

Pomyślałem o Helenie Correggio otwierającej dłoń na ulicy Lukki, o paciorkach z niebieskiego szkła spadających na kamienie bruku. Zapomniałem powiedzieć o tym Fedrze. Będzie czas. Pomyślałem o łzach w oczach mojej matki, gdy widziałem ją po raz ostatni, i o jej głosie szepczącym moje imię.

Imriel.

Podniosłem pierwszy list drżącymi rękami. Otworzyłem go i położyłem płasko na biurku, wygładziłem załamania. To ten pergamin rzuciłem do kosza z węglami; skraj zdążył się przypalić, zanim Fedra go uratowała. Był stary, już trochę kruchy, ale jeszcze w miarę giętki. Widniała na nim data, wypisana zdecydowanym, eleganckim charakterem. List został skreślony w dniu naszego wyjazdu z La Serenissimy. Po nim napłynęły inne, dziesiątki innych.

Przeczytałem pierwszą linijkę.

*Do mojego syna, Imriela...*

Skłaniając głowę, wyszeptałem modlitwę do Błogosławionego Elui, prosząc o odwagę potrzebną do udźwignięcia zrozumienia tego, co przeczytam. O współczucie, by mądrze to wykorzystać. Nie miałem pojęcia, co zawierają leżące przede mną listy. Bałem się dowiedzieć. Bałem się dowiedzieć, że moja matka mnie kocha, naprawdę mnie kocha. Bałem się zobaczyć ją jako śmiertelną kobietę, zdolną do smutku i żalu. Bałem się odkryć, że podjęte przez nią działania w jej oczach miały swoje zalety. Bałem się znaleźć w niej echo siebie.

A jednak przeczytam listy.

Migoczące lampy rzucały ciepły blask na pergamin. Zza drzwi płynęły zwyczajne odgłosy wieczoru w domu Montrève, stłumione i niewyraźne.

Pytanie Joscelina, cicha odpowiedź Fedry, szuranie obcasów, grzechot kubka na stole. Besztanie Eugonii. Śmiech Huguesa, protesty Ti-Filipa.

Ludzie, którym na mnie zależy, zebrani pod jednym dachem. Codzienne szczęście, zwyczajne i cenne. Odetchnąłem, nieświadom, że tak długo zatrzymywałem powietrze w płucach.

Listy mojej matki czekały.

Uniosłem głowę i zacząłem czytać.